

**James Clavell**  
**NOBLE HOUSE**

**Tom 2**

**CZWARTEK**

**39**

**4:50**

Na godzinę przed świtem w rzęsistym deszczu Poon Ładna Pogoda ujrzał na wpół nagie ciało Johna Czena i zaklął. Uważnie przeszukał resztki ubrania i przejrzał furę gliny, którą wykopali Kin Pak i Czen Psie Ucho. Nie znalazł jednak ani monety, ani żadnych kosztowności, ani nic. Wcześniej Wu Cztery Palce powiedział:

- Znajdź te pół monety, Poon Ładna Pogoda! Potem stary udzielił dalszych instrukcji. Poon ucieszył się, że spoczywa na nim taka odpowiedzialność, więc starał się nie popełnić błędu.

Powiedział, że jeśli Kin Znak Ospy nie przestanie jęczeć nad swoją zranioną ręką, to utnie mu język. Czenowi Psie Ucho i Kin Pakowi kazał wynieść ciało Łysego Kina na ulicę. Potem Poon odszukał dalekiego krewnego Wu Cztery Palce - Króla Żebraków z Koulunu. Wszyscy żebracy gromadzili się w cechu żebraczym, na czele którego stali trzej królowie - w Hongkongu, Koulunie i Koulunie City. W dawnych czasach żebractwo uchodziło za profesję lukratywną, lecz teraz, gdy grozi za nie więzienie, a na ludzi czeka

**James Clavell**

**NOBLE HOUSE**

**Tom 2**

**CZWARTEK**

4:50

Na godzinę przed świtem w rześmistym deszczu Poon Ładna Pogoda ujrzał na wpół nagie ciało Johna Czena i zaklął. Uważnie przeszukał resztki ubrania i przejrzał furę gliny, którą wykopali Kin Pak i Czen Psie Ucho. Nie znalazł jednak ani monety, ani żadnych kosztowności, ani nic. Wcześniej Wu Cztery Palce powiedział:

- Znajdź te pół monety, Poon Ładna Pogoda! Potem stary udzielił dalszych instrukcji. Poon ucieszył się, że spoczywa na nim taka odpowiedzialność, więc starał

się nie popełnić błędu.

Powiedział, że jeśli Kin Znak Ospy nie przestanie jęczeć nad swoją zranioną ręką, to utnie mu język.

Czenowi Psie Ucho i Kin Pakowi kazał wynieść ciało Łysego Kina na ulicę. Potem Poon odszukał dalekiego krewnego Wu Cztery Palce - Króla Żebraków z Koulunu. Wszyscy żebracy gromadzili się w cechu żebraczym, na czele którego stali trzej królowie - w Hongkongu, Koulunie i Koulunie City. W dawnych czasach żebractwo uchodziło za profesję lukratywną, lecz teraz, gdy grozi za nie więzienie, a na ludzi czeka tyle innych, lepiś : płatnych zawodów, opinia ta uległa zmianie.

- Widzisz, Szlachetny Królu Żebraków, jeden z naszych nie żyje - wyjaśniał Poon Ładna Pogoda stałarszemu, dystyngowanemu mężczyźnie. - Nie miał

krewnych, więc zostanie pochowany przy Bezkwietnej Alei. Mój Wielki Smok, oczywiście, przyrzeka pewną pomoc. Może udałoby wam się zorganizować cichy pogrzeb?

-Grzeczne pertraktacje nie potrwały długo; a gdy ustalono cenę, Poon poszedł do stojącej za granicą miasta taksówki i zadowolony odjechał wiedząc, że ciało zniknęło na zawsze bez śladu. Na przednim siedzeniu siedział Kin Pak. - Prowadź do Johna Czena! - rozkazał. - Tylko szybko.

- Na Sza Tin Road - rzucił Kin Pak kierowcy. Czen Psie Ucho siedział z tyłu wraz z kilkoma ludźmi Poona.

Pozostali, a także Kin Znak Ospy jechali za taksówką samochodem.

Dwa pojazdy kierowały się na północ do Nowych Terytoriów do ulicy Sza Tin-Tai Po, miały wioski i tereny rekreacyjne, górskie przejścia, tory kolejowe prowadzące do granicy. Przed rybacką wioską Sza Tin skręcili z głównej drogi w lewo i znaleźli się na wyboistej drodze. Zatrzymali się przy kępie drzew i wysiedli.

Mimo deszczu było ciepło, pachniało parującą ziemią. Kin Pak wziął łopatę i ruszył w ciemność. Poon Ładna Pogoda trzymał latarkę, a reszta szukała miejsca, gdzie pogrzebali Johna Czena. Po ciemku było im trudno. Dwa razy zaczęli kopać, gdy Kin Pak przypomniał sobie, że ich ojciec oznaczył to miejsce kamieniem. Przeklinając, odnaleźli kamień i zabrali się do pracy. Pod

powierzchnią ziemia była sucha.

Wkrótce doszli do zawiniętego w koc trupa. Rozszedł

się nieprzyjemny odór. Choć Poon kazał rozebrać ciało do naga i przeszukać ubranie, nic nie znaleźli.

- Wysłaliście wszystko z powrotem do Czenów z Noble House? - zapytał jeszcze raz. Deszcz spływał

mu po twarzy, miał mokre ubranie.

- Tak - powiedział nerwowo Kin Pak. - Ile jeszcze przeklętych razy mam ci powtarzać? - Był bardzo zmę-

czony, mokry, brudny i wiedział, że zginie.

- Ściągaj ciuchy! Buty i skarpetki też. Przeszukam ci kieszenie.

Wykonał rozkaz. Kin Pak miał na szyi rzemyk z nefrytowym kółkiem. W Chinach prawie wszyscy noszą na szczęście kawałki nefrytu, ponieważ każdy wie, że jeśli przeklnie złe bóstwo, całą moc przejmie na siebie duch nefrytu i uchroni człowieka przed złem. A jeśli nie, to znaczy, że bóstwo nefrytu właśnie spało, ale nic nie szkodzi, bo to tylko zły *dżos*.

Poon bez efektu przetrząsnął kieszenie Kina. Oddał

mu ubrania. Był przesiąknięty do suchej nitki i wściekły.

- Naciągaj łachy i ubierz z powrotem trupa. Pośpiesz się!

Czen Psie Ucho miał przy sobie czterysta dolarów hongkongijskich i sporo wartą nefrytową bransoletkę.

Jeden z ludzi zabrał bransoletkę, a Poon wziął

pieniądze. Kiedy wybebeszyli kieszenie Kina Znak Ospy, ze zdumieniem zobaczyli gruby zwitek banknotów.

- Skąd w imię Niebiańskiej Ladacznicy to wszystko masz? - zapytał Poon. :

Opowiedział im o swoich wyczynach pod Ho-Pak i wszyscy roześmiali się, a potem pochwalili go.

- Sprytny jesteś ~ rzekł z uznaniem Poon. - Dobry z ciebie biznesmen. Ubierz się. Jak się nazywa ta stara kobieta?

- Powiedziała, że Ah Tam. - Kin Znak Ospy otarł

sobie pot z czoła, stopy grzęzły mu w błocie, a rękę przeszywał ostry ból. - Jak chcesz, mogę cię do

niej zaprowadzić

- Hej, poświęćcie mi tutaj! - zawołał Kin Pak. Klęczał

usiłując założyć Johnowi Czenowi spodnie, - Może ktoś by mi pomógł?

- Pomóc mu!

Czen Psie Ucho i Kin Znak Ospy ruszyli z pomocą, a Poon Ładna Pogoda skierował snop światki. Ciało Johna Czena było napuchnięte, deszcz obmył brud.

Tył głowy był rozbity i pokryty zakrzepłą krwią, ale twarz dało się rozpoznać.

- *Aiii ta* - wymamrotał jeden z ludzi Poona. - Chodźmy stąd. Czuję, że tu się kręcą złe duchy.

- Tylko założą spodnie i koszulę - odezwał się Poon

Ładna Pogoda. Odczekał, aż ciało zostanie z powrotem ubrane. Połenfc zwrócił się do Wilkołaków: -

Który z was, zapchlone łajdaki, pomagał staremu go zabić?

-

Już mówiłem.-. - zaczął Kin Pak, ale zamilkł

spostrzegłszy, że pozostali dwaj wskazują os niego palcami.

- Cały czas się tego domyślałem - rzekł Poon, zadowolony, że przynajmniej wyjaśnił do końca jedną tajemnicę. Wymierzył grubym palcem w Kin Paka: -

Właż do dołu i kładź się.

-

Mamy łatwy plan uprowadzenia samego Phillipa Czena i zdobycia trzykrotnie większych pieniędzy. Powiem ci, jak to zrobić, *heya?* - próbował ratować życie Kia Pak.

Poon Ładna Pogoda przez chwilę się zawahał.

Przypomniał sobie jednak instrukcję Wu Cztery Palce.

-

Zakopać go!

Kin Pak rozglądał się nic widzącym wzrokiem. Czuł.

że już po nim. Wzruszył ramionami. Taki *dżos*.

Olewam wszystkich waszych przodków i potomków -

zaklął bez przekonania, kładąc się w grobie. Położył  
głowę na rękach i zaczął rozmyślać nad swoim życiem.

Nic w nim się nie działo, zawsze był członkiem rodziny Kinów, jednym z wielu rodzących się od  
pokoleń. Tak było dawniej, jest teraz i tak będzie, Poon Ładna Pogoda wziął jedną z szufli i,  
doceniając odwagę młodzieńca, zabił go od razu wbijając ostrą krawędź

łopaty między kręgi. Kin Pak umarł nic wiedząc o tym.

- Zakopać grób!

Czen Psie Ucho był przerażony, ale ruszył wykonać rozkaz. Poon roześmiał się i kopnął go dla  
dodania mu animuszu. Czen do połowy zasypał dół. W jednej chwili szufła Poona zatoczyła łuk i  
uderzyła Psie Ucho w głowę. Upadł na przysypanego ziemią Kina.

Rozległy się śmiechy.

- liii machnąłeś jak obce diabły kijem do krykieta.

Świetnie! Nie żyje?

Poon Ładna Pogoda nie odpowiedział. Skierował

tylko wzrok na ostatniego z Wilkołaków. Oczy wszystkich zwróciły się na Kina Znak Ospy. Stał  
przerażony i mokry od deszczu. Wtedy właśnie Poon zauważył u, niego na szyi rzemyk. Podniósł  
latarkę, podszedł

bliżej. Na rzemyku wisiała połówka monety. Miedziany pieniążek pochodzący z dawnych czasów.

- Wszyscy bogowie pierdzą w twarz Tsao Tsao!

Skąd to masz?

- Od ojca.

-

A skąd ma twój ojciec, zasrańcu?

- Nie mówił.

-

Mógł zabrać Synowi Numer Jeden Czena?

Kin Znak Osy wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nie było mnie, jak go zabijali Na głowę mojej matki, jestem niewinny.

Jednym zdecydowanym ruchem. Poon zerwał mu monetę z szyi.

- Wpakować go do samochodu! - polecił. - Tylko uważajcie. Zabierzemy go ze sobą. Tak... zabierzemy go. A reszta niech zasypie grób i zatrze ślady.

- Pozostałym dwóm swoim ludziom kazał zawinąć ciało Johna Czena w koc i iść za sobą. W ciemności wszystko wykonywali niezgrabnie. Pojechali wyboistą drogą w stronę Sza Tin Road. W pobliżu skrzyżowania, na przystanku autobusowym, zobaczyli walącą się budkę. Wyczekiwali momentu, gdy nie będzie

przejeżdżał

żaden

samochód.

Poon rozkazał odwinąć ciało Johna Czena i posadzić je w kącie budki. Potem wyjął napisaną przez Wilkołaków kartkę i starannie przyczepił ją do ciała.

- Dlaczego to robisz, Poon Ładna Pogoda, *heya?*

Dlaczego...

- Bo mi kazał Wu Cztery Palce, lepiej trzymaj swój parszywy język za...

Światła zbliżającego się samochodu sprawiły, że przestali się kłócić. Odwrócili się od drogi udając oczekujących na autobus pasażerów. Gdy auto przejechało, wzięli nogi za pas. Zbliżał się świt. Padał coraz mniejszy deszcz.

- Dzwonek telefonu wyrwał Armstronga z głębokiego snu. Na dworze panowała szarówka. Podniósł słuchawkę. Jego żona niespokojnie zamruczała i obudziła się.

- Mówi sierżant Tang-po. Przepraszam, że pana budzę, sir, ale znaleźliśmy Johna Czena. Wilkołaki...

Armstrong natychmiast otrząsnął się ze snu.

- Żywego?

- *Dew neh loh moh*, ale nie, sir. Ciało znaleziono na przystanku obok Sza Tin, ale przeklęte Wilkołaki zostawiły kartkę z napisem: „Syn Numer Jeden Czena był na tyle głupi, że chciał nam uciec. Wilkołakom nikt nie ucieknie. Niech się strzeże cały Hongkong. Nasze oczy są wszędzie”.



Armstrong z przerażeniem słuchał opowieści sierżanta. Pasażerowie porannego autobusu donieśli policji w Sza Tin, od razu poinformowano CID, a potem otoczono teren.

- Co mamy robić, sir?

- Natychmiast przyślijcie po mnie samochód.

Armstrong odłożył słuchawkę i przetarł zmęczone oczy. Założył sarong i popatrzył na swoje umięśnione ciało,

- Jakieś kłopoty? -zapytała ziewając i przeciągając się Mary. Miała czterdzieści lat, o dwa mniej niż on, brązowe włosy i przyjazny wyraz twarzy.

Opowiedział jej wszystko.

- Och! - Krew odpłynęła jej z twarzy. -To straszne.

Okropne. Biedny John!

- Zrobię herbaty - zaproponował Armstrong.

- Nie, nie, ja zrobię. - Wstała z łóżka: Była smukła i zgrabna. - Masz trochę czasu?

- Niewiele. Posłuchaj, deszcz... Co za cholerna pora! - W zamyśleniu wyszedł do łazienki. Szybko, jak potrafią tylko policjanci i lekarze, ogolił się i ubrał.

Przed dzwonkiem do drzwi zdążył wypić tylko dwa łyki gorącej słodkiej herbaty. - Później do ciebie zadzwonię. Może zjemy dziś curry. Moglibyśmy pójść razem do Singha.

— Dobrze - zgodziła się. - Jeśli zdążysz.

Mary Armstrong widziała, jak zamykają **się** za nim drzwi. Jutro nasza piętnasta rocznica ślubu pomyślała.

Ciekawę, czy pamięta. Raczej nie. Czternaście poprzednich on był na służbie... hm, wszystko będzie dobrze

Podeszła do okna i rozsunęła zasłony! W szarówce świtu strugi deszczu biły o szyby, lecz było chłodno i przyjemnie. Mieszkanie z dwiema sypialniami należało do rządu. Meble były służbowe - przysługiwały im ze względu na jego zawód.

Chryste, co za zawód!

Żona policjanta jest przegrana. Jej życie polega na oczekiwaniu na powrót męża, na oczekiwaniu, aż jakiś przestępca zrani go nożem albo zastrzeli. Większość nocy spędza samotnie, może zostać obudzona o każdej

porze

przez

cholerny

telefon

lub

powracającego męża. Praca ponad ludzkie siły i niedostateczne płace. Można też iść do klubu policjanta i wysiadywać razem z innymi żonami, wypijać za dużo drinków. One przynajmniej mają dzieci.

Ach, dzieci! Boże... Jak ja chciałabym mieć dzieci!

Większość żon zwierza się tylko ze zmęczenia i przepracowania. przy niesfornych dzieciach, Albo narzeka na *amah*, na szkoły, na drożyznę... na wszystko. Jaki ma sens to diabelne życie?

Cholerna strata czasu. Absolutna...

Zadzwonił telefon,

- Zamknij się! - krzyknęła w stronę brzęczącego aparatu. Roześmiała się, a potem spokojnie podniosła słuchawkę. - Halo!

- Mary? Mówi Brian Kwok. Przepraszam, że cię budzę, jest Robert?...

- O, cześć. Nie, nie ma go, właśnie wyszedł. Chodzi o Wilkołaki?

- Tak. Tak, właśnie się dowiedziałem. Pojechał do Sza Tin?

- Tak. Ty też jedziesz?

- Nie, Zostaję ze Starym.

- Biedaczysko. – Usłyszała jego śmiech. Gawędzili jeszcze chwilę.

Westchnęła i wlała sobie kolejną filiżankę kawy, dodała mleka, cukru i pomyślała o Johnie Czenie.

Dawno temu kochała się w nim na zabój. Spotykali się ze sobą ponad dwa lata. Był jej pierwszym mężczyzną.

Było to w japońskim obozie dla internowanych w wię-

zieniu Stanleya w południowej części wyspy.

W 1940 roku z wyróżnieniem zdała w Angli egzamin dla służby cywilnej i po kilku miesiącach

wysłano ją do Hongkongu. Przybyła tu latem 1941 roku, miała dziewiętnaście lat i po jakimś czasie internowano ją wraz z innymi europejskimi cywilami. Została do 1945

roku.

Wydostałam się z obozu, gdy miałam dwadzieścia dwa lata, a przez ostatnie dwadzieścia kilka miesięcy byliśmy kochankami. Ja i John. Biedak. Bez przerwy dokuczała mu chora matka, a w obozie nie mieli ani możliwości ucieczki, ani szansy na prywatność. Dokoła wegetowało pełno rodzin z dziećmi, czasami z niemowlakami, doskwierał im głód i nie odstępował smutek i przygnębienie. Miłość sprawiła, że przetrwanie w obozie stało się łatwiejsze...

Nie chcę już myśleć o tych strasznych czasach.

Ani o okresie poobozowym, gdy on ożenił się z dziewczyną wybraną mu przez ojca. Z taką, co miała pieniądze, wpływy w Hongkongu i układy rodzinne. Ja nie miałam. Powinnam była wracać do domu, ale nie chciałam, bo po co? Zostałam i pracowałam w biurze kolonialnym, wiodło mi się nieźle, nawet dość dobrze.

Wtedy poznałam Roberta.

Ach, Robert. Okazywałeś mi tyle czułości, świetnie się bawiliśmy, a ja byłam przykładną żoną. Nadal się zresztą staram. Ja jednak nie mogę mieć dzieci, a ty... a oboje chcielibyśmy je mieć. Kiedyś dowiedziałeś się o Johnie Czenie. Nigdy mnie o niego nie pytałeś, ale ja wiem, że od tamtej pory znienawidziłeś go z całego serca. Wszystko to działo się na długo, zanim cię poznałam, a ty wiedziałeś o obozie, ale nie o kochanku.

Przypomnij sobie, że przed ślubem zapytałam, czy chcesz, abym ci wyznała wszystko o mojej przeszłości.

Powiedziałeś: nie chcę, dziewczynko. Dawniej zawsze się tak do mnie zwracałeś. Teraz ci się to już w ogóle nie zdarza. Tylko czasami mówisz do mnie Mary.

Biedny Robert! Jakże cię muszę rozczarowywać!

Biedny John! Jakże ty mnie rozczarowałeś, najpierw odejściem, a potem śmiercią.

Ja też chciałabym umrzeć.

Popłakała się.

## 7:15

- Znosi się na dłuższy deszcz, Aleksiej - powiedział

Dunross. Nawierzchnia toru stała się lepka, mokra, dzień był pochmurny.

- To prawda, tai-pan. Jeśli popada choć trochę jutro, w sobotę gonitwa będzie do niczego.

- Jacques. Co o tym wszystkim sądzisz?

- Zgadzam się - odparł deVilie. - Dzięki Boże za deszcz, ale *merde*, jeśli miałyby się nie udać wyścigi.

Dunross pokiwał głową.

Ubrani w prochowce i kapelusze stali we trzech obok mety na torze w Szczęśliwej Dolinie. Dunross miał

lekko obtartą twarz i pojawiły się na niej nowe zmarszczki, jednak oczy powstały spokojne i do rozmowy wprowadzał jak zwykle wiele serdeczności i ciepła. Patrzył na pokrywające niebo chmury. Nadal padał deszcz, lecz już nie tak mocny jak w nocy. Inni trenerzy i właściciele koni byli równie zaniepokojeni.

Trenowało kilka koni, między innymi Noble Star, Korsarz dosiadany przez stajennego dżokeja oraz należący do Gornta Pilot Fish. Ze wszystkimi końmi obchodzono się z należytą uwagą i ostrożnością, tor i okolice były bardzo śliskie. Jedynie Pilot Fish uwielbiający deszcz czuł się jak ryba w wodzie.

- W porannej prognozie pogody mówili, że burza była ogromna. - Trawkin miał podkrążone ze zmęczenia oczy, patrzył na Dunrossa. - Jeśli do jutra deszcz usianie, w sobotę z powrotem będzie sucho.

*To z aszkodzi czy pomoże Noble Star?* - chciał

Wiedzieć deVille.

Wszystko w rękach Boga, Jacques. Nigdy nie biegała po mokrym. — Trawkinowi było się trudno skoncentrować. Poprzedniego wieczora zadzwonił do niego obcy z KGB, więc on od razu zapytał, dlaczego tamten zniknął tak nagle.

- Nie przysługuje ci przywilej zadawania pytań, książę. Opowiedz mi tylko wszystko, co wiesz na temat Dunrossa. Teraz. O jego zwyczajach, o krążących pogłoskach, po prostu wszystko.

Trawkin wypełnił polecenie. Wiedział, że jest na podsłuchu, że obcy z KGB wszystko nagrywa i informacje zostaną potem sprawdzone. Najdrobniejsze uchybienie prawdzie grozi śmiercią jego

żony, syna albo któregoś z wnucząt. Jeśli naprawdę istnieją.

Jak jest naprawdę? - zadawał sobie pytanie.

- Co się stało, Aleksiej?

- Nic, tai-pan - odpowiedział Trawkin, czuł się nieswojo. - Pomyślałem sobie o waszej wczorajszej ucieczce. - Wieść o pożarze w Aberdeen, a zwłaszcza relacja naocznego świadka, Venus Poon, rozniosła się lotem błyskawicy. - Straszne, prawda?

- Tak. - Słyszał, że spłonęło lub utopiło się piętna-

ście osób, w tym dwoje dzieci. - Minie kilka dni, zanim dowiemy się, ilu ludzi naprawdę zginęło.

- Okropieństwo - powiedział deVille. - Gdy się o tym dowiedziałem... Jakby Susanne me wyjechała, my leż byśmy uciekali. Ona... Czasami życie jest takie dziwne.

- Cholerny pożar! Jeszcze nigdy mi się nic takiego nie przydarzyło - westchnął Dunross. - Wiele razy tam jedliśmy. Muszę porozmawiać rano z gubernatorem o tych wszystkich pływających restauracjach.

- Ale tobie nic się nie stało? - upewnił się Trawkin.

- Nie, nie, nic. - Dunross uśmiechnął się. - Tyle że wszystko mnie swędzi od kąpieli w tym ścieku.

Gdy „Latający Smok” zaczął nagle tonąć, Dunross, Gornt i Marlowe znajdowali się w wodzie.

Policyjny megafon huczał od ostrzeżeń, a oni w desperacji machali nogami. Dunross dobrze pływał, ale Gornt znalazł się w zasięgu wsysającej wszystko wody.

Gdy Dunross rozejrzał się, zobaczył, że także Marlowe ma kłopoty. Poczekał chwilę, aż woda się uspokoi, i rzucił

się w jego stronę. Zacisnął palce na koszuli Petera i pociągnął go za sobą. Nagłe zakotłowanie wody niemal całkowicie ich pochłonęło, ale na szczęście udało im się wynurzyć. Głowy obydwu wystawały z wody. Marlowe wyrzeźbił podziękowania i zaczął się rozglądać za Fleur -

wisiała z innymi uwieszona na burcie łodzi. Dokoła panował chaos, ludzie rozpaczliwie łapali powietrze, tonęli, byli ratowani. Dunross zauważył, że Casey po kogoś skacze. Nigdzie nie było widać Gornta. Bartlett podholował Christiana Toxe'a do koła ratowniczego.

Upewnił się, że dziennikarz mocno się trzyma, i zawołał

do Dunrossa:

- Gornta chyba wciągnęło, widziałem też jakąś kobietę!

- Zanurkował.

Dunross rozejrzał się dokoła. „Latający Smok”

przewrócił się już prawie na bok. Poczł podwodną eksplozję. Woda się pod nim wzburzyła. Casey wypłynęła, aby zaczerpnąć powietrza, i znów zanurkowała.

Dunross zrobił to samo. Pod wodą prawie nic nie było widać. Pływał dokoła w poszukiwaniu ofiar jak długo mógł

wytrzymać, a potem ostrożnie, żeby o nikogo nie zahaczyć, wypłynął na powierzchnię. Toxe wisząc na kole ratunkowym krztusił się wodą. Dunross podpłynął do niego i zawołał jednego z marynarzy. Wiedział, że redaktor naczelny „Guardian” nie umie pływać.

- Trzymaj się, Christian... Już wszystko w porządku...

- Moja... Moja żona - Toxe z trudem wypowiadał

słowa. - Ona utonęła, tam, o tam...

Podpłynął jakiś marynarz.

- Ja się nim zajmę, sir. Nic panu nie jest?

- Nie... nie... on mówi, że wessało jego żonę.

Chryste, nikogo nie widziałem! Zawołałam po pomoc.

Odwrócił się i krzyknął w stronę policyjnej łodzi prosząc o wsparcie. W jednej chwili kilku mężczyzn skoczyło do wody i rozpoczęły się poszukiwania. Dunross rozglądał

się za Gorntem, ale nie widział go. Casey wróciła na łódź, żeby odsapnąć.

- Nic ci nie jest?

- Nie... Nie... Dzięki Bogu z tobą wszystko w porządku -

mówiła, ciężko oddychając. - Zdaje się, że widziałam, jak woda wciągała jakąś Chinę.

- A zauważyłaś Gornta?

- Nie... Może... - Ludzie wspinali się po drabince na łódź, inni tłoczyli się na pokładzie. Bartlett pojawił się na chwilę na powierzchni, a potem znów zniknął. Casey wzięła jeszcze jeden oddech i z powrotem zanurzyła się w wodzie. Dunross poszedł w jej ślady.

Szukali we trójkę, aż do momentu, gdy wszyscy bezpiecznie znaleźli się na łodziach i sampanach. Nie znaleźli kobiety.

Gdy Dunross wrócił do domu, Penelopa głęboko spała. Obudziła się w jednej chwili.

-

Ian, to ty?

Tak. Śpij, kochanie.

- Dobrze się bawiłeś? - zapytała, nie całkiem przytomna.

. - Tak, tak, śpij.

Kilka godzin temu, gdy wychodził z Wielkiego Domu, ona jeszcze nie wstała.

- Słyszałeś, Aleksiej, że Gorntowi się udało? - zapytał.

- Tak, tai-pan. Bóg tak chciał.

- Co masz na myśli?

- Po jego wczorajszych wyczynach na giełdzie ucziwie byłoby, gdyby mu się nie udało.

Dunross uśmiechnął się, żadnym grymasem nie dając po sobie poznać, jak bardzo dokuczał mu ból w kolanie.

- Ja czułbym się zawiedziony, bo byłbym pozbawiony przyjemności załatwienia Rothwel -Gornt.

- I tak dziwne, że nie zginęło więcej osób - odezwał

się po chwili deVille.

Patrzyli na popisującego się formą Pilot Fish.

DeVille ciągle zerkał na boki.

- Czy to prawda, że Bartlett uratował żonę Petera Marlowe'a? - zapytał Trawkin.

- Tak. Skoczył razem z nią. Linc i Casey byli wspaniali. Zrobili kawał dobrej roboty.

- Przepraszam, tai-pan. - DeVille uklonił się. - Widzę Jasona Plumma, a zdaje się, że jestem z nim umó-

wiony na wieczór na brydża.

- Do zobaczenia na modlitwach, Jacques. - Dunross z uśmiechem pożegnał się z deVille'em.

Westchnął, z zadumą i smutkiem popatrzył za odchodzącym przyjacielem. - Jadę do biura, Aleksiej.

Zadzwoń o szóstej.

- Tai-pan...

- Słucham?

Trawkin zawahał się.

- Chciałem

tylko... - powiedział zwyczajnie.

- Chciałem wyrazić swój podziw.

Nagła otwartość i emanująca z Trawkina dziwna melancholia wprawiły Dunrossa w zakłopotanie.

- Dziękuję. - Poklepał trenera po plecach. Nigdy nie zdobywał się wobec niego na takie przyjacielskie gesty. - Też jesteś w porządku.

Trawkin patrzył w napięciu, jak Dunross odchodzi.

Serce waliło mu szalonym, nierównym rytmem. Łzy wstydu mieszały się z kroplami deszczu. Otarł twarz dłonią i patrząc na Noble Star próbował się skoncentrować.

Kątem oka zauważył kogoś i odwrócił się. W rogu widowni stał człowiek z KGB z jakimś mężczyzną. Ten drugi był stary, a wszyscy w Hongkongu znali go jako emerytowanego marynarza. Trawkin poszukał w pamięci i przypomniał sobie jego nazwisko - Clinker.

Zgadza się. Clinker.

Chwilę ich obserwował. Dołączył do nich Jason Plumm, który pokiwał ręką do Jacquesa deVille'a, a potem wyszedł mu na spotkanie. Wtedy właśnie człowiek z KGB spojrział w jego kierunku. Trawkin powoli, aby nie wykonywać gwałtownych ruchów,

odwrócił się. Agent KGB przyłożył do oczu lornetkę, a trener nie wiedział, czy został zauważony, Czy nie.

Skóra ścierpła mu na myśl, że mógł być obserwowany przez silną lornetkę podczas rozmowy z Dunrossem.

Bogu dzięki, że nie zdobył się na wyjawienie mu prawdy, ponieważ tamten może potrafić czytać z ruchu warg.

Serce zabiło mu jeszcze mocniej i poczuł falę mdło-

ści. Na wschodzie niebo przeszyła błyskawica. Deszcz padał na beton i odkrytą część widowni. Trawkin pró-



bował się uspokoić. Zmieszany i zdezorientowany, rozglądał się wokoło. Bardzo chciał się dowiedzieć, kim jest człowiek z KGB. Mimochodem zauważył, że Pilot Fish w dobrej formie kończy trening. Richard Kwang był całkowicie pochłonięty rozmową z grupą nie znanych Trawkinowi Chińczyków. Linbar Struan i Andrew Gavallan przechadzali się z Amerykaninem Rosemontem i innymi ludźmi z konsulatu, których znał

z widzenia. Nie przejmując się deszczem oglądali konie. W pobliżu przebieralni, pod dachem, Donald McBride rozmawiał z pozostałymi zarządzającymi, między innymi Sir Szi-tehem T' Czungiem, Pugmire'em i Rogerem Crosse'em: Widział, jak McBride spojrział

na Dunrossa i przywołał go ruchem ręki. W pobliżu rozmawiających gospodarzy klubu Brian Kwok czekał

na Crosse'a. Trawkin znał obydwu, choć nie wiedział, że są z SI.

Odruchowo ruszył w ich stronę. W ustach czuł coraz większy niesmak. Zdusił w sobie chęć podejścia do nich i wyjawienia prawdy. Zamiast tego, zawołał szefa *ma-foo*.

- Wyślij nasze konie do stajni. Wszystkie. I upewnij się, że są suche, zanim dostaną jeść.

- Tak jest.

Przygnębiony Trawkin skręcił w stronę przebieralni.

Kątem oka zauważył, że obserwuje go człowiek z KGB. Deszcz spłynął mu po plecach i zmieszał się z kroplami potu, który oblał go ze strachu.

- O, Ian, myśleliśmy właśnie o tym, że jeśli nie przestanie padać do jutra, lepiej będzie odwołać wyścigi.

Powiedzmy, że podejmiemy decyzję jutro o osiemnastej -

zapropozował McBride. - Zgadzasz się?

- Nie. Na razie nie. Proponuję wstrzymać się z ostateczną decyzją do soboty rano.

- Czy to trochę nie za późno, staruszkule? - zapytał

Pugmire.

- Nie, jeśli zarządzający poinformują radio i telewizję.

To wywoła odpowiednie napięcie. Szczególnie jeśli już dzisiaj zapowie się ogłoszenie decyzji w sobotę.

-

Świetny pomysł - podchwycił Crosse.

- A więc ustalone - powiedział Dunross. - Czy to wszystko?

- Wiesz, chodzi jeszcze o zakłady - przypomniał

McBride. - Nie chcielibyśmy ich popsuć.

- Całkiem słusznie, Donald. Ostateczną decyzję podejmiemy w sobotę o dziesiątej. - Nie było sprzeciwów.

- Dobrze, jeśli to koniec, to muszę uciekać. Za pół

godziny mam spotkanie.

- Tai-pan - odezwał się zmieszany i zażenowany Szitii.

- Bardzo mi przykro z powodu wczorajszego wieczoru...

Naprawdę.

- Rozumiem, Szitii. Jeszcze dzisiaj na spotkaniu z gubernatorem wspomnę o wprowadzeniu nowych, surowszych przepisów przeciwpożarowych w Aberdeen.

- Słusznie - podchwycił Crosse. - To cud, że nie zginęło więcej ludzi.

- Chcesz pozamykać wszystkie restauracje, staruszk?

- Pugmire był zbulwersowany. Jego kompania miała udziały w dwóch takich restauracjach.

- To bardzo zaszkodzi przemysłowi turystycznemu. Nie da się od razu stworzyć nowych wyjść ewakuacyjnych...

Trzeba zacząć powoli.

Dunross spojrział na Sziti .

- A może zaproponować gubernatorowi, żeby wszystkie kuchnie natychmiast przenieść na barki cumowane obok statków matek? On ze swej strony, dopóki ta operacja nie zostanie przeprowadzona, mógłby polecić przeniesienie bazy wozów strażackich bliżej zatoki. To obniżyłoby koszty, było łatwe do przeprowadzenia, a niebezpieczeństwo pożarów zostałoby zażegnane raz na zawsze.

Wszyscy patrzyli na niego z podziwem. Szi-teh uklonił

się.

- Ian, jesteś geniuszem!

- Nie. Szkoda tylko, że wcześniej o tym nie pomyśleliśmy. Nigdy mi to nie przyszło do głowy. Szkoda Stero... i żony Christiana, prawda? Znalezione już jej ciało?

- Chyba nie.

- Bóg jeden wie, ilu jeszcze ludzi zginęło. A parlamentarzyści się wydostali, Pug?

- Tak,

staruszkę. Z wyjątkiem Sir Charles'a Pennywortha. Biedak podczas skoku zawadził głową o sampan.

Dunross bardzo się przejął.

- A tak mi się spodobał! Co za cholerny *dżos!*

- Było jeszcze kilku innych. Taki jeden radykalny łajdak.

Jak on się nazywał? Grey, o właśnie, Grey. I ten drugi, cholerny socjalista, Broadhurst. Obydwaj zachowali się lepiej, niż można by sądzić.

- Słyszałem, Pug, że ten twój Superfoods też się uratował. Pan „Mów mi Chuck” był pierwszy na lądzie?

Pugmire wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Ale słyszałem, że Casey i Bartlett świetnie się spisali. Może powinni dostać medal?

- Dlaczego nie wysuniesz takiej propozycji? - rzucił

Dunross spiesząc się do odejścia. - Jeśli to już wszystko...

-

Ian - rzekł ze śmiertelnie poważną miną Crosse.

- Na twoim miejscu strzeliłbym sobie jednego. W tej zatoce są takie robaki, o których się biologom nie śniło.

Wszyscy roześmiali się.

- Już się o to zatroszczyłem. Jak tylko wyszliśmy z wody, zabrałem Bartletta i Casey do doktora Tooleya.

-

Uśmiechnął się. - Gdy mu powiedzieliśmy, że pływaliśmy w zatoce Aberdeen, prawie dostał zawału.

Powiedział: „Wypijcie to”, a my jak grzeczne dzieci łyknęliśmy miksturę i zanim się

zorientowaliśmy, o co chodzi, zaczęliśmy prawie wymiotować żołądkami.

Gdyby zostało mi choć trochę siły, dałbym mu po łbie, ale wszyscy mieliśmy nogi i ręce jak z waty. Potem Casey zaczęła się śmiać, a po chwili wszyscy tarzaliśmy się ze śmiechu po podłodze. Następnie stary konował wpuszczał nam do gardła przez rurki jakieś tabletki. I wtedy Bartlett wpadł na doskonały pomysł: „Na miłość boską, doktorze, a może lepiej zaaplikować czopek i zrobić w nim dziurę?”

- Czy to prawda, że Casey była w samych majtkach i wyglądała jak gwiazda olimpijska? - zapytał Pugmire.

- Nawet lepiej! - powiedział Dunross w uniesieniu. -

Jak Wenus z Milo! Chyba to była najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem!

- O! - wytrzeszczyli oczy.

- Tak, tak.

- Boże, ale żeby pływać w Aberdeen! W tym szam-bie! -jęknął McBride marszcząc brwi. - Będzie cud, jeśli wszyscy przeżyjecie!

- Doktor Tooley przepowiadał, że grozi nam co najwyżej biegunka albo jakaś zaraza. Co tam, dzisiaj tu, jutro tam. Coś jeszcze?

- Tai-pan - zaczął Szi-teh - mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, żebym powołał fundację pomocy rodzinom ofiar.

- Świetna myśl! Klub jeździecki też powinien się przyłączyć. Donald, zapytaj dzisiaj innych zarządzających o zgodę. Może zaczniecie od jakichś stu tysięcy?

- Czy to nie za mało? - zapytał Pugmire.

- No to sto pięćdziesiąt tysięcy - powiedział

Dunross. - Noble House dołoży tyle samo. - Pugmire poczerwieniał. Nikt się nie odezwał. - Zebranie skoń-

zione? Świetnie. Miłego dnia. - Dunross grzecznie uchylił kapelusza i odszedł.

- Przepraszam jeszcze na chwilę! - Crosse kiwnął na Briana Kwoka, żeby za nim poszedł. - Ian!

- Tak, Roger?

Crosse podszedł do lana i powiedział cicho:

- Ian, dostaliśmy raport, że Sinderson zarezerwował  
sobie lot w BOAC na jutro. Prosto z lotniska idziemy do banku.

- Gubernator też?

- Poproszę go. Powinniśmy tam być koło szóstej.

- Jeśli samolot się nie spóźni. - Dunross uśmiechnął  
się.

- Dostałeś już formalne zwolnienie „Wschodniej Chmury”?

- Tak, dziękuję. Wczoraj odebrałem teleks z Delhi.

Poleciałem, żeby natychmiast odesłali statek. Brian, pamiętasz, jak się chciałeś założyć o Casey? O  
jej piersi, stawiałaś bodaj pięćdziesiąt dolarów, że są najpiękniejsze w Hongkongu?

Brian poczerwieniał, świadomy spojrzenia Crosse'a.

- Eee, tak, a co?

- Nie wiem, czy są najpiękniejsze, ale nawet w Pary-  
żu miałbyś problem ze znalezieniem równie kształtnych i ponętnych.

- A więc to prawda, że była nagusieńka?

- Jak Lady Godiva. - Dunross uklonił się uprzejmie i odszedł. - Do jutra - powiedział na koniec.

Patrzyli za nim. Przy wyjściu czekał na niego agent SI.

- On coś knuje - zawyrokował Crosse.

- Zgadza się, sir.

Crosse powoli przeniósł wzrok z Dunrossa na Briana Kwoka.

- Często robisz zakłady o damskie piersi?

- Nie, sir.

- To dobrze. Na szczęście kobiety nie są jedynym źródłem piękna, prawda?

- Tak jest, sir.

- Są jeszcze psy gończe. Obrazy, muzyka, nawet zabijanie. Co?

- Tak jest, sir.

- Poczekaj

chwilkę. - Podeszedł do reszty

zarządzających.

Brian Kwok westchnął. Był znudzony i zmęczony.

Wezwana do Aberdeen ekipa nurków prawie od razu stwierdziła, że Dunrossowi nie grozi niebezpieczeństwo, więc zajął się organizacją poszukiwań ciała. Było to paskudne zadanie. Gdy już miał iść do domu, zadzwonił

Crosse, żeby stawił się o świcie w Szczęśliwej Dolinie, a więc nie miał szansy na położenie się do łóżka. Poszedł w zamian do restauracji „Para”, aby postraszyć trochę triady i Ko Jedna Stopa.

Teraz patrzył za znikającym w oddali Dunrossem. Co on tam nosi w sercu? - zadał sobie pytanie. Trochę mu zazdrościł i zastanawiał się, co by zrobił, gdyby miał tyle władzy i pieniędzy.

Zobaczył, że Dunross skręca, ponieważ zauważył

stojącą u boku Martina Haply'ego Adryon. Obydwoje wpatrywali się z przejęciem w konie nie widząc Dunrossa.

*Dew neh loh moh*, pomyślał zaskoczony. Dziwne, że są razem. Chryste, co za piękność! Dzięki Bogu, nie jestem jej ojcem, bo inaczej bym zwariował.

Crosse i pozostali także zauważyli Adryon i Martina Haply'ego.

- Co ten łajdak robi z córką tai-pana! - zdziwił się Pugmire.

- Na pewno nic dobrego - rzucił ktoś.

- Ten koleś przynosi same kłopoty! - bąknął Pugmire, a inni przytaknęli. - Nie rozumiem, po co Toxe go trzyma.

- Bo to cholerny socjalista, dlatego! Jego też się powinno zwolnić.

- Daj spokój, Pug. Toxe to porządny gość. Chociaż trochę socjalizuje - zastrzegł Szi-teh. - Ale powinien wyrzucić Haply'ego. Wszyscy by na tym zyskali!

Każdy z nich był przedmiotem ataku Haply'ego. Kilka tygodni wcześniej napisał serię artykułów o niektórych interesach Szi-teha i wykazywał, że wiele ważnych osobistości czerpie materialne korzyści z przyznawania koncesji.

-

Zgadzam się - syknął Pugmire z nienawiścią.

Haply doniósł o prywatnych szczegółach fuzji z Superfoods i wysnuł wniosek, że Pugmire bardziej dbał o swój zysk niż o interes akcjonariuszy. - Parszywy łajdak! Chciałbym wiedzieć, skąd on czerpie informacje.

- Nic dziwnego, że Haply przyszedł z nią - zauważył

Crosse patrząc na ich wargi w oczekiwaniu, aż przemó-

wią. - Jedyne większe kompanie, na którą nie najeżdżał, to Struanowie...

- Myślisz, że przyszła kolej na Noble House, a Haply wysysa wiadomości z Adryon? - zapytał jeden z rozmówców. - Powinien za to oberwać!

W napięciu obserwowali Dunrossa zbliżającego się do nadal nie widzących go dwojga młodych.

- Może wleje mu tak jak tamtemu - powiedział leniwie Pugmire.

- Komu? - zapytał Szi-teh. - Opowiedz!

- Myślałem, że wiecie. Jakies dwa lata temu prosto z Angli przyjechał do Victori młodszy urzędnik i zaczął się zalecać do Adryon. Ona miała wtedy szesnaście... może siedemnaście lat, a on dwadzieścia dwa. Był wielki jak szafa, większy od lana, nazywał się Byron. Wydawało mu się, że jest Lordem Byronem. Zawrócił biednej dziewczynie w głowie, Ian ostrzegł go, a ponieważ to nie skutkowało, zaprosił go kiedyś na swoją salę gimnastyczną w Shek-O. Założyli rękawice, wiedział że chłopak fascynuje się boksem... i Ian dał mu taki wycisk!... - Wszyscy parsknęli śmiechem. - Bank odesłał go do domu w przeciągu tygodnia.

- Widziałeś to? - zapytał Szi-teh.

- Oczywiście, że nie. Oni byli tam sami, na miłość boską. Ale tamten głupek miał nie po kolei w głowie. Ja nie stawałbym nigdy twarzą w twarz do pojedynku z tai-panem. Zwłaszcza wzięwszy pod uwagę jego temperament.

Szi-teh spojrział z powrotem na Dunrossa.

- Może to samo zrobi z tym gnojkiem - rzekł

rozradowany.

Z nadzieją obserwowali rozwój wydarzeń, Crosse podszedł bliżej Briana -Kwoka.

Dunross wbiegł po schodach i stanął przed młodymi.

- Cześć, kochanie, wcześniej wstałaś.

- O, cześć, tato. - Adryon była zaskoczona. - Nie zauwa... Co się stało z twoją twarzą?

- Przewróciłem się w autobusie. Witaj, Haply. Dzień dobry. Haply uniósł się lekko, a potem usiadł z powrotem.

- W autobusie? - Ożywiła się. - Jaguar się zepsuł?

Wlepili ci mandat? - zapytała z nadzieją, bo sama dostała już w tym roku trzy.

- Nie. Wcześniej wstałaś, prawda? - powtórzył

siadając obok niej.

- Właściwie... to jesteśmy spóźnieni. Nie kładliśmy się całą noc.

- O! - Natychmiast powstrzymał cisnącą mu się na usta masę pytań i bąknął: - Musisz być zmęczona.

- Nie. Właściwie nie.

- A jaka to była okazja?

- Żadna. - Delikatnie położyła dłoń na ramieniu Haply'ego. Dunross zwrócił się do Kanadyjczyka.

- O co chodzi?

Haply zawahał się, a potem opowiedział, co się stało, w redakcji, gdy wydawca zadzwonił do Christiana Toxe'a i naczelny wycofał jego artykuły o plotkach.

- Ten łajdak nas sprzedał. Pozwolił, żeby wydawca nas cenzorował. Wiem, że mam rację. Wiem to.

- Skąd? - zapytał Dunross. Ale z ciebie twarda sztuka!

- Przykro mi, ale nie mogę zdradzać swoich źródeł.

- Tato, on naprawdę nie może. To nienaruszalne prawo wolności prasy - wstawiła się za nim Adryon.

Haply zacisnął dłonie w pięści, a potem odruchowo położył rękę na kolanie Adryon. Dziewczyna przykryła ją swoją ręką.

- Ho-Pak leci na twarz zupełnie bez powodu.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Ale Gor... Ale stoi za tym jakiś tai-pan.

- Gornt? - Dunross strapił się tą myślą.



- Ja nie powiedziałem, że Gornt. Ja tego nie powiedziałem.

- Tato, on nie powiedział. Co Martin ma teraz zrobić?

Złożyć rezygnację czy powściągnąć dumę i...

- Nie mogę, Adryon - zaprotestował Martin Haply.

-

Niech ci tata powie. On będzie wiedział.

Dunross zobaczył, jak obraca na niego swe cudowne oczy i poczuł emanującą z niej - silniejszą niż zwykle

- niewinność.

- Dwie rzeczy: Po pierwsze, natychmiast wróć do redakcji. Christian bardzo potrzebuje teraz pomocy. Po drugie...

- Pomocy?

- Nie słyszeliście o jego żonie?

- A co mieliśmy słyszeć?

-

Że nie żyje.

Patrzyli na niego z przerażeniem. Opowiedział im pokrótce o Aberdeen. Obydwoje byli zaszokowani.

- Jezu - ocknął się Haply - Jezu, nie słuchaliśmy radia ani nic... Tańczyliśmy tylko i rozmawialiśmy...

- Zerwał się na równe nogi i już chciał biec, ale zawrócił.

- Chyba... Jezu, chyba powinienem iść od razu.

Adryon także wstała.

- Podrzucę cię.

- Haply - przypomniał sobie Dunross. - Poproś Christiana, żeby tłustą czcionką wydrukował, że wszyscy ci, którzy pływali w Aberdeen, powinni pilnie udać się do lekarza.

- Dobrze!

- Tato, a ty byłeś u doktora, Tooleya... - zapytała z niepokojem Adryon.

- O tak! Dał mi na przeczyszczenie! Idźcie już.

- A jaka jest ta druga rzecz, tai-pan?

- Aha, powinieneś pamiętać, że wydawca wykląda pieniądze, więc to jego gazeta i może z nią robić, co mu się podoba. Ale z wydawcą można dyskutować. Ciekawe na przykład, kto wywierał presję na niego czy na nią, żeby zadzwonić do Christana... Skoro jesteś tego taki pewien, to twoje artykuły są prawdziwe.

Haply uklonił się lekko.

- Chodź, kochanie - rzekł miękko i podziękował

Dunrossowi. Odeszli trzymając się za ręce.

Dunross siedział jeszcze chwilę na swoim miejscu.

Westchnął głęboko i ruszył do wyjścia.

Roger Crosse i Brian Kwok stali pod dachem obok szatni dla dżokejów. Crosse czytał z ust kwestie wypowiedane przez tai-pana, a potem obserwował jego odej-

ście pod obstawą funkcjonariusza SI.

- Nie ma co tracić czasu, Brian. Chodźmy. - Ruszył

do wyjścia. - Ciekawe, czy Robert znalazł coś w Sza-tin.

- Te cholerne Wilkołaki dzisiaj triumfują. Cały Hongkong śmiertelnie się boi. Założę się... - Nagle Brian Kwok przerwał. - Sir, proszę popatrzeć! - Skinął

w stronę widowni, gdzie stał Suslew, Clinker i inni.

- Nigdy bym nie pomyślał, że tak szybko się wyśpi.

Oczy Crosse'a zwęziły się.

- Tak. To dziwne. - Zawahał się, a potem zmienił

kierunek marszu i uważnie obserwował wargi rozmawiających.

-

Skoro zaszczyił nas swoją

obecnością, możemy pogawędzić. O, chyba nas zauważyli. Clinker nas naprawdę nie lubi. - Wolnym

krokiem podeszli do widowni.

Wielki Rosjanin uśmiechnął się szeroko, wyciągnął

butelkę i napił się. Poczęstował Clinkera.

- Nie, dzięki koleś, ja piję tylko piwo. - Clinker zimnymi, przenikliwymi oczami obserwował zbliżających się policjantów. - Coś tu zaczyna śmierdzieć, nie?

- Dzień dobry, Clinker - jowialnie zawołał Crosse.

Uśmiechnął się do Suslewa. - Dzień dobry, kapitanie.

Paskudny dzień, nieprawdaż?

- Towarzyszu, przecież żyjemy, więc, jak dzień może być paskudny? - Suslew przybrał maskę dobrotliwego kumpla. - Odbędą się w sobotę wyścigi, nadinspektorze?

. - Chyba tak. Ostateczna decyzja zapadnie w sobotę rano. Jak długo zostajecie w porcie?

- Niezbyt długo, nadinspektorze. Ale naprawy steru idą wolno.

Mam nadzieję, że w miarę szybko. Denerwujemy się, gdy nasi goście nie są sprawnie obsługiwani. - Crosse zaczął mówić cierpkim głosem. - Porozmawiam z dyrektorem przystani.

- Ach, dziękuję... to bardzo miło z pana strony.

Uprzejmie też ze strony pana departamentu... - Suslew zawahał się, a potem zwrócił się do Clinkera:

- Mógłbym cię przeprosić, przyjacielu?

- Jasne, gliny i tak mnie wkurzają. - Brian Kwok spojrzał

na niego uważniej. Clinker odważnie nie spuszczał

wzroku. - Poczekam w samochodzie. - Odszedł.

- Uprzejmie ze strony pańskiego departamentu -

podjął Suslew twardym głosem - że odesłaliście nam ciało biednego towarzysza Worańskiego. Znaleźliście już morderców?

- Niestety nie. To mogli być płatni zabójcy wynajęci w każdej stronie świata. Oczywiście, gdyby przemknął się na ląd nie zauważony, nadal przynosiłby pożytek... W

którym służył departamencie?

- On był tylko marynarzem i dobrym człowiekiem. A wydawało mi się, że Hongkong jest taki bezpieczny!

- Zajął się pan już fotografiami morderców i telefonem do zwierzchników z KGB?

- Mnie KGB nie interesuje. Po prostu olewam KGB.

Tak, informacja ta dotarła do moich zwierzchników -

powiedział z irytacją Suslew. - Wie pan, jak to jest, nadinspektorze. Ale Worański był dobrym człowiekiem i jego zabójcy muszą zostać złapani.

- Wkrótce ich odnajdziemy. Wiedział pan, że Worański tak naprawdę nazywał się Jurij Bakjan i był majorem KGB

w

pierwszym

dyrektoriacie,

Szóstym

Departamencie?

Zobaczył szok na twarzy Suslewa.

- On... Dla mnie on był zwykłym przyjacielem.

Czasami z nami pływał.

- Kto to wszystko zorganizował, kapitanie? Suslew spojrział na wpatrzonego weń Briana Kwoka.

- Po co te nerwy? Czyja coś panu zrobiłem?

- Dlaczego imperium rosyjskie jest takie zaborcze?

Zwłaszcza jeśli chodzi o Chiny?

- Ach, polityka! Ja się do polityki nie mieszam.

- Wasi koleś miesza się cały czas. Jaki jest pana stopień w KGB?

- Nie mam żadnego stopnia.

- Odrobina

współpracy

może w przyszłości

zaprocenować - zasugerował Crosse. - Kto zbierał

pańską załogę, kapitanie?

Suslew popatrzył uważniej.

- Mogę prosić o słówko na osobności?

- Oczywiście - powiedział Crosse. - Brian, zaczekaj tutaj.

Suslew odwrócił się plecami do Briana Kwoka i odszedł, Crosse podążył za nim.

- Jak pan ocenia szanse Noble Star? - zapytał

Suslew.

- Może być niezła, ale jeszcze nigdy nie biegała po mokrym.

- A Pilot Fish?

- Proszę tylko spojrzeć, od razu widać. Uwielbia wilgoć. Jest faworytem. Planuje pan przyjść tu w najbliższą sobotę?

Suslew przechylił się przez poręcz i uśmiechnął się.

- Czemu nie?

- Rzeczywiście. - Crosse lekko się zaśmiał. - Czemu nie? - Teraz już miał pewność, że są sami. - Naprawdę świetny z was aktor, Gregor, naprawdę.

- Z was też, towarzyszu.

- Cholerne ryzyko, no nie? - zapytał Crosse prawie nie poruszając wargami.

- Tak, całe życie jest ryzykiem. Centrum rozkazało mi zająć miejsce Worańskiego. Podczas tej wyprawy ma być nawiązanych wiele kontaktów i podjętych wiele decyzji. Nie tylko w sprawie Sevrin. W każdym razie jak wiecie, tak chce Arthur.

- Czasami zastanawiam się, czy jest rozsądny.

- O tak, z całą pewnością. - Suslew rozpogodził się.

- Bardzo rozsądny. Miło mi was widzieć. Centrum jest bardzo zadowolone z waszej działalności. Mam wam wiele do powiedzenia.

- Co za łajdak doniósł Medfordowi o Sevrin?

- Nie wiem. Jakiś zdrajca. Jak się tylko dowiem, już po nim.

- Ktoś też zdradził moich ludzi w ChRL. Przeciek pochodził z teczki Alana Medforda. Wy czytaliście moją kopię. Kto z waszego statku miał jeszcze do niej dostęp? Ktoś musi prowadzić rozpoznanie waszej działalności.

Suslew zbladł.

- Natychmiast trzeba przedsięwziąć środki ostrożności. Informacje pochodzą z Londynu albo Waszyngtonu.

- Wątpię. Nie tym razem. Myślę, że pochodzą stąd. I dlatego tak się stało z Worańskim.

- Jeśli ChRL... Tak, to możliwe. Ale kto? Założę się o głowę, że na statku nie ma szpiega.

- Zawsze można kogoś przeciągnąć na swoją stronę.

- Macie plan ucieczki?

- Kilka.

- Mnie polecono pomoc w każdym wypadku. Chcecie koję na „Iwanowie”?

Crosse zawahał się.

- Najpierw poczekam, żeby przeczytać dokumenty Alana Medforda. Byłoby szkoda, żeby po tak długim czasie...

- Słusznie.

- Wam łatwo się zgadzać. Jeśli zostaniecie złapani, deportują was i grzecznie poproszą, żebyście nie wracali. A ja? Nie chciałbym wpaść żywcem w ich ręce.

(

- Oczywiście. - Suslew zapalił papierosa. - Nie złapią was, Roger. Jesteście za sprytni. Macie jeszcze coś do mnie?

-

Spójrzcie tam na tego wysokiego mężczyznę.

Suslew najbardziej niewinnym gestem podniósł do oczu lornetkę. Minęło trochę czasu, zanim skierował ją na wskazanego człowieka.

- To Stanley Rosemont z CIA. Śledzą was.

- Tak, wiem. Jak będę chciał, mogę ich zgubić.

- Ten obok niego to Ed Langan z FBI. A ten z brodą to Mishauer z Amerykańskiego Wywiadu Mor  
skiego.

- Mishauer? Brzmi swojsko. Macie jego akta?

- Jeszcze nie, ale w konsulacie jest jeden homosek-sualista, który ma romans z synem pewnego  
prominentnego Chińczyka. Jak przyjdziecie następnym razem, będzie zaszczycony spełnić każde  
wasze życzenie.

- Dobrze. - Suslew jeszcze raz spojrzął na Rosemonta i pozostałych, aby zapamiętać ich twarze. - Co  
on robi?

- Jest dowódcą oddziału. W CIA od piętnastu lat, przedtem w OSS. Prowadzą tu dużo ciemnych  
spraw, a

„bezpieczne domy” mają wszędzie. Wysłałem list na mikrofilmie do trzydziestki dwójki.

- Dobrze. Centrum chce wzmocnić obserwację wszystkich posunięć CIA.

- Nie ma sprawy. Oni są beztroscy, ale mają duże fundusze. I cały czas rosną.

- Wietnam?

-

Oczywiście, że tak.

Suslew zachichotał.

- Te durnie nie zdają sobie sprawy, że ich tam wessie. Nadal im się wydaje, że w dżungli można bić  
się tak jak w Korei czy podczas drugiej wojny.

- To nie durnie - zaproponował Crosse. - Rosemont jest naprawdę bardzo dobry. A przy okazji, oni  
wiedzą o bazie w Iman...

Suslew zaklął i jakby od niechcienia zasłonił sobie usta, żeby nie można było nic z nich wyczytać.

- ...o Iman i prawie wszystko o Pietropawłowsku, o nowej bazie w Korsakowie na Sachalinie...

Suslew znów zaklął.

- Skąd to wiedzą?

- Od zdrajców. - Crosse uśmiechnął się.

- Dlaczego jesteście podwójnym agentem, Roger?

- Dlaczego pytacie o to za każdym razem, gdy się spotykamy?

Suslew westchnął. Miał specjalne polecenie nie wypróbować Crosse'a i pomagać mu w razie potrzeby.

Mimo że był koordynatorem działalności wywiadowczej KGB na Dalekim Wschodzie, dopiero w zeszłym roku ujawniono mu tajemnicę tożsamości Crosse'a. W KGB

akta Crosse'a były sklasyfikowane jako najtajniejsze, podobnie jak Philby'ego. Nawet jednak Philby nie wiedział, że Crosse od siedmiu lat pracuje dla KGB.

- Pytam z ciekawości.

- A nie macie rozkazu być ciekawym, towarzyszu?

Suslew zaśmiał się.

- Nikt z nas nie wypełnia rozkazów zawsze, prawda?

Centrum było tak zadowolone z waszego ostatniego raportu, że kazano mi powiedzieć, że na wasze konto w Szwajcarii wpłynęło pięćdziesiąt tysięcy dolarów premii.

- To dobrze. Dziękuję. Ale to nie premia, tylko zapłata za cenne informacje.

- Co SI wie o delegacji parlamentarnej?

Crosse opowiedział mu to samo co gubernatorowi.

- Skąd to pytanie?

- Rutynowe sprawdzanie. Trzej spośród nich są .

potencjalnie bardzo podatni na wpływy: Guthrie, Grey i Broadhurst. - Suslew poczęstował Crosse'a papierosem. - Skaptowaliśmy Greya i Broadhursta do naszej Światowej Rady Pokoju. Ich antychińskie nastawienie nam pomogło. Roger, moglibyście śledzić tego Guthriego? Może ma jakieś przyzwyczajenia? Może gdyby mu pokazać zdjęcie z dziewczynką z Wanczai, poszedłby na kompromis i mógłby przynieść kiedyś jakiś pożytek. Crosse pokiwał głową.

- Zobaczę, co się da zrobić.

- Moglibyście złapać mordercę Worańskiego?

- Być może. Musiał być kilka razy zauważony.

Wstyd dla nas wszystkich.

- Oni byli z Kuomintang? A może od Mao?

- Nie wiem. - Crosse uśmiechnął się szyderczo.



- Rosja nie jest w Chinach zbyt popularna.

- Chińscy przywódcy zdradzili komunizm. Musimy pozbyć się ich, zanim staną się silni.

— To obecny kierunek polityki?

-

Od czasów Dżyngis-chana. - Suslew zaśmiał się.

-

Teraz jednak... teraz musimy być cierpliwi. —

Zerknął za siebie na Briana Kwoka. - Dlaczego nie zwolnicie tego *materjebca*? Nie podoba mi się.

- Brian Kwok jest bardzo dobry. A potrzeba mi dobrych ludzi. Poinformujcie Centrum, że jutro przylatuje z Londynu Sindera z MI-6, aby odebrać teczkę Alana Medforda. I MI-6, i CIA podejrzewają, że Medford został

zamordowany, to prawda?

- Nie wiem. W każdym razie powinien zginąć już dawno. W jaki sposób zdobędziecie te dokumenty?

- Nie wiem. Jestem pewien, że Sinders da mi do przeczytania, zanim odjedzie.

- A jeśli nie?

Crosse wzruszył ramionami.

- Zajrzymy do nich w inny sposób.

- Przez Dunrossa?

- Tylko w ostateczności. Jest zbyt cenny na swoim miejscu i tam bym go chciał widzieć. Co z Trawkinem?

- Wasze informacje były nieocenione. Wszystko sprawdziliśmy. - Suslew opowiedział o spotkaniu. - Teraz będzie jadł nam z ręki. Zrobi, czego zażądamy. Bez wyjątku. Jeśli zajdzie potrzeba, nawet zabije Dunrossa.

- To dobrze. Ile z tego, co mu powiedzieliście, było prawdą?

Suslew wydał usta.

- Niewiele.

- Jego żona żyje?

- Tak, towarzyszu, żyje.

- Ale nie mieszka w swojej daczce?

- Teraz już mieszka.

- A przedtem?

Suslew wzruszył ramionami.

- Mówiłem mu tylko to, co mi kazano. Crosse zapalił

papierosa.

- Co wiecie o Iranie?

Suslew spiorunował go wzrokiem.

- Całkiem dużo. To jeden z naszych ważniejszych celów, a obecnie przeprowadzamy tam dużą operację.

Granica radziecko-irańska jest obstawiona amerykańskimi dziewięćdziesięcioszekundowymi pociskami. Suslew wytrzeszczył oczy.

-

Co takiego?

Crosse opowiedział, co usłyszał od Rosemonta na temat Suchego Szturmu, a gdy doszedł do rozmieszczanej przez Amerykanów broni nuklearnej, Suslew zbladł jak ściana.

- Matko Boska! Ci przekłeci Amerykanie któregoś dnia popełnią błąd i wszyscy wylecimy w powietrze. Tylko durnie mogą igrać z taką bronią!

- Dorównujecie im?

- Oczywiście, że nie. Jeszcze nie - mówił poirytowany Suslew. - Nasza strategia nie przewiduje ataku na Amerykę, dopóki ich się całkowicie nie pozbawi sojuszników i nie będzie wątpliwości co do ostatecznego zwycięstwa. W tej chwili atak bezpośredni byłby samobójstwem. Natychmiast zamelduję o tym Centrum.

- Dodajcie jeszcze, że poważnie myślą o Suchym .

Szturmie. Skłońcie Centrum do wycofania wojsk i załagodzenia wszystkiego. Zróbcie to natychmiast, bo będą kłopoty. Nie prowokujcie Amerykanów, to za kilka dni się wycofają.

- Naprawdę umieścili tam dziewięćdziesięcioszekundowe pociski? To niemożliwe!

- Powinniście raczej stworzyć bardziej mobilną armię z większą liczbą samolotów i broni.

Suslew chrząknął.

— Zaangażowaliśmy w to energię i umiejętności trzystu milionów Rosjan, towarzyszu. Za dwadzieścia lat...

Jeszcze tylko dwadzieścia lat.

- Co wtedy?

- W latach osiemdziesiątych całkowicie zapanujemy nad światem.

- Ja już dawno będę w grobie.

- Nieprawda. Będziecie zarządzać tą prowincją albo krajem... którym tylko zechcecie. Może Anglią?

- E... nie... tam jest straszna pogoda. Z wyjątkiem kilku dni w roku, kiedy Anglia zamienia się w najpiękniejsze miejsce na świecie.

- Powinniście zobaczyć mój dom w Gruzji pod Tbilisi. - Suslew rozmarzył się. - To prawdziwy raj.

Podczas rozmowy Crosse rozglądał się. Wiedział, że nikt ich nie podsłuchuje. Brian Kwok siedział daleko i prawie zasypiał. Rosemont i inni przyglądali się ukradkiem. Jacques deVil e rozmawiał z Jasonem Plummem.

- Rozmawiałeś już z Jasonem?

- Oczywiście. Na widowni.

- Co mówił na temat deVil e'a?

- On także wątpi, aby Jacques został tai-panem. Po spotkaniu z nim jestem tego samego zdania. Jest za słaby. Zmiękł. Często się to zdarza głęboko zakon-spirowanym agentom, którzy nic nie robią, tylko czekają.

To naprawdę najcięższa praca.

- Zgadzam się.

- Jacques to dobry facet, ale boję się, że nie wykona swojego zadania.

- Jakie macie co do niego plany?

- Jeszcze nic nie postanowiłem.

- Może zamienić go ze szpiega wewnętrznego w szpiega z przeznaczeniem?

Tylko jeśli wy albo ktoś inny z Sevrin zostanie zdekonspirowany. - Dla wszystkich ewentualnych obserwatorów podniósł butelkę do ust, a potem poczęstował Crosse'a, który odmówił. Obydwaj wiedzieli, że w środku znajduje się woda. Suslew zniżył głos: - Mam pomysł. Zwiększamy właśnie wpływy w Kanadzie.

Francuski Ruch Separatystyczny to dla nas szansa. Jeśli Quebec oderwie się od Kanady, w Ameryce Północnej zupełnie zmieni się układ sił. Pomyślałem sobie, że byłoby idealnie, gdyby Jacques zajął się interesami Struanów w Kanadzie. Co?

- Bardzo dobrze! - Crosse uśmiechnął się. - Ja też lubię Jacques'a. Szkoda byłoby go tracić. Tak, bardzo sprytny plan.

To jeszcze nie wszystko, Robert. On ma przyjaciół z czasów wojny wśród wysoko postawionych francuskich Kanadyjczyków. Wszyscy są jawnymi separatystami o lewicowych skłonnościach. Kilku z nich stanie się ważnymi politykami w Kanadzie.

- Chcesz, żeby się zdekonspirował?

- Nie. Powinien zdobyć sobie zaufanie w kręgu separatystów nie zdradzając się. Jako szef dużego oddziału Struanów i mając przyjaciela w polityku na stanowisku ministra spraw zagranicznych albo premiera...

ech!

- Czy to możliwe?

-

Oczywiście.

Crosse gwizdnął.

- Jeśli Kanada oderwie się od Stanów, to będzie już coś.

-Tak.

- Kiedyś, dawno temu - podjął po chwili przerwy Crosse - poproszono chińskiego mędrca, aby pobłogos-

ławił nowo narodzonego chłopca. Słowa mędrca brzmiały tak: „Módlmy się, aby żył w ciekawych czasach”.

No, Gregor Pietrewicz Suslew czy po prawdzie .

Pietr Oleg Mzytryk, my z pewnością żyjemy w ciekawych czasach. Prawda?

Suslew był zdruzgotany.

- Skąd znacie moje nazwisko?

- Od waszych zwierzchników. - Crosse popatrzył nagle bezlitosnym wzrokiem. - Wy znacie mnie, ja znam was. To uczciwe, no nie?

- Tak... Tak, oczywiście... - Zmusił się do uśmiechu. -

Od dawna nie słyszałem tego nazwiska. Już prawie o nim zapomniałem. - Spojrzał w oczy Crosse'a starając się nad sobą panować. - Co się stało? Dlaczego tak się zdenerwowaliście?

- Przez Medforda. Chyba powinniśmy skończyć już dzisiejsze spotkanie. Udajemy, że ja chcę, abyście przeszli na naszą stronę, a wy odmawiacie. Spotkajmy się jutro o siódmej. - Siedem to kod mieszkania znajdującego się obok Ginny Fu w Mong Kok. - A później o jedenastej.

- Lepiej o dziesiątej.

Crosse ostrożnie skinął w stronę Rosemonta i pozostałych.

-

W porządku, jutro...

- Nie. Chcę teraz. - Rysy twarzy Crosse'a stwardniały.

- Coś specjalnego. Jeśli nie będę mógł zajrzeć do dokumentów Medforda, muszę mieć argumenty przetargowe.

- Nikomu, ale to nikomu nie wolno wam wyjawić źródła.

- W porządku.

- Nigdy?

- Nigdy.

Suslew zastanowił się chwilę, rozważając różne możliwości.

- Dziś w nocy jeden z naszych agentów przekaże nam bardzo ważne, ściśle tajne materiały z amerykańskiego lotniskowca. Może być?

Twarz Anglika pojaśniała.

- Doskonale! Po to tu przybyliście?

- To jeden z powodów.

- Kiedy i gdzie?

Suslew powiedział mu.

- Ale chcę wszystkie kopie - dodał.

- Oczywiście, dostaniecie. Bez trudu. Rosemont będzie moim dłużnikiem. Ile czasu ten agent dla was pracuje?

- Od dwóch lat. W każdym razie wtedy został

„nawrócony”.

- Przekazuje wam ważne informacje?

- Jak dotychczas same cenne rzeczy.

- Ile dostaje?

- Za dzisiejsze? Dwa tysiące. Nie jest drogi. Podobnie jak wszyscy nasi ludzie. Z wyjątkiem was.

Crosse zrobił kwaśną minę.

- No, ale ja jestem najlepszy w Azji i wiele razy dowiodłem swoich kwalifikacji. Do tej pory pracowałem właściwie z zamiłowania.

Wy nas kosztujecie najwięcej. Wszystkie plany wojskowe NATO, szyfry i inne informacje dostajemy za osiem tysięcy dolarów.

- Ci amatorzy psują nam interesy. Bo to tylko biznes, no nie?

- Nie dla nas.

- Bzdury. Ludzie z KGB są wynagradzani lepiej niż dobrze. Dacze, domy, specjalne stoiska w sklepach.

Kochanki. I muszę wam powiedzieć, że wasza firma z roku na rok coraz gorzej płaci. Za informację o Suchym Szturmie i sprawę Alana Medforda spodziewam się podwyżki.

- Musisz porozmawiać z moimi zwierzchnikami. Ja nie jestem władny rozporządzać pieniędzmi.

-

Kłamstwo!

Suslew roześmiał się.

- Miło i bezpiecznie pertraktuje się z profesjonalistami. -

Podniósł butelkę i opróżnił ją do końca.

- Złość się nadal - polecił nagle Crosse. - Czuję na sobie czyjś wzrok.

Suslew natychmiast zaczął kląć po rosyjsku, potem pogroził policjantowi pięścią i odszedł. Crosse patrzył

za nim.

Na Sza Tin Road Robert Armstrong spoglądał z góry na ciało Johna Czena, a ubrani w prochowce policjanci z powrotem zawijali koc i na oczach gapiów nieśli trupa do czekającej karetki. Specjaliści od odcisków palców przetrząsali teren w poszukiwaniu jakichś śladów.

Deszcz padał trochę mocniej, a wszędzie było pełno błota.

- Wszystko rozmyte, sir - powiedział smutno sierżant Lee. - Są ślady stóp, ale to niewiele.

Armstrong skinął głową i otarł twarz chusteczką. Za wzniesioną dokoła przystanku barierką zebrało się dużo widzów. Przejeżdżające obok samochody zwalniały, czasami zatrzymywały się i przeraźliwie trąbiły.

- Zbierzcie ludzi i przeszukajcie teren w promieniu stu jardów. Popytajcie wieśniaków, może któryś coś widział.

Zostawił sierżanta Lee i poszedł do samochodu.

Wsiadł, zamknął drzwi i sięgnął po krótkofalówkę.

Mówi Armstrong z Aberdeen. Połączcie mnie z inspektorem

Donaldem

Smythem

ze

wschodniej

Aberdeen. - Czekał, czuł się okropnie.

Młody kierowca siedział cały czas w samochodzie i był zupełnie suchy.

-

Przyjemny deszczyk, prawda?

Armstrong spojrzał na niego surowo. Młodzieniec zbladł.

- Palisz?

- Tak jest, sir. - Wyciągnął pudełko i poczęstował

Armstronga. Ten wziął do ręki całą paczkę.

- Może przyłączysz się do nich? Takich młodych potrzeba do pomocy. Może natrafisz na jakiś ślad.

- Tak jest.

Młodzieniec wyszedł na deszcz.

Armstrong ostrożnie wyjął papierosa. Przyglądał mu się z zadumą. W jednej chwili schował go i odłożył paczkę.

- Pieprzyć wszystkie papierosy, pieprzyć deszcz, pieprzyć przemądrzałych gówniarzy, a najbardziej pieprzyć Wilkołaki.

Nagle z głośnika dobiegł go głos.

-

Tu inspektor Donald Smyth.

- Dzień dobry. Jestem w Sza Tin - zaczął Armstrong, a potem opowiedział, co się stało i jak znaleziono ciało. -

Przeszukujemy teren, ale pada deszcz i niewiele się spodziewamy znaleźć. Jak gazety wywęszą, że mamy ciało, siedzimy po uszy w błocie. Chyba powinniśmy od razu zgarnąć tę starą *amah*. Jest naszym jedynym tro-pem. Wasi ludzie mają ją nadal na oku?

- O tak!

- To dobrze. Poczekaj na mnie, a potem zadziałamy.

Chcę przeszukać jej mieszkanie. Trzymaj ekipę w pogotowiu.

- Kiedy przyjedziesz?

- Mogą minąć ze dwie godziny, zanim się tam dostanę. Tu panuje cholerny ruch.

- Tutaj też. Jak w całej Aberdeen. Deszcz, tysiące gapiów przychodzą oglądać wrak statku, poza tym tłumy przed Ho-Pak, przed Victorią, przed wszystkimi bankami. Słyszałem, że co najmniej pięćset osób zebrało się przed oddziałem Victori w śródmieściu.

- Chryste! Ja tam mam całe życiowe oszczędności!

- Już ci wczoraj mówiłem, żebyś je wycofał. - Armstrong usłyszał śmiech Węża. - A propos, jeśli masz trochę wolnej gotówki, postaw na krótką sprzedaż Struanów.



Słyszałem, że Noble House ma splajtować.

8:29

Klaudia podniosła z biurka Dunrossa plik notatek, listów i odpowiedzi do wysłania i zaczęła je przeglądać.

Padał deszcz, chmury wisiały nisko, ale spadek temperatury po wielu tygodniach upału dawał dużo przyjemności. Zabytkowy zegar wskazywał 8:30.

Zadzwonił jeden z telefonów. Spojrzała na aparat, ale nie podnosiła słuchawki. Dzwonił i dzwonił, aż wreszcie przestał. Sandra Ji, sekretarka Dunrossa, przysłała z nowymi listami i przesyłkami.

- Na wierzchu leży projekt umowy z Par-Con, Starsza Siostró. Tu lista dzisiejszych spotkań. Przynajmniej tych, o których mi wiadomo. Dziesięć minut temu dzwonił

inspektor Kwok. - Spłonila się pod spojrzeniem Klaudii.

Miała na sobie obcisły *czong-sam* z modnym wysokim kołnierzykiem. - Do tai-pana, nie do mnie, Starsza Siostró. Prosił, aby tai-pan się odezwał.

- Ale mam nadzieję, że przynajmniej porozmawiałaś ze Szlachetnym Młodym Ogierem, Młodsza Siostró, i że wzdychałaś omdlewająco - odparła po kantońsku Klaudia, a potem sortując przesyłki bezwiednie przeszła na angielski. - Pomimo wszystko powinien zostać włączony do rodziny, zanim zostanie schwytyany przez inny klan.

- O tak! Zapaliłam pięć świeczek w różnych świąty-niach.

Mam nadzieję, że nie w godzinach pracy.

- Oczywiście, że nie. - Obydwie roześmiały się. -

Jutro mamy randkę. Idziemy na kolację.

- Wspaniale! Bądź powściągliwa, ubierz się konwencjonalnie, ale bez stanika, jak Orlanda.

- O, a więc to prawda! Naprawdę myślisz, że powinnam? - Sandra Ji była zelektryzowana.

- Dla Briana, tak! - Klaudia zachichotała. - On ma do tego nosa.

- Mój wróżbita mówił, że ten rok będzie dla mnie szczęśliwy. Straszne z tym pożarem, nie?

- Tak. - Klaudia spojrzała na listę spotkań. Za kilka minut Linbar, o ósmej czterdzieści pięć Sir Luis Basilio. -

Jak przyjdzie Sir Luis...

- On już czeka w moim biurze. Wie, że jest za wcześnie. Dałam mu kawy i poranne gazety. - Na twarzy Sandry odmalowało się napięcie. - Co się stanie o dziesiątej?

- Otwierają giełdę - przypomniała Klaudia i podała kartkę. - Załatw to. Odwołaj spotkania rad nadzorczych i lunch, a ja się zajmę...

Obydwie podniosły wzrok, gdy do środka wszedł

Dunross.

- Dzień dobry - powiedział z grobową miną.

- Cieszymy się, że nic ci się nie stało, tai-pan - powiedziała słodko Sandra Ji.

- Dziękuję.

Sandra wyszła. Spojrzał, jak kręci biodrami, a potem popatrzył na Klaudię. Twarz mu trochę pojaśniała.

-

Nie ma to jak piękny kociak, no nie?

Klaudia roześmiała się.

- Dwa razy dzwonił twój prywatny telefon. – Zawsze odbierał go osobiście, a numer znała tylko rodzina i niewielka garstka znajomych.

Dziękuję. Odwołaj wszystkie spotkania aż do południa. Z

wyjątkiem Linbara, Sir Luisa i banku. Upewnij się, że Penn i Kathy mają wszystko załatwione. Na lotnisko odwiezie je Gaval an. Na początek zadzwoń do Zaciśniętej Pięści. Potem do Lando Maty i poproś o spotkanie dzisiaj, najlepiej o dziesiątej dwadzieścia na kawie. Widziałaś notatkę o Sterowcu?

- Tak. Straszne. Wszystkim się zajmę. Dzwoniła sekretarka gubernatora, będziesz na popołudniowym spotkaniu?

- Tak. - Klaudia wyszła, a on podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

- Penn? Chciałaś ze mną rozmawiać?

- O, Ian, tak, ale nie dzwoniłam, jeśli ci o to chodzi.

- Myślałem, że ty dzwoniłaś na prywatny numer.

- Nie, ale cieszę się, że cię słyszę. Z porannych wiadomości dowiedziałam się o pożarze. Nie byłam

pewna, czy na pewno wróciłeś, czy mi się tylko śniło.

Martwiłam się. Ah Tak mówiła, że wychodziłeś wcześ-

nie, ale nie wierzę tej starej *hag*, ona czasem zmyśla.

Tak mi przykro. Strasznie było?

- Nie. W sumie nie tak źle. - Opowiedział w skrócie.

Gdy upewnił się, że u niej też wszystko w porządku, chciał odłożyć słuchawkę. - Przyjadę ci pomachać na lotnisko. - Zabrzęczał interkom. - Poczekaj chwilkę, Penn... Tak, Klaudio?

- Na drugiej linii inspektor Kwok. Mówi, że to bardzo ważne.

- W porządku. Penn, muszę kończyć. Przyjadę na lotnisko. Pa, kochanie... Coś jeszcze, Klaudio?

- Samolot Billa Fostera z Sydney spóźnia się kolejną godzinę. Havergill i Johnjohn mają się z tobą spotkać o wpół do dziesiątej. Dzwoniłam, żeby to potwierdzić. Słyszałam, że siedzą w banku od szóstej rano.

Niepokój Dunrossa wzrósł. Próbował porozmawiać z Havergillem od wczoraj od piętnastej, lecz tamten był

nieuchwytny, a w nocy nie było czasu.

- To niedobrze. Przed wejściami zbierały się tłumy już o wpół do ósmej.

-

Victoria nie upadnie, prawda?

Słyszał w jej głosie obawę.

-Jeśli tak, to już po nas. - Przełączył na drugą linię.

- Cześć, Brian, o co chodzi? - Brian opowiedział mu o Johnie Czenie.

- Jezu Chryste, biedny John! Myślałem, że po za-płaceniu okupu... Co za łajdaki! Nie żył od kilku dni?

- Tak. Przynajmniej od trzech.

- Co za draństwo! Mówiłeś już Phillipowi albo Dianne?

- Nie, jeszcze nie. Chciałem, żebyś ty się pierwszy dowiedział.

- Mam do nich zadzwonić? Phillip jest w domu.

Mówiłem mu po zapłaceniu okupu, że nie musi przychodzić na ósmą na spotkanie. Zaraz do niego zatelefonuję.

- Tak, tak... dzięki. Posłuchaj, na siódmą muszę być u gubernatora, ale będę miał czas o wpół do jedenastej. Możemy się umówić na drinka albo późną przekąskę?

- Tak. Świetny pomysł. Może w „Quance Bar” w „Mandarynie”?

- Za piętnaście jedenasta?

- Dobra. A przy okazji, twoja *tai-tai* przejdzie prosto przez urząd imigracyjny. Przykro mi, że przynoszę złe wieści. Cześć.

Dunross odłożył słuchawkę, wstał i popatrzył w ok-no. Zabrzęczał interkom, ale go nie usłyszał.

-

Biedak - mruknął. - Cholerna szkoda.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła Klaudia. -

- Przepraszam, tai-pan, ale na drugiej linii czeka Lando Mata.

Dunross usiadł na brzegu biurka.

- Cześć Lando, możemy się spotkać o dziesiątej dwadzieścia?

- Tak. Słyszałem o Sterowcu. Okropieństwo. Cholerny pożar. Sam ledwie uszedłem z życiem. Taki *dżos*.

- Kontaktowałeś się z Zaciśniętą Pięścią?

- Tak. Przyływa następnym promem.

- Dobrze. Lando, będę potrzebował dzisiaj twojego wsparcia.

- Ian, już o tym wczoraj rozmawialiśmy. Myślałem...

- Ale ja chcę, żebyś mnie wsparł dzisiaj - powiedział

twardszym głosem Dunross.

Nastąpiła długa przerwa.

- Porozmawiam z Zaciśniętą Pięścią.

- Ja też. A na razie chciałbym wiedzieć, czy mnie poprzesz.

- Zastanowiłeś się nad naszą ofertą?

-

Lando, mam twoje wsparcie czy nie?

Kolejna przerwa.

- Powiem ci... - oświadczył nerwowo Mata. - Powiem ci, jak się spotkamy. Przykro mi, Ian, ale naprawdę muszę porozmawiać z Zaciśniętą Pięścią. Do zobaczenia na kawie. Cześć.

Połączenie zostało przerwane. Dunross delikatnie odłożył słuchawkę.

- *Dew neh loh moh* na ciebie, Lando, stary druhu.

Pomyślał chwilę i wykręcił numer.

- Proszę z panem Bartlettem.

- Nie ma odpowiedzi. Chce pan zostawić wiadomość?

- Nie, proszę mnie połączyć z panną Tcholok.

- Proszę?

- Casey... Panna Casey.

Zadzwonił telefon i po chwili Casey odezwała się zaspanym głosem.

- Halo?

- Przepraszam, zadzwonię później.

- O, Ian? Nie... Nic nie szkodzi. Już dawno powinnam wstać... - Usłyszał jej ziewanie. - ...Jezu, jaka jestem zmęczona. O tym pożarze to mi się nie śniło, nie?

- Nie, Ciranoush. Chciałem się tylko upewnić, czy nic wam nie jest. Jak samopoczucie?

- Dziwne. Chyba muszę rozprostować mięśnie... To na pewno od śmiechu i tego wymiotowania. Tobie nic nie jest?

- Nie. Na razie nic. Nie macie gorączki ani nic takiego? Doktor Tooley mówił, że tego można się spodziewać.

- Chyba nie. Z Linkiem jeszcze się nie widziałam.

Rozmawiałeś z nim?

- Nie. Nie odpowiada. Posłuchaj, chciałem was zaprosić o szóstej na koktajl.

- Z przyjemnością. - Kolejne ziewnięcie. - Cieszę się, że nic ci się nie stało.

-

Zadzwonię jeszcze później, żeby...

Znów zabrzączał interkom.

- Tai-pan, na drugiej linii gubernator. Powiedziałam, że będziesz na spotkaniu.

- Dobrze. Ciranoush, koktajl o szóstej albo późna kolacja. Jeszcze się umówimy.

- Jasne. Dzięki, że zadzwoniłeś.

- Nie ma za co. Cześć. - Dunross przełączył na drugą linię. - Dzień dobry, sir.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, Ian, ale muszę porozmawiać z tobą o tym potwornym pożarze -

powiedział Sir Geoffrey. - To cud, że nie zginęło więcej ludzi, minister dostał szału z powodu Sir Charles'a Pennywortha.

Wpadł

w

furię,

że

przepisy

bezpieczeństwa pozwoliły na to. Gabinet został

poinformowany, że możemy się spodziewać jak najgorszych konsekwencji.

Dunross przedstawił mu koncepcję z kuchniami w Aberdeen udając, że wymyślił ją Szi-teh T' Czung.

- Wspaniale. Szitii ma głowę. Od tego zaczniemy.

A na razie, Grey, Brodhurst i inni dzwonią z protestami na nasze przepisy. Moja sekretarka mówiła, że Grey był cały roztrzęsiony. - Sir Geoffrey westchnął.

- Prawdopodobnie słusznie. W każdym razie ten dżentelmen rozdmucha sprawę jak tylko się da.

Słyszałem, że zwołał razem z Broadhurstem na jutro konferencję prasową. Teraz, po śmierci Pennywortha, starszym członkiem stał się Brodhurst i Bóg jeden wie, do czego dojdzie, gdy ci dwaj będą mieli głos w sprawie Chin.

- Może trzeba poprosić ministra, aby ich uciszył?

- Już prosiłem, ale powiedział tak: „Dobry Boże, uciszać członka parlamentu? To gorsze niż próba pod-

łożenia ognia pod sam parlament". Wszystko już wy-próbowane. Pomyślałem sobie, że ty mógłbyś ostudzić gniew pana Greya. Posadzę cię wieczorem obok niego.

- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł. Ten człowiek to fanatyk.

- Całkowicie się z tobą zgadzam, ale naprawdę chciałbym, żebyś spróbował. Tylko tobie mogę zaufać.

Quillan mógłby mu przyłożyć. Już dzwonił z oficjalną odmową i to wyłącznie z powodu Greya.

Może zaprosił byś go w sobotę na wyścigi?

Dunrossowi

przypomniały

się słowa Petera

Marlowe'a:

- Czemu nie zaprosisz Greya i innych do swojej loży? Ja zajmę się nim przez jakiś czas.

Dzięki Bogu, w sobotę nie będzie Penn, pomyślał.

- Dobrze. Dalej: Roger prosił mnie, żebyśmy spotkali się w banku jutro o szóstej.

Dunross nie zareagował.

- Ian?

- Tak?

- O szóstej. Sinderson już dojedzie.

- Zna pan go osobiście, sir?

- Tak, a co?



-  
Chciałem się tylko upewnić.

Dunross czuł, że napięcie rośnie.

. - Dobrze. O szóstej. Dalej: Słyszałeś o Johnie Czenie?

-

Tak, sir. Kilka minut temu. Paskudny pech.

- Zgadzam się. Biedaczysko! To zamieszanie z Wilkołakami nie mogło wypaść w gorszym czasie.

Z pewnością ich przypadek posłuży przeciwnikom Hongkongu jako *cause celebre*. Jak nie tragedie, to nieprzyjemności.

Przynajmniej

żyjemy

w

interesujących czasach. Nic, tylko problemy.

- Tak, sir. Czy Victoria ma problemy? - Dunross zadał to pytanie niby mimochodem, ale uważnie czekał na odpowiedź, tymczasem Sir Geoffrey wahał

się.

- Dobry Boże, nie! - powiedział wreszcie. - Co za zdumiewający pomysł, mój drogi. No, dziękuję ci, Ian.

Reszta może zaczekać do spotkania po południu.

Tak, sir. - Dunross odłożył słuchawkę i roztarł dłonie.

To wahanie było niezwykle wymowne. Jeśli ktokolwiek wie, jak źle się sprawy mają, to na pewno Sir Geoffrey.

Struga deszczu uderzyła w okna. Tyle do zrobienia.

Przesunął wzrok na zegar. Najpierw Linbar. Potem Sir Luis. Wiedział już, czego chce od szefa komitetu za-rządzającego giełdą papierów wartościowych. Wspomniał o tym na porannym zebraniu rady. Wszystkim -

Jacques'owi, Gavallanowi, Linbarowi - wydawało się, że Victoria poprze Struanów do końca.

- A jeśli nie? - zapytał ich.

- Mamy umowę z Par-Con. Poza tym to niemożliwe, żeby Victoria nie pomogła.

- A jeśli?

- Może po ostatniej nocy Gornt przestanie sprzedawać?

- Nie. Co my zrobimy?

- Jeśli nie uda nam się go powstrzymać albo odłożyć płatności dla Tody i Orlin, wpadniemy w tarapaty.

Płatności odsunąć się nie da, pomyślał jeszcze raz.

Bez banku, Maty albo Zaciśniętej Pięści, czy nawet kontraktu z Par-Con, nie powstrzymamy Quillana. On wie, że ma cały czwartek i cały piątek na sprzedaż, a ja nie mogę kupić...

- Pan Linbar, tai-pan.

- Niech wejdzie. - Spojrzał na zegar. Młody mąż-

czynna wszedł i zamknął za sobą drzwi. - Spóźniłeś się prawie dwie minuty.

- Tak? Przepraszam.

- Ciebie już chyba nic nie nauczy punktualności.

A bez niej nie da się prowadzić sześćdziesięciu trzech kompanii. Jeśli to się jeszcze raz zdarzy, stracisz roczną premię.

Linbar poczerwieniał.

- Przepraszam.

- Chciałbym, żebyś przejął od Billa Fostera wszystkie operacje w Australii.

Linbar Struan natychmiast poweselał.

- Tak, oczywiście. Z przyjemnością. Od jakiegoś czasu chciałem już działać samodzielnie.

- Świetnie. Polecisz liniami Qantas jutro o...

- Jutro? Niemożliwe! - wybuchnął Linbar. Cała radość prysła w jednej chwili. - Kilka tygodni zajmie mi...

- Zdaję sobie z tego sprawę - Dunross mówił łagodnym, lecz stanowczym głosem, aż Linbar zbladł. - Chcę jednak, żebyś poleciał tam jutro. Zostań dwa tygodnie, a potem wrócisz i o wszystkim mi

opowiesz. Rozumiesz?

- Tak, pojmuję. Ale... Ale co z sobotą? Co z wyścigami? Chciałbym zobaczyć Noble Star w akcji.

Dunross wpatrywał się w niego zimno.

- Chcę, żebyś jechał do Australii. Jutro. Foster traci nasze Woolara Properties. Bez Woolara nie możemy wyczarterować naszych statków. A bez wyczarterowania statków nie mamy kredytów w banku. Masz dwa tygodnie, aby to naprawić, a potem wrócisz i o wszystkim mi doniesiesz.

- A jeśli nie? - zapytał poirytowany Linbar.

- Szkoda czasu, na litość boską! Sam doskonale znasz odpowiedź. Jeśli nie wykonasz zadania, tracisz miejsce w radzie. A jeśli nie polecisz jutro, żegnasz się ze Struanami, dopóki ja jestem tai-panem.

Linbar Struan chciał coś powiedzieć, ale zmienił zamiar.

- No dobrze - ugiął się Dunross. - Jeśli załatwisz sprawę Woolara, twoja pensja zostanie podwojona.

Linbar tylko patrzył na Dunrossa.

- Jeszcze coś?

- Nie. Miłego dnia, Linbar.

Linbar skinął głową i odszedł. Gdy zamknął za sobą drzwi, Dunross uśmiechnął się pod nosem.

- Co za pyszałek! - mruknął z dezaprobatą, wstał

i znów podszedł do okna. Popływałby sobie szybką motorówką albo pojeździł samochodem, z nadmierną szybkością pokonując zakręty, rozpędzając się tak, aby całkowicie zająć tym myśli. Patrzył na krople deszczu, smutno mu było z powodu Johna Czena.

Krople na szybie spływały na dół jedna za drugą.

Spoza zasłony z deszczu niemalże nic nie było widać. Do realnego świata przywrócił go terkot prywatnego telefonu.

- Tak, Penn? -

- Pan Dunross? - zapytał obcy głos.

- Owszem, a kto mówi? - zdumiał się. Nie rozpoznawał

ani głosu, ani akcentu.

- Nazywam się Kirk, Jamie Kirk, panie Dunross.

Jestem... eee... przyjacielem pana Granta, Alana Medforda Granta... - Dunross niemal wypuścił słuchawkę z ręki. - Halo, panie Dunross.

- Tak, proszę mówić. - Dunross wysiłkiem woli zapanował nad głosem. Alan Medford był jednym z tych, którzy znali prywatny numer i wiedział, że użyć go można tylko w nadzwyczajnym wypadku. - Czym mogę panu służyć?

- Jestem z... eee, Londynu. Obecnie mieszkam w Szkocji. Alan mówił, żebym zadzwonił, jak tylko znajdę się w Hongkongu. Dał mi... ee... pana numer. Mam nadzieję, że panu nie przeszkadzam.

- Ani trochę, panie Kirk.

- Alan dał mi dla pana przesyłkę. Chciał też, żebym z panem pomówił. Ja, ee... razem z żoną jestem w Hongkongu przez trzy dni i zastanawiam się, czy nie mogliby-

śmy się spotkać.

- Oczywiście, że tak. Gdzie się pan zatrzymał? - zapytał

spokojnie, chociaż serce tłukło mu się jak oszalałe.

- W „Dziwięciu Smokach” w Koulunie. Pokój czterysta pięćdziesiąt pięć.

- Kiedy po raz ostatni widział pana Alana Medforda, panie Kirk?

- Jak wyjeżdżaliśmy z Londynu. Teraz to już będzie...

eee... dwa tygodnie. Tak, co do dnia. Byliśmy eee... w Singapurze... eee... i Indonezji. A co?

- Będzie panu odpowiadało po lunchu? Przykro mi, ale do dwadzieścia po trzeciej jestem zajęty. Wtedy moglibyśmy się spotkać.

- Dobrze niech będzie o trzeciej dwadzieścia. - Zgodził

się Kirk.

- Wyślę po pana samochód.

- O, nie ma... eee... potrzeby. Sami trafimy do pana biura.

- To żaden kłopot. Samochód zjawi się o wpół do trzeciej.

Dunross w zamyśleniu odłożył słuchawkę.

Zegar wybił 8:45. Rozległo się pukanie. Klaudia otworzyła drzwi.

- Tai-pan, Sir Luis Basilio.

- ...Nic mnie nie obchodzi, co sobie myślą palanty z Londynu, mówię, że zaczyna się u nas szturm i wszystko wskazuje na to, że to śmierdząca sprawa!... - krzyczał do telefonu

w

banku

Victoria

Johnjohn.

-

...Co?

Mówże, człowieku! Do kitu to połączenie... Co?... A co mnie to obchodzi, że jest wpół do drugiej nad ranem?

Gdzieś był do tej pory? Dzwoniłem cztery godziny... Co?

Czyje urodziny? Chryste panie... - Zmarszczył brwi chcąc powstrzymać swój gniew. - Posłuchaj, natychmiast idź do City, do Mint i powiedz im... Halo?...

Powiedz im, że ta cholerna wyspa może zostać bez pieniędzy i... Halo?... Na rany Chrystusa! - Zaczął nerwowo szarpać widełki, a potem rzucił słuchawką.

Klął chwilę, a następnie nacisnął klawisz interkomu.

- Panno Mil s, przerwało mi, proszę mnie połączyć jeszcze raz.

-

Dobrze - powiedziała służbiście po angielsku.

- Przyszedł pan Dunross.

Johnjohn spojrział na zegarek i zbladł. Była 9:33.

-

O, Boże! Proszę się wstrzymać z telefonem. Ja...

- W pośpiechu ruszył do drzwi, poprawił krawat i zdobył

się na odrobinę nonszalancji. - Ian, mój drogi, wybacz, że kazałem ci czekać. Jak leci?

- Dziękuję, dobrze. A tobie?

- Wyśmienicie.

Wyśmienicie? To ciekawe Na dworze czeka chyba pięciuset niecierpliwych klientów, a do otwarcia pozostało jeszcze pół godziny. Kilku ludzi ustawiło się nawet przed Blacs.

- Więcej niż kilku... - Jednak w odpowiedniej chwili Johnjohn ugryzł się w język. - Nie ma powodów do obaw, Ian. Napijesz się kawy czy idziemy prosto do Paula?

- Do Paula.

- Dobrze. - Johnjohn poprowadził go wyłożonym dywanem korytarzem. - Nie, nie ma żadnych problemów. Kilku przesądnych Chińczyków panikuje.

Wiesz, jak to jest, plotki i te rzeczy. Ten pożar to okropność, nie? Słyszałem, że Casey naga skakała do wody na pomoc. Byłeś rano na torze? Mocno pada, nie?

Dunross zaczął się niepokoić.

- Tak. Słyszałem, że kolejki ustawiają się prawie przed każdym bankiem w koloni. Z wyjątkiem Banku Chińskiego.

Johnjohn zaśmiał się nerwowo.

- Nasi komunistyczni koledzy nie pozwoliliby na szturm.

Od razu posłaliby po wojsko.

- A więc jest szturm?

- Na Ho-Pak tak. A na nas? Nie. W każdym razie nigdzie nie mamy takich braków jak Richard Kwang.

Zdaje się, że naprawdę udzielił kilku nierozsądnych pożyczek. Obawiam się, że Czing Prosperity też nie wygląda najlepiej. Niemniej Uśmiechnięty Czing poradzi sobie, prowadzi wiele zyskownych interesów.

- Narkotyki?

- Tego nie powiedziałem, Ian. Oficjalnie nie. Ale chodzą takie pogłoski.

- Mówiłeś, że was szturm nie dotyczy?

- No niezupełnie. Jeśli... Cóż, mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku. - Johnjohn przeszedł do

szerokiego, solidnego sekretariatu, na wyposażenie któ-

rego nie brakowało pieniędzy. Skinął głową podstarzałej sekretarce, minął ją i podszedł do drzwi z napisem PREZES PAUL HAVERGILL. Biuro było przestronne, wykładane dębem, biurko duże i bez dokumentów.

- Ian, przyjacielu. - Havergil wstał i wyciągnął rękę. -

Przykro mi, że się wczoraj nie spotkaliśmy. A na przyjęciu nie było czasu na interesy. Jak się czujesz?

- Dziękuję, w porządku. Na razie. A ty?

- Mam lekkie mdłości, ale Konstancji, dzięki Bogu, nic nie jest. Jak tylko dotarliśmy do domu, zaaplikowa-liśmy sobie mikstury starego dobrego doktora Kolikosa. - Był to wymyślony przez doktora Kolikosa podczas wojny krymskiej eliksir na niedomagania żołądka, kiedy tysiące brytyjskich żołnierzy umierało na tyfus, cholereę i białaczkę. Receptura nadal była trzymana w sekrecie.

- Cholerne świństwa! Doktor Tooley też nam coś dawał.

- Fatalnie z innymi, nie? Z żoną Toxe'a?

- Słyszałem - powiedział ponuro Johnjohn - że rano znaleziono jej ciało. Gdybym nie dostał różowego biletu, też byśmy byli tam z Mary. - Różowy bilet oznaczał pozwolenie od żony na wyjście wieczorem bez niej. Na karty z przyjaciółmi, do klubu albo na miasto, w gości albo gdzie indziej. Ale z dobrowolnym pozwoleniem żony.

- O! - Havergil uśmiechnął się. - A której to damie się poszczęściło?

-

Grałem w brydża z panem McBride w klubie.

Havergil roześmiał się.

- Cóż, dyskrecja nade wszystko, a poza tym musimy dbać o reputację banku.

Dunross wyczuwał rosnące napięcie między dwoma bankierami. Uśmiechnął się oczekując na rozwój sytuacji.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Ian? - zapytał Haver-gUl.

-

Potrzebuję sto milionów kredytu na trzydzieści dni.

Zapadła martwa cisza. Obydwaj patrzyli na Dunrossa. On dostrzegł błysk w oku Havergilla.

-

Niemożliwe - usłyszał jego głos.

-

Zaatakował nas Gornt, to jasne. Obydwaj wiecie, że mocno się trzymacie, jesteście bezpieczni i nic wam nie grozi. Ja potrzebuję silnego zabezpieczenia od was, a wtedy on nie ośmieli się kontynuować planu i pieniądze przestaną mi być potrzebne. Ale teraz muszę

mieć

wsparcie. Znów milczenie. Johnjohn milczał. Havergill zapalił papierosa.

- A jak tam z umową z Par-Con?

- Podpisujemy we wtorek - oznajmił Dunross.

- Wierzysz Amerykanom?

- Dobiliśmy targu.

Znów cisza. Przerwał ją Johnjohn.

- To bardzo korzystny kontrakt, Ian.

- Tak. Zwłaszcza przy waszym wsparciu. Gornt i Blacs będą musieli wycofać się z ataku.

- Ale sto milionów? To przekracza nasze możliwości

- mówił Havergill.

- Powiedziałem już, że będę potrzebował na krótko.

- Domyślam się. Wbrew własnej woli wplątalibyśmy się w poważną rozgrywkę. Słyszałem plotki, że Gornt ma wsparcie z Niemiec. Nie mogę się wdawać w walkę z niemieckim konsorcjum bankowym. Poza tym masz do poniedziałku zapłacić za pięćset akcji.

Niestety, nie, z przykrością muszę ci odmówić, Ian.

- Poddamy to pod głosowanie rady - zaproponował

Dunross wiedząc, że ma dość głosów, aby zwyciężyć z Havergillem.

Znów cisza.



Świetnie, Tak zrobimy. Na następnym zebraniu.

- Nie. Zebranie ma być dopiero za trzy tygodnie.

Zwołaj dla mnie zebranie nadzwyczajne.

- Przykro mi, ale nie.

- Dlaczego?

- Ian, nie muszę ci przedstawiać powodów - rzucił

cierpko Havergill. - Nad tą instytucją Struanowie nie mają kontroli, choć ty posiadasz największe udziały i jesteś naszym cennym klientem. Z przyjemnością przedstawię na zebraniu twoją propozycję. Sam nie mogę zdecydować o zwołaniu nadzwyczajnego zebrania.

- Zgoda. Mnie na zebraniu nie zależy. Chodzi mi o kredyt. A o tym możesz zdecydować od razu.

- Postawię ten problem na najbliższym spotkaniu członków rady. Jeszcze coś?

Dunross opanował nagły przypływ złości koncentrując wzrok na twarzy rywala.

- Chcę kredytu na podtrzymanie kursu moich akcji.

Natychmiast.

- Oczywiście. Ja i Bruce rozumiemy, że zaliczki z kontraktu z Par-Con pokryją płatności za statki i częściowo Orlin. - Havergil pyknął dymem. - A tak na marginesie, Orlin nie przedłuży terminu. Będziesz musiał

zapłacić w ciągu trzydziestu dni, jak jest w kontrakcie.

Dunross poczerwieniał.

- Od kogo to słyszałeś?

- Oczywiście od prezesa. Dzwoniłem do niego wczoraj, żeby go zapytać, czy...

- Co takiego?

- Tak, mój drogi. - Havergil jawnie okazywał

zadowolenie z tego, że mógł zaskoczyć Dunrossa i Johnjohna. - Mamy prawo to wiedzieć. Mimo wszystko jesteśmy bankierami Struanów i potrzebne nam są takie wiadomości. Nasza stabilność jest zagrożona, gdy ty znajdujesz się na skraju upadku, prawda?

-

A ty chcesz się do tego przyłożyć?

Havergil długo i starannie gasił papierosa.

- My nie jesteśmy zainteresowani upadkami dużych kompani hongkongijskich. Zwłaszcza Noble House. Nie musisz się obawiać. W odpowiednim czasie włączymy się w kupno twoich akcji. Nie pozwolimy, żeby upadł Noble House.

- Kiedy nadejdzie ten odpowiedni czas?

- Gdy uznamy ceny akcji za odpowiednie.

- Czyli jakie?

- Będę to musiał rozważyć, Ian.

Dunross czuł, że przegrał, ale nie okazywał tego.

- Pozwolicie, żeby akcje spadły do minimalnej ceny i wykupicie pakiet kontrolny.

Struanowie są kompanią publiczną - oświadczył

Havergill. - Może trzeba było iść za radą Alastaira i moją. Gdy emituje się akcje, zawsze istnieje pewne niebezpieczeństwo. I może powinieneś najpierw się skontaktować z nami, a dopiero potem kupować taką dużą liczbę akcji? Quil an rozgłasza, że już cię ma, i coś w tym jest, mój drogi chłopcze. Ale nic się nie bój, nie pozwolimy, żeby upadł Noble House. Dunross roześmiał się i wstał.

- Kolonia byłaby znacznie przyjemniejszym miejscem bez ciebie.

- Tak? Ja urzęduję tylko do dwudziestego trzeciego listopada. A ty możesz wyjechać jeszcze wcześniej.

- Nie myśl... - Zaczął Johnjohn chcąc powstrzymać wybuch Havergilla, ale przerwał, gdy prezes spioruno-wał

go wzrokiem.

- Ty zaczynasz urzędowanie od dwudziestego czwartego listopada. Oczywiście pod warunkiem, że zostaniesz zatwierdzony na walnym zebraniu. Na razie Victorią rządzą ja.

Dunross znów się roześmiał.

- Nie bądź tego taki pewien - rzucił na odchodnym.

Johnjohn gniewnie odezwał się do Havergil a:

- Mógłbyś zwołać walne zebranie. Bez żadnego...

- Zostawmy już tę sprawę. Rozumiesz? Koniec. -

Zapalił drugiego papierosa. - Najpierw musimy się zająć własnymi problemami. Będę zaskoczony, jeśli ten łajdak się wykaraska. Znalazł się w niebezpiecznej pozycji. W

bardzo niebezpiecznej. Nic nie wiemy o tym cholernym Amerykaninie i jego dziewczynie. Wiemy natomiast, że Ian jest porywczy i arogancki. On się nie nadaje do tej roboty.

- To nie...

My jesteśmy instytucją nastawioną na zysk, a nie na działalność charytatywną. Dunrossowie i Struanowie już od wielu lat mają za dużo do powiedzenia w naszych sprawach. Jeśli przejmemy pakiet kontrolny, staniemy się azjatyckim Noble House. Odzyskamy nasze akcje.

Wyrzucimy tych wszystkich dyrektorów i natychmiast wprowadzimy nowoczesne zarządzanie, podwoimy pieniądze, a ja przejdę do historii. Po to tu jesteśmy: aby zarabiać pieniądze dla naszego banku i naszych udzia-

łowców. Zawsze uważałem Dunrossa za ryzykownego klienta, a teraz znalazł się pod ścianą. Z chęcią własnoręcznie bym go udusił.

Lekarz patrzył na stary złoty zegarek i po raz kolejny mierzył puls Fleur Marlowe. Sto trzy. Za dużo, pomyślał

smutno. Miała delikatny nadgarstek. Gorączkowała. Z

małej łazienki wyszedł Peter Marlowe.

-

Coś nie tak? - zapytał doktor Tooley.

Peter Marlowe uśmiechnął się.

- Mam nudności. Próbuję wymiotować, ale nie mogę z siebie nic wyrzucić. Tylko trochę płynu. - Spojrzał na leżącą bez ruchu żonę. - Jak się czujesz, kochanie?

- Dobrze, dziękuję, Peter.

Doktor sięgnął po staromodną torbę i zdjął stetoskop.

-

Panie Marlowe, czy pojawiła się też krew?

Marlowe pokręcił głową i usiadł zmęczony. Ani on, ani żona za wiele nie spali. Zaczęli wymiotować o czwartej i ani trochę im nie przechodziło.

- Nie, w każdym razie nie do tej pory. Mnie to wygląda na zwykłą czerwonkę. Dużo hałasu, mało rezultatów.

- Zwykłą? Miał pan kiedyś czerwonkę? Kiedy? Jakiego rodzaju?

- Zdaje się, że jelitową. Byłem jeńcem wojskowym w Changi w czterdziestym piątym. Właściwie od czterdziestego drugiego do czterdziestego piątego. Częściowo na Jawie, ale większość czasu w Changi.

A tak, rozumiem. Przykro mi. - Doktor Tooley przypominał sobie wszystkie napływające z Azji podczas wojny mrozące krew w żyłach opowieści o traktowaniu żołnierzy angielskich i amerykańskich przez Japończyków. - Zawsze czuję się w pewien sposób zdradzony -

powiedział smutno lekarz. - Japończycy powinni być naszymi sprzymierzeńcami... Tak samo jak my są narodem wyspiarskim. To dobrzy żołnierze. Ja byłem lekarzem Chindits. Dwa razy szedłem z Wingate'em. -

Wingate to ekscentryczny generał brytyjski, który wslawił

się nadzwyczaj nietradycyjnym planem bitwy. Wysyłał

słabo mobilne kolumny żołnierzy, zwane Chindits, z Indii przez birmańską dżunglę za linie Japończyków, a żywność dostarczał im z powietrza. - I tak miałem szczę-

ście. Cała ta operacja była dość niepewna. - Mówiąc przyglądał się Fleur. Szukał jakichś symptomów choroby, znanych, łatwych do zidentyfikowania objawów. Zdając się na doświadczenie starał się odnaleźć wroga i oddzielić go od tysiąca innych możliwości, zanim uszkodzi płód. - Cholerne samoloty gubiły czasami zrzuty dla nas.

- Spotkałem w Changi paru waszych ludzi. - Poszukał

w pamięci. - W czterdziestym trzecim czy czterdziestym czwartym, dokładnie nie pamiętam. Nazwisk też. Zesłano ich do Changi zaraz po przechwyceniu.

- W czterdziestym trzecim - orzekł pewnym tonem lekarz. - Cała kolumna została złapana w zasadzkę.

Jeśli się nie było w tej dżungli, trudno w to uwierzyć.

Większość czasu nie wiedzieliśmy, co się z nami dzieje.

Obawiam się, że niewielu chłopców przeżyło i dostało się do Changi. - Doktor Tooley był miłym staruszką z dużym nosem, rzadkimi włosami i ciepłymi dłońmi.

Uśmiechnął się do Fleur. - A więc, młoda damo - zaczął

miłym, grubym głosem. - Masz trochę gorączki...

- O... tak mi przykro, panie doktorze - przerwała mu i pobladła. - Ja... Chyba... - Wstała i pośpieszyła niezgrabnie do łazienki. Zamknęła za sobą drzwi. Z tyłu, na kosczieli nocnej, widać było plamy krwi.

- Co jej jest? - zapytał Marlowe z poważną twarzą.

- Ma gorączkę, przyśpieszony puls. Może to zwykłe zatrucie... - Doktor podniósł wzrok.

- Coś z wątrobą. Żółtaczka?

- Nie. Nie byłoby tak szybkich objawów. Czas wykluwania się wynosi od sześciu tygodni do dwóch miesięcy. Niestety obawiam się, że takie widmo wisi nad każdym. - Deszcz stukał o szyby. Spojrzał w okno i przypomniał sobie, że nie uprzedził Dunrossa i Amerykanów o możliwości wystąpienia żółtaczki. Być może lepiej będzie czekać i zachować cierpliwość. *Dżos*, pomyślał. - Żeby mieć pewność, że się nie zachoruje, muszą minąć dwa miesiące. Obydwoje dostaliście leki, więc nie ma obaw o tyfus.

- A dziecko?

- Jeśli wymioty się nasilą, panie Marlowe, może nastąpić poronienie - uprzedził lekarz. - Przykro mi, ale lepiej o tym wiedzieć od razu. Tak czy owak nie będzie jej łatwo. Bóg jeden wie, jakie w Aberdeen mogą pływać wirusy i bakterie. To miejsce od wieków jest publicznym ściekiem. Szokujące, ale cóż na to można poradzić.

- Sięgnął do kieszeni po bloczek z receptami. -

Chińczyków ani ich odwiecznych zwyczajów zmienić się nie da.

-

*Dżos* - westchnął Marlowe. Czuł się strasznie.

- Możliwe, żeby wszyscy zachorowali? Chyba z pięćdziesiąt osób wpadło do wody. Każdy się napił tego świństwa.

Doktor zawahał się.

- Z

pięćdziesięciu

osób

ciężko

zachoruje

prawdopodobnie pięć. Pięciu nic się nie stanie, a reszta znajdzie się gdzieś pomiędzy. Hongkongijczycy są bardziej odporni na infekcje niż goście. Ale tak jak pan mówi, wiele zależy od *dżosu*. - Znalazł bloczek z receptami. - Przepiszę wam antybiotyk, ale nadal zażywajcie miksturę Kolikosa. Pomaga na trawienie.

Niech pan uważnie obserwuje żonę. Macie termometr?

- Tak... - Peter Marlowe poczuł skurcz, skrzywił się, a potem poszedł po termometr. - Kiedy się podróżuje z dziećmi, trzeba mieć podręczne przybory.

- Obydwaj starali się nie spoglądać w stronę drzwi łazienki. Dobiegały ich odgłosy zmagania Fleur.

- Ile dzieci mają lat? - zapytał bezwiednie doktor Tooley, nie przerywając pisać. Gdy przyszedł, zauważył w drugiej sypialni nieład, który mógł być tylko dziełem dzieciaków. - Moje już są dorosłe. Mam trzy córki.

- Co? Ach, jedna ma cztery, druga osiem. Obie dziewczynki.

Macie *amah*?

- O tak. Tak. Mimo deszczu zabrała dziewczynki do szkoły. Przepłynęły kanał i wzięły *bo-pi*. - *Bo-pi* to nielegalne taksówki bez licencji, z których od czasu do czasu korzysta prawie każdy. - Szkoła znajduje się przy Garden Road. Są najzupełniej bezpieczne.

- Tak. Oczywiście.

Z łazienki doleciał ich odgłos wymiotowania.

- Proszę się nie przejmować - pocieszył lekarz. -

Prześle wam leki. Apteka jest w hotelu, więc ceny dopiszą wam do rachunku. Przyjdę wieczorem o szóstej. Jeśli wynikną jakieś kłopoty... - Podał receptę.

- ...Tu jest mój numer. Dzwońcie bez skrępowania.

- Dziękuję. A co do rachunku...

- Nie ma się czym przejmować, panie Marlowe.

Zdaje się, że myśl o finansach jest oznaką powrotu do zdrowia. - Doktor Tooley zastanawiał się, co dzieje się za drzwiami. Bał się wychodzić. - Był pan w piechocie?

- Nie, w lotnictwie.

- O! Tak samo jak mój brat. Rozbił się w... - Zamilkł.

- Panie doktorze... - zawołała z łazienki Fleur Marlowe. - Mógłby... Czy mogę... pana...

Tooley podszedł do drzwi.

- Tak, pani Marlowe, nic pani nie jest?

- Czy mogę pana prosić...

Wszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi. W małym pomieszczeniu śmierdziało wymiocinami, ale nie zwracał na to uwagi.

- Ja... To... - Chwycił ją kolejny skurcz.

- Proszę się nie przejmować - powiedział uspokajająco. Jedną rękę położył jej na plecach a drugą na brzuchu pomagając pracować mięśniom. Masował jej brzuch delikatnie, niezwykle wprawnie. - O tak! Proszę sobie ulżyć! Nie pozwolę pani upaść! - Czuł pod palcami zaciskające się mięśnie. - Pani jest w wieku mojej najmłodszej córki. Mam trzy. Najstarsza ma już dwoje dzieci... Proszę się rozluźnić i pomyśleć o tym, że ból ustępuje. Zaraz poczuje się pani lepiej... - Po chwili skurcze minęły.

- Ja... Boże... Przepraszam... - Sięgnęła po papier toaletowy, ale znowu zaczęła wymiotować. W małej łazience było mu niewygodnie, jednak trzymał ją moc no. Zaczęły go boleć plecy.

-

Już... Już mi lepiej - wystękała. - Dziękuję.

Wiedział, że jest inaczej. Cała się pocila. Wytarł jej czoło. Pomógł jej wstać i podtrzymał. W misce klozeto-wej zauważył ślady krwi. Na szczęście nie miała krwotoku, więc westchnął z ulgą.

- Wydobrzeje pani - zapewnił. - Chwileczkę, proszę się nie bać! Proszę. - Położył jej dłonie na umywalce.

Sam sięgnął po suchy ręcznik i zwinął go, a potem zawiązał jej wokół talii. - To najlepszy sposób na kłopoty z brzuchem. Podtrzymuje żołądek i daje ciepło.

Mój dziadek był lekarzem w armii hinduskiej i przysięgał, że to najlepszy sposób. - Spojrzał na nią. - Jest pani bardzo odważną młodą damą. Wszystko będzie dobrze.

Gotowe?

Otworzył drzwi. Peter Marlowe ruszył z pomocą.

Położyli ją na łóżku.

Była zmęczona, kosmyki mokrych włosów oblepiały jej czoło. Doktor Tooley odgarnął je. Intensywnie nad czymś dumał.

- Sądzę, młoda damo, że na dzień, dwa położymy panią w szpitalu.

- Ależ... Och...

Proszę się niczym nie martwić. Po prostu powinniśmy stworzyć dziecku jak najlepsze warunki, prawda? A z dwiema małymi córkami na pewno ma pani urwanie głowy. Wystarczą dwa dni odpoczynku. - Jego gruby, łagodny głos uspokoił ich. - Załatwię wszystko i wrócę za kwadrans. - Spojrzał na Petera Marlowe'a spod gęstych brwi. - Szpital jest w Koulunie, więc oszczędzimy dość długiej drogi na wyspę. Jest czysty i doskonale wyposażony. Może spakuje pan trochę najpotrzebniejszych rzeczy żony. - Zapisał adres i numer telefonu. - No, młoda damo, zaraz będę z powrotem. Proszę się nie martwić o córki. Wiem, jakim mogłyby być utrapieniem przy chorobie. - Uśmiechnął

się. - Nie ma się czym przejmować, panie Marlowe.

Pomówię z boyem i poproszę, żeby pomógł. Nie musi się też pan obawiać o pieniądze. - Zmarszczki wokół

jego oczu jeszcze się pogłębiły. - Wobec naszych miłych gości jesteśmy w Hongkongu filantropami.

Wyszedł. Marlowe usiadł zmartwiony na łóżku.

- Mam nadzieję, że dziewczynki bezpiecznie dotarły do szkoły - powiedziała.

- Tak. Ah Sop jest dobra.

- Dasz sobie radę?

- No pewnie. Zamienię się w Starą Matkę. To tylko dwa dni.

Oparła się na łokciu. Obserwowała deszcz i szary, znajdujący się po drugiej stronie ulicy budynek hotelowy, którego bardzo nienawidziła, bo zasłaniał niebo.

- Mam... Mam nadzieję... że to nie będzie za dużo kosztowało - wyjąkała.

- Nie przejmuj się, Fleur. Wszystko będzie dobrze.

Zapłaci Związek Pisarzy.

- Naprawdę? Założę się, że nie, Peter. Ech... i tak już musimy oszczędzać.

- Zawsze mogę pożyczyć.

- O nie? Tego nie rób. Nie wolno nam. Umówiliśmy się. W przeciwnym razie... znów popadniesz w kłopoty...

- Jakoś to będzie - pocieszył ją. - W przyszłym miesiącu trzynastego wypada w piątek, a to dla nas



zawsze szczęśliwy dzień.

Trzynastego wyszła jego książka i zajęła trzynaste miejsce na liście bestsellerów. Gdy trzy lata temu znaleźli się w dołku, także trzynastego podpisał kontrakt na scenariusz, który pozwolił im się ustawić. Pierwszą umowę na reżyserię także podpisał trzynastego.

Zeszłego roku w kwietniu, trzynastego w piątek, jedna z wytwórni w Hollywood zakupiła jego powieść za 157000 dolarów. Agent wziął dziesięć procent, a resztę Peter Marlowe rozłożył na pięcioletnie raty pozwalające utrzymać się całej rodzinie przez pięć lat.

25 000 co roku w styczniu. Przy oszczędnym gospodarowaniu

wystarczy

na szkoły, lekarzy,

komorne i inne świadczenia, a także na życie. Pięć wspaniałych lat bez codziennych trosk. Wolność, którą można wykorzystał mieszkając przez rok w Hongkongu i przygotowując się do napisania nowej książki. Chryste, pomyślał Marlowe z nagłym strachem. Czego ja tu szukam? Po co ja tu przyjechałem?

- Boże - wymamrotał żałośnie. - Gdybym nie nalegał, żeby pójść na to przyjęcie, nie byłoby takiego kłopotu.

- *Dżos*. - Uśmiechnęła się pogodnie. - *Dżos*, Peter.

Pamiętasz, co mówiłeś... Co zawsze mi mówisz? *Dżos*.

To tylko *dżos*. Chryste, czuję się strasznie...

10:01

Orlanda Ramos otworzyła drzwi do swojego mieszkania.

- Wejdz, Linc - powiedziała składając parasol. -

*Minha cassa e vossa casa.* Mój dom twoim domem.

- Na pewno? - Linc uśmiechnął się.

- Ach, to stary portugalski zwyczaj. - Zdjęła szykowny płaszcz, a on prochowiec. - Daj, powieszę. Nie przejmuj się, że jest mokry. Moja *amah* coś z tym zrobi. Chodź do środka.

Zauważył, że salon jest bardzo przestronny, kobiecy, namawia do wejścia. Urządzono go ze smakiem. Podeszedł do oszklonych drzwi prowadzących na balkon.

Mieszkanie znajdowało się na siódmym piętrze Rose Court przy Kotewall Road.

- Zawsze tu tak mocno pada? - zapytał.

- Jak przychodzi tajfun, jest o wiele gorzej. Dwanaście do osiemnastu cali na dzień. Wszędzie robi się błoto i kałuże. - Patrzył na dół. Zewsząd wyrastały wieżowce i domki budowane na wykutych w zboczach skarpach.

Gdzeniegdzie prześwitywała linia brzegu morza.

- Widok jak z samolotu, Orlando. Niesamowicie tu musi być w upalną noc.

Tak, to prawda. Ja to uwielbiam. Widać cały Koulun.

Zanim został zbudowany Sinclair Towers... ten tam z przodu wysoki budynek... stąd rozpościerał się najpiękniejszy widok w Hongkongu. Wiesz, że Sinclair Towers należy do Struanów? Przypuszczam, że Ian Dunross zainwestował w to pieniądze na złość Quillanowi. Quillan ma tu swoje mieszkanie... Przynajmniej kiedyś miał.

- Żeby mu oszpecić widok?

- Żeby zniszczyć.

- Kosztowny plan.

- Nie. Obydwa bloki przynoszą zyski. Quillan twierdzi, że w Hongkongu wszystko amortyzuje się najwyżej po trzech latach. Wszystko. Tu mógłbyś... - Roześmiała się. - Tu można zbić fortunę, jeśli się tylko chce.

- Jeśli zostanę, to gdzie zamieszkać?

- Tu, na średnim poziomie. Wyżej jest zawsze duża wilgoć, ściany grzybieją i wszystko robi się mokre. -

Rozwiązała wstążkę i rozpuściła włosy, a potem usiadła na oparciu fotela patrząc na jego plecy. Cierpliwie czekała.

- Jak długo tu mieszkasz?

- Pięć czy sześć lat. Od zakończenia budowy.

- Piękny widok. Tak jak ty.

- Dziękuję, miło z twojej strony. Napijesz się kawy?

- Poproszę. - Linc przeczesał włosy spoglądając na olejny obraz. - Quance?

- Hm, dostałam od Quil ana. Z ekspresu?

- Tak, czarną. Szkoda, że lepiej się nie znam na malarstwie... - Chciał dodać, że Casey się zna, ale powstrzymał się i wyjrzał przez otwarte drzwi. Kuchnia była duża, nowoczesna i dobrze wyposażona. - Wygląda jak ze zdjęcia w „Dom i Ogród”.

- To pomysł Quil ana. Uwielbia gotować i jeść. Wystrój jego, reszta moja.

- Żałujesz, że zerwaliście ze sobą?

I tak, i nie. Taki *dźos*, karma. On... po prostu *dźos*.

Upłynął nasz czas. - Jej spokój nieprzyjemnie go zaskoczył. - Ten związek i tak by nie przetrwał. Nie tutaj.

- Zauważył u niej smutek, w jednej chwili ruszył w jej stronę, ale ona pozbierała się i zajęła ekspresem do kawy.

Na półkach nie było naczyń. - Quillan bardzo dbał o porządek, dzięki Bogu i mnie się udzieliło. Moja *amah* gwizdże na higienę.

- Mieszka tutaj?

- Tak, oczywiście, wyszła po zakupy. Ma pokój na końcu korytarza. Jak chcesz, rozejrzyj się. Ja będę chwilę zajęta.

Odszedł z dziwnym uczuciem. W ładnej jadalni stał stół

na osiem osób. Sypialnia była biało-różowa. Dokoła szerokiego łóżka zwisały z sufitu jasnoróżowe

zasłony. W

całej sypialni stały kwiaty i rozsiewały przyjemny zapach.

W nowoczesnej łazience nawet ręczniki zostały dobrane pod kolor. W drugiej sypialni z książkami, telefonem i sprzętem Hi-Fi stało mniejsze łóżko i znów wszystko było doskonale zharmonizowane.

Casey odpada, pomyślał przypominając sobie nieład panujący na co dzień w małym domku z czerwonej cegły w Los Angeles. Wszędzie stosy książek, grill, telefon, kalki i elektryczna maszyna do pisania. Zaniepokojony trochę myślą, że porównuje obydwie kobiety, skierował

się do kuchni omijając pokój *amah*. Szedł bezszelestnie.

Orlanda nie wiedząc, że na nią patrzy, przygotowywała kawę. Obserwował ją z przyjemnością. Zadzwoił

wcześnie rano, obudził ją i przypomniał, żeby poszła do lekarza. Podczas nocnego zamieszania zanim on, Casey i Dunross wyszli na ląd, ona odjechała już do domu.

- O, dzięki Linc, miło, że dzwonisz! Nie, nic mi nie jest! - mówiła ucieszona. - Przynajmniej do tej pory.

A ty jesteś zdrowy? A Casey? Nie wiem, jak ci dziękować.

Tak się bałam... Uratowałeś mi życie... ty i Casey...

Rozmawiali sobie wesoło, ona obiecała pójść na wszelki wypadek do lekarza, a on zaprosił ją na śniadanie. Zgodziła się bez wahania, a on przyплыł do Hongkongu. Lubił deszcz i cieszył się, że spadła temperatura. Śniadanie zjedli na najwyższym piętrze hotelu

„Mandaryn”. Jaja po benedyktyńsku z tostami i kawa.

Bawili się wspaniale, Orlanda była wdzięczna jemu i Casey za pomoc.

-

Już myślałam, że nie przeżyję... Linc, wiedziałam, że utonę, ale byłam zbyt przerażona, żeby krzyknąć. Jeśli nie zrobilibyście tego tak szybko, nigdy... Gdy wpadłam do wody, od razu podплыnęła Casey i zanim się zorientowałam, żyłam i byłam bezpieczna...

To było najlepsze śniadanie, jakie Bartlett kiedykolwiek jadł w życiu. Orlanda podsuwała mu dyskretnie tosty, nalewała bez pytania kawę, podnosiła jego serwetkę, gdy upadła, potrafiła go zabawić i pozwalała się adorować, była kobieca, dzięki czemu on czuł się bardziej męski i silny. Czasami kładła mu wypielegnowaną dłoń z długimi paznokciami na przedramieniu, a on czuł jej delikatny dotyk. Potem odprowadził ją do domu, ona zaprosiła go do siebie, a teraz stał i patrzył, jak przyrządza kawę.

Miała

na

sobie

jedwabną

spódnicę,

botki

przeciwdeszczowe i luźną bluzkę zwężaną w tali .

Jeżu, pomyślał, muszę być ostrożny.

- O! Nie zauważyłam cię, Linc. Jak na mężczyznę twojej wagi cicho chodzisz.

- Przepraszam.

- Nic nie szkodzi; Linc! - Zaczęła syczeć wrząca woda, do filiżanki popłynęły kropelki kawy. - Z cytryną?

- Nie, dziękuję. A ty pijesz z cytryną?

- Nie. Wolę *cappuccino*. - Podgrzała mleko, dokoła rozchodził się zapach kawy. Ustawiła na tacy porcelana-nowe filiżanki, położyła srebrne łyżeczki. Obydwoje wiedzieli, że zaczynają ich łączyć jakieś podskórne wib-racje, jednak obydwójce udawali, że nic nie czują.

Bartlett upił łyk kawy.

- Wspaniała, Orlando! Jeszcze takiej nie piłem. Coś w niej jest.

- Wiórki czekoladowe.

- Lubisz gotować?

O tak, i to bardzo! Quillan mówił, że jestem pojętną uczennicą. Uwielbiam prowadzić dom i organizować przyjęcia. Quil an zawsze... - Jej twarz wykrzywiła się lekko. Spojrzała na Linca. - Zdaje się, że za często o nim wspominam. Przepraszam cię, ale nadal... To odruchowe. On był moim pierwszym, moim jedynym mężczyzną... więc siłą rzeczy stał się częścią mnie.

- Nie musisz się usprawiedliwiać, Orlando, ja rozumiem...

- Wiem, ale chcę. Nie mam prawdziwych przyjaciół, nigdy z nikim o nim nie rozmawiałam, nigdy tego nie chciałam, ale jakoś... Jakoś się rozluźniłam w twojej obecności i... - Nagle uśmiechnęła się szeroko. - No jasne! Zapomniałabym! Teraz wzięłeś za mnie odpowiedzialność. - Klasnęła w rękę.

- Co masz na myśli?

- Według chińskiego zwyczaju wmieszałeś się w sprawy *dżosu* lub losu. Tak,, tak. Stałeś na przeszkodzie bóstwom. Uratowałeś mi życie, bo bez ciebie z pewnością bym zginęła i stałoby się zgodnie z wolą *dżosu*. Jednak ponieważ ty wszedłeś w paradę, na tobie spoczęła odpowiedzialność za mnie. Na zawsze. To bardzo mądry chiński zwyczaj! - Nigdy nie widział tak czarnych źrenic jak w jej oczach. Miała ładną twarz. -

Na zawsze!

- Możesz na mnie liczyć! - Roześmiali się, zaraził się jej radością.

- To dobrze! - powiedziała, a potem wzięła go za rękę.

- Żartowałam, Linc. Ty jesteś taki rycerski, a ja nie przywykłam do rycerskości. Oficjalnie zwalniam cię z tego obowiązku. Zwalnia cię moja chińska połowa.

- A może ja nie chcę. - Widział jej szeroko otwarte oczy. Serce zaczęło mu bić mocniej. Hipnotyzowały go jej perfumy. Wzmocniła się nagle budząca się między nimi siła. Sięgnął ręką i dotknął jej włosów. Były miękkie, jedwabiste i takie delikatne. Ich pierwszy dotyk. Przytulił ją do siebie. Lekko drgnęła, a potem zaczęli się całować.

Czuł jej zachęcające usta, lekko wilgotne, bez szminki, miały czysty smak.

Rosła w nich namiętność. Powędrował dłonią do jej piersi, przez cienki jedwab przebijało ciepło. Znowu drgnęła, chciała go lekko odepchnąć, ale mocno ją trzymał. Pieścił ją, a serce waliło mu jak młot. Ona przyłożyła dłonie do jego piersi, przestali się całować, ale pozostali blisko siebie czując swoje oddechy.

- Linc... ty...

- Jesteś taka miła - szepnął i przyciągnął ją do siebie. Nachylił się, żeby ją pocałować, ale odwróciła się.

- Czekaj, Linc...

Pocałował ją w szyję i próbował jeszcze raz w usta.

-

Linc, poczekaj... Najpierw...

-

Najpierw pocałuj, potem poczekaj.

Roześmiała się. Napięcie minęło. Skarcił się za taki błąd, tak bardzo jej pożądał, tym bardziej że ze

wzajemnością. Teraz umknęła chwila uniesienia i znów tylko stali naprzeciw siebie. Zaczął narastać w nim gniew, ale wtedy ona czule pocałowała go w usta.

Gniew minął natychmiast. Pozostało tylko ciepło jej warg.

- Jesteś za silny dla mnie, Linc - wyjąkała lekko zachrypłym głosem. Objęła go rękami wokół szyi, ale bardzo ostrożnie. - Zbyt silny, zbyt atrakcyjny, zbyt miły i naprawdę winna ci jestem życie. - Patrzyła na niego trzymając go za szyję. Być może, pomyślał.

- Najpierw porozmawiajmy - zaproponowała od-suwając się. - Potem może znów się pocałujemy.

- Dobrze. - Od razu do niej podszedł, ale ponieważ obydwójgu powrócił już dobry humor, położyła mu palec na ustach.

- Panie Bartlett! Czy wszyscy Amerykanie są tacy?

- Ależ skąd! - odparł ze świętym oburzeniem.

- Tak, wiem - powiedziała poważnym tonem. -

Chciałabym z tobą porozmawiać. Napijesz się kawy?

- Jasne. - Zastanawiał się, jak ma z nią postępować, co mówić. Pragnął jej, fascynowała go, a w dżungli tych spraw nie czuł się najlepiej.

Ostrożnie nalała kawy. Spróbował i była tak samo dobra jak poprzednio. Panował nad sobą, choć pozostał mu pewien uraz.

- Przejdźmy do salonu - zaproponowała. - Przyniosę ci filiżankę.

Wstał i objął ją w talii. Nie opierała się i wyczuł, że jego dotyk sprawia jej przyjemność. Usiadł w jednym z głębokich foteli. - Usiądź tutaj - wskazał jej miejsce obok siebie.

- Proszę cię.

- Później. Najpierw chcę porozmawiać. - Uśmiechnęła się z lekkim zawstydzeniem i usiadła na sofie stojącej naprzeciwko. Ciemnoniebieski kolor tapicerki współgrał z odcieniami chińskiego dywanu na błyszczącym parkiecie. - Linc, znam cię dopiero kilka dni...

Nie jestem dziewczyną na jakiś czas...

-

Poczerwieniała i na moment zgubiła wątek. - Niestety.

Quillan był pierwszym i jedynym mężczyzną, a nie chcę żadnych romansów. Nie chcę potem bolesnego do widzenia, wstydu i przyjaźni jakby nigdy nic.

Nauczyłam się żyć bez miłości, bo nie przesłabym przez to jeszcze raz. Kochałam Quillana. Miałam siedemnaście lat, gdy... gdy ze sobą zaczęliśmy, a teraz mam dwadzieścia pięć. Nie widzieliśmy się prawie trzy lata. Przez tyle czasu wszystko się może skończyć. Już go nie kocham. Nie kocham nikogo i przykro mi, ale nie nadaję się na dziewczynę na jakiś czas.

- Nigdy tak o tobie nie pomyślałem! - zawołał

wiedząc, że to kłamstwo. - Myślisz, że kim ja jestem?

- Fajnym facetem - odpowiedziała natychmiast

- ale w Azji dziewczyna... każda dziewczyna... szybko się dowiaduje, że mężczyźni tak naprawdę chcą tylko zaciągnąć ją do łóżka. Przepraszam, Linc, ale okazjonalne numerki są nie dla mnie. Może kiedyś, ale nie teraz. Tak, ja jestem Euroazjatką, ale nie... Wiesz, co mam na myśli?

- Jasne - odparł i zanim zdążył się powstrzymać, dodał: - Chcesz powiedzieć, że jesteś kimś, kogo się inaczej traktuje?

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Serce go zakłuło, gdy zobaczył jej smutek.

- Tak - potwierdziła bliska łez. - Tak, chyba tak.

- Jezu, Orlando! - Podszedł do niej i objął ją. - Nie miałem nic złego na myśli.

- Linc, nie mam zamiaru się z tobą drażnić ani zabawiać, ani...

- Ani ja. Nie jestem, do diabła, dzieckiem...

- Tak się cieszę. Przez chwilę... - Zmieszał się pod jej niewinnym spojrzeniem. - Nie jesteś na mnie zły, Linc? To znaczy... Ty sam nalegałeś, żeby wejść na górę.

- Wiem - powiedział trzymając ją w ramionach. To prawda, myślał, prawda też, że pragnę cię, a nie wiem, kim jesteś, czym jesteś, ale cię pragnę. Właściwie czego od ciebie chcę? Czego tak naprawdę pragnę?

Złudzeń? Czy tylko seksu? Posiadasz tę magię, której szukam od wieków, czy jesteś tylko kolejną dziewczyną? Jaką masz przewagę nad Casey? Czy mogę za kryterium brać jedwabistość skóry?

Pamiętam, co powiedziała mi kiedyś Casey: „Na miłość składa się wiele rzeczy, Linc. Jedną z nich jest seks. Tylko jedną. Pomyśl o wszystkich innych.

Owszem, kobietę należy oceniać poprzez miłość, ale trzeba wiedzieć, kim jest kobieta". Jednak znów poczuł

na piersiach ciepło jej oddechu i przeszły go ciarki.

Pocałował ją w szyję, nie chciał powstrzymać swej namiętności.



- Orlando, kim jesteś?

- Jestem... Potrafię powiedzieć tylko, kim nie jestem

- szepnęła. - Nie jestem naciągaczką. Nie myśl, że cię nagabuję. Podobasz mi się, nawet bardzo, ale nie...

nie jestem taką na jedną noc.

- Wiem. Jezu, co ci przyszło do głowy? - Zobaczył, że szklą jej się oczy. - Nie ma co płakać. Okay?

- Tak. - Wyswobodziła się z jego uścisku, odsunęła się i wzięła serwetkę. - *Aiii ia*, wyglądam jak nastolatka albo dziewczica westalska. Przepraszam, ale to się stało tak nagle, nie byłam przygotowana na... - Wzięła głę-

boki oddech. - Przyjmij przeprosiny.

Roześmiał się.

- Nie przyjmuję.

Bogu dzięki! Właściwie, Linc, zawsze gram silną, twardą, bystrą, czasem nawet bardzo bystrą dziewczynę i przychodzi mi to bez trudu. Znam już chyba wszelkie możliwe riposty i sytuacje, i wydaje mi się, że automatycznie biorę udział w jakiejś grze, nawet jeśli mnie ona nie interesuje ani nie mam na nią ochoty. Ale przy tobie... - Zawahała się, a po chwili dodała. - Niestety, każdy mężczyzna, którego spotkałam, hm, zawsze było tak samo.

- To źle?

- Nie, ale trudno wchodzić na salę albo do restauracji i czuć na sobie te spojrzenia. Ciekawe, jak mężczyźni to znoszą. Jesteś młody i przystojny. Co byś zrobił, gdyby wszędzie, gdziekolwiek byś się pojawił, gapiły się na ciebie kobiety. Wchodzisz, powiedzmy rano na śniadanie do „Victoria and Albert” i widzisz, że kobiety w każdym wieku, te ze sztucznymi zębami, i babcie, i jędze, i grube, i brzydkie, wszystkie jawnie wlepiają w ciebie wzrok, rozbierają cię spojrzeniami, chcą cię mieć przy sobie, pragną dotykać twojej piersi, krocza. Większości śmierdzi z ust, pocą się, wydzielają odory, a ty wiesz, że one wyobrażają sobie, jak z ochotą robisz im w łóżku najintymniejsze rzeczy.

- Wcale by mi się to nie podobało. Gdy Casey mnie zobaczyła pierwszy raz, wyraziła to samo, tylko innymi słowami. Wiem, o co ci chodzi, Orlando. Przynajmniej mogę to sobie wyobrazić. Ale taki już jest świat.

- Tak, czasem nieprzyjemny. O, nie chciałabym być mężczyzną, Linc. Jestem szczęśliwa, że urodziłam się kobietą, chociaż czasami naprawdę bywa ciężko. Na przykład wiedzieć, że myślicie o nas jak o zbiorniczku, który można kupić, a potem powiedzieć dziękuję bardzo i który powinien przyjąć dwudziestodolarowy czek, a później zmykać w podskokach.

Zmarszczył brwi.

- Jak zaczęliśmy ten temat? Roześmiała się.

- Pocałowałaś mnie.

Z przyjemnością odkrył, że lubi jego towarzystwo.

-

Zgadza się. Może i zasłużyłem sobie na wykład.

A teraz... Co z tym obiecany pocałunkiem? - Jednak nie wykonał żadnego ruchu. Chciał ją wypróbować.

Wszystko się zmieniło, pomyślał. Oczywiście, że chcia-

łem tego, jak mówiła, pójścia do łóżka. No jasne.

Nadal chcę, jeszcze bardziej niż poprzednio. Ale teraz wszystko jest inaczej. Gramy w inną grę i wcale nie wiem, czy tego chcę. Przedtem było łatwiej. A może i nie? -

Jesteś piękna. Czy ja już ci to mówiłem?

- Chciałam porozmawiać o tym pocałunku. Widzisz, prawda jest taka, że nie byłam przygotowana na takie osaczenie, tak... to odpowiednie słowo.

Począł dłuższą chwilę.

- To dobrze czy źle?

- I tak, i tak. - Zmrużyła oczy. - Tak, osaczona przez własne pożądanie. Z tobą jest inaczej, panie Bartlett, a to także dobrze albo źle. Bardzo mi się podobał ten pocałunek.

- Mnie też. - Znów się uśmiechnął. - Mów mi Linc.

- Jeszcze nigdy - powiedziała po chwili milczenia - nie czułam takiego pragnienia i bardzo się z tego powodu przestraszyłam.

- Nie ma się czego bać - odparł. Zastanawiał się, co robić. Instynkt radził mu odejść. Instynkt radził mu zostać. Rozsądek kazał mu nic nie mówić, tylko czekać.

Słyszał bicie serca i krople uderzające o szyby. Lepiej iść, pomyślał. - Orlanda, chyba lepiej...

- Masz czas na rozmowę? Troszkę? - zapytała wyczuwając jego niezdecydowanie.

Odgarnęła włosy z twarzy.

- Chcę ci o sobie opowiedzieć. Quil an był w Szanghaju szefem mojego ojca, więc znam go całe życie. Pomógł

zapłacić za moją edukację. Zwłaszcza w Stanach.

Zawsze był bardzo dobry dla całej rodziny. Miałam cztery młodsze siostry i brata. Wszyscy mieszkają teraz w Portugalii. Gdy wróciłam po dyplomie z San Francisco do Szanghaju,

miałam

siedemnaście

lat,

prawie

osiemnaście... Hm, on był bardzo atrakcyjny, choć czasem okrutny. I to bardzo.

- W jaki sposób?

- Wierzy w osobistą zemstę. W to, że mężczyzna, jeśli nim naprawdę jest, ma prawo do zemsty. A Quil an jest prawdziwym mężczyzną. Zawsze był i jest dla mnie dobry.

Płaci za mieszkanie.

Nie musisz mówić mi tego wszystkiego. -

Wiem.

Ale

chciałabym...

Jeśli

mógłbyś

wysłuchać.

Wtedy zdecydujesz.

Przyjrzał jej się z uwagą.

- W porządku.

- Większość Europejczyków, szczególnie Brytyjczycy, nienawidzi nas, Euroazjatek. Chińczycy to samo. Zawsze więc musimy być podejrzliwe, mieć się na baczności, wiecznie przypuszczać, że ktoś sobie wyobraża, że łatwo nas zaciągnąć do łóżka! Ach, te amerykańskie obyczaje!

Są takie brzydkie i wulgarne. Podobnie jak Amerykanie, choć to w Stanach nauczyłam się siebie szanować i pozbyć poczucia winy. Quil an wiele mnie nauczył i w pewien sposób uformował. Jestem

mu za to wdzięczna, ale nie Kocham go. To właśnie chciałam ci powiedzieć.

Chcesz jeszcze kawy?

- Tak, proszę.

- Zaparzę świeżą.

Wstała i nieświadomie zmysłowym krokiem poszła do kuchni. Znow przeżyła swoje szczęście.

-

Dlaczego z nim zerwałaś?

Z kamienną twarzą opowiedziała o Makau.

- Udało się chłopakowi zaciągnąć mnie do łóżka, ale ja po prostu spałam, nic między nami nie zaszło.

Upił się i nie nadawał do niczego. Następnego dnia udawałam, że chłopak spisał się na medal. - Mówiła spokojnie, rzeczowo, ale czuł jej złość. - Nic się nie stało, ale ktoś doniósł Quil anowi. Wpadł w furję i całkiem słusznie. Nie miałam nic na swoją obronę. To... To Quilłan odszedł. Wiedziałam, że mi tego nie wybaczy...

- Po jej twarzy przebiegł cień. Wzruszyła ramionami.

- *Dżos*. Karma. - Takim samym, cichym głosem opowiedziała o zemście Gornta. - On już taki jest, Linc.

Miał prawo denerwować się na mnie, źle postąpiłam.

- Zasycał ekspres i zaczęła kapać kawa. Znalazła czyste kubki, ciastka i lnianą serwetkę, myślami jednak błędziła wokół damsko-męskiego trójkąta.

- Czasami nadal się widzimy. Ot tak, żeby pogawędzić. Zostaliśmy przyjaciółmi, on jest dla mnie dobry, a ja mogę robić, co chcę, i z kim chcę się spotykać.

- Wyłączyła ekspres i spojrzała na Linca. - Mamy...

Mamy ze sobą dziecko. On go nie chciał, ale ja nalegałam. Powiedział, że powinnam urodzić je w Anglii. Dziewczynka jest teraz w Portugalii. Mój ojciec poszedł na rentę i nasza córka zamieszkała z moimi rodzicami.

- Po policzku spłynęła jej łza.

- On wpadł na pomysł, żeby tam wysłać dziecko?

- Tak. I miał rację. Ja jeżdżę tam co rok. Moja matka bardzo chciała wziąć dziewczynkę, błagała

mnie. Dla rodziców Quillan też jest szczodry. - Łzy spływały po jej twarzy, ale nie szlochała. - Teraz już wiesz wszystko, Linc. Nigdy nikomu o tym nie mówiłam, ale ty już wiesz, że jestem wiarołomną kochanką, złą matką i...

Podszedł do niej, mocną ją przycisnął i poczuł, jak przytula się do niego, powstrzymuje płacz, czerpie jego siłę i ciepło. Gładził ją po głowie, a ona przyłgnęła do niego całym ciałem. Była ciepła, delikatna, pasowała do niego.

Wspięła się na palce, lekko, ale czule pocałowała go w usta.

Odwzajemnił pocałunek.

Popatrzyli na siebie i znów się całowali. Rosła ich namiętność, chwile stawały się wiecznością i żadne z nich nie usłyszało przekręcania klucza w zamku.

Puścili się i próbowali uspokoić oddechy, serca szalały, gdy usłyszeli z przedpokoju zachrypły głos *Amar*:

- *Weiiii?*

Orlanda poprawiła włosy i w geście przeprosin wzruszyła ramionami.

- Jestem w kuchni! - zawołała po szanghajsku. - Idź

do swojego pokoju. Zawołam cię.

- O? Obcy diabeł jeszcze tu jest? A co z zakupami?

Zrobiłam zakupy!

- Zostaw przy drzwiach.

- Bardzo dobrze, Młoda Metreso! - zawołała *amah* i mrucząc coś poszła do swojego pokoju. Trzasnęła za sobą drzwiami.

Zawsze tak trzaska? - zdziwił się Linc.

- Tak, chyba tak. - Położyła mu dłoń na ramieniu.

Paznokciami dotykała szyi. - Przepraszam.

- Nie ma za co. Może zjemy razem kolację? Zawahała się.

- Jeśli przyprowadzisz ze sobą Casey.

- Nie. Chcę być tylko z tobą.

- Chyba lepiej nie, Linc. Jeszcze nic się nie stało.

Powiedzmy sobie po prostu do widzenia.

- Kolacja o ósmej. Zadzwoń do ciebie. Ty wybierz restaurację. Zamawiam szanghajskie potrawy.

Pokręciła głową.

- Nie. To za szybkie tempo. Przykro mi.

- Zadzwoń o ósmej. - Pocałował ją delikatnie i poszedł do drzwi. - Nic się nie martw. Do zobaczenia, okay?

- Lepiej nie.

- Możliwe. - Dziwnie się do niej uśmiechnął. - Taki był *dźos*, karma. Nie wolno nam zapominać o bóstwach. - Nie odpowiedziała. - Będę tu o ósmej.

Zamknęła za nim drzwi, podeszła powoli do fotela i usiadła zatopiona w myślach. Zastanawiała się, czy go przestraszyła. Dumiała nad tym, czy faktycznie wróci wieczorem. A jeśli tak, to jak utrzymać go na dystans, jak z nim postąpić, żeby oszalał z pożądania, żeby stracił głowę na tyle, aby ją poślubić.

Żołądek podszedł jej do gardła. Muszę działać szybko, pomyślała. Casey ma go w ręku, otoczyła go siecią, a moją jedyną szansą jest gotowanie, dom i miłość. Miłość i jeszcze raz miłość. Wszystko to, czego brakuje Casey. Dostanie wiele... z wyjątkiem łóżka. W

ten sposób Casey chwyciła go w pułapkę. Ja muszę postąpić tak samo.

Wtedy będzie mój.

Orlanda poczuła się lepiej. Doszła do wniosku, że wszystko idzie dobrze. Potem przypomniała sobie, co powiedział Gornt: „Takie już jest prawo dorosłych, że każdy mężczyzna wpada w sidła małżeństwa, zostaje schwytyany w pułapkę swej żądz, obsesji, skąpstwa, chciwości, strachu lub lenistwa. Obojętnie czego, ale zostaje schwytyany. Przenigdy jednak z własnej woli nie poślubia swojej kochanki”.

Tak. Quillan znów się nie mylił, pomyślała. Ale nie ma racji co do mnie. Nie chcę sięgać tylko po połowę nagrody. Pragnę dostać wszystko. Zamierzam mieć nie tylko jaguara i to mieszkanie, ale także dom w Kalifornii i, co najważniejsze, życie w Ameryce z dala od Azji, gdzie nie będę już Euroazjatką, ale kobietą taką jak inne - piękną, beztroską i kochaną.

O, będę dla niego najlepszą żoną, jaką sobie może mężczyzna wymarzyć. Zaspokoję każdą jego potrzebę, zrobię wszystko, czego będzie chciał. Czuję jego siłę, będę dla niego wspaniała.

- Poszedł? - Ah Fat cicho weszła do salonu. Nie przestając cały czas mówić sprzątała. - Bardzo dobrze. Zrobić herbaty? Musisz być zmęczona.

Herbaty, *heya*?

- Nie. Albo tak, zrób herbaty.

- Ach, praca, praca, praca! - Starsza kobieta poszła do kuchni. Ubrana była w czarne spodnie i białą koszulę. Włosy miała splecione w spadający na plecy warkocz.

Opiekowała się Orlandą niemal od

urodzenia. - Widziałam, z góry, jak szliście do domu.

Jak na osobę niecywilizowaną, wygląda całkiem przyzwoicie - dodała.

- O! Nie widziałam cię. Gdzie byłaś?

- Na dole, na schodach - Ah Fat zaskrzeczała. - liii, chciałam go zobaczyć, ale dobrze się ukryłam. Ha!

Wysłałaś swoją starą niewolnicę na taki deszcz. Z

moimi schorowanymi kośćmi. Co za różnica, czy tu byłam, czy nie? Kto ci podaje herbatę albo drinka do łóżka po skończonej pracy, *heya?*

- Cicho! Cicho!

- Nie uciszaj swojej starej biednej Matki! Ona wie, jak się tobą zająć. O tak, Mała Cesarzowo, ale od razu widać, że wasze młode *yin* i *yang* mają zamiar stoczyć bitwę. Wyglądaliście we dwoje tak szczęśliwie... jak koty w beczce z rybami! Nie było potrzeby mnie odprawiać!

Obce diabły są inne, Ah Fat. Chciałam być z nim sama. Obce diabły są wstydliwe. A teraz zrób herbaty i siedź cicho, bo znowu cię odeślę.

- Czy on będzie nowym Panem? - zapytała z nadzieją Ah Fat. - Już czas, żebyś miała Pana. Ktoś taki jak ty nie powinien trzymać Nefrytowych Wrót bez Parującej Pałki. Twoje Wrota wyschną i pokryją się kurzem od nieużywania! O, zapomniałam przekazać ci dwóch wiadomości. Wilkołaki prawdopodobnie pochodzą z Makau, chodzą słuchy, że zaatakują, zanim wzejdzie księżyc. Takie krążą pogłoski, a każdy przysięga, że to prawda. A druga wiadomość, Stary Kaszlący Tok ze straganu rybnego twierdzi, że obcy diabeł ze Złotych Gór ma więcej złota niż eunuch Tung! - Tung był legendarnym eunuchem na cesarskim dworze w Zakazanym Mieście w Pekinie, jego żądzy pieniędzy nie potrafiłyby zaspokoić całe Chiny. Nienawidzono go tak bardzo, że następny cesarz zasypał go złotem i w rezultacie eunuch umarł

pod ciężarem metalu. - Już nie odmłodniejesz, Mała Matko! To nie żarty. Czy będzie nowym Panem?

- Mam nadzieję - wycedziła Orlanda.

O tak, myślała rozgorączkowana, pełna niepokoju.

Wiedziała, że Linc Bartlett jest dla niej najlepszą partią w życiu. Nagle ogarnęło ją przerażenie na

myśl, że przegrała i Linc już nie wróci. Zaczęła szlochać.

Siedem pięter niżej Bartlett przeszedł przez mały hol, wyszedł na dwór i dołączył do grupki ludzi czekających na taksówkę. Rwęce po ulicy potoki spływały do małej rzeczki nie opodal Kotewall Road, ścieki już dawno zapchały się kamieniami, błotem i roślinami spływającymi z wodą. Samochody i ciężarówki z zaparowanymi oknami i włączonymi wycieraczkami jechały w górę i w dół rozpryskując wodę z kałuż.

Po drugiej stronie drogi powstrzymywana przez betonowe ściany ziemia wznosiła się tarasowo do góry, z poziomu na poziom spływał bezmiar strumieni. Z pęknięć na murach wyrastały chwasty, na zboczu powyżej widać było częściowo zasłoniętą chińską mansardę z zielonym

dachem

zdobionym

maszkaronami

i

smokami. Dalej stał kolejny blok mieszkalny.

Ile domów, pomyślał Bartlett. Może powinniśmy zająć się budownictwem? Wiele ludzi na zbyt małym terenie oznacza duże zyski. I amortyzacja po trzech latach.

Jezu!

Taksówka zatrzymała się na brukowej jezdni. Jedni pasażerowie wysiedli, a inni, przepychając się, weszli do środka. Z budynku wyszło chińskie małżeństwo, minęło wszystkich i stanęło na przedzie kolejki. Kobieta z wielkim parasolem i kosztownym płaszczem na *czong-sam* głośno mówiła coś do potulnego męża. Spadaj, pomyślał Bartlett, przede mnie się nie wepchniesz. Stanął w lepszym miejscu. Na zegarku była 10:35.

I co dalej, pytał siebie Bartlett. Nie oszaleć z powodu Orlandy.

Struanowie czy Gornt?

Dzisiaj potyczka, jutro, w piątek, zachwianie równowagi, w weekend przegrupowanie, a w poniedziałek ostateczny atak i około piętnastej powinniśmy wygrać.

Tylko z kim? Z Gorntem czy Dunrossem?

Gornt to szczęściarz, przynajmniej kiedyś był szczęś-

ciarzem, pomyślał rozbawiony. Jezu, przecież Orlanda to co innego. Czy na jego miejscu też bym ją rzucił? Jasne.



Na pewno. No, a może nie. Nic się właściwie nie stało.

Ale ożeniłbym się z nią, gdybym mógł, i nie odsyłał

dziecka do Portugalii. Gornt postąpił jak sukinsyn. Albo spryciarz. No więc?

Ona wszystko przedstawiła w jasnych kolorach, tak jak zawsze Casey. A rezultaty są takie same. Teraz wszystko jest skomplikowane. Albo proste. Jakie?

Czy chcę się z nią ożenić? Nie.

Czy chcę o niej zapomnieć? Nie.

Chcę ją zaciągnąć do łóżka? Pewnie. A więc postaraj się tak manewrować, aby ci się udało. Nie stosuj zasad kobiecych. Na wojnie wszystko jest uczciwe. A czym jest miłość? W każdym razie, jak mówi Casey, jej częścią składową jest seks.

No właśnie, co z Casey? Nie zostało już wiele do odczekania. A co wtedy? Łóżko? Weselne dzwony? Do widzenia? A może jeszcze coś innego? Nie chcę do diabła żenić się jeszcze raz. Mam już dosyć żony.

Dziwne, ale nigdy nie myślałem o niej w dłuższej perspektywie.

Bartlett wrócił z Pacyfiku w 1945 roku, spotkał ją w San Diego i po tygodniu poślubił. Pełen miłości i ambicji zabrał się za rozwijanie przedsiębiorstwa budowlanego w południowej Kalifornii. Trafił w dobry czas i interes kwitł. Pierwsze dziecko przyszło na świat "po dziesięciu miesiącach, za rok drugie, a trzecie po następnych dziesięciu miesiącami. On był silny i młody, odnosił

sukcesy, pracował w każdą sobotę i niedzielę, cieszył

się pracą, jednak dryfował w złym kierunku. Zaczęły się kłótnie, rękoczynny, ciągle: „Nigdy nie masz dla nas czasu, pieprzyć interesy, one mnie nic nie obchodzą, chcę jechać do Francji i do Rzymu, dlaczego przychodzisz tak późno, masz jakąś dziewczynę, wiem, że masz...”

Nie było jednak dziewczyny, ale była ciągła harówka.

Pewnego dnia nadszedł list od adwokata. Potem następne,

Cholera, pomyślał rozżłoszczony Bartlett, jeszcze mam uraz. Jednak jestem jednym z milionów, którzy przeszli i przejdą przez to samo. To boli i pociąga za sobą koszty. Adwokaci zgarniają pieniądze i rozniecają w tobie ogień. Z tego żyją. Wysysają z ciebie krew od kołyski aż do grobu. Są prawdziwą plagą starych, dobrych Stanów.

W swoim życiu spotkałem tylko czterech porządnych prawników. Co z resztą? Pasożytują na nas. Wszyscy znajdujemy się w niebezpieczeństwie.

Tak. Pieprzony Stone. Zmienił ją w diabła, nastawił

przeciwko mnie dzieci i ja, prawie mnie zrujnował i zniszczył interesy. Mam nadzieję, że skurwiel zgnije w piekle.

Z wysiłkiem zebrał myśli, spojrzął na deszcz i przypomniał sobie, że w gruncie rzeczy chodziło tylko o pieniądze. Najważniejsze, że odzyskał wolność. Wspaniałą wolność, z którą czuł się cudownie.

Jezu! Ja mam wolność, a koło mnie jest Casey i Orlanda!

Orlanda.

Boże, pomyślał, wciąż czując ból w lędźwiach, byłem bliski powrotu do tego wszystkiego. Orlanda także. A niech to, z Casey byłoby tak samo. Na razie jednak mam obydwie na karku.

Od kilku miesięcy nie miał kobiety. Ostatnim razem w Londynie, przypadkowe poznanie, przypadkowa kolacja, przypadkowe pójście do łóżka. Ona mieszkała w tym samym hotelu co on, była rozwiedziona, więc nie pojawiły się żadne kłopoty. Jak to mówiła Orlanda? Bolesne do widzenia, wstyd i serdeczna przyjaźń? Tak. Tak, ale tamta się nie wstydziała.

Stał w kolejce, czuł się szczęśliwy, ożywiony, patrzył

na płynące strumienie, cieszył się zapachem deszczu i ziemi. Woda nie mieściła się już \ pęknięciach na drodze.

Deszcz niesie ze sobą wiele kłopotów, pomyślał.

Orlanda tak samo, staruszk. Tak, tak. Mimo to musi być jakiś sposób na zaciągnięcie jej do łóżka. Co w niej jest takiego, że przy niej tracisz głowę? Częściowo piękna buzia, częściowo figura, częściowo spojrzenie oczu.

częściowo... Jezu, kobiety to kłopoty. Lepiej zapomnieć o Orlandzie. Bądź ostrożny, staruszk. Ona ma w sobie dynamit.

10:50

Padało już prawie dwanaście godzin i ziemia w kolonii zwilgotniała, jednak rezerwuary na wodę zapełniły się w niewielkim stopniu. Woda dobrze zrobiła zeschniętej glebie. Większość deszczu spływała po twardej ziemi na niższe poziomy i zamieniała drogi w strumienie, a tereny mieszkalne w jeziora.

Domy w biednych dzielnicach budowane z różnych płyt, desek, kartonów, blach i brezentu często składające się tylko z trzech ścian i sufitu, teraz przewracały się na siebie i przemiękały. Prowadzące między nimi zwykle zakurzone uliczki zamieniły się w zabłocone, niebezpieczne bagna. Przeciekający przez dachy deszcz moczył łóżka, ubrania i inne potrzebne do życia sprzęty.

Jedni ludzie pakowali się w panice, inni ze stoickim spokojem wzruszali ramionami i czekali, aż przestanie padać. Dzielnice rozrastały się bez jakiegokolwiek planu, a jedynym celem było zwiększenie powierzchni na mieszkania dla napływających rodzin uchodźców i nielegalnych przybyszów nie będących w gruncie rzeczy nielegalnymi, ponieważ Hongkong leżał w Chinach i zgodnie z zarządzeniem dawnego rządu każdy Chiń-

czyk, który przekroczył granicę, mógł zostać tak długo, jak chciał.

Kolonia zawsze rosła w siłę na taniej, nieograniczonej i bezkonfliktowej sile roboczej. Ludziom zapewniano azyl w zamian za spokojną pracę. Hongkong nigdy nie zabiegał

o emigrantów, a ludzie z Chin przybywali ciągle. Nocą i za dnia, na statkach, łódkach i pieszo. Gdy Chinami wstrząsał głód lub inne klęski, przekraczali granice mężczyźni, kobiety i dzieci, zostawali, zarabiali pieniądze, a potem wracali. Bo domem zawsze pozostawały Chiny, nawet gdy minęło kilka pokoleń.

Jednak nie zawsze uchodźcy byli przyjmowani. W

minionym roku kolonię niemal zalała fala przybyszów. Z

jakiegoś nieznanego powodu, bez ostrzeżenia, władze chińskie zliberalizowały bardzo srogą dotąd kontrolę graniczną i przez tydzień napływało tysiące osób dziennie. Większość z nich nocą, przez ogrodzenie dzielące Nowe Terytoria od sąsiedniej prowincji Kuangtung. Policja była bezsilna wobec takiej masy ludzi. Trzeba było wezwać wojsko. Pewnej majowej nocy aresztowano prawie sześciotysięczną rzeszę uchodźców i następnego dnia wysłano ją do granicy, ale kolejne tysiące dostawały się do Hongkongu legalnie. Z dnia na dzień sytuacja była coraz bardziej tragiczna. Nowo przybyłych liczono w dziesiątki tysięcy. Tłumy rozjuszo-nych Chińczyków próbowały przeszkodzić deportacjom.

A deportacje były konieczne, ponieważ kolonia nie potrafiła wyżywić i zakwaterować tak wielkiej i rosnącej w szybkim tempie liczby ludzi. I tak trzeba się było zajmować ponad czteromilionową nacją.

Wtedy tak samo nagle, jak otworzono granicę, zamknięto ją. I znów bez żadnych wyraźnych powodów.

Przez sześć tygodni siedemdziesiąt tysięcy osób aresztowano i zawrócono do Chin. Może stu, a może dwustu tysiącom ludzi udało się pozostać, choć nikt naprawdę nie wiedział, ile ta liczba wynosi w rzeczywistości. Wśród tych, co zostali, znajdowali się rodzice Obserwatora Wu i czterech wujków z rodzinami.

Wszystkiego siedemnaście dusz. Obserwator Wu zorganizował im mieszkania w pobliżu Aberdeen, na terenach należących do Czenów z Noble House. Ziemie te do niedawna nie miały żadnej wartości. Teraz stały się cenne. Czenowie wydzierzawiali je stopa po stopie każdemu, kto chciał zapłacić. Wu wynajął prostokąt dwadzieścia na dwanaście stóp za jednego hongkongijskiego dolara miesięcznie za stopę. Potem przez kilka miesięcy pomagał rodzinie wznieść dwa domki, więc teraz podczas deszczu nie mokli. Na sto rodzin przypadał jeden kran z wodą, nie było kanalizacji, elektryczności, jednak cała dzielnica była dość dobrze zorganizowana. Jeden z wujków założył w chatce, którą wynajmował za półtora dolara za stopę miesięcznie, niewielki zakład wytwarzający małe plastikowe kwiatki, inny wuj wynajął stragan na rynku i sprzedawał ryżowe ciasteczka i ryżowy kleik przyrządzany jak w wiosce Ning-tok. Wszystkie siedemnaście osób pracowało, a do wyżywienia mieli dodatkowo urodzone w poprzednim tygodniu dziecko. Nawet dwulatki wykonywały prostsze prace, na przykład sortowanie plastikowych płatków na kwiaty. Większość zarobionych pieniędzy mieszkańcy tej dzielnicy wydawali na żywność i hazard.

Tak, pomyślał podniecony Obserwator Wu, bogowie pomogą mi dostać część pieniędzy za złapanie Wilkołaków i postawię w sobotę na Pilot Fish - czarnego ogiera, który, zgodnie z tym, co wszyscy mówią, wygra na pewno.

Ziewnął idąc boso krętą, zabłoconą alejką, za nim podążała sześciolatnia siostrzenica. Także była boso. Po grubych okularach spływały mu krople deszczu.

Obydwoje ostrożnie stawiali kroki, żeby nie nadepnąć na szkło czy wszechobecne kawałki zardzewiałego drutu.

Gdzieniedzie błoto było głębokie aż po kolana. Mieli podwinięte spodnie, na głowę dziewczynka założyła szeroki słomiany kapelusz kulisa. Obserwator Wu był

w zwykłym, niepolicyjnym kapeluszu kupionym w sklepie z używaną odzieżą. Strój, który miał na sobie, był

jego jedynym ubraniem nie licząc schowanych pod płaszczem, żeby się nie zniszczyły, butów w foliowej torbie. Trafił na większą dziurę i o mały włos się nie przewrócił.

- Przekłęte błoto! - mruknął. Cieszył się, że nie mieszka tutaj, lecz wynajmuje z matką pokój nie opodal posterunku policji. W pokoju nie jesteśmy tak zależni od zmian pogody jak w chałupie z dykty. I, dzięki bogom, nie muszę codziennie pokonywać tej drogi. Zniszczyłbym swoje ubranie i swoją przyszłość, ponieważ w Wywiadzie Specjalnym wymaga się schludności oraz punktualności. O, bogowie, niech to będzie dla mnie wielki dzień.

Ogarniało go zmęczenie. Głowa ciążyła mu do dołu i czuł na karku krople deszczu. Całą noc pełnił służbę.

Gdy wychodził z posterunku, dowiedział się, że wczesnym rankiem odbędzie się zatrzymanie starej *amah* Ah Tam, która miała coś wspólnego z Wilkołakami, a którą on znalazł i śledził do domu. Powiedział więc, że tylko odwiedzi ciężko chorego dziadka i wróci na czas.

Spojrzał na zegarek. Mógł sobie jeszcze pozwolić na to, aby przejść dzielącą go od posterunku milę. Za stosem śmieci skręcił w szerszą alejkę biegnącą wzdłuż kanału mającego odprowadzać deszczówkę. Kanał

uchodził w ściek, szambo lub śmietnisko w zależności od ilości wody.

- Ostrożnie, Piąta Siostrzenico!

- Tak, tak, Szósty Wuju. Mogę iść do końca? - zapytała radośnie.

- Nie, tylko do straganu z cukierkami! Uważaj, szkło!

- Czy Szlachetny Dziadek umrze?

- O tym zadecydują bogowie. Śmierć zależy od nich, nie od nas, więc po co się martwić, *heya?*

- Tak - zgodziła się z poważną miną. - Tak, bogowie to bogowie.

O, bogowie chrońcie Szlachetnego Dziadka i osłódcie mu resztkę życia, modlił się. Potem na wszelki wypadek dodał:

- Święta

Matko

Maryjo

i

święty

Józefie,

pobłogosławcie starego Dziadka.

Kto wie, czy istnieje bóg chrześcijański, a nawet, czy istnieją prawdziwi bogowie? Lepiej jednak, jeśli się da, przebłagać wszystkich. To nic nie kosztuje, a może pomóc. Być może oni śpią albo wyszli na lunch, ale to nic. Życie to życie, bogowie to bogowie, a pieniądze to pieniądze. Prawa trzeba przestrzegać, a dzisiaj muszę być bardzo ostry.

Minionej nocy sierżant Mok i Wąż pierwszy raz zabrali go na akcję specjalną. Zrobili nalot na trzy miejsca, w których uprawiano hazard, ale - co go bardzo zdziwiło - zostawili w spokoju pięć innych, lepiej prosperujących, choć znajdowały się na tym samym piętrze i wyraźnie było słycać stukanie patyczków *ma-dzong* i okrzyki krupierów *fan-tan*.

*Dew neh loh moh*, przydałoby mi się trochę z ich zysków, pomyślał. Nie kuś, Szatanie, dodał zaraz. Lepiej postarać się o pracę w SI, bo wtedy bezpiecznie będę się mógł utrzymać, poznam wiele tajemnic i one mnie ochronią. A gdy zostanę zwolniony, te tajemnice uczynią mnie bogaczem.

Skręcili za róg i doszli do straganu ze słodyczami.

Targował się z kobietą ze dwie minuty, a potem zapłacił dwa miedziaki za ciasteczko ryżowe i rulonik z gazety ze słodzoną, suszoną na słońcu skórką pomarańczową dla dziewczynki.

- Dziękuję, Szósty Wujku - zawołała radośnie siostrzenica.

- Mam nadzieję, że będzie ci smakować, Piąta Siostrzenico - odpowiedział. Kochał ją i cieszył się, że jest taka śliczna. Jeśli bogowie będą łaskawi, wyrosnie nam na prawdziwą piękność, pomyślał zadowolony, wtedy będziemy mogli sprzedać jej panieństwo za duże pieniądze, a jej usługi przyniosą rodzinie zyski.

Obserwator Wu bardzo się szczycił tym, że tak wiele uczynił dla swojej rodziny. Wszyscy są bezpieczni i najedzeni. A ja mam zapewniony mozolnie wynegocjowany procent od dochodów Dziewiątego Wuja ze sprzedaży plastikowych kwiatów, który dostanę, jak *dżos* da, za rok może dwa, plus trzy razy tygodniowo darmowe jedzenie z kleiku ryżowego Ning-tok. I dzięki temu mogę zaoszczędzić trochę pieniędzy, nie potrzebuję brać łapówek, które tak łatwo mogłyby zrujnować mi przyszłość.

Nie. Nie wezmę łapówki, gdy mam szansę na SI, ale to niezbyt rozsądnie, że dostajemy tak mało pieniędzy. Ja na przykład trzysta dwadzieścia dolarów hongkongijskich po dwóch latach służby. *Aiii ia*, nie sposób zrozumieć barbarzyńców.

- Wracaj do domu, ja przyjdę jutro - powiedział. -

Tylko ostrożnie.

- Tak, tak.

Pochylił się, uścisnęli się i poszedł. Dziewczynka z ciastkiem w buzi ruszyła pod górę.

Monotonnie padał rześisty deszcz. Szła ostrożnie ścieżką spoglądając w odprowadzający deszczówkę *ka-nał*. Fascynowała ją spływająca woda. Nagle poleciała na nią z góry pięciogalonowa beczka, więc dziewczynka ze strachem przylgnęła do tekturowej ściany.

Znieruchomiała przerażona.

- Wynocha! Nie ma tu co kraść! - zawołał zdenerwowany właściciel tekturowej chaty. - Do domu!

Już cię tu nie ma! Do domu!

- Tak... Tak - wymamrotała i pośpieszyła do góry.

Wspinanie szło jej o wiele trudniej. Nagle osunęła się za nią ziemia i setki ton piachu i skał stoczyło się do dołu niszcząc wszystko na swej drodze. Przez kilka sekund ziemia osunęła się o jakieś piętnaście jardów niszcząc budowle, jednych ludzi pochłaniając, a innych raniąc, y Tak samo niespodziewanie jak ruszyła, ziemia nagle zatrzymała się.

Na całym zboczu zapadła cisza przerywana jedynie odgłosami padającego deszczu. Po chwili zaczęły się krzyki i nawoływania o pomoc. Mężczyźni, kobiety i dzieci wybiegli z nie tkniętych chat i dziękowali bogom, że są bezpieczni. Przyjaciele pomagali przyjaciołom, sąsiedzi sąsiadom, matki szukały dzieci, dzieci kolegów, ale większość stała w deszczu i błogosławiła *dżos*, że wyszła cało z tej katastrofy.

Dziewczynka trzęsła się na skraju przepaści. Za-glądała do niej z niedowierzaniem. Jedenaście, stóp przed nią było tylko urwisko, a jeszcze kilka sekund wcześniej znajdowała się twarda ziemia. Poczowała, że ześlizguje jej się stopa, więc zrobiła krok, ale wtedy usunął się kolejny kawałek ziemi, więc dziewczynka stanęła przerażona. W dłoni nadal trzymała kawałek ryżowego ciastka. Palce grzęzły jej w miękkiej ziemi, kiedy starała się znaleźć oparcie i utrzymać równowagę.

- Nie ruszaj się! - zawołał stary człowiek.

- Odejdź od przepaści! - krzyknął inny. Reszta stała i wstrzymując oddech czekała na decyzję bogów.

Nagle oderwał się kolejny kawał ziemi i przysypując dziewczynkę do kolan, minął ją i spadł w przepaść.

Dziewczynka upewniła się, że ciastko ryżowe jest bezpieczne, i zalała się łzami.

11:30

Samochód policyjny nadinspektora Armstronga z trudem przejeżdżając przez tłum ludzi zgromadzonych przed bankiem Ho-Pak kierował się w stronę posterunku policji we wschodniej Aberdeen. Tłumy zbierały się także pod innymi bankami w tej dzielnicy. I przed wielkimi, i przed małymi, nawet przed oddziałem Victorii znajdującym się naprzeciw Ho-Pak. Wszyscy cierpliwie czekali na odebranie swoich pieniędzy.

Napięcie rosło, ludzie byli zdenerwowani, a padający deszcz jeszcze pogarszał sytuację. Ustawione przed bankami barierki umacniali równie poirytowani policjanci bez broni, jedynie z gumowymi pałkami u boku.

- Dobrze, że pada - bąknął Armstrong.

- Sir? - zapytał kierowca rozdrażniony, bo źle ustawione, piszczące wycieraczki zagłuszały słowa.

Robert Armstrong powtórzył głośniej i dodał:

- Gdyby było gorąco i duszno, zaczęłyby się rozruchy.

Deszcz ostudził trochę temperamenty.

- Tak, sir. To prawda.

Po jakimś czasie samochód zatrzymał się przed posterunkiem. Armstrong pośpieszył do środka. Główny inspektor Donald C. C. Smyth już na niego czekał.

Lewą rękę miał zawieszoną na temblaku.

-

Przepraszam, że tak długo - usprawiedliwiał się Armstrong. - Ale ten cholerny tłum ciągnie się chyba z milę,,

- Nic się nie stało. Przykro mi, ale brakuje nam rąk do pracy. Dostaliśmy pomoc z zachodniej Aberdeen i śródmieścia, ale oni też mają problemy. Cholerne banki!

Będziemy musieli iść do *amah* tylko z jednym gliniarzem.

On już obstawi tyły na wypadek, gdybyśmy gonili jakiegoś łajdaka. My i Obserwator Wu wejdziemy od frontu -

przedstawił swój plan Smyth.

- Zgoda.



- Możemy ruszać od razu? Nie chcę być zbyt długo poza posterunkiem.

- Oczywiście. Pogoda nam nie dopisuje.

- Mam nadzieję, że ten cholerny deszcz skończy się przed zamknięciem banków albo wypłaceniem ostatniego pensa. A ty już zlikwidowałeś konto?

- Chyba żartujesz. Moje nędzne grosze niczego nie zmieniają. - Armstrong przeciągnął się. Bolały go plecy. -

Ah Tam jest w mieszkaniu?

- Z tego, co wiemy, tak. Rodzina, dla której pracuje, nazywa się Cz'ung. Pan Cz'ung jest śmieciarzem.

Możemy tam zastać jednego z porywaczy, więc lepiej się pośpieszmy. Dostałem od komisarza pozwolenie na zabranie broni, też chcesz?

- Nie. Dzięki. Chodźmy już.

Smyth był niższy od Armstronga, ale podobnie jak on był dobrze zbudowany i pasował mu mundur. Manewrując ostrożnie chorą ręką niezgrabnie założył płaszcz i ruszył

do drzwi, lecz nagle zatrzymał się.

- Ale ze mnie bałwan! Zapomniałem, że dzwonił Brian Kwok z SI i prosi cię o telefon. Chcesz zadzwonić z mojego gabinetu?

- Tak, dziękuję. Masz trochę kawy? Napiłbym się.

- Chodźmy na górę.

Biuro Smytha było schludne, skromne, choć Armstrong zauważył drogie krzesła, biurko, radio i szafkę z aktami.

- Podarunki od wdzięcznych ludzi - wyjaśnił wesoło Smyth. - Zostawiam cię na parę minut.

Armstrong skinął głową i wybrał numer.

-

Tak, Brian.

- O cześć, Robert. Jak leci? Stary polecił zawieźć ją na Komendę Główną, a nie do wschodniej Aberdeen.

- W porządku. Właśnie wychodzimy. A dlaczego akurat na Komendę Główną?

- Tego nie mówił, ale humor mu dopisuje. Zdaje się, że wieczorem mamy szesnaście łamane przez

dwa.

Armstrong ożywił się. 16/2 znaczyło w SI, że złamano szyfr wroga i bierze się pod obserwację szpiega albo szpiegów.

- Czy to ma coś wspólnego z naszym zadaniem? -

zapytał mając na myśli Sevrin.

- Być może. - Potem nastąpiła pauza. - Pamiętasz, co mówiłem o zdrajcy w naszych szeregach? Teraz jestem więcej niż pewny, że to właściwy trop. - Brian Kwok przeszedł na kantoński i oględnie, na wypadek gdyby ich podsłuchiowano, opowiedział całą historię.

Armstrong z

rosnącą

konsternacją

wysłuchał

opowieści o porannym długim, prywatnym spotkaniu Crosse'a i Suslewa na wyścigach.

- Przecież to nic nie znaczy. Crosse zna tego kolesia. Nawet ja raz czy dwa z nim piłem.

- Możliwe. Ale jeśli Crosse jest zdrajcą, całkiem naturalne byłoby przekazywanie wiadomości w miejscu publicznym, *heya?*

- Teraz nie ma czasu - powiedział Armstrong. - Jak przyjdę na komendę, to pogadamy. Może zjemy razem lunch?

Znów chwila milczenia.

- Stary

chce, żebyś

zameldował mu, jak

przywieziecie *amah*.

- W porządku. Do zobaczenia. Armstrong odłożył

słuchawkę. Wrócił Smyth.

- Jakież złe wieści?

-

Nic, cholera, tylko kłopoty. Zawsze pieprzone kłopoty - Armstrong upił łyk kawy. Filiżanka była zrobiona z doskonałej porcelany, a kawa świeża i przepyszna. - Wspaniała kawa! Crosse, chce, żeby przy prowadzić tę starą od razu na komendę, a nie tutaj. Smyth zmarszczył brwi.

- Chryste, dlaczego ta stara ma być taka ważna? To mój teren...

- Nie wiem! Nie ja wydałem pieprzony...

- Powstrzymał wybuch. - Przepraszam. Nie dosypiam od paru dni. To nie moje rozkazy. Crosse kazał ją zawieźć na komendę i nic nie wyjaśnił. On ma prawo przejąć każdego... dobrze o tym wiesz.

- Arogant! - podsumował Crosse'a Smyth kończąc kawę. - Dzięki Bogu nie jestem w SI. Nie zniósłbym ciągłych dyskusji z tym osłem!

- Ja nie jestem w SI i też mnie nęka.

- A co z tym naszym zdrajcą? Armstrong przyjrzał mu się uważniej.

- Z jakim zdrajcą? Smyth roześmiał się.

- Daj spokój! Pośród Smoków chodzą plotki, że nasi

nieustraszeni

dowódcy

dostali

polecenie

szybkiego odnalezienia łajdaka. Zdaje się, że nawet minister przyciskał gubernatora. Londyn tak się wkurzył, że przysyłają do nas szefa MI-6. Chyba słyszałeś, że jutro liniami BOAC przylatuje Sindera.

Armstrong westchnął.

- Skąd ty u diabła czerpiesz takie informacje?

- Telefonistki, *amah*, sprzątacze. Możesz się założyć, że przynajmniej jedno z nich wie o wszystkim.

Znasz Sindera?

- Nie, nigdy go nie widziałem. - Armstrong napił się kawy,

rozkoszował

się

bogatym

smakiem,

delikatnością i złożonością zapachu. - Skoro wszystko wiesz, to kto jest zdrajcą?

- Taka informacja sporo by kosztowała - rzekł po chwili zastanowienia Smyth. - Mam zapytać o cenę?

- Tak, bardzo proszę. Tobie żaden zdrajca nie przeszkadza, prawda?

- Ani trochę. Ja, dzięki Bogu, dobrze wykonuję swoją pracę i zdrajcy ani łapanie ich nic mnie nie obchodzi. Złapiecie tego, a na jego miejsce przyjdzie inny. My im, kimkolwiek oni są, robimy to samo.

A na razie, jak się skończy ten cholerny szturm na Ho-Pak, moja dzielnica znów będzie najspokojniejsza w kolonii i to mnie najbardziej obchodzi. - Smyth podsunął Armstrongowi złotą papierośnicę. - Zapalisz?

- Nie, dziękuję, rzuciłem.

- Słusznie. Póki mam spokój i póki wiem, że za cztery lata pójdę na emeryturę, świat mi się podoba. -

Zapalił papierosa złotą zapalniczką. Armstrong poczuł

do niego jeszcze większą niechęć. - A tak przy okazji, chyba głupio robisz, że nie bierzesz tej koperty, która każdego miesiąca pojawia się na twoim biurku.

- A ty bierzesz? - Armstrong spoważniał.

- Tak. I nic na to nie poradzisz. Absolutnie nic.

Gwarantuję ci.

- Ale jak weźmiesz raz, już siedzisz po same uszy w błocie.

- Nie. Jesteśmy w Chinach, a tu jest inaczej. - Błę-

kitne oczy Smytha także spoważniały. - No, ale ty wiesz lepiej.

- Któryś z przyjaciół prosił cię, żebyś przekazał mi tę informację?

Smyth wzruszył ramionami.

- Słyszałem jeszcze jedną plotkę. Twój udział w na-grodzie Smoków za odnalezienie Johna Czena wynosi czterdzieści tysięcy...

- Przecież ja go nie znalazłem! - Armstrong podniósł

głos.

- Mimo to dziś wieczorem na twoim biurku znajdzie się koperta. Tylko tak słyszałem. Oczywiście to plotka.

Armstrong natychmiast zaczął rozważać: 40 tysięcy pokryłoby w całości terminowy dług na giełdzie papierów wartościowych, który miał spłacić do poniedziałku.

„Cóż, stary, musisz zapłacić. Mija już rok, a my mamy swoje zasady. Nie nalegam, ale trzeba to jakoś uregulować...”

Smyth znów ma rację, pomyślał bez goryczy. Ten skurwiel wie o wszystkim i łatwo mu się dowiedzieć, ile mam długu. A zatem wezmę czy nie?

- Tylko czterdzieści? - zapytał z uśmiechem. -

Zdaje się, że to wystarczy, aby zaspokoić twoje najpilniejsze potrzeby - z błyskiem w oku zauważył

Smyth. - Prawda?

Armstrong nie miał za złe Wężowi, że tak dużo wie o jego prywatnym życiu. On o jego też wiedział niemało, choć akurat nie to ile ma pieniędzy i gdzie. Ale i tego z łatwością mogę się dowiedzieć i mieć go w garści, pomyślał. Z łatwością.

- Dziękuję za kawę. Od lat nie piłem tak dobrej.

Idziemy?

Smyth niezręcznym ruchem zarzucił płaszcz na dobrze skrojony garnitur, sprawdził temblak, założył czapkę i wyszli. Po drodze Armstrong poprosił Wu, żeby powtórzył, co zostało ustalone na temat Wilkołaków, a potem *amah*.

-Dobrze, Wu - pochwalił Armstrong, gdy młodzieniec skończył. - Doskonale się zachowałeś. Naprawdę wspaniale. Inspektor Smyth mówi, że chcesz wstąpić do SI?

- Tak jest, sir.

- Dlaczego?

- To bardzo ważny oddział w SB, sir. Zawsze interesowała mnie służba bezpieczeństwa, ochrona kolonii i walka z wrogami. Wydaje mi się, że to bardzo ważna i interesująca praca. Może mógłbym się przydać, sir?

Nagle dały się słyszeć dobiegające z drugiej strony wzgórza syreny strażackie.

- Jakiś dureń znów przewrócił piec - stwierdził

Smyth. - Dzięki Bogu pada deszcz.

- Tak - odparł Armstrong i zwrócił się do Wu. - Jeśli będzie tak, jak mówisz, wspomnę o tobie w SB albo SI.

Obserwator Wu nie przestawał się klaniać.

- Tak jest, sir. Dziękuję. Ah Tam naprawdę po chodzi z tej samej wioski. Tak, sir.

Skręcili w boczną uliczkę. Tłum sklepikarzy i straganiarzy patrzył na nich podejrzliwie spod parasoli lub brezentowych daszków. Smyth znany był w Aberdeen jako najstraszniejszy *quai loh*.

- To tam - szepnął Wu. Zgodnie z planem Smyth zatrzymał się od niechcienia przy straganie przed drzwiami wejściowymi i zaczął oglądać warzywa. Właściciel znieruchomiał z przerażenia. Armstrong i Wu weszli do środka, poczekali na Smytha i w trójkę ruszyli po schodach na górę. Dwóch umundurowanych policjantów, którzy trzymali się w bezpiecznej odległości, teraz odcięło drogę od frontu. Gdy przejście było już bezpieczne, jeden z nich pobiegł jeszcze węższą uliczką na tyły upewnić się, czy detektyw po cywilnemu zajmuje swoją pozycję.

Klatka schodowa było brudna i obskurna. Na każdym piętrze poniewierało się mnóstwo śmieci. Smyth szedł

przodem. Zatrzymał się na drugim piętrze, odpiął kaburę z pistoletem i stanął z boku. Armstrong bez wahania wyważył ramieniem drzwi wrywając przy tym zamek i wpadł do środka. Smyth natychmiast poszedł za nim.

Zdenerwowany Wu stał przy drzwiach. Pokój umeblowany był starymi sofami i krzesłami, na oknach wisiały brudne zasłony. W powietrzu rozchodził się słodki zapach opium i oleju kuchennego. Tęga kobieta w średnim wieku upuściła gazetę i otworzyła usta ze zdziwienia. Smyth otworzył drzwi prowadzące do nie posprzątej sypialni, następnie do śmierdzącej toalety i łazienki, kolejne do drugiej sypialni z nie pościelonymi pryczami dla czterech osób. Ostatnie drzwi otworzył

Armstrong. Prowadziły do małej, dusznej kuchni, w której Ah Tam nachylała się nad zlewem pełnym brudnych naczyń. Popatrzyła na niego z niezmaconym spokojem. Minął ją i otworzył następne drzwi do pustej klitki bez okien, jedynie z otworem wentylacyjnym, gdzie stała prycza bez materaca i połamana komoda.

Wrócił do pokoju; a Ah Tam podreptała za nim.

Oddychał spokojnie. Serce biło mu normalnym tempem.

Po chwili Smyth wyjął dokument i powiedział grzecznie:

- Bardzo przepraszam, że przeszkadzamy, madame, ale mamy nakaz rewizji.

*Wat?*

- Przetłumacz, Wu - polecił Smyth, a Wu natychmiast powiedział wszystko, co wcześniej zaplanowali, przedstawiając się najpierw jako tłumacz dwóch tępych policjantów *quai loh*, którzy

nie mówią po kantońsku.

Kobieta była zdruzgotana.

- Rewizja? - wrzasnęła. - Jaka rewizja? My przestrzegamy prawa! Mój mąż pracuje dla rządu i ma ważnych znajomych... A jak szukacie szkoły hazardu, to my z nią nie mamy nic wspólnego, to ci z trzeciego piętra. O tych śmierdzących dziwkach spod szesnastki też nic nie wiemy...

- Dosyć - przerwał ostro Wu. - My jesteśmy policjantami od spraw ważnych! Ci panowie są bardzo ważni w policji! Ty jesteś żoną Cz'unga sprzątacza?

- Tak - odpowiedziała posępnie. - Czego od nas chcecie? Nic nie zrobiliśmy...

Dosyć! - uciął po angielsku Armstrong. - To jest Ah Tam? Ty jesteś Ah Tam?

— Co, ja? *Wat?* - Stara *amah* nie poznała Wu i nerwowo mięła fartuch.

-

Ty jesteś Ah Tam i aresztuję cię.

Ah Tam zbladła.

- A więc to jej szukacie - zorientowała się gospodyni i zakłęła. - Nic o niej nie wiemy. Kilka miesięcy temu zabraliśmy ją z ulicy, daliśmy jej dom i...

-

Wu, powiedz jej, żeby się zamknęła!

Uciszył ją obcesowo. Zasepiła się jeszcze bardziej. "- Ci panowie chcą wiedzieć, czy ktoś tu jeszcze jest.

- Oczywiście, że nie. Ślepi jesteście? Przecież napadliście na mój dom jak jacyś przestępcy i sami widzieliście. Ja nic o niczym nie wiem.

- Ah Tam, ci panowie chcą wiedzieć, gdzie jest twój pokój.

- Czego ode mnie chcecie, Szlachetny Policjancie? -

zaczęła klekotać. - Ja nic nie zrobiłam. Nie jestem tu nielegalnie, mam dokumenty... Nic nie zrobiłam. Jestem praworządną obywatelką, która ciężko pracuje na swoje...

- Gdzie twój pokój?

- Tam - pokazała młodsza z kobiet, po czym zaskrzeczała poirytowanym głosem. - A gdzie może być jej pokój? Oczywiście, że za kuchnią. Te obce diabły nie mają rozumu? Gdzie jeszcze może mieszkać

panna? A ty, stara wiedźmo, kłopotów tylko uczciwym ludziom narobisz! Coś przeszkrobała? Jak kradłaś warzywa, to ja z tym nie mam nic wspólnego.

- Cicho, bo weźmiemy cię na komendę, a tam na pewno cię zatrzymają. Cicho!

Kobieta chciała rzucić przekleństwo, ale się powstrzymała.

- A teraz... - zaczął Armstrong, ale zauważył

zaglądających

z

korytarza

kilku

ciekawskich

Chińczyków. Zrobił gwałtowny krok w ich stronę i wszyscy zniknęli. Tłumiąc rozbawienie zamknął drzwi.

- A teraz zapytaj je, co wiedzą o Wilkołakach.

Młodsza kobieta wytrzeszczyła oczy. Ah Tam natomiast zrobiła się prawie zielona.

- Co, ja? Wilkołaki? Nic. Skąd mam coś wiedzieć o porywaczach? *Co* oni mają ze mną wspólnego? Nic, nic a nic.

- A ty, Ah Tam?

- Ja? Zupełnie nic - zapewniła gorliwie. - Jestem uczciwą *amah* wykonującą tylko swoją pracę i nic poza tym!

Wu przetłumaczył odpowiedzi. Obydwaj zwrócili uwagę na to, że tłumaczenie było jasne, szybkie i dokładne. Obydwaj cierpliwie ciągnęli grę, w którą grali już wiele, wiele razy.

- Powiedz jej, żeby natychmiast powiedziała prawdę - rozkazał Armstrong.

Armstrong nachylił się nad Ah Tam. Nie miał wobec niej złych zamiarów, tak samo jak Smyth. Chcieli po prostu wyciągnąć od niej prawdę. Prawdę, która może doprowadzić do zidentyfikowania Wilkołaków, a im szybciej ci złoczyńcy zawisną za morderstwo, tym łatwiej będzie panować nad Hongkongiem i tym szybciej praworządni obywatele, włączając ich samych, będą mogli bezpiecznie wrócić do swoich interesów albo zainteresowań - robienia pieniędzy, chodzenia na wy-

ścigi i na panienki. Tak, pomyślał Armstrong, szkoda mi tej starowinki. Dwadzieścia dolarów przeciwko złamanej szpilce do kapelusza, że tamta nic nie wie, ale Ah Tam wie więcej, niż nam



kiedykolwiek powie.

- Powiedz, że chcę znać prawdę!

- Prawdę? Jaką prawdę, Szlachetny Panie? Co taka biedna, stara...

Armstrong podniósł rękę w dramatycznym geście.

-

Dosyć!

To był umówiony sygnał. W jednej chwili Obserwator Wu przeszedł na dialekt ning-tok, którego nikt z obecnych prócz *amah* i niego nie rozumiał.

- Starsza Siostrze, radzę ci mówić szybko i otwarcie.

My już wszystko wiemy.

Ah Tam otworzyła usta. Miała tylko dwa wygięte zęby w dolnej szczęce.

- Co, Młodszy Bracie? - zapytała odruchowo w tym samym dialekcie. -Czego ode mnie chcecie?

- Prawdy! Wiem o tobie wszystko.

Widać było, że go nie rozpoznała.

- Jakiej prawdy? Nigdy w życiu cię nie widziałam.

- Nie pamiętasz mnie? Przy straganie z drobiem.

Pomogłaś mi kupić kurczaka, a potem piliśmy herbatę.

Wczoraj. Nie pamiętasz? Opowiadałaś mi o Wilkołakach, o tym, że mają ci dać dużą nagrodę...

Wszyscy trzej zobaczyli nagły błysk w jej oczach.

- Wilkołaki? To niemożliwe! To musiał być ktoś inny!

Pomyliłaś mnie z kimś. Powiedz tym Szlachetnym Panom, że nigdy wcześniej...

- Cicho, stara wiedźmo! - syknął ostro Wu. -

Pracowałaś dla Wu Ting-topa, a twoja podopieczna nazywała się Fan-ling i umarła trzy lata temu. Mieli aptekę na skrzyżowaniu! Dobrze znam to miejsce.

- Kłamstwo... Kłamstwo...

- Dobrze. Powiedz jej, że zabieramy ją na posterunek. Tam nam powie.

Ah Tam zaczęła się trząść.

-

Tortury? Będziecie torturować staruszkę? Ooo...

Kiedy przyjdzie ten Wilkołak? Dzisiaj po południu?

- Ooo... Nie wiem. Powiedział, że się spotkamy, ale ten złodziej nie wrócił. Pożyczyłam mu pięć dolarów na powrót...

- Gdzie on mieszka?

- Co? A! On... Mówił, że u znajomych znajomych... Coś o North Point... Nic już nie pamiętam...

Armstrong i Smyth obserwowali ją i wkrótce stało się jasne, że kobieta, mimo że się wykręca, wie niewiele i zaczyna coraz barwniej zmyślać.

-

I tak ją zabierzemy - zdecydował Armstrong.

Smyth skinął głową.

- Zajmiesz się tym? Ja przyślę kilku ludzi. Naprawdę powinienem wracać.

- Oczywiście. Dzięki ci.

Smyth wyszedł. Armstrong kazał Wu powiedzieć, żeby siedziały cicho, podczas gdy on przeszuka mieszkanie.

Kobiety ze strachem wypełniły polecenie. Wszedł do kuchni i zamknął za sobą drzwi.

Ah Tam od razu zwróciła się do swego wyrodnego krajana:

- Młodszy Bracie - szepnęła wiedząc, że jej pani nie rozumie dialektu ning-tok. - Ja niczemu nie jestem winna. Spotkałam tamtego diabła tak samo jak ciebie.

Nic nie zrobiłam. Ludzie z tej samej wioski powinni ze sobą trzymać, *heya?* Taki przystojny mężczyzna jak ty potrzebuje pieniędzy na dziewczynki albo dla żony.

Jesteś żonaty, Szlachetny Młodszy Bracie?

— Nie Starsza Siostró - odparł Wu uprzejmie, jak mu kazano.

Armstrong stał w drzwiach do klitki Ah Tam i setny raz zastanawiał się, dlaczego Chińczycy tak źle

traktują służących i dlatego służący pracują w takich strasznych warunkach, dlatego godzą się oddać życie i usługi w zamian za psie pieniądze, niewiele szacunku i brak miłości.

Kiedyś zapytał o to nauczyciela. - Nie wiem -

odpowiedział stary człowiek. - Ale chyba dlatego, że stają się częścią rodziny. Zwykle pracują tylko za utrzymanie. Ale i ta praca ma wiele dobrych stron.

Służący korzystają ze wszystkich pieniędzy wydawanych na utrzymanie domu, na jedzenie, picie, środki czyszczące, wszystko, bez względu na to, czy rodzina jest biedna czy bogata. Bo jak inaczej godziliby się na takie małe zarobki bez możliwości dorobienia na boku?

Może to jest odpowiedź, pomyślał Armstrong. To prawda, że każdy Chińczyk zanim przyjmie pracę, roz-patrzy wszystkie dobre i złe strony i niezwykle uważnie podejmuje decyzję.

W pomieszczeniu *amah* cuchnęło. Armstrong zatkał

nos. Przez otwór wentylacyjny wpadała deszczowa wo-da, cała ściana pokryta była plamami od wody przeciekającej podczas wielu burz. Zaangażował w poszukiwania wszystkie zmysły. Niewiele tu było miejsca do ukrycia czegośkolwiek. Prycza i pościel były stosunkowo czyste, choć w kącie biegało kilka robaków. Pod łóżkiem znalazł tylko zardzewiały nocnik i pustą walizkę. W kilku starych torebkach także nic nie było. W komodzie znalazł trochę ubrań, tanią biżuterię i tandetną nefrytową bransoletkę. Kiedy sięgnął pod ubrania, wpadła mu w ręce haftowana torebka, w środku było kilka starych listów, wycinków z gazety i dwa . zdjęcia.

Serce mu zamarło.

Po chwili wyszedł do kuchni i w lepszym świetle przyjrzał się dokładnie fotografiom i nabrał pewności, że się nie myli. Po przeczytaniu wycinków z gazet poczuł

mętlik w głowie. Na wycinkach i jednej z fotografii były daty.

W

piwnicy

Kwatery

Główniej

Policji,

w

dźwiękoszczelnym pokoju, na ustawionym w środku twardym stołku siedziała Ah Tam. Pomieszczenie było duże, jasno oświetlone, ściany, sufit i podłoga pomalowane na białe. Jedyne drzwi, również białe, niemal zlewały się ze ścianą. Nawet stołek miał biały kolor. Była sama,

przestraszona i mówiła już wszystko.

- A co wiesz o barbarzyńcy w tle zdjęcia? - zapytał

przez ukryty głośnik Wu w dialekcie ning-tok.

- Tyle razy już mówiłam i mówiłam, Panie... Nic nie wiem - zakwiliła. - Chcę do domu... Naprawdę, słabo widziałam obcego diabła... Ja wiem, że odwiedził nas wtedy tylko raz, Panie... Nie pamiętam, to było tyle lat temu. Powiedziałam już wszystko... mogę iść?

Armstrong obserwował ją przez przezroczyste lustro z zaciemnionej sali. Obok niego stał Wu. Obydwaj mieli zacięte miny. Choć w sali działała wentylacja, po czole Wu

sływał pot. Głośno obracały się rolki magnetofonu. Przed policjantami sterczały mikrofony, zainstalowano

cały

skomplikowany

sprzęt

elektroniczny.

- Chyba powiedziała nam już wszystko, co trzeba -

stwierdził Armstrong, było mu jej szkoda.

- Tak,

sir.

-

Wu

starał się nie okazywać

zdenerwowania. Po raz pierwszy w życiu brał udział w dochodzeniu SI. Był przestraszony, zaaferowany i bolała głowa.

- Zapytaj ją jeszcze, skąd ma torebkę.

Wu wykonał polecenie. Mówił spokojnie, ale z pewnością w głosie.

- Przecież mówiłam ci już tyle razy - zajęczała staruszka. - Pozwól mi iść...

- Powiedz nam jeszcze raz i wtedy będziesz wolna.

- No dobrze... dobrze... Powiem... Należała do mojej podopiecznej, która dała mi ją na łożu śmierci, dała ją, przysięgam...

- Poprzednio powiedziałaś, że dała ci na dzień przed śmiercią. Co więc jest prawdą?

Ja... Ja nie pamiętam, Panie. To było na... Jak umierała... Nie pamiętam. - Kobieta poruszała ustami, nie wydobywał się z nich żaden dźwięk, a potem rzuciła z siebie w przyływie energii : - Wzięłam ją po śmierci i schowałam... były też te stare zdjęcia... Nie miałam ani jednego zdjęcia mojej pani, więc wzięłam je, w torebce był tael srebra, ale zapłaciłam nim za podróż do Hongkongu, jak panował głód. Wzięłam go, bo żaden z jej synów... ani żadna córka, ani nikt z rodziny, która nienawidziła moją panią i mnie, nic by mi nie dali. Wzięłam, jak nikogo nie było....Dała mi przed śmiercią i schowałam... Dała mi...

Słuchali, pozwalając jej się wygadać. Ścienny zegar wskazywał 13:45. Przesłuchiwali ją pół godziny.

- Na razie wystarczy, Wu. Za trzy godziny po wtórzmy przesłuchanie na wszelki wypadek jeszcze raz, ale zdaje się, że niczego nie zataiła.

Armstrong podniósł słuchawkę telefonu i wybrał

numer. - Mówi Armstrong, możecie już ją zabrać do celi - wydał dyspozycje. - Upewnijcie się, że dobrze zniosła wypytywanie. - Do normalnej procedury SI należało badanie lekarskie aresztanta przed i po przesłuchaniu. Lekarz powiedział, że Ah Tam ma puls i ciśnienie krwi dwudziestolatki.

Po chwili białe drzwi otworzyły się i umundurowany policjant grzecznie wyprowadził Ah Tam. Armstrong zgasił światło i włączył cofanie taśmy. Wu potarł brwi.

- Świetnie ci poszło, Wu. Szybko się uczysz.

- Dziękuję, sir.

Kiedy taśma się przewinęła, Armstrong zdjął rolki.

- Zawsze zapisujemy datę i dokładny czas trwania przesłuchania, a także kryptonim podejrzanego. Dla zachowania bezpieczeństwa i tajemnicy. - Spojrzał na numer w książce i zapisał: - Przesłuchiwana Ah Tam, kryptonim

V-11-3.

To ściśle tajne i będzie

przechowywane w. sejfie. - Pod jego twardym wzrokiem Wu prawie zadrżał. - Powtarzam: Lepiej przyjmij do wiadomości, że do zamkniętych ust nie wpadają muchy i że wszystko w SI, wszystko, w czym dzisiaj wzięłeś udział, jest ściśle tajne.

-

Tak jest, sir. Można na mnie polegać.

- Pamiętaj też, że SI ma nad sobą prawo w osobie gubernatora i ministra w Londynie. I na tym koniec.

Stare, dobre prawo angielskie, fair play i normalna policyjna procedura nie dotyczą SB i SI. To samo nietykalność osobista, procesy i apelacje. W SI stosuje się jedynie przymusową deportację do ChRL lub na Tajwan. Zależy co gorsze. Zrozumiano?

- Tak jest, sir. Chcę pracować w SI, więc można mi wierzyć. Nie gaszę pragnienia trucizną - zapewniał pełen nadziei Wu.

- Dobrze. Na następnych kilka dni zostajesz przydzielony do Kwatery Głównej.

Wu otworzył usta.

-

Ale, sir... Tak jest, sir.

Wyszli z salki i Armstrong zamknął drzwi. Klucz oddał

pełniącemu wartę agentowi SI.

- Taśmy na jakiś czas zatrzymam. Wszystko po-kwitowałem.

- Tak, sir.

- Zajmij się konstabłem Wu. Będziemy go gościć przez kilka dni. Zaczynaj od jego raportów. On może być nieoceniony. Zarekomendowałem go do SI.

- Tak, sir.

Zostawił ich samych, poszedł do windy i pojechał na swoje piętro. Cały czas czuł niesmak. Przesłuchania SI były dla niego przekleństwem. Nienawidził ich, choć zwykle były krótkie i przynosiły rezultaty. On wołał

staroświecką bitwę wymagającą podchodów i cierpliwości.

Nie miał zaufania do tych nowoczesnych, psycho-logicznych narzędzi.

- To cholernie niebezpieczne, jeśli ktoś by pytał -

mruknął idąc korytarzem. W nozdrzach czuł jeszcze piżmowy zapach Kwatery Głównej. Nienawidził Crosse'a, SI i wszystkiego, co się z tym wiąże. Drzwi były otwarte.

- O, cześć, Brian - powiedział z ponurą miną. Brian Kwok trzymał nogi na biurku i czytał chińską

poranną komunistyczną gazetę. - Co tam słycać?

W Iranie większa afera - powiedział. - „Kapitaliści z CIA do spółki z szachem-tyranem stłumili rewolucję ludową w Azerbejdżanie, poległo tysiące ludzi" i tak dalej. Nie wierzę w te bzdury, ale wygląda na to, że CIA i wojsko raz na zawsze zaprowadzą tam porządek.

-

I kurewsko słusznie!

Brian Kwok podniósł wzrok. Przestał się uśmiecać.

- Co się stało?

- Podle się czuję. Posłałem po dwa piwa, a potem zjemy lunch. Co powiesz na curry? Może być?

- Tak, ale jeśli czujesz się źle, to może przełożymy lunch.

- Nie, tu nie chodzi o złe samopoczucie. Ja... ja po prostu nienawidzę białych przesłuchań... Przyprawiają mnie o gęsią skórkę.

Brian Kwok spojrzał uważniej.

-

Byłeś na dole ze starą *amah*? Po kiego czorta?

-

Na rozkaz Crosse'a. To skurwiel.

Brian Kwok odłożył gazetę.

- Tak, to prawda. Myślę, że nie mylę się co do niego.

- Brian, nie teraz. Może po lunchu, ale nie teraz.

Chryste! Muszę się napić. Cholerny SI. Już tam nie pracuję, a wychodzi na to, że ciągle tam tkwię.

- Ale przyjdiesz wieczorem na szesnaście łamane przez dwa? Chyba będziesz asystował.

- Nic mi o tym nie wspominał. A o co chodzi?

- Skoro on cię nie uprzedził, ja też tego nie zrobię.

- Jasne. - Dla bezpieczeństwa i zminimalizowania możliwości rozchodzenia się informacji nawet najbardziej zaufanym agentom biorącym udział w tym samym śledztwie nie przedstawiało się w SI wszystkich faktów. -

Nie mam zamiaru przy niczym asystować - Obruszył

się wiedząc, że jeśli Crosse wyda rozkaz, nic się nie da zrobić. - Czy ta akcja ma coś wspólnego z Sevrin?

- Nie wiem. Mam nadzieję. - Kwok rozchmurzył się. -

Głowa do góry, Robert, mam dla ciebie dobrą wiadomość. - Armstrong po raz kolejny zauważył, że jego przyjaciel jest przystojny, ma złotą skórę, białe zęby, błyszczące oczy i budzące zaufanie spojrzenie.

- Przystojniak z ciebie, koleś. Co to za dobra wiadomość? Przycisnąłeś Jedną Stopę i podał ci pierwszą czwórkę w sobotnich wyścigach?

- Marzyciel! Chodzi o te dokumenty, które znalazłeś u Lo Krzywy Ząb i przekazałeś do wydziału antykorupcyjnego. Pamiętasz? Od Fotografę Nga.

- Tak, tak. Co?

- Zdaje

się, że z tego naszego chińsko-

amerykańskiego gościa Thomasa K. K. Lima, który jest „gdzieś w Ameryce Południowej”, to niezłe ziółko.

Ma bogate akta. Aż nazbyt. W Anglii nasi koledzy z wydziału antykorupcyjnego oddzielają właśnie ziarno od plew. Znalazłeś skarb.

- Ma to jakiś związek z Tsu-ianem?

- Tak. I jeszcze z wieloma innymi. Bardzo, bardzo ważnymi osobistościami...

- Z Banastasio?

Brian Kwok uśmiechnął się.

- Z samym Vincenzem Banastasio. Z Johnem Czenem, bronią, Tsu-ianem. Potwierdza się teoria Petera Marlowe'a.

- A Bartlett?

- Jeszcze nie. Ale Marlowe zna kogoś, kto wie dużo więcej niż my. Może powinniśmy się za niego wziąć?

Zajmiesz się tym?



- Co tam jeszcze jest w tych papierach?

- Thomas K. K. Lim, katolik, trzecie pokolenie chińskich Amerykanów. Zbiera wszelkiego rodzaju ko-respondencje, listy, notatki, zapiski i tym podobne. -

Brian Kwok znów uśmiechnął się bez humoru. - Ci nasi amerykańscy przyjaciele są gorsi, niż nam się wydawało.

- Na przykład?

- Na przykład pewna powszechnie znana, pochodząca z Nowej Anglii rodzina z koneksjami do spółki z kilkoma amerykańskimi i wietnamskimi generałami jest zamieszana w budowę kilku wielkich, zupełnie nie-potrzebnych baz lotniczych w Wietnamie. Niepotrzebnych, ale zyskownych... dla nich.

- Hurra! Są nazwiska?

I nazwiska, i stopnie wojskowe, i liczby. Gdyby władze wiedziały, że przyjaciel Thomas ma dokumenty, błady strach padłby na Pentagon i kilka drogich, zadymionych gabinetów. Armstrong chrząknął.

- Jest pośrednikiem?

- Nazywa siebie tłumaczem. Jest w dobrych stosunkach z wieloma notablami. Amerykańskimi, włoskimi, wietnamskimi, chińskimi, po obu stronach barykady. Te papiery dokumentują wszystkie defraudacje. Inny układ pozwalał wyprowadzać z USA miliony dolarów przeznaczone na fałszywy fundusz pomocy Wietnamowi.

Osiem milionów już dostali. Kolega Lim zorganizował

nawet zdeponowanie *h'eung yau* w Szwajcarii.

- Możemy coś z tym zrobić?

- O tak, jeśli złapiemy Thomasa K. K. Lima i jeśli będziemy chcieli coś zrobić. Pytałem już Crosse'a, ale tylko wzruszył ramionami i zapowiedział, że to nie nasza sprawa. Skoro Jankesi chcą oszukiwać swój rząd, to ich problem. To informacja dająca wiele władzy, Robert. Jeśli tylko część dostanie się do publicznej wiadomości, od samej góry do samego dołu będzie śmierdziało.

Crosse chce tę sprawę

przekazać Rosemontowi?

- Nie wiem. Chyba nie. Z jednej strony ma rację.

Bardzo głupio wszystko wyciszać. Bardzo głupio. Ich trzeba pozamykać, zasłużyli sobie. Jak będziesz miał

chwilkę czasu, przeczytaj te dokumenty, są pikantne.

- A Lim miał jakieś koneksje z tamtymi dwoma? Z

Lo Krzywy Ząb i tym drugim? Ukradli pieniądze z funduszu CARE?

- Tak, na pewno, ale ich dokumenty spisywane są po chińsku i na rozszyfrowanie potrzeba więcej czasu.

Dziwne, że Crosse go wyczuł, prawie tak, jakby wcześniej coś wiedział. - Zniżył głos. - Wiem, że mam rację.

Zapadła cisza. Armstrong nadal czuł niesmak w ustach. Oderwał wzrok od kropel padającego deszczu i spojrzał na Briana.

- Masz coś nowego?

- Znasz wicekonsula w amerykańskim konsulacie?

Tego homoseksualistę, co sprzedaje wizy?

- Znam, i co?

- W zeszłym miesiącu Crosse był u niego w mieszkaniu na kolacji.

Armstrong potarł twarz.

- To niczego nie dowodzi. Posłuchaj, jutro dostaniemy teczkę. Jutro Sinderson...

-

Nie wiadomo, czy będziemy je mogli przeczytać.

- Osobiście guzik mnie obchodzi. To sprawa SI, a ja jestem z CID i...

Przerwało mu pukanie do drzwi. Wszedł chiński kelner z dwiema puszkami zimnego piwa na tacy i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dzień dobry, *sah* - podał jedno piwo Brianowi Kwokowi, drugie Armstrongowi i wyszedł.

- Na zdrowie - powiedział Armstrong i upił spory łyk.

Potem podszedł do sejfu i schował taśmy.

- Na pewno nic ci nie jest? - zapytał uważnie wpatrzony w niego Brian Kwok.

- Na pewno.

- Co mówiła ta staruszka?

- Najpierw kłamała jak najęta. Potem przyszła kolej na prawdę. Calutką. Opowiem ci po lunchu, Brian. Jeśli jesteś cierpliwy, potrafisz oddzielić kłamstwo od prawdy, wiesz jak to jest. - Armstrong dokończył piwo. - Boże, tego mi było trzeba.

- Proszę, weź i moje.

Nie, dzięki, ale przed curry napiję się whisky z wodą sodową. Dokończ i w drogę.

Brian Kwok odstawił prawie pełną puszkę.

- Mnie już wystarczy; - Zapalił papierosa. - Jak z twoim niepaleniem?

- W porządku. - Armstrong obserwował, jak przyjaciel głęboko się zaciąga. - Co z Worańskim albo jego mordercami?

- Rozpłynęli się W powietrzu. Mamy ich zdjęcia, więc ich złapiemy. No, chyba że uciekli przez granicę.

- Albo na Tajwan.

Brian Kwok pokiwał głową.

- Albo do Makau, do Korei Północnej, Wietnamu lub gdzie indziej. Minister skręca się ze wściekłości na Crosse'a o tego Worańskiego. Tak samo MI-6 i CIA.

Lepiej by było, gdybyśmy znaleźli tych drani przed Rosemontem, bo stracimy twarz. Jego dowództwo też naciska. Słyszałem, że strzegą się każdego człowieka podejrzewając go o związki z Sevrn. Poza tym boją się, żeby ich lotniskowiec nie wpadł w jakieś tarapaty.

- Cholernie głupio przyplýwać tutaj i prowokować ChRL. Takie monstrum stanowi jawne zaproszenie dla każdego agenta w Azji.

- Na miejscu Sowietów na pewno spróbowałbym się na nim rozejrzeć. SI prawdopodobnie też się o to stara.

Crosse lubi mieć wtyczkę na pokładzie. Czemu nie?

- Armstrong popatrzył na kłębiący się dym. - Gdybym był nacjonalistą, podłożyłbym kilka min i oskarżył

ChRL. Albo vice versa i winą obarczył Czang Kai-szeka.

- CIA tak robi, żeby ci w Chinach powariowali ze złości.

-  
Daj spokój, Brian.

Inspektor Kwok napił się jeszcze piwa i wstał.

- Już nie mogę. Chodźmy.

- Jeszcze chwileczkę. - Armstrong wybrał numer.

- Mówi Armstrong, zorganizujcie następną sesję dla V-11-3 na siedemnastą. Będę... — Przerwał, widział, jak przyjaciel mruga oczami, potem przygląda mu się i siada na krześle. Z ciężkim sercem odłożył słuchawkę na widełki. Teraz pozostawało mu już tylko czekanie.

Zrobiłem, co do mnie należało, pomyślał.

Otworzyły się drzwi. Wszedł Crosse. Za nim trzech starsi agenci SI, wszyscy Brytyjczycy, wszyscy z kamiennym wyrazem twarzy. Jeden z nich szybkim ruchem nałożył

czarny kaptur na głowę Briana Kwoka, pomógł mu wstać i wyprowadził z pokoju. Dwaj inni poszli za nimi.

Robert Armstrong nie czuł nic, ani wyrzutów sumienia, ani wstrząsu, ani złości. Nic. Wiedział, że nie może być mowy o pomyłce, ale był też świecicie przekonany, że przyjaciel, którego zna od dwudziestu lat, nie może być komunistycznym szpiegiem. A jednak. Dowody nie pozostawiały wątpliwości. Zdjęcia i wycinki z gazet dowodziły, że Brian Kwok był synem Fang-ling Wu, który zatrudniał Ah Tam, podczas gdy zgodnie ze świadectwem urodzenia i wersją Briana jego rodzice nazywali się Kwok i zostali zamordowani przez komunistów w Kantonie w 1943. Jedna z fotografii przedstawiała Briana Kwoka stojącego obok szczupłej chińskiej damy przed apteką na skrzyżowaniu dróg.

Jakość fotografii była słaba, ale wystarczająco dobra, aby rozpoznać charakter sklepu i twarz. W tle stał

stary samochód, za nim zaś Europejczyk z częściowo odwróconą głową. Obserwator Wu rozpoznał, że jest to apteka w Ning-tok, własność rodziny Tok-ling Wu.

Ah Tam wskazała kobietę jako swoją panią.

-  
A ten mężczyzna obok niej? Kim on jest?

- A, to jest jej syn, Panie. Już mówiłam. Drugi Syn Czu-toj. On teraz mieszka za morzem, w takim kraju na północ od Złotych Gór - mówiła w małym pokoju staruszka.

- Znowu kłamiesz.

- O, nie, Panie. To jej syn, Czu-toj. Urodził się w Ning-tok, a ja go własnymi rękami pomagałam odbierać. Był drugim synkiem Matki i wyjechał, jak był

dzieckiem...

- Wyjechał? Dokąd?

- Do... Do Deszczowego Kraju, a potem do Żółtych Gór. Teraz ma restaurację i dwóch synów... Jest biznesmenem i przyjechał zobaczyć się z Ojcem...

Ojciec wtedy umierał, a on przyjechał jak posłuszny syn, a potem wyjechał, a Matka płakała za nim i płakała...

- Jak często odwiedzał rodziców?

O, tylko raz, Panie, tylko ten jeden raz. Teraz mieszka tak daleko, w takim dalekim miejscu, ale przyjechał jak posłuszny syn, a później pojechał. Ja go, Panie, widziałam przypadkiem. Matka wysłała mnie do sąsiedniej wioski, żebym się spotkała z rodziną, ale czułam się taka samotna, to wróciłam wcześniej i go zobaczyłam... Już odjeżdżał. Odjeżdżał wozem obcych diabłów...

- Skąd miał samochód? Należał do niego?

- Nie wiem, Panie. W Ning-tok nie było samochodów. Nawet wioskowy komitet nie miał, ani Ojciec, co to był aptekarzem. Biedny Ojciec w takich męczar-niach umierał. Był członkiem komitetu... Dali nam spokój ci Przybysze, ludzie Mao... Tak, dali nam spokój, bo Ojciec był intelektualistą i aptekarzem i zawsze w tajemnicy popierał Mao, chociaż ja nie wiedziałam, Panie,

przysięgam,

nie

wiedziałam.

Ludzie

przewodniczącego Mao dali nam spokój, Panie.

— Jak się nazywał ten syn waszej Matki? Ten z foto grafii.

- Czu-toj, Panie, był drugi... Pamiętam, jak go wy-syłali z Ning-tok w to... w to straszne miejsce, do Wonnej Zatoki. Miał pięć, a może sześć lat i wysłali go do wujka...

- Jak się nazywał jego wujek?

- Nie wiem, Panie. Nigdy nie słyszałam. Pamiętam tylko, że Matka płakała i płakała, jak Ojciec wysłał go do szkół... Mogę już iść? Taka jestem zmęczona, proszę...

- Najpierw powiedz nam wszystko, co chcemy wiedzieć. Oczywiście prawdę.

- O, mówię prawdę, samą prawdę...

-  
Został wysłany do szkoły w Hongkongu? Dokąd?

Nie wiem, Panie. Moja Pani nigdy nie mówiła gdzie. Tyle tylko, że do szkoły, a potem zapomniała o nim, ja też, i tak było lepiej, bo on oszedł na zawsze, bo drugi syn zawsze musi odejść...

-  
Kiedy Czu-toj wrócił do Ning-tok?

- Kilka lat temu, jak umierał Ojciec. Wrócił tylko raz, raz jedyny, Panie, nie pamiętasz, jak mówiłam? Ja już to mówiłam.. Wtedy, co na zdjęciu. Matka błagała z płaczem, żeby zrobił sobie z nią zdjęcie... Na pewno czuła bliskość śmierci, a gdy umarł Ojciec, została sama... A jak ona tak płakała i płakała, to Czu-toj jako posłuszny syn pozwolił jej i ona wtedy była taka zadowolona...

- A kim jest ten barbarzyńca na zdjęciu? - Od-wróconego częściowo mężczyzny w tle nie było łatwo rozpoznać, jeśli się go nie znało. Stał za zaparkowanym obok apteki samochodem. Był to wysoki Europejczyk w pogniecionym ubraniu i bez żadnych cech charak-terystycznych.

- Nie wiem, Panie. Był kierowcą i odwiózł Czu-toja, ale komitet wioskowy i sam Czu-toj wiele razy kłaniali mu się i mówiło się, że on jest bardzo ważny. To pierwszy obcy diabeł, jakiego widziałam w życiu, Panie...

- A ci ludzie na drugim zdjęciu? - Druga fotografia była starsza, przypominała sepię, i przedstawiała wpatrzoną w aparat zadowoloną parę w źle skrojonych ubraniach ślubnych.

- To oczywiście Matka i Ojciec, Panie. Nie pamiętasz, jak mówiłam? I to nie raz. To jest Matka i Ojciec. On nazywał się Ting-top Wu, a jego *tai-tai*, moja Pani, Fańgling...

- A co z tymi wycinkami?

- Nie wiem, Panie. Były przypięte do zdjęć, to je też wzięłam. Matka je przyczepiła. Po co mi jakieś bazygroły...

Robert Armstrong westchnął. Pożółkłe kawałki pochodziły z chińskiej gazety wydawanej w Hongkongu.

Nosiły datę 16 lipca 1937 roku i dotyczyły trzech chińskich młodzieńców wyróżnionych przez rząd Hongkongu stypendium w angielskiej szkole publicznej. Pierwszym z nich był Kar-szun Kwok. Oficjalne chińskie imię Briana Kwoka brzmiało Kar-szun.

- Dobrze się spisałeś, Robert - chwalił Crosse.

- Naprawdę? - odezwał się Armstrong starając się z całych sił nie dać po sobie poznać, w jak podłym jest nastroju.

Tak, bardzo dobrze. Postąpiłeś zgodnie z regu-  
minem, przyszedłeś do mnie od razu z dowodami i  
nasz szpieg został uśpiony. - Crosse zapalił papierosa i usiadł

na biurku. - Cieszę się, że pijesz dobre piwo. Domyślał

się czegoś?

- Nie. Chyba nie. - Armstrong ze wszystkich sił starał

się panować nad sobą. - Przepraszam, sir, czuję się strasznie. Muszę wziąć prysznic. Przepraszam...

- Usiądź na chwilkę, proszę cię. Wiem... na pewno jesteś zmęczony. I to bardzo...

Chryste, Armstrong chciał wyć ze złości, to niemożliwe!

Niemożliwe, żeby Brian Kwok był głęboko zakon-spirowanym agentem, ale wszystko na to wskazuje. Bo po co zmieniałby personalia, po co fałszowałby świadectwo urodzenia? Po co wymyślał misterne historie o rodzicach zabitych przez komunistów podczas wojny w Kantonie? Po co jeszcze miałby ryzykować potajemny powrót do Ning-tok po trzydziestu latach konspiracji, jeśli nie z powodu śmierci własnego ojca? A skoro te fakty są prawdziwe, automatycznie narzucają się inne: Skoro wiedział o zbliżającej się śmierci ojca, musiał pozostawać w stałym kontakcie z Państwem Środka. Jako nadinspektor hongkongijskiej policji musiał być naprawdę ważną osobistością dla ChRL, że sekretnie pozwolono mu przyjechać i wyjechać z Chin. A skoro był taką szyczą musiał należeć do nich, musiał się przez wiele lat szkolić i wprawiać.

- Chryste - mruknął. - Bez trudu mógłby zostać komisarzem...

- Co teraz proponujesz, Robert? - zapytał miękkiem głosem Crosse. Armstrong powrócił myślami do terażniejszości.

- Trzeba posprawdzać wszystkie fakty. Na pewno znajdziemy jakieś powiązania. Tak. Jego ojciec był komunistą ale pochodził z Ning-tok, więc krewny w Hongkongu, do którego został wysłany Brian, pewnie też pochodzi stamtąd. Musieli mieć na niego oko w Anglii, Kanadzie, tutaj... Tak łatwo wzbudzić nienawiść do *quai loh* i tak łatwo Chińczykom ją ukryć. Przecież nazywa się ich najbardziej tajemniczym i najcierpliwszym narodem na świecie, prawda? Tak, trzeba wszystko sprawdzić, znaleźć powiązania i wyświecić prawdę.

- Znow masz rację, Robert. Ale zacznij od przesłuchania.

Armstrong poczuł, jak ze zgrozy podchodzi mu żołądek do gardła.

-

Tak.

- Wiesz, że to dla ciebie zaszczyt.

-Nie.

- Będziesz nadzorował przesłuchanie. Nie biorą w nim udziału żadni Chińczycy, tylko sami wyżsi oficerowie brytyjscy. Z wyjątkiem Wu, Obserwatora Wu.

Tak, on może pomóc. Tylko on, to dobry chłopak.

- Nie mogę... Nie zrobię tego.

Crosse westchnął i otworzył przyniesioną ze sobą dużą szarą kopertę.

-

A co sądzisz o tym?

Trzęsącą się ręką Armstrong wyjął ze środka zdjęcie. Było to powiększenie osiem na dziesięć cali małego wycinka fotografii z Ning-tok, przedstawiające głowę Europejczyka stojącego za samochodem.

Twarz mężczyzny była do połowy niewidoczna.

- Sądzę, że odwrócił się, żeby uniknąć sfotografowania.

- Ja też. Poznajesz go?

Armstrong przyglądał się próbując rozpoznać twarz.

- Nie - pokręcił głową.

- Może to być Worański? Nasz martwy przyjaciel?

- Możliwe. Chociaż nie, nie sądzę.

- A Dunross? Ian Dunross.

Całkowicie wytrącony z równowagi, odwrócił zdjęcie bardziej do światła.

- Możliwe... Ale nieprawdopodobne! Jeśli... Jeśli to Dunross... Miałby być z Sevrin? Niemożliwe.

- Nieprawdopodobne, ale nie niemożliwe! Przyjaźnili się z Brianem.

Crosse zabrał zdjęcie i wpatrywał się w nie z napięciem.

- Ktokolwiek to jest, wygląda znajomo. Nie wiem tylko, gdzie i kiedy mogłem go widzieć. No, ale



nie nie szkodzi. Brian będzie pamiętał. - Głos miał jedwabisty.

- Nie przejmuj się, Robert, przydzieliłem Briana tobie, bo ty jeden możesz zadać mu „cios łaski”. Chcę się szybko dowiedzieć, kim jest ten facet. Właściwie, chcę natychmiast się zorientować, co wie Brian.

- Nie. Weź kogoś...

- Robert, przestań nudzić. Czu-toj Wu alias Brian Kar-szun Kwok jest zdrajcą, który od lat nas oszukiwał

i tyle. A przy okazji, wieczorem o osiemnastej trzydzie-

ści jesteś przydzielony do asysty przy szesnastej łamane przez dwa. Już rozmawiałem z komisarzem.

- Nie, nie mogę przesłucha...

- Ależ, mój drogi, możesz i będziesz. Tylko ty potrafisz i poradzisz sobie. Brian jest za inteligentny, żeby dać się podejść jak amator. Oczywiście jestem tak samo zaskoczony ja ty, że to zdrajca. Gubernator też.

- Proszę, nie...

- On zdradził Fong Fonga, który też był twoim przyjacielem, nie? Musiał przekazać też informacje z dokumentów Medforda i wiele innych faktów. Bóg jeden wie, czego on się jeszcze dowiedział, na przykład na kursie dla wyższych oficerów i innych szkoleniach.

- Crosse pyknął dymem, minę miał taką jak zwykle.

- W SI był obdarzany największym zaufaniem i zgadzam się, że miał szanse na wysokie stanowisko.

Chciałem go nawet zrobić swoim zastępcą. Lepiej więc dowiedzmy się o nim wszystkiego. Dziwne, szukaliśmy sowieckiego szpiega, a znaleźliśmy chińskiego.

-Zgasił

papierosa.

-

Zarządzam

przesłuchanie

pierwszego

stopnia.

Początek

natychmiast.

Krew odpłynęła z twarzy Armstronga. Patrzył na Crosse'a z jawną nienawiścią.

- Jesteś kawał skurwiela! Pieprzonego, zasranego skurwiela!

Crosse uśmiechnął się lekko: - To prawda.

- Pedziem też jesteś?

- Być może. Być może czasami, gdy mi to sprawia przyjemność... Być może. - Przyjrzał mu się uważnie.

-

No nie, Robert, naprawdę sądzisz, że mógłbym być szantażowany? Ja? Szantażowany? Ty, Robert, nie znasz życia. Słyszałem, że homoseksualizm to zupełnie normalna sprawa, nawet w wyższych sferach.

- Czyżby?

- W dzisiejszych czasach to jest nawet modne. Tak, tak, mój drogi, i czasem uprawiają homoseksualizm także katolicy. Nawet w Moskwie. - Crosse zapalił

następnego papierosa. - Oczywiście, trzeba zachować dyskrecję, uważnie dobierać partnerów, szczególnie mało znanych, ale w naszej profesji wszystko wolno, prawda?

- Więc usprawiedliwiasz morderstwa, oszustwa i kłamstwa popełnione w imię cholernego SI, tak?

- Ja niczego nie usprawiedliwiam, Robert. Wiem, że jesteś trochę rozbity, ale dosyć już tego.

- Nie możesz zmusić mnie do działania w SI. Rezygnuję.

Crosse zaśmiał się szyderczo.

- Ależ, mój drogi, a co z twoimi długami? Co z czterdziestoma tysiącami na poniedziałek? - Wstał.

Wzrok miał zimny. Rzucił bezlitośnie w stronę Armstronga:

- Obydwaj skończyliśmy dwadzieścia jeden lat, Robert.

Złam go i to szybko.

15:00

Gong obwieścił koniec sesji giełdowej, ale zginął w nerwowych rozmowach maklerów chcących rozpaczliwie sfinalizować ostatnie transakcje.

Dla Struanów był to fatalny dzień. Na sprzedaż została wystawiona ogromna liczba akcji i natychmiast znalazła nabywców, ale pojawiające się jedna za drugą plotki z powrotem spowodowały wyprzedaż. Kurs akcji spadł z 24.70 do 17.50, a w ofercie sprzedaży pozostało jeszcze 300000 udziałów. Na łeb, na szyję zleciały ceny akcji banków. Wszyscy spodziewali się, że następnego dnia upadnie Ho-Pak. Sir Luis Basilio jednak zawiesił w południe transakcje tymi akcjami i uratował bank.

- Ale smród - wyrwało się komuś. - Niech diabli porwą ten gong.

- Patrzcie na tai-pana! - krzyknął ktoś inny. - Boże wszechmogący, można by pomyśleć, że to zwykły dzień, a nie śmierć Noble House!

- Naszemu Ianowi nie brakuje jaj! Nie ma wątpliwości!

Patrz na ten uśmiezek. Chryste, jego akcje spadły z dwudziestu czterech dolarów siedemdziesięciu centów do siedemnastu i pół dolara w przeciągu jednego dnia, podczas gdy od wejścia na giełdę nigdy nie schodziły poniżej dwudziestu pięciu, a on się zachowuje, jakby nigdy nic. Jutro Gornt przejmie kontrolę.

- Racja. Albo bank.

- Victoria? Nie. Oni mają własne problemy - powiedział

jeszcze ktoś z rozemocjonowanej i spoconej grupki maklerów.

- A niech to gęś kopnie! Naprawdę sądzicie, że Gornt to zrobi? Gornt tai-panem nowego Noble House?

- Nie mogę sobie wyobrazić!

- Lepiej się do tego przygotować, stary. Ale co do tego, że Ian ma stalowe nerwy, to się zgadzam...

- Do czasu, do czasu.

- Daj spokój, tai-pan to fajny facet, a Gornt to arogancki łajdak.

- Obydwaj to łajdaki.

- O, nie wiem. Ale to prawda, że Ian jest opanowany.

Opanowany, a zarazem dobroduszny i ostry jak chili...

- Ale nie tak jak Willy, bo ten nie żyje!

- Willy? Jaki Willy? - dopytywał się ktoś prze-krzykując głośne śmiechy.

- Boże, Charlie, to tylko takie powiedzonko, rymo-wanka! Willy rymuje się z chili i tyle. Jak ci dzisiaj poszło?

- Zarobiłem furę pieniędzy na prowizjach.

- Ja też.

- Cudownie. Pozbyłem się wszystkich akcji. Dzięki Bogu, odzyskałem płynność. Straci na tym kilku moich klientów, ale... łatwo przyszło, łatwo poszło. Odbiją to sobie.

- Ja jeszcze mam pięćdziesiąt osiem tysięcy Struanów i żadnych kupujących...

- Jezus Maria!

-

Co jest?

- Ho-Pak skończony. Właśnie zamknęli drzwi! —

Co takiego?

- Wszystkie oddziały.

- Boże wszechmogący, na pewno?

- Oczywiście, Victoria też jutro będzie zamknięta, bo gubernator zarządzi wakacje dla banków. Dowiedziałem się tego od najwyższych władz!

- Słodki Boże, Victoria zamknięta!

- Chryste, jesteśmy zrujnowani...

Słuchajcie, właśnie rozmawiałem z Johnjohnem.

Mówi, że szturm ich dotknął, ale wszystko będzie dobrze i nie ma obaw...

- Bogu dzięki!

- Mówił też, że pół godziny temu w Aberdeen, gdy padł tamtejszy oddział Ho-Pak, zaczęły się rozruchy.

Ale Richard Kwang złożył oświadczenie dla prasy i ogłosił, że wszystkie oddziały zostaną „tymczasowo zamknięte” i nie ma się co martwić, bo mają dużo, pieniędzy.

- Kłamstwo!

- ...i każdy może przyjść wypłacić oszczędności z książeczki w oddziale głównym w centrum.

- A co z ich akcjami? Jak zostaną zlikwidowani, to ile będą płacić? Dziesięć centów za dolara?

- Bóg jeden wie. Ale tysiące ludzi straci na tym.

- Hej, tai-pan. Zamierzasz pozwolić na dalszy spadek kursu waszych akcji czy będziesz kupował?

- Noble House jest silny jak zawsze - powiedział

swobodnie Dunross. - Radzę kupować.

- Jak długo jeszcze będziesz czekał, tai-pan?

- Cóż, jakoś damy sobie z tym radę. Nie ma się co martwić. - Przeciskał się przez tłum w stronę wyjścia.

Za nim podążał Linc Bartlett i Casey. Wszyscy zasypywani gradem pytań. Większość z nich kwitowali żartem, na kilka odpowiedzieli, aż pojawił się Gornt i stanął naprzeciw Dunrossa.

-O, Quillan, dużo dzisiaj zarobiłeś? - zapytał

uprzejmie Dunross.

- Dziękuję, sporo. Razem ze współnikami jakieś trzy, cztery miliony. ....

- Masz współników?

- Oczywiście. Nikt nie zaatakowałby Noble House w pojedynkę. Trzeba sobie zapewnić odpowiednie wsparcie. - Gornt uśmiechnął się. - Na szczęście wielu dobrych ludzi nienawidzi Struanów już od ponad wieku. Z radością ci oświadczam, że jutro na otwarcie giełdy wystawiłem na sprzedaż trzysta tysięcy akcji. To powinno doprowadzić was do upadku.

- Nie jesteśmy Humpty-Dumpty, lecz Noble House.

- Tylko do jutra. No, może do soboty. Najpóźniej do poniedziałku. - Gornt spojrzał na Bartletta. - We wtorek na kolacji?

- Tak.

Dunross uśmiechnął się.

- Quillan, na krótkiej sprzedaży łatwo się poślizgnąć, zwłaszcza na tak ruchliwej giełdzie. - Odwrócił

głowę do Bartletta i Casey. - Zgadza się?

- To zupełnie inaczej niż u nas w Nowym Jorku

- rzucił Bartlett w odpowiedzi na powszechny śmiech.

- To, co się dzisiaj tu działo, puściłoby całą naszą ekonomię w diabły, no nie Casey?

- Tak - potwierdziła bez przekonania czując na sobie spojrzenie Gornta. - Witam. - Kiwnęła mu głową.

- To zaszczyt gościć panią tutaj - powiedział z szarmancją. - Pozwolę sobie wyrazić podziw dla waszej wczorajszej odwagi.

- Nic wielkiego nie zrobiłem - rzekł Bartlett.

- Ani ja - podkreśliła lekko poirytowana Casey wiedząc, że jest jedyną kobietą na sali, i znajduje się w centrum zainteresowania. - Gdyby nie Linc i Ian... i ty, i inni, pewnie bym wpadła w panikę.

- Ale tak się nie stało. Twój skok był doskonały

- powiedział z uznaniem.

Zostawiła to bez komentarza, ale nie po raz pierwszy poczuła, że odkąd bez zastanowienia zdjęła ubranie, zmieniło się jej życie. Rano zadzwonił Gaval an zapytać o samopoczucie. Potem w jego ślad poszli inni. Na giełdzie jeszcze bardziej niż poprzednio czuła na sobie spojrzenia mężczyzn. Przyjmowała komplementy, często od obcych. Miała wrażenie, że Dunross, Gornt i Bartlett pamiętają, że ich nie zawiodła. Ani ich, ani siebie. Tak, pomyślała, wiele zyskałam w oczach mężczyzn. Wzrosła też zazdrość innych kobiet.

-

Pan też stawia na krótką sprzedaż, panie Bartlett?

- zapytał Gornt.

- Osobiście nie - odparł Bartlett z lekkim uśmiechem.

- Na razie.

A powinien pan. Z pewnością pan wie, ile pieniędzy można zarobić na upadającym rynku. Pieniądzy, które zmienia kierownictwo Struanów. - Znów przeniósł wzrok na Casey, nadal był pod wrażeniem jej odwagi, jej ciała i tego, że w niedzielę przyjdzie na jacht sama. - A ty, Ciranoush, grasz na giełdzie?

Casey usłyszała, jak wypowiedział jej imię i poczuła dreszcz przebiegający po plecach. Ostrożnie, przestrzegła siebie. Ten człowiek jest niebezpieczny. Dunross i Linc też.

Który bardziej?

Chyba wszyscy trzej jednakowo, pomyślała.

Dzień był ciekawy od samego rana. Najpierw Dunross zadzwonił z pytaniem o zdrowie. Potem wstała z łóżka i nie czuła żadnych skutków wieczornego pożaru ani kuracji doktora Tooleya. Cały ranek spędziła na telefonowaniu i wysyłaniu teleksów do Stanów. Udało jej się sfinalizować połączenie z inną kompanią, z którą pertraktowali już od kilku miesięcy, sprzedała z zyskiem inną kompanię, aby móc dalej stabilizować Par-Con w Azji. Potem niespodziewanie Linc zaprosił ją na lunch.

Drogi, dobry, zawsze atrakcyjny Linc, pomyślała wspominając lunch zjedzony na najwyższym piętrze

„Victoria and Albert” w wielkiej sali jadalnej z widokiem na przystań i wyspę Hongkong. Połówka grejpfruta, sałatka, woda mineralna, a wszystko nienagannie podane. Właśnie tego było jej trzeba. A potem kawa.

- Może pójdziemy na giełdę? O wpół do trzeciej? -

zapropozował. - Ian nas zapraszał.

- Mam jeszcze wiele do zrobienia, Linc, i...

- Ale to wyjątkowe miejsce, a ci faceci wyczyniają tam niewiarygodne rzeczy. Tu handel informacją poufną jest na porządku dziennym i nie ma w tym nic nielegalnego.

To cudowny układ. To, co tutaj legalnie można zarobić w jeden dzień, w Stanach zabrałoby dwadzieścia lat.

- Ale to i tak nie w porządku, Linc.

- Tak, ale tu jest Hongkong i ich zasady im odpowiadają, a przecież to ich kraj i ich rząd zbiera po piętnaście procent podatku - odparł. - Powiem ci, Casey, że tu właśnie możesz zarobić pieniądze na ustawienie się.

- Miejmy nadzieję! Idź sam, Linc. Naprawdę mam jeszcze wiele do zrobienia.

- Poczekam. Dzisiaj-może dojść do rozstrzygnięcia.

Powinniśmy przy tym być.

- Gornt wygra?

- Jasne, chyba że Ian zdobędzie skądś masę pienięd-

zy. Słyszałem, że Victoria mu nie pomoże, a Orlin nie przedłuży terminu spłaty.

- Gornt ci to powiedział?

- Tak, przed lunchem. Ale tutaj wszyscy wszystko wiedzą i nie sposób nic przewidzieć.

- Wiec może Ian wie, że wpłaciłeś na konto Gornta dwa miliony dolarów?

- Może i tak. Nie ma znaczenia, póki nie podejrzewają, że Par-Con jest na najlepszej drodze do zostania nowym Noble House. Jak ci się podoba, tai-pan Bartlett?

Casey przypomniała sobie, jak nagle oblał ją żar.

Teraz stojąc na parkiecie giełdy czuła go nadal. Obserwowała otaczający ją tłum i trzech najważniejszych -

Iana, Quillana i Linca - najbardziej ekscytujących mężczyzn, jakich w życiu spotkała. Uśmiechnęła się do nich.

- Nie, na własny rachunek nie gram. Nie lubię hazardu. Wtedy koszta zdobycia pieniędzy stają się za wysokie.

- Straszne słowa - rzucił ktoś z tłumu.

Gornt nie zwrócił na nie uwagi i stał wpatrzony w Casey.

- Słusznie, całkiem słusznie. Oczywiście czasami bywają także wiadomości pewne i można wtedy popełnić morderstwo. - Podniósł wzrok na przyglądającego się z dziwnym uśmiechem Dunrossa. - Oczywiście w przenośni.

- Naturalnie. No, Quillan, do jutra.

- Hej, panie Bartlett - zawołał przysadzisty mężczyzna.

- Zawarł pan kontrakt ze Struanami czy nie?

I co Jeździec Bartlett - zapytał ktoś inny - sądzi o ataku w hongkongijskim stylu? Znow zapadła cisza.

Bartlett wzruszył ramionami.

- Atak to atak. Nie ma znaczenia, gdzie się odbywa.

A ten jest bardzo trudny. Nigdy nie wiadomo, dopóki się nie wygra i wszystkie głosy nie zostaną policzone.

Zgadzam się z panem Dunrossem. Można się poślizgnąć. - Uśmiechnął się. - Zgadzam się też z panem

Gorntem.

Czasami



można

popęlnić

morderstwo. W przenośni.

Znów wszyscy wybuchnęli śmiechem. Dunross wykorzystał sytuację rozbawienia, aby dopchnąć się do drzwi. Bartlett i Casey poszli za nim.

- Wsiadajcie - powiedział stojąc przy rol sie. - Przepraszam, trochę mi się śpieszy, ale podrzucę was do domu.

- Nie, w porządku, złapiemy taksówkę...

- Wsiadajcie. W takim deszczu czekalibyście z pół

godziny.

. - Wystarczy, że podrzucisz nas do promu - zaproponowała Casey. Wsiedli do środka i samochód ruszył.

- Jak zamierzasz postąpić z Gorntem? - zapytał

Bartlett.

Dunross roześmiał się, a Casey i Bartlett starali się zrozumieć, co go tak rozbawiło.

- Zamierzam czekać. Stara chińska zasada: cierpliwość. Do tego, który czeka, wszystko przychodzi.

Dzięki, że nie puściliście pary z ust na temat kontraktu.

- Chcesz tak jak planowałeś, ogłosić to jutro po zamknięciu giełdy? - upewnił się Bartlett.

- Chciałbym na razie zostawić sobie prawo wyboru odpowiedniej chwili. Ja tę giełdę znam, wy nie. Niewykluczone, że jutro. Ale być może dopiero we wtorek, po podpisaniu umowy. Kontrakt nadal aktualny? Do wtorku do północy?

- Jasne - zgodziła się ochoczo Casey.

. - Możemy więc wybór momentu ogłoszenia zostawić mnie? Powiem wam wcześniej, ale muszę mieć pole manewru.

-

Oczywiście.

- Dziękuję. Naturalnie, jeśli upadniemy, nie podpisujemy kontraktu. Zdaję sobie z tego sprawę.

- Czy Gornt może przejąć kontrolę na Struanami?

- zapytała Casey. Obydwoje zauważyli zmianę w wyrazie twarzy Szkota. Uśmiechał się nadal, ale widać było, jak bardzo jest przygnębiony.

- Nie, obecnie nie, ale z odpowiednią liczbą akcji może wejść do rady nadzorczej i przeciągnąć na swoją stronę innych dyrektorów. Gdyby znalazł się w radzie nadzorczej, miałby dostęp do najtajniejszych informacji i mógłby nas zniszczyć. - Dunross spojrział

na Casey.

- Bo do tego zawzięcie dąży.

- Ze względu na przeszłość?

- Częściowo. - Uśmiechnął się, ale tym razem starannie ukrywał zmęczenie. - Stawka jest dość duża, poza tym chodzi o twarz. W Hongkongu ciężko przeżyć i łatwo zginąć, rząd cię nie okrada, ale i nie broni. Jeśli nie chcesz być wolny i nie podobają ci się nasze zasady, czy raczej ich brak, lepiej tu nie przyjeżdżaj. Wam chodzi o zysk, *heya?* - Spojrział

Bartlettowi w oczy. - Tak czy inaczej, będziecie go mieć.

- Tak - przyznał Bartlett, a Casey zastanawiała się, co Dunross wie o rozmowach z Gorntem. Zaniepokoiła ją ta myśl.

- Nam chodzi o zysk, a nie o niszczenie - zapewniła.

- Całkiem rozsądnie - rzekł. - Lepiej tworzyć, niż rujnować. O, właśnie, Jacques pytał, czy nie zgodzilibyście się zjeść z nim kolacji o wpół do dziewiątej. Ja będę zajęty, mam oficjalne spotkanie z gubernatorem, ale możemy się spotkać później na drinku.

- Dziękuję, ale dzisiaj wieczorem nie mogę - oświadczył nie tracąc opanowania Bartlett, choć myśl o Orlandzie nie napawała go spokojem.

- A ty, Casey?

Nie, nie, dziękuję, tai-pan. Mam trochę pracy. Może odłożymy to na później, co? - zapytała ciesząc się, że zawieszą na jakiś czas kontakty ze Struanami. Poza tym będą mogli zjeść z Linkiem kolację tylko we dwoje.

Jak lunch. Może nawet uda im się wyjść do kina.

Dunross wszedł do swego biura.

- O, cześć, tai-pan - powiedziała Klaudia. - Na dole w recepcji czekają pan i pani Kirk. Na biurku leży też rezygnacja Billa Fostera.

- Dobrze. Klaudio, dopilnuj, żebyśmy się zobaczyli z Linbarem, zanim wyjedzie. - Kiedy jej się przyjrzał, dostrzegł, że starannie ukrywa strach. Wyczuwał go zresztą w całym budynku. Wszyscy udawali, że jest inaczej, ale zaufanie zostało zachwiane. „Bez zaufania do dowództwa - pisał Sun Tzu - nie da się wygrać żadnej bitwy, choćby z nie wiadomo iloma żołnierzami i nie wiadomo jaką bronią”.

Dunross po raz kolejny przemyślał swój plan. Wiedział, że ma niewielkie pole manewru, że jedyną prawdziwą obroną mógł być tylko atak, a bez odpowiednich funduszy atakować nie mógł. Gdy rano spotkał się z Lando Matą, uzyskał tylko niechętnie „być może”.

- Mówiłem ci, że muszę się najpierw skonsultować.

z Zaciśniętą Pięścią. Zostawiłem mu wiadomość, ale do tej pory nie udało mi się go złapać.

- Jest w Makau?

- Tak, chyba tak. Mówił, że przypląwa dzisiaj, ale nie mam pojęcia, którym promem. Naprawdę nie wiem, tai-pan. Jeśli nie przyplynie ostatnim, wracam do Makau i natychmiast pójdę do niego. Po rozmowie, wieczorem do ciebie zadzwonię. A przy okazji, rozważyłeś nasze obydwie propozycje?

- Tak. Nie mogę wam sprzedać pakietu kontrolnego Struanów. Nie mogę też opuścić Struanów i zająć się hazardem w Makau.

-

Z naszymi pieniędzmi mógłbyś załatwić Gornta...

- Nie mogę oddać kontroli.

- Może udałoby się połączyć obydwie oferty. My pomożemy ci wygrać z Gorntem w zamian za kontrolę nad Stnianami, a ty poprowadzisz nasz syndykat w tajemnicy. Tak, mógłbyś zarządzać sekretnie...

Dunross rozparł się w wygodnym fotelu. Był pewien, że Lando Mata i Zaciśnięta Pięść chcą wciągnąć go w sidła i wykorzystać przy następnych interesach. Tak samo jak Bartlett i Casey, pomyślał bez złości. To bardzo interesująca kobieta. Piękna, odważna i lojalna wobec Bartletta. Ciekawe, czy wie, że Bartlett jadł

dzisiaj z Orlandą śniadanie, a potem poszedł do mieszkania. Ciekawe też, czy są zorientowani, że ja wiem o dwóch milionach dla Gornta w Szwajcarii.

Bartlett jest sprytny, nawet bardzo, wszystkie posunięcia wykonuje prawidłowo, lecz jest łatwym celem, bo można przewidzieć jego zachowanie, a tym bardziej, jeśli do natarcia ruszy azjatycka dziewczyna.

Może Orlanda, a może nie, ale na pewno jakaś młoda Złota Skóra. Chytrze ze strony Quillana wystawiać ją na wabia. Tak, Orlanda jest doskonałą przynętą, pomyślał, a potem wrócił myślami do

Lando Maty i jego milionów. Aby je dostać, musiałbym złamać moją Świętą Przysięgę, a tego nie zrobię.

- Dzwonił ktoś do mnie, Klaudio? - zapytał. Poczł

nagły skurcz żołądka. Mata i Zaciśnięta Pięść byli jego ostatnim asem.

Zawahała się i spojrzała na listę.

- Hiro Toda z Tokio prosił o osobistą rozmowę, jak będziesz miał chwilę czasu. To samo Alastair Struan z Edynburga... David MacStruan z Toronto... ojciec z Ayr... stary Sir Ross Struan z Nicei...

— Wuj Trussler z Londynu - przerwał jej. - Wuj Kelly z Dublina... Kuzyn Cooper z Atlanty, kuzyn...

- Z Nowego Jorku.

- Z Nowego Jorku. Złe wieści szybko się rozchodzą

- stwierdził spokojnie.

- Tak. Jeszcze... - Oczy zaszyły jej łzami. - Co masz zamiar zrobić?

- Na pewno nie płakać - odparł wiedząc, że większość jej oszczędności została ulokowana w akcjach Struanów.

Tak, Tak - mówiła wycierając nos w chusteczkę.

Było jej smutno z jego powodu, ale dziękowała bogom, że miała przecucie i sprzedała akcje po dobrej cenie i nie kupowała, gdy Głowa Domu Czenów szepnął jej słówko o kupowaniu akcji Struanów. - *Aiii ia*, tai-pan, przepraszam, przykro mi... Jest źle, prawda?

- No pewnie - potwierdził ze szkockim akcentem.

- Ale tylko, gdy umierasz. Czy nie tak mówił stary tai-pan? -

Stary tai-pan to Sir Ross Struan, ojciec Alastaira, pierwszy tai-pan, którego Dunross pamiętał.

- Mów dalej, kto dzwonił.

- Kuzyn Kern z Houston, kuzyn Deeks z Sydney. To ostatni z rodziny.

- Więc wszyscy - westchnął. W rękach tych rodzin znajdował się pakiet kontrolny Noble House. Każda miała swoje udziały, jednak zgodnie z prawem Struanów do Dunrossa, dopóki był tai-panem, należały wszystkie

głosy.

Udziały

rodziny

Dunrossów

pochodzącej od córki Dirka - Winifred wynosiły dziesięć procent. Struanów wywodzących się od Robba Struana, brata Dirka - pięć procent. Rodziny Trusslerów i Kellych pochodzące od najmłodszej córki Culuma i Hag Struan po pięć procent. Cooperowie, Kernowie

i

Derby'owie

będący

potomkami

zaprzyjaźnionego z Dirkiem amerykańskiego kupca Jeffa Coopera, który potem ożenił się z najstarszą córką Hag Struan - po pięć procent każda z rodzin.

MacStruanowie uważani za potomków Dirka z nieprawego łoża - dwa i pół procent oraz Czenowie siedem i pół procent. Duża część akcji, pięćdziesiąt procent, osobista własność i spadek po Hag Struan, pozostawała w ciągłym obrocie. Głosami zaś rozporządzał *tai-pan, który lub która, jeśli uzna za stosowne, może połowę zysku z tych akcji zostawić dla siebie, a resztę proporcjonalnie podzielić między rodzinę*, zapisała niewprawną ręką Hag. *Jeśli z jakiegokolwiek powodu zdecyduje się nie wypłacić dochodu z moich akcji rodzinie, powinien przeznaczyć te pieniądze na prywatny fundusz tai-pana. Lecz niech wszyscy tai-panowie się strzegą: Noble House ma przechodzić z bezpiecznych rąk w bezpieczne ręce, a rodzina z bezpiecznej przystani do bezpiecznej przystani - zgodnie z postanowieniem samego tai-pana, bo w przeciwnym razie przed obliczem Boga przeklnę tego lub tę, który lub która nas zgubili...*

Dunross poczuł dreszcz, gdy przypomniał sobie, jak pierwszy raz przeczytał wolę Hag - tak samo przejmującą jak legacja Dirka Struana. Dlaczego tych dwoje tak nas opętało? - po raz kolejny zadawał sobie to samo pytanie. Dlaczego nie możemy działać bez widma przeszłości? Dlaczego jesteśmy gotowi na każde zawołanie ducha z zaświatów? I to nie zawsze dobrego ducha?

Ze mną jest inaczej, pomyślał hardo. Ja tylko staram się dopasować do ich norm.

Spojrzał na Klaudię, zawsze bardzo pogodną, a teraz po raz pierwszy przestraszoną. Znał ją przez całe życie, pracowała dla Sir Rossa, potem dla ojca Iana, potem dla Alastaira, a teraz dla niego. Zawsze wykazywała się stuprocentową lojalnością. Jak Phillip Chen.

Ach, Phillip. Biedak.

- Dzwonił Phillip?

- Tak, tai-pan. A Dianne ze cztery razy.

- I kto jeszcze?

- Jeszcze z tuzin innych. Ważniejsi to: Johnjohn z banku, generał Dzen z Tajwanu, *pere* Gavallan z Pary-

ża, Wu Cztery Palce, Pug...

- Cztery Palce? - zapytał z nadzieją Dunross. - O

której?

Spojrzała na listę.

-

O czternastej pięćdziesiąt sześć.

Ciekawe, czy stary pirat zmienił zdanie, pomyślał

Dunross z nagłym ożywieniem.

Poprzedniego dnia po południu pojechał do Aberdeen na spotkanie z Wu, aby poprosić go o pomoc, ale uzyskał, tak jak od Lando Maty, jedynie tylko niejasne obietnice.

- Słuchaj, Stary Przyjacielu - powiedział łamanym haklo. - Jeszcze nigdy nie prosiłem cię o przysługę.

- Długa linia poprzednich tai-panów miała do moich przodków wiele próśb i zarobiła wiele pieniędzy -

wspomniał mrużąc skośne oczka starzec. - Prośba?

Niech sparszywieją wszystkie psy, nie mam takiej sumy. Dwadzieścia milionów? Skąd u biednego rybaka miałyby się znaleźć tyle pieniędzy?

- Wczoraj, przyjacielu, więcej wycofałeś z Ho-Pak.

- *Aiii ia*, niech będą przekłęci ci, co rozpuszczają fałszywe wieści! Może i wycofałem bezpiecznie pienią-

dze, ale wszystkie poszły na różne towary. Po to właśnie one są..

- Mam nadzieję, że nie na Biały Proszek -

powiedział z przekąsem Dunross. - Biały Proszek to straszny *dżos*. Plotki głoszą, że interesujesz się nim.

Odradzam ci to, przyjacielu. Mój przodek Stary Zielonooki Diabeł i Hag Struan o Złym Oku i Zębach

Smoka przeklęli handel Białym Proszkiem, nie opium, ale Białym Proszkiem - przypomniał naciągając prawdę, ale wiedział, że starzec jest przesądny. -

Odradzam Zabójczy Proszek. Z pewnością więcej dochodu przynoszą interesy ze złotem, prawda?

- Nic nie wiem o Białym Proszku. - Chińczyk pokazał

w wymuszonym uśmiechu dąsła i kilka powykręca-nych zębów. - I nie boję się przekleństw. Nawet ich.

- To dobrze - oświadczył Dunross wiedząc, że to kłamstwo. - A tymczasem chcę cię prosić o pomoc w uzyskaniu kredytu. Tylko pięćdziesiąt milionów na trzy dni.

- Popytam wśród przyjaciół, tai-pan. Może oni coś poradzą. Może wszyscy razem. Ale nie ma co liczyć, że popłynie woda z pustego naczynia. Na jaki procent?

- Jeśli jutro, na wysoki.

- Niemożliwe, tai-pan.

- Przekonaj Zaciśniętą Pięść. Jesteście współnikami i Starymi Przyjaciółmi.

- Przyjacielem Zaciśniętej Pięści jest tylko Zaciś-

nięta Pięść - rzucił posępnie i Dunross już w żaden sposób nie mógł zmienić decyzji starca.

Sięgnął po słuchawkę.

- Były jeszcze inne telefony, Klaudio? - zapytał

wybierając numer.

-

Johnjohn z banku, Phillip i Dianne... a, o tych już mówiłam... nadinspektor Crosse, każdy poważniejszy posiadacz akcji i każdy dyrektor, większa część klubu jeździeckiego... trener Trawkin i nie kończąca...

- Chwileczkę, Klaudio. - Ujarzmił swój niepokój i odezwał się do telefonu w hakło. - Mówi tai-pan. Czy jest tam mój Stary Przyjaciel?

- Jasne, panie Dunross - usłyszał odpowiedź po angielsku. - Dziękuję, że pan oddzwonił. On zaraz podejdzie, sir.

- Pan Czój?

- Tak.

- Wuj mi o panu tak wiele opowiadał. Witamy w Hongkongu.

- O, już idzie, sir.

- Dziękuję - Dunross skoncentrował się. Zastanawiał

się, dlaczego Czoj jest u Wu, zamiast zajmować się sprawami Gornta, i po co dzwonili Crosse i Johnjohn.

- Tai-pan?

- Tak, Stary Przyjacielu. Chciałeś ze mną rozmawiać?

- Tak. Czy... Czy możemy się spotkać dzisiaj wieczorem?

Dunross jedynie cudem się powstrzymał, by nie wykrzyknąć i nie zapytać, czy zmienił zdanie, ale dobre maniery zabraniały tego, a Chińczycy w ogóle nie lubili telefonów i zdecydowanie woleli rozmowy w cztery oczy.

-

Oczywiście. Ósmy dzwonek w połowie czuwania

- powiedział spokojnie, co oznaczało: około północy.

- Jak tylko zdążę - dodał, przypomniawszy sobie, że na 22:45 umówił się z Brianem Kwokiem.

-Dobrze. Na moim nabrzeżu. Sampan już będzie czekał.

Dunross z mocno bijącym sercem odłożył słuchawkę telefonu.

-

Najpierw połącz mnie z Crosse'em, a potem przy prowadź tych Kirków. Dalej według listy. Zorganizuj na piątą konferencyjny telefon z moim ojcem, Alastairem i Sir Rossem. U nich będzie dziewiąta, a w Nicei dziesiąta. Wieczorem zadzwonię do Davida i innych ze Stanów. Nie ma potrzeby budzić ich w środku nocy.

- Tak, tai-pan. - Klaudia już wybierała numer. Dostała połączenie z Crosse'em, podała słuchawkę Dunrossowi i wyszła zamykając za sobą drzwi.

- Tak, Roger?

- Ile razy byłeś w Chinach?

Niespodziewane pytanie wprowadziło Dunrossa w zdumienie.

- Wszystkie wyjazdy są gdzieś odnotowane. To można sprawdzić bez trudu.



- Tak, Ian, ale mógłbyś sobie teraz przypomnieć?

Proszę.

- Cztery razy w Kantonie, co roku przez ostatnie cztery lata. Raz w Pekinie w zeszłym roku z komisją kupiecką.

-

Udało ci się kiedyś wydostać poza Kanton lub Pekin?

-A co?

-

Wyjeżdżałeś?

Dunross zawahał się. Noble House ma wiele powiązań w Chinach i wielu starych, zaufanych przyjaciół.

Niektórzy zasiadają nawet w komunistycznych komite-tach. Niektórzy są pozornie komunistami, a w gruncie rzeczy to zupełnie apolityczni Chińczycy. Zajmują różne szczeble polityczne, jeden jest nawet członkiem prezydium. Wszyscy wiedzą, że historia się powtarza i rano można być cesarzem, a wieczorem już zaszczutym psem, że dynastie mogą się zmieniać na jedno skiniecie bogów, że pierwszy z dynastii zawsze zasiada na tronie z rękami splamionymi krwią i że zawsze trzeba zostawić sobie drogę ucieczki oraz że pewni barbarzyńcy mogą być godnymi zaufania Starymi Przyjaciółmi.

Większość z nich zalicza się do ludzi praktycznych. A Chinom potrzeba towarów i pomocy, bo bez nich stają się bezbronne wobec swego historycznego i jedyne go prawdziwego wroga - Rosji.

Ze względu na wielkie zaufanie, jakim darzono Noble House, Dunross wielokrotnie był zapraszany do Chin -

czasami oficjalnie, a czasami nie. Zawierał wiele prywatnych transakcji na wszelkiego rodzaju maszyny i towary włącznie z eskadrą odrzutowych samolotów pasażerskich. Często jeździł tam, gdzie inni nie mieli wstępu. Kiedyś był nawet na spotkaniu w Hangczou -

najpiękniejszej części Chin. Przyjmowano tam honorowych gości i członków Klubu 49. Klub 49 zrzesał kompanie - w większości brytyjskie -

kontynuujące handel z ChRL po 1949 roku. Wielka Brytania uznała rząd Mao Tse-tunga zaraz po ucieczce Czang Kai-szeka z Państwa Środka na Tajwan, ale stosunki między obydwo ma państwami pozostawały dość chłodne. Natomiast stosunki między Starymi Przyjaciółmi nie uległy zmianie. Chyba że Starzy Przyjaciele zawiedli zaufanie albo oszukiwali.

-  
Parę razy udało mi się wyjechać gdzie indziej

- rzucił od niechcienia Dunross, nie chciał okłamywać szefa SI. - Nie ma o czym mówić. A co?

- Możesz mi powiedzieć dokąd?

- Jeśli zaczniesz konkretnie rozmawiać, Roger, oczywiście - odpowiedział ostrzejszym tonem. - My jesteśmy kupcami, a nie politykami czy szpiegami.

Noble House ma szczególną pozycję w Azji. Działamy tu już od paru lat tak samo jak w większej części świata. O co ci dokładnie chodzi, Roger?

Zapadło milczenie.

- Nie, o nic szczególnego, Ian. Poczekamy, co powiedzą gazety. Wtedy przejdziemy do konkretów.

Dzięki. Przepraszam, że ci przeszkodziłem. Cześć.

Dunross wpatrywał się z zakłopotaniem w aparat.

Czego ten Crosse chce? Żadne z prowadzonych interesów z pewnością nigdy nie kolidowały z polityką Londynu, a nawet Waszyngtonu. Niemniej niektóre działania tai-pana mogły im się nie podobać. To, co dla nich było przemytem, dla niego niekoniecznie to oznaczało.

Dopóki jestem tai-panem i nie porwą mnie diabli ani tajfun, to nasze stosunki z Chińczykami pozostaną takie,

jakie

są.

Większość

londyńskich

i

waszyngtońskich polityków nie zdaje sobie sprawy z tego, że Chińczycy po pierwsze są Chińczykami, a dopiero po drugie komunistami. A Hongkong wiele znaczy dla utrzymania pokoju w Azji.

-

Sir, pan i pani Kirk.

Jamie Kirk był niskim człowieczkiem o różowej twarzy, różowych dłoniach i mówił z miłym szkockim akcentem.

Za

żonę

miął

wysoką,

potężną

Amerykankę.

- Tak mi przyjemnie... - zaczął Kirk.

- Mnie również, panie Dunross - przerwała mu żona.

- Przejdź do rzeczy, Jamie, kochanie, pan Dunross jest człowiekiem bardzo zajęтым, a my mamy zakupy do zrobienia. Mój mąż ma dla pana przesyłkę.

- Tak, od Alana Medforda Gra...

- Kochanie, pan wie od kogo - powiedziała radośnie wchodząc mu w słowo. - Daj przesyłkę.

- Ach tak, tak. O tutaj...

- I jeszcze list - wtrąciła. - Pan Dunross jest zajęтым, więc daj, co masz dać, i idziemy po zakupy.

- Tak, cóż... - Kirk wręczył Dunrossowi paczuszkę.

Miała około czternastu na dziewięć cali i jeden cal wysokości. Brązowa, nie podpisana i szczelnie zaklejona taśmą samoprzylepną. Koperta z listem została zapieczetowana woskiem, Dunross poznał pieczęć. – Alan mówił...

- ...żeby oddać to panu do rąk własnych i życzyć wszystkiego najlepszego - dokończyła pani Kirk, roześmiała się i wstała. - Ty się tak grzebiesz, kochanie. No, dziękujemy, panie Dunross. Chodźmy...

Zatrzymała się zdumiona, gdy Dunross podniósł

władczo

rękę

i

uprzejmie,

choć

właściwie

apodyktycznie zapytał:

- Co pani zamierza kupić, pani Kirk?

- E, co? A, jakieś ubrania, ee, dla mnie i koszule dla męża...

Dunross nacisnął klawisz interkomu. - Klaudio, poproś Sandrę Ji, żeby natychmiast zabrała panią Kirk na dół do Lee Poo Tapa, a jemu zapowiedz, żeby podał pani Kirk najniższe z możliwych cen, bo, na Boga, każę go deportować! Panie Kirk, pan dołączy do żony za chwilę! - Dunross wziął panią Kirk pod ramię i zanim się zorientowała, już stała za drzwiami, a Klaudia czekała na jej listę zakupów.

Kirk długo i głęboko westchnął. t - Szkoda, że ja tak nie umiem. - Uśmiechnął się. - Tai-pan, jest pan taki, jak pana opisywał Alan.

- O, nic takiego. Pana żona chciała pójść po zakupy, prawda?

- Tak, ale... - po chwili przerwy dodał: - Alan powiedział, że powinien pan przeczytać list, póki ja tu jestem. Nie wspomniałem jej o tym. Sądzi pan, że powinienem?

- Nie - rzekł uprzejmie Dunross. - Panie Kirk, przykro mi, że muszę panu przekazać złą nowinę, ale Alan Medford zginął w poniedziałek w wypadku moto-cyklowym.

Ta wiadomość wytrąciła Kirka z równowagi.

- Słucham?

- Przykro mi to mówić, ale powinien pan chyba o tym wiedzieć.

Kirk w zamyśleniu wpatrywał się w strugi deszczu.

- Straszne - odezwał się po dłuższej chwili. - Cholerne motory to jeżdżące trumny. Przewrócił się?

- Znalaziono go leżącego na drodze przy motorze.

- Okropieństwo! Biedny Alan. Dobrze, że nie wspomniał pan o tym przy Frances, ona... ona też go lubiła.

Ja, ee... Może lepiej niech pan przeczyta list... Biedny Alan. - Spojrzał na swoją dłoń. Paznokcie miał poob-gryzane i nierówne.

Aby nie zabierać Kirkowi czasu, Dunross otworzył

Ust i przeczytał:

*Drogi panie Dunross, przedstawiam panu mojego przyjaciela ze szkoły, Jamiego Kirka i jego żonę Frances. Przesyłkę, którą przyniósł, proszę otworzyć na osobności. Chciałem, żeby bezpiecznie dostała się w pańskie ręce i Jamie zgodził się zatrzymać po to w Hongkongu. Jemu z pewnością można ufać, na tyle, na ile to w naszych czasach możliwe. Proszę się nie przejmować Frances, ona taka już jest. Ustawiła się dzięki swoim poprzednim mężom, a teraz, wychodząc za mojego przyjaciela, dała mu wolność potrzebną do siedzenia i myślenia – nazbyt rzadki w dzisiejszych czasach*

*przywilej.*

*A*

*przy*

*okazji,*

*oni*

*nie wiedzą wszystkiego o moich zajęciach, uważają mnie za domorośłego historyka.*

*Gdyby*

*nie*

*fakt,*

*że*

*list*

*pisał*

*człowiek już nieżyjący, Dunross uśmiechnąłby się.*

*Jamie jest geologiem, morskim geologiem, i to jednym z najlepszych na świecie. Proszę go zapytać o pracę w ostatnich latach, najlepiej, gdy nie będzie przy tym Frances –nie żeby nie doceniała jego poczynąń, ale ona w tym związku przewodzi i może go krępować.*

*Jamie ma pewne interesujące teorie, które mogłyby się przydać przy planowaniu strategii Noble House.*

*Najserdeczniejsze pozdrowienia, AMG.*

*Dunross podniósł wzrok.*

*Pan Medford pisze, że jesteście przyjaciółmi.*

- A tak. Tak, chodziliśmy razem do szkoły. Potem ja wstąpiłem do Cambridge, a on do ,Oxfordu. Przez wiele lat utrzymywaliśmy ze sobą kontakt, oczywiście sporadycznie. Czy, eee, zna go pan od dawna?

- Już ze trzy lata. Też go bardzo lubiłem. Czy może pan teraz rozmawiać?

- Tak, tak. Wszystko w porządku. Oczywiście jestem wstrząśnięty, ale życie toczy się dalej. Stary Alan... zabawny z niego facet z tymi wszystkimi papierami, książkami, fajką i kapciami. - Kirk smutno przebierał palcami. - Chyba powinienem powiedzieć, że taki był. Jakoś mi niezręcznie mówić o nim w czasie przeszłym, ale. zdaje się, że trzeba się przyzwyczaić.

Tak, zawsze nosił kapcie. Zawsze gdy wpadałem do niego do domu, tylko to miał na nogach.

- U niego w mieszkaniu? Ja tam nigdy nie byłem.

Zawsze spotykaliśmy się w londyńskim biurze i tylko raz przyjechał do Ayr. - Dunross poszukał w myślach. -

Tam chyba nie nosił pantofli.

- O, tak, opowiadał mi o Ayr, panie Dunross. Mówił, że ta wizyta była zwrotnym punktem w jego życiu.

Pan... Pan ma wiele szczęścia będąc tak bogatym.

- Zamek Avisyard nie należy do mnie, panie Kirk, chociaż jest już w rodzinie od ponad stu lat. Dirk Struan kupił go dla swojej żony i rodziny... że tak powiem... na siedzibę wiejską. - Jak zwykle na myśl o wspaniałym krajobrazie, niezbyt wysokich wzgórzach, jeziorach, bagnach, lasach na ponad sześciu tysiącach akrów, poczuł tęsknotę. Wymarzone tereny łowieckie i wspaniała Szkocja. - Zgodnie z tradycją zamek i ziemie w Avisyard zajmuje obecny tai-pan.

Jednak oczywiście wszystkie rodziny, a zwłaszcza dzieci, znają go doskonale. Wakacje czy Boże Narodzenie w Avisyard to wspaniała tradycja. Jagnię, wołowina, noworoczny *haggis*, whisky, wielkie ognisko i dźwięki dud. Cudowne miejsce. Oprócz tego folwark, bydło, mleko, masło, nie mówiąc o gorzelni Loch Vey.

Chciałbym kiedyś spędzić tam więcej czasu. Moja żona właśnie wyjeżdża, żeby przygotować wszystko na bożonarodzeniowe ferie. A pan zna te okolice?

- Trochę. Najbardziej Highlands. Moja rodzina pochodzi z Inverness.

- O, zatem musi pan nas odwiedzić, gdy będzie pan w Ayr, panie Kirk. Alan Medford pisze też, że jest pan geologiem i to jednym z najlepszych na świecie.

- O, to miło z jego strony. Bardzo miło. Tak, specjalizuję się w geologii morskiej. Ze szczególnym uwzględnieniem... - Nagle przerwał.

- Co się stało?

- Eee, nic, niezupełnie, to znaczy, ciekawe, czy z Frances wszystko w porządku?

- Z całą pewnością. Chce pan, żebym ja powiedział

jej o Alanie Medfordzie?

Nie. Sam się tym zajmę. Albo nie... Będę udawać, że nic się nie stało. Mnie też pan nie musiał mówić, nie zamierzam zepsuć jej wakacji. Tak będzie lepiej, nie sądzi pan? - Twarz Kirka pojaśniała. - Powiem żonie o wszystkim po powrocie do domu.

- Jak pan chce. Mówił pan, ze szczególnym uwzględnieniem czego?

- A... Tak, petrologii polegającej oczywiście na szerokich studiach nad skałami włączając w to opisy i in-terpretacje. Pole moich zainteresowań zawęży się ostatnio do skał osadowych. Od kilku lat jako konsultant biorę udział w badaniach osadów paleozoicznych, zwłaszcza porowatych. Badania są głównie przeprowadzane na wschodnim wybrzeżu Szkocji. Z pewnością słyszał pan coś na ten temat.

- Oczywiście. - Dunross tłumił niecierpliwość. Raz po raz spoglądał na przesyłkę na biurku. Chciał ją otworzyć, następnie zadzwonić do Johnjohna i załatwić wiele innych naglących spraw. Miał tyle do zrobienia i nie rozumiał, jakich związków między Noble House a Kirkiem mógł się dopatrzeć Medford. - To brzmi bardzo interesująco. Jaki jest cel badań?

-

Cel? - Kirk popatrzył zdziwiony; - Węglowodory.

- A widząc nie rozumiejące spojrzenie Dunrossa dodał:

- Węglowodory znajdują się jedynie w porowatych skałach osadowych ery paleozoicznej. Ropa, panie Dunross, najprawdziwsza ropa.

- O! Prowadzicie poszukiwania ropy?

- Nie! Badania mają na celu sprawdzenie możliwo-

ści występowania węglowodorów na wybrzeżu Szkocji.

Z

radością

muszę

przynać,

że

prawdopodobnie jest ich sporo. Niezbyt blisko, na Morzu Północnym. - Twarz małego człowieka stała się jeszcze bardziej różowa, zmarszczył brwi. - Tak, sądzę, że tam znajduje się dużo złóż.

Dunross czuł się zakłopotany, nadal nie widział

żadnych związków.

-

No cóż, wiem trochę o przybrzeżnych odwiertach

na

Bliskim

Wschodzie,

w

Zatoce

Meksykańskiej, ale żeby na Morzu Północnym? Na Boga, panie Kirk, to najstraszniejsze morze na świecie. Sztorm trwa prawie bez przerw. Jak tam prowadzić odwierty? Jak uchronić szyby przed zniszczeniem? Jak dostarczać zapasy? I jak, nawet jeśli wydobędzie się ropę, przetransportować ją na brzeg? W każdym razie koszty tego przedsięwzięcia byłyby ogromne.

- Zupełna racja, panie Dunross - zgodził się Kirk.

- Wszystko, co pan powiedział, to prawda, ale do mnie należy znajdowanie cennych złóż węglowodorów, a nie kwestia opłacalności eksploatacji. Po raz pierwszy - do dał z dumą - odkryliśmy, że tam istnieją. To oczywiście jedynie teoria, dopóki nie przeprowadzi się odwiertów, nigdy nic nie wiadomo na pewno. Jednak moje badania opierają się częściowo na wynikach sejsmicznych ekspertyz, to znaczy na analizie fal powstających w rezultacie wywołanych eksplozji...

Dunross słuchał nieuważnie, nadal zastanawiał się, co ważnego widział w tym wszystkim Alan Medford. Pozwolił

Kirkowi na wygłoszenie jeszcze kilku zdań wykładu, a potem grzecznie przerwał.

- Przekonał mnie pan, panie Kirk. Gratuluję panu. Jak długo zostajecie państwo w Hongkongu?

- O, tylko do poniedziałku. Potem wybieramy się do Nowej Gwinei.

Dunross wyraźnie się zaniepokoił.



- Gdzie dokładnie do Nowej Gwinei?

- W miejsce zwane Sukanapura, na północnym wybrzeżu należącym od niedawna do Indonezji... - Kirk uśmiechnął się. - Przepraszam. Oczywiście wie pan, że prezydent Sukarno przejął w maju duńską Nową Gwineę.

- Lepszym słowem byłoby chyba „ukradł”. Gdyby nie zły wpływ USA, Nowa Gwinea nadal byłaby duńska.

Wydaje mi się, że to nie najlepszy pomysł, żeby jechać tam teraz. Sytuacja polityczna wygląda niepewnie, a prezydent Sukarno jest wrogo nastawiony do obcych.

Powstanie w Sarawak finansowała i popierała Indonezja, a prezydent jest przeciwny Zachodowi, całej Malezji i opowiada się za marksizmem. Poza tym Sukanapura to brudny gorący port z plagą chorób, nie licząc innej zarazy.

O, proszę się nie martwić. Mam szkockie obywatelstwo i zaprosił nas rząd.

- Ale teraz to właśnie rząd ma niewielki wpływ na sytuację!

- Mają tam skały osadowe, które chcą mi pokazać.

Nie ma powodów do zmartwień. Cóż, chyba już pójdę.

- W... W sobotę od wpół do ósmej do dziewiątej urządzam niewielkie przyjęcie - powiedział Dunross. -

Może wpadłby pan z żoną? Moglibyśmy porozmawiać jeszcze o Nowej Gwinei.

- O, to bardzo uprzejmie z pana strony. Ja... eee, będzie nam bardzo miło. Gdzie...

- Wyślę po państwa samochód. A teraz, jeśli pan chce, proszę dołączyć do pani Kirk. Jeśli pan woli, nie wspomnę jej o Alanie Medfordzie.

- Tak, tak, dziękuję. Biedny Alan. Mówiąc o skałach osadowych zapomniałem o nim na chwilę. Dziwne, jak łatwo można o kimś zapomnieć.

Dunross przydzielił mu asystentkę i zamknął za nim drzwi. Ostrożnie złamał pieczęcie przesyłki Alana Medforda. W środku znajdowała się koperta i jeszcze jedna paczuszka. Na kopercie napisano: *Ian Dunross, prywatne i poufne*. Poprzedni list był pisany odręcznie, a ten na maszynie.

*Drogi panie Dunross, mam kilka poufnych informacji dla pana i przesyłam je przez Jamiego. W naszym systemie bezpieczeństwa, brytyjskim lub amerykańskim, powstał*

*jeszcze jeden bardzo ważny przeciek. Staje się też już całkiem jasne, że nasi adwersarze przygotowują kilka nagłych ataków. Niektóre z nich mogą być skierowane nawet przeciwko mnie lub panu. Przeciwno panu, ponieważ ma pan ściśle tajne dokumenty. Gdyby niespodziewanie coś*

*mi się przytrafiło, proszę zadzwonić do Genewy pod numer 871-65-65 i poprosić panią Riko Gresserhojf. Ja dla niej nazywam się Hans Gresserhojf. Jej prawdziwe nazwisko brzmi Anjin - Riko Anjin. Mówi po niemiecku, japońsku, angielsku i trochę po francusku. Jeśli będą należały mi się jakieś pieniądze, proszę wysłać jej. Ona da panu pewne dokumenty, tylko proszę odebrać je osobiście.*

*Jak już wspominałem, rzadko można znaleźć kogoś godnego zaufania. Ja ufam panu. Jest pan jedyną osobą na świecie, która wie o niej i zna jej prawdziwe nazwisko. Proszę pamiętać, że istotne jest, aby ani ten list, ani żadne inne dokumenty nie dostały się w czyjekolwiek ręce.*

*Najpierw wyjaśnienie dotyczące Kirka. Za mniej wię-*

*cej dziesięć lat, jak przypuszczam, kraje arabskie połączą się i całą swoją mocą ruszą nie bezpośrednio przeciwko*

*Izraelowi,*

*ale*

*przeciwko*

*Zachodowi.*

*Będziemy mieć do wyboru - zlikwidować Izrael albo umrzeć z głodu. Jako broni, Arabowie użyją ropy.*

*Jeśli uda się zjednoczyć siły garstce szejków, feudalnych*

*królów*

*Arabii*

*Saudyjskiej,*

*Iranu,*

*Iraku,*

*Zjednoczonym Emiratom Arabskim i Libi, wtedy będą mogli odciąć Japoni i Zachodowi dostęp do jedyne go towaru, którego niczym się nie da zastąpić. Mają jeszcze jedną możliwość - podnieść cenę do niewiarygodnej wysokości i trzymać naszą ekonomię w szachu. Ropa to ich najlepsza broń. Przynajmniej dopóki my jesteśmy od niej zależni. Dochodzimy wreszcie do teorii Kirka.*

*Obecnie wydobycie jednej baryłki ropy spod powierzchni Arabskiej Pustyni wynosi mniej więcej osiem amerykańskich centów. Aby dostarczyć baryłkę ropy z dna Morza Północnego do Szkocji, potrzeba jakichś siedmiu dolarów. Jeśli na światowym rynku cena arabskiej ropy podskoczy z trzech do dziewięciu dolarów...*

*Myślę, że już pan rozumie. W jednej chwili eksploatacja*

*. Morza Północnego może okazać się bezcennym brytyjskim skarbem narodowym.*

*Jamie twierdzi, że złoża znajdują się na północ i na wschód od Szkocji. Najlepszym miejscem na przyjmowanie ropy byłby port Aberdeen. Rozsądni powinni zacząć się rozglądać za nabrzeżami, lotniskami i nieruchomościami w Aberdeen. Proszę się nie przejmować warunkami klimatycznymi. Między platformami i brzegiem mogą kursować śmigłowce.*

*Owszem drogo, ale warto. Dalej, uważam, że ze względu na skandal Profumo w następnych wyborach zwycięży Partia Pracy... Do listu dołączone były wycinki z gazet. Sześć miesięcy temu, w marcu, sekretarz stanu do spraw wojny - John Profumo oficjalnie zaprzeczył, jakoby miał romans z notoryczną prostytutką - Christiną Keeler, jedną z kilku dziewczyn, które zyskały rozgłos międzynarodowy dzięki swemu dobrze znanemu w londyńskim światku opiekunowi Stephenowi Wardowi, dotychczas uchodzącemu za wybitnego osteopatę. Zaczęły się pojawiać plotki o romansie dziewczyny z sowieckim attache, agentem KGB - Jewgienijem Iwanowem, który w grudniu został wydalony do Rosji. Gdy wszystko wyszło na jaw, John Profumo złożył rezygnację, a Stephen Ward popełnił samobójstwo.*

*Dziwne, że afera dostała się do prasy w czasie idealnie pasującym Sowietom, pisał dalej Grant. Nie mam jeszcze żadnego dowodu, ale wydaje mi się, że to nie zbieg okoliczności. Należy pamiętać, że Sowietom zależy na podziałach państw - Korea Północna i Południowa, Niemcy Wschodnie i Zachodnie*

-  
*aby  
móc  
swobodnie  
prowadzić*

*indoktrynację. Uważam, że prosowieccy socjaliści pomogą w podzieleniu Wielkiej Brytanii na Anglię, Szkocję, Walię oraz Południową i Północną Irlandię (Eire i Północna Irlandia już są areną dla działań Sowietów).*

*A teraz moja sugestia dotycząca planów Noble House: Należy zachować ostrożność w stosunku do Anglii i skoncentrować się na Szkocji. Ropa z Morza Północnego może zapewnić Szkocji całkowitą samodzielność. Zamieszkuje tam niewielu, za to bardzo twardych i przepelnionych nacjonalizmem ludzi.*

*Silna Szkocja może być jęczyzkiem u wagi dla upadającej Anglii . Ach, panie Dunross, biedna*

*Anglia, bardzo się o nią obawiam.*

*Być może jest to tylko jedna z moich zbyt daleko idących teorii, proszę jednak spojrzeć na Szkocję i Aberdeen w świetle nowego Morza Północnego.*

- To śmieszne! - wybuchnął Dunross i przestał na chwilę czytać. Zreflektował się jednak i upomniał siebie w duchu: „Nie oceniaj bez przeczytania do końca”.

Medford

czasami

wysuwa

zbyt

śmieła

i

nieprawdopodobne hipotezy, czasami przesadza, bo jest prawicowym monarchistą widzącym pod każdym łóżkiem piętnastu czerwonych, niemniej nie można wykluczyć, że spełnią się jego przewidywania. Jeśli nastąpiłby światowy niedobór ropy, a my bylibyśmy na to przygotowani, wtedy zbilibyśmy fortunę, pomyślał

coraz bardziej przejęty. Teraz w Aberdeen jest lżej żyć, łatwiej myśleć o przenosinach z Londynu bez specjalnych wyrzeczeń. Edynburg ma nowoczesne zaplecze bankowe, komunikacyjne, porty, lotniska i wszystko potrzebne do efektywnego działania. Szkocja dla Szkotów i ogromna ilość ropy na eksport? Całkiem realne, ale lepiej się nie odrywać, lecz postarać o umocnienie w jakiś sposób Wielkiej Brytani. Jednak jeśli Londyn, parlament i Threadneedle Street dostaną się w ręce lewicy...

Po plecach przeszły mu ciarki na myśl o tym, że Wielka Brytania mogłaby się dostać pod panowanie socjalistów. Na przykład takiego Robina Greya czy Juliana Broadhursta, myślał przerażony. Z pewnością wszystko by znacjonalizowali, zagarnęli ropę z Morza Północnego, jeśli faktycznie tam jest, i założyliby blokadę na Hongkong - już o tym przebąkują.

Odsunął od siebie te czarne myśli i wrócił do listu.

*Wydaje mi się także, że zidentyfikowałem trzech zdrajców z siatki Sevrin. Te informacje dużo kosztowały i przed Bożym Narodzeniem mogą potrzebować dodatkowych pieniędzy. Nie jestem też pewien, czy informacje te są absolutnie prawdziwe.*

*Wiedząc, jaką mają dla pana wagę, natychmiast postaram się zweryfikować. Według mnie zdrajcami są: Jason Plumm z kompanii zwanej Asian Properties, Lionel Tuke z kompanii telefonicznej oraz Jacques deVille ze Struanów...*

- Niemożliwe! - krzyknął Dunross. - Alan Medford Grant postradał zmysły! Niemożliwe, żeby Plumm, a już absolutnie nieprawdopodobne, żeby Jacques...

Zadzwonił prywatny telefon. Podniósł odruchowo słuchawkę.

- Tak?

- Połączenie międzynarodowe do pana Dunrossa

- usłyszał głos telefonistki.

- Kto będzie mówił? - zapytał.

- Pan Duncan Dunross z Sydney z Australii prosi o rozmowę na rachunek pana Iana Dunrossa, przyjmuje pan?

Serce tai-pana zamarło na moment.

- Oczywiście! Cześć Duncan... Duncan?

- Tata?

- Cześć, synu, nic ci nie jest?

- Nie, zupełnie nic! - słysząc głos syna stopniowo przestawał się niepokoić. - Przepraszam, że dzwonię do pracy, tato, ale mój poniedziałkowy lot został przeło-

żony...

- A niech to, trzeba ponowić rezerwację, ja...

- Nie, tato, dziękuję, ale już wszystko w porządku.

Przylatuję wcześniej. Liniami singapurskimi i w południe będę w Hongkongu. Nie przejmuj się mną, wezmę taksówkę...

- Rozejrzyj się za naszym samochodem, Duncan.

Wyjdzie po ciebie Lee Czoj. Ale zanim pojedziesz do domu, wstąp do biura, dobrze?

- W porządku. Mam już przestemplowany bilet i wszystko załatwione.

Dunross usłyszał dumę w głosie syna i to go podniosło na duchu.

- Świetnie. Dobra robota. A przy okazji... Jutro o ósmej waszego czasu przylatuje do Quantas Linbar.

Zatrzyma się w domu. - Struanowie mieli dom w Sydney od 1900 roku, a stałe biuro od osiemdziesiątych lat dziewiętnastego wieku. Hag Struan weszła w spółkę z niezmiernie bogatym

australijskim farmerem Billem

- Scraggerem i ich interesy kwitły aż do krachu w 1929

roku. - Jak było na wakacjach?

- Wspaniale! O tak, w przyszłym roku też tu przyjadę.

Poznałem wystrzałową dziewczynę, tato.

- Tak? - Jego jedna połowa chciała się uśmiechnąć, a druga nadal obawiała się koszmaru, że Jacques może być zdrajcą i należy do Sevrin, i że wyjawiał Bartlettowi ich najskrytsze tajemnice. Nie, Jacques nie mógłby. Nie miał

możliwości dowiedzieć się o naszych udziałach w banku. Kto o nich wiedział? Kto mówił...

- Tato?

- Tak, Duncan?

Usłyszał wahanie, a potem syn starając się, aby to zabrzmiało naturalnie, zapytał jednym tchem:

- Czy chłopak może mieć dziewczynę trochę starszą od siebie?

Dunross pomyślał, że przecież jego syn ma dopiero piętnaście lat, ale przypomniał sobie, że Elegancki Nefryt poznał jako niespełna piętnastolatek... ale bardziej dojrzały. Niekoniecznie, zreflektował się. Duncan wzrostem przewyższa niejednego mężczyznę. A czyż ja nie kochałem jej do szaleństwa przez dwa lata i czyż prawie nie umarłem, gdy nagle zniknęła?

- No cóż... - mruknął. - Tak naprawdę wszystko zależy, jaka to dziewczyna, ile lat ma on, ile ona...

- Ach - potem nastąpiła chwila milczenia. - Ona ma osiemnaście.

Dunross poczuł ulgę. A więc ona jest w odpowiednim wieku.

- Wydaje mi się, że to idealny wiek - zawyrokował. -

Zwłaszcza gdy chłopak ma prawie szesnaście lat, jest wysoki, silny i wie co nieco o życiu.

- O... och ja nie... To znaczy...

- Ja nie krytykuję, chłopie, ja odpowiadam na pytanie.

Mężczyzna musi być w życiu uważny i starannie dobierać dziewczyny. Gdzie się spotkaliście?

- Na dworcu. Nazywa się Sheila.

Dunross powstrzymał się od uśmiechu. W Australii mówiło się ha dziewczyny „sheila” tak samo jak

w Anglii -

„ptaszki”.

- Ładne imię - powiedział. - Sheila jak?

Sheila Scragger. Jest bratanicą starego pana Toma.

Przyjechała z Anglii. Będzie pielęgniarką w Guy's Hospital. Była dla mnie cały czas super, tak samo jak Paldoon. Sam nie wiem, jak ci dziękować za takie wspaniałe wakacje.

Paldoon to ranczo Scraggera, nazywane czasami w Australii dworcem, było jedyną nieruchomością, którą udało się ocalić po krachu. Paldoon znajdowało się pięćset mil na południe od Sydney niedaleko rzeki Murray. Sześćdziesiąt tysięcy akrów, trzydzieści tysięcy owiec, dwa tysiące akrów pszenicy i tysiąc sztuk bydła.

Wspaniałe miejsce na wakacje dla młodych - praca od świtu do nocy przy stryżeniu owiec albo przeganianiu bydła na koniu. Można przejechać dwadzieścia mil w każdym kierunku i nadal pozostawać na własnym terenie.

- Pozdrów ode mnie Toma Scraggera i nie zapomnij przed odjazdem wysłać mu butelkę whisky.

-

Wysłałem całą skrzynkę, dobrze?

Dunross roześmiał się.

- Może być, butelka by wystarczyła, ale cała skrzynka jeszcze lepiej. Jeśli by pojawiły się jakieś zmiany w locie, daj mi znać. Widzę, że umiesz sobie wszystko zorganizować. O, właśnie, mama i Glenna wyjeżdżają dzisiaj do Londynu z ciocią Kathy, więc do szkoły będziesz wracał sam...

- Super, tato - zawołał uradowany. - Mimo wszystko jestem mężczyzną i niedługo wstąpię na uniwersytet.

- Tak, to prawda. - Gdy siadał na krześle, ogarnął go smutek, zauważył na chwilę zapomniany list od Alana Medforda. - Wystarczy ci pieniędzy?

- Tak. Tu nie było na co wydawać, najwyżej na piwo.

Tato, nie mów mamie o mojej dziewczynie.

- Dobrze. Ani Adryon - dodał przypominając sobie Martina Haply'ego i Adryon trzymających się za ręce.

- Jej powinieneś powiedzieć sam.

O, super, zapomniałem o niej. Co u niej słyszeć?

- Wszystko w porządku - odparł Dunross przykazując sobie spokój i rozsądek, ponieważ jego dzieci przeżywają to, co wszyscy w ich wieku. Tak, łatwo powiedzieć, ale z perspektywy ojca wszystko wygląda inaczej. - No, Duncan, do zobaczenia w poniedziałek. Dziękuję za telefon.

- Tak. I tato, do Sydney podrzuciła mnie Sheila.

Zostanie na weekend u przyjaciół, a dzisiaj idziemy do kina. Na *Lawrencea z Arabii*, widziałeś to?

- Tak, w Hongkongu już to grali. Na pewno ci się spodoba.

- O, super! No, to... Trzymaj się, tato!

- Ty też - nie zdążył powiedzieć, bo połączenie zostało przerwane.

Co za szczęście mieć rodzinę, żonę, dzieci, pomyślał i zaraz dodał, Boże, niech im się nic złego nie przytrafi.

Zmusił się, żeby z powrotem spojrzeć na list. To niemożliwe, żeby Jason Plumm i Jacques byli komunistycznymi szpiegami. A Lionel Tukę? Nie, on też nie. Znam go przelotnie - jest brzydki, niezbyt popularny, lubi odosobnienie, ale należy do drużyny krykieta i do klubu jeździeckiego, przebywa w Hongkongu od lat trzydziestych. Może nawet był

internowany między 1942 i 1945. Mógł więc zostać skaptowany. Ale pozostali dwaj - wykluczone.

Szkoda, że Alan Medford nie żyje. Zadzwoiłbym do niego w sprawie Jacques'a i...

Najpierw skończę czytać list, a potem się zastanowię. Trzeba być dokładnym i działać skutecznie. Boże, Duncan i osiemnastolatka. Dzięki Bogu, to nie najmłodsza z córek Toma Scraggera. Ile lat ma teraz Priscilla? czternaście, jest piękna i wygląda na starszą.

Westchnął. Zastanawiam się, czy powinienem zorganizować Duncanowi to, co mnie zafundował

Czen-czen.

Powrócił do listu .

*Jak już mówiłem, nie jestem na sto procent pewien, jednak dotychczas dostawałem z mego źródła tylko prawdziwe wiadomości.*

*Odkąd odkryliśmy i złapaliśmy takich szpiegów jak Make, Yassal, Philby, Burgess i Maclean, przykro powiedzieć, ale zdrajców można się spodziewać wszędzie. A tak na marginesie, wszystkich ich widziano w Moskwie. Obecnie spodziewamy się radykalnego wzmocnienia działalności wywiadowczej w Azji. (Udało nam się rozpracować pierwszego sekretarza Skrirowa z radzieckiej*



*ambasady w Canberrze w Australii i wydalić go z kraju. To zniszczyło jego australijską siatkę szpiegowską związaną z waszą Sevrin i innymi na Borneo i w Indonezji).*

*Teraz cały wolny świat poddany jest infiltracji. Nawet w MIS i MI-6 czy CIA zdarzają się zdrady. My jesteśmy ufni i naiwni, ale nasi oponenti zdają sobie sprawę, że w przyszłości dominacja będzie zależeć tak samo od siły militarnej jak i ekonomicznej, toteż wykradają nasze tajemnice przemysłowe.*

*Dziwne, że media wolnego świata przemilczają fakt, iż zdecydowana większość sowieckich produktów oparta jest na wykradzionych od nas technologiach i że bez naszych zbóż oni głodowaliby, a bez naszej stale rosnącej pomocy finansowo-kredytowej i naszych technologii nie mogliby bez przerwy napędzać i rozwijać swojego przemysłu wojskowego trzymającego przy życiu całe imperium i większość ludzi.*

*Radzę utrzymywać bliskie kontakty z Chinami, co się może przydać w przyszłości. Sowietci coraz bardziej uważają je za wroga numer jeden. Dziwne także, że, jak się wydaje, pozbyli się panicznego strachu przed Stanami, będącymi bez wątpienia największą militarną i ekonomiczną potęgą na świecie. Słabe militarne - z wyjątkiem niezliczonej liczby żołnierzy - i ekonomicznie wątłe Chiny nie stanowią dla Sowietów żadnego przeciwnika. Ale mimo wszystko oni obawiają się właśnie Chin.*

*Jednym z powodów jest wspólna granica o długości pięciu tysięcy mil. Drugim na pewno poczucie narodowej winy za wchłonięcie ogromnych obszarów należących historycznie do Chin. Jeszcze innym wiedza o cierpliwości i pamiętliwości Chińczyków. Pewnego dnia oni wrócą na swoje ziemie. Zawsze odbierają swoje tereny, gdy mają dostateczny potencjał wojskowy, aby tego dokonać. Wiele razy napominałem, że sowiecka Rosja ma na celu po dzielenie i osłabienie Chin.*

*Najbardziej boją się trójstronnego porozumienia między Chinami, Japonią i USA. Pański Noble House powinien dążyć do zawarcia takiego układu. (Podobnie rzecz się ma*

*ze*

*wspólnym*

*rynkiem*

*między*

*Stanami*

*Zjednoczonymi, Meksykiem i Kanadą, co według mnie jest podstawą stabilności amerykańskiego kontynentu).*

*Od Hongkongu - a także od pana - zależy w dużej mierze wewnętrzny spokój Chin.*

*I na koniec jeszcze o Sevrin. Podjąłem ryzyko, aby dotrzeć poprzez naszego nieocenionego wywiadowcę z Departamentu V KGB do Arthura i dzisiaj dostałem odpowiedź.*

*Tożsamość Sevrin podlega ścisłej tajemnicy i jest niedostępna nawet dla naszego agenta. Udało mu się jedynie ustalić, że człowiekiem tym jest Anglik i jeden z jego inicjałów to R. Obawiam się, że to nie za wiele.*

*Czekam na spotkanie z panem. Proszę pamiętać, że nasze dokumenty nie mogą trafić do rąk osób trzecich.*

*Pozdrowienia - AMG.*

Dunross zakodował w pamięci numer do Genewy i zapalił zapałkę. Obserwował, jak papier listowy wije się i kurczy w ogniu.

R - jak Robert, Ralph, Richard, Robin, Rod, Roy, Rex, Rupert, Red, Rodney i oczywiście Roger. Także Robert. Robert Armstrong albo Roger Crosse, albo kto jeszcze?

Wielki Boże, pomyślał bezradnie Dunross.

- Genewa, 871-65-65, połączenie bezpośrednie - powiedział do słuchawki prywatnego telefonu. Ogarnęło go zmęczenie. Źle spał minionej nocy, powracał we śnie do wojny, do płonącej kabiny, w nozdrzach czuł

woń spalenizny, a potem obudził się spocony, słuchał

chwilę deszczu i później po cichu wstał. Penn jeszcze mocno spała, a w Wielkim Domu, jak zwykle o tej porze, panowała cisza z wyjątkiem odgłosów krzątania się Ah Tat przygotowującej mu herbatę. Potem zaczęło się wpadanie do zastawionych przez wrogów pułapek i ciągłe złe wieści. Biedny John Czen, pomyślał, a potem zmusił się, żeby odsunąć od siebie słabość. Może zdrzemnę się między piątą a szóstą. Wieczorem muszę być w pełni sił.

Telefonistka połączyła go i usłyszał sygnał.

- *Ja?* - zabrzmiał delikatnie kobiecy głos.

- *Hier ist Herr Dunross im Hongkong. Frau Gresserhoff, bitte* - powiedział płynnie po niemiecku.

- *O!* - po czym zapanowało milczenie. - *Ich bin Frau Gresserhoff. Tai-pan?*

- *Ah so desu! Ohayo gozaimasu. Anata wa Anjin Riko-san?* - zapytał z doskonałym japońskim akcentem. Dzień dobry. Czy pani nazywa się Riko Anjin?

- *Hai, Hai, dozo. Ah, nihongo wa jotzu desu.* - Tak, o, dobrze pan mówi po japońsku.

- *Iye, sukoshi, gomen nasai.* - Niestety, tylko trochę.

W ramach swojego wykształcenia dwa lata przepracował w tokijskim biurze. - Bardzo mi przykro - kontynuował po japońsku - ale dzwonię w sprawie pana Gresserhoff. Słyszała pani już?

- Tak - rzekła ze smutkiem. - Tak, dowiedziałam się w poniedziałek.

- Właśnie dostałem od niego list, w którym pisze, że ma pani dla mnie jakieś rzeczy - powiedział ostrożnie.

- Tak, tai-pan. Mam.

- Czy byłoby możliwe, aby tu je pani przywiozła?

Przykro mi bardzo, ale nie mogę teraz przyjechać do Szwajcarii.

- Tak. Oczywiście - powiedziała z lekkim wahaniem.

Mówiła po japońsku miękko i przyjemnie. - Kiedy?

- Najszybciej, jak to możliwe. Za kilka godzin w naszym biurze przy Avenue Bern, powiedzmy w południe, będą na panią czekać bilety i pieniądze.

Zdaje się, że po południu odlatuje do Hongkongu jakiś samolot. Jeśli to oczywiście możliwe.

Znów wahanie. Czekał cierpliwie. List od Medforda dopalał się w popielniczce.

-

Tak. Oczywiście.

- A zatem wszystko załatwię. Czy ktoś przyjedzie z panią?

- Nie - zaczęła tak cichym głosem, że musiał przycisnąć słuchawkę do ucha. - Proszę się nie kłopotać, sama sobie wszystko przygotuję.

- Żaden kłopot - zapewnił wiedząc, że wypowiedziane przez niego japońskie zwroty brzmią dość jałowo. -

Proszę zgłosić się do mojego biura o dwunastej w po-

łudnie... A przy okazji, u nas jest gorąco i wilgotno.

Przepraszam też, że pytam, ale ma pani szwajcarski czy japoński paszport? I pod jakim nazwiskiem będzie pani jechać?

Jeszcze dłuższa przerwa.

- Chyba... Wydaje mi się, że powinnam... będę miała szwajcarski paszport na nazwisko Riko Gresserhoff.

- Dziękuję. Oczekuję pani. *Kiyoskette* - zakończył.

Bezpiecznej podróży.

W zamyśleniu odłożył słuchawkę na widelki. Resztki listu Alana Medforda zamieniały się w dym. Ostrożnie zmiął spalony papier w pył.

I co z tym Jacques'em?

17:45

Jacques deVille wszedł po marmurowych schodach hotelu „Mandaryn” do sali pełnej ludzi popijających herbatę.

Zdjął płaszcz i zaczął się przeciskać przez tłum. Czuł

się bardzo staro. Przed chwilą rozmawiał z żoną Susanne. Specjalista z Paryża przeprowadził kolejne badanie i stwierdził, że wewnętrzne obrażenia u córki mogą być mniejsze, niż poprzednio sądzono.

- Powtarza, że musimy być cierpliwi - powiedziała po francusku Susanne. - Ciekawe, jak to, na miłość boską, zrobić? Biedne dziecko cierpi i odchodzi od zmysłów. Cały czas powtarza: mam, to ja prowadzi-

łam, ja, gdyby nie ja, mój Borge by żył, ale... Boję się o nią, *cheri*.

- Czy ona już wie o... o swoim urazie?

- Nie, jeszcze nie. Lekarze prosili, żeby nic jej nie mówić, dopóki nie będą mieć pewności. - Susanne zaczęła płakać.

Pocieszał ją, najlepiej jak umiał, i obiecał, że zadzwoni za godzinę. Zastanawiając się, co robić, wyszedł z biura i przyszedł do hotelu.

Przed rozmównicą publiczną stała kolejka, więc kupił

gazetę i zaczął przeglądać nagłówki. Dwadzieścia -

ofiar pożaru w Aberdeen... Nadal deszcz... Czy sobotnie wyścigi zostaną odwołane?... Kennedy ostrzega Rosjan przed mieszaniem się w sprawy wietnamskie... Traktat o kontroli atomowej podpisany w Moskwie przez Dea na Ruska, Andrieja Gromykę i Sir Aleca Dou-glas-Home'a... Malajscy komuniści powstrzymują atak... Zmarł drugi, przedwcześnie urodzony syn prezydenta Kennedy'ego... Pościg za sprawcami napadu na pociąg trwa... Skandal Profumo szkodzi Partii Konserwatywnej...

- Przepraszam, czy pan chce zadzwonić? - zapytała czekająca za nim w kolejce Amerykanka.

- O, tak, dziękuję, nie zauważyłem, że nikogo nie ma. - Wszedł do budki, zamknął za sobą drzwi, położył

monetę i wykręcił numer. Z napięciem wsłuchiwał się w przerywany sygnał.

- Tak?

- Chciałbym rozmawiać z panem Lop-ting - odezwał

się niepewnym głosem.

- To pomyłka. Nie ma tu pana Lop-sing.

- Chciałem zostawić dla niego wiadomość - powiedział z ulgą, gdy rozpoznał głos Suslewa.

- Ma pan zły numer. Proszę zajrzeć do książki.

Ponieważ hasło się zgadzało, zaczął:

- Przepraszam, że...

- Jaki jest wasz numer? - przerwał mu. Jacques natychmiast podał.

- Dzwonicie z budki?

- Tak.

Połączenie

natychmiast

zostało

przerwane.

Odkładając słuchawkę, poczuł, że ma spocone dłonie.

Z numeru Suslewa mógł korzystać tylko w sytuacji wyjątkowej, a sytuacja wyjątkowa właśnie zaistniała.

Stał wpatrzony w telefon.

- Przepraszam bardzo, mogę zadzwonić? –

zapytała Amerykanka zza szklanych drzwi. - To nie potrwa długo.

- Och... Będę czekał tylko chwilkę - obiecał Jacques i zobaczył za nią trzech zniecierpliwionych Chińczyków.

Patrzyli na niego ze złością. - Zaraz, za momencik... -

Cofnął się i cały spocony czekał wieczność, aż wreszcie telefon zadzwonił.

Halo!

- Co się stało?

- Właśnie... Właśnie dostałem wiadomość z Nicei.

- Opowiedział Suslewowi o rozmowie z Susanne nie wymieniając przy tym nazwisk. - Odlatuję natychmiast.

Wieczornym lotem. Pomyślałem sobie, że lepiej osobiście przekażę wam...

- Nie. Dziś wieczorem to za wcześnie. Zamówcie miejsce na jutro wieczorem.

- Ale kilka minut temu rozmawiałem z tai-panem.

- Głos mu się łamał. - Radził, abym poleciał jeszcze dzisiaj. Już mam rezerwację. Wrócę za trzy dni. Przez telefon naprawdę wydaje się, że jest źle. Nie...

- Nie! - uciał ostro Suslew. - Zadzwoń rano, tak jak się umówiliśmy. Do tej pory to może poczekać.

I dzwońcie pod ten numer w naprawdę wyjątkowych sytuacjach.

Jacques już miał ostro zareagować, ale usłyszał

trzask odkładanej słuchawki. Był zły. To jest bardzo wyjątkowa sytuacja, i tyle! Susanne mnie potrzebuje, Avril to samo. I tai-pan też jest za tym, abym jak najszybciej pojechał!

- Bardzo dobrze, Jacques - zgodził się natychmiast Dunross. - jedź na jak długo potrzebujesz. Andrew zajmie się twoimi sprawami.

A teraz... *Merde*, co mam robić? Nie jestem własnością Suslewa, Na pewno? Odłożył słuchawkę.

- Już pan skończył, sir? - zapytała z natarczywym uśmiechem Amerykanka. Miała około pięćdziesięciu lat, ubrana była na niebiesko. - Kolejka czeka.

- Tak... Tak, przepraszam. - Otworzył drzwi.

- Zapomniał pan gazety - przypomniała uprzejmie kobieta.

- Och, dziękuję. - Sięgnął po gazetę i wyszedł.

W jednej chwili wszyscy Chińczycy, dwóch mężczyzn i kobieta, ruszyli do przodu i odepchnęli Amerykankę i jego. Przysadzista matrona wtargnęła do budki i za-trzasnęła drzwi.

- Hej,.. Teraz moja kolej! - zawołała Amerykanka, ale nie zwrócili na nią większej uwagi, tylko wulgarnie przeklęli ją i jej przodków.

Suslew stał w dużym kouluńskim mieszkaniu będącym jednym z „bezpiecznych domów” Arthura. Po nagłym telefonie zadygotało mu serce. Zdenerwowany na deVille'a wpatrywał się w aparat. Całe

mieszkanie było przesiąknięte starym, stęchłym zapachem kuchennym.

Głupi bydlak, myślał. Zapomina o swojej podległości.

Wieczorem powiem Arthurowi, co ma z nim zrobić. Im szybciej, tym lepiej. Tak, i im szybciej się uspokoisz, tym lepiej dla ciebie. W gniewie ludzie popełniają błędy.

Przestań się złościć.

Wyszedł na ciemny korytarz, zamknął drzwi, a innym kluczem otworzył sąsiednie mieszkanie należące do Ginny Fu.

- Chcesz wódki? - zapytała ze słodkim uśmiechem.

- Tak. - Popatrzył na dziewczynę z przyjemnością.

Przystrojona jedynie uśmiechem siedziała ze skrzyżowanymi nogami na starej sofie. Gdy po raz pierwszy zadzwonił telefon, całowali się. W jej mieszkaniu stały dwa aparaty. Jeden dla niej i drugi do wyłącznego użytku Suslewa. Arthur twierdził, że jest absolutnie bezpieczny, nie ma możliwości podsłuchu. Mimo to wolał, żeby korzystano z niego tylko w razie bezwzględnej konieczności.

*Materjebiec* Jacques, pomyślał jeszcze wytrącony z równowagi niespodziewaną rozmową.

- Pij, *towariszcz* - powiedziała Ginny podając mu szklaneczkę. - A potem wypij mnie, *heya?*

Wziął szklaneczkę i przesunął jej ręką po brzuchu.

Ginny, *golubuszka*, dobra dziewczynka.

- Jasne! Najlepsza. - Uszczypnęła go w ucho. -

Będziemy *dżig-dżig*, *heya?*

- Czemu nie? - Chciwie wypił trunek do ostatniej kropli.

Ginny delikatnymi palcami rozpinęła mu koszulę.

Powstrzymał ją pocałunkami.

Czekaj, aż bez ubrania, *heya?* - zachichotała.

- W przyszłym tygodniu wyjeżdżam - powiedział, biorąc ją w objęcia. -Może pojedziesz ze mną, co? Już tak dawno obiecałem ci wakacje.

- O? Naprawdę? - Nie przestawała się uśmiechać.

- Kiedy? Nie kłamiesz?



- Możesz ze mną jechać. Zatrzymamy się w Manili, potem popłyniemy na Północ i za miesiąc wrócimy.

- O, cały miesiąc... Och, Gregy! - uścisnęła go z całych sił. - Będę najlepszą kapitańską dziewczyną w całych Chinach.

- Tak, tak.

- Kiedy... Kiedy jedziemy?

- W przyszłym tygodniu. Powiem ci.

- Dobrze. Jutro odbiorę paszport...

- Nie. Bez paszportu, Ginny. Nie wydaliby ci. Te *ubljudoki* zatrzymałyby cię. Nie, *golubuszka*. Ci straszni policjanci nie pozwoliliby ci ze mną płynąć.

- No to jak pojedę, *heya*?

-

Przemycę cię na statek w kufrze. - Roześmiał się.

- Albo na latającym dywanie, co?

Spoglądała na niego zaniepokojonym wzrokiem.

- Naprawdę mnie zabierzesz? Miesiąc na statku, *heya*?

- Co najmniej miesiąc. Tylko nikomu nie mów. Cały czas śledzi mnie policja. Gdyby się dowiedzieli, nie puściliby cię. Rozumiesz?

- Biorę bogów na świadków, że nie puszczę pary z ust - przysięgła żarliwie Ginny i uścisnęła go ze szczęścia. - I i, jako dama kapitana będę miała twarz.

- Znow go uścisnęła, aż się wzdrygnął. - Roześmiała się i zaczęła go z powrotem rozbierać. - Ze mną ci będzie najlepiej, najlepiej!

Wykorzystując

ze zjawstwem usta i palce

skoncentrowała się na swoim zadaniu, aż krzyknął i zjednoczył się z bóstwami w Chmurach i Deszczu. Nie zabrała ust ani rąk, aż do ostatniej chwili rozkoszy. Potem położyła mu się na piersiach i zadowolona z dobrze wykonanej pracy wsłuchiwała się w jego głęboki oddech.

Ona sama nie doświadczała Chmur i Deszczu, chociaż wiele razy udawała dla jego przyjemności.

Szczytowała tylko dwa razy podczas ich znajomości, ale za każdym razem była pijana i nie pamiętała dokładnie, czy tak było naprawdę. Do orgazmu potrafił ją doprowadzić tylko Trzeci Nocny Kucharz od Kanapek Tok z

„Victoria and Albert”. O, bogowie, pobłogosławcie mój *dżos*, myślała uszczęśliwiona. Po miesięcznej podróży, dodatkowych pieniądzech i po kolejnym roku z Gregorem będziemy mieli z Tokiem nareszcie dość pieniędzy, aby otworzyć restaurację. Wtedy urodzę synów i dochowam się wnuków i stanę się jedną z bogiń. Ach jakże jestem szczęśliwa.

Była zmęczona, ponieważ musiała ciężko pracować, więc ułożyła się wygodniej, zamknęła oczy i dziękowała bogom, że pomogli jej przewyciężyć wstręt do jego wielkości, do białej, śliskiej jak u jaszczurki skóry i do odrażającego smrodu ciała.

Dzięki wam o, bogowie, myślała, pogrążając się we śnie.

Suslew nie zasnął. Dryfował myślami po spokojnym umyśle. Miał dość dobry dzień. Po spotkaniu z Crosse'em na torze wrócił na statek przerażony, że mogą być przecieki z „Iwanowa”. Zakodował informację Crosse'a o Suchym Szturmie i inne dane, wysłał je ze swojej kabiny. Z nadesłanych do niego wiadomości dowiedział się, że Worańskiego da się zastąpić

dopiero

podczas

następnej

wizyty

„Rosyjskiego

Iwanowa”,

że

specjalista

od

psychochemii przybędzie z Bangkoku na dwanaście godzin i że on, Suslew, ma kierować Sevrin i kontaktować się z Arthurem. „I żebyście nie przegapili sprawy teczek Alana Medforda”.

Przypomniawszy sobie, jaki poczuł dreszcz po przeczytaniu „żebyście nie przegapili”. Tak niewiele porażek, tak dużo sukcesów, a zapamiętywane są jedynie porażki. Gdzie jest na pokładzie przeciek? Kto, oprócz mnie, czytał dokumenty Medforda? Tylko Dimitrij Metkin. To nie on, więc przeciek musi być gdzie indziej.

Na ile można ufać Crosse'owi?

Niezbyt, ale to najcenniejszy agent, jakiego mamy w kapitalistycznym obozie w Azji, i trzeba chronić go za wszelką cenę. Przyjemnie mu było, gdy Ginny na nim leżała. Oddychała równo i od czasu do czasu lekko westchnęła. Jej piersi podnosiły się i opadały.

Powędrował wzrokiem na zabytkowy zegar stojący na rozchybotanej

półce

kuchennej

pomiędzy

buteleczkami, słoiczkami i innymi pojemniczkami.

Kuchnia znajdowała się we wnęce w dużym pokoju.

Tu, w jedynej sypialni, niemal całą powierzchnię zajmowało ogromne łóżko. Kupił je dla niej, gdy zaczęli się spotykać dwa, prawie trzy lata temu. Było solidne, miękkie, więc była to znakomita odmiana po marynarskiej koi.

Z Ginny też się chętnie spotykał. Potulna, poleg-liwa, nie ma z nią kłopotów. Miała kruczoczarne włosy krótko obcięte nad czołem, tak jak lubił. Była przeciwieństwem

Wertyńskiej

-

kochanki

z

Władystoku. Tamta miała maślane oczy, długie ciemne, kręcone włosy i temperament dzikiej kotki. Jej matka była prawdziwą księżniczką Siergiejew, a ojcem chiński

sklepikarz,

który

kupił

trzynastoletnią

księżniczkę na targu. Dziewczynka wraz z innymi dziećmi uciekła z Rosji w bydłącym wagonie po zagładzie w 1917 roku.

Wyzwoleniu,

nie

zagładzie,

poprawił się z

zadowoleniem. Ale dobrze przespać się z córką księżniczki Siergiejew, gdy jest się wnukiem wieśniaka z tamtych stron.

Ta myśl przypomiała mu o Aleksieju Trawkinie.

Uśmiechnął się do siebie. Biedak, co za głupiec. Naprawdę uwierzył, że sprowadzę mu księżniczkę Nestorową do Hongkongu na Boże Narodzenie?

Wątpię. A może jednak... i wtedy Trawkin umrze przeżywszy szok na widok starej siwej *hag* bez zębów, z powykręcany od artretyzmu kończynami. Lepiej oszczędzić mu takiego wstrząsu, pomyślał ze współczuciem. Trawkin to Rosjanin i dobry człowiek.

Znów spojrzął na zegar. Była 18:20. Uśmiechnął się. .

Przez kilka godzin może nic nie robić, tylko spać, jeść, myśleć i planować. Potem spotkanie z angielskim parlamentarzystą i narada z Arthurem. Bawiło go, że zna tajemnice, o których nie ma pojęcia Arthur. Ale dzięki temu Arthur także dochowa sekretu, pomyślał bez złości. A może już wie o parlamentarzystcie? Jest przebiegły, bardzo przemyślny i nie ufa mi.

Takie właśnie było naczelne prawo: Nigdy nikomu nie ufać - czy to mężczyźnie, czy kobiecie, czy dziecku. Jeśli oczywiście chce się być żywym, bezpiecznym i znajdować się poza zasięgiem wroga.

Ja jestem bezpieczny, bo znam się na ludziach, trzymam gębę na kłódkę i wiem, jak sprawić, aby polityka kraju stała się częścią mojego życia.

Jest jeszcze tyle wspaniałych planów do przeprowadzenia. Jeszcze w tylu akcjach można wziąć udział. Nie wspominając o Sevrin...

Znów zachichotał, a Ginny mruknęła.

- Śpij, śpij, księżniczko - szepnął do niej jak do dziecka. - Śpij, księżniczko.

Przez sen odgarnęła włosy z czoła i zasnęła jeszcze smaczniej.

Suslew zamknął powieki, było mu przyjemnie z Ginny.

Położył jej dłoń na piersiach. Po południu deszcz osłabł, a teraz całkiem przestał padać. Suslew ziewnął i zasnął, wiedząc, że burza nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa.

18:25

Robert Armstrong dokończył piwo.

- Jeszcze jedno! - zawołał. Czuł, że jest wstawiony.

Siedział w zatłoczonym barze „Szczęśliwa Dziewczyna”

w Wanczai, wypełnionym po brzegi amerykańskimi marynarzami z lotniskowca. Chińskie hostessy poiły gości chrzczonymi drinkami, za które słono płacili, ale pozwalały w zamian na docinki i obmacywanie. Na początku dziewczyna zamawiała prawdziwą whisky, aby pokazać partnerowi, że to dobry bar, gdzie nie musi się bać oszukaństwa.

Na pierwszym piętrze znajdowały się pokoje, ale nierozsądnie byłoby tam chodzić. Nie wszystkie dziewczyny były czyste. Poza tym w nocy można było zostać okradzionym. Choć w gruncie rzeczy nie ma takiej potrzeby, bo marynarze i tak przepuszczą wszystko, prędzej czy później.

- Chcesz *dzig-dzig*? - zapytała wymalowana dziewczyna.

*Dew neh loh moh* na twoich przodków, chciał jej powiedzieć. Powinnaś leżeć w domu, w łóżku, ze szkolnymi książkami. Darował sobie prawienie morałów.

To nie byłoby najlepsze rozwiązanie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jej rodzicom z trudem udało się zorganizować tę pracę i dzięki niej żyją w mniejszej biedzie.

- Napijesz się czegoś? - zapytał udając, że nie rozumie po kantońsku.

- Szkoocką, szkoocką - zawołało natychmiast dziecko.

- Może napijesz się herbaty, a pieniądze i tak ci dam - powiedział smutno.

- Niech będą przekłęci wszyscy bogowie, ja nie oszukuję! - Złapała natychmiast szklaneczkę, którą przyniósł kelner. W środku znajdowała się prawdziwa whisky. Dziewczyna wypijała bez skrzywienia.

- Kelner, jeszcze jedna szkoocka i piwo! Ty pijesz, ja piję, a potem *dzig-dzig*.

Armstrong spojrzał na nią uważniej.

- Jak się nazywasz?

- Lily. Lily Czop. Dwadzieścia pięć dolarów na krótko.

- Ile masz lat?

- Dużo, a ty?

- Dziewiętnaście.

- E, gliniarze zawsze kłamią.

- Skąd wiesz, że jestem policjantem?

- Szefowa mi powiedziała. Dwadzieścia dolarów, *heya?*

- Jaka szefowa? Która to?

- Tam, za barem. Mama-saw.

Armstrong usiłował coś dostrzec przez dym. Pięc-

dziesięcioletnia kobieta ciężko pracowała, pociła się wydając polecenia i nie zwracała uwagi na dosadne docinki marynarzy.

-

A skąd ona wie, że jestem gliniarzem?

Lily wzruszyła ramionami.

- Posłuchaj, kazała mi cię pocieszyć, bo inaczej wyląduję na ulicy. Idziepiy na górę, *heya?* Do domu, nie dwadzieścia dolarów. - Dziewczynka wstała.

Widział strach w jej oczach.

- Usiądź. Usiadła. Była jeszcze bardziej przerażona.

- Jak ci się nie podobam, to...

”

- Podobasz mi się. - Armstrong westchnął. Stara zagrywka. Jeśli idziesz, płąć, jeśli nie, to samo.

Szefowe zawsze wysyłają młode. Dał jej pięćdziesiąt dolarów. - Masz. Idź i daj to mamie-san z moimi podziękowaniami. Potem powiedz jej, że nie mogę *dzig-dzig*, bo mam miesiączkę! Przyszła do mnie Szlachetna Czerwień.

Lily otworzyła ze zdziwienia usta, a potem zaskrzeczała jak stara kobieta:

- liii, niech to wszyscy bogowie, on jest dobry!

- Z trudem stawiając nogi w butach na wysokich obcasach

odeszła.

Pod

cienkim

*czong-sam*

zarysowywały się kształty jej ud i pośladków.

Armstrong dopił piwo, zapłacił rachunek i wstał. W

jednej chwili jego stolik zabrano i posunięto do spoconych marynarzy przy drzwiach.

- Zapraszamy częściej - rzuciła mu *mama-san*, gdy mijał ją idąc do wyjścia.

-

Dzięki - mruknął opryskliwym tonem.

Deszcz zamienił się w mżawkę, zaczynało się ściemniać. Po ulicach szwendali się amerykańscy żołnierze. Armstrong miał wilgotną i rozgrzaną skórę.

Szedł Gloucester Road, minął O'Brien Road - miasto pachniało czystością i świeżością. Za rogiem skręcił w Lochart Road i po chwili znalazł uliczkę, której szukał.

Była jak zwykle zatłoczona, pełna sklepików i straganów z kurczakami w klatkach, konserwowanymi pieczonymi kaczkami, mięsem na hakach. Przy wejściu do uliczki pod brezentowym dachem stało kilka stolików. Armstrong skinął na właściciela, usiadł

w upatrzonym kąciku i zamówił miskę singapurskich klusek - z chili, duszonymi krewetkami i świeżymi warzywami. Czekał.

Brian Kwok.

Cały czas wracał do niego myślami.

I do czterdziestu tysięcy w używanych banknotach, które znalazł w szufladzie biurka. W tej zamykanej zawsze na klucz. Skoncentruj się, mówił do siebie, bo się potkniesz. Popełnisz błąd. A na to nie możesz sobie pozwolić.

Źle się czuł i miał wrażenie, że oblepił go brud, którego nie zmyłaby ani woda, ani mydło. Z pewnym wysiłkiem zmusił oczy do zwrócenia uwagi na jedzenie, uszy do słychania odgłosów z ulicy, a nos do cieszenia się zapachem potrawy.

Kończył właśnie jeść, gdy zauważył amerykańskiego marynarza. Był w okularach, wysoki i mimo że lekko się garbił, i tak wyróżniał się pośród chińskich przechodniów. Obejmował ramieniem dziewczynę.

Ona dreptała za nim w pośpiechu, w ręce trzymała parasol.

- Nie, nie tu, kochanie - mówiła. - Mój dom być gdzie indziej... Rozumiesz?

- Jasne, złotko, ale najpierw pójdziemy tutaj, a potem tam, gdzie mówisz. No chodź.

Armstrong cofnął się głębiej w cień. Obserwował ich i zastanawiał się, czy to ta sama dziewczyna. Po głosie poznał, że Amerykanin pochodzi z Południa i prawdopodobnie nie ma jeszcze trzydziestki. Widział, jak mijają krawca „Szykowne Stroje Pop-tinga” i znajdującą się po drugiej stronie, oświetloną gołą żarówką restaurację, z przybitą do szyldu „Restauracja Sto Lat za Zdrowie Mao Tse-Tunga” kartką z koślawym

napisem

„Witamy

amerykańskich

marynarzy”.

- Chodź, złotko - zachęcił Amerykanin - napijemy się piwa.

- To niedobre miejsce, kochanie. Lepiej chodźmy do mojego baru, *heya?* Lep...

- Tu się, do diabła, napijemy. - Wszedł przez otwarte drzwi i usiadł przy plastikowym stoliku. Ona podreptała za nim. - Piwo. Dwa piwa. Jest San Miguel?

Armstrong widział ich wyraźnie ze swojego miejsca.

Jeden ze stolików zajęty był przez głośno chlapiących zupę kulisów. Przelotnie spojrzeli na Amerykanina i dziewczynę. Jeden z nich zrobił wulgarną uwagę, a reszta się zaśmiała. Dziewczyna spąsowiała i odwróci-

ła się do nich plecami. Amerykanin napił się piwa i rozejrzał dokoła.

Muszę się odlać - stęknął, wstał i bez krępacji wszedł za zasłonę. Barman patrzył na niego z niechęcią. Armstrong odetchnął z ulgą. Pułapka zadziałała.

Po chwili marynarz wrócił. -

Idziemy

stąd.

-

Dopił piwo, zapłacił i wyszli objęci.



-  
Jeszcze

singapurskich

klusek?

-

zapytał

Armstronga właściciel straganu.

- Nie, dziękuję. Jedno piwo.

– Nie ma piwa.

- Niech będą przekłęci wszyscy twoi potomkowie, a ty razem z nimi - syknął płynnie po kantońsku. - Czy ja jestem głupiec ze Złotych Gór? Nie, jestem gościem w twojej przeklętej restauracji. Przynoś tu piwo, bo każę swoim ludziom odciąć ci Tajny Worek, a te orzeszki, które nazywasz skarbem, rzucić na pożarcie psom!

Chińczyk nic nie odpowiedział. Poszedł pokornie do sąsiedniego straganu, przyniósł butelkę San Miguel i otworzył. Inni klienci wpatrywali się w Armstronga. On głośno odchrząknął, splunął i spojrzął na siedzącego najbliżej. Tamten wzdrygnął się i odwrócił wzrok.

Pozostali także wrócili do swoich misek. Czuli się niepewnie w obecności barbarzyńskiego policjanta o złych manierach, który przeklina swobodnie w ich języku.

Armstrong usiadł wygodniej i dalej cierpliwie obserwował ulicę.

Wkrótce zauważył niskiego, tęgiego Europejczyka zatrzymującego się przy sklepie z tanim obuwiem.

To zawodowiec, pomyślał z przyjemnością Armstrong. Wiedział, że tamten człowiek obserwuje przez odbicie w wystawowej szybie leżącą po drugiej stronie ulicy restaurację. Nie spieszył się. Ubrany był w obwisły przeciwdeszczowy płaszcz i kapelusz, nie wyróżniał się wyglądem. Na moment zniknął z pola widzenia Armstronga, gdy minął go kulis z dwoma wielkimi tobołkami przywieszonymi do bambusowego kija. Ruszył za kulisem i niemal niewidoczny zniknął za rogiem.

Jest bardzo dobry, zauważył z uznaniem Armstrong.

Już to kiedyś musiał robić. Na pewno KGB go tak wyszkoliło. No, ale niedługo cię złapią, kolego, pomyślał Armstrong jak rybak o podpływającej do przynęty rybie.

Tamten wrócił i znów przyglądał się restauracji.

Krążył jak óma wokół świecy. Kilka razy przechodził

obok wejścia, ale zawsze bardzo ostrożnie i bez zwracania niczyjej uwagi. W końcu wszedł do środka, usiadł przy stoliku i zamówił piwo. Armstrong znów westchnął z zadowoleniem.

Zdawało się, że minęło mnóstwo czasu, zanim tamten wstał, zapytał o toaletę i minąwszy kilku gości zniknął za zasłoną. Po chwili wyszedł i skierował się do swojego stolika. W tym samym momencie czterech kulisów rzuciło się na niego, unieruchomiło mu ręce, a jeden złapał go za kark. Pozostali, prawdziwi goście, wytrzeszczyli ze zdziwienia oczy, jeden upuścił

pałeczki, kilku uciekło, reszta zamarła w bezruchu.

Armstrong podniósł się bez pośpiechu ze swego miejsca. Zobaczył, że stojący za kontuarem chiński barman zdejmuje fartuch.

- Zamknij się! - krzyknął barman po rosyjsku do szamoczącego się i przeklinającego mężczyzny. -

Dobry wieczór, nadinspektorze - dodał do Armstronga.

Nazywał się Malcolm Sun i był agentem SI przydzielonym do operacji 16/2. On zorganizował

pułapkę i przekupił barmana pracującego zawsze na tej zmianie, żeby zająć jego miejsce.

- Dobry wieczór, Malcolm, dobrze się spisałeś.

- Armstrong odwrócił się do agenta wroga. - Jak się nazywasz? - zapytał spokojnie.

- Kim pan jest? Puśćcie mnie... - rzucił po angielsku, ze złym akcentem.

- Ty się nim zajmij, Malcolm - polecił Armstrong.

- Posłuchaj, gównojadzie - odezwał się po rosyjsku Sun. - Wiemy, że jesteś kurierem z „Iwanowa” i właśnie odebrałeś dokumenty od Amerykanina z lotniskowca nuklearnego. Już zgarnęliśmy tego łajdaka, a ty...

- Bzdury! To pomyłka! - krzyknął po rosyjsku.

- Nic nie wiem o żadnym Amerykaninie. Puśćcie mnie!

- Jak się nazywasz?

To pomyłka. Puśćcie mnie! - Dookoła zebrał się tłum gapiów.

- To twarde, sir - Sun zwrócił się do Armstronga. -

I kiepsko rozumie po rosyjsku. Chyba będziemy go musieli zabrać ze sobą. - Uśmiechnął się.

- Sierzancie, wezwać Czarną Marię!

- Tak jest! - powiedział jeden z agentów i wyszedł.

Rosjanin miał siwe włosy i małe, pełne gniewu oczka. Trzymano go w taki sposób, że nie miał żadnej szansy na ucieczkę ani na sięgnięcie do kieszeni, aby zniszczyć dowód; ani do ust, żeby zniszczyć siebie.

Armstrong fachowo go przeszukał. Nie miał papierów ani rolki z filmem.

- Gdzie to schowałeś?

- Nie rozumiem!

Nienawiść złapanego nie przeszkadzała Armstrongowi. Ten człowiek był po prostu osobnikiem, którego należało złamać. Ciekawe, kto wkopał tego biedaka, który tu umiera ze strachu, dumał. Kto jest teraz przegrany w KGB. Ciekawe, dlaczego my się tym zajmujemy, a nie Rosemont i jego CIA? Dlaczego my wiedzieliśmy o przesyłce, a nie Jankesi? Jak Crosse na to wpadł? Powiedział tylko, kiedy i gdzie ma się odbyć przekazanie materiałów i że ma w nim brać udział marynarz z lotniskowca i ktoś z „Iwanowa”.

- Ciebie przydzielam, Robert, i nie zawał roboty.

- Dobrze. Ale daj kogo innego do Briana Kwoka...

- Powtarzam po raz ostatni, Robert. Przesłuchasz Briana Kwoka i jesteś przydzielony do SI, aż osobiście cię zwolnię. A jak jeszcze raz usłyszę, że odmawiasz, wylecisz z policji i z Hongkongu, a nie muszę ci chyba przypominać o dużych wpływach SI. Nie znajdziesz pracy, a jak popełnisz przestępstwo, to niech cię Bóg ma w swojej opiece. Wszystko jasne?

- Tak jest.

- To dobrze. Jutro o szóstej rano Brian będzie gotowy.

Armstrong wzdrygnął się. Dopisało nam niesłychane szczęście, że go złapaliśmy! Gdyby Obserwator Wu nie pochodził z Ning-tok, gdyby stara *amah* nie porozmawiała z Wilkołakiem, gdyby nie szturm na bank. Chryste, dużo tych gdyby. Ale tak właśnie wpadają grube ryby. Przez przypadek, Jezu Chryste, Brian Kwok, co za łajdak. Znow się wzdrygnął.

- Wszystko w porządku, sir? - zapytał Malcolm Sun.

- Tak.

- Armstrong obejrzał się na Rosjanina.

- Gdzie masz rolkę z filmem?

Mężczyzna patrzył na niego z odrazą.

- Nie rozumiem.

- Rozumiesz aż za dobrze. - Podjechała czarna furgonetka. Wsiadło kilku agentów SI. - Wsadźcie go do środka i nie wypuszczajcie. - Tłum szeptał, przyglądał się, jak agenci wprowadzają Rosjanina do samochodu. Armstrong i Sun także wsiedli i zamknęli za sobą drzwi.

- Jedziemy! - rozkazał Armstrong kierowcy.

- Tak jest. - Powoli wy dostał się ze zbiegowiska ludzi i zjechał na ulicę kierując się w stronę Komendy Głównej.

- Dobrze, Malcolm, możesz zaczynać.

Chiński agent wyjął ostry jak brzytwa nóż. Rosjanin zbladł.

- Jak się nazywasz? - zapytał siedzący naprzeciw niego Armstrong.

Malcolm Sun powtórzył pytanie po rosyjsku.

- D... Dimitrij Metkin - wyjąkał nadal unieruchomiony przez czterech mężczyzn. - Marynarz pierwszej kategorii.

- Kłamstwo - stwierdził spokojnie Armstrong.

- Dalej, Malcolm.

Sun przyłożył nóż do lewego oka Rosjanina. Nieszczęśnik omal nie zemdleł.

- I na to przyjdzie czas, szpiegu - powiedział Sun po rosyjsku z przerażającym uśmiechem. Fachowo, używając noża, ściągnął z niego płaszcz. Armstrong dokładnie go przeszukał, a Sun zerwał ze szpiega resztę ubrań, aż zatrzymany był zupełnie nagi. Ani razu nie drasnął go nożem. Dokładna, dwukrotna rewizja nie przyniosła efektów. Nie znaleźli też nic w butach ani w obcasach.

- Nie mogliśmy nic przeoczyć, więc przesyłka musi być w nim - zawyrokował Armstrong.

W jednej chwili trzymający Rosjanina przechylili go, a Sun założył rękawicę chirurgiczną, posmarował kre-mem i sięgnął głęboko. Mężczyzna drgnął, jęknął, a oczy zasły mu łzami cierpienia.

- *Dew neh loh moh!* - wykrzyknął Sun. Trzymał w palcach mały pakunek w celofanowej torebce.

- Uważaj na niego! - krzyknął Armstrong.

Gdy upewnił się, że Rosjanin nic sobie nie robi, przyjrzał się pakunkowi. Widział w środku dwa kółka od kasety z filmem.

- Wygląda na Minoltę - stwierdził niemal niedostłyszalnie.

Za pomocą serwetek ostrożnie otworzył celofanową torebkę, a potem z powrotem usiadł naprzeciw zatrzymanego.

- Panie Metkin, jest pan oskarżony przez Biuro Akt Tajnych o udział w szpiegowaniu rządu Jej Wysokości oraz Jej sprzymierzeńców. Wszystko, co pan od tej chwili powie, może być użyte jako dowód przeciwko panu. Jest pan zatrzymany. Jesteśmy z Wywiadu Specjalnego i nie podlegamy prawu tak samo jak wasze KGB. Nie chcemy pana skrzywdzić, ale możemy trzymać, jak długo zechcemy. Liczymy na odrobinę współpracy. Jeśli odmówi pan udzielenia dokładnych informacji, będziemy musieli posłużyć się którąś z metod stosowanych także w KGB. W

niektórych jesteśmy nawet lepsi. - Zobaczył na twarzy Rosjanina przerażenie, ale instynkt podpowiadał mu, że nie będzie go łatwo złamać.

- Jak się naprawdę nazywasz? Oficjalne nazwisko

Armstrong

w KGB?

Mężczyzna patrzył. Nie wydusił z siebie ani jednego słowa.

-

Stopień w KGB?

Mężczyzna nadal patrzył.

Armstrong westchnął.

- Jeśli wolisz, kolego, oddam cię w ręce moich chińskich przyjaciół. Oni naprawdę was wszystkich nie lubią. Sowiecka armia napadła na mandżurską wioskę Malcolm'a i wybiła całą jego rodzinę. Przykro mi, ale naprawdę muszę znać twoje oficjalne nazwisko w KGB,

stopień na „Rosyjskim Iwanowie” oraz prawdziwe stanowisko.

Znów wrogię milczenie. Armstrong wzruszył

ramionami.

-

Do dzieła, Malcolm.

Sun wyjął z futerału łom,

a czterej mężczyźni położyli

Rosjanina na brzuchu. Sun wsadził koniuszek łomu do odbytu. Mężczyzna wrzasnął.

- Czeka... - zawołał po angielsku. - Czeka—

nazywam się Dimi... - Znów krzyk. - Nikołaj Leonów, major, komisarz polityczny...

- Wystarczy, Malcolm - zdecydował Armstrong zdziwiony ważnością zdobycy.

- Ależ, sir...

- Wystarczy. - Armstrong musiał przeciwstawić całą swą stanowczość nienawiści i złości Suna. -  
Podnie-

ście go! - rozkazał. Zrobiło mu się przykro z powodu poniżenia tego człowieka. Jednak tamten  
pewnie nie znał triku z wymuszeniem nazwiska i stopnia. Był to trik, ponieważ nigdy nie wkładali  
łomu zbyt głęboko, a pierwszy krzyk zawsze był powodowany strachem, a nie bólem. Jeśli złamano  
wrogiego agenta od razu, to potem na komendzie nie trzeba było stosować żadnych tortur, choć  
wbrew rozkazom można było przypalić delikwenta kilka razy. To niebezpieczna profesja, myślał. W  
KGB stosują jeszcze ostrzejsze metody. Chińczycy mają zupełnie inne podejście do życia i śmierci,  
do porażki i zwycięstwa, do rozkoszy i bólu - a także do wartości krzyku.

Proszę się nie przejmować, majorze Leonów - powiedział uprzejmie, gdy posadzono Rosjanina z  
powrotem na ławce. Nie chcemy cię skrzywdzić. Ani żebyś sam sobie coś zrobił. Metkin splunął na  
niego i zaczął przeklinać. Po twarzy popłynęły mu łzy Strachu, gniewu i upokorzenia. Armstrong  
skinął na Malcolma Suną, który wyjął przygotowaną szmatkę i przyłożył ją do nosa i ust Metkina.

W powietrzu rozszedł się ciężki zapach chloroformu.

Metkin chciał się szarpnąć, a potem osunął się bezwładnie. Armstrong sprawdził mu puls i podniósł  
powieki, aby upewnić się, że stracił przytomność.

- Możecie go już puścić. Wszyscy dobrze się spisali-

ście. Dostaniecie pochwałę. Malcolm, trzeba dobrze się

nim

opiekować.

Może

chcieć

popęłnić

samobójstwo.

- Tak. - Sun i inni usiedli. Furgonetka co chwila ruszała i zatrzymywała się w ruchu ulicznym. Potem wyraził to, co nurtowało wszystkich: - Dimitrij Metkin alias Nikołaj Leonów, major KGB, komisarz polityczny na „Iwanowie”. Co taka gruba ryba robiła przy takiej drobnej robocie?

19:05

Linc Bartlett starannie dobierał krawat. Miał jasno-niebieską koszulę, jasnobrązowy garnitur i zdecydował

się na brązowy krawat w czerwone paski. Na komodzie stało piwo w zaparowanej od zimna puszcze. Cały dzień zastanawiał się, czy powinien zadzwonić do Orlandy czy też sobie darować, czy powinien powiedzieć o wszystkim Casey, czy absolutnie zachować to w tajemnicy.

A dzień minął mu przyjemnie. Rano śniadanie z Orlandą i wizyta na Kai Tak, aby sprawdzić, czy samolot nadaje się do lotu do Tajpej. Lunch z Casey, a potem giełdowe emocje. Po zamknięciu giełdy pojechali na prom do Koulunu. Na pokładzie rozwinięto dla ochrony przed deszczem brezentowe płachty i zapanowała klaustrofobiczna atmosfera niszcząca całą przyjemność przepływania kanału. Jednak Linc miło spędzał czas z Casey.

- Ian ma za swoje, prawda Linc?

- Tak, no pewnie. Ale jest sprytny, a bitwa jeszcze nie zakończona. To był dopiero pierwszy atak.

- Jak mu się uda to naprawić? Kurs sporo spadł.

- W porównaniu z zeszłym tygodniem tak, oczywiście.

Nie wiemy tylko, ile wynosi jego współczynnik zysku. Ta giełda działa jak jo-jo i jest niebezpieczna. Wychodzisz po Seymoura i Charliego Forrestera?

Tak. Pan-Am nie miewa opóźnień. Zamówiłam samochód. Jadę, jak tylko wrócimy. Myślisz, że zechcą pójść na kolację?

- Nie. Będą zmęczeni jak diabli.

- Uśmiechnął się.

- Mam nadzieję. - Zarówno Seymour Steigler III, ich adwokat, jak i Charlie Forrester - specjalista w dziedzinie pianki poliestrowej, nie byli najprzyjemniejszymi partnerami w kontaktach towarzyskich. - O której przylatują?

-

Za dziesięć piąta. Na miejscu będziemy o szóstej.

O szóstej spotkali się z Seymourem Steiglerem, a Forrester czuł się źle i od razu położył się do łóżka.

Ich prawnik był nowojorczykiem, miał faliste siwe włosy, ciemne oczy i ciemne kręgi pod nimi.



- Casey wypytywała mnie o takie szczegóły, że chyba wszystko idzie dobrze, Linc?

Casey i Linc wprowadzili go w prawie wszystkie detale kontraktu, ominęli tylko umowę Linca dotyczącą statków.

- Jest kilka klauzul, które chciałbym dodać, aby nas chronić, Linc - zaznaczył Steigler.

- Dobrze, ale nie chcę ponownych negocjacji.

Wszystko ma być gotowe na wtorek, tak jak się umówiliśmy.

- A co z Rothwell-Gornt? Też ich powinienem sprawdzać? Struanów możemy przecież spławić.

- Nie - rzekła zdecydowanie Casey. - Gornta i Dunrossa zostaw w spokoju. - Nie powiedzieli również Seymourowi o prywatnej umowie Gornta i Bartletta.

- Hongkong to bardziej skomplikowane miejsce, niż myślisz. Lepiej zostaw ich nam.

- Słusznie - dodał Linc. - Dunrossa i Gornta zostaw mnie i Casey. Ty rozmawiaj z ich prawnikami.

- Jacy oni są?

- Anglicy, bardzo przyzwoici - stwierdziła Casey.

- W południe rozmawiałam z Johnem Dawsonem. Miał

też przyjść Dunross, ale w zamian wysłał Jacques'a deVil e'a, jednego z dyrektorów Struanów. Zajmuje się umowami i częściowo finansami. Jacques jest bardzo dobry, ale wszystkim kieruje Dunross i on o wszystkim decyduje. To naczelna zasada.

- A może. zadzwonić do tego... eee... Dawsona od razu? Spotkałbym się z nim na śniadaniu. Powiedzmy o ósmej.

Bartlett i Casey wybuchnęli śmiechem.

- Nie ma mowy, Seymour. - Pokręciła głową. - O

dziesiątej i tak będzie wcześniej. Tu mają dwugodzinny lunch. Jedzą i piją, jakby jutro miał się skończyć świat.

- To spotkam się z nim po lunchu i wtedy może go nauczymy jakiejś sztuczki. - Jego oczy nabrały twardego, niezbyt przyjemnego wyrazu. Zacisnął zęby.

- Zanim coś zjem, muszę zadzwonić do Nowego Jorku. Mam wszystkie dokumenty, aby dokonać fuzji z GXR...

- Ja się tym zajmę, Seymour - uspokoiła Casey.

- Kupiłem dwustutysięczny pakiet akcji Rothwell-Gornt po dwadzieścia trzy i pół. Po ile są dzisiaj?

- Po dwadzieścia jeden.

- Jezu, Linc, jesteś trzysta do tyłu. - Casey wyraźnie się zaniepokoiła. - Może sprzedasz, a potem odkupisz?

- Nie. Zatrzymamy akcje. - Bartlett nie przejmował

się stratą, mając w perspektywie zyski z krótkiej sprzedaży. - Seymour, na noc masz wolne. Spotkamy się w trójkę przy śniadaniu. Powiedzmy o ósmej.

- Świetnie. Casey, umówisz mnie z Dawsonem?

- Jasne. Spotkają się z tobą już rano. Tai-pan... Ian Dunross uznał tę transakcję za bardzo ważną.

-I tak powinno być - powiedział Steigler. - Nasza zaliczka wywinduje go trochę.

-

Jeśli przetrwa - dodała Casey.

-

Dzisiaj tak, jutro siak, więc cieszymy się życiem!

Było to jedno z typowych powiedzeń Steiglera. Do tej pory dźwięczało w uszach Bartletta. Dzisiaj tak, jutro siak... Jak podczas pożaru. Mogło być gorzej. Mogłem zawadzić głową tak samo jak ten Pennyworth. Nigdy nie wiadomo, kiedy przychodzi na człowieka kolej. Nie wiadomo kiedy ani gdzie. Jak z ojcem. Chodzący okaz zdrowia, trudno powiedzieć, czy choć raz w życiu chorował. I właśnie wtedy lekarz orzekł, że to już koniec, a za trzy miesiące ojciec umarł w cierpieniach.

Bartlettowi wystąpił pot na czole. To były ciężkie czasy

- pogrzeb ojca, rozwód, rozbiecie matki i same problemy. Potem przeprowadził rozwód, ustalenia były dla niego korzystne, ale ledwie udało mu się utrzymać panowanie nad kompaniami. Spłacił jednak była żonę bez wyprzedazy majątku. Choć żona po raz drugi wyszła za mąż, on nadal płacił jej alimenty, oprócz rosnących środków na utrzymanie dzieci. Bolał go każdy wypłacany cent, nie ze względu na same pieniądze, ale z powodu nieuczciwości kalifornijskiego prawa. Jej i jego prawnicy ustalili między sobą, że będzie płacił alimenty aż do śmierci. Ale Bartlett poprzysiągł sobie zemstę na nich. Na nich i na tych wszystkich pasożytach.

Z wysiłkiem udało mu się odsunąć od siebie te posępne myśli. Na razie.

Dzisiaj tak, jutro siak, więc cieszymy się życiem! —

powtórzył popijając piwo. Zawiązał krawat i przejrzał

się w lustrze. Mucha nie siada. Lubił siebie i zawsze żył ze sobą w zgodzie. Wiedział, kim jest i czego chce.

Pomogła mu w tym wojna. Także przeżycie rozwodu.

Casey tylko umocniła go w jego przekonaniu o właściwej wybranej drodze i własnej wartości.

Casey.

Co z Casey?

Mamy, jak zwykle, jasne zasady. Jeśli ja albo ona wychodzimy na randkę, to nie może być żadnych pytań ani wyrzutów.

Czy tylko dlatego zdecydowałem się nie mówić Casey o spotkaniu z Orlandą?

Spojrzał na zegarek. Już prawie czas wychodzić.

Rozległo się niemal niedosłyszalne pukanie do drzwi. Klaniając się, wszedł Nocny Song.

- Pani idzie - zapowiedział i zrobił przejście.

Korytarzem zbliżała się Casey z dokumentami i notatkami.

- O, cześć, Casey - przywitał ją Bartlett. - Właśnie miałem do ciebie dzwonić.

- Cześć, Linc - powiedziała wesoło i przechodząc obok Chińczyka dodała po kantońsku: - *Doh dieh*.

Linc, mam dla ciebie trochę materiałów. - Wręczyła mu kilka teleksów i listów, po czym podeszła do barku nalać sobie martini. Ubrana była w szarą spódnicę, szary żakiet i szare buty. Włosy miała związane w koński ogon, a jedyną ozdobą głowy był wetknięty za ucho ołówek. Zamiast jak zwykle szkieł kontaktowych założyła okulary. - Pierwsze dotyczą fuzji z GXR.

Wszystko podpisane, podstemplowane i drugiego września przejmujemy ich. Na piętnastą w Los Angeles zostało umówione zebranie rady nadzorczej.

Mamy więc dużo czasu, żeby się wycofać. Pytałam...

- Rozłożyć łóżko, proszę pana? - zapytał stojący przy drzwiach Nocny Song.

Bartlett już chciał odpowiedzieć przecząco, ale Casey pokręciła głową.

- *Um ho* - wydukała po kantońsku wyraźnie i po woli wypowiadając słowa. - *Cza z'er, doh d'zeh*. Nie, dziękuję, później.

Nocny Song popatrzył na nią niewidzącym wzrokiem.

-  
*Wat?*

Casey powtórzyła. Starszy człowiek był poirytowany, że Złote Łono ma czelność zwracać się do niego w jego własnym języku.

- Rozłożyć łóżko, *heya?* Teraz, *heya?* - zapytał po angielsku.

Casey powtórzyła po kantońsku, ale znów nie było reakcji, zaczęła jeszcze raz, ale przerwała i dokończyła po angielsku:

-  
Nie, nie teraz, później.

Nocny Song uklonił się, znosząc z goryczą utratę twarzy.

- Tak, proszę pani. - Wychodząc, prawie trzasnął  
drzwiami.

Dupek - mruknięła. - Na pewno mnie zrozumiał. Wiem, że dobrze powiedziałam, Linc. Dlaczego oni upierają się przy tym, żeby nie rozumieć? Próbowałam z moją pokojówką i było to samo. -  
Roześmiała się. - Co mówić, *heya?* - naśladowała Chinkę. Bartlett także się roześmiał.

- Są źle wychowani. Ale gdzie ty się uczysz chińskiego?

- To kantoński. Mam nauczyciela. Spędziłam dzisiaj rano godzinę na nauczaniu się podstawowych zwrotów, cześć, dzień dobry, proszę o rachunek...

Cholernie skomplikowane. Najgorsze te tony. W

kantońskim jest siedem tonów, siedem sposobów wypowiedzania tego samego słowa. Prosić o rachunek to *mai don*, ale jeśli źle to wypowiesz, będzie chodziło o smażone jaja. Kelner ci oczywiście przyniesie. -

Napiła się martini. - O, tego mi było trzeba. Chcesz jeszcze jedno piwo?

Bartlett pokręcił głową.

-  
Nie, dziękuję. - Przeczytał wszystkie teleksy.

Casey usiadła na sofie i otworzyła notatnik.

- Sekretarka Vincenza Banastasio dzwoniła i prosiła, żeby zarezerwować mu na sobotę apartament...

-

Nie wiedziałem, że ma przyjechać do Hongkongu, a ty?

- Kiedy go widziałam ostatnim razem, to chyba nic nie wspominał o wyjeździe do Azji. A widziałam go... w Del Mar, gdy przyjechał John Czen. Straszna z nim sprawa, nie?

- Mam nadzieję, że złapią te Wilkołaki. Żeby tak go załatwić i jeszcze napisać taką kartkę.

- Wysłałam kondolencje do jego ojca i żony Dianne.

Pamiętasz? Poznaliśmy ją w Aberdeen. Jezu, wydaje się, jakby minęło od tego czasu milion lat.

- Tak. - Bartlett zmarszczył brwi. - Ale nie pamiętam, żeby Vincenzo coś mówił o wyjeździe. Ma zamiar tu się zatrzymać?

- Nie,

po

stronie

Hongkongu.

Zamówiłam

rezerwację w „Hiltonie”, a jutro potwierdzą osobiście.

On przylatuje w sobotę z Tokio. - Casey spoglądała zza okularów. - Mam zorganizować spotkanie?

- Jak długo zamierza zostać?

- Przez weekend. Kilka dni. Wiesz, jaki jest niecierpliwy. Może w sobotę po wyścigach? Będziemy w Hongkongu.

Bartlett chciał przenieść spotkanie na niedzielę, ale przypomniał sobie o wyjeździe do Tajpej.

- Dobrze. W sobotę po wyścigach. - Zobaczył jej zaniepokojony wzrok. - Co się stało?

- Nic, zastanawiałam się tylko, o co mu chodzi.

- Gdy kupował cztery procent naszych akcji, sprawdziliśmy na wszelkie sposoby, że ma czyste pieniądze.

Nigdy nie był aresztowany ani oskarżony, choć krążyło na jego temat wiele plotek. Nigdy nie przysparzał nam kłopotów, nigdy nie pchał się do rady, nie stawiał się na zebraniu akcjonariuszy,

zawsze dawał mi wolną rękę i zawsze pomagał finansowo, gdy było trzeba. -

Popatrzył na nią. - A więc?

- Nic, Linc. Znasz moje zdanie o nim. Zgadzam się, że nie możemy dostać z powrotem tych akcji. Kupił je legalnie, sam o nie poprosił, a my jak diabli potrzebowaliśmy jego pieniędzy. - Poprawiła okulary i coś zanotowała. - Ustalę spotkanie i będę uprzejma jak zawsze. Dalej: otworzyłam konto w Victoria Bank.

Wpłaciłam dwadzieścia pięć tysięcy, a tu jest książeczka czekowa. W każdej chwili First Central może przelać siedem milionów na konto, które wskażemy. Tam jest teleks z potwierdzeniem. W tym samym banku otworzyłam też konto osobiste dla ciebie. Też dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i dwadzieścia tysięcy hongkongskich na codzienne wydatki. - Uśmiechnęła się. - Na parę misek siekanego mięsa i na kawałek nefrytu, chociaż słyszałam, że podróbka prawie się nie różni od oryginału.

- Daruję sobie ten nefryt. - Bartlett chciał spojrzeć na zegarek, ale powstrzymał się i napił piwa. - Co dalej?

- Dzwonił Clive Bersky. Ma jakąś prośbę.

-

Zaproponowałaś mu, żeby się wypchał?

Roześmiała się. Clive Bersky był dyrektorem ich oddziału First Central New York. Należał do ludzi metodycznych, pedantycznych i doprowadzał Bartletta do wściekłości swoją perfekcyjnie prowadzoną dokumentacją.

-

Pytał, czy jeśli dojdzie do skutku transakcja ze Struanami, możemy nasze fundusze przekazać za pośrednictwem tutejszego Royal Belgium and Far East Bank.

- Dlaczego akurat do nich?

- Nie wiem. Sprawdzam. O ósmej jesteśmy umó-

wieni na drinka z szefem lokalnego oddziału.

- Zajmiesz się tym, Casey?

- Jasne. Mogę pić i rozmawiać. Chcesz potem coś zjeść? Moglibyśmy skoczyć do „Escoffier” albo do „Siedmiu Smoków”, albo przejdziemy się po Nathan Road i możemy wchodzić do chińskich barów. Gdzieś pod dachem, bo zapowiadają dalsze opady.

- Dzięki, ale nie dzisiaj. Jadę do Hongkongu.

- O! Po... - przerwała. - Dobrze. Kiedy wychodzisz?

- Zaraz, ale nie ma pośpiechu. - Zauważył na jej ustach lekki uśmiezek i w tej samej chwili spuściła wzrok na notatki. Natychmiast zdał sobie sprawę, że domyśliła się, dokąd idzie, i to go zezłościło. - W czym jeszcze mam pomóc?

- O, to nic pilnego. - powiedziała takim samym miłym głosem. - Rano rozmawiałam z kapitanem Jannelli w sprawie wycieczki do Tajpej. Biuro Armstronga wysłało pismo z pozwoleniem na czasowe opuszczenie Hongkongu. Musisz tylko podpisać zgodę na powrót. Do wtorku. Może być?

-

Jasne. We wtorek mamy D Day.

Wstała.

- To tyle, Linc. Porozmawiam z bankierem i załatwię resztę spraw. - Dopiła martini i odstawiła kieliszek. -

Linc, ten krawat! Niebieski lepiej pasuje. Do zobaczenia na śniadaniu. - Jak zwykle przesała mu pocałunki i wyszła, zamykając za sobą drzwi. - Miłych snów.

- Co mi tak cholernie odbiło? - warknął ze złością na głos. - Casey nic ci nie zrobiła, skurwielu. -

Nieświadomie ścisnął puszkę z piwem. I co teraz?

Mam zapomnieć, iść czy co robić?

Podenerwowana Casey szła korytarzem do swojego pokoju. Założył się, że wychodzi z tą cholerną dziwką, myślała. Powinnam była ją utopić, kiedy był na to czas.

Nocny Song otworzył przed nią drzwi z uśmiechem, który odczytała jako kpiący.

- I ty też możesz sobie nadmuchać w dupę - mruknęła, nie kontrolując się przez chwilę. Trzasnęła drzwiami, rzuciła dokumenty i notatki na łóżko i poczuła w gardle piekące łzy. - Nie wolno ci płakać - bliska łez rozkazała sobie na głos. - Żaden cholerny facet nie będzie cię tak traktować! Żaden! - Dygotała z niepohamowanego gniewu.

Do dupy ze wszystkimi mężczyznami!

19:40

- Przepraszam, Wasza Ekszelencjo, jest pan proszony do telefonu.

- Dziękuję, John. - Sir Geoffrey Alison odwrócił się do Dunrossa i innych. - Czy mogą mi panowie wybaczyć na chwilę?

Znajdowali się w oficjalnej rezydencji gubernatora.

Przez otwarte drzwi tarasowe wpadało chłodne powietrze, słychać było przyjemny szum drzew i krzewów.

Gubernator przeszedł przez pomieszczenie, w którym podawano przekąski i koktajle. Na razie był zadowolony z wieczoru. Zewsząd dochodziły odgłosy przyjaznej konwersacji, śmiechy, nikt z nikim nie toczył zaciętej dyskusji i nie było starć między hongkongijskimi tai-panami a członkami parlamentu. Na jego prośbę Dunross wysilał wszystkie swoje talenty dyplomatyczne, żeby Grey i Broadhurst nie prowokowali spięć.

Zamknął za sobą drzwi gabinetu i został sam na sam z telefonem. W gabinecie dominował kolor ciemnozielony, niebieskie tapety ozdabiały ściany, a na podłodze leżał

perski dywan, który nabył podczas dwuletniej pracy w ambasadzie w Teheranie. Na półkach stały cięte kryształy i chińska porcelana.

- Halo?

- Przepraszam, że przeszkadzam, sir - odezwał się Crosse.

- O, cześć, Roger. - Gubernator poczuł klucie w piersiach. - Nic nie szkodzi - odparł.

- Mam dwie, raczej dobre informacje, sir. Ważne: Mogę przyjść?

Sir Geoffrey zerknął na porcelanowy zegar stojący na kominku.

- Za piętnaście minut podadzą obiad, Roger. Gdzie jesteś?

- Jakies trzy minuty drogi stąd, sir. Nie chciałbym przeszkadzać podczas obiadu. Jeśli pan woli, przyjdę później.

- Daj spokój, dobre wiadomości bardzo się przydadzą.

Przy całej tej aferze z bankami i giełdą... Jak chcesz, możesz wejść przez ogród. John po ciebie wyjdzie.

- Dziękuję, sir. - Połączenie zostało przerwane.



Zgodnie ze zwyczajem szef SI miał klucz do żelaznej bramy znajdującej się w wysokim ogrodzeniu.

Dokładnie za trzy minuty Crosse wszedł na taras.

Ziemia była bardzo wilgotna. Zanim podszedł do drzwi, otrzepał buty.

- Sir, złapaliśmy grubą rybę. Agenta wroga. I to na gorącym uczynku - zameldował cicho. - Majora KGB,

komisarza politycznego z „Iwanowa”. Pochwyciliśmy go razem z amerykańskim specjalistą od komputerów z lotniskowca.

Gubernator poczerwieniał.

- Przeklęty „Iwanow”! Boże, Robert, majora? Masz pojęcie, jakie to pociągnie za sobą polityczne burze i zatargi między ZSRR, USA i Londynem?

- Tak,

sir. Dlatego pomyślałem, że najpierw skonsultuję się z panem.

- Co, do diabła, robił ten facet?

Crosse przedstawił suche fakty i zakończył:

- Obydwaj siedzą w areszcie i są w dobrych rękach.

- Co było na filmie?

- Nic. Był naświetlony.

-Jak to?

-No tak. Oczywiście obydwoj twierdzą, że to nie prawda, jakoby zajmowali się jakimkolwiek szpiegostwem.

Marynarz zaprzecza, że zostawił przesyłkę, mówi, że dwa tysiące dolarów wygrał w pokera. Dziecinne kłamstwo, ale utrudnia sprawę, chociaż nam zawsze udaje się dojść prawdy. Myśleliśmy, że przeoczyliśmy prawdziwy film, jeszcze raz przeszukaliśmy ubrania. Zarządziłem ciągłe badanie stolca i... Godzinę temu major KGB

wydalił prawdziwy negatyw. - Crosse podał dużą szarą kopertę. - Oto odbitki wszystkich klatek, sir.

Gubernator nie otworzył koperty.

- Co na nich jest? W skrócie.

- Jedno zdjęcie pokazuje ręczny system obsługi radaru.

Inne to fotokopie ewidencji arsenału lotniskowca, całej amunicji, pocisków, głowic.  
Wyszczególnienie jakości, liczby i rozmieszczenie na statku.

- Jezu Chryste! Łącznie z głowicami nuklearnymi? Nie, nie odpowiadaj. - Sir Geoffrey spojrzął na Crosse<sup>^</sup>. - No, Robert - podjął po chwili - cudem te informacje nie dostały się w ręce wroga. Należą ci się gratulacje.

Naszam amerykańskim przyjaciółom też ulży. Będą ci zobowiązani. Dobry Boże, w rękach eksperta taka wiedza mogłaby pozbawić ten statek zdolności uderzeniowej.

Tak, sir.

- A co zrobicie z tym waszym majorem?

- Wyślę go do Londynu pod specjalną eskortą RAF.

Tam powinni więcej z niego wyciągnąć, chociaż sprzęt mamy lepszy i odnosimy więcej sukcesów. Obawiam się, że za jakąś godzinę lub dwie o wszystkim dowiedzą się jego zwierzchnicy i podejmą starania o zlikwidowanie albo zneutralizowanie go. Mogą nawet wykorzystać drogę dyplomatyczną, aby zmusić nas do uwolnienia delikwenta i odesłania na statek. Poza tym mogą chcieć go odbić dla siebie komuniści z ChRL albo nacjonałiści.

- A co z amerykańskim marynarzem?

- Najrozsądniej będzie od razu wydać go CIA.

Razem z negatywem filmu i tymi odbitkami. Z oczywistych względów robiłem je sam i nie ma kopi. Myślę, że najlepszą osobą będzie Rosemont.

- O tak. Jest tutaj.

- Wiem, sir.

- Masz kopię wszystkich list moich gości, Roger?

- Nie, sir. Pół godziny temu zadzwoniłem do konsulatu, aby dowiedzieć się, gdzie jest Rosemont, i tam mi powiedzieli.

Sir Geoffrey przyjrzał mu się spod krzaczastych brwi.

Nie wierzył mu, zdawał sobie sprawę, że szef SI dokładnie wie, kogo i kiedy on zaprasza. To nic, pomyślał, na tym polega jego praca. Stawiam dukaty przeciwko orzechom, że te odbitki nie są jedyne, bo Roger jest świadom, że nasza admiralicja także uwielbia podglądać Amerykanów i zadaniem Roberta jest jej w tym pomagać.

- Czy to ma związek ze sprawą Alana Medforda?

- Nie. - Gubernatorowi wydało się, że słyszy drzenie w głosie Crosse'a. - Nie sądzę.

Gubernator wstał z krzesła i zaczął się przechadzać po gabinecie. Rozwazał wszelkie możliwości. Roger ma rację.

Chiński wywiad szybko dowie się o wszystkim. Każdy z naszych policjantów sympatyzuje albo z ChRL, albo z nacjonalistami. Lepiej więc usunąć szpiega z zasięgu ich działania. Wtedy nikogo nie będzie kusić. W każdym razie nie tutaj.

- Chyba powinienem od razu porozmawiać z ministrem.

- W takich okolicznościach byłoby to wskazane. Proszę też przekazać ministrowi, że wysłałem majora pod eskortą...

- Już został odesłany?

- Nie, ale uważam, że powinniśmy, jeśli pan się oczywiście zgodzi, zrobić to natychmiast.

Sir Geoffrey zastanowił się i znów spojrzął na zegarek.

Po dłuższej chwili odezwał się z uśmiechem:

- Dobrze. W Londynie jest teraz pora lunchu.

Poinformuję ministra za godzinę. Czy to wystarczy?

- Tak, dziękuję. Wszystko już przygotowane.

- Domyślam się.

Będzie mi lżej na sercu, jak już go wyprawimy, sir.

Dziękuję.

- A co z marynarzem?

- Może zapyta pan ministra, czy zgadza się na przekazanie go Rosemontowi, sir?

Mnóstwo pytań cisnęło się na usta gubernatora, ale nie zadał żadnego. Z doświadczenia wiedział, że nie potrafi kłamać, więc im mniej wie, tym lepiej.

- Dobrze. A jaka jest ta druga „dobra” wiadomość.

Wierzę, że będzie lepsza.

- Złapaliśmy zdrajcę, sir.

- Boże, to wspaniale! Bardzo dobrze. Kto?

- Starszy nadinspektor Brian Kwok.

- Nie do wiary!

Crosse natychmiast zasępił się.

- Wiem, sir. A mimo to nadinspektor Kwok jest komunistycznym zdrajcą, który szpiegował na rzecz ChRL. - Opowiedział, w jaki sposób zidentyfikował

Kwoka. - Proponuję pochwałę dla Armstronga i Obserwatora Wu. Jego biorę do SI, sir.

Sir Geoffrey w osłupieniu patrzył w okno.

- Na Boga! Młody Brian! Dlaczego? Za rok, dwa mógł

zostać zastępcą komisarza... To chyba pomyłka!...

- Nie, sir. Jak mówiłem, dowody są niezbite. Oczywiście, nie znamy jeszcze szczegółów, ale wkrótce się wszystkiego dowiemy.

Gubernator usłyszał stanowczość w głosie Crosse'a, zobaczył jego zacięty wzrok i zrobiło mu się żal Briana Kwoka, którego lubił od tak wielu lat.

- Musisz mi poradzić, jak z nim postąpić. Może dowiemy się, co sprawia, że ludzie robią takie rzeczy.

Boże, on był taki czarujący i doskonale grał w krykieta!

Tak, koniecznie muszę to z tobą skonsultować.

- Oczywiście, sir - Crosse wstał. - To bardzo interesujące. Nigdy nie mogłem pojąć, dlaczego miał zawsze takie antyamerykańskie nastawienie. A to była maska. Teraz to jasne... Powinienem być się tego domyślić. Przepraszam, że przerwałem przyjęcie.

- Gratuluję ci, Roger. Skoro sowieckiego agenta wysyłasz do Londynu, to może z Brianem zrobić to samo?

- Nie, sir. Tutaj rozmowa z Kwokiem przebiegnie szybciej i skuteczniej. To my jesteśmy najbardziej zainteresowani ustaleniem tego, co on wie. Londyn nie jest bezpośrednio zaangażowany. Kwok szpiegował

w Hongkongu, nie w Wielkiej Brytanii. Jest agentem ChRL, a tamten ZSRR. To nie to samo.

Sir Geoffrey ciężko westchnął. Wiedział, że Crosse ma rację.

- Zgoda. To był straszny dzień, Roger. Najpierw szturm na banki, potem giełda, jeszcze te wczorajsze

ofiary śmiertelne... John Czen w Aberdeen... Tarapaty Noble House... Wszystko wskazuje na to, że burza była zapowiedzią tajfuna i prawdopodobnie będzie trzeba odwołać sobotnie wyścigi... Teraz jeszcze te twoje rewelacje. Amerykański marynarz zdradza kraj dla nędznych dwóch tysięcy dolarów?

- Być może - Crosse skrzywił się - dla niego nie były one nędzne.

Żyjemy w strasznych czasach, chciał powiedzieć gubernator, ale wiedział, że to nie sprawa czasów.

Ludzie to tylko ludzie i zawsze kieruje nimi żądza władzy i pieniędzy. W każdym razie większością.

- Dziękuję, że przyszedłeś, Roger. Jeszcze raz gratu luję. Poinformuję ministra. Dobranoc.

Powiódł wzrokiem za odchodzącym Crosse'em. Gdy usłyszał, jak zamyka się żelazna brama, jasno uświadomił sobie nie zadane pytanie.

Kto jest zdrajcą w mojej policji?

Z dokumentów Alana Medforda wynika jasno, że zdrajca pracuje dla Rosji, a nie ChRL. Brian Kwok został złapany przypadkiem. Dlaczego Roger wyraźnie tego nie zaznaczył?

Sir Geoffrey wzdrygnął się. Skoro zdrajcą może być Brian Kwok, to może nim być każdy. Każdy.

## 20:17

Ledwie zdążył zdjąć palec z dzwonka, drzwi stanęły otworem.

- O, Linc - zawołała Orianda. Uradowała się. -

Myślałam, że już nie przyjdiesz. Wejdz.

- Przepraszam za spóźnienie - rzekł Bartlett oczarowany jej ciepłem i urodą. - Korki na ulicach, tłok na promie, a nie mogłem znaleźć telefonu!

- Przyszedłeś, więc się nie spóźniłeś. Obawiałam się, że już się nie pojawisz, a wtedy byłabym niepoczyszona.

Tak się cieszę, że cię widzę. - Stała na palcach, pocałowała go, a potem zamknęła za nim drzwi.

Unosiła się nad nią delikatna woń perfum, ale on miał wrażenie, że zapach ten zaraz się zmaterializuje.

Szyfonowa sukienka odsłaniała łydki i kostki. Gdzieś tam prześwitywała delikatna skóra dekoltu.

- Jestem taka szczęśliwa. - Wzięła od niego parasol i odstawiła do stojaka.

- Ja też.

Wieczorem jej pokój prezentował się jeszcze okazalej. Płonęły świece, przez otwarte drzwi na taras wpadało świeże powietrze. Znajdowali się nie opodal morza i góry. Przez okno od czasu do czasu widać było niższe obłoczki. Sto stóp poniżej ich poziomu rozciągało się morze. Koulun i przystań zasłaniała mgła, ale Bartlett wiedział, że tam są statki, i widział

przy

nabrzeżu ogromny lotniskowiec z jasno oświetlonym pokładem.

-

Hej - westchnął, opierając się na poręczy tarasu.

- Co za wspaniała noc, Oriando.

- O tak, tak. Chodź tutaj.

- Popatrzę sobie chwilę, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Oczywiście. Czego tylko sobie życzysz. Wspaniale ci pasuje ten garnitur. Piękny krawat. -

Przyjemność sprawiało jej samo prawienie komplementów, choć wcale nie uważała, że krawat pasuje do koszuli. Nic nie szkodzi, myślała, on po prostu nie ma takiego wyczucia kolorów jak Quillan i trzeba mu pomóc. Zrobię tak, jak mnie uczył

Quillan. Zamiast krytykować, pójdę i kupię mu ładny krawat, a potem dam w prezencie. Jeśli mu się spodoba, to cudownie. Jeśli nie, trudno. To w końcu on ma go nosić. - Ładnie wyglądasz.

- Dziękuję, ty także. - Przypomniał sobie, co Casey mówiła o jego krawacie. Ależ był na nią zły przez cały wieczór. Na promie, gdy czekał na taksówkę, skrzyczał

nawet kobietę, która chciała wejść do samochodu przed nim.

Dopiero teraz przeszedł mu zły humor i podenerwowanie. To dlatego, że Orlanda tak się cieszy na mój widok, pomyślał. Casey już dawno przestała się stroić jak bożonarodzeniowe drzewko i nic nigdy nie mówi... Do diabła z tym. Dziś wieczór nie muszę się nią przejmować.

-

Wspaniały widok, jak na obrazie.

Roześmiała się.

-

Więc... Och, zapomniałabym... - Pobiegła do kuchni. - Nie wiem czemu, ale czuję się przy tobie jak uczennica - zawołała. Wróciła po chwili. Na tacy przy niosła talerz z pasztetem, tostami i oszronioną butelkę piwa. - Mam nadzieję, że wybrałam odpowiednie.

Był to Anweiser.

- Skąd wiedziałaś?

- Powiedziałeś mi rano, nie pamiętasz? - Znow ogarnęło go emanujące z niej ciepło i poczuł się błogo.

- Także, że lubisz pić z butelki.

Podniósł piwo i uśmiechnął się.

- To też się znajdzie w artykule o mnie?

- Nie, nie. Postanowiłam nie pisać. Zauważył, że nagle spoważniała.

- Dlaczego?

Nalała sobie kieliszek białego wina.

- Uznałam, że nie będę mogła ocenić cię w artykule sprawiedliwie, więc postanowiłam nie pisać wcale. Poza tym zdaje się, że nie lubisz być obiektem dziennikarskiego zainteresowania i dostarczać tematu prasie. - Przyłożyła dłoń do lewej piersi. - Z ręką na sercu przyrzekam, że nasze spotkanie jest prywatne i nie ma związku z artykułem ani ciekawością żurnalisty.

-

Oj, nie ma potrzeby tak dramatyzować!

Przechyliła się przez poręcz. Od ziemi dzieliło ją osiemdziesiąt stóp. Zobaczył na twarzy Orlandy szczerłość i uwierzył jej. Tylko tego właśnie się obawiał, że spotyka się z nim po to, aby zebrać materiały. Nachylił

się i lekko ją pocałował.

- Przypieczętowane pocałunkiem.

- Tak.

- Chwilę patrzyli przed siebie.

- Deszcz skończył się na dobre?

- Mam nadzieję, że nie, Linc. Przyda nam się seria burz, aby napełnić zbiorniki. Trudno jest utrzymywać higienę, jeśli się ma wodę raz na cztery dni. - Uśmiechnęła się niewinnie jak dziecko. - Zeszłej nocy podczas ulewy rozebrałam się i kąpałam tutaj. Było fantastycznie.

Starczyło deszczu, nawet żeby umyć włosy.

Myśl o jej nagości poruszyła jego wyobraźnię.

- Ostrożnie! - ostrzegł. - Poręcz jest niska i możesz wypaść.

- Dziwne. Śmiertelnie boję się morza, ale wysokość wcale mnie nie przeraża. Ty uratowałeś mi życie.

- Daj spokój! Beze mnie też by ci się udało.

- Możliwe. Ale ocaliłeś moją twarz. Bez ciebie na pewno bym się zbłąźniła. Dziękuję za to.

- Tutaj twarz jest ważniejsza niż życie, prawda?

- Tak, czasami to prawda. Dlaczego właściwie o tym wspominasz?

- Wydaje mi się, że Gornt i Dunross walczą ze sobą tylko z powodu twarzy.

- Tak, masz rację. - Zadumała się. - Z jednej strony obydwaj są dobrzy, a z drugiej obydwaj są



prawdziwymi demonami.

- Co masz na myśli?

- Obydwaj są bezwzględni, silni, twardzi, mądrzy i...

w dobrych stosunkach z życiem. - Mówiąc to posmarowała tost pasztetem i podsunęła mu. Miała idealnie

wypielęgowane

długie

paznokcie.

-

Chińczycy mówią: *Czart ts'ao, czu ken*. Gdy przybierasz żalobę, upewnij się, że wyrwałeś też korzenie. Korzenie tych dwóch sięgają bardzo, bardzo głęboko w historię Azji. Trudno byłoby je wyrwać. -

Napiła się wina i uśmiechnęła się. - I prawdopodobnie nie byłoby to najlepsze rozwiązanie dla Hongkongu.

Jeszcze pasztetu?

- Tak. Jest przepyszny. Sama robiłaś?

- Tak. Według angielskiego przepisu.

- Dlaczego to nie byłoby dobre rozwiązanie dla Hongkongu?

- O, chyba dlatego, że oni zapewniają równowagę.

Jeśli jeden zniszczyłby drugiego, no, nie osobiście, mam na myśli całe *hong*, całe kompanie: Struanów i Rothwell-Gornt... No więc jeśli jedni wchłonęliby drugich, staliby się zbyt silni, nie mieliby konkurencji, a wtedy tai-pan tai-panów stałby się zbyt chciwy i mógłby chcieć uprawiać w Hongkongu dumping. -

Zawahała się. - Przepraszam... Za dużo mówię.

Jeszcze piwa?

- Tak, za chwilę. To bardzo interesujące. -

Rzeczywiście, myślał, nigdy mi to nie przyszło do głowy, ani Casey. Czy jeden nie mógłby istnieć bez drugiego?

Tak jak Casey i ja? Czy Casey jest koniecznym warunkiem mego życia?

Zobaczył, że mu się przygląda, i uśmiechnął się.

- Orlanda, to nie tajemnica, że zastanawiam się nad zawarciem transakcji z którymś z nich. Którego byś wybrała na moim miejscu?

- Żadnego.

- Dlaczego? - Nie jesteś Brytyjczykiem, nie należysz do „Starych”, nie jesteś członkiem żadnego z klubów i choć masz dużo pieniędzy i władzy, to „Starzy”

zdecydują ostatecznie, jak ma być. - Zabrała pustą butelkę i przyniosła drugą.

- Myślisz, że nie mógłbym się przecisnąć przez tę sieć?

- Tego nie powiedziałam, Linc. Pytałeś o Struanów i Rothwell-Gornt i o interesy z nimi. Jeśli w nie wejdziesz, w ostatecznym rozrachunku i tak oni wygrają.

- Są tacy sprytni?

-Nie. Ale są Azjatami. Należą do tego miejsca. Mówi się, że *Tien hsia wu ja i pan hei* - na niebie wszystkie wrony są czarne. A to znaczy, że wszyscy tai-panowie są tacy sami i będą trzymać ze sobą przeciwko obcym przybyszom.

-

Więc ani Ian, ani Quillan nie chcą współnika?

Zawahała się.

- Chyba posuwam się za daleko. Nie znam się na prowadzeniu interesów, Linc. W każdym razie ja nigdy nie słyszałam o Amerykaninie, który przyjechał tutaj i zarobił duże pieniądze.

- A Biltzmann, Superfoods i przejęcie H. K. General Stores?

- Biltzmann to błazen. Wszyscy go nienawidzą i ma-ją nadzieję, że skreśli sobie kark... Nawet Pugmire.

Quillan jest tego pewien. Nie, nie udało się to nawet Cooperowi i Tillmanowi. Byli jankeskimi kupcami na początku istnienia Hongkongu. Handlowali opium, ale dzięki protekcji Dirka Struana. Cooperowie byli nawet spokrewnieni ze Struanami. Hag Struan wydała najstarszą córkę Emmę za Jaffa Coopera. Gdy dożyła podeszłego wieku, mówili na nią Stary Haczykowaty Nos. Podobno ten ślub był zapłatą za pomoc w zniszczeniu Tylera Brocka. Słyszałeś już o nich, Linc?

Brockowie, Sir Morgan i jego ojciec Tyler, no i oczywiście Hag?

- Peter Marlowe opowiadał co nieco.

Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś o prawdziwym Hongkongu, musisz porozmawiać z Ciocią Jasne Oczy, to znaczy z Sarą Czen, ciocią Phillipa Czena.

Ma wspaniały charakter i jest ostra jak brzytwa.

Opowiada, że ma osiemdziesiąt osiem lat. Jak dla mnie, wygląda na starszą. Jest córką Sir Gordona Czena, syna Dirka Struana z nieprawego łoża. Jej matka to sławna Karen Juan.

- Kim ona była?

- Wnuczką Robba Struana. Robb to przyrodni brat Dirka, miał kochankę Jau Ming Su. Z tego związku urodziła się Isobel. Isobel wyszła za Johna Juana, syna Jeffa Coopera z nieprawego łoża. John Juan stał

się sławnym piratem i przemytnikiem opium, a Isobel zmarła jako nieuleczalna hazardzistka, która fortuny dwóch mężów straciła na grze w *ma-dżong*. Karen więc była córką Johna i Isobel, i wyszła za męża za Sir Gordona Czena. Była jego drugą żoną, kimś więcej niż konkubiną, i ich związek był jak najbardziej legalny.

Tutaj, jeśli jesteś Chińczykiem, możesz zgodnie z prawem mieć tyle żon, ile ci się podoba.

- To bardzo dobre rozwiązanie!

- Dla mężczyzn! - Orlanda uśmiechnęła się. - Tak więc ta gałąź Juanów pochodzi od Coopera. T' Czun-gowie i Czenowie od Dirka Struana, Sungowie, Tupowie i Tongowie od malarza Arystotelesa Quance'a.

W

Hongkongu

panuje

zwyczaj

przejmowania imion po matce, zwykle nieznaney dziewczynie, którą sprzedali rodzice.

- Rodzice?

- Najczęściej. *T'ung t'ien ju ming*. Słuchaj niebios, kroc za losem. Zwłaszcza, gdy przymierasz głodem. -

Wzruszyła ramionami. - Nie ma się czego wstydzić. To nie utrata twarzy, nie w Azji.

- Skąd tyle wiesz o Struanach, Cooperach i ich kochankach?

To małe miejsce, a wszyscy uwielbiamy tajemnice, ale żadnych nie dochowujemy. Miejscowi, prawdziwi miejscowi, wiedzą prawie wszystko o wszystkich. Jak już mówiłam, nasze korzenie sięgają głęboko. I nie zapominaj, że Czenowie, Juanowie i Sungowie to Euroazjaci. Euroazjaci poślubiają Euroazjatki, więc musimy wiedzieć, kto od kogo pochodzi. Brytyjczycy i Chińczycy nie chcą nas na swoje żony i mężów, odpowiadamy im jako kochankowie i kochanki. -

Napiła się wina, on rozkoszował się gracją i delikatnością jej ruchów.

- Chińczycy mają w zwyczaju zapisywać genealogię swoich rodzin w wiejskiej księdze. To jedyny posiadany przez nich dokument. Nie otrzymują świadectw urodzenia. - Kokieteryjnie zmrużyła oczy. -

A wracając do twojego pytania. Zarówno Ianowi, jak i Quillanowi zależy na twoich pieniądzach i na twoim dojściu do amerykańskiego rynku. I współpraca z każdym z nich przyniesie ci tu zyski. Ale jeśli zadowolisz się milczącym partnerstwem.

Bartlett w zamyśleniu spojrział w dal.

Ona cierpliwie czekała, pozwalając mu na chwilę zadumy. Cieszę się, że Quillan był tak dobrym nauczycielem. To taki rozsądny człowiek! Znow miał

rację.

Rano ze łzami w oczach zadzwoniła do niego i zdała sprawę z tego, co się stało.

- Quillan, chyba wszystko zepsułam!

- Co ty mówiłaś i co mówił on? Opowiedziała wszystko słowo po słowie.

- Chyba nie musisz się martwić, Orlando - zapewnił.

- Wróci, jeśli nie dzisiaj, to jutro.

- Jesteś pewien?

- Tak. Otrzyj łzy i słuchaj. - Pouczył ją, co ma zrobić, w co się ubrać i jak być kobietą.

Ach, jakie to szczęście, że jestem kobietą, pomyślała. Z tęsknym rozrzewnieniem przypomniała sobie stare czasy, gdy miała dziewiętnaście lat, a od dwóch była kochanką Quillana. Niczego się już nie wstydziła ani nie bała. Czasami tylko we dwoje wypływali na jachcie i on wtedy dawał jej wykład.

-Jesteś kobietą, hongkongijską *yan*, więc jeśli

- chcesz mieć przyjemne życie i ładne rzeczy, jeśli pragniesz

być

kochana

i

adorowana,

mieć

zadowolenie w łóżku i poczucie bezpieczeństwa, zawsze bądź kobietą.

-

W jaki sposób, kochanie?

- Myśl tylko o mojej przyjemności i mojej satysfakcji.

Rozpalaj we mnie żądzę, kiedy potrzebuję, i kiedy potrzebuję, gaś ją. Kiedy trzeba, daj mi samotność, a zawsze szczęście i zachowuj dyskrecję. Gotuj jak smakosz, znaj się na winach, dbaj, abym nie utracił

twarży, i nigdy nie zrzedź.

- Quillan, przecież to brzmi tak samolubnie z twojej strony...

- Tak. Bo tak jest w istocie. W zamian za to ja będę swoją rolę odgrywał z taką samą pasją. Ale tego od ciebie wymagam i ani trochę mniej. Ty chciałaś być moją kochanką, ja wszystko przed tobą wyłożyłem, a ty zgodziłaś się, zanim do tego doszło.

- Tak, to prawda, wspaniale jest być twoją kochanką, ale... Ale czasami obawiam się o przyszłość.

- Ach, moje złotko, nie ma się czym martwić. Znasz nasze zasady. Co rok będziemy odnawiać naszą umowę, dopóki ty będziesz chciała. A jak skończysz dwadzieścia cztery lata, jeśli zdecydujesz się odejść, dam ci mieszkanie, wystarczającą ilość pieniędzy i znajdę przystojnego kandydata na męża. Zgodziliśmy się, twoi rodzice wyrazili aprobatę...

Tak, to prawda. Orlanda pamiętała, jak ojciec i matka z entuzjazmem przyjęli wiadomość o jej związku z Quillanem. Gdy wróciła ze szkoły w Ameryce, opowiedzieli jej, że Quillan pytał, czy może się z nią spotykać, jeśli ona się w nim zakocha.

- To dobry człowiek - przekonywał ojciec. - I obiecał

dobrze cię wyposażyć, jeśli się zgodzisz. Wybór należy do ciebie, Orlando, ale radzę ci się zgodzić.

- Ależ, ojczy, w przyszłym miesiącu kończę dopiero osiemnaście lat. Poza tym muszę wracać do Stanów, chcę tam mieszkać. Z pewnością dostanę Zieloną Kartę.

- Możesz jechać, dziecko - rzekła matka. - Ale będziesz biedna. My ci w niczym nie możemy pomóc.

Jaką dostaniesz pracę? Kto cię będzie utrzymywał? A tak w jednej chwili możesz mieć pieniądze na

utrzymanie.

Ale on jest stary...

- Mężczyzny wiek tak nie stroi jak kobiety -

stwierdzili sentencjonalnie. - On jest silny i szacowny i od wielu lat jest dla nas dobry. Obiecał cię szanować, a utrzymanie zapewni ci niezależnie od tego, jak długo z nim zostaniesz.

- Ale ja go nie Kocham!

- Gadasz bzdury! Bez warg zęby robią się zimne! -

zawołała w gniewie matka. - Taka propozycja to włos feniksa i serce smoka! Co musisz robić w zamian? Być kobietą, szanować i słuchać dobrego człowieka przez kilka lat, i to wszystko. Co roku możesz zrezygnować, a jeśli nie, opieka nie skończy się nawet po wielu latach. Kto wie, co wtedy się zdarzy. Jego żona jest kaleką. Jeśli go zadowolisz, może cię poślubi.

- Quillan Gornt? Poślubić Euroazjatkę? - wybuchnęła.

- Czemu nie? Nie jesteś Euroazjatką, tylko Portugalką. On już ma brytyjskich synów i córki, *heya?*

Czasy się zmieniają, nawet w Hongkongu. Jak się postarasz... Za rok albo dwa urodzisz mu syna, to kto wie? Bogowie to bogowie i mogą czasem zesłać grom z jasnego nieba. Nie bądź głupia. Miłość? Czym jest dla ciebie to słowo?

Orlanda spoglądała z góry na miasto i nie widziała go. Jaka ja byłam głupia i naiwna, myślała. Teraz już o tym wiem. Quillan mnie dużo nauczył.

Nie odwracając głowy, zerknęła na Linca Bartletta.

Nie chciała mu przeszkadzać.

Tak, jestem dobrze wyuczona, powiedziała w duchu.

Jestem wyszkolona na najlepszą żonę, jaka się może mężczyźnie trafić. Jaka może się Bartlettowi trafić.

Tym razem nie popełnię błędu. O nie! Quillan mi pomoże i odsunie Casey, a ja stanę się panią Bartlett.

Bogowie i demony mi świadkami, że zrealizuję ten plan. Tak się musi stać...

Po chwili przestał wpatrywać się w miasto, analizował jej słowa. Ona obserwowała go z uśmiechem, którego nie dostrzegął.

-

O co chodzi? - zapytał.

- Zastanawiałam się nad tym, jak wspaniale, że cię spotkałam.

- Zawsze prawisz mężczyznom komplementy?

- Nie, tylko tym, którzy mi się podobają. A ich spotyka się tak rzadko jak włos feniksa i serce smoka. Pasztetu?

- Tak, dziękuję. Nie jesz?

- Oszczędzam się przed kolacją. Muszę przestrzegać diety, nie jestem taka jak ty.

- Ja codziennie pracuję. Kiedy mogę, gram w tenisa i golfa. A ty?

- Czasami w tenisa. Lubię spacerować i nadal biorę lekcje golfa. - Z trudem udało mi się być dobrą we wszystkim, ale chcę być najlepsza dla ciebie. Dzięki Quillanowi w tenisa grała doskonale, a w golfa nieźle.

Życzył sobie, żeby była dobra w tych sportach, bo on je uwielbiał. - Jesteś głodny?

- Jak wilk.

- Naprawdę chcesz iść na chińskie potrawy?

- Mnie wszystko jedno. - Wzruszył ramionami. -

Zdaję się na ciebie.

- Na pewno?

- Tak. A na co ty masz ochotę?

- Chodź na chwilę.

Poszedł za nią do pokoju jadalnego. Stół był nakryty dla dwóch osób. Kwiaty, butelka Verdicchio wystawała z kubek z lodem.

- Linc, od dawna dla nikogo nie gotowałam - powiedziała z pośpiechem, który niezmiernie mu się podobał.

- Ale chciałam gotować. Jeśli chcesz, zaraz może się pojawić kolacja włoska. Spaghetti *aglio e olio*, *piccata*, zielona sałata, *zabaglione*, kawa i brandy. No i jak?

Zajmie mi to dwadzieścia minut, a przez ten czas możesz poczytać gazetę. Potem pójdziemy potać albo poje-

ździć samochodem. Co ty na to?

Uwielbiam włoską kuchnię, Orlando! - wykrzyknął z entuzjazmem. Potem przez chwilę zastanowił się, komu mówił rano, że lubi włoskie dania. Casey czy Orlandzie?



20:32

Brian Kwok jęknął przez sen. W jednej chwili śnił mu się koszmar, a w następnej obudził się. Ogarnął go strach. Zdał sobie sprawę, że nie ma na sobie ubrania, i przypomniał sobie, gdzie się znajduje i kim jest.

Musieli mnie naszpikować narkotykami, wywnioskował.

Czuł nieświeżość w ustach i ból głowy. Przekreślił się na śliskim materacu i starał się pozbiierać myśli. Ledwie sobie przypominał rozmowę z Crosse'em na temat 16/2, biuro Armstronga, ale potem niewiele już mu zostało w głowie. Jedynie błędzenie w ciemności, macanie ścian i ustalanie swojego położenia. Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że został zdradzony, złapany i umieszczony w celi Komendy Głównej - w pudełku bez okien, z niewidocznymi drzwiami. Potem znów zasnął, a obudziły go gniewne głosy

- a może to tylko sen - i znów zapadł w letarg... nie, najpierw jedzenie... Tak, breja zwana obiadem, zimna herbata... Tylko spokojnie, musisz myśleć... To bardzo ważne... a potem było mięso i zimna herbata, a jeszcze później jaja. Na śniadanie. Najpierw jaja czy najpierw rozgniecione mięso... Tak, podczas posiłku paliło się światło, miałem dość czasu, żeby wszystko zjeść... Nie, światło gasło wcześniej i zawsze kończyłem jeść w ciemności... Nienawidzę tego. Później kładłem się z powrotem na materacu.

Jak długo tu jestem? Trzeba chyba liczyć w dniach.

Powoli opuścił nogi z pryczy i oparł się o ścianę. Stopy bolały go tak samo jak głowa. Muszę zwalczyć w sobie narkotyk i zachować jasność umysłu na czas przesłuchania. Powinienem być gotów, jak na mnie napadną. Potem, żeby mnie złamać, nie będą mi pozwalać na sen.

Nie, nie złamią mnie. Jestem silny i przygotowany na przesłuchania. Znam też ich sztuczki.

Kto mnie wsypał?

Niechętnie przyznał, że odpowiedź na to pytanie przekracza jego możliwości. Zaczął sobie rozmasowywać kolana, gdy usłyszał zbliżające się kroki. Położył

się na pryczy i udawał, że śpi. Starał się zapanować nad panicznym lękiem, serce biło mu jak młot.

Kroki umilkły. Nagłe kłapięcie skobla i otworzyły się drzwi. Do środka wpadł snop światła, a ledwie widoczna ręka wsunęła metalowy talerz i kubek.

- Jedz śniadanie i śpiesz się - nakazał ktoś po kantońsku. - Potem masz przesłuchanie.

- Zaczekaj, chcę... - zawołał Brian Kwok, ale drzwi już się zamknęły, a on został sam w towarzystwie jedynie echa swoich słów.

Tylko spokojnie, przykazywał sobie. Bądź spokojny i myśl.

Nagle celę wypełniło rażące oczy światło. Gdy już się przyzwyczał do jasności, zobaczył, że światło dochodzi zza jasnych osłon i przypomniało mu się, że już je wcześniej widział. Ściany były ciemne, niemal czarne, sprawiały wrażenie, jakby napierały na niego i chciały go zmiażdżyć. Nie przejmuj się nimi, tłumaczył

sobie. Widziałeś już ciemne cele i chociaż nigdy nie przechodziłeś

dogłębnego przesłuchania, znasz

zasady i wiesz o kilku trikach.

Dostał nudności na myśl o czekającej go próbie.

Czuł na sobie czyjś wzrok, choć nie widział żadnego judasza. Na talerzu leżały dwa sadzone jaja i cienki kawałek lekko podpieczonego chleba. Jajka wyglądały nieapetycznie. Herbata w kubku była zimna. Nie dostał

sztućców.

Spragniony, napił się herbaty. Starał się to robić powoli, ale zanim zdołał choć odrobinę zaspokoić prag-nienie, kubek był już pusty. *Dew neh loh moh*, ile bym dał za szczoteczkę do zębów i butelkę piwa!...

Światło zgasło tak niespodziewanie, jak się zapaliło.

Sporo czasu zajęło mu ponowne przyzwyczajenie się do ciemności. Spokojnie, to tylko ciemność i światło.

Tak dla zmylenia cię. Spokojnie. Bierz dzień taki, jaki jest. Przesłuchania tak samo.

Powróciło przerażenie. Wiedział, że nie jest jeszcze dość przygotowany, że brakuje mu doświadczenia, chociaż przeszedł pewne treningi przetrwania w razie aresztowania. Aresztowania przez wroga, przez komunistów z ChRL. Ale to przecież nie oni byli jego wrogami. Prawdziwi przeciwnicy to Brytyjczycy i Kanadyjczycy udający przyjaciół i nauczycieli.

Nie myśl o tym, nie próbuj przekonać siebie, tylko ich.

Jak długo zdołam, muszę udawać, że to pomyłka, a potem opowiem, że od lat spiskowałem przeciwko nim.

Takie są rozkazy.

Odczuwał głód i pragnienie.

Miał ochotę rzucić kubkiem i talerzem o ścianę, chciał krzyczeć i wołać o pomoc, ale to byłby błąd.

Wiedział, że musi nad sobą panować i ćwiczyć siłę, aby móc odeprzeć ataki.

Rusz

głową.

Przypomnij

sobie

szkolenia.

Wykorzystaj teorię w praktyce. Pomyśl o letniej szkole przetrwania w Anglii. A więc co robić?

Uczono go, że teoretycznie powinien jeść, pić i spać, kiedy to tylko możliwe, bo nigdy nie wiadomo, kiedy mogą odciąć jedzenie, picie lub zakazać snu.

Korzystaj z nosa, oczu, słuchu, aby nie tracić w ciemności poczucia czasu, ponieważ ci, którzy cię trzymają w niewoli, zawsze popełniają jakieś błędy.

Gdy czujesz upływ czasu, zachowujesz równowagę, a wtedy - jeśli sam nie dajesz się zwodzić - możesz zwodzić ich i nie wydać tego, co absolutnie powinno być zachowane w tajemnicy - nazwisk i kontaktów.

Zasadą jest nastawianie się przeciwko nim. Bądź

aktywny, zmusz się do obserwacji.

Czy oni już popełnili błąd? Czy ci barbarzyńscy Brytyjczycy już się potknęli? Tylko raz, pomyślał z ożywieniem. Jaja! Ci głupi Brytyjczycy i ich jajka na śniadanie.

Od razu ocknął się i wybudził. Zszedł z pryczy i poszedł po talerz, a metalowy kubek delikatnie odstawił. Jaja były zimne, tłuszcz na nich zastygnięty, ale zjadł je i przegryzł chlebem. Posiłek pokrzepił go.

Jedzenie palcami, a w dodatku w zupełnej ciemności, sprawiło mu trochę kłopotów, zwłaszcza że nie miał w co wytrzeć rąk, bo był nagi.

Wzdrygnął się. Miał wrażenie brudu i opuszczenia.

Poczuł ucisk na pęcherz i na wycucie doszedł do przymocowanego do ściany kubła z odchodami. Cuchnął obrzydliwie.

Palcem wskazującym zmierzył poziom zawartości w kubie. Załatwił się i zmierzył nowy poziom. W myślach obliczył różnicę. Jeśli nie dolewali nic, aby mnie zmylić, sikałem trzy lub cztery razy. Dwa razy dziennie? A może cztery?

Wytarł palec o klatkę piersiową, co sprawiło, że poczuł się jeszcze brudniejszy. Jednak uzyskał ważną informację o upływie czasu. Położył się z powrotem.

Zrobiło mu się niedobrze, żołądek najwyraźniej bun-tował się, ale przemógł się i zmusił do przypomnienia sobie, za kogo mają go wrogowie - za Briana Kar-szun Kwoka, a nie za tego już prawie zapomnianego syna Wu, którego nazwisko rodowe brzmi Pah, a właściwe nazwisko Czu-toj.

Przypomniał sobie Ning-tok, ojca, matkę, szóste urodziny i wysłanie do szkoły w Hongkongu, przykaza-nie, żeby się uczył i wyrósł na patriotę jak jego rodzice i wujkowie, których bito za to w rodzinnej wiosce. Od krewnych w Hongkongu dowiedział się, że być patriotą i komunistą to to samo, i że Stany nie są wrogiem.

Panowie ziemscy z Kuomintang są wszelkim złem, takim samym jak obce diabły, które panoszą się w Chinach. Prawdziwi patrioci postępują zgodnie z naukami Maó Tse-tunga. Potem wtajemniczano go w wiele sekretów Bractwa i pracował najlepiej jak umiał na rzecz Mao, czyli na rzecz Chin. Uczył się od swoich nauczycieli, wiedząc, że bierze udział w nowej fali rewolucji, która przejmie Chiny od obcych diabłów i ich pachołków.

Stypendium w wieku dwunastu lat! Jakże dumni byli z niego nauczyciele. Pojechał do kraju barbarzyńców, perfekcyjnie opanował ich język, nie groziło mu przejęcie ich sposobu myślenia i fascynacja stylem życia. Był w Londynie, stolicy największego imperium, jakie widział świat, i wiedział, że potęga ta kiedyś upadnie, skończy się bezpowrotnie. Wtedy jednak, w 1937 roku, przeżywała swój łabędzi śpiew.

Spędził tam dwa lata. Nienawidził angielskiej szkoły i angielskich dzieci, które ciągle go przezywały.

Skrywał jednak swoją nienawiść i łzy, a pomagali mu w tym nauczyciele z Bractwa. Potrafili nim pokierować, ustawić pytania i odpowiedzi w kontekście, ukazać cudowność dialektyki oraz jego udział w rewolucji.

Nigdy nie zadawał pytań, bo nigdy nie były potrzebne.

Potem zaczęła się wojna z Niemcami i został

ewakuowany

ze

wszystkimi

chłopcami

i

dziewczynkami ze szkoły do Kanady. Przeżywał

wspaniałe czasy w Vancouver, Kolumbii Brytyjskiej, na wybrzeżu Pacyfiku. Nie kończące się góry, morza, a potem restauracja w Chinatown ze wspaniałymi potrawami Ning-tok. Poznał nowy oddział Bractwa, nowych nauczycieli, zawsze mógł porozmawiać z kimś mądrym, gotowym udzielić wyjaśnień i porad...

Przyswajał żarłocznie wiedzę szkolną, choć potrafił ją zinterpretować po myśli Bractwa. Nauczył się też doskonale grać w tenisa i krykieta.

- Wspaniale, Czu-toj, mój synu. Bądź cierpliwy, a nadejdzie chwała partii, chwała Mao Tse-tunga i Chin.

- Tymi słowami przemówił do niego ojciec, gdy wysyłał

go jako sześciolatek do szkoły. Potem powtórzył to samo na łożu śmierci.

Częścią planu było też wstąpienie do Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej. Został przydzielony do Chinatown, a ponieważ biegle władał angielskim, man daryńskim i kantońskim, łatwo mu było wzorowo wy-pełniać policyjne obowiązki. Wkrótce stał się w Vancouver ekspertem do spraw Chin, ufano mu, uznawano go i powierzano sprawy, w które zamieszani byli członkowie triad sprzedających opium, morfinę, heroinę i nadzorujących prostytutkę oraz hazard.

Jego pracę chwalili zarówno zwierzchnicy, jak i członkowie Bractwa także będący przeciwnikami gang-sterstwa i narkomanii, oni pomagali mu w wykrywaniu i ujmowaniu przestępców w zamian za informacje o policji, sposobach naboru, promocji, prowadzenia śledztwa, inwigilacji. Wysłano go z Vancouver do Ottawy, aby pomógł w ujęciu szajki chińskich handlarzy narkotyków! Nawiązał nowe kanadyjskie kontakty, a dzie-

ki pomocy Bractwa udało mu się rozpracować bandę i dostał awans. Łatwo wykrywać zbrodniarzy, jeśli ma się tajnych przyjaciół z szerokimi koneksjami.

Po wojnie, wciąż zgodnie z planem, poprosił o przeniesienie do Hongkongu.

Nie chciał opuszczać Kanady, bardzo ją kochał. Tak samo jak Jeannette deBois. Ona miała dziewiętnaście lat, była francuską Kanadyjką, pochodziła z Montrealu, mówiła po angielsku i francusku, jej rodzice od pokoleń mieszkali w Kanadzie, godzili się na ich związek i nie mieli mu za złe, że jest Chińczykiem.

Kończył wtedy dwadzieścia jeden lat, czekała go wspaniała kariera, ślub zaplanowano za rok...

Brian Kwok przekreślił się na materacu. Skórę miał

lepką. Ciemność go przygnębiała. Zamknął oczy i pozwolił myślom dryfować do tamtych czasów i do tamtej dziewczyny. Przypomniawszy sobie dyskusję z liderem Bractwa, gdy próbował go przekonać, że o wiele lepiej może służyć w Kanadzie niż w Hongkongu. Tu, w Kanadzie, jest kimś wyjątkowym, za kilka lat osiągnie wysokie stanowisko w policji, a tam będzie tylko jednym z wielu.

Jednak nie poskutkowały żadne z argumentów.

Wiedział, że jeśli zostanie w Kanadzie, zerwie z partią i przejdzie na drugą stronę. Teraz już wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi - czytał raporty o Rosjanach, o KGB, o gułagach. Miał wielu przyjaciół

wśród Kanadyjczyków, a nawet nacjonalistów.

Hongkong i Chiny pozostawały dla niego odległą przeszłością. Tu była Jeannette, uwielbiał ją, kochał jej życie - samochód, przyjaciół, uważał ich już za równych sobie, a nie za barbarzyńców.

Lider nie omieszkiał przypomnieć mu o przeszłości, o tym, że barbarzyńcy to tylko barbarzyńcy, że on jest potrzebny w Hongkongu, gdzie zaczyna się bój, gdzie Mao jeszcze nie jest przewodniczącym Mao, jeszcze nie wygrał i wciąż potyka się z Czang Kai-szekiem.

Wypełnił polecenie z wielką goryczą, nienawidził

przymusu, ale wiedział, że oni mają siłę, i zastosował

się do ich życzenia tylko z tego powodu. Jednak w 1949 roku Mao odniósł niewiarygodne zwycięstwo.

Wtedy znów Brian Kwok głęboko zaangażował się w działalność i gorliwie wykorzystywał zdolności w walce z przestępcami.

Los mu sprzyjał. Dostał wysoki awans, a Brytyjczycy szanowali go, ponieważ ukończył dobre szkoły, mówił

po angielsku z akcentem charakterystycznym dla klas wyższych i odnosił sukcesy w sporcie, zupełnie tak samo jak dawniejsza elita Imperium.

A teraz jest rok 1963, ja mam trzydzieści dziewięć lat, a jutro:., nie, nie jutro, w niedzielę będę jeździł w górach, a w sobotę są wyścigi i wygra... Który? Noble Star, Pilot Fish Gorata czy Butterscotch Lass Richarda Kwoka, nie - Richarda Kwanga, Butterscotch Lass czy może Złota Dama? Tak, postawię na nią wszystkie swoje pieniądze, całe życiowe oszczędności, także po-rche kupione za namową Crosse'a i Roberta - obydwaj uważali, że powinienem podnieść poziom życia...

Jezu, Złota Dama, na miłość Mao... to nic, że chmury burzowe... całe moje oszczędności... Przewodniczący Jezu, nie zgub mnie...

Znów zapadł w sen, śniły mu się koszmary wywołane lekami, Szczęśliwa Dolina zamieniła się w Dolinę Śmierci. Oczy nie zareagowały na włączenie światła,

uszy

nie

zarejestrowały

delikatnego

otworzenia drzwi.

Był czas zacząć od nowa.

Armstrong spojrział z góry na przyjaciela. Było mu go szkoda. Obok niego stał agent Malcolm Sun, straż-

nik SI i lekarz SI. Doktor Dorn był niski, łysy i poruszał

się jak ptak. Zmierzył puls i ciśnienie krwi Briana Kwoka.

- Klient jest w dobrym stanie, nadinspektorze. Przynajmniej fizycznym - zaznaczył z uśmiechem. - Puls i ciśnienie krwi trochę powyżej normy, ale można się było tego spodziewać. - Zanotował coś w karcie i podał ją Armstrongowi. Ten spojrział na zegarek, wpisał czas i podpisał.

- Może pan zaczynać.

Lekarz ostrożnie napełnił strzykawkę. Bardzo dokładnie zrobił Brianowi Kwokowi zastrzyk w pośladek.

Prócz małej plamki krwi nie pozostał żaden ślad.

- Pora obiadowa, kiedy pan sobie zażyczy - powie dział.

Armstrong tylko skinął głową. Strażnik SI dolał płynu do kubła i także zrobił odpowiednią adnotację w karcie.

- Sprytnie z jego strony, że zmierzył poziom moczu.

Nie spodziewałem się - przyznał Malcolm Sun. Dzięki promieniom podczerwonym można było obserwować więźnia bez włączania światła. - *Dew neh loh moh*, kto by pomyślał, że to zdrajca? Spryciarz, jak zawsze cholerny spryciarz.

- Miejmy nadzieję, że nie do końca - skomentował

kwaśno Armstrong. - Im szybciej zaczniesz mówić, tym lepiej. Stary mu nie przepuści.

Cała trójka spojrzała na Armstronga. Strażnik za-drżał.

- Mamy utrzymać cykl dwugodzinny - nieśmiało przerwał milczenie doktor Dorn.

Armstrong spojrział na przyjaciela. Po raz pierwszy dostał narkotyk w piwie o 13:30. Od tej chwili podlegał

klasyfikacji drugiej - chemiczne budzenie i zasypianie co dwie godziny. Zastrzyk na przebudzenie o

16:30, 18:30, 20:30 i tak aż do 6:30 rano, kiedy to znacznie się pierwsze poważne przesłuchanie. Po dziesięciu minutach od zastrzyku budził się - głód i pragnienie sztucznie wzmagaly leki. Następne farmaceutyki znajdowały się w jedzeniu i zimnej herbacie. Efekt następował od razu i zaczynały się kolejne godziny snu. Potem znowu przebudzenie, światła, posiłek. Dla otumanionego umysłu dwanaście godzin zmieniało się w sześć dni. Wtedy niepotrzebne stawały się fizyczne tortury, wystarczała dezorientacja i ciemność, dosyć, aby wyciągnąć z wroga wszystko, co trzeba. Niewiele zachodu, żeby więzień podpisał wszystko, co mu się podsunie. A także, żeby uwierzył we wszystko, co mu się wmówi.

I to każdy.

Absolutnie każdy po tygodniu cyklu budzenie-zasypianie, po którym nastąpiły dwa lub trzy dni bez snu.

Każdy.

Chryste Panie, pomyślał Armstrong, ty biedny łajdaku, będziesz próbował się stawiać, ale nic z tego.

Nic.

Nagle przypomniał sobie, że ma przed sobą nie przyjaciela, lecz agenta wroga. „Klienta”, wroga, który od wielu lat zdradzał mnie i wszystkich innych. To prawdopodobnie on wystawił Fong Fonga i jego chłopaków, którzy gniją teraz w jakiejś śmierdzącej celi bez lekarza, bez opieki i bez obserwacji. Ty możesz być dumny z tego, jak cię traktujemy.

Cywilizowani ludzie też tak postępują?

Nie. Czy trzeba ładować prochy w to bezbronne ciało?

Nie... tak, trzeba, to znaczy czasami, czasami nawet zabicie jest konieczne, na przykład wściekłego psa.

Ach, niekiedy ludzie są tak źli jak wściekłe psy. Tak.

Należy

wykorzystać

nowoczesne

techniki

oddziaływania na psychikę, które rozwinął Pawłow i inni Sowieci, które udoskonaili komuniści pod nadzorem

KGB.



Tylko

czy

my

musimy

ich

naśladować?

Nie wiem, na Boga, ale nie mam wątpliwości, że komuniści chcą nas zniszczyć i...

Zauważył, że wszyscy na niego patrzą.

- O co chodzi?

- Mamy utrzymać dwugodzinny cykl, sir? - powtórzył pytanie lekarz.

- Jutro o wpół do siódmej pierwsze przesłuchanie.

- Poprowadzi je pan osobiście?

- Taki mam rozkaz, na Boga! - warknął Armstrong.

- Nie czytałeś, do cholery?

- Przepraszam - odparł lekarz. Wszyscy wiedzieli o przyjaźni Armstronga z „klientem” i o tym, że Crosse jemu zlecił przesłuchanie. - Chce pan coś na uspokojenie?

Obrzucił lekarza przekleństwami i wyszedł zły na siebie, że dał się konowałowi wyprowadzić z równowagi.

Poszedł na najwyższe piętro do

oficerskiej mesy.

- Barman!

- Już idę, sir.

Jak zwykle dostał puszkę piwa, ale tym razem nie smakowało mu, nie gasiło pragnienia i nie wypłukiwało niemiłego zapachu z ust. Setki razy zastanawiał się, jak on by się zachował, gdyby zatrzymano go, wsadzono nagiego do celi i poddano podobnym technikom. Na pewno poradziłbym sobie lepiej niż dobry stary Brian. On niewiele wie na ten temat. Ale tak naprawdę, czy większa wiedza może pomóc „klientowi”?

Czuł, że skóra robi mu się lepka od potu ze strachu, gdy myślał, co czeka Briana Kwoka.

- Barman?

- Tak, już idę.

- Cześć, Robert, mogę się przysiąc? - Zapytał

Donald C. C. Smyth.

- O, cześć... siadaj - zaprosił go bez entuzjazmu.

Smyth zajął miejsce na stołku obok niego i oparł się łokciami o bar.

- Jak leci?

-

Normalka - odparł Armstrong, a Smyth skinął

głową. Wtedy Armstrong zrozumiał, jak adekwatne do wyglądu przezwisko nosi Smyth. Wąż. Inspektor ze wschodniej Aberdeen był przystojny, szczupły i wił się jak wąż, budząc grozę. Miał też nawyk oblizywania warg.

- Boże, jeszcze mi się wydaje, że z Brianem to niemożliwe! - Smyth należał do tych nielicznych ludzi, którzy wiedzieli o Kwoku. - Szokujące.

- Tak.

- Robert, zostałem przydzielony przez szefa CID...

- czyli szefa Armstronga - ...do Wilkołaków. Mam przejąć to od ciebie i chciałbym wiedzieć, czy masz coś do powiedzenia na ten temat.

- Wszystko znajdziesz w aktach. Moim zastępcą jest sierżant Tang-po... dobry z niego policjant. Nawet bardzo dobry. - Armstrong napił się piwa. - Ma znajomości - dodał cynicznie.

Smyth uśmiechnął się.

- Dobrze, przydadzą się.

- Tylko nie sil się na jakieś zmiany w moim rejonie.

- Spokojna głowa, staruszk. Wschodnia Aberdeen absorbuje mnie całkowicie. A co z tymi Wilkołakami?

Cały czas nie spuszczać z oczu Phillipa Czena?

- Tak. Jego żony też.

- Interesujące, że zanim poślubiła tego starego sknerusa, była Mei-wei T' Czung, nie? Ciekawe też, że Koliber Sung to jej kuzyn.

- Widzę, że się przygotowałeś.

- Wszystko w imię służby! - zawołał rażno. - Chcę jak najszybciej dopaść Wilkołaki. Już mieliśmy w Aberdeen trzy telefony od ludzi, od których Wilkołaki chcia-

ły wyłudzić *h'eung yau*, grożąc porwaniem. Słyszałem, że w całej kolonii jest to samo. Jeśli trzech do nas zadzwoniło, to znaczy, że trzystu następnych bało się to zrobić. - Smyth napił się whisky z wodą sodową.

- Niedobrze dla biznesu i w ogóle niedobrze. Jeśli ich szybko nie złapiemy, różne łajdaki zaczną straszyć ludzi, a ci prędko będą płacić, aby odwrócić od siebie uwagę.

- Prawda. - Armstrong dokończył piwo. - Napijesz -

się jeszcze?

- Ja stawiam. Barman!

- Myślisz, że istnieje jakiś związek między Johnem Czenem a Kolibrem Sungiem? - zapytał Armstrong, patrząc na barmana, który podał mu piwo. Pamiętał

Sunga. Porwany sześć lat temu magnat stoczniowy cieszący się opinią człowieka lubiącego się w miłości francuskiej. - Chryste, od lat o nim nie myślałem.

- Ja też. Sprawy niewiele mają ze sobą wspólnego, a tamci porywacze dostali po dwadzieścia lat i jeszcze siedzą, ale nigdy nic nie wiadomo. Może są jakieś związki. - Smyth wzruszył ramionami. - Dianne Czen musiała nienawidzić Johna i na pewno z wzajemnością. Wszyscy o tym wiedzieli. To samo z Kolibrem. - Roześmiał się. - W branży na Kolibra mówią też Długi Nos.

Armstrong przetarł zmęczone oczy.

- Może warto porozmawiać z żoną Johna, Barbarą.

Miałem zamiar jutro to zrobić, ale... No, może trzeba się pośpieszyć.

- Już się z nią umówiłem. Najpierw jadę do Sza Tin.

Może z powodu deszczu tamtejsi kolesie coś przeoczyli.

- Dobra myśl. - Armstrong popatrzył na rozmówcę niespokojnym wzrokiem. - Masz jakieś sugestie?

Smyth spojrzał mu prosto w oczy.

- Wiele rzeczy nie rozumiem w tym porwaniu. Na przykład, dlaczego Wielki Smok wyznaczył tak dużą nagrodę?

- Zapytaj Smoki.

- Już pytałem. W każdym razie kogoś, kto ich zna. -

Wąż wzruszył ramionami. -I nic, zupełnie nic.

Będziemy musieli pogrzebać w przeszłości Johna.

- Dobry pomysł.

- Wiesz, że Mary go znała? Z więzienia jenieckiego.

- Tak, wiem. - Armstrong bez przyjemności napił się piwa.

- Może ona naprowadziłaby nas na jakiś ślad? Mo-

że John był jakoś związany z czarnym rynkiem w obozie? Warto ją zapytać.

Pomyślę o tym. Tak, zastanowię się - powiedział

bez niechęci do Węża. Gdyby był na jego miejscu, też by o tym wspomniał. Wiadomość o Wilkołakach od początku siała strach w chińskim społeczeństwie. Ilu jeszcze ludzi wie o Mary i Johnie? Albo o czterdziestu tysiącach, które nadał tkwią w moim biurku i leżą mi na duszy? - Dawne dzieje.

- Tak.

- Możesz poprosić o pomoc swoich „przyjaciół”?

- W każdym razie mogę ci obiecać, że wkrótce dostaniemy tych drani! Może trzeba będzie komuś zapłacić... ale w tej sprawie nieważne są koszty. - Na twarzy Smytha pojawił się sardoniczny uśmiech. - Powiedzmy tylko, że nasza brać związana z hazardem też wypłaci nagrodę. - Uśmiech zniknął z jego twarzy.

Znajdziemy te cholerne Wilkołaki bardzo szybko, bo ta sprawa zaczyna podważać nasz autorytet.

21:15

Wu Cztery Palce stał na pokładzie motorowej dżonki kołyszącej się na morzu daleko od brzegu. Wszystkie światła mieli wygaszone.

- Słuchaj, zasrany Wilkołaku! - warknął gniewnie do Kina Znak Ospy leżącego na pokładzie u jego stóp.

Młodzieniec był związany łańcuchem i zemdlał z bólu.

- Chcę wiedzieć, kto jeszcze był w waszej cholernej bandzie i skąd macie monetę, pół monety. -

Odpowiedzi

nie było. - Obudź psubrata!

Poon Ładna Pogoda posłusznie nabrał do wiadra morskiej wody i chlusnął na młodzieńca. Gdy zabieg nie przyniósł efektu, dźgnął go nożem. Kin Znak Ospy zawył i odzyskał przytomność.

- Co... O co chodzi, Panie - jęknął. - Już nic...

Czego chcesz, Panie?

Wu Cztery Palce powtórzył pytanie. Młodzieniec znów zawył, gdy Poon Ładna Pogoda go ukłuł.

- Powiedziałem już... wszystko... - Był zrozpaczony, nigdy nie sądził, że można tak bardzo cierpieć. Po raz kolejny wybełkotał prawdziwe nazwiska i adresy wszystkich członków bandy, wspomniawszy nawet o starej *amah*.

- ...Monetę dał mi ojciec... nie mówił skąd... Nie wiem skąd... On ją miał, przysięgaaa... - Głos mu się załamał.

Zemdlał ponownie.

Wu Cztery Palce splunął z obrzydzeniem.

-

Tej dzisiejszej młodzieży brakuje hartu ducha!

Noc była ciemna, od czasu do czasu od strony lądu wiał lekki wiatr. Przyjemnie terkotał na wolnych obrotach silnik o wysokiej mocy. Posuwali się nieznacznie do przodu tylko dlatego, żeby nie wpadać w wiry i zminimalizować kołysanie. Znajdowali się kilka mil na południowy zachód od Hongkongu, przekroczyli granicę wodną z ChRL i mieli przed sobą szerokie ujście Rzeki Perłowej. Wszystkie żagle były złożone. Wu zapalił papierosa i zakasłał.

- Niech bogowie przeklną cholerne triady!

- Obudzić go? - zapytał Poon Ładna Pogoda.

Nie. Ten psubrat powiedział już wszystko, co wie.

Dotknął palcami monety wiszącej na szyi pod przepoconą koszulą, aby upewnić się, że znajduje się na swoim miejscu. Zaniepokoił się trochę na myśl, że moneta może być fałszywa. - Dobrze się spisałeś, Poon Ładna Pogoda. Dostaniesz premię. - Wypatrywał

sygnału. Było już po czasie, ale jeszcze się nie martwił.

Bezwiednie pociągnął nosem, mlasnął językiem smakując i wachając powietrze. Było gęste i słone. Popatrzył

w stronę horyzontu. - Niedługo znów popada - mruknął

pod nosem.

Poon odpalił jednego papierosa od drugiego, a niedopałek wyrzucił na pokład i zgasił bosą stopą.

-

Odwołają wyścigi?

Stary wzruszył ramionami.

- Jeśli tak zechcą bogowie. Myślę, że jutro będzie mocno padać. Chyba że wiatr zmieni kierunek. A jak wiatr zmieni kierunek, możemy mieć Diabelskie Wiatry, Największe Wiatry. One mogą nas roznieść na Cztery Morza. Do dupy z nimi.

- Tak. Zwłaszcza gdyby miało nie być wyścigów.

Nos mi podpowiada, że wygra koń bankiera Kwanga.

- He! Ten - mój cholerny siostrzeniec potrzebuje zmiany *dżosu*! Ten głupiec stracił bank!

Poon odchrząknął i splunął na szczęście.

-

Dzięki bogom za Dochodowego Czoja.

Odkąd Wu Cztery Palce i wszyscy jego ludzie odzyskali pieniądze z Ho-Pak za sprawą informacji od Paula Czoja i dzięki temu, że on sam wiele zyskał na manipulacjach syna akcjami Struanów, Wu nazwał go Do chodowym Czojem. Z powodu zysków wybaczył synowi nieposłuszeństwo. Jednak tylko w sercu. Nie mówił o tym nikomu z wyjątkiem swojego przyjaciela i zausznika Poona Ładna

Pogoda.

- Przeprowadź go na pokład.

- A co z tym zasranym Wilkołakiem? - wskazał

spiczastym palcem na Kina. - Młodemu Dochodowemu to się nie spodoba, *heya?*

- Czas dorosnąć, pora dowiedzieć się, kto jest prawdziwym wrogiem, trzeba poznać prawdziwe wartości, a nie te złudne ze Złotych Gór. - Stary splunął na pokład. - Zapomina, kim jest i gdzie leżą jego interesy.

- Sam mówiłeś, że nie wysyła się królika przeciwko smokowi. Ani płotki na rekina. Musisz rozważyć swoją decyzję i nie zapominaj, że Dochodowy Czój zwrócił

dwadzieścia razy koszt, które inwestowałeś w niego piętnaście lat. Ma dopiero dwadzieścia sześć lat, a w sprawach pieniędzy już jest Wielkim Smokiem. Niech działa na polu, na którym jest najlepszy. To jedyne wyjście dla ciebie i dla niego, *heya?*

-

Byłoby dobrze, żeby przyszedł tutaj.

Stary podrapał się za uchem.

- Nie wiem, Wu Cztery Palce. O tym zadecydują bogowie. Ja bym go zostawił pod pokładem. - Teraz Poon Ładna Pogoda patrzył na południowy wschód.

Dostrzegł coś kątem oka. - Widzisz to?

Po chwili Wu Cztery Palce pokręcił głową.

- Jeszcze dużo czasu, dużo czasu.

- Tak. - Poon spojrzał na zakutego w łańcuchy młodzieńca zwiniętego na pokładzie jak kurczak. Grymas pojawił się na jego twarzy. - lili, ale jak Dochodowy Czój zbladł, gdy ten psubrat krzyknął pierwszy raz, musiałem powstrzymać się od śmiechu, żeby Czój nie stracił

twarzy.

Tej dzisiejszej młodzieży brakuje hartu ducha! -

powtórzył Wu, zapalił kolejnego papierosa i skinął głową.

- Ale masz rację. Po dzisiejszym wyczynie Dochodowy Czój połączy się z tymi, do których należy, i stanie się jeszcze bardziej dochodowy. - Spojrzał w dół na Kina Znak Ospy. - Umarł?

- Jeszcze nie. Pieprzona z niego świnia, że zabił Syna Numer Jeden Czena, a potem jeszcze nas okłamał, *heya?* I żeby uciąć Czenowi ucho i zrzucić winę na ojca i braci! A potem jeszcze wzięli okup, a nie mieli za kogo!

Straszne.

- Obrzydliwe! - Stary prychnął pogardliwie. - I w dodatku dali się złapać. Ale pokazałeś mu, Poon Ładna Pogoda, gdzie popełnili błąd.

Roześmiali się zadowoleni z siebie.

-

Odciąć mu drugie ucho?

-

Jeszcze nie. Niedługo, niedługo.

Poon podrapał się w głowę.

- Nie rozumiem jednej rzeczy. Nie rozumiem, dlaczego kazałeś mi powiesić na Czenie kartkę i zostawić go tak, jak oni planowali. Jak ten psubrat zdechnie, nie będzie już Wilkołaków, *heya?* Czemu taka kartka może posłużyć?

Wu Cztery Palce cmoknął.

- Kto umie czekać, ten zrozumie. Cierpliwości -

rzekł z zadowoleniem. Kartka na piersi Czena sugerowała, że Wilkołaki jak najbardziej nadal żyją. Skoro o ich śmierci wie tylko Poon i on, to w każdej chwili można podać się za nich. Wystarczy kiwnąć palcem.

Tak, myślał, zabij jednego, a przestraszysz tysiąc. Wilkołaki mogą się stać źródłem ciągłego dopływu gotówki.

Kilka telefonów, jedno czy dwa porwania, może jeszcze jedno ucho. - Cierpliwości, Poon Ładna Pogoda, wkrót-ce... - Obydwaj odwrócili się w tę samą stronę. W zasięgu wzroku pojawił się właśnie mały, słabo oświetlony frachtowiec. Po chwili na grotmaszcie zapaliły się dwa światła. Wu natychmiast wszedł do sterowni i odpowiedział sygnałem. Z frachtowca padł odzew. - Dobrze -

mruknął Wu i wysłał potwierdzenie odzewu. Załoga na pokładzie również widziała światła. Wszyscy marynarze zajęli zwykłe pozycje. Wzrok Wu padł na Kina Znak Ospy. - Najpierw on - warknął złowrogo. - Zawołać mojego syna.

Paul Czoj niezdarnie wszedł na pokład. Z radością zaczerpnął świeżego powietrza. Wspiął się po schodni na



rufę. Gdy zobaczył czerwone plamy i zmaltretowaną postać ludzką, skreśliło go w żołądku i wychylił się za burzę.

- Pomóż Poonowi Ładna Pogoda.

- Co?

- Zarzygałeś sobie uszy?! - wrzasnął stary. - Pomóż!

Paul Czoj spojrzał na ojca ze strachem.

- Co... Co mam robić?

- Bierz za nogi!

Paul Czoj za wszelką cenę starał się powstrzymać nudności. Zamknął oczy. Nozdrza wypełniał mu odór wymiocin i krwi. Schylił się i złapał ofiarę za nogi. Bez większego wysiłku podnieśli go z Poonem i umieścili na okrężnicy.

- Trzymaj tak - nakazał Poon Ładna Pogoda i wycofał się, zostawiając Paula Czoja samego.

- Wyrzuć go! - rozkazał Wu.

- Ależ, Ojciec... przecież... on... jeszcze... żyje. Proszę...

- Wyrzuć go!!!

Przerażony Paul Czoj chciał wciągnąć ciało z powrotem na pokład, ale powiał wiatr, zakołysał dżonką i ostatni z Wilkołaków wpadł do morza i zniknął bez śladu. Paul Czoj patrzył bezradnie na utworzony przez ciało wir. Zauważył na rękach i koszuli krew. Jeszcze jedna fala nudności napłynęła z żołądka i zwymiotował.

-

Masz! - burknął Wu i podał mu butelkę whisky.

Paul napił się, ale żołądek nie przyjął, trunku. Wu odwrócił się do sterowni i ręką wskazał sternikowi frachtowiec, a ten dał całą naprzód. Zaskoczony nagłym

przyśpieszeniem Paul Czoj prawie upadł, ale przytrzymał się okrężnicy i utrzymał na nogach. Spojrzał na ojca

i Poona wpatrujących się w ciemność. Zauważył mały statek. Odnowiła się jego nienawiść do ojca. Nie chciał

być na dżonce, nie chciał mieszać się w żaden przemysł,

nie życzył sobie mieć nic wspólnego z Wilkołakiem.

Cokolwiek ten biedny skurwiel przeskrobał, myślał, to nie powód, żeby brać prawo we własne ręce. Trzeba go było oddać policji.

Wu poczuł na sobie spojrzenie syna. Nie zmienił

wyrazu twarzy.

- Chodź tu! - polecił. Dłonią bez kciuka trzymał się okrężnicy. - Stań tutaj!

Paul Czoj wypełnił polecenie.

Był o wiele wyższy zarówno od ojca, jak i od Poona Ładna Pogoda, jednak czuł przed nimi pewien strach.

Dzonka pędziła przed siebie. Wkrótce znaleźli się obok statku. Małego, płynącego wolno, dość starego i głęboko zanurzonego z powodu ciężkiego ładunku.

- Przybrzeżny frachtowiec - odezwał się Poon Ład-na Pogoda. - Mówimy na nie trawler Thai. Sporo ich pływa po azjatyckich wodach. To morskie wszy, słyszysz, Dochodowy Czoj; płyną na nich same męty i same męty dowodzą. A przeciekają jak muszle ostrog.

Większość dopływa do Bangkoku, Singapuru, Manili, Hongkongu i wszędzie, gdzie mają zawieźć ładunek.

Ten

pochodzi z Bangkoku. - Chrząknął i splunął. - Nie chciałbym pływać na tym świństwie. To...

Przerwał. Trawler wysłał jeszcze jeden krótki sygnał.

Wu odpowiedział. Wtedy wszyscy na pokładzie zobaczyli, że coś ciężkiego spada za burtę. Wu natychmiast kazał wyłączyć silniki. Nagła cisza kłuła w uszy. Obserwatorzy na dziobie wyteżyli uwagę.

Dzonka straciła szybkość i kołysała się na wodzie.

Jeden z ludzi na dziobie dał sygnał flagą. Wu włą-

czył silniki i skorygował kurs. Jeszcze jeden znak, kolejna zmiana kierunku i ostatni, gwałtowniejszy ruch flagą.

Nagle Wu cofnął łódź. Śruby ciężko uderzały o wodę, dzonka zbliżyła się do rzędu unoszących się na wodzie przedmiotów. Paul Czoj obserwował Wu i miał

- wrażenie, że stary jest nieodłączną częścią statku.

Ostrożnie manewrował dżonką tak, aby znaleźć się przy niezwykłym ładunku. W pewnym momencie jeden z ludzi zaczął manewrować z pokładu bosakiem, drugi mu pomógł i wyciągnęli na pokład linę wiążącą znajdujące się w wodzie bele. Sprawnie ją mocowali, a potem sprawdzili, czy bele są bezpieczne. Paul Czoj widział je wyraźnie. Były dwie i miały wymiary sześć stóp na trzy, znajdowały się pod powierzchnią wody.

Gdy upewnili się, że wszystko jest w porządku, jeden z marynarzy dał znak, a Wu Cztery Palce nadał dżonce szybkość i popłynęli przed siebie.

Cała operacja odbywała się w ciszy, spokojnie, w skupieniu i trwała kilka sekund. Gdy światła trawlera Thai zniknęły w ciemności, ponownie znaleźli się na morzu sami.

Wu i Poon Ładna Pogoda zapalili papierosy.

- No dobrze - odezwał się Poon. Wu Cztery Palce nie odpowiedział. Słuchał przyjemnego warczenia silników. Wszystko się układa, myślał. Posmakował wiatru. Nie ma problemu. Wpatrywał się w ciemność.

A więc, co mnie trapi? Siódmy Syn?

Spojrzał na stojącego do niego tyłem Paula Czoj.

Nie. Z jego strony również nie groziło mu niebezpieczeństwo.

Paul Czoj przyglądał się belom. Rosła jego ciekawość, czuł się lepiej, działała whisky.

- Dlaczego nie wciągamy tych bel na pokład, ojczy?

Mogą się urwać.

Wu skinął Poonowi, żeby odpowiedział.

- Najlepiej zostawić zdobycz morza morzu, aż bogowie orzekną, że przyszedł czas, żeby wyciągnąć ją na brzeg, *heya*, Dochodowy Czoj?

- Nazywam się Paul, a nie Dochodowy - sprostował

młodzieniec, odwracając się w stronę ojca. - Nie trzeba było mordować tego psubrata!

- Nie kapitan go zabił tylko ty, Dochodowy Czoj -

wypomniął z uśmiechem Poon. - Ty go wyrzuciłeś do wody. Widziałem wyraźnie. Stałem o pół kroku od ciebie.

- Kłamstwo! Chciałem go wyciągnąć z powrotem...!

W każdym razie on mi rozkazał. Groził mi!

Stary wilk morski wzruszył ramionami.

- To orzekłby tylko sąd obcych diabłów, Dochodowy Czoj.

- Nie nazywam się Dochodowy...

- Kapitan floty tak cię nazwał, więc jesteś Dochodowy na zawsze. *Heya?* - dodał, spoglądając na Wu Cztery Palce.

Stary nic nie mówił, tylko pokazywał w uśmiechu po-

łamane zęby, co sprawiało, że wyglądał jeszcze bardziej groteskowo. Kiwnął łysą głową potwierdzając słowa Po-ona. Potem spojrzął na syna. Paul Czoj wzdrygnął się.

- Twój sekret jest u nas bezpieczny, synu. Nie musisz się bać. Z pokładu nikt tego nie widział. Prawda, Poon Ładna Pogoda?

- Tak, nikt nie widział. Na wszystkich wielkich i małych bogów!

- Nie można zawinąć ognia w papier! - przypomniał

Paul Czoj.

- Na tym pokładzie tak! - odparował Poon Ładna Pogoda.

- Tak - potwierdził Wu. - Na tym pokładzie tajemnica na zawsze pozostaje tajemnicą. - Zapalił drugiego papierosa, chrząknął i splunął. - Nie chcesz wiedzieć, co jest w tych belach?

- Nie.

- Opium. Po dostarczeniu na ląd przyniesie dwieście tysięcy zysku dla mnie i wiele dla mojej załogi.

- Taki zysk nie wart jest ryzyka, nie dla mnie. Ja zarobiłem... - Paul Czoj przerwał.

Wu Cztery Palce wbił w niego wzrok, potem splunął, przekazał ster Poonowi Ładna Pogoda i poszedł na wyscielaną ławkę na rufie.

-

Chodź tu, Dochodowy Czoj.

Przestraszony Paul Czoj usiadł w wyznaczonym miejscu. Byli sami.

-

Zysk to zysk - rzekł z gniewem Wu. - Dziesięć tysięcy jest dla ciebie. Wystarczy, żeby kupić bilet do Honolulu i po dziesięciu dniach wakacji wrócić do Hongkongu. - Zobaczył błysk radości na twarzy syna i uśmiechnął się w duchu.

- Nigdy nie wrócę - rzucił odważnie Paul Czoj. -

Nigdy!

- Wrócisz, zobaczysz, że wrócisz. Łowiłeś ryby na diabelnie niebezpiecznych wodach!

- Nie wrócę. Mam amerykański paszport i...

- Japońską dziwkę, *heya?*

Paul Czoj popatrzył na ojca, zdziwiony, że on wie.

Potem wzrósł w nim gniew, naprężył się i zacisnął pięści.

- Nie jest dziwką! Jest wspaniała, jest damą, a jej rodzice...

- Cicho! - Wu usiadł wygodniej. - Dobrze, nie jest dziwką, chociaż dla mnie wszystkie kobiety są. Mimo to jest przekłętą diablicą znad Morza Wschodniego, jedną z tych, którzy napadli na Chiny.

- Ona jest Amerykanką, tak samo jak ja! - wybuchnął

Paul, jeszcze mocniej zacisnął pięści, był gotów rzucić się na ojca. Poon Ładna Pogoda patrzył na nich nie wychodząc z cienia. Nóż błysnął w jego dłoni. - Ja jestem Amerykaninem, ona jest Amerykanką, a jej ojciec walczył we Włoszech i...

- Ty jesteś Haklo i jednym z Urodzonych na Morzu Wu ludzi ze statków i masz mnie słuchać! Będziesz mi posłuszny, Dochodowy Czoj... oj będziesz!

Paul Czoj zerwał się na równe nogi. Cały trząsał się z gniewu. Musiał zebrać w sobie odwagę i przezwyciężyć złość, czuł, że Poon Ładna Pogoda ich obserwuje.

- Nie szkaluj jej imienia!

- Ośmieliłbyś się podnieść na mnie rękę? Na mnie, który dał ci życie, zapewnił ci wszystko, stworzył każdą szansę, nawet szansę na spotkanie z tą... Cesarzową Morza Wschodniego? *Heya?*

Paul czuł się osaczony.

- To Kapitan Floty - zaznaczył Poon Ładna Pogoda.

- Trzeba go szanować. - Stary wskazał ręką ławę.

- Jak kapitan mówi, żeby siadać, to trzeba siadać!

- Jak się o niej dowiedziałeś? - zapytał po chwili Paul Czoj.

Stary splunął.

- Bogowie mi świadkami, że splodziłem wieśniaka z umysłem małpy. Myślisz, że cię nie śledziłem? Że cię nie chroniłem? Że wysłałem samego między zdrajców, między obce diabły? Jesteś synem Wu Sang Fanga, Głowy Urodzonych na Morzu Wu, a ja swoich chronię przed obcymi. Myślisz, że nie mamy wrogów, którzy obciąliby ci Tajny Worek i wysłali mi w paczce, *heya*?

- Nie wiem.

- No to teraz już wiesz, synu! - Wu Cztery Palce starał się zachować rozsądek, był świadom, że musi być przy swoim synu, gdy ten tego potrzebuje. Nie bał

się. Tak samo postępował z innymi synami i stracił

tylko jednego. Wdzięczny był tai-panowi, który doniósł

mu o dziewczynie i jej rodzicach. To właśnie klucz, pomyślał, klucz do tego nieposłusznego dzieciaka po Trzeciej Żonie, która przez całe życie miała tak słodką i delikatną Złotą Zatokę jak świeży owoc. Może pozwolić mu sprowadzić tę dziwkę tutaj? Jakkolwiek by ją nazwać, ten biedak potrzebuje tej dziwki. Dama? Ha!

Słyszałem, że Diablice znad Wschodniego Morza w ogóle nie mają włosów łonowych. Obrzydliwe!  
W

przyszłym miesiącu może ją tu zaprosić. Jeśli rodzice pozwolą jej tu samej przyjechać, to znaczy, że to dziwka, a jeśli nie, to z nią koniec. A tymczasem ja znajdę mu żonę. Tylko kto nią zostanie? Jedna z wnuczek Zaciśniętej Pięści? Albo Lando Maty, albo... A, przecież ta najmłodsza też się kształciła w Złoty Górach, w szkole dla dziewcząt, w najsławniejszej szkole dla dziewcząt. Temu głupkowi nie sprawi różnicy, że dziewczyna nie ma czystej krwi.

Mam wielu synów, myślał bez żadnego uczucia.

Dałem im życie. Ich obowiązkiem jest mi służyć, a jak umrę, służyć rodzinie. A może lepsza byłaby dla niego dziewczyna Haklo z szerokimi biodrami i twardymi stopami?

- Za miesiąc Czarna Broda przyzna ci urlop - podjął. -

Ja się o to postaram. Za dziesięć tysięcy możesz pojechać na latającej maszynie... Nie! Lepiej sprowadź

tę... tutaj - dodał, jakby ta myśl dopiero teraz wpadła mu do głowy. - Tak, sprowadź ją tutaj. Powinniście zobaczyć Manilę, Singapur, Bangkok, odwiedzić moich kapitanów. Tak, niech przyjedzie za miesiąc, a dziesięć tysięcy wystarczy, żeby zapłacić za bilet i za wszystko...

- Nie. Nie chcę. Nie zrobię tego. Nie chcę pieniędzy z narkotyków! Nigdy bym ich nie przyjął i wam radzę jak najszybciej wycofać się z handlu narko...

W jednej chwili całą dżonkę zalało światło. Wszyscy byli oślepieni. Z prawej strony świecił silny reflektor.

- Stać! - padł przez megafon rozkaz wydany po angielsku, a potem w haklo i po kantońsku.

Pierwsi zareagowali Wu i Poon Ładna Pogoda - po-zbierali się w ułamku sekundy. Wu skręcił w lewo i dał

całą naprzód na obydwu silniki, żeby znaleźć się jak najdalej od statku patrolowego policji morskiej. Poon wskoczył na pokład i odciął linę, na której ciągnęli ładunek. Dwie bele zniknęły w głębinach.

-

Zatrzymać się!

Paul Czoj stał sparaliżowany ze strachu. Obserwował, jak ojciec otwiera kufer i wyciąga zmięte czapki żołnierzy ChRL.

- Szybko! - rozkazał, rzucając mu jedną. Paul, prze rażony naciągnął czapkę na głowę. W jednej chwili cała

załoga miała na sobie takie same czapki, a niektórzy nawet typowe wojskowe peleryny.

Serce mu zamarło. Inni z załogi wyciągnęli z kufrów pistolety z uzbrojenia armii ChRL i karabiny maszynowe. Ludzie znajdujący się najbliżej statku policyjnego rzucali w jego stronę wulgarne obelgi. Statek patrolowy był smukły i szary. Dwa reflektory świeciły na przodzie. Płynął sto jardów za dżonką, bez trudu dotrzymywał jej kroku. Widać było ubranych na białą marynarzy, a na mostku czapki brytyjskich oficerów.

Wu Cztery Palce wziął megafon i podszedł do burty.

- Płyńcie swoją drogą, barbarzyńcy! - zawołał.

- Popatrzcie na nasze barwy! - Wskazał palcem na czubek masztu. Powiewała tam flaga marynarki ChRL.

Na rufie widniał kantoński numer rejestracyjny. -

Zostawcie nas w spokoju! Znajdujecie się na naszych wodach.

Po twarzy Poona przemknął złowrogi uśmiech. W

dłoniach trzymał chiński pistolet, a czapkę odwrócił w taki sposób, żeby można ją było zidentyfikować przez lornetkę. Jemu także waliło serce, a w ustach czuł

nieprzyjemny smak. Znajdowali się na wodach międzynarodowych. Wody ChRL zaczynały się jakieś piętnaście minut drogi od nich. Odbezpieczył pistolet.

Rozkazy były jasne. Na pokładzie nie mógł się znaleźć nikt obcy.

-  
Zatrzymać się! Chcemy wejść na pokład!

Nagle zauważyli, że statek zwalnia i policjanci spuszczają łódź na wodę. Cztery Palce chciał jeszcze dodać mocy. Przeklinał siebie za to, że nie zauważył

ani nie przeczuł obecności policyjnego statku, ale wiedział, że policja ma elektroniczne urządzenia, dzięki którym może widzieć w ciemności, i to zapewnia jej przewagę nad nimi, którzy polegają tylko na swoich oczach, uszach, nosie i szóstym zmyśle. Dotychczas jednak udawało mu się utrzymywać wszystkich ludzi przy życiu.

Rzadko się spotykało statek patrolowy tak blisko chińskich wód terytorialnych. Chociaż wyrzucili ładunek, to na pokładzie znajdowała się jeszcze broń i Paul Czoj. *Dżos!* Niech wszyscy bogowie przeklą ten statek! Poon Ładna Pogoda miał częściowo rację!

Bogowie zdecydują, czy rozsądniej byłoby zabrać ładunek na pokład czy nie.

- Płyńcie swoją drogą, psubraty! Nikt nie będzie wchodził na pokład łodzi należącej do Chińskiej Republiki Ludowej! - zakrzyknęła buńczucznie cała załoga.

-  
Stać!

Wu zignorował polecenie. Dżonka z maksymalną prędkością płynęła w stronę Rzeki Perłowej, a wszyscy na pokładzie modlili się, żeby nie natknąć się na patrol ChRL. W światłach reflektorów widzieli zbliżającą się łódź z uzbrojonymi marynarzami, ale to ich nie przestraszyło.

-  
Po raz ostatni powtarzamy: Zatrzymać się!

- Po raz ostatni! Zostawcie w spokoju łódź ChRL

na jej własnych wodach!...

Nagle zaczęła wyc syrena i łódź policyjna ruszyła naprzód z dużą prędkością. Reflektory ze statku nadal były wymierzone w dżonkę. Jej silniki jęczały złowieszczo, popychały ją na drogę ku bezpieczeństwu.

Paul Czoj przyglądał się statkowi. Wielkiemu, uzbrojonemu w karabiny maszynowe dużego kalibru, działka pokładowe i z silnikami czterokrotnie przewyż-

szającymi moc silników dżonki. Widać było marynarzy, oficerów i urządzenia radarowe.

- Schył głowę! - ostrzegł Paula Wu. Paul natychmiast usłuchał, a Wu ustawił się z pistoletem



maszynowym obok Poona Ładna Pogoda.

- Naprzód!

Obydwaj puścili serię w stronę statku, uważając jednak, aby żadna kula nie trafiła na pokład. Sternik zwrócił dżonkę na prawo i modlił się, żeby Wu poprawnie wyznaczył kurs. Minęli statek i znaleźli się na trasie ku ocaleniu.

- Dobrze - mruknął Wu, wiedząc, że zyskali kolejne sto metrów. Mapę tych wód miał w głowie. Teraz znajdowali się na obszarze między wodami hongkongijskimi a wodami ChRL. Do rzeczywistej strefy bezpieczeństwa brakowało im jeszcze kilkuset jardów. Wszyscy na pokładzie zamknęli oczy. Znow błysnęło na nich światło reflektora. W ich stronę padały strzały, ale nie sięgały pokładu. Wu uśmiechnął się zjadliwie.

- Lee Wielki Nos! - zawołał i oficer pokładowy zjawił

się natychmiast. Wu wręczył mu karabin. - Strzelisz dopiero, jak ci rozkażę, a wtedy nie trafiaj w tych psubratów!

Nagle rozległ się świst i pocisk z działka rozprysnął

strugi wody nie opodał ich rufy. Zaskoczony Wu podniósł pięść i pogroził w stronę statku.

- Niech wasze matki będą przeklęte! Zostawcie nas, bo przewodniczący Mao rozsadzi Hongkong!

Podbiegł do sterowni.

- Ja wezmę Ster! Sternik był przestraszony. Paul Czoj także, lecz jednocześnie był pod silnym wrażeniem sposobu, w jaki ojciec dowodzi, zdyscyplinowania całej załogi, co świadczyło, że nie są jednak bandą piratów, za jakich ich miał.

-

Zatrzymać się!

Drogę odcięła im mniejsza łódka patrolowa, ale Wu nie przejął się i ze stoickim spokojem trzymał się kursu. Znow jeden błysk i drugi, a potem dwa pociski rozpadające się w wodzie.

- O, bogowie, niech ci parszywcy celnie strzelają!

- Wiedział, że te strzały są jedynie na postrach, ponieważ przyjaciel - Wąż, zapewnił, że wszystkim patrolom zakazano celować w dżonki i łódzie z barwami ChRL

na wypadek, gdyby okazały się prawdziwe. Mają nie wyrządzać szkody, chyba że zostanie zabity lub ranny któryś z ich ludzi. - Wyślijcie im seryjkę! - zawołał.

Z zapalem, lecz uważnie dwaj strzelcy na rufie zaczęli strzelać w wodę. Reflektor nie poruszał się,

po czym zgasł.

Wu twardo trzymał kurs. Co teraz? - z rozpaczą zadawał sobie pytanie. Gdzie płyną ci szubrawcy?

Rozglądał się w ciemności, ale nic nie widział. Potem z trudem zauważył sylwetkę łodzi przed dziobem.

Dopływał do niej. Do strefy bezpieczeństwa pozostało jeszcze sto jardów. Nie śmiał wdawać się w prawdziwą bitwę z Brytyjczykami, bo wiedział, że ich prawo ma długie ręce i za zabicie jednego z nich trafia się na szubienicę bez względu na ilość pieniędzy i liczbę wpływowych przyjaciół. Gdyby skręcił, aby ominąć łódź, na pewno dopadłby ich statek, a na to Wu pozwolić nie mógł.

Jego twarz wykrzywił grymas. Płynął prosto i modlił

się, żeby sternik łódki nie spał. Przez chwilę rozgrywała się walka na nerwy między kapitanami. W ostatniej chwili Brytyjczyk, aby uniknąć kolizji, skręcił.

Statek patrolowy zwolnił, a łódź do niego podpłynęła.

Dżonka znajdowała się już na wodach chińskich.

Serce Wu zaczęło z powrotem bić normalnym rytmem.

Waż miał rację.

Drżącą ręką podniósł megafon.

- Zwycięstwo przewodniczącego Mao! - wrzasnął

z całych sił. - Wara od naszych wód, wy, parszywe obce

diabły! - Przepętnione radością echo rozniosło się po morzu. Załoga zaczęła skandować z podniesionymi pięściami. Nawet Paul Czój dał się ponieść ogólnej euforii

i krzyknął. Wszyscy wiedzieli, że statek patrolowy nie zapuści się na chińskie wody.

Światło reflektora ponownie zgasło. Gdy ich wzrok przyzwyczał się do ciemności, zobaczyli, że policjanci wciągają łódź na statek.

- Mają nas na radarze - mruknął po angielsku Paul Czój.

- *Wat!*

Powtórzył w hakło i wyjaśnił, że radar to magiczne oko. Zarówno Poon, jak i Wu słyszeli co nieco o radarze, ale żaden z nich go nie widział.

- No i co z tego? - zapytał Wu. - Już im nie pomogą żadne magiczne oczy ani magiczne ekrany. Bez

trudu zgubimy ich na kanałach koło Lan Tao. Zresztą i tak by nam nic nie udowodnili, nie mamy kontrabandy ani w ogóle nic.

- A broń?

- Możemy wyrzucić za burtę albo załatwić tych psubratów i zachować broń. liii, Poon Ładna Pogoda, jak te pociski wybuchają koło nas, to myślałem, że mi się dupa na stałe zaciśnie!

- No - potwierdził uszczęśliwiony Poon. - A jak strzelaliśmy w psubratów.... przeklnijcie ich, o bogowie.

Zawsze chciałem sobie z tego postrzelać.

Wu roześmiał się aż do łez, a potem otarł twarz dłonią.

- Tak, tak, Stary Przyjacielu. - Później wtajemniczył

Paula Czoja w strategię, o której dowiedział się od Węża. - Dobrze, *heyal*

- Kim jest Wąż? - zapytał Czoj.

Wu zawahał się, a w oczach pojawił się błysk.

-

Urzędnikiem. Powiedzmy... urzędnikiem policyjnym, Dochodowy Czoj. -

Straciliśmy ładunek i tej

nocy nie będzie zysku -

orzekł smutno Poon.

- Tak - przyznał równie smutno Wu. Obiecał już Venus Poon pierścionek z brylantem, który planował

kupić za zysk z dzisiejszej transakcji. Teraz będzie musiał naruszyć oszczędności, a to było wbrew jego zasadom. Za dziwki płaci się z bieżących wpływów, a nie

z oszczędności, więc pieprzyć cholerny statek policyjny!

Bez diamentowego pierścionka.... liii, ale jej Cudowne Pudełko jest dokładnie takie, jak mówił Richard Kwang, a pupą rusza tak cudownie, jak głosi plotka.

A dziś w nocy... po skończeniu programu telewizyjnego

jej Ogromne Wrota mają się otworzyć jeszcze raz!

-

Parszywy *dżosł* Dorwali nas długonosi bandyci!

- powiedział. Męskość stwardniała mu na myśl o Venus

Poon. - Wszystkie pieniądze przepadły, a ponieśliśmy spore wydatki.

- Ładunek przepadł? - zapytał zaskoczony Czoj.

- No pewnie, leży na dnie - odparł z gniewem stary.

- Nie

stosujecie

żadnych

oznaczników

ani

błyszczek? - Użył angielskich słów i wyjaśnił ich znaczenie.

- Przypuszczam, że wystarczyło mieć jedną, żeby odzyskać towar. Albo pływak, który otwiera się po jednym,

dwu dniach. Potem wystarczy wysłać nurka i wydobyć towar. - Dwaj starzy żeglarze wybałuszali na niego oczy. - O co chodzi?

- Łatwo znaleźć te błyszczki i wydobyć towar po dniu albo dwóch?

- Nawet po tygodniu, jeśli trzeba, Ojczy.

- Mógłbyś zapisać, jak to zrobić? A może ty mógłbyś je załatwić?

- Oczywiście. Ale może lepiej mieć też magiczne oko, tak jak oni?

- Po co nam? I kto by się tym zajmował? Mamy swoje oczy, uszy i nosy.

- Ale dajcie się dzisiaj złapać.

- Uważaj, co mówisz! - warknął z nie ukrywaną złością Wu. - To był *dżos*, *dżos*, żart bogów. Jesteśmy bezpieczni i to się liczy!

- Nie zgadzam się, Kapitanie - zaproponował Paul Czoj, teraz już się niczego nie bał. - Bez trudu można wyposażyć dżonkę w magiczne oko, a potem widzieć patrol tak szybko jak on was... albo i szybciej. Nie mogą was zaskoczyć. Wtedy moglibyście bez strachu przepływać im przed nosem i nigdy nie stracilibyście ładunku. *Heya?* - Uśmiechnął się, widząc, że wywarł

na nich wrażenie. - Nigdy się nie mylicie, nawet w najmniejszym stopniu. I nie ma niebezpieczeństwa.

Ani nie tracicie towaru. Na miejsce zatopienia możecie wrócić dopiero po tygodniu. *Heya?*

- To byłoby wspaniale! - zapalił się do tego planu Poon - Ale, Dochodowy Czój, jeśli masz przeciwko sobie bogów, to i magiczne oko nic nie poradzi. Tak jak dzisiaj. Kto by przypuszczał, że tam może być patrol...

Jednocześnie spojrzeli za znikającym statkiem. Wu zapuścił silniki.

- Nie powinniśmy wypływać za daleko na chińskie wody - powiedział zaniepokojony. - Ci przekłęci cywilizowani nie są tacy uprzejmi i praworządni. Przydałoby nam się magiczne oko, Poon Ładna Pogoda.

- A może od razu taki statek, jak miał patrol?

-

zapropował Czój. - Albo nawet szybszy. Wtedy byście ich prześcignęli.

- Statek taki jak ich? Oszalałeś?

- Kto by nam sprzedał? - zapytał z ironią Wu.

- Japończycy.

- Parszywe Diabły znad Wschodniego Morza.

- Możliwe, ale budują takie statki wyposażone w radary. Oni...

Przerwał, bo policyjny statek znów włączył syreny i zwiększył prędkość.

- Przypatrzcie się - powiedział z podziwem Paul Czój. - Co za skurwiele! - Powtórzył to w haklo.

- Założę się, że widzą magicznym okiem trawler Thai i popłynęli za nim. Mogą widzieć wszystko, nawet podczas burzy.

Wu Cztery Palce podał sternikowi nowe współrzędne kursu, tak aby trzymali się wód chińskich i płynęli napółnoc w stronę wyspy i raf Lan Tao, gdzie bezpiecznie będą mogli poczekać na następne spotkanie.

Tam

przesiadają

się na dżonkę z

hongkongska rejestracja i będą mogli wrócić do Aberdeen. Aberdeen! Wu nerwowo dotknął monety na piersi. W całym tym zamieszaniu zapomniał o niej.

Teraz przypomniał sobie, że jest umówiony na spotkanie z tai-panem. Miał jeszcze dość czasu, żeby się nie spóźnić. Mimo to zwiększył prędkość.

- Chodźcie! - zawołał ich na ławkę na rufie, gdzie mieli więcej prywatności.

- Chyba pozostaniemy przy naszych dżonkach, sy-nu. Obce diabły jeszcze bardziej by się wściekały, gdybym miał taki statek w swojej flocie. Ale to magiczne oko... Mógłbyś je zainstalować i pokazać, jak go używać?

- Mógłbym sprowadzić specjalistę. Ludzie znad Morza Wschodniego... Oni są lepsi niż Niemcy czy Anglicy.

Wu spojrział na Starego Przyjaciela.

- *Heya?*

- Nie chcę na swoim statku ani żadnego z tych parszywców, ani ich magicznego oka. Jak się będziemy na nich opierać, to stracimy nasze pieniądze i nasze skarby.

- Ale widzieć to, czego nie mogą inni? - Wu pyknął

dymem z papierosa. - Czy ktoś inny też sprzedaje radary?

- Tak, ale oni są najlepsi i najtańsi, Ojciec.

- Najtańsi, *hey?* Ile by to kosztowało?

- Nie wiem. Dwadzieścia tysięcy amerykańskich dolarów. Może czterdzieści.

- Czterdzieści tysięcy? - stary wybuchnął. - Czy ja jestem zrobiony ze złota? Ja na swoje pieniądze muszę pracować! Czy ja jestem Cesarzem Wu?

Paul Czój dał się ojcu wyzłocić. Nie żywił do niego żadnych uczuć. Po koszmarze z dzisiejszego wieczora, po szantażu i słowach wypowiedzianych o jego dziewczynie mógł jedynie szanować ojca za jego zdolności w nawigacji i dowodzeniu. I jako Głowę Domu. Ale na tym koniec. Od teraz będzie go traktował

jak każdego innego człowieka.

- Pierwsze magiczne oko i dwóch ludzi do szkolenia możesz mieć za darmo - powiedział, gdy poczuł, że stary ochłonął.

Poon podniósł wzrok. Wu zdwoił czujność.

- Jak to za darmo?

- Ja za ciebie zapłacę.

Poon chciał klnąć, ale Wu syknął:

- Cicho, głupi. Dochodowy Czoj wie o takich rzeczach, o których ty nie masz pojęcia. - Oczy błyszczały mu coraz bardziej. Jeśli byłoby magiczne oko, to byłby i pierścionek z brylantem. A jeśli pierścionek z brylantem, to i futro z norek i wszystko inne, co potrzeba, aby utrzymać taką dziwkę.

- Jak byś zapłacił, synu?

- Z zysku.

- Z jakiego zysku?

- Na jeden miesiąc chcę przejąć kontrolę nad pieniędzmi zdeponowanymi w Victorii.

- Nie ma mowy!

- Nie ma mowy!

- Otworzyliśmy konto na dwadzieścia dwa miliony czterysta dwadzieścia trzy tysiące. Chcę to przejąć na miesiąc.

- I co zrobić?

- Postawić na giełdzie.

- Co? Hazard? Grać za moje ciężko zarobione pieniądze? Nigdy!

- Tylko miesiąc. Zyskiem się podzielimy, Ojcze.

- Podzielimy się? To moje pieniądze, a ty chcesz połowę zysku? Połowę z ilu?

- Może z kolejnych dwudziestu milionów. - Paul Czoj wiedział, że ta kwota rzuci starego na kolana. Widział

wyraz twarzy ojca i był pewien, że, choć nastąpią gorące pertraktacje, dojdą do zgody. To jedynie kwestia czasu!

- *Aiii ia*, to niemożliwe. Nie ma mowy.

Stary poczuł swędzenie w kroku i podrapał się.

Poruszył swoją męskość i natychmiast pomyślał o Wenus Poon, która potrafi podniecić go tak, jak żadna nie potrafiła od wielu lat, a dziś w nocy spotka się z nią ponownie.

- A nie mogę po prostu zapłacić za magiczne oko? Paul Czoj całkowicie przejął swój los w swoje ręce.

- Możesz, ale wtedy ja wyjeżdżam z Hongkongu.

- Wyjedziesz, jak ja ci powiem, że masz wyjechać.

- Ale skoro nie mogę pomnażać pieniędzy i wykorzystać mojego drogiego wykształcenia, to po co mam zostawać? Czy po to wydałeś na moją edukację tyle pieniędzy, żebym został jakimś fagasem na twojej Łodzi Rozkoszy? A może pomocnikiem na jakiejś dżonce, którą może napaść statek obcych diabłów? Nie, lepiej wyjadę! Lepiej stanę się dochodowy dla kogoś innego i wtedy będę mógł zacząć spłacać to, co we mnie zainwestowałeś. Dam Czarnej Brodzie miesięczne wymówienie, a potem jadę.

- Wyjedziesz, jak ja ci powiem, że masz wyjechać -

powtórzył niechętnie Wu. - Łowiłeś na niebezpiecznych wodach.

- Tak... - Ty też, chciał dodać Paul Czoj. Jeśli ci się wydaje, że możesz mnie szantażować, to wiedz, że ja ciebie też mogę, a ty masz więcej do stracenia. Nigdy nie słyszałeś o świadku koronnym ani o transakcji pozoro-wanej? Lecz zatrzymał ten argument dla siebie, aby wykorzystać go, kiedy to będzie konieczne. - Wszystkie wody są niebezpieczne, jeśli bogowie uznają, że mają być niebezpieczne - stwierdził tajemniczo.

Wu zaciągnął się głęboko papierosem, czuł dym na dnie płuc. Zauważył pewną zmianę u syna. Widział

wiele takich metamorfoz u wielu ludzi. U wielu synów i córek. Długoletnie doświadczenie nakazywało mu zachować ostrożność. Ten gówniarz jest niebezpieczny, bardzo niebezpieczny, myślał. Chyba Poon Ładna Pogoda miał rację - nie powinienem zabierać go dzisiaj na pokład. Teraz za dużo o nas wie.

Tak. No, ale zawsze można naprawić błąd. Kiedy tylko będę chciał. O każdej porze dnia i nocy.



22:03

- Co ty, do diabła, wyczyniasz, Paul? - zapytał

gubernator Havergilla. Razem z nimi stał Johnjohn, opierali się o balustradę na tarasie w domu gubernatora,

relaksowali się po kolacji. - Dobry Boże! Jeśli i Victoria straci pieniądze, cała wyspa będzie zrujnowana.

Havergill rozejrzał się, aby nabrać pewności, że nie są podsłuchiwani, a potem zniżył głos:

- Kontaktowaliśmy się z Bank of England, sir. Jutro o północy czasu londyńskiego pod osłoną RAF zostanie wysłany z Heathrow transport pięcio- i dziesięciofuntowych banknotów. Jak mówiłem - ciągnął charakterystycznym dla siebie, poufnym tonem

- kondycja Victorii jest świetna. Zachowujemy płynność, a nasze aktywa tutaj i w Anglii wystarczą na każdą ewentualność. No, prawie każdą.

- A tymczasem brakuje wam pieniędzy, żeby powstrzymać szturm?

- Nie, jeśli to nie są... eee... problemy długotrwałe.

Jestem pewien, że wszystko się ułoży, sir.

Sir Geoffrey przyglądał mu się.

- Jak, do diabła, doszło do tego wszystkiego?

*Dżos* - odrzekł swobodnie Johnjohn. - Pech w tym, że mennica nie zdążyła wydrukować dla nas odpowiedniej ilości pieniędzy na czas. Kilka tygodni minie, zanim skończy się druk i transport takiej sumy, jakiej potrzebujemy. A naszej ekonomii taki zastrzyk nie zrobi najlepiej. Waluta brytyjska zapełni lukę, sir.

Możemy po prostu ogłosić, że mennica nieprzerwanie pracuje, aby sprostać naszym potrzebom.

- A ile potrzebujemy? - Gubernator zauważył, że Paul Havergill i Johnjohn spoglądają na siebie, i poczuł się niezręcznie.

- Nie wiemy, sir - odparł Johnjohn. - Wszystkie banki, nie tylko my, będą chciały skorzystać z zabezpieczeń, tak jak my skorzystaliśmy z zabezpieczenia w Bank of England, a każdy depozytor w kolonii będzie chciał zwrotu swoich dolarów... - Pot wystąpił mu na twarzy. - Nie jesteśmy w stanie

określić, jakie jest zapotrzebowanie innych banków. Nikt nie ma takiej możliwości.

- Czy jeden transport z obstawą RAF wystarczy? -

Sir Geoffrey starał się ukryć sarkazm. - To znaczy...

no... miliard funtów w piątkach i dziesiątkach? Skąd oni, do diabła, wezmą aż tyle banknotów?

Havergill rozmasował czoło.

- Nie wiemy, sir, ale obiecali, że pierwszy transport przybędzie najpóźniej w poniedziałek wieczorem.

- Nie wcześniej?

- Nie, to byłoby niemożliwe.

-

Nic innego nie da się zrobić?

Johnjohn przełknął ślinę.

- Rozważaliśmy zwrócenie się do pana z prośbą o ogłoszenie wakacji bankowych, ale doszliśmy do wniosku... Bank of England przyznał nam rację, że to mogłoby roznieść całą wyspę.

- Nie ma powodów do obaw, sir. - Havergill starał

się, by jego głos brzmiał przekonywająco. - Pod koniec przyszłego tygodnia nikt o niczym już nie będzie pamiętał.

- Ja nie zapomnę, Paul. I wątpię, czy Chiny zapomną albo nasi przyjaciele z partii laburzystowskiej.

Prawdopodobnie zgłoszą swoje uwagi i wysuną propozycje na temat pewnej formy kontroli banków.

- Co ci krzykacze mogą wiedzieć - mruknął z niechęcią Havergill. - Wszystko jest pod kontrolą.

Sir Geoffrey mógłby podjąć w tej kwestii dyskusję, ale właśnie zauważył spacerujących po tarasie Rosemonta z CIA i Eda Langana z FBI.

- Informujcie mnie na bieżąco. W południe chcę mieć wyczerpujący raport. Wybaczcie mi. Zamówcie sobie jeszcze po drinku.

Ruszył w stronę Rosemonta i Langana.

- Jak się miewacie?

- Dziękujemy, sir, wspaniały wieczór. - Obydwaj Amerykanie obserwowali, jak Havergill i Johnjohn

wracają do środka. - Co tam słysząc u bankierów? - zapytał

Rosemont.

- Świetnie, doskonale.

- Ten socjalista Grey załaził Havergilowi za skórę!

- Tai-panowi też - dodał ze śmiechem Langan.

- O, nie wiedziałem - rzekł gubernator. - Trochę opozycji zawsze dobrze robi, prawda? Czyż demokracja nie jest najlepszym z systemów?

- Jak tam Victoria, sir? Jak ze szturmem?

- Nie ma problemów nie do rozwiązania - odparł Sir Geoffrey lekko. - Nie ma powodów do obaw. Mogłbym przeprosić pana na chwilę, panie Langan?

- Oczywiście, sir. - Amerykanin uśmiechnął się. - Już mnie nie ma.

- Mam nadzieję, że nie ucieknie pan z przyjęcia. Może jeszcze drinka?

- Tak.

Sir Geoffrey poprowadził Rosemonta do ogrodu. Noc była ciemna, z drzew spadały krople wody. Ścieżki zamieniły się w błoto.

- Stanley, mamy mały problem. SI właśnie złapała jednego z waszych marynarzy z lotniskowca. Przekazywał tajemnice facetowi z KGB...

Zdumiony Rosemont zatrzymał się jak wryty.

- Z „Iwanowa”?

- Tak.

- Suslewowi? Kapitanowi Suslewowi?

-

Nie. Jakoś inaczej się nazywał. Może skontaktowałbyś się od razu z Rogerem. Obydwaj szpiedzy są w areszcie. Obydwaj oskarżeni przez Biuro Akt Tajnych, ale ustaliłem z ministrem w Londynie, że wy od razu powinniście zająć się swoim człowiekiem... To trochę mniej krępujące, prawda? Zdaje się, że ten facet zajmował się komputerami.

- Sukinsyn! - mruknął Rosemont, a potem grzbietem dłoni wytarł pot z czoła. - Co przekazywał?

- Dokładnie nie wiem. Roger poda ci szczegóły -

odpowiedział Sir Geoffrey.

-

Czy... Czy będziemy mogli przesłuchać też tego z KGB?

- Pomów o tym z Rogerem. Minister z nim też jest w kontakcie. - Sir Geoffrey zawahał się. - Z pewnością chcesz...

- Tak, oczywiście, przepraszam. Lepiej już pójdę...

- Rosemont miał twarz białą jak kreda. Odszedł szybkim krokiem. Zabrał ze sobą Langana.

Sir Geoffrey westchnął. Przekłęci szpiedzy, przekłete banki, przekłęci zdrajcy i socjalistyczni idioci nie mający pojęcia o Hongkongu. Spojrzał na zegarek. Czas na zakończenie przyjęcia.

Johnjohn przeszedł przez salę i zatrzymał się przy barze, koło Dunrossa.

- O, cześć. Strzemiennego? - zapytał Dunross.

- Nie dziękuję. Chciałem z tobą zamienić kilka słów na osobności.

- Jasne. Ale szybko, bo zaraz wychodzę. Obiecałem, że podrzucę jednego z parlamentarzystów do promu.

-

Też masz różowy bilet?

Dunross uśmiechnął się.

- Właściwie mam zawsze, staruszk, bez względu na to, czy Penn jest tutaj czy nie.

- Tak. Masz szczęście, zawsze potrafiliście sobie ułożyć wzajemne stosunki.

- Taki *dżos*.

- Wiem. - Johnjohn poprowadził lana na balkon. -

Fatalnie z tym Johnem Czenem, nie?

- Tak. Phil ip strasznie to przeżył. Gdzie Havergil ?

- Wyszedł kilka minut temu.

- A, to dlatego wspominałeś o różowym bilecie.

Paul jest w mieście?

- Nie wiem.

- Co z Lily Su z Koulunu? Johnjohn patrzył

zdziwiony.

- Słyszałem, że Paul się zakochał.

- Skąd ty tyle wiesz?

Dunross wzruszył ramionami. Był zmęczony i zły.

Podczas wieczoru kilkakrotnie musiał panować nad nerwami podczas dyskusji Greya z kilkoma tai-panami.

- A właśnie, Ian, próbowałem namówić go na zwo-

łanie nadzwyczajnego zebrania rady, ale to przekracza moje możliwości.

- Jasne. - Znajdowali się w niewielkim holu z chińskimi malowidłami na jedwabiu i perskimi dywanami na podłodze. Zauważył, że w rogu pomieszczenia odchodzi farba. Zgorszył się. To brytyjska placówka dyplomatyczna, pomyślał, takie rzeczy nie powinny mieć miejsca.

Milczeli. Dunross udawał, że przygląda się kilku ozdobnym butelkom na półce.

- Ian... - Johnjohn zaczął, ale zmienił zdanie i za milkł. Po chwili podjął: - To tajemnica. Znasz dość dobrze Drepczącego Toe, no nie?

Dunross popatrzył ze zdziwieniem. Drepczącym Toe nazywali pochodzącego z Hunan - rodzinnej prowincji Mao Tse-tunga - Tip Tok-toha, mężczyznę w średnim wieku, który przybył do Hongkongu podczas exodusu w 1950 roku. Wydawało się, że nikt o nim nic nie wie.

Nikommu nie wadziło, prowadził małe biuro w Princes Building i nieźle mu się powodziło. Po kilku latach stało się jasne, że ma niezwykle kontakty w Banku Chińskim, i zaczęto go uważać za nieoficjalnego przedstawiciela banku. Nikt nie znał jego pozycji w hierarchii, ale plotka głosiła, że znajduje się bardzo wysoko. Bank Chiński był jedynym komercyjnym przedstawicielstwem ChRL, więc wszystkie kontakty i przedsięwzięcia nadzorowano czujnie z Pekinu.

-

Trochę tak, a co? - zapytał Dunross. Lubił

Drepczącego.

Był to miły, spokojny człowiek

przepadający za koniakiem. Doskonale mówił po angielsku, więc proszono go często o tłumaczenie.

Zawsze chodził nienagannie ubrany, choć zwykle był

to strój maoistowski, w którym wyglądał jak Czou En-lai. Ostatni raz Dunross prowadził z nim transakcje w sprawie samolotów cywilnych potrzebnych ChRL. Tip Tok-toh załatwił akredytywę i sfinansowanie w ciągu dwudziestu czterech godzin. .

- Drepczący jest sprytny - uprzedził go Alastair Struan. - Musisz na siebie uważać, ale z nim można się

dogadać. Podobno zajmuje jakieś wysokie stanowisko w partii. Bardzo wysokie.

Dunross patrzył na Johnjohna, tłumiąc niecierpliwość. Bankier podniósł jedną z butelek. Butelki były niewielkie, zdobione porcelaną, nefrytami lub szkłem.

Zewnętrzne ścianki wielu z nich były pokryte pięknymi, malowanymi motywami. Widać było krajobrazy, tańczące dziewczyny, kwiaty, ptaki, a nawet wykaligrafowane prawie niewidoczne gołym okiem wiersze.

- Jak oni to robią, Ian? Malują od środka?

- Tak. Bardzo delikatnym pędzelkiem wygiętym pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Po mandaryńsku to się nazywa *li myan huai*, wewnętrzne malunki. - Dunross podniósł butelkę z krajobrazem i wykaligrafowanymi znakami.

- Zadziwiające! Co za cierpliwość! Co tu jest napisane?

Dunross przyjrzał się dokładnie.

- A, to powiedzenie Mao: „Znaj siebie, znaj wroga.

Sto bitew, sto zwycięstw". Właściwie przewodniczący ściągnął to z Sun Tzu.

Johnjohn zadumał się. Okno za nim było otwarte.

Lekka bryza poruszała zasłonami.

- Porozmawiasz z Drepczącym w naszym imieniu?

- O czym?

-

Chcemy pożyczyć pieniądze z Banku Chińskiego.

Dunross aż otworzył usta.

-Co?!

- Tak, na jakiś tydzień. Mają do woli hongkongijskich dolarów, a u nich nie ma wzmożonych wypłat. Żaden z Chińczyków nie ośmieliłby się ustawić w kolejce przed Bankiem Chińskim. Możemy zapłacić uczciwe odsetki.

- To formalna prośba Victori ?

- Nie. Nie może być formalna, bo to mój pomysł. Nie rozmawiałem o tym nawet z Paulem. Tylko z tobą. A więc?

- Dostanę jutro przed dziesiątą sto milionów pożyczki?

- Przykro mi, ale to nie leży w mojej mocy.

- Ale Havergil może podjąć decyzję.

- Tylko, że on się nie zgodzi.

- Więc dlaczego ja miałbym wam pomóc?

- Ian, jeśli bank nie będzie stał twardo jak Pik, to rynek się załamie i upadnie Noble House.

- Jeśli nie dostanę pieniędzy, to i tak siedzę po uszy w błocie.

- Zrobię, co się da, ale porozmawiaj od razu z Drepczącym. Poproś go, ja nie mogę... Nikt oficjalnie nie może. Bardzo byś się przysłużył koloni .

- Zagwarantuj mi pożyczkę, a porozmawiam jeszcze dzisiaj. Coś za coś.

- Jeśli wytargujesz dla mnie promesę na pół miliarda kredytu w gotówce jutro do czternastej, załatwię ci wsparcie.

- Jak?

- Nie wiem!

- Daj mi to na piśmie jutro przed dziesiątą z podpisem twoim, Havergil a i większości rady, to wtedy z nim porozmawiam.

- Niemożliwe.

- Trudno. Coś za coś. Dlaczego Bank Chiński miałby pomóc Victorii?

- Bo my jesteśmy Hongkongiem! Jesteśmy Starymi Przyjaciółmi Chin. Bez nas upadłaby kolonia i Struanowie, i pół Azji.

Nie byłbym tego taki pewien.

- Bez banków, a w szczególności bez nas, Chiny znalazłyby się w kiepskiej sytuacji. Od wielu lat

jesteśmy partnerami Chin.

- To porozmawiaj z Drepczącym sam.

- Nie mogę. Wiesz, że Moskiewski Bank Handlowy znów wystąpił o licencję na handel z Hongkongiem?

Dunross wytrzeszczył oczy.

- Jeśli oni tu wejdą, wszyscy znajdziemy się na karuzeli.

- Oferowali

nam

natychmiast

sporą

sumę

hongkongijskich dolarów.

- Rada będzie głosować przeciw.

- Rzecz w tym, że gdy ciebie w radzie już nie będzie,

„nowa” zrobi, co jej tylko przyjdzie do głowy - powiedział

Johnjohn wprost. - A jeśli rada się zgodzi, gubernatora też jakoś zdołają przekonać. A czyż może nam jeszcze grozić jakieś większe niebezpieczeństwo niż oficjalna obecność sowieckiego banku w Hongkongu?

- Jesteś gorszy od Havergil a!

- Nie, lepszy! - Z jego twarzy zniknęły oznaki przygnębienia. - Jedna większa zmiana i my się stajemy Noble House, czy ci się to podoba czy nie. Wielu naszych dyrektorów wolałoby, żebyś odszedł. Ja tylko proszę, żebyś uczynił łaskę Hongkongowi. Nie zapominaj, że Victoria nie ma prawa splajtować. Może być w ciężkiej sytuacji, ale nie wolno dopuścić, żeby upadła.

- Otarł pot z czoła. - Nie nalegam, ale proszę. Pewnego dnia może zostanę przewodniczącym rady i nie zapomnę ci tego.

-

Obojętnie, jak się zachowam?

-Oczywiście, staruszku - powiedział zjadliwie.



- Może teraz strzeziennego? Brandy?

Na tylnym siedzeniu rol sa siedział Robin Grey, Hugh Guthrie i Julian Broadhurst. Dunross zajmował miejsce naprzeciw nich, tyłem do szofera w liberii. Okna były zaparowane. Grey potarł szybę, rozkoszując się zapachem luksusu i prawdziwej skóry.

Niedługo,, też takiego będę miał, myślał. Rollsa na własność. Z szoferem. A te bydlaki, łącznie z Ianem Dunrossem, będą się przede mną płaszczyć. I Penn!

Jeszcze zobaczy, moja siostrzyczka!

- Czy jeszcze popada? - zapytał Broadhurst.

- Tak - odparł Dunross. - Podobno burza ma się zmienić w tajfun, w każdym razie tak twierdził instytut meteorologii. Dziś wieczorem dostałem raport ze

„Wschodniej Chmury”, jednego z frachtowców znajdującego się w okolicach Singapuru. Podobno nawet tam morze daje oznaki zbliżającego się tajfunu.

- A tutaj też uderzy, tai-pan? - zapytał Guthrie.

- Nigdy nic nie wiadomo. Może zjawić się i odejść w ciągu dziesięciu minut.

- Pamiętam, jak w zeszłym roku czytałem o tajfunie Wanda. Było strasznie, prawda?

Najgorszy tajfun, jaki widziałem. Ponad dwieście ofiar śmiertelnych, tysiące rannych, dziesiątki tysięcy straciło dach nad głową. Jądro tajfunu znalazło się nad nami podczas wysokiego przypływu, który był o dwadzieścia trzy stopy wyższy niż zazwyczaj.

- Chryste!

- Tak. W Sza Tin, w Nowych Terytoriach, wiatr zerwał osłonę sztormową i łódki rybackie popłynęły pół

mili w głąb lądu. Zostały zalane prawie wszystkie wioski rybackie. Wiadomo o zaginionym tysiącu łódek.

Miliardy dolarów strat. Większość terenów nizinnych pod wodą. - Dunross wzruszył ramionami. - *Dos!* I tak uwzględniając moc i możliwości tajfunu, straty były niewiarygodnie małe. - Przesunął ręką po skórzanym fotelu. Grey zauważył złoty sygnet z czerwonym kamieniem i herbem Dunrossów. - Prawdziwy tajfun pokazuje ludziom, jak naprawdę są słabi.

- W takim razie szkoda, że nie mamy tajfunów codziennie - zauważył zgryźliwie Grey. - W Whitehall nawet dwa razy dziennie.

-

Robin, to już staje się nudne - rzekł z nie skrywanym niesmakiem Hugh Guthrie. - Musisz cały czas robić takie niestosowne uwagi?

Grey pograżył się we własnych myślach i wyłączył z konwersacji. Do diabła z wami wszystkimi, skomentował w duchu.

Wkrótce samochód znalazł się przed hotelem „Mandaryn”. Dunross wysiadł.

- Samochód zawiezie was do „Victorii”. Do zobaczenia w sobotę. Dobranoc.

Rolls odjechał. Okrążył hotel i skierował się do promu dla samochodów znajdującego się na wschód od Golden Ferry. Przed wjazdem czekała kolejka samochodów osobowych i ciężarówek. Grey wysiadł.

- Rozprostuję trochę kości i wrócę promem Golden Ferry - oznajmił z wymuszoną swobodą. - Potrzebuję ruchu.

Szybkim krokiem przeszedł Connaught Road i poczuł ulgę, że znalazł się sam. Cholerni głupcy, myślał z rosnącym zaciętrzewieniem. Już niedługo będzie po nich, szczególnie po Broadhurście.

Zatrzymał się pod uliczną latarnią i machnął na taksówkę.

- Proszę - podał kierowcy kartkę papieru z wypisanym na maszynie adresem.

Taksówkarz podrapał się po głowie.

- Z tyłu jest po chińsku. Z tyłu... po... chińsku...

- mówił Grey.

Kierowca nie zwracał na niego uwagi, więc sięgnął

ręką i odwrócił kartkę.

-

Proszę!

Taksówkarz przeczytał, a potem jeszcze raz spojrzął

na zapis po angielsku. Później czknął i włączył silnik.

Cholerny głąb, pomyślał zezłoszczony Grey.

Po jakimś czasie skręcili w jednokierunkową ulicę i zatrzymali się przed starym, zniszczonym budynkiem.

Nawierzchnia jezdni była popękana, a jadące samochody głośno trąbiły. Grey nie widział numeru

domu. Wsiadł z taksówki, kazał kierowcy czekać i poszedł zobaczyć, czy nie ma innego wejścia. Na wiklinowym krześle siedział stary człowiek i czytał przy gołej żarówce gazetę o wyścigach.

-

Czy to jest 68 Kwan Jik Street w Kennedy Town?

- zapytał grzecznie Grey.

Stary popatrzył na niego jak na potwora z innej planety, a potem obrzucił go stekiem kantońskich wyzwisk.

- 68 Kwan Jik Street - powtórzył wolniej i głośniej Grey. - Ken - ne - dy... Town.

W odpowiedzi znów kantońskie przekleństwa i ledwie zauważalny ruch dłonią w stronę małych drzwi.

Stary odchrząknął, splunął i ziewając wrócił do gazety.

- Pieprzony łajdak! - mruknął pod nosem Grey.

Otworzył drzwi. Znalazł się na małej, słabo oświetlonej klatce schodowej, popatrzył na skrzynki pocztowe z wypisanymi nazwiskami. Z wielką ulgą znalazł

nazwisko,

którego szukał.

Przy taksówce wyjął portfel i dwukrotnie spojrzął na stan licznika, zanim zapłacił.

Winda była ciasna, brudna i niemiłosiernie skrzypia-

ła. Wsiadł na czwartym piętrze i nacisnął guzik z numerem 44. Drzwi się otworzyły.

-

Pan Grey, co za zaszczyt! Molly, mamy gościa!

- Sam Finn uklonił się. Był potężny, pochodził z Yorks-hire, dawniej pracował w kopalni, miał wielu ważnych przyjaciół w Partii Pracy i w związkach zawodowych.

Jego twarz była poorana zmarszczkami. - Miło mi!

- Dziękuję, panie Finn. Ja też się cieszę, że pana widzę. Wiele o panu słyszałem - Grey zdjął płaszcz i wziął piwo z rąk gospodarza.

- Proszę usiąść.

Mieszkanie było małe, czyste i umeblowane tanimi sprzętami. Pachniało przypalonym sosem, frytkami i smażonym chlebem. Z kuchni wyszła Molly Finn.

Dłonie miała czerwone od zmywania i innych prac kuchennych. Była niska, krępa, pochodziła z tego samego górniczego miasteczka co Sam, miała tyle samo lat - sześćdziesiąt pięć, i była równie jak on silna.

-

Witam - powiedziała ciepłym głosem. - Bardzo się zdziwiliśmy, gdy usłyszeliśmy, że pan nas odwiedzi.

- Nasi wspólni przyjaciele chcą wiedzieć z pierwszej ręki, co u was słychać.

- Świetnie. Wiedzie nam się wspaniale - zapewnił

Finn. - Jasne, że to nie to samo co w domu w Yorks-hire. Tęsknimy za znajomymi i za związkiem, ale tu mamy co jeść i gdzie spać. - Dobiegł ich odgłos spuszczenia wody w łazience. - Jest u nas ktoś, kto chciałby pana poznać - dodał z uśmiechem Finn.

- Tak?

- Tak.

Otworzyły się drzwi do toalety. Potężny brodacz wyciągnął rękę.

- Wiele o panu słyszałem, panie Grey. Nazywam się

Gregor Suslew. Jestem z marynarki radzieckiej, ze statku „Iwanow”.

Grey uściśnął mu dłoń i powiedział oschle:

- Miło mi pana poznać.

- Mamy wspólnych przyjaciół, panie Grey.

- Czyżby?

- Tak. Na przykład Zdenek Hanzolowa z Pragi.

- A, tak, tak! - Grey uśmiechnął się. - Poznałem go w zeszłym roku w Czechosłowacji.

- Jak się panu podobała Praga?

- Bardzo ciekawe miejsce. Chociaż nie przypadły mi do gustu represje ani... obecność Rosjan.

Suslew roześmiał się.

- Zostaliśmy tam zaproszeni. Przez nich. My się troszczymy o swoich przyjaciół. Choć ja też wielu posunąć nie apróbuję. I tam, i w całej Europie. Nawet w Rosji.

- Siadajcie, proszę - zachęcił Sam Finn.

Zajęli miejsca przy stole z białym obrusem w jadalni.

- Wie pan, oczywiście, że nie jestem i nigdy nie byłem komunistą - odezwał się Grey. - Nie popieram państwa policyjnego. Jestem całkowicie przekonany, że przyszłość należy do naszego brytyjskiego socjalizmu demokratycznego faktycznie wybranego przez ludzi. Niemniej cenię wiele idei marksistowsko-leninowskich.

-

Ach, polityka! - powiedział z niechęcią Suslew.

- Zostawmy politykę politykom.

- Pan Grey jest jednym z naszych najlepszych mówców w parlamencie, Gregor - wyjaśniła Molly, a potem zwróciła się do Greya: - Gregor to dobry człowiek, nie jest jednym z tych złoczyńców.

- To prawda - potwierdził Finn.

- Co ciekawego robiliście, Sam, zanim osiedliście w Hongkongu?

- Po przejściu na rentę postanowiliśmy wyjechać w świat. Sprzedaliśmy swoje rzeczy, spieniężyliśmy poli-sę ubezpieczeniową i ruszyliśmy do...

- To były wspaniałe czasy - przerwała Molly Finn.

- Zwiedziliśmy tyle krajów! Ale gdy dotarliśmy tutaj, zbiednieliśmy i trzeba było wracać.

- Rzeczywiście - rzekł Sam. - Wtedy poznałem pewnego dobrego człowieka, który zaproponował mi pracę. Miałem być konsultantem w Formosa.

Pojechaliśmy tam raz, ale potem wróciliśmy z powrotem tutaj. To wszystko, panie Grey. Wynajęliśmy mieszkanie, piwo mają tu dobre, więc osiedliliśmy się na stałe. Dzieci już dorosły... - Uśmiechnął się, pokazując sztuczne zęby.

- Teraz jesteśmy Hongkongijczykami.

Dalej gawędzili sobie wesoło. Grey uwierzyłby w historię Finna, gdyby nie czytał w Londynie jego dossier.

Niewielu osobom było wiadomo, że Finn należał do Brytyjskiej Partii Komunistycznej. Po odejściu na emeryturę został wysłany przez tajny komitet do Hongkongu, aby zbierać informacje na temat tutejszego systemu prawnego i zasad funkcjonowania urzędów.

Po jakimś czasie Molly Finn ziewnęła.

- Ojoj, jestem trochę zmęczona! Wybaczcie mi, ale chyba się już położę.

- Tak, kochanie - powiedział Finn.

Prowadził jeszcze chwilę zdawkową, grzecznościową rozmowę, a potem ziewnął.

-

Ja chyba też już pójdę do łóżka. Wy sobie jeszcze

możecie pogadać. Zobaczymy się chyba przed pana odjazdem, panie Grey.

Uścisnął obydwu gościom rękę i zamknął za sobą drzwi do sypialni. Suslew włączył telewizor.

- Widział pan hongkongska telewizję? Śmieszne reklamy. - Tak ustawił głośność, żeby mogli rozmawiać, a nie byli słyszani. - Trzeba uważać, nie?

- Braterskie pozdrowienie z Londynu - powiedział

Grey zniżonym głosem. Od 1947 roku był tajnym komunistą, jeszcze bardziej utajonym od Finna.

Wiedziało o nim tylko kilka osób w Anglii.

- Wzajemnie. Jak dużo oni wiedzą? - wskazał palcem na zamknięte drzwi.

- Tylko tyle, że jestem lewicowcem i potencjalnym kandydatem na członka partii.

- Doskonale. - Suslew rozluźnił się. Centrum po-stąpiło rozsądnie, organizując spotkanie tutaj. Roger Crosse, któremu nie było wiadomo nic na temat powiązań Greya, zapewnił, że SI nie będzie śledzić członków parlamentu. - Tu jesteśmy bezpieczni. Sam to swój człowiek i nie zadaje pytań. Dostajemy kopie jego raportów. Wy, Brytyjczycy, potraficie wyrozumiale milczeć. Gratuluję wam.

- Dziękuję.

- Jak tam spotkanie w Pekinie? Grey wyjął

dokumenty.

- To kopie naszych prywatnych i oficjalnych doniesień dla parlamentu. Przeczytajcie je, zanim pójdę, pełny

raport dostaniecie zwykłymi kanałami. Mówiąc w skrót-

cie, uważam, że Chińczycy to rewizjoniści i nasi wrogowie. Szaleniec Mao i Czou En-lai stanowią zagrożenie

dla międzynarodowego komunizmu. W Chinach brakuje wszystkiego z wyjątkiem woli walki, zdecydowani są bronić swoich ziem do ostatniej kropli krwi. Im dłużej będziemy czekać, tym trudniej będzie ich podbić, ale póki nie mają broni nuklearnej ani systemu dalekiego zasięgu, nie zaatakują.

- Tak, a co z handlem? Czego im potrzeba?

- Surowców do przemysłu ciężkiego, stali, różnych substancji chemicznych, oleju przemysłowego.

- Czym zamierzają zapłacić?

- Mówią, że mają wiele zachodniej waluty. W większości z Hongkongu.

- Pytali o broń?

- Nie. Nie wprost. Są przebiegli, a nie na wszystkie spotkania chodziliśmy całą grupą. Mieli wiele informacji na temat mnie i Broadhursta i niezbyt nam ufali. Przypuszczalnie rozmawiali prywatnie z Pennyworthem albo z innym torysem. Słyszałeś, że zginął?

- Tak.

- Mamy szczęście. Był wrogiem - Grey napił się piwa. -

ChRL potrzeba uzbrojenia, tego jestem pewien. Są tajemniczy.

- Jaki jest ten Julian Broadhurst?

- Intelktualista, któremu się wydaje, że jest socjalistą.

Na razie przynosi trochę pożytku. Będzie miał wiele wpływów w rządzie laburzystowskim.

- Partia Pracy zwycięży w wyborach?

- Nie, nie sądzę, chociaż staramy się z całych sił

pomagać laburzystom i liberałom.

- Czemu popieracie liberałów? Przecież to kapitaliści.

Grey roześmiał się.

- Kapitanie Suslew, wy nie rozumiecie naszego brytyjskiego ustroju. Mamy szczęście głosować na trzy partie w dwupartyjnym systemie. Liberałowie mogą przechylić szalę na naszą stronę, musimy im pomagać.

- Dopił piwo i przyniósł z lodówki jeszcze dwa. - Bez liberałów Partia Pracy nigdy nie dojdzie do władzy.

Nigdy!

- Nie rozumiem.

Laburzyści w najlepszym razie zbierają czterdzieści pięć procent głosów, trochę mniej. Torysi, czyli konserwatyści, tyle samo, zwykle trochę więcej. Bez kandydatów liberalnych większość zdobywaliby konserwatyści. Brytyjczycy są głupi, towarzyszu. Liberalowie są paszportem do władzy Partii Pracy, a więc naszej.

Wkrótce Brytyjska Partia Komunistyczna opanuje całą Radę Związków Zawodowych i całą Partię Pracy. - Napił

się piwa. - Większość brytyjskich robotników to głupcy, to samo klasa średnia i wyższa. Tylko niewielu wierzy w socjalizm demokratyczny. Mimo to - dodał z satysfakcją

- rozwaliliśmy ich Imperium i dzięki operacji Lew podbijemy ich. - Operacja Lew została opracowana zaraz po dojściu bolszewików do władzy. Jej celem była destrukcja Imperium Brytyjskiego. - Przez osiemnaście lat, od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, największe imperium świata niemal przestało istnieć.

- Nie licząc Hongkongu.

- Już niedługo.

- Nie muszę wam mówić, jak cenią sobie waszą działalność moi zwierzchnicy - powiedział z udawanym podziwem Suslew. - Waszą i wszystkich towarzyszy w Wielkiej Brytanii. - Miał rozkaz zwracać się do niego z szacunkiem, schlebiać mu i wypytać o misję do Chin.

Czytał jego dossier. Robin Grey został sklasyfikowany przez KGB jako 4/22/a: „Ważny brytyjski zdrajca służący w imię idei marksistowsko-leninowskich. Korzystać z jego usług, ale nie ufać mu. Po dojściu do władzy Brytyjskiej Partii Komunistycznej podlega natychmiastowej likwidacji”.

Suslew przyglądał się Greyowi. I Grey, i Finnowie sądzili, że Suslew jest tylko zwykłym członkiem partii z Władywostoku. To samo było o nim napisane w dossier SI.

- Macie dla mnie jakieś informacje? - zapytał Grey.

- Tak, towarzyszu, i jeszcze, jeśli pozwolicie, chciałbym wam zadać kilka pytań. Poproszono mnie, abym zapytał

o realizację praskiej dyrektywy. - Zgodnie z Dyrektywą 72/Praga miano werbować ludzi ze wszystkich zakładów motoryzacyjnych Stanów Zjednoczonych i krajów zachodnich, ponieważ przemysł motoryzacyjny jest podstawą kapitalistycznego społeczeństwa.

- Nabieramy rozpędu - zapewnił z ożywieniem Grey. - Naszą przyszłością są dzikie strajki. Dzięki nim można dostawać się do struktur związkowych bez rozbijania ich.

- U nas już ten plan mamy z głowy. Idziemy zgodnie z listą: Kanada, Nowa Zelandia, Rodezja, Australia.



Wszędzie tam wsadziliśmy już swoich towarzyszy. Za kilka lat będziemy mieć ludzi w każdym zakładzie motoryzacyjnym anglojęzycznego świata. Poprowadzą robotników wszędzie tam, gdzie wybuchają strajki -

Sydney, Vancouver, Johannesburg, Wellington.

- A wy, towarzyszu, jesteście jednym z liderów!

Wspaniale! - Zadowolony, że tak łatwo można łechtać jego ambicję, Suslew pozwolił mu się wygadać. -

Wkrótce będziecie mieć ten swój demokratyczny raj, a na świecie zapanuje pokój.

- Już niedługo - z zapalem perorował Grey. - Już skróciliśmy służbę wojskową, a w przyszłym roku skró-

cimy jeszcze bardziej. Wojny znikną na zawsze. To dzięki bombie. Tylko przekłęci Amerykanie i ich armia stoi nam na drodze, ale wkrótce zmusimy ich do złożenia broni i wtedy będziemy równi.

- Wiedzieliście, że Ameryka potajemnie dozbraja Japończyków?

- Słucham?

- Nie wiedzieliście? - Suslew doskonale pamiętał, że Grey spędził trzy i pół roku jako jeńiec w japońskim, obozie.

- Nie słyszeliście, że Amerykanie właśnie z tą misją przybyli do Japonii i oferują broń jądrową?

- Nie ośmieliliby się.

- A jednak. - Kłamstwo gładko przechodziło Suslewowi przez usta.

- Możecie podrzucić mi więcej szczegółów, bo chciałbym to poruszyć w parlamencie?

- No cóż, jeśli sądzicie, że to cenna informacja, poproście o detale moich zwierzchników.

- I to jak najszybciej. Bomba nuklearna... Chryste!

- Czy macie też swoich ludzi w zakładach jądro-wych?

- Słucham? - Grey z wysiłkiem oderwał się od swoich myśli.

- Pytam o wasze fabryki jądrowe.

A, nie, są tylko dwie, mało ważne. Jankesi naprawdę dozbrajają Japońców?

- A Japończycy to nie kapitaliści? USA nie będzie im pomagać? Jeśli nie Amerykanie...

- To świnie! Dzięki Bogu, że wy też macie bombę, bo inaczej byśmy leżeli.

- Może powinniście zwrócić większą uwagę na wasze fabryki jądrowe?

- Dlaczego? One nie mają większego znaczenia.

- Jeden z waszych krajanów, Philby, poczynił inne ustalenia.

- Philby? - Grey przypomniał sobie, ile się najadł

strachu, gdy dowiedziano się o jego działalności i musiał uciekać. Potem poczuł ulgę, gdy okazało się, że ucieczka się powiodła, i Philby nie przekazał listy tajnych członków partii komunistycznej. Na liście z pewnością znajdowałoby się nazwisko Greya. - Co z nim?

- Chyba wszystko w porządku. Pracuje w Moskwie.

Znaliście go?

- Nie. On był z Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Nikt nie wiedział, że jest jednym z nas.

- Ustalił więc, że fabryka jądrowa może produkować energię dla siebie i jeszcze ma nadwyżki. Do jej obsługi potrzeba tylko kilku wysoko wykwalifikowanych specjalistów. Żadnych robotników, nie jak przy węglu i ropie. Obecnie cały zachodni przemysł opiera się na ropie i węglu. Philby sugeruje, że powinniśmy popierać korzystanie z tych źródeł energii, a potępić energię jądrową.

- Tak, doskonale go rozumiem - Rysy twarzy Greya stwardniały. - Zajmę się założeniem w parlamencie komisji do zbadania energii atomowej.

- To będzie łatwe?

- Jeszcze jak, towarzyszu. Brytyjczycy są leniwi, nie lubią sobie stwarzać problemów, chcą tylko jak najmniej pracować i jak najwięcej zarabiać, a potem chodzić do pubu i na mecze. Żadnej pracy społecznej, żadnych zebrań po godzinach pracy, żadnych dyskusji. Będzie łatwo. My mamy plan, a oni nie.

Suslew odetchnął usatysfakcjonowany. Zrobił już prawie to, co do niego należało.

- Jeszcze piwa? Nie, ja przyniosę, to dla mnie zaszczyt. Czy poznał pan tutaj amerykańskiego pisarza Marlowe'a?

Grey podniósł głowę.

- Marlowe? Znam go doskonale, chociaż nie wiedziałem, że jest Amerykaninem. A co?

Suslew wzruszył ramionami, ukrywając, jak bardzo go ta postać interesuje.

- Tak pytam, wy jesteście Anglikiem i on też jest z pochodzenia Anglikiem.

- To świnia z wyższych sfer z moralnością sklepika-rza. Nie widziałem go od czterdziestego piątego, dopiero tutaj. On też był w Changi. Dopiero wczoraj dowiedziałem się, że jest pisarzem i filmowcem. Czy jest ważny?

- Jest pisarzem - odparł natychmiast Suslew. - Kręci filmy. Dzięki telewizji pisarze mogą zarabiać miliony.

Centrum ma zachodnich pisarzy pod lupą. My w Rosji zdajemy sobie sprawę, jak ważni są pisarze. Nasi zawsze byli dla nas przykładem, formowali nasze myśli, nasze uczucia. Tołstoj, Dostojewski, Czechow, Bunin... - wymieniał z dumą. - Pisarze wytyczają dla nas szlaki. Dlatego obecnie musimy przypatrywać się ich twórczości, nadzorować ją, a w razie potrzeby niszczyć ich dzieła. Wy powinniście postępować tak samo.

- Popieramy zaprzyjaźnionych pisarzy, kapitanie, a innym wylewamy pomyje na głowę. Gdy wrócę do domu, dopilnuję, żeby Marlowe trafił na czarną listę partii. Łatwo będzie mu jakoś zaszkodzić, mamy w mediach wielu przyjaciół.

Suslew zapalił papierosa.

- Czytaliście jego książkę?

- Tę o Changi? Nie. Dotychczas nigdy o niej nie słyszałem. Zdaje się, że w Angli wcale nie wyszła.

Poza tym to kapitalistyczne bzdury nie warte grosza...

A o Changi najlepiej zapomnieć. - Wstrząsnął nim nagły dreszcz. - Tak, najlepiej zapomnieć.

Ale ja nie mogę, chciał krzyknąć. Nie mogę wyrzucić z pamięci tych koszmarnych czasów w obozie, tych dziesiątek tysięcy umierających ludzi, tej swojej obrony prawa, prób ochrony biednych przed żerującymi na nich pasożytami z czarnego rynku...

głodu i braku nadziei na przeżycie. Moje ciało gniło, a miałem dwadzieścia jeden lat. Bez kobiet, bez jedzenia, bez picia, bez śmiechu. Miałem dwadzieścia jeden lat, gdy mnie złapali w Singapurze, i dwadzieścia cztery, gdy zdarzył się cud i żywy wróciłem do Anglii. A tam... Ani śladu po rodzicach, ani śladu po domu, świat usunął mi się spod stóp, a siostra dołączyła do wrogów, mówi jak oni, żyje jak oni, poślubiła jednego z nich i wstydzi się swojej przeszłości, pragnie o niej zapomnieć, marzy, żebym umarł. Chryste. Powróciłem do życia po Changi, po wszystkich koszmarach, po nieprzespanych

nocach,

po

okropnościach

życia,

niemożności porozmawiania o tym, płaczu nie wiadomo

z

jakiego

powodu,

powróciłem

i

przystosowałem się do tego, co ludzie nazywają normalnością. Ale jakim kosztem... Jezu najkochańszy, najmiłszy, jakim kosztem...

Koniec z tym!

Z wysiłkiem odsunął dręczące go, przerażające wspomnienia o Changi.

Dość już o tym! Changi to, przeszłość. I niech tak zostanie. Zostawmy w spokoju Changi. Ale...

- Słucham? - zapytał, wracając do rzeczywistości.

- Właśnie powiedziałem, że wasz rząd jest teraz całkowicie osłabiony.

- Tak? Dlaczego?

- Przypominacie sobie skandal Profumo? Ministra wojny?

- Oczywiście, a co?

- Kilka tygodni temu MI-5 rozpoczął tajne śledztwo w sprawie związków sławnej teraz prostytutki Christine Keeler i komandora Jewgienija Iwanowa, naszego attache, oraz innych osobistości Londynu.

- Zostało zakończone? - zapytał z uwagą Grey.

Tak. Iwanow poprosił tę kobietę, żeby dowiedziała się od Profumo, kiedy broń jądrowa zostanie dostarczona Niemcom. To wymknęło ze śledztwa. - Suslew kłamał, aby jeszcze bardziej rozpalic Greya. -

Profumo dostał ostrzeżenie od MI-5 w sprawie Iwanowa na

kilka

miesiący przed wybuchem skandalu.

Komandor Iwanow należy do KGB, jego kochanka również.

- Jezu Chryste! Czy komandor Iwanow ma jakieś dowody?

- Nie, absolutnie nie. To nie było konieczne. Ale raport MI-5 prawdziwie przedstawia fakty - łąał Suslew.

- To prawda.

Grey wpadł w euforię.

- Chryste, cały rząd się rozleci i będą nowe wybory!

- I zwycięży Partia Pracy.

- Tak! Na pięć cudownych lat. Tak, a jak będziemy w... O mój Boże! - Znow się roześmiał. - Najpierw kłamał o Keeler, a teraz okazuje się, że cały czas wiedział o Iwanowie! Jezu Chryste, to będzie powód upadku rządu. Wiele lat minie, zanim ci ważniacy wygrzebią się z błota! Macie pewność? - zapytał z nagłym niepokojem. - Czy to rzeczywiście prawda?

- Jakżebym mógł was okłamywać? - Suslew zaśmiał

się w duchu.

- Wykorzystam tę wiadomość. Bóg mi świadkiem.

- Grey tryskał energią, emanowała z niego radość.

- Jesteście zupełnie pewni? A co się stało z tym Iwanowem?

- Oczywiście awansował za doskonałe wykonanie manewru dyskredytującego rząd wroga. Jeśli jego

dzieło przyczyni się do upadku, wtedy dostanie medal. Teraz czeka w Moskwie na nowe zadanie. A, słuchajcie, jutro wasza konferencja prasowa, macie zamiar wspomnieć o szwagrze?

Grey zdwoił uwagę.

- Skąd o nim wiecie?

- Moi zwierzchnicy wszystko wiedzą - rzekł ze spokojem Suslew. - Kazano mi zasugerować, że

ście wspomnieć na konferencji o swoich koligacjach.

- Po co?

Żeby umocnić własną pozycję. Tak bliskie więzi z tai-panem Noble House sprawią, że pańskie

słowa nabiorą jeszcze większej siły. Nieprawdaż?

- Skoro o nim wiecie, to musicie też wiedzieć o mnie i o mojej siostrze. Umówiliśmy się, że nie będziemy o sobie wspominać. To sprawy rodzinne.

- Sprawy państwowe biorą górę nad rodzinnymi.

- Kim wy jesteście? - zapytał z nagłą podejrzliwością Grey. - Kim tak naprawdę jesteście?

- Tylko posłańcem, naprawdę. - Suslew położył

wielką dłoń na ramieniu Greya. - Wiecie, towarzyszu, że wszystko musimy wykorzystywać dla sprawy. Jestem pewien, że moi zwierzchnicy myśleli wyłącznie o waszej przyszłości. Koligacje w potężnej rodzinie kapitalistycznej mogłyby zwiększyć wasze znaczenie w parlamencie.

Prawda? Gdy Partia Pracy zwycięży, będzie potrzebować ludzi z kontaktami, właściwych kandydatów do gabinetu. Takich jak wy, powiedzmy. Zostaniecie ekspertem do spraw Hongkongu. Pomożecie nam przekonać Chiny do wyboru właściwej drogi. Tak samo ludzi z Hongkongu. Co?

Grey słuchał z mocno bijącym sercem.

- Moglibyśmy skończyć z Hongkongiem?

- O, tak - Suslew uśmiechnął się. - Nie ma potrzeby się martwić. Nie będziecie musieli wspominać o siostrze ani o tai-panie z własnej woli. Postaram się, żeby zadano wam odpowiednie pytanie.

23:05

Dunross siedział w „Quance Bar” w hotelu „Mandaryn” i popijał brandy z wodą Perrier. Bar był przeznaczony wyłącznie dla mężczyzn. Nie było w nim zbyt wielu osób. Nigdy dotąd Brian Kwok się nie spóźnił.

W jego zawodzie łatwo o nieprzewidziane sytuacje, pomyślał bez niepokoju Dunross. Dam mu jeszcze kilka minut.

Dziś wieczór czekanie mu nie przeszkadzało. Do spotkania z Wu Cztery Palce w Aberdeen pozostało jeszcze dużo czasu, Penn bezpiecznie leciała do Anglii, więc nie było powodów, aby spieszyć się do domu.

Wyjazd dobrze jej zrobi, dumiał. Londyn, teatr, zamek Avisyard. Będzie wspaniale. Wkrótce jesień, chłodne poranki, para z ust, czas zbiorów, a potem Boże Narodzenie. Miło spędzić święta w śniegu.

Ciekawe, co przyniesie tegoroczna Gwiazdka i co będę myślał o tym złym okresie. Mam za dużo problemów. Plan, niby skuteczny, ale jednak nawala, nie zdaje rezultatu, wszystko idzie źle, a ja nad niczym nie panuję. Bartlett, Casey, Gornt, Cztery Palce, Mata, Zaciśnięta Pięść, Havergill, Johnjohn, Kirk, Crosse, Sindera, Alan Med-ford, jego Riko, a teraz jeszcze Drepczący. I Hiro Toda przyjeżdża jutro zamiast w sobotę.

Po południu rozmawiał z japońskim stoczniovcem.

Toda pytał o giełdę i o Struanów. Nie w bezpośredni, angielski sposób, ale w uprzejmym, oględnym stylu japońskim. Jednak pytał. W amerykańskim angielskim

- wyuczonym podczas dwuletnich studiów na Harvardzie - Dunross słyszał powagę.

- Wszystko będzie dobrze, Hiro - zapewniał Ian.

- To atak na krótką metę. Odbierzemy statki zgodnie z planem.

Na pewno?

Tak. W ten czy inny sposób. Linbar leci do Sydney spróbować odnowić transakcję z Woolara i wynegocjować przewóz.

Bezwiednie

wrócił myślami do Jacques'a.

Naprawdę jest komunistycznym szpiegiem? A Jason Plumm i Tuke? I ten R. Robert Armstrong czy Roger Crosse? Na pewno żaden z nich, tak samo jak Jacques. Znam go, na miłość boską, prawie całe

życie. Owszem, mógł dostarczyć wiadomości Bartlettowi, ale nie wszystkich. Nie tych, które znane są tylko tai-panowi. Pozostaje Alastair, ojciec, ja i stary Sir Ross. Nie do pomyślenia. A jednak.

Ktoś zdradził i nie byłem to ja. A co z Sevrin? Dunross rozejrzał się dokoła. Bar nadal świecił pustkami.

Pomieszczenie było małe, przyjemne, komfortowo urządzone. Stare dębowe stoliki i krzesła obite ciemnozieloną skórą utworzyły przytulne wnętrze. Na ścianach wisiały obrazy Quance'a. Same reprodukcje.

Wiele oryginałów zdobiło galerię w Wielkim Domu oraz korytarze Victorii i Blacs. Kilka znajdowało się w innych prywatnych zbiorach. Dunross usiadł wygodniej, czuł się bezpiecznie, gdy otaczała go przeszłość, która chroni. Tuż nad głową wisiał portret dziewczyny z chłopcem z włosami splecionymi w warkoczyk. Przypuszczalnie Quance namalował obraz jako urodzinowy prezent dla Dirka Struana od dziewczyny na portrecie -

Mei-mei T'Czung. Dziecko to prawdopodobnie ich syn

- Duncan.

Przebiegł wzrokiem po portretach Dirka i jego przyrodniego brata Robba, amerykańskiego kupca Jeffa Coopera po krajobrazach z Pikiem. Ciekawe, jak by Dirk zareagował, gdyby to wszystko zobaczył.

Budynki, reklamy, prawie centrum świata, świata azjatyckiego, czyli całego.

- Dolać, tai-pan?

- Nie, dziękuję Feng - powiedział do chińskiego barmana. - Samą Perrier.

Obok stał telefon. Wybrał numer.

- Komenda policji - odezwał się damski głos.

- Proszę z nadinspektorem Kwokiem.

- Chwileczkę, sir.

Czekając, Dunross starał się zdecydować coś w sprawie Jacques'a. Niemożliwe, myślał z bólem, potrzebuję pomocy. Wyślę go do Francji po Susanne i Avril, żeby go odizolować na jakiś tydzień. Może porozmawiam z Sindersem, może on już coś wie. Boże, gdyby nie to R.

Alana Medforda, poszedłbym wprost do Crosse'a. Czy on może być Arthurem?

Przypomnij sobie Philby'ego z Ministra Spraw Zagranicznych, pomyślał, Anglik z takim wykształceniem i o takiej pozycji, a zdrajca. Ci pozostali dwaj to samo -



Burgess i Maclean. I Blake. Do jakiego stopnia można wierzyć Medfordowi? Biedaczysko... Czy można ufać Kirkowi?

- Kto prosi nadinspektora Kwoka? - zapytał męski głos w słuchawce.

- Ian Dunross.

- Chwileczkę. - Krótkie oczekiwanie, - Dobry wieczór, tai-pan, mówi Robert Armstrong... Przykro mi, ale Brian nie może rozmawiać. Czy to coś bardzo ważnego?

- Nie, Tylko umówiliśmy się na drinka i się spóźnia.

- A, nic nie mówił. Na pewno boleje z tego powodu.

Kiedy się umówiliście?

- Rano. Dzwonił, żeby poinformować o Johnie Czenie.

Wiadomo coś nowego o tych łajdakach?

- Nie, niestety. Brian musiał wyjechać z miasta, śpieszył się, wiesz, jak to jest.

- Jak, oczywiście. Porozmawiam z nim w niedzielę w górach. Może wcześniej.

Nadal masz zamiar lecieć do Tajwanu?

- Tak. Z Bartlettem. W niedzielę, a wracamy we wtorek. Słyszałem, że możemy wziąć samolot.

- Tak. Pamiętaj, że ma być z powrotem we wtorek.

- Jasne.

- A może ja mogę ci w czymś pomóc?

- Nie, Robert, dziękuję.

- Tai-pan, mamy tu w Hongkongu bardzo nieprzyjemną sprawę, jeszcze jedną. Ale nie chcę cię trapić aż do jutrzejszego spotkania z Sindersem, dobrze?

- Jasne. Brian mówił to samo. Roger też. Dzięki, Robert, dobranoc. - Dunross odłożył słuchawkę. Przypomniał sobie, że ma obstawę z SI. Ten koleś musi być lepsi niż inni, pomyślał, nie zauważyłem go. Co z nim zrobić? U Wu Cztery Palce nie byłby mile widzianym gościem.

- Zaraz wracam - zawołał.

- Dobrze, tai-pan - odparł barman.

Dunross wyszedł do męskiej toalety i dyskretnie się rozejrzał. Nikt go nie obserwował. Gdy się

załatwił, zszedł schodami do hotelowego holu i kupił wieczorne wydanie gazety. Wszędzie było pełno ludzi. Wracając na górę, zauważył spoglądającego na niego znad czasopisma Chińczyka. Pokręcił się trochę w holu. Cały czas czuł

na sobie jego wzrok. Usatysfakcjonowany ruszył schodami do góry.

- O, cześć, Marlowe - powiedział, niemal zderzając się z pisarzem.

- Witaj, tai-pan.

Dunross zauważył zmartwienie na jego twarzy.

- Co się stało? - zapytał przeczuwając kłopoty.

- Nie... Nic. Zupełnie nic.

- Na pewno? - Instynktownie wiedział, że to nieprawda.

Peter Marlowe zawahał się.

-

Chodzi o Fleur. - Opowiedział całą historię.

Dunross zaniepokoił się.

- Stary doktor Tooley jest na pewno dobry. -

Zrelacjonował,

jak

Tooley

naszpikował

ich

antybiotykami.

- A tobie nic nie jest?

- Nie. O mnie nie ma się co martwić, chodzi o Fleur i dziecko. - Marlowe powtórzył słowa doktora Tooleya o żółtaczce.

- Macie *amah*?

- Tak. W hotelu też są świetne warunki i pracowita obsługa.

- Masz czas na drinka?

- Nie, dziękuję, muszę wracać. *Amah...* nie ma dla niej pokoju, a opiekuje się dziewczynkami i muszę ją odwiedzić.

- Wobec tego innym razem. Pozdrów żonę. Jak idzie zbieranie materiałów do książki?

- Dziękuję, dobrze.

- Ile czarnych owiec jeszcze znalazłeś w Hongkongu?

- Żadnych. Sami dobrzy ludzie - odparł ze śmiechem Marlowe. - Podobno Dirk Struan był twardziellem. Wszyscy twierdzą, że ty też i że jesteś lepszy od Gornta. Mają nadzieję, że wygrasz.

Spodobał się Dunrossowi.

- Nie obrazisz się, jeśli zapytam o Changi? - Po twarzy Marlowe'a przemknął cień.

- Zależy.

- Robert Grey mówił, że zajmowałeś się w obozie czarnym rynkiem, razem z amerykańskim kapralem.

Nastąpiła chwila milczenia, twarz Marlowe'a nie zmieniała się.

- Byłem kupcem, a właściwie tłumaczem znajomego, który był kupcem. On faktycznie był amerykańskim kapralem. Uratował mnie i wielu przyjaciółom życie.

Było nas czterech, major, dowódca grupy, plantator kauczuku i ja. On się nazywał Król i istotnie był królem.

Na swój sposób królem Changi. Handel był niezgodny z prawem Japończyków... obozowym prawem.

- Mówisz Japończyków, a nie Japońców, to ciekawe

- odezwał się Dunross. - Po tym horrorze w Changi musisz ich nienawidzić.

Minęła chwila, zanim Marlowe pokręcił przecząco głową.

- Nikogo nie nienawidzę. Nawet Greya. Całą swoją energię i myśli koncentruję na zadowoleniu z tego, że żyję. Dobranoc. - Odwrócił się i odszedł.

- Jeszcze coś - zawołał, podjąwszy szybką decyzję Dunross. - Może przyjdiesz w sobotę do mojej łoży na wyścigi? Na pewno będzie kilku ciekawych ludzi...

Zbierać materiał o Hongkongu można też z klasą, prawda?

- Dziękuję, bardzo dziękuję, ale zaprosił mnie już Donald McBride. Przykro mi, że nie mogę przyjąć zaproszenia na drinka. A co z książką?

- Proszę?

- Co z książką o historii Struanów, którą obiecałeś dać mi do przeczytania?

- A tak, oczywiście. Dałem ją do przepisania - rzekł

Dunross. - Zdaje się, że to jedyny egzemplarz.

Wytrzymasz?

- Tak, jasne. Dziękuję.

- Jeszcze raz pozdrowienia dla Fleur! - Dunross patrzył za nim. Cieszył się, że Marlowe dostrzega różnicę pomiędzy handlem a czarnym rynkiem. Znowu zauważył cały czas obserwującego go znad gazety Chińczyka z SI. Wolno poszedł na górę. Gdy poczuł

się bezpieczny, przyspieszył kroku.

- Feng, na dole stoi dziennikarz, z którym nie chcę się spotkać.

Barman natychmiast podniósł blat kontuaru.

- Z przyjemnością, tai-pan - powiedział z uśmiechem. Nie uwierzył w tę wymówkę. Klienci często korzystali z tylnego wyjścia. Skoro kobiety nie mogły wchodzić do baru, jasne, że czekały przed. Ciekawe, której kobiety nie chce spotkać tai-pan, zastanawiał się obserwując, jak Dunross wymyka się przez awaryjne wyjście.

Na dworze Dunross pośpieszył za róg, zatrzymał

taksówkę i usiadł z tyłu.

- Do Aberdeen - rzucił po kantońsku.

- *Aiii ia*, pomknę jak strzała, tai-pan - zadeklarował

kierowca. - Mogę zapytać o typy na sobotę? Lepiej, żeby padało, czy nie?

- Na Boga, lepiej nie.

- *liii*, a który koń wygra w piątej gonitwie?

- Bogowie nie szepczą mi do ucha. Wielkie Tygrysy przekupujące dżokejów i dające koniom leki też nic nie mówią uczciwym graczom. Ale Mobile Star będzie ostro walczyć.

- Wszystkie będą ostro walczyć - powiedział kwaś-

no. - Ale którego wybiorą bogowie i Wielki Tygrys Szczęśliwej Doliny? A co z Pilot Fish?

- Dobry ogier.

- A Butterscotch Lass? Bankier Kwang potrzebuje szczęścia.

- Tak. Lass też ma szanse.

- Akcje znowu spadły, tai-pan?

- Tak, ale warto kupić Noble House za kwadrans trzecia w piątek.

- Po jakiej cenie?

- Ruszże głową, Czcigodny Bracie. Co to ja jestem Stary Ślepy Tung?

Orlanda i Linc Bartlett tańczyli w przyciemnionym klubie, czuli bliskość swoich ciał. Filipiński zespół grał

łagodną, tkliwą muzykę. Ściany klubu pokryte były lustrami, kelnerzy paradowali we frakach, ich maleńkie latarki

przypominały

światliki.

Dziewczyny

w

wieczorowych sukniach siedziały razem i rozmawiały albo obserwowały tańczących. Od czasu do czasu pojedynczo lub w parach przyłączały się do mężczyzn przy stolikach, a tam żartowały, śmiały się, piły. Po jakimś kwadransie odchodziły. Ich posunięciami dyskretnie kierowała mama-san i jej pomocnicy.

Tutejsza

*mama-san*

była

mało

atrakcyjną

pięćdziesięciolatką z Szanghaju. Była gustownie ubrana. Władza sześcioma językami i odpowiadała za dziewczyny przed właścicielem. Od niej zależał sukces lub porażka biznesu. Dziewczyny słuchały jej bez szemrania. Tak samo jak kelnerzy. Była tu władczynią i zachowywała się stosownie do

pozycji.

Mężczyźni rzadko zabierali dziewczyny na randkę, ale nie było to zabronione. I tak płacili napiwki i za drinki. Po całej kolonii rozrzuconych było wiele takich miejsc rozkoszy. Większość przeznaczona dla turystów i odwiedzających Hongkong w interesach biznesmenów. Wszystkie kluby zadbały, aby nie brakło fordanserek różnych ras. Płaci się za siedzenie z nimi, za rozmowę, za śmiech i za słuchanie. Ceny są różne i zależą od miejsca, cel jest zawsze ten sam. Radość dla gości. Pieniądze dla lokalu.

Linc Bartlett i Orlanda spleceni, kołysali się w rytm melodii. Bardziej się przytulali, niż tańczyli. Orlanda przyłożyła głowę do jego piersi. Jedną dłoń trzymała na jego ramieniu, drugą w jego dłoni. On obejmował ją w talii. Czowała jego ciepło i w takt muzyki przytuliła się jeszcze bardziej.

Czy załatwię z nim wszystko już dzisiaj? - ciągle jej chodziło po głowie to pytanie. Byłoby wspaniale. Och, jak bardzo bym chciała...

Za gorąco, pomyślała i cofnęła się.

Bartlett zauważył, że się od niego odsuwa. Pod dłonią czuł przebijające przez szyfon ciało. Jezu!

- Usiądźmy na moment - zaproponowała ze ściśniętym gardłem.

- Jak się skończy taniec - szepnął.

- Nie, Linc, padam z nóg. - Objęła go obiema rękami i oparła się trochę. Uśmiechnęła się. - Chyba upadnę. Chcesz, żebym upadła?

- Nie upadniesz. Nie ma mowy.

- Proszę cię...

- Chcesz, żebym upadł?

Wygięła się ze śmiechem, a ruch jej ciała przyprawił

go o dreszcze. Spokojnie, pomyślał. Jezu, tylko spokojnie.

Tańczyli jeszcze chwilę oddaleni od siebie, potem wrócili do stolika. Usiedli na sofie. Stykali się nogami.

- Jeszcze raz to samo? - zapytał kelner.

- Ja już nie chcę, Linc - powiedziała. Najchętniej skłęłaby kelnera za zepsucie nastroju.

- Może *cremę de menthe*? - zaproponował Bartlett.

- Nie, naprawdę dziękuję. Ty się napij. Odprawili kelnera.

Bartlett miał ochotę na piwo, ale nie chciał, żeby potem czuć było jego oddech, a co najważniejsze nie zamierzał

psuć sobie smaku po wyśmienitym posiłku. Spaghetti było doskonałe,

cielęcina

delikatna

i

soczysta,

a

winnocytrynowy sos pieścił podniebienie. *Zabaglione* Orlanda zrobiła na jego oczach. I do tego jej czar, promieniujące ciepło i... zapach perfum.

-

Najwspanialszy wieczór, jaki miałem od lat.

Podniosła kieliszek.

- Za więcej takich - rzekła. Tak, będzie więcej, jeśli się pobierzemy albo przynajmniej zaręczymy. Szybki jesteś, Linc, bardzo szybki. - Cieszę się, że dobrze się bawisz.

Mnie też jest dobrze. Tak, bardzo. - Zauważyła, że spojrzał za mijającą ich hostessą z dużym rozcięciem w spódnicy. Była piękna, miała dwadzieścia lat, dołączyła do grupy japońskich biznesmenów siedzących w kącie z innymi dziewczynami. Orlanda przyglądała się, jak Bartlett taksuje je wzrokiem. W jednej chwili miała jasność.

- Każdą można wynająć? - zapytał odruchowo.

- Do łóżka?

Serce mu zamarło i spojrzał na nią z uwagą. - Tak, chyba o to mi chodziło - powiedział.

- Odpowiedź brzmi i tak, i nie. - Lekko się uśmiechała i mówiła spokojnym, miękkim głosem. - Jak większość rzeczy w Azji, Linc. Nic ani zupełnie tak, ani zupełnie nie.

Zawsze być może. To zależy od hostessy, od mężczyzny, od jego pieniędzy i od wysokości jej długu.

-

Uśmiechnęła się szerzej. - Mogłabym poradzić ci, jak się do tego zabrać, a takiego silnego i dużego

mężczyznę jak ty interesują wszystkie piękne kobiety, *heya?*

- Daj spokój, Orlanda - przerwał jej ze śmiechem.

Widziałam, że zwróciłeś na nią uwagę. Nie mam ci tego za złe, jest cudowna - powiedziała, zazdroszcząc dziewczynie młodości. Ale nie życia.

- Co mówiłaś o długu?

- Gdy dziewczyna pierwszy raz przychodzi do pracy, musi wyglądać pięknie. Ubrania kosztują, fryzjer kosztuje, a do tego pończochy, makijaż, więc mama-san, kobieta, która się opiekuje dziewczynami, albo właściciel lokalu kupują dziewczynie wszystko na kredyt.

Oczywiście na początku dziewczyny są młodziutkie, świeże jak letnia rosa poranna, ale i bez troskie, więc kupują i kupują, ile się da. Większość z nich przeważnie nie ma nic prócz siebie, chyba że któraś była hostessą w innym klubie. Gdy spłaca dług, naturalnie zmieniają lokal. Czasami właściciel drugiego lokalu spłaca dług dziewczyny i zabiera ją do siebie razem z jej klientami.

Wiele hostess cieszy się dużą popularnością i wzięciem.

Mogą wiele zarobić, jeśli umieją tańczyć, znają sztukę konwersacji i kilka języków.

- Duże są te długi?

- Bardzo. Im później, tym trudniej je spłacić, a do tego traci się młodość, powab i piękny wygląd. Właściciele liczą sobie przynajmniej dwadzieścia procent odsetek. W

pierwszych miesiącach dziewczyna zarabia tyle, że prawie może spłacić dług. Prawie, ale nigdy do końca. - Cień przemknął po jej twarzy. - Odsetki rosną, długi rosną. Nie wszyscy właściciele są cierpliwi. Dziewczyny muszą szukać innych źródeł zarobku, czasami zapożyczają się w lombardzie, żeby spłacić szefa. Rozpaczliwie szukają pomocy. Wtedy pewnej nocy mama-san wskazuje jakiegoś mężczyznę i mówi: „Ten pan chce cię wykupić”.

I dziewcz...

- Co to znaczy „chce cię wykupić”?

- A, to taki zwyczaj z nocnych klubów. Wszystkie dziewczyny muszą zjawiać się punktualnie, powiedzmy o ósmej, kiedy lokal zostaje otwarty. Obowiązane są zostawać do pierwszej w nocy albo będzie po nich. To samo, jeśli nie przyjdą, spóźnią się, nie wyglądają atrakcyjnie lub nie są miłe dla gości. Gdy mężczyzna chce na, powiedzmy, kolację zabrać dziewczynę albo nawet dwie, żeby zrobić wrażenie, wtedy wykupuje ją z klubu.

Cena zależy od tego, ile czasu zostało do zamknięcia.

Nie wiem, ile dostaje dziewczyna, ale ze trzydzieści procent. Jednak co zarobi poza klubem, należy do niej. Chyba że w jej imieniu negocjowała mama-san.



Wtedy zapłata idzie dla lokalu.

- Zawsze jest zapłata?

- Tu chodzi o zachowanie twarzy, Linc. W tym miejscu, a to jedno z najlepszych, wykupienie dziewczyny

kosztuje

osiemdziesiąt

dolarów

hongkongijskich, jakieś szesnaście amerykańskich.

- Jo niewiele - wyrwało mu się.

- Niewiele dla milionera, mój drogi. Ale dla tysięcy miejscowych osiemdziesiąt dolarów oznacza tygodnio-wy koszt utrzymania rodziny.

Bartlett patrzył na nią, cały czas o niej myślał, pragnął jej, cieszył się, że nie musi jej wykupować.

Cholera, to byłoby straszne. A może nie? - przeleciało mu przez głowę. Przepuściłbym kilka dolców i mógł

spakować manatki i odejść kiedy chcę. Czy o to mi chodzi?

- Słucham?

- Nic, myślałem właśnie, że paskudne życie mają te dziewczyny.

- O, nie paskudne, wcale nie paskudne - zapewniła, z udawaną szczerością. - To pewnie najpiękniejszy okres w ich życiu. Po pierwsze, nigdy nie będą już mogły się tak pięknie ubierać ani nie będą podziwiane, ani też nikt się nie będzie nimi opiekował. Jaką jeszcze pracę może dostać dziewczyna bez wyższego wykształcenia? Sekretarki, jeśli dopisuje jej szczęście, albo w fabryce, dwanaście do czternastu godzin dziennie za dziesięć, dolarów hongkongijskich.

Powinieneś kiedyś wejść do fabryki i zobaczyć warunki. Zabiorę cię. Dobrze? Musisz na własne oczy się przekonać, jak ludzie pracują, wtedy wiele zrozumiesz. Z przyjemnością będę przewodnikiem.

Skoro tu zostajesz, powinieneś wszystko zobaczyć i wszystkiego doświadczyć. Nie, one uważają się za szczęściary. Przynajmniej przez ten krótki okres w życiu dobrze jedzą, i piją i dużo się śmieją.

Nie płaczą?

- Płaczą, ale to u wszystkich dziewczyn naturalne.

- Dla ciebie nie.

Westchnęła i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Zdarza mi się. Ale przy tobie zapominam o łzach.

- Nagły wybuch śmiechu spowodował, że podnieśli głowy.

Czterech

japońskich

biznesmenów

naśmiewało się ze swoich towarzyszek przy stole, sześciu dziewczyn.

Cieszę się... że nie muszę służyć Japończykom -

westchnęła. - Błogosławię za to mój *dżos*. Ale oni najwięcej wydają, Linc, o wiele więcej niż inni turyści.

Więcej nawet niż szanghajczycy, są więc najlepiej obsługiwani, chociaż otacza ich zgodna nienawiść i oni o tym doskonale wiedzą. Zdaje się, że nie przeszkadza im, że nie kupują nic innego tylko fałsz.

Chyba mają tego świadomość, są inteligentni, nawet bardzo. Oczywiście cechuje ich inne podejście do miłości i do Dam Nocy. - Znow wybuch śmiechu. -

Chińczycy nazywają ich po mandaryńsku *lang syin gou fei*. Dosłownie: „wilcze serce i psie płuca", co oznacza człowieka bez sumienia.

Linc zmarszczył czoło.

- Ależ to określenie nie ma najmniejszego sensu!

- A właśnie, że tak. Widzisz, chińscy kucharze przyrządzają i jedzą każdą część ryby i innego zwierzęcia oprócz wilczego serca i psich płuc. Te dwa organy nie tracą swego zapachu, choćby nie wiem, co z nimi robić.

-Obejrzała się na sąsiedni stół. - Dla Chińczyka Japończyk to *lang syin gou fei*. Tak samo pieniądze.

One

również nie mają sumienia. - Jej oczy nabrały dziwnego

blasku. Napiła się likieru. - W dzisiejszych czasach nierzadko mama-san i właściciel lokalu daje dziewczynom zaliczki na naukę japońskiego. Aby się bawić, trzeba się komunikować, no nie?

Inna grupa dziewczyn przechodziła przez salę.

Orlanda zauważyła że patrzą najpierw na Bartletta, a potem na nią. Wiedziała, że nienawidzą jej za to, że jest Euroazjatką, i za to, że siedzi z *quai loh*.

Zajęły miejsca przy stoliku. Do klubu schodziło się coraz więcej ludzi.

- Którą chcesz? – zapytała.

-

Co?

Roześmiała się, widząc, że jest zdezorientowany i zaskoczony.

- Daj spokój, Linc, widziałam, jak je pożerasz wzrokiem.

Przestań, Orlanda - poprosił, czując się niezręcznie.

- Trudno tu na coś nie patrzeć.

- Oczywiście, dlatego to zaproponowałam - odparła, zmuszając się do utrzymania uśmiechu. Położyła mu rękę na kolanie. - Wybrałam to miejsce żebyś mógł

nacieszyć oczy. - Strzeliła palcami. W jednej chwili pojawił się przy nich szef sali i przyklęknął przy ich niskim stoliku. - Kartę, proszę - powiedziała po szanghajsku.

Natychmiast wyciągnął coś w rodzaju albumu. -

Zostaw latarkę. Zawołam, jak będzie trzeba.

Mężczyzna odszedł. Orlanda jak konspiratorka przysunęła się do Linca. Dotykali się nogami. Linc objął

ją ramieniem. Skierowała światło na album. Zawierał

około trzydziestu portretów dziewczyn. Pod każdym zdjęciem widniał chiński podpis. - Nie wszystkie dziewczyny muszą być na sali, ale jak któraś ci się spodoba, sprowadzą ją.

Patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej, Linc. Nie masz się co martwić, ja za ciebie będę się targować. Jeśli ci się spodoba po rozmowie.

Nie chcę ich, chcę ciebie.

- Tak, wiem, kochanie... ale nie dzisiaj w nocy.

Pobawmy się, ja ci zorganizuję noc.

- Jezu, kim ty jesteś?

- Wiem, że ty jesteś cudownym mężczyzną, i chcę, żebyś miał piękną noc. Ja ci się teraz nie mogę oddać, chociaż też tego pragnę, więc musimy zapewnić jakiś substytut. Co ty na to?

Bartlett nie spuszczał z niej oka. Dopił drinka. Nie wiadomo skąd pojawił się następny. Wypił do połowy.

Orlanda zdawała sobie sprawę z tego, co robi. Tak czy inaczej, zbliży Bartletta do siebie. Jeśli przyjmie jej propozycję, będzie jej wdzięczny za wspaiałą noc, za noc, której nie dałaby mu ani Casey, ani żadna kobieta *quai loh*. Jeśli odmówi, zaimponuje mu jej szczerłość.

- Linc, tu jest Azja. Tu seks to nie anglosaskie figo fago,

a potem poczucie winy. Tutaj to moment rozkoszy, wspomnienie i nic więcej. Czym innym może być noc z którąś z tych Dam Rozkoszy dla prawdziwego mężczyzny? Jak to się ma do prawdziwej miłości? Ja nie

jestem do wynajęcia na jedną noc. Ale czuję twą *yang*...

Nie, Linc, proszę - powstrzymała go, gdy chciał ją przytulić. - *Yin* i *yang* nigdy nie kłamią. Czuję *yang* u ciebie i bardzo się cieszę. A ty mnie nie czujesz? Ty jesteś silnym mężczyzną, *yang*, a ja kobietą, *yin*, a gdy gra tkliwa muzyka... Och, Linc! - Położyła swoją dłoń na jego i popatrzyła prosząco. - Błagam cię, nie pozwól,

aby zawładnęły tobą anglo-amerykańskie uprzedzenia.

Tu jest Azja i chcę być dla ciebie wszystkim, czym może

być kobieta,

- Jezu, ty naprawdę chcesz tak zrobić?

- Oczywiście: Na Madonnę, być uosobieniem wszystkiego, czego można w kobiecie pożądać.

Wszystkim. I przysięgam, że gdy osiągnę twój wiek, a ty nie będziesz już mnie pragnął, jawnie i swobodnie pomogę ci zorganizować tę część życia w taki sposób, abyś był zadowolony. Ja chcę być tylko *tai-tai*, częścią twego życia.

- Pocałowała go lekko. Zobaczyła w nim nagłą zmianę.

Ujrzała bezbronność i wiedziała, że wygrała. Niemalże krzyknęła z radości. Och, Quillan, jesteś geniuszem.

Nigdy nie wierzyłam, nigdy naprawdę nie wierzyłam w to, że twoje sugestie są tak trafne i tak szybko przyniosą pożądany efekt! Nie sądziłam, że jesteś aż tak

mądry. Dziękuję ci, dziękuję!

Niczego jednak po sobie nie pokazała i cierpliwie czekała bez ruchu.

-

Co znaczy *tai-tai*? - zapytał ze ściśniętym gardłem.

*Tai-tai* znaczy „najważniejsza z najważniejszych”

- żona. Zgodnie ze starym chińskim zwyczajem ona w domu była najważniejsza i wszechmocna.

-

Być częścią twojego życia - wyjaśniła łagodnie.

Znów czekała. Bartlett nachylił się i poczuła na swoich wargach jego usta. Całował ją zupełnie inaczej i zrozumiała, że ich stosunki od dzisiaj wkroczyły w całkowicie inną fazę. Rosło w niej napięcie.

- I co - przerwała milczenie. - Którą wybrałeś?

- Ciebie.

- A ja ciebie, ale na razie musimy postanowić, którą chcesz na dzisiaj. Jeśli nie podoba ci się żadna, możemy

zmienić lokal. - Celowo mówiła rzeczowym tonem.

- Może ta? - Wskazała na prześliczną dziewczynę.

Orlandzie zupełnie się nie spodobała, ale przecież ten biedak też ma coś do powiedzenia, pomyślała. Och, jaką

bym była dla niego wspaniałą żoną! - Tu jest napisane, że to Lily Tee... każda z dziewcząt wybiera sobie pseudonim zawodowy... ma dwadzieścia lat, pochodzi z Szanghaju. Mówi po szanghajsku i kantońsku, a jej hobby to taniec, żeglarstwo i... - nachyliła się, a on obserwował cudownie wygiętą szyję - ...zabawa w chowanego. Co o niej sądzisz?

Spojrzał na zdjęcie.

- Słuchaj, Orlando, nie byłem na dziwkach od wielu lat. Ostatni raz w wojsku. I naprawdę niezbyt mi się podobało.

- Rozumiem cię i masz rację - przemawiała cierpliwie. - Ale to nie są dziwki w amerykańskim znaczeniu.

Nie

ma

w

nich

nic

wulgarnego

ani

nieprzyzwoitego. Tak samo jak w mojej propozycji.

Damy Rozkoszy oferują ci swoją młodość mającą wielką wartość w zamian za pieniądze, które zbyt wielkiej wartości nie mają. Jeśli wymiana jest uczciwa, nikt nie traci twarzy. Na przykład powinieneś od razu wiedzieć, ile dziewczyna ma dostać, ale nie dawać jej do ręki, tylko włożyć do torebki. To ważne, a dla mnie istotne, żeby twoje pierwsze spotkanie wypadło idealnie. Muszę bronić twojej twarzy...

- Daj spokój, Orlan...

Mówię poważnie, Linc. Ten wybór to mój prezent i nie ma nic wspólnego z tym, co się dzieje między nami. A *dżos* rozsądzi, co się dzieje. Dla mnie ważne, żebyś cieszył się z życia, i poczuł, czym jest Azja.

Czym jest naprawdę, a nie za co uważają ją Amerykanie. Tak?

Bartlett był zakłopotany. Nie wiedział, jak postąpić z tą fascynującą, a zarazem zadziwiającą kobietą.

Był pijany jej ciepłem i delikatnością. Wierzył jej całym sercem.

Potem nagle drugie ja nakazało mu ostrożność.

Euforia minęła. Przypomniawszy sobie, komu napomknął o włoskich potrawach. Gorntowi. Kilka dni temu. Jezu, czyżby tych dwoje było w zмовie? Niemożliwe, po prostu niemożliwe. Chyba jej też o tym mówiłem?

Szukał w pamięci, ale nie mógł sobie dokładnie przypomnieć. Widział, jak wpatruje się w niego z uśmiechem i miłością. Gornt i Orlanda? Nie do wiary, aby razem spiskowali! Wysoce nieprawdopodobne.

Mimo to zachowaj ostrożność. Prawie nic o niej nie wiesz, więc uważaj, na litość boską, wpadłeś w sieć, w jej sieć. A może to także sieć Gornta?

Wypróbuj Orlandę, powiedział mu jego demon.

Sprawdź. Jeśli myśli, tak jak mówi, coś tu nie gra, a ona pochodzi chyba z innej planety. Muszę się zdecydować.

Wystaw ją na próbę, póki jest szansa. Nie masz nic do stracenia.

- I co? - zapytała. Wyczuła, że dokonała się w nim zmianą.

- Zastanawiałem się nad twoimi słowami. Mam teraz wybrać?

23:35

Suslew siedział po ciemku w „bezpiecznym domu” w Sinclair Towers. Z powodu spotkania z Greyem umówił

się tutaj z Arthurem.

Napił się drinka. Obok niego na stoliku stała butelka wódki, dwa kieliszki i telefon. Serce mocno mu waliło jak zawsze, gdy czekał na tajne spotkanie. Czy ja już nigdy się do nich nie przyzwyczaję? - głowił się. Nie. Dzisiaj jestem zmęczony, ale wszystko poszło wspaniale. Grey znów został zaprogramowany. Biedny głupiec, targają nim zazdrość i nienawiść. Centrum musi zwrócić na niego uwagę liderowi Brytyjskiej Partii Komunistycznej. Trzeba też baczniej przyjrzeć się Trawkinowi - kiedyś był co prawda księciem, ale teraz to zero. I Jacques'owi deVille'owi i innym.

Nie przejmuj się! Wszystko przygotowane na jutrzejszy przyjazd Sindera. Suslew mimowolnie wzdrygnął się.

Nie chciałbym zostać przez nich złapany. MI-6 jest niebezpieczny, skupia naszych fanatycznych wrogów, podobnie jak CIA, ale o wiele zacieklejszych. Gdyby powiódł się plan CIA i MI-6 pod kryptonimem Anubis, plan połączenia sił Japoni, Chin, Kanady i Ameryki, matuszka Rossija zostałaby zrujnowana na zawsze. O, mój biedny kraj. Jakże ja tęsknię za piękną, łagodną, zieloną Gruzją!

Powracała do niego piosenka ludowa, którą słyszał w dzieciństwie. Myśl o tak odległej, cudownej krainie rozrzewniła go. Otarł łzę z oka. Rozchmurz się, wkrótce skończy się twoja służba. Wrócisz do domu - pokrzepił

się. W tym samym czasie mój syn wróci z Waszyngtonu z młodą żoną i dzieckiem urodzonym w Ameryce.

Rozsądnie, nie będzie problemów z paszportem dla niego. To już czwarte pokolenie na służbie. Jesteśmy przewidujący.

Ciemność zaczęła go przygnębiać. Na żądanie Arthura zamknął okna i zasunął zasłony, aby nie było żadnej możliwości zobaczenia ich. W mieszkaniu była klimatyzacja, ale poproszono go, aby jej nie włączał, to samo ze światłem. Wyszedł od Finnów przed Greyem w razie, gdyby SI zmienił zamiar. Crosse zapewniał, że nikt nie został przydzielony do obstawy parlamentarzystów, ale to się mogło zmienić.

Złapał taksówkę i zatrzymał się przy Golden Ferry, żeby kupić gazetę. Na wypadek, gdyby był obserwowany, udawał lekko podpitego. Poszedł do Rose Court do Clinkera, a potem przez tunel, aż dotarł tutaj. Przed Rose Court stał człowiek z SI. Być może jeszcze tam tkwi, ale to nie ma znaczenia.

Zadzwonił telefon. Podskoczył, mimo że dźwięk był



stonowany. Trzy sygnały i cisza. Serce mocniej mu zbiło. Arthur przybędzie wkrótce.

Dotknął pistoletu ukrytego za kanapą. Miał go na rozkaz Centrum. Na jedyny rozkaz, którego nie popierał.

Sam nie lubił pistoletów. Z bronią można popełnić błąd, z trucizną nie. Dotknął palcami malutkiej kapsułki ukrytej w klapie, aby można ją było szybko włożyć do ust. Jak wyglądałoby życie bez możliwości zadania sobie gwałtownej śmierci?

Zrelaksował się całkowicie, jego zmysły działały jak radar. Chciał wyczuć obecność Arthura, zanim on się zjawi. Wejście od przodu czy od tyłu?

Z miejsca, w którym siedział, widział dwoje drzwi.

Natęzał słuch, lekko otworzył usta. Zgrzyt windy. Spojrzał

na frontowe drzwi, ale winda zatrzymała się na niższym piętrze. Czekał. Zanim usłyszał czy zobaczył cokolwiek, otworzyły się tylne drzwi. Poczł skurcz w żołądku, gdy nie mógł w ciemności zidentyfikować czarnej sylwetki.

Przez chwilę był jak sparaliżowany. Potem kształt wyciągnął rękę i odrętwienie minęło.

- *Christos!* - mruknął Suslew. - Przestraszyliście mnie.

- Taka służba, staruszkę - słowa wypowiedane miękkim głosem przerywane były suchymi kasznięciami. - Jesteście sami?

- Oczywiście.

Ciemny kształt bezgłośnie przeszedł do salonu.

Suslew puścił kolbę pistoletu, ale miał go w zasięgu ręki. Wstał i podał przyjaźnie dłoń.

-

Pierwszy raz się nie spóźniliście.

Uścisnęli sobie ręce. Jason Plumm nie zdejmował rękawiczki.

- Niewiele brakowało, a wcale bym nie przyjechał -

powiedział z lekkim uśmiechem.

- Co się stało? - zapytał Rosjanin. - I po co te zamknięte i zasłonięte okna?

- Wydaje mi się, że to miejsce może się znajdować pod obserwacją.

- Proszę?

Dlaczego wcześniej o tym nie

wspomnieliście?

- Powiedziałem „wydaje mi się”. Nie jestem pewien.

Wiele było problemów ze zorganizowaniem tego

„bezpiecznego domu” i nie chcę, żeby z jakiegoś powodu został spalony. - Wysoki Anglik mówił niemal z gniewem. - Posłuchajcie, towarzyszu, wszystko wali nam się na głowę. SI złapał faceta o nazwisku Metkin.

Z waszego statku. On...

- Co takiego? - Suslew udawał, że jest wstrząśnięty.

- Metkina złapali. Jest podejrzany o polityczne...

- Ale to niemożliwe! - Suslew cedził słowa ukrywając zadowolenie z wpadki Metkina. - On by się nigdy nie dał złapać.

- A jednak SI go ma! Armstrong dorwał jego i Amerykanina z lotniskowca. Przyłapani na gorącym uczynku. Metkin wiedział coś o Sevrin?

- Nie, zupełnie nic.

- Na pewno?

- Tak. Nawet ja nie miałem najmniejszego pojęcia, dopóki Centrum nie kazało mi przejąć spraw po Worańskim - rzekł Suslew przeinaczając prawdę.

- Na pewno? Roger prawie podskoczył do samego sufitu. Metkin jest u was komisarzem politycznym i prawdopodobnie majorem KGB, czy tak?

- Tak, ale to śmieszne...

- Dlaczego, do diabła, nie uprzedziliście nas o operacji? Przygotowalibyśmy się na okoliczność wpadki. Ja jestem szefem Sevrin, a wy działacie tu bez mojej pomocy, a nawet zgody? Worański zawsze mnie uprzedzał.

- Ależ, towarzyszu - mówił pojednawczo Suslew. -

Nie wiedziałem nic o operacji. Metkin ma, czego chciał. On jest najstarszy rangą na statku i on jest szefem. Ja nie jestem o wszystkim informowany i wy to wiecie! - Suslew ukrywał swoje stanowisko koordynatora Sevrin. - Nie wiem, co opętało Metkina, że działał na własną rękę. To głupota! Musiał

zwariować! Dzięki Bogu ma w klapie truciznę, więc...

- Złapali go żywego.

Suslew otworzył usta ze zdziwienia. Teraz naprawdę był to dla niego szok. Spodziewał się, że Metkin już dawno nie żyje.

- Na pewno?

- Na pewno. Znają jego prawdziwe nazwisko, stopień i numer, a teraz właśnie go odstawiają do Londynu pod obstawą RAF.

Suslew przez chwilę czuł kompletną pustkę w głowie. Z rozmysłem wysłał Metkina, aby odebrał informacje od Amerykanina. Od kilku miesięcy wiedział, że Metkin odnosi się do niego krytycznie, a więc jest niebezpieczny. W minionym roku trzykrotnie przechwycił prywatne raporty od swojego zastępcy do Centrum, wytykające jego sposób zarządzania statkiem, sposób wykonywania . pracy i skargę na związek z Ginny Fu. Suslew nie wątpił, że Metkin przygotowywał na niego sidła, może nawet chciał

doprowadzić do całkowitego wyeliminowania swego przeciwnika poprzez zasugerowanie Centrum, że z pokładu „Iwanowa” jest jakiś przeciek i że pewnością ma w tym udział Suslew.

Zadrzał. Ani Metkinowi, ani Centrum, ani innym niepotrzebne są dowody. Wystarczą podejrzenia, aby być skończonym.

- I wiadomo, że żyje? - zapytał zastanawiając się, jak pozbyć się tego kłopotu.

- Tak. Macie pewność, że nic nie wie o Sevrin?

- Przecież już mówiłem. Tylko wy znacie wszystkich członków Sevrin. Nie zna ich nawet Crosse, prawda?

- Tak. - Plumm podszedł do lodówki i wyjął butelkę wody. Suslew nalał sobie wódki, cieszył się, że Sevrin ma tyle różnych zabezpieczeń. Plumm nie zdawał

sobie sprawy, że Crosse jest informatorem KGB...

Tylko Crosse wiedział o prawdziwej pozycji Suslewa w Azji, jednak ani Crosse, ani Plumm nie mieli pojęcia o jego długoletnich powiązaniach z deVille'em...

pozostali członkowie nie znali się nawzajem... a nikt nie był świadom znaczenia Banastasio, broni ani prawdziwych wpływów Rosjan na Dalekim Wschodzie.

Jeden trybik w drugim i kolejny. Teraz jeden zepsuty wypadł na zawsze. Łatwo było pozbyć się Metkina i zapewnić sobie awans.

- Zaskoczyło mnie, że złapali Metkina żywego -

rzekł zgodnie z prawdą.

- Roger opowiadał mi, że złapali go i unieruchomili, zanim mógł sięgnąć do kłapy po kapsułkę.

- Mają przeciwko niemu jakiś dowód?

- Tego Roger nie mówił. Musiał działać w pośpiechu. Doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie jak najprędzej wywieźć Metkina z Hongkongu. Ma bardzo wysoki stopień, przestraszyliśmy się, że wie o nas.

Bezpieczniej będzie, jeśli znajdzie się w Londynie -

mówił poważnym tonem Plumm.

- Crosse decyduje w sprawie Metkina?

- Chyba tak. - Plumm napił się wody.

Jak SI dowiedział się o tej operacji? - Suslew chciał

sprawdzić, ile Plumm wie. - Na moim statku musi być zdrajca.

- Nie. Roger twierdzi, że przeciek pochodził od informatora MI-6 z pokładu lotniskowca. Nawet CIA nie wiedziała.

- Chryste! Po co, do diabła, Roger wykazywał się taką skutecznością?

- To nie on, to Armstrong. Ale skoro Metkin nic nie wie, nic się nie stało.

Suslew wyczuwał podejrzliwość Anglika. Jason nie dawał po sobie niczego poznać, miał przez cały czas kamienny wyraz twarzy. Plumm nie jest głupi. Miał

protekcję samego Philby'ego.

- Z pewnością nie wie nic, co by nam mogło zaszkodzić.

Mimo

to

trzeba

natychmiast

poinformować Centrum. Oni muszą się tym zająć.

- Już to zrobiłem. Prosiłem o pomoc.

- Dobrze - rzekł Suslew. - Dobra robota, towarzyszu. Pozyskanie Crosse'a dla sprawy było naprawdę doskonałym posunięciem. Muszę wam jeszcze raz pogratulować. - Suslew mówił szczerze.

Crosse był zawodowcem, a nie amatorem jak Plumm i inni z Sevrin.

- Może ja pozyskałem jego, a może on mnie.

Czasami nie mam pewności - rzekł w zamyśleniu Plumm.

-

A wracając do was, towarzyszu.

Worańskiego znałem, kontaktowaliśmy się od lat. A wy jesteście nowi.

- Tak. Musi wam być trudno.

- Nie wyglądacie na zbyt zmartwionego stratą przelozonego.

- Bo nie jestem. Muszę to przyznać. Szaleństwem ze strony Metkina było narażanie się na takie niebezpieczeństwo. To całkowicie wbrew rozkazom.

Szczerze mówiąc... Wydaje mi się, że na „Iwanowie”

był jakiś przeciek. A Metkin, nie licząc Worańskiego, był członkiem załogi z najdłuższym stażem i mógł

schodzić na ląd. Pozostawał poza wszelkimi podejrzewaniem, ale nigdy nic nie wiadomo. Może popełniał inne błędy, na przykład za dużo mówił w barze.

- Boże, chroń nas przed zdrajcami i głupcami.

Skąd

Medford czerpał informacje?

- Nie wiemy. Gdy tylko wpadniemy na trop, przeciek zostanie zlikwidowany.

- Będziecie zastępować Worańskiego na stałe?

- Nie wiem. Nie powiedziano mi.

- Nie lubię zmian. Są niebezpieczne. Kto go zabił?

- Trzeba

zapytać Crosse'a. Sam chciałbym

wiedzieć. - Suslew uważnie obserwował Plumma. Nie dostrzegł objawów powątpiewania. - Co z Sindersem i dokumentami Medforda?"

- Wszystkim się zajmuje Robert. Nie ma obaw. On gwarantuje, że będziemy mieli do nich wgląd. Jutro dostaniecie kopię. - Plumm spojrział na Suslewa. - A co, jeśli tam są wymienione nasze nazwiska?

- Niemożliwe! Dunross wygadałby natychmiast Crosse'owi albo któremuś z przyjaciół w policji, na przykład Czop Suejowi Kwokowi. A jeśli nie jemu, to gubernatorowi. A dzięki temu automatycznie informacja trafiłaby do Rogera. Wszyscy jesteście bezpieczni..

- Może tak, a może nie - Plumm podszedł do okna i spojrział na niebo. - Nic nie jest do końca bezpieczne.

Weźmy Jacques'a. Bardzo teraz ryzykuje. Nigdy nie zostanie tai-panem.

Suslew zmarszczył brwi, a potem zrobił taką minę, jakby mu wpadła do głowy nagła myśl.

- A może wysłać go gdzieś z Hongkongu?

Zaproponujcie

Jacques'owi,

żeby

poprosił

o

przeniesienie do... powiedzmy, Kanady. Pretekstem może

być

ostatnia

tragedia. W Kanadzie jest nieznany i zniknie w tłumie.

Prawda?

— Świetny pomysł. Tak, tak będzie dobrze. Ma wiele kontaktów, które mogą się przydać. - Plumm pokiwał

głową. - Byłbym o wiele bardziej zadowolony, gdybym przeczytał pisma Medforda. A jeszcze bardziej będę szczęśliwy, gdy dowiemy się, skąd on o nas wiedział.

- On wiedział o Sevrin, nie o was. Posłuchajcie, towarzyszu.

Zapewniam

was,

że

możecie

kontynuować wasze cenne dzieło. Róbcie, co się da, żeby pogłębić bankowy kryzys i krach na giełdzie.

Nie ma obaw. Wszyscy wiemy, co się stanie. Nagle zadzwonił telefon. Obydwaj zwrócili głowy w jego stronę. Tylko jeden sygnał. Niebezpieczeństwo, zahuczało im w głowach. Suslew zabrał pistolet pamiętając, że są na nim odciski palców, i pośpieszył

do kuchni i tylnych drzwi. Wyważył je i puścił przodem Plumma. W tym samym momencie usłyszał kroki powoli zbliżające się do drzwi wejściowych i walenie.

Po cichu zamknął za sobą tylne drzwi. Znów walenie.

Zaglądał przez szparę. Drzwi frontowe były zamknięte na klucz. Nagle puściły i w padającym z korytarza świetle Suslew zobaczył sylwetki czterech mężczyzn.

Rzucił się do ucieczki. Plumm zbiegał kilka schodów niżej. Suslew pędził za nim z pistoletem w rękę.

Dobiegły ich kroki z dołu. Plumm zatrzymał się przy kracie w ścianie. Usłyszeli hałas z góry od tylnego wejścia do mieszkania. Plumm wyciągnął kratę i wśliznąwszy przez otwór zniknął w ciemności. Suslew podążył za nim zamykając za sobą kratę. Plumm zdążył już znaleźć latarki wiszące tu na wszelki wypadek. Odgłosy kroków zbliżały się. Plumm ostrożnie ruszył na dół. Obydwaj nie wypowiedzieli ani jednego słowa. Doleciały ich jakieś głosy, ale na tyle stłumione, że trudno było rozpoznać język.

Spieszyli się; ale zachowywali ostrożność. Nie chcieli wywołać żadnego hałasu. Wkrótce byli przy tajnym wyjściu. Bez wahania podnieśli klapę i znaleźli się w chłodnym, wilgotnym kanale. Gdy czuli się już bezpieczni, zatrzymali się, żeby odsapnąć. Serca waliły im jak oszałałe.

- Kuomintang? - zapytał Suslew, gdy już mogli rozmawiać.

Plumm wzruszył ramionami. Otarł pot z czoła. Nad ich głowami przejechał samochód. Plumm kierował

światło na mokry sufit. Zobaczyli pełno dziur i wyrw.

Woda na podłodze przykrywała ich buty.

- Lepiej się rozejdźmy - powiedział łagodnie do Suslewa, który zauważył, że Plumm, choć mówi z kamiennym spokojem, cały aż się spocił. - Natychmiast zapytam Rogera o ten nalot.

Suslew trochę ochłonął. Zauważył jednak, że nadal ma trudności z mówieniem.

- Gdzie się jutro spotkamy?

- Dam wam znać - odparł sztywno Anglik. - Najpierw Worański, potem Metkin, teraz my. Za dużo przecieków.

I za często. Może wasz Metkin wiedział więcej, niż sądzicie?

- Nie. Powtarzam, że nic nie wiedział o Sevrin, ani o tym mieszkaniu, ani o Clinkerze, ani o tunelu. W to wtajemniczony był tylko Worański i ja. Nikt więcej.

Przeciek nie mógł powstać u nas.

- Oby to była prawda. Tak czy inaczej dowiemy się.

Roger wykryje, kto jest zdrajcą.

- Też bym chciał go dorwać.

- Dzwoncie do mnie jutro co pół godziny od wpół do ósmej rano.

- Dobrze. Gdyby coś się stało, od jedenastej będę w mieszkaniu Ginny Fu. I jeszcze jedna rzecz. Jeśli nie będziemy mieć szansy na przeczytanie dokumentów Medforda, jakie jest wasze zdanie o Dunrossie?

- Ma niewiarygodną pamięć.

- A więc warto zabrać go na przesłuchanie za pomocą metody chemicznej?

- Czemu nie?

- Dobrze, towarzyszu, wszystko przygotuję.

- Nie. My go złapiemy i dostarczymy. Na „Iwanowa”?

Suslew skinął głową i opowiedział o propozycji Metkina, żeby zrzucić winę na Wilkołaki, nie mówił tylko, że wymyślił to Metkin.

Plumm uśmiechnął się.

- Sprytne! Do jutra. - Dał Suslewowi latarkę i brocząc w wodzie odszedł. Suslew patrzył, jak znika za zakrętem.

Odetchnął głęboko. Strach już minął. Nad głową przejechał z hałasem samochód. Ciężarówka,



pomyślał

bezwiednie. Spadło na niego kilka kropel wody i parę kawałków błota. Nagle poczuł nienawiść do podziemnych kanałów. Pozbawiały go poczucia bezpieczeństwa.

23:59

Dunross oglądał nadpalone resztki restauracji „Latający Smok” porozrzucane dwadzieścia stóp od brzegu.

W innych wielopiętrowych restauracjach nadal paliły się światła, ludzie gwarnie się bawili, a nowe, prowizorycznie zbudowane kuchnie nie łączyły się bezpośrednio ze statkami-restauracjami. Dymiły rozpalone piece, kucharze i pomocnicy uwijali się jak pszczoły. Kelnerzy z tacami i naczyniami spiesznym krokiem przemierzali specjalne pomosty. Dokoła pływały sampany z oglądającymi Hongkong turystami.

Uwagę przyciągał wystający z wody szkielet nowej budowli. W świetle latarni krzątało się po niej wielu robotników. Na nabrzeżu kilka kuchni pod dachem sprzedawało setki rodzajów dań. Można było kupić także pamiątki i fotografie z pożaru, a także dumnie błyszczące znaczki z napisem:

**JEDYNA NOWOCZESNA I ZABEZPIECZONA**

**PRZED  
POŻAREM**

# RESTAURACJA

„PŁYWAJĄCY SMOK” ZACZNIE DZIAŁAĆ WKRÓTCE, BĘDZIE

WIĘKSZA I LEPSZA NIŻ POPRZEDNIO.

Interes kręcił się jak zwykle, tyle że jedzenie sprzedawano na lądzie. Dunross szedł nabrzeżem.

Wzdłuż cumowały do wyboru małe i duże sampany.

Większość z nich można było wynająć, każdy obsługiwała jedna osoba - mężczyzna, kobieta lub dziecko. Wszystkie sampany były wyposażone w brezentowe daszki osłaniające połowę łódki przed słońcem, deszczem i oczami ciekawskich. Niektóre były bardziej obudowane. Te nazywały się Łodziami Rozkoszy. W środku znajdowało się dość miejsca, żeby dwie osoby mogły jeść, pić, a potem uprawiać miłość. Właściciel dyskretnie pozostawał na zewnątrz.

Można takie wynająć na godzinę albo na całą noc -

wtedy spokojnie dryfować po wodzie. Na jeszcze innych sampanach oferowano wszelkiego rodzaju napoje i potrawy, na ciepło i na zimno, zapewniano miłą obsługę, aby można ze swoją damą marzyć po nocy zażywając niczym nie zakłóconej intymności.

Jeśli ktoś chce, może też płynąć sam. Wtedy sampan podpłyne pod dużą platformę, gdzie można sobie wybrać odpowiednią Damę Nocy, zapłacić i popłynąć. Każdy mężczyzna może niewielkim kosztem zaspokoić głód, pragnienie i pożądanie. Poza tym można kupić opium, kokainę, heroinę i wszystko, czego dusza zapagnie.

Czasami trafia się trefna żywność lub kobieta, ale taki *dżos*. Na to się nic nie poradzi. Czasami można stracić portfel, ale wtedy trzeba się pocieszyć, że zachowało się zdrowie.

Dunross uśmiechnął się widząc niezgrabnie schodzącego na łódkę turystę, któremu pomagała dziewczyna w *czong-sam*. Jesteś, bracie, w dobrych rękach, pomyślał. Podobało mu się, że dokoła kwitnie interes, rozwija się każdego rodzaju biznes -

sprzedawanie,

kupowanie,

targowanie.

Tak,

powiedział do siebie w duchu, Chińczycy to jedyni prawdziwi kapitaliści na świecie.

A co z Drepczącym i propozycją Johnjohna? Co z Lando Matą, Zaciśniętą Pięścią i Par-Con? Co z Gorntem? I Alanem Medfordem, i Riko Anjin, i Sindersem...

Nie myśl o nich teraz. Zbierz siły. Wu Cztery Palce nie zaprosił cię, żeby rozmawiać o pogodzie.

Schodził po schodach w stronę sampanów. Właś-

ciciele zaczęli go wołać i zapraszać. Gdy był na dole, wszyscy zamilkli.

- Tai-pan!

Na zadbanej Łodzi Rozkoszy z flagą Srebrny Lotos na maszcie stał niski właściciel z garniturem złotych zębów. Miał na sobie brudne spodnie koloru khaki i przepoconą koszulę.

Dunross rozpoznał szefa floty Łodzi Rozkoszy -

najstarszego syna Wu Cztery Palce. Nic dziwnego, że inni dają mu pierwszeństwo, pomyślał pozostając pod wrażeniem tego, że Wu Złoty Ząb wypłynął po niego osobiście. Wszedł na pokład witając go. Złoty Ząb uklonił się.

- Czuj się jak w domu, tai-pan - powiedział z idealnym angielskim akcentem. Zdobył bakalaureat Uniwersytetu Londyńskiego i chciał pozostać w Anglii.

Jednak Wu Cztery Palce rozkazał mu wrócić. Był

spokojnym, uprzejmym człowiekiem, którego Dunross bardzo lubił.

- Dziękuję.

Na stole z laki stała świeża herbata, whisky, brandy, szklaneczki i butelka z wodą. Dunross uważnie się rozejrzał. Kabina był schludna, lekko oświetlona, czysta i miękko wyściełana. Z małego radia płynęła muzyka. To musi być ich reprezentacyjna łódź, pomyślał mając się na baczności.

Nie było potrzeby pytać, dokąd Złoty Ząb go zabiera. Nalał sobie trochę brandy i dolał wody. Nie było lodu. W Azji nigdy się go nie używa.

- Chryste - mruknął przypomniawszy sobie, co Peter Marlowe mówił o możliwości zarażenia się żółtaczką. Pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt osób nosi w sobie jej zarazki często nie zdając sobie z tego sprawy. Gornt także. Tak, ale on ma końskie zdrowie. Przecież ten bałwan nie dostał nawet torsji. Co z nim zrobić?

W kabinie panował przyjemny chłód. Wiał lekki wiatr. Płynęli przed siebie. Dunross leżał i rozkoszował

się ogarniającym go napięciem. Popijał brandy i nie niecierpliwił się.

Uderzyli burtą o inny sampan, Natężył słuch. Zobaczył na pokładzie bose stopy. Jedna para ruchliwych, a druga nie.

- Cześć, tai-pan - przywitał go Wu Cztery Palce.

Schylił się i wszedł pod daszek, po czym usiadł. - Ty okay? - zapytał łamaną angielszczyzną.

- Tak, dziękuję, a ty? - Dunross popatrzył na niego starając się ukryć zdziwienie. Wu Cztery Palce miał na sobie elegancki garnitur, białą koszulę, krawat. W dłoni trzymał skarpety i buty. Ostatni raz Dunross widział go w takim stroju przed pożarem, a poprzednio zdarzyło się to rok temu na wystawnym ślubie Szitii T'Czunga.

Do środka wszedł i niezgrabnie usiadł Paul Czoj.

- Dobry wieczór, sir. Nazywam się Paul Czoj.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Dunross zauważywszy, że chłopca przepęlnia strach.

-

Tak, pewnie, dziękuję, sir.

Dunross zmarszczył brwi.

- No to świetnie. Pracujesz teraz dla wujka? - zapytał. Wiedział wszystko o Paulu Czoju, ale utrzymywał

pozory, bo tak się umówił z Wu Cztery Palce. Młodzieniec zrobił na nim duże wrażenie. Od przyjaciela Surjaniego słyszał o jego wyczynie giełdowym.

- Nie, sir. Dla Rothwell-Gornt. Zacząłem niedawno.

Tutaj będę tłumaczem... Jeśli będzie mnie pan potrzebował - Paul Czoj wyjaśnił ojcu, o czym rozmawiali.

Wu Cztery Palce pokiwał głową.

- Dobrze?

- Tak, dziękuję. - Dunross podniósł szklaneczkę. -

Cieszę się, że cię widzę, *heya* - dalej mówił po angielsku. Czekał, aż stary zacznie w hakło. To była kwestia zachowania twarzy, a przy Paulu Czoju ostrożność Dunrossa po wielokroć wzrosła.

Stary wilk morski gawędził chwilę i popijał whisky.

Paulowi Czojowi nie zaproponował drinka ani młodzieniec nie brał sam. Siedział w cieniu i słuchał, i bał się, nie wiedząc, czego ma się spodziewać. Ojciec przysiągł mu na krew, że dochowa tajemnicy.

Wreszcie Wu nie dał tai-panowi dłużej czekać i za-czął w hakło.

-Nasze rodziny od wielu lat były Starymi Przyjaciółmi

- powoli cedził słowa, wiedział, że Dunross nie mówi w hakło płynnie. - Od wielu, wielu lat.

-

Tak. Wu Urodzeni na Morzu i Struanowie są jak bracia - powtórzył tai-pan. Wu Cztery Palce chrząknął.

- Teraz jest jak dawniej, a dawniej jest jak teraz, *heya?*

- Stary Ślepy Tung uważa, że przeszłość i terażniejszość to to samo, *heya?*

- Co imię Wu Kwok znaczy dla tai-pana Noble House?

Dunross poczuł ucisk w żołądku.

- To twój prapradziadek, *heya?*. Twój sławny przodek. Syn i główny admirał jeszcze sławniejszego wojownika morskiego Wu Fang Czoj, którego flaga, Srebrny Lotos, powiewa na czterech morzach.

- Ten sam. - Wu Cztery Palce nachylił się, a Dunross skoncentrował się. - Jakie były związki między Zielonookim Diabłem... między pierwszym tai-panem Noble House a sławnym Wu Kwokiem?

- Spotkali się na morzu. U ujścia Rzeki Perłowej...

- To tu, niedaleko, przy Pok Liu Czau, między Pok Liu Czau i Apliczau. - Oczy starego błyszczały.

- Potem spotkali się niedaleko Hongkongu. Tai-pan popłynął sam na pokład statku Kwoka. Był sam i... -

Dunross szukał odpowiedniego słowa. - ...i pertraktowali ze sobą.

- Umowa została spisana na papierze i przybita pieczęcią? .

- Nie.

- Czy umowa była honorowana?

- Czy to nie niegrzecznie, aby Stary Przyjaciel zadawał Staremu Przyjacielowi pytania, na które zna odpowiedź?

Paul Czoj drgnął lekko na dźwięk tych słów. Żaden z nich nie zwrócił na niego uwagi.

- Prawda, prawda, tai-pan. - Zadumał się Wu Cztery Palce. - Tak, umowa była honorowana. Chociaż częściowo inaczej odczytana. Znasz tę umowę?

- Nie, nie znam - wyznał zgodnie z prawdą Dunross. - A co?

- Chodziło o to, że na każdy z waszych kliprów my dawaliśmy do wyszkolenia na kapitana jednego chłopca.

Mój pradziad był jednym z nich. Następnie Zielonooki Diabeł zgodził się wysłać trzech synów Wu Kwoka do swojego kraju i wykształcić ich w szkołach obcych diablów, jakby to byli jego rodzeni synowie. Dalej...

Dunross wytrzeszczył oczy.

- Co? Kogo? Kim byli ci chłopcy? Kim zostali potem?

Wu Cztery Palce tylko się uśmiechnął.

- Dalej Zielonooki Diabeł zgodził się dać sławnemu Wu Fang Czoj kliper obcych diablów wraz z ożaglowaniem i uzbrojeniem. Wu Fang Czoj zapłacił

za

niego, a nazwał tai-pan, „Chmura Lotosu”. A potem dwa lata później Culum Słaby odbił ją, a wasz przeklęty

admirał Stride Orłów, Garbus, wymordował wielu ludzi, uśmiercił także Wu Kwoka.

Dunross napił się brandy. Na zewnątrz zachowywał

cierpliwość, ale wewnątrz przeżywał szok. Kim mogli być ci chłopcy? Naprawdę było o nich w umowie? Nie wspomina o nich ani dziennik, ani testament Dirka. Ani słowem. Kim...

- *Heya?*

- Wiem o „Chmurze Lotosu”. Owszem. I o kapita-nach. Zdawało mi się, że było dziewiętnaście, a nie dwadzieścia kliprów. Ale o trzech chłopcach pierwsze słyszę. A co do „Chmury Lotosu”, to czy Dirk obiecał, że nie będzie walczył ze statkiem, który podaruje?

- Nie. Nie, tai-pan, Zielonooki Diabeł był przebiegły.

A śmierć Wu Kwoka? *Dżos*. Wszyscy umrzemy. Nie, Zielonooki Diabeł dotrzymał umowy. Culum Słaby tak-

że. A ty dotrzymasz? - Wu otworzył pięść.

Na dłoni spoczywała połówka monety.

Dunross ostrożnie ją podniósł. Obydwaj patrzyli na niego jak węże. Czuł na sobie ich świdrujący, przeszywający wzrok. Obracał monetę w palcach.

Wyglądała zupełnie tak samo jak te z Biblii Dirka w sejfie w Wielkim Domu. Dwie zostały



odzyskane, a dwie nadal pozostawały nie wiadomo gdzie. Jedną ma Wu Kwok. Przemagał się, aby nie dopuścić do drżenia rąk. Wu zabrał monetę i schował w dłoni.

- Może prawdziwa - odrzekł Dunross. Jego głos miał dziwne brzmienie. - Trzeba sprawdzić. Skąd ją masz?

- Jest prawdziwa, jak najbardziej prawdziwa. Wiesz o tym?

- Nie. Skąd ją masz?

Wu Cztery Palce zapalił papierosa i zakasłał. Odchrząknął i splunął.

- Ile monet było na początku? Ile sławny mandaryn Żin-kua dał Zielonookiemu Diabłu?

- Dokładnie nie wiem.

- Cztery. Były cztery.

- Ach tak, i jedna dla twojego sławnego przodka Wu Kwoka? Dlaczego wielki Zin-kua nie dał mu dwóch monet? Niemożliwe. Została ukradziona.

Komu?

Stary poczerwieniał, a Dunross zastanawiał się, czy nie przeholował.

- Kradziona czy nie - splunął - ty spełniasz prośbę, *heya*? Dunross popatrzył na niego. - *Heya*? A może twarz Zielonookiego Diabła to już nie twarz Noble House?

- Skąd ją masz?

Wu nic nie mówił. Zgasił papierosa na dywanie.

- Po co Zielonooki Diabeł zgodził się na cztery monety? No dlaczego? I po co przysięgał na swoich bogów, że on i jego potomkowie będą dotrzymywać słowa, *heya*?

- W zamian za przysługę.

- A, tai-pan, w zamian za przysługę. Wiesz, jaką?

- Szlachetny Żin-kua pożyczył tai-panowi, mojemu praprapradziadkowi czterdzieści taeli srebra.

- Czterdzieści taeli... Cztery miliony amerykańskich dolarów. Sto dwadzieścia cztery lata temu. - Stary westchnął. Oczy zabłyśły mu jeszcze bardziej. Paul Czój nie ruszał się, prawie nie oddychał. - Prosił o papier? O papier z pieczęcią twojego przodka albo z pieczęcią Noble House?

-

Nie.

- Czterdzieści taeli srebra i żadnego dokumentu. Tylko zaufanie! Umowa została zawarta między Starymi Przyjaciółmi, *heya?*

- Tak.

Stary otworzył dłoń bez kciuka i podsunął ją Dunrossowi pod oczy.

- Jedna moneta, jedna przysługa. Ktokolwiek prosi.

Proszę ja.

Dunross westchnął. Po dłuższej chwili przerwał milczenie.

- Najpierw przyłożę monetę do monety. Potem upewnię się, że są z tego samego metalu. Wtedy wypowiesz prośbę. - Sięgnął po monetę, ale Wu zacisnął pięść i jedynym kciukiem wskazał na Paula Czoja.

- Wyjaśnij!

- Przepraszam, tai-pan - zaczął niepewnie po angielsku Paul Czoj. Nie odpowiadała mu ciasnota kabiny i przeszkadzały demoniczne, podskórne prądy, jakie w niej przepływały. A wszystko to, jeśli wierzyć choć w połowę opowiadanych historii, z powodu obietnicy danej jednemu piratowi przez drugiego. A obydwaj potrafili podrzynać ludziom gardła. - Mój wujek pragnie, abym wyjaśnił, jak chce to załatwić. - Starał się mówić miarowym głosem. - Oczywiście rozumie, że zachowuje pan rezerwę i chce pan mieć stuprocentową pewność. On jednak nie chce wypuszczać z rąk monety. Tak czy inaczej...

-

To znaczy, że mi nie ufa?

Paul Czoj drgnął na te słowa.

- O nie, sir - zapewnił i szybko przetłumaczył słowa Dunrossa.

- Oczywiście, że ci ufam - rzekł Wu. Uśmiechnął się fałszywie. - Ale czy ty ufasz mnie?

- Tak, Stary Przyjacielu. Bardzo mocno. Daj mi monetę. Jeśli jest prawdziwa, ja, tai-pan Noble House, spełnię twoją prośbę. Oczywiście jeśli to będzie możliwe.

O co poproszone, to spełnione - przypomniał stary. ~

Jeśli to możliwe! Tak. Jeśli moneta jest prawdziwa, spełnię prośbę, jeśli nie, oddam ci monetę. Koniec.

-

Nie koniec. - Wu kiwnął ręką na Paula Czoja.

- Ty dokończ. Szybko.

- Mój... Mój wujek sugeruje następujący kompromis.

Pan weźmie to. Młodzieniec wyciągnął płaski kawałek pszczelego wosku. Wyciśnięte były na nim trzy strony monety. - Może pan przyłożyć swoją część monety do tego, sir. Brzegi są wystarczająco ostre, żeby się upewnić.

To po pierwsze. Jeśli będzie pan przekonany, pójdziemy do rządowego eksperta albo do konserwatora z muzeum i poprosimy go, żeby sprawdził w naszej obecności obydwie części. Wtedy wszyscy dowiemy się w tym samym czasie wyniku analizy. - Paul Czoj pocił się. - Tak mówi mój wujek.

- Eksperta łatwo przekupić.

- Pewnie. Ale wymieszamy przed nim obie połówki. Pan swoją rozpozna, my swoją także, a on nie, prawda?

- I tak go można przekupić.

- Oczywiście. Ale jeśli... jeśli zrobimy to jutro, a Wu Sang da panu słowo, a pan jemu, że nie będziecie próbować oszukiwać, wszystko będzie w porządku.

- Młodzieniec otarł pot z czoła. - Jezu, jak tu ciasno.

Dunross zastanawiał się przez chwilę. Potem zwrócił

chłodny wzrok na Wu Cztery Palce.

- Wczoraj prosiłem o przysługę i powiedziałaś nie.

- To było co innego, tai-pan - natychmiast odparł stary.

- Tam nie było żadnej starej przysięgi ani starego długu.

- Prosiłeś przyjaciół, żeby rozważyli moją prośbę, *heya*?

Wu zapalił kolejnego papierosa.

- Tak - potwierdził ostrzejszym głosem. - Moi przyjaciele obawiają się o Noble House.

- Bez Noble House nie będzie można spełnić prośby, *heya*?

Zapadła cisza. Dunross widział jak przebiegłe oczka starego spoglądają to na niego, to na Paula Czoja.

Wiedział, że jest w pułapce. Będzie musiał spełnić prośbę. Jeśli moneta jest oryginalna, będzie musiał.

Ciekawe komu ukradziona. Kto mógł dostać taką połowę? Dirk Struan nigdy się tego nie dowiedział. W

swoim testamencie napisał, że przypuszcza, iż otrzymała ją Mei-mei, ale nie ma wytłumaczenia dlaczego. Ale jeśli Mei-mei istotnie ją dostała, wtedy mogła przejść na jej potomka Szitii T' Czunga, więc może moneta została jemu skradziona?

A kto jeszcze w Hongkongu może ją mieć?

Jeśli nie znalazł na to odpowiedzi sam tai-pan ani Hag, to mnie też się nie uda.

Panowała cisza, a Dunross wyczekiwał. Na brodę wpatzonego w ojca Paula Czoja spłynęła kolejna kropla potu. Dunross wyczuwał w nim nienawiść i bardzo go to zaintrygowało. Zauważył, jak Wu dziwnie zmierzył wzrokiem syna.

Ja jestem sędzią w Hongkongu - powiedział po, angielsku Dunross. - Wesprzyj mnie, a za tydzień będziesz miał duży zysk.

- *Heyal*

- Możesz przetłumaczyć, Paul Czoj? - Młodzieniec przetłumaczył na haklo, a Dunross ucieszył się, gdy Czoj ominął „Jestem sędzią w Hongkongu”. Znow zapadła cisza. Tai-pan rozluźnił się, czuł, że obydwaj połknęli przynętę.

- Tai-pan, zgadzasz się na moją propozycję z monetą? - zapytał stary.

- A ty zgadzasz się na wsparcie mnie?

- Te dwie rzeczy się nie łączą jak deszcz w czasie burzy - rzekł rozeźlony Wu. - W sprawie monety tak czy nie?

- Zgadzam się w sprawie monety, ale nie na jutro.

W przyszłym tygodniu. Piątego dnia.

- Jutro.

Paul Czoj wtrącił się nieśmiało.

- Szlachetny Wujku, może jutro jeszcze raz poprosisz przyjaciół? Jutro rano. Może będą mogli pomóc tai-panowi. - Spojrzał na Dunrossa. - Jutro jest piątek-przeszedł na angielski. - Może w sprawie monety umówimy się na poniedziałek o szesnastej? -

Powtórzył to samo w hakło.

- Dlaczego akurat o tej godzinie? - zapytał poirytowany Wu.

- O trzeciej po południu zamyka się giełda obcych diablów, Szlachetny Wujku. Do tego czasu okaże się, czy Noble House jest jeszcze Noble House.

- Zawsze nim będziemy, panie Czoj - podkreślił

uprzejmie po angielsku. Był pod wrażeniem jego umiejętności, sprytu i uprzejmości aluzji. - Zgadzam się.

- *Heya?*

Gdy Paul Czoj skończył tłumaczyć, Wu chrząknął.

- Najpierw poradzę się Nieba i Ziemi, czy to odpowiedni dzień. Jeśli tak, zgadzam się. - Kiwnął na Paula Czoj. - Idź na drugą łódkę.

Paul Czoj podniósł się.

- Dziękuję, tai-pan. Dobranoc.

- Do zobaczenia, panie Czoj - odpowiedział Dunross spodziewając się ujrzeć go następnego dnia.

- Dziękuję, Stary Przyjacielu - zwrócił się łagodnie Wu, gdy zostali sami. - Wkrótce nasze interesy zblizną się do siebie.

- Pamiętaj - rzekł ostrzegawczo Dunross - co mó-

wili mi przodkowie, zarówno Zielonooki Diabeł jak i Złe Oko i Zęby Smoka. Obydwoje przeklęli tych, co czerpią zyski z Białego Proszku.

Stary wilk morski w szykownym garniturze zaczął

się nerwowo wiercić.

- A co to ma do mnie? Ja nic nie wiem o Białym Proszku. Przeklęci wszyscy, co nim handlują. Ja nic o tym nie wiem.

Wyszedł.

Drżącą ręką Dunross przyrządził sobie mocnego drinka. Wyjął woskowy odcisk. Tysiąc do jednego, że , moneta jest prawdziwa. Boże wszechmogący, o co ten diabeł poprosi? Na pewno to będzie miało coś wspólnego z narkotykami! W umowie Dirka nic na ten temat nie było. Mimo to na narkotyki się nie zgodzę.

Rozluźnił się. W myślach widział Dirka Struana wpisującego do Biblii słowa, aby „spełnić prośbę  
każ-

dego, kto pokaże połówkę monety, o cokolwiek poprosi, co jest w mocy tai-pana...”

Wyczuł czyjąś obecność, zanim usłyszał jakiś dźwięk.

Druga łódka delikatnie przybiła do jego sampana. Usłyszał stąpanie stóp. Nie wyczuwał  
niebezpieczeństwa.

Dziewczyna była młoda, piękna i radosna.

- Nazywam się Śnieżny Nefryt, mam osiemnaście lat i jestem osobistym podarunkiem od Wu Sanga  
na tę noc - wyszczebiotała po kantońsku. Miała na sobie *czong-sam* z wysokim kołnierzykiem. Na  
długich nogach pończochy. Uśmiechała się ukazując piękne zęby. -

Wydawało mu się, że możesz być głodny.

-

Tak? - mruknął starając się dojść do siebie.

Roześmiała się i usiadła.

- O tak, tak właśnie przypuszczał, zresztą ja też umieram z głodu. Szlachetny Złoty Ząb zamówił dla  
nas posiłek. Smażone krewetki ze strączkami grochu, sieka na wieprzowina w sosie z czarnej fasoli,  
pieczone knedle po szanghajsku, smażone warzywa z kapustą po seczuańsku i kurczak Cz'iang Pao. -  
Ukloniła się. - A ja na

deser.

**P i ą t e k**

00:35

Zdenerwowany Kwang raz po raz naciskał na dzwonek. Otworzyły się drzwi i Venus Poon zaczęła krzyczeć po kantońsku:

- Jak śmiesz przychodzić tak późno w nocy bez zaproszenia! - Jedną rękę wspierała na biodrze, a drugą przytrzymywała drzwi. Miała na sobie wygniecioną sukienkę wieczorową.

- Cicho, dziwko! - krzyknął bankier Kwang i wepchnął ją do środka. - Kto ci płaci? Kto kupił meble?

Kto zapłacił za sukienkę? Dlaczego jeszcze nie jesteś gotowa do łóżka? Dlaczego...

- Cicho! - wrzasnęła. - Płaciłeś mi. Dzisiaj trzeba było zapłacić, i gdzie są pieniądze? Heyaheyahya?

- Proszę! - Bankier Kwang wyjął z kieszeni czek i pomachał jej przed nosem. - Czy ja zapominam o swoich cholernych obietnicach? Nie! A ty? Zapomi-nasz!

Venus Poon zmrużyła oczy. Minęła jej złość, zmieni-

ła się mina, a głos stał się słodki jak miód.

- Och, a więc mój Ojciec pamiętał? Och, a mnie powiedzieli, że zapomniałeś o swojej samotnej Córce i poszedłeś na dziwki na Blore Street.

- Kłamstwo! - zaprzeczył natychmiast, chociaż była

„to prawda. - Dlaczego nie ubrałaś się do łóżka? Gdzie twoja koszula?

-

Ale trzech różni ludzie mówili mi, że byłeś tam piętnaście po czwartej po południu. Och, jacy ci ludzie są okropni - dodała żałośnie, choć wiedziała, że Kwang poszedł tam na spotkanie z bankierem Czangiem w sprawie pieniędzy. - Och, Ojczy, jacy ci ludzie są straszni! -

Przysunęła się do niego bliżej i, zanim się zorientował, wyciągnęła rękę i wyrwała mu czek. - Och, dziękuję, Ojczy - mówiła dalej przymilnym głosem - z całego serca... *oh kol* - Zmarszczyła brwi, wróciła złość, a głos stał się skrzekliwy. - Czek jest nie podpisany, stary łajdaku. To twoja nowa bankowa sztuczka! Ooo, chyba się zabiję pod drzwiami twojego domu... nie, lepiej przed kamerami telewizji, całemu Hongkongowi powiem, jaki...

Ooo...

Solidarnie przyłączyła się do niej *amah* i zaczęły zawodzącymi głosami obrzucać go inwektywami.

On odwdzięczał się tym samym, ale to tylko sprawiło, że kobiety zaczęły krzyczeć głośniej. Przez jakiś czas stał

przy swoim, ale potem zrezygnował, wyjął pióro i podpisał czek. Hałas ustał. Venus Poon wzięła czek i dokładnie, bardzo dokładnie go sprawdziła. Schowała do torebki.

- Och, dziękuję Szlachetny Ojciec - przemówiła miękko i pieszczotliwie, po czym zwróciła się gniewnie do *amah*: -

Jak śmiałaś wtrącać się w dyskusję z miłością mojego życia, parszywy odpadku psich płuc! To wszystko twoja wina, że ludzie rozpowiadają okrutne kłamstwa o Ojcu.

Wynocha! Przyniesź jedzenie i herbatę! Już cię nie ma!

Ojciec chce brandy... przyniesź brandy, biegiem!

Stara kobieta udawała, że przejmuje się nagłym wybuchem gniewu i z udawanymi łzami wyszła. Venus Poon mruknęła i delikatnie objęła Richarda Kwanga za szyję.

Oczarowany nią pozwalał sobie podawać jedzenie i przyrządzać drinki i cały czas przeklinał na głos swój zły *dźos*, swoich pracowników, znajomych, sprzymierzeńców i wierzycieli, że go oszukali, że on sam jeden pracuje w całym Ho-Pak, że urabia sobie ręce do łokci i za wszystkich się martwi.

- O, moje biedaczysko - mówiła ze współczuciem Venus Poon. Dotykała go czule i łagodnie. Za półgodziny miała umówione spotkanie z Wu i choć wiedziała, że rozsądnie będzie się spóźnić, to nie chciała, aby czekał

na nią za długo, na wypadek, gdyby miała minąć mu na nią ochota. Podczas ostatniego spotkania tak bardzo go rozpałała, że obiecał kupić jej pierścionek, jeśli uda jej się jeszcze raz to powtórzyć.

- Gwarantuję ci, Panie - wyszeptała. Była mokra od potu po dwóch godzinach intensywnej pracy. Poczwała ogromną ulgę, gdy wreszcie po długim czasie miał

wytrysk.

Zmarszczyła brwi przypominając sobie nadludzkie wysiłki Wu Cztery Palce, jego wielkość i niewątpliwą technikę. *Aiii ia*, pomyślała masując kark swojemu byłemu kochankowi. Będzie mi potrzebny każdy *tael* energii i wszystkie soki *yin*, żeby dorównać *yang* tego rozpusznika.

- Jak tam twój kark, kochanie? - zapytała.

- Lepiej, coraz lepiej - westchnął z ulgą Richard Kwang. Teraz myślał już trzeźwo, doskonale zdawał sobie sprawę, że palce ma tak samo sprawne jak usta i zasłonięte części ciała.

Wziął Venus Poon na kolana i wsunął dłoń za dekolt wieczorowej sukienki, którą kupił jej w zeszłym tygodniu.



Ponieważ dziewczyna nie opierała się, zaczął komplementować wielkość jej piersi, ich miękkość, kształt. Jej ciepło podniecało go. Drugą ręką skradał się do jej *yin*, ale zanim się zorientował, Venus wyslizgnęła mu się.

- Nie, nie, Ojczy! Nawiedziła mnie Szlachetna Czerwień i muszę...

- Co? - Bankier Kwang zapytał zdumiony. - Szlachetna Czerwień miała nadejść dopiero pojutrze!

- Tak, ale przez tę burzę...

- Ma nadejść pojutrze! Wiem to dobrze. Sprawdziłem w kalendarzu, zanim przyszedłem. Nie jestem głupcem..

Nie chcę w rzece łowić tygrysa. Już dawno mieliśmy wyznaczone spotkanie na dzisiaj, na całą noc. Nigdy nie miałaś wcześniej...

- Och, rano byłam w szoku po pożarze, a potem jeszcze umierałam z rozpaczy, że mnie rzuciłeś...

- Chodź tu, mała kłamczucho!

- Och, nie, Ojczy, Szlachetna...

Nie zdążyła się odsunąć. Chwycił ją mocno, posadził na kolanach i zaczął ściągać sukienkę, ale Venus Poon mimo swoich dziewiętnastu lat zdobyła już niemałe doświadczenie w takich sytuacjach i знаła setki wybiegów. Zamiast się opierać, przytuliła się do Kwanga i szepnęła mu do ucha:

- Ależ, Ojczy, zły *dżos* przeszkadza Szlachetnej Czerwieni i chociaż pragnę cię w sobie, to wiemy, że są inne sposoby.

- Ale najpierw chcę...

- Najpierw? Najpierw? Jaki jesteś silny, Ojczy, każda dziewczyna chciałaby być na moim miejscu, *aiii ia*, jaki silny, cudowny mężczyzna!

Wyciągnęła jego *yang*, a on szepnął:

- Do łóżka, najdroższa. Najpierw brandy, trochę się przespać...

Pomogła mu wstać i pociągnęła za sobą.

- Słusznie, ale nie tutaj.

- Co? Przecież ja jutro muszę...

- Tak, lepiej idź do swojego klubu!

- Ale ja...

- Ach, zmęczyłeś swoją biedną Córkę. - Gdy byli w korytarzu, zanim zorientował się, o co chodzi, wy-pchnęła go za drzwi. Na pożegnanie namiętnie pocałowała, przyrzekła dozągonną miłość, obiecała spotkać się z nim następnego dnia i zamknęła drzwi.

Stał przed drzwiami wściekły, wyprowadzony w pole.

Chciał je wyważyć i odebrać w łóżku to, za co zapłacił.

Nie zrobił tego, lecz zebrał się w sobie i poszedł do windy.

Gdy jechał na dół, trochę mu się poprawił humor.

Zapłacił dziewczynie za cały miesiąc, a ona zapomniała, że w zeszłym miesiącu obiecał jej pięćset dolarów podwyżki, li i, mała dziwka, zachichotał. Mimo wszystko *yang* przechytrzyła *yin*.

Venus Poon kończyła myć zęby i poprawiała makijaż.

W lustrze zobaczyła wchodzącą do łazienki *amah*.

- Ah Poo - zawołała - przynieś mój płaszcz, ten czarny, stary. I zadzwoń po taksówkę... Spiesz się, bo dam ci po twarzy!

Stara kobieta spełniła polecenie godząc się z tym, że jej pani ma zły humor.

- Po taksówkę już zadzwoniłam - burknęła. - Czeka na Matkę na dole, ale lepiej wstrzymać się jeszcze kilka minut, aż odejdzie Ojciec, żeby nic nie podejrzewał.

Ha, stary dureń już się do niczego nie nadaje! Sił mu starczy tylko na to, żeby się walnąć w samochodzie i pojechać do klubu!

Skończyła szminkować usta i z zadowoleniem uśmiechnęła się do odbicia w lustrze.

A teraz po brylant, pomyślała z najwyższym przejęciem.

- Kiedy znów zobaczyc Paul? - zapytała Li i Su.

- Niedługo. W przyszłym tygodniu. - Havergil skończył

się ubierać i narzucił na siebie płaszcz. Znajdowali się w małym, ale przyjemnym i czystym pokoiku z łazienką, ciepłą i zimną wodą, którą zainstalowano za duże pieniądze. - Zadzwonię jak zwykle.

- Dlaczego smutny, Paul?

Odwrócił się i spojrzał na nią. Nie powiedział jej, że wkrótce wyjeżdża z Hongkongu. Spoglądała z łóżka, promieniowała młodością. Była jego przyjaciółką już od prawie czterech miesięcy. Nie płacił jej jednak pensji ani nie pokrywał innych wydatków. Ona była hostessą w jego ulubionym dancingu w Koulunie - w „Szczęśliwej Hostessie”. Właściciel - Jednooki Pok był długoletnim i cennym

klientem banku, a mama-san inteligentną kobietą, która potrafiła dogodzić gustowi Havergil a. Przez wiele lat przewinęło się przez jego łóżko dużo przyjaciółek ze

„Szczęśliwej Hostessy”. Większość była z nim kilka godzin, niewiele kilka dni, a nieliczne kilka miesięcy.

Przez piętnaście lat zdarzyło mu się tylko jedno nieprzyjemne doświadczenie - dziewczyna próbowała go szantażować. Od razu doniósł o tym mamie- san.

Jeszcze tej samej nocy dziewczyna została usunięta.

Ani ona, ani jej opiekun z triady nie byli widziani nigdy więcej.

-

Dlaczego smutny, *heya*?

Bo wkrótce opuszczam Hongkong, chciał powiedzieć. Bo pragnę cię mieć wyłącznie dla siebie, a nie mogę. Nie ośmieliłbym się. Nigdy przedtem tego sobie nie życzyłem. Dobry Boże, jak ja cię pragnę.

- Nie smutny, Lily, zmęczony - wytłumaczył. Kłopoty w banku rzeczywiście się na nim odbijały.

- Będzie dobrze - próbowała go pocieszyć. - Zadzwoń, *heya*?

- Tak. Zadzwoń. - Umawiali się po prostu przez telefon. Jeśli nie zastawał jej, dzwonił do *mamy-san*, a wieczorem przychodził do dancingu sam lub z przyjaciółmi, spotykał się z Lily, dla zachowania twarzy tań-

czyli kilka razy, wypijali kilka drinków i ona wychodziła.

Po pół godzinie on płacił rachunek i szedł do niej. Za wszystko płacił z góry. Nie chodzili razem do miejsc, gdzie mogli być widziani, ponieważ ona bała się, aby jakiś sąsiad nie zobaczył jej z obcym diabłem.

Dziewczyna traciła reputację, gdy zauważono ją sam na sam z obcym diabłem w miejscu publicznym, nie licząc miejsc pracy. Każda kobieta w wieku, w którym jest zdolna pójść z mężczyzną do łóżka, natychmiast zostaje uznana za najgorszego typu ladacnicę, dziwkę obcych diabłów i jej wartość maleje.

Havergill o tym wiedział i nie trapił się tym. W

Hongkongu takie właśnie obowiązywały zasady.

- *Doh jeh* - podziękował. Kochał ją, chciał zostać albo zabrać ją ze sobą, ale podziękował tylko i wyszedł.

Gdy została sama, natychmiast ziewnęła, bo kilka razy podczas wieczoru musiała się

powstrzymywać, i wyciągnęła się na łóżku. Było po stokroć wygodniejsze niż jej prycza w pokoiku wynajmowanym w Tai-ping Szan.

Rozległo się lekkie puknięcie do drzwi.

- Szlachetna Damo?

Ah Czun?

- Tak. - Otworzyły się drzwi i weszła starsza kobieta. Przyniosła czyste ręczniki. - Jak długo zostaniesz?

Lily Su zawahała się. Zgodnie ze zwyczajem klient płacił za wynajęcie pokoju na całą noc. Również zgodnie ze zwyczajem, jeśli pokój był wolny wcześniej, kierownictwo zwracało część pieniędzy dziewczynie.

- Całą noc - zdecydowała, chcąc się nacieszyć luksusem. Nie wiedziała, kiedy po raz kolejny zdarzy jej

się

znaleźć tutaj. Może ten klient do następnego tygodnia straci swój bank i pieniądze.

-

*Dzos* - powiedziała. - Przygotuj mi kąpiel.

Stara kobieta mruczając coś pod nosem wykonała polecenie i wyszła. Lily Su znów ziewnęła, z radością słuchając lecącej z kranu wody. Ona też była bardzo zmęczona. Miała ciężki dzień. A wieczorem klient mówił więcej niż zwykle, ona próbowała nie słuchać, zasnąć i trochę odpocząć, ale dla niego rozmowa była bardzo ważna. Wiedziała z doświadczenia, że jest to pewna forma relaksu, szczególnie dla starych barbarzyńców. Bardzo dziwne, zadumała się. Cała ta praca, hałas, łzy i pieniądze prowadzą jedynie do większego bólu, dłuższego potoku słów i morza łez.

- Nie przejmuj się, jeśli ich *yang* jest słaba albo jeśli mówią do siebie, albo płaczą w twoich ramionach.

U barbarzyńców to normalne - wyjaśniała mama-san.

- Nie słuchaj i nie wachaj ich, bo obce diabły śmierdzą, tylko pomagaj im w osiągnięciu rozkoszy. On jest przyjacielem Hongkongu, dobrze płaci, on pomoże ci szybko spłacić dług. Okazuj entuzjazm, udawaj, że jest wspaniałym kochankiem, musisz mu się odwdziaczyć za jego pieniądze.

Lily Su wiedziała, że dobrze sobie zasłużyła na pieniądze od niego. Tak, *dzos* jest dla mnie dobry, o wiele lepszy niż dla biednej siostry i jej pana. Biedna Wonny Kwiat i Syn Numer Jeden Czenów. Co za tragedia, co za okrucieństwo!

Zadrżała. Ach, te przekłete Wilkołaki! To straszne, że odcięli mu ucho, że zamordowali go i przerażili cały Hongkong. Okropne też, że moja starsza siostra została zdeptana na śmierć przez tych parszywych rybaków z Aberdeen. Och, co za *dżos*.

Rano widziała gazetę z przedrukowanym listem mi-

łosnym od Johna Czena. Od razu go poznała. Razem z Wonnym Kwiatem śmiały się z niego, naigrywały się także z pozostałych dwóch, które starsza siostra dała jej na przechowanie.

- Taki zabawny człowieczek, prawie bez *yang* i prawie mu wcale nie staje - mówiła do niej Wonny Kwiat.

- Płaci mi tylko za to, żebym z nim leżała, czasami pocałowała lub nago zatańczyła. Zawsze chce, żebym mu obiecała, że będę rozpowiadać o jego wielkiej sile!

li i, daje dużo pieniędzy. Jedenaście tygodni jestem

,jego prawdziwą miłością". Jeśli to potrwa kolejne jedenaście tygodni... może kupi mi mieszkanie i będzie płacić!

Po południu ze strachem poszła w towarzystwie ojca na posterunek policji, aby zidentyfikować ciało. Nic nie powiedzieli, że znali jej pana. Ojciec radził, że rozsądniej będzie zachować tajemnicę.

- Czenowie z Noble House na pewno by sobie tego życzyli. Tu chodzi także o jego twarz. Także o twarz ich nowego następcy, jak on się nazywa, taki młodzieniec z imieniem obcych diabłów. Za dzień, dwa zadzwonię do Czenów i powiem wszystko. Trochę musimy po czekać. Po tym, co dzisiaj zrobiły Wilkołaki, żaden ojciec nie chciałby negocjować.

Tak, myślała, Ojciec jest mądry. Nic dziwnego, że koledzy z pracy nazywają go Dziewięciokaratowy Czu.

Dzięki, o bogowie, że zostały mi te dwa listy.

Po zidentyfikowaniu ciała siostry wypełnili formularze prawdziwymi personaliami, aby dostać jej pieniądze. 4360

dolarów hongkongijskich na nazwisko Wisteria Su i 3000

na nazwisko Wonny Kwiat Tak. Jednak sierżant policji był

nieugięty.

-

Niestety, skoro znamy teraz jej prawdziwe nazwisko, musimy to ogłosić, żeby można zapłacić długi jej wierzycielom. Nie przekonała go nawet propozycja wręczenia mu 25 procent za natychmiastowe wypłacenie pieniędzy. Musieli więc odejść.

Przeklęty sługus parszywych obcych diabłów, pomy-

ślała z obrzydzeniem. Jak spłacać dług w dancingu, nic nie zostanie. Nic. *Aiii ia.*

Ale to nic, pomyślała, z rozkoszą zanurzając się w wannie. To nic, jej listy będą dla Czenów z Noble House warte fortunę.

A Czenowie mają o wiele więcej czerwonońców niż koty włosów.

Casey wyglądała przez okno sypialni. Włączyła tylko małą lampkę do czytania. Spoglądała na znajdującą się cztery piętra niżej ulicę. Mimo późnej pory, wpół do drugiej, panował ruch. Niebo było zamglone, nie świecił

księżyc, dzięki czemu wielkie chińskie neony stawały się jeszcze bardziej widoczne. Czerwone, niebieskie i zielone napisy odbijały się w kałużach. Okno było otwarte, powietrze chłodne, widziała pary kluczące między auto-busami, samochodami osobowymi i ciężarówkami. Wiele z nich kierowało się w stronę foyer nowego hotelu „Royal Netherlands” na późną przekąskę w europejskiej kawiarni, gdzie była na kawie z pilotem kapitanem Jannelli.

Wszyscy tu tyle jedzą, myślała. Jezu, i jak dużo tu ludzi, tak dużo rąk do pracy, a tak mało miejsc, a już dosłownie garstka na samym szczycie, a wśród nich sami mężczyźni i każdy zabija się, żeby do nich dołączyć... Ale po co? Nowy samochód, nowy dom, nowe meble, nowa łódówka i inne rzeczy.

Życie to jeden długi rachunek. Nigdy nie starcza zielonych na pokrycie codziennych wydatków, a co dopiero prywatny jacht albo prywatna motorówka na plaży w Acapulco czy Côte d'Azur i środki na dojeżdżanie tam, nawet klasą turystyczną.

Nienawidzę podróżować jako turystka. Ja jestem warta pierwszej klasy. Prywatny odrzutowiec lepiej do mnie pasuje, ale nie powinnam liczyć na Linca...

Zaprosiła Seymoura Steiglera na kolację i razem próbowali rozwiązywać problemy i odpowiadać na pytania, które zwykle on stawiał. Większość dotyczyła strony prawnej różnych operacji.

-Musimy

uważać. Z obcokrajowcami trzeba

ostrożnie, Casey - przestrzegali. - Oni nie grają według starych, dobrych jankeskich reguł.

Gdy tylko zjedli kolację, zostawiła go i zabrała się za pracę. Gdy skończyła, zaczęła czytać „Fortune”, „Busi-ness Week”, „The Wal Street Journal” i kilka czasopism poświęconych biznesowi. Potem przerobiła kolejną lekcję kantońskiego. Na koniec zabrała się za powieść *Changi* Petera Marlowe'a. Poprzedniego ranka na ulicznym straganie nie opodal hotelu znalazła zaczytane, kieszonkowe wydanie. Bardzo się ucieszyła i zaczęła się targować o książkę. Pierwotnie cena wynosiła 22 dolary hongkongijskie, ale Casey zbiła do 7,55 czyli 1,50 dolara amerykańskiego. Zadowolona z siebie kontynuowała oglądanie wystaw. W jednym z kiosków zauważyła nowe

wydanie

kieszonkowe

*Changi*

za

5,75

hongkongijskich dolarów.

Skłęła starą kobietę ze straganu za oszustwo. Ale ta stara *hag* wcale cię nie oszukała, pomyślała. Ona była lepsza. Jeszcze przed chwilą chichotałaś, że pozbawiłaś ją zysku.

Spoglądała na Nathan Road. Rano doszła tamtędy jakieś półtorej mili do Drogi Granicznej. Znajdowała się na jej liście rzeczy do zobaczenia. Droga nie różniła się niczym od innych, były na niej znaki drogowe, panował

ruch, jedynie w 1997 roku wszystko, co znajduje się na północ od niej, przejdzie we władanie Chin. Wszystko. W

1898 roku Brytyjczycy wzięli w dziewięćdziesięcio-dziewięcioletnią dzierżawę ziemie znajdujące się pomię-

dzy Drogą Graniczną a rzeką Szam Czun oraz kilka wysp.

- To niemądre, prawda, Peter? - zwróciła się do Marlowe'a, którego spotkała przypadkiem w hotelowym foyer na herbacie.

- Teraz tak się wydaje - powiedział w zamyśleniu. -

Ale wtedy? Wtedy to musiało wyglądać rozsądnie, bo inaczej by tak nie postąpili.

- Tak, ale, na Boga, Peter, dziewięćdziesiąt dziewięć lat to krótko. Co ich opętało, że nie wzięli w dzierżawę na dłużej? Musieli postradać zmysły...

- Tak, teraz tak ci się może wydawać. Wtedy jednak, gdy brytyjski premier ryknął, to po całym świecie rozchodziła się fala strachu. Wtedy brytyjskie lwy naprawdę, były lwami. Czy mogli się przejmować kawał-

kiem ziemi, gdy należało do nich ćwierć świata? - Przypomniała sobie, że się uśmiechnęła. - Mimo to miejscowi utworzyli zbrojną opozycję na Nowych Terytoriach.

Oczywiście

została

unieszkodliwiona.

Ówczesny

gubernator, Sk Henry Blake się tym zajął. Nie walczył z nimi, tylko rozmawiał. W końcu starszyzna wiejska zgodziła się zmienić zdanie, pod warunkiem że będą podlegać chińskiemu prawu i miasto Koulun zostanie chińskie.

- Więc tutejsi mieszkańcy nadal podlegają prawu chińskiemu?

-

Tak, historycznemu, a nie prawu ChRL. Tak więc brytyjskie magistraty opierają się na konfucjonizmie.

A to naprawdę coś innego. Na przykład chińskie prawo uznaje, że każdy świadek kłamie, bo taki jest jego obowiązek. Do magistratu należy więc wyciągnąć z niego prawdę. Cywilizowani ludzie nie polegają na przysięgach, uważają, że barbarzyńcy zwariowali wprowadzając takie prawo. Wcale nie jestem pewien, że się mylą.

Wszystkie ich zwyczaje są szalone albo rozsądne, zależy z której strony na nie spojrzeć. Wiedziałaś, że według tego prawa można legalnie mieć więcej niż jedną żonę?

Oczywiście gdy jest się Chińczykiem.

-Powariowali!

Posiadanie więcej niż jednej żony naprawdę ma -  
swoje dobre strony.

-

Słuchaj, Peter - zaczęła niezwykle serio, ale nagle zdała sobie sprawę, że on żartuje. - Tobie nie potrzeba więcej żon. Masz Fleur. Co u was słychać? Jak idzie poszukiwanie materiału? Może Fleur zjadłaby jutro ze mną lunch, jeśli ty jesteś zajęty?

- Niestety, ona jest w szpitalu.

- O Boże, co się stało?

Opowiedział jej o porannym spotkaniu z doktorem Tooleyem.

- Właśnie u niej byłem. Nie za dobrze się czuje.

- Tak mi przykro. Mogę coś dla was zrobić?



- Nie, dziękuję. Chyba nie.

- Gdyby coś było potrzeba, tylko powiedz, zgoda?

- Tak, dziękuję.

- Linc słusznie zrobił, że skakał z nią do wody.

Naprawdę.

- Tak, oczywiście, Casey. Nie myśl, że... Linc zrobił to, co ja... on zrobił lepiej, niż ja bym potrafił... Linc zachował

się wspaniale. Ty także. Mam nadzieję, że pomogliście też tej drugiej dziewczynie; Rolandzie. Orlandzie Ramos.

-Tak.

- Powinna być wam do zgonnie wdzięczna. Obojgu.

Widziałem, jak wpadła w panikę. Milutka osóbką, prawda?

- Tak. Jak idzie poszukiwanie materiału?

- Dobrze, dziękuję.

- O, przy okazji, kupiłam twoją książkę. Jeszcze nie czytałam, ale mam zamiar natychmiast się zabrać za lekturę.

O, mam nadzieję, że ci się spodoba. - Casey przypomniała sobie, że Marlowe starał się zachować swobodny ton. - Cóż, muszę już iść, dzieci czekają.

- Pamiętaj, Peter, jeśli na coś ci się przydam, to dzwoń. Dziękuję za herbatę i pozdrów Fleur...

Casey przeciągnęła się, bolały ją plecy. Położyła się do łóżka. Jej sypialnia była niewielka i nie tak elegancka jak ich salon... jak jego salon. Uznał, że powinni mieć również drugą sypialnię.

Zawsze możemy wykorzystać ją na biuro - powie dział - albo trzymać na wszelki wypadek. Nie przejmuj się, Casey, może się okazać, że przyda się do odliczenia od podatku.

Trzyma ją dla Orlandy? Nie, jej ona nie byłaby potrzebna.

Casey, przywołała się do porządku, nie bądź złośliwa ani małostkowa. Ani zazdrosna. Dotąd nigdy nie byłaś aż tak zazdrosna. Sama ustaliłaś reguły i respektuj je.

Tamtej nocy byliśmy już tak blisko siebie... Ta Orlanda dobrze mu zrobi... Do diabła z nią.

Poczuła suchość w ustach. Poszła do lodówki i wyjęła butelkę zimnej wody mineralnej w ładnej butelce i zrobiło jej się przyjemniej. Ciekawe, skąd się w ziemi biorą te bąbelki, pomyślała kładąc się do łóżka. Już wcześniej próbowała zasnąć, ale myśli kłębiły jej się w głowie i umysł nie przestawał pracować. Tak wiele nowych rzeczy

- jedzenie, zapachy, powietrze, zwyczaje, ludzie, kultura.

Dunross, Gornt. Dunross, Gomt. Dunross, Gornt i Linc.

Inny Linc. I inna ty. Trzęsiesz się ze strachu jak świński ogon... tak, stałaś się wulgarna i to też jest w tobie nowe.

Przed przybyciem tutaj byłaś dynamiczna, pewna siebie, cały świat leżał u twoich stóp, a teraz nie. Wszystko przez nią, przez tę dziwkę lady Joannę z akcentem z wyższych sfer.

- Pamiętasz, że dzisiaj lunch w Klubie Po Trzydziestce?

Wspominałam ci na kolacji u tai-pana...

Cholerna stara suka! Po trzydziestce. Nie mam nawet dwudziestu siedmiu!

Tak, Casey, ale nie okłamuj się. Chodzi nie tylko o Orlandę i lady Joannę. Jest Linc i setki innych dziewczyn, na które dotychczas nie zwracałaś uwagi. A kapitan Jannel i nie dolał oliwy do ognia?

Zadzwoił o dziesiątej wieczorem i zaproponował, żeby z nim i resztą załogi wyskoczyła coś zjeść do Royal Netherlands. Serce jej zadrżało, gdy usłyszała telefon, bo pomyślała o Lincu, a gdy się okazało, że to nie on, udawała, że ma jeszcze wiele do zrobienia, ale dała się przekonać. Zamówiła sobie podwójne jaja na bekonie z tostami i kawą, chociaż wiedziała, że nie ma na nie ochoty.

Na znak protestu. Protestu przeciwko Azji, Hongkongowi, Joannie i Orlandzie. Jezu, jaka szkoda, że wpadła mi do głowy ta Azja i przekształcanie Par-Con w kompanię międzynarodową. Po co mi to było?

Bo tylko w tym kierunku może się rozwijać Par-Con.

Musi eksportować. W wielu kierunkach. A Azja to największy i najmniej zajęty rynek na świecie. A Dunross albo Gornt połączy się z nami dlatego, że my mamy najwięcej gotówki, najnowsze technologie i najlepszych ekspertów, żeby dostać się na ten rynek.

A dlaczego tak się upierałaś, żeby to był Hongkong?

Żeby zarobić pieniądze na ustawienie się, żeby zapeł-

nić czymś czas do urodzin, do zakończenia okresu siedmiu lat.

Zapłacisz za to, myślała, utratą pracy, utratą przyszłości i utratą Linca. Kilka godzin temu poszła z dokumentami do apartamentu Linca i zostawiła mu kartkę

z napisem „mam nadzieję, że dobrze się bawiłeś”. Gdy wróciła ze spotkania z załogą, zabrała kartkę z powrotem.

- Nie wygłupiaj się - głośno przywołała się do porządku.

To Orlanda doprowadza cię do takiego stanu. Nic nie szkodzi, jutro też jest dzień. Będziesz lepsza od Orlandy, pocieszyła się. Poczuli się trochę lepiej, gdy skupiła swą wrogość na jednej osobie.

Zwróciła uwagę na kieszonkowe wydanie książki Petera Marlowe'a. Wzięła ją, ułożyła i uklepała po-duszki i zaczęła czytać. Strony kleiły się do palców.

Nagle zadzwonił telefon. Podskoczyła z radości.

-

Cześć, Linc, jak się bawiłeś?

- Casey, to ja, Peter Marlowe, strasznie mi przykro, że tak późno dzwonię, ale chłopiec hotelowy sprawdził

twój pokój i zobaczył, że jeszcze pali się światło. Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

- Nie, Peter, nie. - Była zawiedziona.- O co chodzi?

Przepraszam, że tak późno, ale dzwoniли do mnie ze szpitala i... Mówiłaś, że gdybym potrzebował pomocy, to...

- Co się stało? - Casey myślała już zupełnie trzeźwo.

- Nie wiem. Poprosili tylko, żebym natychmiast przyjechał. Dzwonię w sprawie dzieciaków. Zostanie z nimi boy, jak zwykle, ale na wszelki wypadek chciałem położyć kartkę, żeby, jak się obudzą i będą chciały porozmawiać z jakąś przyjazną osobą, zadzwoniły do ciebie. Bardzo im się wczoraj spodobałaś. Pewnie się nie obudzą, ale tak na wszelki wypadek... Mogą do ciebie zadzwonić? Przepraszam...

- Oczywiście. A może od razu przyjdę?

- Nie, nie myślałem o tym. Jeśli...

- Nie śpię, a przecież mieszkacie po sąsiedzku. Żaden problem, Peter, już idę. Możesz jechać do szpitala.

Minutę zabrało jej założenie spodni, bluzki i kasz-mirowego swetra. Zanim zdążyła nacisnąć guzik windy, wyręczył ją Nocny Song z wytrzeszczonymi oczami.

Na dole wyszła z foyer, przeszła Nathan Road i weszła do drugiego budynku hotelowego. Czekał na nią Peter Marlowe.

- To pani Tcholak - powiedział pośpiesznie do portiera. - Zostanie z dziećmi aż do mojego powrotu.

- Tak, sir. - Euroazjata z równie wytrzeszczonymi oczami kiwnął głową. - Chłopiec zaprowadzi panią na górę. -

-

- Mam nadzieję, że nic się nie stało, Peter... - Przerwała. Był już za drzwiami i próbował złapać taksówkę.

Apartament na piątym piętrze był niewielki. Nocny Po na jej widok wzruszył ramionami i zaczął mrużyć pod nosem przekleństwa na barbarzyńców... Jakby on nie mógł zostać z dziećmi, z którymi co wieczór bawi się w chowanego.

Casey zamknęła drzwi i przeszła do dziecinniej sypialni. Obydwie dziewczynki spały na piętrowym łóżku, młodsza Jane na górze, a starsza Aleksandra na dole.

Obydwie miały blond włosy jak aniołki, z opadającymi na ramiona loczkami. Jak bardzo chciałabym mieć dzieci, dumiała. Z Linkiem.

Na pewno? Pranie pieluch, uwiązanie do jednego miejsca, bezsenne noce i brak wolności.

- Nie wiem, czy warto. Chyba warto. Dla takich dwóch jak te na pewno.

Casey nie wiedziała, czy przykryć je, czy nie. Było ciepło i postanowiła nie robić nic, żeby ich nie obudzić. W

lodówce znalazła butelkę wody i to ją odświeżyło i uspokoiło jej serce. Usiadła w wygodnym fotelu. Po chwili wyjęła z torebki książkę Petera i znów zaczęła czytać.

Dwie godziny później wrócił. Nie zauważyła, kiedy minął ten czas.

-

Och! - zawołała na widok jego miny. - Poroniła?

Skinał żałośnie głową.

- Przepraszam, że tak długo. Napijesz się herbaty?

- Jasne, Peter, ja się tym...

- Nie. Dziękuję. Wiem, gdzie co jest. Przepraszam, że sprawiłem ci kłopot.

- Zaden kłopot. Z Fleur wszystko w porządku?

- Tak, tak im się wydaje. Dostała skurczy brzucha, co doprowadziło do poronienia. Za wcześnie, żeby mieć stuprocentową pewność, ale lekarze twierdzą, że zagrożenie dla niej już nie istnieje. Taki wypadek to zawsze szok i fizyczny, i emocjonalny.

- Tak mi przykro.

Spojrzał na nią i zobaczył silną, pełną życia twarz.

- Nie przejmuj się, Casey, z Fleur wszystko będzie dobrze - zapewniał ze sztucznym spokojem. - Japoń-

czycy wierzą, że wszystko zaczyna się dopiero po uro-dzeniu. U chłopców w trzydzieści dni, a u dziewcząt w trzydzieści jeden. A przedtem nie ma duszy, nie ma osobowości, nie ma człowieka... - Odwrócił się do małej kuchenki i postawił czajniczek na ogniu. Starał się, aby jego słowa brzmiały przekonująco. - Dobrze w to wierzyć, nie? Wtedy to byłoby... tylko to. Do tej pory nie było osoby, więc nie jest tak źle. Nieprzyjemne dla matki, ale nie tak straszne. Przepraszam, ale chyba mówię bez sensu...

- Bynajmniej. Mam nadzieję, że Fleur jakoś to zniesie -

Casey chciała go uścisnąć i pocieszyć. Nie wiedziała, czy wypada. Starał się z całych sił zachować godność, nie załamać się, nie poddać nieszczęściu, jednak dla niej był

jak mały chłopiec.

-

Chińczycy i Japończycy naprawdę są bardzo rozsądni, Casey. Ich... Ich wierzenia ułatwiają życie.

W dawnych czasach śmiertelność noworodków była niewyobrażalnie duża i dlatego jakiś rozsądny ojciec wymyślił ten przesąd, aby oszczędzić matkom smutku.

- Westchnął. - Albo, co bardziej prawdopodobne, wy-myśliła to mądra matka, aby nie załamywać ojca.

Nonie?

- Chyba tak. - Pogрузyła się w zadumie. Obserwowała, jak przyrządza herbatę. Najpierw wlał wrzącą wodę do czajniczka, przepłukał go, wodę wylał. Trzy łyżeczki herbaty plus „jedna dla czajniczka”, a potem zalał je wrzącą wodą.

- Niestety, nie mamy ekspresowej. - Tacę z czajniczkiem i serwisem do herbaty przeniósł na stół. - Fleur uważa, że smakuje jak pomyje. Mleka? Cukru? -zapytał.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała. Nigdy nie dodawała niczego do herbaty.

. Smakowała dziwnie. Ale była mocna i stawiała na nogi. Pili w milczeniu. Uśmiechnął się.

- No i jak?

- Świetna!

Spojrzał na otwartą książkę.

-

Podoba mi się to, co dotąd przeczytałam, Peter.

Ile w tym prawdy?

Nalał sobie jeszcze jedną filiżankę.

-

Tyle ile można jej zawrzeć w książce napisanej piętnaście lat po wydarzeniu. Wszystkie wypadki są prawdziwe. Bohaterowie tej książki nie istnieją, chociaż istnieją ludzie tacy sami jak ci bohaterowie.

,

- Nie do wiary. Nie do wiary, że tacy młodzi ludzie mogli to przeżyć. Ile ty miałeś wtedy lat?

- Trafiłem do Changi jak miałem osiemnaście, a wyszedłem, jak miałem dwadzieścia jeden. - Kto w tej książce jest tobą?

- Chyba wcale mnie nie ma.

Casey postanowiła dać spokój. Na razie, dopóki nie skończy książki.

- Lepiej już pójde. Na pewno jesteś zmęczony.

- Nie, wcale nie. Mam jeszcze do zrobienia parę notatek. Odeśpię, gdy dziewczynki pójdą do szkoły. Ale ty musisz być z mordowana. Nie wiem, jak ci dziękować.

Kiedyś ci się zrewanżuję.

Uśmiechnęła się potrząsając głową. A po chwili spytała:

- Peter, ty tak wiele wiesz o tym miejscu. Z kim powinniśmy się związać? Z Dunrossem czy z Gorntem?

- W biznesie z Gorntem, na przyszłość z Dunrossem.

Jeśli przetrwa tę burzę, a z tego, co słyszałem, to mało prawdopodobne. .

- Dlaczego z Dunrossem na przyszłość?

- Dla zachowania twarzy. Gomtowi brakuje klasy, aby być tai-panem tai-panów. I koniecznego wykształcenia.

- Czy to takie ważne?

- Tutaj tak. Jeśli Par-Con chce istnieć i rosnąć w siłę, to z Dunrossem. Jeśli przygotowujecie się do szybkiego skoku i zarobienia pieniędzy, to z Gorntem.

Pogrążona w myślach dokończyła herbatę..

- Co wiesz o Orlandzie?

- Dużo - odparł natychmiast. - Ale plotki i legendy o żyjących osobach, to co innego niż plotki i legendy o postaciach z przeszłości, prawda?

Zastanowiła się.

- A w ramach rewanżu?

- To co innego. - Lekko zmrużył oczy. - Prosisz o to?

Odstawiła filiżankę i pokręciła głową.

- Nie, Peter. Nie teraz. Może kiedy indziej. - Zobaczyła, że marszczy brwi. - O czym myślisz? - zapytała.

- Zastanawiam się, co ci Orlanda zrobiła. To się na pewno wiąże z Linkiem. Chyba chodzi o to że on do niej poszedł. I to wyjaśniałoby, dlaczego kiedy zadzwoniłem, powitałaś mnie tak lodowato.

- Naprawdę?

- Tak, oczywiście, zauważyłem, że w Aberdeen Linc się za nią ogląda, ty za nim, a ona za tobą. - Upił łyk herbaty.

- To było przyjęcie. Wiele się na nim zaczęło. Wiele dramatów. Można patrzeć na nie z fascynacją, jeśli stoi się z boku. Ty nie stoisz z boku, prawda?

- Zawsze wszystko widzisz i słyszysz?

- Staram się być dobrym obserwatorem. Próbuję włączyć do tego oczy, uszy i wszystkie inne zmysły.  
Z

tobą jest to samo. Niewiele umyka twoim przenikliwym oczom.

- Może i tak...

- Orlandę ukształtował Hongkong i Gornt. Jeśli zamierzasz rywalizować z nią o Linca, musisz być

gotowa na prawdziwą bitwę. Jeśli oczywiście ona zdecyduje się go odbić, a tego nie jestem jeszcze pewien.

- Czy Gornt może nią sterować?

- Przypuszczam, że tak, skoro jest jego utrzymanką.

Taki już los dam, prawda?

- Większość dam, czy im się to podoba, czy nie, jest narzędziem mężczyzn.

- Z tego, co wiem o tobie, ty nie jesteś potwierdzeniem tej tezy.

- A co ty o mnie wiesz?

- Dużo - uśmiechnął się tajemniczo. - Między innymi to, że jesteś mądra, odważna i potrafisz zachować twarz.

- Jestem już zmęczona tą twarzą, Peter. W przyszło-

ści... - Ciepło się uśmiechnęła. - Z twojej książki wynika, że człowiek musi dbać o swój tyłek, czy jak wolisz, dupę, bo inaczej ją straci.

Roześmiali się.

- Powiedziałaś to jak dama.

- Nie jestem damą.

- O, ależ jesteś - zapewnił szczerze. - Widziałem, jak Linc na ciebie patrzył na przyjęciu u Dunrossa. On cię kocha. Głupio by postąpił łącząc się z Orlandą.

Dziękuję, Peter. - Wstała, pocałowała go i wyszła.

Uspokojona. Gdy znalazła się na swoim piętrze, natychmiast pojawił się Nocny Song i otworzył przed nią drzwi. Zobaczył, że zerknęła na drzwi do pokoju Linca.

- Pan nie wrócił - powiedział nie pytany. - Jeszcze go nie ma.

Casey westchnęła.

- Ty, przyjacielu, już straciłeś dupę.

- Co?

Zamknęła drzwi, była zadowolona z siebie. W łóżku znów zaczęła czytać. Skończyła książkę o świcie. Wtedy zasnęła.



9:25

Dunross z dużą prędkością wszedł jaguarem w zakręt, bez wysiłku wjechał pod górę, a potem skręcił i wjechał na podjazd. Zatrzymał się o cal od bramy w wysokim murze. Po chwili zza drzwi wyjrzał chiński portier.

Gdy rozpoznał tai-pana, otworzył bramę i machnął ręką.

Wewnętrzna droga zakrecała i kończyła się przy zdobionym w chińskim stylu ganku. Dunross wysiadł.

Drugi służący skinął głową na przywitanie. Teren był

dobrze utrzymany. Dunross zauważył kort, na którym grało czworo Chińczyków. Dwie nie znane kobiety i dwóch nie znanych mu mężczyzn. Nie zwrócili na Dunrossa uwagi.

- Proszę za mną, tai-pan - zwrócił się do niego służący.

Dunross starał się ukryć zdziwienie po wejściu do holu.

Z tego, co wiedział, po raz pierwszy ktoś został

zaproszony do domu Drepczącego. Ładne, lakowe antyki mieszały się z brzydkimi, nowoczesnymi bibelotami. Na pokrytych boazerią ścianach raziły niegustowne reprodukcje. Dunross usiadł. Kolejny służący podał mu herbatę.

Tai-pan czuł, że jest obserwowany, ale to było normalne. We wszystkich starych siedzibach, nawet w Wielkim Domu, znajduje się wiele dziur w ścianach i drzwiach.

Gdy rano o czwartej wrócił do Wielkiego Domu, poszedł prosto do swojego gabinetu i otworzył sejf. Nie pozostawiało żadnych wątpliwości, że jedna z dwóch połówek monet idealnie pasuje do woskowego odcisku od Wu Cztery Palce. Ręka drżała mu, gdy wyłamywał

połówkę monety z woskowej pieczęci z Biblii Dirka Struana i potem, gdy ją oczyszczał.

- Chryste - mruknął. - I co teraz? - Odłożył odcisk i monetę do sejfu. Spojrzał na naładowany pistolet i puste miejsce po teczkach Alana Medforda. Zamknął

sejf i poszedł do łóżka. Na poduszce znalazł kartkę:

„Drogi tato, możesz mnie obudzić, jak będziesz wychodził? Chcemy pójść na poranny trening.

Kocham,

Adryon. PS Mogę zaprosić Martina w sobotę na wy-

ścigi, proszę, proszę, proszę. PPS Myśle, że on jest super. PPPS Ty też jesteś super. PPPPS Późno wracasz,

no nie? Już 3:16!!!!"

Poszedł na palcach do jej pokoju, ale spała jak suseł. Gdy rano wychodził, zapukał do drzwi i obudził

ją.

- Adryon! Już wpół do siódmej.

- O, pada? - zapytała zaspanym głosem.

- Nie. Ale niedługo będzie. Rozsunąć zasłony?

- Nie, tato, dziękuję... Martin się nie obrazi. - Ziewnęła, zamknęła oczy i niemal natychmiast z powrotem głęboko zasnęła.

Rozbawiony delikatnie nią potrząsnął, ale wymamrotała tylko przez sen:

-

To nic, tato, Martin się...

Teraz przypomniał sobie, jaka jest piękna i co jej matka mówiła o pigułce. Postanowił na wszelki wypadek dokładnie sprawdzić Martina Haply'ego.

-

Ach, tai-pan, przepraszam, że pan czekał.

Dunross wstał i uścisnął wyciągniętą dłoń.

- Miło pana widzieć, panie Tip. Przykro mi z powo du przeziębienia.

Tip Tok-toh miał około sześćdziesięciu lat, siwe włosy i okrągłą, miłą twarz. Ubrany był w tuzurek, miał

przekrwione oczy, czerwony nos i mówił lekko zachrypniętym głosem.

-

To przez ten paskudny klimat. W zeszłym tygodniu żeglowałem z Szitii TCzungiem i musiałem się przeziębic. - Mówił po angielsku trochę z akcentem amerykańskim, a może kanadyjskim. Ani Dunross, ani Alastair Struan nie wiedzieli nic o jego przeszłości.

Johnjohn ani inni bankierzy nigdy niczego się nie dowiedzieli na temat jego pozycji w bankowych

kręgach w nacjonalistycznych Chinach przed 1949

rokiem. Nawet Szitii T'Czung i Phillip Czen, którzy spędzali z nim wiele czasu, niczego nie wiedzieli.

Chińczycy nadali mu przydomek Ostryga.

- Tak, pogoda była paskudna - przyznał uprzejmie Dunross. - Dzięki Bogu, że popadało.

Drepczący wskazał na stojącego obok mężczyznę.

-

To asystent, pan L'eung.

Mężczyzny tego nie sposób było opisać. Ubrany był

w szarą maoistowską bluzę i takie same spodnie.

Twarz miał chłodną, czujną i opanowaną. Skinął

głową. Dunross odpowiedział mu takim samym gestem. „Asystent” mógł zajmować wiele pozycji: od szefa do tłumacza, od komisarza do strażnika.

- Może kawy?

- Tak, dziękuję. Próbował pan brać witaminę C na przeziębienie? - Dunross cierpliwie zaczął oficjalną pogawędkę, która musiała poprzedzać rozmowę o rzeczywistym

powodzie

spotkania.

Poprzedniego

wieczora, gdy czekał na Briana Kwoka, doszedł do wniosku, że propozycja Johnjohna warta jest próby, więc zadzwonił do Phillipa Czena, żeby umówił go z Drepczącym. Oczywiście mógł zwrócić się do Tip Tok-toha wprost, ale byłoby to wbrew chińskiemu protokołowi. Cywilizowany sposób załatwiania takich spraw wymagał pośrednictwa przyjaciół. W takim wypadku, jeśli prośba została załatwiona odmownie, nikt nie tracił twarzy.

Jednym uchem tylko słuchał Drepczącego i bez zaangażowania prowadził grzeczną konwersację.

Zaskoczyło

go, że mimo obecności L'eunga

rozmawiają po angielsku. To mogło tylko oznaczać, że ów człowiek również płynnie mówi po

angielsku albo że nie zna szanghajskiego ani kantońskiego, w którym mogliby się jeszcze porozumiewać Drepczący z Dunrossem. Wymieniali zdawkowe uwagi do chwili, gdy bankier dał znać, że mogą przejść do sedna.

- Upadek pana akcji na giełdzie musiał być dotkliwy, tai-pan.

- Tak, faktycznie, ale to jeszcze nie upadek, panie Tip.

To tylko korekta. Akcje spadają i wzrastają.

- A pan Gornt?

- Quillan Gornt jak to Quillan Gornt. Jak zawsze depcze nam po piętach. Na niebie wszystkie wrony są czarne. - Dunross mówił rzeczowo, zastanawiając się, ile on wie.

-

A co z Ho-Pak? To też korekta?

-

Nie, to gorsza sprawa. Obawiam się, że Ho-Pak ma pecha.

- Tak, panie Dunross, ale pech nie ma tu wiele do rzeczy. Bankiera Kwanga pognębił kapitalistyczny ustrój.

Dunross nie skomentował tej uwagi. Obrzucił spojrzeniem siedzącego sztywno, bez ruchu L'eunga. Zastanawiał się, po co Drepczący mówi takie rzeczy.

- Ja nie mam wiele wspólnego z panem Kwangiem. Na nieszczęście szturm na Ho-Pak pociągnął za sobą kłopoty innych banków, co może zaszkodzić całemu Hongkongowi, a nawet Chińskiej Republice Ludowej.

- Niby w jaki sposób miałyby to nam zaszkodzić?

-

Chiny to Chiny, Państwo Środka. Noble House zawsze uznawał Chiny za matkę i ojca swojej kompani .

Teraz będący naszą siedzibą Hongkong znalazł się w oblężeniu. W gruncie rzeczy wcale nie prawdziwym, bo będącym jedynie efektem chwilowego braku zaufania i gotówki. Nasze banki mają wystarczające rezerwy, a nasza waluta trzyma się wystarczająco mocno, żeby nic się nie stało starym klientom, Starym Przyjaciołom i nam samym.

- Dlaczego więc nie wydrukujecie więcej pieniędzy?

- To tylko kwestia czasu, panie Tip. Nie można w jednej chwili wydrukować tak dużej ilości pieniędzy.

-

Mówił teraz spokojniej, bo wiedział, że pytania te zadawane są z powodu obecności L'eunga, co oznaczało, że jest on przełożonym Drepczącego, starszym członkiem partii i nie jest bankierem. - Tymczasowym rozwiązaniem będzie sprowadzenie kilku samolotów z fun-tami szterlingami. - Obydwaj Chińczycy lekko zmrużyli oczy.

- To nie zastąpi hongkongijskich dolarów.

- Nasi bankierzy o tym wiedzą, ale Blacs, Victoria i Bank of England doszły do wniosku, że to będzie najlepsze rozwiązanie. Po prostu nie mamy dość go-tówki, aby zaspokoić potrzeby naszych wierzycieli.

Zapadło milczenie. Dunross czekał. Johnjohn uświadomił

mu, że Bank Chiński prawdopodobnie nie ma rezerw w funtach szterlingach z powodu restrykcji nałożonych przez Wielką Brytanię, dysponuje za to walutą hongkongijską.

— Niedobrze jest osłabiać hongkongijskiego dolara -

odezwał się Tip Tok-toh. Głośno wydmuchał nos.

- Zwłaszcza dla Hongkongu.

-

Tak.

. Tip Tok-toh nachylił się.

- Czy to prawda, że Orlin Bank nie chce przedłużyć panu terminu spłaty?

Dunrossowi mocniej zabiło serce.

- Tak.

- I to, że pana najbliższy bank nie przejmie tej pożyczki i nie pożyczycy panu pieniędzy na odparcie ataku Rothwell-Gornt na pana akcje?

- Tak. - Dunross z zadowoleniem usłyszał, że mówi spokojnym głosem.

- I prawda, że wielu Starych Przyjaciół odmówiło panu kredytu?

- Tak.

- I prawda, że... niejaki Hiro Toda przyjedzie dzisiaj po południu i zażąda zapłaty za statki zamówione w jego japońskiej stoczni?

- Tak.

- I prawda, że Mata, Tung i ich Great Good Luck Company z Makau potroiła zamówienia na złoto, ale nie pomogła panu wprost?

- Tak.

- I prawda, że przekłeci sowieccy hegemoniści po raz kolejny chcą włączyć się do systemu bankowego Hongkongu?

Dunross natężył uwagę.

- Przypuszczam, że tak. Nie jestem pewien. Wiem o tym od Johnjohna, ale nie sądzę, żeby miał mnie oszukiwać.

- Co panu powiedział?

Dunross powtórzył rozmowę i zakończył:

- Oczywiście ja będę przeciwny pozytywnemu rozpatrzeniu ich prośby, to samo rady nadzorcze innych banków, wszyscy tai-panowie, a także gubernator.

Johnjohn wspominał, że hegemoniści zaproponowali natychmiastową pomoc w postaci dużej kwoty w dolarach hongkongijskich, aby wyciągnąć ich z obecnych tarapatów.

- Jeszcze kawy? - zaproponował Tip Tok-toh.

- Tak, poproszę. - Nalał mu L'eung i Dunross poczuł, że zrobił duży krok naprzód. Poprzedniej nocy napomknął

delikatnie o moskiewskim banku Phillipowi Czenowi, bo wiedział, że on potrafi odpowiednio przekazać tę informację, co spowoduje, że Tip Tok-toh uzna ją za ważny powód spotkania, a będzie miał dość czasu, żeby skontaktować się z ludźmi odpowiedzialnymi za podejmowanie decyzji. Dunross czuł, że wystąpił mu pot na czoło, i modlił się, aby żaden z Chińczyków tego nie zauważył. Niepokoił się coraz bardziej.

- Straszne, straszne - powtarzał w zamyśleniu Tip Tok-toh. - Co za czasy, że Starzy Przyjaciele opuszczają Starych Przyjaciół i zapraszają wrogów... Straszne. A przy okazji, tai-pan, jeden z naszych przyjaciół pyta, czy nie załatwiłby mu pan towaru. Chodzi, zdaje się, o tlenek toru.

Dunross zapanował nad sobą wielkim wysiłkiem woli.

Tlenek toru występował bardzo rzadko i używany był przy produkcji osłon do lamp gazowych. Dzięki niemu osłona emitowała białe światło. W zeszłym roku Dunross dowiedział się przypadkiem,

że, nie licząc Stanów, najwięcej tlenku toru zużywa Hongkong. Zdziwił się tym bardziej, że Struanowie nie byli zaangażowani w ten interes, a musi to być dochodowy towar. Szybko ustalił, że dostęp do tego materiału jest stosunkowo łatwy, a handel na wielką skalę prowadzą niemal tajnie mniejsi importerzy związani z bardzo ciemnymi interesami. W

naturze tor występuje w różnych radioaktywnych izotopach. Niektóre z nich można łatwo przerobić na rozszczepialny uran 235. Sam tor 232 również jest niezwykle cennym materiałem. Oczywiście te i inne odmiany toru jako materiały strategiczne są pod ścisłą ochroną, ale ze zdziwieniem odkrył, że tlenek i azotan, łatwe do otrzymania, nie są obwarowane żadnymi zastrzeżeniami i zakazami.

Nie można było odkryć, dokąd wędruje tlenek toru.

Dunross nie miał jednak wątpliwości, że do Chin. Już od dłuższego czasu i on, i inni podejrzewają ChRL o realizację programu atomowego, choć wszyscy byli przekonani, że jest to jeszcze początkowa faza i od uzyskania jakichkolwiek wyników dzieli ich jeszcze co najmniej dziesięć lat. Myśl o chińskiej broni jądrowej napełniała go mieszanymi uczuciami. Z jednej strony, rozprzestrzenianie się broni atomowej jest niebezpiecznym zjawiskiem. Z drugiej jednak strony, z taką mocą Chiny natychmiast stałyby się równorzędnym rywalem sowieckiej Rosji.

Dunross zauważył, że obaj mu się przyglądają. Na skroni L'eunga pulsowała mała żyłka, choć jego twarz pozostawała bez wyrazu.

- To byłoby możliwe, panie Tip Tok-toh. Ile i na kiedy byłoby to potrzebne?

- Chyba od razu i ile się uda zgromadzić. Jak pan wie, w ChRL mamy przeważnie oświetlenie gazowe i wymaga ono modernizacji.

- Oczywiście.

- Skąd można zdobyć te tlenki i azotany? .

- Najszybciej prawdopodobnie z Australii , chociaż w tej chwili trudno mi jest określić jakość ich towaru. Poza Stanami Zjednoczonymi wchodzi w grę jeszcze Tasmania, Brazylia, Indie, Afryka Południowa, Rodezja, Ural... tam są duże złoża. - Żaden z nich się nie uśmiechnął. - Sądzę, że Rodezja i Tasmania będą najodpowiedniejsze. Czy jest ktoś do kogo ja albo Phillip Czen mamy się w tej sprawie zgłosić?

- Tak, do pana Vee Cee Nga w Princes Building.

Dunross niemal gwizdnął, gdy kolejny kawałek układanki znalazł swoje miejsce. Vee Cee Ng, Fotograf Ng, blisko się przyjaźnił z Tsu-ianem, Dunrossa znajomym i współnikiem, który w tajemniczy sposób uciekł do Chin przez granicę w Makau. Tsu-ian importował tor. Aż do teraz nie miało to żadnego znaczenia.

- Znam pana Nga. A propos, jak tam mój przyjaciel Tsu-ian?

L'eung spojrzał uważniej. Cóż za zacięte spojrzenie, pomyślał Dunross. Był przejęty tym, że nigdy nie

podejrzewał Tsu-iana o to, iż jest komunistą, czy choćby że utrzymuje z komunistami jakieś związki.

Tsu-ian? - Drepczący zmarszczył brwi. - Nie widziałem go już z tydzień, a co?

- Słyszałem, że pojechał z Makau do Pekinu.

- Dziwne! Bardzo dziwne! Ciekawe, dlaczego tak zrobił, przecież to wielki kapitalista. No, ale ciekawość niczego tu nie wyjaśni. Jeśli będzie pan uprzejmy skontaktować się z panem Ngiem, on na pewno przybliży panu tę kwestię i poda jakieś szczegóły.

- Porozmawiam z nim jeszcze dzisiaj rano. Jak tylko wrócę do biura.

Dunross czekał. Wiedział, że kto inny będzie musiał

wydać pozwolenie na spełnienie jego prośby. Zastanawiał się nad ich zamówieniem, nad tym, jak zdobędzie tlenek toru, czy go w ogóle zdobędzie, chciał też wiedzieć, w jakim stopniu zaawansowania znajduje się program atomowy ChRL, choć nie liczył na uzyskanie takiej informacji. L'eung wyjął paczkę papierosów i po-częstował go.

- Nie, dziękuję.

Obydwaj Chińczycy zapalili. Drepczący zakasłał i wydmuchnął nos. '-Dziwne, tai-pan - orzekł - bardzo dziwne, że pomagasz Victorii i Blacs, i innym kapitalistycznym bankom, podczas gdy chodzą słuchy, że one nie wesprą cię w potrzebie.

- Może zauważą błędy w swoim postępowaniu i zreflektują się - odparł Dunross. - Czasami należy zapomnieć o niesnaskach, kiedy chodzi o dobro publiczne. Źle by się stało, gdyby Państwo Środka utraciło Hongkong. - Zauważył cień pogardy na twarzy L'eunga, ale nie przejmował się. - Stary chiński zwyczaj każe pamiętać o Starych Przyjaciółach, o tych, którym się ufa. Dopóki jestem tai-panem Noble House i mam władzę, panie Tip, to ja i tacy jak ja, na przykład pan Johnjohn i gubernator, będziemy darzyć dozgonną przyjaźnią Państwo Środka i nie pozwolimy hegemonistom panoszyć się na naszej wyspie.

- To nasza wyspa - zaprotestował Drepczący - tylko obecnie administrują nią Brytyjczycy, nieprawdaż?

- Hongkong zawsze należał i należy do Państwa Środka.

- Na razie puśćmy w niepamięć pańskie wcześniejsze, niefortunne stwierdzenie, ale całe Nowe Terytoria i Koulun na północ od Granicznej Drogi za trzydzieści pięć lat wrócą do nas. Chociaż my wcale nie zaakcep-towaliśmy nierównych umów wymuszonych na naszych przodkach.

- Moi przodkowie zawsze uważali swoich Starych Przyjaciół za bardzo mądrych. Żaden mężczyzna nie ucina swojej Pałki, aby wsunąć ją do Nefrytowych Wrót.



Drepczący roześmiał się. L'eung nadal siedział z wrogą miną.

- Jak pan sądzi, panie Dunross, co się stanie w ty-siąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku?

- Nie jestem jasnowidzem i nie nazywam się Stary Ślepy Tung, panie Tip. - Dunross wzruszył ramionami.

- I w tyśiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku

Starzy

Przyjaciele

pozostaną

Starymi

Przyjaciółmi. *Heyal*

- Jeśli pański bank - podjął po chwili przerwy Tip Tok-toh - ani Orlin, ani Starzy Przyjaciele nie pomogą panu, to jak pan utrzyma Noble House?

- O to samo Wielki Szlachetny Żin-kua zapytał

kiedyś mojego przodka Zielonookiego Diabła, którego osaczyli wrogowie: Tyler Brock i inni, a on tylko roze-

śmiał się i powiedział: *Neng cze to lao*. Zdolny człowiek dźwiga wiele brzemion. Ja, ponieważ jestem zdolniejszy niż większość ludzi, muszę się napocić więcej niż inni.

Tip Tok-toh uśmiechnął się.

- I poci się pan, panie Dunross?

- No, można to tak ująć. Staram się unikać osiemdziesiątego czwartego. Jak pan wie, Budda powiedział, że każdy człowiek ma osiemdziesiąt trzy brzemiona. Jeśli uda mu się wyeliminować jedno, na to miejsce pojawia się inne. Tajemnica życia polega na tym, żeby unieść osiemdziesiąt trzy i za wszelką cenę nie dopuścić do osiemdziesiątego czwartego.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się.

- Zastanawia się pan nad sprzedażą części kompanii? Może nawet pięćdziesiąt jeden procent.

- Nie, panie Tip. Stary Zielonooki Diabeł zakazał

tego. On chce, żebyśmy się pocili.

- Miejmy więc nadzieję, że się pan nie przepoci. -

Zgasił papierosa. - W trudnych czasach dobrze by zrobiło Bankowi Chińskiemu, gdyby zacieśnił związki z waszym systemem bankowym. Wtedy ten kryzys nie byłby aż tak dotkliwy.

Dunross od razu postanowił iść za ciosem.

- Zastanawiam się, czy Bank Chiński nie mógłby rozważyć powołania stałej jednostki kontaktującej się z Victorią i oczywiście takiej samej u was? - Zauważył

lekki uśmiezek i dodał: - To pozwoliłoby zabezpieczyć się przed wszelkimi kryzysami i mogliśmybyśmy podejmować współpracę nawet na skalę międzynarodową.

-

Przewodniczący Mao zaleca samopomoc i my postępujemy zgodnie z jego słowami. Pańska sugestia warta jest rozważenia. Z przyjemnością ją przedstawię odpowiednim ludziom.

- Na pewno bank na tym skorzysta, jeśli wydeleguje pan kogoś, kto będzie pośredniczył między tamtymi bankami a wielkim Bankiem Chińskim.

- I to chętnie przekażę dalej. Myśli pan, że Blacs i Victoria pomogą panu Ngowi dokonać wymiany na odpowiednią walutę?

- Z pewnością będą zaszczyceni. Zwłaszcza Victoria. Mimo wszystko ma ona stuletnią tradycję we współpracy z Chinami. Czyż nie oni finansowali waszą kolej i wasze lotnictwo?

- Z dużym zyskiem - odparł chłodno Tip Tok-toh.

L'eung spojrział na Dunrossa. - Z kapitalistycznym zyskiem - dodał Drepczący.

- Tak - rzekł Dunross. - Musicie nam, kapitalistom to wybaczyć, panie Tip. Chyba jedyną naszą obroną jest

to, że wielu z nas jest Starymi Przyjaciółmi Państwa Środka.

L'eung zagadnął Tip Tok-toha w dialekcie, którego Dunross nie rozumiał. Drepczący odpowiedział z przejęciem. Obydwaj z powrotem popatrzyli na Dunrossa.

- Przepraszam, ale muszę pana już przeprosić, panie

Dunross. Powinienem zażyć leki. Może zadzwoni pan do mnie po lunchu? Około wpół do trzeciej.

Dunross wstał, nie był pewien, czy mu się udało, ale wiedział, że musi się szybko zająć tym torem, na pewno przed 14:30.

- Dziękuję za spotkanie.

- Co z piątą gonitwą? - zapytał chiński bankier odprowadzając go do drzwi.

- Tak czy owak, warto postawić na Noble Star.

- A na Butterscotch Lass?

- Też.

- A na Pilot Fish?

Dunross roześmiał się.

-

To dobry ogier, ale zupełnie innej klasy. No, chyba że pomoże mu Bóg albo diabeł.

Stali przy frontowych, szeroko otwartych przez służącego drzwiach. Znow L'eung powiedział coś w niezrozumiałym

dialekcie i znow Tip Tok-toh

odpowiedział z przejęciem. Wyszli na zewnątrz, a L'eung ruszył w stronę kortu.

- Chciałbym, aby poznał pan naszego nowego przyjaciela, panie Dunross - zaproponował Drepczący.

- W przyszłości, jeśli będzie pan chciał, moglibyście zrobić wiele, wiele interesów.

Dunross zobaczył jego lodowate spojrzenie i minął mu dobry nastrój.

U boku L'eunga podszedł do nich przystojny czter-dziesięcioletni Chińczyk. Miał kruczoczarne włosy rozwiane podczas gry. Ubrany był w strój do gry w tenisa. Na korcie pozostała trójka czekała na niego i spoglądała w ich stronę. Wszyscy byli przystojni i dobrze ubrani.

- Przedstawiam panu doktora Josepha Ju z Kalifornii.

Oto pan Ian Dunross.

- Witam, panie Dunross - powiedział Ju z amerykańską zażyłością. - Pan Tip opowiadał mi o panu i o Struanach. Miło mi pana poznać. Pan Tip uważa, że powinniśmy się zaznajomić, zanim wyjadę. Jutro ja i Betty, moja żona - wskazał na kort - jedziemy do Chin.

Nie spodziewamy się, żebyśmy mogli wkrótce tutaj wrócić, więc chciałbym umówić się z panem na spotkanie w Kantonie za jakiś miesiąc. - Spojrzał na Drepczącego. -

Nie będzie problemów z wizą dla pana Dunrossa?

- Nie, doktorze, na pewno nie.

- Świetnie. Czy jeśli zadzwonię ja albo pan Tip, będziemy mogli umówić się na coś w rodzaju kilkunastu spotkań?

- Oczywiście, jeśli z dokumentami będzie wszystko w porządku. - Dunross uśmiechnął się widząc, że Drepczący ochoczo potakuje. - A jakie pan ma propozycje?

- Przepraszam - wtrącił Tip Tok-toh. - Zostawimy panów samych - zaproponował grzecznie i razem z L'eungiem wrócili do domu.

Jestem ze Stanów - zaczął otwarcie Ju. - Urodziłem się w Ameryce w Sacramento, a moja rodzina od trzeciego pokolenia zamieszkuje w Sacramento, przez jakiś czas kształciłem się w Kantonie. Doktorat zrobiłem w Stanford, skończyłem inżynierię powietrzną. Specjalizuję się w rakietach i paliwie raketowym. Najlepsze lata swojego życia spędziłem w NASA, nie licząc college. -

Doktor Ju już się nie śmiał. - Będę zamawiał sprzęt związany ze skomplikowaną metalurgią i sprzęt latający.

Pan Tip twierdzi, że można na panu polegać jako na importerze, że jest pan w tym najlepszy. W grę wchodzi fabryki brytyjskie, francuskie, niemieckie i japońskie. Jest pan zainteresowany?

Dunross słuchał z rosnącą ciekawością, której wcale nie starał się ukryć.

- Jeśli nie będą to towary strategiczne albo objęte zakazem, to tak.

- Będą jak najbardziej strategiczne i objęte ścisłą kontrolą i surowym zakazem. Jest pan zainteresowany?

-

Dlaczego mi pan o tym mówi, doktorze Ju?

Amerykański Chińczyk uśmiechnął się.

- Zamierzam

zreorganizować

chiński

program

zbrojeniowy. — Uważnie się wpatrywał w Dunrossa. -

Sądzi pan, że jest to zaskakująca wiadomość?

- Tak.

- Ja też. - Spojrzał na żonę, a potem z powrotem na Dunrossa. - Pan Tip twierdzi, że można panu ufać.

Czuje, że jest pan uczciwy. Wkrótce przeczyta pan o moim zniknięciu, uprowadzeniu i inne bzdury na mój temat i chcę, żeby pan wiedział, że to kłamstwo. Będzie pan mógł przekazać CIA, a przez nich ludziom z góry, całą prawdę. - Westchnął głęboko. - Wyjechałem ze Stanów z własnej woli. Moja żona też. Od trzech pokoleń ja i moja rodzina mieszkaliśmy w Stanach, a Amerykanie pomiatali nami. Mój ojciec brał udział w pierwszej wojnie światowej, a ja pomagałem przy Wielkim Wybuchu.

Kielich goryczy przepelnił się dwa miesiące temu, szesnastego czerwca. Razem z Betty chcieliśmy kupić dom w Beverly Hills. Zna pan Beverly Hills w Los Angeles?

- Tak.

Odmówiono nam, bo jesteśmy Chińczykami. Wyszedł

taki skurwiel i mówi: „Pieprzonym złotkom nie sprzedaję”. To nie było pierwszy raz, ale ten skurwysyn rzucił to przy Betty i nie wytrzymałem. Tego już było za wiele. - Zasznurował ze złości usta. - Wyobraża pan sobie, jaki to idiota? Ja jestem najlepszy w swojej dziedzinie, a taki koński wypierdek mówi mi „Pieprzonym złotkom nie sprzedaję”. - Zaciśnął w dłoni raketę tenisową. - Powie im pan?

- Chce pan, żebym przekazał tę informację prywatnie czy oficjalnie? Jeśli pan sobie życzy, powtórzę rozmowę z panem.

- Chcę, żeby pan przekazał tę informację prywatnie do CIA, ale nie wcześniej niż w poniedziałek przed osiemnastą. Dobrze? A w przyszłym miesiącu, po naszym spotkaniu w Kantonie, publicznie, dobrze?

- Oczywiście. Może pan podać mi nazwisko i adres tego sprzedawcy domów?

Ju wyjął kartkę z przepisany na maszynie adresem. Dunross obejrzał.

- Dziękuję - powiedział. Na kartce znajdowały się dwa nazwiska i adresy. - Obydwaj odmówili w taki sam sposób?

- Tak.

- Zajmę się tym w pańskim imieniu, doktorze Ju.

- Uważa pan, że to drobnostka, panie Dunross?

- Nie, bynajmniej. Przykro mi, że tak się stało i że tak się wszędzie dzieje. Pomiędzy wszystkimi ludźmi. To smutne. - Dunross zawahał się. -I w Chinach, i w Japonii, i tutaj, i na całym świecie. Takie sytuacje przytrafiają się Chińczykom, Japończykom, Wietnamczykom i innym.

Wszyscy ludzie potrafią być czasami nietolerancyjni. A czy na nas nie mówi się *quai loh*?

- W Stanach to nie powinno się było zdarzyć.

- Sądzi pan, że mieszkając w Chinach, będzie pan mógł spokojnie podróżować?

- Nie. Ale mam to gdzieś. Jadę tam z własnej woli. Nie zostałem ani przekupiony, ani też nie szantażowano mnie.

-

A co z NASA? Jestem zaskoczony, że pozwolili, aby coś takiego zaszło.

- O, oferowano nam piękne domy, ale nie były to te, w których my chcielibyśmy mieszkać. Betty pragnęła mieć dom tam i chociaż mamy dość pieniędzy, żeby za niego zapłacić... nie mogliśmy. Nie chodziło tylko o tego skurwiela, także o sąsiedztwo. - Ju odgarnął włosy z czoła. - Nie byliśmy tam pożądanymi obywatelami, więc wyjechałem, gdzie mi się podobało. Co pan sądzi o Chinach mających własne rakiety jądrowe? Jak Francja.

Co pan o tym sądzi?

- Takie rakiety napawają mnie przerażeniem bez względu na to, w czyim są posiadaniu.

- To po prostu broń naszych czasów, panie Dunross.

Po prostu broń naszych czasów.

-

Jezu Chryste! - zawołał Johnjohn.

Havergill był nie mniej wstrząśnięty.

- Czy doktor Ju jest naprawdę najlepszym specjalistą, Ian?

- Jak najbardziej. Dzwoniłem do znajomego w Waszyngtonie. Ju jest jednym z dwóch czy trzech specjalistów od rakiet i paliwa raketowego. - Było już po lunchu. Dunross właśnie im zrelacjonował, co udało mu się rano załatwić. - Prawda także, że nikt nie wie o jego wyjeździe. Wiadomo tylko, że spędza wakacje na Hawajach. Doktor Ju zaznaczył w rozmowie ze mną, że jechał zupełnie jawnie.

- Chryste! - powtórzył Johnjohn. - Jeśli Chiny będą mieć takich ekspertów jak on... - Podniósł nóż do rozcinania papieru leżący na biurku Havergilla. - Ian, zastanawiałaś się nad opowiedzeniem tego Rogerowi Crosse'owi albo Rosemontowi, żeby temu zapobiec?

- Oczywiście, ale to niemożliwe. Absolutnie niemożliwe.

Niby dlaczego? Zastanowiłeś się dobrze, jakie to ryzyko?

- Havergill zdenerwowany spoglądał za okno. Trzynastcie pięter niżej niecierpliwy, pełen złości tłum próbował

wedrzeć się do banku. Policja musiała być surowa. - Nie łudźmy się! Trwa szturm, a my spadamy na łeb, na szyję. Pieniądzy wystarczy nam tylko na dzisiejsze wypłaty i na pensje dla urzędników rządowych. Dzięki Bogu, jutro sobota! Skoro Ian uważa, że jest szansa na uzyskanie pieniędzy z Chin, w żadnym razie nie można nadszarpnąć takiego zaufania! Słyszałeś, Ian, że Ho-Pak zamknął drzwi?

- Nie. Odkąd wyszedłem od Drepczącego żadne informacje do mnie nie dotarły.

- Czing Prosperity też zamknęli, Bank Dalekiego Wschodu

i

Indii

również

stoi

przed

niebezpieczeństwem. W Blacs podobnie jak my robią bokami i modlą się, żeby przetrzymać ostatnie pół

godziny. - Wskazał na telefon.

- Ian zadzwoń do Drepczącego. Jest wpół do trzeciej.

Dunross całkowicie panował nad sobą.

- Najpierw muszę ustalić parę rzeczy, Paul. Co z importem toru? - Havergill opowiedział, że skontaktował się z Fotografem Ngiem, który zapewnił, że może

złożyć zamówienie na taką ilość, jaką się uda uzyskać.

- Zapewnicie im wymianę waluty?

- Tak, pod warunkiem, że transakcja nie jest objęta zakazem.

- Daj mi to na piśmie.

- Przed zakończeniem godzin urzędowania. Zadzwoń już do niego.

- Za dziesięć minut. Chodzi o zachowanie twarzy.

Zgadzasz się na stałe przedstawicielstwo Banku Chiń-

skiego w tym budynku?

- Tak. Jestem pewien, że oni do siebie nie wpuszczą żadnego z naszych, ale nic nie szkodzi. -

Havergill spojrział na zegarek, a potem na Johnjohna. -

Dla zabezpieczenia będziemy mogli zmodyfikować jakieś procedury. No, nie?

Johnjohn skinął głową.

- Tak, ale to nie rozwiąże żadnego problemu, Paul.

Jeśli wydelegują Drepczącego, to pół biedy, Ian, myślisz, że to możliwe?

- Nie wiem. Co sądzicie o interesie z Ju?

- Nie możemy finansować przemytu - zastrzegł

Havergill. - Będziesz musiał wykładać swoje pieniądze.

Kto tu mówi o przemycie?

- Będziemy musieli bardzo uważnie przyrzeć się interesom Ju, gdy poprosisz o nasz udział.

- Daj spokój, Paul, dobrze wiesz, że zawsze tak jest, jeśli dochodzi do transakcji. Gdyby było coś nie tak, nie poznawaliby mnie z nim.

- Możemy to przedyskutować, Ian - wtrącił Johnjohn. - Kiedy przyjdzie czas, pomożemy. To samo powiedziałeś Ju, że ma czekać, a na razie żadnych postanowień, no nie?

- Ale zgadzacie się zaoferować swoją pomoc?

- Tak, w tej sprawie i w sprawie toru.

- A co z moim kredytem?

- Nie mogę ci udzielić. - Nie ustępował HaVergill.

- Już o tym rozmawialiśmy.

- Zwołaj radę. Od razu.

- Zastanowię się. Zobaczmy, jak się rzeczy mają.

- Paul Havergill nacisnął guzik i powiedział do mikrofonu: - Proszę z giełdą.

- Tak, panie Havergill? - dobiegł ich głos z głośnika.



W tle słyszeli niezwykle hałasy.

- Charles, jakie są ostatnie notowania?

- Indeks spadł o dwadzieścia osiem punktów...

- Obydwaj bankierzy zbledli. Na skroni Dunrossa za-częła pulsować mała żyłka. - ...wygląda na to, że mamy

początek paniki. Bank spadł o siedem punktów? Noble House do jedenastu i pół...

- Chryste! - mruknął Johnjohn.

- ...Rothwell-Gornt o siedem w dół, Hong Kong Power o pięć, Asian Land jedenaście... wszystko spada. Ho-Pak zostały zamrożone na dwanaście, ale jak je odmrożą, spadną do dolara. Bank Dalekiego Wschodu i Indii wypłaca maksimum tysiąc na klienta.

Havergill zdenerwował się jeszcze bardziej. To był

jeden z największych banków w kolonii.

- Nie chciałbym być pesymistą, ale wszystko tak wygląda jak w dwudziestym dziewiątym w Nowym Jorku. Sądzę... - zawiesił głos, a potem nagle krzyknął:

- Przepraszam, ale właśnie pojawiła się oferta sprzedaży

dwustu tysięcy akcji Struanów.

- Chryste, skąd, u diabła, bierze się tyle tych akcji? -

zapytał Johnjohn.

- Od każdego Toma, Dicka i Henry'ego w Hongkongu

- powiedział chłodnym tonem Dunross. - Łącznie z Victorią.

- Musimy chronić interesy naszych klientów - podkreślił

Havergill. - Dziękuję, Charles - dodał do mikrofonu. -

Zadzwoń za piętnaście trzecia. - Wyłączył głośnik. - Oto odpowiedź na twoją prośbę, Ian. Nie mogę z pełną odpowiedzialnością zaproponować radzie, żeby pożyczyć ci kolejne sto milionów bez żadnego zabezpieczenia.

- Zwołasz zebranie czy nie?

- Twoje akcje wciąż spadają. Brakuje ci aktywów do powstrzymania giełdowego ataku. Twoje udziały w banku już są zawieszane. Wartość Noble House z każdą chwilą maleje. W poniedziałek

albo we wtorek Gornt zacznie odkupować i przejmie kontrolę na Struanami.

- Pozwoliłbyś, żeby Gornt nas przejął? - Dunross wpatrywał się w Havergil a z powątpiewaniem. - Nie wierzę. Wykupiłbyś przed nim. A może zawarłście już umowę o podziale Struanów?

- Nie. Jeszcze nie. Ale jak zrezygnujesz ze Struanów, zgodzisz się na piśmie sprzedać nam tyle swoich udziałów w banku, ile zechcemy po cenie obowiązującej w momencie zamknięcia giełdy w poniedziałek, zgodzisz się wyznaczyć nowego tai-pana z naszej rady, ogłosimy, że podtrzymamy Struanów.

- Kiedy chciałbyś o tym powiadomić?

- W poniedziałek o wpół do czwartej.

- Innymi słowy nie dasz mi nic.

- Zawsze twierdziłeś, że najlepszą rzeczą w Hongkongu jest całkowicie wolny rynek, na którym silni przeżywają, a słabi upadają. Dlaczego nie poprosiłeś Sir Luisa, żeby zawiesił obrót twoimi akcjami?

- Prosiłem, ale odmówił.

- Dlaczego?

Bo Struanowie są silni jak zawsze.

- A nie chodziło ci czasem o zachowanie twarzy? O

głupią dumę? Przykro mi, ale nie potrafię zatrzymać tego co, nieuchronne.

- Bzdury! - fuknął Dunross, a Havergil poczerwieniał. -

Możesz zwołać radę. Możesz...

- Nie będzie żadnego zebrania!

- Ian, Paul, posłuchajcie... - Johnjohn starał się załagodzić sytuację. - A co powiecie na taki kompromis: jeśli dostaniemy z Chin pieniądze, to Paul zwoła nadzwyczajne zebranie, jeszcze dzisiaj. To się da zrobić, bo w mieście jest obecnie wystarczająca liczba członków. Tak będzie uczciwie.

Havergil zawahał się.

- Rozważę to.

- To za mało - stwierdził Dunross.

- Ja to rozważę, a ty zadzwoń do Drepczącego...

- Kiedy będzie zebranie, jeśli będzie?

- W przyszłym tygodniu.

- Nie, dzisiaj. Tak jak mówi Johnjohn.

- Obiecałem, że to rozważę. A teraz proszę, zadzwoń do Drepczącego.

- Jeśli zagwarantujesz zwołanie zebrania nie później niż do jutra o dziesiątej.

- Nikt mnie nie będzie szantażował! Jak nie chcesz dzwonić do Drepczącego, sam to zrobię. Teraz już mogę. Jeśli chcą nam pożyczyć pieniądze, to pożyczą niezależnie od tego, kto do nich zadzwoni. Ty się umawiałeś w sprawie toru, ty ustalałeś na przyszły miesiąc spotkanie z Ju. A my zgodziliśmy się sfinansować tę transakcję, obojętnie, kto będzie kontrolował Noble House. Nie w mojej mocy jest udzielanie ci dalszych kredytów. Więc możesz dzwonić albo nie.

Rozważę zwołanie zebrania, zanim zostanie otwarta w poniedziałek giełda. To wszystko, co mogę obiecać.

Zapadło milczenie.

Dunross wzruszył ramionami. Podniósł słuchawkę i wybrał numer.

-

*Weiif!* - zapytała aroganckim tonem kobieta.

- Proszę ze Szlachetnym Tip Tok-tohem - odezwał się po kantońsku. - Tu tai-pan.

- Ach, tai-pan, proszę chwilkę poczekać.

Na podbródku Johnjohna gromadziły się kropelki potu.

- *Weiii?* Tai-pan? On jest bardzo chory, właśnie przyszedł lekarz. Proszę zadzwonić później. - Odłożyła słuchawkę, zanim Dunross zdążył coś odpowiedzieć.

Zatelefonował jeszcze raz.

- Mówi tai-pan, chcę...

- Jest chory! - krzyknęła *amah*. - Proszę zadzwonić później.

Dunross próbował uzyskać połączenie za dziesięć minut, ale wciąż było zajęte. Wybierał numer jeszcze kilka razy, lecz bez powodzenia.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł przełożony kasjerów.

- Przepraszam, sir, ale kolejki nie zmniejszają się, a zostało jeszcze piętnaście minut. Proponuję, żeby ograniczyć wypłaty do, powiedzmy, tysiąca...

- Nie - natychmiast odparł Havergil .

- Ależ, sir, już prawie nie mamy pieniędzy!

- Nie. W Victori to nie może się zdarzyć. Nie może! Nie!

Proszę wypłacać co do pensa.

Starszy człowiek zawahał się, ale wyszedł. Havergil potarł czoło. Johnjohn także. Dunross jeszcze raz wybrał

numer. Nadal zajęte. Tuż przed trzecią telefonował po raz ostatni,

potem

zadzwoił

do

przedsiębiorstwa

telekomunikacyjnego, żeby sprawdzili numer.

-

Chwilowo nieczynny - usłyszał.

Dunross cmoknął i rzucił beznamiętnym tonem:

- Dwadzieścia do jednego, że odłożona słuchawka.

- Spojrzał na zegarek, była minuta po trzeciej. - No, zobaczymy, co na giełdzie.

Havergill potarł ręce. Zanim poprosił o rozmowę z maklerem, zadzwonił telefon.

- Sir, tu przełożony kasjerów. Już zamknęliśmy.

Zapłaciliśmy ostatniemu klientowi. Drzwi zamknięte.

W Blacs to samo. -

Dobrze.

Proszę

przeliczyć

pozostałą walutę i zadzwonić.

- Dzięki Bogu, że to piątek. Havergil połączył się z giełdą.

- Charles? Co słyhać?

- Na zakończenie indeks spadł o trzydzieści siedem punktów. Nasze akcje o osiem.

- Chryste! - westchnął Johnjohn. Jeszcze nigdy kurs ich banku nie spadł tak nisko, nawet podczas zamieszek w pięćdziesiątym szóstym roku.

- A Struanowie?

- Dziewięć i pół.

Obydwaj bankierzy spojrzeli na Dunrossa. Żaden mięsień nie drgnął mu na twarzy. Makler wymieniał ceny, a on cały czas dzwonił do Drepczącego. Ciągłe zajęte.

- Zadzwoń jeszcze z biura. Jak tylko z nim porozmawiam, zaraz się z wami skontaktuję: Co zrobicie, jak nie dostaniecie pieniędzy z Chin?

- Są tylko dwa rozwiązania. Zaczekamy na funty, gubernator obiecał, że jeśli będzie trzeba, ogłosi nam w poniedziałek wakacje bankowe. Drugą ewentualnością jest przyjęcie oferty banku z Moskwy.

- Drepczący bardzo się tym przejął. Przecież Sowietci zostaliby tu w Hongkongu na stałe.

-

Nie mamy innego wyjścia.

Dunross wstał.

To prawda. A właśnie, dzwonił do was gubernator?

- Tak - potwierdził Havergil . - Chce o szóstej po południu otworzyć skrytkę w obecności twojej, Rogera Crosse'a i jakiegoś faceta, który się nazywa Sinderson. Po co to wszystko?

,

- Nie mówił?

- Nie, tylko że to ma coś wspólnego z Biurem Akt

.Tajnych.

- Do zobaczenia o szóstej.

Dunross wyszedł. .

Havergil wytarł pot w chusteczkę.

- Jedyne pocieszająca rzecz, że ten arogancki palant ma znacznie gorsze kłopoty. - Wykręcił numer do Drepczącego. Potem jeszcze raz. Zadzwoił telefon we-wnętrzny. Odebrał Johnjohn i podał słuchawkę Havergillovi.

- Tak?

- Mówi przełożony kasjerów, sir. W skarbcu jest tylko siedemset szesnaście dolarów - powiedział drżącym głosem. - Tyle nam zostało, sir.

- Dziękuję. - Havergil oddał słuchawkę Johnjohnowi.

U Drepczącego nadal było zajęte. - Lepiej zacznij rozmowy z Sowietami.

Johnjohn poczerwieniał.

- Ależ to niemożliwe!

- Wykonaj polecenie! Od razu! - U Tip Tok-toha nadal było zajęte.

Dunross wszedł do swego sekretariatu.

- Jest pan Toda z asystą, tai-pan - poinformowała Klaudia nie kryjąc zdenerwowania.

- Jeszcze chwilę.

- Dwa razy dzwonił pan Alastair, prosił, żebyś zaraz zatelefonował. Twój ojciec tak samo.

- Później do nich zakręcę.

- Dobrze. Tu jest teleks z Nelson Trading w Szwajcarii, potwierdzają trzy razy większe zamówienie na złoto dla Great Good Luck Company w Makau.

- Dobrze. Prześlij kopię do Maty i zażądaj funduszy.

- A tu teleks z Orlin Bank. Potwierdzają, że nie mogą ponowić kredytu i żądają spłaty.

- Zateleksuj do nich „Dziękuję”.

- Sprawdziłam, co z panią Dunross, i dojechały szczęśliwie

- Dobrze. Zdobądź numer do specjalisty mogącego się zająć Kathy, zadzwonię do niego w przyszłym tygodniu.

Klaudia wyciągnęła kolejną notatkę. - Dzwonił

Duncan z Sydney i mówił, że spędził wspaniały wieczór i wraca w poniedziałek. A to lista

pozostałych telefonów.

Spojrzał na wykaz zastanawiając się, czy jego syn przestał być prawiczką za sprawą Sheili, czy stało się to już wcześniej. To przypomniało mu Śnieżny Nefryt.

Dziwne imię, pomyślał wspominając Elegancki Nefryt, która gdzieś w Tajpej prowadzi Dom Rozkoszy. Może nadszedł już czas, żeby jej podziękować? Po raz kolejny wspomniawszy wypowiedziane na łożu śmierci słowa starego Czen-czena: „Posłuchaj, mój synu - szeptał łamiącym się głosem - nigdy nie próbuj jej odszukać. Straciła już piękność i dla siebie, i dla ciebie. Teraz jest stara, a jej Nefrytowe Wrota już wyschły. Ona czerpie teraz przyjemność z dobrego jedzenia i dobrej brandy. Dzieci Świata Rozkoszy żyją krótko, tak samo jak ich temperamenty. Zostaw ją na łaskę *dżosu* i jej wspomnień. Bądź uprzejmy. Zawsze bądź uprzejmy dla tych, które dają ci swoją *yin*. Ii i, jakże chciałbym być znów tak młody jak ty...”

Dunross westchnął. Ze Śnieżnym Nefrytem spędził

bezgrzeszną noc. Pełną śmiechu.

- Nie jadam deserów - odparł. - Jestem na diecie.

- *Oh ko!* Niemożliwe, tai-pan. Pomogę ci stracić na wadze.

- Dziękuję, ale w Hongkongu nie jadam deserów.

- Ach, Wu Cztery Palce przewidywał, że tak się właśnie zachowasz, i mówił, że nie mam się czego wstydzić. - Ukłoniła się i naląła mu whisky. - Mam powiedzieć: masz paszport, żeby podróżować.

Obydwoje roześmieli się. .

-

Co ci jeszcze powiedział Wu Cztery Palce?

Dotknęła koniuszkiem języka pełnej, różowej wargi.

- Tylko tyle, że obce diabły cechuje szczególne podejście do różnych rzeczy. Na przykład opowiadają, że nie jadają deserów. Jakby to miało jakieś znaczenie.

- Spojrzała na niego. - Jeszcze nigdy nie byłam z barbarzyńcą.

- O, niektórzy z nas zachowują się jak cywilizowani.

Dunross uśmiechnął się wspominając rozmowę z nią, wspaniały posiłek i dobry humor, w jaki go wprowadziła.

Tak, ale nie daruję staremu łajdakowi, że ukradł

monetę, przemknęło mu przez głowę, ani że zdaje mu się, iż złapał mnie w pułapkę. Ale zostaw to na później, pomyślał. Wszystko po kolei. Skup się, masz do zrobienia wiele rzeczy, zanim się położysz spać!

Klaudia dała mu długą listę, większość telefonów była pilna, a on miał przed sobą dwie godziny pracy.

Na liście nie było Drepczącego ani Lando Maty, ani Zaciśniętej Pięści, ani Wu Cztery Palce albo Paula Czoja. Figurowała Casey i Bartlett, Trawkin, Rober Armstrong, Jacques deVille, Gavallan, Phillip Czen, Dianne Czen, Alan Holdbrook - makler Struanów - Sir Luis i dziesiątki innych z całego świata. - Zajmiemy się tym po Hiro Todzie, Klaudio.

- Tak.

- Po Todzie chcę się zobaczyć z Jacques'em, potem z Phillipem Czenem. Co z panią Riko Gresserhoff?

- Jej samolot przylatuje o dziewiętnastej. Ma zarezerwowany pokój w „Victoria and Albert”. W pokoju

stoją kwiaty.

- Dziękuję. - Dunross wszedł do biura i wyrzwał

przez okno. Dotychczas robił dla Noble House i dla Hongkongu co tylko było w ludzkiej mocy. Teraz wszystko zależy od *dżosu*. I kolejny problem. Statki.

Czuł rosnące napięcie.

- Witaj, tai-pan.

- Cześć, Hiro - Dunross serdecznie uścisnął

wyciągniętą rękę.

Hiro Toda, dyrektor Toda Shipping Industries, do-równywał wiekiem Dunrossowi. Był szczupły, silny, jednak o wiele niższy. Miał rozsądne oczy i zawsze uśmiechnięte usta, mówił po angielsku z lekkim amerykańskim akcentem - zawdzięczał to dwóm latom spędzonym w Stanach.

- Oto moi współpracownicy: pan Kazunari, pan Ebe i pan Kasigi. Trzej młodzi mężczyźni ukłonili się, Dunross odpowiedział tym samym. Wszyscy ubrani byli w dobrze skrojone ciemne garnitury, białe koszule i krawaty.

- Proszę siadać. - Dunross wskazał krzesła przy stole konferencyjnym. Otworzyły się drzwi i weszła



asystentka i tłumaczka z japońskiego, Akiko.

Przyniosła na tacy zieloną herbatę, przedstawiła się, nalała herbaty, a później zajęła miejsce obok Dunrossa. Choć on mówił swobodnie po japońsku, w spotkaniu w interesach dla zachowania twarzy musiała brać udział.

Częściowo po japońsku, częściowo po angielsku zaczęli uprzejmą konwersację na mało znaczące tematy, która wedle japońskiego zwyczaju poprzedzała poważną dyskusję. Również japoński zwyczaj wymagał, aby przyprowadzić ze sobą asystentów, im więcej, tym wyżej postawiona osobistość.

Dunross czekał cierpliwie. Lubił Hiro Todę. Był on tytularnym

dyrektorem

wielkiego

konglomeratu

stoczniowego założonego przez jego pradziadka prawie sto lat temu. Jego przodkowie byli *daimyos*, posiadaczami i panami feudalnymi, do czasu, gdy w 1870 roku zniesiony został feudalizm i klasa samurajów. Miał niepodważalny autorytet w Toda Shipping, ale jak to często w Japonii bywa, rzeczywista władza koncentrowała się w rękach siedemdziesięcioletniego ojca, który pozornie odszedł na emeryturę.

Po jakimś czasie Toda przeszedł do rzeczy.

- Doniesienia giełdowe bardzo nas niepokoją, tai-pan.

- To tylko czasowy brak zaufania. Po weekendzie z pewnością wszystko się unormuje.

- Tak, tak. Też mam taką nadzieję,

- Jak długo zamierzasz zostać, Hiro?

- Myślę, że do niedzieli. Tak. Potem jadę do Singapuru i Sydney. Chcę być obecny na finalizacji naszej

transakcji w przyszłym tygodniu. Z

przyjemnością pragnę cię poinformować, że twoje statki

są

skończone

o czasie. - Położył na stole dokumenty. - Oto szczegółowy raport.

- Doskonale! - Dunross ruszył do ataku. Błogosławił bogów, Medforda i Kirka. Wracając poprzedniej nocy do domu zdał sobie nagle sprawę; jak ważna jest informacja Kirka dla planu, nad którym pracował

od prawie roku. - Można by przesunąć na później spłaty?

- O! - Japończyk nie krył zaskoczenia. - Być może mógłbym przedyskutować to później z kolegami, ale chciałbym usłyszeć teraz, że wszystko jest w porządku i nie będziecie przez kogoś na przykład przejęci.

- Czyż Sun Tzu nie mówił, że: „Ten, kto nie słucha przepowiedni, tylko lekceważy przeciwnika, na pewno zostanie przez niego pojmany”? Oczywiście, Gomt depcze nam po piętach, istotnie szturm na banki jest poważny, ale najgorsze już za nami. Wszystko jest w porządku. Nie sądzisz, że moglibyśmy rozszerzyć wspólnie prowadzone interesy?

Toda uśmiechnął się. - Dwa, ogromne jak na dzisiejsze standardy, statki w jednym roku to wcale niemały interes.

- Tu może chodzić o dwadzieścia dwa statki - rzucił

z udawaną nonszalacją, w gruncie rzeczy był bowiem jak najbardziej skoncentrowany. - Mam dla ciebie propozycję, a właściwie dla całego japońskiego przemysłu stocznioowego. Obecnie budujecie statki i sprzedajecie je. A to *gai-jin*, obcym, jak na przykład nam, a to Japończykom. Jeśli Japończykom, to koszty operacji są wysokie ze względu na japońską załogę, którą musicie zatrudniać zgodnie z waszym prawem... i stajecie się przez to mniej opłacalni tak jak amerykańskie statki z amerykańską załogą.

Wkrótce nie będziecie już w stanie konkurować z Grekami i innymi, ponieważ ich koszty staną się o wiele niższe.

Dunross zauważył, że wszyscy skoncentrowali się na tłumaczącej niemal symultanicznie Akiko.

Przypomniało mu się jeszcze jedno powiedzenie Sun Tzu: „Do każdej walki można przyłączyć się stosując prostą metodę, lecz do zwycięstwa potrzebne są metody skomplikowane”.

Po chwili mówił dalej:

- Po drugie: Japonia musi importować wszystko, czego potrzebuje do utrzymania rozwijającej się gospodarki i rosnącego standardu życia, a także do rozkwitu przemysłu. Również dziewięćdziesiąt pięć procent potrzebnej energii. Kluczem do waszej przyszłości jest ropa. Musi ona przyplýwać do was na statkach, tak samo jak wszystkie inne surowce.

Zawsze drogą morską. Budujecie wspaniałe statki, lecz jako armatorzy ze względu na koszty działania i własny wysoki podatek wypadacie ze światowego rynku. Moja propozycja jest prosta. Przestańcie utrzymywać waszą nieekonomiczną flotę i oddajcie w dzierżawę statki za granicę.

- Co takiego?!

Dunross widział, jak wpatrują się w niego w osłupieniu. Wyczekał na odpowiednią chwilę i kontynuował przemowę:

- Żywot statku wynosi, powiedzmy, piętnaście lat.

Dajecie statek w dzierżawę, na przykład, nam, a umawiamy się tak, że po owych piętnastu latach statek

wraca do was. My wynajmujemy kapitana i załogę i statek dla nas pracuje. Oczywiście wy macie pierwszeństwo na nasze usługi i dostarczamy surowców

Mitsubishi

czy

innemu

wielkiemu

koncernowi przez piętnaście lat: węgiel, rudę żelaza, ryż, ropę, pszenicę, co tylko chcecie. Taki układ gwarantuje

Japonii

zaopatrzenie

w surowce na każde zawołanie, a także kontrolę nad transportem.

Bank

Japan

Inc.

sfinansuje

to

przedsięwzięcie, bo w jego efekcie wy sami jesteście przewoźnikami potrzebnych wam materiałów.

Wasz

przemysł

może

planować

bardziej

perspektywicznie.

Japan Inc. zdoła wesprzeć

finansowo niektórych nabywców statków, ponieważ cena za dzierżawę bez trudu zwróci się po piętnastu latach. Nasi bankierzy z Blacs i Victorii z chęcią sfinansują pozostałych nabywców. Wszyscy na tym zyskają. Wy oczywiście najwięcej, bo będziecie mieć długoterminową linię zaopatrzeniową pod swoją kontrolą. A nie wspomniałem jeszcze o korzyściach podatkowych, szczególnie dla Toda Industries.

Dunross wstał. W biurze panowała absolutna cisza.

Tai-pan podszedł do biurka. Z szuflady wyjął kilka dokumentów.

- Oto wyliczenia podatkowe przeprowadzone przez naszych ludzi w Japonii, a także metody obniżania kosztów statków dla uzyskania większego zysku. Również propozycje, w jaki sposób w przedsięwzięciu mogliby brać udział Struanowie. Tu na przykład Woolara Mines z Australii jest przygotowana według naszych wskazówek na podpisanie kontraktu z Toda Industries na dostarczanie dziewięćdziesięciu pięciu procent potrzebnego wam węgla przez sto lat.

Toda wytrzeszczył oczy. Gdy Akiko przetłumaczyła, pozostali także oniemieli. Woolara Mines należała do największych i najefektywniejszych kopalni.

- Moglibyśmy pomagać wam w rozwinięciu działalności na terenie Australii, skąd Azja czerpie miedź, pszenicę, produkty żywnościowe, owoce i rudę żelaza.

Dowiedziałem się prywatnymi kanałami, że w zachodniej Australii, niezbyt daleko od Perth, odkryto bardzo dobrej jakości rudę żelaza. Potrzeba wam także innych surowców, ropy, uranu, toru, wełny, ryżu. Moja propozycja zakłada, że wy sami możecie panować nad ich dostawami. Gdy dzierżawcy statków zarobią pieniądze, zamówią od was kolejne statki i będą mogli zwiększyć dostawy, a wy zwiększyć produkcję samochodów, telewizorów, sprzętu elektronicznego i eksport do Stanów.

Na koniec chcę powrócić do najbardziej potrzebnego wam produktu: do ropy. Proszę, oto plan organizacji waszej nowej floty tankowców. O wyporności pół miliona do miliona ton.

Toda otworzył usta ze zdziwienia. Wszyscy wstrzymali oddech, gdy usłyszeli tłumaczenie ostatnich słów lana.

Dunross usiadł z powrotem. Bawiło go napięcie.

Spojrzał na każdego Japończyka po kolei, a potem utkwiał wzrok w Todzie.

- Chyba... Chyba musimy dokładnie rozpatrzyć twoją propozycję, tai-pan - odezwał się Toda starając się zachować spokój. - Są dalekosiężne. Może wrócimy do nich później?

- Tak. Przyjdiesz jutro na wyścigi? Lunch będzie za piętnaście pierwsza.

- Tak, dziękuję. Jeśli to nie sprawi kłopotu - odrzekł

zdeenerwowany Toda. - Nawet wtedy jednak nie będę mógł dać jeszcze żadnej odpowiedzi.

- Oczywiście. Otrzymałeś zaproszenia?

- Tak, dziękuję. Mam nadzieję, że wszystko się pomyślnie dla ciebie skończy. Twoja propozycja brzmi obiecująco.

Wyszli. Przez moment Dunross pozwolił sobie na delektowanie się wspomnianiem wrażenia, jakie wywarły jego plany. Mam ich, pomyślał tryumfalnie. Chryste, za rok możemy mieć największą flotę w Azji i to spłaconą.

Nie istnieje żadne ryzyko dla stoczni ani dla armatora, ani dla dostawcy. I te wielkie tankowce! Jeśli oczywiście przetrwamy ten tajfun.

Potrzeba mi tylko trochę szczęścia. Muszę jakoś przetrzymać ten krach aż do wtorku, gdy podpiszę umowę z Par-Con. Oni zapłacą za moje statki, ale co z Orlin i Gorntem?

- Idzie pan Jacques deVille, tai-pan. Pan Phillip Czen jest w swoim biurze i zjawi się, gdy będziesz gotów.

Dzwonił Roger Crosse. Wasze spotkanie jest przesunięte na godzinę dziewiętnastą, bo spóźnia się samolot pana Sindera. Poinformował już gubernatora i pozostałych.

- Dziękuję, Klaudio. - Spojrzał na listę telefonów.

Wybrał numer hotelu i poprosił Bartletta. Nie zastał go. -

Poproszę z Miss Tcholak.

- Halo?

- Cześć! Ian Dunross odpowiada na telefon pani i pana Linca Bartletta. Jak leci?

- Dziękuję - odparła po krótkiej przerwie. - Tai-pan, możemy się zobaczyć?

- Jasne. Może na koktajlu w „Mandarynie” o osiemnastej piętnaście? Będę miał pół godziny przed następnym spotkaniem. Może być?

Przeszedł go dreszcz na myśl o surowym zakazie Mędforda, aby komukolwiek udostępniać teczkę do wglądu.

- A mogłabym wpaść do biura? Zaraz bym wyszła i za pół godziny, najdalej za czterdzieści pięć minut będę na miejscu. Muszę porozmawiać. Postaram się streszczać.

- W porządku. Jak przyjdiesz, może będziesz musiała chwilę poczekać, dobrze? - Odłożył słuchawkę. O co chodzi?

Otworzyły się drzwi i wszedł Jacques deVille. Wyglądał

na zatroskanego i zmartwionego.

- Chciałeś się ze mną zobaczyć, tai-pan?

- Tak, siadaj, Jacques. Zdawało mi się, że miałeś wyjechać wczoraj wieczorem.

- Tak, ale rozmawiałem z Susanne i doszliśmy do wniosku, że lepiej będzie dla Avril, jeśli zaczekam jeszcze dzień, dwa.

Dunross słuchał jego słów z uwagą, nadal zdumiony tym, że Jacques mógłby być komunistycznym szpiegiem.

Teraz jednak widział już taką możliwość. Jacques za młodu walczył po stronie francuskich partyzantów i nienawidził okupujących Francję nazistów. U młodzieńca łatwo o przeobrazenie się nienawiści do nazizmu w fascynację komunizmem. Chryste, przecież Rosja w tamtych czasach stała po naszej stronie. W tamtych czasach komunizm wszedł w modę nawet w Ameryce. Czyż wtedy idee Marksa i Lenina nie brzmiały rozsądnie?

Wtedy, zanim poznaliśmy prawdę o Stalinie, gułagach, KGB, państwie policyjnym, zbiorowych mordach i braku wolności! Ale co z tych komunistycznych nonsensów mogło pozostać w kimś takim jak Jacques? W jaki sposób zdołałby tak długo ukrywać prawdziwe oblicze?

Jeśli faktycznie jest, jak uważa Medford, komunistycznym szpiegiem.

- Co sądzisz na temat Greya? - zapytał Dunross.

Skończony kretyn, tai-pan. Jak dla mnie, za bardzo lewicuje. Na mój gust nawet Broadhurst z tym przesadza.

Skoro zostałem... Mogę z powrotem zająć się Casey i Bartlettem?

- Nie, na razie ja prowadzę z nimi rozmowy, ale trzymaj rękę na pulsie.

- Tak, rozmawiałem z naszymi prawnikami. Jest pewien problem. Dawson spotkał się rano z prawnikiem Bartletta, Steiglerem, który chce jeszcze raz omówić terminy płatności i przesunąć podpisanie umowy na przyszły weekend.

Dunrossa ogarnęła złość. Starał się nic nie pokazać po- sobie. A więc dlatego Casey chciała się spotkać, pojął.

- Załatwię to. - Postanowił teraz się tym nie trapić.

Intrygował go bardziej nagłący problem wymagający natychmiastowego rozwiązania: Jacques deVille, który powinien być niewinny, dopóki mu się nie udowodni winy.

Lubił go i pamiętał wspaniałe chwile spędzone razem w Avisyard i we Francji. On, Penelopa, Jacques, Susanne i dzieci podczas Bożego Narodzenia albo w czasie letnich wakacji. Pyszne jedzenie, przednie wina, dużo śmiechu i ogromne plany na przyszłość. Jacques był mądry, potrafił

milczeć i gdyby nie oskarżenie Mędforda, nadawałby się na nowego tai-pana. Ale teraz już nie. Dopóki nie upewnię się, że można ci ufać. Przykro mi, przyjacielu, ale trzeba cię sprawdzić.

-

Przeprowadzam trochę zmian

organizacyjnych

- wyjaśnił. - Jak wiesz, Linbar dzisiaj jedzie do Sydney.

Chcę, żeby został tam przez miesiąc i spróbował ustalić wszystko z Woolara. Za wielkich nadziei nie mam.

Jacques, chcę, żebyś zajął się Australią. — Zobaczył

błysk w oku deVil e'a, ale nie wiedział, czy to oznaka radości czy zdenerwowania. - Wspomniałem też Todzie o naszych planach...

- Jak to przyjął?

- Połknął haczyk.

- *Merde*, to wspaniale! - Jacques należał do najczynniejszych planistów pracujących nad tym projektem. - Szkoda, że biedny John tego nie dożył.

- Tak. - John Czen pracował razem z deVil e'em.

- Widziałeś się z Phil ipem?

Wczoraj wieczorem jadłem z nim kolację. Biedak, postarzał się co najmniej dwadzieścia lat.

-

Ty też.

Wzruszenie ramionami.

- Takie życie, *mon ami*! Ale faktycznie bardzo mnie przygnębiła tragedia Avril i Borge'a. Przepraszam, że przerywam.

- Chciałbym, żebyś zajął się Australią. Będziesz odpowiedzialny

za

wdrożenie

naszych

planów

związanych z Nową Zelandią i Australią. Na razie zachowaj to dla siebie, ja powiem tylko Andrew, ale bądź przygotowany na wyjazd.

- Dobrze - Jacques zawahał się.

- O co chodzi? Susanne nigdy się nie podobało w Hongkongu. Nie będziecie tam mieć żadnych kłopotów, prawda? ;

- Nie, nie, tai-pan. Po tym wypadku... Prawdę mówię,

miałem nawet zamiar prosić cię o przeniesienie na jakiś czas. Susanne nie czuje się tu szczęśliwa...

Ale myślałem raczej o Kanadzie. Dunross zdziwił się.

- Tak?

- Tak. Wydaje mi się, że tam byłby ze mnie większy pożytek. Mam wiele kontaktów wśród francuskich Kanadyjczyków. Może przydałoby się przenieść biuro Struanów z Toronto do Montrealu lub Ottawy. Ja mógłbym wiele pomóc. Jeśli dojdzie do zacieśnienia związków z Japończykami, będziemy potrzebować drewna, celulozy, miedzi, pszenicy, węgla i wielu innych kanadyjskich surowców. - Uśmiechnął się. -

Obydwaj wiemy, że naszego kuzyna Davida ciągnie tutaj i, gdybym ja się tam przeniósł, on mógłby wrócić do Hongkongu. Właściwie jest lepiej przygotowany do pracy tutaj, *non?* Mówi po kantońsku, trochę po japońsku, czyta i pisze po chińsku, a ja tego nie umiem. Ale decyzja należy do ciebie, tai-pan. Jak chcesz, zajmę się Australią. Naprawdę życzyłbym sobie jakichś zmian.

Dunross zastanawiał się. Postanowił odizolować Jacques'a do chwili, aż dowie się, czy podejrzenie deVille'a o zdradę jest uzasadnione. Łatwo będzie poprosić Crosse'a albo Sindera, żeby przeprowadzili śledztwo. Ale Jacques należy do rady. Ma wiele informacji, które ryzykownie byłoby wystawiać na światło dzienne. Nie, lepiej samemu się tym zająć.

Może dłużej to potrwa, ale w końcu dojdę prawdy. Tak czy inaczej, muszę wiedzieć, kim rzeczywiście jest Jacques deVille.

Ale co z Kanadą?



Logicznie rozumując Jacques jest idealnym kandydatem.

Nigdy

nie

było

powodów

do

kwestionowania jego lojalności w interesach. A David rzeczywiście skamle od dwóch lat o zgodę na powrót.

Jacques ma rację, taka zamiana byłaby prosta. David faktycznie jest lepiej przygotowany do pracy tutaj.

Także w Australii i Nowej Zelandii, które znaczą dla nas o wiele więcej niż Kanada. One są spichlerzem całej Azji. Jeśli Jacques jest niewinny, pomoże nam w Kanadzie. Jeśli jest zdrajcą, tam przyniesie mniej szkody.

- Zastanowię się nad tym - obiecał, już podjąwszy decyzję. - Zatrzymaj to wszystko do niedzieli dla siebie,

wtedy dokończymy tę sprawę.

Jacques wstał i wyciągnął rękę.

-

Dziękuję, *mon ami*.

Dunross uścisnął mu dłoń. W głębi duszy zastanawiał się, czy ma do czynienia z przyjacielem czy Juda-szem.

Gdy został sam, znów poczuł zmęczenie. Zadzwoił

telefon i musiał załatwić sprawę, potem przeprowadził

jeszcze kilka rozmów i podjął następne decyzje. U

Drepczącego cały czas zajęte. Dunross miał wrażenie, że pogrąża się w bagnie. Spojrzał w oczy Dirka Struana spoglądające z olejnego portretu na ścianie.

Lekki uśmiezek, trochę arogancki i poufały. Jak zawsze zadowolony z siebie pan i właściciel flotylii kliprów - najwspanialszego dzieła rąk ludzkich. .

Podniósł się z krzesła i stanął przed tai-panem.

-

Chryste, nie wiem, co ja bym bez ciebie zrobił

- powiedział. Dirk Struan był zmuszony stawić czoło o wiele większym problemom. Zabiła go burza, kaprys natury, i to w najlepszym okresie jego życia. Miał

czterdzieści trzy lata i niepodzielnie panował w Hongkongu i całej Azji.

„Wybrańcy bogów umierają młodo”, przypomniał sobie.

Dirk był niewiele starszy, gdy Wielki Tajfun rozniósł na kawałki fabrykę w Szczęśliwej Dolinie i pochował tai-pana.

Czterdzieści trzy lata, czy to dużo, czy mało? Ja się nie czuję staro. Czy tylko tak mógł umrzeć Dirk? Zabity przez przyrodę? A może w tym powiedzeniu chodzi o to, że wybrańcy bogów umierają młodo, ale w sercu?

- Nie ma się czym przejmować. - Mrugnął do swego mentora i przyjaciela. - Szkoda, że cię nie znałem.

Powiem szczerze, tai-pan, wierzę w życie po śmierci i mam nadzieję, że kiedyś będę ci mógł podziękować osobiście.

Podszedł do biurka. W górnej szufladzie leżał woskowy odcisk od Wu Cztery Palce. Dotknął go delikatnie. Czy ja się z tego wygrzebię? - zgnębiony zadał sobie pytanie.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Phil ip Czen.

Naprawdę postarzał się przez ostatnich kilka dni.

- Na Boga, tai-pan, co zamierzasz robić? Dziewięć i pół! - powiedział w najwyższym zdenerwowaniu. -

Włosy sobie z głowy wyrywam! *Dew neh loh moh* na boom.

Kupiłem po dwadzieścia osiem dziewięćdziesiąt i wydałem wszystkie pieniądze, a nawet więcej. Dianne kupiła po dwadzieścia osiem osiemdziesiąt i sprzedała po szesnaście osiemdziesiąt, a teraz chce, żebym ja jej wyrównał różnicę. *Oh ko*, co my pocniemy?

- Módl się i rób co się da - poradził Dunross. -

Miałeś jakąś wiadomość od Drepczącego?

- Eee... nie, nie tai-pan. Dzwonię co kilka minut, ale telefon stale nie odpowiada. W biurze napraw

przypuszczają, że słuchawka jest zdjęta z widełek.

Mam tam kuzyna i sprawdzał to osobiście. Obydwa numery są zablokowane.

-

Co radzisz?

- Nie wiem. Chyba powinniśmy pchnąć posłańca, ale nie chciałem tego robić bez skonsultowania się z tobą.

Nasz krach na giełdzie i szturm na banki, a do tego jeszcze biedny John i ci dziennikarze... Wszystkie moje akcje poszły w dół, wszystkie! - Zaczął przeklinać po kantońsku Gornta, jego przodków i jego potomków.

- Co będzie, jeśli upadnie Victoria?

- Nie upadnie. Gubernator powiedział, że jeśli Drepczący nie pomoże, ogłosi wakacje dla banków. - Dunross już wcześniej opowiedział o swoim spotkaniu z Tip Tok-tohem, doktorem Ju, Johnjohnem i Havergillem.

- Przestań rozpaczać, Phil ip, i rusz trochę głową - dodał

z udawaną złością, aby pomóc honorowemu doradcy otrząsnąć się z czarnych myśli. - Nie mogę przecież wysłać przeklinającego posłańca, który powie: bezczelnie odwiesiliście słuchawki.

Phil ip Czen usiadł i zebrał się w sobie.

- Przepraszam, tak, przepraszam, ale wieczorem...

- I John, biedny John...

- Kiedy pogrzeb?

- Jutro o dziesiątej chrześcijański, w poniedziałek chiński. Pomyślałem, że... że mógłbyś powiedzieć jutro kilka słów...

-

Tak, oczywiście. A co z Drepczącym?

Phil ip Czen z wysiłkiem się skoncentrował.

-

Zaproś go na wyścigi - odezwał się po pewnym czasie. - Do swojej łoży. Nigdy jeszcze nie był i to pomoże jego twarzy. To jest sposób. Mógłbyś powiedzieć... Nie, przepraszam, nie mogę trzeźwo

myśleć.

Lepiej, będzie o wiele lepiej, gdy ja wystosuję w twoim mieniu zaproszenie. Napiszę, że chciałeś zaprosić go osobiście, ale nie mogłeś się dodzwonić. Wtedy jeśli przyjdzie albo jeśli zabronią mu zwierzchnicy, zachowa twarz i ty także. I dodałbym jeszcze „Nadmieniam przy okazji, że Noble House wysłał już do Sydney zamówienia na tor...”

-

Trochę

mu

się

poprawił

humor.

- Tai-pan, to będzie dla nas bardzo intratny interes, oferowana cena... Sprawdziłem ceny i sądzę, że możemy zaopatrzyć ich we wszystko, czego potrzebują, a w Tasmani, Południowej Afryce i Rodezji możemy zapłacić bardzo konkurencyjne ceny. Aha! Wskazane byłoby wysłać młodego George'a Trusslera z Singapuru do Johannesburga i Salisbury z misją w sprawie toru... -

Phillip Czen zawahał się. - ...I innych surowców.

Sprawdziłem pobieżnie dane i ze zdziwieniem odkryłem, że nie licząc Rosji, dziewięćdziesiąt procent zaopatrzenia wolnego świata w wanad, chrom, platynę, magnez, tytan, bardzo potrzebny przy budowie rakiet, pochodzi z południowej Rodezji i Południowej Afryki. Pomyśl tylko, dziewięćdziesiąt procent prócz Rosji. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jaki to ważny rejon dla wolnego świata. Złoto, diamenty, uran, tor i Bóg wie co jeszcze. Być może Trussler powinien też rozważyć moż-

liwość otworzenia tam biura. To bardzo rzutki młodzieniec i poradziłby sobie z promocją. - Zajął nareszcie czymś myśli. Oddychał o wiele swobodniej. - Tafc Ten interes i pan Ju przyniosą nam wiele pieniędzy, tai-pan.

Trzeba postępować ostrożnie. - Spojrzał na Dunrossa. -

Wspomnę też Drepczącemu o Trusslerze. Poinformuję, że wysłaliśmy go, żeby rozpoczął przygotowania.

- Świetnie! Zajmij się tym natychmiast! - Dunross włączył interkom. - Klaudio, połącz mnie z George'em Trusslerem. Dlaczego - zwrócił się do Phil ipa - Drepczący nie chce się kontaktować?

- Żeby zrobić lepszy interes, zwiększyć nacisk i zdobyć więcej.

- Dzwonić jeszcze do niego?

- Nie. Po liście zatelefonuje do nas. Nie ma nas za głupców.

- Kiedy się odezwie?

- Gdy dostanie pozwolenie, tai-pan. Nie wcześniej.

Być może dopiero w poniedziałek o dziesiątej, kiedy będzie trzeba otwierać banki. Powiedz temu psubratowi Havergillowi i Johnjohnowi, żeby nie dzwonili i nie mącili już i tak brudnej wody. Nie łowi się rekina na wędkę.

- Dobrze. Nie martw się, Phil ip. Wyjdziemy z tego. -

Nie wiem, tai-pan. Mam nadzieję. – Przetarł

zaczerwienione oczy. - Dianne... Ach, te cholerne akcje!

Nie widzę wyjścia z tego bagna.

Przerwała im Klaudia.

-

Pan Trussler na linii drugiej.

-Dziękuję, Klaudio.. — Przełączył na dwójkę.

- Cześć, George, co słyszeć w Singapurze?

- Dzień dobry, sir. W porządku, sir, gorąco i deszczowo

- powiedział Trussler wesołym; pełnym entuzjazmu głosem. - Miła niespodzianka, czym mogę służyć?

- Chciałbym, żebyś najbliższym samolotem poleciał do Johannesburga. Natychmiast. Zateleksuj do mnie, jak sobie załatwisz hotel, a potem zadzwoń już z Johannesburga. Dobrze?

Trussler zawahał się.

-

Do Johannesburga w Afryce Południowej, sir?

- zapytał z mniejszym zapalem.

- Tak. Następnym samolotem.

- Już się pakuję. Jeszcze coś?

- Nie.

- A więc ruszam w drogę, tai-pan. Cześć. Dunross odłożył słuchawkę. Władza to wspaniałe narzędzie, pomyślał z satysfakcją, ale pozycja tai-pana jest jeszcze lepsza. Phillip wstał.

-

Natychmiast zajmę się listem.

- Chwileczkę, Phil ip. Mam jeszcze jeden problem i potrzebuję twojej rady. - Otworzył biurko i wyjął

woskowy odcisk. Z wyjątkiem Dunrossa i poprzednich tai-panów tylko Phil ip Czen znał tajemnicę czterech monet.

-Zobacz, dostałem to od...

Dunross przerwał, zupełnie nie spodziewał się takiej reakcji honorowego doradcy. Phil ip Czen wpatrywać się w bryłkę wosku, a oczy wychodziły mu niemal z orbit, zębami, niemal do krwi, przygryzł wargi. Powolnym uchem, jak we śnie, wyciągnął rękę i podniósł odcisk, drżały mu palce. Przyglądał się z bliska.

Nagle tai-pan doznał ciśnienia i zdał sobie sprawę, że połówka monety musiała należeć do Phil ipa Czena i jemu została skradziona. Oczywiście, Dunross chciał

wykrzyknąć. Sir Gordon Czen na pewno dostał jedną z monet od Żin-kua. Tylko dlaczego? Jakie istniały związki pomiędzy rodziną Czenów a Ko-hongiem mandaryna, skoro Żin-kua podarował tak cenną rzecz Euroazjacie i synowi Dirka Struana?

Widział, jak stary mężczyzna nadal w zwolnionym tempie podnosi głowę i wbija w niego wzrok. Honorowy doradca poruszył bezgłośnie ustami. Potem z dziwnym sapnięciem zapytał:

- Bar... Już ci... Już ci to dał Bartlett?

- Bartlett? - z niedowierzaniem, jak echo, powtórzył

Dunross. - Co, na Boga, ma do tego Bart... - Przerwał i znów go olśniło. Niedostępna wiedza Bartletta! Informacje, które mogły pochodzić tylko od siedmiu ludzi, z których żadnego, a już najmniej Phiłlipa Czena, nie można było posądzać o ich ujawnienie.

Phillip Czen zdrajcą! Phillip Czen w zмовie z Bartlettem i Casey... To Phil ip Czen sprzedał nas, sprzedał

nasze tajemnice i pół monety!

Ogarnęła go niewyobrażalna furia. Zmobilizował

wszystkie siły, aby nie wybuchnąć. Zobaczył siebie wstającego i podchodzącego do okna. Nie wiedział, jak długo tam stał. Jednak, gdy się odwrócił, zdawał już sobie sprawę z popełnionej przez siebie pomyłki i myślał

logicznie.

- No więc? - zapytał drżącym głosem.

- Tai-pan... tai-pan... - Stary zacinał się. Trzęsły mu się ręce.

- Powiedz prawdę, doradco. Natychmiast! - Ostatnie słowo przeraziło Phillipa Czena.

- To... To John - zipsnął zalewając się łzami. – To nie ja, przecież...

- Wiem! Szybko, na litość boską!

Phil i Czen opowiedział wszystko, o tym, jak dostał

klucz do skrytki depozytowej syna i odkrył listy do i od Bartletta, a potem drugi klucz, i o tym, jak w nocy podczas kolacji u tai-pana wrócił do domu i odkopał

przechowywany w ogrodzie sejf i na jaw wyszło najgorsze. Nie pominął nawet kłótni z Dianne i jak wysnuli przypuszczenie, że moneta została przy Johnie Czenie, i gdy zadzwonił Wilkołak, wpadli na pomysł zwrócenia się do kuzyna Wu Cztery Palce, aby wysłał za nim swoich opryszków...

Dunross otworzył usta ze zdziwienia, ale Phillip Czen nie zauważył tego, tylko otarł łzy i ciągnął dalej, jak okłamał policję i dał okup młodzieńcom, których nie rozpoznał, i że ludzie Wu Cztery Palce prawdopodobnie nie złapali Wilkołaków ani nie odzyskali Johna, ani pieniędzy.

- Taka jest prawda, tai-pan. Na tym koniec... No, chyba nie muszę dodawać, że mój biedny syn został znaleziony przy Sza Tin z kartką na piersiach...

Dunross bezradnie próbował zebrać myśli. Nie miał

zielonego pojęcia, że Phil i Czen był kuzynem Wu Cztery Palce, nie miał też pojęcia, w jaki sposób stary rybak zdołał wejść w posiadanie monety. Mógł być przywódcą Wilkołaków, mógł współpracować z nimi albo z Johnem Czenem, który nienawidził ojca i pozorując porwanie chciał wyciągnąć od niego pieniądze, potem Cztery Palce pokłócił się z Johnem Czenem albo... Albo co?

-Skąd John znał nasze tajemnice, które przekazał

Bartlettowi? Na przykład strukturę Noble House? Co?

- Nie wiem - skłamał stary.

- Ty musiałeś mu powiedzieć! Tylko ty to mogłeś zrobić! Jedynie ty, Alastair, mój ojciec i Sir Ross znali strukturę!

-

Nie pisałem ani słówka. Przysięgam, tai-pan.

Dunrossa znów zaczęła ogarniać furia, ale po raz kolejny udało mu się ją powstrzymać.

Myśl logicznie, mówił sobie. W Phil ipie płynie więcej chińskiej niż europejskiej krwi. Rozmawiaj z nim jak z Chińczykiem! Odzie jest ogniwo łączące? Gdzie brakująca część układanki?

Próbując rozważyć ten problem skupił wzrok na starym doradcy: Czekał, wiedział, że cisza to bardzo silna broń zarówno w ataku, jak i obronie. Jak brzmi odpowiedź? Phil ip nigdy nie zdradziłby Johnowi sekretów, więc.

- Jezu Chryste! - wybuchnął, gdy wpadł na rozwiązanie łamigłówek. - Prowadziłeś zapiski. Prywatne zapiski! John znalazł je w twoim sejfie, tak?

Przestraszony gniewem tai-pana Phil ip Czen zaczął

wyrzucać z siebie potok słów:

- Tak... Tak... Musiałem się zgodzić... - przerwał

odzyskując panowanie nad sobą.

- Musiałeś? Dlaczego? Mów, do cholery!

- Bo... bo mój ojciec, zanim... zanim przekazał mi Dom i monetę... zmusił mnie do przysięgi... aby zapisywać wszystkie tajne posunięcia... Noble House, aby bronić Domu Czenów. Nigdy bym tego nie wykorzystał, ale tak dla ochrony...

Dunross patrzył na niego z nienawiścią. Nienawidził

Johna Czena za sprzedanie Struanów, nienawidził - po raz pierwszy w życiu - swego mentora Czen-czena. Był

chory z gniewu o tak wiele zrad. Nagle przypomniał

sobie powiedzenie, które usłyszał przed laty od Czen-czena, gdy prawie płakał ze złości, oburzony i roz-goryczony, że nieuczciwie potraktował go ojciec i Alastair:

„Nie szalej, młody lanie, weź odwet. To samo mówiłem Culumowi i Hag, Culum nie posłuchał, ale ona tak. To cywilizowany sposób. Nie szalej, weź odwet!”

- A więc Bartlett zna strukturę Noble House, nasze zestawienia bilansowe i co jeszcze?



Phil ip Czen patrzył tylko niewidzącym wzrokiem.

Na miłość boską, Phil ip, zastanów się! Wszyscy mamy w rodzinie jakieś czarne owce! Jakie dokumenty mogły jeszcze wpaść w ręce Johna? - Zrobiło mu się niedobrze na myśl o -teorii o koneksjach Bartletta i Par-Con z Banastasio, mafią i bronią. Chryste, jeśli nasze tajemnice dostaną się w nieodpowiednie ręce! - Co?

- Nie wiem, nie wiem... O co, o co prosił Bartlett?

W zamian za monetę? Ona jest moja! - krzyknął.

- Należy do mnie!

Dunross widział niekontrolowane drżenie rąk Phil ipa i nagłą bladość na twarzy. Miał w biurze brandy i whisky, więc zrobił mu drinka. Stary wypił z wdzięcznością, lekko się zakrztusił.

- Dziękuję...

- Wracaj do domu i przywieź wszystkie... - przerwał i nacisnął guzik interkomu. - Andrew?

- Tak, tai-pan? - powiedział Gavallan.

- Możesz przyjść na chwilę? Chcę, żebyś zabrał

Phil ipa do domu, on nie czuje się za dobrze, a trzeba przywieźć od niego także dokumenty.

- Do usług.

Dunross nawet na krótką chwilę nie spuszczał wzroku z Phillipa.

- Tai-pan, co Bartlett.. Co...

- Trzymaj się od tego z daleka. Masz dać Andrew wszystko: listy Johna, listy Bartletta, wszystko! - powiedział niespokojnym głosem.

- Tai-pan...

- Wszystko. - Bolała go głowa. Chciał dodać: „A co z Domem Czenów zdecyduję przez weekend”, ale zrezygnował. „Nie szalej, weź odwet”, dźwięczało mu w uszach.

Dunross wyszedł do Casey. Miała na sobie jasno-zieloną sukienkę, starannie ułożone włosy i pomalowane oczy. Trzymała w ręku parasol. Dunross zauważył, że ma cienie pod oczami. Wyglądała dzięki nim jeszcze bardziej pociągająco.

- Przepraszam, że musiałaś czekać. - Uśmiechnął się serdecznie, ale wcale nie dodało mu to otuchy. Nadal był przejęty zajściem z Phil ipem Czenem.

Casey miała chłodną i miłą dłoń.

- Dziękuję, że zgodziłeś się na spotkanie - powiedziała. - Wiem, że jesteś zajęty, więc od razu przechodzę do sedna.

- Najpierw herbata. Może wolisz drinka?

- Alkoholu nie. I nie chciałabym przysparzać ci kłopotu.

-

Żaden kłopot, ja też chciałem się napić herbaty.

Szesnasta czterdzieści to odpowiednia pora. - Jak za dotknięciem magicznej różdżki otworzyły się drzwi i wszedł chłopak w liberii, ze srebrną tacą i herbatą dla dwóch osób, grzankami z masłem i ciasteczkami.

Chłopak napełnił filiżanki i odszedł. Herbata była mocna i miała ciemnobrązowy kolor. - To Darjeeling, jedna z herbat naszego Noble House. Obracamy nią od tysiąc osiemset trzydziestego roku - powiedział i napił się z rozkoszą. Jak zwykle pomyślał, że nieznany Anglik, który wymyślił zwyczaj popołudniowego picia herbaty, musiał być geniuszem. Zawsze zdawało się, że wtedy odpływają troski całego dnia i można spojrzeć na świat z zupełnie innej perspektywy. - Mam nadzieję, że ci smakuje.

- Wspaniała, chociaż jak dla mnie chyba trochę za mocna. Piłam już o drugiej rano i postawiła mnie wtedy na nogi.

- O? Pracowałaś o tej porze?

Pokręciła głową i opowiedziała o Peterze Marlowe.

- O, co za *dżos*. - nacisnął guzik interkomu. - Klaudio, zadzwoń do szpitala przy Nathan i zapytaj o zdrowie pani Marlowe. I wyślij jej kwiaty. Dziękuję.

Casey zmarszczyła brwi.

- Skąd wiesz, że leży w szpitalu przy Nathan?

- Doktor Tooley zawsze tam kieruje swoich pacjentów. - Patrzył na nią zdziwiony, że zachowuje się tak swobodnie, podczas gdy Par-Con próbuje zmienić umowę. Nic dziwnego, że ma cienie pod oczami, skoro nie spała prawie całą noc, przeleciało mu przez głowę. No, ale cienie czy nie, umowa to umowa, młoda damo.

- Jeszcze herbaty?

- Nie, dziękuję.

- Polecam ciastka. Są z bitą śmietaną z Devonshire i łyżeczką dżemu truskawkowego własnej roboty...

Palce lizać! Proszę.

Wzięła jedno z ociąganiem. Zjadła je w jednej chwili.

-

Fantastyczne - chwaliła ocierając z ust śmietaną.

- Ale ile ma kalorii? Nie, dziękuję za więcej. Odkąd tu przyjechałam, nic nie robię, tylko się objadam.

- Nie widać.

- Będzie. - Uśmiechnęła się do niego. Siedziała w głębokim, skórzanym fotelu, pomiędzy nimi stał stolik.

Założyła nogę na nogę i Dunross pomyślał, że Gavallan miał rację: jej piętą achillesową jest niecierpliwość.

- Możemy zaczynać? - zapytała.

- Na pewno nie chcesz już herbaty? - zaproponował

jeszcze

raz, świadomie wyprowadzając ją z

równowagi.

- Nie, dziękuję.

-

No to koniec z herbatą. O co chodzi?

Casey głęboko westchnęła.

- Wygląda na to, że Struanowie balansują na krawędzi i mogą upaść w każdej chwili.

Nie musisz się tym niepokoić. Struanowie są w jak najlepszej kondycji.

- Być może, tai-pan, ale według nas to wygląda inaczej. Inni nie zaangażowani w sprawę również tak sądzą. Sama sprawdzałam. Prawie każdy uważa, że Gornt albo Victoria będą was chcieli przejąć. Już was prawie całkowicie skreślono. W takiej sytuacji nasza umowa...

- Podpisujemy we wtorek. Tak ustaliliśmy - przerwał

jej ostro. - Mam rozumieć, że chcecie renegecjonować albo coś zmienić?

- Nie. Ale w obecnej sytuacji byłoby szaleństwem i złym interesem zawierać transakcję. Mamy do wyboru: albo Rothwell-Gornt, albo pomagamy wam pewną operacją.

- Interesujące.

- Tak. Mam plan. Wiem, w jaki sposób możecie wydostać się z dołka i jak zarobić razem fortunę. Może być? Jesteście najlepsi dla nas na dłuższy okres.

- Dziękuję - powiedział nie wierząc jej. Maksymalnie się skoncentrował i był w pełni świadomy, że jej oferta będzie niezwykle kosztowna.

- Nas finansuje zniechęcony tutaj bank First Central New York. Oni chcą wrócić do Hongkongu, ale nigdy nie dostaną koncesji, prawda?

Dunross zainteresował się.

-

A zatem?

- Niedawno kupili mały bank z oddziałami w Tokio, Singapurze, Bangkoku i Hongkongu: Royal Belgium and Far East Bank. Zapłacili za wszystko trzy miliony. First Central poprosił nas, żebyśmy, jeśli zarobimy, przesyłali nasze pieniądze poprzez Royal Belgium. Wczoraj wieczorem spotkałam się z Dave'em Murtaghem z tego banku i on ciągle narzekał na kiepskie interesy, na tutejszy establishment i martwił się, że mimo ogromnego zabezpieczenia w postaci First Central, nikt u nich nie zakłada kont ani nie deponuje pieniędzy, a oni potrzebują hongkongskich dolarów, aby udzielać kredytów. Słyszałeś o tym banku?

- Tak - powiedział, nie rozumiejąc, do czego ona zmierza - tylko nie sądziłem, że stoi za nimi First Central. Chyba w ogóle mało kto o tym wie. Kiedy zostali kupieni?

- Kilka miesięcy temu. Co byś powiedział, gdyby Royal Belgium chciał ci pożyczyć w poniedziałek sto dwadzieścia procent ceny dwóch statków z Toda Shipping?

Dunross wytrzeszczył oczy i znieruchomiał.

- Co pod zastaw?

- Statki.

- Niemożliwe! Żaden bank by się na to nie zgodził!

- Sto procent dla Toda Shipping, a dwadzieścia na pokrycie transportu, ubezpieczenia i operacji w pierwszych miesiącach.

- Bez gotówki i zapewnionego frachtunku? - zapytał z niedowierzaniem.

- Mógłbyś wykorzystać je przez sześćdziesiąt dni w taki sposób, aby przynosiły pieniądze, żebyś zdołał

dotrzymać rozsądnych terminów spłat?

- Bez trudu! - Jezu Chryste, jeśli będę mógł zapłacić Todzie od razu, pierwsze dwa statki zaczną bezzwłocznie realizację naszego planu. Jednak zachowywał po-wściągliwość zastanawiając się nad realnymi kosztami takiego przedsięwzięcia. - To tylko teoria czy oni naprawdę chcą to zrobić?

- Mogą zrobić.

W zamian za co? -

W zamian za to, że Struanowie

zdeponują u nich pięćdziesiąt procent zagranicznej waluty na okres pięciu lat, że obiecacie złożyć u nich od

pięciu

do

siedmiu milionów hongkongskich dolarów, czyli około półtora miliona dolarów amerykańskich, poza tym uznacie ten bank za drugi finansujący was bank w Hongkongu, a First Central za pierwszy bank kredytowy w Stanach i poza Hongkongiem przez okres pięciu lat. Co ty na to?

Cudem i tylko dzięki wrodzonym talentom powstrzymał wybuch radości.

- To poważna oferta?

- Sądzę, że tak, tai-pan. Zrobiłam, co mogłam. Nigdy nie zajmowałam się statkami, ale sto dwadzieścia procent wydaje się fantastyczną sumą, a pozostałe warunki też są w porządku. Nie wiedziałam, jak daleko mogę się posunąć w negocjacjach, ale uprzedziłam go, że powinien wszystko ustalić uczciwie, bo inaczej nigdy nie rozkręci tu interesu.

Nagle poczuł skurcz w żołądku.

- On z pewnością nie ma uprawnień, aby wychodzić z taką ofertą.

- Murtagh powiedział, że przed nami cały weekend, a jeśli ty się zgodzisz, to załatwi to telegraficznie.

Dunrossowi zaparło dech w piersiach. Na razie zrezygnował z zadania trzech ważnych pytań i wypalił

wprost:

- Jaki jest w tym wasz udział?

- O tym za chwilę. Jest jeszcze jedna strona tej oferty. Zdaje się, że Murtagh za łatwo się zapala, niemniej obiecał, że postara się wyciągnąć forszę, jakieś pięćdziesiąt milionów dolarów na spłaceniu akcji, które nabyłeś na giełdzie. Jeśli mu się uda, wszystko masz z głowy.

Dunross czuł, jak pot zbiera mu się na czole i na plecach. Zdawał sobie sprawę z wysokości stawki, bez względu na wielkość banku. Zaczął chłodno analizować.

Ze spłaconymi statkami i pieniędzmi na wsparcie ataki

Gornta zostałyby przewycięzone. A gdyby Gornt został

unieszkodliwiony, łatwo by poszło z Orlin, ponieważ byli ich najlepszymi klientami.

- A co z naszą umową?

- Zostanie tak, jak jest. W odpowiednim czasie wydasz oświadczenie, że dogadaliśmy się. Jeśli, a to bardzo duże jeśli, First Central wejdzie do gry, razem zdobędziemy mnóstwo pieniędzy kupując Struanów w poniedziałek rano po dziewięć i pół. Wrócą do dwudziestu ośmiu, a może nawet dojdą do trzydziestu, no nie? Nie wiem jedynie, co począć z olbrzymim szturmem na banki.

Dunross wyjął chusteczkę i bez wstydu wytarł czoło.

Potem wstał, przygotował dwa drinki z brandy i wody sodowej. Podał jeden Casey i usiadł z powrotem na swoim miejscu. Był w amoku, w jednej chwili nie posiadał

się z radości, a w drugiej ogarniały go wątpliwości, obawy, nasuwały się pytania, przychodziły do głowy inne możliwości rozwoju sytuacji.

Boże najdroższy, myślał, starając się uspokoić.

Brandy smakowała mu. Po brzuchu rozlało mu się kojące ciepło. Gdy mógł już rozsądnie rozumować, spojrzał na Casey.

- A wszystko to w zamian za co?

- Dokładnie omówisz sprawę z Royal Belgium. Nie znam przyływu i odpływu waszej gotówki. Odsetki nie będą za wysokie, ale zawsze warto je trochę zbić.

Wszystko też zabezpieczysz majątkiem osobistym.

- Chryste!

- Tak. I jeszcze twarz. - Jej głos stwardniał. - Stracisz twarz robiąc interesy z „żółtymi łajdakami”.

Czyż nie tak lady Joanna nazwała ludzi z First Central? I do tego jeszcze: „A czego się spodziewaliście, przecież to...”

Domyślam się, że miała na myśli Amerykanów. - Dostrzegł błyski w oku Casey i odebrał je jako sygnały -

ostrzegawcze. - Stara suka!

-

Niezupełnie - zaoponował. - Jest trochę ksenofo-biczna i szorstka, ale zwykle daje się lubić. Owszem, ma antyamerykańskie przekonania, przykro mi o tym wspominać. Widzisz, jej mąż, Sir Richard, zginął pod Monte Cassino od amerykańskich bomb. Lotnicy wzięli Brytyjczyków za nazistów.

- A, teraz rozumiem - pojęła Casey.

- Czego chce Par-Con? I czego chcecie ty i Linc Bartlett?

Zawahała się, potem zostawiła lady Joannę w spokoju i znów skoncentrowała się na interesach.

- Par-Con chce prowadzić ze Struanami długoter-minowe przedsięwzięcia jako „Starzy Przyjaciele”, w chińskim rozumieniu tego zwrotu. Status Starych Przyjaciół od chwili włączenia się Royal Belgium.

- Co dalej?

- Na to się zgadzasz?

- Chciałbym znać wszystkie warunki, zanim zaakce-ptuję jeden.

Napiła się brandy.

- Linc nie chce niczego. On nic nie wie.

- Co proszę? - zapytał zdezorientowany Dunross. .

- Linc jeszcze nie wie o Royal Belgium - powiedziała niezwykle naturalnie. - Wymyśliłam to wszystko z Dave'em Murtaghem dzisiaj. Wcale nie byłabym taka pewna, czy to taka wielka przysługa, ponieważ wy...

ponieważ ty osobiście będziesz ponosił odpowiedzialność. Ale potem Struanowie wyjdą z dołka i będziemy mogli kontynuować nasze własne przedsięwzięcie.

- Nie uważasz, że powinnaś skonsultować się ze swoim nieustraszonym wodzem? - zapytał Dunross starając się odczytać, co się kryje za tą nieoczekiwaną informacją.

- Ja jestem zastępcą dyrektora, a sprawa Struanów należy do mnie. Nic nas to nie kosztuje, jedynie korzystamy ze swoich wpływów, aby wyciągnąć cię z kłopotów.

I po to właśnie są wpływy. Ja chcę wspólnie robić interesy i nie chcę, żeby wygrał Gornt.

- Dlaczego?

- Już mówiłam, na dłuższą metę wy dla nas jesteście najlepsi.

- A ty, Ciranoush? Czego ty oczekujesz za swoje wpływy?

W jej oczach znów pojawiły się błyski.

- Równości. Chcę być traktowana na równi z innymi, nie życzę sobie, żeby patrzono na mnie z góry i traktowano jak kobietę nieudolnie naśladowującą mężczyzn.

Pragnę mieć pozycję równą tai-panowi Noble House. I chcę, żebyś pomógł mi zdobyć pieniądze na ustawienie się.

- Z tym drugim nie powinno być problemów, jeśli lubisz ryzyko. A co do pierwszego, to nigdy nie patrzyłem na ciebie z góry i nie...

- Ale robią to Gaval an i inni.

- ...i nie mam zamiaru tego robić. A co do innych, to jeśli traktują cię nie tak, jak sobie życzysz, to po prostu odejdz z godnością od stołu konferencyjnego i opuść pole walki. Nie narzucaj im się swoją obecnością. Nie mogę uczynić cię równą nam. Nigdy nie będziesz taka jak my. Ty jesteś kobietą, a to, czy ci się to podoba, czy nie, jest świat mężczyzn. Szczególnie tu w Hongkongu. I póki żyję, zamierzam respektować ten porządek, a kobiety traktować jak kobiety, kimkolwiek by były.

- Wypchaj się!

- Czym? - Lekko się uklonił.

Nagle wybuchnęli śmiechem i napięcie zostało rozładowane.

- Tego mi było trzeba - przyznała. Znów się roześmiała. - Naprawdę. Zdaje się, że straciłam tyłek.

- Że co proszę?

Wyjaśniła mu swoją wersję twarzy. Jeszcze raz się roześmiali.

- A więc choćbym Wyłaziła ze skóry - podjęła po chwili przerwy - nigdy nie mogę liczyć na



równość?

Nie w biznesie. A jeśli chcesz tu zostać, to nie na takich warunkach jak mężczyźni. Jak już mówiłem, nie ma znaczenia, czy ci się to podoba, czy nie, ale tak to już jest.

Wydaje mi się, że źle postępujesz próbując to zmienić.

Hag miała bezdyskusyjnie najwięcej władzy w całej Azji, lecz osiągnęła to jako kobieta, a nie jako istota neutralna. Podniosła szklaneczkę z brandy. Wtedy zauważył wyraźny zarys jej piersi pod jedwabną bluzką.

- Jak możemy traktować tak atrakcyjną kobietę jako kogoś neutralnego? To byłoby nieuczciwe.

- Nie proszę o uczciwość, tai-pan, tylko o równość.

- Ciesz się z tego, że jesteś kobietą.

- O, cieszę się. Naprawdę. - W tonie jej głosu pojawiła się nutka goryczy. - Nie chcę tylko być zakwalifikowana jako istota, której wartość sprowadza się do ładnego tyłka. - Dokończyła brandy i wstała. - A więc zgadzasz się na pożyczkę z Royal Belgium? David Murtagh czeka na telefon. To poważna sprawa, ale chyba warto spróbować, prawda? Może byłoby lepiej, gdybyś odwiedził go osobiście, tak dla jego twarzy, co?

Przyda mu się każde poparcie, którego możesz mu udzielić.

Dunross nie wstał.

- Usiądź jeszcze na chwilę, jeśli ci się nie spieszy.

Mam kilka spraw.

- Tak, oczywiście, nie chciałam ci po prostu zabierać więcej czasu.

- Po pierwsze, co się dzieje z tym waszym Steiglerem?

- Nie rozumiem.

Opowiedział jej, czego dowiedział się od deVil e'a.

- Sukinsyn! - mruknęła z jawną irytacją. - Mówiłam mu, żeby tylko przejrzał papiery i tyle. Zajmę się tym. Prawnikom zawsze się wydaje, że mają prawo do negocjacji, do „poprawienia transakcji” jak to nazywają.

Przez nich straciłam więcej interesów, niż sobie wyobrażasz. Seymour i tak nie jest najgorszy. Prawnicy to plaga Stanów Zjednoczonych. Linc też tak uważa.

- A co z Linkiem? - zapytał przypomniawszy sobie dwa miliony zdeponowane na koncie Gornta. - Na

sto procent zgodzi się na tę zagrywkę?

- Tak - odparła po chwili. - Tak.

Dunross chciał wyjaśnić jeszcze tylko jedną kwestię.

- A więc zajmiesz się Steiglerem i wszystko wróci do normy?

Będziesz musiał tylko popracować trochę nad statkami, ale to nie powinien być żaden problem.

- Nie. Dam sobie radę.

- I godzisz się na osobiste poręczenie?

- Tak - odrzekł Dunross. - Dirk cały czas tak postępował. To przywilej tai-pana. Posłuchaj, Ciranoush...

- Możesz do mnie mówić Casey? Ciranoush brzmi jak z innej epoki.

- W porządku, Casey. Czy nam się powiedzie, czy nie, ty zawsze będziesz Starą Przyjaciółką i chcę ci podziękować za odwagę podczas pożaru.

- Nie jestem odważna. Działałam chyba instynktownie.

- Roześmiała się. - Pamiętaj, że cały czas nosimy w sobie zarazki żółtaczk.

-

O, widzę, że tobie to też nie daje spokoju.

-Tak.

Wpatrywała się w niego, a on nie potrafił ocenić jej nastroju.

- Pomogę ci zdobyć pieniądze na ustawienie się -

zapewnił. - Ile potrzebujesz?

- Dwa miliony wolne od podatku.

- Wasze podatki są dosyć rygorystyczne. Jesteś gotowa złamać prawo?

Zawahała się.

- Każdy Amerykanin z krwi i kości unika podatków.

Ale nie łamie prawa.

- Słusznie. Więc może będziesz potrzebować czterech milionów?

- Chociaż mam sporo na koncie, to nie płacę dużych podatków.

- Czterdzieści sześć tysięcy dolarów w San Fernando Savings and Loan to nie za dużo - cmoknął. Jej zaskoczenie rozbawiło go.

- Osiem tysięcy siedemset w Los Angeles to też nie majątek.

-

Ty łajdaku.

Uśmiechnął się.

-

Ja tylko mam przyjaciół na wysokich stanowiskach.

Tak samo jak ty. Czy mogę ciebie i Linca zaprosić dzisiaj na kolację? - Zastawił przy okazji pułapkę.

- Linc jest zajęty - wyjaśniła.

- A więc przyjdź sama. O ósmej? Spotkajmy się w hotelu „Mandaryn”. - Usłyszał w jej głosie złość i zarazem rezygnację. A więc Linc jest zajęty. A co może łączyć ton jej głosu i jego zajęcie? Orlanda Ramos?

Oczywiście, pomyślał zadowolony, że odgadł prawdziwy powód nagłej pomocy ze strony Casey. Orlanda! Ona się związała z Linkiem, a jest przyjaciółką Gornta. Casey jej się boi. Czy obawia się, że Gornt przy pomocy Orlandy chce owinąć sobie wokół palca Linca, czy w grę wchodzi może zwykła zacięta zazdrość i chęć pokrzyżowania planów Bartletta?

17:35

Casey dołączyła do tłumu oczekującego wejścia na prom. Ludzie w pośpiechu przechodzili przez korytarz, aby dostać się na pokład. Gdy rozległ się ostry dźwięk dzwonka ostrzegawczego, zaczął się szturm. Casey mimo woli przyspieszyła kroku. Po chwili znalazła się wśród hałasującej masy ludzi na promie. Wyszukała sobie miejsce i zapatrzyła się na przystań, zastanawiając się, czy postąpiła właściwie.

- Jezu, Casey! - wykrzyknął Murtagh. - Naczelne biuro nigdy się na to nie zgodzi!

- W takim razie tracą największą szansę w swoim życiu. Ty także. To naprawdę duża okazja i radzę ją wykorzystać! Jeśli pomożecie teraz Struanom, pomyśl tylko, ilu ludzi na tym skorzysta. Gdy Dunross przyjdzie na spotkanie z tobą...

- Jeśli przyjdzie.

- Na pewno przyjdzie. Już ja się o to postaram! Wtedy musisz mu powiedzieć, że to wszystko twój pomysł, nie mój.

- Ale, Casey...

- Nie. To musi być twój pomysł. Zobaczysz, ile załapiesz za to punktów w Nowym Jorku. A gdy Dunross zjawi się u ciebie, uprzedzisz go, że chcesz statusu Starego Przyjaciela.

Jezu, Casey, już dość mam kłopotów z wyjaśnianiem tym półgłówkom takich zwrotów jak „Stary Przyjaciel” czy

„twarz”.-

Więc nie wyjaśniaj. Załatw to, a staniesz się najważniejszym amerykańskim bankierem w całej Azji.

Tak, pomyślała Casey z nadzieją. Wyciągnę Linca z pułapki, jaką założył na niego Gornt.

- Do diabła z tobą, Casey! --. wrzasnął rano ze złością Bartlett. Po raz pierwszy krzyknął na nią.

- Linc, nie chcę ingerować w...

- To nie ingeruj, do cholery!

- Słuchaj, ja tylko zapytałam, czy dobrze się bawiłeś.

- Jasne, ale takim cholernie zazdrosnym tonem, że zabrzmiało to, jakbyś mówiła: mam nadzieję, że straciłeś tylko czas!

Miał rację, przyznała smutno Casey. Jeśli chce wyjść na noc, to absolutnie jego sprawa. Powinam

przełknąć to jak poprzednio i nie robić z tego afery. Ale to było coś innego niż przedtem. Linc znalazł się w niebezpieczeństwie i nie dostrzega tego.

- Na miłość boską, Linc, przecież ta kobieta leci na twoje pieniądze i władzę. Jak długo ją znasz? Zaledwie kilka dni. Gdzie ją poznałeś? U Gornta. Przecież ona jest marionetką Gornta! Ten facet to spryciarz. Dowiedziałam się co nieco i wiem, że płaci za jej mieszkanie, pokrywa rachunki. Ona...

- O wszystkim mi mówiła, i o sobie, i o nim, i o swojej przeszłości. Możesz sobie darować i przestać ją oczerniać, rozumiesz?

- Par-Con ma podjąć decyzję, z kim zawrzeć układ.

Zarówno Struanowie, jak i Gornt chwytają się różnych sposobów, aby wystawić cię na...

- Daj spokój, Casey. Nigdy dotychczas nie byłaś tak zazdrosna. Chcesz mi po prostu stanąć na drodze. Ona ma wszystko czego pragnie mężczyzna, a ty; Przypomniała sobie, że powstrzymał się. Łzy na-płynęły jej do oczu. Ma rację, do cholery! Ja nie. Ja po prostu jestem maszynką do robienia interesów, brakuje mi jej kobiecości i nie jestem, przynajmniej na razie, zainteresowana prowadzeniem domu. Nigdy jej nie do-równam. Orlanda jest delikatna, ma złotą skórę, świetnie gotuje, hia cudowne ciało i dobry gust. Idealnie nadaje się do łóżka. I nie ma na tej swojej cholernej głowie nic prócz chęci złapania bogatego męża. Fran-cuzka miała rację: Linc jest smacznym kąskiem dla złotych Azjatek, a Orlanda jest kwintesencją tego, co najponętniejsze u tutejszych kobiet.

Cholera!

Jednak cokolwiek twierdzi Linc, ja się nie mylę w jej i Gornta wypadku.

A może nie mam racji?

Spójrzmy na to rozsądnie: właściwie na poparcie swojej tezy nie mam nic prócz paru plotek i własnej intuicji. Orlanda chce się wepchnąć na moje miejsce, a mnie krew zalewa. Popełniłam straszny błąd, wtrącając się w sprawę Linca.

- Od tej pory - zapowiedział jej, zanim wyszedł z pokoju - trzymaj się z daleka od mojego prywatnego życia!

O Boże!

Szarpnęło promem, gdy odbili od brzegu, zawarczały silniki, rozstąpiły się przed nimi sampany i łódki. Wyjęła lusterko i sprawdziła, czy łzy nie rozmazały jej makijażu.

Przeptywający obok nich z majestatem duży frachtowiec z powiewającą flagą dał sygnał syreną. Casey nie zauważyła go, nie widziała też wielkiego lotniskowca przycumowanego po stronie Hongkongu.

— Zrób coś z sobą - mruknęła żałośnie do odbicia w lustrze. - Jezu, wyglądasz na czterdziestolatkę.

Twarde drewniane ławki były pełne ludzi i Casey co chwila zmieniała pozycję. Pasażerowie to w większości Chińczycy, choć widziała też kilku obwieszonych aparatami fotograficznymi turystów Europejczyków. Na promie, na obydwu pokładach, nie pozostał ani cal wolnego miejsca. Siedzący obok niej czytali gazetę i mogłoby jej się zdawać, że jest w metrze, gdyby nie to, że wszyscy Chińczycy głośno chrząkali, a jeden splunął. Tuż przed nim znajdowała się tabliczka z dużym napisem po chińsku i po angielsku **PLUCIE ZABRONIONE POD KARĄ**

**DWUDZIESTU PIĘCIU DOLARÓW.** Chińczyk chrząknął jeszcze raz, a ona miała ochotę wepchnąć mu gazetę do gardła.

Przypomniała jej się uwaga tai-pana: „Od stu dwudziestu lat próbujemy ich zmienić, ale oni tak łatwo się nie poddają”.

Nie tylko oni, pomyślała. Wszystko i wszyscy na tym zdominowanym przez mężczyzn świecie. Tai-pan miał

rację.

Co robić w sprawie Linca? Zmienić reguły naszej współpracy?

Już to uczyniłam. Rozpoczęłam działanie z Royal Belgium. To po pierwsze. Mam mu się do tego przyznać czy nie? Linc mi nie daruje, jeśli Murtagh zdobędzie w First Central te kredyty. Kiedyś i tak będę musiała powiedzieć.

Ale co dalej ze mną i Linkiem?

Patrzyła w dal niewidzącym wzrokiem i starała się podjąć jakąś decyzję.

Prom znajdował się już nie opodal Kowloon Terminal.

Dwa inne promy odpływały do Hongkongu i robiły miejsce dla przybysza. Wszyscy podnieśli się i starali zająć pozycję jak najbliżej wyjścia. Dobijając do brzegu, prom lekko się zakołysał. Jezu, przeleciało jej przez głowę, na każdym pokładzie musi być co najmniej pięćset osób. Syknęła, gdy chińska niecierpliwa matrona nadepnęła jej na stopę i przepchnęła się na czoło kolejki.

Casey wstała z obolałą stopą i chciała Chince przyłożyć parasolem.

- Oni zachowują się zupełnie inaczej, no nie? - zagadnął rozbawiony Amerykanin.

- Słucham? A tak... tak, niektórzy.

Ludzie zaczęli się na nią pchać. Nagle zrobiło jej się słabo i poczuła atak klaustrofobi. Amerykanin wyczuł to i swym wielkim ciałem rozepchał tłum i zrobił wokół niej więcej miejsca. Odepchnięci Chińczycy cofnęli się z gniewnymi minami.

- Dziękuję - powiedziała z ulgą. Atak minął. -

Dziękuję panu.

- Nazywam się Stanley Rosemont. Spotkaliśmy się u tai-pana.

Casey podniosła głowę

- Och, tak mi przykro... wydawało mi się, że jestem setki mil stąd... przepraszam. Co słychać? - zapytała przypominając go sobie.

- Jak zwykle, Casey. Nic ci nie jest? -W jego głosie pobrzmiwała nie ukrywana troska.

-  
Nie, już wszystko w porządku. Dziękuję.

Obsługa promu właśnie wyrzucała liny cumownicze, które na brzegu zostały związane na palikach. Gdy prom znajdował się już dokładnie w tym miejscu, w którym powinien, zaczęła się opuszczać schodnia. Zanim dotknęła ziemi, ruszył na nią tłum, a Casey razem z nim.

Po kilku jardach nacisk ludzi zmalał, udało jej się iść normalnym krokiem i zachować własne tempo. Po bokach czekali pasażerowie chcący jechać do Hongkongu.

Dogonił ją Rosemont.

- Mieszkaś w „Victoria and Albert”?

- Tak - odparła - a ty?

- O, ja mam mieszkanie w Hongkongu, lokum konsulatu.

- Długo już tu jesteś? .

-  
Dwa lata. Ciekawe miejsce, Casey. Po tygodniu czujesz się jak w klatce. Nie ma gdzie jechać, za dużo ludzi, dzień w dzień ci sami przyjaciele i znajomi. Ale po jakimś czasie to miejsce wydaje ci się wielkie. Wkrótce masz wrażenie, że znajdujesz się w centrum działań, w środku Azji, gdzie w dzisiejszych czasach rozgrywają się wszystkie wydarzenia. Oczywiście to prawda, że Hongkong to najważniejszy ośrodek w Azji. Dobre gazety, dobre jedzenie, golf, wyścigi konne, jachty, bli sko do Tajpej, do Bangkoku i do innych miejsc.

W Hongkongu da się żyć, nie to, co w Japoni . Tam się czujesz jak u czarnoksiężnika z krainy Oz. ,

- To znaczy dobrze czy źle?

Wspaniale, jeśli jesteś mężczyzną. Strasznie dla żon i strasznie dla dzieci. Jesteś tam bezsilna, wyalienowana, nie potrafisz nawet przeczytać tablic drogowych.

Mieszkałem tam dwa lata. Mnie się podobało, a moja żona, Atena, nienawidziła tego miejsca. - Rosemont roześmiał się. - Hongkongu też nienawidzi i chce jechać do Indochin, do Kambodży albo do Wietnamu. Kiedyś była tam pielęgniarką we francuskiej armii.

Chociaż miała mnóstwo swoich zmartwień, poczuła jakieś podskórne fluidy i zainteresowała się.

- Jest Francuzką?

- Amerykanką. Jej ojciec był ambasadorem podczas wojny francuskiej.

- Macie dzieci? - zapytała.

- Dwójkę. Dwóch synów. To drugie małżeństwo Ateny.

Znów podskórne fluidy.

- Wasi synowie pochodzą z pierwszego małżeństwa?

- Jeden tak. Miała za męża Wietnamczyka, który został zamordowany przed samym Dien Bień Phu, to znaczy odpartym najazdem francuskim. Biedak nie żył, gdy urodził się młody Vien. On jest dla mnie jak syn.

Obydwaj chłopcy są wspaniali. A ty na długo zostajesz?

- Wszystko zależy od mojego szefa i naszych interesów. Na pewno wiesz, że mamy zamiar związać się ze Struanami.

- O tym właśnie mówi się w mieście, nie licząc pożaru w Aberdeen, wezbrania wody, burzy, spadku akcji Struanów; szturm na bank i krachu na giełdzie. O

Hongkongu da się powiedzieć jedno: tu się nie można nudzić. Myślisz, że mu się uda?

- Tai-panowi? Właśnie od niego wracam. Mam nadzieję, że tak. On jest godny zaufania, nawet bardzo.

Lubię go.

- Tak. Bartlett też mnie się podoba. Długo ze sobą współpracujecie?

- Siedem lat. Prawie siedem.

Szli po zatłoczonej ulicy. Po prawej stronie mieli przystań. Kierowali się na wschód w stronę „Victoria and Albert”. Rosemont wskazał na maleńki sklepik -

Miska Ryżu.

-



Czasami Atena tu pracuje. To sklep, w którym sprzedaje się dary pochodzące z akcji dobroczynnej.

Prowadzą go Amerykanie. Wszystkie zyski przeznaczone są dla uchodźców. Wiele kobiet przychodzi tam i pomaga raz na jakiś czas. Domyślam się, że ty jesteś ciągle zajęta.

- Tylko siedem dni w tygodniu.

- Słyszałem, że wybieracie się na weekend do Tajpej. Byłaś już tam kiedyś?

- Nie. I nie będę. Przynajmniej na razie. Tylko Linc i tai-pan tam jadą. - Casey starała się odeprzeć natarczywą myśl, ale nie udało jej się: „Czy Linc zamierza wziąć ze sobą Orlandę?” Ma rację, to nie moja sprawa. Ale Par-Con owszem. A skoro Linc daje się podprowadzać przez wroga, im mniej wie na temat First Central, tym lepiej.

Cieszyła się, że podjęła tę decyzję bez emocji. Dalej rozmawiała z Rosemontem, odpowiadała na pytania, chociaż nie przywiązywała większej wagi do jego słów.

- ...Tajpej to jeszcze coś innego. Wszystko łatwiejsze, mniej zadartych nosów. A więc naprawdę rozszerzacie swoją działalność. Domyślam się, że do aż takiego przedsięwzięcia potrzeba wam sporo ekspertów.

- Nie, w tej chwili mamy dwóch i Forrestera, to szef naszych specjalistów od pianki. Plus prawnik. - Wspominając o nim, przypomniała sobie, co mówił Dunross.

A niech go diabli porwą za taką samowolę! - Linc znakomicie zorganizował Par-Con.

- Jesteście spółką akcyjną?

- Jasne, ale nie ma z tym żadnych problemów. Linc ma pakiet kontrolny, a akcjonariusze nie wtrącają się.

Dywidendy cały czas rosną, a jak podpiszemy ze Strua-nami kontrakt, znów podskoczą.

- Przydałoby nam się w Azji więcej amerykańskich firm.

Na

handlu

wyrośla

potęga

Imperium

Brytyjskiego. Życzę wam szczęścia, Casey. A właśnie, przypomniało mi się - dodał od niechcienia. -

Pamiętasz mojego kolegę Eda, Eda Langana? Był ze mną na przyjęciu u tai-pana. Zna jednego z waszych akcjonariuszy. Jakiegoś Banastasio, czy coś w tym rodzaju.

Banastasio? - powtórzyła zdziwiona. - Vincenza Banastasio?

- Tak, zdaje się, że tak - skłamał patrząc jej prosto w oczy. - Czy coś nie w porządku?

- Nie, ale to dziwny zbieg okoliczności. Banastasio ma jutro przyjechać. Jutro rano.

- Słucham? Casey zobaczyła jego zbaraniały wzrok i wybuchnęła śmiechem.

- Możesz przekazać koledze, że zatrzyma się w „Hiltonie”.

Rosemont miał mętlik w głowie,

- Jutro? Nie do wiary.

- To dobry znajomy Langana? - zapytała uważnie Casey.

- Nie, po prostu się znają. Mówi, że to fajny facet.

Hazardzista, nie?

- Tak.

- Nie lubisz go?

- Widziałam go tylko parę razy. Na wyścigach. Ma duże udziały w Del Mar. Mnie nie interesuje hazard.

Przed i za sobą mieli tłumy ludzi. Wokół czuć było smród pleśni i ludzkiego potu. Cieszyła się, że zaraz znajdzie się w pomieszczeniu z klimatyzacją, że weźmie prysznic, łyknie aspirynę i odpocznie do ósmej. Po jednej stronie ulicy stały budynki, a po drugiej rozciągał się widok na przystań.

Rosemont spojrzał na wysoki mostek „Rosyjskiego Iwanowa”

cumującego po ich stronie. Odruchowo zerknął na Hongkong i pomyślał, że z silną lornetką bez trudu można policzyć nity na amerykańskim lotniskowcu.

- Człowiek czuje się dumny z tego, że jest Amerykaninem, prawda? — zauważyła Casey, spoglądając w tę samą co on stronę. - Skoro jesteś z konsulatu, to możesz wejść na pokład?

- Jasne, mogę się załapać na wycieczkę z przewodnikiem.

- Masz szczęście!

Właśnie wczoraj byłem. Kapitan miał jakieś pre-tensje do miejscowych, więc usiłowałem załagodzić sprawę. - Znów gładko skłamał. Był na pokładzie wczoraj wieczorem i dzisiaj rano.

Spotkanie z admirałem, kapitanem i szefem bezpieczeństwa przebiegło w burzliwej atmosferze. Nie uwierzyli, że mieli u siebie zdrajcę, dopóki nie pokazał im fotokopii tajnych inwentarzy uzbrojenia i ręcznego systemu sterowania.

Teraz zdrajca znajdował się pod ścisłym nadzorem ludzi ze statku i agentów CIA przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wkrótce zacznie mówić. Tak, zadumał

się Rosemont, a potem na dwadzieścia lat do pudła.

Gdyby to ode mnie zależało, utopiłbym łajdaka w tej cholernej cieśninie. Do Metkina i KGB nic nie mam, oni też wykonują swoją robotę, tyle że są po przeciwnej stronie. Ale żeby nasi zradzali?

- Okay, koleś, mamy cię! Najpierw powiedz, dlaczego to zrobiłeś?

- Dla pieniędzy.

Jezu Chryste! Według dossier ten marynarz pochodzi z małego miasteczka na zachodzie. Nic z jego przeszłości nie wskazywało, żeby mógł okazać się podatny na prze-kupienie, i dopuścić się takiego czynu. Był spokojnym, dobrym programistą. Koledzy go lubili, zwierzchnicy darzyli zaufaniem. Nie miał lewicowych skłonności, nie był

homoseksualistą, nie szantażowano go, nic. ... - Więc dlaczego? - zapytali.

- W San Diego podszedł do mnie ten facet i powiedział, że chce wiedzieć wszystko o „Corregidorze” i zapłaci za to.

- Ale czy ty nie jesteś świadom wartości tych dokumentów? Nie rozumiesz, że zdradziłeś kraj?

- On, do diabła, chciał tylko podstawowe fakty i liczby.

I co z tego? Co za różnica? Możemy rozwalić cholernych komuchów, kiedy tylko nam się spodoba. „Corregidor” to największy lotniskowiec na świecie! To było dla mnie wyzwanie i chciałem się sprawdzić, a tamten miał

zapłacić...

Jezu, jak my mamy utrzymać bezpieczeństwo, skoro tacy kolesie jak on myślą dupami?

Szedł i gawędząc z Casey starał się wybadać, jak wyglądają jej i Bartletta związki z Banastasio. Wkrótce znaleźli się wśród ludzi wchodzących po szerokich schodach do hotelu. Uśmiechnięty odzwierny otworzył

drzwi. W foyer brzęczało jak w ulu.

- Casey, mam jeszcze trochę czasu do spotkania, mogę postawić ci drinka?

Casey zawahała się, polubiła go i przyjemnie jej się z nim gawędziło.

- Jasne, dziękuję. Najpierw odbiorę przesyłki, dobrze?

- podeszła do kontuaru recepcjonistki. Było dla niej kilka teleksów i prośby o telefon do Steiglera, Forrestera i Jannel ego. A także odręczna notka od Bartletta.

Zawierała rutynowe polecenia w sprawie Par-Con i prośbę o sprawdzenie, czy samolot jest gotów do niedzielnego lotu. Na koniec dodał: „Casey, podpisujemy kontrakt z Rothwell-Gornt. Spotkamy się u ciebie na śniadaniu o dziewiątej. Do zobaczenia”.

Wróciła do Rosemonta.

- Mogę się urwać?

- Złe wieści?

- Nie, ale dużo do zrobienia.

- Jasne, ale może moglibyśmy w przyszłym tygodniu zjeść razem kolację, ty, Linc, ja i Atena. Chciałbym, żebyście ją poznali. Zadzwoń do was i dokładnie ustal dzień, dobrze?

-

Tak, dziękuję za zaproszenie. Bardzo się cieszę.

Odeszła bardziej niż poprzednio przekonana do celowości kontynuowania obranego przez siebie kursu.

Rosemont popatrzył za nią, a potem zamówił Cutty Sark z wodą sodową i pogrążony w myślach czekał. Jak wiele pieniędzy Banastasio zainwestował w Par-Con i co z tego ma? Co tu się szykuje? Jak dobrze, że sam zająłem się Casey, bo ktoś inny mógłby przeoczyć sprawę Banastasio...

Przyszedł Robert Armstrong. - Jezu, Robert, jak ty strasznie wyglądasz! - Nie mógł się opanować Rosemont. - Weź sobie lepiej trochę wolnego i porządnie się wyśpij albo skocz sobie gdzieś za granicę.

- Wypchaj się! Jesteś gotów? Lepiej już chodźmy.

- Starczy czasu, żeby sobie łyknąć jednego.

- Nie, skoro mamy iść do biura gubernatora, to nie chcę się spóźnić.

- Dobrze.

Rosemont dokończył drinka, podpisał rachunki poszli z powrotem na prom.

- Jak tam Suchy Szturm? - zapytał Armstrong.

- Nasi nadał na pozycjach. Wygląda na to, że rewolta w Azerbejdżanie może wybuchnąć w każdej chwili.

- Rosemont zauważył ociężałość w ruchach Anglika.

- Robert, co cię gryzie?

- Czasami nie lubię być gliną i tyle. - Armstrong wyjął papierosa i zapalił.

- Zdawało mi się, że rzuciłeś.

- Tak. Posłuchaj, Stanley, przyjacielu, muszę cię ostrzec. Znalazłeś się w przysłowiowym gównie. Crosse tak się wścieka, że chyba wyjdzie z siebie.

- Cóż w tym nowego? Wielu i tak twierdzi, że jest skończony. Jezu, przecież tę teczkę od Medforda podrzucił wam Langan. Jesteśmy sprzymierzeńcami!

- To prawda — przyznał żałośnie Armstrong. - Ale to nie powód, żeby robić bez pozwolenia nalot na zupełnie czyste mieszkanie, należące do kompani tele-komunikacyjnej.

- Jakie mieszkanie? O co ci chodzi?

- Sinclair Towers numer trzydzieści dwa. Ty i twoi goryle w środku nocy wyważyli drzwi do mieszkania.

Mogę zapytać dlaczego?

-

Skąd mam wiedzieć? - Rosemont miał świadomość, że musi blefować, ale nadal wściekał się, że ten kto przebywał w tym mieszkaniu, uciekł nie zidentyfikowany. Zdecydował się na nalot, gdyż złościł się na przeciek z lotniskowca, na to, że nie może przesłuchać Metkina i na całą sprawę z Sevrin. Jeden z chińskich informatorów usłyszał plotkę, że choć mieszkanie większość czasu stoi puste, czasami korzystają z niego agenci komunistycznego wroga i właśnie tej nocy ma się tam odbyć spotkanie. Nalotem zajął się jeden z najlepszych agentów - Connochie. Wydawało mu się, że widział

dwóch uciekających ludzi, ale nie miał pewności, zwłaszcza że rozplynie się w powietrzu, a późniejsza rewizja mieszkania nie potwierdziła plotek ani im nie zaprzeczyła.

Znaleziono

tylko

dwie

nie

dopite

szklaneczki.

Sprawdzono odciski palców - na jednej były, a na drugiej nie. - Nigdy, na litość boską, nie byłem w Sinclair Towers trzydzieści dwa.

- Być może, ale wasi ludzie tak. Kilku świadków zapamiętało czterech wysokich białych ludzi wbiegających i zbiegających po schodach - powiedział jeszcze bardziej żałośnie Armstrong. - Wszyscy potężni i dobrze wyszkoleni. To mogli być wasi?

- Nie, sir.

- A jednak. Ta pomyłka będzie miała bardzo przykre następstwa. Crosse już wysłał dwa telegramy do Londynu. Żali się na ciebie, że nikogo nie zdołałeś złapać, a ponieważ działałeś samowolnie, pokrzyżowałeś nam plany.

Rosemont westchnął.

- Zejdźmy ze mnie. Mam coś dla ciebie. - Opowiedział

Armstrongowi o rozmowie z Casey i o przyjeździe Banastasio. - Wiemy oczywiście o jego koneksjach z Par-Con, ale nie mieliśmy pojęcia, że jutro do nas zawita. Co o tym sądzisz?

Armstrong przypomniał sobie notatkę w kalendarzu Fotografą Nga.

- Interesujące. Przekażę Staremu. Lepiej sobie wy myśl jakieś usprawiedliwienie w sprawie Sinclair Towers i nie zdradź się, że coś ci o tym wspominałem. - Niemal słaniał się ze zmęczenia. Rano o wpół do siódmej zaczął

przesłuchiwać Briana Kwoka.

Na początek rozegrała się isticie teatralna scena.

Brian Kwok wciąż pod wpływem leków został zabrany z białej celi i nago położony w brudnej komórce z wil-gotnymi ścianami i cienkim, śmierdzącym materacem, leżącym na zimnej podłodze. Po dziesięciu minutach został mu zaaplikowany zastrzyk na przebudzenie, za paliły się światła i na scenę wkroczył Armstrong przeklinając opiekuna celi.

- Na miłość boską, co wy robicie inspektorowi Kwokowi? Powariowaliście? Jak śmiecie tak go traktować?!

- To rozkaz nadinspektora Crosse'a. Klient...

- To jakaś pomyłka! Nic mnie nie obchodzi Crosse. -

Zostawił opiekana w spokoju i całą uwagę skupił na przyjacielu. - Proszę, stary, chcesz papierosa?

- O, Boże, dziękuję... dziękuję. - Palce Briana Kwoka drżały, gdy wyjmował, zapalał papierosa i zaciągał się dymem. - Robert... Co tu się, do diabła, dzieje?

- Nie mam pojęcia. Dopiero się dowiedziałem i dlatego tu jestem. Powiedziano mi, że wyjechałeś na kilka dni.

Crosse oszalał. Uważa, że jesteś komunistycznym szpiegiem.

- Ja? Na miłość boską... którego dzisiaj?

- Piątek trzynastego - odpowiedział szybko, ponieważ spodziewał się takiego pytania. Dodał siedem dni.

- Jaki koń wygrał na wyścigach?

- Butterscotch Lass - odpowiedział zdwajając czujność.

Dziwił się, że Brian Kwok nadal jest w dobrej formie, i wiedział, że najmniejsze wahanie mogłoby go zdradzić. -

A co?

- Tak się zastanawiałem... Słuchaj, Robert, to po-myłka. Musisz mi pomóc. Nie są... ?

Na to wszedł rozwścieczony Crosse.

- Posłuchaj, szpiegu, natychmiast podaj wszystkie adresy i kontakty! Kto jest twoim zwierzchnikiem?

Brianowi Kwokowi ledwie udało się stanąć na nogi.

- Sir, to wszystko pomyłka. Nie mam zwierzchnika, ja nie jestem szpiegiem...

Crosse podsunął mu pod nos zdjęcia.

- A więc wyjaśnij, w jaki sposób znalazłeś się na zdjęciu w Ning-tok razem z rodzinną apteką i z matką Fang-ling Wu. Jak się naprawdę nazywasz Czu-toj Wu, drugi synu Ting-top Wu i Fang-ling Wu...

Obydwaj zauważyli zmianę na twarzy Briana. Był

wstrząśnięty.

- Kłamstwa - bąknął. - Kłamstwa. Nazywam się Brian Kwok i jestem... - Jesteś łgarzem! – wrzasnął

Crosse. - Mamy świadków! Mamy dowody! Zostałeś zidentyfikowany przez swoją *gem sun* Ah Tam!

Znów niemal doskonale ukryte zdziwienie.

- Nie... Nie mam *gan sun* nazywającej się Ah Tam.

Słowo...

- Resztę swojego życia przesiedzisz w celi, jeśli nie powiesz nam wszystkiego. Do zobaczenia za tydzień.

Lepiej wyznaj całą prawdę, bo każę cię zakuć w łańcuchy! Robert! - Crosse kiwnął na niego. - Nie wolno ci tu wchodzić bez pozwolenia! - Wymaszerował z celi.

Armstrong przypomniał sobie, jaki go ogarnął wstręt, gdy wyczytał prawdę z twarzy przyjaciela. Był za bardzo doświadczony, żeby się pomylić.

- Chryste, Brian - jęknął grając dalej. - Co cię opętało?

- Co? - odezwał się wyzywającym tonem Brian Kwok.

- Nie wolno wam mnie oszukiwać ani stosować żadnych sztuczek, Robert... Niemożliwe, żeby minęło siedem dni.

Jestem niewinny.

- A zdjęcia?

- Sfałszowane... to Crosse! - Podniósł rękę, żeby osłonić się przed padającym mu na oczy światłem. -

Mówiłem ci - szepnął zachrypłym głosem - że prawdziwy szpieg to Crosse. Robert, on jest homoseksualistą...

Chce mnie zrobić...

.Strażnik otworzył drzwi.

- Przykro mi - odezwał się służbiście: - Musi pan opuścić celę.

- Dobrze, ale najpierw dajcie mu wody.

- Nie wolno.

- Pieprz się, przynieś wody!

Strażnik posłuchał. Gdy znaleźli się na chwilę sami, Armstrong schował pod materac papierosy. - Brian, zrobię, co się da... - Wrócił opiekun celi z kubkiem.

- Wolno tylko tyle - warknął ze złością. - Kubek z powrotem.

Brian Kwok z radością wypił wodę z lekiem. Armstrong, wyszedł. Trzasnęły drzwi, szurnęła zasuwa. Nagle światła zgasły i Briana Kwoka ogarnęła ciemność. Po dziesięciu minutach Armstrong



powrócił z doktorem Dornem i Crosse'em. Brian Kwok stracił przytomność, śnił

naszpikowany lekiem.

- Dobrze się spisałeś, Robert - rzekł delikatnie Crosse. - Widziałeś jego reakcję?

- Tak, sir.

- Dobrze. Ja też. To nie pomyłka. Doktorze, proszę dalej przebudzenie i sen co godzina przez następne dwadzieścia cztery...

- Chryste! - wyrwało się Armstrongowi. - Przecież...

- Co godzina, doktorze. Nie chcę zrobić mu krzywdy, chcę go złamać. Później jeszcze raz go przesłuchasz, Robert. Jeśli nic nie wyjdzie, damy go do Czerwonego Pokoju.

Doktor Dorn drgnął, a Armstrong poczuł, że serce mu stanęło.

- Nie - zaprotestował.

Robert, na Boga, klient jest winny - rzekł Crosse. - Winny!

On wystawił Fong Fonga i naszych chłopaków i Bóg wie, co jeszcze narobił. Mamy nóż na gardle. Rozkazy pochodzą z Londynu. Pamiętasz Metkina, naszego komisarza z „Iwanowa”? Właśnie się dowiedziałem, że transport RAF zaginął. Uzupełniali paliwo w Bombaju, a potem przepadli gdzieś nad Oceanem Indyjskim.

18:58

Gubernator pałał gniewem. Wsiadł z samochodu i wszedł do banku, gdzie czekał na niego Johnjohn.

- Czytałeś to? - Gubernator pomachał wieczornym wydaniem „Guardian”. Wielki nagłówek brzmiał: *PARLAMENTARZYŚCI OSKARŻAJĄ ChRL*. - Cholerni niedoinformowani idioci.

- Tak, sir - powiedział równie zdenerwowany Johnjohn.

Wskazał drogę obok umundurowanego odźwiernego do obszernego holu. - Nie można ich obu wydalić?

Na popołudniowej konferencji Grey i Broadhurst publicznie ogłosili, że Johnjohn, Dunross i inni tai-panowie działają wbrew interesom Wielkiej Brytani, Hongkongu i Chin. Grey wdał się w długą dyskusję na temat czerwonych Chin, które chcą podbić świat i przez to muszą być uznane za największego wroga pokoju.

- Już miałem pierwszy nieoficjalny protest.

- O, Boże, od Drepczącego? - jęknął Johnjohn.

- Oczywiście, że od Drepczącego. Mówił tym swoim spokojnym, jedwabistym głosem. „Wasza Ekscelencjo, gdy nasi przywódcy w Pekinie przeczytają, jak ważne osobistości parlamentu angielskiego postrzegają Pań-

stwo Środka, to sądzę, że naprawdę się rozszoszczą”.

Zaryzykowałbym twierdzenie, że wasze szanse na uzyskanie od nich kredytu są znikome.

Kolejna fala złości ogarnęła Johnjohna.

- Ten wariat sugeruje, że jego pogląd jest poglądem powszechnym, a to zupełna bzdura. Nie można podjudzać Chin w jakikolwiek sposób. Bez ich dobrej woli nasza pozycja tutaj staje się bardzo niepewna. Cholerny głupek! Musimy zrobić wszystko, żeby to wyjaśnić!

- Gubernator wyjął chusteczkę i wydmuchał nos.

- Gdzie pozostali?

- Nadinspektor Crosse i pan Sinderson są w moim biurze, Ian w drodze. A co pan sądzi o powinowactwie Greya i Iana? Szwagrowie.

- Nadzwyczajne. - Odkąd Grey wspomniał o tym w odpowiedzi na pytanie zadane po południu, gubernator miał już kilka telefonów w tej sprawie. - Dziwne, że Ian nigdy nawet na ten temat nie

zająknął.

- I Penelopa! Niesamowite. Czy sądzisz... - Johnjohn podniósł głowę i przerwał, Ian Dunross zmierzał w ich stronę.

- Dobry wieczór, sir.

- Cześć, Ian. Przełożyłem spotkanie na siódmą, żeby Sinderson mógł się zobaczyć z Rosemontem. - Gubernator wyciągnął gazetę. - Widziałeś to?

- Tak. Chińskie gazety też są oburzone. Dziwię się, że nie doszło jeszcze do jakichś wystąpień.

- Oskarżyłbym tych bałwanów o zdradę - perorował z przejęciem Johnjohn. - Co my mamy teraz, do diabła, robić, Ian?

Modlić się! Rozmawiałem już z Guthriem i kilkoma torysami. Prowadzi z nimi wywiad jeden z czołowych reporterów „Guardian” i jutro rano na pierwszej stronie zostanie przedstawiona opinia przeciwna i potępiająca tamtych szaleńców. - Dunross rozłożył ręce. Czuł, że pot zalewa mu plecy. Mieszanka z Greya, Drepczącego, Jacques'a, Phillipa Czena, monety i akt Alana Medforda wypalała go od środka. Chryste Panie, myślał, i co dalej?

Spotkanie z Murtaghem z Royal Belgium przebiegło tak, jak przewidywała Casey. To trudna sprawa, głowił się, ale warta zachodu. Gdy wracał z tego spotkania, dostał

od kogoś gazetę i bomba, jaką zobaczył w środku, niemalże zwała go z nóg. - Wszyscy musimy publicznie potępić to wystąpienie i zapewnić, że propozycja Greya, żeby przystosować prawo Hongkongu do prawa brytyjskiego

nigdy

nie

zostanie

poddana

pod

głosowanie, tym bardziej nie zyska ani jednego głosu za, a Partia Pracy przegra wybory. Broadhaurst był tak samo straszny, a może jeszcze gorszy.

- Ian, rozmawiałeś z Drepczącym?

- Nie, Bruce, cały czas zajęte. Ale wysłałem wiadomość. - Opowiedział, co wymyślił Phil i Czen, na co gubernator wyjaśnił, że Tip Tok-toh dzwonił do niego.

Dunross zdziwił się. - O której, sir?

- Przed szóstą.

- Musiał już wtedy dostać od nas wiadomość. - Czuł, że serce wali mu jak młot. - Po tej... konferencji sądzę, że nie ma szans na chińskie pieniądze.

- Też tak uważam.

Dunross zdał sobie sprawę, że jeszcze nie komen-towali jego związków z Greyem.

- Robin Grey to większy dureń, niż się można było spodziewać - powiedział, chcąc jak najszybciej mieć to z głowy. - Mój szwagier nie przysłużyłby się lepiej Sowietom, nawet gdyby pracował w politbiurze. Broadhaurst to samo. Idioci!

- Jak mówią Chińczycy - odezwał się po przerwie gubernator - diabeł daje ci krewnych, dziękuj bogom, że nie przydziela ci też przyjaciół.

— Święta prawda. Na szczęście, delegacja w niedzielę musi wyjechać. Oby tylko cały ten galimatias i jutrzejsze wyścigi nie doprowadziły do katastrofy. - Dunross potarł

czoło. - Już blisko, nie?

Gubernator pokiwał głową.

- Wszystko gotowe, Johnjohn? - zapytał.

- Tak, sir... - Otworzyły się drzwi windy i wyszedł Roger Crosse z szefem MI-6 Edwardem Sindersem.

- O, Sinderson - ucieszył się gubernator. - Chciałbym, abyś poznał Iana Dunrossa.

Miło mi, sir. - Sinderson i Dunross uścisnęli sobie ręce.

Szef MI-6 był w średnim wieku, miał na sobie lekko pomięte ubranie i nie wyróżniał się niczym szczególnym.

Twarz miał szczupłą i pozbawioną koloru, siwy zarost na brodzie. - Przepraszam za swój wygląd, sir, ale jeszcze nie byłem w hotelu.

- Przykro mi - odparł Dunross. - Ta sprawa może poczekać do jutra. Dobry wieczór, Roger.

- Dobry wieczór, sir. Dobry wieczór, Ian - powiedział

sucho Crosse. - Skoro zebraliśmy się tu wszyscy, może moglibyśmy jednak przystąpić do rzeczy?

Johnjohn ruszył w stronę skarbcza.

- Jeszcze chwileczkę, Bruce. Moglibyśmy cię na chwileczkę przeprosić?

- Oczywiście. - Johnjohn ukrył zdziwienie, zastanawiając się, o co chodzi i kim jest Sindera, ale wiedział, że rozsądniej będzie nie pytać. Gdyby chcieli, sami by go wtajemniczyli. Zamknął za sobą drzwi.

Dunross spojrział na gubernatora.

- Sir, czy może pan oficjalnie potwierdzić, że to pan Edward Sindera, szef MI-6?

- Tak. - Gubernator podał kopertę. - Zdaje się, że chciałeś mieć to na piśmie.

- Dziękuję, sir. Przepraszam - zwrócił się do Dunrossa – ale - nie dziwi pana chyba moja ostrożność.

- Oczywiście. A więc skoro to już ustalone, możemy iść, panie Dunross?

- Kim jest Mary McFee?

Sindera zaniemówił. Crosse i gubernator popatrzyli na niego ze zdumieniem, a potem przenieśli wzrok na Dunrossa.

- Ma pan wysoko postawionych przyjaciół, panie Dunross. Mogę zapytać, kto to panu powiedział?

- Niestety. - Dunross nie spuszczał z niego oczu.

Alastair Struan zdobył tę informację od wysokiego urzędnika z Bank of England, który miał dojście do kogoś z wysokich sfer rządowych. - Wszyscy chcemy się upewnić, że Sindera jest tym, za kogo uchodzi.

-

Mary McFee to znajoma - rzekł niepewnie Sindera.

- To, Niestety, za mało.

- Dziewczyna.

I to za mało. Jak się naprawdę nazywa? Sindera zawahał się, twarz zbieła mu jak kreda, wziął Dunrossa pod ramię i odszedł w kąt holu. Przyłożył usta do jego ucha.

- Anastazja Kekilowa, pierwszy sekretarz ambasady czechosłowackiej w Londynie - szepnął odwrócony tyłem do gubernatora i Crosse'a.

Usatysfakcjonowany Dunross skinął głową, ale Sindera nadal trzymał jego ramię z zadziwiającą siłą.

- Lepiej niech pan zapomni to nazwisko - szepnął

łagodniej. - Jeśli KGB zacznie tylko podejrzewać, że pan o niej wie, na pewno to z pana wyciągną. A

wtedy już po niej, po mnie i po panu.

Dunross pokiwał głową.

-

Oczywiście.

Sinders odetchnął i skinął na Crosse'a.

- A teraz możemy przejść do rzeczy, Roger. Wasza Ekscelencjo?

Wszyscy w napięciu ruszyli za Johnjohnem, który czekał przy windzie. Na dole przed ciężkimi metalowymi wrotami stało dwóch umundurowanych strażników, jeden z CID, drugi z SI. Obydwaj zasalutowali. Johnjohn otworzył drzwi i wpuścił wszystkich z wyjątkiem straż-

ników, a potem zamknął za sobą na klucz. - Taki bankowy zwyczaj;

- Mieliście kiedyś włamanie? - zapytał Sinders.

- Nie, ale Japończycy sforsowali kiedyś te wrota, gdy zginął klucz.

- Był pan przy tym?

- Na szczęście nie. - Po kapitulacji Hongkongu w Boże Narodzenie 1941 roku dwa brytyjskie banki Blacs i Victoria stały się najważniejszym celem Japończyków.

Wszyscy dyrektorzy zostali oddzieleni od siebie i trzymeni pod strażą. Przez miesiące, a nawet lata, wywierano na nich silną presję. Zostali zmuszani do nielegalnych działań. A potem wkroczyła Kampeitai, znenawidzona i siejąca postrach japońska tajna policja. - Kampeitai zabiła kilku naszych kolegów, a reszcie utrudniła życie. Jak zwykle nie mieli jedzenia, byli bici, zamykani w klatkach.

Kilku zmarło z wyczerpania, choć odpowiedniejszym słowem byłoby: z głodu. Zarówno Blacs, jak i my straciliśmy wszystkich dyrektorów. - Johnjohn otworzył

kratę.

Stali

przed

kilkoma

rzędami

skrytek

depozytowych.

-Ian?

Dunross wyjął klucz.

- Szesnaście, osiemdziesiąt pięć, dziewięćdziesiąt cztery..-.

Johnjohn poszedł w odpowiednim kierunku. Bardzo niezgrabnie włożył kluczyk do jednego zamka. Dunross zrobił to samo. Przekręcili obydwaj klucze. Zamki puściły.

Oczy wszystkich skierowane były na schowek. Johnjohn wyjął swój klucz.

- Poczekam na zewnątrz - oświadczył zadowolony, że już po wszystkim i może wyjść.

Dunross zawahał się.

- Tutaj są też pewne prywatne rzeczy. Mogę przeprosić?

Crosse ani drgnął.

- Przykro mi, ale zarówno pan Sinderson, jak i ja musimy mieć pewność, że dostajemy wszystkie teczki.

Dunross zauważył, że obydwaj się spocili, sam też był

cały mokry.

-

Wasza Ekscelencjo, zechce pan obserwować?

-

Oczywiście.

Dwaj pracownicy tajnych służb odeszli. Dunross czekał, aż znajdą się w odpowiedniej odległości, a potem otworzył skrytkę. Była duża. W środku znajdowały się tylko niebieskie teczki, osiem. Sir Geoffrey przyjął je bez słowa komentarza. Dunross zamknął skrytkę i przekręcił

kluczyki.

Crosse podszedł z wyciągniętą ręką.

-

Mogę je wziąć, sir?

- Nie.

Crosse ugryzł się w język, żeby nie zakląć.

Ależ, Ekscelencjo...

-

Procedurę ustalił minister i zaaprobowali ją Amerykanie. Ja też - odrzekł gubernator. - Wszyscy wrócimy teraz do mojego biura. Wszyscy będziemy świadkami robienia fotokopii. Dwóch egzemplarzy, dla pana Sindera i dla pana Rosemonta. Ian, sam minister polecił mi dać jedną kopię Rosemontowi.

Dunross wzruszył ramionami, nadal niespokojny.

- Skoro tak sobie życzy minister, to w porządku.

Jak zrobi pan fotokopie, to proszę spalić oryginały.

- Zerknął na Crosse'a i wydawało mu się, że się ucieszył.

- Skoro te teczki mają takie znaczenie, to niech lepiej przestaną istnieć. Wystarczy, że będą w odpowiednich rękach, MI-6 i CIA. Ja oczywiście nie powinienem mieć żadnego egzemplarza. W wielu kwestiach biedny Medford przesadzał i mam nadzieję, że odpowiednio podejście do tych dokumentów. Ekscelencjo, proszę je spalić.

- Dobrze. - Gubernator przeniósł wzrok na Crosse.

- - Co, Robert?

- Nic, sir. Możemy iść?

- Skoro już tu jestem, to wezmę jeszcze kilka innych dokumentów do sprawdzenia - rzekł Dunross. - Nie czekajcie na mnie.

- Dobrze. Dziękujemy, Ian. - Wszyscy wyszli ze skarbcza.

Gdy został zupełnie sam, podszedł do innej skrytki depozytowej i otworzył ją za pomocą dwóch kluczyków.

Gdyby Johnjohn dowiedział się, że Dunross ma jeden dorobiony, dostałby zawału. Zamki bezgłośnie puściły. Ta skrytka należała do kilkunastu wynajmowanych przez Noble House na inne nazwiska. W środku znajdowały się pliki studolarowych banknotów, stare dokumenty, a na wierzchu leżał naładowany pistolet. Jak zwykle poczuł się nieswojo, nienawidził broni, nienawidził też Hag Struan, która w „Instrukcjach dla tai--panów” spisanych przed śmiercią w 1917 roku i włączonych do testamentu, wyłożyła swoje zasady, a jedna z nich głosiła, że w kilku miejscach musi znajdować się pewna ilość gotówki i naładowany pistolet do wyłącznego użytku tai-pana.

Napisała:

*Nie cierpię broni, ale wiem, że jest konieczna. W roku 1916, gdy zachorowałam, mój wnuk Kelly*



*0'Gorman, trzeci tai-pan (jedyńie z nazwy), uwierzył, że umieram, i zmusił mnie do wyjścia z łóżka do sejfu w Wielkim Domu i do przekazania mu pieczęci Noble House, czyli absolutnej władzy tai-pana. Zamiast pieczęci wyjęłam pistolet i strzeliłam. Wnuk zmarł po trzech dniach mę-*

*czarni. Wierzę w Boga i nienawidzę broni i zabijania, ale Kel y oszalał, a zadaniem tai-pana jest chronić sukcesję. Ani trochę nie żałuję, że umarł. Ty, który to czytasz strzeż się: znajomi i krewni pałają żądzą władzy. Nie wahaj się użyć żadnej z metod, aby chronić legację Dirka Struana...*

Po policzku spłynęła mu kropelka potu. Pamiętał, jak przechodziły mu po plecach ciarki, gdy w nocy, kiedy został tai-panem, po raz pierwszy czytał te instrukcje. Zawsze mu się zdawało, że kuzyn Kelly - starszy syn ostatniej córki Hag, Rosę - umarł na cholera podczas jednej z epidemii.

Hag pisała o jeszcze innych potwornościach:

*W1894 roku, najgorszym z lat, została mi przyniesiona połówka monety od Żin-kua. W tym roku nawiedziła Hongkong dżuma. Umierały dziesiątki tysięcy pogańskich Chińczyków. Również nasza rodzina została dotknięta zarazką. Zmarła kuzynka Hannah wraz z trójką dzieci, dwoje dzieci Czen-czena oraz pięcioro wnucząt. Legenda głosiła, że dżumę przyniósł wiatr. Inni uważali, że to przekleństwo Boga albo odmiana malari i „morowego powietrza” uderzyły w Szczęśliwą Dolinę. A potem stał się cud! Badania prowadzonych przez nas japońskich lekarzy, doktorów Vitasato i Aoyamy, doprowadziły do wyodrębnienia pałeczki dżumy i udowodnienia, że przenoszą ją pchły i szczury. Stwierdzili też, że należyte zabezpieczenia, higiena i wytępienie szczurów powstrzymają plagę. Jednak należące do Gordona Czena - syna tai-pana - wzgórze Tai-ping Szan zamieszkiwali ciemni, żyjący w brudzie i nędzy ludzie, a w ich budach legły się szczury i panoszyły wszelkiego rodzaju zarazki. Jak wszystkie polecenia rządu, tak i to w sprawie dżumy traktowali z rezerwą, i nic nie robiąc dla zachowania czystości, umierali nadal.*

*Gordon, teraz już bezzębny starzec, nic nie mógł na to poradzić - rwał sobie włosy z głowy, że traci najemców, ale całą swoje energię zachowywał dla czterech kobiet, które miał w domu.*

*Pod koniec lata, gdy wydawało się, że dżumy nic nie powstrzyma, a codziennie umierało coraz więcej ludzi, kazałam w nocy podłożyć ogień w Tai-ping Szan.*

*Zdawałam sobie sprawę, że spłoną ludzie, ale bez zrobienia porządku poumierająby tysiące innych w całej kolonii. Kazałam spalić Tai-ping Szan, ale uratowałam Hongkong. Przetrzymałam też przyniesioną połówkę monety.*

*Dwudziestego kwietnia człowiek o nazwisku Czang Wu-tah pokazał połówkę monety mojemu młodemu kuzynowi Dirkowi Dunrossowi - czwartemu tai-panowi.*

*On, nie znając tajemnicy monety, przyniósł ją do mnie.*

*Wysłałam po owego Czanga, który władał angielskim.*

*Poprosił, aby Noble House otoczył możliwie dużą opieką młodego człowieka wykształconego na Zachodzie - Sun Jat-sena. Abyśmy zaopatrywali go w pieniądze i udzielali przez całe życie pomocy*

w jego walce z Mandżurami. Mieliśmy wspierać rewolucjonistę walczącego z panującą w Chinach dynastią, z którą mieliśmy doskonale ułożone stosunki i dzięki której mogliśmy prowadzić handel z Chinami. Byłoby to działanie wbrew interesom Noble House. Obmówiłam, twierdząc, że nie będziemy pomagać w walce z ich cesarzem. Na co Cziang Wu-tah rzeki:

„To jest prośba o przysługę, która mi się należy od Noble House”.

I spełniliśmy ją.

Narażając się na ryzyko, zapewnialiśmy pieniądze i opiekę. Mój drogi Dirk Dunross wywiózł doktora Suną z Kantonu do kolonii, skąd odpłynął do Ameryki, chociaż ja chciałam, żeby towarzyszył on Dirkowi w drodze „do Angli na naszym parowcu „Zachodząca Chmura”. Właśnie w tamtym tygodniu zamierzałam przekazać Dirkowi rzeczywistą władzę tai-pana, ale Dirk rzekł: „Nie, po powrocie”. Nie wrócił jednak nigdy.

Razem z całą załogą zginął gdzieś na Oceanie Indyjskim. Och, co za strata!

Ale śmierć jest częścią składową życia, a naszym zadaniem jest żyć. Nie wiem jeszcze, komu przekażę władzę. To powinien być Dirk Dunross, który nosił imię dziadka. Jego synowie są za młodzi, żaden z Cooperów się nie nadaje, z deVille'ów to samo, być może Daglish, z MacStruanów jeszcze nikt nie jest gotów. W

rachubę biorę też Alastaira Struana, ale sęk w tym, że on pochodzi od Robba Struana.

Nie znaczy to, przyszły tai-panie, że czuję się bliska śmierci. Proszę Boga o siły na jeszcze kilka lat życia.

Nie widzę nikogo wartego zajęcia mojego miejsca. A teraz trwa ta Wielka Wojna, trzeba odbudować Noble House, nasza flota niemal nie istnieje, Niemcy zatopili trzydzieści naszych statków. I jeszcze trzeba wywiązywać się ze zobowiązań. Musimy wspierać doktora Sun Jat-sena aż do śmierci, bo inaczej stracimy twarz...

I wspieraliśmy, pomyślał Dunross. Noble House wspierał go przez całe życie do samej jego śmierci w 1925 roku. Nawet wtedy, gdy chciał zbliżenia z sowiecką Rosją. Następcą Sun Jat-sena został Czang Kai-szek, wyszkolony przez Sowietów porucznik, który rządził potem Chinami, aż jego były sprzymierzeniec Mao Tse-tung z dłońmi zbrukanymi krwią Wspiął się w Pekinie na Tron Smoka.

Dunross wyjął chusteczkę i wytarł czoło.

Powietrze w skarbcu było suche, pełne kurzu i Dunross musiał odkaszląć.

Dłonie miał spocone, a na plecach nadal czuł mro-wienie. Ostrożnie podniósł z głębokiego dna metalowej kasetki pieczęć korporacji, ponieważ mogła mu być potrzebna, gdyby podczas weekendu doszło do umowy z Royal Belgjum. Jeśli tak się stanie, będę winny Casey niejedną przysługę, pomyślał.

Serce mocniej mu zabiło i nie mógł opanować chęci upewnienia się. Z wielką uwagą podniósł dno,

pod którym znajdowały się prawdziwe niebieskie teczki Alana Medforda. Te, które przed chwilą dał Sindetfrsowi, w zalakowanej paczce przyniósł mu poprzedniego o dnia Kirk z żoną. Do paczki dołączony był też list.

*Tai-pan, okropnie się boję, że obydwaj możemy -*

*zostać zdradzeni i informacje znajdujące się w dokumentach ode mnie dostaną się w niestosowne ręce. Przysyłam i teczki podobne do poprzednich, zawierające jednak tylko bezpieczne wiadomości. Jeśli zostanie pan zmuszony, ale tylko wtedy, może je pan udostępnić. Co zaś do oryginałów, to powinien je pan zniszczyć zaraz po spotkaniu z Riko. Na pewnych stronach zostały zapisane niewidoczne informacje, a klucz do ich odczytania ma tylko ona. Proszę wybaczyć taką konspirację, ale wywiadem nie zajmują się dzieci.*

*To dotyczy zarówno przeszłości,, terażniejszości, jak i przyszłości. W naszym wspaniałym kraju działa wielu zdrajców i w ogóle zło panoszy się na świecie. Nasza niepodległość zagrożona jest bardziej niż kiedykolwiek.*

*Założę się, że dorównuje pan swemu barwnemu przodkowi. On też walczył za wolność do życia i handlu. Nie sądzę, żeby zginął podczas burzy. Nigdy nie dowiemy się prawdy, ale przypuszczam, że został*

*zamordowany, co i mnie czeka. Ale proszę się nie przejmować, młody człowieku, wiele dobrego zrobiłem w życiu. Wbiłem dużo gwoździ do trumny wroga, więcej niż wynosił mój przydział. Pana proszę o to samo. Z szacunkiem.*

I dalej podpis.

Biedak, pomyślał smutno Dunross.

Poprzedniego dnia przemycił zastępcze teczki do skarbca, a oryginały umieścił w innej skrytce. Chciał je zniszczyć, ale nie było sposobu, aby zrobić to bezpiecznie, a poza tym musiał czekać na przyjazd Japonki. Lepiej i mniej ryzykowne zostawić je na miejscu, pomyślał. Dużo czasu...

Nagle poczuł na sobie czyjś wzrok. Sięgnął po pistolet, zacisnął na nim palce i obejrzał się. Patrzył na niego Crosse. Razem z Johnjohnem stali przy wejściu.

- Chciałem tylko - zaczął Crosse - podziękować ci za współpracę, Ian. Ja i pan Sinderson doceniamy to.

Dunrossowi ulżyło.

- Nie ma za co. Cieszę się, że mogłem pomóc. -

Ostrożnie rozluźnił palce na pistolecie i odsunął go.

Fałszywe dno kasetki opadło na miejsce. Zobaczył, że Crosse zerka do skrytki, ale nie przejmował

się. Z miejsca, gdzie stał nadinspektor, nie było możliwości dostrzeżenia prawdziwych teczek. Dunross pobłogosławił *dżos*, że powstrzymał go przed wyjęciem teczek do przejrzania.

Zamknął swobodnie skrytkę i odetchnął.

- Duszno tu, no nie?

- Tak. Jeszcze raz ci dziękuję, Ian. - Crosse wyszedł.

- W jaki sposób otworzyłeś tę skrytkę? - zapytał

chłodno Johnjohn.

- Kluczem.

-

Dwoma kluczami, Ian. To wbrew przepisom.

- Johnjohn wyciągnął rękę. - Proszę o swoją własność.

- Przykro mi, stary - rzekł spokojnie Dunross - to nie jest twoja własność.

Johnjohn zawahał się.

- Zawsze podejrzewaliśmy, że masz dorobiony klucz.

W jednym wypadku Paul się nie myli: masz za dużo władzy i wydaje ci się, że to twój bank, twoje pieniądze i cała kolonia też twoja.

- I z bankiem, i z kolonią utrzymujemy długie i serdeczne stosunki. Ostatnie lata, gdy trochę władzy zdobył Paul Havergil, były dla mnie ciężkie. Ale najgorsze, że on jest staroświecki i był to jedyny powód, dla którego głosowałem za jego odejściem. Ty za to masz nowoczesne podejście, więcej siły, działasz mniej emocjonalnie i myślisz perspektywicznie. Będziesz lepszy.

Johnjohn pokręcił głową.

- Wątpię. Jeśli kiedykolwiek zostanę tai-panem tego banku, to nie zamierzam zapomnieć, że należy on do akcjonariuszy i kontrolują go ludzie przez nich wyznaczeni.

- Tak jak teraz. Tylko że my posiadamy dwadzieścia jeden procent.

Posiadaliście. Są zabezpieczeniem kredytów, któ-

rych najprawdopodobniej nigdy nie spłacisz. Poza tym dwadzieścia jeden procent to dzięki Bogu jeszcze nie pakiet kontrolny.

- Ale prawie.

- I ja uważam, że to bardzo, bardzo niebezpiecznie dla banku.

- Ja nie.

- Chcę jedenaście procent z powrotem.

- Nie są na sprzedaż.

- Gdy zostanę tai-panem, zdobędę je za wszelką cenę.

- Zobaczymy.

- Jeśli zostanę tai-panem, wprowadzę wiele zmian. Na przykład te skrytki. Po co do nich dwa klucze?

- Zobaczymy. - Dunross uśmiechnął się.

W Koulunie Bartlett zeskoczył na łódkę i pomagał

zejść z nabrzeża Orlandzie. Ona odruchowo zrzuciła buciki na wysokim obcasie, aby nie zniszczyć pokładu.

- Witam na „Wiedźmie Morskiej”, panie Bartlett. Dobry wieczór, Orlando - przywitał ich z uśmiechem Gornt. Stał

na mostku i zaraz kiwnął do pomocnika, żeby odbijali. -

Wspaniale, że przyjął pan zaproszenie na kolację.

- Nie wiedziałem, że jestem zaproszony, Orlanda powiedziała mi dopiero pół godziny temu... ej, ale fajna łajba.

Gornt zapuścił silniki i powoli ruszyli naprzód.

- Jeszcze godzinę temu nie miałem pojęcia, że bę-

dziecie jeść kolację sami. Domyślam się, że nie widział

pan nigdy hongkongskiej przystani nocą i pomyślałem sobie, że mogę dać panu taką szansę. Jest kilka spraw, które chciałem przedyskutować, więc poprosiłem Orlandę, żeby zaprosiła pana na jacht.

- Mam nadzieję, że przyplnięcie do Koulunu nie sprawiło kłopotu.

- Ależ skąd, panie Bartlett, często zabiera się stąd **gości**.

Gornt uśmiechnął się tajemniczo, miał na myśli Orlandę i inne dziewczyny, które przez tak wiele lat zabierał z kouluńskiego nabrzeża. W milczeniu poprowadził łódź koło terminalu Golden Ferry, a potem zmniejszył moc silników do połowy i przekręcił ster w prawo, aby obrać kurs na zachód.

Jacht miał siedemdziesiąt stóp długości, był zgrabny, elegancki, błyszczący, a ze swoimi silnikami mógł dotrzymać kroku nawet łodzi wyścigowej. Stali na mostku, przez otwarte boczne okienka wpadało powietrze, za-słonki trzepotały na wietrze. Gornt ubrany był w dwu-rzędową kurtkę marynarską z emblematem jachtklubu.

Czarne obrębienie pasowało do jego brody. Panował nad łodzią całkowicie, czuł się jak w swoim żywiole.

Bartlett także czuł się jak ryba w wodzie. Ubrany był w luźną koszulę, na nogach miał sportowe buty. Za nim stała Orlanda. Wyczuwał ją nawet bez dotyku. Miała na sobie ciemną wieczorową suknię i szal. Wiatr rozwiewał jej włosy, stopy pozostały bose.

Spojrzał na przystań - promy, dżonki, liniowce, oświetlony niezliczoną liczbą żarówek szary lotniskowiec z powiewającą banderą. Od strony Kai Tak było widać startujące i lądujące samoloty.

Stąd nie mógł dostrzec płyty lotniska i swojego samolotu, ale wiedział, że tam jest. Po południu był na Kai Tak, aby dostarczyć jakieś dokumenty i zapłacić za zajmowanie pola.

Orlanda dotknęła go niechcący. Wtedy spojrzał na nią.

Uśmiechnęła się.

-

Wspaniale prawdą?

Rozpromieniona, pokiwała z zadowoleniem głową. Nie potrzebowała odpowiadać,

- Tak, tak - rzekł odwrócony tyłem Gornt myśląc, że Bartlett zwraca się do niego. - Cudownie tak płynąć nocą na własnej łodzi. Płyniemy na zachód, a potem jakieś czterdzieści pięć minut na południe. - Skinął na stojącego nie opodal kapitana. Milczący szanghajczyk przejął od Gornta ster.

- *Szej-szej* - podziękował mężczyzna. Gornt wskazał

ręką na stół z krzesłami,

Usiądziemy? - Przyjrzał się Orlandzie.

- Pięknie wyglądasz.

- Dziękuję - odpowiedziała.

- - Nie zimno ci?

- Nie, nie, Quillan.

Spod pokładu wyszedł steward w mundurze. Przyniósł

na tacy kanapki na zimno i ciepło. W kubelku z lodem obok stołu stała butelka z białym winem, cztery kieliszki, dwie puszkę amerykańskiego piwa i napoje chłodzące.

- Czego pan sobie życzy, panie Bartlett? - zapytał

Gornt. - Mam wino Frascati, ale słyszałem, że woli pan zmrożone piwo z puszkę.

- Poproszę o Frascati, piwo później, jeśli można.

- Orlanda?

- Wino, Quillan - odparła spokojnie. On doskonale wiedział, że najlepiej lubi Frascati. Muszę postępować dziś wieczór bardzo rozsądnie, nakazała sobie w duchu.

Natychmiast przystała na propozycję Gornta, ponieważ także uwielbiała morze nocą i restauracja należała do jej ulubionych, jednak wolałaby być sam na sam z Bartlettem. Jasne, że... Nie, pomyślała. To nie był rozkaz, tylko prośba. Quillan stoi po mojej stronie. A cel mamy wspólny - Linca Bartletta!

Spojrzała na Amerykanina i zauważyła, że obserwuje Gornta. Serce jej załomotało. Przypomniało jej się, jak kiedyś Gornt zabrał ją do Hiszpanii i widzieli corridę.

Tak, ci dwaj są jak torreadorzy, myślała. Cokolwiek Gornt mówi, wiem, że nadal mnie pożąda. Uśmiechnęła się.

-

Dla mnie wino - powtórzyła radośnie.

Skąpe światło padające na pokład tworzyło intymną atmosferę. Steward nalał wina. Jak zawsze było smaczne, delikatnie wytrawne i chłodne. Bartlett otworzył torbę, którą miał z sobą.

- Jest taki stary amerykański zwyczaj, że jak się po raz pierwszy do kogoś idzie, trzeba przynieść prezent.

Postawił na stole butelkę wina.

-

O, bardzo uprzejmie z... - przerwał. Ostrożnie podniósł wino, wstał, przeszedł w lepiej oświetlone miejsce i przyjrzał się naklejce, Usiadł z powrotem. - To nie podarunek, panie Bartlett, to magiczna butelka. Myś-

lałem, że mnie oczy mylą. - Czerwone wytrawne Chate-au Margaux należało do *premier cru* z prowincji Bordeaux -

Medoc. - Nigdy nie piłem rocznika czterdzieści dziewięć.

To był doskonały rok dla czerwonych win wytrawnych.

Dziękuję. Bardzo dziękuję.

- Orlanda mówiła, że woli pan czerwone od białego, ale na wypadek, gdyby miały być dzisiaj ryby...

- Ostrożnie wyjął drugą butelkę.

Gornt spojrzał na nią. Chateau Haut-Brion. Czerwone wina Chateau Haut-Brion z dobrych roczników dało się porównać ze wspaniałymi Medoc, ale białe - wytrawne, delikatne i mało znane ze względu na niewielką produkcję - uważane było za jedno z najlepszych win z prowincji Bordeaux. Rocznik pięćdziesiąty piąty.

Gornt westchnął.

- Skoro wie pan tak wiele o winach, dlaczego pije pan piwo?

- Piwo piję do spaghetti, panie Gornt. I przed lunchem. A wino do innych potraw. - Bartlett uśmiechnął

się. — We wtorek do spaghetti wybiorę piwo, a potem będzie Frascati albo Verdicchio, albo...

- Umbrian Casale?

- Właśnie. I *piccata*.

Nie zwracał uwagi na Orlandę, ale wiedział, że rozumiała, o co mu chodzi.

Całe szczęście, że ją wypróbowałem.

- Dobrze się bawiłeś? - zapytała, gdy zadzwoniła do niego rano do małego hoteliku przy Sunning Road.

- Mam nadzieję, że tak, kochanie.

Tamta dziewczyna była piękna, ale nie budziła innych uczuć, jedynie pożądanie, i doznał niewielkiej satysfakcji.

Powiedział to Orlandzie.

- Och, to moja wina. Źle wybraliśmy - powiedziała zrozpaczona. - Dzisiaj pójdziemy na kolację i spróbuje my gdzie indziej.

Uśmiechnął się i spojrzał na Orlandę. Wiejący wiatr dodawał jej uroku. Zauważył, że Gornt go obserwuje.



Będziemy dzisiaj jeść ryby?

- Tak, Orlando, mówiłaś panu Bartlettowi o Pok Liu Czau?

- Nie, przekazałam jedynie, że jesteśmy zaproszeni na łódź.

- Dobrze. Nie będzie to bankiet, ale owoce morza mają tam wspaniałe. Panie Bartlett, pan...

- Może moglibyśmy mówić sobie po imieniu? Od tego

„pana” można dostać niestrawności.

Roześmiali się.

- Linc, jeśli pozwolisz - poprosił Gornt - nie otworzymy twego podarunku dzisiaj. Chińskie potrawy nie pasują do wielkich win. Nie uzupełniają się. Zatrzymam je do wtorku, dobrze?

- Oczywiście.

Zapanowało milczenie i było słychać tylko szum silników. Wyczuwając, że Gornt życzy sobie, aby ich zostawiła samych, Orlanda wstała z uśmiechem.

- Przepraszam was na chwilkę. Muszę przypudrować nos.

- Możesz iść do ostatniej kabiny, Orlando - powiedział

Gornt.

- Dziękuję - powiedziała i odeszła. Z jednej strony cieszyła się, a z drugiej poczuła się urażona. Ostatnia kabina była przeznaczona dla gości. Orlanda odruchowo poszłaby do kabiny głównej, do toalety w apartamencie właściciela, w apartamencie, który kiedyś należał do nich.

To nic. Przeszłość to przeszłość. Teraz liczy się tylko Linc.

Popijając wino Bartlett zastanowił się, dlaczego Orlanda się zawahała.

- Ilu ludzi może spać na tej łodzi?

- Spokojnie dziesięć osób. Załoga składa się z czterech: kapitan-mechanik, chłopiec pokładowy, kucharz i steward. Jak chcesz, to cię później oprowadzę. - Wyjął

papierosy. - Zapalisz?

- Nie, dziękuję.

- Przez tydzień można pływać bez tankowania. Nadal jesteśmy umówieni na wtorek?

- Tak, to będzie D Day.

- Nie zmieniłeś zdania? W sprawie Struanów?
- O wyniku bitwy zadecyduje poniedziałek. Poniedziałek, godzina trzecia. Po zamknięciu giełdy będziesz go miał albo nie i wtedy koniec.
- Nie. Tym razem jest zrujnowany.
- Wszystko na to wskazuje.
- Nadal wybierasz się z nim do Tajpej?
- Taki mam zamiar. Gornt zaciągnął się głęboko papierosem. Sprawdził na oko kurs łodzi. Wypłynęli już z kanału. Wstał i podszedł do kapitana, ale ten także zauważył małą nie oświetloną dżonkę i bezpiecznie ją wyminął.
- Cała naprzód! - poleciał i wrócił na miejsce. Dolał do kieliszków, wybrał smażoną *dim sum* i spojrzał na Amerykanina. - Linc, mogę być z tobą szczery? .
- Jasne.
- Chodzi o Orlandę. Bartlett ożywił się.
- Co takiego?
- Na pewno już wiesz, że kiedyś byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Bardzo bliskimi. W Hongkongu słyszy się dużo plotek, lecz my nie jesteśmy ze sobą już trzy lata, chociaż pozostaliśmy przyjaciółmi.
- Popatrzył na niego spod swoich bujnych brwi. - Mówię to, bo nie chciałbym, żeby stała jej się jakaś krzywda, - Uśmiechnął się.
- A ona jest naprawdę wspaniała.
- Zgadzam się z tobą.
- Nie chcę ci niczego sugerować, tylko mówię ci jak mężczyzna mężczyźnie o trzech sprawach, które powinieneś wiedzieć. To była pierwsza. Druga to, że ona jak żadna kobieta potrafi trzymać język za zębami.
- A trzecia to, że ona nie ma nic wspólnego z naszymi interesami. Nie wykorzystuję jej w żaden sposób, nie jest żadną formą nagrody, łapówki ani nic z tych rzeczy.
- Bartlett przez chwilę milczał.
- Jasne - odezwał się w końcu.
- Nie wierzysz mi?

- Bartlett szczerze się roześmiał.

- Quil an, do diabła, przecież tu jest Hongkong.

Możesz sobie mnie kołować, a ja się nie zorientuję kiedy. Nie wiem nawet, czy Pok Liu Czau to restauracja czy może część Hongkongu albo Chin. - Ze smakiem napił się wina. - A co do Orlandy, to uważam, że jest wspianiała i nie musisz się martwić. Rozumiem, o co ci chodzi.

— Mam nadzieję, że nie uraziłem cię informując o tym.

Bartlett pokręcił głową.

- Cieszę się, że to powiedziałaś. - Zawahał się, ale ponieważ Gornt był z nim szczerzy, on też zdecydował się na otwartość. - Mówiła mi o dziecku.

- To dobrze.

- Dlaczego się dziwisz?

- Trochę jestem zaskoczony. Orlanda musi cię lubić, skoro ci to wyznała.

Bartlett czuł siłę obserwujących go oczu i starał się wyczytać, czy jest w nich zazdrość.

- Mam nadzieję. Mówiła, że byłeś dla niej bardzo dobry. Dla rodziców także.

- To bardzo mili ludzie. Trudno w Azji wychować, i to dobrze, pięcioro dzieci. Nasza kompania zawsze pomagała, gdzie mogła. - Napił się wina. - Pierwszy raz widziałem Orlandę, jak miała dziesięć lat. Była niedziela, wyścigi w Szanghaju. Tego dnia wszyscy zakładali najlepsze ubrania i szli na tor. Dla niej było to pierwsze oficjalne wyjście. Jej ojciec był dyrektorem w jednym z naszych stoczniowych przedsiębiorstw. Bardzo dobry człowiek. Eduardo Ramos. Był już trzecim pokoleniem mieszkającym w Makau, a jego żona pochodziła z Szanghaju. A Orlanda... - Gornt westchnął. - Orlanda była najpiękniejszą dziewczynką, jaką kiedykolwiek widziałem.

Miała białą sukienkę... Potem dopiero widziałem ją, jak wróciła ze szkoły w Stanach. Wtedy dobiegała -

osiemnastu lat i, hm, oszalałem z miłości do niej. Nie da się powiedzieć, jaki się czułem szczęśliwy przez te wszystkie lata z nią. Mówiła ci, że załatwiłem faceta, który ją uwiódł?

-Tak.

- To dobrze. Teraz już wiesz wszystko. O tych trzech sprawach chciałem wspomnieć.

Bartlett nagle poczuł przyływ serdeczności do Gornta.

- Rozumiem. - Nachylił się, gdy Gornt nalewał mu do kieliszka. - Może zapomnimy o tym. We wtorek długi i znajomości zostaną zlikwidowane i wszystko zaczniemy od nowa. Wszyscy.

- Po której stoisz stronie? - zapytał z uśmiechem Gornt.

- Jeśli chodzi o przejście, to oczywiście, że po twojej.

Na sto procent. A co do wejścia Par-Con do Azji, to stoję pośrodku i czekam na zwycięzcę. Skłaniam się ku tobie i mam nadzieję, że wygrasz, ale czekam.

- A więc te dwie sprawy to nie to samo?

- Nie. Poznałem zasady przejmowania firm. Wiem, że to chwilowa operacja, jedno posunięcie. - Uśmiechnął się.

- Oczywiście, że będę to robił z tobą, Quil an. Przecież przekazałem ci dwa miliony bez żadnej pieczęci, żadnego dokumentu, tylko na słowo.

- Słowo w Hongkongu jest czasami cenniejsze. Dokładnych liczb nie znam, ale jesteśmy do przodu jakieś dwadzieścia

cztery

do

trzydziestu

milionów

hongkongijskich dolarów.

- Brawo! - zawołał podnosząc kieliszek. - A co ze szturmem na banki? Czy to może nam jakoś zaszkodzić?

Gornt zmarszczył brwi.

- Nie sądzę. Nasz rynek bardzo się rozchwiał, ale Blacs i Victoria się nie dadzą, rząd musi je podtrzymać.

Słyszałem pogłoski, że gubernator ogłosi w poniedziałek wakacje bankowe i banki będą zamknięte, jak długo będzie trzeba. Chodzi o to, żeby zdobyć gotówkę i odzyskać zaufanie. Wiele banków może upaść, ale to nie powinno wpłynąć na nasz plan.

- Kiedy zamierzasz odkupić akcje?

- To zależy, kiedy ty zerwiesz z nimi umowę.

Może w poniedziałek o dwunastej? Wystarczy czasu do zamknięcia, żebyś ty i tajni pełnomocnicy wykupili akcje, gdy cena po rozejściu się informacji jeszcze spadnie.

- Doskonale. Chińczycy bardzo łatwo reagują na pogłoski, więc na giełdzie bessa bez trudu zamienia się w hossę i odwrotnie. Południe mi odpowiada. Zrobisz to w Tajpej?

- Tak.

- Będzie mi potrzebne potwierdzenie teleksem.

- Casey ci da.

- Ona wie o naszym planie?

- Tak. Już tak. Ile potrzeba akcji, żeby przejąć kontrolę?

- Powinieneś to wiedzieć.

- Tej informacji właśnie mi brakuje.

- Jak wykupimy te akcje, będziemy mieli dość, aby dostać przynajmniej trzy miejsca w radzie. A gdy do tego dojdzie, już ich mamy. Wtedy po krótkim czasie połączę Struanów i Rothwell-Gornt.

- I zostaniesz tai-panem Noble House.

- Tak, - W jego oczach pojawiły się ogniki. Rozlał wino do kieliszków. - Na zdrowie!

- Na zdrowie!

Wypili zadowoleni z zawartego kontraktu. W głębi duszy jednak ani trochę sobie nie ufali. Obydwaj cieszyli się, że opracowali na wszelki wypadek plan al-ternatywny.

Trzech mężczyzn o ponurych twarzach wyszło z domu gubernatora i wsiadło do samochodu Crosse'a. Sindera zajął miejsce z przodu, Rosemont z tyłu, a Cross za kierownicą. Agenci CIA i MI-6 ściskali nie przeczytane kopie dokumentów od Alana Medforda. Na dworze było ciemno, a ruch panował większy niż zwykle.

- Myślicie, że gubernator przeczyta oryginały, zanim je zniszczy? - zapytał siedzący z tyłu Rosemont.

- Chyba tak - rzekł Sinders.

Sir Geoffrey jest za mądry, żeby to zrobić - wtrącił się Crosse. - Nie zniszczy oryginałów, dopóki kopie nie trafią do rąk ministra, bo może się zdarzyć, że nie dojedziesz. Mimo to on jest za rozsądny, żeby przeczytać coś, co mogłoby wprawić w zakłopotanie na-miastnika Jej Wysokości, a więc i samą Jej Wysokość.

Znów zapadło milczenie.

Rosemont nie wytrzymał i spytał.

- Co z tym Metkinem? Gdzie było to tankowanie, Roger?

- W Bombaju. Tam samolot musiał zostać porwany.

Jeśli to było porwanie.

- Musiało być, Roger. Ktoś z pewnością doniósł. Znów ten cholerny szpieg? - Czekał na odpowiedź, ale nikt nic nie mówił. - A co z „Iwanowem”, Roger? Zrobisz nagłą rewizję?

- Gubernator rozmawiał z Londynem i uważają, że nierozsądnie byłoby rozdmuchiwać tę sprawę.

- A co te półgłówki tam mogą wiedzieć? - warknął ze złością Rosemont. - To szpiegowski statek! Założę się o pięćdziesiątkę, że mają księgę z kodami, dostęp do najwyższej klasy technologii w ZSRR i z pięciu albo sześciu ekspertów KGB.

- Oczywiście, ma pan rację, panie Rosemont - odparł

grzecznie Sinderson. - Ale bez koniecznego pozwolenia nie wolno nam tego zrobić.

- To pozwólcie mnie i moim...

- Wykluczone! - Poirytowany Sinderson wyjął paczkę papierosów. Była pusta. Crosse poczęstował go swoimi.

- Więc zostawić ich w spokoju?

- Chcę jutro zaprosić kapitana do Komendy Głównej i poprosić o wyjaśnienia - zapowiedział Sinderson.

- Chciałbym wziąć udział w spotkaniu.

- Zastanowię się.

- O dziewiątej rano otrzyma pan oficjalną zgodę.

- Przykro mi, panie Rosemont, ale tutaj nie muszę stosować się do wytycznych pana przełożonych.

- Przecież jesteśmy sprzymierzeńcami, na litość boską.

- Więc dlaczego urządziliście nalot na mieszkanie w Sinclair Towers? - dociekał Sinderson.

Rosemont westchnął i przedstawił całą historię.

Sinderson w zamyśleniu popatrzył najpierw na Crosse, a potem na Rosemonta.

- Od kogo dowiedział się pan, panie Rosemont, że to

„bezpieczny dom” wroga? - zapytał.

- Mamy swoją siatkę informatorów. To należy do naszych obowiązków. Nie mogę zdradzić od kogo, ale, jeśli chcecie, dam wam kopie odcisków palców ze szklanki.

- Na pewno się przydadzą - rzekł Sinderson. - Dziękujemy.

- To nie rozgrzesza cię z nielegalnego napadu - zauważył chłodno Crosse.

- Przeprosiłem, no nie? - Rosemont poczerwieniał. -

Każdemu wolno się pomylić. Londyn jest lepszy?

Mieliście Philby'ego, Burgessa i Macleana, a my wiemy o czwartym koleśku na równie wysokim stanowisku, który śpi sobie spokojnie i śmieje wam się w nos.

Crosse i Sinderson zdziwili się i popatrzyli na siebie.

- Kto? - spytał Sinderson.

- Gdybym wiedział, już by został zdjęty. Philby uciekł

z mnóstwem naszych papierów, a potem miliony kosztowały nas zmiany kodów i struktur.

- Przykro mi z powodu Philby'ego - przyznał Sinderson. -

Tak, wszyscy się co do niego myliliśmy.

- Wszyscy popełniamy błędy. Ale gdybym wczoraj złapał wrogich szpiegów, to byście mi gratulowali, nie?

Nie udało mi się i bardzo żałuję. Następnym razem poproszę o zezwolenie, w porządku?

- Nie poprosisz - rzekł kwaśno Crosse. - Ale wszyscy oszczędzilibyśmy sobie nerwów, gdybyś wczoraj to uczynił.

- Co takiego wiecie na temat tego czwartego? - dążył

Sinderson, bladej jak ściana. Nie ogolony zarost postarzał

go.

W zeszłym tygodniu rozpracowaliśmy kolejną siatkę komunistycznych szpiegów w Stanach. Mnożą się, cholera, jak króliki. Grupa składała się z czterech ludzi, dwóch w Nowym Jorku i dwóch w Waszyngtonie. Ten z Waszyngtonu nazywał się Iwan Jegorow i był

urzędnikiem w ONZ. Nasza strona mogłaby się wreszcie obudzić i wypytać ich o nowoczesną broń i skradzioną od nas bombę atomową. Złapaliśmy Iwana Jegorowa i jego żonę Aleksandrę na

przekazywaniu tajemnic przemysłowych dotyczących komputerów. Ci z Waszyngtonu nosili prawdziwe nazwiska ludzi, którzy już nie żyli: rzymskokatolickiego księdza i kobiety z Connecticut. Całą czwórką łajdaków kierował

koleś z sowieckiej ambasady, pewien attache.

Złapaliśmy go, gdy chciał zwerbować do siebie jednego z naszych z CIA. Zanim go wydaliliśmy ze Stanów, tak porządnie go nastraszyliśmy, że śpiewał

jak z nut. Powiedział między innymi, że wbrew pozorom najważniejszy nie był Philby, tylko ten czwarty.

Sinders zakasłał i zapalił drugiego papierosa od niedopałka.

- Co dokładnie powiedział?

- Tylko tyle, że siatka Philby'ego składała się z czterech osób. Czwarty facet kierował pozostałymi i utrzymywał kontakt z Sowietami. Podobno siedzi na górze.

- Gdzie? W polityce? Ministerstwie Spraw Zagranicznych? W finansach?

Rosemont wzruszył ramionami.

-

Nie wiem, na górze.

Crosse skręcił w Sinclair Road, zatrzymał się przed swoim domem i wysadził Sindera. Dalej pojechał z Rosemontem do konsulatu. Rosemont wręczył mu zdjęcia odcisków palców, a potem zaprosił do swojego gabinetu. Było to duże pomieszczenie z barkiem dobrze zaopatrzonym w trunki,

- Szkocką?

- Wódkę z sokiem cytrynowym - poprosił Crosse spoglądając na rzucone beztrasko na biurko kopie dokumentów Medforda.

Na zdrowie - trącili się szklaneczkami. Rosemont wypił szkocką jednym haustem. - Co cię gryzie, Roger? Masz minę kota, który cały dzień siedzi na rozgrzanym dachu. -

Przez nie - wskazał na

dokumenty.

-

Chcę



dorwać

tego zdrajcę i rozwalić Sevrin.

Rosemont zmarszczył brwi.

- Dobra - zgodził się po chwili. - Popatrzmy, co my tam mamy.

Podniósł pierwszy plik, rozłożył na biurku i zaczął

czytać. Niewiele minut mu zajęło, aby się z nimi dokładnie zapoznać, a potem podał je Crosse'owi, który przestudiował je równie szybko. W niedługim czasie skończyli całość. Crosse dokończył ostatnią stronę i odłożył do innych. Zapalił papierosa.

- Za dużo tego, żeby od razu skomentować - mruknął Rosemont.

Crosse wyczytał jakiś podtekst w słowach Amerykanina i był ciekaw, czy jest sprawdzany.

- Jedna rzecz mnie uderza - stwierdził. - To wszystko ma zbyt małą wagę w porównaniu z tym, czego dowiedzieliśmy się z tej teczki przechwyconej przez nas.

Rosemont pokiwał głową.

- Też na to zwróciłem uwagę, Roger. Co o tym sądzisz?

- Wydają się takie płytkie. Wszystkie pytania pozostają bez odpowiedzi. O Sevrin tylko mała wzmianka, to samo o szpiegu. - Crosse podniósł szklaneczkę z wódką i dopił do końca. - Rozczarowałem się.

- Albo tamte, które mamy, są unikatowe, albo te zostały przesortowane.

- Tak.

- Co z powrotem nas prowadzi do lana Dunrossa.

Jeśli te dokumenty są przesortowane, on ma prawdziwe.

- Tak, ale być może tylko w głowie.

- To znaczy?

- On podobno ma fotograficzną pamięć. Mógł

spreparować te, a tamte zniszczyć, ale na pewno je przedtem zapamiętał.

- A więc można by go przesłuchać... Jeśli rzeczywi-

ście nas oszukał.

Crosse zapalił kolejnego papierosa.

- Tak. Jeśli władze uznają to za konieczne. - Spojrzał

na Rosemonta. - Oczywiście takie przesłuchanie musi być zarządzane przez Biuro Akt Tajnych.

- Powiniennem się odwalić? - zapytał bezceremonialnie Rosemont.

- Nie. Najpierw musimy się upewnić. To powinno pójść stosunkowo łatwo. - Spojrzał na barek. -  
Mogę?

-

Jasne. Ja też sobie jeszcze strzelę whisky.

Crosse nalał mu,

- Zawrzyjmy umowę: ty naprawdę ze mną współ-

pracujesz, nie podejmujesz żadnych działań bez uprzedzenia mnie, żadnych tajemnic, żadnych  
nalotów...

- W zamian za co?

Crosse uśmiechnął się i wyjął fotokopie listów.

- Co byś powiedział na to, gdybyś mógł mieć wpływ, a nawet kontrolę, na pewne posunięcia  
prezydenta, a może nawet na wybory?

- Nie rozumiem.

Crosse podał mu fotokopie listów, które Armstrong ze swoją grupą zdobył podczas rewizji u Lo  
Krzywy Ząb.

- Wygląda na to, że pewna bogata, ustosunkowana rodzina amerykańska weszła w układ z pewnymi  
amerykańskimi generałami, aby budować pewne duże, acz

niekoniecznie potrzebne, lotniska w Wietnamie, z zyskiem dla własnej kieszeni. Z tych papierów  
wynika kto, kiedy i jak. - Crosse opowiedział, jak zdobył tę informację, a potem dodał: - Czy to  
czasem nie senator Wilf Tulman, zaufany prezydenta, przebywa właśnie u nas?

Zdaje się, że za taką zdobycz zrobią cię szefem CIA, jeśli zdecydujesz się ją przekazać. Te - Crosse  
położył

dokumenty na biurku - są jeszcze pikantniejsze. Ujaw-niają, w jaki sposób pewni szacowni politycy i  
takie same rodziny zdobywają zgodę kongresu na odprowa-dzenie milionów dolarów na fałszywy  
program dob-roczyzny w Wietnamie. Osiem milionów już zostało wypłaconych.

Rosemont przeczytał listy. Zbladł. Podniósł słuchawkę telefonu.

- Proszę z Edem Langanem. - Czekał chwilę, a potem jego twarz nagle spurpurowiała. - Nie pieprz mi tutaj! ~

wrzasnął. - Rusz tyłkiem i dawaj mi tu natychmiast Eda. -

Rzucił słuchawkę na widełki i przeklinając otworzył biurko, odszukał fiolkę z tabletkami uspokajającymi i zażył

jedną. - Roger, możemy dostać tego K. K.Lima?

- Jak go znajdziecie, proszę bardzo. Przebywa gdzieś w Ameryce Południowej. - Crosse położył na biurku kolejny dokument. - To raport z wydziału antykorupcyjnego. Nie powinno być kłopotów ze znalezieniem Lima.

Rosemont przeczytał.

- Jezu - jęknął. - Możemy to zachować między nami?

Nad Stanami rozszałałoby się tornado,

- Oczywiście. Umowa stoi? Żadna strona niczego nie ukrywa?

- W porządku. - Rosemont otworzył sejf. - Przysługa za przysługę. - Odnalazł teczkę, której szukał, wyjął

kilka kartek, schował teczkę i zamknął sejf. - Masz tu fotokopie, możesz je zatrzymać.

Zatytułowane były *Wojownik Wolności* i opatrzone datami z bieżącego i poprzedniego miesiąca. Crosse przejrzał je pogwizdując od czasu do czasu. Były to doskonale przygotowane raporty wywiadowcze. Wszystkie wiadomości wiązały się z Kantonem i ważnymi wydarzeniami dotyczącymi tej stolicy prowincji Kuangtung: ruchami wojsk, awansami, spotkaniami władz lokalnych z partią komunistyczną, powodziami, przydziałami żywności. Zawierały też wyszczególnienie ilości i jakości czechosłowackich oraz wschodniemieckich artykułów dostępnych w magazynach. . - Skąd to macie? - zapytał.

- W Kantonie działa nasza komórka. Takie raporty dostajemy co miesiąc. Mam ci dawać kopię?

- Tak, dziękuję. Przepuszczę je przez nasze źródła, żeby sprawdzić ich wiarygodność.

- Są wiarygodne, Roger. Oczywiście są ściśle tajne, nie? Nie chcę, żeby moi chłopcy wpadli tak jak Fong Fong. To zostaje tylko między nami, dobrze?

- Tak.

- Świetnie. A co do tego Lima, to go złapiemy. -

Rosemont nalał sobie następnego drinka. - Chcesz?

- Nie, dziękuję, już idę - odrzekł Crosse.

- Dzięki za to - wskazał palcem na dokumenty. Tak, dzięki, ale... - Przerwał, a potem pełnym gniewnego oburzenia tonem dodał: - Czasami aż mi się robi niedobrze, gdy pomyślę, co dla forsy zrobią ludzie.

Wiesz, o co mi chodzi, nie?

- Oj, wiem, wiem! - potwierdził uprzejmie Crosse, ale myślał sobie: „Ależ ty jesteś naiwny, Stanley!”

Po wyjściu pojechał do Kwatery Głównej, w prywatnej kartotece sprawdził odciski palców, a potem wrócił do samochodu i ruszył w stronę West Point. Upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, zatrzymał się przy pobliskiej budce telefonicznej i zadzwonił. Po chwili ktoś odebrał telefon, ale w słuchawce słychać było jedynie oddech. Crosse kaszlnął w taki sam sposób jak Arthur i odezwał się:

- Z panem Lop-sing proszę.

- Nie ma tu żadnego pana Lop-ting. Przykro mi, to pomyłka.

Crosse rozpoznał Suslewa.

- Chciałbym zostawić dla niego wiadomość - udatnie imitował głos Arthura. Zarówno Jason Plumm, jak i Crosse uważali, że to bardzo pożyteczne, iż obydwaj mogą udawać Arthura, przez co utrudniają ewentualną identyfikację.

- I co? - zapytał Suslew, gdy dopowiedzieli hasło do końca.

Crosse uśmiechnął się. Jak łatwo oszukać Suslewa!

- Czytałem materiały. Nasz Przyjaciel także. -Zgodnie z kodem Arthura Naszym Przyjacielem był sam Crosse.

- Tak, i co? .

,

- Obydwaj doszliśmy do tego samego wniosku, że są wspaniałe. - Wspaniałe oznaczało informację fałszywą lub nieważną.

Długa przerwa.

- A więc?

- Czy Nasz Przyjaciel może skontaktować się z wami w sobotę o czwartej? - Czy Roger Crosse może

zadzwoń dzisiaj o dziesiątej wieczorem?

- Tak. Dziękuję za telefon. - Tak. Odebrałem informację.

Crosse odłożył słuchawkę.

Wrzucił drugą monetę i zadzwonił jeszcze raz.

- Halo?

- Witaj, Jason, mówi Roger Crosse - powiedział

uprzejmie.

- O, witam inspektorze; co za miła niespodzianka odparł Plumm. - Czy jutrzejszy brydż aktualny? – Czy widziałeś dokumenty Medforda?

- Tak - powiedział Crosse, a potem od niechcienia dodał: - Ale zamiast o szóstej, to o ósmej, dobrze?

- Tak, ale jesteśmy bezpieczni, nasze nazwiska nie zostały wymienione.

Usłyszał westchnienie ulgi.

- Mam przekazać pozostałym graczom? Spotkanie dzisiaj, tak jak się umawialiśmy?

- Nie. Nie trzeba im wieczorem przeszkadzać, jutro to zrobimy.

- Spotkamy się jutro.

- Świetnie. Dziękuję za telefon.

Crosse pojechał zatłoczoną ulicą. Zadowolony z siebie zapalił papierosa. Ciekawe, czy Suslew albo jego szefowie domyślają się, że ja, a nie Jason Plumm, jestem prawdziwym Arthurem. Tajemnice w tajemnicach gonią tajemnice, a tylko Jason Plumm wie, kim naprawdę jest Arthur.

Zachichotał.

W KGB niechybnie by oszaleli na tę wieść. Nie lubią tajemnic, do których nie są dopuszczani. Dostałoby nam się jeszcze bardziej, gdyby dowiedzieli się, że to ja zwerbowałem Plumma i uformowałem Sevrin, a nie odwrotnie.

Łatwo było to zorganizować. Gdy Crosse pracował dla wywiadu wojskowego w Niemczech, pod sam koniec wojny dowiedział się prywatnymi kanałami, że Plumm, ekspert od łączności, obsługuje tajny nadajnik dla Rosjan. W ciągu miesiąca poznał Plumma i dowiedział się prawdy, ale zaraz potem wojna się skończyła. Zachował

więc tę informację na przyszłość. Mogła mu się kiedyś przydać przy targowaniu się. W wywiadzie

nigdy nie wiadomo, kiedy jest się wystawionym, zdradzonym, sprzedanym za coś lub kogoś cenniejszego. Tajemnice przydają się, żeby nimi handlować. Trudno przewidzieć, kiedy można stać się bezbronnym jak dziecko. Na przykład Worański, Metkin, Dunross ze swoimi dokumentami. Rosemont z naiwnym idealizmem, Gregor Suslew ze swoimi odciskami palców pozostawionymi na szklance podczas nalotu CIA, który został przeprowadzony za moją sprawą.

Crosse roześmiał się na głos. Z przyjemnością, wprawnie prowadził samochód. Zmiana stron i podjudzanie ich na siebie sprawiają, że życie staje się bardziej ekscytujące. Tak, tajemnice rzeczywiście potrafią uatrakcyjnić życie.

## 21:54

Na małej wyspie Pok Liu Czau, na południowy zachód od Aberdeen, Bartlett jadł najsmaczniejsze chiń-

skie potrawy w życiu. Doszli właśnie do ósmego dania -

małej miseczki ryżu, na której, zgodnie z tradycją, kończyło się każde przyjęcie.

-

Zdaje się, Linc, że ty już więcej nie zmieścisz!

- Orlanda roześmiała się. - Trzymasz w napięciu naszego gospodarza, bo w każdej chwili możesz pęknąć z wielkim hukiem!

- Oj, masz rację, Orlanda! Quil an, fantastyczna kolacja!

- Tak, Quillan - powtórzyła Orlanda. - Doskonale wybrałeś miejsce.

Restauracja znajdowała się na niewielkim nabrzeżu w pobliżu rybackiej wioski. Brudne wnętrza oświetlono gołymi żarówkami, umeblowano zepsutymi krzesłami i stolikami z poplamionymi obrusami, większość desek w podłodze była połamana. Obok znajdowały się rzędy pojemników z rybami, gdzie wystawiano na sprzedażienne połowy całej wyspy. Z pomocą właściciela restauracji sami wybrali sobie z pojemników krewetki, kałamarnice, homary, małe kraby oraz różnego rodzaju i różnej wielkości ryby.

Gornt ustalając z właścicielem menu dyskutował, w jaki sposób jaka ryba ma zostać przyrządzona. Obydwaj uchodzili za fachowców, a Gornt był do tego cennym gościem. Potem usiedli przy stoliku na patio.

Robiło się chłodno, popijali piwo, wszyscy byli w szampańskim humorze. Zgadzała się co do tego, że podczas kolacji panuje zawieszenie broni, i mogli sobie pozwolić na osłabienie czujności.

Po pewnym czasie przyniesiono pierwsze danie -

sto-sik mięsistych, najdelikatniejszych na świecie pieczonych krewetek. Potem mała ośmiornica z czosnkiem, imbirem, chili i innymi wschodnimi przyprawami.

Następnie

smażone

skrzydełka

kurczaków z dodatkiem morskiej soli, później gotowana na parze duża ryba z soją, plasterkami dymki oraz imbirem - największy przysmak, czyli rybi łeb, przypadł, jako honorowemu gościowi, Bartlettowi.

- Jezu, jak zobaczyłem tę dziurę, przepraszam, to miejsce... - zwierzał się Bartlett - pomyślałem, że nabijacie mnie w butelkę.

- Och, mój drogi - rzekł Gornt - musisz poznać Chińczyków. Oni nie skupiają się na wystroju, lecz na samych potrawach. Bardzo podejrzliwie podchodzą do restauracji, które wydają pieniądze na wyposażenie, a nie na jedzenie. Im wystarczy wiedzieć, co jedzą. Stąd to ostre światło. Chińczycy, tak jak Włosi, przywiązują dużą wagę do jedzenia. Też lubią się śmiać, jeść, pić i czknać sobie...

Wszyscy pili piwo.

- Ono najlepiej pasuje do chińskich dań, choć bardziej wskazana byłaby chińska herbata. Jest lepiej przyswajalna i rozkłada tłuszcze.

- Dlaczego się uśmiechasz, Linc? - zapytała Orlanda.

- Bez powodu. Wy naprawdę znacie się na tutejszych potrawach. Co to jest?

Spojrzała do miseczki z zapiekanym ryżem i kawał

kami różnego rodzaju ryb.

Kałamarnica.

Co?!

Pozostała dwójka roześmiała się,

-

Chińczycy uważają, że wszystko, co patrzy w niebo, jest jadalne. Idziemy?

Gdy znaleźli się na pokładzie i odbili od brzegu, zamówili kawę i brandy.

- Przepraszam was na chwilę - powiedział Gornt.

- Mam trochę pracy. Jak zmarzniecie, idźcie do ostatniej kabiny. - Zszedł pod pokład.

Zatopiony w myślach Bartlett popijał brandy. Naprzeciw niego na krześle siedziała Orlanda. Nagle zamarzyło mu się, że to jego łódź i płyną nią tylko we dwoje. Orlanda przysunęła się bliżej, położyła mu dłoń na karku i delikatnie, fachowo nacisnęła na mięsień.

- Wspaniałe uczucie - westchnął.



- Ach - odpowiedziała zadowolona. - Potrafię zrobić dobry masaż, Linc. Uczyłam się od Japonki. Masz swojego masażystę?

- Nie.

- A powinieneś. Ważne, aby móc rozluźnić wszystkie mięśnie. Dbasz o swój samolot, prawda? O ciało też trzeba dbać. Jutro ci załatwię. - Lekko podrapała go po szyi. - U kobiety, ale jej nie wolno dotykać, *heya!*

- No wiesz, Orlando...

- Żartowałam, głuptasie - parsknęła rozładowując chwilowe napięcie. - Ona nie widzi. W dawnych czasach

w Chinach, a na Tajwanie nawet dzisiaj, niewidomi utrzymywali w sztuce masażu monopol. Oni widzą palcami. Oczywiście można też spotkać oszustów i szarlatanów

udających

wiedzę.

Wkrótce

się

przekonasz, kto w Hongkongu naprawdę jest masażystą,

a

kto

nie.

To

tylko wioska i wszyscy się znają. - Nachyliła się i przyłożyła usta do jego szyi. - Za to, że jesteś piękny.

Roześmiał się.

- To chyba moja kwestia. - Objął ją ramieniem i przytulił do siebie, zdawał sobie sprawę z obecności kapitana na mostku.

- Może chcesz się przejść i obejrzeć całą łódź? -

zapropozowała,

- Ty też czytasz w moich myślach? Roześmiała się radośnie.

-  
Czyż nie do kobiety należy zauważenie, czy jej...

czy jej mężczyzna jest wesoły, smutny, czy chce być sam, czy pragnie jeszcze czegoś innego?  
Nauczyłam się robić użytek ze wszystkich zmysłów, Linc.

Oczywiście tylko próbuję czytać w twoich myślach, a jeśli się mylę, musisz mi powiedzieć, żebym mogła się poprawić. Ale jeśli się nie mylę... czy nie jest ci przyjemnie? - I o wiele łatwiej powstrzymać cię od ucieczki. Skuteczniej nad tobą zapanować i uwiązać cię na sznurku, który można bez trudu zerwać, ale moja w tym głowa, żeby zamienić go w stalową linkę.

O, lecz nie bez oporów i porażek przyszło mi na-uczenie się tego. Quillan był okrutnym nauczycielem.

Edukacja przebiegała w złości i gniewie.

- Czy ty, na miłość boską, nie masz oczu? Chyba jasne, że jeśli przychodzę tutaj, to znaczy, że czuję się podle i miałem fatalny dzień! Dlaczego nie podajesz mi od razu drinka, dlaczego nie dotkniesz mnie delikatnie i nie zamkniesz się na cholerne dziesięć minut, żebym mógł się zrelaksować? Zrozum mnie, chociaż przez dziesięć minut, i wszystko będzie dobrze.

- Quillan - szepnęła powstrzymując łzy i bojąc się jego złości - przyszedłeś taki zdenerwowany i roztrzęsiony, że i mnie się to udzieliło i...

- Setki razy ci powtarzałem, że ty nie masz zarażać się złym humorem, gdy ja mam zły humor. Twoje zadanie polega na rozładowaniu mojego napięcia! Popatrz trochę, posłuchaj, uruchom szósty zmysł! Mnie tylko potrzeba dziesięciu minut spokoju. Czy ja nie patrzę i nie staram się przystosować do ciebie? Co miesiąc o tej samej porze stajesz się podenerwowana, nie? Czy nie staram się wtedy sam być opanowany i uspokoić cię, co?

- Tak, ale...

- Do diabła z tym cholernym „ale"! Na Boga, czuję się jeszcze podle, niż zanim tu przyszedłem! To twoja wina, bo jesteś głupia, niekobieca i sama wiesz o tym najlepiej!

Orlandą pamiętała, jak wyszedł wtedy trzaskając drzwiami, a ona zalała się łzami. Zmarnowała się przyrządzona przez nią urodzinowa kolacja, straciła cały wieczór. Potem wrócił do niej już spokojny i opanowany. Delikatnie ją przytulił, a ona czuła, że nie musi go przeproszać ani przyznawać się do winy.

-

Posłuchaj, Orlando - przemówił do mej miękko.

- Nie jestem jedynym mężczyzną, z którym przyjdzie ci

żyć. Nie tylko ode mnie będziesz zależna, a kobieta zawsze jest zależna od jakiegoś mężczyzny - czasem od

złego, nieprzyjemnego i trudnego we współżyciu. Ale bardzo łatwo jej nad nim zapanować. Wystarczy, że postarasz się uważnie patrzeć, a zrozumiesz, iż mężczyźni są jak dzieci, a od czasu do czasu bywają rozłoszczeni i źli. Ale oni zarabiają pieniądze, a to bardzo

trudne zajęcie. Niezwykle ciężko dzień po dniu zarabiać

pieniądze, kimkolwiek się jest. *Moh czing moh meng...*

Bez pieniędzy nie ma życia. W zamian za to kobieta musi zapewnić harmonię i spokój, tak cenne dla mężczyzny i tak trudne do osiągnięcia. Ale kobieta zawsze jest w stanie uspokoić swego mężczyznę, jeśli tylko chce, i zawsze może wyssać z niego tę truciznę.

Zawsze.

Tylko

poprzez swój spokój, miłość,

delikatność i zrozumienie. Nauczę cię gry życia.

Zdobędziesz doktorat W szkole przeżycia i przetrwania dla kobiet, ale musisz pracować...

Oj, pracowałam, pracowałam, myślała ponuro Orlanda. Wspominała wszystkie przelane łzy. Ale teraz już wiem. Teraz już instynktownie wiem to, czego musiałam wyuczyć się na siłę.

- No chodźmy - zaproponował Bartlett. - Pokażesz mi łódź.

Wzięła Linca pod ramię i zesłi pod pokład. W kabinie głównej stały przymocowane do podłoża luksusowe sofya i fotele, a także bogato wyposażony barek.

- Tam dalej mieszka załoga. Ciasno im, ale jak na Hongkong, to i tak dobre warunki.

W korytarzu obejrzelili cztery kabiny, w tym dwie z podwójnymi kojami. Na rufie jest kajuta Quillana.

Luksusowa.

- Uśmiechnęła się w zamyśleniu. - On lubi mieć wszystko, co najlepsze.

- Tak - rzekł Bartlett. Pocałował ją, a ona odwzajemniła mu się z całej duszy. Ogarnęło ją jego pożądanie i pozwoliła sobie poddać się namiętności.

Wiedziała, że nie będzie musiała go powstrzymać, on sam nie zechce posuwać się za daleko.

Tak właśnie wszystko sobie ukartowała.

Poczuła jego siłę. Przyłgnęła do niego całym ciałem.

Głaskał ją po plecach, a ona mu się odwdzięczała tym samym. Czowała się cudownie, jeszcze lepiej niż w ramionach Quil ana, który nigdy nie przestawał być nauczycielem i zawsze nad sobą panował. Gdy znaleźli się na koi, Bartlett wycofał się. Odsunęła się od niego, ale nadal pozostawała przy nim.

-  
Wracajmy na pokład - powiedział.

Gornt zamknął na klucz drzwi do swojej kajuty. W

wielkim łóżku pod lekkim kocem słodko spała dziewczyna.

Stał przy posłaniu i zanim ją delikatnie musnął ręką, rozkoszował się chwilę jej widokiem. Budziła się powoli.

- *Aiii ia*, tak mocno spałam, Szlachetny Panie. Pana łóżko tak mnie kusi - westchnęła, ziewnęła i przeciągnęła się jak kotek. - Smakowała Panu kolacja? - zapytała po szanghajsku.

- Tak, była wyśmienita - odpowiedział w tym samym języku. - Twoja też?

- O tak, bardzo dobra - odpowiedziała uprzejmie. -

Steward Czo przyniósł te same potrawy, co wy jedliście.

Najbardziej smakowała mi kałamarnica z czarną fasolą i sosem czosnkowym. - Usiadła na łóżku i oparła się na poduszce. Była niemal naga. - Mam się ubrać i wyjść na pokład?

Nie, kociaczkule, jeszcze nie. - Gornt usiadł na łóżku, sięgnął do jej piersi i poczuł, że przeszedł ją dreszcz.

Nazywała się Śnieżna Piękność i została przez niego wynajęta na noc z klubu „Szczęśliwa Hostessa”.

Rozważał zabranie ze sobą Mony Leung, swojej obecnej kochanki, ale ją trudno byłoby utrzymać przez tyle czasu pod pokładem. Śnieżną Piękność wybierał

niezwykle uważnie. Miała nadzwyczajną urodę, piękną twarz, pełne ciało i cudowną w dotyku skórę. Zbliżała się do osiemnastki, a w Hongkongu przebywała dopiero od miesiąca. Przyjaciel szepnął mu o jej wyjątkowości i o tym, że dziewczyna zamierza przenieść się z klubu swojej siostry z Tajwanu do Hongkongu. Dwa tygodnie temu Gornt pojechał do Tajwanu i dogadał się z obydwiema stronami. Dziś wieczorem, gdy Orlanda zawiadomiła go, że idzie z Bartлетtem na kolację, a on zaprosił ich do siebie na łódź, natychmiast zadzwonił do klubu „Szczęśliwa Hostessa” i wynajął Śnieżną Piękność na noc.

- Będę odgrywał przed przyjacielem scenkę - wtajemniczył ją. - Chcę, żebyś została tu w kabinie, dopóki nie zabiorę cię na pokład. Może to będzie dopiero za godzinę albo dwie i przez cały czas

masz siedzieć jak mysz pod miotłą.

- *Aiii ia*, przecież to pływający pałac. Mogę tu zostać i przez tydzień bez żadnej zapłaty. Wystarczy mi jedzenie i trochę szampana... No może jeszcze trochę zabawy w łóżku. Mogę się położyć spać, jeśli mi się zachce?

- Oczywiście, ale najpierw weź prysznic.

- Prysznic? Na bogów! Z ciepłą i zimną wodą? Jak w raj... te przydziały wody są wbrew wszelkim zasadom higieny!

Gornt zabrał ją na łódź, aby, jeśli przyjdzie mu na to ochota, rozdrażnić Orlandę. Śnieżna Piękność była o wiele młodsza, ładniejsza i wiedział, że jeśli pozwoli jej założyć którąś z sukienek noszonych kiedyś przez Orlandę, to była kochanka dostanie spazmów. Ale dopiero po kolacji, zachichotał w duchu, ciesząc się, że osiągnie podwójny efekt: rozpali namiętność Bartletta i przypomni Orlandzie, że według hongkongijskich standardów już się zestarzała, a bez jego pomocy nigdy nie zdobędzie Bartletta, w każdym razie nie w taki sposób, w jaki by chciała.

A czy ja chcę, żeby wyszła za Bartletta? - z rozbawieniem zadał sobie pytanie.

Nie. Mimo to, nawet jeśli Orlanda zostanie jego żoną, ja ciągle będę miał na niego wpływ, bo mam wpływ na nią. Ona mnie nigdy nie zapomni. Zawsze będzie wdzięczna i zobowiązana. I będzie się bała.

Roześmiał się. Oj, słodka będzie zemsta, moja droga.

Ach, kiedyś może się na nią zdecyduję. Tak, moja słodka, nie zapomniałem drwiących spojrzeń tych wszystkich łajdaków - Pugmire'a, Plumma, Havergilla ani pieprzonego lana Dunrossa - gdy dowiedzieli się, że nie mogłaś się doczekać i poszłaś do łóżka z gówniarzem o połowę młodszym ode mnie.

Mam ci teraz wyjawić, że jesteś moją *mui jai*?

Gdy Orlanda skończyła trzynaście lat, jej matka przyszła do Gornta.

Ciężkie czasy nastały, Panie, mamy wielki dług wobec kompani, a twoja cierpliwość przygnębia nas.

- Zawsze są ciężkie czasy - odrzekł.

- Na nieszczęście w zeszłym tygodniu przestał już istnieć zakład mojego męża. Pod koniec miesiąca on straci pracę... po siedemnastu latach. Nie możemy spłać ci długu.

- Eduardo Ramos to dobry fachowiec i bez trudu zatrudni się gdzie indziej, na wyższym stanowisku.

- *Jin ksiao szih ta* - powiedziała. Z powodu drobnostki straciliśmy wiele.

- *Dżos* - powiedział w nadziei, że zastawiona przez niego pułapka zacisnęła się i zasiane ziarno w odpowiednim czasie wyda owoce,

- Tak, *dżos* - przyznała. - Lecz mamy jeszcze *Orlandę*..

- No to co?

- Może mogłaby zostać *mui jai*. – *Mui jai* to córka, którą dłużnik oddawał na zawsze kredytodawcy, gdy nie potrafił w inny sposób go spłacić. Był to stary chiński, zupełnie legalny zwyczaj. Gornt pamiętał, jaka go ogarnęła radość. Negocjacje potrwały kilka tygodni. Gornt zgodził się anulować dług *Ramosa*, wypłacać mu sporą pensję i pomóc osiedlić się w *Portugali*, a także opłacić edukację *Orlandy* w *Ameryce*. W zamian za to *Ramos* zobowiązał się oddać mu *Orlandę* nienaruszoną i nie zakochaną w dniu jej osiemnastych urodzin. Bez możliwości odwołania umowy.

- Na bogów, musi to pozostać naszym sekretem na wieki. Wydaje mi się, że także lepiej, Panie, aby i ona pozostała w nieświadomości. Ale my wiemy i ona także się zorientuje, gdzie stoi miska z ryżem.

Gornt uklonił się. Kilka wspaniałych lat warte było zmudnych planów, cierpliwości i niewielkich pieniędzy.

Wszyscy zyskali, pomyślał, a przed nami jeszcze wiele przyjemności i zabawy.

Tak, zadumał się, po czym przypomniał sobie o *Śnieżnej Piękności*.

- Życie jest piękne - powiedział pieszcząc ją.

- Cieszę się, że jesteś zadowolony, Szlachetny Panie.

Ja też jestem szczęśliwa. Ten prysznic to prawdziwy dar bogów. Umyłam włosy i wszystko. -  
Uśmiechnęła się. -

Jeśli jeszcze nie chcesz, żebym odegrała przed twoimi znajomymi scenkę, to może wejdiesz do mnie do łóżka?

- Tak. - Ta propozycja bardzo mu przypadła do gustu. Uwielbiał *Chinki* - były doskonałymi kochankami.

- Ty im dajesz pieniądze, a one ofiarowują ci swoją młodość, *Chmury* i *Deszcz* i zabawiają cię. W *Azji* to szlachetna i uczciwa wymiana. Im więcej w nich młodości, tym więcej radości i zysku i tym więcej musisz zapłacić.

To tylko umowa i nie spodziewaj się romansu czy prawdziwych łez. Ich zadaniem jest wszystko odegrać.

Licz tylko na chwilową zabawę i przyjemność w łóżku.

Nie oczekuj uczciwości!

Gornt rozebrał się i położył koło dziewczyny. Poglądziła go po ciemnych włosach na piersiach i zaczęło się. Po chwili wydała z siebie pierwsze namiętne westchnienia, aby dodać mu animuszu. I choć mama-san uprzedzała ją, że ten *quai loh* jest wyjątkowy i nie trzeba udawać, to instynktownie stosowała podstawową zasadę obowiązującą w łóżku z obcym: Nie oddawać się klientowi całym ciałem, bo wtedy nie można należycie mu dogodzić. Nie zapominać, że przy *quai loh* zawsze trzeba udawać rozkosz, żeby poczuł się zadowolony, i zawsze trzeba grać, że się osiąga Chmury i Deszcz, bo w przeciwnym razie odbierają to jako afront wobec ich męskości. *Quai loh* nie są cywilizowani i nigdy nie rozumieją, że *yin* nie da się kupić za pieniądze i że do łóżka idzie się z nimi tylko po to, żeby dogodzić wyłącznie im.

Gdy skończyli i serce Gornta zaczęło znowu bić spokojnym, miarowym rytmem, Śnieżna Piękność wstała z łóżka, poszła do łazienki i jeszcze raz radośnie prychając wzięła prysznic. Gornt rozluźnił się i podłożył

ręce pod głowę. Dziewczyna przyniosła mu ręcznik.

- Dziękuję - powiedział i wytarł się. Chinka z powrotem wślizgnęła się do łóżka.

- Och, czuję się tak cudownie i tak czysto! Będziemy się jeszcze kochać?

- Nie teraz, Śnieżna Piękności. Na razie muszę odpocząć i pomyśleć. Bardzo dobrze traktujesz *yang*.

Powiem o tym mamie-san.

Podziękowała grzecznie i dodała:

- Chciałabym bardzo, żebyś został moim specjalnym klientem.

Pokiwał głową, zadowolony z jej serdeczności i zmysłowości. Kiedy będzie najlepszy moment, żeby weszła na pokład? - zastanawiał się. Cieszyło go, że Bartlett i Orlanda spędzają czas na pogawędce, ale nie jak cywilizowanym ludziom przystało - w łóżku.

Uśmiechnął się do siebie.

Przez znajdujący się nad łóżkiem luk widać było odległe światła Koulunu. Przyjemnie terkotały silniki.

Gornt wstał i podszedł do szafy. W środku znajdowały się drogie, wieczorowe suknie, bielizna i bogate dodatki kupione kiedyś dla Orlandy. Bawiło go strojenie innych kobiet w te ubrania.

- Ubierz się w to i postaraj się wyglądać najlepiej, jak potrafisz - dał jej żółty, jedwabny, sięgający do podłogi *czong-sam* należący kiedyś do ulubionych strojów Orlandy. - I nie zakładaj nic pod spód.

- Tak, oczywiście. Ależ on piękny! Zaczęła się ubierać.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze, dostaniesz go jako premię - obiecał.

Och! Wszystko będzie, jak sobie życzysz. Jej szczerzy zachwyty rozśmieszył go.

- Najpierw wysadzimy moich przyjaciół w Hongkongu.

Widzisz ten frachtowiec? - Wskazał palcem na luk. - Ten, co ma na banderze sierp i młot?

- Tak, Panie. Statek przynoszący pecha. Tak, widzę.

- Gdy znajdziemy się obok niego, wyjdiesz na pokład, dobrze?

- Tak i co mam powiedzieć?

- Nic. Uśmiechnij się tylko słodko do kobiety i do mężczyzny, a potem zejdziesz na dół i czekaj na mnie.

- To wszystko? - Śnieżna Piękność roześmiała się.

- Tak, wystarczy, jak się uśmiechniesz. Szczególnie do kobiety.

- Mam ją lubić czy nienawidzić? - zapytała.

- Ani jedno, ani drugie - odparł. Był pod wrażeniem jej piękna. Zdawał sobie sprawę, że para na pokładzie zaniemówi na jej widok.

W zaciszu swej kabiny na „Rosyjskim Iwanowie”

kapitan Gregor Suslew kończył kodowanie ważnej wiadomości. Napił się wódki i sprawdził jeszcze raz: *Iwanow do Centrum. Arthur donosi, że w teczkach nie było nic ważnego. Dziś wieczorem jego przyjaciel dostarczy mi kopie. Przyjaciel Arthura zdobył też materiały z informacjami na temat lotniskowca. Proponuję wypłacenie mu natychmiastowej premi . Kopie dokumentów wysiałem pocztą do Bangkoku i na wszelki wypadek także do Londynu i Berlina.*

W pełni usatysfakcjonowany schował książkę kodową do sejfu i sięgnął po słuchawkę.

- Przyślijcie mi tu oficera łącznościowego. I pierwszego oficera. - Otworzył drzwi i wyjrzał przez luk na lotniskowiec. Zauważył przepływającą łódź. Rozpoznał

„Wiedźmę Morską”. Przyłożył do oczu lornetkę i obserwował pokład. Widział siedzących przy stole Gornta, dziewczynę i jeszcze jednego człowieka. Ogarnęła go zazdrość. Ten łajdak to pożyje, pomyślał. Piękna łódź!

Gdybym mógł mieć taką na Morzu Kaspijskim.

Po tylu latach służby może mi się to uda załatwić.

Wielu komisarzy tak pływa.

Skupił się na trojgu ludziach. Spod pokładu wyszła inna dziewczyna - azjatycka piękność. W tym



samym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

- Dobry wieczór, towarzyszu kapitanie - zameldował się oficer łącznościowy. Pokwitował odbiór przesyłki.

- Proszę to natychmiast wysłać.

- Tak jest.

Wszedł pierwszy oficer. Wasilij Boradinow był wysokim, przystojnym trzydziestoparolatkiem, kapitanem KGB, z wyróżnieniem

ukończył

wydział

wywiadu

na

uniwersytecie we Władywostoku.

-

Tak, towarzyszu kapitanie?

Suslew podał mu leżący na biurku telegram.

*Pierwszy oficer Wasilij Boradinow przejmie obowiązki komisarza na „Iwanowie” po Dimitriju Metkinie, lecz całkowicie podlega rozkazom kapitana Suslewa aż do następnych rozporządzeń.*

- Moje gratulacje - rzekł oficjalnie Suslew.

- Dziękuję. - Boradinow uklonił się. - Co mam robić?

Suslew pokazał mu kluczyk do sejfu.

-

Jeśli nie skontaktuję się ani nie wrócę do jutra do północy, otworzysz sejf. Instrukcje znajdują się w kopercie podpisanej „Niebezpieczeństwo”. Dowiesz się z nich, jak postępować. Dalej... Tu masz numery telefonów

- podał mu małą kopertę - pod którymi będę osiągalny.

Otwórz jedynie w nagłym wypadku.

-  
Dobrze. - Pot wystąpił na twarz młodego marynarza.

-Nie ma się czym przejmować. Jesteś absolutnie zdolny do przejęcia władzy.

-  
Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne.

- Ja też, młody przyjacielu - Suslew roześmiał się. -

Usiądź. - Nalał wódki do dwóch kieliszków. - Zasłużyłeś na awans.

- Dziękuję. - Boradinow zawahał się. - A co się stało z Metkinem?

- Po pierwsze, popełnił niemądry i w istocie łatwy do uniknięcia błąd. Po drugie, został zdradzony. Albo sam się zdradził. Cholerny SI śledził go i złapał. Może też CIA go wystawiła. W każdym razie głupek jeden nie powinien narażać się na takie niebezpieczeństwo. To było bezsensowne ryzyko nikomu nic nie mówić. Bez-przykładna głupota!

Pierwszy oficer poruszył się nerwowo na krześle.

- Jakie są nasze plany?

- Zaprzeczać wszystkiemu. A w tej chwili nie robimy nic.

Mamy wypłynąć we wtorek o północy i trzymamy się planu.

Boradinow spojrzał przez luk na lotniskowiec.

- Szkoda. Te materiały mogły znacznie poszerzyć naszą wiedzę.

- Jakie materiały? - zapytał Suslew.

- To wy nie wiecie? Dimitrij, zanim wyszedł, napomknął, że dostaniemy niewiarygodne informacje: kopię ręcznego układu sterowania i spis uzbrojenia łącznie z głowicami atomowymi. Dlatego poszedł osobiście. To była za poważna sprawa, żeby powierzyć ją zwykłemu kurierowi.

Przyznam, że nawet ja chciałem iść.

Suslew był mocno poruszony faktem, że Metkin rozmawiał z kimś o swoich zamiarach, ale starannie ukrył swoje zaskoczenie.

-  
Skąd się o tym dowiedział?

Pierwszy oficer wzruszył ramionami.

- Nie mówił. Przypuszczam, że doniósł mu o tym amerykański marynarz, z którym rozmawiał przez telefon. - Otarł pot z czoła. - Złamię go, prawda?

Tak - powiedział Suslew chcąc przy okazji pouczyć żółtodzioba. - Każdego potrafią złamać. Dlatego musimy zawsze być na to gotowi. - Wskazał palcem kapsułkę w klapie Boradinowa, - Lepiej szybko to połknąć.

- Łajdaki! Ktoś im musiał dać cynk! Straszne! Co za bestie!

- Czy... Czy Dimitrij jeszcze o czymś wspomniał, zanim poszedł?

- Nie, tylko to, że wszystkim nam się należy parę tygodni wolnego. Chciał odwiedzić swoją rodzinę na ukochanym Krymie.

- Wielka szkoda - westchnął Suslew. - Lubiłem go.

- Tak. Taki wstrząs teraz, gdy niedługo miał iść na emeryturę. Mimo że popełnił niewybaczalny błąd, był

dobrym człowiekiem. Co z nim zrobią?

Suslew rozważał pokazanie drugiego telegramu, któ-

rego część brzmiała:

*...Powiedzieć Arthurowi, że zostało zarządzone natychmiastowe przejęcie zdrajcy Metkina w Bombaju.*

Nie ma potrzeby rozprzestrzeniać tej informacji, pomyślał. Im Boradinow mniej wie, tym lepiej.

- Po prostu zniknie. Aż do chwili, gdy złapiemy jakąś ich grubą rybę i będziemy mogli dokonać zamiany.

KGB troszczy się o swoich - dodał nie wierząc we własne słowa. Zdawał sobie sprawę, że pierwszy oficer też w nie nie wierzy, ale powtarzanie ich należało do obowiązków.

Mnie musieliby wymienić, pomyślał z satysfakcją. Tak, i to szybko. Znam za wiele tajemnic. Są moja jedyną obroną. Gdyby nie one, czekałoby mnie to, co Metkina.

Na ich miejscu postąpiłbym tak samo. Czy nadstawiałbym karku tak jak tamten dureń?

Nie wiem, pomyślał i poczuł dreszcz.

Napił się wódki. Smakowała mu. Nie chcę umierać.

Życie jest piękne.

- Schodzicie na ląd, towarzyszu kapitanie?

- Tak. - Suslew podał młodemu człowiekowi wypisaną na maszynie notkę. - Proszę, teraz ty dowodzisz. Pokaż to pełnomocnictwo na mostku.

Dziękuję. Jutro... - Boradinow przerwał, bo odezwał się pokładowy interkom. - Tu mostek! Przy schodni głównej zatrzymały się dwa samochody policyjne... - Suslew i Boradinow zbledli. - ...z tuzin funkcjonariuszy. Co mamy robić? Zatrzymać ich, odeprzeć?

Suslew nacisnął klawisz.

- Nic nie róbcie. - Przełączył interkom. - Do wszystkich: Czerwony alarm... Na pokład idą nasi gospodarze.

Przygotować się do zniszczenia tajnego sprzętu. -

Wyłączył interkom i zwrócił się do Boradinowa: - Idź na pokład do schodni i przywitaj ich. Porozmawiaj chwilę, a potem zaproś na pokład.

- Nie ośmielą się wejść tu sami i przeszukiwać...

- Natychmiast idź ich przyjąć!

Boradinow wyszedł. Gdy Suslew został sam, uruchomił

urządzenie zalewające napalmem zawartość całego sejfu, jeśli otworzy go ktoś postronny.

Suslew starał się opanować panikę. Myśl rozsądnie, czy wszystko pochowane na wypadek nagłej rewizji?

Tak, wiele razy przeprowadzaliśmy czerwony alarm.

Niech Bóg przeklnie Crosse'a i Arthura! Dlaczego nas nie ostrzegli? Czyżby Arthur wpadł? A może Roger? Chryste, żeby tylko nie Roger! Co by...

Nagle jego wzrok padł na zakodowane i nie zakodowane telegramy, Wrzucił je do popielniczki przeklinając, że nie zrobił tego wcześniej. Znalazł zapalniczkę. Drżały mu ręce. W momencie, gdy papiery zaczynały zajmować się ogniem, odezwał się interkom.

- Dwaj ludzie wchodzą z Boradinowem na pokład, a reszta została na dole.

- Dobrze, już idę. - Suslew zdusił ogień i schował

telegramy do kieszeni. Wziął butelkę z wódką, napił się i poszedł na pokład. - Witam, witam! Co się stało?

- zawołał trochę niewyraźnie, postępując zgodnie ze swoim powszechnie znanym image'em. - Któryś z naszych marynarzy ma problemy, inspektorze Armstrong?

-

To pan Sun. Możemy zamienić z panem słówko?

- zapytał Armstrong.

-

Oczywiście, oczywiście! - zapewniał z wymuszoną jowialnością Suslew. Nigdy wcześniej nie widział tego Chińczyka. Spojrzał na jego pełną nienawiści twarz.

- Proszę za mną - powiedział i dodał po rosyjsku do świetnie władającego angielskim Boradinowa: - Ty też.

- Potem znów zwrócił się do Armstronga: - Kto wygra w piątej gonitwie, inspektorze?

-

Sam chciałbym wiedzieć.

-Suslew zaprowadził gości do pomieszczenia sąsiadu-jącego z jego kabiną.

- Proszę usiąść. Może herbaty albo wódki? - Mimo że obydwaj policjanci odmówili, Suslew rozlał wódkę.

- *Prosit* - wznosił toast. - O co chodzi?

- Wszystko wskazuje na to, że jeden z członków waszej załogi jest zamieszany w szpiegostwo przeciwko rządowi Jej Wysokości - rzekł uprzejmie Armstrong.

- Niemożliwe, towarzyszu! Proszę sobie ze mnie nie żartować!

- Złapaliśmy go. Jej Wysokość jest bardzo niezadowolona.

- To spokojny statek handlowy. Znacie nas od wielu lat. Wasz nadinspektor Crosse od dawna nas śledzi.

Nie zajmujemy się szpiegowaniem.

- Ilu członków załogi przebywa w tej chwili na lądzie?

- Sześciu. Proszę posłuchać, nie chcę żadnych kłopotów. Już i tak podczas tego rejsu zdarzyło się

dość nieprzyjemnych

rzeczy.

Zamordowanie

niewinnego

marynarza przez nieznaną.

- A, chodzi o majora Jurija Bakjana z KGB. Rzeczywiście, pech.

- Nazywał się Worański - podkreślił z udawaną złością Suslew. - Nie znam żadnego majora o tym nazwisku. Nie mam o niczym najmniejszego pojęcia.

- Oczywiście. A teraz proszę poinformować mnie, kiedy wasi ludzie wrócą na statek?

- Jutro o świcie.

- Gdzie przebywają?

Suslew roześmiał się.

- Przecież zeszli na ląd. A gdzie by mieli być, jak nie z dziewczynami w barze? Szczęściarze, nie?

- Nie wszyscy - rzekł chłodnym tonem Armstrong.

- Przynajmniej jeden znalazł się w bardzo niemiłej sytuacji.

Suslew przyglądał mu się zadowolony, że Metkin przepadł na wieki, i nie uda im się blef.

- Panie nadinspektorze, nic nie wiem o żadnym szpiegowaniu.

Armstrong wyjął na stół zdjęcia formatu dziewięć na dziesięć cali. Przedstawiały Metkina idącego do restauracji, a potem prowadzonego do Czarnej Mari, także zbliżenie przerażonej twarzy.

- Chryste! - jęknął Suslew. - Dimitrij? To niemożliwe!

To pomyłka. Poinformuję mój rząd...

- Już to zrobiliśmy. Major Nikołaj Leonów przyznał się do prowadzenia działalności wywiadowczej.

Teraz Suslew naprawdę przeżył wstrząs. Nie spodziewał się, że złamią Metkina tak szybko.

- Mówi pan, że kto?

- Major Nikołaj Leonow z KGB. To jego prawdziwy stopień i prawdziwe nazwisko. Pełnił także funkcję komisarza politycznego na statku.

- Tak... To się zgadza... Ale nazywa się Dimitrij Metkin.

- Czyżby? Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli przeszukamy statek? - Armstrong zaczął się podnosić.

Suslew i Boradinow osłupieli ze zdumienia.

- Owszem, mam - wykrztusił Suslew. - Tak, nadinspektorze, niestety oficjalnie odmawiam, muszę...

- Skoro to spokojny statek handlowy, to dlaczego zgłasza pan sprzeciw?

- Mamy międzynarodowe gwarancje. Dopóki nie przedstawi pan formalnego nakazu rewizji...

Armstrong sięgnął do kieszeni, a Suslewowi żołądek podszedł do gardła. Nie mógłby odmówić przeprowadzenia rewizji po zobaczeniu nakazu, a wtedy byłby skończony, ponieważ na statku znaleźliby więcej dowodów, niż się spodziewają. Pieprzony skurwysyn Metkin musiał im powiedzieć coś ważnego. Chciał dać upust swojej złości, przypomniał sobie o schowanych do kieszeni

telegramach.

Jego

twarz

zrobiła

się

kredowobiała. Boradinow stał jak słup soli. Armstrong wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Serce Suslewa znów zaczęło bić, ale nudności nie ustąpiły. -

*Materjebiec!* - mruknął.

- Proszę? - zapytał niewinnym głosem Armstrong. -

Coś się stało?

- Nie, nic.

- Zapali pan angielskiego papierosa?

Suslew opanował się, ale miał ochotę przyłożyć Ang-likowi za tę wojnę nerwów. Pot zalewał mu twarz i plecy. Rozdygotaną ręką wyjął papierosa.

-

To... To straszne sprawy... Szpiegowania, rewizje...

-  
Tak. A może bylibyście tak uprzejmi odpłynąć jutro, a nie we wtorek?

- Niemożliwe! Chcecie nas zaszczuć jak psy? - wybuchnął Suslew, nie mając pewności, jak daleko może się posunąć. - Poinformuję o tym mój rząd...

- Proszę bardzo. Proszę też przekazać, że złapaliśmy majora Leonowa z KGB na gorącym uczynku i zostanie oskarżony przez Biuro Akt Tajnych.

Suslew wytarł pot z czoła i starał się zachowywać spokojnie. Pozwalała mu na to tylko nadzieja, że Metkin już nie żyje. Ale co ten drań mógł im jeszcze powiedzieć? Spojrzał na Boradinowa stojącego obok z bladą twarzą.

- Kim pan jest? - zapytał ostro Armstrong, idąc za spojrzeniem Suslewa.

- Pierwszy oficer Boradinow - odpowiedział młody człowiek.

- Kto został nowym komisarzem, kapitanie Suslew? Kto przejął obowiązki pana Leonowa? Kto jest najstarszym członkiem partii na pokładzie?

Boradinow zrobił się popielaty, a Suslewowi trochę ulżyło, że cały atak nie jest wymierzony tylko przeciwko niemu.

- A więc?

On - rzekł Suslew.. - Pierwszy oficer Boradinow.

Armstrong natychmiast spojrzał lodowatym wzrokiem na młodzieńca.

- Proszę o pana pełne personalia.

- Wasilij Boradinow, pierwszy oficer - zameldował.

- A więc dobrze, panie Boradinow. Jest pan odpowiedzialny za wypłynięcie tego statku najpóźniej w niedzielę o północy. Oficjalnie ostrzegam was, że narażacie się na atak triad, chińskich bandytów. Słysza-

łem pogłoskę, że atak zaplanowano na poniedziałek rano. Bardzo poważną pogłoskę. Naprawdę. W Hongkongu przebywa wielu chińskich przestępców, a Rosja zabrała Chinom wielkie połacie ziemi. Dbamy o wasze bezpieczeństwo i zdrowie. Sugeruję...

- Tak, tak - mówił przerażony Boradinow. - Rozumiem.

- Ale usuwanie awarii... - zaczął Suslew.

- Na pewno zdążą, kapitanie. Jeśli będziecie potrzebować jakiejś dodatkowej pomocy albo



holownika, to wystarczy poprosić. A pan, czy byłby pan tak uprzejmy i zgłosił się w niedzielę o dziesiątej do naszej Komendy Głównej? Przepraszam, że w weekend.

Suslew zbladł.

- Słucham?

- Oto formalne zaproszenie. - Armstrong podał mu oficjalne pismo. Suslew zaczął je czytać, a Armstrong wyjął drugi egzemplarz i wpisał na nim nazwisko Boradinowa. - To dla pana, komisarzu Boradinow. Radzę nie wypuszczać reszty załogi na ląd. Dobranoc. - Wstał i szybkim krokiem wyszedł z kabiny. Zamknął za sobą drzwi.

Zapadła cisza. Suslew patrzył, jak Malcolm Sun wstaje i wolno idzie do drzwi. Ruszył za nim ale zatrzymał się w pół kroku. Chińczyk odwrócił się.

- I tak was wszystkich dostaniemy - powiedział wrogim tonem.

- Za co? Nic nie zrobiliśmy - odparł Boradinow. -My...

- Za szpiegostwo! Wy z KGB myślicie, że jesteście tacy cwani, co, *materjebcyl*

- Wynocha z mojego statku! - syknął Suslew.

- Wszystkich was dostaniemy... Nie mówię, policja... -

Nagle Malcolm Sun przeszedł na płynny rosyjski.

- Wynoście się z mojej ziemi, hegemoniści! Chiny powstaną! Możemy stracić pięćdziesiąt milionów żołnierzy, sto milionów, a i tak zmusimy was do wycofania się!

Lepiej się wynoście, póki czas!

- Możemy zmieść was z powierzchni ziemi! - krzyknął

rozzłoszczony Suslew. - Całe Chiny rozwalić atomową bombą. Możemy... - Przerwał. Malcolm Sun zaśmiał się szyderczo.

- My też możemy wysadzić waszą matuszkę! My też mamy bombę atomową! Wy zaczniecie, my skończymy.

Obojętnie czy na bomby atomowe, czy na pięści, czy na lemieszce. - Malcolm Sun zniżył głos. - Wynoście się z Chin, kiedy macie jeszcze szansę! Ruszymy szlakiem Dżyngis-chana, wszyscy i Mao Tse-tung, i Czang Kai-szek, i ja, moi wnukowie i ich wnukowie, zabierzemy nasze ziemie. I to wszystkie. Wszystkie!

- Wynocha z mojego statku! - krzyknął Suslew i poczuł ból w klatce piersiowej. Oślepiiony ruszył na Chińczyka. Boradinow za nim.

Malcolm Sun bez strachu cofnął się o krok.

-

*Job twoju mat'!* - zaklął i przeszedł na angielski.

- Uderz mnie, a aresztuję cię za napaść na policjanta, a statek wezmę w depozyt!

Obydwaj Rosjanie nadludzkim wysiłkiem woli zapa-nowali nad sobą. Suslew krztusząc się ze złości schował

zaciśnięte pięści do kieszeni.

- Bardzo proszę... Bardzo proszę opuścić statek.

- *Dew neh loh moh* na was, wasze matki, ojców i wszystkich hegemonistów Sowietów!

- Proszę... już... iść.

Wreszcie rozwścieczony Sun przeklął ich po rosyjsku.

-

Zalejemy was jak szarańcza... - Nagle doleciał ich z zewnątrz głuchy odgłos uderzenia. Chińczyk w jednej chwili odwrócił się i ruszył do wyjścia. Dwaj marynarze poszli w jego ślady.

Na korytarzu Suslew zobaczył stojącego w drzwiach do kabiny łącznościowej Armstronga. Drzwi były otwarte na oścież, a dwaj przerażeni operatorzy niemo wpatrywali się w Anglika. W pobliżu stali strażnicy pokładowi. Ze sprzętu radiowego zaczął wydobywać się dym. Zgodnie z instrukcjami obowiązującymi przy czerwonym alarmie, przełożony radiowców miał uruchomić system niszczący sprzęt w chwili, gdy intruz otwiera drzwi lub próbuje wyłamać zamek.

Armstrong odwrócił się do Suslewa.

-

Och, przepraszam, kapitanie, pomyliłem drzwi

- powiedział niewinnie. - Myślałem, że to klo.

- Co?

- Toaleta. Pociągnąłem za klamkę i drzwi otworzyły się.

Przepraszam. Znów spojrział do środka kabiny.

- Boże, tu się chyba pali! Natychmiast dzwonię po straż pożarną. Malcolm, zejdź...

-  
Nie... nie! - przerwał Suslew. - Ugasić ogień!

- warknął po rosyjsku do Boradinowa i reszty obecnej załogi. Wyciągnął ręce z kieszeni i popchnął Boradinowa.

Nie zauważył, że z kieszeni wypadł mu jeden z zakodowanych telegramów. Dym zaczął się wydostawać zza aparatury radiowej. Ktoś przyniósł gaśnicę.

- Ojjoj! Na pewno nie potrzebujecie pomocy? - zapytał Armstrong.

- Nie, dziękuję! - zapewnił żarliwie Suslew. - Dziękuję, nadinspektorze. Do zobaczenia w niedzielę.

- Dobranoc Chodź, Malcolm. - Armstrong ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się i zanim Suslew zorientował się, o co chodzi, podniósł z podłogi telegram i szybkim krokiem zszedł na schodnię. Malcolm Sun za nim.

Przerażony Suslew sięgnął do kieszeni. Zapomniał o ogniu i ruszył do kabiny sprawdzić, który telegram mu wypadł.

Na nabrzeżu czekali na nich umundurowani policjanci.

Armstrong usiadł obok Sindera na tylnym siedzeniu samochodu. Szef MI-6 miał podkrążone oczy, wymięte ubranie, ale humor mu dopisywał.

- Dobra robota. Tak, teraz pewnie ze dwa dni nie będą mieli żadnego połączenia!

- Tak. - Armstrong zaczął szukać po kieszeniach zapalniczki, serce waliło mu jak młot. Sinder spojrzał na siedzącego za kierownicą Malcolma Suna.

- Co się stało? - zapytał na widok jego miny.

- Nic, nic, sir. - Pot spływał mu po plecach, w ustach nadal czuł słodki posmak gniewu i podekscytowania. -

Jak... Jak starałem się dać czas inspektorowi, to... to te dwa łajdaki napadły na mnie.

- O, w jaki sposób?

Zaczęli krzyczeć i musiałem się zrewanżować. -

Sun czuł się nieswojo pod badawczym spojrzeniem Sindera. — Tylko się darli — dodał, aby wszystko było jasne.

- Szkoda, że cię nie uderzyli.

- Tak, byłem na to przygotowany.

- Sinderson widział, jak Armstrong zapala papierosa i w świetle zapalniczki patrzy na kartkę papieru. Jeszcze raz spojrział na statek. Suslew stał przy schodni i obserwował ich z góry.

- Faktycznie źle wygląda. - Uśmiech rozjaśnił mu twarz.

Za zgodą Sir Geoffreya rozkazał złożenie nagłej wizyty na

„Iwanowie” i zniszczenie centrum komunikacyjnego, aby wywrzeć nacisk na Arthura i szpiegów z Sevrin.

- I szpiega w naszej policji - dodał gubernator. - To niemożliwe, żeby Alanowi Medfordowi chodziło o dzia-

łalność Briana Kwoka, prawda?

-

Zgadzasz się - poparł go Sinderson.

Armstrong zamknął zapalniczkę.

- Malcolm - powiedział zdecydowanie - idź i zbieg wszystkich, nie ma co czekać, prawda panie Sinderson?

- Tak. Możemy już jechać.

Malcolm Sun wysiadł z samochodu. Armstrong patrzył

na stojącego na pokładzie na Suslewa.

- Pan, eee, czyta po rosyjsku, prawda?

- Tak, owszem, a co?

Trzymając telegram za brzeg podał mu.

- To wypadło z kieszeni Suslewa.

Sinderson ostrożnie wziął kartkę, ale nie spuszczał

wzroku z Armstronga.

- Nie ufa pan temu Sunowi? - zapytał delikatnie.

- Ufam, ale Chińczyk to Chińczyk. Ten telegram jest napisany po rosyjsku.

Sinders zmarszczył brwi. Armstrong świecił mu zapalniczką. Agent MI-6 dwukrotnie przeczytał treść i westchnął.

- To prognoza pogody, Robert. Chyba że to jakiś kod. Delikatnie rozłożył kartkę według oryginalnych zagięć. - Przydadzą się odciski palców. A może to naprawdę szyfr. Na wszelki wypadek damy to do rozszyfrowania specjalistom.

Sinders rozsiadł się wygodniej. Treść telegramu brzmiała następująco:

*Powiedzieć*

*Arthurowi,*

*że*

*zostało*

*zarządzone*

*natychmiastowe przejęcie zdrajcy Metkina w Bombaju. Po drugie, spotkanie z Amerykaninem zostało przeniesione na niedzielę. Po trzecie i ostatnie, teczki Medforda nadal są obiektem szczególnego zainteresowania. Aby Sewin odniósł sukces, trzeba włożyć maksimum wysiłku. Centrum.*

Jaki znowu Amerykanin? - głowił się Sinders. I ma się spotkać z Arthurem? Z kapitanem Suslewem? Czy on jest taki niewinny, na jakiego wygląda? Z Bartlettem, Tcholok, Banastasio czy z kim? Z Peterem Marlowe'em, angloamerykańskim sławnym pisarzem, który snuje dziwne teorie?

Czy Bartlett albo Tcholok kontaktowali się z Centrum podczas czerwcowego pobytu w Moskwie? Czy ma z tym coś wspólnego pobyt Marlowe'a w Moskwie właśnie wtedy, gdy odbywało się tam spotkanie obcych agentów?

A może chodzi tu o Amerykanina mieszkającego na stałe w Hongkongu?

O Rosemonta? O Langana? Obydwaj idealnie by pasowali.

Tyle rzeczy do wyjaśnienia..

Kim jest ten czwarty? Ten na stanowisku wyższym niż Philby? Dokąd to wszystko prowadzi? Pewnie do jakiegoś zamku, a może pałacu.

I kim jest tajemnicza pani Gresserhoff, która odebrała telefon od Kiemana, a potem rozplynęła się jak dym?

I co z tymi cholernymi teczkami? Co z cholernym Medfordem i cholernym Dunrossem; który chce być

cholernie mądry...

Zbliżała się północ. W oszklonej części promu siedzieli obok siebie rozradowani Casey i Dunross. Płynęli w stronę Koulunu. Panowała przyjemna noc, choć chmury wciąż wisiały nisko. OuMoi iętą część pokładu nadal chronił

przed deszczem brezentowy dach. Z miejsca, w którym siedział Dunross z Casey, rozpościerał się przyjemny widok, a przez otwarte okno wpadał pachnący morzem wiatr.

-

Będzie jeszcze padać? - zapytała przerywając zbyt długą ciszę.

- Tak, ale mam nadzieję, że dopiero późnym popołudniem.

- Chodzi ci o wyścigi? Naprawdę są takie ważne?

- Dla Hongkongijczyków na pewno. A dla mnie i tak, i nie.

- Postawię cały majątek na Noble Star.

Nie radziłbym - ostrzegł. - Zawsze powinno się asekurować zakład.

- Niektórych nie trzeba - sprostowała. \_

- Niektórych nie można - poprawił ją z uśmiechem.

Przypadkiem zetknęli się ramionami. Obydwójgu ten kontakt sprawił przyjemność. Dotknęli się po raz pierwszy. Podczas spaceru z hotelu „Mandaryn” do promu Casey chciała wziąć go pod rękę, ale zwalczyła w sobie pragnienie, a teraz udawała, że nie zauważyła dotknię-

cia, choć instynktownie przysunęła się o milimetr bliżej Dunrossa.

- Casey, nie dokończyłaś opowiadania o George'u Tofferze. Wyrzuciłaś go?.

- Nie, nie w taki sposób, jak chciałam. Gdy przejęliśmy kontrolę, poszłam do jego sali posiedzeń. Oczywiście już wcześniej wiedziałam, że nie jest z niego taki bohater, jakiego udaje, i jeszcze parę innych rzeczy. Pomachał mi przed nosem jednym z moich listów i powiedział, że nigdy nie dostanę z powrotem swoich pieniędzy. Wzruszyła ramionami. - Nie dostałam, ale przejęłam jego kompanię.

- Co się z nim stało?

- Nadal oszukuje ludzi. Ale może byśmy przestali już o nim mówić, bo dostanę niestrawności.

Roześmiał się.

- Nawet o tym nie myśl. To by było straszne.

- Tak. - Kolację jedli w Sali Smoka w hotelu mieszczącym się w drapaczu chmur. Zamówili chateaubriand, frytki, sałatę i *crime brulee*. Popijali winem Chateau Lafite.

- Jaka to okazja? - zapytała.

- Niech to będą moje podziękowania za First Central New York.

- O, zgodzili się, Ian?

- Murtagh zgodził się spróbować.

Kilka sekund zajęło im ustalenie warunków, które Casey przedstawiła jako możliwe: 120 procent ceny obydwu statków i 50 milionów na wsparcie.

-

I wszystko zabezpiecza pan własnym majątkiem?

- Tak - potwierdził, świadom, że ryzykuje przyszłość swoją i swojej rodziny.

- My... eee... wydaje nam się, że Struanowie osiągną zysk i nasze pieniądze znajdą się w bezpiecznych rękach—

Tylko, panie Dunross, musimy zachować to w tajemnicy. Ja się postaram załatwić tę sprawę jak dla starego kolegi. - Murtagh czynił wysiłki, by ukryć zdenerwowanie.

- Bardzo proszę, panie Murtagh. Czy mogę zaprosić pana do mojej loży na wyścigach? Niestety, nie mogę gościć pana na lunchu, jestem już zajęty, ale oto zaproszenie, jeśli zechce pan nas odwiedzić o wpół do trzeciej.

-

O,

Jezu,

tai-pan,

naprawdę?

Dunross uśmiechnął się. W Hongkongu zaproszenie do loży zarządzającego równało się prezentacji na dworze i przynosiło takie same korzyści.

Z czego się śmiejesz, tai-pan? - zapytała Casey.

Czuła promieniujące od niego ciepło.

- Bo świat zrobił się piękny. W każdym razie wszystkie problemy zostały namierzone.

Gdy zeszli z promu, wyjaśnił jej, że jedynym sposobem na radzenie sobie z problemami jest metoda azjatycka: wyodrębnić je, uczynić z nich pojedyncze sprawy i rozwiązywać, gdy jest się gotowym.

- Dobrze, jeśli umie się tak postępować - oceniła.

Szli bardzo blisko siebie.

- Jeśli się nie umie, spada się... Wrzody na żołądku, atak serca, przedwczesna starość, zszargane zdrowie:--

- Kobiety płaczą, to bezpieczny środek rozładowywania stresów. Popłaczą, a potem czują się lepiej... -

Casey płakała, zanim poszła na spotkanie z nim.

Płakała z powodu Linca Bartletta. Częściowo ze złości, częściowo z frustracji, częściowo z tęsknoty, a częściowo z fizycznej potrzeby. Sześć miesięcy temu przeżyła jeden ze swoich nielicznych i krótkich romansów. Gdy nie mogła się oprzeć pokusie, jechała na kilka dni na narty albo poopalać się i wybierała kogoś, z kim chciałaby pójść do łóżka. A potem szybko o nim zapomniała.

- Bardzo niedobrze być takim nieczułym, Ci-ranhek - podsumowała ją kiedyś matka.

- Oj, mamó - odparła - to zupełnie uczciwa wymiana.

Seks mnie bawi, to znaczy bawi mnie, gdy jestem w nastroju, a staram się mieć taki nastrój jak najrzadziej.

Kocham tylko Linca. Sądzę...

-Jak możesz kochać jego, a do łóżka chodzić z kimś innym?

-Przyznaję, to nie takie proste; Ale pomyśl, mamó, z Linkiem ciężko haruję całymi godzinami, całymi weekendami, a pracuję dla nas: dla ciebie, dla wujka Tashjiana, dla Marian i dzieci, ja najwięcej zarabiam i naprawdę to lubię, ale czasami mam dosyć i muszę wyjechać. Wtedy wybieram sobie jakiegoś partnera. Ma-mo, to sprawa czysto biologiczna, teraz nie ma różnic między kobietą a mężczyzną, obecnie mamy pigułkę i same możemy wybierać. Nie jak w twoich czasach...

Casey odsunęła się, żeby przepuścić nadchodzącego z przeciwka pieszego, i zderzyła się z Dunrossem. Odruchowo chwyciła go pod ramię. Nie wzbraniał się.

Gdy po południu poprosiła go o to, by być traktowana na równi z mężczyznami, splawił ją.... Nie, Casey, analizowała, Ian cię nie splawił, on przedstawił prawdę ze swojego punktu widzenia. A jaki jest mój punkt widzenia?

Nie wiem. Nie mam pewności. Ale nie jestem głupia i na wieczór ubrałam się starannie, trochę odmiennie, uperfumowałam się i zrobiłam makijaż. Przez Gały czas mnóstwo razy gryzłam się w język i często mówiłam słodko: „To interesujące”.



A prawie zawsze takie było. On jest bardzo uważny, potrafi być zabawny i umie słuchać, czułam się przy nim cudownie. To faktycznie prawdziwy mężczyzna. Niebezpieczny i, och, pociągający.

Szli szerokimi marmurowymi schodami prowadzącymi do hotelu „Victoria and Albert”. Dyskretnie puściła jego ramię, ale poczuła mu się bliższa ze względu na jego wyrozumiałość.

- Ian, ty jesteś bardzo mądry. Myślisz, że to uczciwe kochać się z kimś, kogo się nie kocha?

- Proszę? - Popatrzył na nią ze zdziwieniem. - Miłość to zachodnie słowo, moja damo. A ja jestem człowiekiem Chin.

- Pytam poważnie.

.. Uśmiechnął się.

- Chyba nie czas teraz na poważne pytania, Ale masz na ten temat swoje zdanie?

- Jak zawsze.

-Przeszli ze schodów do zatłoczonego mimo późnej

pory foyer. Natychmiast poczuł na sobie rozpoznające go spojrzenia. Dlatego właśnie nie zostawił jej na schodach. Liczy się każda drobnostka, myślał. Muszę wyglądać pewnie i spokojnie. Noble House się nie da! Ja też nie mogę się uginać pod zwykłym strachem. Szybko by się to rozeszło i wyrządziło szkody.

- Może napijemy się, co? - zaproponowała. - Nie chce mi się spać. Może Linc się przyłączy, jeśli jest,

- Oczywiście. Herbatę z cytryną. - Uśmiechnął się do kelnera.

-

Dobry wieczór, tai-pan. - Znalazł dla nich wolny stolik.

- Dobry wieczór, Nocny Gup.

- Dla mnie też herbata z cytryną - poprosiła. Kelner odszedł. - Zobaczą, czy są dla mnie jakieś wiadomości.

- Naturalnie. - Patrzył za nią. Dziś wieczór od samego początku zauważył, że stała się bardziej kobieca. Nie zaszła w niej jakaś szczególna przemiana, ale pojawiły się subtelne różnice. Ciekawa kobieta. Seksualność czekająca na eksplozję. W jaki, do diabła, sposób pomogę jej w szybkim zdobyciu pieniędzy na ustawienie się?

- Tai-pan - powiedział cicho po kantońsku Nocny Gup. - Mamy nadzieję, że poradysz sobie z giełdą i Drugim Domem.

-  
Dziękuję. - Dunross zamienił jeszcze kilka słów, cały czas zerkając w stronę Casey. Wyraz oczu kelnera zmienił się.

- Przemysłownika broni nie ma w hotelu, tai-pan.

- Proszę?

-  
Wyszedł z dziewczyną. Koło siódmej wieczorem.

Właśnie przyszedłem na dyżur. Przemysłownik broni był ubrany bardzo swobodnie. Chyba szedł z dziewczyną popływać na łodzi.

Dunross skoncentrował się na słowach Chińczyka.

- Nocny Gup, w Hongkongu mieszka wiele dziewczyn.

- Ale nie takich jak ta, tai-pan. - Stary konspiracyjnie zachichotał. - Ona była kiedyś metresą Czarnej Brody.

- lili, mój stary, masz bystre oko i dobrą pamięć. Na pewno?

-  
Jak najbardziej! - Nocny Gup cieszył się, że mógł

udzielić informacji. - Tak - dodał - jak się dowiedzieliśmy, że Amerykanie mają dołączyć do Noble House, to pomyślałem, że dobrze by było, żebyś o tym wiedział, tai-pan. No i to, że Złote Łono przeprowadziła...

-  
Kto?

Nocny Gup wyjaśnił powody nadania przydomka.

-  
Wyobrażasz sobie, tai-pan? .

Dunross westchnął zdziwiony błyskawicznym tempem rozchodzenia się plotek.

- Zmieniła pokój?

- Tak, teraz mieszka na końcu korytarza, numer dwieście sześćdziesiąt siedem, na tym samym piętrze, liii, tai-pan, słyszałem, jak płakała. Dwie noce z rzędu, i dzisiaj wieczorem przed wyjściem też. Widziała to Trzecia Toaletowa Fung

- Pokłóciła się z przemytnikiem broni?

- Nie, nie kłócili się, nie krzyczeli. Ale, *oh ko*, jeśli Złote Łono wie o Orlandzie, to jest to powód, żeby smok zaryczał. - Nocny Gup wyszczerzył w uśmiechu zęby.

Casey wróciła z plikiem przesyłek w dłoni. Dunross zauważył w jej oczach cień niepokoju. Żadnych wieści od Linca Bartletta, domyślił się. Wstał z miejsca. Nocny Gup odsunął Casey krzesło i dodał po kantońsku: - To nic, tai-pan. Złote Łono czy nie, po ciemku wszystkie są takie same, *heya?* - Zachichotał i odszedł.

Dunross spojrział na kartki papieru w dłoni Casey.

- Problemy?

- Nie, to samo co zwykle. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Muszę je zostawić do jutra, aż będę gotowa je rozwiązać. Dzisiejszy wieczór należy do mnie. Linc jeszcze nie wrócił. - Napiała się herbaty. - Mam na ciebie wyłączność.

- To chyba ja... -Przerwał, zauważywszy wchodzących do foyer Roberta Armstronga i Sindera. Zatrzymali się i rozglądali za stolikiem.

- Wasza policja pracuje non stop - powiedziała Casey, kiwając do Armstronga, który właśnie na nią spojrział. Policjanci wahali się chwilę, a potem usiedli przy wolnym stoliku. - Lubię tego Armstronga - przyznała. - Ten drugi to też policjant?

-

Chyba tak. Gdzie poznałaś Roberta?

Opowiedziała.

- Nadal nic nie wiadomo o przemycie. Ani skąd pochodzą, ani dokąd miały trafić.

- Paskudna sprawa.

- Napijesz się brandy?

Czemu nie? Ale na drogę,

muszę zaraz iść. Kelner!

- Zamówił drinki. - Samochód przyjedzie po was punktualnie o dwunastej.

- Dziękuję, Ian, na zaproszeniu jest napisane: „Damy w kapeluszach i rękawiczkach”. To prawda?

Oczywiście. Na wyścigach kobiety zawsze noszą kapelusze i rękawiczki. Czemu pytasz?

- Będę sobie musiała kupić. Od lat nic chodziłam w kapeluszu.

- Mnie się bardzo podobają kobiety w kapeluszach.

- Rozejrzył się po sali. Sinderson i Armstrong obserwowali go ukradkiem. Znaleźli się tu tylko zbiegiem okoliczności?

- pomyślał.

- Ty też czujesz te spojrzenia, tai-pan? Zdaje się, że wszyscy cię tu znają.

- Nie mnie, Noble House, który ja reprezentuję.

Przyniesiono brandy.

- Na zdrowie! - Tręcili się kieliszkami.

- Odpowiesz teraz na moje pytanie?

Odpowiedź

brzmi tak. - Zamieszał brandy i zachwycił się bukietem.

-Co tak?

Uśmiechnął się.

\*

Nic. Tak, to nieuczciwe, ale tak, zdarza się to cały czas, a ja nie mam zamiaru wdać się w jedną z tych analiz typu: „Czy przestałeś ostatnio bić swoją żonę?”, chociaż podobno większość kobiet lubi być czasami bita, oczywiście z wielką ostrożnością. Obojętnie, czy w kapeluszu, czy bez.

Roześmiała się. Niepokój z jej oczu zniknął.

- To zależy, prawda?

Tak, to zależy! - Spojrzył na nią ze spokojnym uśmiechem i myślał o tym, tak samo jak ona, że wszystko zależy od osoby, od czasu, od okoliczności i potrzeb, a teraz byłoby wspaniale.

Wyciągnął do niej dłoń z kieliszkiem.

- Na zdrowie! - powiedział. - Za wtorek.

- Tak, myślę, że wszystko będzie w porządku.

- Ja się o to postaram.

- Było mi bardzo miło.

- Mnie też.

- Dziękuję za zaproszenie. Jutro... - Przerwała, gdy zbliżył się Nocny Gup.

- Przepraszam, tai-pan, telefon.

- Dziękuję, zaraz idę. - Dunross westchnął. - Ani chwili spokoju! Casey...

Tak, oczywiście. Wstała z dziwnym, dojmującym i zarazem słodkim bólem serca. - Zajmę się rachunkiem!

- Dziękuję, ale już po wszystkim. Zostanie wysłany do mnie do biura. - Dunross zostawił napiwek i świadom otaczających go spojrzeń podprowadził Casey do windy. Przez moment kusilo go, żeby pojechać z nią na górę, aby znaleźć się na językach. Ale to podszepty demona, zreflektował się, a ja mam już wystarczająco dużo otaczających mnie demonów. - Dobranoc. Do jutra i nie zapomnij o koktajlu. Pozdrowienia dla Linca!

- Ukłonił się. szarmancko i podszedł do kontuaru.

Powiodła za nim pełnym uznania wzrokiem - był

wysoki, przystojny, opiekuńczy. Zamknęły się drzwi windy. Gdyby to nie był Hongkong, nie uciekłybyś, nie dziś wieczór, lanie Dunross. O, nie, dzisiaj noc spędzilibyśmy razem. Tak, tak.

Dunross stanął przy kontuarze i podniósł słuchawkę.

- Halo, mówi Dunross.

- Tai-pan?

- O, witaj, Lim. - Poznał głos służącego. - O co **Chodzi?**

- Właśnie dzwonił pan Tip Tok-toh, sir. Prosił, abym spróbował się z panem skontaktować, i przekazał, że czeka na telefon. Mówił, że można do niego dzwonić do drugiej, a potem od siódmej.

- Dziękuję, czy to wszystko?

- Dzwoniła też pani Klaudia z informacją, że pański gość... - Słysząc było przerzucanie kartek. - ...pani Gresserhoff jest już w hotelu i jutrzejsze spotkanie o jedenastej pozostaje aktualne.

- Dobrze. Co jeszcze?

- Z Londynu dzwoniła Pani i wszystko u niej dobrze.

Także z Londynu dzwonił doktor Samson.

-Aha! - Specjalista Kathy. - Zostawił numer? - Lim przedyktował mu. - Jeszcze coś?

- Nie, tai-pan.

- Czy Córka Numer Jeden już wróciła?

- Nie, tai-pan. Córka Numer Jeden przyszła na kilka minut około siódmej z młodym człowiekiem, a później wyszli.

-

Z Martinem Haplym?

- Tak, z nim.

Dziękuję, Lim. Zadzwoń do Drepczącego i wracam do domu.

.

Odłożył słuchawkę. Podszedł do budki telefonicznej.

Wybrał numer.

-

*Wei i?*

Poznał głos Drepczącego.

- Dobry wieczór, mówi Ian Dunross.

- Ach, tai-pan, chwileczkę. - Słyszał najpierw, jak Drepczący przykładła do mikrofonu dłoń, a potem do biegly go stłumione głosy. - Przepraszam, że kazałem panu czekać. Mam nieprzyjemne wieści.

-Tak?

- Wygląda na to, że wasza policja znów się zachowała

jak

psie

płuca

i

wilcze

serce.

Niesprawiedliwie aresztowali pańskiego dobrego przyjaciela, nadinspektora Briana Kwoka.

- Briana Kwoka?! Za co?

- Zdaje się, że jest fałszywie posądzony o szpiegowanie na rzecz ChRL...

- Niemożliwe!

-

Też

tak

uważam.

Nawet

śmieszne.

Przewodniczący Mao nie potrzebuje wysłać szpiegów do kapitalistów. Briana Kwoka należałoby natychmiast wypuścić. I jeśli zechce opuścić Hongkong, powinien dostać na to pozwolenie... Od razu.

Dunross usiłował zebrać myśli. Skoro Drepczący mówi, że Brian Kwok ma być wypuszczony i należy mu pozwolić opuścić Hongkong, to Brian rzeczywiście musiał być szpiegiem ChRL, ale to niemożliwe, niemożliwe, niemożliwe...

- Nie wiem, co powiedzieć - odrzekł pozwalając Drepczącemu wyrazić swą prośbę otwarcie.

- Muszę zauważyć, że trudno Starym Przyjaciółom wspierać Starych Przyjaciół, gdy ich policja myli się w ten sposób. *Heya?*

- Zgadzam się - powiedział spokojnie i nagle doznał

ośnienia. Boże jedyny, oni chcą wymienić Briana za pieniądze! - Jutro od razu porozmawiam z władzami.

- A może dałoby się jeszcze dziś coś uczynić?

- Za późno na telefon do gubernatora, ale... - Dunross przypomniał sobie, że w foyer hotelu siedzą

Sinders i Armstrong. - Dobrze, postaram się. To na pewno jakaś pomyłka, panie Tip. W każdym razie gubernator udzieli należytej pomocy. Policja również.

Oczywiście...

taka

pomyłka

musi

być

w

satysfakcjonujący sposób naprawiona. A co z prośbą Victorii o umożliwienie czasowego wykorzystania gotówki waszego banku?

Długie milczenie.

- Możliwe, że dałoby się to zrobić. Możliwe. Starzy Przyjaciele muszą wspierać Starych Przyjaciół i pomagać w naprawianiu błędów. Tak, to byłoby możliwe.

Dunross usłyszał nie wypowiedziane „gdyby”, ale prawie cały umysł miał pochłonięty tym, czego się przed chwilą dowiedział.

- Panie Tip, czy dostał pan ode mnie wiadomość?

Wszystkim się zająłem. A przy okazji, Victoria zgodziła się finansować dostawy toru. Także innych transakcji, w przyszłości - dodał delikatnie.

- Ach tak, dziękuję. Tak, dostałem wiadomość od pana, bardzo uprzejmie z pana strony. Przykro mi, że byłem nieosiągalny. Dziękuję za zaproszenie, tai-pan.

Na jak długo wasz rząd chciałby pożyczyć pieniądze, gdyby do tego doszło?

- Przypuszczam, że trzydzieści dni z pewnością wystarczy. Może nawet dwa tygodnie. Lecz to sprawa nie rządu, ale Victorii, Blacs i innych banków. Jutro będę mógł dokładniej odpowiedzieć na to pytanie. Czy do-stąpię zaszczytu goszczenia pana na lunchu?

- Żałuję bardzo, ale na lunchu nie, być może później będzie to możliwe.

Znakomity kompromis - pomyślał Dunross.

- Oczywiście.

- Dziękuję za telefon, tai-pan. A i jeszcze jedno, zrobił pan duże wrażenie na doktorze Ju.



- Proszę przekazać mi moje pozdrowienia. Czekam na spotkanie z nim.

- Zdziwiła mnie wypowiedź pańskiego szwagra na temat Państwa Środka.

- Mnie także. Moja żona wiele lat temu zerwała stosunki z bratem. Są odmiennych, a nawet wrogich sobie poglądów. - Dunross zawahał się. - Liczę na to, że uda się stworzyć przeciwwagę dla tej wypowiedzi.

-

Tak, dziękuję. Dobranoc! - Odłożył słuchawkę.

Dunross także. Chryste, Brian Kwok! A ja mu prawie dałem do rąk teczkę Alana Medforda. Chryste!

Z wielkim wysiłkiem zbierając myśli, wrócił do sali.

Armstrong z Sindersem nadal tkwili przy swoim stoliku.

-

Dobry wieczór, mogę się przysiąść na chwilę?

- Oczywiście, panie Dunross. Co za miła niespodzianka. Napije się pan?

- Tak, chińskiej herbaty.

Ich stół znajdował się daleko od pozostałych, więc Dunross mógł spokojnie mówić.

- Robert, słyszałem, że aresztowaliście Briana Kwoka - powiedział z nadzieją, że to nieprawda.

Obydwaj policjanci popatrzyli na niego uważnie.

- Kto ci o tym powiedział? - zapytał Armstrong.

- Dunross przytoczył rozmowę z Drepczącym. Słuchali go w milczeniu, co jakiś czas wymieniali porozumie-wawcze spojrzenia;

- Chodzi o zamianę. On za pieniądze. Sinders napił się czekolady.

- Jak ważne są te pieniądze?

- Ważniejsze niż cokolwiek innego, a im szybciej je dostaniemy, tym lepiej. Panie Sinders, te pieniądze powstrzymają szturm na banki. Musimy... - Urwał

nagle.

- O co chodzi? - zapytał Sinderson.

- Przypomniałem sobie nagle, co napisał Alan Medford w swoim raporcie... *Szpieg w policji może należeć do Sevrin, a może też nie należeć.* Należy?

- Kto?

- Nie bawcie się ze mną w kotka i myszkę, na litość boską! - rozłościł się Dunross. - To poważna sprawa.

Myślicie, że macie do czynienia z głupcem? Jeden z członków Sevrin działa u Struanów. Mam prawo wiedzieć, czy Brian należał do siatki?

- Zupełnie się zgadzam - rzekł spokojnie Sinderson, chociaż w jego oczach pojawiły się oznaki zdenerwowania. - Gdy tylko zdrajca zostanie wykryty, pan z pewnością będzie o tym poinformowany. Czy ma pan już jakieś podejrzenia, kto to może być?

Panując nad nerwami Dunross pokręcił głową.

- Zaczął pan, że musimy... Musimy co, panie Dunross - powiedział Sinderson.

- Musimy natychmiast dostać te pieniądze. Co zrobił

Brian?

- Banki zostaną otwarte w poniedziałek - stwierdził

po chwili Sinderson. - Więc D Day szykuje się właśnie na poniedziałek?

- Przypuszczam, że banki powinny dostać pieniądze wcześniej... Muszą mieć pieniądze już na otwarcie.

Co, do diabła, zrobił Brian?

Sinderson zapalił papierosa dla siebie, a następnie dla Armstronga.

- Jeśli ów Brian faktycznie został aresztowany, to nie sądzę, aby było to taktowne pytanie, panie Dunross.

Założę się o wszystko - powiedział bezradnie Dunross - że Drepczący nie zaproponowałby takiej zamiany, gdyby to nie była prawda. Nigdy. Brian musiał być kimś ważnym. Boże, do czego dojdzie ten świat? Zgadza się na zamianę? Domyślam się, że potrzebna będzie zgoda pana Crosse'a i gubernatora.

Szef MI-6 w zamyśleniu wypuścił dym z ust.

-

Wątpię, aby mogło dojść do takiej transakcji, panie Dunross.

- Dlaczego? Pieniądze są ważniejsze...

- Chodzi o opinię. Jeśli Brian Kwok w ogóle został

aresztowany. Jednak nie sądzę, aby gubernator Jej Wysokości przystał na szantaż. To byłoby w złym stylu.

-

Oczywiście, ale Sir Geoffrey zgodzi się od razu.

- Wątpię. Zrobił na mnie wrażenie człowieka rozsądnego. A co do zamiany, panie Dunross, to uważam, że mógłby pan nam przekazać raporty Alana Medforda Dunross poczuł mdłości w brzuchu.

- Przekazałem je dziś wieczorem.

- Proszę nie żartować, panie Dunross. To poważna sprawa! Myśli pan, że ma pan do czynienia z głupcem? -

Sinders powiedział to takim samym tonem jak wcześniej Dunross. Uśmiechnął się i ciągnął z mrozącym krew w żyłach spokojem. - Przekazał pan oczywiście pewną ich wersję, ich wartość w żaden sposób nie przystaje do teczki przechwyconej przez nas. Panie Dunross, pańska ostrożność jest naprawdę imponująca, godna podziwu, ale niekonieczna. Chcemy dostać do ręki oryginały.

- Skoro nie satysfakcjonują was te raporty, to przeszukajcie biuro Medforda.

- Już to zrobiliśmy. - Skrzywił się. - No, jak mówili rozbójnicy: Pieniądze albo życie. Posiadanie tych teczek może być dla pana niebezpieczne, prawda Robert?

- Tak jest.

Sinders pyknął dymem.

-

A więc, panie Dunross, pan Drepczący chce handlować, tak? Jak wszyscy w Hongkongu. Tu handlowanie

jest czymś najnaturalniejszym pod słońcem. Tą atmosferą się oddycha. Ale w handlu zawsze musi być coś za coś. Chce pan handlować z wrogiem?... No, jak oni mówią! „W miłości i na wojnie wszystko jest uczciwe”, prawda?

Na twarzy Dunrossa nie drgnął żaden mięsień.

- Tak, to prawda. Najpierw porozmawiam z gubernatorem. Do tej pory proszę o absolutną dyskrecję.

Dobranoc.

Wyszedł.

-

Jak myślisz, Robert, przekaże nam teczki?

Armstrong westchnął.

- Nie wiem. Nic nie wyczytałem z jego twarzy, a przyglądałem się uważnie. Zupełnie nic. Ale ostry jest jak brzytwa, no nie?

- Tak - rzekł Sinderson. - A więc wróg chce zamiany?

Tego klienta będziemy mieć w swoich rękach najwyżej dwadzieścia cztery godziny. Kiedy następne przesłucha-

-

O wpół do siódmej rano.

- No, skoro musisz tak wcześnie wstać, to idziemy.

Poprosił o rachunek. - Porozmawiam z Crosse'em, ale wiem, co powie. Co tak naprawdę polecił Londyn?

Proszę?

Bardzo się przejęli, bo klient znał wiele tajemnic, między innymi Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej. -

Sinderson zawahał się. - Właściwie to pomyślałem sobie teraz, że propozycja pana Dunrossa powinna skłonić nas

do

szybszego

działania.

Tak. Odwołamy

przesłuchanie o wpół do siódmej. Dalej ciągniemy cykl godzinowy, jeśli oczywiście, stan zdrowia klienta na to pozwoli. A potem do Czerwonego Pokoju. Armstrong zbladł.

- Ależ...

- Przykro mi - odezwał się łagodnie. - Wiem, że to twój przyjaciel, że to był twój przyjaciel, ale musimy się spieszyć ze względu na pana Drepczącego i pana Dun rossa.

**Sobota**

9:32

Samolot odrzutowy z Tokio zniżył lot nad morzem, a przy dotknięciu kół do płyty lotniska pojawiły się niewielkie kłęby dymu. Po wylądowaniu samolot podjechał w pobliże budynków lotniska.

Pasażerowie, załoga i goście mieszały się w zatłoczonym terminalu, kłębili wokół urzędników imigracyjnych

i

w

poczekalni.

Odprawa

wyjeżdżających była prosta. Przyjeżdżających jeszcze mniej skomplikowana. Z wyjątkiem obywateli Japonii.

Chińczycy mają długą pamięć. Zbyt niedawno zakończyły się lata japońskiej okupacji Chin i Hongkongu, żeby można było przebaczyć. A zatem Japończyków sprawdzano dokładnie. Nawet członków załogi, wśród której znajdowały się młode stewardesy, podczas okupacji niewątpliwie będące jeszcze niemowlakami. Im też oddawano dokumenty podróży z niechętnym spojrzeniem.

Za nimi stał w kolejce Amerykanin.

- Dzień dobry - powiedział wręczając paszport urzędnikowi.

- Dzień dobry - odparł młody Chińczyk. Najpierw spojrział na fotografię, a potem poszukał wizy. Nogą dotknął niewidocznego przycisku. W pobliskim gabinecie zostali zaalarmowani Crosse i Sinderson. Przeszli do lustrzanej szyby i przyglądali się stojącemu na przedzie jednej z sześciu kolejek człowiekowi.

W paszporcie, wydanym przed rokiem, znajdowały się następujące informacje: „Vincenzo Banastasio, płeć męska, urodzony w Nowym Jorku 16 sierpnia 1910

roku. Włosy siwe, oczy piwne". Urzędnik przy okazji przejrzał inne wizy - angielska, hiszpańska, włoska, holenderska, meksykańska, wenezuelska, japońska.

Wstemplował pieczętkę i oddał paszport.

Banastasio ruszył przez poczekalnię. Pod pachą niósł elegancką aktówkę z krokodylęj skóry, w rękę targał plastikową torbę, zawierającą dozwoleń do wwozu alkoholu, a na ramieniu miał zawieszony aparat fotograficzny.

-  
Niezły gościu - rzucił Sindera. - Dbaj o siebie.

Patrzyli, jak niknie w tłumie. Crosse podniósł CB radio.

- Tak jest, sir - padła natychmiastowa odpowiedź.

- Będziemy w kontakcie na tej częstotliwości.

- Tak jest.

- Ze śledzeniem go - zwrócił się do Sindera - nie będzie kłopotów.

- To dobrze. Cieszę się, że go widziałem. Lubię mieć wroga przed oczami.

A to wróg?

-

Tego zdania jest pan Rosemont. Ty nie?

- Chodzi mi o to, czy jest naszym wrogiem. Wiem, że to oszust, ale czy ma coś wspólnego z wywiadem?

- Sprawdziliście te pluskwy?

- Tak. - Poprzedniego wieczora eksperci SI założyli podsłuch w sypialni Banastasio w hotelu „Hilton”.

Także w prywatnym apartamencie Fotografę Nga.

Czekali cierpliwie. Na stole cicho szumiało CB radio.

- A co z tym drugim klientem? - zapytał po jakimś czasie Sinder.

- Z którym? Z Kwokiem?

- Tak. Jak myślisz, ile jeszcze wytrzyma?

- Już niedługo. - Crosse uśmiechnął się do siebie.

-

O której wsadzicie go do Czerwonego Pokoju?

- Gdzieś koło południa. Chyba, że będzie wcześniej gotowy.



- Przesłuchanie poprowadzi Armstrong?

- Tak.

- To dobry człowiek. Dobrze sobie poradził na

„Iwanowie”.

- Następnym razem jednak mógłbyś zapytać mnie o zdanie. Mimo wszystko to mój teren.

- Oczywiście, Roger. To Londyn tak nagle zdecydował.

- Co za pomysł z tymi wezwaniami na niedzielę?

- Minister przysłał specjalne instrukcje. Wszystko wskazuje na to, że Brian Kwok jest twardy. A nie mamy za dużo czasu. Musiał przejść głęboką indoktrynację, że tak długo pozostawał w ukryciu.

- Tak. Ale co do metody jestem spokojny. Odkąd zbudowaliśmy ten pokój, trzy razy eksperymentowałem na sobie. Najdłużej wytrzymałem pięć minut, a za każ-

dym razem musiałem potem swoje odchorować. I to bez żadnego stosowania dezorientacji. Nie powinno być problemów. - Zapalił papierosa. - To idealna kopia prototypu KGB.

Przykro, że trzeba stosować takie metody. Bardzo nieprzyjemne. Naprawdę odrażające. Wolałem, gdy...

Jednak nawet wtedy... Sądzę, że nasz zawód nigdy nie należał do najczystszych.

- Chodzi ci o wojnę?

- Tak. Przyznam, że wolałem działać wtedy. W tamtym czasie nie było tyle hipokryzji w naszych liderach ani w mediach. Wszyscy rozumieli, że jesteśmy na wojnie. A dzisiaj stosowane metody przetrwania są czasem traktowane jak... - Przerwał i wyciągnął rękę. -

Patrz, Robert, czy to nie Rosemont? - Przy wejściu stał Amerykanin z jeszcze jednym człowiekiem.

- Tak, to on. Z Langanem z FBI - rzekł Crosse, Wczoraj wieczorem zgodziłem się połączyć z nim siły w działaniach przeciwko Banastasio, ale myślałem, że cholerna CIA naszą robotę zostawi nam.

- Tak. Naprawdę stają się bardzo trudni we współdziałaniu.

Crosse zabrał CB radio i wyszedł z gabinetu.

- Stanley, naprawdę dobrze go obstawiamy. Umó-

wiliśmy się wczoraj, że my zajmujemy się nim tutaj, a wy w hotelu. Tak?

- Jasne, Roger. Dzień dobry, panie Sinderson. -

Rosemont z ponurą miną przedstawił Langana. - Nie wchodzimy ci w paradę, chociaż ten koleś to nasz rodak.

Przyszedłem tu odprowadzić Eda.

- Ooo...

- Tak - potwierdził Langan. Był zmęczony i zdenerwowany tak samo jak Rosemont. - To z powodu fotokopii dokumentów K. K. Lima. Muszę je dostarczyć osobiście do Biura. Czytałem fragment swojego szefowi i myślałem, że wyjdzie z siebie.

- Mogę sobie wyobrazić.

- Na twoim biurku znajduje się prośba o udostępnienie oryginałów,

-

Nie ma mowy - odpowiedział za Crosse'a Sinderson.

Langan wzruszył ramionami.

- Na twoim biurku jest prośba, Roger. Jeśli nasi naprawdę potrzebują czegoś, to wasze kierownictwo przyśle im dokumenty nawet z nieba. Lepiej już wsiąść.

Roger, nie wiem, jak ci dziękować. Jesteśmy ci zobowiązani.

Te łajdaki... - Uścisnęli sobie ręce. - Jesteśmy naprawdę wdzięczni... - Odszedł.

- Która informacja przyprawia o atak apopleksji panie Rosemont?

- Wszystkie są poważne, panie Sinderson. Szczególnie dla nas, a zwłaszcza dla Biura. Ed opowiadał, że jego ludzie niemal dostali histerii. Trudno sobie wyobrazić polityczne konsekwencje zarówno dla demokratów, jak i republikanów. Miałaś rację, Roger. Jeśliby te dokumenty dostały się do senatora Tilmana, zaufanego prezydenta, który właśnie przebywa w mieście, to nie wiadomo, co on mógłby zrobić. Moje kierownictwo zarządziło już poszukiwanie K. K. Lima w Ameryce Południowej, więc niedługo go przesłuchamy. Oczywiście dostaniesz kopię, Roger. Słuchaj, czy było coś jeszcze?

Proszę? - Pytam, czy oprócz tych dokumentów, które już

mamy, były tam jeszcze inne, które mogłyby nam się przydać.

Crosse uśmiechnął się, choć zupełnie nie było mu wesoło.

- Oczywiście. Na przykład finansowanie rewolucji w Indonezji.

- O, Jezu...

- Tak. A co powiesz na fotokopie umów o płatnościach wpływających na konto we francuskim banku, należące do pewnej ważnej wietnamskiej damy i dżentelmena, płatnościach za świadczenie swoistych usług?

Rosemont zbladł.

I co jeszcze?

- A to ci nie wystarczy?

- Czy jest coś jeszcze?

- Stanley, na Boga, i ja wiem, i ty wiesz, że zawsze jest jakieś jeszcze.

- Możesz to nam przekazać?

- A co wy moglibyście zrobić dla nas? - wtrącił się Sinders.

Rosemont spojrzał na niego.

Po lunchu...

Zaskwierczało CB radio.

- Cel zabrał swoje bagaże i kieruje się do postoju taksówek... Teraz... O, ktoś po niego wyszedł, Chińczyk, dobrze ubrany, nie poznaję go... Idą do rol sa z rejestracją... A, to hotelowa limuzyna. Obydwaj wsiedli do środka.

- Zostań na tych falach - polecił Crosse i zmienił

częstotliwość swojego odbiornika. Z głośniczka dobywały się szumy i piski.

Rosemont poweselał.

- Zamontowaliście podsłuch w samochodzie?

Crosse skinął głową. - Świetnie, Roger, nigdy bym na to nie wpadł.

Potem wszyscy w skupieniu słuchali.

- ...cieszę się, że pana widzę, Vee Cee - mówił

Banastasio. - Nie trzeba było się fatygować...

- Och to dla mnie przyjemność - odparł uprzejmy głos. -

W samochodzie możemy spokojnie rozmawiać, myślę, że także u mnie w biurze...

- Oczywiście... Oczywiście... - przystał Amerykanin.

- Proszę posłuchać, mam coś dla pana, Vee Cee...

- Nagle głos się rozplątał i dolatywały ich tylko wysokie szumy zniekształcające słowa. Crosse sprawdził, czy odbierają na dobrej częstotliwości, ale wszystko się zgadzało.

-

Cholera, zagłuszyli nas kieszonkową golarką

- stwierdził z niesmakiem Rosemont. - Ten łajdak to fachura! Stawiam pięćdziesiątkę, że zneutralizuje wszystkie nasz pluskwy, a setkę, że jak potem wrócisz na ten kanał, wszystko będzie w porządku. Mówiłem że Banastasio to elita.

10:52

- Tai-pan, dzwoni doktor Samson z Londynu. Na linii trzeciej.
- Dziękuję, Klaudio. - Dunross przełączył aparat telefoniczny. — Witam, doktorze, spóźnił się pan.
- Przepraszam, ale właśnie wróciłem ze szpitala.

Dzwonił pan w sprawie siostry?

- Tak. Co z nią?
- Cóż, przechodzi teraz kolejną serię badań. Muszę natomiast przyznać, że jest w dobrym stanie psychicznym. Chyba stan fizyczny nie jest aż tak zadowalający...

Dunross ze ściśniętym sercem słuchał szczegółów na temat stwardnienia rozsianego, o tym, że w gruncie rzeczy nikt na ten temat za wiele nie wie, że nie jest znana skuteczna kuracja, że choroba schodzi na coraz to niższe płaszczyzny i że gdy dochodzi do zniszczenia struktury nerwowej, nie ma już powrotu do poprzedniego stanu.

-

- Pozwoliłem sobie zadzwonić z prośbą o konsultację do profesora Klienberga z kliniki w Los Angeles. On jest światowym ekspertem w tej dziedzinie. Proszę mieć pewność, że zrobimy dla pani Gaval an, co tylko się da.

- Wygląda na to, że niewiele się da.

- Hm... nie jest aż tak źle, sir. Jeśli pani Gaval an będzie o siebie dbała, jak najwięcej wypoczywała i postępowała ostrożnie, może normalnie żyć jeszcze przez wiele, wiele lat.

-

To znaczy ile? - zapytał z wahaniem Dunross.

Biedna Kathy!

- Nie wiem. Wszystko w rękach Boga. Pacjenci różnią się od siebie. Za sześć miesięcy będę mógł coś bliżej powiedzieć o pani Gaval an. Może już na Boże Narodzenie. Tymczasem w naszej klinice państwowej...

- Nie, ona ma być prywatną pacjentką, doktorze Samson. Proszę odsyłać rachunki do mojego biura.

- Panie Dunross, tu nie ma żadnej różnicy między jakością usług. Musi tylko ewentualnie chwilkę poczekać w poczekalni i przebywać na oddziale, a nie w prywatnej sali.

- Proszę, aby była prywatną pacjentką. Wolę, żeby tak było, i jej mąż jest tego samego zdania.

Dunrossowi nie spodobało się westchnięcie.

- Dobrze - przystał doktor. - Mam do pana wszystkie numery, zadzwonię, gdy tylko wyrazi swą opinię profesor Klienberga i poznamy wyniki badań.

Dunross podziękował i odłożył słuchawkę. Och, Kathy, biedna Kathy!

Wstał wcześnie rano i rozmawiał z nią i z Penelopą.

Kathy stwierdziła, że czuje się o wiele lepiej i że doktor Samson dodał jej otuchy. Potem Penn powiedziała, że Kathy robi wrażenie bardzo zmęczonej.

- Sprawy nie wyglądają za dobrze, Ian. Są jakieś szanse, żebyś pojawił się tutaj przed dziesiątym paż-

dzielnika?

- Na razie trudno mi powiedzieć, Penn, na pewno nie teraz, ale nigdy nic nie wiadomo.

- Jak tylko Kathy wyjdzie ze szpitala, chcę ją zabrać do Avisyard. Najpóźniej w przyszłym tygodniu. Tam jej będzie lepiej. Nie martw się, Ian.

- Penn, gdy będziesz w Avisyard, pójdziesz w moim imieniu do Drzewa Krzyku?

- Co się stało?

Słyszał niepokój w jej głosie.

-

Nic, moja droga. - Starał się zbagatelizować sprawę, podczas gdy gnębiły go myśli o Jacques'ie i Phil'ie i Czenie. Jak ja mam jej to wyjaśnić? - Nic nadzwyczajnego, jak zwykle to samo. Chciałem tylko, żebyś pozdrowiła ode mnie nasze Drzewo Krzyku.

- Nasze domowe drzewo już ci nie wystarcza?

- Wystarcza, ale to nie to samo. Może powinniśmy przywieźć do Hongkongu sadzonkę, co?

- Nie, lepiej niech zostanie tak, jak jest. Będziesz musiał częściej wracać do domu, prawda?

-

Postawić za ciebie na wyścigach?

Chwilka przerwy.

- Dziesięć dolarów na którego chcesz konia. Zdaję się w zupełności na ciebie. Jak zawsze. Zadzwoń jutro.

Kocham cię... Pa!

Pamiętał, jak pierwszy raz wyznała, że go kocha, a potem, gdy poprosił ją o rękę, długo odmawiała, aż wreszcie wyjawiała ze łzami prawdziwy powód: Ian, Chryste, nie jestem dla ciebie dość dobra. Ty pochodzisz z wyższych sfer, a ja nie. Wyuczyłam się mówić w ten sposób. A to dlatego, że na początku wojny zostałam ewakuowana z Londynu na wieś, a przedtem wyjeżdżałam z Londynu tylko dwa razy.

Przeniesiono mnie do wspaniałego domu Bycul a w Hampshire, gdzie przebywały dziewczynki z wyższych sfer.

Zrobił się wielki bałagan, cała moja szkoła została odesłana gdzie indziej, ja do Byculla i dopiero wtedy zrozumiałam, że mówię inaczej! O, Boże, nie masz pojęcia, jak strasznie czuła się mała dziewczynka, gdy to odkryła... Gdy zrozumiała, że jest z gminu i odzywa się jak ktoś z gminu, a w Anglii są tak ogromne różnice w sposobach mówienia... mowa jest taka ważna!

O, nawet sobie nie wyobrażasz, ile mnie kosztowało naśladowanie innych dziewcząt. One na szczęście mi pomagały, była też bardzo życzliwa nauczycielka.

Chciałam zacząć życie od początku i przysięgałam sobie, że będę żyć lepiej i nigdy, przenigdy, przeszłość już nie wróci. I nie wróci. Ale nie mogę wyjść za ciebie, mój drogi.

Zostańmy kochankami, ale w żadnym razie nie będę mogła być twoją żoną!

Po jakimś czasie jednak pobrali się. Babcia Dunross ją przekonała. Penelopą zgodziła się, ale najpierw poszła sama do Drzewa Krzyku. Nigdy się nie przyznała, co mówiła do drzewa.

Mam szczęście, pomyślał Dunross. Ona jest najlepszą żoną, o jakiej może marzyć mężczyzna.

Od samego rana bezustannie pracował. Nadał prawie pięćdziesiąt telegramów. Przeprowadził tuziny

międzynarodowych rozmów. Niezliczoną liczbę miejscowych.

O wpół do dziesiątej zadzwonił do gubernatora w sprawie propozycji Drepczącego.

- Będę musiał skonsultować się z ministrem - orzekł

Sir Geoffrey. - Najwcześniej dzisiaj o czwartej po południu.

Ale to musi pozostać w absolutnej tajemnicy, Ian.

Ho, ho, ho, Brian Kwok to chyba dla nich ważna szycha, Ian, nie sądzę, żeby minister zgodził się na taką zamianę

-  
Dlaczego?

- Rząd Jej Wysokości uznałby ją za precedens, za zły precedens.

-  
Ale pieniądze są bardzo potrzebne.

- Pieniądze to problem okresowy. A taki precedens na zawsze pozostawi po sobie ślad. Byłeś na torze?

- Tak.

- No i jak to wszystko wygląda?

- Konie są w świetnej formie. Aleksiej Trawkin uważa, że najpoważniejszym przeciwnikiem dla nas jest Pilot Fish, ale Noble Star może wygrać, chociaż nigdy nie biegała po wilgotnej nawierzchni.

- Będzie padać?

- Tak, ale chyba szczęście nam dopisze, sir.

- Miejmy nadzieję. Straszne czasy, Ian. Wszystko to po to, żeby wystawić nas na próbę? Idziesz na pogrzeb Johna?

- Tak.

- Ja

też.

Biedaczysko...

Na pogrzebie Dunross powiedział kilka słów, aby zachowana została twarz Domu Czenów i twarz wszystkich Czenów od tak dawna służących Noble House.

- Dziękuję, tai-pan ~ powiedział zwyczajnie Phil ip Czen. - Jeszcze raz przepraszam.

- Rozumiem, że ci przykro - zwrócił się później na osobności Dunross do Phil ipa Czena - ale to w żaden sposób nie pomoże nam wydostać się z pułapki, w którą wpędziliście nas twój syn i ty. Ani rozwiązać problemu Wu Cztery Palce i trzeciej monety.

- Wiem, wiem - powtarzał Phil ip Czen. Ręce mu się trzęsły. - I nie ma wątpliwości, że jeśli akcje nie wzrosną, wszyscy jesteśmy zrujnowani! *Oh ko*, kupiłem za wszystko, co miałem, gdy zapowiadałeś boom, ale teraz jestem bankrutem.



- Mamy cały weekend, Phil ip - przypomniał ostro Dunross. - Posłuchaj mnie, do cholery! Musisz spełnić każdą prośbę, jesteś mi to winien. Chcę, żebyś do niedzieli o północy załatwił wsparcie u Lando Maty i Zaciśniętej Pięści. Przynajmniej dwadzieścia milionów.

- Ależ, tarpan...

- Jeśli nie, w poniedziałek o dziewiątej znajdziesz na biurku zwolnienie, nie będziesz dłużej honorowym do radcą, twój syn Kevin zostanie odsunięty, tak samo jak i cała twoja rodzina, a honorowym doradcą wybiorę kogoś zupełnie innego.

Nienawidził Phil ipa i Johna Czenów tak samo jak Jacques'a deVil e'a za to, że zawiedli jego zaufanie.

Nalał sobie kawy. Większość telefonów dotyczyła giełdy i banków, dzwonił Havergill, Johnjohn, Richard Kwang, ale żadnych wieści od Lando Maty czy Murtag-ha.

Jedynym miłym akcentem był telefon do Davida MacStruana do Toronto.

- David, chcę, żebyś przybył w poniedziałek na konferencję. Możesz... - Zagłuszyły go odgłosy radości.

- Tai-pan, już pędzę na lotnisko.

- Chwileczkę, David! - Przedstawił mu swój plan przeniesienia Jacques'a do Kanady.

- Och, stary, jeśli to zrobisz, będę na wieki twoim niewolnikiem!

- Potrzebuję czegoś więcej niż poddaństwa - podkreślił.

Nastąpiło dłuższe milczenie.

-

Czego tylko sobie życzysz, tai-pan.

Dunross uśmiechnął się, daleki kuzyn podniósł go na duchu. Wyrzał przez okno. Nad przystanią wisiała mgła, niebo przybrało ciemny kolor, ale deszcz jeszcze nie padał. Dobrze, niech nie pada, chyba że już będzie po piątej gonitwie. Gdy minie czwarta godzina. Chciałbym wygrać z Pilot Fish i wygrać z Gorntem. Z Gorntem za pomocą pieniędzy z First Central albo od Lando Maty i Zaciśniętej Pięści bądź

od Par-Con! Na razie nie ma jeszcze wielkiego zagrożenia, pomyślał ze stoickim spokojem. A Casey?

Czy chce mnie wykołować tak samo jak Bartlett i Gornt? A co...

Odezwał się interkom.

- Tai-pan, spotkanie o jedenastej.
  - Klaudio, jeszcze sekundkę. - Wyjął z szuflady kopertę z tysiącem amerykańskich dolarów i podał Klaudii. - Tak jak obiecałem. Pieniądze na zakład.
  - O, dziękuję, tai-pan. - Za uśmiechem kryły się zmarszczki i cienie.
  - Siedzisz w łożu Phillipa?
  - Tak, tak. Wujek Phillip zaprosił mnie. On... On wygląda na przygnębitego.
  - Z powodu Johna. - Nie był pewien, czy Klaudia o wszystkim wie. Prawdopodobnie tak, a jeśli nie, wkrótce się dowie. W Hongkongu nie ma tajemnic. -
- Jakie masz typy?
- W pierwszej Winner's Delight, w drugiej Korsarz.
  - O, i na wyścigach masz swoją siatkę informacyjną? - zapytał zdziwiony.
  - Nie, tai-pan. - Wróciło trochę z jej zawsze dobrego humoru. - To tylko przypuszczenia.
  - A w piątej?
  - Na piątą nie stawiam, ale mam nadzieję, że wygra Noble Star. Czy mogę w czymś pomóc, tai-pan? - spytała zmartwiona. - W sprawie giełdy... Musimy jakoś wygrać z Gorntem.
  - Ja lubię Gornta, jest taki *fang-pi*. - Kantońskie przekleństwo było bardzo obrazowe i Klaudia roześmiała się. - Wprowadź panią Gresserhoff.
  - Tak, tai-pan. Dziękuję za *h'eung yau!*

Po chwili Dunross wstał, aby powitać gościa. Riko była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widział.

- *Ikaga desu ka?* - Jak się pani miewa. Ledwie wydusił to z siebie po japońsku, tak był zdumiony jej urodą. Zdziwił się, że była żoną Alana Medfórda Granta, który prawdopodobnie nazywał się także Hans Gresserhoff.

- *Genki, tai-pan. Dorno Genki desu! Anatawa?* -

Dziękuję, tai-pan, a ty?

- *Genki*. - W odpowiedzi uklonił się nie wyciągając ręki. Spozrzegł, że Japonka ma niezwykle kształtne dłonie i piękne stopy. Przez chwilę prawili sobie grzeczności po japońsku, a potem przeszli

na angielski.

- Mówi pan świetnie po japońsku, tai-pan. Mój mąż nie mówił, że jest pan taki wysoki.

- Napije się pani kawy?

- Tak, dziękuję... Och, ja się tym zajmę. - Zanim zdążył ją powstrzymać, już nalewała kawy. Filiżankę podała z ukłonem najpierw jemu. Riko Gresserhoff mierzyła jedynie pięć stóp wysokości, miała idealnie proporcjonalne ciało, krótkie włosy i wspaniałe uśmiech. Ubrana była we francuską jedwabną bluzkę i spódnicę. - Dziękuję za pieniądze na drobne wydatki.

Dostałam je od miss Klaudii.

- Nie ma za co. Jesteśmy winni pani mężowi osiem tysięcy funtów. Jutro dam pani czek gotówkowy.

- Dziękuję.

- Pani Gresserhoff, pani mnie...

- Proszę mówić mi Riko, tai-pan.

- Dobrze, Riko-san. Ty mnie już znasz, ale dla mnie nadal pozostajesz bardzo tajemnicza.

- Tak, mąż polecił powiedzieć ci wszystko, co sobie zażyczysz. Mówił też, że jeśli już się upewnię, że mam do czynienia z prawdziwym tai-panem, mam ci dać kopertę. Mam ją przynieść później? - Lekko się uśmiechnęła.

- Pojadę z tobą i zabiorę kopertę.

- Nie, nie chciałabym cię fatygować. Może mog-

łabym ją przynieść po lunchu?

- Jak duża ona jest?

Pokazała w powietrzu delikatnymi dłońmi.

- Zwykła koperta, nie za gruba. Zmieści się w kieszeni.

- Znow się uśmiechnęła.

- Może mógłbym... Coś ci powiem - zaproponował, świetnie się czując w jej obecności. - Za minutę albo dwie pojedziesz moim samochodem i od razu przywieziesz kopertę. - Wiedział, że będzie musiał odwołać późniejsze spotkania, ale nie przejmował się tym. - Mo-

żesz przyjść na lunch na wyścigach?

- Och, ależ... Musiałabym się przebrać i... nie, dziękuję, nie chciałabym sprawiać kłopotu. Może

dostarczę tę kopertę później albo jutro? Mój mąż prosił, żeby oddać ci ją do rąk własnych.

- Nie musisz się przebierać, Riko-san, wyglądasz cudownie. O, masz kapelusz?

- Proszę? - zapytała zdumiona.

- To taki nasz zwyczaj, że kobiety przychodzą w kapeluszach i rękawiczkach. Niezbyt rozsądny zwyczaj, ale jest. A więc masz kapelusz?

- Oczywiście. Każda dama ma kapelusz. Poczuję ulgę.

- Dobrze, a więc jesteśmy umówieni.

- Skoro tak mówisz. - Wstała. - Mam już iść?

- Nie, jeśli ci się nie spieszy, usiądź jeszcze. **Jak** długo byliście małżeństwem?

- Cztery lata. Hans... - zawahała się, a potem dodała pewnym głosem: - Hans prosił, żebym ci się przyznała, jeśli umrze, ale tylko tobie i to w cztery oczy, że pobraliśmy się dla wygody.

- Jak to?

Lekko się splonęła, lecz mówiła dalej.

- Wybacz mi, ale muszę ci to wyjaśnić. Tak było wygodniej dla nas obojga. Ja dostałam szwajcarskie obywatelstwo, paszport, a on miał kogoś, kto nim się opiekował podczas pobytu w Szwajcarii. Nie chciałam ślubu, ale tyle razy prosił... Mówił też, że dzięki temu będę miała zapewniony byt po jego śmierci.

- Wiedział, że umrze? - zapytał zdziwiony Dunross.

Chyba tak. Przewidywał, że nasz ślub będzie pięcioletnim kontraktem, i nie chciał dzieci. Zabrał mnie do adwokata w Zurychu i spisaliśmy pięcioletnią umowę. - Otworzyła torebkę, drżały jej palce, ale głos miała spokojny. - Hans prosił, żebym ci to dała. To kopie kontraktu, świadectwo moich urodzin, świadectwo ślubu i jego testament. -

Wyjęła chusteczkę i przyłożyła do nosa. - Przepraszam. -

Ostrożnie odwiązała sznurek na kopercie i wyjęła kartki.

Dunross wziął je i od razu poznał pismo Alana Medforda.

- *Tai-pan, to potwierdzi, że moja żona Riko Gresserhoff-Riko Anjin -jest tym, za kogo się podaje. Kocham ją z całego serca. Ona ma więcej zalet niż ja. Jeśli będzie potrzebować pomocy... błagam, błagam, błagam.*

Podpisane: *Hans Gresserhoff*

- Nie mam tylu zalet, ale mąż zawsze był dla mnie bardzo dobry. Tak mi szkoda, że umarł.

- Chorował? - zapytał Dunross. - Wiedział, że umrze na jakąś ciężką chorobę?

- Nie wiem. Nic mi nie mówił. Przed ślubem poprosił, żebym nie zadawała mu żadnych pytań, ani dokąd jedzie, ani kiedy wróci. Przyjmowałam go takim, jakim był.

- Lekko drgnęła. - Trudno było tak żyć.

- To dlaczego się zgodziłaś? Z pewnością nie było to konieczne.

Riko znów się zawahała.

,

-

Urodziłam się w trzydziestym dziewiątym roku w Japoni i jako dziecko przyjechałam z rodzicami do Berna, mój ojciec zajmował stanowisko niższego urzędnika w japońskiej ambasadzie. W czterdziestym trzecim wrócił do Japoni, ale nas zostawił w Genewie. Moi przodkowie pochodzili z Nagasaki. W czterdziestym piątym mój ojciec i cała rodzina zginęli. Nie było po co wracać i matka postanowiła, że zostaniemy w Szwajcarii.

Pojechałyśmy więc do Zurychu z pewnym dobrym człowiekiem, który cztery lata temu umarł. On płacił za moje wykształcenie, utrzymywał mnie i matkę, stanowiliśmy szczęśliwą rodzinę. Wiedziałam, że nie są małżeń-

stwem, ale udawali przede mną, więc i ja udawałam.

Gdy umarł, zostałyśmy prawie bez pieniędzy. Hans Gresserhoff był znajomym mojego ojczyma - Simeona Tzeraka, który pochodził z Węgier, ale osiadł w Szwajcarii.

Przed wojną, jak mówił, był księgowym w Budapeszcie.

Moja matka załatwiła mi ślub z Hansem. - Oderwała wzrok od dywanu i spojrzała na Dunrossa. - My... My stanowiliśmy udane małżeństwo, tai-pan, przynajmniej ja się starałam robić to, co kazała mi matka i mąż. Moim *giri*, moim obowiązkiem było służyć mamie, *neh*?

- Tak - zgodził się uprzejmie, rozumiejąc, że *giri* należy do najważniejszych japońskich słów i reguluje sposób życia. - Doskonale spełniałaś *giri*, na pewno.

A twoja matka uważa, że jakie jest teraz twoje *giri*?

- Moja matka umarła tai-pan. Po śmierci ojczyma nie chciała już dłużej żyć. Gdy wyszłam za mąż, zjechała z góry na nartach w przepaść.

- Straszne.

- Ależ skąd, tai-pan, to bardzo dobre rozwiązanie.

Umarła tak, jak chciała, tam, gdzie chciała, kiedy chciała.

Jej mężczyzna nie żył, ja byłam zabezpieczona, co ona miała więcej do zrobienia?

- Nic - przyznał. Zachwycił się miękkością jej głosu, rozsądnym tonem, spokojem. Przyszło mu na myśl japońskie słowo *wa* - harmonia. Pasuje do tej dziewczyny, pomyślał. Harmonia. Być może dlatego jest taka piękna.

*Aiii ia, przydałoby mi się trochę wa!*

Zadzwonił telefon.

-

Słucham, Klaudio?

;- Dzwoni Aleksiej Trawkin, tai-pan. Przepraszam, że przerywam, ale on twierdzi, że to bardzo ważne.

- Dziękuję. - Przeprosił Japonkę. - Tak, Aleksiej?

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale Johnny Moore zachorował i nie może pojechać. - Johnny Moore był

dżokejem.

- Rano wyglądał na zdrowego - rzekł z namysłem Dunross.

-Dostał gorączki, a lekarz uważa, że być może dostał

zatrute jedzenie

- Chcesz powiedzieć, że ktoś go chciał wyeliminować?

- Nie wiem, tai-pan. Wiem tylko, że nie nadaje się do dzisiejszego wyścigu.

Dunross zawahał się. Wiedział, że sam byłby lepszy od pozostałych dżokejów, chociaż dodatkowy ciężar mógł

zaszkodzić Noble Star. Powiniennem czy nie?

- Aleksiej, wpisz na listę Toma Wonga. Zdecyduje my się przed gonitwą.

-

Dobrze. Dziękuję.

Dunross odłożył słuchawkę.

- Anjin to dziwne nazwisko - stwierdził. - Oznacza pilota albo nawigatora, prawda?

- Rodzinna legenda głosi, że jednym z naszych przodków dawno, bardzo dawno temu, był Anglik, który stał się samurajem i doradcą Shoguna Yoshi Toranagi.

Wiele krąży na ten temat historii, ale podobno pierwszą ziemię posiadał w Hemi koło Jokohamy, a potem jako inspektor generalny do spraw obcokrajowców przeniósł

się do Nagasaki. - Znów się uśmiechnęła. Końcem języka zwilżyła wargi. - Ale to tylko legendy, tai-pan. Podobno ożenił się z wysoko urodzoną damą o imieniu Riko. -

Zachichotała. - Znasz Japończyków! *Gai-jin*, obcy, i wysoko urodzona dama! To nie do pomyślenia. W

każdym razie to ładna historia i wyjaśnia moje nazwisko, *neh*? - Wstała, on także. - Mam już pójść?

Chciał powiedzieć, że nie.

Czarna limuzyna daimler zajechała pod hotel „Victoria i Albert”. Casey i Bartlett czekali na schodach, Casey w zielonej sukience, zielonym kapeluszu i długich rękawiczkach. Bartlett w brązowym, dobrze skrojonym garniturze i niebieskim krawacie. Obydwoje z poważnymi minami.

Podszedł do nich szofer.

- Pan Bartlett?

- Tak. - Zeszli kilka stopni. - To nasz samochód?

- Tak, sir. Bardzo przepraszam, ale czy obydwójce państwo macie ze sobą zaproszenia i znaczki?

- Mamy, proszę - powiedziała Casey.

- O, dobrze. Przepraszam, ale bez nich... Nazywam się Lim. Zgodnie ze zwyczajem panowie wsuwają zna-czek w dziurkę na klapie, a panie muszą mieć ze sobą szpilkę.

- Oczywiście.

Casey wsiadła do samochodu, a Bartlett za nią.

Zajęli

miejsca

naprzeciwko

siebie

zaczęli

przymocowywać odznaki.

Zamykając drzwi Lim wyczuł panujący chłód między nimi. Usiadł za kierownicą i odezwał się przez interkom.

- Jeśli będzie pan chciał coś do mnie powiedzieć, proszę skorzystać z mikrofonu. - We wstecznym luster ku zauważył, że Bartlett od razu bierze mikrofon.

- Oczywiście, dziękuję, Lim. Gdy ruszyli, Lim nacisnął

ukryty klawisz i z głośnika popłynął głos Bartletta.

- ...adać deszcz?

- Nie wiem, Linc. W radiu mówili, że tak, ale wszyscy się modlą, żeby było inaczej. - Nadal uważam  
- dodała lodowatym tonem - że ile robisz.

Lim z zadowoleniem rozpierał się w fotelu. Jego starszy brat Lim Czu, wieloletni służący tai-panów Noble House, poprosił ich młodszego brata - fachowca od elektroniki - o zainstalowanie tego urządzenia, aby on mógł podsłuchiwać pasażerów. Wielkim kosztem zamontowano podsłuch, a starszy brat Lim rozkazał, aby nigdy, ale to nigdy nie używać go, gdy w samochodzie jedzie tai-pan. I nigdy nie został wtedy włączony. Na razie. Lim zdawał sobie sprawę, co by mu groziło, gdyby został złapany, ale musieli wiedzieć

- oczywiście na wszelki wypadek - co ich może czekać. Ooo, zachichotał. Złote Łono się gniewa!

Casey westchnęła.

-

Dajmy już temu spokój, Linc, co? Od samego śniadania masz muchy w nosie.

- A ty to co? - odparł Bartlett. - Podpisujemy z Gorntem. Ja tak chcę.

- To moja sprawa. Dziesiątki razy mi to mówiłeś, obiecywałeś i do tej pory mnie słuchałeś. Jezu, przecież jesteśmy po tej samej stronie. Staram się tylko ciebie chronić. Wiem, że robisz źle.

- Tak ci się tylko wydaje. A wszystko z powodu Orlandy.

- Bzdura. Co najmniej dziesięć razy przedstawiałam ci swój tok myślenia. Jeśli Ian się wydestanie z dołka, lepiej podpisać z nim niż z Gorntem.

Bartlett pozostawał niewzruszony.



- Casey, dotychczas nie było między nami sporów.

Jeśli chcesz głosować ze swoimi udziałami przeciwko moim, to proszę bardzo. Ale zanim zdążysz policzyć do

dziesięciu, już będzie po tobie.

Serce Casey waliło jak młot. Od samego śniadania z Seymourem Steiglerem nie układał jej się dzień. Bartlett obstawał przy tym, żeby związać się z Gorntem i żadne jej słowa nie były go w stanie przekonać. Po godzinie prób skończyła zebranie i zajęła się stosem teleksów, a potem nagle przypomniała sobie, że musi iść do sklepu po kapelusz.

Gdy z nową fryzurą pasującą do kapelusza czekała w foyer na Bartletta, pragnęła, aby spodobało mu się jej uczesanie i nakrycie głowy. Ledwie mogła usiedzieć

/ napięcia, ale on tylko zaproponował:

- Zapomnijmy o sprzeczkach. Co ty na to? Czekala, czekała, ale on nie zauważył.

- I co o tym sądzisz?

- Już ci mówiłem. Podpisujemy z Gorntem.

- Chodzi mi o kapelusz.

Zobaczyła jego puste spojrzenie.

- A, zmieniłaś się, może być.

Chciała zerwać kapelusz z głowy i rzucić w niego.

- Paryski - rzuciła od niechcienia. - O kapeluszach i rękawiczkach

była

mowa

na

zaproszeniach,

pamiętasz? Niby mała rzecz, ale Ian uważa, że dama...

- Dlaczego sądzisz, że mógłby się wydostać z dołka?

- To sprytny gość. I tai-pan tai-panów.

- Gornt go zrujnuje.

- Wszystko na to wskazuje. Zapomnijmy już o tym.

Może wyjdziemy. Samochód ma przyjechać punktualnie o dwunastej.

- Chwileczkę, Casey. Co ty knujesz?

- O co ci chodzi?

- Już ty dobrze wiesz. Co knujesz?

Casey zawahała się, nie była pewna, czy powiedzieć mu o zagrywce z First Central. Doszła jednak do wniosku, że nie ma powodów. Jeśli Ian dostanie kredyt, ja się o tym dowiem pierwsza. Obiecał mi to. Linc i Gornt będą mogli odkupić akcje i zarobią duże pieniądze. W

tym samym czasie Ian, Linc i ją wykupimy akcje po minimalnej cenie i zwyciężymy. O kredycie będę wiedzieć zaraz po lanie i Murtaghu, Ian obiecał. Tak, ale czy mogę mu ufać?

Zrobiło jej się nieprzyjemnie. Czy w biznesie można komukolwiek ufać? Poprzedniego wieczoru wierzyła mu.

Pod wpływem doskonałych potraw i wina opowiedziała o swym związku i zawartej umowie z Linkiem.

- To trochę trudne, prawda? Dla obydwójga.

- Tak i nie. Obydwoje skończyliśmy już dwadzieścia jeden lat, a ja pragnę o wiele więcej niż zostanie panią Bartlettową: matką, kochanką, gospodynią, kucharką i niewolnicą. Kurą domową. To zabija każdą kobietę. Wy, mężczyźni, często wychodzicie. A dla nas dom staje się w końcu więzieniem i doprowadza do takiego samego szaleństwa. Wpadamy w pułapkę aż do grobowej deski.

Obserwowałam taką sytuację setki razy.

- Ktoś musi zajmować się domem i dziećmi. Do mężczyzn należy zarabianie pieniędzy, a do kobiet...

Tak. Przeważnie. Ale ze mną jest inaczej. Ja nie jestem do tego stworzona i nie sędzę, żebym miała być przez to gorsza. Ja zarabiam na utrzymanie mojej rodziny. Mąż mojej siostry umarł, więc mam na głowie ją, jej dzieci, matkę i wujka. A na biznesie znam się lepiej niż na czymkolwiek innym. Świat się zmienia i wszystko się zmienia, Ian. - Jak już mówiłem, dzięki Bogu, nie tutaj.

Casey przypomniała sobie, że postanowiła hamować swoją ciekawość, ale zwyciężyła w niej poprzednia Casey.

- Ian, a Hag? A jak jej się udało? Na czym polegał jej sekret? Dlaczego zdołała być równa mężczyznom?

- Ona niepodzielnie nad wszystkim panowała. Nad wszystkim. Dla zachowania twarzy funkcję tai-pana pełnił

Culum i inni, ale w jej rękach znajdowało się wszystko, to ona mogła zatrudniać i zwalniać ludzi. Ona stanowiła całą siłę napędową rodziny. Łatwo jej było przekonać Culuma, żeby na łożu śmierci przekazał jej rodzinną pieczęć Struanów i inne rodzinne tajemnice. Jednak rachowała to wszystko w sekrecie i po śmierci Culuma przejęła nad rodziną i interesami absolutną kontrolę i nie pozwoliła odebrać sobie władzy do końca życia.

- Wystarczy więc władać innymi?

- Władza to władza i dopóki potrafisz innymi rządzić, płeć nie ma znaczenia. Ale dla kobiety w pewnym wieku staje się to trudne, musi wszystko trzymać żelazną ręką.

Ale co do pieniędzy na ustawienie się, to masz rację.

Hongkong jest najlepszym miejscem na ziemi, żeby je zarobić. A z pieniędzmi, z prawdziwymi pieniędzmi będziesz bardziej równa niż kiedykolwiek. Nawet Lincowi Bartlettowi. A przy okazji muszę się przyznać, że go lubię.

Nawet bardzo.

- Ja go kocham Ian, zostaniemy wspólnikami. Myślę, że dla Linca też tak będzie dobrze. On u nas jest tai-panem i wcale nie zamierzam zajmować jego miejsca, chcę być kobietą osiągającą swoje cele. On mi w tym bardzo, ale to bardzo pomaga. Do moich urodzin zatem będziemy prowadzić razem interesy. Do dwudziestego piątego listopada. Wtedy nastąpi D Day. Wszystko się zadecyduje.

I co dalej?

- Nie wiem. Szczerze mówię, że nie wiem. Kocham Linca bardziej niż kogokolwiek na świecie, ale nie jesteśmy kochankami.

Potem, gdy płynęli promem, kusiło ją, żeby wypytać Dunrossa o Orlandę, ale zrezygnowała.

- A może jednak powinnam - mruknęła pod nosem.

- Słucham?

- O! - Powróciła nagle do rzeczywistości i zorientowała się, że siedzi w samochodzie płynącym promem do Hongkongu. - Przepraszam, rozmarzyłam się.

Spojrzała na niego. Jak zwykle przystojny. Mimo nadętej miny. Podoba mi się bardziej niż Ian czy Quillan, pomyślała, ale teraz szybciej poszłabym do łóżka z którymś z nich, bo z ciebie kawał łajdaka.

- Nadal tego chcesz? - zapytał. - Nadal chcesz, żebyśmy głosowali przeciwko sobie udziałami?

Popatrzyła na niego ze złością. Powiedz mu, żeby się wypchał, podpowiadał jej demon, on ciebie potrzebuje bardziej niż ty jego. Ty stanowisz siłę napędową Par-Con, ty znasz wszystkie słabe i mocne punkty, ty wiesz, co robić, aby zdobyć to, czego pragniesz. Z drugiej jednak strony stała się

uważniejsza. Przypomniała sobie, co tai-pan mówił o świecie mężczyzn i o władzy. I o Hag.

Odwróciła się i po jej twarzy popłynęły łzy. Natychmiast dokonała się w nim przemiana.

- Jezu, Casey, nie płacz, przepraszam... - powiedział

i objął ją ramieniem. - Casey, ty nigdy nie płakałaś...

Słuchaj, nieraz się sprzeczailiśmy i nie ma się czym przejmować. Struanowie i Gornt walczą ze sobą. Nie ma znaczenia, kto wygra. Tak czy owak będziemy Noble House, ale na razie, Gornt jest lepszy. Wiem, że mam rację.

Nie masz, pomyślała z zadowoleniem. W jego objęciach poczuła się bezpieczna.

12:32

Brian Kwok krzyknął z przerażenia. Wiedział, że znajduje się w więzieniu i że pozostanie już tam na wieki. W jednej chwili cały jego świat stał się oślepiająco czerwony. Wszystko miało kolor krwi, a w celi nie było drzwi ani okien. I wszystko odwróciło się do góry nogami. On leżał na suficie i z całych sił starał się wrócić do normalnej pozycji. Za każdym razem wpadał w kałużę swoich wymiocin. Nagle ogarnęła go ciemność i usłyszał

czyjeś śmiechy. Udało mu się wyodrębnić głos przyjaciela

- Roberta, który błagał te diabły, żeby przestali, żeby, na miłość boską, przestali go dręczyć. Potem znów zalało go wyciskające łzy czerwone światło. Widział czerwoną wodę, w której stał stół i krzesła, rozpaczliwie próbował się do nich dostać, ale za każdym razem spadał z powrotem na sufit. Szaleństwo, szaleństwo, diabelski wynalazek...

Krwistoczerwone światło i ciemność, i śmiech, i znów odór krwi, i...

Pamiętał, że przed laty zaczął mieć wszystkiego dosyć, błagał ich, żeby zostawili go w spokoju, przysięgał, że może robić wszystko, żeby tylko pozwolili mu odejść, mówił, że nie jest tym, o kogo im chodziło, że się nie nadaje... To pomyłka, pomyłka, nie, to nie pomyłka, jestem wrogiem wroga, jakiego wroga? O, Boże, błagam, niech świat stanie się normalny i wszystko znów będzie na swoim miejscu, dół na dole, góra na górze, Jezu, Robert, pomóż mi, pomóż mi i i i i ...

- W porządku, Brian. Jestem. Sprawię, że wszystko będzie na swoim miejscu. - Usłyszał pełen współczucia

głos na tle śmiechów. Krwista czerwień zniknęła.

Poczuł

na sobie chłodną, delikatną dłoń przyjaciela i zacisnął

na niej palce. Bał się, że to kolejny sen we śnie.

Chryste,

Robert nie odchodź...

Jezu, to niemożliwe. Sufit znów na swoim miejscu, a ja leżę, tak jak powinno być, w łóżku, wszystko czyste, lekko oświetlone, kwiaty i woda w wazonie. Wszystko ze mną w porządku.

- O, Robert, Chryste...

- Cześć, stary - powiedział łagodnie Armstrong:

- Jezu, dziękuję ci, wielkie dzięki... Jestem już na swoim miejscu, dzięki...

Z trudem udało mu się wypowiadać słowa, opadł z sił, ale czuł się wspaniale, ponieważ skończył się koszmar. Twarz przyjaciela widział jak za mgłą, ale wiedział, że jest prawdziwa. Papieros? Czy ja palę?

Tak, tak, chyba pamiętam, że Robert zostawił mi paczkę papierosów, chociaż w zeszłym tygodniu te diabły zaraz mi zabrały... W zeszłym tygodniu? Kiedy to naprawdę było? Tydzień temu? Miesiąc? Kiedy?

Pamiętam też, że Robert dał mi w zeszłym miesiącu potajemnie się zaciągnąć, na pewno to był zeszły miesiąc?

- O, jak przyjemnie, tak, i koszmar się skończył, Robert, nie ma już tej krwi, sufit na miejscu, a ja leżę na dole, dziękuję, dziękuję...

- Muszę już iść.

- Chryste, nie, nie odchodź, oni mogą wrócić, błagam cię, zostań. Słuchaj, możemy pogadać, tak, tak, pogadać, chcesz rozmawiać... Nie odchodź. Proszę cię, porozmawiajmy...

- W porządku, przyjacielu, porozmawiajmy. Jeśli będziesz mówił, nie odejdę. Co mi chcesz powiedzieć?

Opowiedz o Ning-tok i o ojcu. Byłeś przecież go odwiedzić.

Tak, raz byłem, tak, przed śmiercią, przyjaciele pomogli mi... tak... pomogli mi i zabrało mi to tylko jeden dzień, przyjaciele... Ale to już tak dawno temu...

- Czy Ian był z tobą?

- Ian? Nie... Czy to był Ian? Nie pamiętam... Ian, tai-pan? Ktoś ze mną był. Może ty, Robert? A ze mną w Ning-tok? Nie, to nie ty ani Ian, to był John Chancellor z Ottawy. On też nienawidzi Sowietów, Robert. Oni są wielkimi wrogami. Diabeł Czang Kai-szek, zama-chowcy Fong Fonga i... Och, jestem zmęczony, cieszę się, że jesteś...

- Opowiedz o Fong Fongu.

- O nim? To zły człowiek, Robert, i on, i jego szpiedzy byli przeciwko nam, przeciwko ChRL, i za Czangiem. Nie martw się, jak tylko przeczytałem... O

co pytałeś? Co?

- Przeczytałeś u cholernego Granta?

- Tak, tak, ja prawie nie zauważyłem, a on wiedział, że ja jestem... byłem, tak, ale powstrzymałem Fong Fonga od razu... Tak...

- Komu powiedziałaś?

- Tsu-ianowi. Szepnąłem mu słówko. On wrócił do Pekinu... O, on jest bardzo, bardzo wysoko, chociaż nie wiedział, kim naprawdę jestem, byłem bardzo cichutko... Tak, już w szkole, ojciec wysłał mnie do szkoły po zamordowaniu starego Sz'ina... Przyszli bandyci i za-ehlostali go w wiosce na śmierć dlatego, że był jednym z nas, jednym z ludzi przewodniczącego Mao, a w Hongkongu zatrzymałem się u... u wujka...

Chodziłem do szkoły, a on uczył mnie wieczorami...

Mogę iść spać?

Kim był twój wujek, Kar-szun, i gdzie mieszkał?

- Nie... Nie pamiętam...

- No to muszę iść. Wrócę za tydzień....

- Nie, czekaj, Robert, czekaj, to był Wu Tsa-fing... i mieszkał na Czwartej Alei w Aberdeen... numer osiem, szczęśliwa ósemka, piąte piętro. Tak, pamiętam. Nie odchodź.

Bardzo dobrze, staruszk, bardzo dobrze. Długo p chodziłeś w Hongkongu do szkoły? - Armstrong przemawiał łagodnie i delikatnie i całym sercem był ze swoim dawnym przyjacielem. Dziwił się, że Brian złamał się tak szybko i tak łatwo.

Umysł klienta otworzył się i czekał na zbadanie.

Armstrong nie odrywał oczu od skulonego na łóżku Briana, zachęcał go do przypominania sobie faktów, nazw, liczb, nazwisk. Wiedział, że musi mu schlebiać albo go karać, wpadać w niecierpliwość, złość, musi udawać, że wychodzi albo krzyczy na strażników, któ-

rzy przeszkadzają. Dla Crosse'a i Sindera nadzorują-

cych przesłuchanie był on po prostu narzędziem, takim samym jak Brian Kwok, dla tych, którzy wykorzystywali jego wiedzę i talenty do własnych celów. Zadanie Armstronga polegało na tym, żeby być medium, żeby przekonywać klienta do mówienia, żeby przywoływać go do porządku, gdy traci wątek lub mówi nie do rzeczy, żeby być jego jedynym przyjacielem i popiecznikiem w tym nierealnym świecie, być jedynym, któremu można zawierzyć prawdę. Takim samym jak John Chancellor z Ottawy? Kto to taki?

Jaką odgrywał rolę w tej sprawie? Jeszcze nie wiem.

Teraz już wydobędziemy z klienta wszystko, co wie.

Dostaniemy jego kontakty, adresy opiekunów, przyjaciół, wrogów. Biedny Fong Fong i reszta. Już ich nigdy nie zobaczymy, chyba że przejdą na drugą stronę i staną się agentami wroga. Jaki, do diabła, interes w sprzedawaniu przyjaciół i współpracy z wrogiem, gdy wiadomo, że on zawsze chce cię

zniewolić.

- ...w Vancouver było cudownie, mówię ci, Robert, cudownie. Miałem dziewczynę... Tak, prawie ją poślubiłem, ale Rozsądny Tok, on był moim czterysta osiemdziesiąt dziewięć, mieszkał... zaraz... a tak, przy Fedder Street w Chinatown i miał restaurację Hoho-tok... tak Rozsądny Tok tłumaczył; że powinienem przedkładać

przewodniczącego Mao nad jakąś *quai loh*... Och, jak ja

ją kochałem, ale ona była jedną z *quai loh*, którzy od wieków gnębią Chiny... To prawda, prawda.

- Tak - powiedział Armstrong. - Rozsądny Tok to twój jedyny znajomy w Kanadzie?

-

O, miałem ich dziesiątki, Robert...

Armstrong słuchał zdziwiony bogactwem informacji o siatkach działających w Kanadyjskiej Policji Konnej, o zasięgu infiltracji chińskich komunistów we wszelkie środowiska i struktury życia w obu Amerykach, w Europie, a w szczególności na Zachodnim Wybrzeżu -

Vancouver, Seattle, San Francisco, Los Angeles, San Diego - gdziekolwiek działała chińska restauracja albo chiński sklep, istniała potencjalna szansa na zdobycie informacji...

- I jeszcze Wo Tuk na Gerrard Street w Londynie, gdzie byłem.. gdzie... Boli mnie głowa, pić mi się chce.

Armstrong podał mu wodę ze środkiem pobudzają-

cym. Gdy on lub Crosse uznali, że nadszedł

odpowiedni moment, klient dostawał ulubioną chińską herbatę. Ta woda zawierała substancję stymulującą.

Cross? i Sinders decydowali co potem. Czy dalej Czerwony Pokój, czy koniec przesłuchania, a wtedy, ostrożne, stopniowe, aby nie uczynić żadnej krzywdy, doprowadzanie klienta do normalnego stanu, powrót do rzeczywistości.

To zależy od nich, pomyślał Robert Armstrong.

Sinders miał rację, żeby się pośpieszyć, skoro zostało mało czasu. Klient dużo wie i nierozsądnie byłoby go wydawać bez zdobycia tych wiadomości. Musimy kontynuować.

Armstrong zapalił dwa papierosy i głęboko się zaciągnął. Na Boże Narodzenie rzucę, obiecał sobie.

Teraz, przy całym tym horrorze, nie mogę. Minęło dwadzieścia minut od przeniesienia Briana Kwoka do Czerwonego Pokoju. Razem z Crosse'em i Sindersem przez wizjer obserwował jego bezsilność i



próby wejścia na sufit zamieniony w podłogę. Dziwili się, że ktoś tak silny jak Brian tak szybko i łatwo się złamał.

- To niemożliwe - mruknął.

- On być może blefuje - rzucił Sinders.

- Nie - odparł Crosse. - Wiem, że mówi prawdę.

- Nie wierzę, że tak łatwo dał się złamać.

- Uwierzysz, Robert. - I gdy Briana Kwoka wyniesiono i posprzątało po nim, Crosse zachęcił go: - No, Robert, spróbuj, a potem zobaczymy.

- Nie, dziękuję, to żywcem wzięte z *Gabinetu doktora Caligari*. Dziękuję bardzo.

- Tylko minutę. Przyda ci się takie doświadczenie.

Kiedyś może złapią ciebie. Musisz być przygotowany, jedna minuta może niekiedy ocalić życie. Spróbuj dla swojego dobra.

Zgodził się. Zamknęli drzwi. Pomieszczenie było małe,

całe

szkarłatne.

Wszystko

zostało

poprzekęcane, linie proste nie były proste, kąty powypaczane, w jednym miejscu podłoga łączyła się z sufitem, zupełnie brakowało perspektywy. Po czerwonym szklanym, wysoko umieszczonym suficie zamienionym w podłogę płynęła czerwona woda. Do niego

przymocowane

były krzesła i stół z

porozrzucanymi

kartkami,

pióra.

na krzesłach

czerwone obicia, obok fałszywe, uchylone drzwi...

Nagle ciemność. Potem oślepiająca, czerwona jasność. Znow ciemność, czerwień, ciemność, czerwień.

Chcąc nie chcąc zaczął iść w stronę stołu i krzesel, ale upadł. Nie mógł zapanować nad swoim zachowaniem.

U góry po podłodze płynęła krwista woda. Ciemność i rozdzierający głowę hałas, znow przeklęta czerwień.

Ciało mówiło mu, że znajduje się na dole, ale umysł podpowiadał, że to trik, trik, trik...

Minęła wieczność, zanim otworzyły się normalne drzwi i zobaczył białe światło. Leżał na podłodze i chciało mu się wymiotować.

-

Łajdaki! - z trudem wykrztusił na widok Crosse'a.

- Miała być minuta! - Z wysiłkiem stanął na nogi, ledwie powstrzymywał wymioty.

- Przykro mi, ale to była tylko minuta, Robert - rzekł

Crosse.

- Nie wierzę...

- To prawda - potwierdził Sinderson. - Sam mierzyłem.

Nadzwyczajne. Niesamowity efekt.

Na myśl o wodzie, stole i krzesłach nad głową Armstrong znow poczuł nudności. Odsunął od siebie nieprzyjemne wspomnienia i skupił się na Brianie Kwoku. Pozwolił mu odpocząć, ale nadszedł czas, aby go popędzić.

- Co mówiłeś? Lo Krzywy Ząb dostał od ciebie wszystkie nasze dossier?

- No nie, to nie... Jestem zmęczony, Rober, zmęczony... co...

- Skoro jesteś zmęczony, to idę. - Wstał. - W przyszłym miesiącu...

- Nie... Nie... Nie odchodź... Proszę... Oni... Zostań... Błagam!...

Armstrong usiadł i dalej ciągnął zabawę wiedząc, że nie jest uczciwa, bo klient jest tak zdezorientowany, że wszystko podpisze i powie, co tylko mu każą.

- Zostanę, żeby pogadać, przyjacielu. Mówiłeś o Lo Krzywy Ząb, tym z Princes Building? On był

pośrednikiem?

- Nie... nie... to znaczy trochę tak... doktor Meng...

doktor Meng brał paczkę, którą ja zostawiałem... On nie wiedział, że jestem tym, kim jestem... dowiadywał

się listownie albo telefonicznie... zanosił przesyłki do Lo... Lo miał zapłacone, żeby je przekazywać dalej...

Nie wiem, komu... Nie wiem...

- Och, Brian, widzę, że nie chcesz, żebym został.

- Chryste, chcę... Przysięgam... Krzywy Ząb... On wie... Może Ngowi, Vee Cee Ngowi, Fotografowi Ngowi, on też jest po naszej stronie, Robert... Zapytaj go, będzie wiedział... Razem z Tsu-ianem importowali tor...

- Co za tor?

-

Taki rzadki pierwiastek... potrzebny w atomisty-ce... Tak, za kilka miesięcy będziemy mieć swoje bomby

atomowe... - Brian Kwok zaczął się zanosić śmiechem.

- Pierwszą za kilka tygodni... Pierwsza próbna eksplozja

za kilka tygodni, oczywiście, jeszcze nic skończonego, ale już niedługo... Robert, niedługo będziemy mogli stanąć do walki z tymi hegemonistami, którzy stale na nas napadają. Pomyśl tylko...

Przewodniczącemu Mao udało się, dokonał tego... W przyszłym roku bomba wodorowa, Joe nam pomoże i odzyskamy swoje ziemie... Joe Ju nam pomoże, Joe... Powstrzymamy ich, powstrzymamy ich i odbierzemy swoje ziemie. - Wycią-

gnął rękę i złapał Armstronga za ramię. - Słuchaj, wojna już się zaczęła, wojna między nami i Sowietami, mówił mi Czung Li nim się miałem kontaktować... z nim w nagłych wypadkach... Wojna, już strzelają. Zabili na Północy wielu Chińczyków i zabrali jeszcze więcej ziemi...

Ale już niedługo... - Położył się na plecach i zaczął

mamrotać.

-Bomba atomowa? W przyszłym roku? Nie wierzę -

rzekł powątpiewająco Armstrong. Boże drogi, bomba atomowa w Chinach za kilka miesięcy? Świat słyszy o tym od dziesięciu lat.

Pozwolił Brianowi Kwokowi ochłonąć i podjął przesłuchanie.

- Kim jest Joe Ju?

- Kto?

Zobaczył, jak Brian odwraca się do niego z dziwnym, odmienionym

wyrazem twarzy. Armstrong zdwoił

czujność.

- Joe Ju.

- Kto? Nie znam żadnego Joe Ju. Co... Co ja tu robię? Co się dzieje? Co to za miejsce? Ju? Skąd mam go znać?

- Nie wiem - powiedział uspokajająco Armstrong.

- Proszę, masz herbatę, na pewno chce ci się pić.

- Tak... tak... gdzie., co... gdzie ja jestem... Chryste, co się... co się dzieje?

Armstrong pomógł mu się napić. Dał mu drugiego papierosa i znów go uspokajał. Po kilku chwilach Brian Kwok głęboko zasnął. Armstrong otarł pot z czoła, on także się zmęczył.

Otworzyły się drzwi i wszedł Crosse z Sindersem.

- Dobrze, Robert - pochwalił Sinders. - Bardzo dobrze.

-

Tak - dodał Crosse. - Dobrze go wyczułeś.

Armstrong milczał, czuł się brudny.

-

Złoty klient - rzekł Sinders. - Minister będzie zachwycony. Już trwa wojna konwencjonalna, a za kilka miesięcy będą mieć bombę atomową. Nic dziwnego, że nasza związkowa komisja parlamentarna zrobiła taki zadziwiający postęp. Wspaniale, Robert, po prostu wspaniale.

- Wierzy pan klientowi? - zapytał Crosse.

- Oczywiście, a pan nie?

- Ja wierzę, że powiedział, co wiedział. Ale co z tego jest prawdą, to całkiem inna sprawa. Joe Ju? Mówi wam to coś? - Pokręcili głowami. - A John Chancellor?

-Nic.

- A Czung Li?

- Jest taki Czung Li - odezwał się Armstrong - znajomy Briana... klienta. Entuzjasta samochodów, szanghajczyk, poważny przemysłowiec, może chodzi o niego.

- Dobrze. Ale ten Joe Ju jakoś dziwnie na niego -

podziałął. Może to ktoś ważny. - Crosse spojrział na Sindera. - Kontynuujemy?

- Oczywiście.

-

13:45

Z piętnastu tysięcy gardeł wyrwał się okrzyk zachwytu, gdy siedmiu dżokejów wyjechało ze stajni na koniach biorących udział w pierwszej gonitwie.

Wierzchowce

paradowały

przed

trenerami

i

właścicielami. Niektóre żony właścicieli, między innymi Mei-ling Kwang i Dianne Czen, ubrane w futra z norek, miały świadomość, że również przyciągają wzrok tysięcy ludzi.

Po trawiastej powierzchni toru biegły białe linie. Na mecie po jednej stronie stała tablica z wypisanymi imionami koni i personaliami dżokejów, a po drugiej budynek z totalizatorem, należącym oczywiście do klubu jeździeckiego. Była to jedyna forma legalnych zakładów w całej kolonii.

Nisko wisały ciemne chmury. Wcześniej trochę po-kropiło, ale już zrobiło się sucho.

Obok rzędu okienek, w których można było stawiać na konie, znajdowała się przebieralnia dla dżokejów oraz biura. Powyżej wznosiły się cztery kondygnacje z własnymi okienkami do zakładów. Miejsca na pierwszym poziomie zajmowali członkowie bez prawa do głosu, na drugim członkowie z prawem do głosu, a dwa najwyższe poziomy zajmowali właściciele łóż; tam też była usytuowana kabina radiowa. Każda loża miała prywatną kuchnię. Większość łóż zajmowali wybierani corocznie zarządzający, ale niektóre miały stałych użytkowników: patrona klubu, czyli Jego Ekscelencję gubernatora, Blacs, Victorię oraz Struanów. Ta ostatnia w najlepszym miejscu na wprost mety.

- Dlaczego, tai-pan? - zapytała Casey.

- Ponieważ klub jeździecki założył Dirk Struan. On ustalił zasady, sprowadził sławnego eksperta Sir Rogera Blore'a i mianował go pierwszym sekretarzem klubu. Dirk wyłożył pieniądze na pierwsze zawody, na pierwsze stajnie, na import koni z Indii. On także pomógł przekonać Sir Williama Longstaffa, aby te tereny wydzierżawił klubowi na stałe.

- Dobrze, dobrze, tai-pan - odezwał się Donald McBride - jak to ująłeś: Dirk „pomógł przekonać”? A czy on czasem po prostu Longstaffowi nie rozkazał?

Dunross roześmiał się wraz z innymi gośćmi siedzą-

cymi przy stole: Casey, Hiro Todą i McBride'em, który wpadł tylko z wizytą. W loży znajdował się bar oraz trzy stoły przeznaczone dla dwunastu osób.

- Wolę obstawać przy swoim - zaznaczył. - W każ-

dym razie, Casey, po zbudowaniu toru to miejsce przydzielono Dirkowi przez aklamację.

- To też nieprawda - zawołał z drugiego stolika Willie Tusk. - Stary Tyler Brock chciał tę lożę dla kompanii Brock i Synowie, nie? Nie skłonił czasem Dirka do wyścigów jeden na jednego na pierwszych zawodach?

- E, to tylko legenda.

- Ci dwaj ścigali się ze sobą, tai-pan? - zapytała Casey.

- Mieli zamiar. Tylko że podobno wcześniej nadszedł tajfun. W każdym razie Culum nie zgodził się na taki wyścig i loża należy do nas. Dopóki istnieje tor.

- I zupełnie słusznie - powiedział z uśmiechem McBride. - Noble House należy się najlepsze miejsce.

Od pierwszych wyborów zarządzających, panno Casey,

Struanowie dostali też stałą pozycję zarządzającego-gos-

podarza. Także poprzez aklamację. No, muszę iść.

- Spojrzał na zegarek i uśmiechnął się do Dunrossa.

- Tai-pan, czy udzielasz pozwolenia - rzekł oficjalnym tonem - na rozpoczęcie pierwszej gonitwy?

Dunross odpowiedział mu szerokim uśmiechem.

- Udzielam.

McBride odszedł w pośpiechu. Casey spojrzała na Dunrossa.

- Muszą cię prosić o pozwolenie?

- Taki zwyczaj. - Dunross wzruszył ramionami. -

Myślę, że to dobrze, gdy jest ktoś, kto powie „w porządku, zaczynamy”, no nie? Obawiam się, że w przeciwieństwie

do

Sir

Geoffreya

poprzedni

gubernatorowie

Hongkongu

nie

grzeszyli

punktualnością. Poza tym tradycja to dobra rzecz, daje ci poczucie kontynuacji, przynależności. I ochrony -

dodał i dokończył kawę. - Przepraszam was na chwilę, muszę załatwić parę spraw.

- Baw się dobrze! - powiedziała Casey. Podobał jej się jeszcze bardziej niż poprzedniego wieczoru. W tym samym czasie nadszedł Peter Marlowe i Dunross zatrzymał się.

- O, cześć, Peter. Jak tam Fleur?

- Dziękuję. Coraz lepiej.

- Wejdz. Zrób sobie drinka. Ja wrócę za chwilę. W

pierwszej gonitwie postaw na numer piąty, na Excellent Day. Do zobaczenia!

- Dziękuję, tai-pan.

Casey pokiwała do Marlowe'a, ale on jej nie zauwa-

żył. Wpatrywał się w przemawiającego do kilku osób na balkonie Greya.

- Peter, chodź i usiądź tutaj - zapraszała.

- O, cześć - ucieszył się.

- Miło cię widzieć. Z Fleur wszystko będzie w po-rządku.

- Tak, ona bardzo ci dziękuje za odwiedziny.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Jak dziewczynki?

- Dziękuję, dobrze. A co u ciebie?

Wspaniale. Tak się powinno oglądać wyścigi, no nie? - W łoży Struanów gościło na lunchu trzydzieści sześć osób. Podawano chińskie potrawy na ciepło albo, jeśli ktoś sobie życzył, gorące steki z warzywami.



Do tego wędzony łosoś, *hors d'oeuvres*, sery i różnego rodzaju sosy, a na koniec tort beżowy w kształcie Struan Building. Wszystko przygotowane we własnej kuchni. Do tego oczywiście szampany, najlepsze białe i czerwone wina oraz mocniejsze alkohole. - Będę musiała trzymać dietę przez najbliższe pięćdziesiąt lat.

- Nie żartuj. A jak interesy? Poczula na sobie jego badawczy wzrok.

- Dziękuję, dobrze, a co?

Nic. - Rzucił okiem na Greya.

- Czy mogę panu przedstawić Petera Marlowe'a?

To pan Hiro Toda z Jokohamy. Peter jest pisarzem i scenarzystą z Hollywood. - Nagle przypomniała sobie jego powieść i czekała na wybuch. Obydwaj mężczyźni zawahali się. Toda grzecznie podał

wizytówkę, Peter Marlowe zrewanżował się swoją. Po chwili podał mu rękę.

- Miło mi. - Japończyk uścisnął mu dłoń.

- To dla mnie prawdziwy zaszczyt, panie Marlowe.

- Jak to?

- Nieczęsto spotyka się sławnych pisarzy.

- Ja nie jestem sławny.

- Zbyteczna skromność. Bardzo mi się podobała pańska książka.

- Czytał pan? - Peter Marlowe zdziwił się. - Naprawdę? - Usiadł i przypatrzył się o wiele niższemu od siebie Hiro Todzie. Japończyk był ubrany w niebieski garnitur, na krześle wisiał jego aparat fotograficzny. Obydwaj mieli mniej więcej tyle samo lat.

- Gdzie pan ją kupił?

- W Tokio. Mamy wiele angielskich księgarni. Niestety, czytałem wydanie broszurowe, bo w twardej oprawie w ogóle nie sprzedawano. To bardzo pouczająca powieść.

- Tak? - Peter Marlowe wyjął papierosy i poczęstował go. Toda wziął.

- Palenie szkodzi wam obydwu - odezwała się Casey zabawnie marszcząc nos.

Uśmiechnęli się.

- Niedługo rzucimy - zapewnił Peter Marlowe.

- Jasne.

- Był pan w piechocie? - zapytał Marlowe Todę.

- Nie, w marynarce. Pływałem na niszczycielach.

Brałem udział w bitwie na Morzu Koralowym w czterdziestym drugim. Potem jako podpułkownik o Midway, a potem jeszcze na Guadalcanal. Dwa razy tonąłem, ale wyszedłem cało. Tak, miałem szczęście.

Chyba więcej niż pan.

- Obydwaj żyjemy i obydwaj jakoś się trzymamy.

- Tak, jakoś, panie Marlowe. Zgadza się. Wojna to dziwny sposób na życie. - Pyknął dymem z papierosa.

- Chciałbym kiedyś, jeśli to pana nie zrani, porozmawiać na temat Changi, o tym doświadczeniu i o naszej wojnie.

-

Dobrze.

Wrócę tutaj za kilka dni - zapowiedział Toda. -

Zatrzymuję się w „Mandarynie”. Może umówimy się na lunch albo na kolację?

- Oczywiście. Zadzwoń. Jeśli nie teraz, to może następnym razem. Jak będę w Tokio.

- Nie musimy rozprawiać o Changi, jeśli pan sobie nie życzy - podjął po chwili przerwy Japończyk.-

Chciałbym po prostu lepiej pana poznać. Anglia i Japonia mają ze sobą wiele wspólnego.

Przepraszam

na chwilę, muszę postawić pieniądze. - Ukłonił się grzecznie i odszedł. Casey napiła się kawy.

- Trudno ci było zachować uprzejmość?

- Nie, Casey. Wcale nietrudno. Teraz ja i każdy Japończyk jesteśmy sobie równi. I Japończyków, i Koreańczyków nienawidziłem wtedy, gdy oni mieli kule i bagnety, a ja nie. - Otarł pot z czoła i uśmiechnął się. -

*Mahlu*, nie spodziewałem się go tu spotkać.

- *Mahlu*? To po kantońsku?

- Po malajsku. Znaczy „wstyd”. - Uśmiechnął się do siebie. Był to skrót od *puki mahlu*. *Mahlu* - wstyd; *puki*

- Złota Zatoka. W Malajczykach ta część ciała kobiety wywoływała wszystkie uczucia: głód, smutek, spokój, porywczosć, wahanie, wstyd, złość.

-

Nie musisz się wcale wstydzić, Peter - zapewniła nie wiedząc, o co chodzi. - I tak się zdziwiłam, że rozmawiasz z jednym z nich po tym horrorze.

Naprawdę podobała mi się twoja książka. Dziwne, że on też to czytał.

- Tak, również mnie tym zaskoczył.

- Mogę ci zadać pytanie?

- Słucham.

- Mówiłeś, że Changi to genesis. Co miałeś na myśli?

Westchnął.

- Changi każdego zmieniło, bez przerwy dewaluo-owało wartości. Na przykład nieczułość na śmierć. Widzieliśmy jej za dużo, żeby mieć takie samo podejście jak inni. Należymy do generacji dinozaurów, z której przetrwało tylko kilku osobników. Przypuszczam, że każdy, kto idzie na jakąkolwiek wojnę, widzi życie inaczej, gdy wróci w jednym kawałku.

- A co ty widzisz?

- Wiele niedorzeczności uznawanych za sprawy ostateczne. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak głupie jest „normalne, cywilizowane” życie. My, byli changiści, mamy wielkie szczęście, bo wyraźnie widzimy, o co w życiu naprawdę chodzi. To, co ciebie przeraża, dla mnie jest niczym, a to, co przeraża mnie, ciebie śmieszy.

-

Na przykład co?

Uśmiechnął się.

- Wystarczy już o mnie i o mojej karmie. Mam pewniaka na pierwszą... - przerwał. - Dobry Boże, kto to jest?

Casey roześmiała się.

- Riko Gresserhoff. Japonka.

- A który to pan Gresserhoff?

- Ona jest wdową.

-

- Hurra! - Obserwowali, jak Japonka idzie przez lożę na taras.

- Ani się waż, Peter!

- Jestem pisarzem! - powiedział patetycznym tonem. - Chodzi mi o poszukiwanie materiału.

- Bzdury!

- Masz rację.

- Peter podobno pierwsza książka jest zawsze auto-biograficzna. Kim ty jesteś w swojej powieści?

- Oczywiście bohaterem.

- Królem? Amerykańskim handlarzem?

- Nie. Ależ skąd. Wystarczy też już o mojej przeszłości.

Pomówmy o tobie. Na pewno wszystko u ciebie w porządku? - Próbował wyczytać prawdę z jej oczu.

- O co ci chodzi?

- Chodzą plotki, że płakałaś w nocy.

- Nonsens.

- Na pewno?

Popatrzyła na niego, wiedziała, że on czyta w jej sercu.

Oczywiście, że wszystko u mnie dobrze. - Zawahała się.

- Mogę mieć tylko pewną prośbę. W odpowiedniej chwili.

- Jestem w loży McBride'a. - Zmarszczył brwi. - Jeśli chcesz, możesz mnie odwiedzić. - Poszukał wzrokiem Riko. Zrobiło mu się nieprzyjemnie. Rozmawiała z Robinem Greyem i Julianem Broadhurstem. - Zdaje się, że nie mam dzisiaj najlepszego dnia - mruknął. -

Zobaczymy się później, idę postawić.

- Jaki jest ten twój pewny typ?

- Siódemka. Winner's Delight.

- Winner's Delight wygrał w pierwszej gonitwie o pół

długości z faworytem - Excellent Day. - Casey zadowolona z siebie stanęła w kolejce dla tych, którzy wygrali. Czowała na sobie zazdrosne spojrzenia ludzi spacerujących po korytarzu za lożami. Niektórzy już ob-stawiali podwójny porządek. Aby wygrać, należało wytypować pierwsze dwa konie w dowolnej kolejności w drugiej i piątej gonitwie - najważniejszej tego dnia. Wypłaty z podwójnych zakładów będą bardzo duże, chodzi bowiem o wytypowanie aż czterech koni. Minimalna stawka zakładu wynosiła pięć dolarów hongkongijskich.

Górnej kwoty nie określono. -Linc,

dlaczego?

-

zapytała przed samą gonitwą, obserwując wychodzące na tor konie.

- Popatrz na tablicę. - Elektroniczne cyfry pokazywały, ile pieniędzy postawiono na każdego konia. -  
Zobacz, ile tu zainwestowano

pieniędzy.

Ponad

trzy

i

pół

miliona. Wychodzi po dolarze na każdego mieszkańca Hongkongu. To chyba najbogatszy tor na świecie! Tu mają świra na punkcie zakładów!

Gdy konie wystartowały, po trybunach przeszedł

pomruk. Casey spojrzała na Linca i uśmiechnęła się.

- Dobrze się bawisz?

- Jasne, a ty?

- Też.

Oczywiście, że się dobrze bawię, pomyślała stojąc w kolejce po pieniądze. Wygrałam!

- Witaj, Casey, też wygrałaś?

- O, cześć, Quil an, tak, trafiłam. - Wyszła ze swojego miejsca w kolejce i stanęła koło Gornta. -

Postawiłam tylko dziesięć dolarów, ale wygrałam.

- Nieważne ile, ważne, że wygrałaś. - Gornt pokręcił z uznaniem głową. - Ładny masz kapelusz.

- Dziękuję. - Dziwne, że Quil an i Ian zauważyli to od razu. Cholerny Linc!

- To dobry znak, jeśli na nowym dla siebie torze wygrywa się w pierwszej gonitwie.

- E, Peter Marlowe powiedział mi, kto wygra.

- A, Marlowe. - Lekko zmrużył oczy. - Jutrzejsza wycieczka aktualna?

- Tak, tak. A co z pogodą?

- Popłyniemy, nawet jeśli będzie padało.

- Świetnie. Na nabrzeżu punktualnie o dziesiątej. Gdzie twoja łoża? - Twarz mu się zmieniła, ale starał się natychmiast zapanować nad jej wyrazem, by nie myślała, że to pytanie wytrąciło go z równowagi.

- Nie mam łoży. Nie jestem zarządzającym. Jeszcze nie jestem. Mam za to stałe miejsce w łoży Blacs i od czasu do czasu wypożyczam ją na przyjęcia. Na końcu korytarza. Przyjdiesz? Blacs to doskonały bank i...

- Ale nie tak jak Victoria - dociał przechodząc Johnjohn, - Nie wierz w ani jedno jego słowo, Casey.

Moje gratulacje! Dobry *dżos* wygrać w pierwszej. Na razie.

Casey popatrzyła za nim zadumana.

- Quiłlan, co znaczą te szturmy na banki? - zapyta-

ła. - Nikt się nimi nie przejmuje i wszyscy zachowują się,

jakby nie było ani ich, ani krachu na giełdzie.

Gornt świadom, że ludzie przysłuchują się ich rozmowie, roześmiał się.

- Dziś mamy wyjątkowy dzień, dzień wyścigów. Nie ma się co przejmować tym, co będzie jutro czy pojutrze.

*Dżos*. Giełdę otwierają dopiero w poniedziałek o dziesiątej, a w przyszłym tygodniu wiele się wyjaśni.

Wszyscy Chińczycy, którzy wypłacili pieniądze, przyszli tutaj, żeby zagrać. Twoja kolej, Casey.

Zabrała pieniądze. Piętnaście do jednego. Sto pięć-

dziesiąt dolarów.

- Brawo! - zawołał Gornt zgarniając stosik czerwonych banknotów. Piętnaście tysięcy. - Wspaniale.

- Najgorsza gonitwa, jaką widziałem - odezwał się zgorzkniałym głosem Amerykanin. - Wspaniale to by było, gdyby wyrzucono dżokeja.

- O, witam, panie Biltzmann, dzień dobry panie Pugmire. - Casey pamiętała ich z przyjęcia, na którym wybuchł pożar. - Dlaczego?

Biltzmann ustawił się w kolejce.

- W

Stanach

już

dawno

wyciągnięto

by

konsekwencje. Na ostatniej prostej dżokej Excellent Day popuścił lejce. Wszystko musiało być ukartowane.

On się wcale nie starał.

Ci, którzy o tym wiedzieli, uśmiechnęli się w duchu.

Wśród trenerów i dżokejów szeptało się, że Excellent Day nie wygra, a być może zwycięży Winner's Delight.

- Ależ, panie Biltzmann - odezwał się Dunross, który przechodząc usłyszał rozmowę i zbliżył się niezauważenie. - Gdyby dżokej się nie starał albo gdyby coś zostało wcześniej ustalone, zarządzający-gospodarze na pewno już by się tym zajęli.

Dla amatorów być może wszystko było w porządku, ale na każdym profesjonalnym torze taki dżokej już byłby skończony. Cały czas uważnie mu się przyglądałem. - Odszedł.

- Pug - zaczął spokojnie Dunross - zauważyłeś, aby dżokej postępował nie tak jak trzeba? Ja nie widziałem gonitwy.

- Nie, nic nie zauważyłem.

- A ktoś inny? - Stojący obok ludzie pokręcili przecząco głowami.

- Mnie się wydaje, że wszystko było w porządku

- powiedział ktoś. - Jak zwykle.

- Żaden z zarządzających nie protestował. - Dunross zauważył dużą ilość pieniędzy w rękach Gornta.

- A co ty o tym sądzisz, Ouillan?

- Nic. Ale powiem ci, że zachowanie tego frajera mnie denerwuje. Nie sądzę, żeby się nadawał do naszego klubu. - Wtedy zauważył Robina Greya zbliżającego się do okienka, aby obstawić następną gonitwę. - Przepraszam. - Grzecznie się uklonił i odszedł. Casey była zdziwiona miną Dunrossa, gdy patrzył na Gornta chowającego gotówkę do kieszeni.

- Czy Biltzmann... Czy on mógł mieć rację? - zapytała nerwowo.

- Oczywiście. - Dunross skupił na niej całą swą uwagę. - Wcześniejsze ustalenia wszędzie się zdarzają. Ale rzecz nie w tym. Chodzi o to, że żaden z trenerów, dżokejów ani zarządzających nie zgłosił

zastrzeżeń. - Na jego skroni pulsowała mała żyłka. -

Nie wynik jest najważniejszy. - Nie, myślał, tu chodzi o cholerne zasady. Mimo to zachowaj zimną krew.

Musisz być spokojny i opanowany przez cały weekend.

Cały dzień nic, tylko kłopoty. Jedyne przyjemne moment to spotkanie z Riko. Za to ostatni list od Alana Medforda przygnębił go. Nadal trzymał go w kieszeni.

Było w nim napisane, że jeśli jeszcze nie zniszczył

oryginalnych raportów, to powinien podgrzać kilka wyznaczonych

stron,

aby

odczytać

informację

zapisaną niewidocznym atramentem. Wiadomość tę ma przekazać szefowi MI-6 Edwardowi Sindersonowi do rąk własnych. A kopię dać Riko Anjin w zalakowanej kopercie.

Jeśli tak postąpię, będę musiał się przyznać, że dałem mu fałszywe raporty, analizowałem znużony tą konspiracją, listą szpiegów i instrukcjami AMG. A niech to, Murtagh przyjdzie dopiero później, Sir Geoffrey nie może zadzwonić do Londynu w sprawie Drepczącego i Briana Kwoka przed czwartą,



Jezu, a teraz jeszcze taki bydlak nazwał nas amatorami... całkiem zresztą słusznie. Założę się, że Quil an znał zwycięzcę przed gonitwą.

Nagle palnął się w czoło.

- Casey, skąd wiedziałaś, na kogo postawić? Trafiłaś?

- Peter mi powiedział. - Mina jej zrzęda. - Myślisz, że słyszał o jakimś oszustwie?

- Gdybym tak myślał, gonitwa zostałaby odwołana Teraz już się nic nie da zrobić. Biltzmann... - Nagle wpadł na wspaniały pomysł.

-

Co się stało?

Dunross wziął ją pod ramię i poprowadził na bok.

- Czy zgodziłabyś się na odrobinę hazardu, żeby zarobić pieniądze na ustawienie się? - zapytał.

- Oczywiście, Ian, jeśli to tylko legalne. Co bym musiała postawić? - zapytała koncentrując uwagę.

- Wszystko, co masz w banku, dom w Laurel Canyon, udziały w Par-Con w zamian za dwa do czterech milionów w trzydzieści dni. Co ty na to?

Serce mocniej jej zabiło, zapaliła się ogromnie do tego pomysłu.

- Zgoda - powiedziała i natychmiast pożałowała. -

Jezu!

- Dobrze. Poczekaj chwilkę. Pójdę po Bartletta.

- Czekaaj, czy on też ma w tym brać udział? Co to w ogóle za plan?

- Bardzo dobra okazja do zrobienia interesu. Tak, Bartlett jest tu bardzo ważny. To zmienia twoje zdanie?

- Nie - odparła niespokojnym głosem. - Ale mówiłam, że chcę zdobyć pieniądze na ustawienie się... poza Par-Con.

Nie zapomniałem o tym. Poczekaj. - Pośpieszył do swojej loży, przyprowadził Bartletta i rozdając ukłony na lewo i prawo poprowadził ich do kuchni Struanów. W

kuchni panował hałas i zaduch. Nikt na nich nie zwracał

uwagi. Przeszli do małego, dźwiękoszczelnego pokoiku z czterema fotelami, stolikiem i telefonem. - Kazał to zbudować mój ojciec. Na wyścigach zawiera się dużo interesów. Siadajcie. - Spojrzał na .

Bartletta. -

Proponuję wam interes nie związany z Par-Con ani z naszą umową. Jesteś zainteresowany?

- Jasne. Jakaś hongkongska sztuczka?

- To jak najbardziej uczciwy interes.

- Dobrze, słuchamy.

- Zanim wam powiem, chcę ustalić pewne zasady. To moja zagrywka, wy dwoje jesteście tylko udziałowcami ale macie czterdzieści dziewięć procent zysku do równego podziału. Może być?

- Chciałbym znać cały plan - powiedział ostrożnie Bartlett.

- Dalej: wpłacisz na wskazane przeze mnie konto w Banku Szwajcarskim dwa miliony. Najpóźniej w poniedziałek o dziewiątej rano.

- W zamian za co?

- Za czterdzieści dziewięć procent zysku.

- Na czym?

- Gorntowi wpłaciłeś dwa miliony bez żadnej umowy, bez pieczęci, jedynie w zamian za potencjalny zysk.

Bartlett uśmiechnął się.

- Od kiedy wiesz?

- Już mówiłem, że w Hongkongu nie ma tajemnic.

- Casey, orientujesz się, o co tu chodzi?

- Nie, Linc. - Casey zwróciła się do Dunrossa: - Na czym polega ten interes, Ian?

- Najpierw chciałbym wiedzieć, czy dostanę do swobodnego rozporządzania dwa miliony. -

- Jaki przewidujesz zysk?

- No cóż, cztery do dwunastu milionów wolnych od podatku.

- Wolnych od podatku?

- Od hongkongskiego, ale w Stanach, jeśli będziecie chcieli, też wam pomożemy go uniknąć.

- Cztery do dwunastu milionów ogółem czy tylko naszego udziału?

- Tylko waszego udziału.

-

Duży zysk jak na coś absolutnie legalnego.

Zapadła cisza. Dunross czekał dając im chwilę do namysłu.

-

A więc dwa miliony bez żadnego zabezpieczenia?

- odezwał się po jakimś czasie Bartlett.

- Tak. Ale mówiłem, że możesz je wyłożyć lub nie.

- Czy Gornt ma z tym coś wspólnego?

- Absolutnie nic. Ani Gornt, ani Rothwell-Gornt, ani Par-Con, ani też nie ma to związku z nami, ani z umową między Par-Con a Struanami. To zupełnie inna rzecz. Daję wam słowo. I przyrzekam, że nie powiem o tych dwóch milionach Gorntowi, ani o tym, że jesteście moimi wspólnikami. O, a przy okazji, wiem,

że jak jeden mąż postawiliście na moją krótką sprzedaż.

-

Uśmiechnął się. - To zresztą dobry pomysł.

- Czy te dwa miliony pokryją wszystkie koszty?

- Nie, ale ja nie mam w tej chwili, jak wiecie, tyle gotówki. W przeciwnym razie wcale bym się do was nie zwracał.

- A dlaczego wybrałeś nas? Przecież dwie bańki bez problemu wyłożyłby każdy z tutejszych znajomych.

- Owszem, ale dałem się skusić na was. Aha, właś-

nie, zostaniecie przetrzymani do wtorku do samej pół-

nocy - powiadomił ich obojętnym tonem. - Tym przedsięwzięciem chcę wam pokazać, o ile lepsi jesteśmy od Rothwell-Gornt, przekonać, że nasze działania są bardziej dramatyczne i ekscytujące. Ty jesteś hazardzistą takim samym jak ja. Mówią na ciebie Jeździec Bartlett, a ja jestem tai-panem Noble House.

Mogłeś zaryzykować dwa miliony z Gorntem, więc dlaczego nie ze mną?

Bartlett popatrzył na Casey. Nie dała mu żadnego znaku. Wiedziała, że Dunross zwrócił się do nich ze względu na nią.

-

Skoro ty ustalasz reguły, Ian, to powiedz mi, dlaczego, jeśli ja wykładam dwa miliony, to Casey i ja mamy mieć taki sam zysk?

- Pamiętam, co powiedziałeś kiedyś o pieniądzach na ustawienie się. Ty je masz, a ona nie, Dzięki temu interesowi Casey je zdobędzie.

- A dlaczego tak się troszczysz o Casey? Chcesz nas poróżnić?

- Gdyby to było możliwe, nie musiałbym dawać wam przy tym zarobić. Casey to, jak kiedyś podkreśliłeś, twoja prawa ręka. Najwyraźniej jest równie ważna dla Par-Con... i należy jej się.

- Czy poniesie jakieś ryzyko?

- Postawi swój dom, całe oszczędności, udziały w Par-Con, wszystko, co ma. W przeciwieństwie do ciebie. Prawda?

- Jasne - Casey skinęła głową. Bartlett spojrzał na nią ostro.

- Zdaje się, że mówiłaś, że nic o tym nie wiesz.

- Parę minut temu Ian zapytał mnie, czy nie po stawię wszystkiego, żeby zdobyć pieniądze na ustawienie

się. - Przełknęła ślinę. - Zgodziłam się i już żałuję.

Bartlett zastanowił się.

- Casey, powiedz jasno: chcesz tego czy nie?

- Chcę.

- W porządku. Dobrze, tai-pan, kogo załatwimy?

- Dziewięciokaratowy Czu - kulis noszący czasem złoto w Victorii i ojciec dwóch synów oraz dwóch córek: Lily Su, przyjaciółki Havergilla, a także Wisterii, kochanki Johna Czena, której *dżos* sprawił, że została zdeptana przed Ho-Pak w Aberdeen - stał w kolejce do okienka, żeby postawić pieniądze.

- Tak, słucham, starcze - odezwał się do niego kasjer.

Kulis wyciągnął zwitek banknotów. Były to wszystkie pieniądze, jakie miał i jakie zdołał pożyczyć. Zostawił

tylko tyle, aby móc kupić sobie trzy porcje Białego Proszku potrzebne mu do przetrwania nocnej zmiany.

- Podwójny porządek, na bogów, ósemka i piątka w drugiej gonitwie, a siódemka i jedynka w piątej.

Kasjer z wprawą przeliczył banknoty. Siedemset dwadzieścia osiem dolarów hongkongijskich. Nacisnął

guziki z tymi numerami i sprawdził pierwszy kupon.

Zgadzał się: druga gonitwa - piątka i ósemka, piąta -

siódemka i jedynka. Uważnie odliczył sto czterdzieści pięć kuponów po pięć dolarów i wydał trzy dolary reszty.

- Szybciej, na bogów - popędzał następny w kolejce. -

Palce ci wpadły w Czarną Dziurę?

- Cierpliwości! - mruknął stary, czuł się słabo. - To poważny biznes! - Sprawdził skrupulatnie swoje kupony.

Pierwszy, ostatni i trzy wybrane na ślepo ze środka zgadzały się. Liczba kuponów także. Odszedł więc od okienka i rozpychając się wyszedł na powietrze. Odetchnął głęboko, nadal było mu niedobrze, ale poczuł się orzeźwiony. Aby oszczędzić pieniądze, całą drogę z nocnej zmiany przy budowie na Kotewal Road przeszedł

pieszo.

Jeszcze raz przejrzał kupony. Ósemka i piątka w tej gonitwie, siódemka i jedynka w piątej, najważniejszej. W

porządku, pomyślał chowając kupony do kieszeni.

Zrobiłem najlepiej, jak mogłem. Reszta należy do bo-gów.

Bolało go w piersiach, więc przepchał się do toalety i zaciągnął dymem z prażonego Białego Proszku.

Momentalnie odzyskał siły i znów wyszedł na dwór.

Druga gonitwa już trwała. Potrącając ludzi pośpieszył na widownię. Nie przejmował się rzucanymi za nim przekleń-

stwami. Konie znajdowały się po przeciwnej stronie toru, galopem przemierzyły ostatni zakręt i znalazły się na prostej. Mknęły do mety. Stary nie widział numerów.

- Kto prowadzi? - zapytał, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Słyszał okrzyki, gdy konie zbliżały się do mety, i nagle zamilknięcie, gdy zwycięzca przebiegł końcową linię.

- Kto wygrał? - dopytywał się Dziewięciokaratowy Czu.

Co za różnica - wymamrotał ktoś. - Nie mój! Lejcie, bogowie, na dżokeja!

- Nie mogę się doczytać na tablicy, kto wygrał.

- Nie widzisz, stary głupcze, że rozstrzygnie dopiero fotografia? Trzy konie przyjechały jednocześnie. Niech przeklną bogowie takie finisze! Musimy czekać.

- Ale numery... Jakie numery?

- Pięć, osiem i cztery... Lucky Court, mój koń! Pokaż kupon, synu ladacznicy! Na bogów, w drugiej wytypowałeś piątkę i ósemkę!

Czekali i czekali. Stary obawiał się, że zemdleje, więc odpłynął myślami do spraw przyjemniejszych. Na przykład poranna rozmowa z Czenem z Noble House. Trzy razy dzwonił, trzy razy służący odbierał i odkładał

słuchawkę. Wtedy powiedział, że mówi Wilkołak, i do telefonu podszedł sam Czen.

- Przepraszam, że podałem się za okrutnego prześladowcę twojego syna - wyjaśnił. - Ja nie jestem Wilkołakiem, Szlachetny Panie, o, nie. Jestem tylko ojcem ostatniej kochanki twojego syna Wisterii Su, do której napisał wydrukowany w gazetach list miłosny.

- Kłamstwo! Łzesz! Myślisz, że jestem tak głupi, żeby wierzyć każdemu, kto dzwoni? Kim jesteś?

- Nazywam się Hsi-men Su - skłamał. - Szlachetny Czen, istnieją jeszcze dwa listy. Pomyślałem, że będziesz sobie życzył odzyskać je, mimo że są to jedyne rzeczy, jakie pozostały nam po naszej zmarłej córce i twoim zmarłym synu, którego traktowałem jak własnego...

- Kłamstwo! Ta ulicznica nie dostała od mojego syna żadnego listu! Nasza cholerna policja wsadza szantażystów do więzienia. Co to ja jestem zidiociały pro-wincjusz? Może jeszcze utrzymujesz dziecko, które spłodził mój syn, co? No, co?

Dziewięciokaratowy Czu niemal odłożył słuchawkę.

Całą intrygę dokładnie przedyskutował z żoną, synami i Lily. Bez trudu znaleźliby dziecko, które mogliby za opłatą wypożyczyć.

-

Ja kłamię? Ja, który ciężko pracuję za małe pienią-

dze? Ja, który oddałem cnotliwą córkę twojemu synowi, aby została jego „jedyną miłością”? - Lily

kilka godzin uczyła go, jak poprawnie wypowiedzieć ostatni zwrot po angielsku. - Ja chcę tylko chronić twoje dobre imię!

Gdy

byliśmy zidentyfikować ciało córki, nie zająknęliśmy się ani słowem policji, która tak bardzo pragnie odnaleźć Wilkołaki! Niech bogowie przeklą synów ładacznic! A czy cztery gazety nie wyznaczyły już nagrody dla tego, który wskaże nazwisko autora listów, *heya*? Czyż to nie ucziwe, że zwracam się najpierw do ciebie, a nie po nagrodę do gazety, *heya*?

Cierpliwie wysłuchał inwektyw, które popłynęły przed rozpoczęciem negocjacji. Kilka razy obydwie strony udawały, że odkładają słuchawkę, ale żadna nie zerwała rozmów. Po jakimś czasie stanęło na tym, że jeśli fotokopia jednego z listów wysłana do Czenów Noble House zostanie uznana za prawdziwą, wtedy

„być może okaże się, że inne listy, Szlachetny Su, warte są małego *h'eung yau*”.

Dziewięciokaratowy Czu zachichotał. O, tak, pomy-

ślał zadowolony z siebie, Czen z Noble House sporo zapłaci, szczególnie jak przeczyta fragment o sobie.

Gdyby list został wydrukowany, Czen naraziłby się przed całym Hongkongiem na śmieszność, na zawsze straciłby twarz. Ile powinienem zażądać...

Nagły gwar, który wyrwał go z zadumy, sprawił, że omal się przewrócił. Serce mu mocniej zabiło, zaczął

szybciej oddychać. Spojrzał na odległą tablicę.

- Jakie numery wygrały? - zapytał i został zagłuszony przez jazgot. - Powiedz mi, jakie numery wygrały! -

zwrócił się do najbliższej stojącego człowieka.

- Na pierwszym ósemka, Korsarz, wałach Noble House. *Aiii ia*, nie widzisz jak go oprowadza tai-pan?

Za Korsarza płacą siedem do jednego.

- A drugi?!

- Piątka, Winsome Lady, trzy do jednego... Co ci się stało, stary? Przegrałeś?

Nie... nie... - Dziewięciokaratowy Czu odszedł

zataczając się z radości. Po jakimś czasie znalazł

skrawek wolnego miejsca na betonie i usiadł. Wtulił

głowę w ramiona, przyciągnął do siebie kolana i cieszył się z pierwszej części zwycięstwa. Ooo! Muszę teraz czekać!

A jak się okaże, że za długo, zażyję Biały Proszek i wieczorem do pracy zostanie mi tylko jedna porcja. O, skupcie się, bogowie! Początek już mamy za sobą!

Proszę, skoncentrujcie się na piątej. Siedem do jednego! O, bogowie...

Gdy Dunross zakończył rundę zwycięzcy, zebrali się gospodarze klubu i właściciele. Dunross oddał konia i pogratulował dżokejowi. Korsarz bardzo ładnie pobiegł. Pochwały i gratulacje nie miały końca. Dunross przyjmował je niezwykle naturalnie. Chciał pokazać światu, że jest zadowolony, spokojny, pewny siebie i zdaje sobie sprawę, że zwycięstwo w wyścigach to dobry omen, zwiastujący odwrócenie się złego losu.

Omen nabrałby dwukrotnie albo i trzykrotnie większego znaczenia, gdyby zwyciężyła Noble Star. Z dwoma końmi w podwójnym porządku daleko w tyle zostawiłby Gornta i jego zwolenników. A jeśli Murtaghowi się uda, jeśli dojdzie do wymiany Briana Kwoka na pieniądze, jeśli Zaciśnięta Pięść albo Lando Mata, albo Wu Cztery Palce...

-

Moje gratulacje, tai-pan!

Dunross spojrzał na ludzi stojących za poręczą.

- O, witam panie Czoj - rzekł rozpoznawszy Siódmego Syna Wu Cztery Palce. Podeszedł bliżej i uścisnął mu dłoń. - Postawił pan na Korsarza?

- Tak, sir, oczywiście. Zawszę stoję za Noble House!

Razem z wujkiem mamy podwójny porządek.

Pierwsza część już za nami, w piątej postawiliśmy na siódemkę i ósemkę. Wujek dziesięć tysięcy, a ja tygodniową pensję!

- Miejmy nadzieję, że wygramy, panie Czoj.

- Miejmy nadzieję - powtórzył młodzieniec z istic amerykańską swobodą.

Dunross uśmiechnął się i podeszedł do Trawkina.

- Na pewno Johnny Moore nie może pojechać na Noble Star? Nie chcę Toma Wonga.

Mówiłem ci, tai-pan, że bardziej wymiotuje niż pijany Kozak.



-  
Noble Star musi wygrać!

Trawkin zauważył, że tai-pan, patrząc na Korsarza, coś intensywnie kalkuluje w myślach.

- Nie, tai-pan, lepiej nie jedź sam. Będzie źle, źle i niebezpiecznie. Chryste, i jeszcze ta nawierzchnia!

- Od wyścigów zależy moja przyszłość. Także twarz Noble House.

- Wiem. - Ze złością walnął nahajką w klasyczne, stare bryczesy świecące się od ciągłego używania.

-

Wiem, że jesteś lepszy od pozostałych dżokejów, ale ta nawierzchnia...

- Nie mogę nikomu zaufać, Aleksiej. Nie mogę sobie pozwolić na błąd. - Zniżył głos. - Pierwsza gonitwa była ustawiona?

- Na pewno nie było żadnych środków dopingują-

cych, tai-pan. Ja nic o ty nie wiem. Policyjny lekarz wystraszył tych, co mieli zamiar spróbować.

- To dobrze, ale czy wcześniej ustalono wynik?

- Ja się tą gonitwą nie zajmowałem. Mnie interesują tylko te, w których biorą udział moje konie.

- Słusznie, Aleksiej. Zdaje się, że pozostali trenerzy są innego zdania.

- Słuchaj, tai-pan. Mam dla ciebie odpowiedniego dżokeja. Siebie. Ja pojedę na Noble Star.

Dunross zamyślił się. Spojrzał w niebo. Zrobiło się ciemniej niż poprzednio. Wkrótce zacznie padać, a przed deszczem jeszcze wiele do zrobienia. Ja czy Aleksiej. On ma sprawniejsze nogi i ręce i o wiele większe doświadczenie. Ale on bardziej troszczy się o konia niż o zwycięstwo.

- Zastanowię się.

- Wygram - zaakcentował rosyjski arystokrata, czując się winny z powodu umowy z Suslewem. -

Wygram, choćbym miał zajeździć Noble Star.

- Nie ma takiej potrzeby Aleksiej. Zależy mi na tym koniu.

Tai-pan, muszę coś omówić. Moglibyśmy spotkać się w niedzielę albo w poniedziałek? Powiedzmy, w Sinclair Towers?

- Dlaczego akurat tam?

- Zawrzemy tam umowę, chcę porozmawiać. Ale jeśli ci nie odpowiada, to innego dnia.

- Chcesz nas opuścić?

- Nie, nie, to nie to. Gdybyś tak znalazł chwilę czasu, tai-pan... Proszę.

- W porządku, ale nie dzisiaj, nie jutro ani nie w poniedziałek. Wyjeżdżam do Tajpej. Moglibyśmy się spotkać we wtorek o dziesiątej wieczorem, co ty na to?

- Doskonale. A więc we wtorek, dziękuję.

- Zejdę po następnej gonitwie.

Aleksiej powiódł wzrokiem za tai-panem. Miał ściś-

nięte gardło, czuł piekące, wstrzymywane łyzy. Bardzo lubił Dunrossa.

Powędrował wzrokiem do stojącego na trybunach Suslewa. Siłąc się na przypadkowość, podniósł dłoń z odpowiednią liczbą wyprostowanych palców. Jeden miał oznaczać dzisiaj, dwa niedzielę, trzy poniedziałek, a cztery wtorek. Miał dobre oczy i zrozumiał, że Suslew odebrał sygnał. *Materjebiec*, pomyślał. Zdrajca matuszki Rossiji i wszystkich Rosjan, on i to całe jego zasrane KGB! Przeklinam was w imieniu Boga, swoim i wszystkich Rosjan!

Ale to teraz nieważne! W ten czy inny sposób muszę doprowadzić do tego, żebym to ja dosiadał Noble Star!

Dunross skierował się do windy, odbierał gratulacje, zewsząd goniły go zazdrosne spojrzenia. Na górze czekali na niego Gavallan i deVille.

- Wszystko gotowe? - zapytał.

- Tak - odparł Gavallan. - Jest już Gornt i pozostali.

Co się szykuje?

- Chodźcie, to zobaczycie. A tak na marginesie, Andrew,

zamieniam

Jacques'a

z

Davidem

MacStruanem. Jacques przeniesie się na rok do Kanady, a David...

Twarz DeVille'a pojaśniała.

- O, dziękuję, tai-pan. Tak, bardzo dziękuję, Sprawię, że Kanada będzie przynosić ogromne dochody, obiecuję.

-

Jak przeprowadzicie zamianę? - zapytał

Gavallan.

- Najpierw Jacques pojedzie tam, czy David przyjedzie tutaj?

-

David zjawi się u nas w poniedziałek. Jacques, przekażesz wszystko Davidowi, a w przyszłym tygodniu

obydwaj pojedziecie do Kanady. Przez Francję, co?

Zabierzesz Susanne i Avril, do tej pory powinna już wydobrzeć. W Kanadzie nie ma na razie nic pilnego.

- Tak, *ma foi!* Tak, dziękuję, tai-pan.

- Cieszę się, że zobaczę Davida - stwierdził zamyś-

lony Gavallan. Bardzo go lubił, ale nadal głowił się nad powodami tej zamiany. Czy to znaczy, że Jacques odpadł w wyścigu o dziedzictwo tytułu tai-pana? Czy będzie się liczył David? Czy zmieni się jego pozycja? I czy w ogóle w poniedziałek będzie jeszcze co dziedziczyć? Ciekawe, jak tam Kathy?

*Dżos*, myślał. Co ma być, to będzie. A niech to wszystko diabli...

- Idźcie pierwsi, ja zabiorę ze sobą Phillipa. - Skręcił

do loży Czenów. Zgodnie ze starym zwyczajem, honorowy

doradca

zostawał

automatycznie

zarządzającym klubu. Może to już ostatni rok.

Dunrossa naszła smutna refleksja. Jeśli Phillipowi nie uda się zdobyć wsparcia od Wu Cztery Palce, od Lando Maty albo od Zaciśniętej Pięści, to w niedzielę o północy zostanie zwolniony z funkcji.

- Witaj, Phillip - powiedział przyjaznym tonem, uśmiechając się do pozostałych gości w loży. -

Jesteś gotów?

- Tak, tai-pan - Phillip Czen wyglądał staro. -

Gratuluje zwycięstwa.

- Tak, tai-pan, cudowny znak, wszyscy modlimy się o piątą! - zawołała Dianne Czen. Siedzący obok niej Kevin powtórzył słowa matki.

- Dziękuję - odparł Dunross. Był pewien, że Phillip opowiedział Dianne o ich spotkaniu. Miała na głowie kapelusz z ptasimi piórami, obwieszona była biżuterią.

Na korytarzu zatrzymali się na chwilę.

- Załatwiłeś coś, Phillip?

- Rozmawiałem... ze wszystkimi... Spotkają się jutro rano...

- Gdzie? W Makau?

- Nie, tutaj - Phillip zniżył głos. - Przepraszam... za wszystko, co wyrządził mój syn... Bardzo mi przykro -

wyznał szczerze.

- Przyjmuję przeprosiny. Gdyby nie twoja beztroska, nigdy nie byłibyśmy tak osłabieni. Jezu Chryste, jeśliby nasze zestawienia bilansowe za ostatnie lata i strukturę korporacji dostał Gornt, to znaleźlibyśmy się na skraju przepaści.

- Mam pomysł, tai-pan, w jaki sposób wydobyć nasz... Noble House z tarapatów. Może moglibyśmy się spotkać na chwilę po wyścigach?

- A przyjdziecie z Dianne wieczorem na drinka?

-

Tak... Mogę zabrać Kevina?

Dunross lekko się uśmiechnął. Spadkobierca.

- Oczywiście. Chodźmy.

- Po co to wszystko, tai-pan?

- Zobaczysz. Proszę cię. Nic nie mów, nic nie rób, kiwaj tylko głową i zgadzaj się ze mną. Rób to z wielkim przekonaniem, a kiedy wyjdę, chodź za mną, okazuj dobry humor. Jeśli upadniemy, najpierw upadnie Dom Czenów! - Skreślił do loży McBride'a.

Natychmiast zaczęły się gratulacje, padły też opinie, że to szczęśliwy *dżos*.

- Dobry Boże, tai-pan - westchnął McBride. - Będzie wspaniale, jeśli piątą wygra Noble Star.

- Pilot Fish pokona Noble Star - od barku odezwał

się z naciskiem Gornt. Popijał drinka z Jasonem Plummem. - Stawiam dziesięć tysięcy, że wygra z twoją klaczą.

Dokoła rozlegały się szepty trzydziestu zaproszonych gości. Bartlett i Casey wrócili od Petera Marlowe'a. W loży panowała atmosfera euforii i rosło zaufanie do Dunrossa.

- Jak leci, Dunstan? - zapytał Dunross. Nie zwracał

uwagi na Casey i Bartletta, koncentrował się na wysokim, bardziej rumianym niż zwykle mężczyźnie z po-dwójną whisky w dłoni.

- Dziękuję?, Ian. Korsarz zniweczył mój podwójny porządek. Stawiałem na Lucky Court.

Pomieszczenie wielkością nie ustępowało loży Dunrossa, choć wystrój był o wiele mniej interesujący.

Niemniej śmietanka hongkongska była równie wyśmienita jak ta zgromadzona u tai-pana. Niektórych przed chwilą zaprosili Gavallan i McBride w imieniu Dunrossa. Byli Lando Mata, Holdbrook - makler Struanów, Sir Luis Basilio - szef giełdy, Johnjohn, Havergill, Souther-by - z Blacs, Richard Kwang, Pugmire, Biltzmann, Sir Dunstan Barre, młody Martin Haply z „China Guardian” i Gornt. Dunross spojrzał na niego.

- W drugiej gonitwie też wygrałeś?

- Nie. Nie obstawiałem. Po co to wszystko, Ian? -

Obecni słuchali z uwagą słów Gornta. - Chcesz coś ogłosić?

- Tak, chyba grzeczność nakazuje, abyś ty się dowiedział, tak samo i inne ważne osobistości. -

Dunross

odwrócił się do Pugmire'a. -Pug, Noble House oficjalnie staje do walki z American Superfoods o twoje H. K.

General Stores.

Zapadła cisza, wszyscy wpatrywali się w Dunrossa.

Pugmire zbladł.

- Słucham?

- Proponujemy o pięć dolarów za akcję więcej niż Superfoods, przebijamy ich też oferując trzydzieści procent w gotówce, siedemdziesiąt procent w akcjach.

W ciągu trzydziestu dni.

- Chyba oszalałeś! - wybuchnął Pugmire. Czyż nie pytałem o tę transakcję was wszystkich, chciał krzyknąć, ciebie też? Czy nie wyraziliście zgody lub przynajmniej nie zgłosiliście wszyscy sprzeciwu? Czy tak się załatwia poważne sprawy? Na wyścigach? -

Nie możesz!

- Już to zrobiłem.

- Na razie, Ian - odezwał się ochryplym głosem Gornt - to złożyłeś tylko oświadczenie. Jak masz zamiar zapłacić? Obojętnie czy w trzydzieści czy trzysta dni.

Dunross prześlizgnął się wzrokiem po jego twarzy. -

Przetarg jest publiczny. Zgromadzimy pieniądze w trzydzieści dni. Pug, w poniedziałek o wpół do dziesiątej dostaniesz dokumenty. Także zaliczkę w gotówce.

W jednej chwili zaczęły się rozmowy i komentarze, zebrani zaczęli się zastanawiać, w jaki sposób takie posunięcie wpłynie na każdego z nich. Johnjohn i Havergill wściekali się, że Dunross nie skontaktował

się w tej sprawie z nimi, inny bankier - Southerby z Blacs, który zajmował się przejęciem General Stores przez Superfoods, również był wytrącony z równowagi.

Jednak pozostali bankierzy, także Richard Kwang, rozważali różne możliwości: jeśli giełda się ustabilizuje, a akcje Struanów wrócą do poprzedniej ceny, to oferta Dunrossa przyniesie wiele korzyści obu stronom.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że kierownictwo Struanów ożywi bogaty, ale dość zastały *hong*, natomiast taki nabytek w niezmiernym stopniu wzmocni Noble House i podniesie ich roczne dywidendy o co najmniej dwadzieścia procent. Oprócz tego cały zysk pozostanie w Hongkongu i nie będą musieli tolerować u siebie obcego. Ściśle mówiąc Biltzmann.

O, mój Boże, myślał Barre z podziwem i odrobiną zazdrości o takim posunięciu Iana. Bez żadnych wcześniejszych pogłosek, że rozważy rzecz nie do pomyślenia, bez uprzedzenia kogokolwiek, ogłasza swoją ofertę na wyścigach i kto kupił jego akcje po minimalnej cenie, po przeprowadzeniu jednej rozmowy telefonicznej

zdobywa

fortunę.

Oczywiście

w

poniedziałek akcje General Stores pójdą w górę. Tylko, jak do diabła, udało się Ianowi i Havergillowi utrzymać to wszystko w tajemnicy. Chryste, gdybym wiedział, mógłbym nieźle zarobić. Nadal mogę! Plotki o tym, że Victoria nie podtrzyma Struanów musiały być bzdurą...

Chwileczkę, myślał Sir Luis Basilio, czy nie kupowaliśmy sporego pakietu General Stores dla jakichś podstawionych osób? Dobry Boże, czy to znaczy, że tai-pan wszystkich nas przechytrzył?

Madonna, chwileczkę, a co z krachem na giełdzie?

Co

z

gotówką,

którą

będą

musieli wyłożyć? Co...

Nawet Gornt gorączkowo rachował w myślach i szalał ze złości, że sam nie wpadł na pomysł takiej zagrywki. Wiedział, że to dobra oferta, właściwie nawet doskonała, ale nie w tej chwili, Ian nie zbierze tyle pieniędzy. Nie zdoła...

- Tai-pan, czy możemy ogłosić to w prasie? - zapytał Martin Haply z kanadyjskim akcentem. Z trudem panował nad głosem.

- Oczywiście, panie Haply.

- Mogę zadać kilka pytań?

- Zależy jakich - odparł swobodnie Dunross. Patrzył

w świdrujące go piwne oczy z rozbawieniem. Moglibyśmy przyzwycząić się do tego cholernego młodziaka w rodzinie. Jeśli potrafi zdobyć sobie zaufanie Adryon.

- Słucham.

- To pierwsza propozycja konkurująca z Superfoods. Mogę zapytać, dlaczego przedstawicie ją akurat teraz?

- Struanowie nigdy nie bali się innowacji. Uważamy, że chwila jest najodpowiedniejsza.

- Uważasz tai-pan, że sobota...

- Mamy umowę - przerwał zachrypniętym głosem Biltzmann. - Wszystko już ustalone, nie, Dickie?

- zwrócił się do Pugmire'a.

- Wszystko było ustalone, panie Biltzmann - powiedział szorstko Dunross. - Ale my występujemy z kontrpropozycją. Wszystko tak jak w Stanach, zgodnie z amerykańskimi zasadami. Chyba nie ma pan nic przeciwko temu? Oczywiście my jesteśmy amatorami, ale uczymy się od fachowców. Dopóki nie odbyło się zebranie akcjonariuszy, nic nie jest zakończone. Takie jest prawo, czyż nie?

- Tak, ale... ale jednak wszystko było ustalone!

- Wysoki siwowłosy mężczyzna znów zwrócił się do Pugmire'a. Ze zdenerwowania prawie odjęło mu głos.

- Mówiłeś, że wszystko załatwione.

-

Cóż, zgodzili się dyrektorzy - rzekł nerwowo Pugmire, świadom, że słuchają go wszyscy, a szczególnie

Haply. Z jednej strony podobała mu się oferta, a z drugiej, złościł się, że nie wiedział nic wcześniej i nie mógł kupić dużej liczby akcji. - Ale, oczywiście, eee, umowa musi być ratyfikowana na piątkowym zebraniu akcjonariuszy... Nie mieliśmy pojęcia, że... eee... Ian...

eee... Chuck, nie uważacie, że to nie najlepsze miejsce do dyskusji...

- Zgadzam się - rzekł tai-pan. - Ale w tej chwili nie ma właściwie nad czym dyskutować. Oferta złożona.

A przy okazji, okres twojego zatrudnienia wydłużałby się z pięciu do siedmiu lat i na ten sam czas dostałbyś miejsce w radzie Struanów.

Pugmire osłupiał.

- To też część oferty?

- Oczywiście,

będziemy potrzebować twojego

doświadczenia - powiedział lekko Dunross. Wszyscy wiedzieli, że Pugmire połknął przynętę. - Reszta ustaleń tak jak z Superfoods. Dokumenty znajdziesz na biurku o wpół do dziesiątej. Chyba



powinieneś w piątek przedstawić naszą propozycję akcjonariuszom.

- Podeszedł do Biltzmanna i wyciągnął rękę. - Życzę szczęścia. Domyślam się, że wystąpicie wkrótce z kontrofertą.

- Cóż, eee, będę musiał porozumieć się z biurem, panie, eee, tai-pan. - Biltzmann spurpurował ze złości. - My... My mamy najlepszą żywność dla tutejszego rynku... Pańska oferta jest bardzo atrakcyjna. Ale przy spadku cen pana akcji, przy szturmie na banki trudno będzie panu ją podtrzymać, prawda?

- Wcale nie, panie Biltzmann - zaprzeczył Dunross.

Postawił wszystko na to, że Bartlett nie wycofa się z dostarczenia gotówki, że on sam podpisze umowę z Par-Con, że odeprze atak Gornta i do następnego weekendu doprowadzi ceny akcji Struanów do odpowiedniego poziomu. - Jestem pewien, że zrealizujemy ją bez trudu.

- Dickie - odezwał się ostrzejszym głosem Biltzmann - mam nadzieję, że uważnie rozważycie obydwie

propozycje. Dobrze by było uczynić to do wtorku - po wiedział przypuszczając, że we wtorek Struanowie upadną. - A teraz przepraszam, muszę obstawić następną

gonitwę. - Wyszedł. Szmery w loży zamieniły się w brzęczenie pszczół.

Wszyscy rozmawiali ze sobą, tylko Martin Haply powiedział na głos:

-

Tai-pan, mogę zadać pytanie?

Znów uwaga zebranych skupiła się na Dunrossie.

- Rozumiem, że na potwierdzenie przejęcia zostanie zaoferowana zaliczka w gotówce. Mogę zapytać, na jaką kwotę przygotowali się Struanowie?

Wszyscy wstrzymali oddech. Dunross nie przerywał

milczenia. Wodził po znajomych twarzach i bawił się napięciem, wiedział, że wszyscy chcą jego upadku, wszyscy, tylko nie... tylko nie kto? Na przykład Casey.

A Bartlett? Nie wiem, me na pewno. Klaudia? Oczywiście-

ście. Patrzyła na niego z bladą twarzą. Donald McBride, Gavallan, nawet Jacques.

Zatrzymał wzrok na Martinie Haplym.

- Być może pan Pugmire wolałby, aby szczegóły pozostały tajemnicą. Co ty na to, Pug?

Gornt nie pozwolił mu dojść do słowa.

- Ian, skoro zdecydowałeś się na niekonwencjonalne posunięcia, dlaczego nie podasz tej sumy do wiadomości publicznej? Warto wiedzieć, jaką wartość ma twoja oferta. Prawda?

- Nie, niezupełnie - rzekł Dunross. Usłyszał z oddali okrzyki towarzyszące rozpoczęciu trzeciej gonitwy.

Sądząc po twarzach do nikogo innego dźwięki te nie dotarły. - No, ale dobrze - powiedział rzeczowo. - Pug, co powiesz na dwa miliony amerykańskich dolarów razem z dokumentami w poniedziałek o wpół do dziesiątej?

Przez

całe

pomieszczenie

przeszły

szmery

zdziwienia. Havergill, Johnjohn, Southerby, Gornt stali jak wryci. Phillip Chen niemal zemdłał.

- Nie sędzę, tai-pan, że... - wyrwało się Havergillowi.

- Paul, uważasz, że to za mało?

Nie, oczywiście, że nie, wystarczy z nawiązką, ale...

eee... - Havergill zamilkł pod spojrzeniem Dunrossa. -

Chwileczkę... - Dunross udał, że nagła myśl wpadła mu do głowy. - Och, Paul, nie musisz się martwić, wcale nie liczę na wasze wsparcie. Tę transakcję sfinansuję z innego źródła - mówił ze zjadliwą uprzejmością.

- Jak wiecie, banki japońskie i nie tylko pragną ekspan-sji w Azji. Pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli zachowamy

wszystko w tajemnicy aż do rozpoczęcia finansowania i oficjalnego ogłoszenia. Na szczęście Noble House ma

przyjaciół na całym świecie! Do zobaczenia!

Odwrócił się i wyszedł. Phillip Czen podążył za nim.

Martin Haply ruszył do telefonu, a wszyscy gorączkowo powtarzali: „nie do wiary”, „niemożliwe”,

„Chryste, jeśli Ian zdobył fundusze...”

- Jaki japoński bank? zapyta! Johnjohn Havergill!la nerwowo pocierając ręce.

- Sam chciałbym wiedzieć. Jeśli Ian jest w stanie...

Mój Boże, dwa miliony to dwa razy tyle, ile potrzeba.

Stojący obok Southerby rozłożył ręce.

- Jeśli Ian je wyłoży, w przyszłym roku będą warte przynajmniej z dziesięć milionów. - Zaśmiał się sardonicznie. - No, Paul, zdaje się, że tym razem obydwaj zostaliśmy wystawieni do wiatru.

- Tak, faktycznie, nie rozumiem tylko, jak Ian... Jak mu się udało zachować to wszystko w tajemnicy.

Southerby przysunął się bliżej.

- Czy są jakieś wiadomości od Drepczącego?

- Jeszcze nie. Nie odpowiedział ani na mój, ani na telefon Johnjohna. - Wzrok Havergilla padł na rozmawiających na osobności Gornta i Plumma. - I co będzie teraz z Quillanem?

- W poniedziałek rano zacznie kupować. Musi. Teraz zrobiło się niebezpiecznie - odparł Southerby.

- Zgadzam się - do rozmowy przyłączył się Sir Luis Basilio. - Jeśli Ian może zebrać tyle gotówki, ci, co postawili na krótką sprzedaż, muszą się mieć na baczności. Pomyślcie tylko, w zeszłym tygodniu kupowaliśmy za pomocą pośredników General Stores.

To chyba lana sprężynka, no nie? Musiał podjąć jakieś kroki, szczęściarz jeden.

- Tak - bąknął Johnjohn. - Jakoś sobie nie mogę wyobrazić... Dobry Boże, a jeśli jeszcze wygra Noble Star?! Z takim *dżosem* od razu wyszedłby z dołka, wiecie, jacy są ci Chińczycy!

- Tak - wtrącił Gornt. - Dzięki Bogu nie wszyscy są Chińczykami. Jak dotąd, nie widzieliśmy jeszcze go-tówki.

- Musi ją mieć, musi - rzekł z naciskiem Johnjohn.

- Przecież to sprawa twarzy.

- Ach, twarz - powiedział kpiąco Gornt. - Wpół do dziesiątej, co? Jakby naprawdę był sprytny, zapowiedziałby na dwunastą albo i na trzecią, wtedy cały dzień miałby na manipulacje. A tak... - Gornt wzruszył ramionami. - I tak zyskam miliony jeśli nie przejmę

kontroli. - Spojrzał na drugą stronę łoży, ukłonił się Bartlettowi i Casey, a potem wyszedł.

Bartlett wyprowadził dziewczynę na balkon.

- Co o tym sądzisz? - zapytał.

- O Gorncie?

- O Dunrossie.

- Cudowny! „Japoński bank” rozpałił tych facetów do czerwoności - emocjonowała się. - Omotał ich sobie wokół małego palca, a oni to cały Hongkong.

Słyszałeś, co mówił Southerby?

- Jasne. Wygląda na to, że wszyscy powariowali-

śmy, jeśli uda mu się wymknąć z pułapki Gornta.

- Miejmy nadzieję, że mu się uda. - Zauważyła jego uśmiezek. - O co chodzi?

- Wiesz, co przed chwilą zrobiliśmy, Casey? Kupili-

śmy Noble House za obietnicę dwóch milionów.

- Jak to?

- Ian stawiał wszystko na te dwa miliony ode mnie.

- Linc, przecież nie ryzykował, zawarliśmy umowę.

Jasne. Ale powiedzmy, że nie przekażę mu tych pieniędzy. Rozwali się cały jego domek z kart. Bez tych dwóch balonów leży. Wczoraj wspomniałem Gorntowi, że mógłbym odwołać w poniedziałek rano podpisanie umowy. Założmy, że wycofuję dwa miliony przed otwarciem giełdy i Ian jest skończony.

- Nie zrobiłbyś tego! - Patrzyła na niego zdziwiona.

- Przyjechaliśmy tutaj, żeby stać się Noble House.

Zobacz, co Ian robi Biltzmannowi, co wszyscy mu robią. Biedak nawet nie wie dobrze, co się stało.

Pugmire zawarł umowę, ale wycofa się, bo oferta lana jest lepsza, nie?

- To inna sprawa. - Spojrzała na niego badawczym wzrokiem. - Ty też zamierzasz wycofać się po zawarciu umowy?

Bartlett dziwnie się uśmiechnął i spojrzał na tłoczą-

cych się na dole ludzi.

- Być może, być może. Zależy, co kto komu wywinie podczas weekendu. Gornt czy Dunross, co za

różnica.

- Nie zgaazam się z tobą.

- Jasne, Casey, wiem o tym - odrzekł spokojnie. -

Ale to moje dwa miliony i moja zagrywka!

- Tak, to też twoje słowo i twoja twarz! Złamiesz umowę.

- Casey, ci faceci, gdyby się nadarzyła taka szansa, zjedliby nas na śniadanie. Myślisz, że Dunross, jakby musiał wybierać, nie sprzedałby nas?

- Chcesz mi wmówić - odezwała się po chwili bardzo rozeźlona - że umowa to nie umowa i nie ma żadnego znaczenia?

- Chcesz zarobić cztery miliony wolne od podatku?

- Znasz odpowiedź.

- Powiedzmy, że dostaniesz czterdzieści dziewięć procent udziałów w nowym Par-Con-Gornt. Na pewno są tyle warte.

- Albo i więcej - powiedziała. Bała się tej rozmowy i po raz pierwszy w życiu nie była pewna co do Bartletta.

- Chcesz czterdzieści dziewięć procent?

- W zamian za co, Linc?

- W zamian za pomoc w zdobyciu stu procent Par-Con-Gornt.

Patrząc mu w oczy starała się odczytać jego myśli.

Zwykle jej się udawało, ale straciła tę umiejętność, odkąd pojawiła się Orlanda Ramos.

-

To powabna oferta?

Z tym samym uśmiechem pokręcił głową.

- Nie, jeszcze nie.

- Wzdrygnęła się. Miała obawy, że mogłaby ją przyjąć.

- Cieszę się, Jeździec, naprawdę się cieszę.

- Sprawa jest prosta, Casey: Dunross i Gornt rywalizują ze sobą, ale stawką jest coś innego. Dla nich ta łoża warta jest o wiele więcej niż dwa czy cztery miliony.

A my przyjechaliśmy tutaj, żeby wygrać i zarobić.

Spadło kilka kropel i obydwójce spojrzeli w niebo.

Okazało się, że to woda kapiała z dachu. Casey zaczęła coś mówić, ale się rozmyśliła.

-

O co chodzi, Casey?

O nic.

- Idę się rozejrzeć i zobaczyć, jak reagują ludzie. Do zobaczenia w łoży.

- A co z piątą goniwą? - zapytała.

- Wrócę przed startem.

- Baw się dobrze! - Popatrzyła, jak odchodzi do drzwi, a potem odwróciła się od wszystkich i oparła o poręcz balkonu.

,

- Czy ty chcesz podstawić Ianowi nogę i zerwać umowę? - prawie krzyknęła za Bartlettem. Jezu, zanim pojawiła się Orlanda, zanim przyjechaliśmy do Hongkongu, nie musiałam zadawać takich pytań. Nigdy dotychczas Linc nie łamał danego słowa. Ale teraz?

Teraz już niczego nie jestem pewna.

Znów przeszedł ją dreszcz. Nigdy dotąd też nie płakałam. Co z Murtaghem? Mam powiedzieć Lincowi teraz czy potem? Muszę go poinformować przed wpół

do dziesiątej w poniedziałek. O, Boże, wolałabym tu nigdy nie przyjeżdżać!

Spadł deszcz.

- Chryste - odezwał się ktoś - żeby tylko się nie pogorszyło.

Tor był mokry, błotnisty i śliski. Na drodze przed głównym wejściem panował wzmożony ruch, nadal nadchodzili i nadjeżdżali spóźnieni. Roger Crosse, Sinderson i Robert Armstrong wysiedli z policyjnego samochodu, minęli barierkę i ruszyli do windy dla członków klubu, w klapach mieli wpięte odznaki z niebieskimi wstążkami.

Crosse był członkiem z prawem do głosu od pięciu lat, Armstrong od roku. Crosse pełnił także

funkcję gospodarza. Co roku sugerował, że policja powinna mieć własną lożę, rokrocznie zarządzający przyjmowali tę propozycję z entuzjazmem i dalej nic się nie działo.

Na trybunie dla członków klubu Armstrong zapalił

papierosa. Na jego twarzy pojawiły się zmarszczki, miał

zmęczone oczy. Połowę trybuny zajmowało ogromne, zatłoczone pomieszczenie. Cała trójka podeszła do barku i zamówiła drinki. Po drodze pozdrawiali znajomych.

-

Kto to jest? - zapytał Sinders.

Armstrong spojrzał w tę samą stronę.

- To wycinek naszego kolorytu lokalnego, panie Sinders - wyjaśnił kpiącym tonem. - Nazywa się Venus Poon, jest czołową gwiazdką telewizyjną.

Venus Poon miała na sobie długie do kostek futro z norek, otaczała ją grupka adorujących Chińczyków.

- Ten na lewo od niej to Charles Wang, producent filmowy, milioner, kina, dancingi, nocne kluby, bary, dziewczyny i kilka banków w Tajlandi. Ten mały podobny do bambusa to Wu Cztery Palce, jeden z naszych piratów. Dobry jest w przemyśle. To jego żywioł.

- Tak - potwierdził Crosse. - Kilka dni temu prawie go złapaliśmy. Zdaje się, że teraz zajmuje się heroiną, no i oczywiście złotem.

- A ten taki nerwowy w szarym garniturze?

- Richard Kwang z Ho-Pak - rzekł Armstrong. -

Bankier. Obecnie jest, a może był, hm... jak to powiedzieć, zarządzającym banku.

- Ciekawe. - Sinders skoncentrował się na Venus Poon. Miała głęboki dekolt w sukience. - Tak, nawet bardzo. A tam? Tam dalej, z Europejczykiem.

Gdzie? A, to Orlanda Ramos. Portugalka, co tu zawsze oznacza: Euroazjatka. Kiedyś była kochanką Gornta. A teraz? Nie wiem. A ten mężczyzna to Linc Bartlett, „handlarz bronią”.

- O, więc jest wolna?

- Chyba tak.

- Wygląda na kosztowną. - Napił się drinka i westchnął. - Łakomy kąsek... ale droga.

- Nawet bardzo - podkreślił z niesmakiem Crosse.

Orlanda Ramos stała wraz z kilkoma kobietami w średnim wieku obok Bartletta.

Sinders popatrzył na niego zaskoczony.

- Od lat nie widziałem tylu bankrutów i takiej ilości biżuterii. Mieliście tu kiedyś napad?

- W klubie jeździeckim? - Crosse wytrzeszczył oczy.

- Boże, nikt by się nie ośmielił.

Armstrong uśmiechnął się.

- Każdy policjant od najniższego do najwyższego rangą stara się z całych sił, aby wszystko działało tu idealnie. W czasie jednego dnia zarabiają tu co najmniej piętnaście milionów. Taka suma wszystkich nas paraliżuje. Ochrona jest zbyt mocna i zbyt przemyślna, żeby ktoś chciał ryzykować. To wymyślił

pan Crosse.

- Tak?

Crosse uśmiechnął się.

- Przekąsisz coś, Edward? Może kanapkę?

- Świetna myśl. Dziękuję.

- A ty, Robert?

- Nie, dziękuję, sir. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym sprawdzić, jak tam konie. Zobaczymy się później. - Armstrong boleśnie sobie uświadamiał, że po siódmej gonitwie czeka go powrót do Komendy Głównej i kolejne przesłuchanie Briana Kwoka.

- Robert to poważny gracz, Edward. Robert, mam prośbę, pokaż panu Sindersonowi stajnie, miejsca, gdzie stawia się pieniądze, i zamów dla niego kanapkę. Ja zobaczę, czy gubernator ma chwilę czasu, i zaraz wrócę.

Świetnie - mruknął Armstrong, ani trochę nie podobał

mu się ten pomysł. W kieszeni parzyła go zabrana z biurka pod wpływem impulsu koperta z czterdziestoma tysiącami dolarów *h'eung yau*. Chryste, odważę się czy nie? Raz po raz próbował podjąć decyzję i w tym samym czasie starał się wyrwać z pamięci horror, jaki przeżywał jego przyjaciel Brian, nie to już nie przyjaciel, tylko doskonale wyszkolony i zakon-spirowany agent obcego wywiadu złapany tylko dzięki cudownemu zbiegowi okoliczności.



- Robert wykonałeś dzisiaj kawał dobrej roboty -

powiedział uprzejmie Crosse.

- Tak - zgodził się Sinderson. - Dopilnuję, żeby dowiedział się o tym minister.

Crosse odszedł do windy. Wszędzie odwracali się za nim zdenerwowani Chińczycy. Na najwyższym piętrze minął lożę gubernatora i poszedł do Plumma.

- Witaj Roger! - powitał go z przejęciem Jason Plumm. - Napijesz się?

- Może kawy. Jak leci?

- Na razie jestem do tyłu, chociaż trafiłem pierwszą część podwójnego porządku. A ty?

- Ja dopiero przyjechałem.

- O, to straciłeś wspaniałe przedstawienie! -

Opowiedział Crosse'owi o propozycji Dunrossa. - Ian ciągnie Pugmire'a w pułapkę.

- Albo złożył mu korzystną ofertę - wtrącił ktoś nie pytany.

-

Prawda, prawda.

W loży Plumma jak w każdej innej panował tłok.

Rozmowy, śmiechy, drinki, przekąski.

- Za pół godziny herbata. Idę właśnie do sali posiedzeń gospodarzy klubu, Roger. Przyłączysz się?

Sala posiedzeń znajdowała się na samym końcu korytarza. W środku stał stół i dwanaście krzeseł, telefon. Okno i balkon wychodziły na tor. Było pusto. W

jednej chwili z twarzy Plumma zniknęła bez troska.

- Rozmawiałem z Suslewem.

- Tak?

- Wkurza się z powodu wczorajszego napadu na

„Iwanowa”.

- Wyobrażam

sobie. Londyn tak rozkazał.

Dowiedziałem się o tym dzisiaj rano. Cholerny Sinderson!

Plumm zrobił jeszcze bardziej ponurą minę.

- Powinni się z tobą skonsultować, no nie?

- Niekoniecznie. To była jedynie rutynowa czynność. Sprawa MI-6 i Sindersona. SI nic do tego nie ma.

Co jeszcze?

- Mówił, żebyś zadzwonił do niego z budki, jak przyjdiesz. Pod ten numer - podał mu kartkę. - Będzie tam dokładnie po każdej z trzech następnych gonitw.

Zadzwoń, podobno to pilne. Po co, u diabła, był ten napad?

- Tylko, żeby przestraszyć KGB i pokazać, że Sevrin nie ma dostępu wszędzie. Żeby wyrzucić presję. To samo z wezwaniem Suslewa i nowego komisarza na komendę. Tylko dla postrachu.

- Suslew rzeczywiście się przestraszył. - Kpiący uśmiech rozjaśnił twarz Plumma. - Co najmniej od dziesięciu lat nikt go tak nie wytrącił z równowagi.

Trzeba im będzie posłać jakieś wyjaśnienie. Armstrong

„przypadkiem” otworzył drzwi do kabiny radiowej, a ponieważ Suslew ogłosił czerwony alarm, operator musiał zniszczyć sprzęt do odbioru informacji, między innymi skomplikowane skanery radarowe.

Crosse wzruszył ramionami.

- „Iwanow” już wypływa i na pewno czymś to zastąpią. To nie wina Suslewa ani nasza. Możemy wysłać do Centrum raport opisujący, jak to się stało.

Jeśli będziemy chcieli.

- Jak to?

- Rosemont i bandyci z CIA zabrali z Sinclair Towers szklanki. Na jednej było pełno odcisków palców Suslewa.

Plumm zbladł.

- Chryste, i znalazł się w aktach?

Musiał. Figuruje w naszych papierach, co prawda nie jako agent KGB. Myślę, że ja mam jedyny istniejący egzemplarz jego karty daktyloskopijnej. Kilka lat temu zabrałem ją z jego dossier. Wydaje

mi się, że rozszyfrowanie go przez CIA to tylko kwestia czasu.

Im szybciej opuści Hongkong, tym lepiej.

- Myślisz, że powinniśmy o tym poinformować Centrum? - zapytał niespokojnie Plumm. - Z powodu takiej nieostrożności obciążą go winą za wiele spraw.

- Zastanowimy się przez weekend. Worańskiego znaliśmy od wielu lat, jemu można było ufać. A temu?

- Crosse udał, że zna Suslewa nie dłużej niż Plumm.

- Mimo wszystko to tylko niższy oficer KGB, kurier. Nie ma nawet oficjalnego przeniesienia na stanowisko Worańskiego, a my musimy troszczyć się o siebie.

- Słusznie! A może to on sam zdradził. Wiem na pewno, że mnie do Sinclair Towers nikt nie śledził. A co do tego telegramu... to niech go kule biją!

- Co takiego?

- No, mówię o tym telegramie, który upuścił, a Armstrong zabrał z pokładu „Iwanowa”. Z tym też coś będziemy musieli zrobić.

Crosse odwrócił się, aby Plumm nie zauważył, jak był wkurzony, że ani Armstrong, ani Sinderson mu nie wspomnieli. Udał, że zakrywa usta podczas ziewania.

- Przepraszam, prawie całą noc nie spałem - starał

się zapanować nad głosem. - Mówił ci, co w nim było?

- Oczywiście. Nalegałem.

- Co ci dokładnie powiedział?

- O, myślisz, że mógł kłamać? - Plumm zaniepokoił

się. - Mniej więcej tak: „Poinformować Arthura, że zgodnie z jego prośbą odbicie zdrajcy Metkina zostało zarządzone w Bombaju. Po drugie, spotkanie z Amerykaninem przełożone na niedzielę. Po trzecie,teczki Alana Medforda nadal mają wielkie znaczenie.

Sevrin musi się maksymalnie sprężyć, żeby osiągnąć sukces. Centrum". - Plumm obliznął usta. - Zgadza się?

- Tak - potwierdził Crosse. Co za ulga. Zaczął się zastanawiać, dlaczego Sinderson i Armstrong nie powiedzieli mu o tym.

- Straszne, prawda? - Plumm był poruszony.

- Tak, ale nie ma się czym przejmować.

- Nie zgadzam się - rzekł zirytowany Plumm. -

Telegram

potwierdza

związki KGB i Sevrin.

Potwierdza też istnienie Arthura i Sevrin.

- Tak, ale to wynikało już z raportów Medforda.

Uspokój się, Jason, nic nam nie grozi.

- Na pewno? Jak na mój gust, za dużo tu przecieków. O wiele za dużo. Może na jakiś czas powinniśmy usunąć się w cień?

- Już się usunęliśmy. Wszystko się zaczęło tylko z powodu tych raportów Medforda.

- Jasne. Jedyna pocięcha, że ten łajdak nie był do końca dokładny.

- Chodzi ci o Banastasio?

- Tak. Nadal się zastanawiam, do czego go przyporządkować.

- Tak. - W przechwyconej teczce z raportami Medforda Banastasio został błędnie nazwany człowiekiem Sevrin w Stanach. Dopiero później Crosse dowiedział się od Rosemonta, kim Banastasio jest naprawdę.

- Wyszedł po niego znany nam Vee Cee Ng - oświadczył Crosse.

Plumm uniósł brwi.

- Fotograf Ng? Jaki on ma z tym związek?

- Nie wiem. Stocznie, statki, przemysł. On się zajmuje każdym niezbyt czystym biznesem.

- A więc potwierdza się teoria tego pisarza? Jak on się nazywa? Marlowe'a. KGB działa na naszym terenie i nie raczyło nas poinformować?

- Możliwe. Albo to jakiś zupełnie inny wydział, a może GRU. Lub po prostu zbieg okoliczności. - Crosse z powrotem panował nad sobą, minęło przerażenie wywołane wiadomością o telegramie. Myślał o wiele trzeźwiej. - Co takiego pilnego ma do mnie Suslew?

- Chodzi o naszą współpracę. Po południu przylatuje Koroński.

Crosse gwizdnął.

- Z Centrum?

- Tak. Rano przysłała wiadomość. Ponieważ na

„Iwanowie” mają zniszczony sprzęt, ja jestem pośrednikiem.

Dobrze, jaki on ma pseudonim?

- Hans Meikker, z Niemiec Zachodnich. Zatrzyma się w „Siedmiu Smokach”. - Plumm coraz bardziej się niepokoił. - Posłuchaj, Suslew i Centrum rozkazali nam złapać Dunrossa...

· \_ ·

- Powariowali! - wybuchnął Crosse.

- Ja się zgadzam, ale Suslew twierdzi, że to jedyny sposób na to, żeby szybko dowiedzieć się, czy istnieją jakieś inne teczki, a jeśli tak, to gdzie zostały ukryte.

Uważa, że Koroński potrafi to wyciągnąć z lana. Na przesłuchaniu... dzięki środkom chemicznym może, hm... oczyścić pamięć Dunrossa.

- Szaleństwo! Nie mamy nawet pewności, czy te teczki, które dostaliśmy, są sfalszowane. Na litość bo-ska to tylko przypuszczenia!

- Suslew twierdzi, że Centrum kazało mu to zwalić na Wilkołaki, porwali Johna Czena, to czemu nie mielibyście chcieć wyciągnąć pieniędzy od tai-pana?

-

To byłoby zbyt niebezpieczne.

Plumm rozłożył ręce.

- Porwanie lana narobiłoby wiele hałasu w Hongkongu. Roger, nie nadarzy się lepsza okazja.

- Dlaczego?

- W Noble House zapanowałby zupełny chaos, do tego szturm na banki, krach na giełdzie, Hongkong upadnie, a Chiny przeżyją wstrząs. Posunęlibyśmy naszą sprawę o jakieś dziesięć lat i umocnilibyśmy międzynarodowy komunizm i pozycję robotników w świecie. Chryste, Roger, nie złości cię, że tak siedzisz i nic nie robisz? Teraz zaryzykujemy, a potem z powrotem na jakiś czas usuniemy się z Sevrin w cień.

Crosse zapalił papierosa. Słyszał napięcie w głosie Plumma.

- Pomyślę o tym - powiedział po chwili. - Na razie zostawmy to. Zadzwoń do ciebie wieczorem. Czy Suslew wtajemniczył cię, kto jest tym Amerykaninem z telegramu?

- Nie, zapewnił tylko, że to nie ma z nami nic wspólnego.

- Wszystko, co tu się dzieje, ma z nami coś wspólnego.

- Słusznie. Amerykanin to może być tylko kod oznaczający kogoś innego.

- Możliwe.

- Mnie się wydaje, że tu chodzi o Banastasio.

- Dlaczego? - zapytał.

- Nie wiem, ale założę się, że to wszystko musiało być inspirowane przez KGB. Przecież to klasyczne posunięcie zalecane przez Sun Tzu: siłę wroga skierować przeciwko niemu samemu. Obydwu wrogów: USA i Chiny. Silny, zjednoczony Wietnam na pewno będzie występował przeciwko Chinom, nie?

- Być może. Tak wszystko pasuje – zgodził się Crosse. Z wyjątkiem jednej rzeczy: Vee Cee Nga, pomyślał. Zanim Brian Kwok powiedział „Vee Cee jest jednym z nas”, nie było powodów uważać go za kogoś więcej niż zboczonego fotografa i jeszcze jednego kapitalistę. - Jeśli tym Amerykaninem jest Banastasio, będziemy to wiedzieć. - Dopalił papierosa. - Jeszcze coś?

- Nie, Roger. Zastanów się nad Dunrossem. Dzięki Wilkołakom sprawa staje się prostsza.

- Zastanowię się.

- Ten weekend byłby idealny.

- Wiem.

Orlanda obserwowała przez silną lornetkę konie startujące do czwartej gonitwy. Stała na balkonie dla członków klubu. Wszyscy, z wyjątkiem Bartletta, przyglądali się biegnącym koniom. On patrzył na Orlandę.

Widział wypukłość jej piersi, smukły zarys szyi, rozpalone policzki.

- Dawaj, Crossfire! - mruzczała. - Dawaj! Weźmie piątkę, Linc, no szybko, piękniutki, szybko.,.

Zachichotał, nie rozumiejąc jej. Umówili się tutaj na spotkanie między trzecią a czwartą gonitwą.

-Jesteś członkinią z prawem do głosu? - zapytał ją poprzedniej nocy.

- O nie, mój drogi, pójdę z przyjaciółmi. Starzy przyjaciele mojej rodziny. Napijesz się jeszcze?

- Nie, dziękuję, lepiej już pójdę.

Pocałowali się. Poczłł obezwładniające go pragnienie. Uczucie to nie opuszczało go przez całą drogę do domu i większą część nocy. Wiele się zastanawiał i doszedł do wniosku, że trudno mu skonkretyzować, czego od niej chce, i nie umie spojrzeć na nią z dystansem.

Wpadłś w sidła, koleś, pomyślał w duchu. Orlanda dotykała warg końcem języka, była maksymalnie skon-centrowana i myślała tylko o pięćdziesięciu dolarach postawionych na ulubionego siwka.

-

Dalej... no, szybko... o, Linc, posuwa się... Jest!!!

Drugi...

Bartlett spojrzł na grupę koni galopujących po ostatniej prostej. Crossfire mknął za Western Scot, brązowym wałachem. Nie rozwijały dużych szybkości, ponieważ w trzeciej gonitwie jeden koń się przewrócił.

Dwa prowadzące konie zaczął doganiać wałach należący do Hayergilla, Winwell Stag, którego typował

Peter Marlowe. Wszystkie trzy biegly łeb w łeb, kibice zaczęli skandować.

- Szybko, Crossfire, szybko, szybko, szybko.... Wy grał!!! Wygrał!!!

Bartlett roześmiał się, a Orlanda rzuciła mu się na szyję.

-

Linc, to cudownie!

Wyniki na tablicy potwierdziły kolejność. Teraz wszyscy czekali na stawki wypłat. Za Crossfire płacono pięć do dwóch.

- Niewiele. - Skrzywił się.

,

To nic, ale wygrał! - Orlanda jeszcze nigdy nie wydawała mu się piękniejsza. Kapelusz pasował jej o wiele bardziej niż Casey, zauważył to od razu i nie omieszkał jej skomplementować. Przechyliła się przez poręcz obserwując rundę honorową. - O, właściciel -

powiedziała. - Vee Cee Ng, jeden z szanghajskich milionerów. Mój ojciec dobrze go znał. - Podała mu lornetkę.

Bartlett ustawił ostrość. Na przystrojonym koniu jechał pięćdziesięcioletni Chińczyk. Bartlett

rozpoznał

Havergilla dosiadającego pokonanego o centymetry Winwell Stag. Przy starcie dostrzegł Gornta, Plumma, Pugmire'a

i

innych

zarządzających.

Dunross

rozmawiał

z

niskim

człowiekiem.

Gubernator

przechodził z żoną i sekretarzem od grupki do grupki.

Bartlett zazdrościł trochę, że właściciele mogą sobie stać tam, wymieniać uśmiechy z wystrojonymi kobietami, kochankami, rozmawiać, plotkować - sami członkowie ekskluzywnych klubów, siła napędowa Hongkongu. Zarówno tam, jak i w lożach na górze.

Wszyscy bardzo sprytni, bardzo brytyjscy, myślał. Czy ja do nich lepiej pasuję niż Biltzmann? Jasne. Chyba, że będą chcieli się mnie pozbyć tak samo jak jego.

Bez trudu zostanę członkiem z prawem do głosu.

Mówił mi to sam Ian. A czy Orlanda jako żona lub kochanka - w sumie to to samo - będzie pasować?

Oczywiście.

- Kto to jest? - zapytał. - Kto rozmawia z Ianem?

- A, Aleksiej Trawkin, trener tai-pana... — Przerwała, gdy podszedł do nich Robert Armstrong.

- Dzień dobry, panie Bartlett - odezwał się uprzejmie. - Pan też obstawił zwycięzcę?

- Nie, w tej gonitwie nie grałem. Przedstawiam panu pannę Orlandę Ramos. Orlanda, to nadinspektor Robert Armstrong z CID.

- Witam. - Uśmiechnęła się do Armstronga i stała się czujna.



Dlaczego oni wszyscy, winni czy niewinni, tak się nas boją? - zadawał sobie pytanie, a my przecież walczymy tylko o to, aby było przestrzegane ich prawo, staramy się chronić ich przed przestępcami. To dlatego, że każdy w jakiś sposób łamie prawo, choćby w minimalnym stopniu. A to z tego powodu, że wiele przepisów jest głupich

-

na przykład nasze

unormowania dotyczące hazardu. A więc każdy czuje się winny, nawet ty, piękna, powabna damo, o tak obiecującym uśmiechu. Ten uśmiech adresowany jest wyłącznie do Bartletta. Jakie przestępstwo dzisiaj popełniłaś, aby złapać w sidła tego niewinnego biedaka? Uśmiechnął się kpiąco. No, może nie jest on aż tak niewinny. Jednak w porównaniu z kimś wyszkolonym przez Quillana Gornta... Aiii ia, jak ja bym się chciał zamienić z tym Bartlettem! Tak, pragnąłbym, z całego serca być na jego miejscu, mieć wszystkie jego pistolety, pieniądze, kociaki takie jak ty i Casey, spotykać się z takimi tuzami świata jak Banastasio. O tak, oddałbym dziesięć lat swojego życia, ponieważ dzisiaj przysięgam przed Bogiem, że nienawidzę tego, co robię, tego, co robię dla starej, dobrej Anglii.

-

Pan też postawił na zwycięzcę? - zaciekała się Orlanda.

. Nie, niestety

-

Ona już drugi raz wygrała - stwierdził z dumą Bartlett.

-O, skoro pani tak dobrze idzie, to kto zwycięży w piątej?

- Już próbowałam zgadnąć, inspektorze. Nie mam żadnych typów, wszystko się może zdarzyć. A pan?

- Słyszałem, że warto postawić na Winning Billa.

Jeszcze się nie zdecydowałem. No, życzę szczęścia. -

Armstrong poszedł w stronę okienek, w których zawierano

zakłady. Postawił pięćset dolarów na konia, który w poprzedniej gonitwie zajął trzecie miejsce i oprócz tego

zabezpieczył się dwoma innymi zakładami. Zawsze zawierał jeden zakład główny i dwa obstawiające, aby wyjść na swoje. Zwykle udawało mu się. Podczas tych wyścigów także ale czterdziestu tysięcy jeszcze nie ruszył.

W korytarzu zawahał się. Wąż, inspektor Donald CC. Smyth, odchodził od okienka z plikiem banknotów w dłoni.

- Cześć, Robert, jak leci?

- Jako tako. Znowu masz dobrą passę?

- Robię, co mogę. - Nachylił się bliżej. - A jak z tamtym? Wiesz.

Jakoś się posuwa. - Znow zrobiło mu się niedobrze na myśl o Czerwonym Pokoju i wysłuchiowaniu najintymniejszych sekretów Briana Kwoka. Wszyscy się spieszyli mając świadomość, że gubernator poprosił Londyn o pozwolenie na wymianę.

- Nie wyglądasz za dobrze, Robert.

- I nie za dobrze się czuję. Kto wygra piątą?

- Poradziłem się twojego znajomka z klubu. Mówi, że Pilot Fish. W pierwszej dobrze wytypował Korsarza, ale wszystko się może zdarzyć.

- Tak. Wiadomo coś w sprawie Wilkołaków?

- Nie, nic. Ślepy zaułek. Ekipa przeczesuje jeszcze raz tamten teren, ale po takim deszczu nie mam za wielkich nadziei. Rano przesłuchiwałem Dianne Czen i żonę Johna, Barbarę. Założę się, że wiedzą więcej, niż mi powiedziały. Rozmawiałem też krótko z Phillipem Czenem, ale on też jest nieskory do współpracy.

Ciągle jest w szoku. - Wąż podniósł wzrok. - A Mary nie wspominała przypadkiem czegoś na temat Johna?

- Nie miałem kiedy z nią porozmawiać. Dzisiaj wieczorem może będę miał chwilę spokoju.

- Nie sędzę. - Uśmiechnął się. - Postaw swoją czterdziestkę na Pilot Fish.

- Jaką czterdziestkę?

- Ptaszki ćwierkały, że pewne złote jajko wyfrunęło z gniazdka - rzucił znacząco Smyth i wzruszył ramionami. - Nie przejmuj się, Robert, polataj sobie. Jeszcze nie raz się nadarzy okazja. Powodzenia. - Odszedł.

Armstrong patrzył na niego z nienawiścią.

Ten bubek ma rację, pomyślał z bólem w piersiach.

Nie raz się nadarzy okazja, chociaż nic nie dałeś, do niczego się nie przyznałeś, nic nie obiecałeś, to pewne.

Tak samo jak to, że odkąd Bóg stworzył jabłka, zawsze

trzeba za wszystko zapłacić.

Mary. Tak bardzo potrzebuje jakichś wakacji, a do spłacenia jest Wechsel maklera i inne rachunki. Boże, na tej zwariowanej giełdzie na nic nie mam szans.

Boże, przeklnij pieniądze, a raczej ich brak.

Czterdzieści tysięcy na trafiony porządek wszystko by rozwiązało. A może postawić na Pilot Fish?

Wszystko, pół albo nic. Jeśli wszystko, to jeszcze mam dość czasu, żeby porobić zakłady w kilku okienkach.

Nogi zanosły Armstronga na koniec kolejki. Wielu ludzi rozpoznało go i natychmiast poczuli wewnętrzny strach. Woleliby, żeby policjanci mieli własną lożę i oddzielne okienko, a nie mieszały się z uczciwymi obywatelami. Opinię tę podzielał także Wu Cztery Palce, który postawił pięćdziesiąt tysięcy na Pilot Fish i Butterscotch

Lass,

po

czym

pomknął

do

pomieszczenia dla członków klubu, a tam spokojnie napił się whisky z wodą sodową. Paskudne policyjne psubraty straszą uczciwych ludzi, myślał czekając na powrót Venus Poon. Iiii, jej Złota Zatoka warta jest każdego karata brylantu, który jej wczoraj w nocy obiecałem. Dwa razy Chmury i Deszcz przed świtem i obietnica kolejnego spotkania w niedzielę, gdy *yang* się odnowi...

Nagle ożywienie na trybunach przerwało mu wspomnienia upojnych nocy. W jednej chwili przepchnął się na balkon. Na tablicy zaczęły po kolei pojawiać się nazwy koni i nazwiska dżokejów biorących udział w piątej gonitwie. Numer jeden - Pilot Fish, szmery na widowni. Street Vendor, numer dwa. Złota Dama, numer trzy, okrzyki podziwu wyrywały się z gardeł tych którzy na nią postawili. Gdy na miejscu siódmym pojawiła się Noble Star, wszyscy byli już podekscytowani, a istna burza zerwała się, gdy przyszła kolej na faworyta Butterscotch Lass.

Na dole Dunross i Trawkin z ponurymi minami sprawdzali jakość nawierzchni toru. Była śliska i błotni-sta. Najgorsza na zewnętrznym torze. Niebo robiło się coraz ciemniejsze, nisko wisały chmury. Rosły emocje, z pięćdziesięciu tysięcy gardeł wyrywały się okrzyki.

-

Fatalnie, tai-pan - rzekł Trawkin. -I zanoszą się na pogorszenie.

-

Wszyscy będą mieć takie same szanse -

stwierdził

Dunross. Po raz ostatni zastanawiał się, kto ma poje chać na Noble Star. Jeśli ja pojedę i wygram, to będzie zwiastun czegoś dobrego. Jeśli pojedę i przegram, wróżba będzie bardzo zła. Tym gorsza, jeśli Pilot Fish by

mnie pokonał. Łatwo może mi się coś stać. Nie mogę sobie pozwolić... Nie mogę dopuścić, żeby dzisiaj, jutro albo w poniedziałek Noble House straciło na popularności. I dżokeje zawarli ze sobą. Jeśli pojedzie Trawkin i nie wygra albo przyjedzie po Pilot Fish, to też źle, ale nie tak bardzo. Wtedy to będzie tylko *dżos*.

Ale mnie się nic nie stanie. Wygram. Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie. Nie poddam się.

A Aleksieja nie jestem pewien. Ja mogę wygrać - jeśli będą ze mną bogowie. Tak, ale czy można wierzyć bogom?

-

liiii, młody lanie - mawiał stary Czen-czen - od bogów raczej nie oczekuj pomocy, niemniej obiecuj im zawsze złoto i inne ofiary. Bogowie to tylko bogowie i wychodzą czasem na lunch, śpią, nudzą się, odwracają oczy. Bogowie podobni są do ludzi, bywają dobrzy i źli, silni, leniwi, słodcy, zgorzkniali, głupi, mądrzy. No bo z jakich innych powodów są bogami, *heya?*

Dunrossowi waliło serce, gdy doszedł go słodko-kwaśny zapach końskiego potu, czuł narastające emocje, ucisk lejców w dłoniach, obawy przed prędko-

ścią, widział, jak zostawia z tyłu Pilot Fish, zbliża się do mety... o łeb przed nim... zwycięstwo...

Trzeba się zdecydować, tai-pan. Już czas.

Dunross podszedł do niego ze ściśniętym gardłem.

-

Tak. Jedź ty - powiedział przedkładając dobro Noble House nad swoją satysfakcję.

Po tych słowach poklepał Trawkina po plecach.

-

Wygraj, Aleksiej, na Boga, wygraj!

Stary spojrzał mu w oczy. Skinął głową i poszedł do przebieralni. Po drodze zauważył wpatrującego się weń -przez lornetkę Suslewa. Przeszedł go dreszcz strachu. Suslew obiecał sprowadzić na Boże

Narodzenie Nestorową do Hongkongu... będą mogli razem spędzić święta. Jeśli on podejmie współpracę.

Ma robić, o co go poproszą. Wierzysz w to? Nie. Ani trochę, ten *materjebiec* to zdrajca i łgarz, ale może tym razem... Chryste Jezu, po co mi kazał spotkać się z Dunrossem w Sinclair Towers? Co mam robić, na Boga? Nie myśl o tym, staruszk. Jesteś już stary, niedługo

umrzesz,

ale

przedtem

powinieneś

zwyciężyć. Jeśli wygrasz, tai-pan będzie triumfował. A jeśli przegrasz? Obojętnie czy przegrasz, czy wygrasz, to czy możesz żyć ze wstydem, że zdradziłeś człowieka, który ufał ci i darzył cię przyjaźnią?

Wszedł do przebieralni.

Dunross odwrócił się i spojrział na tablicę. Zmalały płatności, postawiono w sumie dwa i pół miliona. Za Butterscotch płacono trzy do jednego, za Noble Star siedem do jednego, nie wpisano jeszcze dżokeja, za Pilot Fish pięć do jednego, za Złotą Damę siedem do jednego. Jeszcze wcześniej, pomyślał, pozostało jeszcze

dużo czasu, żeby postawić. Płatności zmalały ze względu na Trawkina. Nagle w jego umyśle zrodziły się obawy. Ciekawe, czy trenerzy i dżokeje zawarli ze sobą

umowy. Boże, trzeba uważać, żeby Trawkinowi nic się nie stało.

- Ach, Ian.

- Witam, sir - uśmiechnął się do nadchodzącego gubernatora. Zauważył Havergilla i dodał: - Przykro mi z powodu Winwell Stag, Paul. Biegł naprawdę świetnie.

- *Dżos* - odparł grzecznie Havergill. - Kto dosiada Noble Star?

-

Trawkin.

Twarz gubernatora pojaśniała.

- Doskonały wybór. Tak, on na pewno dobrze pojedzie. Przez jakiś czas obawiałem się, że ktoś będzie chciał was wyeliminować.

- Bo chciał - Dunross smutno się uśmiechnął. - Jeśli coś stanie się Aleksiejowi, wtedy ja go zastąpię na Noble Star.

- No, miejmy nadzieję, że dla dobra Noble House i nas wszystkich Trawkinowi nic nie będzie. Nie stać nas na to, żebyś odniósł jakieś obrażenia. Tor nie wygląda najlepiej. - Deszcz znów popadał przez kilka minut. - I tak mamy szczęście. Obyło się bez groźnych wypadków. Gdyby deszcz zaczął padać wcześniej, warto byłoby zastanowić się nad odwołaniem zawodów.

Już się nad tym zastanawialiśmy, sir. Pobiegniemy trochę później. Gonitwa odwlecze się o jakieś dziesięć minut. Jeśli utrzyma się pogoda podczas tej gonitwy, większość ludzi będzie usatysfakcjonowana.

- O, Ian - przypomniał sobie Sir Geoffrey. - Dzwoniłem już do ministra, ale nie zastałem go. Zostawiłem mu wiadomość i oddzwoni, jak tylko wróci. Zdaje się, że ten skandal z Profumo daje się konserwatystom we znaki. Prasa szaleje i całkiem słusznie. Tu może chodzić o osłabienie bezpieczeństwa. Dopóki komisja nie orzeknie, czy pogłoski o powiązaniach innych członków rządu są prawdziwe, nie będą mieć spokoju.

- Tak - odezwał się Havergill. - Najgorsze jednak już za nami, sir. A co do orzeczenia, to nie sądzę, żeby mogło być niepomyślne.

- Bez względu na wynik ten skandal powali konserwatystów

-

orzekł

Dunross.

Pamiętał

przepowiednie Alana Medforda.

- Na Boga, miejmy nadzieję, że nie. - Havergill przeraził się. - Wyobraźcie sobie, co by było, gdyby tacy jak ten Grey i Broadhurst doszli do władzy.

Jeśli ich konferencje potraktować jako spotkanie przedwyborcze, to już możemy wracać do domu.

- Jesteśmy w domu i tu jest nasze miejsce - powiedział smutno Sir Geoffrey. - W każdym razie, Ian, podjąłeś słuszną decyzję, że nie jedziesz. - Spojrzał

ostro na Havergilla. - Tak, jak mówiłem, Paul, ważna jest umiejętność podejmowania decyzji. Kiepskie będzie widowisko, gdy depozytorzy Ho-Pak odejdą z kwitkiem tylko dlatego, że Richard Kwang źle ocenił

sytuację i że zabrakło dobrej woli komuś, kto mógł

zapobiec takiemu stanowi rzeczy, i to przypuszczalnie z dużym zyskiem, prawda?

- Tak, sir.

Sir Geoffrey skinął głową i odszedł.

- O co chodziło gubernatorowi? - zapytał Dunross.

Uważa, że powinniśmy przejąć Ho-Pak - powiedział wprost Havergill.

- Czemu nie?

- Porozmawiajmy o przejęciu General Stores.

- Najpierw dokończmy o Ho-Pak. Gubernator ma rację, to by nam wszystkim dobrze zrobiło, i Hongkongowi, i bankowi.

- Ty się zgodzisz?

- Oczywiście.

- Nie będziesz blokował decyzji?

-

Nie, naturalnie popnę rozsądne warunki przejęcia.

Paul Havergill uśmiechnął się.

- Zastanawiałem się nad dwudziestoma centami za dolara Richarda.

Dunross bezgłośnie gwizdnął.

- To niewiele.

- W poniedziałek wieczorem spadłby do zera. Najprawdopodobniej zgodzi się na to. Moglibyśmy pokryć sto procent wierzytelności klientów.

- On ma tyle zabezpieczeń?

- Nie, ale po unormowaniu się giełdy i przy naszym zarządzaniu po jakimś roku Ho-Pak faktycznie mógłby zacząć przynosić zyski. A teraz przede wszystkim należy jak najszybciej odzyskać zaufanie. Przejęcie niezmiernie w tym pomoże.

- Dzisiejsze popołudnie będzie idealne, by to ogłosić.

-

Słusznie. Masz jakieś wieści od Drepczącego?

Dunross przyjrzał mu się uważnie.

- Skąd ta nagła zmiana, Paul? I dlaczego ze mną o tym dyskutujesz?

- Nic się nie zmieniło. Bardzo dokładnie przemyślałem kwestię Ho-Pak. Taki zakup będzie się zgadzał

z kierunkiem rozwoju banku. Richard wyjdzie z twarzą i dostanie od nas miejsce w radzie.

- A więc plotki na temat Wielkiego Banku są prawdziwe?

- Ja nic o tym nie wiem - odparł chłodno bankier. -

A dlaczego mówię o tym z tobą? Ponieważ masz największe wpływy w radzie. To chyba dostateczny powód, nie?

- Tak, ale...

Havergill zmierzył go lodowatym wzrokiem.

- Interes banku nie ma nic wspólnego z nieporozumieniami między nami ani z twoimi metodami postępowania. Jednak co do Superfoods masz rację. Złożyłeś dobrą ofertę w odpowiednim czasie. Zyskałeś sobie wiele zaufania i wkrótce informacja rozniesie się po całym Hongkongu. Jeśli teraz my ogłosimy połączenie się z Ho-Pak, z pewnością także wzrośnie zaufanie ludzi. A tego nam właśnie potrzeba. Jeśli Drepczący wesprze nas gotówką, to w poniedziałek w Hongkongu nastąpi boom. W poniedziałek rano od razu zaczniemy wykupować akcje Struanów. Do poniedziałku wieczór przejmemy kontrolę. Ale chcę z tobą teraz zawrzeć umowę: my wykładamy dwa miliony dolarów na General Foods w zamian za połowę twoich akcji Victorii. c

- Nie, dziękuję, nie skorzystam.

- Do przyszłego weekendu będziemy mieć je wszystkie. Gwarantujemy dwa miliony oraz przejęcie twojej oferty złożonej Pugmire'owi w razie, gdyby Struanowie upadli.

- Nie upadną.

- Oczywiście. Nie masz nic przeciwko temu, żebym wspomniał o tym jemu i temu główniarzowi Haply'emu?

- Łajdak z ciebie.

Havergill wykrzywił usta w uśmiechu.

- To jest biznes. Ja chcę dostać twój pakiet akcji Victorii. Twoi przodkowie kupili je za bezcen,



niemal je ukradli Brockom, gdy ich zniszczyli. Ja zamierzam zrobić to samo. I chcę przejąć kontrolę nad Noble House.

Oczywiście, że tak. Wielu innych też tego pragnie. Z

pewnością gdyby twój znajomek z Ameryki, Bartlett, znał prawdę, też by się do tego przymierzał. Skąd weźmiesz te dwa miliony?

- Spadną mi z nieba.

- Wcześniej czy później i tak się dowiemy. My jesteśmy waszym bankiem, a ty jesteś nam winien dużo pieniędzy! Drepczący nas wesprze?

Nie wiem na pewno, ale rozmawiałem z nim wczoraj w nocy. Obiecał przyjść tutaj po lunchu, ale jeszcze go nie widziałem. To zły znak.

- Tak. - Havergill starł paproszek z nosa. - Dostali-

śmy bardzo ciekawą propozycję z banku w Moskwie.

- Mimo

że

nie

wszystkie

szanse

jeszcze

wykorzystaliście?

- Ian, to dla nas ostatnia deska ratunku.

- Zwołasz natychmiastowe posiedzenie rady w sprawie przedyskutowania przejęcia Ho-Pak?

- Na Boga, nie - zachnął się Havergill. - Masz mnie za głupca? Gdybym to uczynił, ty wystąpiłbyś o udzielenie kredytu. Nie, Ian, zapytam każdego z osobna, tak jak ciebie. A skoro ty to zaakceptowałeś, to już stanowimy większość. Uzyskanie zgody innych to tylko formalność. A zatem mogę na ciebie liczyć?

- Jeśli płacisz dwadzieścia centów za dolara i gwarantujesz klientom wypłaty, tak.

- Być może będzie trzeba podnieść do trzydziestu centów.

- Zgoda.

- Dajesz słowo?

- Daję.

- Dziękuję.

- Ale zwołasz radę przed otwarciem giełdy w poniedziałek?

Zgodziłem się tylko to rozważyć. Zastanowiłem się i odpowiedź brzmi nie. W Hongkongu mieszka wolne społeczeństwo, słabi upadają, a silni korzystają z owoców swojej pracy. - Havergill uśmiechnął się i spojrzał na tablicę. Dwa do jednego za Butterscotch Lass, wiadomo było, że ona lubi wilgotną nawierzchnię. Pilot Fish trzy do jednego. Właśnie wtedy zostało wyświetlone imię i nazwisko Trawkina jako posiadającego Noble Star. Po trybunach przeszedł głośny pomruk. - Uważam, że gubernator się myli, Ian. Powinieneś sam pojechać. Na pewno postawiłbym

na

ciebie.

Tak.

Z

pewnością

przyjechałbyś w blasku chwały. A Trawkina nie jestem pewien. Do zobaczenia. - Uchylił kapelusza i ruszył w stronę Richarda Kwanga stojącego z żoną i swoim trenerem. - O, Richard! Mogę cię prosić na słówko... -

zagłuszył go wybuch entuzjazmu na trybunach, gdy na torze pojawił się pierwszy z uczestników piątej gonitwy, lśniący czernią Pilot Fish.

- Słucham, Paul? - zapytał Richard Kwang, gdy znaleźli się w ustronnym miejscu. - Planowałem z tobą porozmawiać, ale nie chciałem ci przerywać. Mam plan. Zgromadźmy wszystkie zabezpieczenia Ho-Pak razem, a jak wy pożyczycie mi pięćdziesiąt mil...

- Nie, Richard - przerwał mu ostro Havergill. - Ale ja też mam propozycję ważną do dzisiaj do piątej. My podtrzymamy Ho-Pak i damy gwarancje wszystkim depozytorom. W zamian za to wykupimy twoje osobiste udziały po cenie parytetowej...

- Słucham? Przecież to piętnaście razy poniżej wartości! - jęknął Richard Kwang. - Piętnaście razy...

- Wychodzi po pięć centów za dolara, czyli mniej więcej tyle, ile są warte. Umowa stoi?

- Oczywiście, że nie. *Dew neh loh moh*, czy ja jestem przeklęty wariat?

Richard Kwang niemal dostał zawału. Jeszcze przed chwilą nie uwierzyłby, że Havergill

zapropnuje mu wybawienie od upadku, który do tej pory wydawał

mu się już absolutnie przesądzone, nawet mimo udawania, że jest inaczej. Chociaż doszło do tego zupełnie nie z jego winy, tylko jakiegoś idioty, który zaczął rozpuszczać plotki. Ale teraz już wszystko wiadomo! *Oh kol* Teraz tai-panowie obedną go ze skóry i nic na to nie poradzi. Ooo! Nie dość że katastrofa za katastrofą, to jeszcze niewdzięcznica Venus Poon pozbawia mnie twarzy przed wujkiem Cztery Palce, Charliem Wangiem i Fotografem Ngiem.

I to po tym, jak jej wspaniałomyślnie podarowałem nowe futro z norek, które tak beztrosko świechta w błocie.

- Nowe? - zapytała dzisiaj rano. - Twierdzisz, że ten łach kupiony w sklepie z używaną odzieżą jest nowy?

Oczywiście! - wrzasnął. - Myślisz, że masz przed sobą durnia? Oczywiście, że nowe. Kosztowało pięć-

dziesiąt tysięcy dolarów gotówką *oh ko!* - Sumę mocno zawyżył, ale kupił naprawdę za gotówkę, a oboje wiedzieli, że postąpiłby w niecywilizowany sposób, gdyby nie przesadzał. Za futro zapłacił czternaście tysięcy po utargowaniu dwóch tysięcy od pewnego *quai loh*, który znalazł się w kłopotach, a następne dwa tysiące musiał jeszcze wydać na kuśnierza, aby przez noc skrócił i dopasował futro w taki sposób, żeby było nie do poznania, plus zagwarantował, że na wszystkich bogów przysięgnie, że Kwang kupił to futro za czterdzieści dwa tysiące, choć warte jest sześćdziesiąt trzy tysiące pięćset.

- Paul - zaczął podniosłym tonem Richard Kwang -

Ho-Pak znajduje się w lepszej kondycji niż kiedyś...

- Przymknij się z łaski swojej i słuchaj! - zagłuszył

go Havergill. - Nadszedł czas, by podjąć poważną decyzję. Ważną dla ciebie i dla nas. W poniedziałek możesz zostać bez grosza... Przypuszczam, że zostanie wznowiony obrót twoimi akcjami.

- Ale Sir Luis zapewnił mnie...

- Ja słyszałem, że będą dopuszczone, a więc do poniedziałku wieczór nie będziesz miał ani banku, ani akcji, ani koni, ani na futra z norek dla Venus Poon...

- Co? - Richard Kwang zbladł, świadom, że żona stoi nie dalej niż dwadzieścia kroków od nich i obserwuje ich. - Jakie futra z norek?!

Havergill westchnął.

-

W porządku, skoro nie jesteś zainteresowany...

Odwrócił się, ale chiński bankier chwycił go za ramię.

- Pięć centów to śmieszna cena. Osiemdziesiąt to najmniej, ile mogę dostać za...

- Może mógłbym podnieść do siedmiu.

- Do siedmiu? - Bankier siarczyście zaczął przeklinać, aby zyskać czas na zastanowienie. - Zgadzam się na połączenie banków. Miejsce w radzie na dziesięć lat i pensję...

- Na pięć lat pod warunkiem, że dasz mi poświadczoną rezygnację bez wpisanej daty i zawsze będziesz głosował tak jak ja. A pensję dostaniesz jak inni dyrektorzy.

- Dobrze, ale bez rezygnacji...

- ;W takim razie nie ma umowy.

-

No dobrze, zgadzam się. Ale co do pieniędzy, to...

- Nie, Richard, nie chcę się wdawać w długie pertraktacje. Gubernator, tai-pan i ja zgodziliśmy się, że Victoria powinna podtrzymać Ho-Pak. To już zdecydowane. Odzyskałeś twarz. Gwarantuję, że cena przejęcia pozostanie tajemnicą, tak samo jak wszystkie wstępne umowy przed połączeniem. A przy okazji, chcę to ogłosić o piątej, zaraz po siódmej gonitwie. Albo nic z tego. - Havergill straszyl

nachmurzoną, srogą twarzą, ale w duszy czuł

wesołość. Gdyby nie wystąpienie Dunrossa, nigdy by się nie zdecydował na taki krok. Ten łajdak ma rację.

Czas na innowacje, a komu bardziej wypada, jak nie nam? Nareszcie zrównamy się z Blacs! A w przyszłym tygodniu będziemy mieć w kieszeni Struanów, w następnym roku...

- Pięćdziesiąt siedem centów i to jest kradzież - powiedział Kwang.

- Podniosę do dziesięciu.

Richard łapał się za głowę i prawie zalewał łzami, w istocie jednak cieszył się, że nadarzyła się okazja do wypłynięcia. *Dew neh loh moh*, jeszcze przed chwilą nie miałem na utrzymanie Butterscotch Lass ani na pierś-

cionek z brylantem, a teraz jestem wart trzy i pół

miliona amerykańskich dolarów i istnieje szansa na podwyższenie tej sumy.

- Na bogów, trzydzieści.

- Jedenaście.

- Będę musiał popełnić samobójstwo! - zajęczał.

- Moja żona popełni samobójstwo, moje dzieci...

- Przepraszam, Panie - odezwał się po kantońsku trener. - Za dziesięć minut zaczyna się gonitwa, czy zechciałby pan wydać jakieś instrukcje?

- Nie widzisz, że jestem zajęty, grubasie? Wynocha!

- syknął po kantońsku dodając kilka przekleństw, a potem zwrócił się do Havergilla z ostateczną propozycją:

- Trzydzieści, panie Havergill, i uratował pan biedaka i całą rodzinę od...

- Osiemnaście i koniec!

Dwadzieścia pięć i podpisujemy umowę. - Mój drogi, przykro mi, ale muszę jeszcze postawić pieniądze na piątą gonitwę. Osiemnaście, tak czy nie?

Richard Kwang błyskawicznie oceniał swoje szanse.

Zauważył oznaki gniewu na twarzy rozmówcy.

Pieprzone psie płuco! Czy nadszedł już czas, aby finalizować

pertraktację?

Do

piątej to łajno

trędowatego może zmienić zdanie. Skoro tai-pan zdobył nowe linie kredytowe, to może i ja mógłbym...

Nie, nie ma szans. Osiemnaście to ponad trzy razy tyle co proponował na początku! Widać, że to spryciarz i dobry negocjator. Ale czy czas już kończyć?

Pomyślał o Venus Poon, o tym, jak traktuje jego kosztowny podarunek, jak daje się oprowadzać Wu T7tery Palce i łzy gniewu niemal trysnęły mu z oczu.

- Ooo - wyjąkał zadowolony ze swej zdolności do zalewania się prawdziwymi łzami. - Dwadzieścia, na bogów, i jestem ci oddany na wieki.

- Dobrze - zaakceptował to z zadowoleniem Havergill. - Przyjdź do mojej łóżki za piętnaście piąta.

Będę miał prowizoryczną umowę do podpisania. I twoją rezygnację bez daty. O piątej ogłosimy połączenie banków, Richard, ale do tego czasu ani mru-mru!

Jeśli ta informacja wydostanie się wcześniej, to z umowy nici!

-

Oczywiście.

Havergill skinął, a Richard Kwang podszedł do żony.

- Czego chciał?

- Cicho! - burknął. - Zgodziłem się na fuzję z Victorią.

-

Ile ci dadzą za udziały?

Jeszcze bardziej zniżył głos.

-

Dwadzieście centów za... ee... cenę nominalną.

W jej oczach pojawił się błysk.

- *Aiii ia!* - zawołała i natychmiast ściszyła głos. -

Dobrze się spisałeś.

- I do tego posada dyrektora na pięć lat.

- liii, zachowaliśmy twarz!

-

Tak Posłuchaj, do piątej musimy kupić jak najwięcej akcji Ho-Pak po cenie chwili, zanim każdy przekłety gracz będzie mógł na nas zarobić. Nie możemy sami się tym zająć, bo od razu zaczną się podejrzenia.

Kto nam może pomóc?

Jakiś czas zastanawiała się. Oczy znów jej zabłyśły.

- Dochodowy Czoj. Daj mu siedem procent i zgodzi się zrobić dla nas wszystko.

- Na początek zaproponuję mu pięć, podniosę do sześciu i pół! Doskonale! Mogę też wykorzystać Uśmiechniętego Czinga, on jest teraz biedakiem.

Stracił , wszystko. A oprócz nich... Spotkamy się w łoży. - Odwrócił się, podszedł do trenera i kopnął go w kostkę.

- Och przepraszam - powiedział na wypadek, gdyby ktoś to zauważył. - Nie przerywaj mi, jak jestem zajęty, ty paskudne zgniłe psie płuco! I jak mnie oszukasz tak jak nabrałeś Toka Wielki Brzuch, to...

- Ale mówiłem ci, Panie, o tym - powiedział kwaśno.

- On też o tym wiedział! Czyj to był pomysł? Nie chcecie obydwaj zbić fortuny?

- *Oh ko!* Jeśli mój koń nie wygra tej gonitwy, to poproszę siepaczy wujka Cztery Palce, żeby cię stłukli na Niebieskie Jabłko!

Spadło kilka kropel deszczu i wszyscy z niepokojem popatrzyli na niebo. Równie spięci byli widzowie stojący na balkonie dla członków klubu. Orlanda zadrżała z emocji.

- Och, Linc, idę postawić.

- Już wybrałaś? - zapytał ze śmiechem, ponieważ ona przejmowała się tą decyzją przez całe popołudnie.

Najpierw zamierzała postawić na Pilot Fish, potem na Noble Star, później na nieznanego faworyta Winning Billy, a w końcu zdecydowała się na Butterscotch Lass. Za Pilot Fish płacono trzy do jednego, za Noble Star od momentu ogłoszenia, że pojedzie Trawkin -

sześć do jednego. Ogółem wpłynęło dotąd cztery miliony siedemset .tysięcy dolarów hongkongijskich. -

Ile postawisz?

Zamknęła oczy i wyrzuciła z siebie szybko:

-

Wszystko, co wygrałam, i dodatkowo to! Zaraz wracam, Linc.

- Powodzenia. Zobaczymy się po gonitwie.

- Tak, oczywiście, z tego wszystkiego zapomniałabym. Baw się dobrze! - Uśmiechnęła się i zanim zdążył ją zapytać, na kogo postawi, pobiegła do okienka. On już wytypował. Dziesięć tysięcy przeznaczył na Pilot Fish i Butterscotch Lass.

Powiniennem

wygrać,

pomyślał

z

rosnącym

podnieceniem.

Wyszedł z balkonu i ruszył do wind, aby wjechać z powrotem na górę. Wielu ludzi obserwowało go, niektórzy pozdrawiali, ale większość zazdrościła odznaki wpiętej w klapę.

- Cześć, Linc!

- O, cześć! - zawołał do Biltzmanna. - Jak leci? –

Słyszałeś o tej zagrywce? Oczywiście, przecież tam byłeś. - Masz chwilę czasu?

- Jasne. - Świadom zdziwionych spojrzeń zszedł z nim korytarzem w dół.

- Słuchaj - zagadnął, Biltzmann, gdy znaleźli się w cichym zakątku. - Powinieneś uważać na siebie w interesach z tymi łajdakami. Jesteśmy pewni, że podpiszemy umowę z General Stores.

- Chcecie podbić cenę? - zapytał Bartlett.

- To zależy od mojego biura, ale ja chętnie zatopił-

bym tę całą wyspę.

Bartlett nic nie odpowiedział. Widział przyglądają-

cych się im ludzi.

- Linc - Biltzmann zniżył głos i uśmiechnął się. -

Masz jakieś szczególne zamiary co do tej dziewczyny?

- O kogo ci chodzi?

- O tę Euroazjatkę, o tę Orlandę; wiesz, co z nią rozmawiałeś. - Bartlett czuł, jak krew napływa mu do twarzy, a Biltzmann nie zauważywszy niczego mówił

dalej. - Mógłbym też o nią zahaczyć? - Mrugnął

porozumiewawczo okiem. - Poprosisz ją, żeby się ze mną

spotkała?



-  
To... To wolny kraj - odrzekł Bartlett ogarnięty nagłą nienawiścią.

-  
Dzięki. Ma zgrabny tyłeczek. - Biltzmann nachylił

się jeszcze bardziej. - Ile bierze?

Bartlett zupełnie się tego nie spodziewał i wprost zbaraniał.

- Na Boga, to nie dziwka!

- Jak to nie? Nie wiedziałeś? Całe miasto o tym mówi. Ale Dickie twierdzi, że jest kiepska w łóżku. To prawda? - Biltzmann źle odczytał wyraz twarzy Linca.

- A więc jeszcze jej nie zaciągnąłeś? Podobno wystarczy

jedynie...

- Słuchaj, skurwysynu - syknął Bartlett ogarnięty ślełą furią. - Ona nie jest dziwką, a jak odezwiesz się do

niej albo chociaż się zbliżysz, to ci spiorę ryjsko, zrozumiano?

- Spokojnie, Linc, nie miałem zamiaru...

Dotarło do ciebie?

\*

- Jasne, jasne, nie ma potrzeby... - Biltzmann cofnął

się. - Spokojnie, nie przejmuj się. Dickie... - Przerwał

przerażony, Bartlett ruszył rozeźlony w jego stronę.

- Na litość boską, to nie moja wina, spokojnie...

- Zamknij się! - Bartlett z trudem powstrzymywał

złość. Wiedział, że to ani miejsce, ani czas, żeby spoliczkować Biltzmanną. Rozejrzał się dokoła, ale Orlandy już nie było. - Zmiataj, skurwielu, i nigdy się do niej nie zbliżaj!

- Jasne, jasne, tylko spokojnie, dobra? - Biltzmann cofnął się jeszcze jeden krok, odwrócił się i odszedł w popłochu. Bartlett stał chwilę niezdecydowany, a potem poszedł do męskiej toalety i żeby się uspokoić, spryskał sobie wodą twarz. Woda ze zbiornika specjalnie zebrana na wyścigi

wyglądała na brudną. Po jakimś czasie poszedł do windy i pojechał do łoży Dunrossa. Nadeszła pora na herbatę. Gościom podawano kanapki, ciastka, sery, indyjską herbatę z mlekiem i cukrem, ale Bartlett był jakby pogrążony we śnie.

Donald McBride właśnie wychodził do swojej łoży.

-

Ach, panie Bartlett, muszę wyrazić panu swoje zadowolenie z tego, że zamierzacie prowadzić u nas interesy. Szkoda Biltzmanna, ale w biznesie wszystko jest fair. Pańska Casey to czarująca osóbką.

Przepraszam, muszę iść. Wyszedł, a Bartlett zatrzymał się w wejściu.

- Hej, Linc - z balkonu zawołała radośnie Casey. -

Chcesz herbaty? - Gdy stanęli naprzeciwko siebie, uśmiech zniknął z jej twarzy. - Co się stało?

- Nic, nic, Casey. - Zmusił się do uśmiechu. - Stoją już na starcie?

- Jeszcze nie, ale zaraz się zaczną. Na pewno nic ci nie jest?

- Oczywiście. Na kogo postawiłaś?

- Na Noble Star, jakżeby inaczej? Peter wytypował

konia doktora Tooleya, Winning Billy, na wszelki wypadek na niego też postawiłam pięćdziesiątkę. Nie wyglądasz za dobrze. Boli cię brzuch?

Pokręcił głową.

-

Nie, nic mi nie jest, a tobie?

- Skądże! Świetnie się bawiłam. Peter jest w doskonałym nastroju, a doktor Tooley umiera ze zdenerwowania.

Zawahała się. - Dobrze, że cię nie boli brzuch. Doktor mówi, że skoro dotąd nie ma żadnych oznak, to chyba nic nam się nie stało, ale coś pewnego będzie można powiedzieć dopiero po dwudziestu dniach.

- Jezu! - westchnął Bartlett, starając się zetrzeć z pamięci rozmowę z Biltzmannem. - Prawie już zapomniałem o pożarze w Aberdeen i o całej tej sprawie. Wydaje się, jakby minęły tysiące lat.

- Mnie też. Co się stało z tym czasem?

- To jest Hongkong - wtrącił stojący w pobliżu Gavallan.

- Co masz na riiyśli?

- W Hongkongu to normalne. Gdy się tu mieszka, człowiek nigdy nie ma za dużo czasu. Obojętnie, czym się zajmujesz. Zawsze jest za wiele do zrobienia.

Ludzie

przyjeżdżają,

odjeżdżają,

przyjaciele,

interesanci. Ciągłe jakieś klęski: powodzie, pożary, skandale, boomy, okazje do zrobienia interesu, pogrzeby, bankiety, koktajle, upadki. To małe miejsce i wkrótce poznacie wszystkich ludzi z naszego kręgu.

Poza tym znajdujemy się w centrum Azji i jeśli nawet nie zwiążecie się ze Struanami, to i tak cały czas będziecie w ruchu, będziecie planować,

zarabiać pieniądze, ryzykować pieniądze, wyjeżdżać do Tajwanu, Bangkoku, Singapuru, Sydney, Tokio, Londynu i do wielu innych miejsc. Na tym polega czar Azji.

Popatrzcie, ile się wydarzyło od waszego przyjazdu: uprowadzenie i zamordowanie Johna Czena, odkrycie broni w waszym samolocie, pożar, załamanie się giełdy, szturm na banki, atak Gornta. W poniedziałek mogą być zamknięte banki, jeśli natomiast Ian ma rację, nastąpi też boom. A my prowadzimy interesy. - Uśmiechnął się. -

Co sądzicie o naszej ofercie?

Casey powstrzymała się od komentarza i spojrzała na Bartletta.

- Świetna - odparł Bartlett myśląc o Orlandzie.

- Jeśli komuś może się udać, to na pewno jemu. -

Gaval an westchnął głęboko. - No, miejmy nadzieję, tylko tyle nam pozostało. Postawiliście już pieniądze?

Bartlett uśmiechnął się i Casey poczuła się znacznie swobodniej.

- A ty na którego postawiłeś, Andrew?

- Porządek, Noble Star i Winning Bil y. Do zobaczenia.

- Odszedł.

- Niesamowite jest to, co mówił o Hongkongu. Ma rację.

Wydaje mi się, że Stany znajdują się miliony mil stąd.

- Tak, ale to nieprawda.

- Chcesz tu zostać, Casey?

Spojrzała na niego i zastanowiła się nad pytaniem. O

co tak naprawdę mu chodzi?

- To zależy od ciebie, Linc.

Wolno pokiwał głową.

- Myślisz, że mógłbym dostać trochę herbaty?

- Jasne, ja ci przyniosę - zaproponowała, a potem zobaczyła w wejściu zdenerwowanego Murtagha. Serce jej zamarło. - Linc, nie poznałeś jeszcze naszego bankiera. Przyrowadzę go tutaj.

Podeszła do wejścia.

- Cześć, Dave.

Cześć, Casey, widziałaś tai-pana?

- Zajęty. Będzie miał czas dopiero po gonitwie.

Odpowiedź brzmi tak czy nie? - szepnęła ostrożnie, nie chcąc, aby Bartlett się zorientował.

- Być może. - Wytarł czoło i zdjął płaszcz. Miał

przekrwione oczy. - Chyba z godzinę nie mogłem złapać taksówki.

- Co być może?

- Być może. Przedstawiłem im projekt, a oni powiedzieli mi, żebym zabierał tyłek do domu, bo chyba zwariowałem. Potem, jak już się uspokoili, obiecali, że skontaktują się ze mną. Te półgłówki zadzwoniły do mnie o czwartej rano i chciały, żebym jeszcze raz przedstawił im cały plan. Podeszedł sam S. J. . Spojrzał do góry. -

Powiedział że jestem kawał... że mi odbiło, i odłożył

słuchawkę.

- Ale powiedziałaś „być może”. Co było dalej?

- Pięć godzin próbowałem się do nich dodzwonić, aż wreszcie udało mi się wyjaśnić im, na czym polega błyskotliwość tego planu. Coś ci powiem, Casey. Teraz S. J. wie już, kim jest Dave Murtagh Trzeci!

Roześmiała się.

- Słuchaj, nie mów tu nikomu o tym. Oczywiście z wyjątkiem tai-pana.

Popatrzył na nią cierpiętniczym wzrokiem.

- Myślisz, że bym rozgadał i pozwolił sobie zrobić z tyłka hamburger?

Na trybunach znów zrobił się szum.

- Podchodzą do startu! - zawołał ktoś z balkonu.

- Szybko - ponagliła Casey. - Idź do okienka postawić.

Porządek, jedynek i siódemka. Szybko, póki jeszcze jest czas!

- Co to za konie?

- Nieważne. Nie ma czasu. - Lekko go popchnęła i poszedł. Sama zabrała filiżanki z herbatą i przyłączyła się do Bartletta i innych na balkonie.

- Linc, herbata.

- Na kogo ty kazałaś mu postawić?

- Na jedynekę i siódemkę.

- Ja stawiałem na jedynekę i ósemkę.

Znów rozległ się szum na widowni. Konie zaczęły się ustawiać przy boksach na starcie. Pilot Fish wierzgał i nie mógł ustać w miejscu, dżokej jednak zachowywał

odpowiednią pozycję, ścisnął go kolanami i mocno trzymał lejce, lecz ogier nie był jeszcze gotów do zajęcia stanowiska. Nastroszył grzywę i zarżał. Klacz i dwie źrebice - Złota Dama i Noble Star - natychmiast drgnęły, poruszyły chrapami i odpowiedziały mu rzeniem. Pilot Fish wydobył z siebie wysoki ton, cofnął się i wierzgnął przednimi kopytami do góry. Wszyscy wstrzymali oddechy. Dżokej Bluey White zaklął pod nosem, złapał silnymi dłońmi za grzywę i ustawił

ogiera.

-

Spokojnie - rzekł łagodnym głosem. - Niech sobie panienki popatrzą na twoje co nieco.

W pobliżu stał Trawkin na Noble Star. Żrebica wyczuwała ogiera i to ją niepokoiło. Zanim Trawkin się zorientował, odwróciła głowę, cofnęła się i znalazła przy kłębie Pilot Fisha. Ten natomiast usunął się i uderzył w Winning Billa - gniadego wałacha, który nerwowo odwrócił głowę i odbiegł kilka kroków prawie przewracając Lochinvara - innego wałacha.

- Trzymaj no ją, Aleksiej, na litość boską!

- Nie wchodź mi w drogę, *ubljudokl* - warknął

Trawkin. Pod kolanami czuł, że Noble Star rwie się do wyścigów. Siedział wysoko w siodle, strzemiona miał

bardzo krótkie. Zastanawiał się, czy trener Pilot Fish wysmarował boki i piersi konia piżmem ogiera, aby niepokoić żrebicę. Stara sztuczka, myślał, bardzo stara.

- Panowie, proszę na linię! - powiedział starter donośnym głosem.

Kilka koni już zajęło miejsca w boksach.

Butterscotch Lass, brązowa klacz uchodząca za faworytkę, parskała podniecona zbliżającym się wyścigiem i bliskością ogiera. Winning Billy zajmował

stanowisko trzecie, między Street Vendorem i Złotą Damą. Ich zapach i niepokój ogiera dręczyły wałacha.

Nim zamknęły się za nim drzwiczki, ze złością opierał

się i kiwał łbem z boku na bok i przebierał kopytami jak tancerz. Prawie zderzył się z Noble Star, która odmawiała wejścia do boksu. - - Aleksiej! - zawołał

starter. - Pośpiesz się!

- Tak, oczywiście - odpowiedział, ale wcale nie miał

zamiaru poganiać żrebicy. Pozwolił jej stanąć dęba i trzymał ją z daleka od ogiera. - Spokojnie, moja droga

- mówił do niej po rosyjsku chcąc wytrącić innych z równowagi. Jeszcze tylko on nie zajął miejsca na starcie. Na wschodzie zza chmur błysnęło słońce, ale tego nie zauważył. Mżyło coraz bardziej.

Cały się skoncentrował. Gdy był w przebieralni, odezwał się jeden z dżokejów:

-

Panie Trawkin. Nie pan ma tu wygrać.

- Co? Kto tak powiedział? Dżokej wruszył

ramionami.

- A kto ma wygrać?

- Dżokej znów wzruszył ramionami.

- Jeśli dżokeje i trenerzy się jakoś ze sobą umówili, to ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego. W Hongkongu nigdy się w nic takiego nie mieszałem.

- Powinno wam wystarczyć, że wygraliście z Korsarzem.

- To jest wyścig, a ja jestem zawodnikiem.

- Oczywiście, to sport. Powiem im.

-

Jakim im?

Dżokej odszedł. W przebieralni panował hałas.

Czuć

było zapach potu. Trawkin doskonale zdawał sobie sprawę, kto wchodzi w skład szajki. Niektórzy z góry ustalali wyniki, ale on nigdy nie brał w tym udziału. I wcale nie dlatego, że uważał się za uczciwszego od innych. Jego po prostu nie pasjonowały wyścigi, w któ-

rych było wiadomo, kto wygra, nie podniecały go też pieniądze.

Starter zaczął się niecierpliwić.

-

Aleksiej, pośpiesz się!

Ściągnął cugle i wprowadził Noble Star do boksu.

Zamknęły się za nim drzwiczki. Chwila napięcia. Teraz starter mógł wreszcie zacząć.

16:00

Dżokeje wbili palce w końskie grzywy. Nagle drzwiczki się otworzyły i naprzód pogalopowało osiem koni. Pędziły obok siebie po prostej do pierwszego zakrętu. Wszyscy jeźdźcy stali w strzemionach, znajdowali się tak blisko siebie, że niemal się dotykali. Na zakręcie, po jednej czwartej okrążenia, konie zaczęły się rozsuwać. Znajdujący się najbliżej strony wewnętrznej Pilot Fish wysforował się na czoło, za nim Butterscotch Lass, dalej Winning Billy i biegnąca po zewnętrznej Noble Star. Wszyscy dżokeje zdawali sobie sprawę, że w ich stronę skierowane są tysiące lornetek, więc musieli zrezygnować ze wszystkich sztuczek. Setki razy ostrzeżono ich, że zwycięstwo lub porażka może zdecydować o całej ich przyszłości.

Minęli zakręt, błoto rozpryskiwało się pod kopytami, konie miały utrudnione zadanie. Za zakrętem, nadal w zwartej grupie, wszyscy poluźnili cugle i zaczęła się walka o miejsca, rozchodził się zapach potu, szybkość podniecała zarówno konie, jak i jeźdźców. Winning Billy zrównał się z Butterscotch Lass i znajdował się o pół

długości za Pilot Fish. Czekał na odpowiednią chwilę, żeby zaatakować. Nagle Butterscotch Lass chwyciła wiatr w żagle i wyprzedziła Pilot Fish, znów znalazła się za nim i wyprzedziła jeszcze raz. Pilot Fish cały czas trzymał

się wewnętrznej.

Trawkin spokojnie jechał z tyłu grupy, w pewnym momencie ścisnął Noble Star i zwiększył prędkość, zbliżając się do prowadzących. Deszcz się wzmagił.

Krople deszczu smagały go po twarzy, zaczęły go boleć kolana i łydki. Po wejściu galopem w zakręt konie zrównały się ze sobą, właśnie zbliżały się do wyjścia na ostatnią prostą, gdy Trawkin poczuł bolesne smagnięcie na nadgarstkach. Nagłe pieczenie zmusiło go do rozluźnienia uścisku i niemal stracił równowagę. Po ułamku sekundy już nad wszystkim panował. Nie wiedział, kto go uderzył, wcale się tym nie przejmował, ponieważ musiał gnać naprzód. Nagle Kingplay biegnący po wewnętrznej tuż za Pilot Fish poślizgnął się i przewrócił. Dżokej spadł na ziemię. O Kingplaya potknęły się dwa następne konie. Na stadionie wszyscy zerwali się na równe nogi.

- Chryste , kto upadł?

- To... Noble Star...

- Nie, nie... To Winning Billy...

- Nie, on jest trzeci...

- Na miłość boską...

W sali gospodarzy klubu Dunross z kamiennym spokojem trzymał lornetkę przy oczach.



- Upadł Kingplay - powiedział. - Kingplay, Street Vendor i Złota Dama... Złota Dama już wstała, ale jej dżokej jest ranny... Kingplay nie podnosi się... też mu się coś stało...

- Jaka kolejność, jaka kolejność?

- Prowadzi Butterscotch Lass, dalej Pilot Fish, Winning Billy, Noble Star, nic się nie zmieniło. Wychodzą z zakrętu, Lass wysuwa się do przodu, pozostali atakują...

- Serce Dunrossa niemal zatrzymało się, poddał się emocjom. - No, Aleksie!... - Krzyknął tak samo jak Casey i inni. Jedynie Bartlett obserwował wyścig w spokoju.

Gornt w łoży Blacs, podobnie jak tai-pan, trzymał

lornetkę pewną ręką. Panował nad swoim podnieceniem.

- No dalej... - mrucał pod nosem obserwując, jak Bluey White zacina Pilot Fish. Obok biegła Noble Star, Winning Billy i Butterscotch Lass, ale z tego miejsca trudno było ocenić, który koń prowadzi.

Trawkin znów poczuł smagnięcie na dłoniach, ale nie przejął się tym i łagodnie wyszedł na prostą.

Bluey White na Pilot Fish wiedział, że za moment musi nastąpić atak. Dziesięć jardów, pięć, cztery, trzy, dwa, teraz! Uderzył mocniej Pilot Fish i ogier wyrwał do przodu, ułamek sekundy później w jego ślady poszła Butterscotch Lass. Wszyscy dżokeje zdawali sobie sprawę, że teraz albo nigdy.

Trawkin przylgnął do szyi Noble Star, krzyknął jej do ucha kozackie zawołanie i popuścił cugli, piana płynęła z pyska żrebicy. Wszystkie pięć koni pędziło obok siebie. Winning Billy prowadził przed Butterscotch Lass, na czoło zaczął się wysuwać Pilot Fish, do ataku ruszył wałach Lochinvar i przejął prowadzenie od Fiioi Fish. wszystkie konie gnały do mety.

-

Sto jardów.

Głosy na trybunach i w łożach zlały się w jeden przeciągły wrzask. Nawet gubernator walił pięścią w poręcz balkonu.

-

Dalej, Butterscotch Lass, dalej...!

Dziewięciokaratowy Czu niemal rozpląszczył się na

balustradzie pod naciskiem napierającego tłumu.

Dziewięćdziesiąt jardów, osiemdziesiąt... Spod kopyt tryska błoto, wszystkie konie pcha naprzód podniecenie, doping i narastający szum z trybun.

- Wygra Lass...

- Nie, patrz na Pilot Fish...

- Winning Billy...

- Tempo, tempo, dalej...

Trawkin widział zbliżającą się metę. Znów się błysnęło. Kątem oka zauważył, że na czoło wysuwa się Lochinvar, potem Lass, Winning Billy, znów Pilot Fish, Winning Billy i Lochinvar zaczęły blokować Trawkina na Noble Star.

Bluey White zauważył, że ma obiecane miejsce, i po raz ostatni smagnął ogiera. Pomknął jak strzała i minął

Butterscotch Lass. Prowadził. Zauważył, jak dżokej Lass okłada konia nahajką. Trawkin krzyknął i zmusił

Noble Star do wysiłku. Ostatnie jardy wszystkie konie szły łeb w łeb. Lekko prowadził Pilot Fish, później Winning Billy, potem Noble Star o długość szyi, o poło-wę, znów naprzód wysunął się Winning Billy, potem Lass, Pilot Fish...

Czterdzieści... trzydzieści... dwadzieścia... piętna-  
ście...

Prowadziła Noble Star, później Pilot Fish, Lass, znów Noble Star... Winning Billy... minęły metę. Żaden dżokej nie miał pewności, kto wygrał. Jedyne Trawkin wiedział, że przegrał. Aby zyskać dwa zwycięskie cale, pociągnął za wędzidło i przytrzymał sztywno. Trwało to niezauważalny moment, ale wystarczyło, żeby wybić Noble Star z rytmu - potknęła się. Z przerażającym rzeniem przewróciła się w błoto pociągając za sobą jeźdźca. Niemal zahaczyła o nią Lass, ale dżokejowi udało się utrzymać równowagę. Pozostali jeźdźcy byli bezpieczni. Trawkin czuł, że spada, potem zabolowało go w piersiach i ogarnęła ciemność.

Widownia zamarła w bezruchu. Ludzie rozprawiali o gonitwie. Jeszcze jedna błyskawica przecięła niebo i rozległ się grzmot, wzmagała się ulewa.

- Pilot Fish...

- Nie, Noble Star o włos...

- Mylisz się, Pilot Fish...

- *Dew neh loh moh...*

- Boże, co za gonitwa...

- O, patrzcie, flaga ze sprzeciwem zarządzających...

- Gdzie? O, Boże? Kto faulował... .

- Ja nic nie widziałem, a ty...

- Nic. W tym deszczu trudno cokolwiek zobaczyć, nawet przez lornetkę...

- Chryste, i co teraz? Ci cholerni gospodarze! Jeśli odbiorą zwycięstwo mojemu...

W momencie, gdy Dunross zobaczył, że Noble Star upada, natychmiast ruszył do windy. Nie wiedział, z jakiej przyczyny. Trawkin był na to za sprytny.

Po Dunrossie także inni zgromadzili się w korytarzu i czekali na windę. Wszyscy mówili, nie słuchał nikt.

-

Kto wygrał...?

-

Jaki sprzeciw, na litość boską? Noble Star...

-

Tai-pan, co to za sprzeciw?

- Dowiedcie się z oświadczenia. - Dunross jeszcze raz

nacisnął guzik.

Gornt wskoczył do środka, gdy tylko otworzyły się drzwi, wszyscy pakowali się za nim, Dunross spokojnie utorował sobie drogę.

- Ian - odezwał się Gornt, miał czerwoną twarz. -

Wygrał Pilot Fish!

- Co za wyścig! - wykrzyknął ktoś. - Czy wiadomo, czego dotyczy sprzeciw?

- Ty wiesz, Ian? - zapytał Gornt.

- Tak - odpowiedział.

- Chodzi o mojego ogiera?

- Znasz

procedurę.

Najpierw

dochodzenie

gospodarzy, a potem oświadczenie. - Wiedział, że Gornt tłamsi w sobie nagłą złość z tego powodu, że nie jest zarządzającym. I nigdy nie będziesz, łajdaku, pomyślał Dunross, póki żyję, będę głosował przeciwko tobie.

- Tai-pan, chodzi o Pilot Fish?

- Dobry Boże! - zawołał Dunross. - Przecież wszyscy znacie procedurę.

Winda zatrzymywała się na każdym piętrze. Rozlegało się coraz więcej okrzyków podziwu dla gonitwy i pytań o sprzeciw. Wreszcie dotarli do parteru. Dunross pospieszył do otaczającej Trawkina grupki urzędników i *ma-foo*. Dżokej leżał zwinięty na ziemi. Noble Star już się podniosła i cała i zdrowa biegła bez jeźdźca po torze. Stajenni próbowali ją złapać. Przy ostatniej linii nad umierającym wałachem, Kingplayem, klęczał

weterynarz. Koń miał złamaną nogę, kość przebiła skórę. Dźwięk wystrzału nie oderwał oczu widzów od tablicy wyników.

Dunross uklęknął przy Trawkinie. Jeden z *ma-foo* trzymał nad nieprzytomnym dżokejem parasol.

- Co z nim, doktorze?

Żyje, tai-pan, przynajmniej na razie - oświadczył lekarz policyjny, doktor Meng. Przywykł raczej do zwłok, a nie do żywych ludzi. - Nie mogę nic powiedzieć, dopóki nie oprzytomnieje. Nie ma widocznych obrażeń zewnętrznych. Kark w porządku... plecy też...

naprawdę jeszcze nie mogę powiedzieć...

Z karetki przybiegło dwóch ludzi z noszami.

- Mamy go zabrać, sir? Dunross rozejrzał się.

- Sammy - powiedział do jednego ze stajennych.

- Idź po doktora Tooleya. Powinien być w swojej łóży.

- Zwrócił się do pielęgniarki: - Poczekajcie z Trawkinem w karetce na doktora Tooleya. A co z innymi dżokejami?

- Dwaj są tylko w szoku, sir. Kapitan Pettikin złamał nogę, ale już się nim zajęli.

Pielęgniarki ostrożnie położyli Trawkina na nosze.

Podszedł McBride, Gornt i inni. ,

- No i co z nim, Ian?

- Nie wiemy. Na razie chyba wszystko w porządku.

- Dunross podniósł delikatnie rękę Trawkina i obejrzał

ją. Na grzbiecie dłoni znajdowały się dwa czerwone guzy. - Co to znaczy, doktorze Meng?

- O! Chyba pękły żyły. Może od uderzenia, może od upadku.

Gornt się nie odzywał. W środku wrzał gniewem na Blueya White'a, który zachował się tak głupio, podczas gdy wszystko było załatwione i dogadane. Z pół

stadionu go widziało, myślał.

Dunross przyglądał się poszarzałej twarzy Trawkina.

Nie widział żadnych ran ani obrażeń. Z nosa popłynęła cienka strużka krwi.

-

To dobry znak - ocenił doktor Meng.

Szybkim krokiem podszedł do nich gubernator.

-- Jak się czuje?

Dunross powtórzył słowa lekarza.

- Pech. Noble Star jest płochliwa.

- Tak.

- Co z tym sprzeciwem, Ian?

- Musimy go przedyskutować. Przyłączy się pan?

- Nie, nie, dziękuję. Cierpliwie poczekam.

Chciałem

tylko zobaczyć, co z Trawkinem. - Gubernator poczuł, że krople deszczu spływają mu po plecach. Spojrzał

na niebo. - Paskudna pogoda. Zdaje się, że nie przestanie padać. Chcecie kontynuować wyścigi?

- Ja będę za tym, żeby odwołać albo przesunąć.

- Świetna myśl.

- Tak - przyznał McBride. - Zgadzam się. Nie możemy pozwolić na więcej takich wypadków.

- Ian, wejdź do mojej loży, jak będziesz miał chwilkę czasu - poprosił Sir Geoffrey.

Dunross natężył uwagę.

- Rozmawiał pan z ministrem, sir? - starał się mówić rzeczowym tonem.

- Tak - odparł swobodnie Sir Geoffrey. - Skorzystał z prywatnej linii.

Nagle Dunross zdał sobie sprawę z obecności Gornta i innych.

-

Pójdę z panem.

Odeszli we dwóch do windy.

- Trudno tu znaleźć miejsce do prywatnej rozmowy, prawda?

- Możemy sprawdzić nawierzchnię - powiedział idąc przodem Dunross. - Straszna, prawda? - pokazał

palcem.

- Bardzo. Minister był dosyć zakłopotany. Mnie zostawił decyzję o Brianie, pod warunkiem, że pan Sinderson i pan Crosse zgodzą się uwolnić...

- Oczywiście, że się z panem zgodzą, sir. - Dunross z trudem przypomniał sobie rozmowę z minionej nocy.

- Mogę im tylko doradzić. Powiem, że wymiana jest konieczna, jeśli ty osobiście to potwierdzisz.

- Naturalnie - powiedział powoli Dunross. - Ale bardziej się chyba będzie liczyć zdanie Havergilla, Southerby'ego i innych bankierów.

- W sprawach bankowych tak. Ale potrzeba mi twojego

osobistego

potwierdzenia,

a

także

współpracy.

- Sir?

- To bardzo delikatna sprawa, chodzi o raporty Alana Medforda.

. - Co z nimi, sir? - Powinieneś właśnie odpowiedzieć na to pytanie. Pan Sindera przytoczył mi waszą wczorajszą wieczorną rozmowę. - Sir Geoffrey zapalił fajkę, dłonią osłaniał główkę przed deszczem.

Po poranym telefonie tai-pana gubernator natychmiast posłał po Sindera i Crosse'a, aby przed rozmową z ministrem przedyskutować sprawę zamiany z nimi.

Sindera

wyraził

podejrzenie,

że

teczki

są

spreparowane. Obiecał, że zgodzi się wypuścić Kwoka, jeśli upewni się co do raportów Medforda.

Crosse zaproponował, żeby wymienić Kwoka za Fong Fonga i innych.

Sir Geoffrey badawczo przyglądał się tai-panowi.

- No, Ian?

- Spodziewam się Drepczącego tutaj. Mogę go zapewnić, że przyjmujemy jego propozycję?

- Tak, pod warunkiem że zdobędziesz zgodę pana Sindera. I Crosse'a.

- Sir, czy mnie to pan zostawia?

- Nie. Minister wyraził się jasno. Jak chcesz, możesz z nimi porozmawiać od razu. Są na trybunach dla członków.

- Wiedzą już o tym telefonie?

- Tak. Przykro mi, ale minister naprawdę wszystko jasno przedstawił - tłumaczył delikatnie Sir Geoffrey.

Zdaje się, że uczciwość i dobra sława tai-pana Noble House sięgają aż tak odległych miejsc. -

Przerwał im hałas na trybunach. Noble Star przebiła się przez kordon próbujących ją złapać, *ma-foo*, minęła urzędników i stajennych. - Może najpierw powinieneś zająć się sprzeciwem gospodarzy klubu.

Będę w swojej loży. Jeśli chcesz, wejdź na herbatę albo koktajl.

Dunross podziękował i pośpieszył do sali zarządzających. W głowie miał mętlik.

- O, Ian - Szitii T' Czung ucieszył się na jego widok.

Wszyscy gospodarze znajdowali się już na miejscu. -

Musimy podjąć szybką decyzję.

- Trudno będzie bez oświadczenia Trawkina - zawyrokował Dunross. - Ilu z nas widziało, że uderzył go Bluey White?

Rękę podniósł tylko McBride.

- To tylko dwóch na dwunastu. - Dunross uchwycił

spojrzenie Crosse'a. - Ja jestem pewien. I na dłoniach Trawkina są siniaki. Doktor Meng uważa, że mogły zostać

spowodowane

uderzeniami

bata

albo

upadkiem. Pug, co ty o tym sądzisz?

- Ja osobiście - Pugmire przerwał niezręczne milczenie - nie widziałem niczego nieuczciwego. Nie patrzyłem specjalnie na Noble Star, bo postawiłem na nią tylko tysiąc dolarów. Widziałem właściwie samego Kingplaya. Noble Star biegła z innej strony, a wszyscy zacinali konie. - Nachylił się nad jednym ze zdjęć zrobionych na mecie.

Dunross podniósł je. Zza Noble Star widać było kawałek Pilot Fish, dalej biegły Butterscotch Lass i Winning Billy.



- Wszyscy mieli baty na wierzchu - ciągnął Pugmire. - Wszyscy biegli obok siebie, łatwo było o przypadkowe uderzenie, jeśli w ogóle było jakieś uderzenie.

- Szitii?

- Muszę przyznać, staruszkę, że patrzyłem na mojego Street Vendra i na Kingplaya. Myślę, że twoja źrebica mogła podejść Pilot Fish. Myślę... eee...

że powinniśmy popytać innych trenerów, poza tym, eee, nie ma oficjalnej skargi. Zgadza się z Pugmire'em.

- Roger?

- Nic nie widziałem.

- Jason?

Ku jego zdumieniu, Plumm pokręcił głową z dezaprobatą, Ianowi przypomniało się doniesienie Medforda na temat Plumma i Sevrin.

- Wszyscy wiemy, jaki Bluey White jest cwany.

Ostrzegaliśmy go przed gonitwą. Skoro tai-pan i Donald twierdzą, że widzieli, to jeśli dojdzie do głosowania,

ja będę za zdyskwalifikowaniem Pilot Fish.

Reszta zarządzających wahała się.

-

Przesłuchajmy dżokejów. White'a na końcu.

Wszyscy powtarzali to samo, byli za bardzo zajęci własnymi końmi, żeby cokolwiek widzieć. Zebrani patrzyli w oczekiwaniu na Dunrossa. On uświadamiał

sobie, że jeśli oświadczy, iż głosuje za dyskwalifikacją Pilot Fish i za zwolnieniem Blueya White'a za zakłócanie biegu, to wszyscy go poprą.

Widziałem, jak to zrobił, myślał, Donald także, inni też, i Aleksiej upadł. Mimo to uczciwie muszę przyznać, że Noble Star by nie wygrała. Ja sam ją powinienem dosiąść. Aleksiej to był zły wybór.

Powinien, gdy była jeszcze szansa, nie jechać obok Pilot Fish. Albo przyjmując uderzenie Blueya White'a na twarz, nie na rękę. Ja bym tak zrobił bez wahania.

Istniały jeszcze inne wyjścia.

- Nie ma wątpliwości, że doszło do kolizji - stwierdził. - Jednak sędzę, że nawet sam Trawkin nie jest pewien, czy stało się to przypadkiem, czy z czyją pomocą. Zgadzam się, że Noble Star i tak by nie wygrała. Proponuję ostrzec Blueya, a wynik pozostawić taki, jaki jest.

- Wspaniale -. powiedział Szitii T' Czung. Wszyscy poczuli ulgę. Nikomu nie zależało na sporze z tai-panem, a w najmniejszym już stopniu Pugmire'owi.

- Ktoś jest przeciw? Dobrze. Przenieśmy kolejność ze zdjęcia na papier i ogłośmy wyniki. Zajmiesz się tym, tai-pan?

- Oczywiście. A co z dalszą częścią imprezy? Popatrzcie na deszcz. - Cały czas mżyło. - Posłuchajcie, mam

pomysł! - Opowiedział im.

Po chwili ożywienia wszyscy buchnęli śmiechem.

- Dobrze! Bardzo dobrze!

- Świetnie! - zapalił się Dunstan Barre.

- To im da do myślenia! - cieszył się Pugmire.

- Doskonały pomysł, tai-pan! - rzekł McBride.

-

Doskonały.

- Pójdę ogłosić przez megafony. A wy może we-zwicie Blueya, żeby go trochę postraszyć?

- Ian - odezwał się Pug. - Mogę cię prosić na słowo?

- Może później, co?

- Oczywiście. Roger, możemy porozmawiać?

- Jasne. Będę z Sindersem na trybunie klubowej.

- Ian?

- Tak, Jason?

- Myślisz, że zostaną jutro odwołane wyścigi górskie?

- Jeśli utrzyma się taka pogoda, to chyba tak.

Wszystko pokryje się błotem. A co?

- Nic. Planowałem wczesnym wieczorem koktajl na uczczenie wspaniałego wykopania Superfoods!

Szitti zachichotał.

- Świetny pomysł! Moje gratulacje, Ian! Widzieliście minę Biltzmanna?

- Ian, będziesz miał czas? Nie zaproszę Biltzmanna

- dodał Plumm. - Koktajl odbędzie się w należącym do kompanii mieszkaniu w Sinclair Towers

- Niestety, po południu lecę do Tajpej. Przynajmniej takie miałem plany. Nie...

- Nie będzie cię w poniedziałek? - przerwał zaniepokojony Pugmire. - A co z dokumentami i ze wszystkim?

- Nie ma żadnego problemu. O wpół do dziesiątej wszystko masz na biurku. Jason - zwrócił się do Plumma - jeśli nie pojedę do Tajpej, oczywiście przyjdę.

-

Świetnie, od wpół do ósmej do wpół do dziewiątej.

Dunross wyszedł zaskoczony i zaniepokojony taką jawnie okazywaną sympatią Plumma. Zwykle Jason Plumm był jego przeciwnikiem w radach nadzorczych, zawsze obstawał za Gorntem i Havergillem, zwłaszcza w radzie Victorii.

Przed salą zarządzających tłoczyli się reporterzy, właściciele, trenerzy i widzowie. Nie odpowiadając na żadne pytania, Dunross podszedł do kabiny z mega-fonami, która znajdowała się na najwyższym piętrze.

- Witam, sir - powiedział spiker. Ze szklanej budki rozciągał się jeden z najlepszych widoków na całych trybunach. - Wspaniała gonitwa, szkoda... Podjęliście decyzję? Wszyscy widzieliśmy, jak Bluey uderzył...

- Mogę skorzystać z mikrofonu?

Oczywiście. - Spiker podniósł się, a jego miejsce zajął Dunross. Nacisnął guzik. - Mówi Ian Dunross.

Gospodarze

prosili

mnie

złożenie

dwóch

oświadczeń... Zapadła cisza, a jego słowa odbiły się echem po całym stadionie. Pięćdziesiąt tysięcy ludzi wstrzymało oddech. Nikt nie zwracał uwagi na deszcz.

- Na początku wyniki piątej gonitwy. - W martwej ciszy słycać było tylko kapanie kropli deszczu. Dunross głęboko zaczerpnął powietrza. - Pilot Fish przed Noble Star i Butterscotch Lass... - Ostatnie słowo zostało zagłuszone przez piski zachwyty, jęki rozczarowania, wybuchy radości, ludzie krzyczeli, dyskutowali, przeklinali. Gornt bardzo się zdziwił. Nie miał wątpliwości, że wszyscy widzieli jego dżokeja tak samo jak on i Bluey White zostanie ukarany, a wynik unieważniony. Na tablicy zapaliły się cyfry: jedyńka, siódemka, ósemka.

Dunross odczekał chwilę i powtórzył wynik po kantońsku, tłum poruszył się jeszcze bardziej. Jednak decyzja była ostateczna.

- Po drugie. Zarządzający zdecydowali, że ze względu na pogodę i złe warunki reszta zawodów zostanie odwołana... - Znow szum na trybunach.. - ...a właściwie przesunięta na następną sobotę. - Zewsząd słycać było okrzyki zadowolenia. - Odbędzie się osiem

gonitw, a piąta zostanie powtórzona w takim samym składzie jak dzisiaj: Pilot Fish, Butterscotch Lass, Winning Billy, Street Vendor, Złota Dama, Lochinvar i Noble Star. Stawki zostaną podwojone...

Przyjęto to z aplauzem.

- Boże, świetny pomysł, tai-pan! Noble Star prze-  
ścignie tego karego łajdaka! - powiedział ktoś w budce.

- A skąd! Butterscotch...

- Tai-pan, naprawdę świetny pomysł.

- Gospodarze klubu - odezwał się do mikrofonu Dunross - dziękuję wam za doping. - Powtórzył po kantońsku. - Za kilka minut - dodał - będzie następne oświadczenie. Dziękuję!

Tłum ruszył z miejsc. Jedni do okienek po wygraną, inni zaczęli tłoczyć się przy wyjściach. Kibice rozmawiali, wzdychali, przeklinali lub błogosławili bogów. Mężczyźni, kobiety i dzieci podążali do domów rozpaleni nadzieją nowych emocji. Jedyne ci, co trafili podwójny porządek, czekali sparaliżowani na ogłoszenie wysokości wypłat.

- Kolejne oświadczenie, tai-pan? - zapytał zaniepokojony spiker.

- Tak, koło piątej. - Havergill powiadomił go, że doszło do umowy z Richardem Kwangiem, i zaprosił

jak najszybciej do łoży Victorii. Dunross wyszedł z budki i zadowolony z siebie ruszył na dół. Oddanie zwycięstwa Pilot Fish zaniepokoi Gornta. I ja, i on wiemy, że Trawkin znalazł się w sytuacji, w której mogłem się znaleźć ja - dlatego właśnie nie pojechałem. Gdyby próbowali takich sztuczek ze mną, chyba bym kogoś zamordował. Ale w przyszłą sobotę pojedę... Tak w przyszłą sobotę White ani żaden z trenerów nie poważy się na nieczyste zagranie. Za tydzień odbędzie się uczciwa walka. Pełen dobrych myśli ruszył przez zatłoczony korytarz. Zobaczył

czekającego na niego Murtagha.

- O, tai-pan, możemy...

- Oczywiście. - Dunross poprowadził go przez kuchnię do prywatnego pokoiku.

- Świetny wyścig. Wygrałem podwójny porządek.

Cieszę się też na przyszłą sobotę.

- Dobrze. - Dunross zobaczył pot na czole młodego bankiera. - I co z naszymi interesami, panie Murtagh?

- Proszę mówić mi Dave, szefowie powiedzieli, eee, że być może. Zwołali na jutro zebranie rady nadzorczej. O dziewiątej rano tamtejszego czasu. U

nas będzie...

- Dziesiąta wieczorem. Dobrze. Świetnie, panie Murtagh. Potem proszę zadzwonić do mnie pod ten numer. - Zapisał na kartce. - Niech pan go nie zgubi i nikomu nie podaje, dobrze?

- Tak, tai-pan, oczywiście. Zadzwonię, jak tylko... Do której mogę?

- Od razu, jak się skontaktują. Proszę dzwonić, aż się odezwę. - Dunross wstał. - Przepraszam, ale mam wiele spraw.

Tak, jasne, oczywiście! Tai-pan - dodał niespokojnie. - Słyszałem o dwóch milionach dla General Stores. Być może trudno będzie otrzymać od nas te pieniądze do poniedziałku do wpół do dziesiątej.

- Tak też myślałem. Na szczęście, panie Murtagh, nie miałem tu na myśli pieniędzy od was. Wiem, że First Central bywa niemrawy, no, chyba że chodzi o zniknięcie

ze

sceny

-

powiedział

Dunross

wypominając, ile krzywdy przed laty wyrządziło nagłe wycofanie się Amerykanów. - Proszę się nie przejmować, panie Murtagh, moje nowe źródło kredytów potrafi...

- Słucham? - Murtagh zbladł.

- Moje nowe źródło finansowania potrafi szybko reagować na nagłą okazję do zrobienia interesu, panie Murtagh. Podjęcie tej decyzji zajęło im osiem minut.

Zdaje się, że są bardziej ufni niż pana zwierchnicy.

- Proszę mi mówić Dave, tai-pan. Tu nie chodzi o brak zaufania, ale o to, że, hm, oni nie mają pojęcia o Azji. Muszę ich przekonać, że przejęcie General Stores już po trzech latach doprowadzi do podwojenia zysku.

- Po roku - przerwał rozbawiony Dunross. - Przykro mi, że nie będziecie mogli mieć udziału w tych zyskach. Proszę napić się herbaty w łoży, przepraszam, ale muszę zadzwonić. - Ujął Murtagha pod ramię i delikatnie odprowadził do drzwi, a potem je za nim zamknął.

W kuchni Murtagh, nie zwracając uwagi na łomota-nie naczyń i kantońskie przekleństwa dwudziestu kucharzy i pomocników przygotowujących pośpieszny obiad, mamrotał przerażony:

- Jezu, osiem minut. Czyżby cholerni Szwajcarzy podkupili nam klienta? - Wyszedł z kuchni.

W swoim pokoju Dunross wybrał numer telefonu.

- *Weiiii?* - usłyszał w słuchawce.

- Proszę z panem Tip - powiedział po kantońsku. -

Mówi Dunross.

Usłyszał, jak *amah* odkłada słuchawkę na stolik i krzyczy:

- Ojczy, telefon do ciebie!

- Kto?

- Obcy diabeł.

Dunross uśmiechnął się.

- Halo?

- Mówi Ian Dunross. Bałem się, że pogłębiła się pańska choroba.

- Tak, tak, rzeczywiście, przepraszam, że nie mogłem przyjść. Tak, miałem pewne ważne sprawy.

Bardzo. Rozumie pan. Och, zły *dżos* z Noble Star.

Słyszałem w radiu, że wygrał Pilot Fish po sprzeciwie.

Co to za sprzeciw?

Dunross cierpliwie wyjaśnił i odpowiedział na pytania dotyczące oferty przejęcia General Stores.

Ucieszył się, że już dotarła do niego ta informacja.

Skoro wie Drepczący, wiedzą wszystkie gazety. To dobrze, analizował, czekał, aż zaczną Drepczący, ale się rozczarował.

- Dziękuję za telefon, tai-pan.

- Z przyjemnością pragnę poinformować - powiedział natychmiast - że wydaje mi się, iż nasza policja uznała swoją pomyłkę.

- O, domyślam się, że zostanie ona natychmiast naprawiona.

- Prawdopodobnie bardzo szybko. Jeśli rzeczona osoba złoży rezygnację i zechce wyjechać za granicę.

- Jak szybko, tai-pan?

Dunross uważnie dobierał słów, waząc znaczenie każdego z nich.

- Należy załatwić pewne formalności, ale z pewno-

ścią wszystko zostanie zakończone najszybciej, jak to będzie możliwe. Na nieszczęście ważne osobistości muszą się konsultować w każdej sprawie. Na pewno pan to rozumie.

- Oczywiście. Ale potężnego smoka nie obchodzi mały wąż, *heya?* Zdaje się, że pewna ważna osobistość przebywa właśnie w Hongkongu. Pan Sinderson, czyż nie tak?

Dunross zdziwił się, że Tip ma takie informacje.

- Poczyłem już pewne starania - odparł Ian wy-mijająco.

Mam nadzieję, że nic będzie z tym wiele zachodu.

Prawdziwe złoto ognia się nie boi.. - Tak. Gdzie mogę

zadzwoić

wieczorem

do

pana,

aby

poinformować o postępie?

- Pod ten numer. O dziewiątej. Przypuszczam - ton Drepczącego stał się oschły - że bank będzie mógł wyświadczyć przysługę zasugerowaną przez pana.

Oczywiście

banki

będą

musiały

przygotować

odpowiednią dokumentację i zabezpieczenie w postaci pół miliarda hongkongijskich dolarów w gotówce.

Słyszałem, że pieczęć Victorii, pieczęć gubernatora i pańska w zupełności wystarczą, aby udzielić pożyczki na trzydzieści dni. Ta... drobna suma będzie przez ograniczony

czas

oczekiwać

na

dopełnienie

procedury. Do tej pory jednak należy zachować daleko idącą dyskrecję.

- Oczywiście.

- Dziękuję za telefon.

Dunross odłożył słuchawkę i rozłożył dłonie. „Przez ograniczony czas”, pomyślał. I on, i Drepczący wiedzieli, że „procedury” i „starania” ściśle się ze sobą łączą, ale nie trzeba koniecznie mówić o tym wprost.



Chryste, uwielbiam Azję, pomyślał zadowolony i wyszedł z pokoju.

Na korytarzu ludzie tłoczyli się przed windami.

Wracali do domu. Zajrzał do swojej łoży i zauważył

Gavallana.

- Andrew, zejdź na dół na trybunę klubową i poproś Rogera Crosse'a, razem z tym Sindersem. Poproś, żeby tu przyszli! Pośpiesz się, dobrze?

Gavallan wyszedł. Dunross poszedł korytarzem obok okienka dla zwycięzców.

-

Tai-pan - zawołała Casey. - Szkoda Noble Star!

Czy...

- Casey, wróć za minutkę. Przepraszam, ale nie mogę się zatrzymać! - wyjaśnił Dunross. Przy okienku zauważył Gornta, ale to nie popsło mu humoru.

Wszystko po kolei, myślał. - Jak ci wypłacić dziesięć tysięcy z naszego zakładu?

- Może być w gotówce, dziękuję - powiedział

Gornt.

-

Później ci wyślę.

- Poczekam nawet do poniedziałku.

- Wyślę dzisiaj wieczorem. W poniedziałek jestem zajęty - powiedział Dunross i grzecznie skinął głową.

W łoży Victorii było tak samo tłoczno jak w każdej innej. Drinki, śmiechy, narzekania na Pilot Fish, ale, także pierwsze typy na przyszłotygodniowe zawody.

Gdy wszedł Dunross, zaczęły się wyrazy współczucia i pytania. Odpowiadał od niechcienia. Zaraz obok drzwi zauważył Martina Haply'ego i Adryon.

- Och, ojcie, co za pech z Noble Star. Jestem spłukana, straciłam całe kieszonkowe

Dunross uśmiechnął się.

-

Młode damy nie powinny się zakładać! Witam, Hanlyl

- Czy mogę zadać...

- Później. Adryon, nie zapomnij o koktajlu. Ty jesteś gospodynią.

- Tak, tak, oczywiście. Tato, możesz mi dać zaliczkę na przyszły miesiąc?

- Oczywiście - powiedział ku jej zdziwieniu. Podszedł do stojących w pobliżu Havergilla i Richarda Kwanga.

- Cześć, Ian - rzekł Havergill. - Pech, ale niewiele brakowało, żeby Pilot Fish przegrał.

- Tak, to prawda. Witaj, Richard. - Dunross podał

mu zdjęcie z finiszu. - Obydwaj mieliśmy pecha. -

Pozostali zgromadzili się, aby zobaczyć fotografię.

- Dobry Boże, o włos...

- Ja myślałem, że Noble Star...

Korzystając z zamieszania Dunross zwrócił się do Havergilla:

- Wszystko podpisane?

- Tak. Dwadzieścia centów za dolara. Zgodził się i podpisał wstępną umowę. Ostateczne parafowanie dokumentów pod koniec tygodnia. Oczywiście stawiał się i targował, ale w końcu przystał.

- No to świetnie. Zrobiłeś doskonały interes.

-

Tak - skinął Havergill. - Wiem.

Podszedł Richard Kwang.

- O, tai-pan - zniżył głos. - Paul mówił ci o fuzji?

- Tak. Przyjmij gratulacje.

- Gratulacje? - zapytał Southerby z ironią. - Jeśli o mnie chodzi, to przez to Butterscotch Lass straciłem kupę forsy!

W loży zapanował spokój, gdy pojawił się gubernator. Na spotkanie wyszedł mu Havergill, za nim Dunross.

- O, Paul, Ian. Straszny pech, ale wspaniałe decyzje! Obydwie. W przyszłą sobotę na pewno weźmiesz odwet.

- Tak, sir.

- Paul, chcesz złożyć oficjalne oświadczenie?

- Tat Mogę prosić o uwagę... - Zapadła cisza, tylko Dunross niechętny uderzył łyżeczką o filiżankę. -

Wasza Ekscelencjo, panie i panowie, mam zaszczyt ogłosić w imieniu dyrektorów banku Victoria, że natychmiast łączymy się z bankiem Ho-Pak... - Martin Haply upuścił szklankę. - ...i że Victoria gwarantuje stu procentowe wypłaty klientom Ho-Pak...

Zagłuszyła go eksplozja komentarzy. Zbiegli się ludzie z sąsiednich łóż, aby zobaczyć, co się dzieje.

Havergill nie odpowiadał na pytania, tylko podniósł

dłoń. Był zachwycony wrażeniem, jakie wywołało oświadczenie. Gdy zapadło milczenie, odezwał się Sir Geoffrey:

- Muszę przyznać w imieniu rządu Jej Wysokości, że to wspaniała wieść, Paul. Dobra dla Hongkongu, dla banku, dla ciebie, dla Richarda i dla Ho-Pak!

- Tak, Sir Geoffrey - powiedział głośno Richard Kwang. Miał pewność, że to wielki krok do uzyskania szlachectwa. - Doszedłem do wniosku, oczywiście wspólnie z pozostałymi dyrektorami, że dobrze się stanie, jeśli Victoria wesprze główną podporę chińskiej społeczności...

-

Richard - przerwał mu Havergill - może najpierw dokończę oficjalne oświadczenie, -a szczegóły pozostawimy na konferencję prasową. - Spojrzał na Martina Haply'ego. - Konferencję zwołamy dopiero w poniedziałek o dwunastej, ale wszystkie szczegóły...

eee... fuzji już zostały dopracowane. Prawda, Richard?

Richard właśnie chciał zacząć nową przemowę, ale widząc spojrzenia Dunrossa i Havergilla zmienił

zdanie.

- Eee, tak, tak - mruknął, ale nie mógł się oprzeć i dodał: - Partnerstwo z Victorią będzie dla mnie zaszczytem.

- Przepraszam, panie Havergill - odezwał się głośno Haply. - Czy mogę zadać pytanie?

- Oczywiście - powiedział przejęty, ponieważ domy-

ślał się, jak będzie brzmieć. Ten łajdak musi je zadać, pomyślał.

- Chciałbym wiedzieć panie Havergill, w jaki sposób zamierzacie spłacić klientów Ho-Pak i swoich, skoro na wszystkie banki trwa szturm i brakuje gotówki?

- To tylko pogłoski, panie Haply, nic więcej - odparł

beztrosko Havergill. - Proszę zapamiętać: mały moskit może narobić tyle hałasu co burza! Hongkongska gospodarka nigdy nie znajdowała się w lepszym stanie. A co do tak zwanego szturmu na Ho-Pak, to już się skończył. Victoria gwarantuje bezpieczeństwo wszystkim klientom, Struanom, General Stores i innym. I to przez następne sto dwadzieścia lat.

- Panie Havergill, mógłby więc pan odpowiedzieć...

- Wystarczy, panie Haply. Szczegóły tej... tego naszego rozkładania parasola nad Ho-Pak zostawmy do konferencji prasowej. Proszę mi wybaczyć, sir -

zwrócił się do gubernatora - ogłoszę to publicznie. -

Podszedł do wejścia, na korytarzu zrobił się już ścisk.

Ktoś zaczął śpiewać: „Sto lat, sto lat...” Inni dołączyli do niego. Zrobił się hałas. Dunross zwrócił się do Richarda Kwanga cytując po kantońsku stare powiedzenie:

- „Gdy już dosyć, czas kończyć”, *heya?*

Tak, tai-pan, tak, to prawda. Bankier uśmiechnął się z dumą, przypomniał sobie, jakie go spotkało szczęście, i był pewien, że Venus Poon na pewno będzie się szczyliła, że jej ojczulek jest takim ważnym dyrektorem i zasiada w radzie Victorii. Uśmiechnął się szeroko. - Masz rację, tai-pan, „Za czerwonymi drzwiami znajduje się mnóstwo mięsa i wina”. Według mojej oceny nasz bank powinien dobrze się rozwijać! -

Odszedł dumnie wypinając pierś.

- O, mój Boże, co za dzień! - odezwał się Johnjohn.

- Tak, tak, wspaniały! - podchwycił McBride. Johnjohn, przyjacielu, na pewno jesteś dumny z Paula.

- Tak, oczywiście - Johnjohn popatrzył, jak Havergill wychodzi z łoża.

- Nie ci nie jest?

- Nie, tylko miałem dużo pracy! - Johnjohn zastanawiał się w jaki sposób uda im się teraz bezpiecznie wdrożyć przejęcie w życie, bezpiecznie dla banku i klientów. To on rano wymyślił taką transakcję i wiele godzin spędził na tym, żeby przekonać Havergilla, że teraz jest najlepszy czas na innowacje.

- Uda nam się, Paul, i jakie zdobędziemy zaufanie...

- Bardzo

karkołomne posunięcie! Nie jestem

przekonany, czy twój pomysł jest tak ważny, jak ci się wydaje!

Dopiero gdy Havergill zobaczył, jaki efekt przyniosło oświadczenie Dunrossa i ile tai-pan zyskał zaufania, wtedy się zdecydował. To nic, myślał Johnjohn, wszyscy zyskamy.

Bank,

Hongkong,

Ho-Pak.

Oczywiście wiele będą nam zawdzięczać także inwestorzy i akcjonariusze, o wiele więcej niż Richardowi! Gdy ja zostanę tai-panem, sprawię, że wypłyniemy właśnie dzięki Ho-Pak. Przy naszym nowym zarządzie Ho-Pak będzie przynosił krociowe zyski. Jak wiele innych przedsięwzięć. Nawet Struanowie.

Johnjohn uśmiechnął się od ucha do ucha, minęło zmęczenie. No śpiesz się, w poniedziałek rusza giełda!

Peter Marlowe smutno spoglądał na tłum z balkonu Struanów. Deszcz walił o okapy chroniące łóże.

Części trybun dla członków bez prawa do głosu nic nie osłaniało przed padającymi z nieba kroplami wody.

Przemoczone konie odprowadzano do stajni, a przemoczeni stajenni przyłączali się do tysięcy przemoczonych ludzi wychodzących na ulicę.

- Co ci jest, Peter? - zapytała Casey.

- Nic.

- Mam nadzieję, że nic się nie stało z Fleur.

- Nie.

- A więc chodzi o Greya? Widziałem, że się sprzeczaście.

- Nie, chociaż on jest naprawdę uciążliwy, ma straszliwe maniery i staje przeciwko wszelkim wartościom.

- Marlowe uśmiechnął się zagadkowo. - Rozmawiali-

śmy tylko o pogodzie.

- Ale wyglądasz, jakbyś wpadł w depresję. Prze-giąłeś w piątej?

- Tak, nie o to chodzi. I tak jestem dzisiaj do przodu. - Pokazał ręką na stadion i na wychodzących ludzi. - Zamyśliłem się tylko nad tymi pięćdziesięcioma tysiącami Chińczyków i nad pozostałymi trzema i pół

milionami. Każdy z nich otrzymał w spadku wspaniałe dziedzictwo, cudowne tajemnice, niezwykłą historię.

Oprócz tego dwadzieścia tysięcy Europejczyków - tai-panów, sklepikarzy, udziałowców i piratów.

Dla

czego oni wszyscy przyjechali do Hongkongu? I choć bym nie wiem, ile przeczytał, nie wiem, ilu ludzi wypytał, nigdy nie dowiem się wszystkiego o Hongkongu i tutejszych ludziach. Nigdy. Zawsze moja wiedza będzie

powierzchnowa.

Roześmiała się.

- Wszędzie jest tak samo.

O nie, tutaj to co innego, Tutaj mieszka się cała Azja.

Weźmy na przykład tego przysadzistego Chińczyka.

Wielokrotny milioner, .lego żona kleptomanka, gdzie się nie ruszy, tam coś ukradnie, a mąż za to płaci.

Wszystkie sklepy wiedzą o niej i o nim i wszystko jest w porządku, załatwione w cywilizowany sposób. Gdzie jeszcze na świecie byłaby do pomyślenia taka sytuacja!

Jego ojcem był kulis, a dziad pospolitym rozbójnikiem, pradziad mandarynem, a prapradziad wieśniakiem.

Ten obok niego to też multimilioner, opium, nielegalne towary w Chinach, jego żona... Ach, to zupełnie inna historia.

-

Jaka?

Roześmiał się.

- Niektóre z żon mają do opowiedzenia o sobie więcej niż ich mężowie. Jedną z nich poznałaś dzisiaj, to nimfomanka...

- Daj spokój, Peter. Jak mówi Fleur, koloryzujesz.

- Być może. Ale niektóre z chińskich dam są... są tak samo zaborcze jak inne kobiety z całego świata.

- Szowinista! Jesteś pewien?

- Plotki głoszą, że... - Roześmiali się. - W gruncie rzeczy Chińczycy naprawdę są sprytniejsi od nas. Słyszałem, że niektóre chińskie damy wolą sobie znajdować kochanków wśród Europejczyków, żeby było bezpieczniej. Chińczycy uwielbiają plotki i miłosne skandale i rzadko kiedy zdarza się, żeby Chińczyk zachował w tajemnicy związek z jakąś damą albo starał się bronić jej honoru. A damy słusznie się obawiają. Gdyby kochankowie zostali złapani, naprawdę byłoby z nimi źle. Chińskie prawo określa to jasno. - Wyjął papierosa. - A może wtedy są większe emocje?

- Więc nie można mieć kochanka?

Popatrzył na nią i zastanowił się, jakby zareagowała, gdyby dowiedziała się, jak ją przezywają. A dowiedział

się tego od czterech nie znających się między sobą, a jedynie zaprzyjaźnionych z nim Chińczyków.

- Tak, niektóre kobiety omijają prawo. Spójrz tam, do tamtej łoży. Widzisz faceta w blezerze? Nosi zielony kapelusz. To chiński symbol tego, że jest rogiaczem. Jego żona ma kochanka. I jest nim jego przyjaciel.

- Zielony kapelusz?

- Tak. Chińczycy są cudowni! Mają niesamowite poczucie humoru. Kilka miesięcy temu ten facet dał do gazety ogłoszenie: „Owszem, noszę zielony kapelusz, ale żona człowieka, który mi go nałożył, ma dwóch synów z innymi mężczyznami!”

- I podpisał się pod tym?

- Tak. Jednym ze swoich nazwisk, ale wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi.

-

A napisał prawdę?

Peter Marlowe wzruszył ramionami.

- Co za różnica? Utaił nos tamtemu i pogiębił jego żonę.

- Przecież to nieuczciwe!

- W jej przypadku uczciwe.

- Dlaczego?

- Ma dwóch synów z innymi.

- Daj spokój, panie Bajkopisarz.

- O, patrz, doktor Tooley! Spojrzała na tor i dojrzała go.

- Nie wygląda za wesoło.

Mam nadzieję, że Trawkinowi nic się nie stało.

Słyszałem, że doktor Tooley miał go badać.

- Straszny upadek.

- No, naprawdę.

Przypomniały im się pytania doktora o ich zdrowie.

Groził im tyfus, cholera i oczywiście żółtaczka.

-

*Dżos!* - powiedział Peter Marlowe.

- *Dżos!* - powtórzyła za nim. Próbowwała nie martwić się o Linca. Mężczyźni gorzej to znoszą, pamiętała słowa doktora: Jeśli jesteś mężczyzną, żółtaczka może ci zniszczyć wątrobę i całe życie.

- Tutaj ludzie wydają się jacyś tacy bardziej pobudliwi. To dlatego, że jesteśmy w Azji?

- Chyba tak. Inne obyczaje. A w Hongkongu zbiera się sama śmietanka Azji. Azja to centrum świata, a Hongkong jest jej jądrem. - Peter wskazał na jedną z łóż. - O, twój kolejny wielbiciel.

- Lando? Fascynujący człowiek.

Casey rozmawiała z nim między gonitwami.

- Musi pani przyjechać do Makau, panno Tcholak.

Może umówimy się jutro na kolację. O wpół do ósmej?

- Mata powiedział to takim tonem, że Casey natychmiast pojęła jego intencje.



Podczas lunchu Dunross ostrzegł ją przed nim.

- To fajny facet, Casey - rzekł delikatnie. - Ale tutaj jest kimś obcym dla *quai loh*, zwłaszcza takich pięknych jak ty, którzy po raz pierwszy przyjechali do Azji. Musisz pamiętać, że tu nie zawsze wystarczy mieć skończoną osiemnastkę.

- Rozumiem, tai-pan - odrzekła. Ale po południu pozwoliła sobie na poddanie się czarowi Maty w zaciszu

łóży tai-pana. Miała się jednak cały czas na baczności.

- To zależy, Lando - odparła na propozycję kolacji.

- Chętnie bym zjadła z tobą kolację, ale wszystko zależy od tego, o której wrócę z rejsu. Nie wiem jeszcze, czy w ogóle pogoda pozwoli nam wypłynąć.

- Z kim się wybierasz? Z tai-panem? -

- No, może jeśli nie w niedzielę, to w poniedziałek.

Zarówno tu jak i w Makau jest dla ciebie wiele możliwości do zrobienia interesu. Dla ciebie, dla pana Bartletta i dla Par-Con. Mogę zadzwonić jutro o siódmej i sprawdzić, czy masz czas?

Tak czy inaczej mogę z nim porozmawiać. Od tego nic mi się nie stanie, pomyślała i poczuła się pewniej.

- Kto to jest? - zapytała. - Ten starzec z młodą dziewczyną. Na dole, na balkonie. Widzisz, trzyma dłoń na jej pośladku.

- A, to jeden z miejscowych piratów. Wu Cztery Palce. A dziewczyna nazywa się Venus Poon i jest telewizyjną

gwiazdką.

Rozmawiający

z

nimi

młodzieniec to siostrzeniec starego, ale plotki głoszą, że to jego syn. Chłopak studiował na Harvardzie, ma amerykański paszport i jest sprytny jak diabli. Wu Cztery Palce posiada wielomilionową fortunę, podobno przemycza złoto i inne rzeczy. Ma jedną żonę, trzy konkubiny w różnym wieku i teraz jeszcze Venus Poon. Ona była kochanką Richarda Kwanga, teraz po fuzji z Victorią może wróci do niego. Cztery Palce mieszka na starej, nadgniłej dżonce w Aberdeen i szczyci się nadzwyczajnym zdrowiem. O, patrz tam.

Stara kobieta i stary mężczyzna, z którymi rozmawia tai-pan.

Podążyła oczami za jego wzrokiem.

- To łoża Szitii T'Czunga - wyjaśnił. - Szitii pochodzi od Duncana, syna Dirka i Mei-mei. Tai-pan pokazywał

ci portrety Dirka?

- Tak. - Dreszcz przebiegł jej po plecach, gdy przypomniała sobie nóż wbity przez Hag w portret swego ojca, Tylera Brocka. Zastanawiała się, czy nie powiedzieć o tym Peterowi, ale rozmyśliła się.

Uderzające podobieństwo.

- Istotnie! Chciałbym zobaczyć tę galerię. W każ-

dym razie ta para mieszka w dwupokojowym mieszkaniu na piątym piętrze niedaleko Glessing Point. Po-siadają duży pakiet akcji Struanów. Co roku, przed każdym spotkaniem rady tai-pan, obojętnie kto pełni tę funkcję, musi prosić ich o udzielenie mu prawa do głosowania ich akcjami. Zawsze mu udzielają, tak było zapisane w umowie, ale jednak tai-pan musi osobiście ich zapytać.

- Dlaczego?

Żeby zachować twarz. To sprawka Hag. - Lekko się uśmiechnął. - Casey, mówię ci, to była wielka dama. Och, jak ja bym chciał ją poznać! Podczas powstania

Bokserów

od

tysiąc

osiemset

dziewięćdziesiątego

dziewiątego

do

tysiąc

dziewięćsetnego roku, gdy w Chinach panował kolejny kryzys, posiadłości Noble House znajdowały się w Pekinie, Tiencin, Fuczou i Kantonie, które zajęli Bokserzy w większym lub mniejszym stopniu sponsorowani

i

podżegani

przez

późniejszą

cesarzową wdowę Tz'u Hsi. Powstańcy nazywali siebie Sprawiedliwe i Zgodne Pięści, a ich hasło bojowe brzmiało: „Podtrzymać Ts'ingów, unicestwić cudzoziemców!” Prawdę mówiąc Europejczycy i Japończycy rzeczywiście mieli ogromne wpływy w Chinach. W każdym razie Bokserzy napadali na domy obcych kupców, na posiadłości, na tereny bez ochrony i zajmowali je. Noble House znajdował się w straszliwych kłopotach finansowych. W owym czasie nominalnym tai-panem był ponownie stary Sir Lochlin Struan, urodzony z uschniętą ręką syn Robba Struana.

Został tai-panem po Culumie, a potem jeszcze raz po Dirku Dunrossie. Hag manipulowała nim aż do jego śmierci w tysiąc dziewięćset piętnastym w wieku siedemdziesięciu dwóch lat.

- Skąd ty czerpiesz te wszystkie informacje, Peter?

- Trochę koloryzuję - odparł. - W każdym razie, Hag pilnie potrzebowała pieniędzy. Dziadek Gornta wykupił

dużo weksli Struanów i mógł spowodować ich upadek.

Wtedy nie było zwykłych źródeł finansowych, nie miała skąd pożyczyć pieniędzy, bo cała Azja, wszystkie *hong*, znajdowały się w podobnych tarapatach. Ale ojciec tego faceta, tego, co tai-pan z nim teraz rozmawia,

był

wtedy

hongkongijskim

Królem

Żebraków. A żebractwo należało w tamtych czasach do niezwykle intratnych interesów. W każdym razie zjawił się u Hag i mówi z godnością: „Przyszedłem kupić piątą część Noble House. Proponuję dwieście tysięcy taeli srebra”, a tyle właśnie potrzebowała, żeby wykupić weksle. Aby zachować twarz, trochę się potargowali i stanęło na tym, że sprzeda mu dziesiątą część. Była to niewiarygodnie uczciwa transakcja, ponieważ za tyle samo pieniędzy mógł kupić dwadzieścia albo trzydzieści procent innej kompanii o tej samej wielkości. Nie zażądał w zamian żadnej umowy, tylko pieczęć i obietnicę, że raz do roku ona albo następni tai-panowie będą przychodzić do jego potomków, gdziekolwiek by mieszkali, i prosić o prawo do głosowania tymi udziałami. - Od tej pory ile razy tai-pan prosi, zawsze dostaje prawo do głosowania.

„Ale dlaczego, Szlachetny Królu Żebraków?- zapytała Hag. - Dlaczego wybawiasz mnie od zagłady?”

„Ponieważ twój dziadek, Zielonooki Diabeł, uchronił

kiedyś twarz mojego dziadka i pomógł mu zostać pierwszym hongkongijskim Królem Żebraków”.

Casey westchnęła.

- Wierzysz w to, Peter?

- Tak - wyrzwał na Szczęśliwą Dolinę. - Kiedyś tu były bagna, osuszył je Dirk. - Wydmuchnął dym z papierosa. - Wkrótce napiszę o Hongkongu.

- Jeśli dalej będziesz tyle palił, to nic już nie napiszesz.

- W porządku, Casey, na dzisiaj rzucam. Dlatego, że jesteś taka piękna. - Zgasił papierosa. Uśmiechnął

się. - Iiiii, ale ile mógłbym powiedzieć o ludziach, których dzisiaj spotkałaś! Ale ani pisnę, to by było nieuczciwe. Nigdy nie opowiadam prawdziwych historii, chociaż wiele znam. - Roześmiała się razem z nim.

Popatrzyła na trybuny klubowe i zauważyła Orlandę.

Obok, bardzo blisko, stał Linc. Mimo odległości, łatwo było zauważyć, że świetnie się ze sobą bawią.

- Co się stało... - zaczął Marlowe i również ich zauważył. - A, nie przejmuj się.

Po pewnej chwili odwróciła wzrok.

- Peter, chodzi o przysługę. Mogę teraz o nią po prosić?

- Co mam zrobić?

- Powiedz mi wszystko o Orlandzie.

— Chcesz ją zniszczyć?

- Chcę się bronić. Siebie i Linca.

- A może on nie chce ochrony, Casey.

- Przysięgam nigdy nie skorzystać z tej wiedzy, jeśli uczciwie nie stwierdzę, że to konieczne.

Pisarz westchnął.

- Przykro mi - rzekł ze współczuciem. - Nie mam do przekazania o niej nic, co mogłoby chronić Linca. A nawet gdybym miał, tobym nie powiedział.

- Ale ja bardzo cię proszę. Obiecałeś mi przysługę.

Ja ci pomogłam, a teraz chcę, żebyś ty mi pomógł.

Proszę cię!

Przyglądał jej się dłuższą chwilę.

-

Co wiesz na jej temat?

Opowiedziała o Gorncie, o Makau, o dziecku.

- A więc wiesz wszystko to, co ja. Może z wyjątkiem tego, że powinnaś jej żałować.

- Dlaczego?

- Bo jest Euroazjatką, bo jest samotna, bo jedynym jej źródłem utrzymania jest Gornt, a to tak samo niebezpieczne jak wszystko inne na świecie. Tutaj nikogo dla niej nie ma.

Z wyjątkiem Linca. - Lub jemu podobnego. Być może to wszystko z jego punktu widzenia nie wygląda aż tak źle.

-

Dlatego, że ona jest Azjatką, a ja nie?

Znów uśmiechnął się zdawkowo.

- Ponieważ ona tak samo jak ty jest kobietą, ale wszystkie

asy

trzymasz

ty.

Musisz

jedynie

zdecydować: rozpocząć walkę czy nie.

- Peter, poradź mi, co mam robić. Przyznam ci się, że mam piekielnego stracha.

- W porządku, ale to nie będzie przysługa, którą ci jestem winien - odparł. - Plotka głosi, że choć ty kochasz Linca, nie jesteście kochankami. Podobno macie ze sobą przebywać przez sześć czy siedem lat, ale bez... bez bliskich kontaktów. On jest niesamowity,

ty

jesteś

niesamowita,

więc

stanowilibyście dobrane małżeństwo. Kluczowym słowem jest właśnie „małżeństwo”. Może bardziej niż jego samego pragniesz jego pieniędzy, władzy i Par-Con. Sama musisz rozwiązać ten problem. Nie sądzę, żebyś mogła mieć i jedno, i drugie.

- Dlaczego?

- Mnie się wydaje, że możesz wybrać Par-Con, władzę i bogactwo, ale bez Bartletta, chyba że jako przyjaciela, albo zostać panią Bartlettową, być grzeczną, kochającą żoną taką, jaką bez wątpienia byłaby Orlanda. W każdym razie musisz zdecydować się na jedno. Znać się z Linkiem doskonale i na pewno żadne z was nie da się wystrychnąć na dudka.

On już raz się rozwodził, teraz ma się na baczności.

Ty też nie jesteś zaślepioną Julią, więc także jesteś czujna.

-

Dorabiasz jako psychiatra?

Roześmiał się.

- Nie, ani nie jestem ojcem-sповідnikiem, chociaż lubię słuchać ludzi, uwielbiam dużo wiedzieć, ale nigdy nie udzielam rad, bo to najniewdzięczniejsze zadanie na świecie.

- A więc nie ma kompromisu?

Mnie się wydaje, że nie, ale ja to ja, a ty to ty. Masz swoją własną karmę. I nie chodzi tu tylko o Orlandę, ale o każdą inną kobietę, lepszą, gorszą, piękniejszą, a może nawet nie, ale taką, która potrafi zadowolić mężczyznę

i

pozwoli

mu

być

mężczyzną.

Przepraszam

cię,

prawdopodobnie

to

brzmi

szowinistycznie. Ale skoro pytałaś, to radzę ci szybko podjąć decyzję.

Gavallan wszedł do loży Szitii TCzunga, aby porozmawiać z tai-panem.

- Dzień dobry - powiedział uprzejmie do starego małżeństwa. - Niestety, tai-pan, Crosse i ten drugi już poszli,

- A niech to! - Dunross zastanowił się przez chwilę, przeprosił rozmówców i odszedł z Gavallanem.

- Przyjdiesz na koktajl?

- Tak, jeśli chcesz. Ale obawiam się, że kiepski ze mnie kompan.

- Wejdzmy na chwilę. - Dunross poprowadził do prywatnego pokoju. Na stole stała herbata i butelka Dom Perignon w kubku z lodem.

- Jakiś toast? - zapytał Gavallan.

- Tak. Z trzech okazji: przejęcie General Stores, wyjście z kłopotów Ho-Pak i za brzask nowej ery.

- O?

- Tak - Dunross zajął się otwieraniem butelki. - Na przykład dla ciebie: chcę, żebyś w poniedziałek wieczorem poleciał z dziećmi do Londynu. - Gavallan wytrzeszczył oczy, ale nic nie powiedział. - Pragnę, żebyś zajął się Kathy, poszukał jej lekarza i zabrał ją i dzieci do Avisyard. Przejmiesz zamek na jakieś sześć miesięcy. A może na rok albo na dwa. Pół roku na pewno. Zajmiesz całe wschodnie skrzydło. Założysz i poprowadzisz potajemnie nowe przedsiębiorstwo, nie może o tym wiedzieć ani Alastair, ani mój ojciec, ani nikt z rodziny z Davidem włącznie.

- Jakie przedsiębiorstwo? - Gavallan nie krył swojej radości.

Andrew, chcę, żebyś wieczorem poznał takiego faceta. Nazywa się Jamie Kirk. Ma trochę nieznośną żonę, ale zaprosz ich do Avisyard. Masz rozejrzeć się w Szkocji, zwłaszcza w Aberdeen. Po cichu

kupisz ziemię, nabrzeża, miejsca na lotniska i na lądowiska dla śmigłowców, gdzieś koło doków. Są tam jakieś doki?

- Chryste, tai-pan, nie mam pojęcia. Nigdy tam nie byłem.

- Ani ja.

- Proszę?

Dunross roześmiał się na widok miny Gavallana.

- Nie przejmuj się. Na początek dostaniesz milion funtów.

- Chryste, skąd milion fun...

- Nie trap się. - Będziesz miał milion funtów w ciągu pół roku, następne pięć - w terminie do dwóch lat.

Noble House rozpoczyna podbój Morza Północnego.

- Gavallan otworzył z wrażenia usta.

- Chcę, żeby przez ten czas Noble House zyskał

tam

na sile. Ale oczywiście po cichu. Pragnę mieć najlepsze

ziemię, wpływy w radach. Życzę sobie być tam panem.

To samo na zachód do Inverness i na południe od Dundee. Przez dwa lata. Zgoda?

- Tak, ale... - przerwał bezradnie Gavallan. Całe życie marzył o wyjeździe z Azji. Kathy i dzieci także, ale nigdy nie nadarzyła się taka możliwość. Nie była nawet rozpatrywana. A teraz Dunross daje mu na talerzu tę utopię, a on zupełnie jej nie rozumie. -

Dlaczego?

- Porozmawiaj z Kirkiem, naucz się tolerować jego żonę. I pamiętaj, gęba na kłódkę. - Podał mu kieliszek z szampanem. - Za Szkocję, za Norwegię, nasz nowy rozkwit. - A w głębi duszy dodał: i za Morze Północne!

Bogowie mi świadkami: Noble House wprowadza w życie Plan Alternatywny Numer Jeden.



17:50

Na trybunach pozostali już tylko sprzątacze, w większości lóż nie paliło się światło. Z nieba lały się rześiste strugi deszczu. Zapadał zmierzch. Przed torem na ulicy

panował

wzmógłony

ruch.

Tysiące

przemoczonych, ale podniesionych na duchu ludzi wracało do domu. W przyszłą sobotę znowu odbędą się wyścigi i znowu będzie piąta gonitwa. Tym razem na Noble Star pojedzie sam tai-pan, być może Czarna Broda dosiądzie Pilot Fish. Ci dwaj wykończiliby się nawzajem ku uciesze gawiedzi.

Z bramy dla członków klubu wyjechał rolls i opryskał

pieszych. Chińczycy zaczęli przeklinać, ale tak naprawdę nie denerwowali się. Kiedyś ja też takiego będę miał, myślał każdy. Potrzebuję tylko trochę przeklętego *dżosu*. Tylko odrobinę *dżosu* w sobotę i wystarczy mi, żeby kupić kawałek ziemi albo mieszkanie do wynajęcia, liii, ale bym się cieszył z takiego rollsa ze szczęśliwą tablicą rejestracyjną.

Widziałeś, kto to był? Taksówkarz Tok, który jeszcze siedem lat temu jeździł nielegalną taksówką *bo-pi*.

Pewnego pięknego dnia znalazł na tylnym siedzeniu dziesięć tysięcy, zainwestował je na giełdzie i po boomie Za zysk kupił mieszkania. liii, boom. Stary Ślepy Tun też zapowiadał boom! A dlaczego kursy na giełdzie lecą na łeb, na szyję i trwa szturm na banki?

*Aiii ia*, to już skończone. Przecież były dwa oświadczenia. Wielki Bank przejmie Ho-Pak i wszystkie długi. A Noble House wykupi General Stores! Dwie takie dobre wieści na jednych wyścigach.

Jeszcze się nigdy nic takiego nie wydarzyło! Dziwne!

Bardzo dziwne! Nie sądzisz... A niech to bogowie! A może to wszystko nieczyste zagrywki obcych diabłów, aby manipulować giełdą i czerpać zyski? Ooo, tak, to prawda, to muszą być manipulacje! Za dużo przeklętych zbiegów okoliczności! Ach, ci cwani barbarzyńcy! Dzięki bogom przejrzałem ich i jestem gotów! Co ja powinienem robić...

Podczas drogi powrotnej do domu każdy zapalał się i gorączkował, snuł marzenia o zdobyciu fortuny.

Zdecydowana większość zbiedniała, ale kilku się wzbogaciło. Do tych drugich należał Obserwator Wu, konstabl z posterunku policji w Aherdeen. Crosse zwolnił go do 18:15, aby wrócił na przesłuchanie klienta, ponieważ jedynie on może tłumaczyć z dialektu ning-tok. Młodzieniec drgnął i poczuł skurcz w Tajnym Worku na myśl, jak szybko Brian Kwok się poddał i załamał.

*Aiii ia*, pomyślał ze strachem. Ci różowi barbarzyńcy to naprawdę diabły, skoro potrafią zrobić z nami, ludźmi cywilizowanymi, co chcą. Tak, ale ja wstąpię do SI i bronić mnie będą ich sekrety, a wtedy zostanę Głową Rodziny.

Jego *dżos* zmienił się, odkąd spotkał starą *amah*.

Także dzisiaj bogowie obdarzyli go łaską. Obstawił

podwójny porządek i trójkę, dzięki czemu wyszedł z wyścigów o pięć tysięcy siedemset pięćdziesiąt trzy dolary hongkongijskie bogatszy. Już rozplanował, na co wyda pieniądze. Kupi Piątemu Wujowi maszynę do produkcji plastikowych kwiatów w zamian za pięćdziesiąt jeden procent udziałów, tysiąc wyda na budowę dwóch bud do wynajęcia, a pozostały tysiąc postawi w przyszłą sobotę!

Mercedes zatrafił, aż Obserwator Wu odskoczył.

Rozpoznał człowieka siedzącego z tyłu. Był to Rosemont, barbarzyńca z CIA o nieograniczonych funduszach. Ależ ci Amerykanie naiwni, myślał. W

zeszłym roku, gdy wraz z falą uchodźców przybył

krewny Obserwatora Wu, wysyłał go co miesiąc do amerykańskiego

konsulatu, aby podał inne personalia i co innego o sobie opowiedział, albo że jest chrześcijaninem, albo anty-komunistą. W ten sposób dostawał darmowe posiłki i kieszonkowe od Amerykanów. Wystarczyło, że udawał

przestraszonego,

zdenerwowanego

i

przeciwego przewodniczącemu Mao, ponieważ w jego wiosce komuniści robili straszne rzeczy.

Amerykanie lubili słuchać o ruchach chińskich wojsk, obojętnie, czy prawdziwych, czy zmyślonych. Szybko wszystko zapisywali i prosili o jeszcze. Każda informacja wyczytana w gazecie i wypowiedziana z przerażeniem w oczach była dla nich cenna.

Trzy miesiące temu Obserwator Wu wpadł na genialny pomysł. Wraz z czterema krewnymi, z których jeden pracował w Kantonie w komunistycznej gazecie, Obserwator Wu zaproponował - poprzez zaufanych posłańców - że będzie dostarczał Rosemontowi raport o kryptonimie *Wojownik Wolności*, w którym zostaną przedstawione warunki życia za Bambusową Kurtyną w okolicach Kantonu. Aby

dowieść wagi podawanych przez siebie informacji, zaproponował, że pierwsze dwa raporty zostaną dostarczone za darmo - warto stracić kradzioną owcę, aby złapać tygrysa. Jeśli CIA będzie zadowolona z raportów, każde następne trzy będą kosztować po tysiąc dolarów hongkongijskich, a jeśli i te okażą się cenne, po roku cena zostanie przenegocjowana jeszcze raz.

Pierwsze dwa dostały wysokie oceny i natychmiast zawarto umowę na pięć raportów po dwa tysiące każdy. W przyszłym tygodniu odbierają pierwsze wynagrodzenie. Och, ale sobie gratulowali. Zawartość raportów pochodziła z trzydziestu kantońskich gazet dostarczanych codziennie z Kantonu pociągami wraz ze świniami, drobiem i innymi produktami. Do nich należało tylko uważne przeczytanie gazet, wyłowienie odpowiednich

artykułów i przepisanie ich po

odrzuconiu komunistycznej dialektyki. Interesowali się zbiorami rolnymi, budynkami, gospodarką, spotkaniami partyjnymi,

urodzinami,

zgonami,

wyrokami,

szantażami i lokalnym kolorytem - wszystkim, co uznali za odpowiednie. Artykuły i informacje tłumaczył

oczywiście Obserwator Wu.

Poczuł przypływ radości. *Wojownik Wolności* ma przed sobą przyszłość. Prawie zupełnie nic ich nie kosztuje.

- Ale czasami musimy być ostrożni i popełnić kilka błędów - podsunął kiedyś Wu. - Co jakiś czas nie pošlemy też raportu, bo „nasz agent w Kantonie został

zamordowany za zdradę stanu...”

O tak. A jak już zostanę pełnoprawnym członkiem SI, będę mógł lepiej prezentować informacje z prasy.

Być może uda nam się poszerzyć raporty o wiadomości z Pekinu i Szanghaju. Gazety stamtąd możemy dostawać równie łatwo iak z Kantonu. Dzięki, o bogowie, za głupotę Amerykanów.

Taksówka natarczywie trąbiła za jego plecami. Zatrzymał się, aby mogła przejechać, a potem sklął ją i dalej szedł wzdłuż muru otaczającego tor wyścigowy.

Spojrzał na zegarek. Jeszcze dużo czasu, do Komendy Głównej już niedaleko.

Deszcz znów się nasilił, ale on tego nie poczuł, rozgrzewała go schowana do kieszeni nagroda i

dziarsko stawiał kroki. Wyprostował plecy. Bądź silny i mądry, rozkazał sobie. Dzisiaj muszę na siebie uważać. Być może zostanę zapytany o zdanie! Wiem, że komunista Brian Kwok gdzieś tam kłamie i przesadza. A co do bomby atomowej, to nic w tej wiadomości nowego. Każdy głupiec wie, co od siedmiu lat dzieje się w Sin-ciang w pobliżu jeziora Bositenghu.

Oczywiście, że wkrótce będziemy mieć własne rakiety i satelity. Oczywiście! Czyż nie jesteśmy cywilizowani?

Czy to nie my wymyśliliśmy proch i rakiety, ale nie korzystaliśmy z nich, bo to barbarzyńskie wytwory?

Po drugiej stronie płotu otaczającego stadion sprzątaczkę zbierały pozostałości po tysiącach ludzi - monety, pierścionki, pióra, butelki warte miedziaka.

Obok pojemnika na śmieci moknąc na deszczu leżał

mężczyzna. - No, stary, tu nie miejsce do spania -

powiedziała

całkiem

uprzejmie

sprzątaczką

potrzęsając go za ramię.

- Czas do domu! - Staruszek otworzył oczy, próbował

wstać, jęknął i bezwładnie upadł.

- *Aiii ia* - mruknęła Yang Jeden Ząb. W ciągu siedemdziesięciu lat życia niejedną śmierć widziała i od

razu rozpoznała zgon. - Hej, Młodsza Siostró! - zawołała do koleżanki ze swojej grupy. - Chodź no tutaj, ten stary nie żyje.

Koleżanka miała sześćdziesiąt cztery lata, była przygarbiona, ale silna. Pochodziła z Szanghaju.

Podeszła i spojrzała w dół.

- Wygląda na żebraka.

- Tak. Lepiej zawołajmy przełożonego. - Yang Jeden Ząb przyklękła i przeszukała kieszenie trupa.

Znalazła tylko trzy dolary. - Niewiele - zmartwiła się.

- To nie! - Sprawiedliwie rozdzieliła monety. Od wielu lat zawsze dzieliły się po równo tym, co znalazły.

- Co on tam ma w dłoni? - zapytała młodsza z kobiet. Yang Jeden Ząb odchyliła chude jak szpony palce. - Same kupony. - Spojrzała na nie, a potem podniosła bliżej do oczu. - Obstawiał podwójny porządek...-

zaczęła i nagle przerwała. - liii, w pierwszej trafił, ale

w drugiej postawił na Butterscotch Lass! - Obydwie zaśmiały się z biedaka.

- Według mnie właśnie dlatego umarł! *Aiii ia*, tak blisko i tak daleko, Starsza Siostró!

- *Dżos!* - Yang Jeden Ząb wyrzuciła kupony do śmieci. - Bogowie to bogowie, a ludzie to ludzie, ale iii, nic dziwnego, że umarł. Mnie też by to czekało. - Znów się obydwie roześmiały, a starsza aż poczuła klucie w piersiach. - *Aiii ia*, muszę wziąć lekarstwo. Idź i powiedz przełożonemu, Młodsza Siostró, liii, ale jestem zmęczona. *Dżos!* Szoruj po przełożonego! Ale się zmęczyłam - powtórzyła podpierając się na miotle.

Młodsza sprzątaczką odeszła rozmyślając o tym, jak szybko bogowie mogą zabrać człowieka z tego świata.

Jeśli oni w ogóle istnieją. *Dżos!*

Yang Jeden Ząb kontynuowała pracę, bolała ją głowa. Gdy została sama i miała pewność, że nikt jej nie obserwuje, ośmieliła się sięgnąć do śmieci po kupony. Jeszcze nigdy w życiu serce nie biło jej tak szybko. Jeszcze raz sprawdziła, czy nie pomyliła numerów. Nie, nie popełniła błędu. Każdy kupon był

wygrany. Szybko wyciągała je po kolei z kosza i chowała do kieszeni. Na koniec upewniła się, że żadnego nie zostawiła. Szybko nasypała do kosza więcej śmieci, cały czas myślała o kuponach.

Zrealizuję je jutro. Mam na to trzy dni. O, bogowie, jestem bogata, bogata, bogata! Tam jest ze sto albo i dwieście kuponów po pięć dolarów. A za każdy płacą po dwieście sześćdziesiąt pięć, a więc jeśli mam sto kuponów... to dwadzieścia sześć tysięcy pięćset dolarów, a jak dwieście... pięćdziesiąt trzy tysiące.

We wspaniałym humorze przechodziła obok trupa, jakby go tam nie było. Nie odważyłaby się teraz przeliczyć wszystkich kuponów.

- Bądź ostrożna, staruszkó - przywołała się głośno do porządku i znów się przestraszyła. Przestań mówić do siebie! Bądź ostrożna, bo Młodsza Siostra zacznie coś podejrzewać... Ooo, a może już mówi o swych podejrzeniach przełożonemu? Co robić? To do

mnie uśmiechnął się *dżos*, ja znalazłam tego człowieka...

*Aiii ia*, co robić? A jak mnie przeszukają? Jak mnie zobaczą w takim stanie, to na pewno zaczną coś

podejrzewać.

Opanowała nerwy. W pobliżu znajdowała się toaleta. Po niej ma dyżur następna zmiana, ale ona jutro zaczyna pracę o dziewiątej rano, więc zostanie jej jeszcze dużo czasu. W pustej toalecie wyjęła bilety, zawinęła

je

w

kawałek

szmatki,

poszukała

obluzowanej cegły i włożyła zwitek w szparę.

Gdy znów znalazła się bezpiecznie na dworze, odetchnęła. Nadszedł przełożony z koleżanką i uważnie przeszukał kieszenie zmarłego. Znalazł zawiniątko ze srebrnej folii aluminiowej. W środku znajdowała się poccja Białego Proszku.

- Warta ze dwa dolary - ocenił, mimo że porcja kosztowała około sześciu dolarów. - Podzielimy się, siedemdziesiąt procent dla mnie, trzydzieści dla was.

Dla zachowania twarzy Yang Jeden Ząb zaproponowała, że może uda jej się sprzedać za trzy dolary dziesięć centów i wtedy podzielią się tak, że dla nich czterdzieści, a dla niego sześćdziesiąt procent. Zgodził

się i odszedł zadowolony.

Gdy zostały same, młodsza ze sprzątaczek zaczęła przetrząsać kosz na śmieci.

- Co robisz? - zapytała Yang Jeden Ząb.

- Chcę sprawdzić te kupony, Starsza Siostrze. Nie masz za dobrych oczu.

- Proszę bardzo - mruknęła Yang Jeden Ząb i wzruszyła ramionami. - Wrzuciłam już dużo śmieci. Idę tam - pokazała palcem w stronę ławek. Młodsza zawahała się chwilę, a potem ruszyła za Yang Jeden Ząb, która niemal zachichotała z radości. Jutro przyjdę i odbiorę nagrodę. Wrócę do domu z prawdziwym majątkiem. Co ja zrobię z takim bogactwem?!

Najpierw spłacę dług Trzeciej Wnuczki w dancin-gach, w zamian za połowę jej dochodów w pierwszym roku. Dalej: Drugi Syn nie będzie już kulisem na budowie przy Kotewall Road. Razem z Piątym Siostrzeńcem i Siódmym Wnukiem założą firmę budowlaną, za tydzień damy zaliczkę na teren i zaczniemy budować domy...

- Wyglądasz na bardzo z siebie zadowoloną. Starsza Siostró.

- Bo jestem, Młodsza Siostró. Bolał mnie kości, gniecie mnie w żołądku, jak zwykle łapie mnie kolka, ale żyję, a ten stary nie. To znak od bogów. Jak go zobaczyłam pierwszy raz, to myślałam, że to mój mąż, który zmarł podczas ucieczki z Szanghaju piętnaście lat temu. Wydawało mi się, że to duch! Ten starzec jest podobny do niego jak brat bliźniak!

- *Aiii ia*, to straszne! O. jak straszne! Duchy! O, bogowie, chrońcie mnie przed duchami!

O tak, przyznała w duchu Yang Jeden Ząb, duchy są straszne. Ale na czym to stanęłam? Ach tak... tysiąc postawię w przyszłą sobotę, a za wygraną kupię...

Kupię sobie sztuczną szczękę! *liii*, będzie cudownie, chciała krzyknąć i dać upust radości. Całe życie, odkąd jako czternastoletniej dziewczynce mandzurska strzelba wybiła prawie wszystkie zęby podczas jednego z ciągłych powstań przeciwko dynastii Cz'ing, nie miała zębów, dostała nawet przyzwisko Yang Jeden Ząb.

Nosiła je zawsze. A teraz... o bogowie! Kupię sobie sztuczną szczękę za wygraną w sobotnich wyścigach i w podzięcie za *dżos* zapalę dwie świece w najbliższej świątyni.

- Młodsza Siostró, chyba zasłabłam - jęknęła, prawie naprawdę mdlejąc z emocji. - Możesz mi przynieść wody?

Młodsza sprzątaczką poszła burząc coś pod nosem.

Yang Jeden Ząb usiadła na chwilę i pozwoliła sobie na szeroki uśmiech. Dotknęła językiem dziąseł, *liii*, jak wygram, to mi na pewno starczy. Wstawię sobie też jeden złoty ząb. Pośrodku, na pamiątkę. Yang Złoty Ząb brzmi całkiem nieźle, pomyślała. Za sprytna była, żeby wypowiedzieć to na głos, mimo że nie miała żadnego towarzystwa. Tak, Szlachetna Yang Złoty Ząb z imperium Budowy Domów Yang...

18:15

Suslew co chwila zmieniał pozycję na przednim siedzeniu małego samochodu Erniego Linkera, gdy powoli jechali pod górę. Szyby zalewała woda, padał coraz większy deszcz. Błoto i kamienie spadające ze zbocza na drogę stwarzały niebezpieczeństwo dla podróżujących. Do tej pory minęli dwa niewielkie wypadki.

- Takie warunki, że może lepiej zostaniesz na noc, staruszk - zaproponował Clinker. Z trudem panował

nad autem.

- Nie, nie mogę - powiedział z irytacją w głosie Suslew. - Mówiłem ci już, że obiecałem być z Ginny, bo to moja ostatnia noc. - Całą drogę Suslew pałał furją napędzaną nieokiełznanym strachem. Po pierwsze, poranne wezwanie na komendę policji, po drugie obawa przed reperkusjami, jakie pociągnie za sobą przechwycenie zakodowanego telegramu, po trzecie lęk, że Centrum najprawdopodobniej nie będzie zachwycone stratą Woranskiego. a do tego dochodziło jeszcze zniszczenie sprzętu radiowego, skandal z Metkinem, a teraz przyjeżdża Korońsk i być może trzeba będzie uprowadzić Dunrossa.

Zbyt dużo nieprzyjemnych wydarzeń podczas tego rejsu, myślał. Miał za długie doświadczenie, żeby żywić jakieś złudzenia. Otuchy nie dodała mu nawet przeprowadzona podczas piątej gonitwy rozmowa z Crosse'em.

Nie przejmujcie się Gregor, to na pewno będą tylko rutynowe pytania o Woroskiego, Metkina i tak dalej –

powiedział uspokajająco Crosse.

- *Christos*, co za „i tak dalej”?

- Nie wiem, to rozkaz Smdersa, nie mój.

- Lepiej jakoś mnie ubezpieczajcie, Roger.

- Ależ, oczywiście. Posłuchajcie, z tym porwaniem to bardzo zły pomysł.

- Oni chcą, żeby je przeprowadzić i to przy pomocy Arthura. Jeśli będziecie z tym zwlekać, my się tym zajmujemy.

- Ja jestem przeciwny. To mój teren i...

- Centrum zaakceptowało ten pomysł i zrobimy to, bo takie są rozkazy! - Suslew chciał krzyknąć, żeby Crosse się zamknął, ale musiał być ostrożny w postępowaniu z najlepszym szpiegiem w Azji. –



Możemy się spotkać jutro wieczorem?

- Nie, ale zadzwonię. Może w czwórcę? O dziesiątej trzydzieści? - Cztery oznaczało obecnie Sinclair Towers 32, a dziesiąta trzydzieści - dziesiąta trzydzieści wieczorem.

- Czy to rozsądne?

W odpowiedzi usłyszał zgryźliwy śmiech.

- Bardzo rozsądne. Przecież ci idioci drugi raz nie przyjdą! Ja wam to gwarantuję.

- W porządku. Będzie też Arthur. Musimy dopracować plan.

Clinker ostro zahamował, żeby nie wpaść na taksówkę, i zaklął. Zapуścił silnik i ruszył dalej, wpatrując się w przednią szybę. Suslew starał się, .uspokoić nerwy.

- Cholerna pogoda - mruknął nieobecny duchem.

A co z tym Trawkinem? Głupi idiota przewraca się za metą. Już byłem pewien, że wygra. Dekadencki dureń! Żaden prawdziwy Kozak nie pozwoliłby sobie na coś takiego. A więc został wyeliminowany. On i ta jego pomarszczona stara księżniczka z połamanymi kośćmi.

Jak zwabić Dunrossa do mieszkania jutro, a nie we wtorek, jak dawał znać Trawkin. Najpóźniej jutro wieczór.

Musi się tym zająć Roger albo Arthur. Oni grają kluczową rolę w planie dotyczącym Dunrossa.

Muszę mieć te raporty albo Dunrossa, zanim odpłynę.

Jedno albo drugie. Tylko to może stanowić dla mnie ochronę przed Centrum.

Przed „Hiltonem” z limuzyny Struanów wysiedli Casey i Bartlett, hinduski odźwierny w turbanie trzymał nad nimi rozpięty niepotrzebnie parasol. Znajdowali się już pod chroniącym przed deszczem zadaszeniem.

- Sir, ja tutaj będę cały czas czekał - powiedział

Szofer Lim.

- Świetnie. Dziękuję - odparł Bartlett. Weszli po schodach i skierowali się w stronę foyer.

- Nic nie mówisz, Casey - odezwał się Bartlett. Od wyjazdu z toru wyścigowego prawie się do siebie nie odzywali. Obydwoje pograżyli się w swoich myślach.

- Ty też. Myślałam, że nie chcesz rozmawiać. Wyglądałeś na zdenerwowanego. - Uśmiechnęła się. - Może wszystko przez te emocje.

- O, to był wielki dzień.

- Myślisz, że tai-panowi uda się przejąć General Stores?

- Zobaczymy w poniedziałek. - Bartlett podszedł do recepcji. - Do pana Banastasio.

- Chwileczkę - powiedział przystojny Euroazjata, zastępca dyrektora. - A tak, znów zmienił swój pokój.

Teraz jest w osiemset trzydzieści dwa. - Podał telefon.

Bartlett wybrał numer.

- Tak?

- Vincenzo? Tu Linc. Jestem na dole.

- Hej, Linc, miło cię słyszeć. Jest z tobą Casey?

- Jasne.

- Wejdziecie?

- Już pędzimy. - Bartlett wrócił do Casey.

- Jesteś pewien, że mam iść z tobą?

Tak, pytał o ciebie. - Idąc do windy Bartlett myślał

o Oriandzie i ich randce, o Biltzmannie, Gorncie i jutrzejszym wyjeździe do Tajpej. Zapytać Dunrossa, czy może zabrać Orlandę? - myślał. Cholera, nagle życie tak się skomplikowało. - To nam zajmie kilka minut-zaznaczył. - A potem koktajl z tai-panem. Weekend zapowiada się interesująco. Przyszły tydzień też.

- Dzisiaj też wychodzisz na kolację?

- Tak. Ale spotkamy się na śniadaniu. Seymourowi trzeba wyjaśnić parę rzeczy, a ja wyjeżdżam na kilka dni, więc musimy to rano załatwić.

W windzie panował tłok. Casey w ostatniej chwili cofnęła nogę i uniknęła bolesnego zetknięcia z butem pasażerki i w rewanżu wbiła nieostrożnej sąsiadce obcas w stopę.

- Och, bardzo przepraszam - odezwała się słodkim głosem. - *Dew neh loh moh* - cichcem dodała przekleństwo, którego nauczył ją Peter Marlowe. Kobieta

usłyszała i zrobiła cię purpurowa. Wysiadła na najbliższym piętrze. Casey poczuła się zwycięzczynią. Spojrzała rozbawiona na Bartletta, ale on zagubiony w myślach patrzył przez siebie i

nie nie widział. Zaczęła się zastanawiać, co go dręczy. Orlanda?

Wysiedli na ósmym piętrze. Szła korytarzem obok Bartletta.

- Linc, wiesz po co to wszystko? Czego chce Banastasio?

- Podobno chce nam tylko powiedzieć cześć. - Nacisnął guzik. Otworzyły się drzwi;

Banastasio był przystojnym mężczyzną z siwymi włosami i bardzo ciemnymi oczami. Przywitał ich wy-lewnie.

- Hej, Casey, świetnie wyglądasz, straciłaś na wadze.

Napijcie się? - Wskazał ręką dobrze zaopatrzone barek.

Casey otworzyła puszkę piwa dla Bartletta i nalała sobie martini. Peter Marlowe ma rację. Tai-pan i Linc także.

Powinnam się zdecydować. Do kiedy? Jak najszybciej.

Dzisiaj, jutro? Na pewno do wtorkowej kolacji. Wtedy muszę mieć stuprocentową pewność, żebym mogła ewentualnie rozpocząć atak.

- Jak leci? - zapytał Banastasio.

- Świetnie. A tobie?

Doskonale. - Banastasio napił się coca-coli i włączył

magnetofon. Z głośników popłynęła mieszanka odgłosów z przyję

cia. - Taki nawyk. Chcę rozmawiać w

zaufaniu - ściszył głos. Bartlett zdziwił się.

- Myślisz, że tu może być podsłuch?

- Może tak, a może nie; Nigdy nic nie wiadomo, prawda?

Bartlett popatrzył na Casey, a potem znów na Banastasio.

- O co ci chodzi, Vincenzo?

Uśmiechnął się.

- Jak tam Par-Con? - zapytał.

- Jak zawsze wspaniałe - odrzekł Bartlett. -

Przewidujemy wzrost dywidendy.

- O siedem procent dodała Casey. Stała się bardzo uważna.

- Zwiążecie się ze Struanami czy Rothwell-Gornt?

- Jeszcze się zastanawiamy. - Bartlett ukrył swoje zaskoczenie. - Vincenzo, nigdy dotychczas nie pytałeś o interesy. Co się stało?

- Zwiążecie się ze Struanami czy Rothwell-Gornt?

Bartletta zaskoczył chłodny wzrok i dziwny uśmiezek Banastasio. Casey także była poruszona.

- Jak zostanie podpisana umowa, powiemy ci. Tak samo jak i innym akcjonariuszom.

Uśmiezek nie zniknął. Oczy stały się lodowate.

-

Chłopcy i ja chcielibyśmy...

-

Jacy chłopcy?

Banastasio westchnął.

- Spora część Par-Con należy do nas, Linc.

Pragnęlibyśmy mieć wpływ na niektóre z ważniejszych decyzji. Wydaje nam się też, że powinniśmy dostać miejsce w radzie. I w Komitecie do spraw finansów oraz Komitecie do spraw rozwoju.

Bartlett i Casey wbili w niego wzrok.

- Tego nie było w umowie - zaproponował Bartlett.

- Od samego początku twierdziłeś, że jesteś tylko inwestorem.

- Właśnie - dodała Casey. - Napisałeś, że jesteś tylko inwestorem i...

- Czasy się zmieniają, młoda damo. Teraz chcemy wejść do rady. Rozumiecie? - powiedział ostrzejszym tonem. - Linc, tylko jedno miejsce. W General Motors przy takim udziale mógłbym mieć dwa.

- Nie jesteśmy General Motors.

- Jasne, jasne, wiemy o tym. Ale my nie chcemy źle.

Pragniemy, żeby Par-Con się rozrastał szybciej.

Może...

- Rozrasta się w odpowiednim tempie. Nie sądzisz, że... lepiej... - Casey zamilkła pod zimnym spojrzeniem Vincenza. Bartlett zaczynał zaciskać dłonie w pięści, ale zachowywał spokój.

- A więc ustalone, tak? - powiedział znów uśmiechnięty Banastasio. - Od dzisiaj jestem w radzie, dobrze?

- Źle. Akcjonariusze wybierają dyrektorów na dorocznych zgromadzeniach - podkreślił surowym głosem

Bartlett. - Na razie nie ma wolnych miejsc.

Banastasio zaśmiał się.

-

Może się jednak znajdzie.

-

Mam ci jeszcze raz powtórzyć?

Banastasio znów spoważniał.

- Słuchaj, Linc, to nie groźba, jedynie propozycja.

Mogę się przydać w radzie, mam duże znajomości.

To tu, to tam dorzuciłbym czasami swoje trzy grosze i tyle.

- Na przykład w jakiej sprawie?

- Żeby Par-Con związał się z Gorntem.

- A jak się nie zgodzę?

- Wystarczy kiwnięcie palcem z naszej strony i Dunross znajdzie się na ulicy. Linc, Gornt to swój chłop. Sprawdziliśmy wszystko i on się lepiej nadaje.

Bartlett wstał. Casey poszła w jego ślady, choć nogi miała jak z waty. Banastasio ani drgnął.

- Zastanowię się - rzekł Bartlett. - A poza tym wcale nie wiadomo, czy zwiążemy się z którymś z nich.

Banastasio zmarszczył brwi.

- Słucham?

- Nie jestem przekonany, czy odpowiada nam któryś z nich. Prawda, Casey?

- Tak.

- Ja jestem za Gorntem, kapujecie?

- Wypchaj się! - Bartlett ruszył do wyjścia.

- Chwileczkę! - Banastasio wstał i podszedł bliżej niego. - Kłopoty nie są potrzebne nikomu, ani mnie, ani wam, ani chłopcom...

-

Jakim chłopcom?

Znów westchnął.

- Daj spokój, Linc, skończyłeś już dwadzieścia jeden, nie? Dobrze ci idzie. Nam chodzi tylko o pieniądze.

- Pod tym względem się ze sobą zgadzamy. Wykupimy twoje udziały i damy ci zysk...

- Nie da rady. Nie są na sprzedaż. – Wzruszył ramionami. - Kupiliśmy je, gdy potrzebowałeś pomocy.

Zapłaciliśmy uczciwie i miałeś pieniądze na rozwój.

Teraz my też chcemy włączyć się do działania.

Kapujesz, bracie?

- Przedstawię tę propozycję na dorocznym zebraniu akcjonariuszy.

- Teraz, do cholery!

- Nie, do cholery! - Bartlett bardzo się rozłościł.

- Kapujesz?

Banastasio spojrział na Casey.

- Ty też masz swoje zdanie, panno wiceprezes, prawda?

- Tak - odpowiedziała zaskoczona, że jej głos brzmi tak pewnie. - Panie Banastasio, w radzie miejsce nie ma.

A co do Gornta, to w głosowaniu będę przeciwko niemu, tak samo jak przeciwko panu.

— Jak przejmujemy kontrolę, wylecisz.

-

Jak przejmiecie kontrolę, sama dawno odejdę.

- Casey ruszyła do drzwi zdumiona, że nogi nie od-mówiły jej posłuszeństwa.

- Do zobaczenia - powiedział Bartlett.

- Radzę zmienić zdanie.

- Radzę trzymać się z daleka od Par-Con. - Bartlett odwrócił się i wyszedł za Casey. - Jezu! - odezwał się w windzie.

— O, tak - westchnęła bezsilnie.

-

Chyba... musimy porozmawiać. - Tak. Czuję, że muszę się czegoś napić. Jezu, Linc, ten człowiek mnie przeraża. Nigdy w życiu tak się nie bałam. - Pokręciła głową starając się uspokoić. - Jak w jakimś koszmarze.

W barze na najwyższym piętrze zatrzymali się na martini i piwo. Pili w milczeniu. Bartlett zamówił jeszcze jedno. Cały czas próbowali poukładać myśli.

- Bartlett poruszył się na krześle. Spojrzała na niego.

- Chcesz usłyszeć, co o tym sędzę? - zapytała.

- Jasne, Casey. Mów.

Od dawna krążą plotki, że on należy do mafii albo ma z nią jakieś powiązania. Już po paru zdaniach zorientowałam się, że to szczerza prawda. Mafia zajmuje się narkotykami i tego typu sprawami, więc może mają coś wspólnego z bronią? Bartlett zmarszczył czoło.

Też tak sędzę. Co dalej?

Banastasio boi się podsłuchu, a to znaczy, że ma na niego oko FBI. Albo CIA.

Albo CIA. A więc: Jeśli on jest z mafii i macza w tej zabawie palce CIA lub FBI, to my nie mamy żadnego prawa brać w tym udziału. A jeśli chodzi o...

Przerwała. - Aaa... Co się stało?

Nic... Przypomniałam sobie, że Rosemont... pa-miętasz go z przyjęcia u tai-pana... Taki wysoki, przystojny,

siwe włosy, z konsulatu. Wczoraj

przypadkiem

spotkałam

go na promie. Zbieg

okoliczności albo i nie. W każdym razie zaczął mówić o Banastasio: że to „znajomy jego kolegi, Eda Langana.

A jak mnie się wyrwało, że przyjeżdża, zdziwił się. -

Opowiedziała całą rozmowę. Do tej pory o tym nie myślałam, ale... skoro konsulatu, to niewykluczone, że i z CIA.

Możliwe. Jasne. A jeśli... - Także przerwał.

A mnie o Banastasio pytał Ian. We wtorek w Victorii, gdy ty poszłaś do telefonu. Zaraz przed tym, jak byliśmy w skarbcu.

Być może - odezwała się po przerwie - naprawdę siedzimy w gównie po uszy! Mamy morderstwo, uprowadzenie, broń, Banastasio, mafię, Johna Czena.

Zastanówmy się: John Czen i Tsu-ian znali się z tym palantem. - Otworzyła szeroko oczy. - Banastasio i zabicie Johna Czena. Czy to się jakoś wiąże? Z tego, co piszą gazety, Wilkołaki nie zachowują się jak Chińczycy.

Ucięcie ucha to brutalna rzecz.

Bartlett w zamyśleniu napił się piwa.

- A Gornt? Co z Gorntem? Dlaczego Banastasio chce się wiązać z nim, a nie ze Struanami?

- Nie wiem.

- Przeanalizujmy to, Casey. Powiedzmy, że Banastasio chodzi w rezultacie o broń albo o narkotyki. Albo o jedno i drugie.

Odpowiadają

mu



obydwie

kompanie.

Struanowie mają statki i wielki kompleks spedycyj-no-odbiorczy na lotnisku. Gornt także posiada statki i nabrzeża, a do tego jest właścicielem linii lotniczych Al Asia. A największe w Azji linie lotnicze to to, czego mu... czego im potrzeba. Gornt ma bezpośrednią komunikację z Bangkokiem, Indiami, Wietnamem, Kambodżą, Japonią i tak dalej.

- A tutaj przylatują samoloty Pan-Amu, TWA, JAL i mają połączenia ze wszystkimi miejscami na wschodzie, zachodzie, południu i północy! Gdyby Gornt przejął

Struanów, oni mieliby dla siebie wszystko.

- Wracając do początku: Co robimy? - zapytał

Bartlett.

- Możemy grać na zwłokę? Sprawa Gornta i Struanów rozwiąże się najpóźniej w przyszłym tygodniu.

- Do tej potyczki niezbędne są nam informacje. I porządna obrona. Potrzebna nam jest broń dużego kalibru, broń, której nie mamy. - Napił się piwa.

- Chyba musimy się poradzić kogoś wysoko postawionego. I to szybko. Najlepiej tego Anglika Armstronga albo Rosemonta z CIA.

- Albo obydwu.

- Albo obydwu.

Dunross wysiadł z samochodu i szybkim krokiem wszedł na posterunek policji.

- Dobry wieczór, sir - powitał go zza biurka pełniący służbę młody Australijczyk. - Przykro mi z powodu piątej. Słyszałem, że Bluey White dostał ostrzeżenie za nieuczciwą walkę.

Dunross uśmiechnął się.

- Inspektorze, White wygrał. Gospodarze klubu uznali, że uczciwie. Mam spotkanie z panem Crosse'em.

- Tak, sir. Może i uczciwie, ale w paskudnym stylu.

Najwyższe piętro, trzecie drzwi na lewo. Życzę szczęścia w przyszłą sobotę, sir.

Na górze czekał na niego Crosse.

- Dobry wieczór, wejdz; Napijesz się?

- Nie, dziękuję. Cieszę się, że od razu zgodziłeś się na spotkanie. Dobry wieczór, panie Sinderson. - Uścisnęli sobie dłonie. Dunross jeszcze nigdy nie był w gabinecie Crosse'a. Ściany wyglądały tak samo surowo jak lokator, a po zamknięciu drzwi pokój robił wrażenie jeszcze mniejszego.

Proszę, siadaj - rzekł Crosse. - Szkoda, że Noble Star przegrała. Obydwaj byliśmy za nią.

Warto na nią postawić w przyszłym tygodniu.

- Ty chciałbyś na niej pojechać?

- A ty nie? Uśmiechnęli się.

- W czym ci możemy służyć? - zapytał Crosse.

Dunross całą uwagę skoncentrował na Sindersonie.

Nie mogę wam dać nowych teczek. To niemożliwe.

Ale mam coś dla was. Nie wiem jeszcze co, ale właśnie dostałem przesyłkę od Medforda. Obydwaj zdziwili się.

- Przez doręczyciela? - zapytał Sinderson.

- Tak - niezbyt przekonująco odparł Dunross. - Proszę, żebyście panowie z pytaniami zaczekali, aż skończę.

Sinderson zapalił fajkę.

- Takie zabezpieczenia są w stylu Medforda, Roger.

To był spryciarz. Przepraszam, proszę kontynuować.

- Z listu Medforda wynika, że chodzi o nadzwyczaj ważną informację, która może zostać przekazana osobi-

ście premierowi albo obecnemu szefowi MI-6, Edwardowi Sindersonowi, „jeśli uznasz za stosowne”. - W absolutnej ciszy Dunross zaczerpnął powietrza. - Domyślcie się chyba, że proponuję zamianę. Ja panu przekażę tę informację, a wy zgodzicie się wypuścić Briana Kwoka i, jeśli zechce, pozwolicie mu wyjechać. Wtedy będziemy mogli podpisać umowę z Drepczącym.

Trwała napięta cisza. Sinderson pykał fajką. Spojrzał na Crosse'a.

- Roger?

Crosse głowił się, co to za informacja, że można ją orzekazać tylko premierowi.

- Sądzę, że możemy rozważyć propozycję pana - zaproponował. - Na spokojnie.

- Od razu - odezwał się ostro Dunross. — Pilnie

potrzeba tych pieniędzy i zwolnienie Briana też musi się odbyć w trybie pilnym. Nie możemy odkładać tego na później niż poniedziałek o dziesiątej, kiedy banki...

- Być może - odezwał się Sinderson - Drepczący i pieniądze nie wyrównają strat, jakie może wyrządzić wydanie wrogowi nadinspektora wywiadu z kwalifikacjami i doświadczeniem Briana Kwoka. Jeśli on został

aresztowany, jak twierdzi Drepczący. A czy zastanawiał

się pan nad tym, jakie znaczenie mogą mieć dla nas informacje zdrajcy? Poza tym SI i MI-6 niewiele mają wspólnego z hongkongsjiskimi operacjami bankowymi.

- Tak brzmi pańska odpowiedź?

- Czy przesyłkę doręczyła pani Gresserhoff?

- Zgadza się na wymianę?

- Co za Gresserhoff? - zainteresował się Crosse.

- Nie wiem - odparł Sinderson. - Tyle tylko, że do niej należał numer telefonu, który miał asystent Medforda, Kiernarn. Szuka jej szwajcarska policja. - Uśmiechnął się do Dunrossa. - Pani Gresserhoff dostarczyła przesyłkę osobiście?

Nie. - Wcale nie kłamię, pomyślał. Przesyłkę dostarczyła Riko Anjin.

-A kto?

- Powiem dopiero, jeśli się dogadamy w sprawie zamiany.

-

Nie dogadamy się - oświadczył Crosse.

Dunross zaczął się podnosić.

- Chwileczkę, Roger - wtrącił Sinderson i Dunross usiadł

z powrotem. Szef MI-6 popukał fajką w poślizgi od tytoniu zęby. Dunross starał się, aby jego twarz nie miała żadnego wyrazu. Znajdował się w rękach niewątpliwych fachowców.

-

Panie Dunross - podjął po dłuższej chwili Sinderson.

Czy jest pan gotów oficjalnie przysiąc, zgodnie z procedurą Biura Akt Tajnych, że nie posiada pan

oryginalnych raportów Alana Medforda?

-

Tak - odparł bez namysłu. Był przygotowany na przekręcenie prawdy. Oryginały zawsze pozostawały u Medforda, on dostawał tylko kopie. Co innego, gdyby faktycznie doszło do takiej przysięgi. - I co dalej?

- W poniedziałek to niemożliwe. Dunross nie spuszczał

oczu z Sindera.

- Dlatego, że Brian musi zostać przesłuchany?

- Każdy złapany agent wroga musi być poddany natychmiastowemu przesłuchaniu.

- A Brian będzie ciężkim orzechem do zgryzienia.

- Pan wie lepiej, długo się przyjaźniliście.

- Tak, przysięgam na Boga, że nadal wydaje mi się to niemożliwe. Nigdy bym o nim nie pomyślał inaczej jak o uczciwym,

zdolnym

brytyjskim

policjancie.

To

niewyobrażalne.

- Tak samo jak w przypadku Philby'ego, Klausa Fuchsa, Rudolfa Abela, Blake'a i wszystkich innych.

-

Ile potrzebujecie czasu?

Sinders wzruszył ramionami.

Patrzyli sobie w oczy. Cisza stawała się nieznośna.

-

Zniszczył pan oryginały?

- Nie, muszę przyznać, że także zauważyłem różnicę między poprzednimi raportami, a tym, który

przechwyciliście. Planowałem zadzwonić w tej sprawie do Medforda.

- Jak często się kontaktowaliście?

- Raz albo dwa razy do roku.

- Co pan o nim wie? Kto go panu polecił?

- Panie Sinderson, oczywiście mogę odpowiedzieć na pana pytania, czuję się nawet w obowiązku, ale dzisiaj naprawdę nie jest najwłaściwsza pora, żeby...

- Może jednak, panie Dunross. Nie spieszy nam się.

- Owszem. Ale tak się złożyło, że na mnie czekają goście, a moje związki z Medfordem nie mają nic wspólnego z przedstawioną panom propozycją.

Czekam na jasną odpowiedź, tak albo nie.

- Albo być może.

- Dunross przyjrzał mu się uważniej.

-

Rozważymy pańskie słowa.

Dunross uśmiechnął się w duchu. Podobały mu się pertraktacje z mistrzami w tej dziedzinie. Milczał chwilę, aż nadszedł odpowiedni moment.

- No dobrze. Alan Medford mnie powierzył swoje wiadomości. W tej chwili nie znam jeszcze tej ostatniej informacji. Ja nie miałem zamiaru mieszać się w sprawy

SI ani MI-6, to wy przechwyciliście moją prywatną przesyłkę.

Zawarłem

z

Medfordem

jasne

porozumienie:

on będzie dla mnie pracował i wszystko sam ustali z rządem. Mam to na piśmie. Mogę przekazać tę korespondencję, oczywiście odpowiednimi kanałami i z

od

powiednim zabezpieczeniem. Mój zapal do złożonej propozycji wymiany maleje z każdą chwilą. SI i MI-6 -

dodał twardszym głosem - mogą nie obchodzić hongkongijskie operacje bankowe, ale obchodzą mnie.

- Wstał. - Moja propozycja pozostaje ważna do wpół

do dziewiątej.

Żaden z rozmówców lana nie poruszył się.

- Dlaczego akurat do wpół do dziewiątej, panie Dunross? Dlaczego nie do północy czy jutrzejszego popołudnia? - zapytał Sindera nie zbity z tropu. Nadal pykał dym z fajeczki, ale Dunross zauważył, że szybciej

niż przed jego ostatnią wypowiedzią. Dobry znak, skon statował.

- Bo muszę zadzwonić do Drepczącego. Dziękuję za spotkanie. - Ruszył do drzwi.

Crosse spojrział na Sindera, a ten skinął głową.

Crosse nacisnął przycisk. Bezgłośnie otworzyły się zasuwki. Dunross wyszedł i bez słowa zamknął za sobą drzwi.

- Twardy facet - zauważył z podziwem Crosse.

- Za bardzo.

- Nie za bardzo. To tai-pan Noble House.

- I łgarz. Ale sprytny i przygotował się, żeby nas czarować. Myślisz, że naprawdę mógłby nie przekazać tej ważnej informacji?

- Tak, ale nie wiem, czy zniszczy ją już o wpół do dziewiątej. - Crosse zapalił papierosa. - Muszę się nad tym zastanowić. Oni na pewno napierają na niego Nie mają wyboru, bo my możemy przesłuchać klienta.

Setki razy studiowali techniki Sowietów, sami też znają kilka sztuczek i pewnie domyślają się, że nie jesteśmy gorsi.

- Ja byłbym skłonny nawet przypuszczać, że nie istnieje żadna ważna informacja. Ale jeśli się mylę, a informacja pochodzi od Medforda, to na pewno jest wartościowa. Co radzisz?

- Powtórzę to samo, co gubernatorowi: Jeśli zatrzymamy klienta do poniedziałkowego popołudnia, to

uda nam się z grubsza wszystko z niego wyciągnąć.

- A co on może im powiedzieć o nas?

- Już to ustaliliśmy. Jeśli chodzi o Hongkong, to wszystko w służbie bezpieczeństwa da się jakoś zmienić. Zwyczajowo w SI nikt nie wie o rzeczach najważniejszych...

-

Nikt, oprócz ciebie.

Crosse uśmiechnął się.

-

Oprócz mnie. U was jest chyba tak samo. Klient wie wiele, ale nie wszystko. My możemy pozmienić szyfry, hasła i tak dalej. Nie stanowi zagrożenia. On już

został zdekonspirowany; Na szczęście w samą porę.

Jeszcze trochę i zostałby pierwszym chińskim komisarzem, na najlepszej drodze do zostania szefem SI. To by dopiero była katastrofa! Nie da się odzyskać prywatnych

dossier,

Fong

Fonga

ani

planów

zapobiegania zamieszkom. A co do Sevrin, to klient nie wie więcej niż my przed złapaniem go. Być może owa

„ważna wiadomość” nasunęłaby nam pytania, które powinniśmy zadać klientowi.

- Ja też już o tym pomyślałem. Jak mówię, pan Dunross jest za twardy. - Sinderson zapalił zapałkę, zgasił i ubił nią częściowo wypalony tytoń. - Wierzysz mu?

- W sprawie teczek, nie wiem. Ale jeśli chodzi o tę informację, to w stu procentach. I w to, że Medford działa jeszcze z za grobu. Szkoda, że go nie poznałem osobiście. Tak, ta wiadomość może się okazać ważniejsza niż sam klient, oczywiście w poniedziałek w południe.

Już z niego prawie wszystko wydusiliśmy.

Gdy wychodzili, przesłuchanie Briana Kwoka nadal trwało. Powtarzał się i mówił nieskładnie, ale

pewne szczegóły miały wartość. Dowiedzieli się trochę więcej na temat programu atomowego, poznali więcej nazwisk i kontaktów w Hongkongu i Kantonie, uzyskali informacje na temat Królewskiej Policji Konnej oraz szerokiej skali działań sowieckiego wywiadu w Kanadzie...

- Dlaczego akurat w Kanadzie, Brian? - zapytał

Armstrong.

- Północna granica, Robert... najłabsza na świecie, nie ma żadnego muru... A w Kanadzie takie bogactwo... Ach, chciałbym... Poślubiłbym tam dziewczynę, ale powiedzieli, że moim obowiązkiem... Jeśli Sowieci załatwią Kanadyjczyków... Och, a oni są tacy naiwni, tacy nie na czasie... Daj papierosa... dziękuję... Mogę dostać coś do picia?... Mamy wszędzie komórki kontrwywiadu, żeby przeszkadzać Sowiecom... W Meksyku... Oni tam też się pchają... Tak, wszędzie włączają... Słyszałeś, że Philby...

Po godzinie Armstrong dał mu spokój. I tak wiedzieli już prawie wszystko.

- Dziwne, że tak szybko się złamał - powtórzył

Sinders.

Gwarantuję, że nie zrobił tego celowo - zapewnił

Crosse. - Nie kłamie, mówi dokładnie to, w co wierzy, przedstawia to, co się działo i to...

- Tak, oczywiście - przerwał Sinders. - Dziwię się tylko, że ktoś taki jak on, ktoś, kto długo pozostawał

w naszym społeczeństwie i niemal zapomniał o własnej tożsamości, nie zgodził się całkowicie przejść na naszą stronę. Na pewno był na to przygotowany. Szkoda.

Byłby dla nas cenny. - Westchnął. - Po jakimś czasie szpiedzy głęboko u nas zakonspirowani przeważnie przechodzą na drugą stronę. Zawsze się trafi jakaś dziewczyna, przyjaciel, nagłe poczucie wolności, szczęś-

liwości i cały świat przewraca im się do góry nogami.

Biedacy. Właśnie dlatego w końcu wygramy. Nawet w Rosji wszystko się odmieni i KGB straci swoją pozycję, dlatego tak teraz prą naprzód. Bez dyktatury, tajnej policji i terroru nie byłoby na świecie ani jednego Sowietu. - Wytrząsnął spalony tytoń do popielniczki.

Główka fajki zrobiła się wilgotna. - Zgadzasz się ze mną, Roger?

Crosse pokiwał głową patrząc Sindersowi w jasne oczy. Zastanawiał się, co się za nimi kryje.

- Zadzwoń do ministra po instrukcje?



- Nie. Sam mogę ponieść odpowiedzialność. Zdecydujemy o wpół do dziewiątej. - Sinders spojrział na zegarek. - Wracajmy do Roberta. Dobry z niego facet, oj dobry. Słyszałeś, że wygrał mnóstwo pieniędzy?

-

20:05

. - Ian? Bardzo przepraszam, że ci przerywam - rzekł

Bartlett.

- O, witaj! - Dunross odwrócił się od grupki gości, z którymi właśnie rozmawiał. - Chyba nie wychodzicie.

Koktajl potrwa do wpół do dziesiątej.

-Casey zostaje, ja się umówiłem. Dunross uśmiechnął

się.

- Mam nadzieję, że z kimś nadzwyczaj pięknym.

- O tak, ale o tym później. Chciałem o czymś porozmawiać. Masz chwilkę czasu?

- Oczywiście. Przepraszam - zwrócił się do innych gości i wyszli na jeden z tarasów. Padał już mniejszy deszcz, ale nie zanosiło się na to, że przestanie. -

Przejęcie General Stores już prawie pewne, Superfoods nie zgłosiło żadnej kontroferty. Naprawdę zarobimy mnóstwo pieniędzy. Jeśli uda mi się powstrzymać Gornta.

- Tak. W poniedziałek wszystko się wyjaśni.

- Jestem dobrej myśli.

Bartlett uśmiechnął się, widać było, że jest bardzo zmęczony.

- Zauważyłem. Chciałem zapytać, czy lecimy jutro do Tajpej?

- Pragnę przenieść to na przyszły tydzień. Jutro i poniedziałek będą ważne dla nas obu. Zgadzasz się?

Bartlett skinął głową ukrywając ulgę. To rozwiązuje problem Orlandy, ucieszył się.

- Tak, myślę, że tak będzie dobrze.

- Weź samochód. Potem odeślesz Lima z powrotem. Jedziesz jutro na wyścigi w góry? Od dziesiątej do dwunastej.

- A gdzie?

- Na Nowych Terytoriach. Wyślę po ciebie samochód. Casey, jak chce, też niech przyjedzie.

- Dziękuję.

- Dzisiaj też się nie martw o Casey, dopilnuję, żeby wróciła bezpiecznie. Potem będzie wolna?

- Chyba tak.

- No to zaproszę ją, żeby poszła z nami na chińską kolację. - Dunross przyjrzał mu się badawczo. - Nic ci nie jest?

Nie. Nic z czym bym sobie nie poradził – Bartlett —

uśmiechnął się i odszedł. Przygotowywał się do kolejnej potyczki - do spotkania z Armstrongiem. Kilka minut temu rozmawiał z Rosemontem i opowiedział o spotkaniu z Banastasio. .

- Lepiej zostaw to nam, Linc - poradził Rosemont.

- Przyjmij, że jesteśmy oficjalnie poinformowani. My, czyli konsulat. Przekażę, komu trzeba. Zostaw wszystko, tak jak jest, dobrze? Casey też to przekaz. Jeśli Banastasio zadzwoni do któregoś z was, uspokajajcie go, a potem zadzwoniście do nas i my się już tym zajmiemy. Oto moja wizytówka. Można dzwonić przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Bartlett wyszedł przez frontowe drzwi i dołączył do innych, którzy też czekali na samochody.

- O, cześć, Linc - zawołał Murtagh wybiegając z taksówki. - Przepraszam, przyjęcie już się zaczęło?

- Tak, jasne, Dave. Czemu się tak spieszysz?

- Muszę się spotkać z tai-panem! - Murtagh nie kryjąc emocji zniżył głos. - Jest szansa, że jeśli Ian trochę ustąpi, dyrekcja się zgodzi! Casey jest w środku?

- Jest. - Bartlett wytrzymał uwagę i zapomniał o wszystkim innym, - W jaki sposób ustąpi?

- Podwoi okres zdeponowania obcej waluty i porozmawia z First Central o odnowieniu koncesji. I da nam pięcioletnią opcję na wszystkie kredyty.

- To niewiele - stwierdził Bartlett kryjąc zakłopotanie. -

Jak teraz wygląda cała transakcja?

- Linc, nie teraz, muszę biec do tai-pana. Oni tam czekają, ale zasadniczo tak, jak ustaliliśmy z Casey. Ech, jak się uda, tai-pan będzie nam do śmierci winien przysługę! - Murtagh odszedł.

Bartlett popatrzył za nim. Nogi same mu się wrywały, żeby popędzić z powrotem na przyjęcie, ale powstrzymał

się. Jeszcze dużo czasu, pomyślał. Nie trzeba jej pytać od razu. Najpierw sobie wszystko spokojnie przeanalizuję.

Casey opowiedziała mu o związkach Royal Belgium z First Central, a Murtagh wspominał, że tak trudno dostać się do tutejszego establishmentu, ale na tym koniec. Bartlett przypomniał sobie zdenerwowanie Teksańczyka i zmieszanie Casey, gdy poznał Murtagha na wyścigach.

O co chodzi? - zadręczał się. Casey, Murtagh i tai-pan. „Jeśli Ian trochę ustąpi, dyrekcja może się zgodzi” i

„tai-pan będzie nam do śmierci winien przysługę...” i „tak, jak ustaliliśmy z Casey”. Co ona ma z tym wspólnego?

Chyba nie jest pośrednikiem. Casey mogłaby go wodzić za nos, ale to nie w jej stylu. Na pewno chce mu coś załatwić... Ale co? Czego tai-pan potrzebuje najbardziej?

Kredytu, szybkiego kredytu do poniedziałku!

Jezu, First Central chce go podtrzymać! O to musi chodzić! Jeśli on zgodzi się na ustępstwa, a on zgodzi się, żeby wyjść...

-

Życzy pan sobie samochód, sir?

-

Tak, Lim, jasne. Komenda policji w Wanczai.

Usiadł z tyłu. Myśli kłębiły mu się w głowie.

Więc Casey gra na własny rachunek. To się musiało zacząć co najmniej wczoraj, i nic mi nie powiedziała.

Dlaczego? Jeśli ja się nie mylę i Ianowi się uda dostać kredyt, to wymknie się Goratowi. Casey mu pomogła. Bez mojej wiedzy. A dlaczego? W zamian za co?

Za pieniądze na ustawienie się! Może chodzi o ten zysk po połowie przy moich dwóch milionach wkładu? Na pewno. Ale to jedna z możliwości. A inne? Jezu! Casey się uniezależnia i prowadzi interesy z wrogiem. Przecież Ian i Gornt to nadal wrogowie.

Narastały w nim emocje.

Co robić?

Dwa miliony u Gornta są bezpieczne. Te u Struanów także. Wcale nie zamierzałem ich wycofywać, chciałem tylko sprawdzić Casey. Umowa ze Struanami mi odpowiada. Z Gorntem też. A więc mój plan nadal jest aktualny. Ciągłe mogę skoczyć albo tu, albo tu. Liczy się tylko wyczucie chwili.

A teraz, co z Orlandą.

Jeśli tak, to musimy się przenieść do Stanów albo gdzie indziej. tutaj zostać nie możemy. To jasne, że nie będą jej tolerować ani w Szczęśliwej Dolinie, ani w tych swoich klikach i klubach. Nigdy nie zostanie zaproszona do żadnego z wielkich domów, no może z wyjątkiem lana. I Gornta, ale to znów nie byłoby przyjemne, bo przypominałoby jej o przeszłości. Zupełnie tak samo jak wczoraj, gdy tamta dziewczyna weszła na pokład. Widziałem minę Orlandy. Oczywiście starała się nie dać niczego po sobie poznać, robiła to lepiej niż ktoś inny, nawet Casey. Wkurzyła się, że pod pokładem, w kabinie właściciela, gdzie kiedyś bywała ona, teraz króluje inna dziewczyna.

Może Gornt zrobił to niechcący? Chyba ta dziewczyna weszła na górę samowolnie. Prawie od razu wróciła z powrotem pod pokład. Może wcale nie miała wchodzić na górę. Może.

Cholera! Za wiele tu rzeczy, których nie potrafię pojąć: na przykład przejęcie Ho-Pak i przejęcie General Stores.

Wystarczyło kilka wypitych whisky tu, kilka telefonów tam i już wszystko załatwione. Boże, gdy się należy do klubu, wszystko idzie błyskawicznie, ale w przeciwnym razie, to strzeż panie Boże! Tutaj trzeba być Brytyjczykiem albo Hongkongijczykiem. Ja jestem tak samo obcy jak Orlanda. Mimo to przez jakiś czas mogę się tu czuć szczęśliwy. A potem też zdołam wpadać tu na krótko razem z Orlandą. Nawet gdybym opanował całe wybrzeże Pacyfiku i zrobił z Par-Con Noble House, to Chińczycy i Brytyjczycy nas nie uznają; Obojętnie, czy związałbym się z Par-Con, czy ze Struanami.

A Casey?

Przy jej pomocy bez trudu można by zostać Noble House. Ale czy ona nadal jest godna zaufania?

Dlaczego mnie nie wtajemniczyła? Czyżby Hongkong tak na nią podziałał i zaczęła swoją zagrywkę Numer Jeden?

Musisz coś zdecydować, stary, póki jeszcze jesteś tai-panem.

-

Tak, Phillip?

Byli w gabinecie pod portretem Dirka Struana.

Dunross wybrał to miejsce z premedytacją. Siedzieli naprzeciwko siebie. Phillip Czen zachowywał się bardzo oficjalnie i ostrożnie,

- Jak tam Aleksiej?

- Nadal nieprzytomny. Doktor Tooley wierzy, że jeśli się ocknie za kilka godzin, wszystko będzie w po-rządku.

- A Drepczący?

- Mam do niego zadzwonić o dziewiątej.

- Nie ma jeszcze zgody na tę jego propozycję?

Dunross zmrużył oczy.

- Wiesz o jego ofercie?

- A tak, tai-pan, tak... On mnie pytał. Uważam też, że trudno uwierzyć... no, że Brian Kwok. Chroń nas Boże... Tak, on chciał zasięgnąć mojej opinii, zanim zwrócił się do ciebie.

- Dlaczego mi o tym, do diabła, nie powiedziałaś?

- Nie uważasz mnie już za honorowego doradcę Noble House i nie darzysz zaufaniem.

- A ty uważasz się za godnego zaufania?

Tak. Udowodniłem to w przeszłości, mój ojciec tak samo, jego też. Mimo to, gdybym był na twoim miejscu, a ty na moim, to nie doprowadziłbym do tego spotkania i nie chciałbym cię mieć przy sobie i już bym się zastanawiał nad zniszczeniem ciebie.

- Może ja też o tym myślę.

- Nie. - Phillip Czen wskazał palcem na portret. - On na pewno by tak postąpił, ale nie ty, Ianie Struan Dunross.

- Nie bądź taki pewien.

- Jestem.

Dunross milczał i czekał.

- Po pierwsze, moneta: poczekaj, aż poprosi o przysługę. Ja się postaram dowiedzieć wcześniej, o co może chodzić. Jeśli się okaże zbyt wygórowana...

- Z pewnością będzie zbyt wygórowana.

- O co poprosi?

- O coś związanego z narkotykami. Słysząc plotki, że Cztery Palce. Szmugler Juen i Biały Proszek chcą zostać współnikami w przemyśle heroiny.

- Tak, rozważają stworzenie takiej spółki, ale na razie nic nie zostało postanowione.

- I znów mi nic nie powiedziałaś! Czy honorowy doradca nie ma obowiązku informować mnie o wszystkim, zamiast spisywać tajne szczegóły z działalności kompanii?

- Proszę o przebaczenie, ale już czas, żeby porozmawiać.

- Bo jesteś skończony?

- Bo mogę być skończony. Jeśli nie wykażę się swoją przydatnością. - Stary spojrział na tai-pana.

Wiele razy miał okazję porównywać minę tai-pana z twarzą na portrecie. Nie lubił tego kominka i nie lubił

mrożącego krew w żyłach spojrzenia pirata obcych diabłów.

*Ani ia*, pomyślał tłumiąc gniew. Ach, ci barbarzyńcy i ta ich nietolerancja! Służymy już pięciu pokoleniom tai-panów, a ten chce złamać legację Dirka za jeden błąd!

- Co do przysługi, to nawet jeśli będzie związana z heroiną lub innymi narkotykami, obiecuję, że porozmawiam z nim, zanim mu ją wyświadcysz.

- A jaki sposób?

- Tu są Chiny i ja z nim będę pertraktował w chiński sposób. Przysięgam na krew moich przodków.

- Wskazał na portret. - Nadal będę chronić Noble House, tak jak obiecałem.

- Co ty masz tam jeszcze w; tym swoim sejfie?

Przejrzałem te dokumenty, które dałeś Andrew. Gdy wpadną w nieodpowiednie ręce, jesteśmy bezbronni jak niemowlęta.

- Tak, ale są u Bartletta w Par-Con. Miejmy nadzieję, że nie dostaną się do Gornta ani innego wroga. Tai-pan, Bartlett nie wydał mi się złym człowiekiem. Może moglibyśmy się z nim jakoś dogadać, żeby oddał nam te dokumenty i zatrzymał wszystko w tajemnicy.

- Musiałbyś mieć w zanadrzu jakąś tajemnicę, której odkrycie nie byłoby mu na rękę. Masz?

- Jeszcze nie. Jeśli zostaniemy współnikami, będzie musiał nas chronić.

- Tak. Ale on już dał Gorntowi dwa miliony, żeby ten postawił na naszą krótką sprzedaż.

Phil ip Czen zbladł.

- liii, tego nie wiedziałem. - Pomyślał chwilę. -A więc w poniedziałek Bartlett wycofa się z naszej umowy i porozumie się z wrogiem?

- Nie wiem. W tej chwili stoi na rozdrożu. Na jego miejscu postąpiłbym podobnie.

Phil ip Czen zmienił pozycję na fotelu.

- Bardzo się interesuje Orlandą, tai-pan.

- Wiem. Ona może być przynętą. Gornt mu ją podesłał.

- Zamierzasz mu to zasugerować?

- Nie, chyba że będzie jakiś ważny powód. On już skończył dwadzieścia jeden lat. - Dunross jeszcze bardziej spoważniał. - Po co chciałeś się spotkać?

- Zgadzasz się, aby odnowić koncesję First Central?

- A więc wiesz o tym też?

- Powinieneś chcieć, żeby ludzie wiedzieli, że oni cię podtrzymają, tai-pan. Z jakiego innego powodu zaprosiłeś Murtagha do loży? Łatwo było skojarzyć te rzeczy ze sobą, nawet jeśli się nie ma kopi twoich teleksów...

-

A ty masz?

- Niektóre. - Phil i p Czen wyjął chusteczkę i wytarł

dłonie. - A zatem zamierzasz ustąpić?

- Nie, powiedziałem mu, że się zastanowię. Czeka na dole na odpowiedź, ale będzie odmowna. Nie mogę im też dać pięcioletniej opcji na kredyty, bo Victoria ma tutaj dużo siły i dostęp do niektórych dokumentów, więc wykończyłaby nas. W żadnym razie nie mogę zamienić ich na amerykański bank, który już raz udowodnił swoją niepewność. Doskonale pasowałiby na wyciągnięcie nas z tego dołka, ale zupełnie nie nadają się na długoterminową współpracę.

- Na pewno są gotowi na kompromisy. Mimo wszystko dają nam dwa miliony na zaliczkę pod przejęcie General Stores, a to dowód sporego zaufania, *heya?*

Dunross poczekał, aż słowa doradcy wybrzmiały do końca.

-

Co radzisz?

- Możesz wystąpić z propozycją, że dasz im pię-

cioletnie opcje na kredyty pokrywające inwestycje w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Australii i Ameryce Południowej. I dodatkowo na natychmiastowe kredyty na zamówienie

dwóch

tankowców

oraz



kredyt

dla zaprzyjaźnionej firmy na siedem podobnych tankowców.

- Jezu, kto by się na to zgodził? – wybuchnął

Dunross.

- Vee Cee Ng.

- Fotograf Ng? Niemożliwe.

Za dwadzieścia lat Vee Cee będzie miał większą flotę niż Onassis.

- Niemożliwe.

Tai-pan, bardzo prawdopodobne.

Skąd to wiesz?

Poproszono mnie, żebym pomógł w finansowaniu i nadzorze wielkiego rozwoju jego floty. Jeśli zaproponujesz kredyt na te siedem statków plus obietnica na następne, a to leży w mojej gestii, to powinieneś usatysfakcjonować First Central. - Phillip Czen starł pot z czoła. – *Heya?*

- Boże, to by usatysfakcjonowało bank Chase Man-hattan i Bank Amerykański! Vee Cee? - Nagle Dunross puknął się w czoło. - A! Vee Cee plus tor, plus Starzy Przyjaciele, plus wszelkiego rodzaju produkty przemysłu maszynowego, plus ropa, co?

Phil ip uśmiechnął się.

-

Na niebie wszystkie wrony są czarne.

- Tak. Możliwe, że First Central na to pójdzie. A co z Bartlettem?

- Z First Central niepotrzebny ci Par-Con. First Central pomoże znaleźć odpowiedniego partnera w Stanach. To zajmie trochę czasu, ale z Jacques'em w Kanadzie, Davidem MacStruanem tutaj, Andrew w Szkocji... Tai-pan, nie wiem, co postanowiłeś w sprawie Andrew i tego Kirka, ale to posunięcie wydaje mi się bardzo, bardzo dalekosiężne.

- Mówiłeś o Bartlecie.

- Radzę się modlić, żeby First Central przyjął pro pozycję, żeby Drepczący pożyczył pieniądze, żebym zabezpieczył First Central gotówkę z syndykatu Maty, Zaciśniętej Pięści i Wu Cztery Palce. Wtedy ty, David MacStruan i ja bez trudu znajdziemy kogoś w zamian za Par-Con. Proponuję natychmiast otworzyć biuro w Nowym Jorku i wysłać tam na jakieś trzy miesiące Davida... Może

Kevin mógłby zostać asystentem. - Phillip Czen na chwilę zamilkł. - Za trzy miesiące będzie można ocenić, czy młody Kevin jest do czegoś przydatny...

Myślę, że on będzie zaszczycony, jestem tego wręcz pewien. Za trzy miesiące będziemy też zorientowani, co młody George Trussler zwojował w Rodezji i Południowej Afryce. Jeśli biuro będzie działało, to skieruje my go do Nowego Jorku. Albo jeszcze lepiej wyślemy tam naszego kuzyna z Wirginii Masona Kerna. Po sześciu miesiącach Kevin mógłby przejść do Salisbury i Johannesburga. Mam przeczucie, że ten tor i rosnący w siłę precyzyjny przemysł maszynowy to przyszłość.

-

Ale na razie, mamy do rozwiązania bieżące, palące problemy. Bartlett, Gornt i spadek kursów.

- Na Bartlecie wymusimy milczenie, odsuniemy go od Gornta i uczynimy z niego prawdziwego stronnika.

- Ciekawe, jak tego dokonasz.

- Zostaw to mnie, tai-pan. Istnieją... pewne możliwości.

Dunross przyglądał się Phil ipowi Czenowi, ale doradca nie odrywał wzroku od biurka. Jakie możliwości?

Orlanda? Na pewno.

- W porządku - mruknął. - Co dalej?

- Giełda. Jeśli wspomże nas Bank Chiński, skończy się szturm na banki. Przejęcie General Stores i silne zaplecze finansowe wywindują cenę naszych akcji.

Wszyscy rzucą się do kupna i zacznie się boom Następnie... wiem, że nie chciałeś robić tego wcześniej, ale powiedzmy, że przekonamy Sir Luisa, żeby wycofał

nasze akcje z obrotu do południa w poniedziałek, i dzięki temu...

- Co takiego?

- Tak. Oficjalnie nikt nie będzie mógł sprzedawać ani kupować akcji Struanów aż do południa, a wtedy ustalimy cenę na poziomie wtorkowym: dwadzieścia osiem dolarów osiemdziesiąt centów. Gornt wpadnie w zastawioną przez siebie pułapkę. Będzie musiał wykupić za każdą cenę. Jeśli nikt nie sprzeda mu poniżej kursu, to zysk przejdzie mu koło nosa, a niewykluczone, że narobi sobie kłopotów.

Dunross poczuł się słabo. Opętał go pomysł

powstrzymania obrotu akcjami.

-  
Chryste, Sir Luis nie zgodzi się!

Phil ip Czen zbladł, po czole spływał mu pot.

- Jeśli komisja papierów wartościowych uzna za konieczne w celu „ustabilizowania rynku”... I jeśli zgodzą się wielkie domy maklerskie Josepha Sterna i Arjana Surjani, aby nie sprzedawać akcji poniżej dwudziestu ośmiu osiemdziesiąt, to co będzie mógł

poradzić Gornt? - Drżącą dłonią wytarł czoło. - Taki właśnie mam plan.

- Dlaczego Sir Luis miałby się zgodzić na współpracę?

- Myślę... Myślę, że się zgodzi, a Stern i Surjani winni nam są przysługi. W piątkę, Sir Luis Stern, Surjani, ja i ty, moglibyśmy przejąć większość akcji, które Gorat wystawił na krótką sprzedaż.

- Stern to makler Gornta.

- Prawda, ale to Hongkongijczyk i bardziej niż jednego klienta potrzeba mu dobrej opinii. - Phillip odwrócił twarz do światła, Dunross zauważył pogłębiającą się bladość jego twarzy. Wstał, podszedł do barku i przyniósł dwie brandy z wodą sodową.

- Proszę.

- Dziękuję. – Philips Czen wypił ...łapczywie drinka.

- Dzięki ci, Boże, za stworzenie brandy.

- Sądysz, że uda nam się z nimi dogadać przed otwarciem giełdy? A tak na marginesie, nie lecę do Tajpej.

- Słusznie, bardzo słusznie. Idziesz jutro na koktajl do Jasona Plumma?

- Tak, powiedziałem, że przyjdę.

- Dobrze, jeszcze u niego porozmawiamy o Sir Liisie.

Myślę, że jest dużą szansą, tai-pan. Nawet jeśli nie uda się zawiesić transakcji, to i tak cena pójdzie w górę, musi. Jeśli dostaniemy wsparcie.

To oczywiste, pomyślał gorzko Dunross. Jeśli. Spojrzał

na zegarek. 20:35. O wpół do dziewiątej miał dzwonić Sindera. Dał mu pół godziny przed telefonem do Drepczącego. Chryste, przecież nie zadzwonię do Sindera, pomyślał.

- O co chodzi? - zapytał Czena nie dosłyszawszy jego mamrotania.

- Czy ultimatum, które mi dałeś: wymówienie w niedzielę o północy albo coś załatwię z Matą, Zaciśniętą Pięścią lub kimś innym, mogłoby zostać przeniesione na następny tydzień?

Dunross wziął szklaneczkę od Phil ipa Czena i dolał

brandy. Podobało mu się azjatyckie, subtelne stawianie próśb. Przedłużyć bezcenny czas do momentu, gdy kryzys zostanie już zażegnany. Tak wysunięta prośba pozwala zachować twarz obydwu stronom. Tak, ale musi zmobilizować wszystkie siły. Czy zdrowie mu na to pozwoli? To powinienem przede wszystkim rozważyć.

Nalewając sobie brandy myślał o Phil ipie Czenie, Klaudii Czen, Kevinie Czenie i starym Czen-czenie i o tym, co by bez nich zrobił. Potrzeba mi ścisłej współpracy i pomocy.

- Rozważę to, Phil ip. Porozmawiamy o tym po poniedziałkowych modlitwach. - Potem ostrożnie do dał: - Być może przeniesienie będzie możliwe.

Phillip Czen z wdzięcznością przyjął szklaneczkę brandy i upił duży łyk. Kolor jego twarzy nieco się ożywił. Poczul ulgę. Muszę się uratować. Muszę. Wstał

i ruszył do wyjścia...

Zadzwonił telefon i Phil ip niemal podskoczył. Dun ross także.

- Halo? O, witam, panie Sinderson. - Bicie serca zagłuszało Dunrossowi stukot deszczu. - Co nowego słychać?

- Obawiam się, że niewiele. Rozważyłem pańską decyzję z gubernatorem. Jeśli ważna informacja dotrze do mnie do jutra do południa, to mam powody, aby przypuszczać, że pański znajomy zostanie dostarczony do przejścia Lo Wu na granicy w poniedziałek o zachodzie słońca. Oczywiście nie mogę gwarantować, że zechce przekroczyć granicę z Chinami.

- Dużo „powodów do przypuszczeń” i „być może”, panie Sinderson.

- Mogę zrobić tylko tyle.

- Jakie mam na to gwarancje?

- Obawiam się, że od Crosse'a ani ode mnie żadnych.

Zdaje się, że musimy zdać się jedynie na obopólne zaufanie.

Łajdak, pomyślał ze złością Dunross, wie, że nie mam wyjścia.

- Dziękuję, rozważę pańskie słowa. Do jutra do południa? Jadę w góry i zostanę do... jakies za dziesięć dwunasta, ale przyjadę na komendę zaraz potem.

- Nie ma żadnych powodów do obaw, panie Dunross, ja też tam będę, jeśli oczywiście zawody nie

zostaną odwołane. A więc o dwunastej tutaj albo tam. W po-rządku?

-Tak. Dobranoc. - Dunross odłożył słuchawkę z ponurą miną. - Tylko „być może”, Philhp. Być może w poniedziałek o zachodzie słońca.

Philhp Czen usiadł. Powróciła bladość twarzy.

- To za późno.

- Przekonajmy się. - Podniósł słuchawkę i wybrał

numer. - Witam, dobry wieczór, Ian Dunross, poproszę z gubernatorem. - Napił się brandy. - Przepraszam, że niepokoję, sir, ale właśnie zadzwonił pan Sinderson i powiedział w gruncie rzeczy tylko „być może” Być może w poniedziałek o zachodzie słońca. Mogę spytać, czy jest pan w stanie to zagwarantować?

- Nie, Ian, nie jestem. Nie mam takich uprawnień.

Przykro mi. Musisz umawiać się z nim bezpośrednio.

Sinderson wydał mi się człowiekiem rozsądnym, a tobie?

- Jak najbardziej - powiedział z lekkim uśmiechem Dunross. - Nic nie szkodzi, dziękuję. Przepraszam, że przeszkodziłem. O, właśnie, Drepczący uprzedzał, że będzie potrzebna pańska pieczęć, także banku i moja.

Czy zdołam pana jutro złapać, gdyby zaistniała taka potrzeba?

- Oczywiście, Ian. Powodzenia.

- Dunross odłożył słuchawkę.

- Zgodzą się na wydanie pieniędzy jutro za obietnicę doholowania Briana do granicy w poniedziałek o zachodzie słońca?

- Ja bym się nie zgodził - rzekł bezradnie Phil i Czen.

- Drepczący określił jasno warunki. Wymiana musi się odbyć równocześnie.

Dunross usiadł w fotelu, popijał brandy i zatopił się w myślach.

O dziewiątej zadzwonił do Drepczącego. Przez chwilę prowadził nic nie znaczącą konwersację, aż nadszedł

odpowiedni moment. - Słyszałem, że nasza policja zrozumiała swoją pomyłkę i postanowiła naprawić ją natychmiast we wtorek w południe w Lo Wu.

Długie milczenie.

- Nie powiedziałbym, że to natychmiast - skomentował

Drepczący tonem chłodniejszym niż zwykle.

- Zgadzam się. Być może, udałoby mi się nakłonić ich, aby przenieśli to na poniedziałek. Być może pańscy przyjaciele okażą odrobinę cierpliwości. Uznałbym to za wielką przysługę - podkreślił ostatnie słowo.

- Przekażę wiadomość od pana. Dziękuję, tai-pan.

Proszę zadzwonić jutro o siódmej wieczorem. Dobranoc.

- Dobranoc.

- To słowo może wiele kosztować, tai-pan - przerwał

ciszę Phillip Czen.

- Wiem, ale nie mam wyboru. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że kiedyś ja zostanę w zamian poproszony o przysługę. - Odgarnął włosy z oczu. - Kto wie, być może w interesach z Josephem Ju? Ale musiałem tak powiedzieć.

- Tak, jesteś bardzo mądry. Mimo swoich lat mądrzejszy od Alastaira i własnego ojca, ale nie tak jak Hag. -

Lekki dreszcz przeszedł mu po plecach. - Bardzo rozsądnie przedstawiłeś czas przekazania i niezwykle roztropnie, że nie wspomniałeś o pieniądzach ani o banku.

On jest za sprytny, żeby nie wiedzieć, że są nam potrzebne jutro. Najpóźniej wieczorem.

- Jakoś to załatwimy. Dzięki temu przestaniemy być pod presją Victorii. Paul musi wkrótce zwołać radę. A w radzie zasiądzie Richard, który jest nam winien wiele przysług. Nowa rada może zwiększyć nasze szanse na otrzymanie kredytu, a wtedy nie potrzeba nam ani First Central, ani Bartletta, ani przekłętą syndykatu Phil ip Czen zawahał się.

-

Nienawidzę być pesymistą, ale słyszałem, że jednym z punktów porozumienia z Havergil em było podpisanie przez Richarda Kwanga rezygnacji bez określonej daty, a do tego obietnica głosowania zgodnie z wolą Havergilla.

Dunross westchnął. Wszystko spaliło na panewce.

Jeśli Richard Kwang wzmocni opozycję, zostanie zneutralizowana przewaga Dunrossa.

- Brakuje tylko, żebyśmy stracili jeszcze jednego stronnika i Paul nas wykończy. - Spojrzał na Philipa Czena. - Powinieneś przekonać Richarda.

- Tak... Postaram się, ale on już jest przekonany.

Dlaczego nie spróbować z P. B. White'em? Może on okaże się skory do pomocy?

Nie przeciwko Havergilowi albo bankowi. Być może w sprawie Drepczącego. Ale jest następny na liście. I ostatni.

22:55

Przed służbowym wejściem do budynku Victoria Bank wysiadło z dwóch taksówek sześcioro ludzi. Casey, Riko Gresserhoff, Gavallan, Peter Marlowe, Dunross i P. B.

White - wesoły Anglik mający na karku siedemdziesiąt pięć lat. Przestał padać deszcz, na słabo oświetlonych ulicach wciąż było mokro.

- Na pewno nie wejdiesz na wieczorną herbatę, Peter? - zapytał P. B. White.

Nie, dziękuję P. B., muszę wracać. Dobranoc i dziękuję za kolację, tai-pan.

Ruszył w stronę znajdującego się po drugiej stronie placu promu. Ani on, ani pozostali nie zauważyli zaparkowanego w cieniu samochodu. Za kierownicą siedział agent SI Malcolm Sun, a obok niego Povitz z CIA.

- To jedyne wejście? - zapytał Povitz.

- Tak.

Patrzyli, jak P. B. wciska guzik dzwonka.

- Szczęściarze, to najładniejsze laski, jakie w życiu widziałem.

- Ta Casey jest w porządku, ale ta druga... W

każdym nocnym klubie znajdziesz lepszą... - Sun przerwał. Minęła ich taksówka. Jeszcze ktoś śledzi tai-pana? Nie sądzę, ale skoro my możemy, to tym bardziej inni.

Tak.

P. B. zadzwonił jeszcze raz. Otworzyły się drzwi i przywitał ich hinduski portier.

-

Dobry wieczór, *sahs*, dobrzy wieczór, *memsahs*.

Weszli do środka i przywołali windę.

- Jest dość wolna. Antyczna jak ja, niestety - zażartował P. B.

- Jak długo już tu mieszkasz, P. B.? - zapytała Casey. Sądząc po błysku w oczach i umiejętnościach tancerza daleko mu było do otrzymania przydomku

„antyczny”.



- Już z pięć lat, moja droga - odpowiedział biorąc ją pod ramię. - Mam szczęście.

Jasne, pomyślała, musisz być ważny dla banku i mieć duże władzy, skoro zajmujesz jedno z trzech prywatnych mieszkań w bankowym budynku. Opowiedział im, że drugie zajmuje jeden z dyrektorów, który ze względu na chorobę wyjechał, a trzecie, choć umeblowane, stoi puste. - To dla ważnych osobistości takich jak premier czy prezes Bank of England. Ja tu tylko jestem jak dozorca i bezpłatny opiekun. Pozwolili mi czuwać nad tym miejscem.

- Tak, na pewno.

- Ależ to prawda! Na szczęście nie ma połączenia między tą częścią budynku, a samym bankiem, boby się musiał czuć odpowiedzialny także za skarbiec.

Wyborne potrawy i przednie wina oraz interesująca konwersacja, zwłaszcza z Dunrossem, wprawiły Casey w zadowolenie. Cieszyła się też, że poznała Riko. Wydawało jej się, że wszystko w życiu znów wróciło na swoje miejsce. Że Linc jak dawniej należał

do niej i to bardziej niż kiedykolwiek, mimo że wyszedł

na kolację z rywalką. Jak sobie z nią poradzić? - po raz setny zadawała sobie to samo pytanie.

Otworzyły się drzwi windy. Weszli grupką do nie-wielkiego pomieszczenia. P. B. nacisnął najniższy z trzech guzików.

- Szef szefów mieszka na najwyższym piętrze. - Zachichotał. - Ale tylko, gdy przyjeżdża do miasta.

Kiedy ma wrócić? - zapytał Dunross. - Za trzy tygodnie, Ian, ale równie dobrze może zatęsknić za Hongkongiem i przylecieć najbliższym samolotem.

Casey, ten nasz dyrektor to świetny facet. Pech chciał, że w zeszłym roku zachorował i za trzy miesiące idzie na rentę. Radziłem, żeby pojechał do Kaszmiru w dolinę S'rinagar. Dolina jest położona między największymi górami na świecie, mówię ci... raj.

Można mieszkać w domkach na rzece, pływać po jeziorku, nie ma telefonów, poczty, tylko ty i nieskończoność. Wspaniali ludzie, cudowne powietrze, wyśmienite jedzenie, nadzwyczajne góry. - Przymknął

oczy. - Warto pojechać podczas choroby albo z kimś, kogo się kocha.

Roześmiali się.

- Ty tak robiłeś, P. B.?

- Oczywiście, mój drogi. Pierwszy raz byłem tam w tysiąc dziewięćset piętnastym. Miałem dwadzieścia siedem lat, dostałem wolne. - Westchnął jak za młodu, gdy był zakochany. - A ona: prawdziwa gruzińska księżna.

Zachichotali razem z nim.

- Po co naprawdę byłeś w Kaszmirze? - zapytał

Dunross.

- Zostałem tam przydzielony przez Indyjski Sztab Generalny. Cały ten teren: Hindukusz, Afganistan, to, co się teraz nazywa Pakistanem, i pogranicze chińsko-rosyjskie zawsze były i będą stanowić ognisko zapalne. Potem, pod koniec siedemnastego roku, zostałem wysłany do Moskwy. - Lekko zmarszczył czoło. - Byłem tam podczas puczu, kiedy to prawdziwy rząd Kiereńskiego został wyparty przez Lenina, Trockiego i bolszewików... - Winda zatrzymała się. Wyszli. Wejściowe drzwi do mieszkania stały otworem. Przywitał ich Chłopiec Hotelowy Numer Jeden Czu.

- Wejdźcie i czujcie się jak w domu - zawołał wesoło P. B. - Toaleta damska na lewo, męska na prawo, szampan w holu... za chwilę was oprowadzę. O, Ian, chciałeś zadzwonić.

- Tak.

- Wejź do mojego gabinetu - poprowadził go przez korytarz z kolekcją obrazów i zbiorem unikatowych ikon. Mieszkanie było przestronne, cztery sypialnie, trzy hole, jadalnia dla dwudziestu osób. Gabinet znajdował

się na końcu korytarza. Na trzech ścianach stały półki z książkami. Rozchodził się zapach skórzanych foteli i dobrych cygar, na środku jednej ze ścian znajdował się kominek, Brandy, whisky i wódka w karafce z ciętym szkła. Gdy zamknęli za sobą drzwi, P. B. spowaźniał.

- Jak długo ci to zajmie? - zapytał.

- Postaram się, żeby jak najkrócej.

- Nie przejmuj się, ja ich zabawię. Jeśli się zasiedzisz, przyjdę po ciebie. Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

- Przekonać się do Drepczącego. - Wcześniej Dunross opowiedział mu o możliwości wymiany Briana Kwoka na kredyt. O dokumentach Medforda i kłopotach z Sindersem oczywiście nie wspominał.

- Jutro zadzwonię do znajomych w Pekinie i Szanghaju. Może oni uznają, że warto nam pomóc.

Chociaż Dunross przyjaźnił się z P. B. od wielu lat, niewiele wiedział o jego przeszłości, rodzinie, o tym, czy był

żonaty, czy ma dzieci, skąd czerpie pieniądze, miał

również blade pojęcie o tym, jak wyglądają jego rzeczywiste wpływy w Victorii.

- Ja jestem tylko doradcą, choć już dawno przeszedłem na rentę - mawiał skromnie i na tym się

kończyło.

Dunross znał go jako mężczyznę niezwykle szarmanckiego wobec dam.

- Casey to wspaniała kobieta - zauważył P. B. - Na pewno jesteś pod wrażeniem.

- O tak, tak. Gdybym był ze trzydzieści lat młodszy! A Riko! - P. B. uniósł brwi. - Wyśmienita. Na pewno wdowa?

- Na sto procent.

To poproszę potrójną porcję, tai-pan. - Zachichotał, podszedł do półki z książkami i nacisnął guzik. Część półki otworzyła się. Na górę prowadziły schody. Dunross korzystał już z nich kiedyś, gdy rozmawiał z dyrektorem.

O ile mu było wiadomo, był jedynym obcym, który wiedział o tych schodach. Tajemnicę tę, jak wiele innych, odziedziczył po swoich przodkach.

Wymyśliła je Hag - poinformował Alastair w noc przekazania władzy. Wręczył mu również używany przez bankierów klucz do skrytek depozytowych. -

Te skrytki produkuje Cz'ung Lien Loh Locksmiths Ltd.

Pamiętaj, tylko tai-panowie wiedzą, że ta fabryka należy do nas.

Dunross uśmiechnął się do P. B. modląc się w duchu, żeby w jego wieku wyglądać tak samo młodo.

- Dziękuję.

- Baw się dobrze, tai-pan - życzył mu wręczając klucz.

Dunross wszedł po schodach do mieszkania dyrektora.

Otworzył drzwi prowadzące do windy. Tym samym kluczykiem otworzył windę. W środku znajdował się tylko jeden przycisk. Z powrotem zamknął na klucz drzwi wejściowe i nacisnął guzik. Mechanizm był dobrze nasmarowany i działał sprawnie. Po chwili winda zatrzymała się. Popchnął drzwi. Znalazł się w biurze dyrektora. Johnjohn podniósł się zaniepokojony.

-

O co tu, do diabła, chodzi, Ian?

Dunross zamknął drzwi imitujące biblioteczkę.

- P. B. ci nie wyjaśnił? - zapytał łagodnym głosem, nie okazując napięcia.

- Mówił, że musisz w nocy zejść do skarbcza po jakieś papiery i że ja mam przyjść, żeby nie zawracać

głowy Havergillowi. Ale po co ta konspiracja? Nie mogłeś wejść frontowymi drzwiami?

- Daj już spokój, Bruce. Obydwaj wiemy, że masz konieczną zgodę, żeby udostępnić mi skarbiec.

Johnjohn chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie.

Zanim wyszedł, nie odmówił sobie jednak złościwości.

- Mam być dobry i słuchać tego, co mówi P. B., tak? - P. B. był na ty z gubernatorem, większością ważnych osobistości odwiedzających banki i zachował

władzę nad personelem nadal działających oddziałów banku w Pekinie i Szanghaju. - W porządku.

W słabo oświetlonym korytarzu odgłosy ich kroków odbijały się echem. Johnjohn skinął na jednego ze straż-

ników, a potem wcisnął guzik windy prowadzącej do skarbcza. Ziewnął ze zdenerwowania.

- Chryste, padam z nóg.

- Ty wymyśliłeś przejęcie Ho-Pak, prawda?

- Tak, tak, ja, ale gdyby nie to twoje spektakularne oświadczenie o przejęciu General Stores, to nie wiem, czy Paul... No, w każdym razie twój gest pomógł. To naprawdę świetna transakcja, Ian, jeśli oczywiście uda ci się ją przeprowadzić do końca,

-

- Dam sobie radę.

-

Co za japoński bank pożyczył ci dwa miliony?

Dlaczego zmusiłeś Richarda Kwanga do podpisania rezygnacji bez daty?

- Co? - Johnjohn oniemiał. Przyjechała winda. Weszli do środka. - O czym ty mówisz?

Dunross powtórzył, co usłyszał od Phil ipa Czena.

- Co to ma znaczyć, żeby jeden z dyrektorów kazał

podpisywać nie datowaną rezygnację, jakby to była groszowa operacja, co?

Johnjohn wolno pokręcił głową.

- Tego w moim planie nie było. - Nagle zniknęło jego zmęczenie. - Teraz rozumiem, dlaczego jesteś zdenerwowany.

- Raczej wkurzony.

- Paul na pewno chce mieć wszystko w rękę aż do powrotu prezesa. Cała operacja wymaga...

- Jeśli załatwię wam pieniądze od Drepczącego, to chcę, żeby rezygnację podrzeć i zagwarantować Richardowi prawo do swobodnego głosu.

- Poprę cię we wszystkim, co słuszne. Dopóki nie wróci szef. Jego zdanie będzie wiążące.

- Słusznie.

- W jakiej mierze wesprze cię Royal Belgium i First Central?

- Mówiłeś chyba o japońskim banku.

- Daj spokój, staruszk, no więc?

Wystarczy na wszystko.

- Nadal mamy większość twoich weksli.

- Co za różnica. - Wzruszył ramionami. - Ciągle mam najważniejsze słowo w Yictorii.

- Jeśli nie dostaniemy pieniędzy z Chin, First Central nie uchroni cię od krachu.

Dunross znów wzruszył ramionami.

Drzwi windy otworzyły się.

Słabe światło ze skarbca rzucało długie cienie. Krata przypominała wejście do celi. Johnjohn otworzył ją.

- Zajmie mi to jakieś dziesięć minut - obiecał Dunross. -

Muszę znaleźć pewien dokument.

- W porządku, otworzę z tobą skrytkę... - Johnjohn przerwał. - O, zapomniałem, że masz swój kluczyk.

Pośpieszę się. Dziękuję. Dunross przeszedł w odpowiednie miejsce. Upewnił się, że nikt go nie śledzi.

Natężył wszystkie zmysły. Włożył dwa kluczyki do zamków. Bezgłośnie je przekręcił.

Sięgnął do kieszeni i wyjął kartkę od Medforda z numerami stron, na których znajdowały się informacje, potem latarkę, scyzoryk i zapalniczkę gazową, którą podarowała mu Penelopa, gdy jeszcze palił. Podniósł

podwójne dno i wyciągnął teczki.

Chciałbym je już zniszczyć i mieć to z głowy, zamarzyło mu się. Wiem już wszystko, co się w nich znajduje, ale muszę być cierpliwy i czekać. Zniszczę je, gdy przestaną mnie śledzić.

Zgodnie z poleceniami Alana Medforda podgrzał

zapalniczką pierwszą ze specjalnych stron. Po chwili zaczęło pojawiać się mnóstwo nic nie znaczących sym-boli, liter i liczb. Po dalszym podgrzewaniu zniknął

maszynopis i został tylko szyfr. Wyciął scyzorykiem odpowiednią część papieru i odłożył teczkę. Medford napisał: „Ta kartka nie może wrócić z powrotem do teczki, tai-pan, a informację wolno przeczytać tylko najważniejszej osobie w państwie”.

Przestraszył go nagły szelest. Czuł, jak krew huczy mu w uszach. Zza ściany skrytek wyłonił się szczur i za moment zniknął. Dunross odczekał jeszcze chwilę, choć nic mu nie groziło.

Po chwili znów się uspokoił. Następna teczka. Ponownie zniknął maszynopis, a pojawił się szyfr.

Dunross działał spokojnie i metodycznie. Przygotował

się nawet na to, że w zapalniczce może zabraknąć gazu.

Napełnił ją, gdy tak się stało. Doszedł do ostatniej teczki.

Ostrożnie wyciął kawałek kartki i dołączył do pozostałych dziesięciu w kieszeni. Teczki schował na poprzednie miejsce.

Dla kamuflażu zabrał ze sobą jakieś dokumenty i zamknął sejf. Zastanawiał się, co zrobić z listem od Medforda. Po chwili wahania podpalił kartkę zapalniczką.

Papier zaczął się wic.

-

Co ty robisz?

Dunross odwrócił się i zobaczył męską sylwetkę.

- A, to ty. - Zaczął z powrotem oddychać. - Nic, Bruce. A właściwie palę stare listy miłosne, których nie powinienem trzymać. - Ogień zgasł, a Dunross zmiął

resztki aa popiół.

-

Ian, masz kłopoty? - zapytał delikatnie Johnjohn.

- Nie, staruszku. Ten Drepczący trochę mnie wyprowadza z równowagi.

- Na pewno?

- Tak. - Dunross uśmiechnął się i wyjął chusteczkę, żeby wytrzeć czoło i dłonie. - Przepraszam, że sprawiłem ci kłopoty.

Wyszedł ze skarbca, Johnjohn za nim. Zamknęli za sobą kratę. Po chwili otworzyła się winda, weszli, zamknęła się. Z wyjątkiem pisków szczurów gnieźdzących się w kanale wentylacyjnym panowała cisza. Poruszył się jakiś cień. Roger Crosse bezszelestnie wyszedł z ukrycia i podszedł do skrytki tajpana. Bez pośpiechu wyjął

miniaturowy aparat Minox, latarkę i pęk wytrychów. Po chwili skrytka Dunrossa stała otworem. Wyciągnął spod fałszywego dna teczki Medforda. Zadowolony z siebie ułożył je na stosik, przyłączył lampę błyskową i z wprawą strona po stronie zaczął fotografować dokumenty. Gdy trafił na stronę specjalną z wyciętym kawałkiem, uśmiechnął się do siebie. Kontynuował w absolutnej ciszy.

**Niedziela**



6 : 30

Koroński wyszedł z hotelu „Dziewięć Smoków”, zatrzymał taksówkę i płynnym kantońskim dał wskazówki kierowcy. Zapalił papierosa, rozparł się na siedzeniu i ze znużeniem spoglądał do tyłu na wypadek - raczej nieprawdopodobny - gdyby go śledzono. Ryzyko nie istniało. Dokumenty miał bez zarzutu, występował jako Hans

Meikker

-  
dziennikarz

pewnego

zachodniemieckiego

czasopisma.

W

ramach

obowiązków często odwiedzał Hongkong. Jeszcze raz się upewnił, że jest bezpieczny. Ciekawiło go, kto i gdzie zostanie przesłuchany przy użyciu środków chemicznych.

Był niski, dobrze odżywiony, specjalnie nie wyróżniał się niczym. Nosił okulary bez oprawek.

Jakieś pięćdziesiąt jardów za nim przemykając się między samochodami gnał mały elektryczny samochód.

Starszy agent CIA, Tom Connochie, siedział z tyłu, a za kierownicą zajmował miejsce jego asystent Roy Wong.

- Ucieknie.

\*

Spokojnie, widzę go. Odpręż się, Tom, na litość boską, stajesz się nerwowy. - Roy Wong był Amerykaninem w trzecim pokoleniu, miał bakalaureat z literatury, a w CIA służył od czterech lat. On fachowo prowadził

samochód, a Connochie uważnie się rozglądał. Starszy agent był zmęczony. Większą część nocy nie spał, gdyż starał się wraz z Rosemontem przesortować tajne instrukcje, prośby i polecenia

przechwycone po otrzymaniu dokumentów K. K. Lima. Przed północą dostali wiadomość od hotelowego informatora, że Hans Meikken przyjechał na dwa dni z Bangkoku. Od wielu lat znajdował się na liście osób, będących obiektem zainteresowania służby bezpieczeństwa.

- Sukinsyn! - zawołał Roy Wong, gdy na węższej ulicy zrobił się korek.

Connochie wychylił się przez okno.

- On też ugrzązł, Roy. Przed nami ze dwadzieścia samochodów.

Po chwili można było swobodnie przejechać, ale okazało się, że stracili z oczu Korońskiego.

-

Cholera!

-

Do licha, może nam się uda go jakoś złapać.

Dwie przecznice dalej Koniński wysiadł z taksówki i skręcił w zatłoczoną uliczkę, potem w następną i znalazł

się przed domem Ginny Fu. Wszedł po schodach na najwyższe piętro. Trzy razy zapukał w brązowe drzwi.

Suslew wpuścił go do środka i zamknął drzwi na klucz.

- Witajcie - powiedział cicho po rosyjsku. - Dobrze wam minęła podróż?

- Tak, towarzyszu kapitanie - odpowiedział Koroński z przyzwyczajenia zniżonym głosem.

- Proszę, siadajcie. - Suslew wskazał na stół z dwiema filiżankami i kawą. W pokoju znajdowało się niewiele mebli. Okna zasłaniały brudne okiennice.

- Dobra kawa - powiedział grzecznie Koroński, chociaż była ohydna, nie to, co parzona po francusku kawa w Bangkoku, Sajgonie czy Phnom-Penh.

- Mam whisky - zaproponował Suslew.

- Centrum rozkazało mi stawić się do waszej dyspozycji, towarzyszu kapitanie. Co mam zrobić?

- Jest taki facet z fotograficzną pamięcią. Chcemy wiedzieć, co w niej ma.

- Gdzie klient ma być przesłuchany? Tutaj?

- Suslew pokręcił głową. - Na moim statku.

- Ile mamy czasu?

- Ile wam potrzeba. Po prostu zabierzemy go do Władywostoku.

- Jak ważne informacje posiada?

- Bardzo ważne.

- Na wypadek, gdybym wolał prowadzić dochodzenie we Władywostoku, dam wam specjalne wytyczne, jak postępować z klientem pod wpływem leków podczas podróży i jak zacząć proces zmiękczenia.

Suslew przemyślał sprawę. Potrzebował informacji Dunrossa przed przyjazdem do Władywostoku.

- Nie możecie popłynąć ze mną? Wyruszamy o pół nocy.

Koroński zawahał się.

- Centrum wydało mi rozkaz, abym wam asystował

tak długo, jak nie będzie istniało niebezpieczeństwo rozpoznania mnie. Statek na pewno znajduje się pod obserwacją.

Suslew pokiwał głową.

- Zgadzam się. - Nie szkodzi, pomyślał. Umiem przeprowadzić przesłuchanie równie dobrze jak Koroński, chociaż nigdy nie robiłem tego za pomocą środków chemicznych. - Jak wygląda przesłuchanie z użyciem środków chemicznych?

- To proste. Przez dziesięć dni dwa razy na dobę podajemy dożylnie zastrzyki zwane Pentothal-V6.

Wcześniej wytrącamy klienta z równowagi, straszymy i doprowadzamy do zupełnej dezorientacji za pomocą zwykłej metody budzenie-usypianie, a potem aplikujemy cztery dni bez snu.

- Mamy na statku lekarza. On mógłby zrobić zastrzyki?

- Tak, oczywiście. Gdybym zapisał wam tę procedurę i dostarczył odpowiednich środków, przeprowadzilibyście dochodzenie sami?

- Tak.

- Jeśli będziecie postępować zgodnie z instrukcjami, nie powinno być kłopotu. Należy jedynie pamiętać o tym, że po podaniu Pentothalu-V6 umysł klienta zamienia się w mokrą gąbkę. Trzeba z wielką ostrożno-

ścią i uwagą odsączyć wodę w odpowiednim tempie, bo w przeciwnym razie umysł może zostać uszkodzony i informacje przypadną na zawsze. - Koroński wydmuchał

papierosowy dym. - Łatwo stracić klienta.

- Jak zawsze, towarzyszu - rzekł Suslew. - Jak skuteczny jest ten Pentothal-V6?

- Marny na koncie ogromną liczbę sukcesów i niewielką porażek, towarzyszu kapitanie - odparł Koroński. - Jeśli klient na początku przesłuchania jest w dobrym stanie zdrowia, to z pewnością musi się udać.

Suslew nie odpowiedział. Jeszcze raz przeanalizował

plan z takim entuzjazmem zaprezentowany zeszłej nocy przez Plumma i zatwierdzony w końcu przez Crosse'a.

- Mur beton, Gregor, wszystko przemyślane. Skoro Dunross nie leci do Tajpej. zawita na moje przyjęcie.

Podam mu drinka, po którym się rozchoruje, łatwo będzie go zwabić do sypialni, a odpowiedni lek uśpi go.

Gdy wszyscy się rozejdą, a chcę, żeby koktajl nie trwał za długo, zabiorę go przez boczne wejście do samochodu.

Gdy dowiedzą się, że zaginął, powiem po prostu, że zostawiłem go tam śpiącego i nie mam pojęcia, o której wyszedł. No, ale jak go wnieść na statek?

- O, to żaden problem - odparł Suslew. - Zanim odpłyniemy, musimy zabrać wszelkiego rodzaju zapasy na drogę. Jeśli trzeba - uśmiechnął się rozbawiony - da się wnieść nawet trumnę. O jedenastej wieczorem zostanie dostarczone z kostnicy ciało Worańskiego. Łajdaki!

Dlaczego nasz przyjaciel nie złapał jeszcze jego morderców?

- Robi, co może. On wam obiecał, Gregor. Na pewno ich wkrótce schwyta. Najważniejsze, żeby plan się powiódł.

Suslew pokiwał głową. Tak, to się da zrobić. A jeśli znajdą tai-pana? Ja nic nie wiem, Boradinow też, chociaż on jest za wszystko odpowiedzialny, a ja tylko pływam.

W razie czego wina spadnie na Boradinowa. Roger jakoś to wszystko załatwi. Plumm ma rację. Urowadzenie tai-pana przez Wilkołaki wywołał totalny chaos i przez jakiś czas zupełnie nie będzie ryzyka. Ta sprawa przyćmiła wpadkę Metkina i przechwycenie broni. Zadzwoił do Banastasio, żeby upewnić się, że plan związany z Par-Con działa, i z niemiłym zaskoczeniem przyjął opowieść o reakcji Bartletta.

- Ależ, panie Banastasio, pan gwarantował zaplanowanie nad wszystkim. Co pan zamierza?

- Wywierać presję, panie Marshal - odparł Banastaj zwracając się do niego po nazwisku, pod którym go znał.

- Naciskając bez ustanku. Ja gram swoją rolę, a pan swoją.

- Dobrze. Ale proszę pamiętać o spotkaniu W Ma-kau.

Gwarantuję, że ładunek zostanie dostarczony do Sajgonu za tydzień.

- Ale te błazny tutaj oświadczyły już, że nie będą rozmawiać bez towaru w ręku.

- Zostanie dostarczony bezpośrednio do naszych przyjaciół z Vietcongu w Sajgonie. Wy zapłacicie w taki sposób, jak wam odpowiada.

- Oczywiście, panie Marshal . Gdzie pan się zatrzyma w Makau? Kiedy się skontaktujemy?

- W tym samym hotelu - odparł. Nie miał najmniejszego zamiaru nawiązywać z nim kontaktu. W Makau doprowadzi operację do końca koordynator o tym samym pseudonimie.

Był w dobrym humorze. Zanim opuścił Władywostok, Centrum wyznaczyło go na koordynatora operacji o kryptonimie King Kong, operacji stworzonej przez komórkę KGB w Waszyngtonie. Wiedział tylko, że wysyłają do Vietcongu w Sajgonie broń, w której zastosowano ostatnie osiągnięcia techniczne, a w zamian do Hongkongu dostarczane jest opium.

- Ktokolwiek to wymyślił, zasługuje na natychmiastowy awans - powiedział zachwycony do Centrum i wybrał

sobie pseudonim Marshall od nazwiska generała, który swoim planem uniemożliwił Sowiecom przejście pod koniec lat czterdziestych całej Europy. To będzie nasza zemsta za plan Marshal a, myślał.

Nagle roześmiał się na głos. Koroński siedział spokojnie, był zbyt dobrze wyszkolony, żeby zapytać, co Suslewa tak rozbawiło. Jednak bezwiednie analizował

śmiech. Wyczuł w nim strach. Strach jest zaraźliwy. A przestraszeni ludzie popełniają błędy. Kędy zaś po-zbawiają niewinności.

Tak, zawyrokował, ten człowiek jest podszyty, tchórzem. Muszę o tym wspomnieć w następnym raporcie. Tylko dyskretnie, na wypadek, gdyby okazało się, że z niego jakiś waśniak.

Zauważył, że Suslew mu się przygląda, i zastanowił

się, czy tamten może czytać w jego myślach.

- Tak, towarzyszu kapitanie?

- Ile czasu zajmie spisanie instrukcji?

- Kilka minut. Jeśli sobie życzycie, mogę to zrobić nawet teraz, ale po chemikalia muszę wrócić do hotelu.

Jakich środków trzeba będzie użyć.

- Trzy: na zasypianie, budzenie i Pentothal-V6. A właśnie, trzeba go trzymać w chłodnym miejscu.

- Tylko ten ostatni?

- Tak.

- Dobrze, proszę to zapisać. Macie kartkę?

Koroński skinął głową i wyjął notes.

- Po rosyjsku, angielsku czy skrótami?

- Po rosyjsku. Metody budzenie-usypianie nie zapisujcie. Stosowałem ją wielokrotnie. Tylko ostatnią fazę i podajcie medyczną nazwę Pentothalu-V6.

Rozumiecie?

- Doskonale.

To dobrze. Potem połóżcie to tam. - Wskazał palcem na stos gazet rozrzuconych na sofie. - Pod drugą gazetą z wierzchu. Ja to później zabiorę. A chemikalia umieśćcie w męskiej toalecie na parterze hotelu „Dziewięć Smoków”. W ostatniej kabine na prawo pod deską klozetową. Bądźcie w swoim pokoju o dziewiątej

wieczorem

na

wypadek,

gdybym

potrzebował jakichś wyjaśnień. Wszystko jasne?

-

Oczywiście.

Suslew wstał. Koroński także i podał mu dłoń.

-

Do widzenia, towarzyszu kapitanie.

Suslew skinął jak do podwładnego i wyszedł. Na końcu korytarza znajdowały się drzwi prowadzące na dach. Były otwarte, minął je i widząc otwartą przestrzeń poczuł się lepiej. Zapach pokoju i Korońskiego raziły go. Poczuł wszechobecną woń morza. Wspaniale będzie znów wypłynąć i znaleźć się z dala od lądu. Dzięki morzom i oceanom można zachować zdrowe zmysły.

Jak większość dachów w Hongkongu, ten wypełniony

był

zamieszkanymi

przez

ludzi

budami

stanowiącymi jedyną alternatywę dla terenów do wynajęcia na zboczach gór w Nowych Terytoriach, w Koulunie i Hongkongu. Każdy cal miasta skrzętnie zajmowali napływający imigranci. Większość terenów na zboczach wzgórz wynajmowana była legalnie, podobnie jak większość dachów. Władze nie popierały takich rozwiązań, jednak ignorowano wszelkie niebezpieczeństwa, ponieważ, biedacy nie mieli dokąd pójść. Na dachach nie było kanalizacji, brakowało wody, trudno było o zachowanie podstawowych zasad higieny, ale zawsze to lepiej niż mieszkanie na ulicy. Z

dachu i tak można się załatwić. Hongkongijczycy nigdy nie chodzą chodnikami, tylko środkiem ulicy.

Suslew schylił się pod sznurem z bielizną i ruszył po smolistym dachu przed siebie. Momentalnie posypały się za nim przekleństwa. Rozbawiło go dwoje dzieciaków, które natychmiast do niego podbiegły i zaczęły ze śmiechem krzyczeć:

- *Quai loh... Quai loh....* - Wyciągały przy tym przed siebie rączki po jałmużnę. Za bardzo czuł się Hongkongijczykiem,

żeby

dawać

pieniądze.

Rozczochrał im lekko włosy i zaklął.

Po drugiej stronie dachu znajdowało się wejście do budynku, w którym mieszkała Ginny Fu. Drzwi były otwarte na oścież. Wszedł.

- Witaj, Gregy - powiedziała stając w drzwiach do mieszkania. Tak jak polecił, miała na sobie strój kulisa, duży słomiany kapelusz i przybrudzoną twarz. - Jak wyglądam? Jak gwiazda, *heya?*

- Jak sama Greta Garbo - zapewnił ze śmiechem, gdy podbiegła do niego i rzuciła mu się na szyję.

- Chcesz *dźlg-dzig* na drogę, *heya*?

- *Niet*. W przyszłym tygodniu będziemy mieć dużo czasu, *heya*? - Postawił ją na podłodze. Kochał się z nią o świcie, udowodnił swoją męskość, ale robił to bez pożądania. W tym sęk, pomyślał. Brak pożądania. Gin-ny staje się nudna. - Rozumiesz plan, *heya*?

- Tak. - Kiwnęła z zapalem głową. - Mam iść do doku i wnosić z kulisami paczki na statek. Na statku wejść w drzwi przy schodach i oddam papier. - Pokazała, że kartka jest bezpiecznie ukryta w kieszeni. Na świstku papieru napisane było po rosyjsku: „Kabina 3”. Boradinow będzie się spodziewał dziewczyny. - W kabinie trzeciej mam wziąć prysznic, włożyć ubrania od ciebie i czekać.

- Uśmiechnęła się. - *Heya*?

- Doskonale. – Ubrania kosztowały go niewiele, a dziewczyna nie musiała brać ze sobą żadnego bagażu. To o wiele prostsze rozwiązanie. Bagaż łatwo zauważyć. A nic nie powinno się rzucać w oczy.

- Nic nie zabierać, Gregy? - upewniła się.

- Nie, tylko przybory do makijażu i kobiece drobiazgi.

Wszystko ma się zmieścić w kieszeni, rozumiesz?

- Oczywiście. Nie jestem głupia.

-

Dobrze. Więc w drogę.

Jeszcze raz przytuliła go do siebie.

- Dziękuję za wakacje, Gregy. Będę lepsza niż zawsze. - Wyszła.

Zgłodniał podczas spotkania z Korońskim. Podszedł do lodówki i odszukał czekoladę. Ugryzł i zajął się smaženiem jajek na kuchence gazowej. Powrócił niepokój.

Nie przejmuj się, pomyślał. Plan się powiedzie, dostaniesz tai-pana, a na komendzie będzie tylko rutynowa rozmowa.

Przepędź te myśli. Pomyśl o Ginny. Może na wodzie nie będzie taka nudna. Przy niej zapomnę w nocy o tai-panie. Gdy zawiniemy do portu, będę miał cały Hongkong gdzieś, niech się Wilkołaki martwią...

Poczuł ucisk w gardle, gdy rozległy się policyjne syreny. Przerażony wstał z za stołu. Jednak



policyjne wozy przejechały i oddaliły się. Spokojnie usiadł i zabrał się do jedzenia. Nagle zadzwonił tajny telefon.

7:30

Ponad miastem przeleciał mały helikopter, wzniósł się aby ominąć Pik. Znajdował się już prawie pod samymi chmurami.

Pilot spokojnie wzniósł się jeszcze o sto stóp i zwolnił.

Pod sobą widział tereny należące do Wielkiego Domu oraz lądowisko dla helikopterów. Natychmiast zaczął

schodzić do lądowania. Dunross już na niego czekał.

Schylając się pod śmigłem wszedł z lewej strony do kabiny i nałożył słuchawki.

- Witaj, Duncan - powiedział do mikrofonu. - Może lepiej ty weźmiesz ster?

- Nie - nie zgodził się starszy mężczyzna. Dunross poprawił słuchawki, żeby lepiej słyszeć. - Wątpię, czy z powrotem też będziemy mogli polecieć, tai-pan. Chmury wiszą coraz niżej. Najlepiej lećmy od razu.

- A więc w drogę.

Dunross lewą ręką delikatnie przesunął dźwignię zwiększając obroty silnika, prawą dłonią przesunął drążek w prawo, w lewo, do przodu i do tyłu. Lewą ręką panował

nad prędkością, prawą nad kierunkiem, a stopami opartymi na pedałach utrzymywał stabilność całej maszyny. Dunross uwielbiał helikoptery. Stanowiły dla niego większe wyzwanie niż samoloty. Sterowanie nimi wymagało silniejszej koncentracji pozwalającej zapomnieć o innych kłopotach. Rzadko jednak latał sam. Niebo jest dla profesjonalistów albo dla tych, którzy latają codziennie, więc zabierał ze sobą pilota-instruktora.

Obecność w kabinie drugiego człowieka wcale nie umniejszała jego radości.

Zaczekał na odpowiedni moment i lekko uniósł

maszynę do góry, natychmiast dostosował ustawienie drążka do wiejącego wiatru. Sprawdził wszystkie wskaź-

niki, poczuł dreszczyk emocji wywołany świadomością ryzyka. Wzrok koncentrował na otoczeniu, wsłuchiwał się w melodię silnika. Gdy wszystko się zgadzało, zwiększył

obroty, pchnął drążek do przodu, odpowiednio naciskając stopami dostosował stabilność i poleciał.

Gdy już ustawił helikopter w powietrzu, nacisnął

guzik na dźwignię i zameldował się na wieży kontroli lotów Kai Tak.

- Uważaj na obroty - upomniał MacIver.

- Oj, tak, jasne. - Zdenerwowany na siebie leciutko przesunął dźwignię, a potem wznosił się jeszcze wyżej.

Znajdował się tysiąc stóp ponad wodą, mijał przystań i kierował się w stronę Koulunu, Nowych Terytoriów i górskiego toru wyścigowego.

- Naprawdę będziecie się dzisiaj ścigać po górach, tai-pan?

- Wątpię, Duncan - rzucił do mikrofonu. - Ale chciałem się przelecieć. Cały tydzień na to czekałem. - Duncan MacIver wypożyczał ten śmigłowiec wszystkim chętnym.

Zwykle pracował przy różnego rodzaju obserwacjach i pomiarach. Czasami zatrudniała go policja, straż pożarna. MacIver był niski, miał pociągłą twarz i uważne oczy. Dawniej służył w RAF.

Gdy śmigłowiec już leciał spokojnie, MacIver zasłonił

Dunrossowi wszystkie wskaźniki kartonem, aby mógł

kierować się tylko wycuciem i wsłuchaniem w silniki i trzepot śmigieł. Niższy dźwięk oznaczał, że silnik pracuje wolniej, a więc wznoszą się. Szybciej - tracą wysokość.

- Patrz, tai-pan. - MacIver wskazał na zbocze wzgórza za Koulunem. Pomiędzy chatami na osiedlu w slumsach znajdowała się ogromna wyrwa. - Ziemia się osunęła. Słuchałeś porannych wiadomości w radiu?

- Tak.

- Daj, ja przejmę ster.

Dunross zdjął dłonie i stopy z przyrządów. MacIver zleciał niżej, aby przyjrzeć się wyrwie z bliska. Była naprawdę ogromna. Ziemia pochłonęła co najmniej dwieście chat. Pozostałe groziły upadkiem jeszcze bardziej niż poprzednio.

- Chryste, straszne!

- Straż pożarna poprosiła mnie, żebym pomógł na wzgórzu nad Aberdeen. Ziemia osunęła się kilka dni temu i niemal zginęło dziecko. Dzisiaj w nocy znowu mieli tąpnięcie. I to poważne. Zrobiła się dziura, jakieś sto na pięćdziesiąt stóp. Zniszczonych dwieście czy trzysta chat, ale tylko dziesięciu zabitych! Szczęściarze!

MacIver krążył chwilę, potem zanotował coś i ustawił

maszynę na poprzedni kurs. Gdy śmigłowiec się uspokoił, przekazał stery Dunrossowi.

Z prawej strony na horyzoncie wyłoniła się Sza Tin. Gdy byli już blisko, Maclver zabrał ze wskaźników kartonową osłonę.

- Dobrze - pochwalił. - Ląduj.

- Miałeś ostatnio jakąś ciekawą pracę?

- Nie, to co zwykle. Jutro rano, jeśli pozwoli pogoda, lecę do Makau.

- Z Lando Matą?

- Nie, z jakimś Amerykaninem Banastasio. Uważaj na obroty! O, jest lądowisko.

Wioska rybacka Sza Tin znajdowała się nieopodal toru wyścigowego zbudowanego na zboczu wzgórza. U

podnóża stało kilka samochodów, niektóre na przy-czepach, ale prawie wcale nie było widzów. Zwykle przychodziło ich setki. Przeważnie Europejczyków. Był to jedyny tor wyścigowy w koloni. Brytyjskie prawo zabrania urządzania wyścigów na drogach publicznych i dlatego doroczne Grand Prix amatorów w Makau organizował

hongkongijski klub wyścigowy i portugalska rada miejska.

W zeszłym roku wyścig wygrał policjant z Hongkongu Guillo Rodriguez - sześćdziesiąt okrążeń w trzy godziny dwadzieścia sześć minut ze średnią szybkością siedemdziesiąt dwie mile na godzinę.

Dunross w Lotusie i Brian Kwok w pożyczonym jaguarze ścigali się o drugie miejsce, ale Dunrossowi przetarła się opona, wyleciało powietrze i niemal zabiłby się w tym samym miejscu, co w 1959 roku, gdy wyleciał mu w powietrze silnik.

Tai-pan skoncentrował się na lądowaniu, wiedział, że jest obserwowany.

Zmniejszył obroty silnika, wiatr wiał z prawej strony, niedaleko od ziemi zmienił trochę pozycję. Cały czas panował nad maszyną. W odpowiednim miejscu zatrzymał się i ostrożnie zaczął zwalniać dźwignię obrotów.

Płozy dotknęły ziemi. Dunross przesunął dźwignię do końca. Jak zawsze, lądowanie wypadło doskonale.

Maclver nic nie powiedział. Uznał, że nie powinien go chwalić.

Dunross wysiadł i po błocie przeszedł w stronę grupki ludzi w płaszczach przeciwdeszczowych.

- Dzień dobry!

- Paskudna pogoda, tai-pan - stwierdził George T' Czung, najstarszy syn Szitii T' Czunga. - Chciałem wypróbować wóz i walnąłem w pierwszą bandę.

Mocniej powiał wiatr i spadły na nich strugi deszczu.

- Cholerna strata czasu - wtrącił Don Nikklin z kwaśną miną. Był niski, z brzuszkiem, dobiegał trzy dziesiątki. - Już wczoraj powinniśmy odwołać tę imprezę.

Całkiem słusznie, pomyślał Dunross, ale wtedy nie miałbym czym usprawiedliwić swojego lotu i straciłbym nadzwyczajną rozkosz obserwowania, jak tracisz ranek.

- Zgodziliśmy się dzisiaj spróbować - niewinnie przypomniał Dunross. - Wszyscy, ty i twój ojciec też przy tym byliście?

- Oficjalnie proponuję przesunięcie terminu - odezwał się McBride.

- Przyjęto - powiedział Nikklin i odszedł do ciężarówki z porsche na skrzyni.

- Miły

gość

-

ocenił

ktoś.

Wszyscy obserwowali, jak Nikklin zapuszcza silnik i umiejętnie manewruje ciężarówką jadąc po rozmięklej drodze.

- Szkoda tylko, że dupek - dodał ktoś inny. - Cholernie dobry kierowca.

- Tai-pan, szykujesz się na Makau? - zapytał z uśmiechem George T' Czung. Mówił nabytym podczas długoletniej edukacji w angielskich szkołach akcentem ludzi z wyższych sfer.

- Tak - potwierdził Dunross myśląc o listopadzie i zwycięstwie na Nikklinem. Trzy razy już z nim wygrał, ale nigdy nie zwyciężył w Grand Prix, nigdy nie miał dość mocnego samochodu, który wytrzymałby jego ciężką stopę. - Tym razem wygram.

- O, nie, tai-pan! Ten rok należy do mnie! Mam Lotusa dwadzieścia dwa. Przez sześćdziesiąt okrążeń będziesz widział tylko mój ogon!

- Co? Niedoczekanie! W moim nowym jaguarze... -

Dunross przerwał. Zauważył zbliżający się do nich policyjny samochód podskakujący na nierównościach drogi. Po co Sinderson przyjeżdża tak wcześnie? Miał być koło południa. Odruchowo sięgnął ręką do zapiętej na guzik wewnętrznej kieszeni, gdzie trzymał kopertę. Upewnił się, że jest na

miejscu.

W nocy, po powrocie do gabinetu P. B. White'a, wyjął

jedenastcie kawałków papieru i przyjrzał im się w lepszym świetle. Szyfr nic mu nie mówił. Podeszedł do fotokopiarki stojącej przy biurku i zrobił po dwie kopie każdej kartki. Każdy komplet włożył do oddzielnej koperty. Na jednej napisał: „P. B. White, proszę bez otwierania przekazać tę kopertę tai-panowi Struanów”, wsadził ją do wybranej przypadkowo książki, którą odłożył potem z powrotem na półkę. Na drugiej kopercie napisał „G” i schował do swojej kieszeni, aby w odpowiedniej chwili zgodnie z instrukcjami Medforda oddać ją Riko Gresserhoff. Oryginał także włożył do koperty i schował do kieszeni. Zamknął tajne drzwi na klucz i wrócił do towarzystwa. Za kilka minut opuścili wraz z Gaval anem, Casey i Riko mieszkanie wesołego staruszka. Dunross miał dużo okazji, aby dyskretnie dać Riko kopertę, ale postanowił zaczekać z tym aż do dostarczenia oryginału Sindersonowi.

Mam mu dać te papiery teraz czy dopiero w południe, zastanawiał się patrząc na zatrzymujący się policyjny samochód. Ze środka wysiadł inspektor Donald C. C.

Smyth. Nie było z nim ani Crosse'a, ani Sindersona.

- Dzień dobry - powiedział uprzejmie Smyth dotykając palcami czapki. Drugą rękę wciąż nosił na temblaku. -

Przepraszam, panie Dunross, to pan wynajął helikopter?

- Tak, inspektorze. O co chodzi?

- Mam pewne zamieszanie na dole przy drodze.

Zobaczyliśmy, że lecicie, i pomyślałem, że mógłby pan nam wypożyczyć Maclvera i śmigłowiec na jakąś godzinę.

A jeśli pan wraca od razu, moglibyśmy też pana odwiedzić.

- Oczywiście. Już lecę. Odwołaliśmy wyścigi. Smyth spojrzał na tor, a potem na niebo i chrząknął.

- Chyba rozsądna decyzja, sir. Ktoś mógłby sobie zrobić krzywdę. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, porozmawiam z Maclverem.

- Oczywiście. Mam nadzieję, że nie stało się nic poważnego.

- Nie, nie poważnego, choć interesującego. Deszcz odsłonił ciała zakopane niedaleko miejsca, gdzie znaleź-

liśmy Johna Czena.

Podeszli do nich pozostali ludzie.

- Wilkołaki? - zapytał George TCzung. - Znów ofiary porwania?

- Przypuszczamy, że tak. Obydwaj młodzi. Jeden uderzony w głowę, a drugi z odciętą głową. Najprawdopodobniej szpadlem. Chińczycy.

-  
Chryste! - George TCzung zbladł.

Smyth smutno pokiwał głową.

- Nie słyszeliście nic o porwaniu synów jakichś bogaczy?

Wszyscy pokręcili przecząco głowami.

-  
Nic dziwnego - rzekł Smyth. - Rodziny postępują nierozsądnie, że pertraktują z porywaczami i nic nikomu nie mówią. Na nieszczęście miejscowi znaleźli ciała i dowieczora roztrąbią to wszystkie gazety stąd aż do samego Pekinu.

- Chce pan przewieźć ciała helikopterem?

- Nie, nie, tai-pan. Muszę tylko jak najszybciej sprowadzić ekspertów z CID, żeby przeszukali teren, zanim deszcz wszystko zaleje. Spróbujemy zidentyfikować tych biedaków.

- Możemy już lecieć?

- Tak, oczywiście.

- Dziękuję. Przykro mi z powodu Noble Star, ale w przyszłym tygodniu stawiam na nią. - Smyth uklonił się i odszedł.

George TCzung był jawnie przerażony.

Jesteśmy celem tych cholernych łajdaków Wilkołaki! Ty, ja, mój ojciec, wszyscy! Chryste, jak się przed nimi uchronić?

Nie padła żadna odpowiedź.

Nie przejmuj się, staruszk - powiedział ze śmiechem Dunross. - Na razie jesteśmy cali i zdrowi.

10:01

W zaciemnionej sypialni zadzwonił telefon. Bartlett wyrwał się ze snu.

- Halo?

- Dzień dobry, panie Bartlett. Mówi Klaudia Czen. Tai-pan pyta, czy będzie pan potrzebował dziś samochodu.

- Nie, nie, dziękuję. - Bartlett spojrział na zegarek.

- Jezu - mruknął na głos zdziwiony, że tak długo spał.

- Eee, dziękuję, Klaudio.

- Wyjazd do Tajpej przełożyłam na następny piątek. Do poniedziałku w południe. Czy to panu odpowiada?

- Tak, oczywiście.

- Dziękuję.

Bartlett odłożył słuchawkę, jeszcze chwilę poleżał i starał się zebrać myśli. Przeciągnął się zadowolony, że nie musi się nigdzie spieszyć i może radować się błogim lenistwem, które w jego wypadku było rzadkim luksusem.

O czwartej rano powiesił na klamce tabliczkę „nie przeszkadzać”, zakazał łączenia jakichkolwiek telefonów do dziesiątej i poszedł spać. Minionej nocy Orlanda zabrała go do Aberdeen i wynajęli Łódź Rozkoszy.

Dryfowali po kanałach, a podczas deszczu kabina wydawała im się jeszcze przytulniejsza. Zajadali się gorącymi i pikantnymi potrawami.

- W Szanghaju dodaje się dużo czosnku, chili, pieprzu i innych ostrych przypraw - mówiła trzymając pałeczki w delikatnych palcach. - Im dalej na północ, tym ostrzejsze przyprawy i mniej ryżu, a więcej chleba i klusek. Północ zajada się raczej produktami pszenicznymi, a Południe ryżowymi. Chcesz jeszcze, Linc?

Najadł się do syta, napił piwa i było mu bardzo przyjemnie z Orlandą. Noc minęła szczęśliwie, nie zauważył upływu czasu, z rozkoszą słuchał zajmującej opowieści Orlandy o Azji i Szanghaju. Potem, gdy już oddali wymiecione do czysta naczynia, siedzieli obok siebie na miękkiej kanapie.

-

Linc, przykro mi, ale kocham cię.



Zaskoczyła go.

- Nie musi ci być przykro - odparł nie przygotowany na stępswiejszą odpowiedź.

- Ale mnie jest przykro. To wszystko komplikuje i to jak bardzo.

Tak, pomyślał. Kobiecie łatwo wyznać, że kocha, mężczyźnie trudniej. Mniej rozsądniej, bo wtedy jest się usidlonym. Czy to odpowiednie słowo? Znów odpowiedź

nie nasunęła się sama.

Leżąc teraz w łóżku z dłońmi pod głową jeszcze raz zastanawiał się nad tamtą nocą. Tulili się do siebie, ale do niczego nie doszło. Nie dlatego, że ona się broniła.

Sam się powstrzymał.

- Nigdy tak się nie zachowywałeś - powiedział do siebie na głos. - Jeśli już byłeś z dziewczyną, to do prowadzałeś sprawy do końca. - I wczoraj też chciał, oboje pałali ogromnym pożądaniem. „Nie jestem dziewczyną na jedną noc” - wciąż brzmiało mu w uszach.

W taksówce w drodze powrotnej do domu trzymali się za rączki. Czuł się głupio i dziecinnie.

- Gdyby ktoś powiedział mi o tym miesiąc czy nawet tydzień temu, to pomyślałbym, że to wariat.

Gotów byłbym założyć się o duże pieniądze, że mnie coś takiego się nie przytrafi.

Pieniądze. Mam dość, żeby wystarczyło i dla Orlandy. i dla mnie. A co z Casey? Co z Par-Con? Wszystko po kolei. Zobaczymy, czy Casey powie mi o Murtaghu.

Gornt? Czy Dunross? Dunross ma styl, a skoro Banastasio jest przeciwko niemu, to bardzo zwiększa jego szanse.

Gdy przedstawił Armstrongowi swoją teorię na temat Banastasio, policjant powiedział:

- Zobaczymy, czy wszyscy stronnicy pana Gornta są tak samo nieskazitelnie czyści jak ci z koloni. Może pan być pewien, że Vincenzo Banastasio zajmuje wysokie miejsce na naszej czarnej liście, ale czyż nie powinni zająć się nim Amerykanie?

- Tak, powiadomiłem już o tym pana Rosemonta...

- O! Bardzo dobrze! To odpowiednia osoba. A rozmawiał pan z Edem Langanem?

- Nie. Też z CIA?

- Ja oficjalnie nawet nie wiem, czy pan Rosemont jest w CIA. Czy wspominał coś na temat broni?

- Nie.

- To nic. Przekażę pańską informację. A tak przy okazji, to z tego Banastasio niezły spryciarz.

Dreszcz przeszedł Bartletta. Ja nigdy nie będę dość sprytny, aby stawić czoło mafi , pomyślał, jeśli Banastasio faktycznie ma z nią coś wspólnego.

Sięgnął po aparat telefoniczny i wybrał numer do pokoju Casey. Nikt nie odpowiadał, więc zostawił dla niej wiadomość. Recepcjonistka oznajmiła, że jest dla niego wiele przesyłek przy drzwiach.

- Mam panu przysłać też telegramy, sir?

- Jasne, dziękuję. Jest jakaś wiadomość od Casey Tcholok?

- Nie, sir.

- Dziękuję.

Wyskoczył z łóżka i podszedł do drzwi. Obok informacji o telefonach leżała koperta. Rozpoznał pismo Casey.

Wszystkie telefony dotyczyły interesów z wyjątkiem jednego. „Pan Banastasio prosi o odpowiedź na telefon”.

Bartlett odłożył tę kartkę. Otworzył kopertę od Casey.

Informacja została spisana za piętnaście dziesiąta.

„Cześć, Linc. Nie chciałeś, żeby ci przeszkadzać, wrócę o szóstej. Baw się dobrze!”

Ciekawe dokąd poszła? - pomyślał odruchowo.

Podniósł słuchawkę, żeby zadzwonić do Rosemonta, ale się rozmyślił i zatelefonował do Orlandy. Nikt nie odpowiadał. Jeszcze raz wybrał numer. Ciągłe ten sam sygnał.

-

Cholera! - Rzucił słuchawkę.

Czego się denerwujesz, skoro umówiliście się na lunch? Na najwyższym piętrze „Victoria' and Albert”.

Zostało jeszcze sporo czasu. Niedzielny lunch, tam gdzie

„przychodzą najznamienitsi ludzie, Linc, tam naprawdę jest super, ciepły i zimny bufet, rozmowy o Azji, wszystko, co najlepsze”.

- Jezu, znowu to jedzenie, za tydzień będę cięższy o tonę!

- O, nie, ty na pewno nie. Jak chcesz, pójdziemy na długi spacer, gdy przestanie padać. Albo pogramy

w tenisa. Zrobię co tylko chcesz, Linc! Tak cię kocham...

Na nabrzeżu w Koulunie Casey opierała się o balustradę. Miała na sobie spodnie koloru khaki i żółtą bluzkę.

Do tego zarzucony na ramiona kaszmirowy sweter, sportowe buty i dużą torbę ze strojem kąpielowym. Nie, nie będzie mi dzisiaj potrzebny, myślała patrząc na otulające Pik chmury i czarne niebo na wschodzie. Zauważyła przelatujący przez cieśninę w stronę centrum mały helikopter. Przyglądała się, jak ląduje na jednym z budynków.

Czy to nie Struan Bulding? Jasne, że tak. Ciekawe, czy jest w nim Ian? Ciekawe też, czy się dzisiaj ścigali.

Poprzedniej nocy twierdził, że odwołają zawody, ale niektórzy mimo wszystko może chcieli się przejechać.

Nagle zauważyła zbliżającą się łódź motorową. Dużą, kosztowną, zgrabną, na maszcie powiewał kolorowy pro-porzec. Za kołem wypatrzyła Gornta. Ubrany był w koszulę z podwiniętymi rękawami, drelichowe spodnie. Jego czarne włosy rozwiewała morska bryza. Pokiwał do niej, odpowiedziała mu. Na mostku stali też inni: Jason

„Plumm, którego poznała na wyścigach, oraz Sir Dunstan Barre - poznany u tai-pana - w niebieskim blezerze i białych spodniech. Pugmire również miał na sobie marynarski strój.

Gornt przybił bokiem do nabrzeża, a dwaj członkowie załogi przyciągnęli łódź bosakami. Casey ruszyła w stronę mokrych i śliskich schodów. Na dole czekało już pięć chińskich dziewczyn, ubranych w stroje do żeglugi.

Śmiały się, szczebiotały i kiwały rękami. Na jej oczach niezgrabnie wchodziły na łódź i zrzucały buciki na wysokich obcasach. Jedna z nich podeszła do Barre'a, druga do Pugmire'a, a trzecia do Plumma, dwie pozostałe trzymały się z boku.

A niech to diabli, pomyślała. A więc to jedno z „tych”

przyjęć. Zbierała się do odejścia, gdy zauważyła przechylającego się przez burtę Gornta.

- Cześć, Casey, szkoda, że pada, chodź! - Łódź

kołysała się na wodzie, fale rozbijały się o dziób.

- Chodź na pokład, tu jest bezpiecznie - zapewnił.

Zeszła po schodach, zaczekała na odpowiednią chwilę i skoczyła. - Wspaniale. Jakbyś już to kiedyś robił! powiedział z podziwem Gornt wychodząc jej na spotkanie.

- Witam na „Wiedźmie Morskiej”.

- Lubię pływać, Quil an, ale czuję się tu nie na miejscu.

- Jak to? - Gornt zmarszczył brwi, a ona nie zauważyła w jego oczach ani krzty drwiny. - Chodzi ci o te dziewczyny?

- Tak.

- To goście moich gości. - Świdrował ją wzrokiem.

- Myślałem, że chcesz być traktowana na równi z mężczyznami.

- Słucham?

- Zdawało mi się, że chcesz być traktowana na równi z mężczyznami, zarówno w interesach jak i w czasie wolnym od pracy. Żeby sobie zyskać akceptację.

- Tak, to prawda - potwierdziła oschle.

Nie zmienił swojego serdecznego podejścia do niej.

- Nie podoba ci się, że oni są żonaci, a ty znasz niektóre żony?

- Tak, chyba tak.

- Czy to uczciwe?

Tak, sądzę, że tak - odparła czując się niezręcznie.

- Ty jesteś moim gościem, a one są gośćmi moich gości. Skoro chcesz równości, musisz być na nią przygotowana.

- To nie ma z tym nic wspólnego.

- Ja oczywiście ufam ci jak równej sobie. Muszę ci jednak wyznać, że nie wszyscy są takiego samego zdania. - Uśmiechnął się. - Robię na swojej łodzi, co mi się podoba, i liczę na twoją dyskrecję. Tu jest Hongkong, my mamy inne zwyczaje. Nie jesteśmy społeczeństwem purytańskim, chociaż mamy twarde zasady. Ty jesteś samotna. Niezamężna. Bardzo piękna i mile tutaj widziana. I traktowana na równi z mężczyznami. Gdybyś była żoną Linca, nie zaprosiłbym cię ani samej, ani z nim. Choć jego samego chętnie bym ugościł, a co by ci opowiedział potem, to byłaby wyłącznie jego sprawa.

- Sugerujesz, że do hongkongijskich zwyczajów należy zapraszanie dziewczyn na niedzielne wypadki?

- Nie, bynajmniej. Mówię tylko, że moi goście zapytali, czy mogą zaprosić swoich gości, którzy umilą im to, co mogłoby być nudnym lunchem.

„Wiedźma morska” zachwiała się, a Barre i jego przyjaciółka niemal się przewrócili. Ona upuściła kieliszek z szampanem. Gornt ani drgnął. Casey również. Nie musiała się nawet niczego

przytrzymywać.

- Dużo żeglowałaś? - zapytał.

- Miałam osiemnastopową łódź klasy olimpijskiej. Z

włókna szklanego, ze słupem. Czasami w weekend żeglowałam.

- Sama?

- Przeważnie. Bywało, że z Linkiem.

- Pojechał na wyścigi?

- Nie. Słyszałam, że miały być odwołane.

- Jedzie po południu do Tajpej?

- Nie, to też odwołane. Gornt skinął głową.

- Słusznie. Jutro ma wiele do zrobienia. - Wzrok miał

łagodny i ciepły. - Przykro mi, że czujesz się urażona.

Myślałem, że przyjmiesz to jak coś normalnego.

Przepraszam cię za tamte dziewczyny.

Casey usłyszała w jego głosie dziwną delikatność.

- Tak, mnie też jest przykro.

- Ale może jednak zostaniesz? Chociaż będę oczekiwał od ciebie dyskrecji.

- Tak, zostanę — powiedziała swobodnie. - Dziękuję za zaufanie.

- Chodźmy na mostek. Napijemy się szampana, mam nadzieję, że będzie ci smakował lunch.

Decydując się zostać, Casey postanowiła odsunąć od siebie uprzedzenia i cieszyć się z pięknego dnia.

-

Dokąd płyniemy?

Do Sza Tin, tam morze będzie spokojniejsze.

- Świetna łódź, Quillan.

Potem cię oprowadzę. Deszcz mocniej zaciął i schronili się pod zadaszeniem. Gornt spojrzał na zegar. Dochodziła 10:10. Właśnie miał zarządzić odpłynięcie, gdy Peter Marlowe w pośpiechu zbiegł po schodach i wszedł na pokład. Wytrzeszczył oczy, gdy zobaczył Casey.

- Przepraszam za spóźnienie, panie Gornt.

- Nic nie szkodzi, panie Marlowe, dałem panu kilka minut, wiem, że ma pan dzieci. Przepraszam na chwilę, chyba się znacie. A Casey jest moim gościem.

Gwarantuję za jej dyskrecję. - Uśmiechnął się do dziewczyny. - Prawda?

-

Oczywiście.

Odwrócił się i zostawił ich samych. Poszedł na mostek przejąć ster. Chwilę na siebie patrzyli, obydwoje czuli się zakłopotani. Morski wiatr nawiewał na nich krople deszczu.

- Nie spodziewałam się tu ciebie spotkać - odezwała się wreszcie.

- Ja ciebie też.

Przyjrzała mu się badawczym wzrokiem.

-

Czy prowadzisz podwójne życie? Powiedz wprost.

Dziwnie się uśmiechnął.

- Jeśli nawet, to nie twoja sprawa. Słuchaj, jesteś dziewczyną Gornta?

Nie. Oczywiście, że nie.

- To po co tu jesteś?

- Nie wiem. On mnie po prostu zaprosił jako równą mężczyznom.

- A, rozumiem. - Peter Marlowe poczuł ulgę. - Ma osobliwe poczucie humoru. Cóż, ostrzegałem cię. Ale odpowiadając na twoje pytanie: do haremu Marlowe'a należy co najmniej ósemka kobiet!

Roześmiała się razem z nim.

- O Fleur nie musisz się martwić - powiedział już serio. - Ona jest bardzo rozsądna.

- Ja też bym taka chciała być. Ta sytuacja to dla mnie nowość. Trochę mi przykro...

- Dla mnie to też coś nowego. Jeszcze nigdy nie byłem na niedzielnym wypadzie. Może byśmy...

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Popatrzyła w tę samą stronę. Spod pokładu wyszedł Robin Grey i nalał

szampana sobie i towarzyszącej mu dziewczynie.

Casey odwróciła się w stronę Gornta spoglądającego to na jednego mężczyznę, to na drugiego, a potem na nią.

- Wyjdźcie na rufę - zachęcił. - Jest wino, szampan, krwawa Mary albo, jeśli ktoś woli, kawa. - Nic po sobie nie dawał poznać, ale bawił się doskonale.

11:15

- Przykro mi, panie Sindera, ale nic nie wiem o żadnym telegramie, Arthurze, teczkach ani o Amerykaninie. Nie znam majora Jurija Bakjana. Ten człowiek nazywał się Igor Worański i był marynarzem pierwszej kategorii. - Suslew panował nad sobą i starał się mówić

spokojnie do Sindera siedzącego po drugiej stronie biurka w pokoju przesłuchań. Suslew spodziewał się, że

Roger Crosse przyjdzie mu z odsieczą. Nie widział go jednak od samego przyjścia ani razu.

Zachowaj ostrożność, ostrzegał się, jesteś zdany na własne siły. Roger ci nic nie pomoże. I słusznie. Ten agent musi być chroniony. Od Boradinowa także niczego nie można oczekiwać. Spojrzał na sztywno siedzącego obok pierwszego oficera.

- Nadal pan twierdzi, że szpieg Dimitrij Metkin nie nazywa się Leonów i nie jest majorem KGB?

- Bzdura, wszystko bzdura. Doniosę o tym wypadku swojemu rządowi, ja...

- Czy statek już naprawiony?

- Tak, w każdym razie będzie gotów do północy.

Płacimy w Hongkongu ciężkie pieniądze za...

- I przysparzacie tylko kłopotów. Leonow, Bakjan.

- Ma pan na myśli Metkina? - Suslew spojrział na Boradinowa nie rozumiejącym wzrokiem. - Znacie jakiegoś Leonowa?

Nie, towarzyszu kapitanie - odparł służbiście Boradinow. - My nic nie wiedzieliśmy. - Co za bzdury!

Sindera westchnął. - Na szczęście Leonow, zanim go zamordowaliście, powiedział nam sporo na temat

„Iwanowa”. Tak, major Leonow wykazywał chęć współpracy. - Nagle dodał ostrzejszym tonem: -

Pierwszy oficerze Boradinow, proszę zaczekać za drzwiami!

Młody oficer poderwał się na równe nogi. Z bladą twarzą otworzył drzwi. W drugim pomieszczeniu

ski urzędnik SI wskazał mu krzesło i zamknął za nim drzwi.



Sinders odłożył fajkę, wyjął paczkę papierosów i bez pośpiechu zapalił. Krople deszczu uderzały o okno.

Suslew czekał, serce mu szalało. Spoglądał na wroga spod krzaczastych brwi i zastanawiał się. co takiego pilnego może dla niego mieć Crosse. Rano zadzwonił

do niego Arthur i poprosił, żeby Suslew spotkał się z Crosse'em o ósmej wieczorem w Sinclair Towers.

- Czy to takie pilne? Powiniennem być na statku i dopilnować...

- Nie wiem. Roger mówił, że to ważna sprawa. W

każdym razie nie czas na dyskusje. Widzieliście się z Korońskim?

- Tak. Wszystko załatwione. Dostarczycie?

- Oczywiście, na długo przed północą.

- Nie zawiedźcie. Centrum na was liczy - dodał. -

Przekażcie naszemu przyjacielowi, że to rozkaz.

- Oczywiście. Nie zawiedziemy.

Bał się trochę mniej. Wrócił myślami do pokoju przesłuchań. Nie podobało mu się tutaj. Sindera dobrze znano w KGB. Miał opinię dociekliwego, sprytnego i potrafiącego zagłębiać się głęboko w myśli człowieka.

- Jestem już zmęczony tymi pytaniami, panie Sindera - powiedział zaskoczony, że tak ważna osoba jak szef MI-6 przyjeżdża do Hongkongu i osobiście przesłuchuje kogoś tak mało znaczącego. Wstał. -

Wychodzę - powiedział na próbę.

- Chętnie posłuchałbym o Sevrin..

- Sevrin? Co to takiego? Nie muszę odpowiadać na pańskie pytania...

- Zgodą, towarzyszu kapitanie, w normalnych warunkach. Jednak jeden z pańskich ludzi został złapany na szpiegowaniu, a nasi amerykańscy przyjaciele bardzo by chcieli mieć pana u siebie.

- Proszę?

- Tak, tak. Obawiam się, że oni wykażą mniej cierpliwości niż my.

Suslewa znów ogarnął strach.

- Żarty sobie ze mnie stroicie? My przestrzegamy prawa. Ja nie ponoszę odpowiedzialności za te nieporozumienia!

Żądam, aby mi natychmiast

pozwolono wrócić na statek! Natychmiast!

Sinders tylko patrzył.

- W porządku. Proszę bardzo.

-

Mogę odejść?

-

Tak, oczywiście. Życzę miłego dnia.

Zaskoczony Suslew wstał i ruszył do drzwi.

- Oczywiście napomkniemy pańskim przełożonym, że wystawił pan nam Leonowa.

Suslew stanął jak wryty.

- Co pan powiedział?

- Leonow zeznał między innymi, że pan go zachęcał

do pójścia po dokumenty z krążownika. A potem doniósł pan o tym.

- Kłamstwa... Bzdury... - Przeszło mu przez głowę, że być może tak samo jak Metkin został złapany Roger Crosse.

- Nie doniósł pan także agentom Korei Północnej o Bakjanie?

- Nie, nie doniosłem - rzucił Suslew. Ulżyło mu, że Sinders tylko blefuje. Odzyskał pewność siebie. -

Kolejne nonsensy. Nic nie wiem o Korei Północnej.

- Ja panu wierzę, ale Pierwszy Dyrektoriat nie da wiary. Do widzenia.

- O co panu chodzi?

- Proszę opowiedzieć o telegramie.

- Nic nie wiem, wasz nadinspektor musiał się pomylić, nie upuściłem żadnego telegramu.

Ależ upuścił pan. Co to za Amerykanin?

- Nic nie wiem o żadnym Amerykaninie.

- To proszę opowiedzieć o Sevrin.

- Nie wiem, co to za Sevrin. Co to jest? Kto to jest?

- Chyba zdaje sobie pan sprawę, że pańscy przeło-

żeni w KGB są bardzo nieufni i czuli na punkcie wszelkich przecieków. Jeśli odpływacie, to radzę, aby ani pan, ani pierwszy oficer Boradinow, ani statek, ani nikt z załogi już nigdy nie pojawił się tutaj...

- Znow pan straszy? To może za sobą pociągnąć międzynarodowe reperkusje. Poinformuję o tym swój rząd i pańskich...

- Tak, my również. Oficjalnie i prywatnie. Bardzo prywatnie. - Sindery mówił twardym, zdecydowanym głosem. Z lekkim uśmiechem nieustępliwie wpatrywał

się w Suslewa.

- Czy... Czy mogę już iść? ,

- Tak. W zamian za informacje.

- Jakże?

- Kim jest Amerykanin? Kim jest Arthur?

- Nie znam żadnego Arthura. Arthur jak?

- Czekam do północy. Jeśli odpłynie pan nie kontaktując się w tej sprawie ze mną, gdy tylko wrócę do Londynu, zatroszczę się, aby do uszu waszego attache w Londynie dotarła informacja o tym, że wystawił pan nam Leonowa, czy jak pan mówi Metkina, że doniósł pan na Bakjana, którego pan nazywa Worańskim. W zamian za przysługi SI.

Kłamstwa, kłamstwa i jeszcze raz kłamstwa.

- Pięćset osób widziało pana na torze wyścigowym z nadinspektorem Crosse'em. Wtedy wystawił pan Metkina.

-

Bzdura. - Suslew usiłował opanować przerażenie.

Sindery zachichotał.

- Zobaczymy, prawda? Nowy attache w Londynie będzie chwytął się wszystkiego, żeby przypodobać się zwierzchnikom, no nie?

- Nie rozumiem - wybełkotał Suslew, choć pojmował

doskonale. Wpadł w pułapkę.

Sinders nachylił się, żeby wysypać tytoń z fajki.

- Proszę uważnie posłuchać - powiedział tonem zwiastującym kres cierpliwości. - Uratuję panu życie za Amerykanina i Arthura.

- Nie znam żadnego Arthura.

- To zostanie tylko między panem a mną. Nikomu nie powiem. Daję słowo.

- Nie znam żadnego Arthura.

- Wskaże go pan i pańska skóra jest uratowana.

Obydwaj jesteście zawodowcami, znamy się na uczciwych wymianach i prywatnych, ściśle tajnych umowach. Tym razem został pan złapany, więc musi się pan wykupić. Jeśli odpłynie pan nie mówiąc kim jest Arthur, jak mi Bóg miły, KGB pana załatwi. - Puścił

do niego oko. - Do widzenia, towarzyszu kapitanie Suslew podniósł się ciężko i wyszedł. Gdy razem z Boradinowem znaleźli się na ulicy Hongkongu, obydwoj głęboko odetchnęli. Suslew w milczeniu ruszył do najbliższego baru. Zamówił dwie podwójne wódki.

Czuł w głowie zamęt. *Christos*, chciał krzyknąć, jestem skończony, jeśli to zrobię, jeśli nie, tak samo.

Ten przeklęty telegram! Jeśli wsypię Banastasio i Arthura, to przyznam się, że wiem o Sevrin i na zawsze mają mnie w ręku. Jeśli nie wsypię ich, moje życie skończone. Tak czy inaczej niebezpiecznie wracać teraz do domu. Muszę mieć Dunrossa albo teczkę Medforda, żeby się bronić. Najlepiej i jedno, i drugie. Tak czy inaczej...

-

Towarzyszu kapitanie...

Zamachnął się na Boradinowa i zaczął przeklinać po rosyjsku. Oficer zbladł i zamilkł przerażony.

- Jeszcze dwie wódki - zadysponował Suslew.

Podeszła do nich dziewczyna.

- Nazywam się Sally, a wy, *heya?*

- Spieprzaj.

- *Dew neh loh moh* na twoje spieprzaj, *heya?* Panie Spieprzaj? Nie podobasz mi się pan, panie Spieprzaj ze swoimi przekleństwami. - Podniosła butelkę wódki i była gotowa do dalszej kłótni.

W tej chwili przepros ją - warknął Suslew nie chcąc kłopotów. Nie miał pewności, że dziewczyna nie jest szpiegiem, skoro pracuje tak blisko Komendy Głównej.

Boradinowowi na chwilę odebrało mowę.

- Co?

- Przeprós ją, gówniarzu pieprzony!

- Przepraszam - bąknął z purpurową twarzą.

Dziewczyna roześmiała się.

- Hej, ty duży, chcesz *dzig-dzig?*

- Nie - odparł Suslew. - Wódki.

Crosse wysiadł z policyjnego samochodu i szybkim krokiem ruszył do Struan Building. Przeszedł przez ulicę i minął ludzi spieszących z parasolami do i z pracy. Niedziela nie dla wszystkich była dniem wolnym. Na dziewiętnastym piętrze Crosse wysiadł z windy.

- Dzień dobry, nadinspektorze Crosse, nazywam się

Sandra Ji, jestem sekretarką pana Dunrossa. Proszę tędy.

Crosse poszedł za nią korytarzem, rzucił okiem na jej rozcięcie w *czong-sam*. Otworzyła przed nim drzwi.

Wszedł do środka.

- Cześć, Edward - powiedział do Sindera.

- Ty też jak zwykle przyszedłeś wcześniej. - Sinders napił się piwa. - Stary wojskowy zwyczaj. Pięć minut wcześniej to akurat na czas, nie? - Obok niego stał

dobrze zaopatrzone barek i kawa.

- Napije się pan czegoś, sir? - zapytała Sandra Ji. -

Mamy przygotowaną krwawą Mary.

- Dziękuję. Poproszę tylko kawę. Czarną.

Obsłużyła go i odeszła.

- Jak poszło? - zapytał Crosse.

- Z naszym gościem? Dobrze, tylko dobrze. Prawie dostał zawału serca. Nagrałem całą rozmowę, będziesz mógł po lunchu przesłuchać. Ach, lunch! Roger, czy w Hongkongu można dostać rybę z frytkami?

Oczywiście - odparł Crosse i ziewnął. Prawie całą noc wywoływał zdjęcia zrobione w skarbcu. Rano przeczytał dokumenty Medforda z nadzwyczajnym zainteresowaniem. Zgodził się z Dunrossem, że trzeba było z nimi postępować rozważnie. Alan Medford wart był każdych pieniędzy. Nie ma wątpliwości, że te teczki warte są fortunę.

Zegar wybił godzinę dwunastą. Otworzyły się drzwi i wszedł Dunross.

- Dzień dobry. Dziękuję, że pofatygowaliście się panowie do mnie.

Obydwaj grzecznie wstali i wyciągnęli ręce.

- Jeszcze kawy?

- Nie, dziękuję, panie Dunross.

Tai-pan

wyjął zalakowaną kopertę i podał

Sindersowi. Ten wziął ją do ręki. Crosse zauważył, że Sindर्सowi lekko zadrżały palce.

- Oczywiście przeczytał pan. co jest w środku panie Dunross.

- Naturalnie.

- I?

- I nic. Sam pan zobaczy.

Sinders otworzył kopertę. Spojrzał na pierwszą stronę, a potem przejrzał następne. Ze swojego miejsca Crosse nie widział, co jest zapisane na kartkach.

Sinders podał mu jedną z nich. Litery, liczby i symbole nic nie znaczyły.

- Te kartki wyglądają na wycięte z czegoś. - Crosse spojrział na Dunrossa.

- Co z Brianem?

- Skąd to masz, Ian? - Crosse zauważył, że w oczach Dunrossa nastąpiła pewna zmiana.

-  
Ja dotrzymałem umowy, teraz wasza kolej.

Sinders usiadł.

- Ja się nie zgodziłem na zamianę. Powiedziałem tylko, że być może pańska prośba zostanie spełniona.

- A więc nie wypuścicie Briana Kwoka?

- Wysoce prawdopodobne, że będzie tam, gdzie pan oczekuje.

- I to ma wystarczyć?

- Niestety.

Zapadła długa cisza. Salę przepełniało tykanie zegara i bębnienie deszczu. Od rana deszcz kilkakrotnie zaczynał i przestawał padać. Prognoza pogody przewidywała nadejście burzy. Wszyscy liczyli na napełnienie na razie nadal prawie pustych zbiorników wody.

- Czy może mi pan powiedzieć, jakie są szanse?

Dokładnie.

- Najpierw trzy pytania. Czy pan wyciął te kartki z czegoś, co do pana należało?

- Tak.

- Jak i skąd?

- Instrukcje przekazał mi Medford. We wskazanych miejscach

niektórych

przesłanych

przez

niego

raportów przyłożyłem ogień zapalniczki i po podgrzaniu zniknęły spisane na maszynie litery, a pojawiło się to, co widać. Wyciąłem te kawałki, a resztę, zgodnie z zaleceniami, zniszczyłem. List od Medforda także.

- Czy ma pan kopie?

- Tych jedenastu kawałków? Tak.

- Muszę pana o nie prosić.

- Oczywiście, ale najpierw pan wywiąże się z umowy. - Ton głosu Dunrossa był nadal uprzejmy. - Proszę mi powiedzieć, jakie są szanse?

- Chciałbym otrzymać kopie.

- W poniedziałek o zachodzie słońca, po zwolnieniu Briana. To moje postanowienie.

Oczy Sindera stały się chłodniejsze niż zwykle.

- Pół na pół - powiedział, aby go sprawdzić.

- Dobrze. Dziękuję. Postaram się, żeby we wtorek rano wszystkie jedenaście kartek zostało opublikowanych w „China Guardian” i dwóch gazetach chińskich: komunistycznej i nacjonalistycznej.

- Sam pan sobie zaszkodzi. Rząd Jej Wysokości nie lubi takich pogroźek.

- Czy ja panów straszę? Ani trochę. To tylko litery i cyfry bez znaczenia. No, chyba, że ktoś zna kod. A być może to tylko żart z zaświatów?

- Mogę zakazać panu publikacji poprzez Biuro Akt Tajnych.

Może pan spróbować. - Dunross skinął głową. -

Ale do diabła z Biurem Akt Tajnych. Jak będę chciał, to w przyszłym tygodniu opublikuję te kartki w dowolnym miejscu na świecie. To też moje postanowienie.

Czy jeszcze coś, panie Sinders?

-

Nie - zawahał się. - Nie, dziękuję, panie Dunross.

Dunross uklonił się uprzejmie i otworzył drzwi.

-

Niestety, muszę wracać do pracy. Dziękuję za przyjęcie.

Crosse przepuścił Sindera i poszedł za nim do windy. Sandra Ji już nacisnęła za nich guzik.

-

Bardzo przepraszam, sir - zagadnęła Crosse'a

- czy orientuje się pan, kiedy nadinspektor Kwok wróci do kolonii?



Crosse popatrzył na nią. .. - Nie jestem pewien, ale mogę się dowiedzieć, jeśli pani chce A o co chodzi?

- Umówiliśmy się w piątek na kolację, a ani u niego w domu, ani w biurze nikt nic nie wie.

- Z przyjemnością sprawdzę to dla pani.

Zadzwonił telefon.

- Och,

dziękuję,

sir.

Słucham,

kompania

Struanów?

- odezwała się do mikrofonu. - Chwileczkę. -

Przełączyła się. Crosse poczęstował Sindera papierosem. Kolejno zapalały się numerki pięter, gdy winda jechała w górę.

- Tai-pan, pan Alastair - powiedziała do telefonu Sandra Ji. - Zadzwonił drugi telefon.

- Halo. - Przez moment słuchała. - Chwileczkę, madame, sprawdzę. - Patrzyła właśnie na listę spotkań

tai-pana, gdy nadjechała winda. Sindera wszedł do środka, a Crosse ruszył za nim.

-

Na

godzinę

trzynastą,

pani

Gresserhoff.

Nagle Crosse stanął, pochylił się i udawał, że wiąże sznurówkę. Sindera przytrzymał drzwi.

- Tak, to prawda, madame, łatwo pomylić czas.

Stolik

zarezerwowany

na

nazwisko

tai-pana.

Najwyższe

piętro hotelu „Mandaryn” o trzynastej.

Crosse wstał.

- Już? - zapytał Sinders.

Tak, tak. - Zamknęły się drzwi. Obydwaj uśmiechnęli się.

- Kto czeka, ten doczeka - rzucił Crosse.

- Tak. Rybę z frytkami przełożymy chyba na kolację.

- Nie. Zjedz na lunch. Nie powinniśmy jeść w

„Mandarynie”. Proponuję raczej, żebyśmy zajęli się tylko nią. Mogę dowiedzieć się, gdzie mieszka.

- Świetnie. - Sinders spoważniał. - Gresserhoff?

Wiele lat próbowaliśmy złapać szpiega ze Wschodnich Niemiec o pseudonimie Hans Gresserhoff.

- Tak? - Crosse starał się nie okazać zbytniego zainteresowania.

- Był współnikiem jeszcze jednego cholernego łajdaka, wyszkolonego zabójcy. Jedno z jego nazwisk to Grunwald, Wiktor Grunwald. Inne: Simeon Tzerak.

Ha, Gresserhoff... - Chwilę Sinders nic nie mówił.

- Roger, ta pogrożka Dunrossa o publikacji to tylko kolejna zagrywka?

- Potrafisz to odszyfrować?

- Na Boga, nie.

- Co to może być?

- Wszystko. Te kartki przeznaczone są dla mnie albo dla premiera, więc chyba jakieś adresy i kontakty.

Nie ośmielę się ich wysłać - dodał. - Chyba muszę natychmiast jechać do Londynu.

- Dzisiaj?

- Jutro. Najpierw muszę zakończyć tu sprawę i bardzo chciałbym zidentyfikować panią Gresserhoff.

Dunross może spełnić swoją pogrózkę?

- Jak najbardziej.

Sinders podniósł brwi. Jego oczy były pozbawione koloru bardziej niż zwykle.

- Co z klientem?

- Chyba... - Otworzyły się drzwi windy. Wyszli do foyer. Odźwierny w liberii otworzył przed nimi drzwi samochodu.

Crosse włączył się do ruchu. Nad cieśniną unosiła się mgła. Na jakiś czas przestało padać.

- Chyba wystarczy jeszcze jedna sesja, a potem koniec. Poniedziałek wieczór to trochę za wcześnie, ale...

- Wzruszył ramionami. - Odradzałbym stanowczo Czerwony Pokój.

- Tak, tak, Roger, zgadzam się. Dzięki Bogu, że ten koleś i tak ma dużo siły.

- Tak.

- Armstrong też jest bliski załamania, biedaczysko.

- Jeszcze raz wytrzyma. Spokojnie.

- Mam nadzieję. O, Boże, mieliśmy szczęście. Niewiarygodne! - Poranna sesja o szóstej niczego nie posunęła naprzód. Jednak w chwili, gdy już mieli kończyć, Armstrong wydusił z Briana prawdziwą perłę: prawdę o profesorze Josephie Ju. O Cal Tech, o Princeton, o Stanford. O eksperymentach z raketami i działaniach na rzecz NASA.

- Kiedy ma przyjechać do Hongkongu, Brian? - zapytał Armstrong. W sąsiednim pomieszczeniu cały ze-spół SI czekał z zapartym tchem.

- Nie... Nie wiem... Muszę pomyśleć... Ach, nie pamiętam... Tak, w... Pod koniec miesiąca... Jaki mamy miesiąc? Nie pamiętam... Nie pamiętam, którego dnia. Miał przyjechać... a potem odjechać.

- Skąd i dokąd?

- Nie wiem, tego mi nie powiedzieli... tylko tyle, że podobno przyplynie tutaj przez Guam z urlopu na Hawajach i zostanie dziesięć dni... Dziesiąty dzień to chyba... Chyba był po wyścigach...

Gdy Crosse zadzwonił do Rosemonta i powiedział

mu o tym, zatajając oczywiście źródło, Amerykanin zaniemówił ze strachu. Natychmiast kazał obstawić Guam, aby uniemożliwić wyjazd.

- Ciekawe, czy go złapią? - mruknął Crosse.

- Kogo?

- Josepha Ju.

Mam nadzieję - rzekł Sinderson, - Dlaczego on to, do diabła, robi? Przeróżające. Jedyną pozytywną stroną tego, że jak załatwi Chińczykom rakiety, na Sowieców padnie blady strach. Jeśli o mnie chodzi, uważam, że to cholernie dobrze. Kiedy zaczną się nawzajem wysadzać w powietrze, to na pewno my na tym skorzystamy.

- Rozsiadł się wygodniej na fotelu. Bolały go plecy.

- Roger, nie mogę ryzykować, że Dunross opublikuje te szyfry.

-

Też tak sędzę.

O odpowiedniej porze przyjechali przed hotel „Mandaryn”. Crosse natychmiast znalazł dyskretny stolik ustawiony w miejscu mało rzucającym się w oczy. Sinderson zamówił drinka i kawę, a Crosse zadzwonił po dwóch agentów, brytyjskiego i chińskiego. Obydwaj zjawili się bardzo szybko.

Kilka minut przed pierwszą przybył Dunross i podszedł do najlepszego stolika. Zjawili się kelnerzy z przystawkami. Szampan mroził się w srebrnym kubku.

- Wyszkolił wszystkich zauważył Sinderson.

- A jakże? - rzekł Crosse. Rozejrzał się po sali. - O, Rosemont! Czyżby przypadek?

- A jak sądzisz?

- A, patrz tam, w tamtym rogu. Vincenzo Banastasio rozmawia z Chińczykiem Vee Cee Ngiem. Rosemont pewnie ich śledzi.

- Możliwe.

- Rosemont jest inteligentny - mruknął Crosse.

- Bartlett do niego też się zwrócił. Najprawdopodobniej śledzą Banastasio: - Armstrong doniósł mi o rozmowie

z Bartлетtem w sprawie Banastasio. - A propos, słysza-

łem, że wynajął śmigłowiec do Makau.

- Powinniśmy temu przeszkodzić.

- Już zrobione. Kłopoty z silnikiem.

- Świetnie. Zdaje się, że doniesienie Bartletta na Banastasio wyjaśnia co nieco.

- Możliwe.

- Uważam, że lepiej będzie, jeśli odleczę w poniedzia-

łek. Tak. Interesujące, że sekretarka Dunrossa umawiała się na randki z klientem. Dobry Boże, ale kobieta!

Piękna Azjatka podążała za kierownikiem sali. Obydwaj zdziwili się, gdy zatrzymała się przy stoliku tai-pana, uśmiechnęła i ukloniła, a potem usiadła.

- Chryste, pani Gresserhoff to Chinka? - zapytał

zdumiony Sinderson.

Crosse skupił się na ruchu jej warg.

- Nie, żadna Chinka nie kłania się w ten sposób. To Japonka.

- Jak ona się ma do tego wszystkiego?

- Może tai-pan spodziewał się więcej gości. Może...

O rany!

- Co?

- Nie mówią po angielsku. Chyba po japońsku.

- Dunross zna język żółtków?

Crosse odwrócił się do niego.

- Tak, Dunross mówi po japońsku. Także po niemiecku, francusku, w trzech dialektach chińskich i

płynnie po włosku.

Sinders rzekł pojednawczo:

- Nie musisz się boczyć, Roger. Mój syn zginął na

„Prince of Wales”, a mój brat na birmańskim szlaku, więc daruj sobie przycinki. Chociaż nadal uważam, że jest piękna.

- Przynajmniej jedna oznaka tolerancji. - Crosse z powrotem odwrócił się w stronę Dunrossa i siedzącej z nim dziewczyny.

- Ty walczyłeś w Europie, co?

- Ja jeszcze walczę, Edward - Crosse uśmiechnął

się. Wypowiedziane zdanie mile brzęczało mu w uszach. - Druga wojna światowa to dawne dzieje.

Przykro mi z powodu twoich krewnych, ale teraz Japonia nie jest wrogiem. W gruncie rzeczy można ją uznać za jedyne naszego prawdziwego stronnika w Azji.

Czekali pół godziny. Crosse nic nie potrafił wyczytać z warg.

-

To musi być Gresserhoff - rzekł Sinders.

Crosse pokiwał głową.

- Idziemy? Nie ma na co czekać. Może skoczymy na rybę z frytkami?

Wyszli. Zostali dwaj agenci - brytyjski i chiński.

Czekali cierpliwie, nie mogli podsłuchać, o czym rozmawia tai-pan. Jak wielu innych na sali zazdrościli mu zarówno pozycji jak i towarzystwa pięknej kobiety.

- *Gehen Sie?* - zapytała po niemiecku. Jedziesz?

- Do Japonii, Riko-san? Tak - odpowiedział w tym samym języku. - Za dwa tygodnie. Zamawiamy nowe statki towarowe w Toda Shipping. Rozmawiałaś wczoraj z Hiro Todą?

- Tak, miałam ten zaszczyt. Rodzina Toda jest w Japonii bardzo sławna. Przed rewolucją Meiji, przed zniesieniem stanu samurajów, moja rodzina służyła To-dzie.

- Pochodzisz od samurajów?

- Tak, ale od samurajów niskiego stopnia. Nie wspominałam mu o swojej rodzinie. To już dawne dzieje. Nie chciałabym, żeby wiedział.

- Jak wolisz - przysłał. - Hiro Toda to interesujący człowiek - podkreślił.

- *Toda-sama* jest bardzo mądry, bardzo silny i bardzo sławny. - Kelner przyniósł sałatę, a gdy odszedł, dodała: - Struanowie też są sławni w Japonii.

- Niezupełnie.

- Ależ tak. Pamiętamy księcia Yoshi.

- A, nie sądziłem, że wiesz.

W 1854, gdy Perry skłonił szoguna Yoshimitsu Toranagę do otwarcia Japonii na handel, Hag popłynęła z Hongkongu ze swoim ojcem i wrogiem - Tylerem Brockiem, aby szukać tam czegoś dla siebie. Dzięki niej Struanowie jako pierwsi zaczęli działać w Japonii.

Jako pierwsi kupili ziemię, punkt handlowy i jako pierwsi obcy zaczęli handlować z Japonią. Po dziesięciu latach i wielu podróżach Japonia stała się podporą Struanów.

Na początku związków z Krajem Kwitnącej Wiśni poznała młodego księcia Yoshi, krewnego cesarza i kuzyna szoguna, bez którego pozwolenia w Japonii nic się nie mogło wydarzyć. Zgodnie z jej propozycją i dzięki jej pomocy książę popłynął kliprem Struanów na nauki do Imperium Brytyjskiego. Po powrocie po paru latach do domu na innym statku Struanów zastał

rewoltę

feudalnych

baronów

-

*daimyo*

-

nienawidzących obcych i występujących przeciwko szogunowi, którego rodzina - Toranaga, pochodząca w prostej linii od wielkiego Yoshi Toranagi - niepodzielnie władała Japonią od dwóch i pół stuleci. Rewolta *daimyo* powiodła się i władza wróciła do cesarza, ale kraj został podzielony.

- Bez księcia Yoshi, który został jednym z najważniejszych ministrów cesarza - oznajmiła bezwiednie przechodząc na angielski - Japonia nadal pogrążona byłaby w wojnie domowej.

- Dlaczego? - zapytał chcąc, aby dalej mówiła do niego tym sprawiającym mu rozkosz głosem.

- Cesarz nie wróciłby na tron bez jego pomocy, nie potrafiłby znieść szogunatu ani prawa feudalnego, ani zlikwidować warstwy samurajów, ani zmusić ich do przyjęcia nowej konstytucji. Właśnie książę Yoshi wynegocjował pokój między *daimyo*, a potem zaprosił

angielskich ekspertów do Japonii, aby budowali naszą marynarkę, nasze banki i służby cywilne, a także pomogli nam wejść do nowoczesnego świata. - Przez jej twarz przemknął cień. - Ojciec wiele mi opowiadał o tamtych czasach, tai-pan. Nie minęło jeszcze sto lat, tai-pan. Przejście od panowania samurajów do demokracji wiązało się często z przelewem krwi.

Jednak skoro cesarz zarządził koniec, to był koniec i *daimyo*, i samurajowie musieli z bólem dostosować się do nowego życia. - Bawiła się kieliszkiem obserwując bąbelki. - Toda byli panami Izu i Sagami, tam gdzie teraz znajduje się Jokohama. Od wieków posiadali statki. Im łatwo było dostosować się do nowych czasów. Dla nas... - przerwała. - Ale już wszystko wiesz.

- Na temat księcia Yoshi. A twoja rodzina?

- Prapradziadek został niższym urzędnikiem u księ-

cia Yoshi. Wysłano go do Nagasaki i odtąd tam mieszkała moja rodzina. Odczuł na własnej skórze, jak trudno obejść się bez dwóch mieczy. Dziadek również pełnił funkcję urzędnika. Ojciec także, ale krótko. -

Spojrzała na niego z uśmiechem. - Ten szampan jest za dobry. Za bardzo rozwiązał mi język.

- Ależ skąd! - zachnął się. Czuł na sobie spojrzenia innych. - Przejdźmy na japoński.

- Tai-pan, to dla mnie zaszczyt.

Gdy pili już kawę, zapytał:

- Gdzie mam zdeponować pieniądze dla ciebie, Ri-ko-san?

- Jeśli mógłbyś dać mi czek gotówkowy lub tratę bankową - użyła angielskiego słowa, ponieważ nie miało ono odpowiednika w japońskim - zanim wyjadę, byłoby idealnie.

- Przyślę ci w poniedziałek rano. Dziesięć tysięcy sześćset dwadzieścia pięć funtów, a następne osiem tysięcy pięćset w styczniu i to samo w następnym roku

- obiecał, zdając sobie sprawę, że jej dobre maniere nie pozwalały jej wprost o to poprosić. Zobaczył na jej twarzy ulgę i zdecydował się na dwie dodatkowe wypłaty. Informacje Medforda na temat ropy warte były o wiele więcej. Czy może być trata na okaziciela o jedenastej? - Dunross także użył angielskiego słowa.

- Jak ci bardziej odpowiada. Nie chciałabym sprawiać kłopotu.

Dunross zauważył, że mówi wolniej, żeby mógł łatwiej zrozumieć.

- Jakie masz plany podróży?

- Chyba w poniedziałek polecę do Japonii, a potem... Potem nie wiem. Może wrócę do Szwajcarii, chociaż specjalnie nie ma powodów. Nie mam tam krewnych, dom i ogród były wynajęte. Wraz z



jego śmiercią skończyło się dla mnie życie jako Gresserhoff. Teraz chyba powinnam z powrotem stać się Riko Anjin. Karma to karma.

- Tak. Karma to karma - potwierdził. Sięgnął do kieszeni i wyjął pakunek zawinięty jak prezent. - To podarunek od Noble House w podziękowanie za kłopot i tak długą podróż.

- O, dziękuję, był to dla mnie zaszczyt i sama przyjemność. - Ukłoniła się. - Dziękuję. Mogę otworzyć?

- Lepiej później. To tylko nefrytowy drobiazg, ale w pudełeczku znajduje się również koperta, którą twój mąż kazał ci przekazać. Lepiej, żeby otaczający nas ludzie jej nie widzieli.,

- Tak. Rozumiem. Oczywiście. - Znow się ukłoniła.

-

Tak mi przykro, przepraszam za swoją niedomyślność.

Uśmiechnął się.

- To nic. Twoja uroda rekompensuje wszystko.

Spasowała i napiła się kawy.

- Koperta jest zapieczętowana, tai-pan?

- Tak, tak mi polecił. Czy wiesz, co w niej jest?

- Nie. Tylko... Mój mąż uprzedził mnie tylko, że dasz mi zalakowaną kopertę.

- A nie mówił po co? A może się domyślasz?

- Pewnego dnia ktoś się po nią zgłosi.

- Jak się ten ktoś nazywa?

- Mąż zakazał mi wymieniać tego nazwiska, nawet przy tobie. Mogę powiedzieć wszystko, tylko nie to.

Niestety. Przykro mi.

- I masz mu to tylko przekazać?

- Albo jej - odparła grzecznie. - Tak, ale dopiero jak zostanę poproszona, nie wcześniej. A gdy to już się stanie, mąż zapowiedział, że ta osoba spłaci dług.

Dziękuję za podarunek, tai-pan-saw.

Kelner po raz ostatni nalał im szampana, a potem wyszli.

- *Riko-san*, w jaki sposób będę mógł się z tobą skontaktować?

- Dam ci trzy adresy i telefony. W Szwajcarii i dwa w Japonii.

- A w przyszłym tygodniu będziesz w Japonii? - zapytał po chwili.

Riko spojrzała na niego i jeszcze raz zdał sobie sprawę z jej urody.

- Tak, jeśli chcesz.

- Chcę.

14:30

„Wiedźma Morska” stała zacumowana na przystani

« Sza Tin, gdzie zatrzymali się na lunch. Gdy tylko przybyli, Casey, Peter Marlowe i Gornt zeszli na ląd, żeby wybrać z kucharzem krewetki i ryby pływające w pojemnikach z morską wodą. Potem przeszli na rynek po świeże warzywa. Na lunch jedli smażone krewetki i brokuły, a potem rybę przed smażeniem obficie natartą czosnkiem, podaną z dodatkiem chińskiej zieleniny.

Podczas posiłku panowała radosna atmosfera.

Chińskie dziewczyny w różnym stopniu mówiły po angielsku, ale dużo się śmiały, a Dunstan Barre okazał

się nadzwyczaj wesołym człowiekiem. Podobnie pozostali. Casey zauważyła, że wszyscy są zupełnie inni niż na co dzień. Tak bardzo beztroscy i chłopięcy, pomyślała ze smutkiem. Gdy rozmowa zeszła na interesy, przez kilka godzin dowiedziała się o Hongkongu

więcej

niż

podczas

gruntownego

studiowania książek. Coraz bardziej stawało się dla niej jasne, że gdy się nie jest stąd, faktyczna władza i bogactwo uciekają sprzed nosa.

- O, na pewno nieźle się tu ustawicie, Casey - tłumaczył

Barre

-

jeśli

dostosujecie

się

do

hongkongijskich zasad i hongkongijskich podatków.

Prawda, Quillan?

- Zależy. Gdy zwiążecie się ze Struanami i Dunrossem, jeśli przetrwają do następnego piątku, będziecie mieć dużo mleka, ale ani odrobiny śmietanki.

- Lepiej wyjdziemy na związaniu się z tobą? - zapytała Casey.

Barre roześmiał się.

- O wiele lepiej, ale to nadal tylko mleko i niewielka ilość śmietanki.

- No, Casey - odezwał się Gornt - ale za to mleko homogenizowane.

Z kuchni doleciał wspaniały zapach świeżo palonych ziaren kawy. Rozmowa odbywała się głównie przy stole. Ze względu na Casey dużo żartowali na temat umiłowania azjatyckiego handlu. Chińskie dziewczyny szczebiotały do siebie.

Nagle wtrącił się Grey z goryczą w głosie;

- O to, panie Gornt, najlepiej zapytać Marlowe'a. On od czasów Changi wie na temat przemytu i szantażu wszystko.

- Daj spokój, Grey - poprosił Marlowe, gdy zapadła cisza. - Przestań.

- Myślałem, że szcycisz się tym, tak samo jak ten twój jankeski szantażysta. Mylę się?

- Zostawmy to, Grey - rzekł Marlowe ze spokojną twarzą.

- Jak sobie życzysz. Proszę - zwrócił się do Casey -

zapytać go o to.

- To nie najlepszy moment na odgrzebywanie starych sporów, panie Grey. - Gornt powiedział to stanowczym, lecz uprzejmym tonem. Z jego twarzy zniknęło zadowolenie. Zachował się jak idealny gospodarz.

- Wcale nic nie odgrzebuję, panie Gornt. Mówiliście o przemyśle i czarnym rynku, a Marlowe jest w tym ekspertem, to wszystko.

- Może kawę wypijemy na pokładzie - zaproponował

Gornt.

Świetny pomysł. Odrobina kawy dobrze zrobi po żarciu. - Grey użył tego słowa z premedytacją, wiedział, że ich zgorszy. Nie przejmował się, znużyła go już wesoła atmosfera, nienawidził wszystkiego, co oni sobą reprezentują. Chciał osiąść jedną z dziewczyn, obojętnie którą. - Marlowe ze swoim jankeskim kolegą często palili kawę, podczas gdy reszta ludzi głodowała - rzucił z zaciętą

miną, -

Doprowadzali nas do szaleństwa.

- Z jawną nienawiścią spojrzął na Petera Marlowe'a.

- Prawda?

- Wszyscy od czasu do czasu dostawali kawę -

przypomniawszy po chwili milczenia Marlowe. - Wszyscy wypalali ziarna kawy.

- Ale nie tyle co wy dwaj. Oni - zwrócił się do Casey

- mieli kawę codziennie. Ja jako komendant, jak dobrze

poszło, dostawałem kawę raz na miesiąc. - Znow popatrzył na pisarza. - Skąd mieliście kawę i jedzenie, gdy inni głodowali?

Casey zauważyła żyłkę pulsującą na skroni Marlowe'a i zrozumiała, że brak odpowiedzi to też nienawiść.

-

Robin... - zaczęła, ale Grey wszedł jej w pół słowa.

-

Dlaczego nie odpowiadasz, Marlowe?

Wszyscy w milczeniu patrzyli na Greya i Marlowe'a.

Nawet chińskie dziewczyny spoważniały i miały się na baczności. Wyczuwały w kabinie nagłą nienawiść.

- Mój drogi - wtrącił się Gornt. Celowo mówił z akcentem, który doprowadzał Greya do pasji - to z pewnością dawne dzieje i teraz już bez znaczenia.

Mamy niedzielne popołudnie, wszyscy są sobie przyjaciółmi.

- Niedziela czy nie, z nas żaden przyjaciel! On jest szlachciurą, ja nie! - Grey także specjalnie uwydatniał

swój akcent. - Wojna wszystko zmieniała, a my, ludzie pracy, nigdy tego nie zapomnimy!

- Siebie uważasz za człowieka pracy, a mnie nie?

- zapytał Peter Marlowe.

- My jesteśmy wyzyskiwani, a wy wyzyskiwacze.

Jak w Changi.

- Zmień płytę, Grey! Changi to inny świat, inne miejsce, inne czasy.

- Takie same jak zawsze. Byli rządzący i rządzeni, robotnicy i ci, co pasożytowali na robotnikach. Jak na przykład ty i Król!

- Same bzdury!

: Casey dotknęła ręki Greya.

- Chodźmy na kawę, dobrze?

- Oczywiście - odparł. - Ale najpierw zapytaj go, Casey.

- Obstawał przy swoim zdając sobie sprawę, że po raz pierwszy przyparł swego wroga do muru na oczach świadków. - Proszę go zapytać, panie Gornt. Wszyscy zapytajcie...

Wstrząśnięci nagłym oskarżeniem i zakłopotani w imieniu Marlowe'a, wszyscy wstali od stołu w milczeniu.

Plumm i Gornt w skrytości ducha bawili się znakomicie.

Jedna z dziewcząt ruszyła do schodni, a reszta podążyła za nią. Casey została.

- Nie czas na to, panie Grey - usłyszała delikatny głos Gornta. Cieszyła się, że przerwie tę nieprzyjemną rozmowę. - Czy nie zechciałby pan skończyć już z tym tematem? Bardzo proszę.

Grey patrzył na wszystkich po kolei, aż przeniósł

wzrok na swego przeciwnika.

- Widzisz, Casey, nikt nie ma ikry, żeby go zapytać...

Wszyscy pochodzą z jego klasy, tak zwanej wyższej klasy, i muszą się o siebie nawzajem troszczyć.

Barre pczerwieniał.

- Posłuchaj, staruszk, czy ty czasami...

- Skończmy z tymi bzdurami - odezwał się Marlowe. -

Nie można porównywać Changi, Dachau czy Buchenwaldu do normalności. Po prostu nie można.

Tam działały inne układy i inne zasady. Byliśmy żoł-

nierzami, jeńcami wojennymi. Większość z nas miała po kilkanaście lat. Changi stało się swoistym genesis, wszystko było nowe, przewrócone do góry nogami...

- Zajmowałeś się czarnym rynkiem?

- Nie. Byłem tłumaczem znajomego handlarza, a pomiędzy handlem a czarnym rynkiem jest duża różnica.

- Tak, ale postępowaliście wbrew prawu obozowemu, a to właśnie jest czarny rynek, prawda?

- Handlowanie ze strażnikami było wbrew zasadom wroga. Wbrew japońskim zasadom.

- A opowiedz, jak Król kupował za psie pieniądze zegarki, obrączki i wieczne pióra. Sprzedawał za ogromne pieniądze i oszukiwał. Wciąż oszukiwał.

Peter Marlowe spojrzał na niego.

- Przeczytaj moją książkę. Tam...

- Książkę? - Grey znów się roześmiał. - Przysięgnij im na swój honor, na honor twojego ojca i twojej rodziny, że Król nie oszukiwał. Oszukiwał czy nie?

Casey widziała, jak Marlowe zaciska pięści.

- Gdyby nie to, że jesteśmy tu gośćmi, tobym powiedział, jaki z ciebie był łajdak.

- Zginiesz w piekle...

- Wystarczy! - W ustach Gornta zabrzmiało to jak komenda i Casey z powrotem zaczęła oddychać. - Po raz ostatni proszę, żeby zakończyć tę rozmowę.

Grey oderwał wzrok od Marlowe'a.

- Dobrze. Czy w wiosce mogę zamówić taksówkę?

Pojadę do domu sam, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Oczywiście - rzekł Gornt z kamienną twarzą. Był

zadowolony, że Grey zapytał o taksówkę i on mu nic nie musiał sugerować. - Ale, oczywiście, możecie sobie z panem Marlowe'em podać dłonie jak dżentelmeni i o wszystkim zapomnieć.

- Dżentelmeni? Dzięki, nie skorzystam. Nie, takich dżentelmenów jak on już mam po dziurki w nosie.

Dżentelmeni? Na szczęście Anglia już wkrótce się zmieni i wszystko znów będzie uczciwe. Żaden oksfordzki akcent nie będzie przepustką do bogactwa i władzy, już nigdy więcej. Zreformujemy...

- Miejmy nadzieję, że wam się nie uda - rzekł

zgryźliwie Pugmire.

- Pug - wtrącił się Gornt - czas na porto i kawę! -

Wziął Greya pod rękę. - Przepraszam was na moment, ja i pan Grey...

Poszli na pokład. Chińskie dziewczyny na moment przestały rozmawiać. Gornt poprowadził Greya po schodni i zszedł z nim na nabrzeże. Wszystko ułożyło się lepiej, niż mógł się spodziewać.

- Przepraszam pana za to, panie Grey - kajał się.

Nie miałem pojęcia, że Marlowe... Przerażające! Nigdy nie wiadomo, z kim się ma do czynienia, prawda?

- To łajdak, zawsze był i pozostanie łajdakiem. I on, i ten jego przeklęty kumpel. Jankesów też nienawidzę.

Kiedys z tym wszystkim skończymy.

Gornt bez trudu znalazł dla niego taksówkę.

- Na pewno, panie Grey, nie zmieni pan zdania?

- Dziękuję, pojedę sam.

- Przepraszam za Marlowe'a. Pan został jawnie sprowokowany. Kiedy pańska delegacja wyjeżdża?

- Jutro wczesnym rankiem.

- Jeśli będę mógł w czymś panu pomóc, proszę dać mi znać.

- Dzięki. Niech pan zadrynda, jak pan wróci do domu.

Dziękuję, zadzwonię. Dziękuję za przybycie. Za-płacił kierowcy z góry i uprzejmie pokiwał na pożegnanie, Grey nie odwrócił głowy.

Gornt uśmiechnął się. Ten palant może się kiedyś przydać. Zachichotał i odszedł.

Goście popijali na pokładzie kawę i alkohole. Casey i Marlowe stali przy burcie.

- Co za cholerny pęta! - zawołał Gornt ku ogólnemu aplauzowi. - Najmocniej pana przepraszam, panie Marlowe, ten gnojek...

- Nie, to moja wina - rzekł, nadal przygnębiony Marlowe. - Przepraszam. Strasznie się czuję, że musiał odejść.

- Nie ma się czym przejmować. Nie powinienem go zapraszać. Dziękuję, że zachował się pan jak dżentelmen mimo prowokacji.



- Jasne - dodał Pugmire. - Ja na pana miejscu bym mu przyłożył. Niezależnie od tego, jak wyglądała przeszłość.

- Tak - dodała szybko Casey. - To straszny człowiek. Gdybyś nie przerwał, Quillan, Grey...

Wystarczy już o nim. Nie pozwólmy, aby popsuł

nam wspaniałe popołudnie. - Objął Casey ramieniem. -

Dobrze? - Zobaczył w jej oczach podziw. - Za chłodno na pływanie. Poleniuchujemy w domu?

-

Świetny pomysł - pochwalił Dunstan Barre.

- Chyba przyda mi się sješta.

- Wspaniale - skomentował ktoś ze śmiechem.

Zawtórowały mu dziewczyny, ale czuło się, że jest to śmiech wymuszony. Każdy był nieco speszony, wytrącony z równowagi i Gornt wyraźnie to zauważał.

- Najpierw brandy! Panie Marlowe?

- Nie, dziękuję.

- Proszę posłuchać - powiedział ze współczuciem

- wszyscy w życiu zbyt wiele przeżyliśmy, żeby wiedzieć,

iż cokolwiek pan robił, to nie ze złej, ale z dobrej woli.

Miał pan rację. Changi to specyficzne miejsce ze specyficznymi problemami. Pug siedział w więzieniu Stanleya, na wyspie Hongkong, przez trzy i pół roku.

Ja ledwie uszedłem z życiem w Szanghaju. Jason został złapany przez nazistów po bitwie pod Dunkierką i przeżył kilka naprawdę koszmarnych lat. Dunstan działał w Chinach. On od zawsze jest w Azji i najlepiej potrafi

pana

zrozumieć. No nie?

- Tak - rzekł ponuro Dunstan Barre. - Czasami, żeby na wojnie przeżyć, trzeba się zdobyć na jakieś nadużycie. A co do czarnego rynku, panie Marlowe, to zgadzam się, że wszystko zależy od miejsca i czasu.

Gdybym o tym nie wiedział, być może wcale bym nie przetrwał tej wojny. - Dolał sobie porto z

karafki, jego samego ten nagły wybuch szczerości sprawił w za-kłopotanie.

- A jak naprawdę było w Changi, Peter? - Casey zadała pytanie, które wszystkim cisnęło się na usta.

- Ciągle trudno mi o tym mówić - rzekł. - Byłem bliżej śmierci, niż to się da wyobrazić.

Dostawaliśmy w przydziale ćwierć funta suchego ryżu dziennie, trochę warzyw, jedno jajko na tydzień. Czasami mięso...

wrzucone do zupy. Wszystko, co potrafię powiedzieć, to właśnie to, że tam było inaczej. Większość z nas nigdy nie widziała dżungli, nie mówiąc już o Chińczykach czy Japończykach... trafiłem do Changi w wieku osiemnastu lat.

- Boże, jak ja nie znoszę Japońców! - wyrwało się Pugmire'owi, a reszta mu przytaknęła.

- Ale to w gruncie rzeczy nieuczciwe. Oni po prostu odgrywali swoją rolę zgodnie z własnymi zasadami -

zaprotestował Peter Marlowe. - Z punktu widzenia Japończyka wszystko się działo fair. Popatrzcie, jakimi byli doskonałymi żołnierzami, jak wspaniale walczyli i prawie nigdy nie dawali się złapać. Zgodnie z ich normami, my byliśmy ludźmi bez honoru. - Ja się takim czułem i nadal nie mogę się pozbyć tego wrażenia.

- Zupełnie niesłusznie, panie Marlowe - obruszył się Gornt. - Nie ma tu nic, co by mogło pozbawić honoru.

Nic a nic.

Casey delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu

- Tak, Peter, Quillan ma rację. Naprawdę.

- Tak - rzekł Dunstan Barre. - Ale czego, do diabła, czepiał się ten Grey?

- Niczego i wszystkiego. On z fanatyzmem starał się wpoić nam obozowe, czyli japońskie, reguły.

Większość z nas uważała, że to głupota. Changi to zupełnie inny świat, oficerowie siedzieli razem z szeregowcami, nie wolno było kontaktować się z domem, brakowało jedzenia, terytorium wroga rozciągało się dwa tysiące mil w każdym kierunku, malaria, biegunka i ogromna umieralność. Grey nienawidził tego mojego amerykańskiego znajomego, Króla. To prawda, że Król był przebiegłym biznesmenem i podczas gdy inni głodowali, on miał co jeść, pił kawę i palił papierosy. Ale dzięki swojej działal-ności, podtrzymywał nas przy życiu. Nawet Greya.

Jestem pewien, że Grey przeżył tylko dzięki swojej nienawiści. Król dożywał prawie wszystkich Amerykanów, około trzydziestu oficerów i szeregowców. O, oczywiście, zgodnie z duchem Ameryki, musieli na wszystko zapracować, lecz mimo to bez niego poumieraliby. Ja też. Jestem tego pewien. - Peter Marlowe wzruszył ramionami. - *Dżos*. Karma. Życie.

Teraz chyba napiję się brandy, panie Gornt.

Nalał mu.

-

- Co się stało z tym Królem? Po wojnie.

- Nie wiem.

- Nigdy go nie widziałeś, Peter? - zapytała zaskoczona Casey. - Nie spotkaliście się nigdy w Stanach?

- Nie, nigdy. Próbowałem go odnaleźć, ale nie udało mi się.

- Tak to bywa, Casey - orzekł Gornt. - Gdy opuszcza się oddział, dotychczasowe długi i przyjaźnie zostają anulowane. - Był zadowolony. Wszystko układa się idealnie, mówił do siebie, myśląc o szerokim łóżku w swojej kabinie. Posłał Casey szeroki uśmiech. Odpowiedziała mu tym samym.

Riko Anjin Gresserhoff szła przez foyer hotelu „,

Victoria and Albert". W środku siedziało dużo ludzi popijających wczesną herbatę i jedzących późny lunch. Gdy czekała na windę, przeszedł ją dreszcz.

Niepokoili ją otaczające spojrzenia - nie lubieżne spojrzenia

mężczyzn

Europejczyków,

lecz

nieprzyjazne, niechętnie Chińczyków i Euroazjatów.

Jeszcze

nigdy nie doświadczyła tyle ludzkiej nienawiści. Czowała się dziwnie. Po raz pierwszy wyjechała ze Szwajcarii, nie licząc szkolnych wycieczek do Niemiec, dwóch wyjazdów z matką do Rzymu i jednego tygodniowego pobytu z mężem w Wiedniu.

Nie lubię Azji, myślała. Chociaż właściwie tu nie jest Azja, tylko Hongkong. Tutaj na pewno mieszkają inni ludzie. I z pewnością mają powody, aby objawiać swoje antagonizmy. Ciekawe, czy spodoba mi się Japonia. Czy i tam będę się czuła obco?

Zjawiała się winda i Riko wjechała na piąte piętro do swojego apartamentu. Pokojowy nie otworzył

przed nią drzwi. Lepiej poczuła się dopiero w samotności za zamkniętymi na klucz drzwiami. Na aparacie telefonicznym

pałło

się

czerwone

światelko

informujące, że w recepcji czeka na nią wiadomość, ale nie zwróciła na nie uwagi. Szybko zdjęła buty, kapelusz, rękawiczki, zrzuciła płaszcz i odłożyła do małej szafy, gdzie wszystko było porządnie poukładane

- między innymi równiutko ustawione trzy pary butów.

Apartament nie należał do przestronnych, ale był

przytulny. Składał się z salonu, sypialni i łazienki. Na stole stały kwiaty od Struanów i owoce od hotelu.

Delikatnymi dłońmi rozpakowała prezent. W środku znajdował się prostokątny futerał. Otworzyła. Poczowała falę ciepła. Na złotym łańcuszku wisiał trójkątny zielony nefryt z jasnymi plamkami. Natychmiast założyła naszyjnik i przejrzała się w lustrze. Jeszcze nigdy w życiu nie nosiła nefrytu.

Pod czarnym futerałem znajdowała się koperta.

Zwykła, bez herbu Struanów, z czerwoną woskową pieczęcią. Uważnie podważyła pieczęć nożem do przecinania papieru i przejrzała znajdujące się w środku kartki. Lekko zmarszczyła czoło. Widziała tylko nic nie znaczące liczby, litery i dziwaczne symbole. Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Odszukała hotelowy papier listowy i siedząc wygodnie przy biurku zajęła się kopiowaniem kolejnych stron.

Gdy skończyła, sprawdziła jeszcze raz. Wsadziła kopie do hotelowej koperty i zakleiła ją. Oryginały umieściła w kopercie wyjętej z torebki. Później znalazła kilka kawałków wosku, roztopiła go nad płomieniem zapalki, zalakowała kopertę i upewniła się, że na kopercie z oryginałami jest taka sama pieczęć jak na tej od Dunrossa. Zadzwoił telefon. Z mocniej bijącym sercem patrzyła na aparat, aż wreszcie zamilkł. Potem wróciła do swojego zajęcia. Upewniła się, że nie zostawiła żadnych mogących coś zdradzić śladów. Gdy uznała, że wszystko jest w porządku, zaadresowała kopertę z kopiami: R.

Anjin, skr. poczt. 154, Sydney, Australia. Obydwie włożyła do torebki.

Jeszcze raz sprawdziła, czy o niczym nie zapomniała, a później poszła do małej lodówki obok barku i wyjęła butelkę wody mineralnej. Napiła się.

Znów zaterkotał telefon. Patrzyła na aparat i myślała o lunchu z Dunrossem - zastanawiała się, czy powinna przyjąć zaproszenie na koktajl, a potem na kolację z jego znajomymi. Ciekawe, czy faktycznie przyjdą jacyś znajomi, czy też będziemy sami. Chciała bym być z nim sama? Wróciła myślami do niskiego, łysiejącego Hansa Gresserhoffa i do czterech spędzonych z nim lat. Całe tygodnie samotności, samotne wieczory, poranki, spacer. Żadnych prawdziwych przyjaciół, rzadkie wyjścia z domu. Mąż delikatnie ostrzegł ją przed zawieraniem jakichkolwiek przyjaźni. Chciał, żeby była sama, bezpieczna i ostrożna. Tak, to było najciężej wytrzymać. Ostrożność. Ostrożność w samotności, ostrożność we dwoje, podczas snu i na jawie. Ostrożność i pozorny spokój. Cały czas czuła się jak wulkan gotowy do wybuchu.

Kochał ją bez wątpienia. A ona spełniała wobec niego *giri* - obowiązek. On dawał jej pieniądze i zapewniał

spokojne - ani bez zbytku, ani bez ubóstwa - życie.

Wyjeżdżał i przyjeżdżał bez żadnego ustalonego porządku. Gdy był z nią, zawsze pragnął mieć ją przy sobie. W

łóżku on doznawał satysfakcji, a ona nie, choć udawała, aby mu sprawić przyjemność. Nie miałaś jednak, myślała, żadnego punktu odniesienia.

Tak jak wyznała tai-panowi, był dobrym człowiekiem.

Ja też starałam się być dobrą żoną, słuchałam go we wszystkim, jak życzyła sobie matka, aby wypełnić *giri* wobec niej a także wobec niego. A teraz?

Spojrzała na obrączkę i przekreśliła ją na palcu. Po raz pierwszy od dnia ślubu zdjęła ją i położyła we wnętrzu dłoni. Mała, pusta i nieciekawa. Tak dużo samotnych, pełnych łez nocy w oczekiwaniu, oczekiwaniu, oczekiwaniu. Na co? Dzieci zakazane, przyjaciele zakazani, podróże zakazane. Nie zakazywać, jak mówią Japończycy: *Kin jiru!*

- Nie sądzisz, moja droga - mawiał - że lepiej będzie, jeśli nie pojedziesz do Paryża? Wybierzemy się, jak przyjadę następnym razem... - Obydwoje wiedzieli, że to nieprawda.

Czas spędzony w Wiedniu wspomina okropnie. Za-mierzali być tam tydzień.

- Wieczorem muszę wyjść - zapowiedział pierwsze go dnia. - Zjedz w pokoju i czekaj, aż wrócę. - Po dwóch dniach wrócił smutny, przerażony i zmęczony.

Potem w samym środku nocy wyszli do wynajętego samochodu i cichcem pojechali do Szwajcarii - okrężną drogą przez Góry Tyrolskie. On cały czas patrzył z natężoną uwagą we wsteczne lustro, czy nikt ich nie śledzi. Nie rozmawiali aż do chwili, gdy z powrotem znaleźli się bezpiecznie za granicą.

- Po co to wszystko, Hans?

- Po nic! Proszę cię, Riko, o nic nie pytaj. Zgodziłaś się na to... Obydwoje się zgodziliśmy. Przepraszam, że nie udało nam się wyjazd. Pojedziemy do Wengen albo Biarritz i będzie wspaniale, zobaczysz. Pamiętaj o *giri* i o tym, że kocham cię z całego serca.

Kocham!

Ja tego słowa nie rozumiem, myślała stojąc przy oknie i spoglądała na przystań i kłębiące się chmury.

Dziwne, że w japońskim nie ma takiego słowa. Jest tylko obowiązek i różne jego odcienie, oraz przywiązanie i różne odcienie. Ale nie *lieben*. A może *ai*? *Ai* w gruncie rzeczy oznacza szacunek, choć niektórzy nadają mu takie samo znaczenie co *lieben*.

Riko złapała się na tym, że myśli po niemiecku, i uśmiechnęła się. Przeważnie tak było, choć dzisiaj, podczas rozmowy z tai-panem, przestawiła się na myślenie po japońsku. Od tak dawna nie rozmawiała w swym ojczystym języku. A jaki jest właściwie mój język ojczysty? Japoński? Znam go i w tym języku rozmawiali moi rodzice. A niemiecki? Niemiecki obowiązuje w naszej części Szwajcarii. A angielski?

To język mojego męża, choć on sam uważał, że jego ojczystym językiem jest niemiecki.

Czy był Anglikiem?

Wiele razy zadawała sobie to pytanie. Nie dlatego, żeby nie mówił płynnie po niemiecku, chodziło o jego zachowanie. Inne niż niemieckie tak jak moje jest inne niż japońskie. A może się mylę?

Nie wiem. Teraz już się tego nie dowiem.

Nigdy nie opowiadał jej o swojej pracy, a ona nigdy nie pytała. Po Wiedniu łatwo było się domyślić, że ma coś wspólnego z międzynarodową przestępczością lub wywiadem. Hans nie należał do ludzi zdolnych popełnić przestępstwo.

Więc od tej pory Riko stała się jeszcze ostrożniejsza.

Parę razy w Zurychu i na nartach odniosła wrażenie, że ktoś ich śledzi, ale on zaprzeczył i kazał jej się nie martwić.

- Bądź przygotowana na wszelką ewentualność.

Wszystkie kosztowności, prywatne dokumenty, paszport i świadectwo urodzenia trzymaj w torbie podróż-

nej, *Ri-chan* - pouczał. *Ri-chan* to jej pseudonim. - Na wszelki wypadek, na wszelki wypadek.

Po jego śmierci i po przeczytaniu instrukcji o pienią-

dzach i telefonie od iai-pana wszystko się zmieniło.

Teraz mogła zaczynać od nowa. Miała dwadzieścia dwa lata. Przyszłość to przyszłość, a karma to karma.

Pieniądze od tai-pana wystarczą na zaspokojenie jej potrzeb przez wiele lat.

W dzień ślubu mąż uprzedził ją:

- Jeśli coś mi się stanie, zadzwoni do ciebie Kiernan.

Przetnij przewód telefoniczny. Zostaw wszystko z wyjątkiem ubrań, które masz na sobie, oraz torby podróżnej i pędź do Genewy. Oto klucz. Otworzysz nim skrytkę depozytową w Banku Genewskim przy Rue Charles. Znajdziesz pieniądze i dokumenty.

Postępuj zgodnie z instrukcjami, moja droga. Zostaw wszystko i zrób dokładnie, co...

I zrobiła. Dokładnie. To było jej *giri*.

Tak jak jej pokazał, przecięła kombinerkami prze wód telefoniczny w miejscu trudnym do zauważenia.

W Genewie w banku znalazła list z poleceniami, 10000

dolarów w gotówce, nowy paszport szwajcarski - z pieczętkami, jej fotografią, ale innym nazwiskiem -

nowe

świadcstwo urodzenia stwierdzające, że przyszła na świat dwadzieścia trzy lata temu w Bernie. Podobały jej

się wybrane przez niego imię i nazwisko. Pamiętała, jak

patrząc wtedy z hotelu na wspaniałe jezioro, zapłakała po nim.

W skrytce depozytowej znalazła także książeczkę oszczędnościową na nowe nazwisko, z dwudziestoma tysiącami dolarów, wystawioną w tym samym banku.

Także klucz, adres i akt własności domku nad jeziorem.

Domek był urządzony, splecony, a opiekunka знаła tylko jej nowe personalia i wiedziała, że jest wdową przebywającą obecnie za granicą. Z aktu wynikało, że został sporządzony cztery lata temu, kilka dni przed ślubem.

- Ach, droga pani, tak się cieszę, że przyjechała pani nareszcie po tak długim czasie. Podróżowanie po tych wszystkich obcych miejscach musiało panią zmęczyć

- powitała ją z uśmiechem stara, prosta kobieta.

- A w zeszłym roku to pani dom wynajął taki bardzo szarmancki Anglik. Regularnie płacił co miesiąc, proszę, oto rachunki. Uprzedzał, że może przyjedzie w przyszłym roku. Pani agent mieszka przy Avenue Firmet...

Później przeszła się po domu położonym nad czystym jeziorem w dolinie między górami. W środku panował idealny ład, na ścianach wisały obrazy, w wa-zonach stały kwiaty. Trzy pokoje, salon, weranda, ogród. Weszła do sypialni. Między dużą liczbą różnego kształtu i różnej wielkości obrazów wypatrzyła oprawiony w ramki, trochę już pożółkły, list po angielsku.

Rozpoznała pismo męża. „Tak wiele pięknych godzin spędzonych w twoich ramionach, *Ri-chan*, tak wiele dni w twoim towarzystwie, jak mam ci powiedzieć, że cię kocham? Zapomnij o mnie, ja o tobie nie zapomnę nigdy. Będę błagał Boga, aby za każdy dzień spędzony ze mną przyznał ci dziesięć tysięcy nowych dni. O, moja najdroższa”.

Przez otwarte okno wpadało powietrze przepelnione zapachami późnego lata. Szczyty gór przykrywał śnieg.

Zapłakała jeszcze raz, domek przyjął ją do siebie.

Po kilku spędzonych w nim godzinach zadzwonił

Dunross, a ona wsiadła w najbliższy samolot i znalazła się w Hongkongu i zrobiła już prawie wszystko, czego od niej oczekiwano. Nikt nie kazał jej wracać, mogła zupełnie zapomnieć o przeszłości. Miała świadectwo urodzenia i paszport, który mogła przedłużać aż do końca życia. Nie ma po co wracać do Szwajcarii. Szkoda tylko domku. I oprawionego listu.

Zostawiła go na swoim miejscu. Postanowiła, że póki ona jest właścicielką domku, list pozostanie tam, gdzie powiesił go on. Na zawsze.



17:10

Orlanda prowadziła swój mały samochód. Obok niej siedział Bartlett i trzymał dłoń na jej ramieniu. Jechali właśnie drogą z Aberdeen w stronę jej mieszkania w Rose Court. Byli ze sobą szczęśliwi. Po lunchu przejechali przez cały Hongkong, aby dotrzeć do Shek-O na południowo-wschodniej części wyspy. Orlanda chciała mu pokazać, gdzie niektórzy tai-panowie mają domki, w których spędzają czasami weekendy.

Teren był prawie wcale nie zamieszkały, znajdował

się w pobliżu morza oraz poprzecinanych wąwozami wzgórz.

Potem pojechali krętą drogą na południe wyspy na herbatę z ciasteczkami na werandzie cudownego hotelu z widokiem na morze. Po jakimś czasie znów się zatrzymali, żeby podziwiać wspaniałe widoki.

- Patrz, Linc, widzisz? To Castle Tok! - Duży, stojący na urwistym brzegu dom przypominający normandzki zamek. - Podczas wojny Kanadyjczycy bronili tej części wyspy przed Japończykami i Castle Tok był ich ostatnim bastionem. Gdy zostali osaczeni, żyło jeszcze dwustu pięćdziesięciu żołnierzy. Japończycy zgonili ich na taras Castle Tok i pomagając sobie bagnietami, spychali na skały.

- Jezu! - Urwisko miało ponad sto stóp wysokości.

- Wszystkich, także rannych... - Zauważył, jak drgnęła, i od razu wyciągnął rękę, żeby ją objąć.

Nie przejmuj się, Orlando. To było tak dawno...

- Wcale nie, Linc, nieprawda. Historia i wojna cały czas są z nami. I zawsze będą. Po tym tarasie w nocy chodzą duchy.

- Wierzysz w to?

- Tak, oczywiście.

Pamiętał, jak patrzyli na dom, z dołu słychać było rozbijające się o skałę fale, czuł zapach jej perfum, bijące od niej ciepło rozgrzewało mu serce, cieszył się, że nie był jednym z tych żołnierzy.

- Ten Castle Tok wygląda jak przeniesiony prosto z filmu. Byłaś kiedyś w środku?

- Nie. Tam podobno są arsenały. A Castle Tok to kopia zamku francuskiego. Właścicielem był stary Sir Cza-sen Tok, Budowniczy Tok. Multimilioner, który dorobił się na cynie. Podobno, gdy miał pięćdziesiąt lat, jasnowidz mu przepowiedział, że jeśli nie będzie budował „dużej rezydencji”, umrze. A więc podjął się tego i powstały trzy rezydencje w Hongkongu, jedna niedaleko Sza Tin i wiele na Malajach. Castel Tok był

ostatni.

Osiemdziesięciosześcioletni staruszek z sercem dwudziestolatka powiedział dosyć i wyjechał.

Po miesiącu umarł i spełniła się przepowiednia jasnowidza.

- Przesadzasz, Orlanda.

- Ależ skąd, Linc, ani trochę. Tylko kto rzeczywiście wie, co jest prawdą, a co fałszem?

- Ja wiem, że za tobą szaleję.

- Och, Linc, ja czuję to samo.

Wracali w miłych nastrojach. Trzymał rękę na jej ramieniu. Czuł, jak muskają go jej włosy. Spędzili ze sobą wspaniałe godziny. Wyjechali z chmur i przed nimi roztoczył się widok na miasto. Nie włączano jeszcze świateł, choć paliły się niektóre neony.

Na górskiej drodze panował spory ruch. Po bokach widać było skały, błoto i odżywiająca po deszczu roślinność. Prowadziła samochód dość pewnie i mimo że jechała po niewłaściwej stronie, to Linc czuł się z nią bezpieczny.

- Przecież to my jeździmy po dobrej stronie -

podkreśliła. - Wy zaś zupełnie nie po tej, co trzeba.

- Przecież tylko Anglicy jeżdżą po lewej stronie, a ty, Orlando, jesteś w takim samym stopniu Amerykanką jak ja.

- Chciałabym, Linc, bardzo bym chciała, żeby to była prawda.

- Mówisz jak Amerykanki, ubierasz się jak Amerykanki, więc to prawda.

-

Ach,

kochanie,

ja

wiem,

kim

jestem.

Obserwował ją. Jeszcze na nikogo nie patrzyłem z taką przyjemnością jak na nią, pomyślał. Ani na

Casey, ani na nikogo innego. Nagle przypomniał sobie o Biltzmannie. Żałował, że nie ma go w pobliżu, bo udusiłby go gołymi rękami.

Zapomnij o nim. stary, to tylko śmieć Tak samo jak Banastasio. Bartlett znów wrócił myślami do nieprzyjemnej rozmowy. Banastasio zadzwonił przed lunchem i przeproszał, że jego słowa zabrzmiały jak pogróżka.

- Trzymamy sztamę? Przecież jesteśmy starymi kumplami, nie? Skoczmy wieczorem na steki? Jest taka knajpka na Nathan Road, nazywa się „San Francisco”.

- Nie, dziękuję, mam randkę - powiedział chłodnym tonem. - W każdym razie przyjęliśmy do wiadomości twoją propozycję. I tak to zostawmy, dobrze? Jeśli nie zmienisz zdania, spotykamy się na zebraniu akcjonariuszy.

- Hej, Linc, przecież to ja, twój kumpel! Pamiętasz, jak ci pomogliśmy, gdy potrzebowałeś forsy? Daliśmy ci żywą gotówkę.

- W zamian za udziały. To była najlepsza inwestycja, na jaką mogliście trafić. Przez pięć lat podwoiliście włożoną sumę.

- Jasne, że tak. A teraz chcemy ci co nieco podpowiedzieć, to chyba uczciwe, nie?

- Nie. Nie po wczorajszym. Co z bronią?- zapytał, gdy mu wpadła do głowy nagła myśl.

Odpowiedziało mu milczenie.

- Jaką bronią? - zapytał po chwili Banastasio.

- Tą w moim samolocie. M14 z napadu i granaty.

To dla mnie nowość, mój drogi.

-

Nazywam się Linc, mój drogi. Kapujesz?

Znów milczenie.

- Kapuję. A co do naszej sprawy, zmienisz zdanie?

- Nie. Nie ma mowy.

- A później? !

- Nie.

W słuchawce rozległa się cisza, potem kliknięcie, zerwane połączenie i znów ciągły sygnał. Bartlett

wybrał

numer do Rosemonta.

- Nie przejmuj się, Linc. Banastasio jest obiektem naszego szczególnego zainteresowania. Potrzeba nam w tej sprawie wszelkiej pomocy.
- Wiadomo coś o broni?
- Ty jesteś czysty. Hongkongijskie władze wykluczają twój udział. Jutro dowiesz się o tym oficjalnie.
- Coś znaleźli?
- Nie. My znaleźliśmy. Sprawdziliśmy hangar w Los Angeles i jeden koleś z obsługi przypomniał sobie, że kilku frajerów kręciło się koło twojego samolotu. Nie skojarzył tego, dopóki nie spyaliśmy.
- Jezu! Złapaliście kogoś?
- Nie. I może nie złapiemy. Nie pękaj. A Banastasio też niedługo się od ciebie odcepi.

Bartlett odruchowo pokręcił głową.

-

Co się stało, kochanie? - zapytała Orlanda.

- Nic.

- Powiedz mi.

- Myślałem właśnie, że jeśli się nie uważa, strach może człowieka zniszczyć.

- O, tak, doskonale o tym wiem. - Oderwała oczy od drogi, uśmiechnęła się do Bartletta i położyła mu dłoń na kolanie. - Ale ty jesteś silny! Ty się niczego nie boisz.

Roześmiał się.

- Chciałbym, żeby tak było.

Przecież ja wiem, że tak jest. - Zwolniła. Na drodze było pełno kałuż i spod kół tryskały strugi wody. Za wysokim płotem skręciła w Kotewal Road, a potem w Rose Court. Bartlett wstrzymał oddech, ale ona pewnie wjechała na rampę prowadzącą do garażu. - Czas na koktajl - oświadczyła.

- Świetnie - ucieszył się. Nie patrzył na nią. Gdy zatrzymali się, wysiadł i przeszedł na drugą stronę samochodu, żeby otworzyć przed nią drzwi. Orlanda zamknęła samochód i podeszli do windy. Bartlett czuł

pulsującą na szyi żyłę.

Podeszło do nich dwóch chińskich dostawców żywności z tacami pełnymi kanapek i zapytało o mieszkanie należące do Asian Properties.

- Na czwartym piętrze - wskazała.

- Asian Properties są właścicielami tutejszych terenów? - zapytał Bartlett, gdy odeszli.

- Tak - potwierdziła. Zajmują się też budową. -

Zawahała się. - Jason Plumm przyjaźni się z Gorntem.

Quillan też ma tu mieszkanie, ale odkąd zerwaliśmy, wynajął je.

Bartlett przytulił ją lekko do siebie.

- Cieszę się, że ze sobą zerwaliście.

- Ja też. - Ujęła go swoim delikatnym uśmiechem i niewinnym spojrzeniem. - Teraz już też.

Dotarli na siódme piętro, a gdy wkładała klucz do zamka, Bartlett zauważył, że drżą jej ręce.

- Proszę. Kawa, herbata, piwo, koktajl? - Zdjęła buty i popatrzyła na niego. Serce waliło mu jak młot, wysilał

wszystkie zmysły, żeby zorientować się, czy są w domu sami. - Nikogo nie ma - powiedziała po prostu.

- Skąd wiedziałaś, o czym myślę?

Lekko wzruszyła ramionami.

-Zwyczajnie.

Objął ją w talii.

-

Orlanda...

-

Wiem, kochanie.

:

Miała lekko zachrypnięty i drżący głos. Gdy ją pocałował, przyłgnęła do niego nie stawiając oporu.

Gładził dłońmi jej ciało. Czuł, jak twardnieją jej sutki i serce wali tak mocno jak jemu. Nagle położyła mu ręce na klatce piersiowej i odepchnęła, lecz on tylko mocniej ją przycisnął i pocałował jeszcze namiętniej.

Odpychała go coraz słabiej, aż w końcu zarzuciła mu ramiona na szyję. Przeszli się całować, ale nadal przytulali się do siebie.

- Kocham cię, Linc.

- Ja ciebie też - odparł i prawdziwość tych słów pochłonęła go. Znow się zaczęli całować. Ona dotykała go mocno, lecz delikatnie. Jego dłonie rozpały ogień zarówno w niej jak i w nim. Opierała się o niego niemal całym ciężarem, podniósł ją i przez otwarte drzwi zaniósł do sypialni. Zastłonka wokół

łóżka lekko falowała pod podmuchem wpadającego przez okno chłodnego wiatru.

Kołdra była miękka i przyjemna.

- Bądź dla mnie dobry, kochany - szepnęła. - Ach, jak ja cię kocham.

Casey pokiwała na do widzenia z „Wiedźmy Morskiej” do stojących na nabrzeżu w Hongkongu Dusstana Barre'a, Plumma i Pugmire'a. Popołudnie minęło im przyjemnie, jednak do końca pozostawał

niesmak po starciu z Greyem. Łódź z powrotem płynęła przez przystań - Peter Marlowe i dziewczyny już wcześniej wysiedli w Koulunie. Gornt przekonał

Casey, żeby została z nim i popłynęła na dodatkową przejażdżkę.

- I tak muszę wrócić do Koulunu - wyjaśnił. - Mam spotkanie w „Dziewięciu Smokach”. Zostań ze mną.

- Czemu nie? - zgodziła się z radością. Nie miała do zrobienia nic pilnego, a do koktajlu u Plumma pozostało jeszcze wiele czasu. Kolację z Lando Matą postanowiła odłożyć na następny tydzień.

Podczas powrotu z Sza Tin zdrzemnęła się chwilę.

Rozłożyła się na szerokiej, wyściełanej ławie otaczającej rufę. Pozostali goście rozproszyli się po całej łodzi. Od czasu do czasu widziała wysoką, władcą postać Gornta za kołem sterowniczym, także Petera Marlowe'a drzemiącego w fotelu na pokładzie.

Potem gdy we trójkę pili herbatę zagryzając ciasteczkami, spod pokładu wyłonili się zadowoleni z siebie Plumm i Pugmire oraz ich

dziewczyny zawinięte w ręczniki.

- Dobrze spaliście? - zapytał z uśmiechem Gornt.

- Wyśmienicie - odparł Plumm.

Nic dziwnego, pomyślała Casey patrząc na jego ładną, podążającą za nim jak cień, dziewczynę z dużymi

czarnymi oczami i nie niknącą z twarzy radością, o imieniu Wei-wei.

Wcześniej Gornt wytłumaczył Casey, że żadna z tych dziewczyn nie jest przypadkową przyjaciółką, wszystkie są stałymi kochankami.

-

Czy tutaj każdy ma kochankę?

- Nie, na Boga! Ale niestety, tak to już jest, że kobiety i mężczyźni starzeją się z różną prędkością i w pewnym wieku zaczyna być trudno. Łóżko, miłość i małżeństwo to nie to samo.

- A nie istnieje coś takiego jak wierność?

- Oczywiście, że istnieje. Jak najbardziej. Tylko dla kobiety znaczy jedno, a dla mężczyzny drugie.

Casey westchnęła.

- Straszne. Straszne i nieuczciwe;

- Tak. Ale tylko, gdy ty tak uznasz.

- Nieprawda. Pomyśl o milionach kobiet, które przez całe życie pracują jak niewolnice, opiekują się mężczyzną, gotują mu, piorą i wychowują dzieci, a potem ze względu na wiek odsuwane są na bok.

- To nie wina mężczyzn, tylko społeczeństwa.

- A kto rządzi społeczeństwem? Mężczyźni! Jezu, Quillan, musisz przyznać, że mężczyźni są za to odpowiedzialni.

- Zgodzę się, że to nieuczciwe, ale również w stosun

ku do mężczyzn. Co powiesz o milionach mężczyzn ciężko pracujących aż do śmierci, aby dostarczyć...

dobrze słowo... pieniędzy, żeby mogli wydawać je inni, przeważnie kobiety. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, Ciranoush, mężczyźni muszą pracować aż do śmierci na

innych, często na stare, zrzedzące żony. Popatrz na żonę

Pugmire'a, uchron Boże! A mogę wskazać pięćdziesiąt innych straszących swoją nadwagą, brzydotą i smrodem. Poza tym zdarzają się kobiety, które łapią męż-

czyż w pułapkę swojej seksowności, zachodzą w ciążę, rodzą dziecko, a potem zaczynają się awantury i żądania drogiego rozwodu. Jak było z Linkiem Bartlettem, co? Zobacz, w jakie kłopoty wpędziła go żona. -. Wiesz o tym?

- Oczywiście. Wy dużo się o mnie dowiedzieliście, a ja dużo dowiedziałem się o was. Czy wasze prawo rozwodowe jest uczciwe? Po połowie wszystkiego, a biedny amerykański mężczyzna musi zwracać się do sądu, żeby móc zachować swoją połowę.

- Tak, to prawda, że żona prawie zrujnowała Linca.

Ale nie każda jest taka. Kobiety potrzebują opieki, na całym świecie mają ciężkie życie.

- Ja nigdy nie spotkałem prawdziwej kobiety mają-

cej ciężkie życie zastrzegł się. Mam na myśli oczywi-

ście takie kobiety jak ty czy Orlanda, takie, które wiedzą, czym jest kobiecość. No, oczywiście - dodał

-  
muszą dawać nam, biednym łajdakom, to, czego potrzebujemy, żeby zachować zdrowie.

Roześmiali się. Casey zdawała sobie sprawę z tego, że nie jest to najlepsza pora, by dyskutować na tak trudny temat.

- W porządku, Quillan, a więc ty należysz do tych złych mężczyzn.

- Czyżby?

- Tak.

Odwrócił się, aby spojrzeć na chmury. Patrzyła na niego i podobał jej się, gdy tak stał z rozwianymi morską bryzą włosami. Ufa mi i uważa mnie za kobietę, myślała. Wyciszyło ją wino, potrawy i jego pożądanie. Czowała je od samego wejścia na pokład i zastanawiała się, co by się stało, gdyby w jakiś sposób wyszło to na jaw.

- Quillan, co się zdarzy jutro na giełdzie?

- O jutro zatroszczymy się jutro - odparł.

- A tak serio?

- Wygram albo nie. - Wzruszył ramionami. - W ka-

żdym razie mam pokrycie. Jutro zacznę skupować. Z

odrobiną *dżosu* zarobię na tym.



-A wtedy?

Roześmiał się.

- Masz może jakieś wątpliwości? Przejmę łóżę na wyścigach.

- Tak? Naprawdę chcesz się do niej dostać?

- Tak, oczywiście, to symbol zwycięstwa. On i jego poprzednicy trzymali nas od niej z daleka, a ja chcę ją mieć.

Ciekawe, czy uda mi się podpisać umowę z Ianem, zastanawiała się bezwiednie. Ciekawe, czy mogłabym namówić tai-pana, żeby załatwił Quillanowi własną łóżę na wyścigach i pomógł mu zostać gospodarzem klubu? To szaleństwo, że ci dwaj kłócą się jak przekupki w chińskim sklepie. Miejsca wystarczy dla obydwu, Ian będzie mi winien przysługę, jeśli wypali transakcja z Murtaghem.

Zastanawiała się, jak zareaguje Quillan, gdy First Central powie tak.

Gdzie teraz jest Linc? W ramionach Orlandy?-

Znów położyła się na ławie i zamknęła oczy. Morskie powietrze i monotony terkot silnika uspiły ją. Nic jej się nie śniło, a po kilku minutach obudziła się rześka. Naprzeciwko siedział wpatrzony w nią Gornt.

Nie licząc kantońskiego kapitana za sterem, byli sami.

- Masz ładną minę, gdy śpisz - powiedział.

- Dziękuję. - Podparła głowę na łokciu. - Dziwny jesteś. Trochę demon, trochę księżę, w jednej chwili pełen współczucia, w drugiej niewzruszony. Wspaniale zachowałeś się w stosunku do Petera.

Uśmiechnął się i czekał. W jego spojrzeniu było coś prowokującego.

- Linc... Zdaje się, że Linc oszalał na punkcie Orlandy - wypaliła bez zastanowienia i zobaczyła cień na jego twarzy.

- Ooo.

- Tak. - Czekala, ale nic nie odpowiadał, tylko hipnotyzował ją wzrokiem. Ponaglona przez ciszę dodała: - Ona na jego punkcie chyba też. - Znów milczenie, - Quillan, czy ty to zaplanowałeś?

Roześmiał się lekko i poczuła jego przewagę.

- Ach, Ciranoush, ty też jesteś dziwna. Nie są...

- Możesz do mnie mówić Casey? Nie pasuje do mnie Ciranoush.

- Ale ja nie lubię Casey. Może Kamalian?

- Casey.

- A może dzisiaj Ciranoush, jutro Casey, a we wtorek na kolacji Kamalian. Wtedy podpisujemy umowę, nie?

Stała się jeszcze bardziej czujna.

- To zależy od Linca.

- Nie ty jesteś tai-panem Par-Con?

-

Nie. I nigdy nie będę.

Roześmiał się.

- A zatem Ciranoush dzisiaj, jutro Casey, a do diabła z wtorkiem?

- W porządku.

- Dobrze. A co do Linca i Orlandy - mówił łagodnym głosem - wszystko zależy od nich samych, a ja nie rozmawiam

o

cudzych

sprawach

podczas

nieobecności zainteresowanych. Nigdy. Ja nic nie zaplanowałem. Śmieszne, jeśli wydaje ci się, że wykorzystałem ją przeciwko tobie, Lincowi czy Par-Con. - Uśmiechnął się. - Zwykle bywa tak, że to damy manipulują mężczyznami, a nie odwrotnie.

- Marzyciel!

- Jedno pytanie za drugie. Czy Linc i ty jesteście kochankami?

- Nie. Nie w zwykłym znaczeniu tego słowa. Ale Kocham go.

- Zamierzacie się pobrać?

- Być może. - Zmieniła pozycję i zauważyła, że Gornt taksuje ją wzrokiem. Szczelniej otuliła się kocem. Czowała jego obecność i wiedziała, że on reaguje podobnie na nią. - Ale nie rozmawiam z

innymi mężczyznami o swoich sprawach.

Dotknął ją delikatnie.

-

Słusznie, Ciranoush.

„Wiedźma Morska” zakołysała się, a Casey usiadła, żeby popatrzeć na wyspę i otulony chmurami Pik.

-

Pięknie tu.

-

Na południu Hongkongu jest jeszcze ładniej.

Mam dom w Shek-O. Może popłyniemy teraz?

-

Tak, dobrze.

Oprowadził ją po łodzi. W kabinach było czysto, wydawało się, że nikt ich nie używa. W każdej znajdował się prysznic i toaleta.

- W takich chwilach zyskujemy na popularności u kobiet, bo tu mogą się kąpać, ile dusza zapagnie.

Nas

nie dotyczą przydziały wody.

-

Nic dziwnego.

Do kabiny właściciela nie przylegały inne. W środku stało duże łóżko. Schludne, miękkie i zachęcające.

Serce biło jej jak młot, a gdy Gornt zamknął za sobą drzwi i objął ją ramieniem, nie odeszła. Przysunął się bliżej. Nigdy nie całowała się z brodaczem. Gornt przylgnął do niej swym potężnym ciałem, zaczęła szybciej oddychać. Jego usta miały smak papierosów. Jedna część jej duszy podpowiadała: no, śmiało, naprzód, a druga: nie, przestań. Dobrze czuła się w jego ramie nach.

A co z Linkiem?

Pytanie to odezwało się w niej z większą niż poprzednio siłą i po raz pierwszy zrozumiała z całą wyrazistością, że pragnie nie władzy ani Par-Con, ale właśnie Linca. Tak, tylko Linca. Dziś wieczorem proponuję, żebyśmy anulowali naszą umowę. Tak.

- Nie teraz Quillan - mruknęła lekko zachrypniętym głosem.

- Słucham?

- Nie teraz. Nie. - Całowała go w usta i jednocześnie-

nie mówiła. - Nie teraz, mój drogi, nie teraz. Może we wtorek...

Odsunęła się od niego i zauważyła jego badawcze spojrzenie. Potem znów przylgnęła głową do jego piersi i wtuliła się. Jego bliskość sprawiała jej przyjemność, czuła się przy nim bezpieczna. Dobrze, że się opanowała, cieszyła się. To nie byłoby dobrze ani dla Linca, ani dla mnie, ani dla Gornta. Ale powinnam być dla niego miła, zreflektowała się.

-

Wracajmy na pokład - zaproponowała cicho.

Nagle poczuła, że zaciskają się wokół niej jego ręce,

i zanim zorientowała się, o co chodzi, leżała na łóżku.

On całował ją i dotykał. Zaczęła się bronić, ale on z wprawą złapał ją za ręce, położył się na niej i była unieruchomiona. Powoli ją całował, a jej pożądanie mieszało się ze złością i strachem. Próbowwała się szamotać, ale na próżno.

Robiło się coraz goręcej. Po chwili Gornt rozluźnił

uścisk, a ona natychmiast zaczęła się wyrywać.

Gotowa była do ostrej walki. On z powrotem złapał ją mocniej, a ona poczuła, że chce być pokonana. Pod jego silnym i sprężystym ciałem rosło jej pożądanie.

Wtem Gornt równie nagle jak zaczął atak, puścił

Casey i stoczył się z niej ze śmiechem.

- Może się napijemy? - zaproponował bez urazy.

Próbowwała złapać oddech.

- Ty łajdaku!

- Ależ ja jestem zupełnie przyzwoity! - Podparł

głowę na łokciu. - Za to z ciebie, Ciranoush, niezła kłamczucha!

- Idź do diabła!

- Tak, wkrótce pójdę - odrzekł spokojnie i delikatnie.

- Ale daleki jestem od zmuszania kobiet do takich rzeczy. Rzuciła się z paznokciami do jego twarzy.

Ogarnęła ją niepoohamowana złość, że on nad sobą panuje, a ona nie. Złapał ją za rękę.

- Spokojnie, kiciusiu, spokojnie - przemawiał do niej jeszcze delikatniej niż przedtem. - Pamiętaj, Ciranoush, że obydwójce już skończyliśmy dwadzieścia jeden lat, ja cię widziałem prawie nagą i jeśli bym chciał

cię zgwałcić, obawiam się, że mogłabyś sobie krzyczeć, a moja załoga i tak by nic nie usłyszała.

- Ty cholerny łaj...

Przestań! - Gornt nadal się uśmiechał, ale ona, czując niebezpieczeństwo, posłuchała go. - Tu nie ma nic do strachu. Tu się trzeba śmiać - mówił łagodnym tonem. - TO tylko taki figiel z mojej strony i nic więcej.

Naprawdę. - Puścił ją, a ona wstała z łóżka. Nadal z trudem oddychała.

Wciąż zdenerwowana podeszła do lustra poprawić włosy. Zobaczyła odbicie Gornta leżącego na łóżku i przyglądającego jej się.

-

Jesteś łajdak i tyle!

Gornt zaczął się śmiać głębokim, zaraźliwym śmiechem, a Casey zrozumiała nagle głupotę całej sytuacji i dołączyła do niego. Zaśmiewali się do łez.

Na pokładzie jak starzy przyjaciele wypili szampana podanego przez milczącego stewarda.

Na przystani w Koulunie Casey pocałowała Gornta na pożegnanie

- Dziękuję za wspaniale spędzony czas. Do zobaczenia najpóźniej we wtorek. - Zeszła na ląd i długo kiwała

mu na pożegnanie, po czym odeszła szybkim krokiem.

Szybko szedł również Obserwator Wu. Był zmęczony i przepełniony strachem. Śpieszył w stronę chat na zboczu ponad Aberdeen. Było ślisko i niebezpiecznie, wszędzie pełno błota, Wu zdyszał się od wchodzenia pod górę. Na niektórych chatach znać było jeszcze ślady pożaru, który wybuchł zaraz po

obsunięciu się ziemi. Minął ustęp, gdzie dwa dni temu prawie wpadła Piąta Siostrzenica. Na całym terenie, gdzie stały chaty, takich uskoków były setki.

Zniknął stragan ze słodyczami, a razem z nim stara kobieta.

-

Co się z nią stało? - zapytał.

Przetrząsający zgliszcza człowiek wzruszył ramionami i dalej zajął się wyszukiwaniem nadających się do użytku kawałków drewna, kartonu i żelaza.

- Jak jest tam na górze?

- Tak samo jak na dole - odpowiedział po kanton-

sku mężczyzna. - U niektórych dobrze, u niektórych źle. *Dżos*.

Wu podziękował mu. Szedł bosy, pod pachą trzymał

buty, żeby się nie zniszczyły. Musiał zboczyć ze ścieżki, bo na środku leżały resztki po rozwalonych chatach. Gdy usłyszeli w radiu o osunięciu się ziemi, Armstrong pozwolił mu tu przyjść i sprawdzić, co się dzieje z rodziną.

- Ale wracaj najszybciej, jak możesz. O siódmej kolejne przesłuchanie.

- Tak, tak, wrócę.

Poprzednia sesja była męcząca, ale wiedział już, że dzięki protekcji Armstronga i szefa SI mają zapewnione miejsce w SI, a od przyszłego tygodnia zaczyna szkolenie. Mało spał. Częściowo dlatego, że godziny sesji wypadały czasem w nocy, a częściowo dlatego, że bardzo chciał, aby im się udało. Klient przechodził z angielskiego na kantonński i ning-tok i trudno było śledzić jego wywody. Obserwator Wu w trudnych chwilach dotykał kieszeni, gdzie trzymał zwitek banknotów wygranych na wyścigach i od razu robiło mu się raźniej. Teraz wspinając się pod górę znów poklepał kieszeń, żeby się upewnić, i pobłogosławił

*dżos*. Przeszedł przez kładkę przerzuconą przez wyrwę w ziemi. Dokoła mijali go śpieszący w każdą stronę ludzie, słyszał odgłosy odbudowywania chat i zakładania dachów.

Jego ziemia znajdowała się za rogiem. Skręcił i zatrzymał się. Jego terenu już nie było. Pozostała tylko głęboka rozpadlina w ziemi ze szczątkami chat na dnie. Ostrożnie podszedł do nie naruszonej budy i zapukał do drzwi. Otworzyła mu zaskoczona stara kobieta.

- Przepraszam, Szlachetna Pani, jestem synem Wu Czo-tam z Ning-tok...

Kobieta, Yang Jeden Ząb, patrzyła na niego, ale nie rozumiała języka, w którym się do niej zwracał. Podziękował jej i odszedł przypominając sobie, że te budy wynajmują szanghajczycy.

Bliżej szczytu zatrzymał się i zapukał do innej chaty.

- Przepraszam, Szlachetny Panie, ale co tu się stało? Jestem synem Wu Czo-tam z Ning-tok, a tam mieszkała moja rodzina. - Wskazał na rozpadlinę.

- To było w nocy, Szlachetny Wu - odpowiedział

stary po kantońsku. - Najpierw słyszeliśmy hałas, jakby jechał stary pociąg ekspresowy z Kantonu, a potem obsunęła się ziemia, zaczęły się krzyki i wybuchł pożar. Tam w zeszłym roku było to samo.

Tak, na szczęście deszcz szybko ugasił ogień. *Dew neh loh moh*, to była straszna noc. - Stary nie miał w ustach ani jednego zęba, cały czas wykrzywiał usta w grymasie. - Błogosław bogów, że tam nie spałeś. -

Zamknął drzwi.

Wu zajrzał do rozpadliny i ruszył w dół. Po drodze spotkał jednego z ludzi pochodzących z Ning-tok.

- A to ty, Obserwatorze Wu, Policjancie Wu! Niektórzy z twojej rodziny są tam. - Pokazał kościstym palcem do góry. - W domu twojego kuzyna Wu Wam-pak.

- Ilu zginęło, Szlachetny Panie?

- Niech będą przeklęte wszystkie obsunięcia ziemi, skąd mam wiedzieć? Wielu przepadło.

Obserwator Wu podziękował mu. Znalazł chatę i zastał w niej Dziewiątego Wujka, Babcie, żonę Szóstego Wujka z czwórką dzieci oraz żonę Trzeciego Wujka z dzieckiem. Piąty Wujek miał złamaną rękę.

- A co z resztą? - zapytał. Zginęło siedem osób z rodziny.

- Pod ziemią - wyjaśniła Babcia. - Proszę herbatę, Obserwatorze Wu.

- Dziękuję, Szlachetna Babciu. A co z Dziadkiem?

- Odszedł w Nicość przed obsunięciami. - *Dżos*.

- A Piąta Siostrzenica?

- Nie ma. Gdzieś zniknęła.

- Żyje?

- Możliwe. Szósty Wujek właśnie jej szuka, inni też.

Ale ona to tylko jeszcze jedna gęba do wykarmienia. A moi synowie... to dopiero strata.

- *Dżos* - Wu westchnął nie błogosławiąc ani nie przeklinając bogów. Bogowie też się mylą. -

Zapalimy kadzidełka, żeby następnym razem bezpiecznie się urodzili. *Dżos.* - Usiadł na złamanej skrzyni. - Piąty Wujku, a nasz zakład też zniszczony?

Dzięki bogom nie. - Stracił pod ziemią żonę i troje dzieci. - Zakład nie tknięty. - To dobrze, - Tam się znajdowały materiały do *Wojownika Wolności*, stara maszyna do pisania i kopiarka Gestetnera. - Bardzo dobrze. Piąty Wujku, jutro kupisz maszynę do robienia plastikowych kwiatów i będziemy sami je wytwarzać.

Szósty Wujek pomoże i zaczniemy wszystko od nowa.

Wujek splunął z obrzydzeniem.

- Ale za co? Skąd pieniądze? Jak możemy... - Przerwał i patrzył zdziwiony. Wszyscy wytrzeszczyli oczy, gdy Obserwator Wu wyciągnął gruby plik banknotów.

- *Aiii ia*, szlachetny Młodszy Bracie, teraz dopiero widzę, jak mądrze było przyłączyć się do Węża!

-

O, jak mądrze! - zawołali chórem pozostali.

Niech bogowie błogosławią Młodszego Brata!

Młodzieniec nic nie mówił. Wiedział, że nie uwierzy-liby mu, gdyby im opowiedział, jak zdobył pieniądze, więc pozwolił im mieć własną teorię.

- Jutro zacznij się rozglądać za używaną maszyną.

Możesz

zapłacić

tylko

dziewięćset

dolarów

amerykańskich - polecił. Przeznaczył na zakup tysiąc pięćset.

Potem wyszedł i umówił się z kuzynem, żeby rodzina mieszkała u niego, zanim nie wybudują nowej chaty.

Jakiś czas się targowali, ale ustalili odpowiednią cenę.

Zadowolony, że zrobił co mógł dla rodziny Wu, ruszył

w dół na posterunek policji. Było mu przykro i chciał



zbesztać bogów za ich niesprawiedliwość. Zabrali Piątą Siostrzenicę, chociaż jeszcze przed dwoma dniami pozwolili jej się uratować od takiego samego obsunięcia się. Nie bądź głupi, nakrzyczał na siebie.

*Dżos to dżos. Masz bogactwo w kieszeni, przyszłość w SI, Wojownika Wolności, a bogowie zsyłają śmierć, kiedy im się zechce. Biedna mała Piąta Siostrzenica.*

Taka była piękna i słodka.

- Bogowie to bogowie - mruknął wspominając ostatnie słowa, które słyszał z jej ust, a potem uleciała mu z pamięci.

18:30

Ab Tat weszła po szerokich schodach Wielkiego Domu do galerii. Cały czas coś mruzczała pod nosem. Nienawidziła galerii i tych wszystkich spoglądających na nią twarzy, które, jak jej się wydawało, obserwują ją. Urodziła się w tym domu osiemdziesiąt pięć lat temu, tu się wychowywała, więc wiele postaci z portretów

miała

okazję

poznać

osobiście.

Niecywilizowany sposób, żeby niepokoić duchy wieszając ich podobizny na ścianach. Lepiej postępować jak cywilizowani i zatrzymywać duchy w pamięci, gdzie jest ich miejsce.

Jak zawsze, gdy zobaczyła nóż Hag wbity w serce ojca, przeszedł ją dreszcz. *Dew neh loh moh*, myślała, to dopiero była wściekła kobieta z nieokiełznanym demonem w Nefrytowych Wrotach. Zawsze opłakiwała stratę tai-pana tai-panów, ojca jej męża. Zawsze przeklinała los, że poślubiła syna słabeusza, a nie ojca, z którym nigdy nie była w łóżku, i dlatego jej Nefrytowe Wrota pozostały nieujarzmione.

*Aiii ia*, i ci wszyscy obcy, co przez lata wchodzili po tych schodach i lądowali w jej łóżku - barbarzyńcy ze wszystkich państw i w każdym wieku, których odstawiała na bok, gdy tylko wykorzystwała ich soki.

Ah Tat znów przeszedł dreszcz. Wszyscy bogowie świadkami! Nefrytowe Wrota i Jednooki Mnich to naprawdę *yin* i *yang* nienasycone nigdy sobą, choćby nie wiadomo jak dużo jednego pochłaniało drugie.

Dzięki bogom moi rodzice pozwolili mi ślubować cnotę i poświęcić życie wychowywaniu dzieci. Na szczęście nie wszystkie kobiety potrzebują mężczyzn, aby stanąć na równi z bogami. Na szczęście niektóre kobiety rozsądnie wolą dotykać i całować inne kobiety.

Hag również zabierała do łóżka kobiety. Na starość w ramionach

młodych

dziewcząt

znajdowała

przyjemność, ale nie satysfakcję. W przeciwieństwie do mnie. Dziwne, że sypiała z cywilizowanymi kobietami, ale nigdy z cywilizowanymi mężczyznami, którzy w ten czy inny sposób na pewno potrafiliby ugasić płonący w niej ogień. Z odpowiednimi przyrządami albo bez. Bogowie mi świadkami, że wiele razy jej to mówiłam. A tylko ja mogłam sobie pozwolić na takie uwagi.

Biedaczka ze swoimi spaczonymi marzeniami o władzy i o zaspokojeniu żądz, była jak stara cesarzowa wdowa - od koszmaru jej życia nie mógł jej uwolnić żaden szpikulec.

Ah Tak oderwała oczy od obrazu i poszła dalej. W

Domu nigdy nie zapanuje spokój, dopóki ktoś nie wyciągnie tego noża i nie zważając na przekleństwa wyrzuci go do morza. Stara kobieta nie zapukawszy do drzwi, weszła bezgłośnie - aby go nie budzić - do sypialni tai-pana. Uwielbiała te chwile, gdy mogła przyglądać się, jak jej wychowanek śpi samotnie. Mogła wtedy patrzeć na jego twarz i nie musiała martwić się, że Główna Żona będzie się na nią gniewać za samowolne wejście do sypialni.

Głupia kobieta, pomyślała, obserwując zmarszczki na jego twarzy. Dlaczego ona nie wypełni swojego obowiązku Głównej Żony i nie zapewni mojemu synowi drugiej, młodszej, cywilizowanej żony, takiej, jak miał Zielonooki Diabeł. Wtedy w domu znów zapanowałby blask. Tak, w domu potrzeba więcej synów. Niemądrze ryzykować przekazanie dziedzictwa na barki tylko jednego syna. I niemądrze zostawiać mężczyznę samego w pustym łóżku i wystawiać go na pokusy młodych ladacznic. Dlaczego ona nie zdaje sobie sprawy, że musimy chronić dom? Ach, ci barbarzyńcy.

Zobaczyła, że on otwiera oczy i przeciąga się.

- Czas wstawać, mój synu - powiedziała, starając się, aby jej głos zabrzmiał władczo. - Trzeba się wyką-

pać, ubrać i zadzwonić w kilka miejsc, *heya*, a potem zostawić biedną starą Matkę ze zmartwieniami i pracą, *heya*?

- Tak, Matko - ziewając, powiedział po kantońsku Dunross. Otrząsnął się jak pies i jeszcze raz przeciągnął, a potem wstał z łóżka i nago poszedł do łazienki.

Ah Tam krytycznie spojrzała na jego ciało, zauważy-

ła pokrywające większą część nóg blizny po oparzeniu w katastrofie lotniczej. Niemniej miał silne i masywne nogi, a *yang* zdrowy i odpowiedniej wielkości. Dobrze, pomyślała. Cieszę się, że wszystko w porządku. Mimo to nie dawała jej spokoju pewna rzecz. Miał za mały brzuch w stosunku do swojego bogactwa i pozycji.

- Za mało jesz, mój synu.

- O, wystarczy mi.

- W misce jest ciepła woda. Umyj zęby.

Z zadowoleniem zajęła się ścieleniem jego łóżka.

- On musi odpocząć - mruknęła, nie zdając sobie sprawy, że mówi na głos. - Od tygodnia chodzi jak opętany, całymi godzinami pracuje, znać po nim strach.

A taki strach może zabić. - Gdy skończyła ścielić, zawołała: - Nie przychodź za późno! Musisz o siebie dbać, a jeśli weźmiesz sobie metresę, to przyprowadź

ją

tutaj jak rozsądny człowiek, *heya?*

Usłyszała jego śmiech i poczuła zadowolenie. Od kilku dni za mało się śmieje, pomyślała.

- Mężczyzna musi się śmiać i potrzebują *yin*, żeby zaspokoić *yang*. Co mówiłeś?

- Pytałem, gdzie jest Córka Numer Jeden.

- Wyszła, jak zwykle. Z tym nowym barbarzyńcą

- weszła do łazienki i patrzyła, jak się polewa wodą.

- Z tym, co ma długie włosy, wymięte ubranie i pracuje dla „China Guardian”. On mi się nie podoba, mój synu. Ani trochę.

-

Dokąd wyszli, Ah Tat?

Stara obojętnie wzruszyła ramionami i zatrzęsły się jej piersi.

- Im Córka Numer Jeden szybciej wyjdzie za mąż, tym lepiej. Byłoby właściwiej, żeby sprawiała kłopoty innemu mężczyźnie, a nie tobie. Albo powinieneś porządnie złoić jej skórę. - Znów się roześmiał, a ona była ciekawa dlaczego. - Coś mu się zaczyna dziać z głową -, burknęła, odwracając się i wychodząc. Już za drzwiami przypomniała sobie i krzyknęła: - Masz małego pieska przed wyjściem!

- Nie jestem głodny... - przerwał, wiedząc, że traci czas. Słyszał jak mamrocze pod nosem i zamyka drzwi.

Stał w wannie i polewał się zimną wodą. Chryste, mogłyby się już skończyć te ograniczenia, pomyślał.

Mógłbym się wreszcie porządnie wykapać pod prysznicem, rozmarzył się i wrócił myślami do Adryon.

Zadźwięczały mu w uszach słowa Penelopy.

- Zrozum to, Ian! Ona ma swoje życie, zrozum to!

- Staram się - bąknął, wycierając się ręcznikiem.

Zanim położył się spać, zadzwonił do Penelopy. Była już na zamku Avisyard, a Kathy leżała w klinice w Londynie i przechodziła kolejne badania.

- Dojedzie w przyszłym tygodniu. Mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku.

- Rozmawiałem z lekarzem, Penn. - Poinformował ją, że wysłał do Szkocji Gavallana. - Zawsze chciał tam wrócić, Kathy także. Dla obojgu będzie lepiej, nie?

- Och, cudownie, Ian. Wspaniale im to zrobi.

- Zajmą całe wschodnie skrzydło, dobrze?

- Tak, oczywiście. Mamy piękną pogodę. Na pewno nie ma szans, żebyś zjawił się tu na kilka dni?

- Penn, mam kłopotów po uszy. Słyszałaś o giełdzie?

Po drugiej stronie nagle zapadła cisza - wyobrażał

sobie zmianę jej miny i słyszał, jak budzi się w niej złość na giełdę, Hongkong i cały biznes, ale stara się zapanować nad sobą.

Tak. Musi ci być strasznie - potaknęła. - Biedak.

Alastair całą noc się tutaj martwił. Wszystko będzie dobrze, prawda?

- Tak - rzekł pewnie. Zastanawiał się, co by powiedziała,

gdyby usłyszała, że zgodził się

zabezpieczyć

kredyt

majątkiem

osobistym.

Opowiedział jej wszystkie nowości. Wspomniał, że dostał wiadomość od Medforda przez posłańca, mieszkającą w Szwajcarii kobietę. - Mówię ci, jaka piękną...

- Mam nadzieję, że nie za bardzo.

- A jak Glenna i ty?

- Dobrze. Miałaś jakieś wieści od Duncana?

- Tak. Jutro przylatuje. Ma zadzwonić, jak tylko wróci. To tyle, Penn, kocham cię.

- Ja ciebie też i chciałabym, żebyś tu był. A jak tam Adryon?

- Jak zwykle. On i ten Haply są jak papużki nierozłączki.

- Pamiętaj, że ona już jest dorosła, kochanie, i nie martw się o nią.

Skończył się wycierać i spojrzał do lustra. Zastanawiał się, czy na swój wiek wygląda staro czy młodo.

Samopoczucie miał takie samo jak w wieku dziewiętnastu lat - na studiach i na wojnie.

- Masz szczęście, że żyjesz, staruszkule - powiedział

do siebie. - Masz cholerne szczęście.

Spał głęboko i śnił mu się Drepczący, przed samym przebudzeniem ktoś w jego śnie zapytał: „Co masz zamiar zrobić?” Nie wiem, przyznał. Czy mogę ufać temu Sindersonowi? Nie za bardzo. Ale muszę uważać ze swoimi pogrozkami... Nie, obiecałem, że opublikuję te jedenaście kartek, i, jak mi Bóg miły, zrobię to!

Lepiej przed wyjściem do Plumma zadzwonię do Drepczącego.

Usłyszał, że otwierają się drzwi do sypialni, potem wyłowił uchem kroki i w łazience pojawiła się Ah Tam.

- Zapomniałam ci powiedzieć, mój synu. Na dole czeka na ciebie barbarzyńca.

-

O, kto?

Wzruszyła ramionami.

-

Barbarzyńca. Taki duży jak ty. Ma dziwne nazwisko, jest brzydszy niż inni i włosy sterczą mu jak słoma.

- Przeszukała swoje kieszenie i znalazła wizytówkę.

- Proszę.

„Dave Murtagh III, Royal Belgium". Dunross poczuł

skurcz w żołądku.

- Jak długo czeka?

- Godzinę albo i dłużej.

- Co takiego? A niech cię wszyscy bogowie. Dlaczego mnie nie obudziłaś?

- Co? Dlaczego cię nie obudziłam? A niby po co?

Ważniejszy jest twój odpoczynek czy jego czekanie?

*Aiii ia* - dodała z dezaprobatą i odeszła. - Jakbym nie chciała dla niego jak najlepiej.

Dunross ubrał się i w pośpiechu zszedł na dół.

Murtagh drzemał w wygodnym fotelu. Obudził się, gdy Dunross otworzył drzwi.

- O, cześć.

- Strasznie mi przykro. Spałem i nie wiedziałem, że przyszedłeś.

- Nic nie szkodzi, tai-pan - odparł Murtagh. - Ta starucha odgrażała się, ale się nie dałem i zaczekałem. - Ziewnął i przeciągnął się. Potrząsnął

głową. - Jezu, przepraszam, że przyszedłem bez zaproszenia, ale nie chciałem dzwonić.

Dunross starał się za wszelką cenę nie okazać rozczarowania. Na pewno odmowa, pomyślał.

- Napijesz się whisky?

- Pewnie, z wodą sodową. Dziękuję. Ale jestem zmęczony.

Dunross nalał whisky, a sobie brandy.

- Na zdrowie - powiedział panując nad chęcią zadania pytania.

Stuknęli się szklaneczkami.

- Na zdrowie. I za twoją transakcję, tai-pan. -

Młodzieniec uśmiechnął się od ucha do ucha. - Udało się!

- krzyknął. - Marudzili, narzekali, ale godzinę temu zgodzili się. Mamy wszystko. Sto dwadzieścia procent ceny

statku

plus

pięćdziesiąt

milionów

na

podtrzymanie

Struanów. Pieniądze w środę, ale oświadczenie można

dać w poniedziałek o dziesiątej. Jezu, udało się!

Dunross najchętniej podskoczyłby do góry z radości, ale nie na darmo był tai-panem tai-panów.

- O, to świetnie - powiedział spokojnie i napił się brandy. - Co się stało? - zapytał widząc pełną dezaprobaty minę Murtagha.

Młody bankier pokręcił głową i usiadł.

- Wy, Brytyjczycy, jesteście chyba ulepieni z innej gliny. Nigdy was nie zrozumieć. Ja ci daję taką transakcję, że Bóg by się jej nie powstydział, a ty raczyłeś z siebie wydusić: „O, to świetnie”.

Dunross szczerze się roześmiał, dając upust wielkiemu szczęściu, uldze i tryumfowi. Uścisnął

Murtaghowi rękę i podziękował.

- No i jak?

- Już lepiej! - Dave podniósł aktówkę, otworzył i wyjął plik umów i dokumentów. - Proszę, tak jak się umawialiśmy. Całą noc je spisywałem. Tutaj umowa główna, tu pana osobiste poręczenie, trzeba je podbić pieczęcią kompanii. Wszystkie dokumenty w dziesięciu egzemplarzach.

- Umowę wstępną możemy podpisać od razu. Ca-

łość oficjalnie podpiszemy jutro o wpół do ósmej rano.

Możemy się spotkać u mnie w biurze? Wszystkie dokumenty opieczętuje...

Młodzieniec bezwiednie westchnął.

- Tai-pan, może o ósmej albo wpół do dziewiątej?

Muszę się w końcu porządnie wyspać.



- O wpół do ósmej. Możesz przespać cały dzień. -

Nagle Dunrossowi wpadła do głowy myśl. - Jutro wieczór masz zarezerwowany.

- Na co?

- Lepiej dobrze się wyśpij, bo będziesz zajęty.

- Czym?

- Nie masz żony, nic cię nie wiąże, więc wieczorna rozrywka ci nie zaszkodzi, nie?

- No - Murthagh poweselał. - Może być ciekawie.

- To dobrze. Wyślę cię do znajomego w Aberdeen.

Do Wu Złoty Ząb.

Do kogo?

- Do przyjaciela rodziny. Zupełnie bezpiecznie. A, póki pamiętam, przyjdiesz w przyszłym tygodniu na lunch na wyścigi?

- O, Jezu, dziękuję, oczywiście. Wczoraj Casey mi podpowiedziała i wygrałem. Podobno w przyszłym tygodniu sam pojedziesz na Noble Star. Czy to prawda?

- Być może. Transakcja już naprawdę dopięta na ostatni guzik? Nie ma obaw o wycofanie się?

- Niech skonam na krzyżu, jeśli jest inaczej! O, zapomniałbym. - Podał mu teleks. - Oto zgoda. -

Murtagh spojrział na zegarek. - W Nowym Jorku dochodzi szósta rano, ale pan S. J. Beverly z naszej rady nadzorczej czeka na telefon. Tu jest numer -

Nachylił się. Zostałem reprezentantem banku na Azję.

- Moje gratulacje.

Dunrossowi zaczynało być spieszno. Powinien wyjść zaraz, żeby się nie spóźnić. Nie chciał, aby Riko na niego czekała. Serce mu mocniej zabiło.

-

Możemy podpisać umowę wstępną?

Murtagh natychmiast wyjął odpowiedni dokument.

- I jeszcze jedno, tai-pan. S. J. prosił, żeby to zatrzymać w tajemnicy.

- To będzie trudne, kto to przepisywał?

- Moja sekretarka, ale to Amerykanka i słowa nie piśnie.

Dunross skinął głową, ale nie był przekonany. Na przykład obsługa teleksu - Philip Czen mówił, że ma prawie wszystkie kopie moich teleksów. Albo sprzą-

taczki, telefonistki. Nie da się długo utrzymać tej wiadomości w tajemnicy. Poza tym, jak niby zrobić właściwy użytek z tej umowy bez podawania jej do wiadomości publicznej? Trudno nie tańczyć z radości, gdy transakcja jest tak wspaniała, że aż trudno w nią uwierzyć. Zaczął podpisywać umowę, ale przerwał, gdy usłyszał, jak otwierają się i trzaskają drzwi wejściowe, a potem Adryon krzyczy po kantońsku:

- Ah Tat! Na bogów, wyprasowałaś moją nową bluzkę?

- Bluzkę? Jaką bluzkę, Młoda Panno z ostrym głosem i bez cierpliwości? Tę czerwoną? Ona należy do Głównej Żony, która kazała...

- A skąd, już jest moja, Ah Tat! Poważnie mówiłam, żebyś ją wyprasowała.

Murtagh także przerwał podpisywanie umowy i słuchał potoków kantońskich zdań.

- Jezu! - powiedział zmęczonym głosem. - Nigdy się nie przyzwyczaję do takiego zachowania służących.

Człowiek może sobie gadać, a oni i tak robią swoje!

Dunross uśmiechnął się i skinął na niego ręką, a potem delikatnie uchylił drzwi. Murtagh otworzył ze zdziwienia usta. Adryon stała z dłońmi na biodrach i krzyczała do Ah Tat, która w takiej samej pozycji odpowiadała pięknym za nadobne. Obydwie głośno krzyczały i żadna nie słuchała drugiej.

-

Cisza! - krzyknął Dunross. Obydwie zamilkły.

- Dziękuję. Za głośno krzyczysz, Adryon! - zganiał ją.

Podeszła bliżej.

- Nie sądzisz, tato, że... - Przerwała na widok Murtagha. Dunross zauważył w niej nagłą zmianę. Zapaliło się w nim światełko ostrzegawcze.

- O, Adryon, pozwól, że ci przedstawię: pan Dave Murtagh, przedstawiciel banku Royal Belgium na Azję.

- Spojrzał na Murtagha i zauważył na jego twarzy oszołomienie. - To moja córka, Adryon.

- Pani... eee... mówi po chińsku, panno Dunross?

- Tak, oczywiście, po kantońsku. Pan od niedawna w Hongkongu?

- Nie, nie, madame, jestem już... eee... z pół roku, a może dłużej.

Dunross przysłuchiwał im się z rosnącym rozbawieniem, wiedział, że zupełnie o nim zapomnieli.

Ech, chłopcy poznają dziewczyny, dziewczyny chłopców, a on, być może, idealnie pasuje do pokrzyżowania planów Haply'ego.

- Adryon, napijesz się z nami drinka? - zapytał, gdy rozwinęła się rozmowa młodych.

Dziękuję, tato, ale nie chciałabym przeszkadzać.

- Właśnie kończyliśmy, wejdz. Co u ciebie?

- Dziękuję, w porządku. - Adryon odwróciła się do twardo stojącej na swoim miejscu Ah Tat. - Proszę wyprasować moją bluzkę - zarządziła władczo po kantońsku. - Za piętnaście minut wychodzę.

- *Aiii ia* na twoje piętnaście minut, Młoda Cesarzowo

- syknęła Ah Tat i wróciła do kuchni.

Adryon skupiła uwagę na Murtaghu, który wyraźnie się rozluźnił i zniknęło jego zmęczenie.

- Z jakiej części Stanów pan pochodzi?

- Z Teksasu, długo też mieszkałem w Los Angeles, Nowym Jorku i Nowym Orleanie. Gra pani w tenisa?

- Tak, oczywiście.

- W klubie amerykańskim mamy korty, może za-gramy w przyszłym tygodniu?

- Z przyjemnością. Już tam kiedyś grałam. Dobry pan jest?

- Nie bardzo, panno Dunross. Grałem w college'u.

- To może wiele znaczyć. Proszę mi mówić Adryon.

Dunross podał jej kieliszek sherry, podziękowała, ale

nie odrywała oczu od Murtagha. Lepiej trzymaj fason, młody przyjacielu, przeleciało mu przez głowę, bo inaczej dostaniesz kosza. Zachowując rozbawienie dla siebie,

zajął się dokumentami. Gdy skończył

podpisywać umowę wstępną, spojrzął na rozgadaną dwójkę. Adryon siedziała swobodnie na sofie, była przepiękna i pewna siebie, bardzo kobieca. Murtagh wysoki, z dobrymi manierami, trochę zawstydzony, jednak doskonale sobie radził.

Czy zniósłbym bankiera w rodzinie? Muszę się nim zainteresować. Boże, miej nas w opiece - Amerykanin.

No, ale z Teksasu, a to chyba co innego. Chciałbym, żeby już wróciła Penn.

- ...Nie, Adryon - mówił Murtagh - mam mieszkanie kompanii w West Point. Trochę małe, ale bardzo przytulne.

- To bardzo ważne, prawda? Ja mieszkam tutaj, ale wkrótce przeprowadzę się do swojego mieszkania. Prawda, tato?

- Oczywiście - potwierdził Dunross. - Po studiach!

Oto moja umowa. Podpisałeś już?

- Tak, tak... przepraszam! - Murtagh niemal podskoczył i podał podpisane umowy. - Proszę. Więc jutro o wpół do ósmej w twoim biurze, tak?

- Lepiej się nie spóźnij, Dave. - Adryon pogroziła palcem. - Tai-pan ma obsesję na tym punkcie.

- Bzdura - rzekł Dunross.

- Kocham cię, tato, ale to nie bzdura.

Gawędzili jeszcze chwilę, potem Dunross spojrzął

na

zegarek i udał zaskoczenie.

- A niech to! Muszę jeszcze zadzwonić, a potem mam spotkanie. - Murtagh natychmiast podniósł teczkę, ale Dunross dodał niewinnie: - Adryon, podobno wychodzisz. Może podrzucisz Dave'a?

- Och, nie trzeba - zaproponował natychmiast Murtagh. -

Wezmę taksówkę.

- Ależ to dla mnie żaden kłopot! - zawołała roz-radowana. - Naprawdę. West Point mam po drodze.

Dunross pożegnał się i wyszedł. Prawie nie zauważyli jego zniknięcia. Wszedł do gabinetu i zapomniał o wszystkim, skupiając się na Drepczącym. Znad kominka spoglądał na niego Dirk Struan. Dunross popatrzył mu w oczy.

- Mam plan. A. B i C - powiedział na głos. - Wszystkie na wypadek, gdyby Sinderson zawiódł.

W oczach Dirka czaił się ów osobliwy uśmiech.

- Tobie było łatwo. Gdy ktoś wszedł ci w paradę, zabijałeś go. Hag tak samo.

Wcześniej szczegółowo przedyskutował plany z Phillipem Czenem.

- Wszystkie są niebezpieczne, tai-pan - zawyrokował

zaniepokojony honorowy doradca.

- Który radzisz mi wybrać?

- Sam musisz podjąć decyzję, tai-pan. Będziesz musiał

złożyć osobiste gwarancje. W grę wchodzi również twarz.

Pomogę ci we wszystkim, możesz również zwrócić się o przysługę dla Starego Przyjaciela.

A co z Sir Luisem?

- Spotkam się z nim dziś wieczorem. Mam nadzieję, że będzie współpracował. - Phil i Czen miał twarz bledszą niż zwykle. - Szkoda, że nie możemy nic powiedzieć Drepczącemu w sprawie Briana Kwoka.

- A jak tam flota tankowców? Możemy polegać na Vee Cee? I co z torem oraz Josephem Ju?

- Drepczący potrzebuje czegoś na wymianę, tai-pan. P.

B. deklarował, że pomoże?

- Obiecał po południu zadzwonić do Drepczącego.

Powiedział też, że jeszcze spróbuje załatwić coś u znajomego w Pekinie.

Dokładnie o siódmej godzinie Dunross zadzwonił.

- Proszę z panem Tip. Mówi Ian Dunross

- Dobry wieczór, tai-pan. Co słyhać? Podobno w przyszłą sobotę sam pan dosiądzie Noble Star.

- Możliwe. - Rozmawiali chwilę o błahostkach, a potem Drepczący spytał:

- A co z tą nieszczęśliwą osobą? Kiedy zostanie zwolniona?

Dunross chwilkę się wahał, a potem postawił na jedną kartę całą swoją przyszłość.

- Jutro o zachodzie słońca w Lo Wu.

- Osobiście pan gwarantuje, że on tam będzie?

- Osobiście gwarantuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby przekonać nasze władze do zwolnienia go.

- To nie znaczy wcale, że ten człowiek tam będzie.

Prawda?

-

Nie. Ale będzie tam. Jestem... - przerwał. Chciał

powiedzieć „prawie pewny”, ale wiedział, że wtedy mógłby przegrać. Nie ośmielił się zagwarantować osobi-

ście, bo mógł stracić twarz i zaufanie na zawsze. Pamiętał

jednak, że Phil ip Czen zastrzegł, że Drepczący musi dostać coś do wymiany, więc nabrał powietrza i zaczął. -

Proszę posłuchać, panie Tip. - Od nagłego wzrostu emocji niemal zrobiło mu się niedobrze. - Mamy ciężkie czasy. Starzy Przyjaciele potrzebują Starych Przyjaciół

bardziej niż kiedykolwiek. Chciałem jak najbardziej prywatnie orzekazać informację o tym, że, jak słyszałem nasz Oddział Specjalny w ostatnich dniach odkrył, że działa u nas sowiecka siatka szpiegowska pod kryptonimem Sevrin. Celem Sevrin jest destrukcja połączeń Państwa Środka ze światem.

- To nic nowego, tai-pan. Hegemoniści to zawsze hegemoniści. Rosja carska czy sowiecka... nie ma różnicy. Tak już jest od czterystu lat. Od ich pierwszej inwazji na Chiny i zagarnięcia naszych ziem minęło właśnie

czterysta

lat,

tai-pan.

Ale

proszę

kontynuować.

- Przypuszczam, że Państwo Środka i Hongkong są takimi samymi celami hegemonistów. My jesteśmy waszym jedynym oknem na świat. Pierwszy zrozumiał to Zielonooki Diabeł i miał rację. Każde nasze potknięcie zaraz wykorzystają hegemoniści.

Niektóre z dokumentów Oddziału Specjalnego znajdują się w moim ręku. - Zaczął dokładnie, jakby czytał z kartki, cytować dokumenty od Medforda.

Przekazał szczegóły działalności Sevrin, szpiegów i zdrajców w policji.

Po drugiej stronie słuchawki panowała cisza.

- Jaka data widnieje na dokumencie dotyczącym Sevrin, tai-pan?

- Dokument jest podpisany: Ł. B. czternastego marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku.

Długie, bardzo długie westchnięcie.

- Ławrientij Beria?

- Nie wiem. - Im dłużej Dunross myślał o swojej nowej zagrywce, tym szybciej rosło jego podniecenie.

Miał pewność, że gdy te informacje wpadną w odpowiednie ręce, w Pekinie zacznie się nowa era w stosunkach rosyjsko-chińskich.

- Czy można zobaczyć te dokumenty?

- Tak, to byłoby możliwe - rzekł Dunross mokry od potu. Gratulował sobie przezorności i tego, że zrobił

fotokopie raportów Medforda dotyczących Sevrin.

- Także ten czechosłowacki dokument?

- Tak, ten także.

- Z jaką on jest datą?

Szóstego kwietnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego.

- A więc nasi tak zwani sprzymierzeńcy zawsze byli sercem wilka i psimi płucami?

- Obawiam się, że tak.

- Dlaczego kapitaliści w Europie i Ameryce nie rozumieją, kto naprawdę jest wrogiem świata? *Heya?*

- Trudno to pojąć - rzekł Dunross, grając teraz na zwłokę.

Po chwili Drepczący znów nad sobą zapanował.

- Moi znajomi - stwierdził - z pewnością zechcą mieć kopie tych dokumentów dotyczących Sevrin i innych.

- Jako Stary Przyjaciel z przyjemnością pomogę we wszystkim, co w mojej mocy.

Znów cisza.

- Nasz wspólny przyjaciel dzwonił, aby zaoferować poparcie dla waszej prośby do Banku Chińskiego o gotówkę i kilka minut temu powiedziano mi, że bardzo ważna osoba z Pekinu dzwoniła sugerując udzielenie wam wszelkiej pomocy, jeśli jej rzeczywiście potrzebujecie. - Znów zapadła cisza, a Dunross niemal widział

otaczającą

Drepczącego

grupę

ludzi

przysłuchujących się rozmowie i w odpowiednich momentach kręcących lub kiwających głowami. -

Przepraszam, tai-pan, ktoś dzwoni do drzwi.

- Może zatelefonuję później - zaproponował, aby dać mu czas do namysłu.

-

Nie, nie potrzeba. Proszę chwilkę poczekać.

Dunross słyszał odkładanie słuchawki. W tle grało radio. Dało się również słyszeć niezrozumiałą rozmowę. Serce waliło mu coraz szybciej. Czekanie zdawało się nie mieć końca. Nagle Drepczący podniósł słuchawkę.

- Przepraszam, tai-pan. Czy mógłbyś nam jak najszybciej dostarczyć te dokumenty? Może jutro rano?

- Tak, oczywiście.

- Proszę przekazać wyrazy mojego uszanowania panu Davidowi MacStruanowi, gdy przyjedzie.

Dunross niemal upuścił słuchawkę, ale na czas się opanował.

O ile go znam, z pewnością zechciałby odwzajemnić pozdrowienia. Jak tam doktor Ju? - zapytał, ale chciał

krzyknąć: „Co z pieniędzmi?” Jednak znalazł się na chińskich negocjacjach. Napięcie rosło, a on musiał



zachować spokój. Kolejne milczenie.

- Dobrze. - Dunross poczuł, że Drepczący mówi to innym tonem. - No właśnie, przypomniało mi się, że dzwonił z Kantonu i pytał, czy nie dałoby się przyspieszyć waszego spotkania i przełożyć na poniedziałek za dwa tygodnie.

Dunross zastanowił się. Właśnie wtedy miał być w Japoni i negocjować z Toda Shipping sprawę dzierżawy statków, co teraz, z perspektywą pomocy First Central, w niezwykle sposób zwiększyło szanse na sukces.

- W jeszcze następny poniedziałek lepiej by mi pasowało. Mogę to potwierdzić w piątek?

- Oczywiście. No, nie zatrzymuję pana dłużej, tai-pan.

Dunross obawiał się przez chwilę, że jego serce nie wytrzyma takiego napięcia. Tymczasem uważnie słuchał

miłego, przyjaznego głosu.

- Dziękuję za tę informację, tai-pan. Mam nadzieję, że ten biedak znajdzie się jutro wieczorem w Lo Wu. O, a przy okazji, jeśli wszystkie bankowe dokumenty zostaną osobiście dostarczone jutro o dziewiątej rano przez pana Havergilla, pana oraz gubernatora, pół miliarda dolarów gotówką zostanie natychmiast przetransferowane do Victorii.

Nagle Dunross dostrzegł uknutą intrygę.

- Dziękuję. Ja i pan Havergil z pewnością przyjdziemy -

zapewnił, unikając pułapki. - Na nieszczęście gubernator dostał z gabinetu premiera polecenie, aby do południa pozostał w swojej siedzibie w razie konieczności skonsultowania niektórych decyzji. Ja jednak przyniosę jego pełnomocnictwo oraz pieczęć zabezpieczającą pożyczkę. - Gubernator oczywiście nie mógłby osobiście zjawić się po prośbie jak zwykły pożyczkobiorca.

- Mam nadzieję, że to zadowalające rozwiązanie.

Drepczący prawie zamruczał.

- Bank z pewnością będzie mógł poczekać do południa, aż gubernator skończy wypełnianie swojego obowiązku.

- Po południu gubernator będzie dowodził wojskiem i policją, ponieważ istnieje niebezpieczeństwo rozruchów inspirowanych przez hegemonistów. Gubernator jest również zwierzchnikiem sił zbrojnych.

- Z pewnością nawet zwierzchnik sił zbrojnych -

przerwał ostro Drepczący - powinien znaleźć kilka minut dla tak ważnej sprawy.

- Jestem "pewien, że znalazłby z przyjemnością - odparł

zupełnie nie przestraszony Dunross. Znał się na sztuce azjatyckich

negocjacji,

w

których

należy

być

przygotowanym na wybuchy gniewu, nawroty łagodności i wszelkie pośrednie stany. - Jednak ochrona interesów Państwa Środka tak samo jak i koloni jest mu najbliższa sercu. Z żalością muszę stwierdzić, że gubernator zmuszony byłby odkładać spotkanie aż do momentu zażegnania niebezpieczeństwa.

W słuchawce zapanowała wroga cisza.

-

Co zatem pan sugeruje?

Dunross kontynuował wychodzenie z zastawionej pułapki, tym razem na wyższym poziomie.

- A właśnie, jego sekretarz prosił mnie o wspomnienie, że Jego Ekscelencja wyprawia przyjęcie dla kilku ważnych obywateli Chin na wyścigach w sobotę i zastanawiał się, czy, gdyby tak się złożyło, iż byłby pan w koloni, mógłby wysłać panu zaproszenie. - Dunross przedstawił propozycję w taki sposób, że Drepczący mógł ją przyjąć i odrzucić bez utraty twarzy, a jednocześnie gubernator w razie odmowy również nie poniósłby ujmy na honorze. Uśmiechnął się do siebie, ponieważ gubernator jeszcze nie wie, jak ważne wyda przyjęcie.

Drepczący w milczeniu rozpatrywał wszystkie możliwe polityczne implikacje takiego zaproszenia.

- Proszę

podziękować

gubernatorowi,

ja

najprawdopodobniej przyjdę. Mogę to jeszcze potwierdzić we

wtorek?

- Z radością przekażę pańską informację. - Dunross chciał jeszcze napomknąć o Brianie Kwoku, ale zdecydował się zostawić sprawę tak jak jest. - Będzie pan jutro o dziewiątej w banku, panie Tip?

- Nie. Ja z tym nie mam nic wspólnego. Jestem tylko zainteresowanym obserwatorem. Wasza reprezentacja spotka się z prezesem.

Dunross westchnął, natężył zmysły. Ani słowa o fizycznej obecności gubernatora. Czyżbym wygrał?

-

Zastanawiam się, czy nie należałoby poinformować hongkongijskiego radia, aby podało w wieczornych

wiadomościach, że Bank Chiński wesprze kolonię pół miliardem natychmiastowego kredytu w gotówce.

Znów cisza.

- O, to z pewnością niekonieczne, panie Dunross

- rzekł Drepczący i po raz pierwszy w jego głosie pojawiła się weselsza nuta. - Słowo tai-pana Noble House jest ważniejsze niż zwykłe kapitalistyczne radio.

Dobranoc.

Dunross odłożył słuchawkę. Drżały mu ręce. Bolały go plecy i szalało serce.

- Pół miliarda dolarów - mrucał. - Bez żadnych dokumentów, bez pieczęci, wystarczyło tylko kilka telefonów, chwila negocjacji i jutro o dziesiątej przyjedzie ciężarówką pół miliarda dolarów!

Wygraliśmy! Najpierw pieniądze od Murtagha, a teraz z Chin! Tak. Ale w jaki sposób wykorzystać tę wiedzę, żeby odnieść jak największe korzyści? Jak? -

bezzradnie zadawał sobie pytanie. Teraz nie ma po co iść do Plumma. Co robić? Co robić?

Nogi miał jak z waty, w głowie huczało mu od myśli i planów. Nagle emocje eksplodowały głośnym okrzykiem, który odbił się rykoszetem od ścian gabinetu.

Podskoczył do góry i wydał z siebie jeszcze jeden okrzyk wojenny. Poszedł do łazienki, żeby opłukać sobie twarz. Nie troszcząc się o guziki zerwał z siebie koszulę i rzucił ją do kosza z brudną bielizną. Nagle otworzyły się drzwi do gabinetu. Wpadła Adryon z bladą twarzą. - Tato?!

- O, Boże, co się stało? - zapytał ze zdziwieniem.

- Co tobie się stało? Słyszałam, że ryczysz jak szarżujący byk. Nic ci nie jest?

- Nie, nie, nic, eee, uderzyłem się w palec! - Znów eksplodowała w nim radość, chwycił Adryon w ramiona i podniósł w powietrze. - Wszystko w porządku, moja droga. Wszystko w najlepszym porządku!

- O, dzięki Bogu - ucieszyła się. - A więc dostanę w przyszłym miesiącu własne mieszkanie?

- Ta... - w porę się powstrzymał. - O, nie, panno Cwaniaczko. Tylko dlatego, że jestem szczęśliwy...

- Ależ, tato...

- Nie, dziękuję, Adryon. Nie ma mowy. Popatrzyła na niego i wybuchnęła śmiechem.

- Prawie cię złapałam!

- Tak, prawie ci się udało. Nie zapomnij, że jutro przylatuje Duncan.

- Nie martw się, nie zapomniałam. Wyjdę po niego.

Fajnie, że wraca. Wreszcie będzie z kim zagrać w bilard. Dokąd się teraz wybierasz?

- Miałem iść do Plumma na celebrację przejęcia General Stores, ale nie wiem...

- Martin twierdzi, że to będzie świetny interes, jeśli nie spadną akcje. Odpaliłam temu głupkowi, że ty potrafisz zapobiec wszystkiemu.

W jednej chwili zdał sobie sprawę, że przyjęcie u Plumma to doskonała sposobność do ogłoszenia wspaniałej wiadomości. Będzie Gornt, Phillip Czen i in-ni. Gornt! Teraz mogę odstawić tego bałwana na zawsze, myślał podniecony.

-

Murtagh jest jeszcze na dole?

-

Tak. Właśnie wychodziliśmy. On jest świetny.

Dunross odwrócił się, żeby ukryć uśmiech, i sięgnął

po czystą jedwabną koszulę.

- Możesz go chwilę zatrzymać. Mam dla niego dobre wieści.

- W porządku. - Popatrzyła na niego wielkimi niebieskimi oczami. - Dostanę na gwiazdkę mieszkanie?

Proszę cię.

- Jak skończysz studia.

- Na gwiazdkę i Kocham cię do końca życia.

Westchnął, przypomniał sobie, jak przerażona była, gdy zobaczyła Gornta w sali bilardowej. Może jutro złożę ci w prezencie jego głowę.

-

Na następną gwiazdkę!

Objęła go ramionami za szyję.

- Oj, tatusiu najdroższy, na tę gwiazdkę proszę, proszę, proszę...

- Nie, bo...

- Proszę, proszę, proszę.

No dobrze. Ale nie mów o tym, na miłość boską mamie, bo by mnie obdarła ze skóry.

19:15

Delikatnie, pod dotykiem czystego morskiego wiatru poruszały się zasłony wokół łóżka Orlandy. Spali. Ona leżała w jego ramionach. Nagle poruszyła ręką i Bartlett obudził się. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie jest i kim jest, ale potem wszystko sobie przypomniał i mocniej zabiło mu serce. Kochali się i było mu wspaniale. Przypomniał sobie jej reakcje i jak doprowadziła go na szczyty, na których jeszcze nigdy nie był. A potem jeszcze raz. Wyszła z łóżka, przyniosła ręcznik zamoczony w ciepłej wodzie i otarła z niego pot.

- Przykro mi, że nie ma prysznic, taki wstyd. Ale jeśli okażesz cierpliwość, ja się wszystkim zajmę.

Ciepły wilgotny ręcznik i nowe doznania uświadomiły mu, że nigdy dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak przyjemnie może być potem - dotykała go czule, delikatnie, z miłością. Krzyżyk na łańcuszku przesunął

jej się na plecy. Zauważył w półmroku jego błysk.

Nagle naszły go wyrzuty sumienia, ale ona swymi czarodziejskimi dłońmi i ustami sprawiła, że po jakimś czasie znów obydwójce zrównali się z bogami.

Pogrążyli się we śnie.

Patrzył tępo na zwisające od sufitu aż po podłogę zasłony sprawiające, że w łóżku robiła się jeszcze bardziej intymna atmosfera. Podobały mu się wzory z cieni i wpadających przez okno światła. Leżał bez ruchu, bo nie chciał jej obudzić, na piersiach czuł jej delikatny oddech.

Co robić? Co robić? Co robić?

W tej chwili nic, odpowiedział sobie. Samolot jest wolny, ty jesteś wolny, a ona jest niewiarygodna i dogodziła ci jak żadna inna kobieta. Ale przecież to nie wszystko, to nie może być wszystko... Poza tym istnieje jeszcze Casey.

Bartlett westchnął. Orlanda poruszyła się we śnie.

Czekał, ale nie obudziła się.

Cieszył wzrok układanką ze światła. W sypialni nie było ani za ciepło, ani za zimno. Wszystko idealnie pasowało, jej ciężar wcale mu nie przeszkadzał. I co teraz z nią będzie? - głowił się. Ach, co może zdziałać urok, bo pewne jak śmierć i podatki, że znalazłeś się pod jej urokiem, zostałeś oczarowany. Kochaliście się tylko, nic więcej, nic jej jeszcze nie obiecałeś... omamiła cię, staruszk.

Tak. I jest mi cudownie!

Zamknął oczy i pogrążył się we śnie. Gdy Orlanda się obudziła, była na tyle ostrożna, żeby się nie

poruszyć. Nie chciała go obudzić ze względu na swoją i jego przyjemność. Pragnęła też mieć czas na myślenie. Nieraz leżała w ramionach Gornta, ale to było coś zupełnie innego. Zawsze się go bała, zawsze miała się na baczności, zawsze rozpaczliwie zastanawiała się, czy o niczym nie zapomniała. Tak, analizowała, nie pamiętam, żeby z Quillanem było mi kiedykolwiek tak dobrze. Linc jest taki czysty i nie czuć od niego dymu papierosowego. Przymierzam na Madonnę, że będę dla niego idealną żoną, o niebo lepsza niż do tej pory. Zaangażuję wszystkie swoje myśli, ręce, usta i ciało, żeby go usatysfakcjonować i nie będzie na świecie takiej rzeczy, której dla niego nie zrobię. Uczynię dla Linca wszystko, czego nauczyłam się od Quillana. Moje ciało i dusza staną się instrumentami do niesienia mu rozkoszy. Jemu, a nie mnie.

Uśmiechnęła się do siebie i przekręciła w jego ramionach. Technika Linca jest niczym w porównaniu z umiejętnościami Quillana, ale mój ukochany nadrabia braki siłą i wigorem. I czułością. Ma cudowne usta i dłonie. Jeszcze nigdy, nigdy dotąd nie było mi tak dobrze jak teraz.

- Pójście do łóżka to dopiero początek seksu - mawiał Gornt. - Możesz mężczyznę tak oczarować, tak wypełnić go nieokiełznaną żądzą, że będzie patrzył na świat i życie z twojej perspektywy. Ale żeby osiągnąć ekstazę, trzeba nad nią popracować i poszukać jej.

O, ja poszukam jej dla Linca. Na Madonnę, oddam mu całe swoje serce, całą swoją duszę i całe swoje życie. Gdy będzie się denerwował, zamienię jego nerwy w spokój. Wiele razy powstrzymywałam złość Quillana swoją łagodnością. Ach, jak cudownie jest mieć tyle władzy!

Będę czytać najlepsze gazety i doskonalić swój umysł. Po Chmurach i Deszczu nigdy nie odezwę się :

„Powiedz, że mnie kochasz”, ale zawsze „Linc, kocham cię”. I na długo zanim moja skóra straci jędrność, dam mu synów, z których będzie dumny, i córki, które będą go zachwycać. A potem, gdy już przestanę go podniecać, bardzo uważnie dobiorę mu dziewczynę z pięknymi piersiami, a gdy i on straci swój wigor, okażę współczucie.

Tak. Będę *tai-tai*.

A któregoś dnia poprosi, żebym pojechała do Portugalii zobaczyć się z córką, ale ja odmówię. I za pierwszym razem, i za drugim, i za trzecim. Wtedy pojedziemy tam razem, on ją też pokocha i upiór zostanie uśpiony na wieki.

Westchnęła. Leżąc na jego piersiach, czuła się lekka jak piórko. Kochanie się bez żadnych środków antykoncepcyjnych jest o wiele bardziej wzniosłe.

Bardziej ekstatyczne. Och, jakie to wspaniałe uczucie, gdy ma się świadomość całkowitego oddania, świadomość stwarzania nowego życia - jego życie i twoje połączone w jedno. O, tak!

Ale czy to rozsądne? A powiedzmy, że odejdzie? Być może będzie się wściekał i każe usunąć ciążę?

Nie, nie robi tego. Linc to nie Quillan. Nie ma się czym przejmować. Nic a nic. O, Madonno, pomóż mi!

Wszyscy jogowie, pomóżcie mi! Niech jego nasienie się rozwija, proszę, proszę, błagam was z

całego serca.

Bartlett mruknął i obudził się.

- Orlanda?

- Tak, kochanie, jestem tutaj. Och, jaki jesteś wspaniały! - Przytuliła się, zadowolona, że dała *amah* wolne na cały dzień i całą noc. - Śpij, mamy dla siebie całe życie, śpij...

- Tak, ale...

- Śpij. Za jakiś czas przyniosę chińskie potrawy i...

- Może chciałabyś...

Śpij, kochanie. Wszystkim się zajmę.



19:30

Trzy piętra niżej, w mieszkaniu po drugiej stronie budynku Wu Cztery Palce oglądał telewizję. Rozpierając się w wygodnym fotelu, siedział bez butów i z rozluź-

nionym krawatem w domu Venus Poon. Obok niego na twardym krześle siedziała stara *amah*. Obydwoje za-

śmiewali się ze starych filmów z Flipem i Flapem.

- li i, ten gruby złapie go za przeklętą stopę - zachichotał - i pot...

- I chudy uderzy go deską! li i.

Obydwoje śmiali się z przyzwyczajenia, ponieważ setki razy oglądali już te same gagi. Po filmie na ekranie pojawiła się, aby zapowiedzieć następny program, Venus Poon. Wu westchnął. Patrzyła z telewizora wprost na niego i - jak każdy oglądający telewizję mężczyzna -

uważał, że uśmiecha się tylko do niego. Wu, choć nie rozumiał angielskiego, ją pojmował doskonale. Godzinami wpatrywał się w jej piersi, przyglądał im się z jak największą dokładnością i nie zauważył różnicy w wielkości, o której szeptuje cały Hongkong.

- Twoje cycki są bez skazy, nigdy większych i ładniejszych nie dotykałem - powiedział z poważną miną zeszłej nocy.

- Mówisz tak tylko, żeby sprawić przyjemność swojej biednej Córce, ooo!

Biednej? Ha! A nie dostałaś wczoraj od bankiera Kwanga futra i dodatkowego tysiąca do miesięcznej zapłaty? A ja nie postawiłem za ciebie w pierwszej, trzeciej i piątej gonitwie? Zarobiłaś trzydzieści tysięcy minus piętnaście procent dla mojego informatora z mniejszym wysiłkiem niż potrzeba, aby pierdnąć!

- Phi! Te dwadzieścia pięć tysięcy osiemset nie warte są nawet wspomnienia, muszę dbać o swoją szafę.

Codziennie potrzebuję nowego kostiumu. Tego ode mnie żąda publiczność, a ja muszę się z nią liczyć.

Dyskutowali tak jeszcze jakiś czas, aż wreszcie czując, że nadchodzi moment prawdy, poprosił ją, żeby przesunęła piersiami po jego odkrytym torsie. Wypełniła jego prośbę z takim entuzjazmem, że eksplodował. Gdy po jakimś czasie cudownie wycofał swego ducha z Nico-

ści, zawołał:

- Ai i ia, Mała Ulicznico, jak zrobisz to jeszcze raz, kupię ci pierścionek z brylantem... Nie, nie, na bogów, nie teraz! Co to ja jestem jakieś bóstwo? Nie teraz, nie jutro, ale jeszcze następnego dnia...

I właśnie nadszedł ów „następny dzień”. Podniecony oglądał ją w telewizji. Uśmiechnęła się, powiedziała dobranoc i zaczął się nowy program. Dzisiaj wcześniej kończyła pracę i Wu w myślach widział ją, jak teraz pędzi do czekającego na nią rol sa i niepokoi się tak samo jak on. Wysłał po nią Paula Czoj&, aby pilnował jej i zabawiał rozmową po angielsku, dzięki temu był pewien, że Venus Poon dotrze szybko i bezpiecznie. A potem, po skończonej zabawie, zabierze ją do barbarzyńskiej restauracji w barbarzyńskim hotelu i z barbarzyńskimi potrawami, gdzie chodzą wszyscy tai-panowie i ważne cywilizowane osoby z żonami - a gdy żony są zajęte, z kochankami - aby pokazać się ze swoją metresą i udowodnić Hongkongowi że jest dość bogaty, aby kupować jej brylanty.

- *Aiii ia* - zachichotał na głos.

- Co, Szlachetny Panie? - zapytała zaskoczona *amah*. - Co cię tak rozbawiło?

- Nic, nic. Daj mi brandy.

Moja pani nie lubi zapachu brandy! Zaoponowała energicznie *amah*. - No, starucho, dawaj brandy. Co ja jestem głupiec? Barbarzyńca? Zanim pójdziemy do łóżka, będę żuł liście wonnej herbaty, nie? Brandy!

Odeszła, mamrocząc pod nosem, ale nie zwracał na nią uwagi - ona tylko starała się bronić interesów swojej pani, i całkiem słusznie.

Dotknął malutkiego pudełeczka w kieszeni. Pierścionek kupił rano na wyprzedazy u kuzyna, który był mu winien przysługę. Kamień wart był czterdzieści osiem tysięcy, jednak Wu zapłacił połowę tej ceny, a brylant odznaczał

się jak najbardziej doskonałą jakością.

Jeszcze jedna taka eksplozja jak poprzednio bez wątpienia jest tego warta, myślał. O tak, tak. I i, zeszłym razem myślałem, że moja dusza pozostanie już w Wieczności na wieki i bogowie zabiorą mnie w najrozkoszniejszej chwili życia! I i, miałbym szczęście, gdybym odszedł właśnie w takim momencie! Tak, ale jeszcze lepiej będzie przeżyć burzę w Nefrytowych Wrotach jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz!

Zadowolony z siebie roześmiał się na głos. Miał dzisiaj wspaniały dzień. Potajemnie spotkał się ze Szmuglerem Juenem i Lee Białym Proszek i został przez nich wybrany na lidera nowego Bractwa. Oczywiście tylko ja się nadawałem, myślał. Czy nie ja zaopatrywałem rynek poprzez obcego diabła Bana - jak on tam się nazywa -

bo pożyczył pieniądze Synowi Numer Jeden Czena, który w zamian za taką przysługę zaproponował przemyt broni zamiast opium, a teraz głupio dał się uprowadzić i zamordować? A czy nie ja spotkam się z tym samym obcym diabłem w Makau w przyszłym tygodniu, aby omówić wszystkie płatności potrzebne do rozpoczęcia wielkiej operacji? Oczywiście, że ja powinienem być Wielkim Tygrysem,

oczywiście to mnie należy się jak największy zysk. Gdy połączą swoje doświadczenie z nowoczesnymi technikami Dochodowego Czoja, zre-wolucjonizują przemianę opium w bardziej dochodowy Biały Proszek, a to oznacza zwiększenie eksportu na światowe rynki. A gdy teraz Paul Czoj pracuje w wydziale-przewozów morskich i powietrznych w Drugiej Wielkiej Kompani, a dwaj synowie Juena, również wykształceni w Ameryce, w urzędzie celnym i cztery krewni Lee Biały Proszek, po studiach w Angli, w Kai Tak, import i eksport stanie się łatwiejszy, bezpieczniejszy i bardziej dochodowy.

Dyskutowali, kogo mogliby zwerbować do współpracy w policji, szczególnie w policji morskiej.

- Z barbarzyńców żadnego, nie z tych psubratów -

powiedział ostro Biały Proszek. - Oni nas nigdy nie poprą. A już na pewno nie w narkotykach. Musimy korzystać ze Smoków.

- Zgoda. Wszystkie Smoki się zgodzą i wszystkie pójdą na współpracę. Z wyjątkiem Tang-po w Koulunie.

- Musimy mieć Koulun. Tang-po chce więcej zarobić czy jest przeciwny naszym działaniom?

- Nie wiem. Jeszcze nie wiem - Wu Cztery Palce wzruszył ramionami. - Tang-po podlega Wielkiemu Smokowi. Wielki Smok się zgodził, to i on się zgodzi.

Tak, pomyślał Wu Cztery Palce. Przechytrzyłem ich i zrobili mnie Wielkim Tygrysem, i przechytrzyłem Dochodowego Czoja. Nie dałem młodemu łajdakowi całej fortuny, żeby sobie grał na giełdzie! Nie. Taki głupi to ja nie jestem! Pozwoliłem mu jedynie rozporządzać dwoma milionami i obiecałem 17 procent zysku. Zobaczymy, co z tym zrobi. Tak. Zobaczymy.

Założę się, że ten spryciarz potroi tę sumę przez tydzień, pomyślał nie bez odrobiny strachu. Za pierścionek z brylantem zapłaciłem z pieniędzy, które mój syn zarobił na giełdzie, z tego samego źródła poszły pieniądze na roczne utrzymanie Venus Poon i nie musiałem ani o jednego miedziaka naruszyć swoich pieniędzy-

dzy, liii! Ach, te sprytne plany Dochodowego! Jak na przykład ten z umową na jutrzejszym spotkaniu z tai-panem.

Z lekkim niepokojem sięgnął pod koszulę, aby dotknąć połówki monety. Za taką samą mój sławny przodek Wu Fang Czoj zażądał klipra rywalizującego z najpiękniejszym z floty Dirka Struana. Ale Wu Fang Czoj był

głupi i nie zażądał bezpiecznej żeglugi dla swego statku, więc Zielonooki Diabeł przechytrzył go.

Tak, na bogów, Wu Fang Czoj sam sobie jest winien. Ale nie stracił wszystkiego. Zapolował na garbusa Stride'a Orłowa władającego statkami Noble House. Jego ludzie złapali Orłowa na lądzie w Singapurze, zakuli w kajdany i zawieźli do Tajwanu, gdzie Wu Fang Czoj miał

swoją siedzibę. Tam przywiązali go do pala i powoli utopili.

Ja nie będę tak głupi jak Wu Fang Czoj. O nie. Już ja dopilnuję, żeby w umowie z tai-panem nie pozostały dwuznaczności.

Jutro tai-pan zgodzi się udostępnić mi część ze swoich statków – oczywiście w tajemnicy. Zgodzi się abym mógł trzymać pieniądze na niektórych kontach Noble House. Zgodzi się także sfinansować moją fabrykę leków, która, *oh*, jak mówi Dochodowy Czoj, doskonale będzie kamuflować przerób narkotyków. I na koniec tai-pan sprawi, że Lando Mata wybierze mnie i mój projekt przekształcenia istniejącego w Makau syndykatu zajmującego się hazardem i złotem. Obieca także swój udział w działalności syndykatu.

Wu Cztery Palce był pełen emocji. Tai-pan na wszystko musi się zgodzić. Na wszystko. I wszystko leży w zasięgu jego mocy.

- Proszę brandy.

Wu wziął od *amah* szklaneczkę i rozmarzył się.

Bogowie mi świadkami: przez siedemdziesiąt sześć lat ja, Wu Cztery Palce, Głowa Urodzonych na Morzu Wu, żyłem pełnią życia i jeśli bogowie pozwolą mi zakosztować Chmur i Deszczu, będę na ich chwałę śpiewał w niebie

- jeśli niebo istnieje. A jeśli nie...

Stary wzruszył ramionami, ziewnął i zamknął oczy.

Było mu ciepło i czuł się szczęśliwy. Bogowie to bogowie i czasami chodzą spać, czasami popełniają błędy, ale pewne - jak to, że w tym i w przyszłym roku przyjdą wielkie burze - że Mała Ulicznica zarobi dziś w nocy na brylantowy pierścionek. Tylko w jaki sposób, pomyślał

i zasnął.

Na dole zatrzymała się taksówka. Suslew zapłacił, wytoczył się z samochodu i postawił nogę w kałuży.

W środku budynku zauważył czekających na windę ludzi. Rozpoznał wśród nich Casey i Jacques'a deVille'a. Nierównym krokiem zszedł po schodach na niższy poziom, minął garaż i zapukał do drzwi Clinkera.

- Cześć, koleś - powiedział Clinker.

- *Towariszcz!* - Suslew rzucił mu się na szyję.

- Mam wódkę, piwo. Mabel, przywitaj się z kapitanem! - Zaspany stary buldog otworzył jedno oko i głośno szczechnął.

Clinker westchnął i zamknął drzwi.

Masz, przyjacielu, to twoja ulubiona powiedział

Clinker, podając mu szklanę z wodą. Mrugnął okiem.

Suslew też mrugnął, a potem głośno wypił wodę.

- Dziękuję. Jeszcze jedna taka i szczęśliwy odpływam z tego kapitalistycznego raj.

- Jeszcze jedna taka - powiedział Clinker, napeł-

nając wodą szklanę - i zaśnież na przystani w Hongkongu. Długo dzisiaj zostaniesz?

- Chciałem się tylko z tobą napić. Jak wyjdę o dziesiątej, wszystko będzie dobrze. Na zdrowie. Może trochę muzyki, co?

Clinker z radością włączył magnetofon i smutna rosyjska ballada wypełniła pokój.

Suslew przyłożył usta do ucha Clinkera.

- Dzięki, Ernie. Wrócę, kiedy trzeba.

- W porządku - Clinker znów mrugnął okiem. Wciąż wierzył, że Suslew ukrywa się, ponieważ sypia w Sinclair Towers z mężatką. - Co to za jedna, co? -

Wcześniej nigdy nie pytał.

- Bez nazwisk - szepnął Suslew z szerokim uśmiechem. - Ale jej mąż to wielka kapitalistyczna świnia z samego świecznika.

Clinker nachylił się bliżej. - Przeleć ją raz za mnie, co?

Suslew zszedł na dół i odszukał latarkę. Z betonowego sklepienia tunelu kapała woda. Odpryski powiększyły się od poprzedniej bytności. Podłoga była ślizka i niebezpieczna. Denerwował się coraz bardziej, nie lubił

zamkniętych pomieszczeń, nie widział potrzeby spotkania się z Crosse'em. Chciał już spokojnie odpływać z Dunrossem naszpikowanym lekami na pokładzie. Crosse jednak był stanowczy.

- Gregor do cholery, masz tam przyjść i już. Muszę się z tobą osobiście spotkać, a przecież nie pójde na

„Iwanowa”, nie? Mieszkanie będzie absolutnie bezpieczne, ja to gwarantuję.

Gwarancje! - pomyślał z gniewem Suslew. Jak moż-

na w ogóle cokolwiek gwarantować? Wyjął pistolet z tłumikiem, sprawdził go i odbezpieczył.

Doszedł do drabiny prowadzącej do klatki schodowej. Gdy znalazł

się na schodach, stanął, wstrzymał oddech i nasłuchiwał. Nic nie usłyszał, więc zaczął oddychać swobodniej. W absolutnej ciszy ruszył do góry do mieszkania. W środku padające przez okno światło wystarczało, żeby wszystko widzieć. Ostrożnie obejrzał

wszystkie pomieszczenia. Gdy skończył, podszedł do lodówki i wyjął butelkę piwa. Bezmyślnie popatrzył

przez okno. Nie widział stąd statku, ale pomyślał, gdzie stoi zacumowany, i poczuł się lepiej. Cieszę się, że już odpływam. I jest mi przykro. Chciałbym tu jeszcze wrócić, Hongkong jest taki piękny, ale czy mi się uda?

Co z tym Sindersem? Zaufać mu?

Zabolało go serce. Nie ma wątpliwości, że jego przyszłość jest zagrożona. Ludziom z KGB będzie łatwo

udowodnić, że wystawił Metkina. Centrum może się tego dowiedzieć, dzwoniąc po prostu do Rogera Crosse. Jeśli już tego nie zrobili.

A niech ten Sinderson w piekle zgnije! Jestem pewien, że jak nie przystanę na jego propozycję, to mnie zakapuje.

Ciekawe,

czy

Crosse

wie,

co

mi

zapropozował Sinderson. Chyba nie. Sinderson nawet przed nim trzyma to w tajemnicy. Jeśli przekażę drugiej stronie cokolwiek, Sinderson na zawsze ma nie w ręku.

Upływały kolejne minuty. Doleciało go skrzywienie windy. Natychmiast przyjął pozycję obronną. Klucz przekręciła się w zamku. Drzwi szybko się otworzyły i szybko zamknęły.

- Witaj, Gregor - powiedział Crosse. - Może byś tak przestał we mnie celować z tej cholernej pukawki, co?

Suslew zabezpieczył pistolet.

- Co masz takiego ważnego do mnie? Co z tym pieprzonym Sindersem? Co do...

- Uspokój się i słuchaj. - Crosse wyjął rolkę mikro-filmu, w jego oczach można było odczytać nadzwyczajne podniecenie. - Oto podarunek. Drogi, ale

zawiera

fotokopie

prawdziwych

raportów

Medforda.

-

Co? — Suslew zdziwił się. - Jak to?

Wysłuchał opowieści Crosse'a o skarbcu.

- ...a jak Dunross wyszedł, zrobiłem zdjęcia, a raporty odłożyłem na miejsce.

- Ten film jest wywołany?

- Tak. Zrobiłem po jednej odbitce, przeczytałem i zniszczyłem. To bezpieczniej, niż dawać je tobie i ryzykować, że zostaniesz i zaczniesz poszukiwanie.

Sinders wstąpił na wojenną ścieżkę. Co między wami zaszło?

- Najpierw opowiedz o teczkach.

- Niestety, takie same jak te drugie. Słowo w słowo.

Żadnych różnic.

- Co takiego?

- Tak. Dunross mówił prawdę. Dał nam dokładne kopie.

Suslew był zdruzgotany.

-

Ale przecież byliście pewni.

Crosse wzruszył ramionami i podarł film.

Oto dowód.

Suslew zaklął.

Crosse obserwował go i zachowywał kamienny spokój.

Ukrywał rozbawienie. Kopie prawdziwych raportów są za cenne, żeby je przekazać, myślał, przynajmniej na razie. Tak, jeszcze nie nadeszła odpowiednia pora.

Tamte informacje sprzedawane po kolei, Gregor, znacznie zwiększą swoją wartość. Muszę je wam ujawniać bardzo uważnie. A tamte jedenaście kartek z szyfrem przyniesie prawdziwą fortunę. - Chyba się myliliśmy, Gregor.

- A co z Dunrossem? - Suslew był blady. Spojrzał

na zegarek. - Może już go nawet mamy. - Zobaczył, że Crosse wzrusza ramionami.

- Nie ma potrzeby zmieniać planów - powiedział. -

Całą operację rozważyłem bardzo szczegółowo. Zgadzam się z Jasonem, że dobrze będzie wstrząsnąć trochę Hongkongiem. A porwanie tai-pana to doskonały sposób. Tak, bardzo nam się przyda, zwłaszcza przy krachu na giełdzie i szturmie na banki.

Obawiam się o Sindera. Za bardzo węszy i zadaje nieodpowiednie pytania. A do tego jeszcze sprawa tego Metkina, Worańskiego, Medforda, za wiele popełnionych błędów. Trzeba odwrócić trochę uwagę od Sevrin. A porwanie Dunrossa będzie do tego najodpowiedniejsze.

- Na pewno? - Suslewowi potrzebna było wsparcia.

- Tak. Porwanie Dunrossa przyniesie efekty dzięki wam. Będę potrzebował wszelkiej możliwej pomocy i wtedy może się Dunross znów przyda. Zamierzacie wystawić Arthura, prawda?

Suslew widział wbite w siebie oczy, serce mu zamarło, ale nic po sobie nic dał poznać.

- Cieszę się, że Sinders opowiedział wam o naszej rozmowie. To mi oszczędzi fatygi. Jak mogę się wydostać z tej pułapki?

- A jak zamierzacie się wydostać?

- Nie wiem. Sinders może spełnić pogrózkę?

- Dajcie spokój. A wy byście spełnili?

- I co dalej?



- Albo wasza głowa, albo Arthura. A jeśli Arthura, to w następnej kolejności może być moja. -  
Nastąpiła długa, nieprzyjemna cisza. - Dopóki z wyprzedzeniem wiem, co ma być, nie przejmuję się.

- Napijcie się?

- Wiecie, że nie piję.

- Miałem oczywiście na myśli... wodę sodową. - Suslew podszedł do lodówki, wyjął jedynie wódkę i napił

się prosto z butelki. - Cieszę się, że Sinderys wam powiedział.

- Gregor, na Boga, postradaliście zmysły? Przecież on mi wcale nie powiedział. Ten dureń nadal myśli, że to tajemnica, prywatna umowa między nim a wami.

Boże drogi, posadziłem go w pokoju, gdzie mam podsłuch. Wyglądam na idiotę? - Popatrzył surowszym wzrokiem, a Suslewa znów zabolalo w piersiach. - Wy-bór macie prosty, Gregor. Wy albo Arthur. Jeśli wy-stawicie jego, w niebezpieczeństwie znajdę się ja i inni. A jak nie doniesiecie Sinderysowi, jesteście skończeni. Ja wolę, żebyście wy umarli, a ja, Arthur i Sevrin byli bezpieczni.

- Lepiej będzie, jeśli wystawię Arthura - rzekł

Suslew. - Ale zanim go złapią, on ucieknie. Może się schronić na pokładzie Iwanowa". Co wy na to?

- Sinderys was dogoni i zatrzyma jeszcze na wodach Hongkongu.

- Możliwe. Ale nieprawdopodobne. Na morzu mogę odmówić wpuszczenie ich na pokład. - Suslew patrzył

na Crosse'a, ścisnęło go w gardle. - Albo niech Arthur popełni samobójstwo. Możemy go też wyeliminować .

- Chyba żartujecie. Chcielibyście wysłać Jasona w zaświaty?

- Sami powiedzieliście, że musi spaść czyjaś głowa.

Posłuchajcie, my rozpatrujemy tylko możliwości. Fakty wyglądają następująco: was zastąpić się nie da, a mnie, Arthura i innych tak. A więc cokolwiek się stanie, wy musicie być bezpieczni. Ja również wolałbym, żeby nic mi się nie stało. Nie mam ochoty umierać. - Napił

się wódki i poczuł się lepiej. - Słuchajcie, wy jesteście z nami, no nie?

- Tak. Dopóki są pieniądze, a mnie się to wszystko podoba, jestem z wami.

- Gdybyście uwierzyli, mielibyście lepsze i dłuższe życie, towarzyszu.

Przy życiu trzyma mnie tylko to, że nie wierzę. Wy i to wasze KGB może sobie przejmować kontrolę

nad światem, możecie infiltrować sobie kapitalizmy i wszystkie inne -izmy, jakie wam się podoba i z jakich tylko chcecie powodów, a na razie ja mam zamiar przybyć w sukurs.

- Co to znaczy?

- To stare wyrażenie oznaczające pomoc - powiedział oschle Crosse. - Macie zamiar wystawić Arthura?

- Nie wiem. Moglibyście dać fałszywy cynk, żeby-

śmy zdążyli uciec z wód Hongkongu?

- Tak, ale Sinderson już kazał zdwoić tam obstawę.

- A co z Makau?

- Nie mogę. Wcale mi się to nie podoba. A pozostali z Sevrin?

- Niech się głębiej zakonspirują, wszystko zwiniemy.

Wy przejmiecie Sevrin i uaktywnimy się z powrotem, gdy minie burza. Czy po Dunrossie zostanie tai-panem deVille?

- Nie wiem. Stawiałbym raczej na Gavallana. Przez przypadek rano w Sza Tin znaleziono dwie następne ofiary Wilkołaków.

Suslew przestał się bać i ogarnęła go nadzieja. -

-

Co się stało?

Crosse opowiedział mu o znalezisku.

- Nadal próbujemy zidentyfikować biedaków. Gregor, cokolwiek by się działo, donoszenie na Arthura jest

głupie. To się może odbić na mnie. Być może krach na giełdzie, szturm na banki i porwanie Dunrossa jakoś cię

wybronią.

Suslew pokiwał głową. Zrobiło mu się niedobrze.

Musiał podjąć decyzję.

- Roger, ja nie zamierzam nic zrobić. Wypłynę po prostu i zdam się na przypadek. Wyślę prywatny raport do Centrum, aby wyprzedzić Sindersona, i wszystko jakoś wyjaśnię. Może właśnie zamęt w

Hongkongu

i

Dunross...

sam

przeprowadzę

przesłuchanie za pomocą środków chemicznych. Na wypadek, gdyby nas oszukał, mówiliście, że jest sprytny... O co chodzi?

- O nic. A co z Korońskim?

- Zostawił chemikalia i rano wyjechał. Przełożyłem przesłuchanie na pokład „Iwanowa”. A co?

- Nic. Mówcie dalej.

- Możliwe, że narobienie bałaganu w Hongkongu udobrucha jakoś moich przełożonych. - Gdy podjął

decyzję, poczuł się odrobinę lepiej. - Wyślijcie pilny raport do Centrum zwykłymi kanałami do Berlina. Niech Arthur też zamelduje przez radio. Tylko tak, żeby ja wypadł w dobrym świetle, dobra? Zrzucajcie winę za Metkina na tutejsze CIA, na Worańskiego, na przeciek z krążownika.

Dobrze? Obwiniajcie CIA i Ku-omintang.

- Oczywiście. Za podwójną opłatą. A właśnie, na waszym miejscu wytarłbym odciski palców z butelki.

- Co?

Opowiedział z kpiną o tym, że Rosemont ściągnął jego odciski ze szklanki podczas nalotu, a on sam, aby chronić Suslewa, usunął odciski z jego dossier.

Rosjanin zbladł.

- CIA ma moje odciski w swoich kartotekach?

- Musieliby mieć lepsze dossier od nas, a w to wątpię.

- Roger, liczę, że mi pomożecie.

- Nie przejmujcie się! Napiszę taki raport, że jeszcze awans dostaniecie. Wy w zamian poprosicie o premię dla mnie. Sto tysięcy dol...

- Za dużo...

- Tyle wynosi opłata. Chcę cię wyciągnąć z poważnych tarapatów. - Uśmiechnął się samymi ustami.  
— Na szczęście jesteśmy zawodowcami, no nie?

- Ja... postaram się.

- Dobrze, czekajcie tutaj. Telefon Clinkera jest na podsłuchu. Jak tylko będę coś wiedział o Dunrossie, zadzwonię od Jasona. - Crosse wyciągnął rękę. -

Powodzenia. Z Sindersem postaram się załatwić, co się da.

- Dziękuję. - Suslew mocno uściśnął mu dłoń. - Ja wam też życzę szczęścia, Roger. Nie zawiedźcie mnie z Dunrossem.

- Nie zawiedziemy.

- I przekażecie, że dobrze się spisałem?

Przekażecie przyjaciołom, żeby wysłali pieniądze? -

Tak. - Suslew podszedł bliżej, wytarł dłonie o spodnie i wziął kasetę z filmem. W duszy klął na Dunrossa, Sindersa i na donos do KGB w sprawie Metkina. Jakoś się z tego wygrzebie, myślał. Po plecach spływał mu zimny pot. A może mimo wszystko powinienem wystawić Arthura? Tylko jak to zrobić, żeby Rogera trzymać od tego z daleka? Musi być jakiś sposób.

Na korytarzu Roger Crosse poczekał na windę, wszedł do środka i nacisnął guzik na parter. Oparł się o ścianę i potrząsnął głową, żeby odpędzić od siebie strach.

- Przestań! - mruknął. Z pewnym wysiłkiem zapa nował nad sobą i zapalił papierosa. Zauważył, że trzęsą mu się ręce. Jeśli ten gnojek przesłucha Dunrossa, to już po mnie. I założę się, że cholerny Suslew nadal za stanawia się, czy nie wystawić Plumma. A jeśli to robi, rozleci się cały mój misternie zbudowany domek z kart.

Jeden błąd, jedno potknięcie i jestem skończony.

Winda zatrzymała się. Wsiadło kilku hałasujących Chińczyków, ale nie zwrócił na nich uwagi. Na dole czekał Rosemont.

- I co?

- Nic, Stanley.

- Idź ty z tymi twoimi podejrzeniami, Roger.

- Nigdy nic nie wiadomo, Stanley. Mogło coś się zdarzyć. - Crosse starał się zmusić umysł do normalnego działania. On wymyślił podejrzenie i zaprosił Rosemonta do udziału w akcji. Wiedział, że ludzie z CIA nadal obserwują foyer.

- Nic ci nie jest, Roger?

- Nie, nic, a co? Rosemont wzruszył ramionami.

- Napijesz się kawy albo piwa?

Wyszli na dwór. W pobliżu czekał samochód Rosemonta.

- Nie, dziękuję. Idę tam. - Wskazał na wysoko wznoszący się budynek Rose Court. - Na koktajl.

- Poczuję, że znów ogarnia go strach. Co ja, do diabła, mam teraz robić?

- Co się stało, Roger?

- Nic.

- Rose Court nieźle brzmi, nie? Prawie jak Rose-mont.

Może powinienem sobie sprawić tam mieszkanie?

- Tak - bąknął Crosse. - Chcesz pójść ze mną zobaczyć, jak odpływa „Iwanow”?

- Jasne, czemu nie? Cieszę się, że go odesłaliście.

- Rosemont ziewnął. - Dzisiaj w nocy złamaliśmy tego kołosa od komputerów. Zdaje się, że znał mnóstwo tajemnic.

- Jakich?

- Różne takie? na temat „Corregidora”, maksymalna prędkość, skąd wylatują pociski, szyfry i tego typu rzeczy.

Rano ci dam sprawozdanie. Wskoczysz po mnie o północy?

- Tak, jasne. - Crosse odwrócił się i odszedł. Rosemont popatrzył za nim, a potem przeniósł wzrok na Rose Court. Na wszystkich jedenastu piętrach paliły się światła. Znowu popatrzył na Crosse'a. Jego ciemna sylwetka zniknęła za rogiem.

Z Rogerem chyba dzieje się coś niedobrego, przeleciało mu przez głowę.

20:10

Roger Crosse wysiadł z windy na czwartym piętrze.

Przez otwarte drzwi wszedł do mieszkania Asian Properties. W obszernym pomieszczeniu panował tłok i gwar. Stał przy wejściu i wodził wzrokiem po gościach w poszukiwaniu Plumma albo Dunrossa. Od razu rzuciło mu się w oczy, że gościom nie dopisują humory, i poczuł

się przez to jeszcze bardziej przygnębiony. Przybyło niewiele żon - wszystkie rozprawały o czymś w odległym kącie. Rozmowy kręciły się wokół krachu na giełdzie i szturm na banki.

- Ależ, na miłość boską, bardzo dobrze, że Victoria ogłosiła przejęcie Ho-Pak, ale gdzie jest ta gotówka na wypłaty?

- Dunstan, to była fuzja, a nie przejęcie - sprostował

Richard Kwang. - Ho-Pak nie...

Barre natychmiast zrobił bojową minę.

- Na litość boską, Richard, nie jesteśmy dziećmi i wszyscy wiemy, o co tu chodziło. Moim zdaniem...

Barre podniósł głos, żeby usłyszał go też stojący obok Johnjohn. - Moim zdaniem fuzja czy nie, my, biznesmeni Hongkongu, nie podtrzymamy was, jeśli potraficie opróżnić swoje banki z gotówki.

- To nie nasza wina - zripostował natychmiast Johnjohn. - To tylko chwilowy brak zaufania.

- Według mnie raczej cholerny brak organizacji -

odparł ku ogólnemu aplauzowi Barre. Potem zauwa-

żył Crosse'a. - O, witaj, Roger! - powiedział z przelotnym uśmiechem.

- Wszystkie spojrzenia od razu skierowały się na Rogera Crosse'a.

- Czy jest Ian?

- Nie, jeszcze nie - odparł Johnjohn i Crosse odetchnął

z ulgą.

- Na pewno?

- O tak. Jak tylko przyjdzie, ja od razu wychodzę -

zapowiedział Dunstan Barre. - Cholerne banki! Gdyby nie...

- Co z tymi Wilkołakami, Roger? - O znalezieniu dwóch ciał poinformowało radio i wszystkie chińskie gazety.

Popołudniówki angielskie w niedzielę nie wychodziły.

- Wiem tyle co i wy - rzekł Crosse. - Nadal staramy się zidentyfikować ciała ofiar. - Spojrzał na Richarda Kwanga, który zadrżał pod jego wzrokiem. - Richard, nie słyszałeś nic o uprowadzeniu albo zaginięciu czyichś synów albo kuzynów?

- Nie, Roger, niestety...

- Przepraszam was, pójdę przywitać się z gospodarzem. - Crosse ruszył przez salę, torując sobie drogę pomiędzy rozmawiającymi grupkami. - Cześć, Christian -

powiedział, mijając wysokiego, szczupłego redaktora naczelnego „Guardian”. Zauważył, że emanuje z niego na próżno ukrywany smutek. - Przykro mi z powodu twojej żony.

-

*Dżos* - odparł Christian Toxe spokojnym głosem.

- *Dżos*, Roger, ona, cóż... życie toczy się nadal, prawda?

- Wymuszony uśmiech był niemal groteskowy. - „Guardian” musi działać, no nie?

- Tak.

- Możemy później porozmawiać?

- Oczywiście. Jak zwykle nieoficjalnie?

- Tak.

Minał pograżonych w dyskusji na temat przejęcia General Stores Pugmire'a i Sir Luisa. W środku grupki zgromadzonej na balkonie z widokiem na przystań zauważył Casey. Obok deVille'a stał Gorat z łagodną miną, która wydała się Crosse'owi podejrzana.

- Witaj, Jason - odezwał się do stojącego z Josephem Sternem i Phillipem Czenem Plumma. - Dziękuję za zaproszenie.

- O, Roger, cieszę się, że przyszedłeś.

- Dobry wieczór - zwrócił się do pozostałych. - Jason, gdzie twój gość honorowy?

- Ian dzwonił, że się spóźni, ale już jest w drodze. Lada moment tu przybędzie. - Widać było, że jest

zdenerwowany. - Eee... szampan eee... szampan już gotowy, moje krótkie przemówienie gotowe. Chodź, dam ci coś do picia. Jak zwykle Perrier, prawda? Mam trochę lodu.

Crosse poszedł za nim, też chciał porozmawiać na osobności. Gdy tylko dotarli do kuchni, zrobił się szum. Przy drzwiach zjawił się Dunross z Riko i Gaval an.

- Posłuchaj, Jason... - Crosse przerwał. Plumm stał

przy barku i gdyby Crosse nie przyglądał mu się z napiętą uwagą, nie zauważyłby, że płynnym ruchem rozłupuje kapsułkę i wsypuje zawartość do jednego z kieliszków z szampanem, a resztki kapsułki chowa do kieszeni.

Potem podniósł tacę z czterema kieliszkami i skierował

się do wejścia. Crosse patrzył, jak Plumm podaje szam pana.

Dunross podsunął najpierw kieliszek Riko, potem Gaval anowi, sam, bez żadnej sugestii, wziął szampana z zawartością. Ostatni kieliszek Plumm zostawił dla siebie, a tacę oddał kelnerowi.

- Witaj, Ian, i pozwól, że złożę ci gratulacje - powie działo, unosząc kieliszek. Wszyscy dokoła napili się.

Dunross oczywiście nie spełniał toastu za siebie.

- A teraz powinniśmy chyba wypić za Johnjohna, Richarda Kwanga i fuzję ich banków. - Głos Plumma brzmiał dziwnie.

Czemu nie? - odpowiedział z uśmiechem Dunross i odszukał wzrokiem Johnjohna. - Bruce! - zawołał, unosząc kieliszek. - Za Victorię! - rzekł silnym głosem.

Wszyscy inni przerwali konwersacje w pół zdania i popatrzyli na niego. - Chyba wszyscy możemy wnieść toast. Właśnie się dowiedziałem, że Bank Chiński zgodził

się pożyczyć wam i innym bankom pół miliarda dolarów w gotówce w poniedziałek przed otwarciem.

Zapadła nagła cisza. Ci, co stali na balkonie, weszli do środka. Na ich czele stał Gornt.

- Co takiego?

- Właśnie dotarła do mnie wiadomość, że Bank Chiński pożyczy Hongkongowi: Victorii i innym bankom, pół miliarda dolarów w gotówce, a jeśli będzie trzeba, nawet więcej. Szturm na banki skończony! -

Dunross podniósł kieliszek. - Za Victorię!

Nagle wybuchł zgiewek, wszyscy zaczęli zadawać pytania, a Crosse ruszył przed siebie i, zanim



Dunross zdążył wychylić trunek, zderzył się z nim i wytrącił mu z ręki kieliszek. Szampan rozlał się po parkiecie.

- O, Chryste, przepraszam - jęknął.

- Plumm spojrział na niego z przerażeniem.

- Na miłość boską...

- Jason, tak mi przykro - przerwał mu Crosse i zanim zjawił się kelner, żeby posprzątać, dodał: - Na pewno znajdziesz dla łana inny kieliszek.

- Eeee... tak... ale... - Plumm ruszył po szampana, ale zatrzymał się na dźwięk słów Riko.

- Proszę, tai-pan, weź mój.

- Czy można prosić o chwilę spokoju?! - zawołał

Johnjohn i podszedł do Dunrossa. - Ian - powiedział w absolutnej ciszy - czy jesteś pewien? Czy masz pewność co do tej gotówki?

- Tak - rzekł bez pośpiechu Dunross, popijając z kieliszka Riko szampana. Rozkoszował się tą chwilą. -

Rozmawiałem

osobiście

z

Drepczącym.

W

wiadomościach o dziewiątej podadzą w radiu tę informację.

Znów zaczęły się rozmowy, pytania, odpowiedzi.

Dunross zauważył, że z drugiego końca sali przygląda mu się Gornt. Podniósł kieliszek.

- Twoje zdrowie, Quillan - powiedział, ignorując pytania. W jednej chwili rozmowy się urwały. Uwaga wszystkich skupiła się na nich.

Gornt również uniósł kieliszek. - Twoje, Ian.

Dostaniemy pieniądze z Chin?

- Tak. A przy okazji, chciałem jeszcze wam powiedzieć, że zdobyłem pięćdziesiąt milionów na

podtrzymanie Struanów. Teraz Noble House jest najgłośniejszym *hongiem* w całej kolonii.

- Pod jakie zabezpieczenie? - Głos Gornta przeciął

ciszę.

- Honor Noble House! - rzucił z udawaną nonszalancją Dunross. - Dostaliśmy kredyt - zwrócił się do Johnjohna - od Royal Belgium przy współudziale i wsparciu First Central of New York. - Celowo nie patrzył na Gornta, delectując się dźwiękiem wypowiedzianej liczby: - Pięćdziesiąt milionów amerykańskich dolarów. A przy okazji, Bruce, jutro zwrócę wam po-

życzki na moje statki. Nie chcę już kredytów z Victorii.

Royal Belgium stawia lepsze warunki.

Johnjohn popatrzył ze zdumieniem.

- Chyba żartujesz!

- Nie. Już rozmawiałem z Paulem. — Nagle spojrzał

na Plumma. - Przepraszam, Jason, właśnie dlatego się spóźniłem. Naturalnie muszę się jeszcze z nim spotkać. Bruce, Paul jest już w banku i przygotowuje się na transfer z Chin. Prosił, abyś od razu tam jechał.

- Słucham?

- Podkreślił „od razu”, przykro mi.

Johnjohn zaczął coś mówić, powstrzymał się i nagle krzyknął z radości, a inni do niego dołączyli.

- Chryste, tai-pan, ale czy...

- Drepczący? A więc to prawda! Nie sądzisz...

- First Central? Czy to nie ci frajerzy, co...

- Chryste, a ja postawiłem na krótką sprzedaż!...

- Ja też! Cholera, jutro od samego rana kupuję!...

- A może...

Dunross zobaczył spokojnie stojących obok siebie Sir Luisa, Josepha Sterna i Phillipa Czena. Potem zauważył radośnie śmiejącą się Casey, podniósł

kieliszek i ukłonił jej się, ona odpowiedziała tym samym. Tę wymianę gestów spostrzegł Gornt i podszedł do Casey. Stojący w pobliżu ludzie zamilkli.

- First Central to bank Par-Gon, prawda?

- Tak, Quillan - potwierdziła cicho, ale usłyszeli ją wszyscy w pokoju i nagle znalazła się w centrum uwagi.

- To ty i Bartlett... to wasza sprawka? - zapytał

Gornt patrząc na nią z góry.

- Sam sobie załatwiam kredyty - wtrącił się ze swadą Dunross.

Gornt zignorował go i wpatrywał się w Casey.

- Ty i Bartlett pomogliście mu?

- Ja nie mam kontroli nad bankiem, Quillan - powiedziała z walącym jak młot sercem.

- Ale maczaliście w tym palce - rzekł chłodno Gornt.

- Prawda?

- Murtagh spytał mnie, czy moim zdaniem warte zaryzykować ze Struanami - mówiła opanowanym głosem - a ja mu na to, że owszem, warto.

- Struanowie są już prawie skończeni - zaśmiał się szyderczo Gornt.

- Rzecz w tym, Quillan - wszedł mu w słowo Dunross - rzecz właśnie w tym, że wcale nie. A przy okazji, Sir Luis zgodził się wycofać akcje Struanów z obrotu do jutrzejszego popołudnia.

Wszyscy spojrzeli na Sir Luisa. Gornt spiorunował

wzrokiem Dunrossa.

- W jakim celu?

- Żeby móc przygotować giełdę na boom.

- Jaki boom?

- Ten, na który wszyscy czekamy, ten, który przepowiedział Stary Ślepy Tung. - Przez wszystkich, nawet przez Casey, przeszedł dreszcz. - Także, żeby ustalić nową cenę akcji Struanów - Dunross zawiesił

głos. - Zaczynamy od trzydziestu.

- Niemożliwe - mruknął ktoś sceptycznie.

- Nie możesz! - warknął opryskliwie Gornt. - Na zakończenie sesji mieliście dziewięć i pół.

- A my proponujemy sprzedaż po trzydzieści! - od-ciął się Dunross.

I ty spokojnie patrzysz - Gornt zwrócił się do Sir Luisa -

na ten rozbój w biały dzień?

- To żaden rozbój, Quillan - odparł spokojnie Sir Luis. - Zgodziłem się z opinią komisji, że najlepszy dla nas wszystkich, najlepszy dla inwestorów, będzie krótki

okres

wyciszenia,

aby

grający

mogli

przygotować się do hossy. Do południa to uczciwy termin.

- Uczciwy? Mnóstwo akcji od ciebie wystawiłem na krótką sprzedaż. Teraz muszę je odkupić. Po ile?

Sir Luis wzruszył ramionami.

- Porozmawiamy jutro w południe. Na parkiecie.

- Ja mogę z tobą zawrzeć transakcję od razu, Quillan - odezwał się Dunross. - Ile akcji wystawiłeś na krótką sprzedaż? Siedemset tysięcy? Osiemset?

Sprzedam ci z powrotem po osiemnaście, jeśli ty sprzedasz

mi

pakiet

kontrolny

All

Asia

Air

popiętnaście.

- Ali Asia Air nie są na sprzedaż - burknął ze złością. Przemknęło mu przez myśl, że przy cenie

trzydziestu dolarów za akcje Struanów jest skończony.

- Moja oferta zachowuje ważność do jutra do otwarcia.

- Niech cię zaraza pochłonie razem z twoim jutrem i trzydziestoma dolarami! - Odwrócił się do Josepha Sterna. - Kupuj Struanów! Teraz, jutro rano albo w południe! Jesteś za to odpowiedzialny!

- Po... po ile, panie Gornt.

- Po prostu, kupuj! - Z pałającą gniewem twarzą odwrócił się do Casey. - Dziękuję - powiedział ze złością i wyszedł trzaskając drzwiami. Nagle wybuchły rozmowy. Ludzie oblegali Dunrossa ze wszystkich stron i zarzucali go pytaniami. Casey stała przy wyjściu na balkon. Była zdruzgotana nienawiścią Gorntą. Zauważyła, że w całym zamęcie Plumm, a za nim Crosse, wychodzą do innego pokoju, ale nie zwróciła na nich uwagi. Obserwowała Dunrossa i stojącą obok Riko.

W małej sypialni Jason Plumm sięgnął do szuflady biurka, przy którym stał duży kufer, z żelaznymi okuciami. Gdy nagle otworzyły się drzwi, podniósł

głowę i zobaczył Roberta Crosse'a. Twarz Plumma wykrzywił grymas złości.

-

Coś

ty,

kurwa,

narobił?

Całkowicie...

Crosse z kocią zwinnością przemierzył pokój i otwartą dłonią uderzył Plumma w twarz. Plumm natychmiast rzucił się na Crosse'a, ale ten uderzył go jeszcze raz i gospodarz przyjęcia zwał się na łóżko.

- Co to, ku...

- Zamknij się i słuchaj! - syknął Crosse. - Suslew r chce cię wystawić!

Plumm wytrzeszczył oczy, na twarzy miał czerwone ślady. W jednej chwili minęła mu złość.

- Co?!

- Suslew chce cię wystawić Sindersonowi i po to to wszystko. Już w porządku? Na miłość boską bądź już cicho!

- Co? Tak... tak...

- Przepraszam, Jason, ale nie miałem jak cię powstrzymać.

-

Dobrze, już w porządku. O co tu chodzi, Roger?

Plumm podniósł się z łóżka, rozmasował twarz, wytarł

krw z kącika ust i już całkowicie nad sobą panował. Za drzwiami cały czas toczyła się zażarta dyskusja.

- Musimy opracować plany - rzekł Crosse i opowiedział

o rozmowie z Suslewem. - Chyba go przekonałem, ale nie wiadomo, czego się można po nim spodziewać.

Jestem pewien, że Sinderson doniesie na niego. Jeśli Suslew nie zdradzi Arthura i jeśli Sinderson go wyda, to wtedy Suslew już nigdy nie przyjedzie do Hongkongu.

Tamci go złapią i złamią. Wtedy...

- Ale co z Dunrossem? - zapytał bezradnie Plumm. -

Dunross na pewno mógłby go wybawić z kłopotów. Teraz Gregor musi mówić. Dlaczego mnie powstrzymałeś?

Musiałem. Nie miałem czasu, żeby ci powiedzieć, ale po rozmowie z Suslewem zadzwoniłem na komendę i dowiedziałem się, że Drepczący pomoże tym łajdakom wyleźć z dołka. A wcześniej słyszałem, że Ian dostał

kredyt - kłamał Crosse. - A więc szturm na banki się skończył, na giełdzie zacznie się boom z Dunrossem czy bez. Ale co najgorsze, Jason, to informator mi doniósł, że Sinderson potroił obstawę na Kai Tak i na nabrzeżu przy

„Iwanowie”. Teraz sprawdzają wszystkim kieszenie, torby, przeszukują każdego kulisa wchodzącego na pokład.

Gdyby przechwycili Dunrossa, a przechwyciliby na pewno, SI jest sprytny, leżelibyśmy na całej linii. Plumm coraz bardziej się denerwował. Przeszedł go

dreszcz.

- A co... A założymy, że wystawimy Gregora Sindersonowi? - wybuchnął. - Gdyby...

- Mówże ciszej! Źle myślisz, na Boga! Gregor wie o nas wszystkich. Sinderson zastosowałby mu

terapię uspienie-przebudzenie, potem wsadziłby go do Czerwonego Pokoju i Suslew wszystko by wyśpiewał! A to zniszczyłoby nas, Sevrin i opóźniło plany Rosjan o dziesięć lat!

Plumm wytarł twarz z potu.

- No to co robimy?

- Pozwólmy, żeby Gregor spokojnie sobie odpłynął i miejmy nadzieję, że uda mu się przekonać do siebie swoich szefów. Myślę, że nawet, jeśli wymieni twoje imię Sindersonowi, i tak sobie poradzimy. Dzięki Bogu istnieje jeszcze prawo, a ty jesteś obywatelem brytyjskim. Nie martw się, nic się nie stanie bez mojej wiedzy, a gdyby coś, ja natychmiast o tym się dowiem i na pewno wystarczy czasu na Plan Trzeci. - Plan Trzeci zakładał

ucieczkę i na taką ewentualność Plumm miał przygotowany fałszywy paszport, otwarte bilety lotnicze j-spakowaną walizkę, a nawet klucz do przejścia do poczekalni na lotnisku bez odprawy w urzędzie imigracyjnym. Dzięki temu istniało dziewięćdziesiąt pięć procent szans powodzenia.

- Chryste! - zawołał Plumm, spoglądając na przygotowany kufer. - Chryste! - powtórzył i podszedł do lustra. Na twarzy nadal miał czerwone ślady. Obmył

twarz zimną wodą.

Obserwując go, Crosse zastanawiał się, czy przekonał

Plumma. W takich okolicznościach byłoby to najlepsze rozwiązanie. Nienawidził improwizacji, ale w tym wypadku musiał sobie trochę na nią pozwolić. Ale my prowadzimy życie! Wszystkich można zastąpić z wyjątkiem mnie: Suslewa, Plumma, Sindersona, Kwoka, Armstronga, nawet gubernatora.

- O co chodzi? - zapytał patrząc przez lustro Plumm.

- Pomyślałem właśnie, że mamy bardzo niebezpieczne zajęcie.

- Dla sprawy warto. Tylko ona się liczy.

Crosse ukrył zadowolenie. Naprawdę wydaje mi się, że już udowodniłeś ponad miarę swoją użyteczność, Jason, pomyślał. Podszedł do telefonu. Ponieważ była to linia bezpośrednia, nie poprzez centralę, wiedział, że nie ma podsłuchu. Wybrał numer.

- Tak? - rozpoznał głos Suslewa i zakasłał sucho jak Arthur.

- Proszę z panem Lop-sing - powiedział doskonale imitując głos Plumma. - Nieprzewidziane okoliczności -

rzekł, gdy już wymienili się hasłami. - Cel się nie pojawił.

Ostrożnie w doku. Potrojona obstawa. Nie możemy dostarczyć kufra. Powodzenia. - Odłożył słuchawkę.

Zapanowała cisza.

-

Już z nim koniec, nie? - spytał smutno Plumm.

Crosse zawahał się, a potem na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Lepiej jak on umrze, a nie ty.



20:25

W pokoju wypełnionym gwarem rozmów Casey dopiła drinka i odstawiła szklankę. Czowała się dziwnie nieswojo.

Częściowo cieszyła się z tryumfu Dunrossa, ale z drugiej strony smuciła się, że teraz Gornt wpadł w pułapkę.

Pomagając Dunrossowi w zdobyciu kredytu, oczywiście zdawała sobie sprawę, że cena akcji Struanów podskoczy wysoko. Biedny Quil an, myślała. Jeśli nie znajdzie pokrycia, jego sytuacja naprawdę stanie się nie do pozazdroszczenia. I bądźmy szczerzy, ja go w nią wpędziłam. No nie?

Pewnie, ale musiałam pomóc Dunrossowi, bo inaczej Gornt zdarłby z nas ostatnią koszulę. Z innych może także. Nie zapominaj też, że to nie ty zaczęłaś atak na Struanów. Linc, nie ty. Czyż Linc nie powtarza zawsze, że nie można mieszać biznesu z przyjemnością?

Linc. Zawsze ten Linc.

Casey nie widziała go cały dzień, nie miała nawet żadnej wiadomości o nim. Planowali razem zjeść śniadanie, ale rano zastała u niego na drzwiach tabliczkę „nie przeszkadzać”, telefonów też nie przyjmował, więc odsunęła od siebie myśli o Orlandzie - Czy jest z nim w pokoju? - i dała za wygraną. Wieczorem, gdy wróciła z łodzi, znalazła wiadomość: „Baw się dobrze”. Wzięła prysznic, przebrała się, okiełznała swoją niecierpliwość, i przysłała tutaj do Plumma. Na początku było smutno, wszyscy się snuli i narzekali, a po wiadomościach od Dunrossa i po trzaśnięciu Gornta drzwiami znów zrobiło się nieciekawie. Po pewnym czasie Dunross doszedł do niej z podziękowaniami, ale natychmiast obiegnęła go gromada mężczyzn i zaczęli wypytywać o interesy. Czowała się samotna. Może Linc już wrócił do hotelu, łudziła się.

Szkoda... to nic, ale już czas do domu. Nikt nie zauważył, jak się wymknęła.

Przed drzwiami do windy stał Roger Crosse. Poczekał

na nią, a potem nacisnął guzik.

- Dziękuję - powiedziała. - Miłe przyjęcie, prawda?

- Tak, tak - rzekł nieobecny myślami.

Na parterze przepuścił ją przodem, a potem szybkim krokiem wyszedł z budynku i ruszył w dół wzgórza.

Gdzie on się spieszy? - dumiała, odwracając się w stronę grupki ludzi czekających na taksówkę. Ucieszyła się, że przestało padać. Nagle stanęła jak wryta. Z przeciwnej strony nadchodziła Orlanda Ramos z pakunkami w dłoniach. Obydwie zauważyły się w tej samej chwili. Orlanda pierwsza

przerwała milczenie.

- Dobry wieczór, Casey - zagadnęła z uśmiechem. -

Pięknie wyglądasz.

- Ty także - odparła Casey. Rywalka naprawdę wyglądała pięknie. Niebieska bluzka i spódnica pasowały idealnie do siebie.

Orlanda obrzuciła stekiem kantońskich wyzwisk portiera. Natychmiast odebrał od niej pakunki.

- Przepraszam cię, Casey - powiedziała miłym tonem, w jej głosie słychać było zdenerwowanie. - Na dole osunęło się trochę ziemi i musiałam zostawić tam samochód. Wchodzisz czy wychodzisz?

- Wychodzę. Mieszkasz tutaj?

- Tak.

Zapanowało milczenie. Casey ukloniła się grzecznie i ruszyła do wyjścia.

- Chyba powinniśmy porozmawiać - zaproponowała Orlanda, a Casey zatrzymała się.

- Oczywiście, kiedy tylko chcesz.

- Masz czas teraz?

Chyba tak. -

Może pójdziesz ze mną kawałek do

samochołu? Zostawiłam jeszcze kilka sprawunków. Tam ci będzie łatwiej złapać taksówkę.

Ruszyły. Noc była chłodna, lecz Casey płonęła, Orlanda tak samo. Obydwie wiedziały, co się stanie, i obydwie bały się siebie. Uważnie stawiały stopy. Na ulicy było pełno kałuż. Wyglądało na to, że z ciężkiej ciemnej chmury wkrótce znów popada deszcz. Z przodu, pięćdziesiąt metrów przed sobą, Casey zauważyła osunięte z wysokiego pobocza zwały ziemi, skał i krzaków. Zagradały jedną część drogi i chodnik. Po drugiej stronie ulicy tłoczył się rząd samochodów próbujących przejechać przez wąski przesmyk. Kilku pieszych wspinało się po zwałach.

- Długo mieszkasz w Rose Court? - zaczęła Casey.

- Kilka lat. Miłe miejsce. Pomyśleć... Och! Byłaś na przyjęciu u Jasona Plumma?

- Tak. - Casey zobaczyła ulgę na twarzy Orlandy i to ją rozżłościło, ale opanowała emocje i oznajmiła spokojnie: - Orlanda, tak naprawdę wcale nie ma o czym rozmawiać, prawda? Powiedzmy sobie po prostu dobranoc.

Orlanda podniosła wzrok.

- Linc jest u mnie. W moim mieszkaniu.

- Domyślałam się.

- I nie boli cię to?

- Boli. Ale wybór należał do Linca. Jak wiesz, nie jesteśmy małżeństwem, nie jesteśmy nawet zaręczeni, ty masz swoje sposoby, ja mam swoje, więc...

- O co ci chodzi? - zapytała Orlanda.

- O to, że ja go znam siedem lat, a ty nawet nie siedem dni.

- To nie ma nic do rzeczy - odparła prowokująco Orlanda. - Ja kocham jego, on kocha mnie.

- To się... - Idący z naprzeciwka Chińczyk Wpadł na Casey i niemal ją przewrócił. Z przeciwka nadchodzili następni. Z tyłu zaczęli je wyprzedzać inni goście powracający z przyjęcia. Między innymi lady Joanna, która zmierzyła je dziwnym wzrokiem, ale poszła dalej bez słowa.

- To się jeszcze okaże - rzekła Casey, gdy już były same. - Dobranoc, Orlanda. - Chciała krzyknąć: „Ty zarobiłaś pieniądze tyłkiem, a ja pracą. Cała twoja miłość sprowadza się do jednego słowa: pieniądze”.

Ależ ci mężczyźni łatwo ulegają odruchom. - Dziwne, że nie obwiniam Linca - mruknęła na głos, widząc zaciśnięte usta, błyszczące oczy i idealne, zmysłowe, ale kruche ciało. - Dobranoc.

Odeszła. Zmieniły się moje plany, myślała w skupieniu.

Dziś w nocy chciałam się kochać z Linkiem, ale teraz wszystko wygląda inaczej. Jeśli jest w jej łóżku i uległ jej czarowi... Dobrze, że się o tym dowiedziałam Boże, gdybym dzisiaj mu zaproponowała, mógłby odmówić... A teraz... Co ja mam robić?

Niech cholera weźmie wszystkie Orlandy świata! Im to łatwo. Na co dzień biorą udział w takich grach. A my pozostałe?

Co robić? Czekać do 25 listopada i ryzykować, że Orlanda znudzi mu się do tej pory?

Nie to niebezpieczne. Ta dama jest jak beczka prochu i wie, że Linc jest dla niej zrządzeniem losu.

Mocniej zabiło jej serce. Właściwie jestem do niej podobna, przyznała się. Może nie w łóżku czy w kuchni, ale uczę się równie szybko jak ona.

Weszła na zwał ziemi i przeklinała błoto, a potem zeskoczyła na drugą stronę. Na pierwszym miejscu w rzędzie samochodów stał rol s Dunrossa z szoferem.

- Przepraszam, czy tai-pan jeszcze tam jest?

- Tak, tak.

Ach, dziękuję. - Kierowca zamknął drzwi i pojechał w stronę budynku. Casey obejrzała się i zobaczyła zbliżającą się Orlandę. Chciała zobaczyć, jak przedostaje się przez błoto. Pomyślała, że zabawnie będzie, jeśli zaczeka. Zastanawiała się, jak się Orlanda zachowa.

Zobaczyła jej oczy zupełnie pozbawione strachu i pewny siebie uśmiezek. Orlanda minęła ją bez słowa, a Casey musiała opanować dreszcz. Może ty tak samo boisz się mnie i mojej siły, przyszło jej do głowy. Jeszcze raz popatrzyła na Rose Court - błyszczącą światłami wieżę.

Ciekawe, które światło pada teraz na Linca, a może otacza go mrok....

Gdy Orlanda zobaczyła Casey, natychmiast doszła do wniosku, że Casey była u niej w mieszkaniu i widziała się z Bartlettem. Ja bym tak zrobiła, stwierdziła. Ale nawet teraz, gdy wiedziała, gdzie faktycznie Casey bawiła, nie opuszczała jej lęk przed rywalką. Czy ona ma na Linca wpływ poprzez Par-Con? - zastanawiała się. Czy może kontrolować Linca dzięki swym udziałom? Jeśli pierwsza żona Linca niemal zniszczyła go finansowo, a Casey ocaliła go tyle razy, czego nie ukrywa, to na pewno musi go jakoś przy sobie trzymać. Ja w każdym razie na jej miejscu bym się o to postarała.

Odruchowo odwróciła się za siebie. Casey patrzyła na Rose Court. Dunross i inni - Riko, Toxe, Phillip i Dianne Czen - wychodzili z budynku i patrzyli w dół. Nie zwracała na nich uwagi, nie myślała o niczym innym, tylko o tym, jak będzie rozmawiać z Linkiem po powrocie.

Powinna powiedzieć mu o spotkaniu z Casey czy nie?

Wyjęła z samochodu pozostałe pakunki. Jedno wiem na pewno, powtarzała sobie cały czas, Linc jest mój i Casey czy nie Casey, poślubię go za wszelką cenę.

Casey obserwowała wychodzącego z foyer Dunrossa i podziwiała jego zgrabną sylwetkę - wysoki, pełen życia, od pierwszego ich spotkania odmłodził prawie o dziesięć lat. Cieszyła się, że to ona mu pomogła.

Właśnie się odwróciła i ruszyła przed siebie, gdy usłyszała jego głos:

- Casey! Casey, poczekaj chwilę! - Obejrzała się.

- Może pójdziesz z nami na kolację? - wołał.

Pokręciła głową, zupełnie nie miała nastroju na spotkanie towarzyskie.

-

Dziękuję, ale mam randkę! Do jutra...

W tym momencie osunęła się ziemia.

20:56

Ziemia zaczęła się osuwać wysoko na wzgórzu za Po Szan Road, przeleciała przez drogę i zabrała ze sobą dwupiętrowy garaż, zdemolowała ogród, a potem poto-czyła się dalej. Za następną ulicą zwały pociągnęły za sobą dom Richarda Kwanga. Potem do mas ziemi oraz powalonych domów dołączyły dwie na dziewięćset stóp długie i dwieście szerokie skały i dalej toczyły się w stronę Kotewal Road. Uderzyły w Rose Court.

Całe osunięcie trwało siedem sekund.

Po uderzeniu Rose Court zatrzęsł się, oderwał od swoich fundamentów i przewracał w stronę przystani.

Zanim całkowicie upadł na ziemię, złamał się mniej więcej w połowie wysokości i zgiął jak nogi klękającego człowieka.

Po drodze zahaczył górnymi piętrami o Sinclair Towers, a po sekundzie rozsypał się w gruz. Część osuwającej się ziemi i budynku poleciała na dół i zatrzymała się na terenie budowlanym. Nad przewróconym wieżowcem uniosła się chmura kurzu. Dokoła zapanowała idealna cisza.

Potem zaczęły się krzyki...

Suslew krztusił się, do połowy zasypany w tunelu pod Sinclair Road. Część sklepienia zawaliła się, z kanałów i rur trysnęła woda i zalała tunel. Zebrawszy siły, wygramolił się na powietrze. Bezradnie rozglądał się dokoła. Nie wiedział, co się stało, doszedł do wniosku, że musieli go złapać, poddać terapii usypianie-budzenie, a potem wrzucili do Czerwonego Pokoju. Ogarnęła go panika. Wszystkie budynki były ciemne, wysiadł prąd, a dokoła piętrzyły się stosy gruzu. Nagle poderwał się i uciekł w dół Sinclair Road...

Ci, którzy stali na Kotewall Road po drugiej stronie przewróconego budynku, byli bezpieczni, ale sparaliżowani strachem. Wśród tych szczęśliwców znalazła się Casey. Zbudowana na zbieżności dzielnic w jednej chwili zamieniła się w gołą, pokrytą skałami i błotem połąć.

Zniknęły budynki, drogi. Gdzieś w dole znajdował się Dunross w swoim towarzystwie.

Głos uwiązał Casey w gardle.

- O Jezu! - zdołała krzyknąć. - Linc!

Nogi ruszyły naprzód i zanim się zorientowała, biegła, przewracała się i szła na czworaka przez gruzy.

Przerażała ją ciemność, obezwładniały krzyki. Zewsząd słyhać było wołania o pomoc. Gdzieniedzie nadal pękały mury i zamieniały się w zwały gruzu. Nagle niedaleko niej zaczęły

trzaskać i sypać się iskry z przewodów wysokiego napięcia.

Niemal w oblędzie ruszyła do miejsca, gdzie kiedyś znajdowało się foyer. Przed sobą zobaczyła stertę gruzu, kawałków betonu, krzeseł, telewizorów, szyn stalowych, ubrań, łóżek, książek, filizanek. Nagle w świetle błysku przewodu wysokiego napięcia zauważyła windę z wystającymi ze środka połamanymi rękoma i nogami.

- Linc! - krzyczała z całych sił. Nie czuła nawet, że łzy zalewają jej oczy i twarz. Odpowiedzi jednak nie było.

Zrozpaczona na czworaka przechodziła przez niebezpieczne zwaliska. Dokoła rozlegały się wrzaski męż-

czyn i kobiet. Wtem niedaleko siebie usłyszała spod gruzu słaby, przepętniony strachem krzyk. Uklęknęła, pończochy i tak miała podarte, i zaczęła odgarniać cegły, aż znalazła małą wnękę z trzy-, może czteroletnim chińskim dzieckiem. Płakało, niemal dusiło się od kurzu.

O Jezu, biedactwo. - Casey rozejrzała się, ale nie widziała nikogo, kto mógłby jej pomóc. Nie zastanawiając się dłużej, raniąc palce do krwi, dziewczyna podniosła duży kawał betonu, który uniemożliwiał dziecku ruchy.

Złapała malca w ramiona, przytuliła do siebie i odeszła w bezpieczniejsze miejsce. Stała sama, przerażona.

Przyciskane do piersi dziecko drżało ze strachu, ale wyszło całe z tego potwornego piekła...

Gdy spadająca lawina zerwała drogę, po której szedł

Dunross i inni ludzie, wszyscy nagle stracili grunt pod nogami i polecili po zboczach. Zatrzymali się dopiero na kępie krzaków. Tai-pan wstał, czuł się niewyraźnie, dziwił się, że jest cały i zdrowy. Niedaleko siebie usłyszał

jęki. Zszedł trochę niżej po błocie i zobaczył Dianne Czen. Prawie straciła przytomność, jęczała, jedną nogę miała nienaturalnie podwiniętą pod siebie. Kość udowa przebiła skórę, ale najwyraźniej nie uszkodziła żadnej tętnicy i nie było żadnego groźnego wylewu krwi. Wyprostował jej nogę najdelikatniej jak potrafił, ale Dianne zawyła z bólu i zemdląła. Poczuli, że ktoś koło niego stoi, i odwrócił się. Riko miała podartą sukienkę, potargane włosy, z nosa sączyła jej się krew. Była bez butów.

- Chryste, nic ci nie jest?

- Nie... Nie... - mówiła drżącym głosem. - To... To trzęsienie ziemi?

W tym samym momencie z pobliskiego przewodu wysokiego napięcia buchnął snop iskier, rozświetlając na chwilę teren.

- O, mój Boże. Jak w Londynie podczas wojny. -

Zauważył leżącego głową w dół Phil ipa Czena. - Zostań tu przy Dianne - polecił Riko, a sam pokonując strach, ruszył w stronę Phil ipa. Honorowy doradca jeszcze oddychał. Dunross odetchnął z ulgą. Ułożył go w najlepszej pozycji jak się dało i rozejrzał się dokoła. Inni także podnosili się z ziemi. Niedaleko niego Christian Toxe trząśł głową, starając się oczyścić włosy.

Cholera jasna! - mrucał pod nosem. - Tam mieszkało kilkaset ludzi. - Wstał, ale za moment poślizgnął

się. - Muszę... Muszę zadzwonić. Podaj mi rękę. O, moje ramię, o, chyba się trochę wygięło.

Dunross pomógł mu wstać, a potem razem z nim i Riko dotarli jakoś do resztek drogi. Jedni stali jak sparaliżowani, inni rozglądali się, gdzie mogą pomóc, jeszcze inni jęczyli z bólu. Podtrzymywano i pocieszano kobietę, której mąż rzucił się w zgliszcza, bo gdzieś tam znajdowała się *amah* z trójką ich dzieci.

Gdy wdrapali się na to, co kiedyś było drogą, Toxe pokuśtykał do Kotewal Road, a Dunross pobiegł do samochodu po latarkę i apteczkę.

Lima nigdzie nie było widać. Nagle Dunross przypomniał

sobie, że gdy zleciała lawina, Lim był koło niego.

Otwierając bagażnik, szukał w pamięci, kto jeszcze im towarzyszył: Toxe, Riko, Jacques - nie, Jacques poszedł -

Phillip i Dianne Czen, Barre... Nie, Barre został na przyjęciu! Jezu Chryste! Na przyjęciu! Zapomnij o tym! Kto tam jeszcze? Richard Kwang z żoną, Plumm, Johnjohn, nie, on wyszedł wcześniej, Roger Crosse, chwileczkę, na pewno?

Dunross otworzył bagażnik, wyjął dwie latarki, apteczkę i linę. Podbiegł do Riko, bolały go plecy.

- Możesz zająć się Diane i Phil ipem? Ja pójdę po pomoc - mówił pewnym głosem. - Proszę. - Dał jej latarkę, bandażę i fiolkę aspiryny. - Dianne złamała nogę, a co z Phillipem, nie wiem. Zrób, co się da, i czekaj, dopóki nie przyjedzie karetka. Dobrze?

- Tak, oczywiście. - Ze strachem spojrzała do góry. -

Czy... Czy jest niebezpieczeństwo, że jeszcze coś się obsunie?

- Nie. Jesteś całkiem bezpieczna. No idź! - Jego pewność siebie odsunęła od niej lęk. Zaczęła schodzić po zboczu. Dopiero wtedy zauważył, że jest boso. Przypomniał sobie, że Dianne i Phil ip też nie mieli butów.

Przeciągnął się, żeby rozluźnić plecy. Miał podarte ubra nie, ale nie zwracając na nic uwagi, pobiegł w stronę przewróconego wieżowca. Z oddali usłyszał syreny poli cyjne. Poczul ulgę.

Nagle przy samochodach zauważył Orlandę. Wpatrywała się w miejsce, gdzie kiedyś stał Rose

Court, poruszała ustami, dostała drgawek. Dunross przypomniał sobie, że podobnie reagowała podczas pożaru w Aberdeen. Podszedł do niej i potrząsnął nią, mając nadzieję, że odpędzi od niej strach w taki sam sposób, jak to nieraz widział na wojnie.

- Orlanda! Wyrwała się z transu.

- O... o... Co...

Z ulgą zauważył, że ma normalny wyraz twarzy i spazmy minęły.

- Już się nie martw. Nic ci nie jest. Zbierz się w sobie, Orlanda, nic ci nie jest! - mówił uprzejmym, ale stanowczym głosem.

Zostawił ją opartą o maskę samochodu.

- O, mój Boże, Linc! krzyknęła przez łzy. - Linc!

Tam jest Linc!

Zatrzymał się i spojrzał do tyłu.

- Gdzie? Gdzie jest Linc?

- W mo... W moim mieszkaniu! Na siódmym piętrze...

Na siódmym...

Dunross pobiegł dalej, jego latarka była jedynym ruchomym źródłem światła na zgliszcach.

Wszędzie dokoła ludzie tonęli w ciemności, to tu, to tam zapalano zapalki. Gdy podszedł bliżej przewróconego Rose Court, zamarło mu serce. Poczul gaz. Z każdą sekundą zapach stawał się coraz silniejszy.

- Zgasić zapalki, na litość boską! - krzyknął. - Wy-sadzicie nas w powietrze!

Wtedy zauważył Casey...

Samochód policyjny na sygnale jechał za strażą pożarną. Na ulicy panował duży ruch, nikt się nie kwapił do ustąpienia miejsca. W samochodzie Armstrong słyszał przez radio:

- Wszystkie jednostki policji i straży pożarnej wzywane są na Kotewal Road. Alarm! Osunięcie ziemi od Po Szan aż po Sinclair Road! Podobno Rose Court i dwa inne jedenastopiętrowe budynki runęły na ziemię.

Cholernie śmieszne! - bąknął. - Uważaj! - Krzyknął na kierowcę, który zjechał na prawą stronę i cudem minął



ciężarówkę. - Tu skręć w prawo, a potem w Robinson i do Sinclair - rozkazał: Właśnie wracał do domu po kolejnej wyczerpującej sesji z Brianem Kwokiem, gdy usłyszał

wezwanie. Przypomnił sobie, że Crosse mieszka na Sinclair Road oraz że mówił, iż po akcji z Rosemontem wybiera się do Jasona Plumma, więc postanowił

sprawdzić, co się dzieje. Chryste, jeśli coś mu się stanie, to kto obejmie SI? A Briana puścimy, zatrzymamy czy co?

Z głośnika radiowego popłynął głos:

- Mówi dowódca straży pożarnej. Niebezpieczeństwo pierwszego stopnia! - Armstrong i kierowca otworzyli ze zdziwienia usta. - Jestem na skrzyżowaniu Sinclair, Robinson

i

Kotewall

Road

Powtarzam:

nie-

bezpieczeństwo pierwszego stopnia! Proszę natychmiast poinformować komisarza i gubernatora, zdarzyła się tragedia. Proszę powiadomić szpitale na wyspie i w okolicach. Rozkazać wszystkim karetkom przybyć na miejsce wypadku. Będziemy potrzebować natychmiastowej i dużej pomocy wojska.

- Jezu Chryste! - przeraził się Armstrong. - Pośpiesz się, na Boga!

Samochód policyjny nabrał prędkości...

- O, Ian! - zawołała Casey przez łzy. W ramionach nadal trzymała przerażone dziecko. - Tam gdzieś jest Linc.

- Tak, tak, wiem - uspokoił ją. Spod gruzów słychać było rozpaczliwe wołania o ratunek. Dokoła ludzie chodzili bez celu, nie wiedzieli, co robić, nie wiedzieli, jak pomóc. - Nic ci nie jest?

- Nie, ale... Linc, nie wiem... - Przerwała. W świetle latarki Dunrossa zobaczyli, jak fragmenty betonu zawa-lają się i przygniatają ciała leżące w windzie. - O, Jezu!

- Przerażone dziecko drgnęło.

-

Wracaj do smochodu, tam będziesz bezpieczna...

- W tym momencie z krzykiem ruszył w ich stronę mężczyzna i wyrwał jej z rąk dziecko. Potem dziękował

Bogu i jej.

-

Gdzie, gdzie je pani znalazła?

Casey pokazała palcem.

Mężczyzna spojrzął na gruz i zniknął w ciemności, szlochając z ulgą.

- Zostań, Casey - zalecił Dunross. Ze wszystkich stron słychać było zbliżające się syreny. -Ja się rozejrzę.

- Tylko ostrożnie. Boże, czujesz gaz?

- Jeszcze jak. - Ślizgając się i potykając, ruszył przez zgliszcza. Pierwsze ciało, jakie zauważył w świetle latarki, należało do nie znanej mu Chinki. Dziesięć metrów dalej leżał Europejczyk ze zmasakrowaną twarzą. Odwrócił się od niego i rozglądał się dalej, ale pomiędzy trupami nie widział Bartletta. Niedaleko siebie zauważył dwa rozerwane ciała Clhińczyków. Powstrzymał się od wymiotów i z powrotem zbliżył do Europejczyka. Sięgnął

mu do kieszeni, poświecił latarką i przeczytał nazwisko, na jakie wystawiono prawo jazdy: Richard Pugmire.

, - Chryste - westchnął Dunross. Zapach gazu stawał

się coraz intensywniejszy. Żołądek podszedł mu do gardła, gdy zobaczył iskrzące linie wysokiego napięcia.

Jeszcze trochę i wszyscy znajdziemy się na łonie Ab-rahama, przeszło mu przez głowę. Jeszcze raz spojrzął

na ciało Pugmire'a i ruszył dalej. Po kilku krokach usłyszał jęknięcie. Niewiele czasu zajęło mu zlokalizowanie źródła. Angażując wszystkie swoje siły, podniósł kawał

betonu i odsunął go na bok. Zobaczył głowę człowieka.

- Pomocy - mówił cicho Clinker. - Bóg cię ozłoci, koleś...

- Jeszcze chwileczkę. - Dunross próbował podnieść kawał płyty, ale brakowało mu sił. Rozejrzął się i znalazł

złamaną rurkę. Podważył płytę i przesunął o kilka centymetrów. - Możesz się ruszyć? - zapytał.

- Nogi... bołą, ale spróbuję. - Clinker złapał się kawałka metalu i zaczął się wyciągać spod podniesionej przez tai-pana płyty.

- Jak się nazywasz?

Clinker, Ernie Clinker, a ty?

- Ian Dunross.

- O! - Podciągał się z całych sił, ale nie było żadnego skutku.

Dunross naciskał na metalową rurkę całą mocą i napierał\* całym swym ciężarem. Płyta podniosła się o kolejny cal. Clinker na próżno usiłował się wydostać.

- Jeszcze trochę, tai-pan - jęknął z bólem. Dunross znów skupił siły, czuł, że napina ścięgna do ostateczności.

Płyta drnęła o kawałek.

- Dalej - syknął. - Bo nie utrzymam....

Clinker uchwycił się za kawałek metalowej belki i udało mu się o cal wysunąć z pułapki. Wtedy mógł lepiej się złapać i po chwili już połową ciała był na wierzchu.

Dunross mógł bezpiecznie opuścić płytę ? powrotem.

Potem wyciągnął Clinkera do końca i wtedy właśnie zauważył, że stary nie ma lewej stopy, a z kikuta leje się krew.

- Nie ruszaj się, kolego - powiedział ze współczuciem, a Clinker już prawie stracił przytomność. Dunross obwiązał nogę bandażami tuż pod kolanem, by zatamować krew.

Potem wstał i zastanawiał się, co robić dalej. Muszę zabrać stąd tego biedaka. Nagle usłyszał jazgot i huk spadającej ziemi, osłonił ramionami głowę. Poleciała następna lawina...

## 21:13

Od przewrócenia się Rose Court minęło tylko szesnaście minut, ale po całym terenie dotkniętym zniszczeniem krzatali się ludzie. Wielu rozpaczliwie próbowało wydostać się spod zgliszczy. Inni, już bezpieczni, gromadzili się wokół zaimprovizowanego obok skrzy-

żowania posterunku, gdzie stały policyjne samochody, cztery wozy strażackie i jednostki ratunkowe. Reflektory przeczesywały rumowisko, a policjanci i strażacy z ogromnym poświęceniem nieśli pomoc. Wszyscy zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa wybuchu gazu. Krążyły karetki z rannymi i umierającymi.

Nie paliły się lampy uliczne, ciemność powodowała chaos, znów zaczął padać deszcz. Zaraz po przybyciu dowódca straży pożarnej wysłał po ekspertów od gazu i inżynierów, którzy sprawdziliby fundamenty pozostałych stojących w pobliżu wieżowców, aby zdecydować, czy potrzebna jest ewakuacja. W grę wchodziły budynki na trzech ulicach: Kotewall, Conduit i Po Szan Road.

- Chryste - mówił dowódca - parę tygodni minie, zanim to wszystko przekopie i zrobimy porządek. - Twarz miał jednak spokojną i opanowaną. W pobliżu zatrzymał

się jeszcze jeden patrol policji. - O, witaj, Robert - rzucił

do Armstronga. - Tak, tak - dodał widząc szok na jego twarzy. - Bóg jeden wie, ilu jest pod ziemią...

Uwaga! - krzyknął ktoś i wszyscy rzucili się pod jakieś osłony, gdy ogromny kawał betonu oderwał się od najwyższych pięter Sinclair Towers i poleciał w dół. Jeden z policyjnych wozów skierował reflektory w górę. Widać było odsłonięte pokoje i poruszające się w środku sylwetki.

- Weź kogoś i ruszcie zobaczyć, co się tam dzieje u góry!

Strażak ruszył biegiem...

W ciemności na Kotewal Road gromadzili się gapie -

mieszkańcy pobliskich budynków - wszyscy przerażeni, nie wiedzieli, czy ewakuować się, czy nie, każdy obawiał

się kolejnych osunięć. Orlanda nadal leżała oparta o swój samochód, łzy na jej twarzy mieszały się z deszczem.

Kolejna grupa policjantów z silnymi latarkami weszła na gruzowisko. Jeden z nich usłyszał z dołu wołanie o pomoc, skierował w tamtą stronę snop światła i zauważył

kiwającą rękami Riko, a obok niej dwie leżące osoby.

Poniżej, na rozwidleniu Kotewal Road, zatrzymał się samochód Gornta. Lekceważąc rozkazy policjanta, złapał

kluczyki i ruszył biegiem do góry. Gdy zobaczył zgliszcza, stanął oszołomiony. Jeszcze kilka minut temu był w tym budynku, jadł, pił, flirtował z Casey. Wszystko dobrze się układało, Orlanda przeforsowała swój plan, aż nagle spokój zakłócił tryumf Dunrossa. Jakimś cudem Gornt na szczęście opuścił przyjęcie na czas, a teraz być może wszyscy inni już nie żyją i leżą gdzieś przywaleni betonem i ziemią. Chryste! Dunross, Orlanda, Casey, Jason, Bar...

- Z drogi! - krzyknął policjant. Nadjechały kolejne karetki pogotowia, przybiegli strażacy z toporkami. -

Niestety, nie może pan tutaj stać!

- Czy ktoś się uratował? - zapytał zdyszczym od biegu głosem.

- Tak, oczywiście, na pewno...

- Widzieliście Dunrossa? Iana Dunrossa?

- Kogo?

- Tai-pana. Dunrossa.

- Nie, niestety. - Policjant odwrócił się, by uspokoić zapłakanych rodziców.

Gornt przeniósł wzrok na gruzowisko, nadal dziwił się ogromowi zniszczenia.

-

Jezu! - usłyszał amerykański akcent.

Odwrócił się. W grupce ludzi zauważył Paula Czoja i Venus Poon.

-

Co ty tu robisz, Paul?

- O, pan Gornt! Mój... Tam jest mój wujek! - Paul Czoj miał kłopoty z mówieniem. - Jezu Chryste, proszę spoj...

- Cztery Palce?

Tak. On...

- Pan Wu czekał na mnie - weszła mu w «łowo Venus Poon. - Chciał przedyskutować ze mną kontrakt na film. Zamierzał zostać producentem filmowym.

Gornt odsunął od siebie nasuwającą się od razu myśl, że jeśli go uratuje, to Cztery Palce być może wesprze go na giełdzie. - Na którym był piętrze?

- Na czwartym - odparła Venus Poon.

- Paul, idź z tamtej strony od Sinclair Road, ja pójdę z tej, a później się spotkamy.

Zanim Venus Poon zdążyła go powstrzymać, młodzieniec już biegł w stronę gruzowiska. Gornt bez wahania rzucił się do pomocy. Mieszkanie Plumma także znajdowało się na czwartym piętrze, więc Wu Cztery Palce powinien znajdować się gdzieś w pobliżu. W

ciemności nie zauważył siedzącej przy samochodzie Orlandy.

Zapadając się po kostki w błocie szedł najszybciej, jak potrafił.

- *Heya*, Szlachetny Panie! - zawołał po kantońsku do stojącego mężczyzny. - Masz sprawną latarkę?

- Tak, tak, proszę - odpowiedział Chińczyk. - Ale proszę się strzec, tam jest pełno duchów.

Gornt podziękował mu i pobiegł dalej. W okolicach dawnego foyer zatrzymał się. Powyżej, na miejscu gdzie przedtem stały budynki, drzewa i rozciągały się drogi, pozostała niemal płaska połać ziemi. Niedobrze mu się zrobiło na myśl, że mógłby zostać zasypany w jednym z domów. Z powrotem przeniósł wzrok na zgliszcza.

- Niemożliwe - mruknął. Przypomniawszy sobie wysoki, potężny Rose Court, który napełniał go taką radością.

Popatrzył na Sinclair Towers - nienawidził go za zniszczenie mu wspaniałego widoku, jeszcze bardziej nienawidził Dunrossa, który był jego właścicielem i fundatorem. Widok oderwanego kawałka u góry wzbudził w nim rozkosz. Szybko jednak przypomniał sobie, że legł w gruzach jego prywatny apartament na jedenastym piętrze Rose Court. Także ten z siódmego piętra, z którym wiązały się wspaniałe wspomnienia o Orlandzie.

- Chryste - powiedział na głos, błogosławiąc swój Dos. Wszedł na rumowisko...

Casey siedziała na stosie gruzu i czekała. Ci, którzy przetrwali, chodzili po zgliszczach i na zmianę to krzyczeli, to nasłuchiwali wołań ludzi uwięzionych pod zwałami betonu. Gdzieś tam ktoś rozpaczliwie kopał w ziemi i rozgarniał kawałki gruzu, odgrzebując kolejnego nieszczęśnika.

Casey wstała i nerwowo zaczęła szukać wzrokiem Dunrossa. Szybko zginął jej z pola widzenia, ale od czasu do czasu dostrzegała strumień światła padający z jego latarki. Teraz od kilku minut nie widziała nic. Coraz bardziej się niepokoiła, strach wzrastał się za każdym razem, gdy gruzy zapadały się. Linc, tam gdzieś jest Linc.

Muszę coś zrobić, nie mogę tu tak siedzieć. Nie, lepiej siedź, módl się i czekaj na lana. On go znajdzie...

Nagle znów zerwała się na równe nogi. Spora część zbrocza, jeszcze nie obsunięta, teraz runęła w dół na gruzy. Znajdujący się w pobliżu ludzie uciekali przed śmiercią. Serce Casey waliło jak młot, nie widziała dodającego jej pewności światła latarki Dunrossa.

- O, Jezus, niech mu się nic nie stanie!

- Casey? Casey, to ty? - Z ciemności wyłonił się Gornt

- Och, Quillan - zaczęła patetycznym tonem, a on wziął ją w ramiona i to jej dodało siły. - Pomóż Lincowi...

- Przyjechałem, jak tylko usłyszałem w radiu - zagłuszył

ją. - Chryste, to przerażające, że ty... Spodziewałem się...

Nic ci nie jest?

- Nie... Nic... Nie, tylko Linc... On jest gdzieś tam, Quillan.

- Co? Jakim cudem? Czy on...

- Był w... U Orlandy i Ian...

- Casey, może się mylisz, posłuchaj...

- Nie. Orlanda mi mówiła.

- Co? Też się uratowała? Wyszła z tego?

Tak, była koło mnie, jak to wszystko się stało. Quillan, ja na własne oczy widziałam, jak ta lawina przewróciła cały budynek, później przybiegłam tutaj, a Ian poszedł

pomóc Lincowi...

- Dunross? Uratował się? - zapytał ze ściśniętym gardłem.

- Tak. Wyszli wcześniej. Jest gdzieś tam... Winda...

widziałam pełno ciał... Ian szuka... - przerwała.

Widziała, że Gornt skupił uwagę na rumowisku.

- Kto jeszcze wyszedł wcześniej?

- Jacques, Czenowie, ten dziennikarz, nie wiem... -

Nie widziała jego twarzy, nie mogła odczytać jej wyrazu. - Martwisz się, że Ian przeżył?

- Nie. Wprost przeciwnie. Gdzie poszedł?

- Tam - pokazała latarką. - Tam, gdzie ta hałda.

Natknąłeś się na resztki windy? - Teraz wyraźniej widziała jego brodatą twarz, ciemne oczy, ale i tak nie mogła z niej nic wywnioskować.

- Zostań tu - nakazał. - Tu jesteś bezpieczna. - Poszedł i po chwili zniknął.

Padał coraz większy deszcz. Gornt splunął. Cieszył się, że jego wróg numer jeden żyje. Nienawidził go, ale chciał, żeby żył.

Schodził na dół i poślizgnął się. Stoczył się kawałek, zaklął, wstał i ruszył dalej. A więc cholerny tai-pan, Ian Dunross, uszedł z życiem, myślał. Ten łajdak ma szczęście! Chryste! Nie zapominaj, że bogowie stanęli także po twojej stronie. Nie zapominaj...

Zatrzymał się. Gdzieś niedaleko usłyszał słabe wołanie o pomoc.

- Gdzie jesteś? - Zakrzyknął. Nic. Żadnej odpowiedzi.

Zawahał się, a potem ruszył kawałek dalej. Te przeklęte zwały mają ze sto stóp głębokości albo i więcej, dumał. -

Gdzie jesteś? - Znów nic. Coraz bardziej czuł gaz.

Gdy znalazł się koło resztek windy, zobaczył płataninę ciał. Niektóre z nich rozpoznawał. Odszedł i nagle oślepiło go światło latarki.

-

Co ty tu, do diabła, robisz, Quillan? – zapytał

Dunross.

- Ciebie szukam - powiedział, świecąc na niego.

- Casey mówiła, że bawicie się w chowanego.

Dunross siedział na kawałku betonu i próbował

odsapnąć. Całe ręce miał poranione, ubranie w strzę-

pach. Podczas drugiego obsunięcia wyleciała mu z ręki latarka; całą siłą woli zmusił się do opanowania strachu, gdy załała go ciemność. Cierpliwie przeszukiwał cal po calu cały teren wokół siebie. Już prawie dał za wygraną, gdy dotknął palcami latarki. Przy świetle lęk znów go opuścił. Widział drogę wyjścia. Spojrzał na Gornta i uśmiechnął się.



-  
Żałujesz, że przeżyłem?

Gornt wzruszył ramionami.

- Tak - też się uśmiechnął. - *Dżos*. Ale niedługo i tak będzie po tobie. - Obok nich zapadł się kawałek ściany. Gornt skierował tam światło. Obydwaj wstrzymali oddech.

-  
Jak stąd zaraz nie wyjdziemy, to twoje słowa spełnią się bardzo szybko.

Dunross nagle poczuł przeszywający ból w plecach.

Syknął.

- Mam nadzieję, że nic ci nie jest - powiedział

Gornt.

- Nie. - Dunross uśmiechnął się.

- Pomożesz mi? -W czym?

Dunross oświetlił ciało starego człowieka.

- Już go prawie wyciągnąłem. - Gornt natychmiast ruszył do pomocy. - Nazywa się Clinker, Miał przciśnięte nogi i stracił stopę.

- Czekaaj, Chryste! - Gornt nachylił się nad Clinkerem, po chwili podniósł głowę i spojrzał na Dunrossa.

- Przykro mi, ale ten facet nie żyję ..

-  
O, Boże! Na pewno?

Gornt poruszył Clinkerem jak lalką.

- Biedak.

- *Dżos*. Mówił, w której części budynku mieszkał? Na którym piętrze? Był ktoś z nim?

. - Bąknął coś o tym, że mieszkał w suterynie. Wypowiedział też imię Mabel.

Gornt poświecił dokoła iaiarką.

- Słyszałeś jakieś dźwięki?

- Nie.

Zabierzmy go stąd.

Podnieśli go. Po kilku metrach położyli ciało w bezpiecznym miejscu i odpoczywali. Obok przeszło dwóch sanitariuszy z noszami. Dunross ich przywołał.

- Zabierzemy go, Szlachetny Panie - powiedział, jeden z nich. Załadowali ciało na nosze i odeszli.

- Quillan, zanim wrócimy do Casey, to...

- Bartlett? Tak, Casey mówiła, że był u Orlandy.

- Gornt popatrzył na Dunrossa. - Mieszkała na siódmym piętrze.

Dunross spojrział w dół zbocza. Palilo się więcej świateł niż przedtem.

- Gdzie to może być?

- Siódme piętro? On na pewno już nie żyje.

-

Tak, ale gdzie to może być?

Gornt rozejrzał się.

- Nie widzę, ale może jak zejdziemy, coś skojarzę, chociaż wątpię. Chyba ruszymy w stronę Sinclair Road.

- Być może żyje gdzieś przysypany. Chodź, zobaczmy.

Dunross uśmiechnął się.

- Potrzebujesz go, żeby zawrzeć z nim transakcję?

Nie, teraz już nie.

- Bzdura. - Gornt wszedł na hałdę. - Casey! - zawołał, przyłożywszy dłonie do ust. - Idziemy na dół! Wracaj do samochodów i czekaj!

- Dobra! - usłyszeli jej głos. - Uważajcie!

- No - powiedział zjadliwie Gornt - jak mamy zgrywać bohaterów, to lepiej się postarajmy. Ja prowadzę. -

Ruszył przed siebie.

Dunross też nie był za bardzo zadowolony z towarzystwa, ale potrzebował Gornta. Od czasu do czasu mijali ciało albo kawałek ciała, ale nikogo nie rozpoznali.

Widzieli kilku żywych, którzy szukali bliskich, kopiąc w ziemi czym się tylko da - gołymi dłońmi, kawałkami desek.

Nagle Gornt zatrzymał się i uważnie prześwietlał snop światła po rumowisku.

- Masz coś? - zapytał Dunross!

- Nie. - Gornt zauważył kawałek zasłonki, podobnej do tych, które wisiały dokoła łóżka Orlandy, lecz nie był w jej mieszkaniu od dwóch lat, więc łatwo mógł się mylić.

- Co jest?

- Nic. - Gornt ruszył dalej, rozglądał się za pozostałościami

mieszkania Orlandy lub Asian

Properties z czwartego piętra. - To mogło być od Plumma

- powiedział, wskazując na przeciętą wpół sofę z wystającymi sprężynami.

- Ratunku! Pomocy, na bogów! - Usłyszeli słabe kantońskie wołanie. Gornt natychmiast skierował się w tamtą stronę, bo wydawało mu się, że słyszy głos Wu Cztery Palce. Na gruzach siedział Chińczyk i z przerażeniem rozglądał się dokoła siebie. Wyglądało na to, że nic mu się nie stało.

Rozpoznali go od razu, on ich również. Uśmiechnięty Czing, bankier.

-

Co się dzieje, Szlachetny Panie? - zapytał po kantońsku. Sepleniał z powodu wystających zębów.

Gornt opowiedział mu pokrótce.

-

O, bogowie - jęknął Czing. - To niemożliwe! Ja żyję? Ja naprawdę żyję?

- Tak. Na którym byłeś piętrze, Uśmiechnięty?

- Na jedenastym... Właśnie oglądałem w pokoju telewizję. - Zastanowił się. - Tak, na ekranie była ta...

Venus Poon i wtedy...eee... od Conduit Road rozległ się hałas. Potem pamiętam dopiero, że znalazłem się tutaj.

Kilka minut temu.

- Kto był z tobą w mieszkaniu?

- Tylko *amah*. Pierwsza Żona poszła na *ma-džong*.

- Stary Chińczyk ostrożnie się podniósł i poczuł, że ma całe nogi, i zrobił krok. - *Aiii ia*, na bogów! Widać, że mnie obdarzyli łaską. To cud, tai-pan i drugi tai-pan!

Oczywiście, że obdarzyli mnie łaską! Z pewnością teraz odbuduję swój bank, znów stanę się bogaty i otrzymam funkcje gospodarza w klubie jeździeckim. *Aiii ia*, co za *džosl* - *Jeszcze raz* sprawdził, czy z nogami wszystko w porządku, i odszedł.

-Jeśli tu jest jedenaste, to siódme będzie z tyłu zawyrokował Dunross.

Gornt pokiwał głową. Miał spiętą twarz.

- Jak ten bałwan przeżył, to może i Bartlettowi się udało.

- Chodźmy zobaczyć.

23:05

Poprzez gęsty deszcz, bryzgając na boki błotem, przyjechała wojskowa ciężarówka i iatnymała się przy posterunku dowódczym. Z samochodu wyskoczyli irlandzcy żołnierze w płaszczach przeciwdeszczowych, niektórzy trzymali w ręku toporki. Oficer już na nich czekał.

-

Idźcie na górę, sierżancie! O'Connor!

Oficer był młodym człowiekiem. Płaszcz, buty i spodnie wojskowe miał zachlapane błotem.

- Nie palić! Nadal są wycieki gazu!

- Gdzie kompania Alfa, sir?

- Na Po Szan. Delta mniej więcej w połowie drogi. Na Kotewal jest punkt pomocy. Ze mną można się połączyć na kanale czwartym. W drogę!

Żołnierze patrzyli na zgliszcza.

- Boże drogi jedyny! - szeptali niektórzy. Ruszyli za swoim sierżantem. Oficer wrócił na posterunek i podniósł

sluchawkę telefonu polowego.

- Z kompanią Delta. Tu dowództwo. Zdajcie raport.

- Odkopaliśmy cztery ciała, sir, i dwoje rannych.

Jesteśmy w połowie zbocza. Ranna Chinka nazywa się Kwang, ma wiele obrażeń, ale ogólnie wszystko w po-rzadku. Jej mąż jest tylko w szoku.

- W której części budynku byli?

-

Na czwartym piętrze. Zdaje się, że uratowały ich twarde dźwigary. Obydwoje są w drodze do punktu pomocy na Kotewal . Słyszymy kogoś głęboko zakopa-nego, ale nie możemy do niego dotrzeć. Strażakom nie wolno użyć palników acetylenowo-tlenowych. Za dużo tu gazu. To już wszystko, sir.

- Tak trzymać - odpowiedział i dodał rozkazującym tonem: - Idź zobaczyć, co zatrzymało tych koleśi od gazu! Powiedz im, żeby się wreszcie ruszyli!

-

Tak jest!

Zmienił kanały.

- Punkt pomocy przy Kotewall? Tu dowództwo. Jaki bilans?

- Jak do tej pory, czternaście ciał, kapitanie.

Dziewiętnastu rannych, w tym niektórzy bardzo ciężko.

Staramy się jak najszybciej zbierać ich nazwiska.

Wypuściliśmy Sir Dunstana Barre'a. Ma tylko skręcony nadgarstek.

- Dobra robota, tak trzymać. Na kanale szesnastym policja zbiera nazwiska zaginionych. Podajcie im wszystkie, jakie macie. Na dole wielu się niepokoi.

- Tak jest. Chodzą pogłoski, że będziemy ewakuować całą okolicę.

- Komisarz, gubernator i dowódca straży pożarnej właśnie podejmują decyzję.

Oficer rozmasował zmęczoną twarz. Wszedł w stronę następnej nadjeżdżającej ciężarówki z Hindusami z Korpusu Inżynieryjnego. Minał gubernatora, komisarza i starszego oficera straży pożarnej. Po chwili dołączył

do nich siwowłosa inżynier Wydziału Prac Publicznych.

- Dobry wieczór - powiedział z niepokojem w głosie.

- Sprawdziliśmy już wszystkie budynki. Od Po Szan aż do dołu. Uważamy, że należy ewakuować

dziewiętna-

ście budynków.

- O, Boże! - wybuchnął Sir Geoffrey. - Chce pan powiedzieć, że zawali się to całe wzgórze?

Nie, sir. Ale jeśli deszcz się utrzyma, zaczną się kolejne osunięcia. Na tym terenie tak się dzieje od

dawna, sir. - Wskazał palcem w ciemność. - W czterdziestym

pierwszym

roku

Bonham.

W

pięćdziesiątymdziewiątym roku - Robertson, Lytton Road. To lista bez końca. Proponuję ewakuację.

-  
Których budynków?

Inżynier podał gubernatorowi listę.

-  
Obawiam się, że chodzi o jakieś dwa tysiące ludzi.

Wszyscy się zdziwili i wbili wzrok w gubernatora.

Czytał listę i spoglądał na zbocze.

- Dobrze. Niech tak będzie. Ale, na miłość boską, powiedzcie swoim ludziom, żeby nie dopuścili do paniki.

- Tak jest, sir. - Inżynier odszedł.

- Donald, da się załatwić więcej ludzi i sprzętu?

- Przykro mi, ale w tej chwili nie - odparł komisarz. Był

pięćdziesięcioletkiem o wyrazistej twarzy. - Mamy też inne akcje. Potężne osunięcia w Kculunie, Kwun Tong.

W tym drugim miejscu ziemia zagarnęła osiemdziesiąt chat, już mamy czterdzieści cztery ofiary śmiertelne, w tym dwadzieścioro dzieci.

Sir Geoffrey popatrzył na wzgórze.

- Chryste Panie! Myślałem, że jak Dunross załatwił

wszystko z Drepczącym, to nasze kłopoty się skończyły.

Dowódca straży pożarnej pokręcił głową.

- Obawiam się, że dopiero się zaczęły, sir. Według naszych ustaleń pod tymi zgliszczami może być zakopa-nych jeszcze ze sto osób albo nawet więcej. Kilka tygodni nam zabierze przekopanie tego wszystkiego.

Żeby tylko...

- Tak. - Gubernator zawahał się, a potem oznajmił

pewnym głosem: - Idę na Kotewal . Można się ze mną połączyć na kanale piątym. - Podszedł do samochodu.

Otworzył drzwi, ale zatrzymał się, gdy zobaczył

nadchodzących Sindera i Crosse'a. Wracali z Sinclair Road, gdzie zapadł się kanał odpływowy. -  
Udało się coś?

- Nie, sir. Weszliśmy tam, ale jest zapadnięty na długości pięćdziesięciu jardów. Tamtędy nigdy się  
nie dostaniemy do Rose Court - ocenił Crosse.

Gdy Rose Court zawalał się i utracił kawałek z czterech górnych pięter Sinclair Towers, Crosse  
znajdował się w odległości około siedemdziesięciu jardów od swojego bloku. Gdy tylko zrozumiał,  
co się stało, natychmiast pomyślał o Plummie, a potem o Suslewie. Suslew był

bliżej. Gdy dotarł do zacienionego Sinclair Towers, na zewnątrz wysypały się już dziesiątki  
lokatorów. Rozsuwając ich, wszedł po schodach na najwyższe piętro i zapalił miniaturową latarkę.  
Z mieszkania numer 32 nie zostało prawie nic. Crosse natychmiast doszedł do wniosku, że jeżeli  
Suslew był tutaj albo u Clinkera, na pewno już nie żyje. Mogło mu się jedynie udać uciec, jeśli  
przechodził przez tunel.

Zszedł na dół i sprawdził wejście do tunelu. Zobaczył, że wartkim strumieniem płynie w nim woda.  
Zadowolony i pewny, że Suslew nie żyje, podszedł do najbliższej budki telefonicznej, ogłosił w  
policji alarm i poprosił do telefonu Sindera.

-

Tak? Cześć, Roger.

Opowiedział Sinderowi, co się stało.

- Suslew był u Clinkera - dodał na koniec. - Moi ludzie widzieli, że nie wychodził, więc został  
zasypany. Nie było możliwości, żeby się uratował. Clinker to samo.

- Cholera! - Długie milczenie. - Zaraz jadę.

Crosse wyszedł z budki i zajął się organizacją ewakuacji Sinclair Towers. W wyniku uderzenia w  
najwyższe piętra zginęły trzy rodziny. Gdy przybyli umundurowani policjanci i dowódca straży,  
liczba ofiar śmiertelnych wynosiła siedem, a cztery inne osoby umierały. Gdy przyjechał Sinder i  
gubernator, poszli do odsłoniętej części tunelu, żeby sprawdzić, czy tamtędy można dostać się pod  
zgliszczą.

-

Nie da rady, Sir GeofTrey. Cały odpływ zasypany

- pokazał Crosse. W duszy był zadowolony z rozwiązania, które nasunęło się samo.

- Wielka szkoda! - mówił smutno Sinder. - Tak, pech!



Straciliśmy szpiega, który mógł wiele nam powiedzieć.

- Naprawdę sądzisz, że wyznałby, kim jest Arthur?

- zapytał Sir Geoffrey.

- Tak - odparł pewien siebie Sinderson. - Zgadzasz się ze mną, Roger?

- Tak. - Crosse z trudem powstrzymał uśmiech.

- Tak, jestem tego pewien.

Sir Geoffrey westchnął.

- Zaczną

się poważne kłopoty na szczeblu

dyplomatycznym, gdy nie wróci na „Iwanowa”.

- To nie nasza wina - obruszył się Sinderson. - To zrządzenie losu.

- Słusznie, ale wiecie, jacy Sowieci są ksenofobiczni.

Założę się, że posądzą nas o zamknięcie go i przesłuchiwanie. Lepiej, żeby szybko znalazło się jego ciało.

- Tak. - Sinderson postawił kołnierz płaszcza. - A co z odpłynięciem „Iwanowa”?

Jakie są wasze propozycje

- Roger?

- Ja sugeruję, aby od razu do nich zadzwonić, przekazać Boradinowowi, co się stało, i jeśli chce, możemy przełożyć ich odpłynięcie na później. Wyślę samochód po niego i po wszystkich, którzy chcą pomóc w poszukiwaniach.

-

Dobrze, ja jadę na górę na Kotewal .

Sir Geoffrey odjechał. Sinderson zapytał:

- Na pewno nie ma szans, żeby przeżył?

- Żadnych.

Podbiegł do nich ubłocony policjant.

- Oto najnowsza lista zmarłych i ocalałych, sir. -

Młodzieniec podał Crosse'owi kartkę papieru. - W radiu ma zaraz przemówić Venus Poon, sir, jest na Kotewall.

- W porządku, dziękuję - rzekł Crosse i przejrzał listę.

- Chryste Panie!

- Jest Suslew?

- Nie, ale wielu starych znajomych nie żyje. - Podał mu listę. - Zajmę się tym Boradinowem, ale potem pójdę tam, gdzie może być Clinker.

Sinders pokiwał głową i spojrział na kartkę. Dwudziestu ośmiu ocalałych, siedemnastu martwych. Żadne nazwisko nic mu nie mówiło. Na liście ofiar znajdował się Jason Plumm...

Po nabrzeżu w Koulunie, gdzie stał przycumowany

„Iwanow”, kręcili się kulisi wnoszący na pokład resztki zaopatrzenia i sprzętu. Ze względu na wyjątkową sytuację obstawa policji została ograniczona do minimum, teraz przy schodni stało tylko dwóch umundurowanych policjantów. Suslew w dużym kapeluszu kulisa, w zniszczonych spodniach i jak inni bosy, przemknął się niezauważenie na pokład. Boradinow natychmiast zaprowadził go do swojej kabiny. Jak tylko drzwi kabiny zostały zamknięte, Boradinow wybuchnął:

- *Christos!* Towarzyszu kapitanie, już myślałem, że zginęliście. O dwunastej...

- Zamknij się i słuchaj! - krzyknął jeszcze roztrzęsiony Suslew. Przechylił butelkę wódki i wlał w siebie pokaźny łyk trunku. - Sprzęt radiowy już naprawiony?

- Właściwie tak. Jeszcze tylko zagłuszcacz.

- Dobrze. - Opowiedział, co się stało. - Nie wiem, jak mi się udało uciec, pamiętam dopiero, jak znalazłem się w pół drogi ze wzgórza. Złapałem taksówkę i przyjechałem. - Napił się wódki, alkohol dobrze mu robił.

Udało mu się uciec przed śmiercią i przed pułapką Sindera. - Posłuchajcie, gdyby ktoś się pytał, ja cały czas jestem w Rose Court! Nie żyję albo zaginałem.

Raczej nie żyję.

- Ależ towa... - zaczął Boradinow.

- Idźcie na komendę policji, powiedzcie, że nie wró-

ciłem, i poproście o przedłużenie pobytu. Jeśli odmówią, to odpływamy. Jeśli pozwolą, zostaniemy jeden dzień, a potem zrozpaczeni odpłyniemy. Rozumiecie?

- Tak, towarzyszu kapitanie, ale po co to?

- O tym później. Teraz postarajcie się, żeby wszyscy na pokładzie wiedzieli, że zaginąłem. Rozumiecie?

- Tak.

- Nikomu nie wolno wejść do mojej kabiny, dopóki nie wypłyniemy na międzynarodowe wody. Dziewczyna już jest?

Tak, w tej kabynie, w której rozkazaliście. - Dobrze. -

Suslew zastanowił się nad nią. Mógł odesłać ją na ląd z tego powodu, że jest zaginiony, albo mógł trzymać się planu. - Postępujemy zgodnie z planem. Gdy policja doniesie, że zaginąłem... A doniesie, bo ci, co mnie śledzili, wiedzą, że jestem z Clinkerem... Gdy policja doniesie o tym, powiedzcie jej, że nasze odpłynięcie opóźni się i ma zostać w kabynie aż do mojego przybycia. Bierz się do dzieła.

Suslew zamknął za nim drzwi na klucz. Ulżyło mu, już prawie całkowicie doszedł do siebie, włączył radio. Teraz mógł zniknąć. Sinderson nie doniesie na trupa. Pozostaje mu tylko przekonanie Centrum, aby przenieśli go z Azji w inne miejsce i pod zmienionym nazwiskiem. Może powiedziec, że ze względu na wiele informacji w raportach Medforda lepiej będzie, jeśli ktoś inny zajmie się Crosse'em i Plummem - jeśli jeszcze żyją, pomyślał. Lepiej, żeby zginęli. Chociaż nie. Roger nie. On jest za cenny.

Podniesiony na duchu i bardziej pewny siebie niż przez parę ostatnich lat wszedł do łazienki. Wziął żyletkę i pędzelek do golenia. W radiu nadawano melodię Beatlesów. Może mogliby mnie przenieść do Kanady, planował. Przecież to dla nas jeden z najważniejszych punktów strategicznych. Tak samo jak Meksyk.

Nachylił się przed lustrem. Nowe miejsce, nowe cele do osiągnięcia, nowe nazwisko i być może awans. A jeszcze kilka godzin temu czekał mnie upadek. Może Wertyńska mogłaby pojechać ze mną do Ottawy.

Zaczął się golić. Gdy Boradinow powrócił z informacją, że policja pozwoliła na późniejsze wypłynięcie, ledwie rozpoznał Gregora Suslewa bez wąsów i brody.

23:40

Bartlett leżał dwadzieścia stóp pod ziemią w plątaninie metalowych szyn, które uchroniły go przed zmiąż-

dzeniem. Gdy trzy godziny temu lawina uderzyła w Rose Court, popijając właśnie zimne piwo, stał w wejściu do kuchni i spoglądał przez okno na miasto.

Umył się, ubrał i czekał na powrót Orlandy. Czuł się wyśmienicie. Nagle przewrócił się, zawirował mu cały świat, podłoga znalazła się u góry, miasto zniknęło z oczu. Potem był ogromny wstrząs.

Długo powracał do przytomności. Dokoła panowała ciemność. Nie mógł pojąć, co się stało ani gdzie jest.

Gdy się ocknął, rozejrzał się dokoła i bezskutecznie próbował zrozumieć, czego dotyka i gdzie się znajduje.

Ciemność przeraziła go. Chciał się zerwać na równe nogi. Uderzył głową o beton będący częścią zewnętrznej ściany. Po jakimś czasie znów zaczął normalnie myśleć, ale bolała go głowa, ręce i całe ciało. Jego uwagę przykuły fosforyzujące wskazówki zegara. Zobaczył, że jest 23:41.

Pamiętam... Co pamiętam?

- Na litość boską! - mruknął. - Uspokój się! Weź się w garść! Gdzie ja, do diabła, byłem? - Zaczął wodzić wzrokiem po betonie i resztkach pokoju. Widział niewiele, nie rozpoznawał niczego. Wpadające nie wiadomo skąd światelko odbijało się od jakiejś błyszczącej powierzchni. Od kuchenki gazowej. Nagle wszystko sobie przypomniał. - Stałem w kuchni - mówił na głos.

-

Orlanda

wyszła jakąś godzinę wcześniej, nie, pół godziny. I wte dy około dziewiątej... No właśnie, co się stało? Trzęsienie ziemi?

Ostrożnie macał twarz, nogi, za każdym razem, gdy ruszył ręką, przeszywał go ból.

- Cholera! - zaklął, wiedząc, że jest zwichnięta.

Twarz i nos miał przysypane pyłem i trudno mu się oddychało. Wszystko inne zdawało się działać normalnie, tylko ten ból głowy. - Nic ci nie jest. Możesz oddychać, widzisz, sły...

Przerwał, podniósł mały kawałek gruzu i rzucił.

Serce mu drgnęło, gdy usłyszał puknięcie.

-

...i słyszysz. A więc. co. u diabła, się stało? Jezu, jak na wojnie...

Leżał na plecach i starał się zachować siły.

- Tak właśnie trzeba postępować - pouczał sierżant.

- Leżycie i zastanawiacie się, czy wpadliście w pułapkę,

czy spadła bomba. Najpierw upewnijcie się, czy da się oddychać. A potem drażcie dziurę, róbcie cokolwiek, żebyście mogli łąpać powietrze. To po pierwsze.

Później

sprawdzajcie ręce i nogi, upewnijcie się, czy słyszycie, czy widzicie, a potem połóżcie się i nie panikujcie.

Strach was zabije. Odkopałem naszych chłopców kiedyś po czterech dniach i byli zdrowi jak ryby. Jeśli możecie oddychać, widzicie i słyszycie, z łatwością przeżyjecie tydzień. Cztery dni, to, do diaska, kawał czasu, nie?

A czasami odkopaliśmy takiego po godzinie i zakrztusił

się własnymi rzygowinami albo walił łbem w coś metalowego i tracił przytomność, a my kopaliśmy tylko kilka kroków od niego. Jakby taki jeden z drugim leżeli grzecznie i spokojnie, usłyszeliby nasze głosy i starczyło

by im sił, żeby krzyknąć. Jak któryś z was, łajdaki, spanikuje pod ziemią, to niech od razu ma się za trupa.

Jasne. Ja setki razy leżałem zasypany. Pamiętajcie: nie

panikować! i

- Nie panikować! - powtórzył na głos Bartlett i poczuł się lepiej. Był wdzięczny staremu sierżantowi. Kiedyś podczas wojny bomba spadła na barak, który właśnie zbudowali, i Bartlett został zasypany. Gdy otrząsnął

sobie z ust, oczu i uszu ziemię, wpadł w popłoch.

Zaczął się rzucać i przypomniał sobie właśnie tamte słowa: nie panikować. Zmusił się do leżenia. Czuł, że trzęsie się ze strachu, ale powstrzymał się. Potem uważnie rozejrzał się dokoła siebie. Bombardowanie odbywało się za dnia, więc bez, trudu zauważył

miejsce, przez które mógł próbować ucieczki. Zgodnie jednak z instrukcjami leżał spokojnie i czekał. Po niedługim czasie usłyszał głosy. Zachował głos, więc mógł krzyknąć.

- To kolejne wasze cholerne zadanie: zachować głos. Nie wrzeszczcie wniebogłosy, gdy usłyszycie pierwszy szmerek nadchodzącej pomocy. Bądźcie cierpliwi. Pamiętam, do diabła, takich, co wrzeszczeli tak, że ogłuchli, i nie usłyszeli, jak przechodzimy.

Wbijcie

sobie

do przeklętych głów, że my wam idziemy z pomocą.

Nie

panikujcie. A jak nie możecie krzyczeć, zapukajcie czymś, zróbcie jakikolwiek hałas, ale dajcie znać. My was na pewno znajdziemy. Jeśli możecie oddychać, tydzień wytrzymacie bez trudu. Trochę diety nikomu nie

zaszkodzi...

Teraz Bartlett wykorzystywał te instrukcje. Słyszał

osuwanie się gruzu, kapanie wody, ale żadnych od-głosów powodowanych przez ludzi. Potem, z oddali doleciał go słabiutki dźwięk syreny policyjnej. Upewnił

się, że nadchodzi pomoc, i czekał. Serce biło mu spokojnym rytmem. Błogosławił rady starego sierżanta

- nazywał się Spurgeon Roach i był Murzynem.

To z pewnością trzęsienie ziemi, myślał. Ciekawe, czy przewrócił się cały budynek, czy poleciały wyższe piętra. Może rozbił się samolot? Nie, słyszałbym, jak nadlatuje. Niemożliwe, żeby przewrócił się cały budynek! Ale przecież tu jest Hongkong, doszły mnie słuchy, że nie zawsze wykonawcy trzymają się przepisów i czasami oszukują - zastosują niższej jakości stal lub gorszy cement. Jezu! Gdybym takiego... nie, jak takiego dorwę...

Kolejna rada sierżanta:

-

Nie

zapominajcie,

że

póki

oddychacie,

wydostaniecie się... wydostaniecie się. Jasne. Gdy się wydostanę, odszukam Spurgeona i podziękuję mu, a kogoś odpowiedzialnego za tę budowę porządnie obsztoruję. Casey na pewno... o, Casey. Cieszę się, że jej tu nie ma. Tak samo Orlandy... Jezu, a może Orlanda już wraca...

Beton obsunął się. Bartlett czekał z bijącym sercem.

Teraz lepiej widział. Nad nim znajdowała się płatanina stalowych szyn i rury wystające z betonowej płyty, obok leżały porozbijane filiżanki, czajniczki i kawałki mebli. Niewiele miał dokoła siebie przestrzeni. Ledwie wystarczy, żeby wstać. Podniósł się na kolana i poczuł

lekki klaustrofobiczny lęk.

-

Nie panikować! - powtarzał głośno. - Jakies sześć na pięć stóp. – Dźwięk głosu dodawał mu otuchy.

- Nie bójcie się mówić na głos - instruował Spurgeon.

Znów zwrócił uwagę na odbijające się od kuchenki światło. Z tego wynika, że jestem w kuchni. A gdzie znajdują się inne rzeczy? Usiadł i zaczął przypominać sobie rozkład i wyposażenie mieszkania. Po przeciwnej stronie kuchenki stał stół, było okno, a dalej lodówka i... Cholera, skoro jestem w kuchni, to mam jedzenie i. piwo i mogę przetrwać cały tydzień. Jezu!

Gdyby tak mieć światło. Może latarka? Zapałki?

Zapałki i świeca? Jasne! Latarka wisiała koło lodówki.

Orlanda mówiła, że często wysiadają korki. A w szufladzie pełno zapałek do zapalania gazu. Gaz!

Powąchał powietrze. W nosie miał pełno kurzu, więc przeczyścił dziurki i znów powąchał. Nie czuć gazu. To dobrze,

dobrze,

myślał.

Rozpoczął

dokładne

poszukiwania. Nie znalazł niczego. Po dalszych półgodzinnych przetrząsaniach natrafił palcami na konserwy z jedzeniem i cztery puszki z piwem.

Jeszcze chłodnym. Otworzył jedno i napił się -

oszczędnie, bo zdawał sobie sprawę, że być może będzie mu ono musiało wystarczyć na kilka dni.

Jednak samopoczucie mu się poprawiło. Nagle poczuł

drżenie. Niedaleko niego spadł na ziemię kilkutonowy kawał betonu. Bartlett wstrzymał oddech. Drżenie ustało. Napił się piwa.

Czekać czy próbować się wydostać? Pamiętał, co Spurgeon radził w takim wypadku: „To zależy, chłopcy, zależy”.

Znów usłyszał nad sobą trzeszczenie. Zaczęła ogarniać go panika, ale opanował się.

- Zastanówmy się - znów głos dodał mu otuchy - mam zapasy na dwa, trzy dni. Czuję się dobrze. Bez trudu przetrwam trzy-cztery dni, ale ty, cholero -spojrzał na betonową płytę u góry - co ty zamierzasz zrobić?

Nie padła żadna odpowiedź. Nagle usłyszał czyjś głos.

Z daleka po prawej stronie. Przyłożył dłonie do ust.

Pomocy! – krzyknął i nasłuchiwał. Głosy rozlegały się z tego samego miejsca. - Pomocy!!!

Czekał, ale odpowiadała mu martwa cisza. Czekał.

Nic. „Przestań i czekaj!” Minuty płynęły powoli. Kapanie wody stawało się jeszcze głośniejsze. Musi padać, wpadło mu na myśl. Jezu! Założę się, że obsunęła się ziemia. Jasne, pamiętasz te pęknięcia na drodze?

Cholerne, pieprzone obsunięcia! Ciekawe, kto jeszcze został uwięziony. Jezu, co za mętlik!

Wyciągnął róg koszuli i zawiązał supeł. Jeden na jeden dzień. Zegarek wskazywał 23:58. Gdy obudził

się po raz pierwszy, była 22:16.

Znów natężył uwagę. Doleciały go głosy, tym razem bliższe. Po chińsku.

-

Pomocy!

Głosy umilkły, a potem:

- Gdzie jesteś? *Heya?* - usłyszał.

- Na dole. Słyszycie mnie?! Cisza.



- Gdzie jesteś? - usłyszał z dalszej odległości.

Bartlett zaklął, wziął puszkę i zaczął walić w szynę.

Po jakimś czasie przestał i nasłuchiwał. Nic.

Usiadł z powrotem. Może poszli po pomoc, pomyś-

lał. Opanował chęć otworzenia kolejnej puszki. „Bądź

cierpliwy, nie panikuj. Pomoc jest już blisko. Najlepsze, co mogę zrobić, to czekać na...” W tym momencie wszystko zadrżało, dokoła rozległ się ogłuszający hałas, szyny u góry zaczęły się niebezpiecznie osuwać. Bartlett, osłaniając głowę ramionami, skulił się jak dziecko. Jedna chwila wstrząsów zdawała się trwać wiecznie. Potem minęła. Serce biło mu jak młot, w ustach miał pełno pyłu. Sięgnął po puszkę z piwem.

Zniknęły. Konserwy z żywnością także. Zaklął, a potem ostrożnie podniósł głowę i niemal uderzył w sklepienie. Teraz ze swojej pozycji bez trudu mógł

dotknąć wszystkich ścian, podłóża i sklepienia.

Nagle usłyszał syczenie. Żołądek podszedł mu do gardła. Sięgnął ręką w kierunku skąd wydobywał się ten przeciągły dźwięk i poczuł leciutki powiew.

Zapachniało gazem.

-

Lepiej stąd zmykaj, koleś - powiedział zmieszany.

Zabrał się za torowanie drogi. W ruchu, w działaniu poczuł się lepiej.

Panowała absolutna ciemność i trudno mu było posuwać się w jednym kierunku. Zwłaszcza że co chwila napotykał różne przeszkody, czasami ciała, strzępy ciał. Słyszał jęki, czasami dobiegające z oddali pytanie „Gdzie jesteś?” Czołgał się, szedł na czworaka, cierpliwie, bez paniki. Po jakimś czasie dotarł do miejsca, gdzie mógł się wyprostować. Nie wstał jednak, lecz położył się i oddychał głęboko ze zmęczenia. Gdy oddech mu się wyrównał, spojrział na zegarek. Zebrał siły i ruszył dalej do góry, ale miał

zablokowane przejście. Spróbował w innym miejscu, również bezskutecznie. W następnym także nie dało się przejść. Znów impas. Z wysiłkiem spróbował

utorować sobie drogę w kolejnym miejscu, ale na próżno. Nie wiedział, czy jest nisko, czy wysoko.

Zatrzymał się chwilę, żeby odpocząć, położył się na wilgotnym betonie. Głowa mu pękała z bólu, palce krwawiły, oddychał z trudem.

- Nie pękaj, koleś - nakazał sobie głośno. - Od poczujesz, zaczniesz od nowa...

**Poniedziałek**

00:45

Hinduscy żołnierze z latarkami przeszukiwali teren.

- Jest tam kto? – krzyczeli, a potem nasłuchiwali.

Poniżej żołnierze, policjanci, strażacy i przestraszeni ludzie postępowali tak samo.

Wokół było ciemno, światło z reflektorów tutaj nie docierało.

- Jest tam kto? - zawołał żołnierz i czekał. Potem przeszedł kilka stóp dalej. Jeden z szeregu potknął się i wpadł w dołek. Był bardzo zmęczony, ale roześmiał

się

do siebie, poleżał chwilę, a potem znów zawołał: - Jest tam kto? - Podnosił się i nagle zastygł w bezruchu.

Wyteńczył słuch. Położył się z powrotem. - Słyszysz mnie?

- zawołał i znów oczekiwał reakcji.

- Taaaak! - odpowiedział słaby głos.

Podeksytowany żołnierz podniósł się.

- Sierzancie! Sierzancie!

Piętnaście jardów dalej Gornt stał z młodym porucz-nikiem dowodzącym grupą w tym sektorze. Słuchali wiadomości z małego, tranzystorowego radia:

- „...obsunięcia ziemi w całej kolonii. A teraz kolejny komunikat prosto z Kotewall Road. - Krótka cisza, a potem z radia popłynął dobrze znany głos. Młody mężczyzna lekko się uśmiechnął. - „Dobry wieczór.

Venus Poon mówi na żywo z miejsca najstraszniejszej zagłady, jaka dotknęła kolonię". - W jej głosie pobrzmiwał ton bohaterstwa. W podobnej manierze opisywała poprzednio pożar w Aberdeen. - „Rose Court przy Kotewall Road już nie" istnieje. Wielki jedenastopiętrowy wieżowiec uważany przez większość mieszkańców Hongkongu za symbol miasta zamienił

się w gruzy. Mojego domu już nie ma. Dzisiejszej nocy palec Wszechmogącego strącił z powierzchni ziemi i budynek, i tych, którzy w nim mieszkali. Między innymi oddaną *gan sun* wychowującą mnie od urodzenia..."

- Sir! - zawołał sierżant. - Tam ktoś jest!

Natychmiast podbiegli do niego porucznik i Gornt.

- Kobieta czy mężczyzna?

- Mężczyzna, *sah!* Zdaje się, że nazywa się Barter czy jakoś tak...

Wenus Poon znajdowała się w swoim żywiole. Na niej skupiała się uwaga wszystkich. Stała w blasku reflektorów ekipy telewizyjnej. Cały czas czytała maszynopis, który dostała do ręki przed nagraniem.

Gdzeniegdzie zmieniała tekst, w niektórych miejscach ściszała głos, w innych podnosiła, czasami pozwoliła sobie na uронienie łezki - malutkiej, aby nie rozmazać makijażu - i w taki sposób opisywała tragedię, że wszyscy słuchacze mieli wrażenie, iż osobiście są na zboczu i drżą ze strachu dziękując *dżosowi*, że tym razem jeszcze nie dosięgnęła ich śmierć.

-, „Nadal pada deszcz - szeptała do mikrofonu. -

Podczas upadku Rose Court zawadziło o Sinclair Towers, na razie naliczono siedem ofiar śmiertelnych: czworo dzieci, dwóch Chińczyków i Europejczyk, wielu jeszcze spoczywa pod gruzami..." - Łzy leciały jej z oczu. Przerwała, a ci, którzy ją oglądali, wstrzymali oddech.

Na początku na myśl, że straciła mieszkanie, całą biżuterię i nowe futro z norek, rwała sobie włosy z gło-wy. Potem przypomniała sobie, że wszystkie kosztowności trzyma w banku u byłego kochanka Kwanga, a futro z norek oddała właśnie do krawca. A co do ubrań, to, phi, Cztery Palce kupi jej nowe!

Cztery Palce! Ooo, mam nadzieję, że stary wyjdzie z tego cało jak Uśmiechnięty Czing. liii, co za cud!

Jeśli jednemu się udało, to dlaczego drugi nie miałby podzielić jego losu? I na pewno żaden upadek budynku

nie

zdoła zabić Ah Poo. Ona przeżyje! Oczywiście, że tak!

I bankier Kwang też uszedł z życiem! Przecież płakałam

z radości na wieść, że jest bezpieczny, nie? Och, cóż za

szczęśliwy dzień! I do tego ten Dochodowy Czoj, taki mądry, przystojny, interesujący mężczyzna. Gdyby miał

pieniądze, prawdziwe pieniądze, pasowałby do mnie.

Wystarczy mi już tych starych pryków z ich słabiutkimi *yang* dla mej wyśmienitej *yin*...

< .

Reżyser nie wytrzymał. Podeszedł do mikrofonu i oznajmił:

- Nasz raport będziemy kontynuować, jak tylko panna

Ven...

Nagle wyrwała się z zamyślenia.

- Nie, nie - powiedziała z brawurą. - Przedstawienie musi trwać! - Dramatycznym gestem otarła łzy i kontynuowała czytanie na przemian z improwizacją. -

„Na dole wspaniali hinduscy i irlandzcy żołnierze nieustraszenie narażają życie przy odkopywaniu naszych Sióstr i Braci...”

- O Boże - mruknął Anglik. - Co za odwaga! Ona zasługuje na medal, no nie staruszku? - Odwrócił się do sąsiada, ale z zakłopotaniem zauważył, że to Chińczyk. - O, przepraszam.

Paul Czoy nie słuchał go. Całą uwagę skupiał na oświetlonych

teraz

reflektorami

pielęgniarskich

przynoszących ze zgliszcz nosze. Wracał właśnie z punktu pomocy zatłoczonego takimi samymi jak on krewnymi starającymi się zidentyfikować martwych i rannych lub zgłaszającymi zaginięcie i domniemane przysypanie pod gruzami. Paul całą noc chodził we wszystkie strony w nadziei odnalezienia ojca. Pół

godziny temu jeden ze strażaków dostał się do miejsca, gdzie upadło czwarte piętro. Wyciągnięto żyjących Richarda i Mei-mei -Kwang, Jasona Plumma z połową odciętej głowy i innych - w większości martwych.

Zobaczył

pielęgniarzy

z

noszami.

Białe

prześcieradła zakrywały ciała. Drżąc na myśl o kruchości życia, Paul Czoy zastanawiał się nad

jutrzejnymi reakcjami giełdy. Czy zamkną na znak żałoby? Jezu, jeśli tak, to we wtorek rano Struanowie na pewno podskoczą do trzydziestu. W piątek przed zamknięciem zaryzykował kupno akcji na bazie marży za pięciokrotnie wyższą sumę, niż pożyczył mu Cztery Palce. Za pięć razy po dwa miliony hongkongijskich dolarów. Kupił akcje Struanów, Blacs, Victorii i Ho-Pak. Zaryzykował. Przypuszczał, że tai-pan przez weekend zamieni jakoś porażkę w zwycięstwo i że pogłoski o napływie pieniędzy z Chin są prawdziwe.

Od spotkania z Gorntem w Aberdeen, kiedy to przedstawił swoją teorię o podtrzymaniu Ho-Pak przez Blacs albo Victorię, cały czas zastanawiał się, czy zorientuje się, kiedy te się stanie. A był pewien, że stać się tak musi. Gdy na wyścigach Richard Kwang poprosił go o kupienie Ho-Pak i prawie natychmiast Havergill ogłosił przejęcie, Paul Czoj musiał pobiec do męskiej toalety i wymiotować. Zainwestował

dziesięć milionów w Ho-Pak, Blacs, Struanów i Victorię po najniższych cenach. Kiedy o dziewiątej wieczorem dowiedział się o półmiliardowej pożyczce z Chin, wiedział, że stał się milionerem, multi-milionerem.

Młodzieniec nie mógł się powstrzymać i ruszył w krzaki. Myślał, że umrze.

- Doprawdy, ci Chińczycy - skomentował jeden z gapiów, Anglik, nachylając się do przyjaciela - są tacy słabi, no nie?

Paul Czoj otarł usta. Czuł się strasznie, gdy myślał o ogromnej sumie. To było dla niego za wiele.

Przyniesiono kolejne nosze. Słabym krokiem ruszył

do punktu medycznego. Doktor Meng przeprowadzał

przymusowy, nagły zabieg. Paul patrzył, jak doktor Tooley po kolei odkrywa przyniesionych pacjentów.

Europejka z otwartymi i wytrzeszczonymi oczami. Doktor Tooley westchnął i zakrył jej powieki. Dalej dziesięć-

cioletni chłopiec. Również martwy. Chińskie dziecko.

Na końcu zakrwawiony i cierpiący z bólu Chińczyk.

Doktor wstrzyknął mu morfinę.

Paul Czoj odwrócił się, znów mu się zbierało na wymioty. Wyszedł.

- Nic tu po panu, panie Czoj - gdy wrócił, doktor Tooley grzecznie zasugerował: - Może poczeka pan w samochodzie? Powiadomimy pana natychmiast, gdy usłyszymy coś o pańskim wuju.

- Tak, dziękuję.

Przybyły kolejne nosze. Pielęgniarze załadowali rannych do karetki. Odjechała na sygnale. Gdy młodzieniec zostawił za sobą zapach krwi i śmierci, poczuł się o wiele lepiej.

- Witaj, Paul, co słychać?

- O, tai-pan, dziękuję, w porządku. - Opowiedział tai panowi o Wu Cztery Palce. Dunross był poruszony, a zarazem w cichości ducha zadowolony.

- I jeszcze nic o nim nie słychać?

- Nie.

Dunross zawahał się.

- Być może brak wiadomości to dobra wiadomość.

Skoro przeżył Uśmiechnięty Czing, to można mieć nadzieję, nie?

- Tak. - Paul Czoj popatrzył za odchodzącym tai-panem i z powrotem wrócił do kalkulacji. Po fantastycznym przejęciu General Stores i zapędzeniu Gornta w sidła, jego akcje na pewno podskoczą do 30, analizował. A Ho-Pak kupione po 12,50 musi zwyżkować do 20, więc policzmy, 17,5 procent z 10

milionów...

- Panie Czoj, panie Czoj!

Doktor Tooley kiwał na niego z punktu medycznego.

Serce mu zamarło. Pobiegnął najszybciej, jak tylko mógł.

-

Nie jestem pewien, ale proszę za mną.

Nie mogło być pomyłki. Wu Cztery Palce nie żył.

Miał cudownie spokojną twarz i dziwny uśmiech.

Po policzkach Paula Czoja spłynęły łzy. Uklęknął

obok noszy, ogarnął go smutek. Doktor Tooley ze zrozumieniem zostawił go samego i zajął się innymi.

Ktoś krzyczał, zrozpaczona matka ścisnęła w ramionach martwe dziecko.

Paul Czoj patrzył na twarz ojca, nie było po niej widać, że należy do zmarłego.

Co teraz? - zadawał sobie pytanie Paul, ocierając z policzków łzy. Nie czuł, że umarł jego ojciec, lecz głowa rodziny. W chińskich rodzinach strata głowy rodziny jest o wiele okrutniejsza niż strata ojca. Jezu, co teraz? Nie jestem najstarszym synem i nie muszę podejmować żadnych decyzji, ale i tak nie wiem, co robić.

Szlochanie przywróciło go do rzeczywistości. Obok niego stara kobieta płakała nad starym mężczyzną. Za dużo tu śmierci, pomyślał Paul Czoj. Martwi muszą spocząć w grobie, a życie toczy się dalej. Przestałem być związany z Wu, teraz jestem Amerykaninem.

Odsunął prześcieradło i ściągnął W u rzemyk z połówką monety. Schował do kieszeni. Upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, przeszukał kieszenie ojca. Znalazł

pieniądze, klucze, osobistą pieczęć i brylantowy pierścionek w puzderku.

Wstał i podszedł do doktora Tooleya.

- Przepraszam, czy można by mojego wujka umieścić tam z boku? Zaraz podjadę samochodem. Rodzina...

Dobrze?

- Oczywiście. Proszę przedtem poinformować policję.

Ustalają listę osób zaginionych. Jutro wystawię akt zgonu. Przepraszam, ale nie mam czasu... - Doktor Tooley podbiegł do doktora Menga.

Paul Czoj szedł na dół. Nie przeszkadzał mu panujący dokoła zamęt. Miarowo biło mu serce, uspokoił si żołądek. Paul spokojnie myślał o swojej przyszłości. Moneta należy teraz do mnie, ucieszył się, mając pewność, że Cztery Palce nikomu więcej o niej nie powie. Ufał tylko tym, którym musiał.

Mam jego pieczęć i mogę z nią zrobić wszystko, co zechcę. Ale oczywiście nie zamierzam jej używać. To byłoby oszustwo. A po co mam chwycić się takich nieuczciwych sposobów, kiedy jestem do przodu? Bogowie obdarzyli mnie większym sprytem niż jego synów, Ja o tym wiem, oni wiedzą i nic w tym nadzwyczajnego. Jestem lepszy. Uczciwie będzie, jeśli zatrzymam tylko monetę i zysk z dwóch milionów. Zmodernizuję wszystko w rodzinie.

Wyposażę statki w potrzebny sprzęt. Ale za swój zysk chcę założyć własne imperium. Oczywiście. Ale najpierw popłynę na Hawaje .....

Dunross zatrzymał się obok swojego samochodu i otworzył tylne drzwi. Casey poderwała się i zbladła.

- Linc?



- Nie, jeszcze nie. Ale Quil an jest pewien, że dobrze wskazał teren. Hindusi właśnie szukają. Zaraz wracam zmienić Gornta. - Dunross starał się, aby jego głos był jak najbardziej przekonujący. - Ekspeci twierdzą, iż istnieją duże szanse, że przeżył. Nie martw się. Tobie nic nie jest?

- Nie, nie. Dziękuję.

Gdy wrócił do samochodu poprzednim razem, wysłał

Lima po kawę, kanapki i butelkę brandy. Wiedział, że noc potrwa długo. Chciał, żeby Casey wróciła do hotelu z Riko, ale ona odmówiła i Riko wróciła z Limem innym samochodem.

- Ian, napij się brandy? - zapytała Casey.

- Poproszę. - Nalewała mu złocisty płyn. Miała spokojne ręce. Brandy mu smakowała. - Wezmę kanapkę dla Quil ana. Wlej też brandy do kawy, co?

- Jasne - przytaknęła zadowolona, że może się do czegoś przydać. - Co z innymi? Kto ocalał?

- Donald McBride i jego żona. Oboje są w szoku.

- O, to dobrze. A zmarli?

- Nikogo znajomego. - Uznał, że nie powie jej o Plummie ani o Southerbym z Blacs. W tym momencie podbiegła Adryon i Martin Haply, Adryon płacząc z ulgi rzuciła się w objęcia Dunrossa. - O, tata, właśnie się dowiedzieliśmy, byłam taka przerażona!

- No już - powiedział uspokajająco. - Nic mi nie jest.

Adryon, przecież tai-pana Noble House nie ruszy jakieś byle osunięcie ziemi.

- Nie mów tak - odezwała się błagalnym tonem, była przesądna. - Nie mów tak! Tu są Chiny, twoich słów słuchają bogowie!

- No dobrze, moja droga. - Przytulił ją do siebie i uśmiechnął się do Martina Haply'ego, który także miał

wilgotne oczy. - Wszystko w porządku?

- Tak, sir, byliśmy w Koulunie. Miałem coś napisać o tamtejszych osunięciach, gdy usłyszeliśmy... A niech to, tak się cieszę, że pana widzę, tai-pan. My... chyba cały samochód zamoczyliśmy, jak tu jechaliśmy...

- Nie szkodzi. - Dunross puścił Adryon. - Już dobrze, złotko?

Przytuliła się z powrotem.

- Tak. - Zobaczyła Casey. - O, witaj, Casey, nie zauwa... eee...

- Nie bądź niemądra. Wchodźcie do środka, bo zmokniecie.

Adryon posłuchała. Martin Haply zawahał się.

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu, rozejrzę się.

- Christian Toxe żyje - poinformował szybko Dunross. - Poszedł do tele...

- Tak, dzwoniłem do redakcji. Dziękuję. Zaraz wracam, kochanie - powiedział do Adryon i ruszył w stronę gruzowiska. Dunross obserwował śmiałego, pewnego siebie młodzieńca, a potem zauważył Gornta. Tamten zatrzymał się i pomachał rękami.

Dunross spojrział na Casey. Ze swojego miejsca nie mogła dostrzec Gornta.

- Wrócę, jak tylko będę mógł - obiecał.

- Uważaj na siebie!

Podszedł do mokrego Gornta w postrzępionym ubraniu i z potarganą brodą.

- Znaleźliśmy go - powiadomił bez entuzjazmu. -

Znaleźliśmy Bartletta.

- Nie żyje?

- Żyje, ale nie możemy go wydostać. - Gornt skinął

na termos. - Herbata?

- Kawa z brandy.

Gornt napił się.

- Casey czeka w samochodzie?

Tak. Jak głęboko jest Bartlett?

- Nie wiadomo, ale głęboko. Może lepiej jej jeszcze nic nie mówić.

Dunross zawahał się.

- Odłóżmy to na później.

- No dobrze - zgodził się Dunross. Miał już dosyć wszechobecných śmierci i cierpienia. - Dobrze.

Deszcz sprawiał, że noc była jeszcze bardziej ponura, a zgliszcza niebezpieczniejsze. Z pozostałych budynków ewakuowali się mieszkańcy.

- Na pewno nie mylisz się co do Drepczącego i pieniędzy? - zapytał Gornt, oświetlając drogę latarką.

- Na pewno. Koniec szturm na banki.

- To dobrze. Co daliście w zamian?

Duncross zignorował pytanie, wzruszył ramionami.

- Nasze akcje podskoczą na otwarciu do trzydziestu.

- To się jeszcze okaże. A jeśli nawet, to jestem bezpieczny.

- Czyżby?

- Stracę około dwóch milionów dolarów amerykań-

skich. Tyle dał mi Bartlett na pokrycie.

Dunross poczuł radość. To nauczy Bartletta szacunku dla mnie, tryumfował.

- Wiedziałem o tym. Świetny pomysł. Ale przy trzydziestu stracisz ze cztery miliony, Quillan. Jego dwa i swoje dwa. Niemniej nadal mogę odkupić Ali Asian Air.

- Nie ma mowy. - Gornt zatrzymał się i popatrzył na niego. - Nigdy. Nie są na sprzedaż.

- Jak chcesz. Oferta jest ważna do otwarcia giełdy.

- Do diabła z twoimi interesami!

Szli pod górę. Minęli powracających pielęgniarzy z noszami, na których leżała ranna kobieta. Żaden z nich jej nie znał. Gdyby Dunross został w budynku, pomyślał ponuro Gornt, wszystkie moje problemy rozwiązałyby się same...

1:20

Hinduski sierżant skierował do dołu światło latarki.

Dokoła niego zgromadzili się inni żołnierze, młody porucznik oraz strażacy z dowódcą.

- Gdzie on jest? - zapytał dowódca drużyny strażackiej Harry Hooks.

- Tam, gdzieś na dole. Nazywa się Bartlett, Linc Bartlett. — Hooks zobaczył, że na dole sączy się, a potem gaśnie światełko. Położył się na ziemi. Coraz bardziej czuć było gaz.

- Hej, tam na dole, panie Bartlett! Słyszysz mnie pan?

- krzyknął.

Wszyscy słuchali z napięciem.

- Tak - doleciał ich słaby głos.

- Jest pan ranny?

- Nie!

- Widzi pan nasze światło?

- Nie. Hooks zaklął.

- Proszę zostać na swoim miejscu!

- W porządku, ale mam tu dużo gazu! Strażak wstał.

- Był tu pan Gornt - relacjonował oficer - i poszedł

po pomoc.

- To dobrze. Wszyscy rozsunąć się. Zobaczą, czy da się znaleźć jakieś zejście na dół. - Żołnierze wykonali rozkaz, a jeden z Hindusów krzyknął: Tam! Pomiędzy blokiem betonu, kawałkiem deski i stalową płytą widać było otwór, przez który ewentualnie mógłby prześlizgnąć się człowiek. Hooks zawahał się, a potem zaczął wyjmować ciężki sprzęt.

- Nie - wstrzymał go oficer. - Najpierw my spróbujemy. - Spojrzał na swoich ludzi. - No co?

W jednej chwili wszyscy z zapalem ruszyli do zauważonej dziury.

- Nie - odezwał się porucznik. - Sangri, ty jesteś najniższy.

- Dziękuję, *sah*. - Mały człowieczek uklonił się z uśmiechem. Miał ciemną twarz i białe zęby. Wszyscy obserwowali, jak wchodzi przez dziurę głową w dół

niczym glista.

Dwadzieścia stóp niżej Bartlett stał w ciemnościach.

Dokoła siebie miał mało miejsca, wyjście blokował mu duży kawał betonu, coraz bardziej czuł gaz. Nagle zauważył u góry błysk światła. Nie słyszał nic prócz kapania wody. Ruszył w stronę światła. Nagle z boku zaczęły się osuwać gruzy, lecz równie nagle zatrzymały się. Ponad sobą zauważył wolną przestrzeń. Podciągnął się i dotarł do ślepego końca.

Ruszył w drugą stronę, to samo. Nad głową wymacał

obluzowane deski podłogi. Zapał się i udało mu się je poruszyć. Zakrztusił się kurzem. Nagle zauważył

światło. Niewielkie, ale gdy przyzwyczaiał oczy, mógł

widzieć na kilka jardów. Osłabło jego uniesienie, gdy zobaczył, że ze wszystkich stron jest uwięziony.

- Hej, tam na górze!

- Słyszemy cię - dotarła do niego stłumiona odpowiedź.

- Widzę światło.

- Jakie światło? - padło po chwili.

- A skąd ja, do diabła, mam wiedzieć! - krzyknął

Bartlett. Nie panikować, myśleć i czekać, prawie usłyszał głos Spurgeona. Czekał. Nagle światło poruszyło się. - To!!! - zawołał.

Światło zatrzymało się w miejscu.

-

Zlokalizowaliśmy cię! Zostań, gdzie jesteś!

Bartlett rozejrzał się bardzo uważnie. Potem drugi raz z takim samym rezultatem: nie ma wyjścia. Żadnego.

- Będą mnie musieli wykopać - mruknął. Zaczął go ogarniać strach...

Młody Hindus Sangri znajdował się dziesięć stóp pod powierzchnią, ale spory kawałek na prawo od

Bartletta. Nie mógł iść dalej. Oparł się o betonową płytę i poczuł, że lekko drgnęła. Popchnął ją przed siebie, spojrzął za nią, ale przejścia nie było. Zacisnął

zęby i modlił się, żeby nic się nie zawaliło. Dalej nie da się iść.

- Sierzancie! - zawołał po nepalsku. - Nie mogę już dalej iść.

- Na pewno?

- Tak, jak najbardziej.

;

- To wracaj.

Przedtem jednak zawołał w ciemność:

- Hej, tam na dole!

- Słyszę cię - odpowiedział Bartlett.

- Nie jesteśmy daleko! Wydostaniemy cię, *sah!* Nie martw się.

- W porządku.

Z wielkimi trudnościami udało się Sangriemu wrócić.

Ziemia się lekko osunęła i został zasypany małymi kamykami. Niestrudzenie wspinał się jednak do góry.

Dunross i Gornt szli przez zgliszcza, mijali ludzi usuwających gruz.

- Dobry wieczór, tai-pan, dobry wieczór, panie Gornt. Namierzyliśmy go, ale jesteśmy jeszcze daleko.

- Hooks wskazał na człowieka stojącego nieruchomo z latarką. - O, w tym kierunku.

- Jak głęboko pod powierzchnią?

- Sądząc po głosie... jakieś dwadzieścia stóp.

- Chryste!

- Tak. Wpadł biedak w pułapkę. Nie możemy użyć palników. Za dużo gazu.

- Musi być jakiś inny sposób. A gdyby zajść z boku?

-

zapropował Dunross.

- Cały czas czegoś szukamy. Najlepszym wyjściem jest sprowadzić więcej ludzi i oczyszczać teren. -

Hooks odwrócił się, gdy rozległ się krzyk radości.

Wszyscy podbiegli do przejętych żołnierzy. Pod stertą desek znaleźli przejście prowadzące na dół. Jeden z mniejszych wszedł w otwór i zniknął. Pozostali przyglądali się i zachęcali okrzykami. Pierwsze sześć stóp poszło mu łatwo, następne dziesięć trudno, a dalej przejść już nie mógł.

- Hej, tam na dole, *sah*, widzisz moje światło?

- Tak! - Głos Bartletta było słychać wyraźniej.

Prawie nie trzeba było krzyczeć.

- *Sah*, chcę pana namierzyć światłem. Proszę powiedzieć, jak je kierować, żeby było dobrze.

- Dobra. - Bartlett dostrzegł światło z prawej strony.

Padało na sterty belek i szyn. Dokładnie ponad sobą widział dźwigary i podłogę. Na chwilę stracił światło z oczu, ale po chwili ukazało się znowu. - Trochę w lewo

- poinstruował lekko już ochrypłym głosem. Światło natychmiast się przybliżyło. - Teraz na dół!  
Stop!

Odrobinę do góry. - Cała czynność zdawała się trwać wieki, ale wreszcie światło padało na niego. -  
Świetnie!

Żołnierz usypał stosik z kamieni i ustawił latarkę.

- Dobrze jest, *sahl*

- Idealnie!

- Idę po pomoc!

- W porządku.

Żołnierz wycofał się. Po dziesięciu minutach zawołał

Hooksa. Dowódca grupy strażaków ruszył w jego stronę.

-

Z miesiąc minie, zanim to przeszukamy.

Wszedł pod powierzchnię. Wyjął kompas i dokładnie określił położenie Bartletta.

- Nie przejmuj się, kolego - zawołał w dół. -

Wyciągniemy cię zdrowego i całego. Możesz się przysunąć do światła?

- Obawiam się, że nie.

- Więc zostań na miejscu. Nic ci nie jest?

- Nie, ale czuć tu gazem.

- Nie przejmuj się, już jesteśmy blisko.

Po wyjściu na powierzchnię znów wyjął kompas i wyznaczył kierunek. Przeszedł kilka kroków.

- Jest pod tym miejscem, tai-pan. Mogę się mylić najwyżej o pięć stóp. Dwadzieścia stóp pod powierzchnią. - Znajdowali się bliżej Sinclair Road niż Kotewall.

- Możemy tylko kopać - oświadczył na koniec. - Nie da rady ciąć, więc nic innego nam nie pozostaje.

Najpierw spróbujemy tutaj. - Hooks wskazał oddalone o kilka stóp miejsce.

- Dlaczego akurat tutaj? - zapytał Gornt.

- Będzie bezpieczniej, gdyby się miało to wszystko osunąć. Chodźcie pomóc, i tylko ostrożnie.

Zaczęli kopać i wyrzucać na bok wszystko, co dało się ruszyć. Była to bardzo ciężka praca. Natrafiali na deski, belki, szyny, gips, cement, garnki, radia, telewizory,

biurka,

ubrania

i tysiące

innych

drobiazgów. Przerwali, gdy znaleźli czyjeś ciało.

- Sprowadźcie lekarza! - zawołał Hooks.

- Ona żyje?

- Można tak powiedzieć. - Kobieta była stara, miała na sobie kiedyś białą bluzkę i czarne zabłocone spodnie. Długie włosy były spięte w koński ogon. To była Ah Poo.

- Czyjaś *gan sun* - domyślił się Dunross.

Gornt z niedowierzaniem przyglądał się miejscu, w którym ją znaleźli: w niewielkim otworze między



ogromnymi kawałami betonu.

-

Jak tym ludziom udaje się przeżyć?

Hooks uśmiechnął się. Miał połamane, brązowe od tytoniu zęby.

- *Dżos*, panie Gornt. Dawajcie tu szybko nosze!

Charlie, biegiem!

Wkrótce starą *gan sun* zabrali pielęgniarze. Wszyscy z powrotem zabrali się do pracy. Otwór się powiększał.

Godzinę później kilka stóp niżej natrafili na stalowe belki. - Musimy to ominąć - zarządził Hooks. - Cierpliwie wzięli się za kopanie. Potem następna przeszkoda. Jeszcze raz omijamy.

- Nie możemy się przez to przedrzeć?

- Ależ, możemy, tai-pan. Ale wystarczy iskierka i już witamy w gronie aniołów. Chodźmy. Spróbujmy tutaj.

Wszyscy wypełnili polecenie...

## 4:10

Bartlett już wyraźnie słyszał ich głosy. Od czasu do czasu przysypywał go pył, niekiedy spadł kawałek gruzu. Według jego oceny wybawcy znajdowali się jakieś dziesięć jardów od niego i mniej więcej pięć, sześć stóp nad nim. W świetle latarki przyjemniej mu się czekało. Sam zupełnie nie miał gdzie uciekać.

Wcześniej zastanawiał się, czy nie wrócić i gdzie indziej poszukać wyjścia.

- Lepiej zaczekać, panie Bartlett - poradził Hooks.

Przynajmniej wiemy, gdzie pan jest!

Więc został. Leżał na jakiejś desce, kapał na niego deszcz. Miał tyle miejsca, że mógł sobie pozwolić tylko na leżenie, a przy zachowaniu ostrożności udawało mu się usiąść. Czuł zapach gazu, ale jeszcze nie bolała go głowa. Wydawało mu się, że w takim powietrzu jest w stanie bezpiecznie czekać bardzo długo. Był mocno, mocno zmęczony. Mimo to odmawiał sobie snu. Wiedział, że dokopanie się do niego zajmie jeszcze sporą część nocy albo nawet dnia. Wcale się jednak tym nie przejmował. Cieszył

się, że oni tam są. Godzinę temu usłyszał głos Dunrossa:

- Linc? Linc, tu Ian.

- Co ty tu, do diabła, robisz? - zawołał uszczęśliwiony.

- Ciebie szukam. Nie przejmuj się, już jesteśmy blisko.

Jasne, Ian... - ogarnął go niepokój - słuchaj, znasz Orlandę Ramos? Byłem u niej...

- Tak. Tak, widziałem ją zaraz po osunięciu. Nic jej nie jest. Czeka przy Kotewall. Cała i zdrowa. A co u ciebie?

- Spokojnie - powiedział niemal beztrósco. Wiedział, że jest bezpieczny. A gdy Dunross opowiedział mu, jak sam cudem uniknął tragedii i o tym, że Casey na własne oczy widziała katastrofę, zrozumiał że inni też ledwo uszli z życiem.

- *Dżos.*

Gawędzili jeszcze chwilę, a potem Dunross wziął się do kopania.

Dziękował Bogu za uratowanie Orlandy i cieszył się, że Casey nic nie grozi. Orlanda z pewnością nigdy nie wytrzymałaby tu pod ziemią. Casey być może tak, ale Orlanda za nic w świecie. Na szczęście nie straciła twarzy.

Był przemoczony do suchej nitki, dostał gęziej skór-ki, ale zbliżające się odgłosy wybawców napawały go otuchą. Dla zabicia czasu kontynuował rozważania o obydwu kobietach. Nigdy nie widziałem takiego ciała jak u Orlandy. Wydawało mu się, że zna ją od lat, a nie od kilku dni. To prawda - słabo ją znam, więc jest przez to bardziej ekscytująca, niebezpieczna, pociągająca. A Casey nie. Casey prowadzi wspaniałe życie, jest cudowną współniczką, ale brakuje jej kobiecości Orlandy. Oczywiście Orlanda lubi piękne stroje, drogie prezenty i, jeśli tutejsi ludzie mówią prawdę, wydaje pieniądze, jakby nigdy nie miał

nadejść następny dzień. Ale czy nie po to właśnie są pieniądze? Moja była żona i dzieci stosują tę zasadę, więc czy i mnie nie należy się coś od życia? A czy nie muszę

chronić

Orlandy

przed

wszystkimi

Biltzmannami tego świata?

Naturalnie, że powinienem. Jednak nadal nie wiem, jakiego dokonać wyboru, podobnie jaką decyzję podjąć w sprawie Hongkongu. To najlepsze miejsce, w jakim kiedykolwiek byłem, i czuję się tu bardziej swojsko niż w domu.

- Być może mieszkałam tu w poprzednim życiu

- powiedziała Orlanda.

- Wierzysz w reinkarnację?

- Oczywiście.

Czyż nie byłaby to najwspanialsza rzecz na świecie, myślał teraz, nie zwracając uwagi na gęstniejący gaz.

Mieć więcej niż jedno życie to byłoby...

- Linc!

- No, Ian, co tam? - Bartlett ucieszył się, że głos Dunrossa dobiega z tak bliska. Bardzo bliska.

- A nic. Mamy tylko krótką przerwę, ciężko nam idzie. Znowu musimy omijać belki, ale już jesteśmy tylko kilka jardów od ciebie. Przyszedłem pogadać.

Wydaje mi się, że zatrzymaliśmy się pięć stóp nad tobą i dokopujemy się od zachodu. Widzisz nas?

- Nie. Mam nad sobą podłogę, ale to nic. Wy-trzymam. Wiesz co, Ian?

- No.

- Dzisiaj po raz pierwszy odezwałeś się do mnie po imieniu.

- Tak? Nie zauważyłem.

Bzdura, pomyślał Bartlett uśmiechając się do siebie.

- Co... - Nagle gruz zaczął się osuwać i obydwaj zamarli. Po chwili hałas ustał i Bartlett zaczął swobodniej oddychać. - Co zamierzasz jutro zrobić?

- Z czym?

- Z giełdą. Jak masz zamiar pokonać Gornta? - Słuchał z rosnącym zdumieniem, gdy Dunross opowiadał

mu o pieniądzach z Banku Chińskiego, o przyjęciu u Plumma i pięćdziesięciu milionach na wsparcie przeciwko atakom Gornta.

- Fantastycznie! Kto ci pomógł, Ian?

-

Święty Mikołaj!

Bartlett zaśmiał się.

- A więc Murtaghowi się udało, co? - W odpowiedzi usłyszał ciszę i znów się uśmiechnął.

- Casey ci powiedziała?

Nie, nie. Sam to sobie wykonocypowałem. - No, no, Casey jest kuta na cztery nogi... A więc znów na swoim, co? Moje gratulacje. - Jego podziw był szczery.

- Już myślałem, że cię mam, Ian - zawołał wesoło. -

Naprawdę sądzisz, że na otwarcie cena twoich akcji dojdzie do trzydziestu?

- Mam nadzieję.

- Skoro masz nadzieję, to znaczy, że to jeszcze nie ustalone. Ale Gornt to bardzo przebiegły gość. Nie dostaniesz go za żadne skarby.

- Dostanę, dostanę.

- Nie! Co z naszą transakcją?

- Z Par-Con? Zgodnie z ustaleniami, oczywiście.

Chyba już wszystko gotowe.

- Quillan musi być nieźle wkurzony, co?

- O tak! Też tu jest. Pomaga cię odkopywać. Bartlett był zaskoczony.

- Dlaczego? Krótka cisza.

Quillan to stuprocentowy łajdak pierwszej kategorii, ale... Nie wiem. Może cię lubi!

- Wypchaj się! Co zamierzasz z nim zrobić?

- Złożyłem mu pewną propozycję - rzekł Dunross.

- A więc moje dwa miliony poszły w błoto?

- Oczywiście. Tamte dwa miliony. Ale udział w przejęciu General Stores przyniesie ci pięć, a może i więcej. Za to przedsięwzięcie Struan-Par-Con o wiele więcej.

- Naprawdę pięć milionów?

- Tak. Ty pięć i Casey pięć.

- Świetnie! Zawsze chciałem, żeby zarobiła pienią-

dze na ustawienie się. - Ciekawe, co teraz robi? -

głowił się, nie słuchając słów Dunrossa. - Zawsze chciała być niezależna. - Co mówisz?

- Pytałem, czy chcesz z nią porozmawiać. Jest przestraszona, ale bezpieczna.

- Nie - powiedział stanowczo Bartlett. - Pozdrów ją tylko, pogadam z nią, jak wyjdę.

Casey zapowiedziała, że nie ruszy się z miejsca, póki cię nie wyciągniemy. - Krótkie milczenie. -

Orlanda tak samo. A co z nią, może chcesz ją usłyszeć?

- Nie, dziękuję. Potem będę miał na to dużo czasu.

Każ im iść do domu.

-

Nie chcą. Zdaje się, że masz powodzenie.

Bartlett roześmiał się, usiadł i uderzył się w głowę.

Plecy przeszył mu ostry ból. Usadowił się wygodniej.

Dunross źle się czuł w tak małej przestrzeni, obawiał się napływających lęków klaustrofobicznych, po plecach spływał mu chłodny pot. Denerwowało go, że nie widzi Bartletta chociaż wyraźnie słyszy jego głos. Hooks nakazał mu zabawiać Bartletta rozmową na wypadek, gdyby usypiał go gaz.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy gaz może człowiekowi zaszkodzić, tai-pan. Nie wolno mu zasnąć. Niedługo będziemy potrzebować jego pomocy.

Dunross zmienił pozycję wyczuwając nadchodzące niebezpieczeństwo. Ktoś schodził za nim. Na głowę posypały mu się kawałki gruzu. Był to Hooks.

- No dobra, tai-pan. Lepiej wyjdźmy na zewnątrz i kopmy dalej.

- Już idę. Linc! Nie śpij. Kończymy przerwę.

- W porządku, Ian, czy zgodzibyś się być moim przyjacielem?

- Jasne - odparł natychmiast. Z kim on się chce żenić? - To dla mnie zaszczyt.

- Dzięki - usłyszał głos Bartletta. Nie zapytał go o wybrankę, chociaż umierał z ciekawości. Miał pewność, że Bartlett sam wyjaśni wszystko, kiedy przyjdzie czas. - Dziękuję ci. Tak, bardzo ci dziękuję. -

Dunross uśmiechnął się do siebie. Linc szybko się uczy, pomyślał. Miło będzie mieć go za współpracownika. I na pewno zostanie członkiem z prawem do głosu w klubie jeździeckim. Casey też...

-

Za chwilę będziesz na powierzchni!

Nagle usłyszał jego głos:

- Wspaniale by było, gdybyśmy się zaprzyjaźnili, nie? Ale czy mogę mieć taką nadzieję?

Dunross nie był pewien, czy te słowa są skierowane do niego.

- Co mówisz? - aawołał.

Nic - odparł Bartlett. - Ian, mamy dużo do zrobienia w tym tygodniu! Ech, cieszę się, że wygrałeś z Gorntem!

- Naprawdę był uradowany. - Miło będzie działać razem z tobą, obserwować cię przy działaniu, budować razem nasz Noble House.

Osiem jardów w bok i kilka stóp powyżej Ian Dunross odwrócił się i zaczął wspinaczkę do wyjścia.

Szesnaście stóp ponad nim Gornt i inni czekali przy szerokim otworze. Na wschodzie zaczęło jaśnieć, za chmurami ukazał się skrawek nieba. Na całym zboczu zmęczeni ludzie kopali, wołali, nasłuchiwali. Hooks wyszedł z dołu. W tym momencie od strony Po Szan Road rozległ się przeraźliwy huk. Wszyscy w jednej chwili zwrócili głowy w tamtą stronę. Z daleka widzieli, że część zbocza posuwa się w ich kierunku. Huk wzrastał, a potem nagie ściana błota i wody wpadła na zbocze powyżej Kotewall Road i nabierając szybkości leciała na ludzi. Wszyscy rzucili się do ucieczki. Gornt złapał się masywnej belki, inni chwyтали, za co mogli. Śmierząca maź zalała zbocze.

Gornt stał po kolana w błocie. Palce zaciskające belkę rozluźniły się. Fala płynęła dalej, wypełniając breją każdy, choćby najmniejszy otwór. Hooks i pozostali zapomniawszy o wszystkim i wszystkich ruszyli do ucieczki.

Gornt nie zapomniał.

Z miejsca, w którym stał, mógł zajrzeć w wykopany dół. Ponad błotem widział wyciągnięte ręce Dunrossa.

Próbowały się czegoś chwycić. Do dołu spływało coraz więcej mazi. Powoli wypełniała go. Dunross niczego się nie złapał i został wessany.

Gornt patrzył i czekał. Ani drgnął. Błoto spływało do dołu. Było go coraz więcej.

Dunross czuł, że leci w dół. Krztusił się, ale udało mu się zaczepić palcami o występ i zaczął się podciągać.

Jakimś cudem nie dał się porwać spływającej brei. Był

ocalony. Wisiał do połowy zanurzony w błocie, z trudem oddychał, serce mu szalało. Wytrzeł sobie oczy i usta, rozejrzał się. Dziesięć stóp nad sobą zobaczył

Gornta...

Na chwilę udało mu się zmobilizować wszystkie zmysły, ujrzał szyderczy uśmiezek i jawną nienawiść.

Wiedział, że gdyby na jego miejscu znalazł się Gornt, on również tylko patrzyłby na niego i czekał.

Na pewno?

Czekałbym i patrzył tak samo jak on. Nie wyciągnąłbym pomocnej dłoni. Nie do Gornta. I wtedy raz na zawsze zostałyby wypełnione przekleństwo Dirka Struana, a ci, którzy nastąpiliby po mnie, mieliby nareszcie spokój.

Nagle zaczął trzeźwo myśleć. Przypomniał sobie o Bartlecie i z przerażeniem spojrział na dół. Nie widział nic prócz kleistej mazi.

- Chryste! Ratunku! - zawołał. Nagle zjawił się Hooks, strażacy i żołnierze. Łomami i łopatami bezskutecznie próbowali wydobywać błoto.

Dunross podciągnął się i wydostał się z dołu. Trząsł się ze złości. Gornt już odszedł. Po chwili zaprzestano wysiłków. Błoto pozostało.

**Wtorek**



17:39

Dunross stał przy oknie w swoim prywatnym apartamencie na najwyższym piętrze Struan Building i spoglądał na zatokę.

To był naprawdę przepiękny zachód słońca. Niebo całkowicie czyste, nie licząc kilku cumulusów ponad Chinami. Od wschodu robiło się ciemno, zachód zalewała czerwień. W zatoce jak zwykle panował ruch.

Koulun błyszczał w promieniach zachodzącego słońca. Klaudia zapukała i otworzyła drzwi. Weszła Casey. Była przygnębiona.

- Witaj, Casey.

- Cześć, Ian. - Słowa nie były potrzebne. O

Bartlecie

powiedzieli

już

sobie

wszystko.

Odkopywanie jego ciała trwało do wieczora. Casey czekała cały czas na zboczu, a potem pojechała do hotelu. Rano zadzwoniła do Dunrossa i teraz przyszła.

- Napijesz się? Herbata? Kawa? Może wina?

Martini?

-

Poproszę o martini. - Jej głos przepełniał smutek.

Usiadła na sofie. On nalał martini i wrzucił oliwkę.

- Wszystko może zaczekać, Casey - powiedział ze współczuciem. - Nie ma pośpiechu.

- Tak, tak, wiem. Ale zgadzamy się. Dziękuję.

Wzięła chłodny kieliszek i uniosła do góry. - *Dżos.*

- Dżos.

Napiła się lodowatego płynu. Potem otworzyła ak-tówkę i wyjęła szarą kopertę.

- Proszę. To dokumenty od Johna Czena. Komplet.

Wszystko, co mówił i proponował. To jedyny egzemplarz. Ten, który mam w Stanach, zniszczę. - Zawahała się. - Na pewno dokonasz zmian, ale... cóż, tam jest wszystko.

- Dziękuję. Czy Linc przekazał coś Gorntowi?

- Nie, chyba nie. - Znów się zawahała. - Na wszelki wypadek trzeba uwzględnić ewentualny przeciek. - A teraz umowa między Par-Con i Struanami. - Podała mu dość gruby plik dokumentów. - Wszystkie sześć egzemplarzy podpisane i opieczętowane. Ja mam wy-

łączne prawo do podpisania umowy. Przekazałam Lincowi na dziesięć lat prawo do głosowania moimi udziałami. On uczynił podobnie. A więc ja stoję na czele Par-Con.

Dunross wytrzeszczył oczy.

- Na dziesięć lat?

- Tak - odparła bez emocji.

Nic nie czuła, niczego nie pragnęła. Chciała tylko rozplakać się i umrzeć. Potem będzie czas na słabość, pomyślała. Teraz muszę zachować siłę i rozwagę.

- Tak, na dziesięć lat. Linc miał pakiet kontrolny.

Przyślę ci oficjalne potwierdzenie.

Dunross kiwnął głową. Wyjął z biurka takie same dokumenty.

- Proszę. Z oficjalną pieczęcią. A to prywatna umowa, że dajemy w zastaw statki.

- Dziękuję, ale to już niepotrzebne, skoro macie fundusze na spłacenie.

- Umowa to umowa. - Dunross podziwiał jej odwagę. Poprzedniego dnia na zbieżności za nic w świecie nie chciała odejść, czekała do samego końca.

Orlanda załamała się i trzeba ją było wysiać do hotelu i wezwać lekarza. - Tak się dogadaliśmy.

- W porządku. Ale to niekonieczne.

- Dalej: Oto dokument w sprawie naszego porozumienia o przejęciu General Stores. Całą oficjalną dokumentację prześlę za dziesięć dni.

Potrz...

Przecież Linc nie wyłożył tych dwóch milionów... -

Wyłożył. W sobotę wieczorem telegraficznie.

Wczoraj mój szwajcarski bank potwierdził przelew i przekazał pieniądze do rady General Stores.

Transakcja już zawarta.

- Mimo śmierci Pugmire'a?

- Tak. Jego żona zgodziła się wystąpić w radzie w jego imieniu. To dla nich bardzo zyskowna oferta.

Lepsza niż Superfoods.

- Nie chcę mieć w tym udziału.

- Gdy byłem tam na zgłiszczach przy Lincu powiedział mi, że cieszy się z przejęcia General Stores.

Mówił tak: „Świetnie! Zawsze chciałem, żeby zarobiła pieniądze na ustawienie się. Marzyła o tym, by być niezależna”.

- Ale nie takim kosztem - zaprotestowała tłumiąc rozpacz. - Linc zawsze ostrzegał, że za pieniądze na ustawienie się trzeba zapłacić więcej, niż się jest przygotowanym. Ja właśnie zapłaciłam. Nie chcę ich.

- Pieniądze to pieniądze. Musisz spojrzeć na to trzeźwo. On dał ci je z własnej woli.

- Nie. To ty mi dałeś.

- Mylisz się. Ja tylko ci pomogłem je zdobyć, tak ja ty mnie. - Napił się. - Nie wiem, komu wysłać jego zysk. Pamiętasz, że nie było mowy o prawach do głosu w radzie?

- Tak, wiem. Wyślij do First Central. A spadek po nim przejmie chyba matka. Tylko ją wymieniał w testamencie, pokazywał mi. Jego była żona i dzieci mają być zapewniony, ale nic nie dziedziczą. Jest jeszcze tylko mowa o pakiecie kontrolnym dla mnie, reszta przechodzi na jego matkę.

- Stanie się bogata,

- Nic jej to nie pomoże - Casey ze wszystkich sił

starala się mówić spokojnie i nie płakać. - Rozmawia-

łam z nią wczoraj wieczorem. Biedaczka jest załamana. Bardzo miła, ma już dobrze po sześćdziesiątce. Linc był jedynakiem. - Po policzku spłynęła jej łza. - Prosiła mnie, żebym sprowadziła jego ciało do Stanów. Życzył sobie być spalony.

- Casey - wtrącił - ja się tym zajmę...

- Nie, nie, dziękuję, Ian. Wszystko już załatwione. Ja sama chciałam to zrobić. Samolot już gotowy, formalności też dopełnione.

- Kiedy odlatujesz?

- O dziesiątej wieczorem.

- Tak? - Dunross zdziwił się. - Przyjdę cię odprowadzić.

- Nie, dziękuję. Wystarczy samochód...

- Nalegam.

Nie, proszę cię. - Spojrzała błagalnie.

- Jakie masz plany? - zapytał po chwili.

- Nic specjalnego. Chcę się upewnić, że wszystkie jego polecenia zostaną wypełnione, i dalej poprowadzę jego interesy. Potem chyba jakoś zreorganizuję Par-Con, zgodnie z jego wolą. A później? Nie wiem.

Wszystko to zajmie mi trzydzieści dni. Wtedy może wrócę, a może przyślę Forrestera albo kogoś innego.

Nie wiem. Powiem ci za miesiąc. Masz mój numer, dzwoń w razie potrzeby. - Zaczęła się podnosić do wyjścia, ale zatrzymał ją.

- Chcę, żebyś o czymś wiedziała zanim wyjedziesz.

Nie powiedziałem ci wczoraj wieczorem, ale nie było okazji. Wiesz, jak zostawiałem Linca na dole, zapytał, czy zostanie jego drużbą, odparłem, że to będzie dla mnie zaszczyt.

- Powiedział, że chce mnie poślubić? - zapytała z niedowierzaniem.

- Rozmawialiśmy o tobie i jedno wynikało z drugiego.

- Nie wspominał o Orlandzie?

Wtedy nie. Tylko na początku, upewnił się, że nic jej się nie stało. Cieszył się. To naturalne. A gdy powiedziałem, że widziałaś katastrofę na własne oczy, prawie dostał zawału. Na końcu cicho szepnął:

„Ciekawe, czy mogłyby się zaprzyjaźnić”. Nie jestem pewien, czy to miało dotrzeć do moich uszu. Gdy kopaliśmy, dużo mówił do siebie. - Dokończył drinka. -

Z pewnością miał na myśli ciebie, Casey. Pokręciła głową.

- Miło z twojej strony, Ian, ale założę się, że myślał

o Orlandzie.

- Chyba się mylisz. - Zapadła cisza.

- Być może. Zaprzyjaźnić? A ty zaprzyjaźniłbyś się z Gorntem?

- Nie, nigdy. Ale to inna rzecz. Orlanda jest naprawdę miłą osobą.

- Nie wątpię. - Casey napiła się, ale nie czuła smaku.

- A co z Quillanem? Wiem tylko, że na zamknięcie doszliście do trzydziestu dolarów i jednego centa, ale... ale nic więcej.

Dunross tryumfował. Z powodu katastrofy gubernator zarządził, że na znak żałoby giełda i co do jednego banki zostaną zamknięte. O dziesiątej rano we wtorek, gotówka z Banku Chińskiego była już rozwieszona do wszystkich banków w kolonii. Szturm na bank został powstrzymany.

O trzeciej wielu klientów stało już w kolejce, żeby z powrotem zdeponować gotówkę. Przed samym otwarciem zadzwonił Gornt.

-

Przyjmuję - rzucił.

Bez targowania się?

- Nie chcę od ciebie ani centa i ty ode mnie też nic nie oczekuj. Dokumenty już w drodze. - Odłożył słuchawkę.

- Co z Quillanem? - zapytała ponownie.

- Zawarliśmy umowę. Na otwarcie nasze akcje kosztowały dwadzieścia osiem, ale sprzedaliśmy mu po osiemnaście.

Automatycznie przeprowadziła kalkulację. To go kosztowało dwa miliony, ale tyle dostał od Linca. Więc Quillan uratowany.

- Powiedziałem Lincowi, że straci na tym dwa miliony, a on tylko się roześmiał. Podkreśliłem, że te dwa miliony to nic w porównaniu z dwudziestoma, które zarobi na General Stores. - Popatrzył na Casey. - Myś-

lę, że to sprawiedliwe, że te pieniądze przepadły.

-

Chcesz powiedzieć, że uratowałeś Quillana za darmo?

-

Nie. Dostałem z powrotem swoje linie lotnicze.

All Asia Air.

-

Ach tak! Casey przypomniała sobie opowieść o nieproszonej wizycie Gornta i jego ojca w Wielkim Domu podczas Bożego Narodzenia. Zrobiło jej się smutno.

-

Spełnisz moją prośbę?

-

Oczywiście. Pod warunkiem, że nie będzie miała

nic wspólnego z Gorntem.

Chciała poprosić Dunrossa o zapewnienie Gorntowi

stanowiska gospodarza klubu jeździeckiego, aby mógł

mieć swoją lożę, ale nie zdecydowała się. Wiedziała, że

prosiłaby na próżno.

- Co to za prośba?

-

A,

nie,

nic.

Idę

już,

Ian.

Wstała z trudem. Nogi miała jak z waty. W jednej chwili wszystko zaczęło ją boleć. Wyciągnęła

rękę. Uca-

łował ją z taką samą szarmancją jak tego dnia, gdy zobaczyła w galeri portret przebity nożem. Nagle wezbrała w niej złość i chciała wykrzyczeć swoją nienawiść do Hongkongu i Hongkongijczyków, którzy w jakimś stopniu przyczynili się do śmierci Linca. Powstrzymała się jednak.

Później się będziesz rozklejać. Nie załamuj się.

Nie

wolno ci. Panuj nad sobą. Musisz. Linc odszedł na zawsze. - Do zobaczenia, Casey. - Żegnaj, Ian.

Odeszła, o- Długą chwilę patrzył na zamknięte drzwi, a potem westchnął i nacisnął guzik.

Do gabinetu wpadła Klaudia.

-

Dobry wieczór tai-pan - powiedziała miłszym niż

zwykle głosem. - Trzeba zadzwonić w kilka miejsc.

Najważniejszy telefon do panicza Duncana - chce pożyczyć tysiąc dolarów hongkongijskich.

- Na co, u diabła? -

Zdaje się, że na diamentowy pierścionek dla „da-my”. Chciałam wymusić imię, ale się nie dał. .

Dunross przypomniał sobie rozmowę z synem.

Sheila Scragger, pielęgniarka z Londynu, którą Duncan poznał w Australii. - Hm, chyba nie chce wydać tysiąca dolarów. Niech sam mnie poprosi. Nie, zaczekaj! - Zastanowił się chwilę. - Daj mu tysiąc dolarów w gotówce w zamian za trzy procent odsetek miesięcznie i pisemną gwarancję, że możesz potrącać to z jego stu dolarów kieszonkowego. Jeśli się zgodzi, to już ja mu dam nauczkę. Jeśli nie, daj mu tysiąc, ale tylko do Wielkanocy.

- Biedna panna Casey - westchnęła Klaudia. - Ma złamane serce.

- Tak.

- Proszę, reszta telefonów, tai-pan. Pan Linbar dzwonił z Sydney, mówił, że chyba z Woolara wszystko

pójdzie dobrze.

Dunross uśmiechnął się.

- Wspaniale!

- Pan Alastair, ojciec i wielu z rodziny dzwoniło z gratulacjami. O telefon prosił Master Trussler z Johannesburga. W sprawie toru. A panna Gresserhoff telefonowała na do widzenia.

- Kiedy wyjeżdża? - zapytał dyplomatycznie, bo doskonale wiedział.

- Jutro rano liniami JAL. Szkoda Trawkina, prawda?...

- Tak. - Trawkin zmarł w nocy. Dunross kilkakrotnie odwiedzał go w szpitalu, ale trener od sobotniego wypadku nie odzyskał przytomności. - Trzeba poinformować jakiś krewnych?

- Nie. Nie miał żony ani nikogo. Master Jacques zajmie się pogrzebem.

- Dobrze. Tak, tylko tyle możemy dla niego zrobić.

- Tai-pan, zamierzasz dosiąść w sobotę Noble Star?

- Sam nie wiem. - Dunross wahał się. - Przypomnij mi, żeby rozmawiał z gospodarzami o nadaniu piątej goniwie imienia Trawkina, żeby mu podziękować.

- O tak. - To byłoby wspaniałe. Lubiłam go. Dunross spojrzał na zegarek.

- Moje spotkanie na dole aktualne?

- Tak.

- Dobrze - Tai-pan wyszedł niezwykle skupiony. Na niższym piętrze wszedł do swojego gabinetu.

- Dzień dobry, panie Czoj, czym mogę służyć?

- Wysłał już kondolencje.

- *Zacznę od najważniejszego, sir. Szkoda, że nie mogliśmy tego załatwić wczoraj, ale proszę mi teraz powiedzieć, czy... eee... woskowy odcisk pasuje do któ-*

*rejś z płaskich monet?*

- Najpierw chcę wiedzieć, kto ma teraz monetę. Kto jest spadkobiercą Cztery Palce?

— Rodzina Wu, sir.

-

Kto w rodzinie Wu? - zapytał ostro Dunross.

- Moneta mogła zostać przekazana tylko jednej konkretnej osobie.

Czoj patrzył na tai-pana bez strachu, chociaż mocniej niż zwykle biło mu serce. Mocniej nawet niż wtedy, gdy ostatkiem sił trzymał Wilkołaka nad wodą, a ojciec krzyczał, żeby rzucił chłopaka do



morza.

- Będzie pan musiał udowodnić, że Cztery Palce przekazał panu monetę.

- Niestety, tai-pan, niczego nie muszę udowadniać —: podkreślił Paul Czoj. - Wystarczy, że ją pokażę i poproszę o przysługę, i wszystko w sekrecie, taka jest umowa. Jeżeli to prawdziwa moneta, stawką jest pana honor i twarz Noble House...

- Wiem, jaka jest stawka - zniecierpliwził się Dunross. -

A pan?

—Słucham?

- Tutaj są Chiny, a w Chinach dzieje się wiele dziwnych rzeczy. Myśli pan, że jestem na tyle głupi, żeby wierzyć w stare legendy?

Młodzieniec pokręcił głową. Czuł, że brak mu tchu.

-

Nie, tai-pan, pan w żadnym razie nie jest głupi.

Ale jeśli ja przedstawię monetę, pan spełni moją prośbę.

Jak?

- Najpierw chciałbym się upewnić, czy... ta połówka pasuje do którejś z pańskich. Bo ja już wiem,

- Czyżby?

- Tak.

- Wie pan, że ta moneta została skradziona Phillipowi Czenowi?

Paul Czoj popatrzył z nie skrywanym zdziwieniem.

- Ta moneta - powiedział - pochodzi od Wu Cztery Palce. Ja nic nie wiem o żadnej kradzieży. Moneta należała do mojego ojca. To mi w zupełności wystarcza.

- Powinien pan zwrócić ją Phillipowi Czenowi.

- Czy pan kiedykolwiek ją u niego widział?

Dunross już rozmawiał c niej z doradcą.

- Więc nie ma sposobu na udowodnienie, że należała do ciebie, Phillip? - zapytał.

- Nie, tai-pan, żadnego. - Stary rozłożył ręce. Dunross nie spuszczał wzroku z młodzieńca.

- Jest własnością Phil ipa Czena. Paul Czoj usiadł

wygodniej.

- Tai-pan, były cztery monety. Moneta pana Czena musi być gdzieś indziej. Ta należy... należała do mojego ojca. Pamięta pan, co mówił w Aberdeen?

Dunross milczał, starając się wytrącić go z równowagi.

Paul Czoj patrzył na niego spokojnie. Interesujące, myślał

Dunross. Twardziel z ciebie i do tego mądry. Jesteś wysłannikiem Wu Złoty Ząb czy złodzieja? A może przyszedłeś we własnym imieniu? Nie przerywał ciszy, aby zaniepokoić oponenta, a jednocześnie analizował swoją pozycję. Gdy wczoraj wieczorem Paul Czoj zadzwonił z prośbą o spotkanie, Dunross wiedział, o co chodzi. Ale jak do tego podejść? Wu Cztery Palce nie żyje, a ja mam teraz nowego wroga - silnego, wykształconego i pełnego ikry. Mimo to musi mieć jakieś słabe punkty. Jak każdy.

Jak ja, Gornt czy Riko. Ach, Riko! Co w niej jest takiego, że mnie tak bardzo poruszyła?

Zapomnij o tym! Trzeba odzyskać monetę, zanim zostanie wypowiedziana prośba o przysługę.

- Domyślam się, że ma pan swoją połówkę przy sobie.

Chodźmy od razu do eksperta. - Wstał, aby wypróbować Paula Czoja.

- Nie, sir, przykro mi, ale nie teraz. - Serce zaczęło mu walić mocniej, moneta parzyła ciało. - Niestety, to chyba nie najlepszy pomysł.

- Ależ bardzo dobry - naciskał Dunross. - Pojedziemy i sprawdzimy.

- Nie, nie, tai-pan - z uprzejmą stanowczością sprzeciwił się Paul Czoj. - Przesuńmy to na przyszły tydzień, dobrze? Powiedzmy na piątek? Nie ma się co spieszyć.

- W piątek nie będzie mnie w Hongkongu.

- Tak, wybiera się pan do Japoni . Mógłby pan znaleźć godzinkę podczas pobytu tam? Kiedy tylko panu odpowiada. Pójdziemy do ekspertyzy.

Dunross zmrużył oczy.

- Zdaje się, że wiele pan wie, panie Czoj.

- Tutaj łatwo się rozchodzą wiadomości, sir. W Japonii będziemy sobie równi.

- Sugeruje pan, że tu jest inaczej?

- Nie, nie, tai-pan, Ale jak sam pan zauważył, tu są Chiny, a w Chinach dzieje się wiele różnych rzeczy.

Cztery Palce i jego ludzie także mają duże znajomości.

Moneta to jednorazowa zagrywka między dwiema oso-bami. Tak to sobie wyobrażam.

Paul Czoj dziękował Bogu, że „przysługa” musi pozostać w tajemnicy. Gdy tylko przywiózł ciało Wu Cztery Palce, zajął się zdobywaniem wpływów w rodzinie.

Po jakimś czasie osiągnął dokładnie to, o co mu chodziło: stanowisko - aby użyć mafijnej nomenklatury - *consigliere*.

Został głównym doradcą Wu Złoty Ząb, najstarszego syna, a więc tytularnego lidera rodziny. Tak, myślał, jesteście chińską mafią. Czy na moich rękach nie ma krwi? Byłem na statku przemycającym opium. Czy Wu Złoty Ząb wie coś, czego ja nie wiem?

-

Musisz obdarzyć mnie całkowitym

zaufaniem. Złoty Ząb - powiedział do brata walcząc o swoją przyszłość.

- Obawiam się, że nie mam wyboru. Potrzebuję wszelkiego rodzaju pomocy. A twoje kwalifikacje są bezcenne. - Złoty Ząb przeszedł na angielski, gdy już dochodzili do finału negocjacji.

- Chyba będziemy mogli ze sobą współpracować.

- Na pewno, Bracie. Obydwaj mamy wyższe wykształcenie. Potrzebujemy siebie. Rodzina Urodzonych na Morzu Wu wymaga modernizacji. Ja sam nie zdołam jej przeprowadzić, będę potrzebował pomocy. Po latach prowadzenia Łodzi Rozkoszy raczej nie wprawilem się w zarządzaniu. Musiałem pytać ojca o wszystko, nawet o pozwolenie na zmianę wypłat dla dziewczyn. Wpychał te swoje cztery palce na każdv statek i do każdej transakcji.

- Jasne, ale po unowocześnieniu statków ty będziesz miał najlepszą i najsprawniejszą flotę w Azji.

- I o to właśnie mi chodzi. Dokładnie o to.

- A co z opium?

- Urodzeni na Morzu Wu zawsze je przewozili.

- A broń?

- Jaka broń?

- Słyszałem, że Cztery Palce zajmował się handlem bronią.

- Nic na ten temat nie wiem.

- Przestańmy przewozić opium i heroinę. Dajmy sobie spokój z narkotykami. Czy to prawda, że dogadał się z tymi dwoma błaznami Szmuglerem Juenem i Lee Białym Proszek?

- Plotki. Zastanowię się nad twoją sugestią. Ale chcę, abyś wiedział, że ja jestem dowódcą floty i Głową Urodzonych na Morzu Wu. Ostateczna decyzja należy do mnie. Oczywiście będziemy się ze sobą konsultować.

Zostaniesz *consiglierem* z prawdziwego zdarzenia, ale ostatecznie decyzje będę podejmował ja. Słyszałem na przykład o twoim wyczynie na giełdzie bez jego wiedzy.

Transakcja naprawdę znakomita, ale ja muszę być o wszystkim wcześniej poinformowany.

Zgoda. Ale odtąd ja będę również prowadził interesy na własną rękę. Zrezygnuję z pracy u Gornta. Poza tym wszystkie prywatne interesy, które prowadziłem z Cztery Palce, dalej są moje.

- Na przykład?

- W piątek miałem dostać dwa miliony, aby grać na giełdzie. Proponował mi siedemnaście i pół procent zysku. Chcę całości.

- Pięćdziesiąt procent.

- Dziewięćdziesiąt. I nic mnie w Hongkongu nie trzyma. Nawet z pięćdziesięcioma procentami, po sprzedaniu udziałów, a tylko ja wiem jakich, jestem wart ze trzy miliony.

Targowali

się

chwile.

Czoj

przystał

na

siedemdziesiąt procent. Złoty Ząb swoje trzydzieści zamierzał zdeponować w szwajcarskim banku.

- Domyślałem się, że za jakieś dwa dni giełda się ustabilizuje i wtedy dokonamy realizacji. Ja podejmę decyzję, w porządku?

- Tak. Określenie Dochodowy do ciebie pasuje, Młodszy Bracie, bardziej niż Paul. Pozwolisz, że

będę go używał. Jakie jeszcze interesy prowadziłeś z Wu Cztery Palce?

- Jeszcze jedną sprawę, ale przysięgłem na krew, że

zachowam tajemnicę. Muszę dotrzymać słowa.

Złoty Ząb zgodził się.

Teraz Paul Czoj czekał na odpowiedź tai-pana w sprawie Japonii. Młodzieniec był coraz pewniejszy siebie. Jestem bogaty, napawał się i jeśli trzeba, stanie za mną Złoty Ząb, poza tym mam amerykański paszport i jadę na Hawaje. W Japonii nadarzy się okazja, żeby przechytryć Dunrossa - nie, na to on jest za sprytny, ale tam będę się czuł bezpieczniejszy i łatwiej udowodnię, że moja moneta jest prawdziwa.

-Odpowiada panu spotkanie w Japonii, tai-pan?

- powtórzył pytanie.

- Słyszałem, że sporo pan zarobił na giełdzie.

Uklonił się. Nie liczył na kolejną zmianę tematu.

- Owszem. Jakies pięć i pół miliona amerykańskich dolarów.

Dunross zagwizdał.

Nieźle jak na kilka tygodni pracy, Dochodowy Czoj.

Minus piętnaście procent podatku - dodał z niewinną miną.

Młodzieniec skrzywił się. Zrozumiał, że wpadł w pułapkę.

- Do diabła, jestem obywatelem USA i podlegam amerykańskiemu prawu podatkowemu. - Zawahał się.

- Mam kilka pomysłów na wspólne przedsięwzięcia, tai-pan, które mogłyby przynieść nam obopólny zysk.

Dunross skupił uwagę, gdy zauważył, że Paul Czoj zamrugał powiekami.

- Mój ojciec ufał panu - mówił młodzieniec. - Byliście Starymi Przyjaciółmi. Może mógłbym odziedziczyć po ojcu ten przywiiej... może za jakiś czas.

- Proszę oddać monetę, a wtedy zastanowię się nad przysługami.

- Wszystko po kolei, tai-pan. Najpierw musimy sprawdzić, czy moja połówka jest autentyczna. W

Japonii, dobrze?

- Nie. Tutaj albo nigdzie! - Dunross podniósł głos.

Paulowi Czojowi zabłyśły oczy. Nagle podjął decyzję, sięgnął pod koszulę i wyjął monetę. Położył ją na biurku.

- W imieniu Żin-kua zwracam się do tai-pana Nob le House z prośbą o przysługę.

Dunross w milczeniu wpatrywał się w monetę.

- A zatem?

- Po pierwsze chcę statusu Starego Przyjaciela ze wszystkimi przywilejami. Po drugie, pragnę zostać jednym z dyrektorów Struanów na okres czteroletni z taką pensją jak inni dyrektorzy. Dla zachowania twarzy kupię na giełdzie pakiet stu tysięcy akcji. - Czuł jak po twarzy spływa mu kropla potu. - Dalej, mam zamiar założyć wspólnie ze Struanami przedsiębiorstwo farmaceutyczne z kapitałem początkowym sześć milionów amerykańskich dolarów, z których połowę gotów będę zgromadzić w przeciągu trzydziestu dni.

Dunross patrzył zdziwiony.

-

Co takiego?

- W Azji mamy szeroki rynek farmaceutyczny. Mo-

żemy zdobyć majątek. Wy macie doświadczenie w organizowaniu fabryk, ja się zajmę marketingiem.

Zgoda?

- Czy to już wszystko?

- Jeszcze trzy rzeczy. Po pierwsze, w przyszłym roku planuję uruchomić drugą giełdę papierów wartościowych. Będę...

-

Co pan zamierza? - Dunross wytrzeszczył oczy.

Dochodowy Czoj uśmiechnął się i otarł pot z czoła.

- Tak, tak. Giełdę dla Chińczyków i prowadzoną przez Chińczyków.

Nagle Dunross roześmiał się.

- Ty to masz przebicie, Dochodowy Czoj. O tak, to całkiem niezły pomysł. Co więc z tą giełdą?

- Chcę jedynie dobrej woli i współpracy Starego Przyjaciela. Chodzi tylko o to, żeby powstrzymać

paru cwaniaków przed blokowaniem mi drogi.

- Za pięćdziesiąt procent zysku.

- Nie, jako spełnienie części przysługi. Dalej... -

Młody człowiek złapał wiatr w żagle. - Przedstawi mnie pan Lando Macie i poleci jako następcę mojego ojca w jego syndykacie. Zgoda?

- Mówi pan o trzech rzeczach, co z tą ostatnią?

- Za trzy lata zostanę zarządzającym klubu jeździeckiego. Do tego czasu zobowiązuję się do wpłacenia miliona dolarów na wyznaczone przez pana cele dobroczynne. Przysięgam to na Boga. - Młodzieniec znów wytarł pot. - Skończyłem.

Dunross zawahał się.

- Jeśli moneta jest prawdziwa, zgadzam się na wszystko z wyjątkiem tej części o Lando Macie.

- Nie ma mowy. To część przysługi.

- Protestuję.

- Nie proszę o nic nielegalnego, nic czego pan...

- Lando Mata odpada.

Paul Czoj westchnął. Podniósł monetę z biurka i po patrzył na nią.

-

Jeżeli tak, przedstawię prośby Wu Cztery Palce'

Moneta nadal zachowuje swą wartość.

- Co to za prośby?

- Związał pana ze światem broni, narkotyków i innych ciemnych interesów, ale będzie pan musiał spełnić przysługę. Przykro mi, tai-pan, ale zamierzam zostawić po sobie spadek. Wybór należy do pana.

Dunross był w rozterce. Prośba o przysługę została dokładnie przemyślana. Nic nielegalnego, żadnych ekstrawaganckich pomysłów. Paul Czoj dobrze to wykombinował. Za dobrze. Wu Cztery Palce to był

diabelskie nasienie. Nie mogę ryzykować prowadzenia brudnych narkotykowych interesów.

Aby zostawić sobie czas do namysłu, sięgnął do kieszeni i wyjął monetę zawiniętą w jedwabną chusteczkę. Podniósł połówkę Czoja i przyłożył do siebie. Pasowały idealnie. Obydwaj bezwiednie wstrzymali oddech patrząc na nową monetę, która mogła ich ze sobą nierozzerwalnie połączyć. Dunross wiedział, że to strata czasu, ale i tak postanowił oddać monetę do ekspertyzy. Przez moment trzymał obydwie połówki. I co począć z tym młodym cwaniaczkiem? A, mam myśl. Ten problem powinien rozwiązywać Phillip Czen!

- W porządku. Dochodowy Czoj - powiedział wpisując go na swą ściśle tajną listę osób podejrzanych.

Jeśli moneta jest prawdziwa, zgadzam się spełnić prośby. Co do Lando Maty, zapytam go o to, o co pan prosił, ale nie postawię przed faktem dokonanym i nie będę niczego żądał.

- Dziękuję, tai-pan, nie pożałuje pan tego - powie dział z ulgą Dochodowy Czoj i podał listę nazwisk: Oto

wszyscy

hongkongijscy

specjaliści

od

ekspertyzy. Proszę wybrać jednego z nich.

Sprawdzałem i wszyscy mają otwarte do siódmej.

Dunross lekko się uśmiechnął.

t

- Jest pan bardzo pewny siebie, Dochodowy Czoj.

- Ja tylko się staram nie zasypiać gruszek w popiele.

Casey wyszła ze Struan Building i wsiadła do rollsa.

Lim otworzył przed nią drzwi. Rozparła się w miękkim fotelu. Pożerał ją bezsilny żal. W każdej chwili mogła wybuchnąć. Nie zauważyła nawet, że Lim ruszył w stronę promu dla samochodów.

Była bardzo bliska łez. Jeszcze tak dużo czasu do odlotu. Wszystko już spakowane i odesłane na pokład.

Wszystko sprawdzone, rachunki uregulowane, a jeszcze tyle czasu.

Przez chwilę chciała wsiąść i iść pieszo, ale to byłoby jeszcze gorsze. Zostałaby pozbawiona



prywatno-

ści, bez ochrony. Mimo to muszę się opanować. Muszę być sobą. Muszę. O, Jezu, biedny Lind

- Lim - powiedziała pod wpływem impulsu - jedźmy na Pik.

- Słucham?

- Jedźmy na szczyt Piku, na punkt widokowy - powiedziała starając się, aby jej głos brzmiał normalnie. -

Jeszcze tam nie byłam, a chcę zobaczyć przed odjazdem.

- Tak.

Casey zamknęła oczy, a spod zamkniętych powiek popłynęły łzy.

18:45

Słońce prawie już zaszło.

Przez granicę na moście w Lo Wu w obydwu kierunkach jak zwykle przechodziły tłumy Chińczyków. Most wznosił się nad błotnistą rzeczką i miał pięćdziesiąt metrów długości. Jednak ta odległość stanowiła dla niektórych dystans nie do przebycia. Po obu stronach mostu znajdowały się posterunki graniczne, a przez środek przechodziła mała barierka. Po jednej stronie stało dwóch policjantów z Hongkongu, a po drugiej dwaj żonierze ChRL. Przez most biegły dwa tory kolejowe.

W dawnych czasach pociągi z Kantonu do Hongkongu i z powrotem przejeżdżały bez zatrzymywania się, teraz jednak pasażerowie musieli wysiadać i przekraczać granicę pieszo. Pociągi zaś musiały wracać tam, skąd przybyły. Składy towarowe natomiast przejeżdżały bez żadnych problemów. Przeważnie.

Każdego dnia setki miejscowych przekraczało granicę, jakby jej w ogóle nie było. Po drugiej stronie znajdowały się ich pola, miejsca pracy. Mieszkańcy terenów nadgranicznych należeli do ludzi twardych, podejrzliwych,

nienawidzących

wszelkich

zmian,

buntujących się przeciwko jakiegokolwiek ingerencji w ich życie, nie cierpiących mundurów, a nade wszystko wszelkiego rodzaju obcych. Jak większość Chiczyków za obcego uważali tego, kto nie pochodzi z ich wioski. Dla nich granica nie istniała.

Most Lo Wu należał do najbardziej newralgicznych punktów w całych Chinach. Tak samo jak dwa pozostałe przejścia graniczne. Jedno z nich to Mau Kam Toh, gdzie przez most nad tą samą rzeczką graniczną przechodziły codziennie stada bydła i transport warzyw. Drugie natomiast to wschodni kraniec granicy

- wioska rybacka Tau Kok. Tutaj granicy nie wyznaczały warunki naturalne, lecz przebiegała przez środek wioski.

Te trzy miejsca stanowiły dla Chińczyków jedyne punkty kontaktu z Zachodem. Po obu stronach wszystko było kontrolowane i nadzorowane. Za barometr służyło zachowanie strażników.

Dzisiaj strażnicy po stronie ChRL w Lo Wu byli zaniepokojeni. Z tego powodu ci po stronie Hongkongu również się denerwowali, bo nie wiedzieli, czego się mogą spodziewać: nagłego zamknięcia?

Niespodziewanej inwazji, jak w zeszłym roku? Kolonia żyje na łasce Chin.

- I taka jest prawda - mruknął inspektor Smyth.

Dostał zadanie specjalne i stał dyskretnie za posterunkiem policji cofniętym od granicy o sto jardów, żeby nie tamować ruchu. Tamować? Wystarczy jedno pierdnięcie w Londynie, żeby miliony pomaszerowały na nas, jeśli władze po drugiej stronie granicy uznają, że ta chmurka gazu stanowi obrazę majestatu Chin.

- Daj spokój, na litość boską - powiedział na głos., Na plecach miał przepoconą koszulę khaki. Spoglądał

niecierpliwie na krętą i wyboistą drogę do Hongkongu.

Nagle zobaczył w oddali zbliżający się samochód policyjny. Z ulgą wyszedł mu na spotkanie. Wsiadł

Robert Armstrong. Za nim Brian Kwok. Smyth zsalutował Armstrongowi, żeby ukryć szok. Brian Kwok miał r sobie cywilne ubrania. Oczy zdumiewały przerażają pustką.

- Cześć, Robert - odezwał się Smyth.

- Cześć. Przepraszam za spóźnienie - odpowiedział

Armstrong.

E, to tylko kilka minut. Właściwie to kazano mi zjawić się o zachodzie słońca. - Nad horyzontem widać było tonącą tarczę. Smyth przeniósł wzrok na Briana Kwoka. Trudno mu było ukryć pogardę.

Wysoki, przystojny Chińczyk wyjął paczkę papierosów. Drżącą ręką poczęstował Smytha.

- Dziękuję. - Armstrong wziął jednego.

- Myślałem, że rzuciłeś.

- Tak, ale znowu zacząłem.

Brian Kwok roześmiał się nerwowo.

- Obawiam się, że to przeze mnie. Starał się...

Starał

się bronić mnie przed Crosse'em.

Żaden z nich się nie uśmiechnął.

-

Jeszcze ktoś ma przyjść? - zapytał Smyth.

- Chyba nie. Przynajmniej oficjalnie. Armstrong rozejrzał się. Nikogo nie zauważył.

- Już tu gdzieś są,

Obydwaj poczuli ciarki na plecach.

- Możesz zaczynać.

Smyth wyciągnął oficjalny dokument.

- Wu Czu-toj alias Brianie Kar-szun Kwok, jesteś formalnie oskrżony o szpiegostwo przeciwko rządowi Jej Wysokości na rzecz obcych sił. Zgodnie z Nakazem

Deportacji z Hongkongu jesteś oficjalnie wydany z kolonii. Ostrzegam cię, że jeśli wrócisz, zostaniesz uwięziony i oddany do dyspozycji Jej Wysokości.

Smyth z ponurą miną wręczył Brianowi Kwokowi dokument. Wydawało się, że Brianowi bardzo dużo czasu zabiera przeczytanie całości.

- I co... I co się teraz stanie?

- Właż na most - polecił Smyth - i wracaj do oich.

- Co? Macie mnie za durnia? Myślicie, że uwierzę, mnie wypuszczacie? Robert, mówię ci, że oni się mną bawią, tobą też. Nie pozwolą mi odejść! Sam o tym wiesz!

Brian, jesteś wolny!

- Nie... Nie. Wiem co będzie. W chwili gdy już prawie tam będę, złapią mnie. To tortura nadziei.

W jego głosie słychać było drzenie, w kąciku ust pojawiła się kropelka piany.

- Oczywiście, tortura nadziei.

- Na litość boską, mówię ci, że jesteś wolny! Możesz odejść - powiedział ostrym głosem Armstrong. Chciał

to już mieć za sobą. - Przestań mnie już pytać, tylko idź!

No już!

Brian Kwok z niedowierzaniem otworzył usta i chciał

coś powiedzieć, potem zatrzymał się. - Wy... To... To kłamstwo... Na pewno!

-

Idź!

- W porządku, już... - Brian Kwok zrobił krok i stanął. - Mówicie poważnie?

- Tak.

Brian Kwok wyciągnął do Smytha drżącą dłoń.

Smyth tylko spojrzał i przeniósł wzrok na jego twarz.

- Gdyby to ode mnie zależało, dostałbyś kulę w łeb!

Na twarzy Briana Kwoka pojawiła się nienawiść.

- A co z twoimi łapówkami? Co ze sprzedawaniem policji...

- Nic ci do tego! W Chinach zawsze trzeba było posmarować! - krzyknął Smyth, a Armstrong pokiwał głową, przypominając sobie czterdzieści tysięcy postawione na wyścigach.

- *H'eung yau* to chiński zwyczaj! - ciągnął dalej Smyth pałając gniewem. - Zdrada nie! Fong Fong zanim poszedł do SI, był u mnie. Zabieraj się i zmiataj za most, bo ja cię wykopię.

Brian Kwok chciał zaprotestować, ale powstrzymał

się. Podał rękę Armstrongowi, a ten oschle ją uściśnął.

- To tylko za stare czasy, dla Briana, którego zna-

łem. Ja też nie toleruję zdrajców.

Wiem, że byłem na prochach, ale dzięki. - Szedł

nadal podejrzewając jakiś podstęp. Co kilka sekund odwracał się przerażony, że za nim idą. Gdy dotknął

stopą mostu, ruszył przed siebie biegiem. Napięcie rosło. Policjanci przy barierce nie zatrzymali go.

Żołnierze po drugiej stronie również. Przelewające się przez most tłumy pieszych i rowerzystów nie zwracały na niego uwagi. Po drugiej stronie barierki Brian Kwok zatrzymał się i odwrócił. - I tak wygramy! Wygramy! -

wołał. - Zobaczcie! Potem ciągle wężąc jakąś sztuczkę, ruszył do Chin.

Przy pociągu zobaczyli nie wyróżniającą się niczym grupkę witających go ludzi. Napięcie na moście minęło.

Zaszło słońce. Na szczycie wieżyczki na posterunku policji Roger Crosse obserwował przez silną

lornetkę grupę witającą Kwoka. Obok Crosse'a stał fotograf SI z aparatem wyposażonym w teleobiektyw: Obydwaj zauważyli, że na powitanie Briana Kwoka wyszedł

między innymi zaginiony milioner Tsu-ian.

Słońce tonęło pod wodą. Casey stała na punkcie widokowym na Tiku.

Przed nią rozciągał się cały Hongkong oświetlony milionami świateł, część Koulunu zalewała krwista czerwień, a część pokrywał cień. Zniknęło słońce i zaczęła się noc, prawdziwa noc. Jednak Casey nie dostrzegała piękna.

Miała twarz mokrą od łez. Przechylała się przez poręcz i klęła. Ludzie czekający na pobliskim przystanku autobusowym nie zwracali na nią uwagi. Zbyt byli zainteresowani własnymi sprawami.

- Na bogów, zarobiłem dzisiaj majątek...

- Ja kupiłam rano i podwoiłam pieniądze...

- *Aiii ia*, ja też. Prawie cały dzień negocjowałem kredyt z Najlepszym Bankiem...

- Dzięki bogom, że Państwo Środka wsparło te głupie obce diabły... Kupiłam Noble House po dwadzieścia...

- Słyszeliście, że przy Kotewall odkopano jeszcze dwa ciała i liczba ofiar wynosi już sześćdziesiąt siedem...

- *Dżosl* Ale czyż nie wspaniale z tą giełdą?

- Przepowiednia Starego Ślepego Tunga znów okazała się prawdziwa....

- Słyszeliście o mojej siostrze Trzeciej Toaletowej lung z Wielkiego Hotelu? Ona i jej syndykat kupili w najgorszym momencie i ona została milionerką...

Casey nic nie słyszała, nic nie widziała, ogarniał ją smutek. Ludzie przechodzili, odchodzili, niektórzy się obejmowali. Jedynymi Europejczykami byli turyści z aparatami fotograficznymi.

- Czy mogę w czymś pomóc? - zapytał jeden z nich.

- Nie, dziękuję - powiedziała Casey obojętnym tonem. Nie patrzyła na niego, nie mogła powstrzymać łez. Muszę się opanować, myślała. Zacznę wszystko od nowa. Jestem silna. Będę żyć dla siebie i Linca,

- Przestanę - powiedziała na głos. Przestanę.

Muszę przemyśleć to, co powiedział tai-pan o Orlandzie. Nie o małżeństwie, Linc, o nie. „Czy to możliwe, aby się ze sobą zaprzyjaźniły?” Czy tak? Co z nią począć? Pogrzebać! Ona zabrała mi Linca. Tak.

Ale wszystko było zgodne z regułami, które sama ustaliłam. Ian ma rację. Ona to nie Quillan. Poza tym Linc się w niej zadurzył. Ona to nie Quillan Gornt.

Quillan. A co z nim?

Po południu przyszedł do niej i zaoferował swoją pomoc. Podziękowała mu i odmówiła.

- Nic mi nie jest, Quillan. Sama muszę się z tym uporać. Nie, nie odprowadzaj mnie. Wrócę za jakieś trzydzieści dni. Może wtedy będę mogła rozsądniej myśleć.

- Podpisujesz ze Struanami?

- Tak, przykro mi.

- Nie kajak się. To nie przeszkadza, żeby zaprosić cię na kolację, jak tylko wrócisz. Zgoda?

Zgoda. Och Quil an, co z tobą począć? Przez trzydzieści dni nic. Ten czas muszę poświęcić Lincowi, muszę bronić go przed hienami. Na przykład przed takim Seymourem Steiglerem. Przyszedł rano do jej pokoju.

Cześć, Casey, załatwię trumnę.

- Nie trzeba. Już się wszystkim zajęłam.

- Naprawdę?

Świetnie. Posłuchaj, już się

spakowałam. Jannelli może pomóc mi przenieść bagaże i będę w samolocie na czas...

- Nie. Sama zabiorę Linca.

-

Ale Casey, musimy pogadać o tylu rzeczach.

Jego

testament, transakcja Par-Con, będziemy mieć czas, żeby to omówić.

- Wszystko może poczekać. Spotkamy się w Los Angeles. Weź sobie trochę wolnego i wróc w poniedziałek.

- W poniedziałek? Na litość boską, przecież mam mnóstwo rzeczy do zrobienia. Żeby rozwikłać sprawy Linca, trzeba będzie co najmniej roku. Musimy szybko zatrudnić radcę. Najlepszego w mieście. Ja się tym zajmę. Nie zapomnij, że jest jeszcze wdowa i dzieci.

Zobaczysz, trzeba będzie się o swoje ubiegać. No i jeszcze ty! Dostałaś spory plik udziałów. My też

się jeszcze poprocesujemy? Przecież przez siedem lat byłaś dla niego jak żona i...

- Seymour, ty już u mnie nie pracujesz. Zabieraj stąd swój tyłek i...

- Co ci, u diabła, jest, co? Przecież ja tylko się troszczę o twoje prawa...

- Seymour, nie słyszysz? Wyleciałeś z pracy! .

- Nie możesz mnie wyrzucić. Ja też mam swoje prawa. Mam umowę.

- Ty sukinsynu! Dostaniesz odszkodowanie za swoją umowę, ale jak się nie odczepisz ode mnie, od Linca i od jego spraw, to już ja się zatroszczę, żebyś centa nie zobaczył. A teraz wynoś się stąd w diabły!

Casey otarła łzy wspominając wybuch gniewu. Co za sukinsyn. Dopiero teraz się upewniłam. Dobrze, że go wylałam. Założę się, że będzie jeszcze krążył jak hiena. Odszuka była panią Bartlett, jeśli już nie zadzwonił, i postara się, żeby upoważniła go do zaatakowania Par-Con i Linca. Założę się, że tak czy inaczej spotkamy się w sądzie. No, ale z boską pomocą nie pokona mnie. Ja będę bronić Linca na wieki. Zapomnij o tym pieprzonym Steiglerze, Casey.

Zapomnij o walce, którą będziesz musiała stoczyć, i skoncentruj się na terażniejszości. Co zatem z Orlandą? Linc, Linc ją lubił... Może nawet kochał. Tego nie wiem na pewno. I nigdy się nie dowiem. Orlanda.

Może powinnam się z nią spotkać?



20:05

Orlanda siedziała w ciemnym pokoju hotelu „Mandaryn” i patrzyła przez okno w noc. Przygnębienie opuściło ją. *Dżos!* - myślała po raz setny. *Dżos!* Linc odszedł, znów jest tak jak dawniej. Wszystko trzeba zacząć od nowa. Bogowie sobie ze mnie zadrwili.

Może trafi się jeszcze jedna szansa - oczywiście, że się trafi. Są jeszcze inni mężczyźni... O, Boże! Nie przejmuj się, wszystko będzie tak jak kiedyś.

Quillan kazał mi się nie martwić, on zatroszczy się...

Zadzwoił telefon.

- Halo?

- Orlanda? Tu Casey, Zdziwiła się.

- Dzisiaj wieczorem odlatuję, ale chciałabym się z tobą wcześniej zobaczyć. Możemy? - Jestem na dole.

Dzwoni jej rywalka? Po co? Żeby się pysznić?

Przecież obydwie poniosły stratę.

- Tak, Casey - zgodziła się z wahaniem. -

Wjedziesz

na górę? Tu jest intymniej. Pokój numer trzysta sześćdziesiąt trzy.

-

Jasne. - Orlanda włączyła światło i popędziła do łazienki, żeby poprawić makijaż. Widziała u siebie smutek i ślady po niedawnych łzach, ale jeszcze żadnych

znak starości. Jeszcze nie. Lecz lata płyną, myślała i poczuła dreszcz. Poprawiła włosy, podmalowała oczy.

Wystarczy. Przestań. Upływu lat nie powstrzyma Bądź Azjatką! Włożyła pantofle.- Wydawało jej się, że czeka długo. Waliło jej serce. Usłyszała dzwonek i otworzyła drzwi. Obydwie były zrozpaczone i nie umiały tego ukryć.

- Wejdz, Casey.

- Dziękuję.

Pokój był niewielki, Casey zauważyła małe walizki na łóżku.

- Ty też wyjeżdżasz? - Miała wrażenie, że jej głos zabrzmiał z oddali.

- Tak, będę mieszkać u znajomych rodziców. Hotel jest trochę za drogi, a oni zaproponowali, że mogę być u nich, zanim znajdę mieszkanie. - Siadaj.

- Ale chyba dostaniesz ubezpieczenie?

- Ubezpieczenie? Nie, chyba nic. Nigdy... Nie, chyba nie.

Casey westchnęła.

-

Więc wszystko straciłaś? *Dżos*.

Orlanda nieznacznie wzruszyła ramionami.

- Nie szkodzi. Mam trochę pieniędzy w banku i...

Jestem zdrowa. - Zobaczyła smutek na twarzy Casey i ogarnęło ją współczucie.

- Casey - zaczęła. - Ja... Ja nie chciałam łapać Linca w pułapkę. Nie chciałam nic złego. Kochałam go, tak, zrobiłabym wszystko, żeby za niego wyjść, ale tak by było uczciwie. Wiem, że byłabym dla niego wspaniałą żoną, bardzo się starałam. Kochałam go i.. -

Orlanda znów lekko wzruszyła ramionami. - No wiesz.

Bardzo mi przykro.

Tak, wiem. Nie musi ci być przykro.

Jak pierwszy raz cię spotkałam w Aberdeen, wtedy, gdy wybuchł pożar - mówiła Orlanda - pomyślałam sobie, że Linc musi być głupi, jeśli wy nie... -

Westchnęła. - Być może, jak twierdzisz, nie ma tu o czym mówić. - Znów zaczęła płakać, Casey przejęła się i też szlochała. Przez jakiś czas stały obok siebie i zalewały łzami. Potem Casey wyjęła chusteczkę i wytarła oczy. Czowała się fatalnie. Nic się nie wyjaśniło.

Chciała mieć to spotkanie za sobą. Wyjęła kopertę.

-

Proszę. To czek na dziesięć tysięcy dolarów ame...

- Nie chcę twoich pieniędzy! Nie potrzebuję żadnych...

-  
To nie ode mnie, od Linca. Posłuchaj chwilę.

Casey opowiedziała, co jej mówił Dunross. Wszystko.

Znów się popłakały.

- Linc tak powiedział. Sądzę, że ciebie chciał poślubić.

Być może się mylę, nie wiem. Mimo to na pewno chciałby dla ciebie... jakiegoś zabezpieczenia.

Orlanda czuła, że serce niemal jej się wyrывa z piersi.

- Linc naprawdę mówił „drużba”?

- Tak.

- I żeby się zaprzyjaźnić? Chciał, żebyśmy zostały przyjaciółkami?

- Tak. - Casey nie miała pewności, jaka była wola Linca. Kiedy tak patrzyła na tę młodą piękność, nie mogła jej obwiniać. Tym bardziej Linca. Z pewnością Linc nie pozostawiłby jej bez środków do życia, więc ja też nie mogę. Chciał, żebyśmy się zaprzyjaźniły.

- Możemy spróbować - zaproponowała. - Posłuchaj, Hongkong to nie jest odpowiednie miejsce dla ciebie.

Może spróbujesz się przenieść?

- Nie mogę. Jestem tu przywiązana, Casey. Nie mam wykształcenia, nie mam nic. Mój dyplom się nie liczy.

Znów się popłakała.

- Ja... Ja po prostu tutaj zwariuję.

- A może spróbowałabyś w Stanach, co? -

powiedziała w nagłym impulsie Casey. - Może ja bym mogła pomóc znaleźć pracę.

- Proszę?

- Tak. Coś na przykład związanego z modą. Nie wiem dokładnie co, ale popróbowalabym.

Orlanda patrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Pomogłabyś mi? Naprawdę byś mi pomogła?

- Tak.

Casey położyła kopertę i swoją wizytówkę na stole i wstała. Wszystko ją bolało.

-

Spróbuję.

Orlanda podeszła do niej i objęła ją. - O, dziękuję ci, Casey. Dziękuję. Casey przytuliła ją. Mieszały się ich łzy.

Noc była ciemna i tylko od czasu do czasu zza chmur wyglądał księżyc. Roger Crosse w absolutnej ciszy podszedł do częściowo ukrytej bramy w wysokim płocie otaczającym dom gubernatora. Otworzył ją swoimi kluczami, potem zamknął za sobą i trzymając się cienia ruszył w stronę budynku.

Przy samym domu skręcił do wschodniego skrzydła, zszedł kilka stopni po schodach i wyjął kolejny klucz.

Otworzył drzwi niemal bezgłośnie.

Uzbrojony strażnik przygotował karabin.

- Hasło!

Crosse podał. Strażnik zaszutował i odszedł na drugi koniec korytarza. Crosse zapukał do drzwi. Otworzył

sekretarz gubernatora. Dobry wieczór, nadinspektorze.

Mam nadzieję, że ie czekał pan długo. Nie, skądże.

Sekretarz poprowadził go przez centrum komunikacyjne do betonowego

pomieszczenia

mogącego

pomieścić

jednego człowieka. Wyjął klucz i otworzył. Crosse szedł

do środka i zamknął za sobą ciężkie drzwi, rozluźnił się.

Nie groził mu żaden podsłuch. Znajdował się w najświętszym z najświętszych miejsc przeznaczonych do jak najbardziej prywatnych rozmów.

Betonowe

pomieszczenie

budowali

najbardziej

zaufani pracownicy SI, sami Brytyjczycy, aby za wszelką cenę uniknąć założenia podsłuchu. Eksperci z Oddziału Specjalnego raz na tydzień sprawdzali całość urządzenia.

W rogu stał skomplikowany nadajnik, wysyłający sygnały do anteny na dachu domu gubernatora, potem o stratosfery, a dalej do Whitehal . Crosse włączył go.

Rozległ się miły szum.

Proszę z ministrem. Tu Azja Jeden. - Z rozkoszą podał swój kryptonim.

- Tak, Azja Jeden?

- Po szpiega Briana Kwoka wyszedł między innymi Tsu-ian.

- O, więc można go skreślić z listy.

- Obydwu, sir. W niedzielę dezertor Joseph Ju przekroczył granicę.

- A niech to! Lepiej zorganizować wokół niego ekipę do kontroli. Mamy jakichś ludzi w tym ich atomowym centrum?

- Nie, sir. Podobno Dunross ma się spotkać z tym Ju w Kantonie jeszcze w tym miesiącu.

- Co z tym Dunrossem?

- Można mu wierzyć, ale nigdy nie pójdzie na współpracę z nami.

- A co z Sindersem?

- Spisuje się bez zarzutu. Nie uważam go za niebezpiecznego.

- Dobrze. Co z „Iwanowem”?

- Odpłynął w południe. Nie znaleźliśmy Suslewa.

Przeszukanie zgliszcz może potrwać jeszcze kilka tygodni. Obawiam się, że nie uda się go już znaleźć w całości. Teraz gdy nie ma Plumma, trzeba przemyśleć działalność Sevrin.

- To za sprytna struktura, żeby nie istniała, Roger.

- Tak, sir.

- Druga strona też tak myśli. Gdy przyślą zastępstwo za Suslewa, zorientuję się, jakie mają plany, i wtedy się zastanowimy.

- Dobrze. Co z deVille'em?

- Zostanie

przeniesiony

do

Toronto. Proszę

poinformować Kanadyjską Policję Konną. A co do krążownika atomowego to: wyporność osiemdziesiąt trzy tysiące trzysta pięćdziesiąt ton, może zabrać pięć tysięcy pięćset oficerów i marynarzy. Wyposażony w osiem

reaktorów,

maksymalna

prędkość

sześćdziesiąt dwa węzły. Czterdzieści dwie rakiety F-4 Phantom II...

Crosse kontynuował raport zadowolony z siebie.

Uwielbiał swoją pracę, uwielbiał być po dwóch stronach. Po trzech, przypomniał sobie. Tak, potrójny agent. Żadna strona mu do końca nie ufa, ale wszyscy go potrzebują i wszyscy modlą się, żeby był po stronie tych, a nie tamtych. Czasem sam się sobie dziwię, pomyślał z uśmiechem.

W terminalu na Kai Tak Armstrong opierał się o kontuar informacji i spoglądał na drzwi. Czuł się podle. Jak zwykle dokoła tłoczyli się ludzie. Ku swemu zdziwieniu zobaczył wchodzących do budynku Petera Marlowe'a, Fleur Marlowe i ich córki. Dziewczynki miały w rączkach małe kufeczki. Fleur była blada i zmęczona.

Marlowe też. Dźwigał walizki.

- Cześć, Peter - przywitał ich Armstrong.

- Cześć. Późno pracujesz.

- Nie, nie, przyszedłem odprowadzić Mary. Wyjeżdża na wakacje do Angli. Na cały miesiąc.

- Dobry wieczór, pani Marlowe. Tak mi przykro.

- Dziękuję, nadinspektorze, wła...

- Jedziemy do Binkoku - przerwała jej czteroletnia córeczka. - To na kontynencie.

- Przestań, głupia - wtrąciła siostra. - Do Bunkoku na kontynencie. To Chiny.

-

Jedziemy na wakacje. Mama jest chora.

Peter uśmiechnął się. Miał zatroskaną minę.

- Jedziemy na tydzień do Bangkoku, Robert. Fleur musi wypocząć. Doktor Tooley podkreślił, że to dla niej ważne. - Przerwał, gdy córeczki zaczęły się kłócić.

- Uspokójcie się, dziewczynki!

- Sprawdź rezerwację - powiedział do żony. - Ja się zajmę bagażem.

- Dobrze. Chodźmy. Bądźcie grzeczne! - Odeszła.

- Obawiam się, że tydzień to dla niej za mało zauważył Peter Marlowe. - Jeden z przyjaciół – zniżył

głos - prosił, żebym przekazał, że spotkanie przestępców narkotykowych będzie w Makau we czwartek.

-

Wiesz gdzie?

- Nie, ale prawdopodobnie zjawi się Lee Biały Proszek. I Amerykanin Banastasio. Takie przynajmniej słychać pogłoski.

- Dziękuję. Co jeszcze?

- To wszystko.

- Dzięki, Peter. Miłej podróży. W Bangkoku możesz poprosić o pomoc inspektora Samanthajala. Powołaj się na mnie.

- Dziękuję. Fatalnie z tym Linkiem i innymi, nie?

Chryste, ja też byłem zaproszony na to przyjęcie.

-

*Dżos.*

- Tak. Ale jemu ani im to nie pomoże. Biedacy. Do zobaczenia za tydzień.

Armstrong patrzył chwilę za odchodzącym pisarzem, a potem znów oparł się o kontuar i z bólem serca czekał

dalej. Myślami nieodparcie powracał do Mary. Poprzez niego wieczora kłócili się o Johna Czena, ale głównie z powodu ostatnich kilku dni: Brian, Czerwony Pokój, pożyczone pieniądze, postawienie na Pilot Fish, pełne strachu oczekiwanie, odłożenie czterdziestu tysięcy do szuflady biurka - jak gdyby nigdy nic - spłacenie i długów i kupno dla niej biletu do domu. Dziś wieczorem znów się zaczęło i wypomniała mu:

- Zapomniałeś o naszej rocznicy ślubu. To tak wiele do zapamiętania? Nienawidzę tego cholernego miejsca i tych cholernych Wilkołaków i tego cholernego wszystkiego. Nie czekaj na mój powrót!

Zapalił papierosa. Smakował mu, a jednocześnie nienawidził. Powietrze znów było wilgotne. Nagle zobaczył

nadchodzącą Casey. Wygasił papierosa i wyszedł jej na spotkanie, zasmuciła go lekka ociężałość w jej ruchach.

-

Dobry wieczór - powiedział. Czuł się bardzo zmęczony.

O, witam nadinspektorze. Co słyhać?

- Dziękuję, w porządku. Pomogę pani.

- O, to miło z pana strony.

- Cholernie mi przykro z powodu pana Bartletta.

-

Tak,

tak.

Dziękuję,

Poszli. Wiedział, że lepiej nic nie mówić. No bo o czym tu rozmawiać? Szkoda, pomyślał. Lubił ją, podziwiał jej odwagę, którą udowodniła podczas pożaru, a potem na zbocz. Potrafiła mówić spokojnie w momentach, kiedy inni krzyczeli. Urzędnik Biura Imigracyjnego wbił jej pieczętkę i uprzejmie oddał paszport.

- Życzę miłej podróży i proszę szybko wracać.



Śmierć Linca znalazła się na pierwszych stronach gazet. Armstrong przeprowadził Casey przez przejście dla ważnych osobistości. Otworzył przed nią drzwi na płytę lotniska i ku swojemu zdziwieniu zobaczył czekającego Dunrossa.

-

O, cześć Ian. - Zdziwiła się. - Nie chciałam, żebyś...

- Musiałem. Casey Przepraszam. Mam jedną nie załatwioną do końca sprawę z tobą, a poza tym od prowadzam kuzyna. Leci na Tajwan, żeby zarezerwować parcele, które potem ty też będziesz musiała zaaprobować. - Spojrzał na Armstronga.

-- Dobry wieczór, Robert. Jak tam?

- Jak zwykle - odpowiedział i wyciągnął do Casey rękę.

- Ja już pójde. Życzę bezpiecznej podróży. Możecie startować, gdy tylko wejdzie pani na pokład.

-

Dziękuję, nadinspektorze, chciałabym... Dziękuję.

Armstrong uklonił się Dunrossowi i ruszył do drzwi.

- Robert, czy przesyłka została dostarczona do Lo Wu?

Udał, że się zastanawia.

- Tak, zdaje się, że tak. - Zobaczył, że Dunrossowi ulżyło.

Dziękuję. Możesz na mnie chwilę poczekać?

Chciałbym o tym usłyszeć.

Oczywiście. Będę na zewnątrz. Gdy zostali sami, Dunros wręczył Casey kopertę.

To czek na siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Kupiłem dla ciebie akcje Struanów po dziewięć i pół, a sprzedałem po dwadzieścia osiem.

Co takiego?

No, eee, kupiłem po dziewięć i pół, tak jak obiecałem.

Tobie przypadło w udziale trzy czwarte miliona.

Struanowie zarobili wiele milionów. Ja sam też, Dianne i Phil ip również. Im też wcześniej o wszystkim powiedziałem.

-  
Przepraszam, ale nie rozumiem.

Uśmiechnął się, potem powtórzył i dodał:

- I jeszcze jeden czek. Na ćwierć miliona dolarów, to twój udział z przejęcia General Stores.

-  
Nie wierzę.

Znów się nieznacznie uśmiechnął.

- Naprawdę. Za trzydzieści dni masz następne trzy czwarte miliona, a za sześćdziesiąt kolejne pół. Jannelli zapalił pierwszy silnik „Yankee 2”. - Wystarczy ci na najpilniejsze sprawy

Poruszyła ustami, ale nie wydobył się żaden dźwięk.

- Ćwierć miliona?

- Tak. Właściwie cały milion, jeśli dodać obydwie czeki. A właśnie, nie zapominaj, że teraz jesteś tai-panem Par-Con. To prezent od Linca. Tai-pan!

Pieniądze są nieważne. - Uśmiechnął się i uściśnął ją na pożegnanie. - Powodzenia, Casey. Zobaczmy się za miesiąc, nie? - Ruszył drugi silnik.

- Milion dolarów?

- Tak. Poproszę Dawsona, żeby ci przesłał porady podatkowe. Skoro to zysk z Hongkongu, to z pewnością! jest sposób, żeby legalnie uniknąć podatku.

Zawył następny silnik. Odebrało jej mowę. Gapiła się na Dunrossa.

Z poczekalni dla ważnych osobistości wyszedł wysoki, uśmiechnięty mężczyzna.

- Cześć, Ian. Powiedziano mi, że tu cię znajdę.

- O, David! Casey, to właśnie David MacStruan mój kuzyn.

Casey spojrzała na niego nieobecny wzrokiem.

- Dzień dobry. Ale Ian, czy naprawdę masz na myśli... To, co powiedziałaś?

- Oczywiście. - Zawarczał ostatni silnik.

- Lepiej już wchodź na pokład. Zobaczmy się w przyszłym miesiącu.

- Co? Ach tak, ale, tak, do zobaczenia! Schowała kopertę do torebki, odwróciła się i odeszła. Obserwowali, jak wchodzi po schodach.

- A więc to ta sławna Casey - powiedział w zamyś-

leniu David MacStruan. Był wzrostu Dunrossa, jednak miał mniej lat, rude włosy, lekko ukośne, niemal azjatyckie, zielone oczy. Twarz pokrywały już zmarszczki.

Podczas skoku spadochronowego stracił końcówki trzech palców lewej ręki.

- Tak, tak. Kamalian Ciranoush Tcholak.

- Imponująca.

- Mało powiedziane. Możesz ją porównać do Hag.

David MacStruan gwizdnął.

- Aż tak dobra?

- Jak się wprawi, na pewno.

Na pokładzie samolotu Svensen zamknął drzwi do kabiny-Casey, coś ci podać? - zapytał grzecznie.

- Nie - powiedziała. - Zostaw mnie, Sven. Zawołam, jak będę czegoś potrzebować, dobrze?

- Jasne. - Zamknął za sobą drzwi.

Została sama. Niezgrabnym ruchem zapięła pas i spojrzała w okno. Przez łzy zobaczyła, że Dunross i mężczyzna, którego nazwiska nie pamiętała, kiwają jej na pożegnanie. Odpowiedziała im takim samym gestem, ale oni jej nie widzieli. Chmury zasłoniły księżyc. Silniki zwiększyły obroty, samolot wznosił się stopniowo pod czarne niebo. Casey w uszach cały czas huczały słowa Dunrossa. Wracaly wciąż od początku i nie pozwalały jej wziąć się w garść. Tai-pan. To prezent od Linca! Tai-pan. Pieniądze są nieważne. Tak, to prawda, ale... Ale...

Jak to powiedział Linc wtedy pierwszego dnia na giełdzie?

Czy nie: „Jeśli wygra Gornt, my wygramy. Jeśli wygra Dunross, także my. Tak czy inaczej staniemy się Noble House. Po to tu przyjechaliśmy”.

Ogarnął ją mrok. Przestała płakać. Myślała zupełnie trzeźwo. On chciał właśnie tego. Naprawdę tego pragnął, myślała w narastających emocjach. Życzył sobie, żebyśmy stali się Noble House. Oczywiście. Może tak właśnie będę mogła mu się odwdzieczyc. Może tak uczczę jego pamięć? Noble House!

- 0, Linc - powiedziała radośnie. - Warto spróbować, prawda?

Samolot wzniósł się do chmur. Zapadła czarna, ciepła noc, wiał lekki wiatr. Wyspa znajdowała się na dole.

Dunross z dużą prędkością jechał po Pik Road.

Kierował się do domu. Z przyjemnością wsłuchiwał się w warkot silnika. Pod wpływem nagłego impulsu Dunross zmienił kierunek i pojechał na Pik. W samotności stanął

przy poręczy punktu widokowego. Hongkong zamienił się w morze świateł. Na oświetlonym pasie, ponad Kouiuucui, jakiś samolot podchodził do lądowania. Zza chmur wychyliło się kilka gwiazd.

- Chryste, to zbyt piękne, żeby było prawdziwe

- powiedział.